BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

4263/77

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1860.

Tom piérwszy.

NOWÉJ SERYI TOM IX.

X-4417e
N620
1860

WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNÉJ,
przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 619.

1860.

4620. 1860. 1
II

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia $\frac{\text{22 grudnia 1859 r.}}{\text{3 stycznia 1860 r.}}$

Cenzor, RADCA KOLLEGIALNY

Stanisławski.

30.000/1

X-14176
4620/II 1.
/1860

OD REDAKCYI.

Zaczynamy rok dwudziesty od piérwszego zawiązku wydawnictwa Biblioteki Warszawskiéj: siedmdziesiąt sześć tomów, dają świadectwo naszych prac i usiłowań. Ci sami, którzy założyli to pismo, stoją dziś u jego steru, z gorącą chęcią służenia uczciwie sprawie ojczystéj oświaty.

Ile Redakcya musiała zwalczać trudności, ile starań i poświęceń łożyć na utrzymanie i rozwój swego pisma przez ciąg lat dziewiętnastu, nie tu miejsce mówić. Z ręką na sercu możemy wyznać otwarcie, że zawsze kierowała naszemi pracami myśl usługi krajowéj.

Zmniejszający się z czasem zastęp pierwotnych zasłużonych współpracowników, Redakcya wzmacniała młodymi pisarzami. Jakoż może się pochlubić, że dla wielu dziś głośniejszego imienia, Biblioteka Warszawska otworzyła piérwszą drogę, na tém pięknem polu zasługi.

Zarzucano pismu naszemu niedostateczność Kroniki Literackiéj, mianowicie, że nie wszystkie ważniejsze utwory piśmiennictwa polskiego, krytycznie ocenione w niéj były. Słuszny byłbyto zarzut, gdyby Redakcya mogła liczyć na większą liczbę pracowników, którzyby krytyce poważnéj pióro swe poświęcali. Od czasu jednak założenia Biblioteki Warszawskiéj, a rok XX dobiega, zaledwie kilku znalazło się pisarzów, którzy zwrócili się do téj mozolnéj pracy. Z tych jeden zamilknął od lat kilku, pozostali, jako współpracownicy Biblioteki Warszawskiéj, wypełniają sumiennie swoje zobowiązania.

Mówimy tu o krytyce poważnéj naukowéj, nie dorywczéj, któréj mieliśmy wiele przykładów. Dla takiéj krytyki, miejsca w piśmie naszém niéma.

Jakkolwiek rozwój handlu księgarskiego, pomimo chwilowych stagnacyj, coraz szerszych rozmiarów dosięga, a popiera go mnożąca się ilość księgarń, wzrost drukarń i ilość wydawanych książek rok rocznie, krytyka nie wieleby miała pracy, gdyby brała pod swój sąd wyborowe dzieła.

Redakcya dla utrzymania dokładnéj statystyki wychodzących dzieł poświęconych literaturze i sztuce, wprowadziła dział nowy Kroniki Bibliograficznéj, która szczegółowo, każde, w miarę wychodzenia zapisuje.

Kronika ta, obejmując wszystkie bez wyjątku utwory, ogłaszane w obrębie Królestwa Polskiego, nie bacząc wcale na ich wewnętrzną wartość, za-

stępuje dokładniéj dawniejszą, bez pewnego ciągu i całości, prowadzoną Kronikę Bibliograficzną.

Chciwa wrażeń chwilowych, znaczna część czytelników polskich i rozsmakowana w utworach piérwszorzędnych powieścio-pisarzów, pragnęła powieści. Żądania ich od r. 1851 przy rozwoju gazet naszych zaspokajane były; ale inny cel i zadanie miała Redakcya Biblioteki Warszawskiéj. Jeżeli z jednéj strony, baczyć powinna na popularność swego pisma, z drugiéj musiała charakter właściwy, naukowy, poważny, zachować. Biblioteka Warszawska bowiem, jak nie była nigdy, tak i obecnie, nie jest pismem spekulacyjném: potrzebuje uznania i rozpowszechnienia w gronie czytelników polskich, ale schlebiać modzie chwilowéj nie może. Nauka, nie ma innego u nas reprezentanta. Wreszcie widzimy, że wymagania powieści coraz zmniejszają się, że ci sami czytelnicy, z równą ochotą zabierają się do czytania poważniejszych utworów.

Redakcya, brak doborowych powieści dla małéj liczby pisarzy, którzy wyłącznie zasilali tylko pisma codzienne, zastąpiła doborowemi przekładami utworów dramatycznych literatury zagranicznéj, uważając w tém pożywniejszy duchowy pokarm dla czytelników swoich. Że tę zamianę przyjęto przychylnie i zrozumiano jéj wartość, skutek okazał.

Wymagania systematycznego wykładu pewnych przynajmniéj ustępów dziejów narodowych,

przy obfitości dotąd uzbieranych materyałów, mają słuszną zasadę. Redakcya nie spuszcza tego z uwagi i ma niewątpliwą nadzieję, że z zadania tego chociaż częściowo wywiąże się.

Studya literackie, w różnych odcieniach, głębiéj, naukowo, a przystępnie wyjaśniające przedmioty do rozbioru dane, już zapewnione, upoważniają Redakcyą do spodziewania się, że potrafią zająć czytelników.

Przeglądy literatury zagranicznéj, oprócz Kroniki Paryzkiéj, w każdym tomie zamieszczane będą: oceniamy bowiem całą ich ważność.

Przekłady doborowe arcydzieł literatur obcych, głównie z działu literatury dramatycznéj, pominięte nie będą; tłumaczenia tego rodzaju, owoce długoletniéj pracy, opracowane starannie, z wniknieniem w ducha autora, Redakcya uważa za prawdziwe zbogacenie piśmiennictwa krajowego.

Zmieniły się potrzeby duchowe społeczności naszéj przez ciąg lat wychodzenia Biblioteki Warszawskiéj. Redakcya rozumie je i pojmuje; dlaczego powiększywszy grono współpracowników, z nową usilnością chce z rozpoczęciem roku bieżącego do zamierzonych, na drodze postępu, podążać celów: wybrała przeto z różnych działów nauk zadania więcéj żywotne, na dobie będące, a zniósłszy się o ich rozwiązanie z miłośnikami i znawcami szczególnych przedmiotów, zapewniła się poniekąd, iż w ciągu roku bieżącego 1860 będzie mogła ogłosić w piśmie swojém rozprawy poniższéj treści, jakoto:

I. Przeprowadzenie loiczne przez ciąg dziejów naszych konfederacyj polskich, jako zasady w historyi życia narodowego: co znaczyły, czém były, jakiemi się otaczały formalnościami, w czém zmieniały dawne prawa narodowe, jaka była ich doniosłość i powaga.

II. Wyjaśnienie stosunku uprawiaczów roli do reszty społeczeństwa w Polsce i jak się przetworzył na niewolę gruntową i osobistą, z porównaniem podobnych stosunków w krajach ościennych i dalszych europejskich, udowadniając faktami na historycznéj porównawczéj podstawie opartemi, że stan rolniczy w Polsce nie doznawał uciemiężenia większego niż w innych europejskich państwach. Okazawszy takim sposobem, że ubóstwo jego nie pochodziło z uciemiężenia przez szlachtę, lecz z innych przyczyn, wyszczególnienie téj przyczyny.

III. Heraldyka polska potrzebuje radykalnéj reformy. Wskazać w czém się mylili dawniejsi nasi autorowie herbarzów, jak Paprocki, Kojałowicz, Okolski, Niesiecki, i w. i.; jak zreformować po nich heraldykę, tak, aby nie była pochwałą rodzin, ale nauką, któraby znakomicie podnosiła i wyjaśniała historyą; wykazać początki z resztą już bardzo późne jeżeli nie wszystkich, to przynajmniéj kilkuset lub kilkudziesięciu rodzin szlacheckich.

IV. Sporządzenie spisu i opisu pamiętników i artykułów historycznych drukowanych po pismach peryodycznych lub w broszurach rzadkich.

V. Okazać ważność humanitarnego kierunku w wychowaniu i znaczenie tego kierunku w cywilizacyi, czyli konieczność zwracania głównéj uwagi na nauki, których przedmiotem jest duchowa strona człowieka, czy to pojedyńczo, czy zbiorowo uważanego, oraz pożyteczność literackiego oddania rzeczy ściśle naukowych, gdy idzie o działanie na ogół.

VI. Skreślenie krytyczne obrazu dotychczasowéj literatury dydaktycznéj dla ludu przeznaczonéj, ze wskazaniem, jak nadal w téj mierze postępować należy ze względu na obecny stan i potrzeby ludu.

VII. Eklektyzm i naśladownictwo tak w życiu, jak w sztuce i literaturze.

VIII. Czy obowiązujące u nas przepisy prawa zapewniają nakładom na ulepszenia gruntowe takie bezpieczeństwo i rękojmią, jakich ze względu na swoję użyteczność i potrzebę używaćby winny, i czy w téj mierze nie zachodzi potrzeba jakich dopełnień.

IX. Jakie jest znaczenie w sprawach cywilnych wyroków sądów karnych i dowodów przez też sądy zebranych ze względu na obowiązujące dotąd prawa cywilne i karne.

X. Ocenienie ze stanowiska społecznego i ekonomicznego małéj własności ziemskiéj, wykazanie warunków jéj istnienia i pomyślności w różnych krajach. Wyprowadzenie wniosków, co do jéj powstania i rozwijania się u nas.

XI. Jakie są przyczyny, że przemysł górniczy prywatny nie rozwija się, i czy najgłówniejszą z nich nie jest brak ustawy górniczéj, a w czém właściwie ustawa taka dałaby popęd rozwojowi górnictwa krajowego.

XII. Wykazać przez statystyczne ocenienie sił produkcyjnych i z użycia lub też odbytu, jakie są granice wyrobu żelaza w Królestwie; daléj, w jakiéj postaci i gatunkach żelazo wyrabiać należy, aby zapewnić nań odbyt, a zatém ciągłość produkcyi; w końcu, w czém leży możność powiększenia fabrykacyi naszego żelaza.

Następnie podamy wiadomość o rozprawach z nauk przyrodzonych, które dla Biblioteki Warszawskiéj na rok 1860 zapewnione zostaną, jak niemniéj ze wszystkich działów nauk, pytania, ważnością odznaczające się dla wiadomości naukowych w całym kraju pracowników, którzyby odpowiedziami na nie zająć się chcieli, na warunkach przez Redakcyą przyjętych lub oddzielnie ułożyć się mających.

Potrzeba i ważność systematycznego i pod wszelkiemi względami zupełnego opisu kraju naszego jest powszechnie uznaną. Redakcya mając sobie z hojności i gorliwości obywatelskiéj podane środki rozpoczęcia tak pożądanego dzieła, układa programat opisów pojedyńczych części kraju i zamieści go w jednym z następnych zeszytów Biblioteki Warszawskiéj, dla skazówki tym, którzyby życzyli wziąć udział w tak pożytecznéj pracy.

Składając wierny obraz dążeń i zamiarów swoich, w celu utrzymania Biblioteki Warszawskiéj na właściwém stanowisku, Redakcya nie traci nadziei, że czytelnicy ocenią jéj pracę i ofiary ku ulepszeniu tego organu, poświęconego nauce i oświacie krajowéj; otoczą go dawną życzliwością, a w gorliwém poczuciu obowiązków obywatelskich, pomogą do większego niż dotąd jego rozpowszechnienia.

w Warszawie,
dnia 1 stycznia 1860 r.

WIT STWOSZ,

JEGO POBYT W NORYMBERDZE I PRZYGODY TAMŻE DOZNANE.

PRZEZ

Edwarda bar. *Rastawieckiego.*

Kréśląc życiorys tego naszego niezrównanego artysty, sztuki polskiéj średniowiecznéj najwznioślejszego, a ostatniego przedstawiciela, zwracałem uwagę na dwie w dni jego pasmie uderzające szczególności (Słownik malarzów, II). Jedną z nich jest wybitna dwoistość życia, które w piérwszéj połowie było czysto polskie, w drugiéj zupełnie niemieckie. Z osiadłych w Krakowie przodków zrodzony, w témże mieście zrosły i w sztuce doskonalony, tu miał dom własny i stałą pracownię, a z niéj rodzinne zwłaszcza miasto nieśmiertelnemi uposażał sztuki tworami; tutaj téż ożeniony z Krakowianką, miał z tego związku kilkoro potomstwa. Tak przeżył lat przeszło pięćdziesiąt wieku, gdy powziął zamiar wydalenia się do Norymbergi. Tam przybywszy i wkrótce osiedlony, dziwną przygodą na resztę żywota, jakby przykuty, pracuje znowu długie lata dla Niemiec, przeważne a mnogie wykonywa im dzieła, nazwisko swe polskie zaczasem zniemcza, żeni się powtórnie z Niemką, niemieckie pozostawia syny, w grobie nawet choć własnym z jakiemiś Niemcami zbłąkany. Z téjto więc dwukrajowości artysty wynika, że pragnącemu poznać bliżéj tak życia jego

szczegóły, jak wszelkie tyle szacowne a wslawiające go prace, szukać o nich wiadomości i spodziewać się takowych zarówno wypada w obu krajach, zwłaszcza zaś w obu miastach przezeń długoletnio zamieszkałych. Niemcy, Norymbergczycy nie zapomnieli o nim: tak współczesni jak i późniejsi podawali stale mniejwięcéj zasobne o jego życiu i tworach wspomnienia. Inaczéj rzecz się miała, wyznajmy, w Polsce, w Krakowie. Tu gdzie się rodził, gdzie przez pół wieku żył i pracował, a najokazalsze dzieła dotąd dotrwałe zostawił, gdzie nawet na jednem z nich nazwisko swe wyrył i potomności przekazał; tu mówię, pamięć o nim zaginęła była zupełnie; tak zaś dalece stał się nieznanym, że do niedawna ktoby u nas nazwał był Stwosza, byłby tylko wywołał pytanie: któżto jest? co to za jeden? Zapomnienie to i zupełna nieświadomość nietylko już wyłącznie Stwosza, lecz i całéj sztuk pięknych krajowych z ubiegłéj przeszłości dziedziny, osobliwszym jest niezaprzeczenie objawem, w całém pasmie aż do jego końca, dawnego bytu krajowego. Gdy bowiem dziś pomimo przestrzeni czasów, a dzielącéj nas ciemnéj wieków otchłani, dośledzić tam przecie jeszcze możemy i ludzi nie jednych i przeważne twory; dlaczego o tém wszystkiém dawni milczeli upornie? Przyczynę tego, śmiem wyrzec, szukać przypada w zasadach i składzie samego niegdyś bytu narodowego. Gdzie życie publiczne w tak silnym było rozwoju, gdzie w niém każdy miał udział i znaczenie; tam rzecz publiczna zaprzątała ogół głównie. Stan taki a umysłów popęd wpływać też musiał na dziejopisarstwo krajowe; ztąd więc historyk, zwykle sam czynny obywatel, miał sobie za jedynie ważną, powinną i ciekawą opowieść spraw publicznych, polityki, prawodawstwa, wojny, a do nich tylko odnoszących się rzeczy i ludzi. W takiém zadania historycznego pojęciu, nie dziw, iż obraz życia domowego, czy pojedyńcze z niego szczegóły, zdawać się mogły zbyt rzeczą podrzędną, do wyniosłości dziejów państwa nie domierzającą. Znajdujemy je też pomijane stale, a w zakresie takowych przemilczeń są także i sztuki piękne, znojów ustronnych, poświęceń cichych, powołań niegdyś wielce skromnych i pokornych owoce.

Wątpić nie można, że Długosz znał Stwosza, widział jego wytworne dzieła, na cześć Bożą w ozdobie przybytków Pańskich wykonywane; nie wzmiankował przecie o nich wcale, ani wspomniał mistrza, tyle nam dziś wielkiéj zasługi i chwały. Zamilczeli o nim i wszyscy następni, tak, że z upływem wieków został u nas zupełnie nieznanym. W nowszych dopiéro czasach, z nastaniem skrzętnych przeszłości krajowéj śledzeń, w wszechstronném onéj rozbadywaniu podejmowanych, odżył nam i mistrz wielki i niejaka o krakowskiém jego pożyciu wiadomość. Krakowianin takoż, gorliwości pełen badacz Ambroży Grabowski, napotkawszy nazwę Stwosza, poszedł w ślad za nią do jedynego wykazać co jeszcze o nim mogącego źródła: mozolną pracą przejrzał akta miejskie i wyniósł z nich szereg szczegółów, żywot jego krakowski wcale dosadnie przedstawiających.

Pominiemy tu tę część życia artysty, jako nic do niéj nowego nie mając do przyłożenia. Zatrzyma nas tylko sama data jego urodzenia, zwykle dziś jednostajnie przez wszystkich kładziona. Źródła krajowe, tojest jak się rzekło co do Stwosza jedyne akta krakowskie, nie wskazują wcale roku przyjścia jego na świat. Z podań niemieckich najdawniejszy, a Stwosza współczesny Neudoerffer, powiada, że on umarł r. 1542, a dożył późnéj starości, bo lat 95 wieku; ztąd datą jego urodzenia byłby rok 1447, i tę datę przyjęli następni o nim niemieccy i niektórzy nasi dzisiejsi pisarze. Że zaś oznaczony przez Neudoerffera rok jego śmierci okazał się być mylny, że wedle późniejszych niemieckich wykryć umarł w jesieni r. 1533, co téż potwierdzają urzędowe akta krakowskie; przeto jeżeli żył lat 95, to i przyjście jego na świat nie może przypadać na rok 1447, lecz byłoby daleko wcześniejsze, tojest do roku 1438 odnoszące się. Wywód takowy rzeczy zwrócił był równie uwagę Naglera, który o dacie urodzenia Stwoszowego mówi, iż się ona waży między rokiem 1438 a 1447. Jakkolwiek w tym względzie niemożebne jest nateraz bezwarunkowe twierdzenie, zdawałoby nam się przecie, że data wcześniejsza od roku 1447, jest co do jego urodzenia prawdziwszą. Tak też ustanie powód, na zbytniéj jakoby

młodości artysty oparty, do wątpienia, że ołtarze w kaplicy Jagiellońskiéj katedry krakowskiéj, tak bardzo w ozdobności swéj do rodzaju prac Stwosza przypadające, jego są istotnie dziełem, w zawodu początkach wyniesienia się dalszego w sztuce już świetne zwiastuny.

Część wtóra życia artysty niemiecka, przepędzona w Norymberdze, objawia drugą, więcéj jeszcze od jego dwukrajowości zadziwiającą szczególność: w pośród żywota ciągle pracowitego i przykładnego, przy wielkiéj wziętości, a stałym do końca najznamienitszych ludzi szacunku, ów zadany mu zarzut jakiegoś przestępstwa i doraźne onego piętnowaniem ukaranie. Znalazłszy o tém zdarzeniu w nowszych niemieckich pisarzach wiarogodne przytoczenia, sądziłem, że je u nas zatajać nie należało, tém mniéj, iż w téj niejasnéj sprawie było widocznie coś podejrzanego, jakby zawistnie wyrządzona krzywda, pochopne cudzoziemca potępienie, jawne uchwycenie się środka do zatrzymania sobie na zawsze zdolności niepospolitéj i górującéj. Przywiedzione przez nas o tym wypadku (Słownik malarzów II, 231), z dawnych norymbergskich kronik i księgi miejskiéj przestępstw zapiski, ogłosił piérwszy J. Heller przy wydaniu Jana Neudörffera wiadomości o artystach norymbergskich, w przypiskach do życia Stwosza (Beiträge zur Kunst und Literatur Geschichte, Nürnberg 1822, str. 61); podane zupełniéj w dziele Rudolfa Marggraff Kaiser Maximilian I und Albrecht Dürer in Nürnberg, Nürnberg 1840 str. 52—54; wreszcie przytacza je Nagler (XVII, 429) z własném już wyraźném twierdzeniem, że Stwosz niegdyś w Krakowie mąż cnotliwy i nieskazitelny, w Norymberdze przekonany został o fałszerstwo, że listy podrobił celem nieprawnego nabycia mienia, za co téż został ukarany. Godną jest tu uwagi, że najdawniejsi norymbergscy o sztuce miasta tego pisarze, mówiąc o Stwoszu, wynoszą biegłość mistrza, zaletnie wspominają człowieka, a zamilczają owe jego w Norymberdze nieszczęsne zdarzenie. Tak uczynili Neudoerffer, Joachim Sandrart, Wagenseil, Doppelmayr, za którymi téż poszli Murr, Fuessli i inni. Nie można ztąd przecie wnosić, żeby ta przygoda była im wszystkim niewiadoma, żeby zwłaszcza

o niéj nie wiedział szczegółowo Neudoerffer, który takoż artysta za życia Stwosza w Norymberdze mieszkał, znał go z blizka, a synów jego niemieckich w sztuce wzorzystego pisma kształcił. Musieli więc w tém uznawać wielką jedynie ku Stwoszowi niesprawiedliwość, z przewrotności i gwałtowności rady miejskiéj wyrządzoną krzywdę, którą dla własnego miasta sławy korzystniéj było puścić w niepamięć, pokryć ją zupełném milczeniem. Wszystko to przecie są tylko domysły, istotnéj prawdy przy braku jaśniejszych skazówek wykryć nie mogące. Mniemając, że w Norymberdze, w dawnych zwłaszcza aktach miejskich, wyśledzićby dziś jeszcze można nie jeden o pożyciu tam Stwosza szczegół, samego tamże jego przypadku bliższe może znaleźć wyświecenie; powziąłem zamiar udania się na miejsce w tych celach. Co mi się odszukać powiodło, zdam obecnie sprawę.

Że Neudoerffer jest najdawniejszym a współczesnym Stwosza biografem, z którego czerpali opowiadacze następni, nie będzie od rzeczy przywieźć tu w dosłownym przekładzie całe to jego o Stwoszu pierwotne podanie:

„Veit Stoss, rzeźbiarz.—Ten Veit Stoss pochodzący z Krakowa, był nietylko rzeźbiarzem (Bildhauer), ale takoż w rysunku, sztycharstwie i malarstwie biegłym. Poślubił tutaj pannę Barbarę Herzin, ku końcowi w starości ociemniał, doszedł do 95 lat wieku, wstrzymywał się od wina i żył bardzo umiarkowanie. Robót jego znajduje się wiele w Królestwie Polskiem. Dla króla portugalskiego wykonał Adama i Ewę wielkości przyrodzonéj z drzewa i farb, takiego kształtu i wejrzenia, jak gdyby byli żywi; ztąd też zachwyca się kto się im wpatrzy. Spadkobiercy nieboszczyka pana Krzysztofa Kohlera (a był on miłośnikiem i znawcą sztuki) posiadają ukrzyżowanego Chrystusa czyli krucyfix; jest tenże nieco dłuższy nad stopę, a cenił go pan Kohler na 40 florenów; z tego widzi się, co za umiejętność ten Stoss posiadał. R. 1504 wykonał ołtarz u Panny Maryi, przez Welsera fundowany. R. 1518 wykonał Pozdrowienie Anielskie wraz z drewnianym wyzłoconym pająkiem, co w kościele Św. Wawrzyńca jest zawieszony, a który jest fundacyi Antoniego Tuchera i kosztował go 593 floreny. W tymże roku,

w listopadzie wykonał w płaskorzeźbie snycerskiéj piękne Pozdrowienie Anielskie w kościele Panny Maryi, w przysionku obok wewnętrznych drzwi kościelnych, gdzie zawieszają tablice ku pamięci zmarłych; fundował to Konrad Herzen, a kosztowało go 30 florenów. Zrobił też tu w kościele Kaznodziejów piękny ołtarz, który do Straubingen przeniesiono. Roku 1526 zrobił krucyfix w chórze u Św. Sebalda będący, który roku 1542 dnia 18 lipca przed grobem św. Sebalda umieszczono, co przedtém stał w pośrodku kościoła ku ambonie; podobny krucyfix w kościele Św. Egidyusza i inny w kościele farnym Panny Maryi. (Ten krucyfix u św. Sebalda r. 1663 umieszczono w wielkim ołtarzu). Pokazywał mi sam wielką mappę, którą w wypukłéj rzeźbie w drzewie wykonał, wyobrażającą wyniosłe góry i w nizinach płynące rzeki, miasta i lasy. Umarł r. 1512". Mówiąc zaś o innym rzeźbiarzu Piotrze Flötnerze, zmarłym r. 1546, gdy wywodzi jego w sztuce zdolność, dodaje, iż gdyby żył Wit Stwosz, to byłby pewnie przyznał jego biegłość w perspektywie i rzeźbie, a powagą swą podniósłby go był pewno w cenie i znaczeniu. (Rękopism Jana Neudoerffera wydał naprzód J. Heller z przypiskami własnemi, w dziele Beiträge zur Kunst und Literatur Geschichte, Nürnberg 1822. Wydany powtórnie i dokładniéj osobno: „Johann Neudörffers Nachrichten von den vornehmsten Künstlern und Werkleuten so innerhalb hundert Jahren in Nürnberg gelebt haben 1546 nebst der Fortsetzung von Andreas Gulden 1660. Abgedruckt nach einer alten Handschrift in der Campeschen Sammlung. Nürnberg, 1828, 24°." Oba wydania dziś już rzadkie. Jan Neudoerffer urodził się r. 1497, umarł r. 1563).

Roku 1496 został Stwosz osiadłym norymbergskim mieszczaninem.

„1496 w sobotę po Nawróceniu św. Pawła. Wit Stoss 3 złote opłaty wnosi. W sobotę przed niedzielą Suchą." (Księga mieszczan i majstrów od r. 1462 do 1496, str. 226[b]).

Byłato opłata wstępna za prawo miejskie, zastosowana do mienia każdego mieszczana, jakto wykazuje w tejże księdze zapiska: „Takoż, kto posiada mienie wartości stu złotych, ten daje 2 złote za prawo miejskie

(Burgerrecht). Takoż, kto posiada więcéj nad sto złotych wartości, aż do złotych dwustu, ten daje 3 złote. Takoż, kto posiada więcéj nad dwieście złotych, aż do pięciuset złotych wartości, ten daje 5 złotych. Takoż, kto wyżéj nad pięćset złotych wartości posiada, ten daje złotych 10." (Taż księga, przed spisem, z sprawozdania starszych z roku 1470).

R. 1499 kupuje od miasta dom narożny za summę złotych reńskich 800.

„My Burmistrz i Rada miasta Norymbergi. Ponieważ Najjaśniejszy Najprzemożniejszy Xiążę i Pan Maxymilian Król Rzymski po wszystkie czasy zwiększyciel państwa etc. nasz Najmiłościwszy Pan, wszystkich w ogóle i w szczególności żydów i żydówki z naszego miasta Norymbergi wydalił (r. 1498), oraz tegoż żydostwa leżące i nieruchome dobra, mianowicie domy, dwory, bóżnicę i cmętarz, z onych przynależnościami nic nie wyłączając, przez szanownego a przezacnego Królewskiego Zawiadowcę w Norymberdze Pana Wolffa z Parsberga na Parsbergu, w moc i posiadanie jako Jego Królewskiéj Mości dobro własne królewskie zabrać, tudzież wszystko to w ogóle i w szczególności, z wszelkiemi przynależnościami na nas sposobem kupna przekazać polecił, a to wedle osnowy listownego zawiadomienia, oraz pod pieczęcią rzeczonego naszego Najmiłościwszego Pana Króla Rzymskiego, gdzie się o tém obszerniéj znajduje. Oświadczamy niniejszym listem, że na mocy takowéj przypadłości dom narożny wraz z zabudowaniem tylném i podwórcem pośrodkowym, z jednéj strony dotykający domu Grzegorza von Tils, gdzie teraz zamieszkuje Michał Mangersrewter, z drugiéj zaś domu Konntza Scharppffen stolarza, należący niegdyś do żyda Meyera Johel, ze światłemi schodami, drzwiami, wylewem, oraz innemi prawami i przynależnościami, w takiż sposób, w jaki pomieniony Meyer Johel niegdyś go miał i posiadał, naszemu obywatelowi Witowi Stossowi i wszystkim jego spadkobiercom, w sposób prawego kupna, według należytéj formy prawa na wolną i bezczynszową własność przedaliśmy. Nadto mocą niniejszego listu oświadczamy, że on i jego spadkobiercy takowe narożne domostwo wraz z zabudowaniem

tylném tudzież podworcem, posiadać, na pożytek obracać, i on wymieniony Wit Stoss za objęciem takowego postępować sobie z niém jak i kiedy mu się spodoba, wszelką moc i prawo miéć ma, bez żadnéj ze strony kogobądź przeszkody, ponieważ nam wyrażoną summę ośmiuset złotych reńskich (Reinisch Landswerung) w całości uiścił i wypłacił; z któréj uiszczenia my onegoż i jego spadkobierców, w imieniu naszém i naszych następców w zupełności kwitujemy i uwalniamy, przyrzekając mu i jego spadkobiercom tegoż kupna bronić i od wszelkich roszczeń w jakikolwiek sposób, pod jakimbądź pozorem i od kogobądź, które czy wkrótce czy po dłuższym czasie zajśćby mogły, zasłaniać, wdawać się, uwolnić i oswobodzić, bez wszelakiego jemu i jego spadkobiercom szkodzenia, wybiegu albo podejścia. Na dowód czego pieczęć naszą miejską do listu niniejszego przywiesić rozkazaliśmy. Dan w sobotę po Suchéj niedzieli, po Narodzeniu Chrystusa tysiąc cztérysta dziewiećdziesiąt dziewiątego roku". (List rzeczony, na pargaminie pisany, z zawieszoną u spodu pieczęcią miasta, zostawał ciągle w posiadaniu następnych aż dotąd właścicieli owego domu; za bytnością moją w Norymberdze, sprzedany mi został i jest w moich zbiorach).

Rok 1503 (akt miejskich Ks. 113).

„Quinta przed ś. Leonardem (9 listopada). Na prośbę Wita Stossa odpowiedzieć: że Jakób Banner nigdy ani wprzód, ani teraz niczego nie żądał; Rada zaś nie ma zwyczaju wikłać obywateli w processa.

„Sexta, Sobota przed ś. Otmarem. Pociągnąć Wita Stossa do tłumaczenia się z rewersu na dług Jakóba Bannera. Został przeto do Jana Römel zaproszony.

„Sobota po ś. Otmarze. Wita Stossa związać i pogrozić mu, osadzić go na kamień (aüff den Stain aufflassen, jakaś tortura), wypytywać go o wszelkie szczegóły, jak to rozporządził pan Antoni Tucher.

„Tertia po Ofiarowaniu P. Maryi (21 listopada). Wita Stossa jeszcze raz wybadywać łaskawie, jako panowie (Rady) postanowili.

„Quinta po Ofiarowaniu P. Maryi. Wita Stossa jeszcze raz badać, według tego jak pan Antoni Tucher zalecił. Takoż, czy on więcéj osób nie wskaże; posłać po tychże i wywiedzieć się. Pan Ulman Stromer.....

„Quinta ś. Klemensa. Witowi Stoss dać pokój aż do dalszego postępu sprawy.

„Tertia przed ś. Katarzyną. Biskupowi Wircburgskiemu i szlachetnemu panu (dem Edelman) względem Wita Stossa dać odpowiedź w przeciągu dni ośmiu. Burmistrz....

„W Sobotę przed ś. Andrzejem. Postanowiono Witowi Stossowi łaskę i miłosierdzie okazać, a sędziego do téj sprawy na poniedziałek wysadzić.

„Witt Stoss rzeźbiarz. Takoż Wita Stossa wielkiego kunsztmistrza i rzeźbiarza, za sfałszowanie listu, piętnowano na obu policzkach, w dniu ś. Barbary, dnia 4 grudnia roku 1503.“

Z przytoczonych zapisek widzimy szybkość postąpienia sobie rady miejskiéj w sprawie Stwosza. Wstawiał się znać za nim i żądał objaśnienia biskup würtzburgski i jakiś szlachcic, może przez tamtego przysłany; rada odłożyła odpowiedź do tygodnia, żeby w sądzie i karze nie mieć przeszkody: tymczasem téż wymierzyła karę.

Współczesna rękopiśmienna kronika Haintza Deichslera, tak tę całą sprawę wywodzi:

„1503, 4 grudnia. Takoż w poniedziałek, w dzień ś. Barbary piętnowano Wita Stossa na obydwu policzkach, a nigdy nikogo nie piętnowano tak lekko, a to za tysiąc trzysta złotych. Rzecz zaszła następującym sposobem: Wit Stoss składa tysiąc złotych u pewnego kupca na wspólny zysk i stratę, a kupiec ten zwał się Baner, przy ulicy świętego Jerzego w domu pod lwią głową; kupiec wypowiada mu wspólkę i zwraca pieniądze. Powinien on był zarobić mu w tym czasu przeciągu złotych trzysta. Wit snycerz powiedział wtedy Banerowi: „wskaż mi lepiéj kogo, u któregobym te pieniądze złożył, nie chcę bowiem żeby próżnowały.” Baner odsyła go do Startzedela, który one tysiąc trzysta złotych przyjmuje. Ale że ten Startzedel winien był złotych sześćset Banerowi, przeto Baner za dług swój odebrał one od niego, a Star-

tzedeł umknął i uniósł z sobą owe 1,300 złotych należące do snycerza Wita. Rozgniewany Wit przemyśla, jakimby sposobem mógł swe pieniądze od Banera odzyskać, będąc przez niego tak podstępnie, z umysłu i złośliwie naprowadzonym, a przez to własności swéj pozbawionym. W tym celu więc, podług owego własnoręcznego obligu Banera, pisze takiż rewers na dług zupełnie do obligu Banera podobny; znaśladował też pieczęć i na tymże rewersie wycisnął. I upomina się u Banera swoich 1300 złotych. Baner utrzymuje, iż mu one już oddał, Mistrz Wit przeciwnie, że mu ich jeszcze nie zwrócił, usiłując mu to dowieść własnoręcznym jego obligiem, który ma u siebie. Prawują się z sobą przez jakie dwa lata, aż w skutek tego spotkała go owa przygoda. I musiał przysięgać, że dopóki żyć będzie, nie wydali się z tego miasta, po wielu bardzo prośbach, bo chciano, żeby miał oczy wyłupione."

Okazuje się ztąd, że Stwosz przez dwóch szalbierzy został okradziony, że mając od głównego z nich rewers, dochodził na nim swéj należności, a nie mógł łatwo sprawiedliwości znaleźć, bo process lat dwa się ciągnął. Widać, że w końcu Banner do wszelkich środków skory, zaskarżył Stwosza przed radę miejską, iż okazywany przez niego rewers jest sfałszowany. Nie ulega zaprzeczeniu, że Stwosz miał najsłuszniejszą sprawę, że cudzego mienia nie łaknął, a tylko dochodził własnego; czyli podrabiał oblig, kiedy w istocie otrzymał był od dłużnika własnoręczny rewers, nietrudno takoż z całą bezstronnością uznać. Przecie panowie rady, każą go wiązać, więzić i brać na torturę, a nieodwłocznie winnym uznawszy, ledwie od wypalenia mu oczów uprosić się dają, skazują na piętnowanie na obu policzkach, przysięgą wymusiwszy, że się nie wydali z miasta, dopóki żyć będzie. Wszakże nie skończyła się na tém Stwosza z Bannerem sprawa, nie przeczuwali też panowie rady, jak sobie wiele nadal kłopotów ściągnęli. Miał wtedy Stwosz zięcia Norymbergczyka, niejakiego Grzegorza Trumera; a widać ztąd, że wyjeżdżając z Krakowa, zabrał był z sobą córkę, którą osiedliwszy się w Norymberdze za mąż tutaj za Niemca wydał. Trumer ten miał stosunki z dwoma pana-

mi a braćmi, księstwa Heskiego marszałkami dziedzicznymi, Hermanem i Teodorem Reitesel; w ich też następnie wszedł służbę, wydaliwszy się kryjomo z Norymbergi. Silny ich przychylnością, popierał uporczywie teścia przeciw Bannerowi sprawę, niemniéj przeciwko radzie miejskiéj wyrządzonéj krzywdy dochodził. Umiał przez panów tych pozyskać nawet dla siebie Reinharda hrabiego Hanau, a nadto samego księcia Wilhelma Landgrafa heskiego, i przychodziło do tego, że pod ostateczne tegoż księcia rozsądzenie stawić się strony miały. Wszystko to nabawiało radzie miejskiéj niemało frasunku i trudu, z całą też przebiegłością wykręcała się listownie, a powziąwszy do Stwosza wielką nienawiść, prześladowała go ciągle, wystawiała jako największego zbrodniarza i burzliwca bezbożnego.

Rok 1504.

„Hermanowi i Teodorowi Reiteselom braciom, dziedzicznym marszałkom Heskim.

Szanowni i zacni!— Iżeście pisali do nas względem waszego krewnego (verwandten) Grzegorza Trumera, przeto z załączoną supliką tegoż Trumera postąpiliśmy stosownie do waszego życzenia, i takową też obywatelowi naszemu Jakóbowi Baner, którego to w części się tyczy, poleciwszy okazać, odebraliśmy jego odpowiedź wedle załączonego tu pisma. Ponieważ spór czyli sprawa między Jakóbem Baner i Witem Stossem prowadzi się w naszym miejskim sądzie, i wniosek prawny dla nich jest już uczyniony; przeto należy, abyście mieli to na względzie, że nam nie wypada Jakóba Banera w jego prawném wystąpieniu wstrzymywać. Wit Stoss przed nadejściem waszego listu został wypuszczony z więzienia, lecz rzeczy co się jego tycze tak się obróciły, iż chociaż sprawa wisiała jeszcze między nim a Banerem, on zastanowiwszy się może nad skutkami fałszerstwa i przestępstwa swojego, o którém na szczęście dlaniego nie wiedzieliśmy wcale, umknął do pewnego klasztoru, z naszéj strony, o czém stale twierdzimy, w niczém od nikogo nieuciśniony, i jak przekonani jesteśmy od nikogo też ztąd nieobrażony; lecz jak można wnosić dla tego,

aby tam bez przeszkody zostając, mógł się ze stroną przeciwną, tojest Banerem, mimo wyroku, który w naszym miejskim sądzie zapadnie, co do kosztów sądowych układać. Do których to układów tak usilnie starał się Jakóba Banera nakłonić, że aż napowrót dobrowolnie z klasztoru powrócił. Także być może, iż sądził, jakoby się z nim już sprawa skończyła, i że on już w téj mierze bezpiecznym być może. Lecz do nas z urzędu, jak się tego domyślać możecie, należało, żeby ta rzecz nie poszła bezkarnie, ponieważ Stoss przez podstęp i oszukańswo fałszywy rewers na tysiąc dwieście i kilka złotych, jakoby one był mu Baner winien, własną ręką napisał, nieco podobnie do pisma Banera, a przytém odcisnąwszy z innego listu pieczęć tegoż Banera, oraz subtelną sztuką drugą do niéj podobną dorobiwszy, opieczętował nią ów rewers fałszywy, następnie zaś tak w zakresie jako i po za obrębem prawa otwarcie wystąpił, używając go jako własnoręcznego pisma i pieczęci Banera; a to według jego własnego zeznania, które uczynił, gdy go wzięto na męki, prócz tego, że i rzeczony rewers mamy jeszcze pod ręką, a złoczyństwo jest jawném. Z tego powodu kazaliśmy go wziąć do naszego więzienia, i tylko na usilne prośby w drodze szczególnéj łaski, za takie fałszerstwo daliśmy go publicznie ukarać na ciele, jakkolwiek nietylko ucierpieć cieleśnie, ale i gardło utracić zasłużył. Z téj zatém przyczyny spodziewamy się po was, jak jest sprawiedliwo, że w tym przedmiocie nikogo nie będziecie trudzić, lub o nas cokolwiek źle myśléć albo téż przedsiębrać; bo choćby nawet nie było takiéj odpowiedzi z naszéj strony, nie widzimy, dlaczegobyśmy nie mieli pozostać z sobą w przyjaznem usposobieniu. Jeżeliby zaś Trumer lub ktobądź z jego strony, zamierzał nie ustępować na wezwanie naszego obywatela Jakóba Banera, takowemu stosownie do jego życzenia wszelkie słuszne środki do prowadzenia sprawy przeciwko temuż dostarczymy i one mu ułatwimy. Przyczem gotowi jesteśmy świadczyć wam wszelkie usługi. Dan nazajutrz po Nowym roku 1504.“ (Księga listów z lat 1503—1504, Nr. 51 str. 184[b]).

„Hermanowi i Teodorowi Reiteselom braciom, dziedzicznym marszałkom Heskim.

Szanowni i zacni! Odpowiedź waszą, sprawy obywatela naszego Jakóba Banera a w części i Grzegorza Trumera dotyczącą, wraz z załączoném pismem tegoż Trumera do Waszmościów odczytaliśmy i takowe rzeczonemu obywatelowi naszemu Banerowi poleciliśmy okazać. Ten ostatni, jak się przekonacie z załączonego tu pisma, obstaje przy pierwszéj swéj nadesłanéj wam odpowiedzi. Ponieważ zaś piérwsza jego odpowiedź, jak wam jest wiadomo, objawia w tym względzie stały zamiar wystąpienia prawnego, raczcie przeto uważyć, iż nam o to nalegać nie wypada. Wszakże jak wprzódy, tak téż i teraz jesteśmy zawsze gotowi wszelkich potrzebnych i przynależnych środków prawowania się dostarczyć i ułatwić. Jako w poprzednim liście dosyć wykazaliśmy niegodziwe a kary godne fałszerstwo i przestępstwo Wita Stossa teścia Trumera, iż to już jasno dostrzedz było można, tak téż niepodobna jest w niczém okazać, żeby ktośkolwiek z waszych bez jawnego wymiaru prawa przez nas był uciśniony albo pokrzywdzony; przeciwnie, zważając na fałszywe przestępstwo Wita Stossa, bardzo nań umiarkowaną wymierzyliśmy karę, gdyż za takowe sprawiedliwie w taki sposób mogliśmy go ukarać, iżby nigdy więcéj podobnego fałszu nie był wstanie spełniać. Jednak Waszmoście i Grzegorz Trumer w obecnym liście swoim, niezbadawszy rzeczy, ujmujecie się za Witem Stossem. On zaś nam pod przysięgą oświadczył, że ani o tém piśmie, ani o całym tym postępku nic wcale nie wié, oraz iż na to z jego strony przyzwolenia nie było; daléj i to także, jako zięć jego Trumer zamierza wymusić na nim, żeby go do udziału ze sobą przypuścił, że mu to wyraźnie oświadczył i napisał, żeby się sam względem tego przed nami sprawił. Z tego przeto powodu, ponieważ Wit Stoss to wyznaje, że nie jest nic zięciowi swemu Trumerowi dłużny, i że nic istotnie od niego nie żądał, sami to Waszmość pojmiecie, że żądania Trumera są wcale niewczesne. Chociaż bowiem Jakób Baner jest niejako dłużnym Witowi Stossowi, gdy wszakże, jak nam z wiarogodnych źródeł wiadomo, ani z prawa ani prywatnie nic jeszcze nie zaszło, nie wypada Trumerowi bez przyzwolenia Wita Stossa swojego teścia, ani domagać się ani podejmować tego,

dopóki w porządku prawa tego nie uzyska, czego dotąd nie było. Upraszamy więc znowu abyście Waszmość Grzegorza Trumera od jego niesłusznych wymagań odwiedli, oraz nadal sami siebie przeciwko nam uprzedzać się nie dopuszczali. Przyczém jak wyżéj, w gotowości i chęci jesteśmy, Grzegorzowi Trumerowi wszelkie słuszne środki do porządnego prowadzenia sprawy przeciw naszemu obywatelowi Jakóbowi Baner i Witowi Stoss w sądzie naszym zapewnić, tego bez domagania się nawet dopuścić i z naszéj strony dopomódz; wszystko zaś w chęci zasłużenia się Waszmościom. Dan 3-a po Nawróceniu ś. Pawła. 1504." (30 stycznia. Taż kięga, str. 213[b]).

„Na dwukrotne piśmienne podania Wita Stossa odmówiono temuż glejtu, z przyczyny iż przysięgłszy przez cały ciąg życia z tego miasta nie wydalać się, obowiązanie to złamał. Działo się *secunda* po Wszystkich Świętych." (d. 4 listopada. Księga Rady G. str. 72[a]).

Rok 1505.

„Na pismo i żądanie miłościwego nam pana Rainharda hrabiego na Hanau, z dostatecznych i ważnych powodów odpowiedziano piśmiennie, że przez wzgląd na Jego Wysokość dozwala się, by w oznaczonym dniu nastąpiło przeciw Grzegorzowi Trumer jego pośrednictwo i przesłuchanie; przecie pod warunkiem, że wysłańcy Rady tam i napowrót przez kraje Jego Wysokości zabezpieczeni zostaną glejtem i że przez cały ten czas Trumer od nieprzyjacielskich kroków powstrzyma się. Działo się w sobotę po niedzieli Białéj" (8 marca. Księga jak wyżéj. Str. 108 [b]).

„Na pełném zebraniu Rady w skutek żądania, które względem teścia swego Wita Stossa zaniósł do szanownéj Rady Grzegórz Trumer, pobudziwszy przytém Hermana i Teodora Reiteselów dziedzicznych marszałków Księztwa Heskiego, żeby się za nim ujęli i za nim pisali; postanowiono całą tę rzecz miłościwemu panu naszemu Landgrafowi Heskiemu piśmiennie wyjawić, prosząc Jego Książęcą Mość o niezwłoczny wymiar sprawiedliwości.

Jakoż się stało i było zaregestrowane w księdze listów. Działo się *tertia* po ś. Ambrożym. 1505" (8 kwietnia. Księga jak wyżéj. Str. 122 b.).

„Do pana Wilhelma Landgrafa Hesskiego.

Miłościwy panie! Zeszłego czasu za karogodny występek i spełnione fałszerstwo kazaliśmy pewnego naszego obywatela nazwiskiem Wit Stoss, jak nam z urzędu przystało, w publiczném naszém więzieniu osadzić i jedynie tylko na mocne wstawienia się w drodze szczególnéj łaski (bowiem nietylko na ciele ucierpieć, ale i gardło utracić zasłużył) dotknąwszy go bardzo umiarkowaną karą publiczną, znowu z więzienia wypuścić, przecie skazaliśmy go na dożywotne w mieście naszém Norymbergu pozostanie. Z tego powodu zięć onego nazwiskiem Grzegórz Trumer nasz nieurlopowany i nieposłuszny obywatel przeciwko nam i przeciw innemu naszemu obywatelowi Jakóbowi Baner zwanemu, przeciw któremu ów Wit Stoss teść rzeczonego Trumera przed naszym miejskim sądem do tłumaczenia się stawał, z nieuzasadnioną wystąpił skargą i z onéj również przyczyny szanownych i zacnych Hermana, oraz Teodora Reiteselów, dziedzicznych marszałków Waszéj Książęcéj Mości Księztwa Heskiego, u których on teraz zostaje na służbie, nakłonił do tego, że za nim tu do nas już dwakroć pisali, wskazując nam jego żądania i pretensye, oraz prosząc między innemi, aby stanowcze rozstrzygnienie téj rzeczy, jako wyrażono w témże piśmie, oddane było Waszéj Książęcéj Mości. Na to za każdym razem daliśmy onym uczciwą odpowiedź i objaśnienie, oświadczając się gotowymi na wszystko, w nadziei, iż oni w ten sposób dadzą się nam nakłonić i onego sługę swojego (knecht) Grzegorza Trumera od jego nieuzasadnionych roszczeń odwiodą. Z tego więc powodu uważaliśmy za rzecz niepotrzebną z naszego względem niego postępku się usprawiedliwiać i W. X. Mość tém zatrudniać. Ale następnie zaszłe okoliczności zmieniły nasz ten zamysł, gdyż późniéj Trumer obywatelowi naszemu Jakóbowi Baner jawne zawezwanie i protestacyę nadesłał, w czém i nas takoż pociągnął. Takoż potém pomieniony Herman Reitesel ze swéj strony prosił za Trumerem szlache-

tnego i miłościwego pana Reinharda hrabiego na Hanau i pana na Munzenbergu, iż gdy wstawienie się w sprawie sługi swego Trumera, które do nas po dwakroć wnosił, bezowocném zawsze się okazało, aby przeto Jego Mość hrabia naszych mień nadal nie glejtował, nie zasłaniał i nie zabezpieczał, ale jego słudze onemu i pomocnikom tegoż najłaskawiéj dozwolił w krajach Jego Mości gościńców i dróg przeciwko nam i naszym zażywać. Niemniéj gdy obok tegoż samego Reitesela listu, który nam miłościwy nasz pan z Hanau nadesłał, i przytém nas skłaniał do wejścia z Trummerem w dobrowolną ugodę, na co my téż przez cześć dla Jego Wysokości zezwoliliśmy i to objawiliśmy na piśmie, a na to dotychczas nie mamy odpowiedzi. Otrzymawszy atoli wiadomość, że miłościwy pan nasz z Hanau temi czasy wydalił się z kraju, sądzimy, że ani te ugody przedsiębrane, ani dzień do nich wyznaczony nie będzie; co téż i nam byłoby przykre i uciążliwe, wystrzegać się od Trumera i jego stronników niebezpieczeństwa i szkody. Ale, że niczego nie pragniemy tak bardzo, jak żeby przesłuchano żądań Grzegorza Trumera i naszéj na nie odpowiedzi, mając nadzieję, że jego wymaganiom zdołamy się na słusznéj zasadzie oprzéć i zdać sprawę z naszego postępku; jakkolwiek więc nie mamy obowiązku po za obrębem naszéj jurysdykcyi sądowéj nikomu się sprawiać, jednak ponieważ wiemy, że Wasza Książęca Mość, jako wielce roztropny i przezacny Książę Swiętego Państwa, sprawiedliwość miłujesz, i nie chcesz, aby w swém państwie i krajach kogobądź jaka krzywda spotkać miała, żeby więc i W. X. Mość i rzeczeni Reiteselowie W. X. M. dziedziczni marszałkowie uznali, że my, jak to nam Trumer niesłusznie zarzuca, nie zamyślamy wzbraniać się albo wywijać od rozsądzenia, które nam zaproponował; przeto takowe stanowcze rozsądzenie się z nim przyjmujemy, oświadczając przytém, że gdyby Trumer albo ktokolwiek od niego mniemał, żeśmy kiedykolwiek przeciw niemu lub jego teściowi Witowi Stoss cokolwiek niesłusznie poczynili i z tego powodu nie zgadzamy się na zawezwanie i wyrzeczenie w téj sprawie, chcemy się zatém przed W. X. Mością, jako przed tychże Reite-

selów Księciem Panującym w należyty sposób sądowo rozprawić. Takoż i obywatel nasz Jakób Baner oświadczył gotowość za nas jako prawą swą zwierzchność, prawem przeciwko Trummerowi działać, jakeśmy już o tém W. X. Mci marszałkom dziedzicznym Reiteselom pisali. Powtarzamy to jeszcze, ofiarując się nie wzbraniać mu dochodzenia téj rzeczy prawnego. Niechaj Trummer na to się zgodzi, jako jest rzecz przyzwoita, a my z chęcią i pośpiechem stosownym do jego życzenia, jemu lub jego zastępcy skutecznie w tém dopomożemy. Zaczém z uległością prosimy, abyś W. X. Mość pomienionego W. X. Mości marszałka dziedzicznego Reitesela raczył nakłonić do tego, iżby sługa jego Trummer zgodził się na stanowcze przez W. X. Mość rozstrzygnięcie téj sprawy, oraz abyś W. X. Mość na to obydwom stronom raczył wyznaczyć i ogłosić termin; skoro zaś to nastąpi, rzeczonym Reiteselowi i Trummerowi zapowiedzieć, aby przez ten czas od wszelkiego działania czyli gwałtów przeciwko nam, oraz naszym powstrzymywali się. A my z naszéj strony względem niego spokojnie się też zachowamy. Albowiem W. X. Mość pojmujesz zapewne, do czego nas ostateczność przywiodła. W czém W. X. Mość raczy się nam łaskawie okazać, a być nam zawsze miłościwym panem, czego się najuniżeniéj spodziewamy, pragnąc to sobie u W. X. Mci najgłębszą uległością wysłużyć. Prosimy zarazem o piśmienną W. X. Mci odpowiedź przez tegoż samego posłańca. Dan we środę po drugiéj niedzieli po Wielkiéjnocy. 1505". (D. 9 kwietnia. Księga Listów z lat 1504—1505. N. 54. Str. 299 b).

„Hermanowi i Teodorowi Reiteselom braciom, dziedzicznym marszałkom Hesskim. Szanowni i zacni! Co się tyczy żądań i pretensyi sługi waszego Trummera, nieposłusznego i nieurlopowanego obywatela naszego, które przeciwko nam i obywatelowi naszemu Jakóbowi Baner wystosował, o czém do nas już dwakroć pisaliście, i za każdym razem mieliście od nas należytą odpowiedź, a to w przekonaniu, że się zaspokoicie naszém oświadczeniem i sługę swego Grzegorza Trummer odwiedziecie od popierania nieuzasadnionych z jego strony domagań;

gdy okoliczności, które później zaszły, zmieniły nasze pod tym względem zdanie, piszemy zarazem do Jaśnie Oświeconego Księcia Wilhelma Landgrafa Hesskiego naszego miłościwego pana, jak się o tém z załączonego tu odpisu przekonać możecie. Żeby więc przeciw waszemu słudze ostatecznie i stanowcze rozstrzygnięcie od Jego X. Mości otrzymać, jakośmy się tam oświadczyli, spodziewamy się, że skłonicie Trummera, aby się zgodził na takowe sprawy rozstrzygnienie, starał się o przyjęcie jéj na się przez J. X. Mość i o wyznaczenie na to dnia stosownego upraszał; spokojnie się też przez ten czas względem nas zachowując, oraz powstrzymując się od wszelakich gwałtów i występowania przeciwko nam w czynie, jako i my z naszéj strony spokojnie i z wszelką uczciwością zachowywać się względem nich zamierzamy. Na co przez niniejszego naszego wysłańca piśmiennéj odpowiedzi waszéj czekamy. Dan w środę po drugiéj niedzieli po Wielkiéjnocy, roku 1505. (Dnia 9 kwietnia. Tamże. Str. 301).

„Panu Reinhardowi hrabiemu na Hanau, a pod niebytność jego Namiestnikowi.

Miłościwy Panie! Na prośbę szanownego i zacnego Hermana Reitesela dziedzicznego marszałka w Hessyi, pisałeś Wasza Miłość do nas za jego sługą, nieposłusznym i nieurlopowanym obywatelem naszym Grzegorzem Trumerem, żądając, abyśmy przyjęli W. Miłości pośrednictwo w téj sprawie. Przez uszanowanie dla W. Miłości odpisaliśmy, zgadzając się na to, lecz żadnéj dotychczas w tym względzie odpowiedzi nie mamy. Ale z rozmowy, jaką jeden z przyjaciół naszéj Rady miał ostatniemi czasy z Namiestnikiem W. Miłości w Frankfurcie, w drugą niedzielę po Wielkiéjnocy, który mu powiadał, jakiego rodzaju i pod jakiemi zapewne warunkami Trumer będzie chciał prowadzić układy, oraz, że W. Miłość obecnie nie u siebie, lecz za granicą przebywasz; wnosimy, że ono pośrednictwo i wysłuchanie stron nie będą mieć miejsca i że dzień na to wyznaczonym nie będzie. A że dla nas byłoby uciążliwém i przykrém, zabezpieczać się przeciw podejściom lub pokrzywdzeniu od Trumera i jego stronników, jak już w różny

sposób przestrzegano nas o tém; zmuszeni przeto byliśmy Jaśnie Oświeconego Księcia i Pana Wilhelma Landgrafa Hesskiego naszego pana miłościwego, jako Reiteselów Landfürsta, upraszać o stanowcze roszczonych przez Trumera pretensyj rozstrzygnienie; a to w tym celu, aby Wasza Miłość oraz każdy inny przekonać się mógł, że my nie mamy zamiaru, jak to nam Trumer i jego stronnicy niesłusznie zarzucają, wzbraniać się lub wywijać od projektowanego przez nich rozsądzenia téj sprawy. Jakoż uczyniliśmy to przez tego tu posłańca naszego, i Reiteselom co się tyczy sprawy pomienionego ich sługi odpisaliśmy w sposób jak wyżéj, będąc pewni, że nam tego Wasza Miłość za złe nie poczytasz, i że raczysz nam być zawsze miłościwym panem. Przyczém znajdziesz nas Wasza Miłość w każdym czasie gotowymi spełniać miłe nam jego rozkazy i służyć Mu ochotnie. Dan w środę po drugiéj niedzieli po Wielkiéjnocy, r. 1505. (D. 9 kwietnia. Tamże. Str. 301 b.).

„Do naszego obywatela Wita Stossa.

Wicie Stossu! Przesłuchaliśmy odczytania listu twego, pod datą we wtorek po zeszłéj niedzieli czwartéj po Wielkiéjnocy, oraz jako w tymże wzmiankujesz o rzeczach między obywatelem naszym Jakóbem Banerem a tobą, i co cię z tego powodu spotkało. W czém tak wykroczyłeś, że nietylko ucierpieć na ciele, ale i życie utracić zasłużyłeś. Wszelako okazaliśmy ci łaskę i miłosierdzie; skutkiem zaś pomienionego przestępstwa twojego nałożyliśmy na ciebie na nowo pewne zaprzysiężone obowiązki, których oraz poprzedniéj obywatelskiéj powinności jakoś dopełnił, to nam i tobie wiadomo. Z téj zatém przyczyny, tudzież z innych dobrych i słusznych powodów, nie wypada nam cię zwalniać od obywatelstwa (deins bürgerrechtens), chociażbyśmy ciebie zatrzymywać nie chcieli. Dan w piątek post Vocem Jucunditatis 1505 r. „(29 kwietnia. Taż księga. Str. 347a)."

Zdaje się ztąd, że Stwosz szukał środków do wydobycia się z Norymbergi i prosił o uwolnienie go z obywatelstwa miejskiego, co mu odmówiono. Wkrótce kryjomo wyjechał, lecz musząc wracać dla sprawy z Banerem, znalazł trudności i na więzienie został skazany.

„Jan Mülbecker pisarz Rady otrzymał polecenie, by żonę Wita Stossa kryjomo od siebie namawiał, iżby się do Prześwietnéj Rady odwołała z prośbą o wydanie jéj mężowi glejtu do przesłuchania; co jeżeli uczyni i upraszać będzie, glejt na dni kilka wedle uznania ma być wydany. Działo się tercia po ś. Zofii". (D. 20 maja 1505. Księga Rady G. Str. 132 b).

„Witowi Stoss na prośbę jego żony odpisano, że jeźli w miesiąc następny stawić się zechce, otrzyma glejt na dni sześć, na co Jakób Baner przyzwolił. Działo się sexta po ś. Urbanie". (D. 30 maja 1505. Tamże. Str. 136 a).

„Do Wita Stossa.

Wicie Stossu! Przed temi dniami pisaleś do nas o glejt i żądając uwolnienia od obywatelstwa miejskiego, na co wiadomo ci jest. jaką za każdym razem odebrałeś od nas odpowiedź. Ale teraz będąc usilnie proszeni przez twoją żonę, ażeby cię do przesłuchania ubezpieczyć glejtem, nie chcemy odmawiać takowego jéj żądania. Skoro więc w przeciągu czterech tygodni tu do nas do Norymbergi przybędziesz. otrzymasz u nas i od nas, za nas i za naszych, na jakie dni sześć glejt i zabezpieczenie zupełne. Nie chcielibyśmy cię przetrzymywać. Dan pod pieczęcią Grzegorza Holtzschuchera naszego starszego burmistrza. Działo się w poniedziałek po ś. Petronelli 1505". (D. 2 czerwca. Tamże).

„Gdy Wit Stoss na wstawienie się żony glejt do powrotu uzyskał, a w usprawiedliwieniu się, co go do wydalenia się ztąd spowodowało, był przesłuchany, postanowiono: Iż jeżeli rzeczony Wit Stoss wedle przyrzeczenia swojego podda się karze obywatelskiéj i słuszność poniesionéj wprzódy przyzna, to mu Rada powrocić dozwoli. Gdy mu to objawione zostało, przyjął to wdzięcznie i poddał się karze; lecz żądał zarazem, aby dla załatwienia czynności, w jakie z powodu Jakóba Banera wszedł z niektóremi panami i szlachtą, oraz dla zaspokojenia długów, jakie zaciągnął, jednoroczna zwłoka na wydalenie się została mu udzielona. Należy przeto przedłożyć to Banerowi, a jeżeli tenże nie będzie miał nic przeciwko temu, odpowiedzieć Witowi Stossowi, iż

nie ma potrzeby jednorocznéj udzielać mu zwłoki. Gdyby wszelako z powyżéj wyłożonych powodów chciał wydalić się niezwłocznie, pozwala mu Rada na trzy lub cztery tygodnie, byle przyobiecał, że przeciw Banerowi ani słowy ani uczynkiem, wyjąwszy szukania pośrednictwa polubownego, nic przedsiębrać i działać nie będzie i w niczém mu nie ubliży. Również będzie winien przed Bogiem i świętymi zaprzysiądz, że dotrzyma pierwszą nań nałożoną karę, przez ciąg życia swego bez przyzwolenia Rady nie wydalania się z miasta tego. A za przełamanie poprzedniéj jego przysięgi nową włożono nań karę, aby cztery tygodnie odsiedział na wieży. Dano mu na to zwłokę aż do ś. Jakóba. Działo się w sobotę przed ś. Witem". (D. 14 czerwca. Księga jak wyżéj. Str. 143 a).

„Wit Stoss, jak mu to w zeszłą sobotę nałożono, przyjął i przyrzekł w obec pana Konrada Imhof i Stefana Volckmer. Działo się secunda po ś. Wicie". (D. 16 czerwca. Taż księga. Str. 143 b).

„Na dalsze domagania się dozwolono Witowi Stoss dla załatwienia swych przedsięwzięć w interesie przeciwko Jakóbowi Banerowi wydalić się na sześć tygodni. Quarta po ś. Wicie. 1505. (Tamże).

„Witowi Stoss odmówiono zwłoki co do poniesienia kary nałożonéj na niego(wysiedzenia wieży); lecz według przyrzeczenia ma ją dopełnić. Quinta w wilię ś. Jakóba". Taż księga. Str. 156 a).

Rok 1506.

„Jeżeli Witowi Stoss trafi się gdzie w miejscach postronnych robota, o tém zawiadomić może Radę, która mu stosownie do okoliczności i czasu pozwoli lub nie, po za obrębem miasta zarabiać. Działo się w sobotę po ś. Agnieszce". (D. 24 stycznia. Taż księga. Str. 205 b).

„Takoż Witowi Stoss dopuszczono, teraźniejszy zapustny jarmark frankfurtski z robotami swemi odwiedzić. Działo się w sobotę Tomasza z Akwinu". (7 marca. Téjże księgi. Str. 220 a).

„Takoż gdy Wit Stoss w pewnéj suplice swojéj upraszał, ażeby od obostrzenia, którém, żeby bez wiedzy burmistrza nie mógł wydalać się z miasta, ukarany został, był uwolniony, tak, iżby odtąd wewnątrz i na zewnątrz wedle potrzeby wolno mu było zarobkować, postanowiono odmówić mu tego żądania, oraz odpowiedzieć, że Rada utrzymuje nadal to rozporządzenie, które przedtém tylko w drodze łaski względem niego wydane zostało. Powtóre, niezgodne jest z widokami Rady dozwolić mu, żeby wedle swego żądania umieścił obraz pamiątkowy (ein Gedechtnissbild) u jednego słupa w kościele ś. Sebalda. Nadto Rada słusznie niezadowolona z mów, które prowadzi, i z tego co w suplice swéj twierdzi, jakoby nic nie wykroczył i w niczém nie zgrzeszył, lecz że postępki jego były sprawiedliwe i t. p. Przeto Rada wydaje nakaz, aby już nadal mów podobnych zaniechał, iżby przeto nie spowodował Rady do środków innych przeciw niemu. Działo się sexta po niedzieli Głuchéj". (20 marca. Taż księga. Str. 222^{b} — 223^{a}).

Do tych wszystkich Stwosza prześladowań i ucisków, z sprawy z Banerem wynikłych, przyłączyły się wkrótce nowe. Podjął się on był różnych robót około mostów miejskich i takowe wykonał; gdy zażądał za nie uiszczenia umówionéj zapłaty, Rada miejska nietylko że mu jéj odmawiała, ale jeszcze w nagrodę do podziemnego więzienia wtrąciła.

„Ponieważ Wit Stoss zaniósł szanownéj Radzie i poczynił żądania jak następuje: Naprzód. Gdy Rada ubiegłego roku kontrakt i ugodę z nim zawarła w ten sposób: iż gdy on wielkie dzieło mostów, które sobie zamówił, do skutku przywiedzie, to Rada przez ciąg jego życia płacić mu będzie po złotych półtorasta; że zaś on pomienione dzieło przed ośmią laty wykończył, a Rada mu dotychczas za nie nic nie dała, prosi przeto w myśl kontraktu o uiszczenie mu za lata przeszłe wypłaty, i aby to już odtąd nadal zawsze przestrzegane było.

Powtóre. Za drugie mniejsze dzieło mostu wykonanego dla Rady, z którego taż była zadowolona, i onemu złotych 34 za takowe przyrzekła, żeby mu je zapłacono. Jeżeli zaś Rada ma wątpliwość, czyli to dzieło

jest należycie zrobione i do użytku przydatne, niechaj z owemi 1200 złotemi, jemu za tamto wielkie dzieło z ośmiu lat zatrzymanemi, złożone zostaną. A jeżeli się następnie okaże, że dzieło jest dobre, niech nastąpi wypłata i nadal niech już dotrzymują ugody; w razie przeciwnym niech Rada pieniądze swoje napowrót odbierze. Tak samo co do téj mniejszéj roboty; jeżeli się Radzie podobała, niechaj 34 złotych wypłaci, albo rzeczone dzieło jemu zwrócone będzie i żeby z niém mógł rozporządzić wedle swéj woli.

Po trzecie. Zeszłego roku, na rozkaz pana Pawła Volckamer i pana Ulrycha Gruntherr wystawił słup (ein Pfeil) w Rednicy (rzece) przy kamieniu i od uszkodzenia zabezpieczył, za co od tych panów przyzwoita nagroda została mu przyrzeczoną; żąda za to 50 złotych, które sprawiedliwie zarobił.

Po czwarte. Sprowadził tu dobry wóz polski (polnischen wagen), który Seitz Pfintzing budowniczy (miejski † 1514) do rąk własnych odebrał; żąda za tenże złotych 10.

Na takowe podanie Stossa postanowiono mu odpowiedzieć, że Rada z tego żądania wielce jest niezadowolona. Albowiem chociaż w skutek jego przechwałek panowie starsi o to większe dzieło zawarli byli z nim pewną ugodę, która dotąd istnieje na piśmie; gdy on zobowiązaniom swoim wedle opisania wcale zadosyć nie uczynił, tak, jakby tego wcale nie umiał; przeto téż Rada nie czuje się być mu za to dłużną. Co do owéj drugiéj mniejszéj roboty nie przyznaje, aby mu za nią tak wiele przyobiecano, lecz tylko 24 złote, które z długu zaciągniętego od Rady mają mu być odtrącone. Jeżeli wszakże, jak to oświadczył, potrafi okazać, że mu 34 złote przyrzeczone zostały, to odtrąci mu się tyleż. Co do trzeciego: żądania jego za ów słup są zbyteczne i za wielkie; jednakże, lubo mu żadnéj oznaczonéj summy za to nie przyobiecano, wszelako Rada odtrąci mu za to 10 złotych, to więcéj aniżeli dosyć. Takoż co się czwartego, tojest polskiego wozu dotyczy, Rada od Pfintzinga się wywié; a jeżeli jest tak jak podaje, to się z nim co do tego ułoży. Gdyby zaś na tém wszystkiém po-

przestawać nie chciał i na wezwanie Rady nie chciał się ułożyć, to Rada stanie przeciwko niemu i wytoczy o to z nim sprawę przed Radę w Windshain lub Weissenburgu, których gminy są wolne. Działo się w obecności pana Stefana Volkmer i Kaspra Nutzela, quinta po Zwiastowaniu Maryi Panny.

Takoż w następny piątek Wit Stoss na wydaną odpowiedź wniósł znowu, że onéj wielkiéj roboty własnym dokonał kosztem, wyłożywszy więcéj nad trzydzieści złotych za sam tu wyrób z żelaza, oprócz płacy robotników, którą od siebie uiścił, gdy Rada same tylko drzewo dostarczyła; że za to przyrzeczono mu naówczas 25 złotych. Ale za swą pracę i sztukę dopomina się przyrzeczonych 1200 złotych, a nadto wedle opisu po 200 złotych corocznie. W razie przeciwnym, żeby Rada nikomu tego dzieła nie dała obejrzéć i więcéj go nie używała, lecz natychmiast poleciła je obalić i zniszczyć. Co do drugiego: za mniejsze dzieło miał sobie przyrzeczone złotych 24 na koszt i ryzyko Rady, tych się więc za to dzieło dopomina, a takoż żeby zostało obalone i zniszczone, i żeby go nadal nie używano, ani nikomu obejrzéć nie dawano. Albo żeby mu na to odpowiedziano a dopuszczono, bo mógł u Jego królewskiéj Mości, Falegrafa lub gdzieindziéj to dzieło zbyć, gdyż on potrafi je użyć wedle swéj wartości. Po trzecie, co się tyczy słupa, odwołuje się do szanownéj Rady, iż gdy wszyscy rzemieślnicy jéj, oraz wszyscy inni o tém już byli zwątpili, on tymczasem uchronił Radę od wielkich kosztów, bo około 700 złotych, a przez udzieloną mu od Boga biegłość w swéj sztuce tak ów słup urządził, że już na wieki nie może być uszkodzony. Za przykład stawia jakiegoś majstra zostającego w służbie w Augsburgu, któremu za samą tylko poradę względem pewnéj roboty w Ulmie, 50 złotych rocznéj pensyi zapewnione zostały. Przystaje na to z ochotą, żeby tę jego robotę jaki majster z Ulmu albo Augsburga obejrzał, bo tu nie ma żadnego majstra, któryby ją potrafił ocenić, a żąda za to 50 złotych, które on i daleko więcéj przytém zasłużył. Co wreszcie do czwartego, tojest do powozu:

że przystawi Lejtza Pfinzinga, który zna dobrze ten interes.

Na to wszystko postanowiono taką dać odpowiedź. Co do wielkiego dzieła, że mu owe 25 złotych zapłaci się; ale ponieważ się próżno chełpił, a nie dotrzymał tego, na co się był zobowiązał piśmiennie, przeto Rada nie jest mu dłużna, co względem niego była przyzwoliła. Wszelako Rada uczyni mu zadość i każe dzieło w jego obecności rozwalić i zupełnie zniszczyć. Co się drugiéj roboty dotyczy, Rada nie przyznaje się wcale, żeby mu od niéj kiedykolwiek 34 złote przyrzeczone zostały; a ponieważ i sam żadnego na to nie ma dowodu, przeto Rada w tém mu zaradzić nie może i nie jest mu nic dłużną, wszakże i to też dzieło każe rozebrać. Co się tyczy słupa, jakkolwiek za to Rada nic mu nie jest winna i żadnéj w tym względzie nie miał od niéj obietnicy, wszelako za swoje trudy otrzyma 10 złotych od Rady. Toż samo co się wozu dotyczy, po zbadaniu rzeczy postąpioném będzie, w nadziei, iż on na tém poprzestanie. W przeciwnym razie Rada oświadcza gotowość, jak przedtém w dwóch miastach: Weissenburgu lub Windsheimie rozprawić się sądownie, byle tylko jako posłuszny obywatel poprzestał już na tém i pogróżkom dał pokój, czego się po nim ze względu na jego powinność obywatelską spodziewa.

A ponieważ Wit Stoss przy pierwszych swoich żądaniach obstawał, mówiąc, że nie zgadza się na żadne z dwóch miast wymienionych przez Radę, lecz że do Jego Królewskiéj Mości poniesie swą skargę i tam będzie szukał sposobu, a nadto gdy przed panami Ulman Stromer i innymi dał się słyszéć, że nie zaniecha téj rzeczy, że potrafi się o to użalić i ująć; przeto postanowiono pochwycić go i do więzienia do lochu wtrącić, co też się stało. Tegoż dnia. (D. 26 marca. Taż księga Rady G. Str. 231 a).

„Wit Stoss wsadzony został do lochu z przyczyny, że do Rady zaniósł niesłuszne żądania, a gdy im nie chciano zadosyć uczynić, że chciał do Jego Królewskiéj Mości zanieść skargę". (Quinta po Zwiastowaniu Maryi Panny. Tamże).

„Szanowni, przezorni, mądrzy, miłościwi panowie! W skutek ostatniéj Waszéj odpowiedzi z piątku po Zwiastowaniu Maryi Panny, dotyczącéj wytoczenia ze mną sprawy w miastach Weissenburgu i Winczam (Windsheim), oświadczam szanownéj Radzie, że jako mnie biednemu współobywatelowi przystoi, przed Wami samymi w Norymberdze chcąc zdać sprawę i uzyskać sprawiedliwość, oddaję się pod sąd miejscowy bez zwłoki w przeciągu dni ośmiu, jeżeli się Wam spodoba. Roku 1506 i proszę o łaskawą odpowiedź. Feyt Stwosz".

Ta deklaracya własnoręczna spisana jest podwójnie jako tam tak zwany Kerbzettel, tojest że pomiędzy obu pismami pociągnięta jest złamana linia w pośrodku, a znak czyli monogramm Stwosza nosząca, po któréj to linii nastąpiło odcięcie, żeby połowa pozostała dla magistratu, drugą zaś wziąć mógł deklarujący. Jednak obie połowy zostały w archiwum miejskiém i dotąd tam się znajdują. Widoczną jest, że tak nagła zmiana w żądaniach Stwosza, a uległe poddanie się Radzie miejskiéj wymuszone były postrachem więzienia i zapewne dalszych następstw obawą. Forma sama deklaracyi w kształcie jakby rewersu dowodzi, jak wielką wagę przywiązywać musiano do jéj uzyskania. W skutek niéj Stwosz okazuje się, z więzienia uwolniony został.

„Przezorni, szanowni, mądrzy, łaskawi, mili panowie! Nie wiécie więc jak postąpiono ze mną, jakiego wyroku wykonanie na sobie poniósłem, i jaką karę nałożono na mnie. Gdy więc Grzegorz Trummer wespół z Riedeselami kilka gwałtownych listów, dotyczących Jakóba Bannera, do Waszmościów napisał, padło na mnie silne podejrzenie, chociaż w istocie stało się to bez mojéj wiadomości i woli. Tymczasem Jakób Baner niedosyć mając na tém, że mnie tak niegodziwie oszukał, pociągnął mnie przed sąd Waszmościów o karę. Poszedłem i stawiłem się u sądu, gdzie mi obwieszczono, że ma zapaść wyrok między mną a Banerem. A ja na to: mam nadzieję w Bogu i prawie, i powołałem się na Wasz sędziowski urząd, ażebym jeszcze raz szanownéj Rady wyroku nie ponosił, gdy już raz wyrok przypłaciłem na ciele, a jestem szanownéj Rady więźniem. Na to odpowiedział mi doktor Ulrich, że sło-

wa moje nie będą miały żadnéj wagi, że wola Banera wypełnić się musi, którą trzykrotnie jednego dnia objawił. Więc odrzekłem: nie chcę żadnego wyroku słuchać, gdyż naprzód jestem osądzony, i odszedłem. Następnie powiedzieli mi ludzie w gminie, że zapadł przeciwko mnie wyrok, i że muszę 800 złotych szkody zapłacić Banerowi. To mnie przestraszyło. Uwiadomiono mnie także, iż jeżeli Grzegorz Trummer zaczepi, to źle będzie ze mną, gdyż mnie pochwycą. Wówczas tak wielki opanował mnie postrach, że choćby Norymberga miała zostać moją, nie chciałbym więcéj doświadczyć Waszmościów więzienia. Jużem go wprzódy doświadczył, a pomyślałem, że lepiéj zostawać na dworze aniżeli w lochu. Chociaż niewinny, bałem się jednak o me członki i nawet życie, i przeto uciekłem. Atoli nigdy nie było ani mą wolą, ani myślą, abym szanownéj i mądréj miasta tego Radzie w czémkolwiek miał się sprzeciwiać. Nie mało mnie téż to kosztowało pieniędzy, ażeby Grzegorz Trummer uzyskał bezpieczeństwo i dostateczny glejt od Waszmościów. Wiadomo téż jest ludziom uczciwym, żem mu to zawsze odradzał, co i odpowiedź moja w liście do Reideselów dowodzi, że nie jestem zdolnym, ani nie czuję się w stanie, prawować się z mymi panami. Gdyby Grzegorz Trummer słuchał był méj rady, byłby szanownych i mądrych panów w Norymberdze spokoju nie mieszał. Takoż, kiedym usłyszał, że Grzegorz Trummer jednego czeladnika pochwycił, powiedziałem mu, żeby go puścił; że jeśli o nie wielką kwotę pieniędzy idzie, to ja zapłacę; i żeby się nadal do Landgrafa i innych panów o opiekę i wstawienie się nie udawał, dla wyjścia z takich zawikłań. Ale dowiedziawszy się znowu o podobnych jego działaniach, nie chciałem się już więcéj w jego sprawy wdawać. I znowu zostałem ostrzeżony, żebym się miał na baczności, abym nie był zabity w własnym moim domu, i że mi z domu co mam zabiorą. To samo zrobiono z moją żoną, kiedy wyjechać zamierzała. I znowu spotkało mnie to powtórnie od przerzeczonego Trummera i jego pomocników, co w razie potrzeby zaświadczyć może Miłościwego Pana mego z Wirtzburga urzędnik (ambtman). A zatém niechaj Wasza Miłość uniżoną mą prośbę przyjmie i do serca weźmie, że ja więcéj jak cztery

tysiące złotych straciłem, nie z innéj przyczyny, jak żem się dopominał swego; niech więc to moje przestąpienie względnie przepuści i na dobrą stronę wytłumaczy sobie; takoż niech Wasza Miłość odtąd krzywdzić mnie nie dozwala, i dopuści mi słusznego dochodzenia prawnego przeciw przerzeczonemu Banerowi i jego spólnikom, których on tylko sługą jest; niemniéj niech łaskawie przyjmie moje przeproszenie, a postępek ten zupełnie przebaczyć mi raczy. Gdybym zaś przebaczenia i łaski od Waszéj Miłości uzyskać już nie mógł, to proszę najpokorniéj o uwolnienie mnie z obywatelstwa (Bürgerrecht), które od Waszéj mądrości otrzymałem; a pragnę z wszelką uległością, jak powinienem, zasługiwać sobie zawsze na szanownéj i mądréj Rady względy.

Waszych Wielmożności uniżony Feyt Stwosz.

Proszę o łaskawą odpowiedź. Panowie, którzy mnie przesłuchali, objaśnią Waszą Miłość dalekо lepiéj aniżeli to pismo." (Podpis i przypisek własnoręczne).

Podanie to powyższe Stwosza w prostodusznem użaleniu się, przedstawia nam jawnie, jakich niesprawiedliwości i prześladowań doznawał, jakich srogości doświadczył, jak wielkie straty pieniężne poniósł, a jakim postrachom ulegał. Widać też, jak z tyle cierpkiego zamieszkania żądaniem uwolnienia go z prawa miejskiego, wyswobodzić się pragnął.

„Takoż, Witowi Stoss pozwolono wziąść z lasu, wedle porządku leśnego lipę na dwie figury (zweien Bilden) pod krzyżem u N. Panny w rynku (w koście Panny Maryi w rynku).

Lecz co drugiego jego żądania, ażeby mógł bez dozwolenia wydalać się dla zarobku poza obręb miasta, oraz do ogrodu swego, zostało odrzucone, a utrzymują się w mocy dawne co do tego postanowienia i dozwolenia. Działo się w sobotę po ś. Urbanie." (30 maja. Księga Rady G. str. 259a).

„Ponieważ ostatniemi czasy Wit Stoss wniósł do szanownéj Rady podanie, iż on od najmiłościwszego naszego pana Rzymskiego króla, co się tycze popełnionego fałszerstwa, za które on tu przedtém karę piętnowaniem na policzkach otrzymał, został do prawa i czci przywrócony i rehabilitowany (restituirt und abilitirt), z prośbą, ażeby

mu dozwolono takowe ulaskawienie tu publicznie rozwiesić (auffzuschlagen), co mu naówczas odmówione zostało; teraz na dalsze jego domaganie się odpowiedziano mu: iż jeżeli z uzyskanego dla siebie mandatu nie zrobi użytku, to nie będzie potrzebował lękać się żadnej niełaski od Rady. Działo się quinta po Podwyższeniu Krzyża świętego.“ (17 września. Taż księga str. 289ª).

A zatém niewinność Stwosza i niesprawiedliwe jego piętnowaniem pokrzywdzenie, uznał był pod te czasy Cesarz i aktem publicznym z niesławy go podniósł. Stwosz pragnąc się w obliczu miasta oczyścić, chciał tę rehabilitacyę porozwieszać, lecz mu to zawistna Rada wyraźnie wzbroniła, niełaską mu nawet grożąc. Jakie i późniéj stawiała wtém przeszkody, zobaczymy poniżéj.

„Na oznaczony termin, który miłościwy nasz pan Landgraf Wilhelm Hesski, w skutek powołania Grzegorza Trummera przeciw szanownéj Radzie, na poniedziałek po Nowym Roku w Kassel wyznaczył, opatrzony został instrukcyą Hieronim Hofman, żeby w dniu tym ze strony Rady przeciw Trummerowi nieuzasadnionym żądaniom odpowiedział, i na niego przeciw-skargę wystosował, by został zniewolony do powrócenia szkody, jaką obywatelom z Rady wyrządził zabraniem im pewnego razu ołowiu; żeby tę sprawę zdał na miłościwego naszego pana Landgrafa, byle Trummer złożył kaucyę, jeżeli jest w stanie. Gdyby zaś jedno drugiem zrównać i zagodzić się nie dało, w ten sposób, iżby obustronne pretensye nawzajem się zniosły, na taki przypadek daje się Hofmanowi rozkaz i moc, żeby Trummer był ubezpieczony. Pan Marcin Geuder. Działo się tertia po ś. Łucyi.“ (15 grudnia Tamże, str. 316).

Rok 1507.

„Takoż, Witowi Stoss dozwolono, przez wzgląd na jego potrzebę, do Jego Królewskiéj Mości wyjechać. Działo się quarta Scholastyki.“ (10 lutego. Tejże księgi str. 328ᵇ).

„Takoż Witowi Stoss dozwolono na jedną milę drogi od tego miasta zarobkiem się trudnić i potrzeby swe zała-

twiać, gdyż jak to oznajmił, musi to czynić dla potrzeby Najjaśniejszego rzymskiego króla; wszakże aby bez wiedzy i woli Rady, poza murami miasta przez noc nie pozostał. Działo się quinta po niedzieli suchéj." (18 marca. Taż księga str. 340[a]).

Musiał więc od Cesarza jakiś obstalunek dostać.

Rok 1508.

„Takoż Witowi Stoss nie dozwolono majstrów i czeladników snycerstwa przez sługę miejskiego zwoływać, może tylko onym sam ów królewski list i ułaskawienie otwierać i czytać. Czyli zaś potém oni u niego zechcą pracować lub nie, na to Rada zezwala, niechcąc w tém nikogo ani przymuszać ani wzbraniać. Ale gdyby który z majstrów lub czeladzi źle się z nim obszedł, albo z niego szydził, na to ma radę i sąd, gdzie ich może oskarżyć, a będzie miał udzieloną sobie pomoc jak przynależy. Działo się sexta po ś. Gallu." (21 października, księga Rady H. str. 41[b]).

Tak więc i teraz jeszcze Rada miejska tamowała publiczne Stwosza do czci przywrócenie. Jak zaś była przeciw niemu zażartą, okazuje zapiska w księdze Rady G. z lat 1504 do 1508 w regestrze str. 5.

„Wit Stoss niespokojny, bezbożny obywatel, który szanownéj Radzie i gminie miejskiéj wiele niepokoju narobił."

Rok 1518.

„Ja Wit Stoss obywatel Norymbergski niniejszym listem publicznie zeznaję, jako wyrobiwszy w moim warsztacie dla szanownego pana Antoniego Tuchera starszego, mego miłościwego pana, robotą snycerską różaniec z pozdrowieniem anielskiém, dwie wielkie postacie, Zbawiciela i kilku aniołów, takowe najstaranniéj wyzłociwszy i pomalowawszy, nadto kazawszy dorobić żelazny wiszący pająk i własnym go kosztem wyzłociwszy; który to pomieniony różaniec i pająk w kościele świętego Wawrzyńca w chórze zawieszone zostały; przerzeczony Antoni Tu-

cher za pomienioną robotę moją uiścił się w całości i wypłacił mi summę pieniędzy, mianowicie czterysta dwadzieścia pięć złotych reńskich, tak, że jestem zupełnie zaspokojony i zadowolony; przeto go w całkowitości kwituję. W dowód czego list niniejszy własnoręcznie napisałem, a w końcu pisma własną mą zwyczajną pieczęć wycisnąłem. Dan we środę po dniu ś. Piotra w okowach, roku tysiąc pięćset ośmnastego.

(Nadpis przez samego Antoniego Tuchera poczyniony). † 1518. Pokwitowanie mistrza Wita Stossa z powodu Różańca, który mi do ś. Wawrzyńca wykonał."

Rok 1525.

„Mądrzy, przezorni i mili panowie! Dowiaduję się, że ojcowie od braci pobożnych wszystkie mienie swe oddali pod rozsądzenie Waszéj Mądrości, pana przy skrzyni jałmużniczéj dla ubogich. Tymczasem pozostali mi dłużni 242 złote, za ołtarz (taffel, tablica, ołtarz, płaskorzeźba w drzewie) który im sporządziłem, i winni mi corocznie po 50 złotych, dopóki wszystko spłaconém nie będzie. Prowincyał i przeor z kilku Ojcami uprosili mnie, żem im ten ołtarz za 400 złotych opuścił; a nikomu innemu nie chciałbym podobnego robić za 800 złotych, gdyż mnie samego przeszło 400 złotych kosztował. Upraszam przeto wszystkich Waszmość Panów, żebyście tę rzecz łaskawie rozważywszy, mnie w tém dopomogli, żebym wedle umowy z przełożonymi zapłacony został. Upraszam Wasze Miłości o łaskawe ku mnie rozważenie i wejrzenie. Zachowam się na zawsze dla was najuniżeniéj. A mam na to i rewers. Veit Stosz."

Nadpis na stronie odwrotnéj: Burgr. Hr. L. Gruntherr 4 pq. Cantate 1525, to jest środa przed 4 niedzielą po Wielkiejnocy. To oryginalne pismo Stwosza nabyłem w Norymberdze i w zbiorach mych znajduje się. Na to podanie Ojcowie złożyli niezwłocznie wielce wykrętne tłumaczenie, które wraz z powyższém pismem dostało się do rąk moich, pewnie z akt miejskich kiedyś oba wyniesione. Odpowiedź tę księży, z któréj okazuje się, iż jeden

z synów Wita Stwosza był księdzem a tegoż konwetu przeorem, zamieszczamy poniżéj.

„Opatrzni. szanowni, mądrzy, łaskawi, miłościwi panowie! Gdy Wit Stoss do Waszmościów uczynił podanie, jakobyśmy mu złotych 242 winni byli za ołtarz (taffel), który zrobił dla syna swego; my tymczasem nie wiemy, ile mu winni jesteśmy, czy pozostajemy, i wiele mu dał syn jego. Wszystko bowiem, co się tyczy ugody i zapłaty, stanęło bez wiedzy i woli konwentu. Wielom zaś wiadomo, że jego syn o kwocie w obec całego konwentu i przed wielą nieraz powtarzał: nie trzeba mi się oto troszczyć, ani kłopotać, już to będzie zapłacone. Tak długo aż tenże syn jego nie musiał ztąd wyjechać; dopiéro gdy konwent chcąc wiedzieć, na co pewne pieniądze obrócone zostały, zażądał onych rachunku, wtedy Wit Stoss okazuje, jakoby wedle naszéj umowy dał mu (syn) 102 złote, a 32 złote ślusarzowi, które od naszych wziął, że zaś reszta do 400 złotych, z rozłożeniem po złotych 50 rocznie aż do umorzenia summy, do zapłaty jest dłużna. Takoż, jak go O. Prowincyał i Przeor z kilku innymi Ojcami prosili, ażeby nam ten ołtarz opuścił za złotych 400, którego zkądinąd za 800 i 900 złotych nie byłby się podjął. Czyli z nim ugadzali się O. Prowincyał i Przeor, o tém wcale nie wiemy, ani téż żaden z Ojców nie był przy tem obecny. Spodziewamy się téż, że ta rzecz, jako zaszła bez wiedzy i woli konwentu, nie obróci się temuż na szkodę. A ponieważ rzeczona robota ma być warta 8 do 900 złotych, nie będziemy tacy, żebyśmy jego szkody na 4 lub 500 złotych pragnęli; lecz raczéj chcemy z nim przychylnie postąpić, tojest, żeby nam wyłożone przez nas pieniądze zwrócił, a ołtarz swój, którego dotąd nieporuszono, napowrót odebrał, a za powyższą czy znaczniejszą jeszcze summę gdzieindziéj go sprzedał, żeby z nami o szkodę nie popadł. Ale co się tycze summy, o któréj syn jego nam mawiał, że się nam o nią troszczyć ani kłopotać nie trzeba, iż rzecz co do tego ołtarza między nim a ojcem już załatwioną została, tośmy przyjęli za dobre i przy tém stojemy, a spodziewamy się, że ztąd nic więcéj do zapłacenia winni nie jesteśmy. Jeżelimu zaś syn inną jeszcze przyobiecał dać summę, spodziewa-

my się, iż gdy to stało się bez naszéj woli i wiedzy, że mu to sam na wyjeździe został winien. Tymczasem konwent w czasie ostatniéj wizyty O. Prowincyała prosił go, by po Stwosza posłał, co gdy nastąpi, żeby się z nim rozmówić co do tego ołtarza i zapłaty, żeby przyniósł swoje dowody i takowe konwentowi wykazał. On nasamprzód oświadcza, nieżądawszy nic wprzód od nas, że konwent musi zapłacić, że ma na to zapewnienie O. Prowincyała, iż pieniądze swe odbierze. Jeżeli w podaniu swém twierdzi, iż ma na to rewers, to gdyby on wtedy miał na prawdzie oparty rewers, nie potrzebowałby na to poręczenia. I konwent też o żadnym rewersie nie wiedział. Wtenczas dopiéro, gdy jego syn, nasz Przeor (sein Son unser Prior) odjechał, znaleźliśmy odciętą cedulę niedatowaną, w któréj znajdują się podobne niezasadności i błędy. Naprzód: Ilekroć Przeor z całym konwentem zobowiązuje się, nie czyni tego inaczéj jak pod pieczęcią konwentu; gdy zaś jego rewers zatwierdzony jest tylko pieczęcią Przeora, mógł tenże, jako bez wiedzy i woli konwentu wydać go tak dnia ostatniego jak i pierwszego. Jakkolwiek datowany jest więc datą wcześniejszą bo 20 stycznia, Bóg wié przecie, kiedy był pisany. Nadto żaden Przeor nie ma prawa ani mocy podpisywać się za konwent; przeto uznajemy, że pomieniony rewers wydany został bez naszéj wiedzy i woli. Powtóre: Jestto pismo własnoręczne Przeora, co u nas nigdy nie było w zwyczaju; więc konwent cały nie jest obowiązany za pismo jednego tylko z konwentu. Potrzecie: Wypłata ma być wedle tegoż w dniu ś. Małgorzaty uskutecznioną, a jak to Waszmościom wiadomo, nie było u nas nigdy zwyczajem dawać termina na ś. Małgorzatę, gdyż na tym dniu i czasie żadnego czynszu lub pieniędzy nie odbieramy; przeto wiedzielibyśmy dobrze, że podobnéj wypłaty nie bylibyśmy w stanie uiścic. Gdyby rzeczony termin naznaczony był na ś. Jan albo na ś. Marcin, byłoby to więcéj prawdopodobne. Poczwarte: Ażeby każda strona miała oddawać drugiéj rewers pod jéj własną pieczęcią, tojest żeby klasztor zatrzymał będący pod pieczęcią Prze-

ora, a Wit Stoss pod swoją; prócz tego nie było u nas nigdy w zwyczaju, żeby klasztor albo konwent pieczętował pieczęcią Przeora; żadnaby téż strona tego drugiéj nieścierpiała; więc spodziewamy się, że takie pieczętowanie nie obróci się nam na złe. Wszelako, gdyby przerzeczony Wit Stoss okazał nam rewers z pieczęcią konwentu, w takim razie, jak się rzekło, przystąpilibyśmy z nim w przyjazny sposób do zgody. Upraszamy przeto Waszmość panów, abyście w tym jako i innych razach łaskawie dla nas rozważyli, na co my jako uniżeni i posłuszni kapłani, przed Bogiem i Waszą mądrością, zawsze zasługiwać pragniemy."

Rok 1526.

„Takoż gdy wczoraj żona Wita Stossa pod niebytność swojego męża umarła, a on dotychczas jest nieobecny, i gdy doszło do wiedzy szanownéj Rady, iż niektórzy zamierzają część mienia zagrabić; przeto żeby nikt tego, co mu się nie należy, nie wykradł, szanowna Rada postanowiła, żeby sędzia miejski w przytomności przyjaciół Stossa sporządziwszy inwentarz, wziął takowe pod swe zachowanie. Pan Sebastyan Grossen. Działo się 10 sierpnia 1526." (Księga Rady M. str. 127*).

Wiadomo, że Stwosz ożenił się powtórnie w Norymberdze, z Niemką Barbarą Herzin. Widzieliśmy ją już w roku 1505 wspominaną, a musiał poślubić ją przed wypadkiem swym piętnowania. Zdaje się, iż to nastąpiło wkrótce zaraz po jego do Norymbergi przybyciu i tamże w r. 1496 osiedleniu się; albowiem gdy r. 1525 syn jego był już tam konwentu Przeorem, niewątpliwie z téj Niemki zrodzonym, musiało więc i ożenienie się jego być wczesne. O tym wszakże Stwosza synu księdzu, nigdzie indziéj wzmianki nie znajdujemy.

Rok 1527.

„Takoż, Witowi Stoss z powodu pretensyi, jaką mieć twierdzi do Piotra Imhof i Hirschfogla z przyczyny Jana Starzedela, odpowiedziano: że gdy przeciwna strona doprasza się sądu, nie ma w tém doznawać przeszkody, na-

kazać mu przysięgę, że téj sprawy na syna nie zda, przyczém oświadczyć, że gdyby ztąd co złego Rajcom wynikło, on za to odpowie własną osobą. Przez pana Niklassa Hallera i pana Lazara Holstchuhera. Działo się w sobotę, dnia 25 maja 1527.

Takowy warunek i postanowienie zapisano w sądzie manuału Nr. 16 str. 224." (Księga Rady N. str. 3[a]).

„Takoż, ponieważ Wit Stoss zażalił się przed szanowną Radą, że mu w sprawie ze Starzedelem, Hirsfogelami i Imhofami na adwokacie zbywa, gdy od strony przeciwnéj płacony jest Doktor Marcin Rorer, którego jéj szanowna Rada z pomiędzy swoich doktorów przeznaczyła, a on takowego uzyskać nie może; prosi więc, aby nie został pozbawiony obrony o wyznaczenie mu takoż doktora. Gdy nadto tenże Stoss jest człek popędliwy i krzykacz (irrig und geschreyig), żeby mniéj do użalań miał powodu, powiedziano mu i dozwolono, iż którego z dwóch doktorów: Michała Marstallera czy Walentego Ketzlera zechce, wolno mu będzie w przerzeczonéj sprawie jako adwokata użyć. Lazarius Holtschuher. Quinta, 6 czerwca 1527." (Księga Rady N. str. 11[b]).

„Takoż Hirsfogelom i Imhofom wyznaczony jest doktor Scheurlin za adwokata przeciwko Witowi Stoss i Starzedelowi. Przez Burmistrza. Tegoż dnia." (Księga Rady N. str. 12[a]).

Tak tedy po tylu latach nie zakończyła się jeszcze owa o zagrabione mu pieniądze opłakana Stwosza sprawa. Już może pierwszy sprawca Banner nie żył, bo się toczy proces przeciwko drugiemu Starzedelowi i jego jakimiś wspólnikami nowymi. Nie zmieniła się przecie ku wielkiemu artyście niechęć Rady miejskiéj. Nieszanując ni zasług ni wieku, grozi mu jeszcze na ciele, nie szczędzi słów pogardliwych; a że ze starcem blizko dziewięćdziesiątletnim sprawa łatwiejsza, każe mu przysięgać, iż na syna jéj nie przeleje. Po tylu doznanych cierpieniach i ciągłych dokuczliwościach, czyli na téj obcéj a wrogiéj ziemi nie przyszło kiedy Stwoszowi zatęsknić za ojczystą stroną, gdzie swobodny w swych pracach, cieszył się ziomków szacunkiem powszechnym, a gdzie inaczéj usposobiona Rada miejska tak uroczyście o nim za-

pisała: „dziwnie stateczny i pilny i życzliwy, którego rozum i robota po wszystkiém chrześciaństwie z pochwałą słynie!“ Minęły wieki, zastygły zawiści, pozostała tylko zasłużona sława: dziś też jak w Germańskiéj Walhalli Kopernik, tak i Stwosz w Ruhmeshalli Bawarskiéj, stoją oba ku większéj niby teutoniznu chwale. Kiedy historya czerpie z przeszłości nauki, niechaj i owe Stwosza naszego przygody staną się dla jego ziemian i nauką i przestrogą.

Co się tyczy jego nazwiska, nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że się nazywał Stwosz, jak to już i z krakowskiego jego łacińskiego podpisu słusznie wnosić przychodziło: Stuos, gdy zwykle *u* zamiast *v* kładziono. Dochowujące się w aktach miejskich Norymbergskich własnoręczne jego podpisy, jeszcze z r. 1506, okazują się jak najwyraźniéj: Fejt Stwosz. Że Niemcom nazwisko to trudniejsze było do wymawiania, przy zwykłém zdawna zamiłowaniu zniemczania, przeto od przybycia jego do Norymbergi, zwali i pisali go ciągle Stoss. Zaczasem okazuje się, iż sam przejął ten sposób pisania, gdyż na własnoręczném jego podaniu z r. 1525, u mnie w oryginale będącém, podpisał się: Veit Stosz. Że zaś był rodowitym Polakiem, dowodzą tego pisma jego oryginalne niemieckie, nieświadomość języka i niewprawę w jego zwrotach wykrywające; co też uznali i zatwierdzili mi niemieccy uczeni w Norymberdze, w pismach jego owych wyraźnie cudzoziemca upatrujący.

LITERATURA ZAGRANICZNA.

ANGIELSKIE PRZEGLĄDY.

The Edinburgh Review. — The Quarterly Review. — The Westminster Review. — The British Quarterly Review. — Blachwood's Magazine. — Dublin University Magazine. — Colburn's new Monthly Magazine. — Bentley's Misscellany. — The Athenaeum. — The Critic.

Jeżeli nie jesteśmy należycie obeznani z obyczajami i zwyczajami różnych ludów na kuli ziemskiéj, nie podróżnicy zaiste winni temu. Od kilku lat zwłaszcza, tych ostatnich widocznie się namnożyło; codziennie, w wersyach mniejwięcéj zgodnych, podają nam oni opisy cywilizacyi lub barbarzyństwa krajów, które zwiedzili. Coraz wyraźniejszy pociąg do podróży wywołał w ostatnich czasach mnóstwo podręcznych książek dla podróżujących. Francuzkie *Guides-Joanne*, *Guides-Richard* i wydawane przez bibliotekę kolei żelaznych, walczą teraz o pierwszeństwo z najsławniejszemi angielskiemi *hand-books*. P. John Murray, wydawca tych *handbook'sów*, który sobie przez tego rodzaju publikacye niepospolity zjednał rozgłos, wzbogacił świeżo swój zbiór obfity i szanowny dziełem niepośledniéj wartości, p. t.: *The Hand-book to India*. Mówimy *dziełem*, i nie bez zasady: nie jestto bowiem zwyczajny przewodnik, którego przeznaczeniem jest siedzieć w worku podróżnym pomiędzy parą butów i pudełkiem z cygarami: jestto praca poważna i sumienna, przeprowadzona z wytrwałością i zalecająca się głęboką znajomością rzeczy, erudycyą nie na popis. *Athenaeum* poświęca rozbiorowi tego dzieła artykuł nader

obszerny i pochlebny. Francuzki *Revue des Contemporains* wspominając o niém, uznaje, że pochwały te są ze wszech miar zasłużone. P. Eastwick (autor w mowie będącego dzieła) nie kréślił topografii i historyi z pomocą imaginacyi, ale z gruntu badał swój przedmiot. Przepędził on długi czas w Indyach, obserwował w nich różne pokolenia, mówił różnemi tychże narzeczami, studyował ich obyczaje i zwyczaje. Nikt nad niego nie był kompetentniejszy do wystąpienia jako *cicerone* podróżujących w Hindostanie. Jego *hand-book* dzieli się na trzy części, z których każda zawiera opis jednéj z trzech prezydencyj. Dotąd wyszedł tylko opis *Madrasu* i *Bombaju*; opis Bengalu ma wyjść dopiéro. Wyszczególnienie tego wszystkiego, co jest ciekawém w tych dwóch tomach, przeszłoby granice najbardziéj drobiazgowego rozbioru. Na każdéj stronnicy czytelnik czerpie w nich nowe wrażenia. Opisy autora są równie piękne i urozmaicone jak okolice, które przebiega. P. Eastwick zniewala nas do podzielania z nim wszystkich uczuć, jakich doznawał na widok cudów tego rozległego kraju, w obec téj natury tak uroczéj i bogatéj. Topografia dokładna i statystyka, dochody i podatki, administracya, płody ziemi, zjawiska przyrody, starożytności, przemysł i rolnictwo, szczegółowe obrazy osobliwości, jakie każda miejscowość przedstawia, wszystko to uczony autor przechodzi i podaje z rzadką precyzyą i skrupulatnością. Jako próbę umieszczamy tu krótki ustęp, w którym znaleźliśmy kilka ciekawych szczegółów o Szanarach, pokoleniu bardzo licznem, zamieszkującém brzegi Malabaru i okolice przylądka Comorin. „Nic tak nie charakteryzuje Szanarów, pisze p. Eastwick, jak ich religia, zasadzająca się na czci oddawanéj złemu duchowi. Nie mają żadnego wyobrażenia o Bogu, Stwórcy świata. Uznają kilka hindostańskich bożyszczy, ale takich tylko, które mają jakieś podobieństwo z przedmiotem ich czci wyłącznéj. Nie są sami Hindusami ani pod względem kasty, ani pod względem urodzenia, ani pod względem religii. Wierzą, że po śmierci duch ludzki nie przestaje istnieć, i że ten duch może wyrządzać psoty i kierować losami żyjących. Nigdy Szanarowie nie wzywają tych duchów o błogosławieństwo, nigdy nie odwołują się do ich miłosierdzia. Uważają ich jako prawdziwych

złych duchów i niczego się więcéj od nich nie spodziewają, jak tylko tego, że skutkiem okazywanego im uszanowania złość ich przeniesie się na inne głowy. Te złe duchy niszczą urodzaje, wstrzymują deszcze, sprowadzają motylice na bydło, jeżdżą na uraganach jak na koniu, dotykają ludzi takiemi chorobami, jak uderzenie od słońca—szaleństwo i wielka choroba. Przebywają wśród ruin, w gęstych lasach i miejscach odludnych. Nie stawiają im świątyń, ale cały kraj Szanarów pokryty jest piramidami lepionemi z błota, które pobielają następnie gipsem lub wapnem. Postać djabła nakréśloną jest na głównéj ścianie, dla oznaczenia miejsca, gdzie się należy zgromadzać dla oddania czci tym niedorzecznym bóstwom. Czasem zamiast piramidy, napotyka się szopę z dachem słomianym: szopa taka nosi nazwę *pe-kovil*, czyli dom djabła. Niektóre postacie wyobrażają Hekatę Hindusów, zwaną *Bradakali;* inne głowy byków; największa atoli część furye, pożerające dzieci. Jest jedna wieś, w któréj duch oficera angielskiego, nazwiskiem Pole, stał się djabłem piérwszego rzędu".

Na czele dzieła znajduje się kilka rad zbawiennych, jak się zabezpieczyć od chorób właściwych indyjskiemu klimatowi. Znajduje się nadto spory wokabularz wyrazów hindostańskich najczęściéj używanych, dyalogi zastosowane do zwykłych okoliczności życia, oraz mnóstwo idyotyzmów i sposobów mówienia napotykanych w potocznéj rozmowie. P. Eastwick podaje nadto prawdziwą ortografią, źródłosłów i znaczenie wielu wyrazów, które były w Anglii przekręcane.

Mówiąc o Indyach miał p. Eastwick trudność nie małą, tojest zachowania zwięzłości i jasności, nie pomijając nic takiego, co zasługiwało na wzmiankę. Trudność tę zwyciężył, wedle uznania Przeglądu. Kiedy się pomyśli, jak łatwo mu było ogromne tomy utworzyć, nie można nie oddać jego lakonizmowi zalety. Wiele wiedzieć a mało mówić, nie jest zwyczajem tego wieku; jeżeli to wada, znamy autorów, którzyby wiele zyskali na jéj posiadaniu.

Anglicy są, jak wiadomo, zapalonemi miłośnikami podróży. Spotyka się ich na wszystkich punktach kuli ziemskiéj, badających zwyczaje, studyujących języki i obracających na swoją korzyść postępy wszelkich narodów. Żądza podbojów i odkryć pożera tych ludzi przedsiębier-

czych. Anglicy dziś jeszcze są ożywieni tym samym popędem, który, za czasów Elżbiety, w ślady rycerskiego Waltera Raleigh, wiódł ich na śmiałe wyprawy i niebezpieczne przedsięwzięcia. Tento popęd podał Danielowi de Foë wątek do nieśmiertelnego Robinsona; tenże sam ich skłania za dni naszych do przedsiębrania, na polu przemysłowém, tak olbrzymich dzieł, jak rzucanie zdumiewających mostów przez morskie odnogi, jak budowanie na warsztatach Tamizy Lewiatana, tego prawdziwego miasta, mającego pływać po oceanie. Z nizkąd też więcéj nie wychodzi ciekawych wiadomości, opisów podróży, jak z Anglii. Nie ma kwartału, w którymby każdy tamtejszy przegląd nie poświęcał większéj części swego zeszytu tego rodzaju ogłoszeniom. Są one niezaprzeczenie użyteczne, dzisiaj zwłaszcza, gdy ludzie dążą do zbliżenia się i gdy łatwiejsze kommunikacye zmierzają do uczynienia z ludzkości jakoby jednéj wielkiéj rodziny.

British Quarterly Review przenosi swych czytelników na szczyt Alp i rozwija przed ich oczami wspaniałe panorama, zdolne zachęcić nie jednego do sprawdzenia osobiście rzetelności opisów. Po téj wycieczce *British Quarterly* przenosi się do Rossyi, i w artykule p. t. *Russia and the Russians* podaje szczegóły zajmujące o chłopach i wyższych klassach, o kuchni bogatych i biédnych. Książka służąca za punkt wyjścia téj pracy, *Six years' travels in Russia*, jak mówi *reviewer*, pełna jest niedokładności i bredni.

Obszerne artykuły nie zawsze czegoś więcéj uczą. Nieraz artykuł z dziesięciu stronnic więcéj ma w sobie treści i lepsze daje wyobrażenie o rozumie autora, niż inny wlokący się przez kilka zeszytów. Takato treściwość stanowi właściwą cechę i zaletę przeglądów. I tak, *Dublin University Magazine* poświęca kilka stronnic wybornie napisanemu rozbiorowi trzech nowych dzieł o Egipcie, Bretanii i Maroko.

Dwie świeżo wyszłe publikacye: *The Scouring of the white horse* i *The ecclesiastical and architectural topography of England*, dostarczyły pismu *Quarterly Review* tekst do prześlicznego opisu hrabstwa Berk, najbogatszego w wspomnienia historyczne. Dowiadujemy się z tego artykułu, że główne rzeczy, stanowiące sławę Berkshiru, znajdują się

w Ashdown, w parafii Uffington, opodal starożytnego zamku Craven. Tamto widać wzgórze smoka, *Dragon's hill*, gdzie za niepamiętnych czasów św. Jerzy, patron Anglii, po zaciętéj walce ze smokiem, położył go trupem u swych nóg. Mieszkańcy z upodobaniem pokazują miejsce, gdzie nastąpiła ta walka; w miejscu tém, jak mówią, trawa nigdy od owego czasu nie porosła, choć dokoła rośnie obficie. Tu także spostrzegać się daje, na wzgórzu zielonem i spadzistem, wykuty z kredy koń, *the white horse*, olbrzymich rozmiarów, uważany przez niektórych za pomnik po Druidach pozostały, a przez innych za dzieło żołnierzy Alfreda, po zwycięztwie, jakie ten król odniósł pod Ashdown. *Quarterly Review* daje malowniczy opis kości, urn, grobowców, broni i medalów starożytnych, które w skutku licznych poszukiwań w hrabstwie Berk w ostatnich czasach wydobyto.

Na początku XVI wieku Szkocya była jeszcze pogrążoną w stanie zupełnéj ciemnoty. W roku 1540 posiadała zaledwie pięć lub sześć książek drukowanych; wszakże, w epoce reformacyi, literatura zaczęła w niej być uprawianą z zapałem i z powodzeniem. Główni stronnicy i naczelnicy reformacyi w Szkocyi bylito, po większej części, ludzie światli i uczeni; nie mogli przeto być nieprzyjaźni temu wielkiemu dziełu, które się miało tak potężnie przyczynić do wyzwolenia ducha ludzkiego. Na okrzyk powstania wydany przez Lutra w całym świecie chrześciańskim, potrzeba filozoficznych zacieków, tudzież poszukiwań na polu literackiém i naukowém bodzie charakter narodowy. Poraz pierwszy zaprowadzają w Szkocyi szkoły, kollegia i uniwersytety, mające ducha rozwijać i budzić zamiłowanie uciech umysłowych. Wiele jednakże przyczyn wpłynęło na chwilowe ochłodzenie tego zapału. Panowanie Jakóba VI bynajmniéj nie było przyjaznem oświacie, jakkolwiek ten monarcha miał się sam za uczonego. Późniejsze wstrząśnienia i rozruchy domowe za Karola I oderwały znowu Szkocyą od tych prac, które do skutecznéj uprawy potrzebują ciszy i spokojności. Po rewolucyi 1688 roku, gdy namiętności polityczne, szeroko rozpasane, umilkły, żądze naukowe rozbudziły się i wzrost brać zaczęły. Szkocya,

która odtąd z Anglią jedno już tylko królestwo składała, nie zaniedbała pójść za tym popędem i dostarczyć swego kontyngensu do ówczesnych płodów umysłowych. Dzienniki założone przez Steele'a i Adissona miały na celu natchnąć Szkotów żywem zamiłowaniem prac literackich. Pisma te peryodyczne, traktujące o obyczajach i literaturze pięknéj, przyczyniły się niewątpliwie do poprawienia ich smaku i zaszczepienia w nich krytycznego pierwiastku, tak odpowiedniego ich charakterowi, który z czasem tak odznaczająco miał się w nich rozwinąć. Co jednakże najwięcéj poparło wówczas ruch umysłowy, to zaprowadzenie różnych klubów literackich i naukowych. *Blackwood's Magazine* podaje, w przedmiocie tych instytucyj, szczegóły nader zajmujące.

Klub *Rankenian* był jedném z piérwszych tego rodzaju towarzystw. Klub ten, tak nazwany od nazwiska właściciela domu, w którym się mieścił, założony był przez kilku młodych ludzi, oddających się nauce i zagrzanych chęcią rozszerzenia zamiłowania tejże. Na posiedzeniach odbywających się raz w ciągu tygodnia, każdy członek z kolei czytał jakąkolwiek pracę, która następnie stawała się przedmiotem dyskussyi. Wpływ tego Towarzystwa był niezmierny; ściągnęło ono na siebie uwagę całéj Szkocyi, i sumiennemi a znakomitemi pracami nabyło sławy, do dziś dnia jeszcze trwającéj. Jednym z najdziwaczniejszych przedmiotów, jakie były obrabiane w tém towarzystwie, był rozbiór dzieła doktora Berkeley'a, noszącego tytuł: *Zasady wiedzy ludzkiéj*. Członkowie Rankenian-Klubu roztrząsali i trutynowali wszelkie metafizyczne subtelności, zawarte w téj książce, oraz konkluzye, jakie z nich autor wyprowadził, tojest, że świat materyalny nie istnieje, że słońce, księżyc, ziemia, góry, ryby, ptaki i t. d., są tylko widziadłami, czyniącemi na nasz umysł wrażenie. Zawiązali następnie korrespondencyą z powyższym znakomitym pisarzem, w któréj z niemniejszą subtelnością zbijali zasady, na których on oparł swój system. Wykazywali, że te zasady wiodły porządkiem naturalnym do ogólnego pirronizmu, i wyprowadzili wniosek, że świat duchów nie powinienby istnieć tak samo, jak świat materyi; że, jedném słowem, nie pozostawałoby nam na tym padole nic więcéj

jak idee i wrażenia. Hume, przyswoiwszy sobie późniéj system metafizyczny Berkeleja, oparł na nim swój nieugięty sceptycyzm, który drogą reakcyi podniósł przeciwko niemu szkołę szkocką, więcéj zdrowo myślącą jak głęboką, na czele któréj postawić należy Tomasza Reid. Pomiędzy najcelniejszemi członkami Rankenian-Klubu są do wymienienia: sir John Pringle, Collin, Mac-Laurin i doktor Wallace, który zostawił rozprawę o obliczaniu ludności, rozprawę obejmującą w zarodzie zasady, rozwinięte przez Maltusa.

Nauki klassyczne były w téj epoce z zapałem uprawiane przez mieszkańców Kaledonii; to téż widzimy, w rok po założeniu Rankenian-Klubu, powstające w Edymburgu drugie Towarzystwo, ktore sobie za cel położyło, zachęcać do zastanawiania się nad arcydziełami starożytności. Jeden z członków tego nowego klubu zjednał sobie, jako filozof i literat, wielką sławę. Mówimy tu o Henryku Homes, znanym lepiéj pod nazwiskiem lorda Kames. Do najrozleglejszych wiadomości łączył on charakter jak najsłodszy. Nauka u niego nie przytłumiła imaginacyi. Obdarzony umysłem spokojnie reflexyjnym, zwrócił jego władze do badania wielkich prawd fizycznych. Głównie wszakże ustaliły jego sławę *Piérwsze zasady krytyki*, dzieło pełne oryginalnych pomysłów i nacechowane rozległą erudycyą. Porównano lorda Kames z Arystotelesem, i nie bez słuszności. Jego poetyka i retoryka zawierają ze wszech miar zdrowe przepisy pisania w różnym rodzaju. W swojéj logice rozwija on z rzadką trafnością warunki i proces rozumowania i wytyka krętaninę najpozorniejszych sofizmatów.

Przejdźmy teraz do Towarzystwa lekarskiego, ustanowionego w Edymburgu, w roku 1731. Piérwszym sekretarzem tego Towarzystwa był uczony doktor Alexander Monro. Dzięki jemu, prace Towarzystwa zostały zebrane i ogłoszone drukiem w różnych czasach, pod tytułem: *Próby i obserwacye medyczne*. Zbiór ten, który fizyolog Haller uważał za najużyteczniejszy i najdoskonalszy z pomiędzy dzieł traktujących o anatomii, tworzy teraz pięć grubych tomów, które były tłumaczone na wszystkie prawie europejskie języki. Wkrótce po wydaniu tych tomów, Towarzystwo lekarskie uległo, co do organizacyi swojéj,

ważnéj zmianie. Mac-Laurin, pragnąc rozszerzyć zakres poszukiwań, którym się oddawało to grono uczonych, zaproponował przyznać jego członkom prawo roztrząsania kwestyj z dziedziny filozofii i literatury. Wniosek ten został przyjęty, i odtąd Towarzystwo przyjęło nazwę *Edymburgskiego filozoficznego Towarzystwa.* Doktor Black, przezwany nestorem chemicznéj rewolucyi, i James Hutton, autor nowéj teoryi ziemi, owocu trzydziestoletnich studyów nad historyą naturalną, wzięli czynny udział w pracach tego Towarzystwa.

W roku 1757 nowe stowarzyszenie, zwane *Towarzystwem wybranych*, zaprowadzoném zostało w Edymburgu pod dyrekcyą Allana Ramsay, malarza dość znakomitego, który był synem sławnego poety tego nazwiska, narodowego szkockiego piewcy. Członkami byli powiększéj części mężowie stanu, mówcy i filozofowie. Pomiędzy niemi znajdujemy Hume'a, Robertsona i sławnego ekonomika Adama Smitha. Doktor Blair ściągał wielką liczbę słuchaczy swym świetnym wykładem i krasomówczym talentem.

Zanim ten krótki rys zamkniemy, winniśmy wymienić jako zasługujące na uwagę, Towarzystwo *Zwierciadlanego Klubu*, które dało początek dwom tygodnikom: *Zwierciadło* i *Próżniak.* Jednym z najzdolniejszych i najgorliwszych członków tego ostatniego był niezaprzeczenie Henryk Mackenzie. Jako oryginalny pisarz, zajmuje on piękne miejsce pomiędzy powieściopisarzami swego kraju, *Człowiek uczuciowy*, *Człowiek światowy* i *Julia Roubigné* są romansami, które, ze względu na styl pełen wdzięku, kwiecisty i patetyczny, należą do szkoły Sterna, jakkolwiek nie ma w nich humoru właściwego autorowi *Tristama Shandy.* W *Człowieku uczuciowym* charakter Harleja, bohatera tego romansu, szlachetność jego duszy, czyste i gorące popędy jego serca, jego nieśmiałość, naturalny wynik delikatności w wysokim stopniu, żywo zajmują czytelnika.

Człowiek światowy jest o wiele niższym od *Człowieka uczuciowego.* Charaktery osób występujących w tym romansie są skrzywione i wymuszone. Główny aktor, sir Tomasz Sindall, człowiek wyższego urodzenia i zajmujący niepoślednie stanowisko w społeczeństwie, jest zlewkiem rzadkiego na szczęście zepsucia. W nic nie wierzy i depce

wszelkie prawa i ustawy świata. Co się tyczy *Julii Roubigné*, jestto powieść smutna i rozrzewniająca, którą czytając ściska się serce i wątpliwość w duszy się rodzi. Znajdujemy w niéj odmalowanie najdotkliwszych cierpień, jakie ludzka istota może przechodzić.

Wiele innych jeszcze towarzystw odgrywało znakomitą rolę w historyi literatury szkockiej, i możnaby wymienić nie małą liczbę sławnych ludzi, którzy do tych spokojnych i światłych zgromadzeń należeli. Towarzystwa te wywierały wpływ stanowczy w upłynionym wieku; oddały wielkie przysługi naukom, sztukom i literaturze pięknéj: zasługują przeto na uwagę ludzi myślących.

Udzielając wiadomości o dziele sir Johna Francis, *A chronicle of life assurance*, *Quarterly Review*, kreśli historyą téj użytecznéj instytucyi od jéj zawiązku aż do dni naszych, a następnie wymienia główne domy ubezpieczeń w Anglii, oraz koleje, przez jakie też domy przechodziły. Opowiadanie to, nieco suche, przeplecione jest ciekawemi anegdotami. I tak, trzymiesięczny przegląd uwiadamia nas, że za czasów Jerzego III zabezpieczano sobie życie kosztem życia współczesnych znakomitości, jakoto: ministrów, mówców, literatów, generałów. Gdy sir R. Walpole został attakowany przez lud podczas rozruchu wywołanego bilem o akcyzie, gdy grożono pociągnieciem do odpowiedzialności księciu Newcastle, gdy lord North był jeszcze bardziéj niż zwykle do niczego, a lord Chatam cierpiał na podagrę: wtedy opłaty assekuracyjne dochodziły niesłychanéj wysokości. Zuchwali ci spekulanci zgromadzali się w kawiarni Lloyda i tam zdrowie wszystkich ówczesnych wielkich ludzi taksowali, jakby papiery konsolidowane lub akcye kompanii Wschodnio-Indyjskiéj. Niegodny ten frymark doszedł rozmiarów niedowierzenia, i sprowadził nawet śmierć wielu ludzi, którzy z przerażeniem wyczytali w giełdowym kurscetlu, że ich życie było assekurowane u Lloyda na 90 za 100! Akt parlamentu położył koniec tym nadużyciom.

„*The influence of local causes on national character*", tak brzmi wiele zapowiadający tytuł długiego artykułu, zamieszczonego w *Westminster Review*. Autor chce wykazać i dowieść wpływu klimatu na kształt rządu i ukształ-

cenie różnych plemion. Kommunał to, co za tekst służył tysiącznym pisarzom, którzy nie dodali ani jednego ważnego szczegółu do starej nauki Hippokrata. Ze wszystkich zaś, którzy w tym przedmiocie pisali, chyba jeden tylko Cabanis, na początku tego wieku, dał nam jasny wykład teoryi lekarza z wyspy Kos. Praca niniejsza jest za długą dla czytelnika, pragnącego znaleźć tylko stanowcze rezultaty; za krotką dla lubiącego myśléć, który żąda ścisłego rozumowania, wolnego od niepotrzebnych przymieszek. Co nam do tego, naprzykład, że Bakon nic w tym przedmiocie nie pisał, z obawy niepodobania się królowi Jakóbowi? Co nam do tego, że królowa Wiktorya mniéj się powinna tém obrażać, jak nieboszczyk król Jakób? Na co nam prawić tak szeroko, że temperatura ciała ludzkiego pozostaje niezmienną w strefach najbardziéj posuniętych ku biegunowi? Po co przytaczać chemika Liebiga na poparcie wyrażenia bardzo prostego: *nieomylny instynkt?*

Kształt rządu ma być zależny od klimatu. Zimno ma bardziéj sprzyjać instytucyom republikańskim, gorąco— rządom samowładnym. Nie jestżeto bawić się w słowa i kazać niemi bawić się drugim, wmawiając, że kształt rządu jest wypływem działalności klimatu? Trzebaby w takim razie przez wszystkie strefy przeprowadzić Francyą, która od lat 60 przechodziła przez wszystkie prawie możliwe tryby rządzenia. Przypominamy tu sobie dwa wiersze Pope'go, tego prawodawcy zdrowego smaku i rozsądku w Anglii:

> For forms of government let fools contest,
> Whate'er is best administer'd is best.

Co znaczy, że kształt rządu mało, nic prawie nie stanowi przy ocenieniu pomyślności ludów, i niedorzecznością jest uprzedzać się w tym względzie. Jedyną plagą, któréj człowiek powinien się lękać w swéj drodze koniecznie postępowéj, jest samże człowiek, a nie klimat.

W inném miejscu utrzymuje autor, że gorąco i zimno są nieprzyjaznemi rozwijaniu się rozumu, *both are unfavourable to the growth of reason.* Zarzuca Szwajcarom, że są obojętni na piękności alpejskich widoków, że nie są ani poetami, ani wirtuozami, ani malarzami. Gdzież jednakże znaleźć więcéj poezyi, jak u mieszkańców gór, u których

śpiew się tak łączy z wszelkiemi pracami i uroczystościami. Chóry wieśniaków Oberlandu nie milejże w ucho wpadają od tak nazwanych nieraz koncertów? Dusza J. J. Rousseau nie objawiłaż bez porównania więcéj poezyi jak dusze Chaucera i Spencera, którym przecie autor nie odmówi nazwy poetów? Nie są malarzami, a mieli Leopolda Roberta, który wart przynajmniéj tyle co Turner. Co się tyczy wpływu zbytniego gorąca na władze umysłowe, zdawaćby się on powinien nie tyle zgubnym panom Hindostanu. Któryż kraj posiada więcéj pomników literatury, wielkich poematów, lirycznych śpiewów? Którzyż filozofowie rozwinęli gramatyczne teorye głębiéj i dokładniéj jak indyjscy? Dramat, epopeja, romans, apolog, nie powstałyż nad brzegami Gangesu? A według zdania uczonych, cywilizacya egipska, matka greckiéj, nie byłaż dziełem czarnych mieszkańców z nad Nilu?

Zamiast nam podawać pisma nacechowane smutną zmysłowością, zamiast nam przedstawiać człowieka jako plastyczną, giętką igraszkę materyalnych działaczy, nie lepiejże nam powiedzieć, że ze wszystkich istot żyjących, człowiek sam jeden wywiera wpływ zadziwiający na otaczającą go naturę? Niech nam go raczéj ukazują wychodzącego z równin Persyi i Hindostanu, z garstką zboża w ręku, siejącego w ciągu swej długiéj i mozolnej wędrówki, aż do najdalszych krańców zachodu, te ziarna, które nas żywią. Niech go nam ukazują karczującego dziewicze lasy, niszczącego szkodliwe zwierzęta i rośliny, osuszającego bagna, tworzącego te jeziora rozległe jak morza, przynoszącego z Hindostanu koguta, a z Persyi osła; niech go nam ukazują lekceważącego przestrzenie, łączącego morza, ujmującego w karby rzeki i wiatry, żartującego sobie z burz, a pokaże się wtedy, że człowiek raczéj panuje nad klimatem, nie nad człowiekiem klimat.

Są wprawdzie niezaprzeczenie trzy typy odrębne rodu ludzkiego: plemię białe, czarne i żółte; ale ostatecznie wszystko to redukuje się do kwestyi większéj lub mniejszéj grubości skóry, *skin deep*. Człowiek jest kosmopolitą; nie zraża go żaden klimat: żyje on we wszystkich strefach i we wszystkich takim samym pozostaje. Ależ bo człowiek nie jest wyłącznie tą misterną machiną, którą nazywamy

ciałem; jest on przedewszystkiem i osobliwie duszą, która się tém ciałem posługuje. Ta dusza, potęga wolna i boska, nie może ulegać wpływowi prostych, materyalnych żywiołów. Myśli ona zarówno wśród mórz lodowatych, jak pod palącém niebem równika; pełni swą wolę we wszystkich strefach zarówno. Słowem, najszlachetniejszym przywilejem człowieka jest zachowywanie wszędzie i zawsze tych władz, które go czynią człowiekiem, i pozostawanie, skoro chce, godnym obrazem Tego, który powiedział: „Uczyńmy człowieka na podobieństwo nasze!"

Pod tytułem: *The progress of Geology*, *Quarterly Review* wykłada, ku pożytkowi ludzi z geologią nie obeznanych, mały kurs téj nauki. W ciasnych ramach stara się podać wytłumaczenie początku ziemi i praw, które jéj tworzeniem się kierowały. Wymienia przytém ważniejsze odkrycia, któreśmy winni téj nauce. Jakkolwiek to jest wykład zupełnie elementarny, można w nim jednak znaleźć niektóre fakta ciekawe.

Anglicy, w ostatnich mianowicie czasach, bardzo się brali do uprawy nauk przyrodzonych. Pomiędzy temi, geologia była przedmiotem szczególnego ich zamiłowania, i znacznąby można złożyć bibliotekę z ważnych dzieł, jakie w tym przedmiocie wydali. Nazwiska takie, jak Buckland, sir C. Lyell, Wyley, Selwyn i Rogers, jaśnieją na tém polu. Odkąd zajęła miejsce pomiędzy naukami, geologia, została podzieloną na kilka gałęzi, z których jedna nosi nazwę *Ichnologii*, czyli nauki o wyciskach kopalnych. Na tę to zajmującą część paleontologii *Edinburgh Review* zwraca dziś uwagę swych czytelników. Dwa główne peryodyczne pisma angielskie traktują tym sposobem jednocześnie o przedmiocie prawie tymże samym. Trudno jednak stawiać te dwie prace w paralelli: wykład *Przeglądu kwartalnego* jest nieco za powierzchowny, dobry jedynie dla nieświadomych; wykład zaś *edymburgskiego Przeglądu* jest głębszy i zdolny uczonym nawet przynieść korzyść. Według szkockiego przeglądu wyciski pierwotnego świata obserwowane były, poraz pierwszy, przed trzydziestą laty przez doktora Henryka Duncana. Usłyszawszy, że w kopalniach Corncokle-Mint, w Szkocyi, dostrzeżono, na pokładach żwiru, mnogie ślady czyli tropy jakichś zwierząt ssących, doktor Duncan udał

się natychmiast na miejsce i znalazł w rzeczy saméj wyciski, świadczące o istnieniu niegdyś w tych miejscach zwierząt, których ród zdawna zaginął. Obudziło to uwagę geologów: zaczęto śledzić, przepatrywano inne kamienie, i w różnych stronach Szkocyi i Anglii podobneż znajdźby uczyniono. W niektórych miejscach odkryto wyciski płazów olbrzymiego kształtu, nie mających nic odpowiedniego familiom dziś istniejącym. „Co jest osobliwego, czyni uwagę *Edinburg Review*, to to, że jakkolwiek niepodobna zaprzeczyć autentyczności i zachowania się w całości tych wycisków, nie mamy wszakże żadnego dowodu istnienia stworzeń, które je zostawiły po sobie. Nie wydobyto jeszcze nigdzie ich szkieletów. Gdzież się podziały ich zęby i kości pacierzowe? Czyliżby działanie chemiczne piasków, w które się ich szczątki wcieliły, wywarło zgubny wpływ na ich zachowanie?" To zdaje się bardzo prawdopodobném. Zważywszy, że zwłaszcza żwir ma w sobie wiele nadkwasu żelaza, mającego własność rozkładania pierwiastków zwierzęcych i roślinnych, łatwo możemy sobie wytłumaczyć zupełne zniknięcie owych kości.

Kończąc rzecz swoją, po wzmiance o olbrzymich jestestwach dawnych wieków, takich jak Dinotherium, Macrotherium, Anthracotherium i inne, autor pyta siebie, ażaliby można oznaczyć czas, w którym żyły te bajeczne mastodonty, których ród zagładzony został w różnych ziemskich rewolucyach lub skutkiem okoliczności, dziś niepodobnych do wykrycia. *Reviewer* jest tego zdania, iż póki nie będziemy mogli ściśle oznaczyć czasu, w którym powietrze atmosferyczne rozkłada i niszczy ogromne bryły skał, póki nie będziemy mogli dojść, jakiego czasu potrzebują wody do strawienia minerałów, póki nareszcie nie będziemy mogli zdeterminować liczby wieków, potrzebnych naturze do przeprowadzenia tych wszystkich zmian, jakie się na powierzchni kuli ziemskiéj spełniają; póty musimy poprzestać na tym tylko pewniku, że powstanie wycisków i byt zwierząt kopalnych sięga jak najdalszéj starożytności.

Zanim odstąpimy od téj materyi, wypada nam wymienić trzecią naukową rozprawę, ogłoszoną przez *British Quarterly Review*, w ostatnim kwartale, o fizycznéj geogra-

fii morza. Autor téj rozprawy poświęca znaczną jéj część na przytaczanie faktów bardzo ciekawych, dotyczących zmian i oscyllacyj regularnych morza, skutkiem attrakcyi słońca i księżyca, peryodycznych wiatrów, własności prądów i t. p. Zapytuje sam siebie, dlaczego woda morska, przyjmując co chwila z brzegów nowe zapasy soli, nie staje się coraz bardziéj słoną? I odpowiada na to, że w morzu znajduje się mnóstwo zwierząt, małych i wielkich, potwornych i fantastycznych, które nic innego nie robią, jedno wyciągają z wody pierwiastki słone, z których się tworzą u jednych muszle, a u drugich szkielet, innym zaś służą do budowania sobie mieszkań. Pokłady iłu, warstwy muszel, ławy złożone jedynie ze skorupiałości wymoczków zapełniają morza. Korale, przytwierdzone do skał podmorskich, są, jak wiadomo teraz, dziełem niezliczonéj liczby owadów, które chłoną w siebie znajdujący się w morzu węglan wapna i inne pierwiastki mineralne, potrzebne im do urabiania sobie tych jakoby ulów, w których mieszkają. Wszyscy ci architekci, olbrzymy i pigmeje, przyczyniają się więc, skutkiem ogromnego spotrzebowywania soli, do tego, iż wody oceanu zachowują zwykłą słoność. Zostawiamy wszakże ludziom kompetentnym ocenienie téj teoryi.

Literatura, w właściwém znaczeniu, nie zajmowała w ostatnim kwartale tyle miejsca, ile się jéj w angielskich przeglądach zwykle dostaje. Jeżeli odłożymy na bok kilka sprawozdań o dziełach takich, jak *Adam Bede*, *Korrespondencya lorda Cornwallis* i *Pamiętniki dworu Jerzego IV*, znajdziemy w ostatnich przeglądach jedno tylko zjawisko prawdziwie literackie, o którém wspomnieć warto. Mówimy tu o nowym poetycznym utworze Tennysona p. t.: *Idylls of the king*. Blizko trzydzieści lat temu, jak Tennyson, poeta uwieńczony, zrobił sobie imię w literaturze swego kraju. *The Princess*, *In Memoriam* i *Mand* jednały mu kolejno pochwały lub ściągały nań naganę krytyki, ale *In Memoriam* jest teraz powszechnie uznawane za arcydzieło. Żałować nawet wypada, że Tennyson po powodzeniu, jakiego doznał wydawszy ten poemat, nie trzymał się daléj tego rodzaju wersyfikacyi, który usposobieniu jego tak był odpowiednim. Trudnobo, zaiste, dojść do doskonałości w różnych rodzajach pisania. To, co w tym przedmiocie

sir W. Temple powiedział, lubo trywialne, jest dlatego prawdziwe. Zdolności człowieka, pisał on raz do jednego z swoich przyjaciół, muszą być mniejsze z jednéj lub z drugiéj strony: ma się z tém jak z kołdrą, którą się w łóżku przykrywamy: jeżeli ją zbyt zaciągamy na ramiona, odsłaniamy przezto nogi; jeżeli zaś przeciwnie, nogi nasze zbyt ją sobie przywłaszczają, wtedy ramiona nasze zostają obnażone. Tennyson zdaje się wziął to do serca; zaniechał wyskoków, wrócił na dobrą drogę, jak syn marnotrawny, i dziś, na uczczenie jego opamiętania się, *Edinburgh Review*, *Athenaeum* i *Critic* w zawody wyprawiają mu bankiety; śpiewają mu hymn radosny i uroczyście obchodzą urodziny nowego poematu: hołdy te zdają nam się powiększéj części zasłużone. Znakomity laureat, ktory w kilku swych utworach starał się budzić do czynu, jak przystało synowi społeczeństwa energicznego i pracowitego, znajduje teraz upodobanie w poezyi, zupełnie od teraźniejszości oderwanéj, goniącéj za ideałem i fantastycznością, i w tymto rodzaju, musimy przyznać, Tennyson spotyka najzasłużeńsze powodzenie.

Tym razem, poeta wziął się do szperania w narodowych tradycyach staréj Anglii, i z téj wędrówki wskróś wieków wrócił z odmłodzoném sercem, pełen uniesień, przynosząc z sobą najdziwaczniejszą i najzawikłańszą z legend, tojest legendę o Arthusie i Okrągłym stole. Swiat się zestarzał, mówi La Fontaine, a przecież

Jeszcze go bawić potrzeba jak dziecko.

Tak sobie zapewne pomyślał i Tennyson, i dlatego, gwoli rozerwania swych współziomków, opowiada im świetne czyny ich przodków: jakto kochano w średnich wiekach w pełnych chwały czasach bohatérstwa i szwaleryi; jakto drżano przed damą, którą się obraziło; jak się bito, jak umierano, jak nareszcie pojmowano uczucie honoru i dążono do sławy. Poeta, zachowując temu romansowi pierwotny charakter, rozwinął go jednak po swojemu. Nie wiele się troszczy o układ, o związek pomiędzy częściami poematu. Stara się przedewszystkiem o to, żeby styl był ciągle żywy, zwięzły i naturalny; aby nie było skąpo obrazów i entuzyazm był utrzymany. Przemawia głównie do serca, i widać, żeto u tego ogniska zapala się jego wyobraźnia.

Radzibyśmy przetłumaczyć kilka ustępów, ale jakże trudno oddać takie naprzykład wiersze, jak następujące, których słodka harmonia stanowi główną zaletę:

Sweet is true love tho' given in vain, in vain;
And sweet is death who puts an end to pain;
I know not which is sweeter, not, not J.
Love, art thou sweet? Then bitter death must be:
Love, thou art bitter; sweet is death to me.
O love, if death be sweeter, let me die.

Sweet love, that seems not made to fade away,
Sweet death, that seems to make us loveless clay,
I know not which is sweeter, no, not J.
I fain would follow love, if that could be;
I needs must follow death, who calls for me.
Call and J follow, J follow! let me die.

Przekład, który tu podajemy, dalekim jest od dorównania oryginałowi:

Słodką jest miłość, chociaż daremnie żywiona;
Słodką śmierć, skoro z nami wraz cierpienie kona;
Ale która z nich słodsza, nie wiem, nie, o nie.
Miłości, jeśliś słodką, śmierć pełna goryczy:
Tyś gorzka, śmierć więc przez to nabiera słodyczy.
O miłości, jeżeli tak jest, zabij mnie!

Słodka miłości, jeśli wiecznie się zielenisz,
Słodka śmierci, jeżeli całkiem w proch nas mienisz,
Która z was obu słodsza, nie wiem, nie, o nie.
Radbym pójść za miłością: lecz cóż chęć podoła?
Muszę pójść w progi śmierci, która na mnie woła.
Wołaj a pójdę; idę! Śmierci, zabierz mnie!

Poezya podobną jest do muzyki: aby ją dobrze osądzić, trzeba ją słyszéć. Tennyson żywo czuje i styl jego wyraża wszystkie uczucia jego serca. Aby dobrze poznać poetycki geniusz naszego laureata, trzeba go śledzić tam, gdzie z uniesieniem przemawia. Aby dobrze ocenić jego zalety, trzeba uważnie słuchać jego malowniczych opisów i przejąć się jego harmonią. *Idylle króla* zyskają niewątpliwie taki sam rozgłos jak *In Memoriam.*

Love letters, Listy miłosne! taki jest tytuł małéj książeczki pachnącéj, świeżo wyszłéj z pod londyńskiéj prassy. *Athenaeum* i *Critic* zwracają na nią uwagę swoich czytelników. Nie są epistolarne fikcye; jestto zbiór autentycznych listów, pochodzących od osób wysoko położonych i dobrze

znanych w literaturze, polityce i historyi. Są to listy pisane pół we łzach, pół z uśmiechem, ręką często drżącą, z sercem zawsze wzruszoném. Nie widać w nich żadnego przymusu, żadnéj ceremonii, żadnego kłopotu; wolne są od wszelkich formalności, zwykłych w innego rodzaju korrespondencyach. Myśl igra w nich swobodnie, śmiejąca się lub smutna, lekka lub głęboka. Przeglądając te poufne pisma, widzieliśmy po kolei przechodzących przed nami: Henryka VIII, z zmysłową jego gburowatością, Lawrensa Sterna, z umysłem żywym i sentymentalnym, Swifta, z właściwym mu egoizmem, Samuela Johnsona, pełnego wzruszającéj abnegacyi. Braliśmy także udział w srogich cierpieniach lady Hamilton, aniola stróża Nelsona; pojmowaliśmy dręczącą zazdrość Vanessy i szczytne poświęcenie Stelli; czuliśmy wreszcie bijące nam serce przy opowiadaniu słodkich zwierzeń miss Clarindy, lady Henryetty Berkelej, lady Murray, lady Montagu; i widząc przed nami defilujące to poetyczne grono Angielek czułych i omdlewających, miłych i dowcipnych, zrozumieliśmy życzenia Byrona, który pragnął, aby wszystkie kobiéty jedne tylko miały usta, by je mógł kochać wszystkie razem.

RYSZARD III

TRAGEDYA SZEKSPIRA.

PRZEKŁAD

Józefa Paszkowskiego.

(Ciąg dalszy).

AKT III.

Scena piérwsza.

Londyn. Ulica.

Odgłos trąb. Wchodzą: książę WALII, GLOSTER, BUKINGHAM, *kardynał* BOURCHIER *i inni.*

BUKINGHAM.

Witaj nam, książę, w Londynie, twym domu!

GLOSTER.

Witaj, bratanku, panie myśli moich!
Trudy podróży zasępiły-ć humor.

Ks. WALII.

Nie, stryju; tylko mi przygody w drodze
Przykrą i ciężką uczyniły podróż:
Brak tu na moje przyjęcie mych wujów.

GLOSTER.

Kochany książę, nieskażona prawość,
Właściwa twemu wiekowi, nie dała

Poznać ci jeszcze przewrotności świata;
Niczego więcéj nie dostrzegasz w ludziach,
Jak tylko pozór ich zewnętrzny, który,
Bogu wiadomo, rzadko albo nigdy
Nie chodzi w parze z sercem. Ci wujowie,
Których tu braknie, byli niebezpieczni:
Wasza królewska mość zwracałaś ucho
Do ich miodowych słów, a nie zwracałaś
Uwagi na ich wewnętrzną truciznę.
Niech cię, mój książę, Bóg od nich uchowa,
I od podobnie fałszywych przyjaciół!

Ks. WALII.

Tak, od fałszywych przyjaciół; lecz oni
Wcale takiemi nie są.

GLOSTER.

Mości książę,
Major londynu idzie cię powitać.
(Lord major wchodzi z swym orszakiem).

MAJOR.

Niech Bóg na Waszą książęcą mość zlejo
Błogosławieństwo w zdrowiu i radości!

Ks. WALII.

Dziękuję-ć mój majorze,—i wam wszystkim,
(Lord major z swym orszakiem wychodzi).
O wiele prędzéj myślałem się spotkać
Z matką i z bratem Jorkiem. Co za ślimak,
Z tego Hastyngsa, że też nie przychodzi
Powiedzieć nam, czy przyjdą, czy nie przyjdą.
(Hastyngs wchodzi).

BUKINGHAM.

Otóż i zdąża nasz lord cały w potach.

Ks. WALII.

I cóż, milordzie? idzie nasza matka?

HASTYNGS.

Królowa, matka Waszéj książęcéj mości,
I jéj syn,— Bogu wiadomo dlaczego,
A nie mnie, w święte schronili się miejsce.
Książe-by chętnie był tu zemną przybył,
Dla powitania Waszéj wysokości,
Ale go matka gwałtem zatrzymała.

BUKINGHAM.

Cóż to za dziki i dziwaczny wybryk
Z jéj strony? Zechciéj, lordzie kardynale,
Skłonić królowę, aby bez odwłoki
Przysłała księcia Jork miłościwemu
Księciu następcy. Na przypadek, gdyby
Trwała w odmowie, wy, lordzie Hastyngsie,
Pójdziecie z jego Eminencyą razem,
Aby go wyrwać z jéj zazdrosnych objęć.

KARDYNAŁ.

Milordzie, jeśli słaba ma wymowa
Zdoła rozłączyć księcia z jego matką,
Możecie się go zaraz tu spodziewać;
Jeżeli jednak na łagodne prośby
Będzie nie czułą, niech nas Pan Bóg broni,
Przywiléj świętéj naruszać ustroni!
Za cały kraj ten, milordzie, nie chciałbym
Przyjąć na siebie tak ciężkiego grzechu.

BUKINGHAM.

Za skrupulatnie rzecz bierzesz, milordzie,
Za pedantycznie, za tradycyonalnie;
Chciéj, bez uprzedzeń, zważyć, że krok taki,
W obecnym razie, nie byłby zgwałceniem
Świętego miejsca, z dobrodziejstw którego
Teraz jak zawsze może ten korzystać,
Co na nie swemi czynami zasłużył.
I ma ten dowcip, że się doń ucieka.
Książę Jork ani się uciekał do nich,
Ani też na nie zasłużył; dlatego
Nie może, mojém zdaniem, ich kosztować.
Biorąc go przeto ztamtąd, gdzie właściwie,
Bo własnowolnie nie jest, nie złamiecie
Żadnego prawa, ani przywileju.
Słyszałem nieraz, że się ludzie chronią
Do świątyń, ale żeby się do świątyń
Dzieci chroniły, jeszcze nie słyszałem.

KARDYNAŁ.

Tym razem, książę, zamknąłeś mi usta.
Milordzie Hastyngs, czy idziesz pan ze mną?

HASTYNGS.

Idę, milordzie.

Ks. WALII.

Załatwcie to, proszę,
Mili panowie, jak najprędzéj.
(Kardynał i Hastyngs wychodzą).
Stryju,
Racz mi powiedzieć, gdzie, jak mój brat przyjdzie,
Przebywać będziem aż do koronacyi?

GLOSTER.

Gdzie Wasza księca mość uzna za dobre.
Gdyby mi wszakże wolno było radzić,
To możeby się Waszej wysokości
Przez jaki dzień lub dwa dni podobało,
Wypocząć w Towrze; poczembyś się panie
Przeniósł gdzie zechcesz, gdzieby najstosowniéj
Było dla zdrowia, i najodpowiedniéj
Upodobaniu Waszéj księcéj mości.

Ks. WALII.

Mam wstręt do Towru; żadne inne miejsce
Nie budzi we mnie tak wielkiéj odrazy.
Wszakżeto Juliusz Cezar wzniósł tę wieżę?

GLOSTER.

On był najpierwszym jéj założycielem,
Ale dzisiejszą swoją postać winna
Późniejszym czasom.

Ks. WALII.

Czy to jest opartém,
Na dokumentach, czy tylko podaném
Koleją czasów, że on ją założył?

BUKINGHAM.

Na dokumentach to oparte, panie.

Ks. WALII.

Przypuśćmy jednak, milordzie, że o tém
Kroniki milczą: mnieby się zdawało,
Że prawda żyćby powinna przez wszystkie
Koleje czasów, tak, jak gdyby była
Rozczęstkowaną pomiędzy potomność,
Aż do ostatnich dni świata.

GLOSTER
(na stronie).

Kto tyje
Przedwcześnie w rozum, ten nie długo żyje.

Ks. WALII.

Co mówisz, stryju?

GLOSTER.

Mówię, mości książę,
Że i bez kronik sława długo żyje.

Ks. WALII.

Ten Juliusz Cezar był sławnym człowiekiem:
Czem mu odwaga zbogaciła rozum,
To jego rozum spisał, by uwiecznić
Jego odwagę. Śmierć nie zwyciężyła
Tego zwycięzcy, bo dotychczas żyje
W rozgłosie, chociaż nie w rzeczywistości.
Wiesz co, milordzie Bukingham?

BUKINGHAM.

Co, panie?

Ks. WALII.

Jeśli Bóg da mi dożyć lat dojrzałych,
To prawa nasze we Francyi odzyskam,
Lub życie oddam, a zdobędę chwałę.

GLOSTER
(na stronie).

Zawczesnéj wiosny ciepło krótkotrwałe.
(Jork, Hastyngs i Kardynał wchodzą).

BUKINGHAM.

Otóż i w porę książę Jork nadchodzi.

Ks. WALII.

Ryszardzie Jork, kochany bracie, witaj!

JORK.

Bądź pozdrowiony, miłościwy panie:
Bo tak winienem teraz cię nazywać.

Ks. WALII.

Tak, bracie, z równym żalem dla nas obu.
Zbyt świeżo umarł ten, co go tak zwano,
I z jego śmiercią tytuł ten utracił
Wiele powagi.

GLOSTER.

Jakże się nam miewa
Nasz luby kuzyn Jork?

JORK.

Dziękuję-ć, stryju.
Patrzaj, milordzie: mówiłeś mi kiedyś,
Że nieprzydatny chwast szybko podrasta;
A oto brat mój o wiele mnie przerósł.

GLOSTER.

Prawda, milordzie.

JORK.

Czyż on nieprzydatny?

GLOSTER.

O mój kuzynku, któżby to powiedział?

JORK.

Takim sposobem jest on ci, stryjaszku,
Więcéj, niżeli ja, obowiązany.

GLOSTER.

On, jako pan mój, może mną rozrządzać;
Książę masz do mnie prawo jako krewny.

JORK.

Proszę cię, stryju, daj mi ten puginał.

GLOSTER.

Puginał ten? najchętniéj, kuzyneczku.

Ks. WALII.

Żebrzesz? Fe, bracie.

JORK.

Czemu nie? u stryja,
Który w dobroci swéj mi nie odmówi,
I o drobnostkę taką, któréj nie żal.

GLOSTER.

Gotów-em nawet chętnie coś większego
Dać ci, kuzynku.

JORK.

Coś większego nawet?
Ten miecz naprzykład?

GLOSTER.

I owszem, najchętniéj;
Jeżeli tylko znajdziesz go dość lekkim.

JORK.

Lekkie więc tylko dary dajesz, stryju,
A kiedy idzie o coś ważniejszego,
To wtedy z kwitkiem odprawiasz żebraka?

GLOSTER.

Ależ, kuzynku, miecz ten nie jest wcale
Do twojéj ręki; on ma wagę.

JORK.

Dla mnie
Nie ma on żadnéj, chociażby był cięższym.

GLOSTER.

Chcesz, bym ci oddał broń, mój mały lordzie?

JORK.

Tak jest, i dank mój za to będzie taki,
Jak mię nazwałeś, stryju.

GLOSTER.

Jaki?

JORK.

Mały.

Ks. WALII.

Nasz brat Jork zwykł się przekomarzać zawsze:
Wasza Cześć raczy go cierpliwie znosić.

JORK.

Chciałeś powiedzieć, miłościwy bracie,
Nosić, nie znosić. Zaprawdę, stryjaszku,
Brat mój żartuje sobie z Was i ze mnie:
Myśli on sobie, że ponieważ jestem,
Nieprzymierzając, tak mały jak małpa,
Powinnibyście mię nosić na grzbiecie.

BUKINGHAM
(na stronie).

Co za subtelny dowcip w jego słowach!
Dla złagodzenia swych szyderstw ze stryja,
Zręcznie i trafnie wyszydza sam siebie:
Taką przebiegłość, w tym wieku, rzecz rzadka!

GLOSTER.

Łaskawy książę, racz się udać daléj,
Ja z mym kuzynem Bukinghamem pójdę

Do waszéj matki, aby ją uprosić,
Iżby was w Towrze powitała.

JORK.

Jakto?
Chcesz iść do Towru, miłościwy bracie?

Ks. WALII.

Milord protektor życzy sobie tego.

JORK.

Nie będę w Towrze spał spokojnie.

GLOSTER.

Czemu?
Czegóżbyś mógł się obawiać, kuzynku?

JORK.

Gniewnego ducha stryjaszka Klarensa:
Babunia mówi, że go tam zabito.

Ks. WALII.

Ja się nieżywych krewnych nie obawiam.

GLOSTER.

Ani żadnego z tych, sądzę, co żyją.

Ks. WALII.

Sądzę, że nie mam czego się obawiać,
Jeżeli żyją. Tak więc z żalem tylko,
Zwracając do nich myśl, idę do Towru.
(Książę Walii, książę Jork, Hastyngs i Kardynał z orszakiem wychodzą).

BUKINGHAM.

Myślisz, milordzie, że ten mały krzykacz
Nie był podszczuty przez swą chytrą matkę,
Do przymawiania ci i drwienia z ciebie
W tak obelżywy sposób?

GLOSTER.

Ani wątpić.—
O, zły-to chłopiec, zuchwały, gwałtowny,
A przytém sprytny i cięty nad lata:
Kochanéj mamy wykapany obraz.

BUKINGHAM.

Nateraz pokój im.—Ketsby!
(Ketsby zbliża się).

Przysiągłeś
Zarówno ściśle spełnić nasze chęci,
Jak w tajemnicy trzymać nasze słowa;
Zamysły nasze już ci są wiadome.
Jak myślisz? jestli-to łatwém zadaniem,
Wiliama Hastyngs zjednać naszéj sprawie,
Gwoli oddania temu cnemu księciu
Berła téj naszéj sławnéj w dziejach wyspy?

KETSBY.

Przez pamięć ojca jest on przywiązany
Do księcia Walii tak, że niezawodnie
Niczém się nie da od niego odwrócić.

BUKINGHAM.

Cóż o Stanleju sądzisz? czy ten giętszy?

KETSBY.

Ten działać będzie we wszystkiém jak Hastyngs.

BUKINGHAM.

Dobrze więc; teraz idzie tylko o to,
Kochany Ketsby, ażebyś z daleka
Wybadał lorda Hastyngsa, o ile
Usposobiony jest nam odpowiednio;
Tudzież, ażebyś go na jutro rano
Wezwał do Towru, dla uczestniczenia
W naradach naszych względem koronacyi.
Jeżeli znajdziesz go powolnym dla nas,
Dodaj mu bodźca i zwierz mu nasz zamiar;
Jeśli zaś będzie trudny, chłodny, twardy,
Bądź i ty takim; utnij z nim rozmowę:
Mamy mieć jutro drugą jeszcze radę,
W któréj cię czeka znakomita rola.

GLOSTER.

Pozdrów milorda Wiliama odemnie;
Powiedz mu, Ketsby, że odwiecznéj lidze
Zawziętych jego nieprzyjaciół, jutro,
W Pomfretskim zamku, krew będzie puszczoną.
Niech mój przyjaciel na tę wieść, z radości,
Da jeden całus więcéj pani Szor.

BUKINGHAM.

Idź, mój kochany Ketsby: zrób to sprawnie.

KETSBY.

Spuśćcie się na mnie, szlachetni lordowie;
Jak najoględniéj wywiążę się z tego.

GLOSTER.

Dasz-że o sobie słyszéć nim, spać pójdziem?

KETSBY.

Z pewnością.

GLOSTER.

W Krosby znajdziesz nas obudwóch.
(Ketsby wychodzi).

BUKINGHAM.

Cóż uczynimy, milordzie, poznawszy,
Że Hastyugs nie chce z nami się połączyć?

GLOSTER.

Utniem mu głowę, braciszku, i kwita.—
Coś w takim razie trzeba będzie zrobić.—
A jak zostanę królem, nie zapomnij
Zażądać hrabstwa Hereford odemnie,
I darowizny wszelkich dóbr ruchomych,
Jakie nieboszczyk król, nasz brat, posiadał.

BUKINGHAM.

Będę miał zaszczyt upomnieć się o to.

GLOSTER.

I z serca będzie ci to udzielonem.
Idźmy zjeść teraz wieczerzę, a potém
Trawiąc ją, lepiéj zamiar nasz przetrawim.
(*Wychodzą*).

Scena druga.

Przed domem Hastyngsa.

Posłaniec wchodzi i puka do drzwi.

POSŁANIEC.

Milordzie!

HASTYNGS
(wewnątrz):

Kto tam?

POSŁANIEC.

Ktoś od lorda Stanléj.

HASTYNGS
(wewnątrz).

Która godzina?

POSŁANIEC.

Zaraz będzie czwarta.
(Hastyngs wchodzi).

HASTYNGS.

Czy twój pan sypiać po nocach nie może?

POSŁANIEC.

Takby się z tego, co powiem, zdawało.
Najprzód, pozdrawia on Waszą Wielmożność.

HASTYNGS.

A potém?

POSŁANIEC.

Potém oznajmia Wam, panie,
Iż mu się nocy dzisiejszéj przyśniło,
Że dzik mu zerwał szyszak. Mówi przytém,
Że się dziś odbyć mają aż dwie rady,
I łatwo może na jednéj z nich wypaść
Coś, coby mogło Wam, panie, i jemu
Być nie po myśli na drugiéj; dlatego
Przysyła do Was, panie, z zapytaniem,
Ażaliby się Waszej Wielmożności
Nie podobało wsiąść z nim na koń zaraz
I co tchu pognać w kierunku północy?
Dla uniknienia niebezpiecznych następstw,
Jakie przeczucie jego odgaduje.

HASTYNGS.

Idź Wasze z Bogiem! powiédz swemu panu,
Niech się nie boi téj podwójnéj rady:
Jego Cześć i ja będziemy na jednéj;
Na drugiéj Ketsby, mój dobry przyjaciel:
Gdyby tam miało co zajść z naszą szkodą,
Naprzódbym o tém był uwiadomiony.
Obawy jego są, powiédz mu, płonne
I bezzasadne—co się zaś dotyczy
Jego snu, dziwno mi, jak on być może
Tak niedorzeczny, żeby dawać wiarę
Błahym złudzeniom niespokojnéj drzymki.
Pierzchać przed dzikiem, nim dzik na sztych idzie,
Jestto pobudzać go, żeby nas ścigał;
Gon wywoływać, o którym on nie śni.

Idź przyjacielu, powiedz swemu panu,
Żeby wstał z łóżka i przyszedł tu do mnie,
A razem pójdziem do Towru, gdzie ujrzy,
Jak się uprzejmie z nami dzik obejdzie.

POSŁANIEC.

Idę, i wiernie powiem mu to wszystko.
(*Wychodzi*).

(Ketsby wchodzi).

KETSBY.

Potrzykroć dobry dzień, zacny milordzie!

HASTYNGS.

Dzień dobry, Ketsby; coś wcześnie dziś wstałeś.
Cóż tam nowego, co nowego słychać
W naszém chwiejącém się państwie?

KETSBY.

W istocie,
Świat nasz się tacza. milordzie, i mniemam,
Że póty prosto stać nie będzie, póki
Ryszard nie włoży na swą głowę wieńca.

HASTYNGS.

Wieńca? Czy przez to rozumiész koronę?

KETSBY.

Tak jest, milordzie.

HASTYNGS.

Dam sobie wprzód głowę
Zdjąć z tego karku, nim ujrzę koronę
Na tak niegodném miejscu położoną.
Jakto? Czy-ś dostrzegł, że on do niéj zmierza?

KETSBY.

Jak żyw tu stoję, i waszą, milordzie,
Pomoc ku temu tuszy sobie zjednać:
Zaczem przysyła Wam tę wieść pomyślną,
Że wasze wrogi, krewniaki królowéj,
Dziś jeszcze w zamku Pomfret śmierć poniosą.

HASTYNGS.

Nad tą nowiną wprawdzie nie boleję,
Bo oni zawsze mi byli przeciwni;
Ale głosować za Ryszardem, z ujmą
Prawych następców mojego monarchy,
Tego nie zrobię, Bóg widzi, do śmierci.

KETSBY.

Zachowaj Boże Waszą Cześć w tych chęciach!

HASTYNGS.

Ale ja jeszcze śmiać się z tego będę
Kawałek czasu, i przyjdzie mi jeszcze
Kiedyś być świadkiem tragicznego końca
Tych, co mię przed mym panem oczerniali.
Zobaczysz Ketsby, nim się zestarzeję
O dwa tygodnie, sprzątnę z drogi takich,
Którzy się tego ani spodziewają.

KETSBY.

Smutna to dola, milordzie, umierać
Niespodziewanie, bez przygotowania.

HASTYNGS.

O straszna, straszna! Takiéj doświadczają
Rivers, Grej, Vaughan, takiéj też doświadczą
I inni, co się bezpiecznymi sądzą
Jak ja i Waszmość; co są, jak wiész, drodzy
Kniaziowi Gloster i Bukinghamowi.

KETSBY.

Wysoko stoisz, milordzie, w uznaniu
Obu tych książąt.

(Do siebie).

Wysoko zaiste,
Bo cię uznają godnym rusztowania.

(Stanlej wchodzi).

Bywaj-że, bywaj! Gdziesz twój oszczep, bracie?
Lękasz się dzika, a chodzisz bezbronny?

STANLEJ.

Dzień dobry Waszéj Czci; dzień dobry, Ketsby.
Żartujcie zdrowi, ale na krzyż Pański,
Mnie się ta dwójca narad nie podoba.

HASTYNGS.

Cenię me życie równie jak wy wasze,
I nigdy w życiu, wierzaj mi, milordzie,
Nie było ono mi droższém jak teraz.
Czy myślisz, żebym miał tak lekki humor,
Gdybym przyszłości naszéj nie był pewny?

STANLEJ.

Owi lordowie z Pomfret wyjeżdżali
Raźnie z Londynu, spokojnymi byli

O swoją przyszłość; bo i w rzeczy saméj
Nie mieli żadnéj racyi do podejrzeń;
A jakże prędko dzień ich się zachmurzył!
Ten nagły wybuch tłumionéj niechęci
Skłonnym mię czyni do niedowierzania.
Dałby Bóg, żebym tchórzył nadaremnie!
I cóż, czy idziem do Towru? Już pora.

HASTYNGS.

Idźmy, milordzie, idźmy; bądź spokojny.
Czy wiész? dziś będą mieli głowę ściętą
Owi lordowie, o których wspomniałeś?

STANLEJ.

Imby za stałą ich wiarę przystało
Nosić na karku głowy, lepiéj może,
Niż niejednemu z ich oskarżycieli
Kapelusz. Ale idźmy już, milordzie.
(Podherold wchodzi).

HASTYNGS.

Idźcie panowie naprzód; muszę pierwéj
Pomówić jeszcze nieco z tym człowiekiem.
(Stanlej i Ketsby wychodzą).
Jakże się Waści powodzi?

PODHEROLD.

Tém lepiéj,
Kiedy się milord raczy o to pytać.

HASTYNGS.

Mnie się powodzi teraz lepiéj, bracie,
Niż ongi, kiedy-ś-to do mnie tu przyszedł;
Wtedy do Towru szedłem jako więzień,
Dzięki staraniom stronnictwa królowéj;
Dziś zaś, (zachowaj to proszę, przy sobie),
Dziś przeciwnicy moi są traceni,
A moja sprawa lepszą jest niż kiedy.

PODHEROLD.

Daj Boże, aby z niéj Wasza Cześć była
Zadowoloną zawsze!

HASTYNGS.

Bóg ci zapłać!
Na, masz tu; napij się za moje zdrowie.
(Rzuca mu sakiewkę).

PODHEROLD.

Kornie dziękuję Waszéj Wielmożności.

(Wychodzi)

(Ksiądz wchodzi).

KSIĄDZ.

Milordzie, cieszę się, że mam sposobność
Widzenia Waszéj Cześci w dobrém zdrowiu.

HASTYNGS.

Z serca dziękuję-ć, kochany sir Dżonie.
Jestem ci jescze, zdaje mi się, dłużny
Za twą ostatnią duchowną posługę:
Przyjdź w tę niedzielę, to się porachujem.

(Bukingham wchodzi).

BUKINGHAM.

Z księżmi rozmawiasz, panie szambelanie?
Ksiądz jest potrzebny twoim przyjaciołom,
Co w Pomfret siedzą; ale Wasza miłość
Ma co innego przed sobą jak spowiedź.

HASTYNGS.

W istocie, to też zaledwie spotkałem
Tego świętego męża, taki zaraz
Owe osoby stanęły mi w myśli.
Idziesz do Towru, mości książę?

BUKINGHAM.

Idę,
Ale nie długo będę mógł tam bawić:
Wyjdę przed wami, milordzie.

HASTYNGS.

Być może,
Bo ja zabawię tam aż do obiadu.

BUKINGHAM

(do siebie).

I do kolacyi, o czém jeszcze nie wiesz.—
Idziemy?

HASTYNGS.

Służę ci, kochany książę.

(Wychodzą).

Scena trzecia.

Pomfret. Przed zamkiem.

RATKLIF *wchodzi, za nim* RIVERS, VAUGHAN *i* GREJ *pod strażą, prowadzeni na stracenie.*

RATKLIF.

Wprowadźcie na plac więźniów.

RIVERS.

Sir Ratklifie,
Pozwól powiedzieć sobie tylko tyle,
Że będziesz świadkiem dziś śmierci trzech ludzi,
Których występkiem całym była wierność,
Szczerość i prawość.

GREJ.

Oby tylko nieba,
Księcia następcę raczyły zasłonić
Przed waszą ligą, tą bandą pijawek!

VAUGHAN.

Wy, którym wolno jeszcze świat oglądać,
Pożałujecie gorzko tego z czasem.

RATKLIF.

Kończcie! stoicie u kresu żywota.

RIVERS.

O Pomfret! Pomfret! krwawe ty więzienie.
Złowrogie, zgubne dla szlachetnych parów!
W twoich-to murów zabójczym obrębie
Był Ryszard drugi na śmierć zarąbany,
I na tém większy twój zakał: dziś tobie
Dają niewinną naszą krew do picia.

GREJ.

Spełnia się owa klątwa Małgorzaty,
Którą rzuciła na Hastyngsa, na was
I na mnie, za to, że-śmy byli przy tém,
Kiedy jéj syna zabił Ryszard Gloster.

RIVERS.

Przeklęła ona Hastyngsa, przeklęła
I Bukinghama; przeklęła Ryszarda:
O Boże, zjiść jéj modły przez wzgląd na nią

I przez wzgląd na nas! za moją zaś siostrę
I za jéj synów niechaj ci, o Panie,
Wystarczy nasza krew, co, jak wiész, teraz
Niesprawiedliwie ma zostać przelaną.

RATKLIF.

Spieszcie się, śmierci godzina nadeszła.

RIVERS.

Greju, Vaughanie, zamieńmy uściski.
Żegnam was, żegnam; do widzenia w niebie!
(Wszyscy wychodzą).

Scena czwarta.

Sala posiedzeń w Towrze.

BUKINGHAM, STANLEJ, HASTYNGS, *biskup* ELY, KETSBY, LOWEL *i inni siedzą u stołu; za niemi stoi służba.*

HASTYNGS.

Tak więc, szlachetni parowie, przedmiotem,
Który nas znaglił zebrać się obecnie,
Jest obchód koronacyi. W imię boże,
Mówcież, jak prędko ten akt ma się odbyć.

BUKINGHAM.

Wszystkoż do niego już przygotowane?

STANLEJ.

Tak jest, brak tylko oznaczenia, kiedy?

ELY.

Jutro więc: dzień ten zda mi się dogodnym.

BUKINGHAM.

Któż zna w téj mierze myśli protektora?
Kto onego księcia jest najzaufańszym?

ELY.

Wasza Cześć jego myśli znasz najlepiéj.

BUKINGHAM.

Znamy się z twarzy, ale co do serca,
Nie zna on mego lepiéj jak ja wasze;

Ani ja jego serca nie znam lepiej,
Jak wy, milordzie, moje. Lordzie Hastyngs,
Wasza Cześć jesteś z nim, mówią, zażyle.

HASTYNGS.

Wdzięcznym się czuję Jego Wysokości;
Wiem, że mi sprzyja: ale jego myśli
O koronacyi nie wybadywałem,
Ani on także nie raczył mi zwierzyć
Swoich łaskawych chęci pod tym względem.
Możecie czas oznaczyć, milordowie,
A ja poważę się dać głos za księcia,
Czego on, tuszę, za złe mi nie weźmie.
(Gloster wchodzi).

ELY.

W porę nadchodzi sam dostojny książę.

GLOSTER.

Dzień dobry, mili panowie i bracia!
Zaspałem trochę sprawę, ależ przecię
To opóźnienie się moje, rozumiem,
Nie naraziło na odwłokę żadnej
Ważniejszej kwestyi, której roztrzygnienie
Mogło wymagać mojej obecności.

BUKINGHAM.

Gdybyś był książę nie nadszedł z za kulis,
Lord Wiliam Hastyngs gotów był odegrać
Twą rolę, to jest, byłby był za ciebie
Dał głos w przedmiocie aktu koronacyi.

GLOSTER.

Nikt być nie może śmielszym jak lord Hastyngs;
Jego Cześć sprzyja mi i zna mię dobrze.—
Milordzie Ely, świeżo będąc w Holborn,
Widziałem w sadzie twym piękne truskawki:
Każ mi ich przynieść trochę, jeśli łaska.

ELY.

Z całego serca, miłościwy książę.
(Wychodzi).

GLOSTER.

Słówko, milordzie Bukinghamie.
(Na stronie do niego).
Ketsby
Badał Hastyngsa, w tém co wiesz, i znalazł
Twardego pańka tak zapamiętałym,

Że prędzéj głowę wystawi na hazard,
Niż ścierpi, aby dziecko jego pana,
Jak się wyraża, było pozbawione
Swojéj posady na angielskim tronie.

BUKINGHAM.

Wyjdź ztąd na chwilę, książę, i ja wyjdę.
(Gloster i Bukingham wychodzą).

STANLEJ.

Jeszcze-śmy o téj świętéj ceremonii
Nic stanowczego nie wyrzekli. Jutro
Byłoby, mniemam, cokolwiek za wcześnie;
Ja sam nie jestem tak przygotowany,
Jakbym był, gdyby to miało być późniéj.
(Biskup Ely powraca).

ELY.

Gdzie lord protektor? Kazałem pójść przynieść
Owych truskawek.

HASTYNGS.

Dziś Jego Wysokość
Wygląda jakoś słodko i promiennie:
Musi mieć w myśli coś, z czego jest kontent,
Kiedy tak raźnie dzień dobry powiedział.
Nikt w chrześcijaństwie nie umie, mém zdaniem,
Mniéj jak on taić chęci i niechęci:
Z jego lic zaraz poznasz, co ma w sercu.

STANLEJ.

Jakążeś dzisiaj u niego, milordzie,
Skazówkę serca wyczytał na licach?

HASTYNGS.

Tę, że nic przeciw nikomu z nas nie ma;
Bo niechby tylko miał urazę jaką,
Byłby to zaraz pokazał po minie.
(Gloster i Bukingham powracają).

GLOSTER.

Wzywam was wszystkich, co-ście tu zebrani,
Powiedzcie, na co zasługują tacy,
Co za pomocą szatańskiego środka,
Przeklętych czarów, na śmierć moją dybią?
I piekielnemi urokami swemi
Zgubny wywarli wpływ na moje ciało?

HASTYNGS.

Przychylność, jaką w sercu mojém żywię
Ku wam, milordzie, przynagla mię w obec

Całego tego cnego zgromadzenia
Potępić winnych tak sromotnéj zbrodni.
Ktokolwiek oni są, głośno oświadczam,
Że zasługują na śmierć.

GLOSTER.

Niechże tedy
Wzrok wasz takowéj zbrodni da świadectwo!
Patrzcie, jak srodze mię oczarowano;
Wyschło mi ramię, jak zwiędła latorośl:
Edwarda żona-to, ta-to zła wiedźma,
W współce z bezwstydną tą babą, Szorową,
Tak mię czartowskim kunsztem naznaczyły.

HASTYNGS.

Jeśli to one uczyniły, panie,—

GLOSTER.

Jeśli! nierządnych niewiast protektorze,
Ty mi śmiesz prawić *jeśli?* Jesteś zdrajcą.—
Uciąć mu głowę! Na świętego Pawła,
Nie prędzéj tknę się jadła, aż ją ujrzę.—
Lowel i Ketsby, bądźcie w tém.—Kto ze mną,
Ten niech powstanie i opuści salę.
(*Cała rada wychodzi z Glosterem i Bukinghamem).*

HASTYNGS.

Biada ci, Anglio! biada! mnie bynajmniéj.
Niebaczny! miałem czas temu zapobiedz,
Bo Stanlejowi śniło się, że dzik mu
Hełm strącił z głowy; ale nie zważałem
Na tę przestrogę: wzgardziłem ucieczką.
Trzy razy potknął się dzisiaj mój rumak,
I dęba stanął, gdy zobaczył Tower,
Jak gdyby wstręt miał wieźć mię do szlachtuza.
O, teraz mi ów ksiądz jest pożądany,
Z którym mówiłem dzisiaj; teraz żal mi,
Żem tak niewcześnie tryumfował, mówiąc
Podheroldowi, iż dziś jeszcze moi
Nieprzyjaciele w Pomfret śmierć poniosą,
A ja sam jestem bezpieczny i w łaskach.
O Małgorzato! już przekleństwo twoje
Dosięga głowy biédnego Hastyngsa.

KETSBY.

Spiesz się, milordzie, książę chce jeść obiad:
Czeka na głowę twoją; módl się prędko.

HASTYNGS.

O krótkotrwała łasko śmiertelników!
Za którą gonim bardziéj jak za Boską!
Kto swe nadzieje zakłada na próżni
Twoich zwodniczych objawów, ten żyje
Jako pijany ów na maszcie majtek,
Którego lada chybnięcie jest zdolne
Strącić w fatalne wnętrzności otchłani.

LOWEL.

Idźmy! Wykrzyki na nic się nie zdadzą.

HASTYNGS.

Krwawy Ryszardzie!—Nieszczęśliwa Anglio!
Okropne czasy przepowiadam tobie,
Na jakie nigdy jeszcze świat nie patrzał.
Prowadźcie mię pod miecz!—Raduj się, Glostrze;
Ale miecz, pomnij, ma podwójne ostrze.
(Wychodzi; za nim Ketsby i Lowel).

Scena piąta.

Pod murami Towru.

GLOSTER *i* BUKINGHAM *w zardzewiałych, niekształtnie wyglądających zbrojach, wchodzą spiesznie.*

GLOSTER.

Brawo, milordzie! umiész, jak uważam,
Drżéć, blednąć, dławić dech w pośrodku słowa;
Potém zaczynać znów, i znów ucinać:
Jak gdyby przestrach odjął ci przytomność.

BUKINGHAM.

Ot, naśladuję biegłego tragika;
Mówię, i patrzę w tył i zerkam na bok;
Milknę i wzdrygam się, gdy się źdźbło ruszy,
Jak gdybym nie był panem podejrzenia,
Nurtującego w głębi mojéj duszy.
Błędne spojrzenia mam na zawołanie,
I przymuszone uśmiechy: oboje
Gotowe zawsze służyć mym podejściom.—
Czy Ketsby poszedł już?

GLOSTER.

Poszedł i oto
Lorda majora prowadzi już z sobą.
(Lord major i Ketsby wchodzą).

BUKINGHAM.

Pozwól, milordzie, bym z nim sam pomówił.—
Lordzie majorze,—

GLOSTER.

Bacz na most zwodzony.

BUKINGHAM.

Słyszycie? bęben.

GLOSTER.

Ketsby, spojrzyj z murów.

BUKINGHAM.

Lordzie majorze, przyczyną, dla której
Zawezwaliśmy was—

GLOSTER.

Patrz za się! broń się!
Nieprzyjaciele zdążają w tę stronę.

BUKINGHAM.

Niech nas Bóg strzeże i niewinność naszą!
(Lowel i Ratklif wchodzą, niosąc głowę Hastyngsa).

GLOSTER.

Próżny strach; to są przyjaciele nasi,
Ratklif i Lowel.

LOWEL.

Oto głowa tego
Niecnego zdrajcy, tego intryganta
Niebezpiecznego, chytrego Hastyngsa.

GLOSTER.

Tak-em go kochał, że zapłakać muszę.
Miałem go zawsze za wzór rzetelności,
Jakiéj się chyba równa może zdarzyć
Na całéj kuli ziemskiéj, pośród chrześcian.
On mi był księgą, w któréj moja dusza
Zapisywała dzieje wszystkich swoich
Najskrytszych myśli. Tak gładko swe wady
Pozorem cnoty upoliturował,

Że pominąwszy jedną jawną zdrożność,
Tojest stosunki jego z żoną Szora,
Z nizkąd nie mogło paść nań podejrzenie.

BUKINGHAM.

W istocie, jeszcze nie było pod słońcem
Układniejszego zdrajcy.—Patrz, majorze;
Czy-byś wystawił sobie, czy-byś wierzył,
Gdybyśmy, cudem zostawszy przy życiu,
Nie zaświadczyli o tém, że ten nędznik,
Zamierzył sobie dziś, w pośrodku rady,
Jego Dostojność i mnie zamordować?

MAJOR.

Doprawdy? Hastyngs miał ten zamiar?

GLOSTER.

Cóż-to?
Myślisz pan, że-śmy Turcy lub poganie?
Że-byśmy przeciw wszelkim formom prawa
Tak się kwapili z zadaniem mu śmierci,
Gdyby wiszący spisek, spokój Anglii,
Nareszcie własne bezpieczeństwo nasze
Nie było tego po nas wymagało?

MAJOR.

Ha, w takim razie zasłużył on na śmierć,
I Excellencye dobrze uczyniły
Dając ten przykład, zdolny innych zdrajców
Od tym podobnych zamachów odstręczyć.

BUKINGHAM.

Odkąd się zadał z miss Szor, ja się po nim
Nie spodziewałem niczego lepszego.
Nie kazaliśmy wszakże by go ścięto
Wprzód, ażby Wasza Cześć przyszła to widzieć;
Ale żarliwy pośpiech tych przyjaciół,
Zrządził to nieco w kontr naszéj intencyi.
Bardzo-śmy sobie życzyli, milordzie,
Żebyś był słyszał, co mówił ten zbrodzień;
Jak się struchlały przyznawał do środków,
Które do swego celu przygotował;
A pragnęliśmy, żebyś był to słyszał
Dlatego, abyś potém był w możności
Zdać z tego sprawę przed obywatelstwem,
Które się może błędnie zapatrywać
Na nasz postępek i żałować zdrajcy.

MAJOR.

Milordzie, słowo Waszéj Dostojności
Jest dla mnie równie ważném jak świadectwo
Własnych mych oczu i uszu; nie wątpcie
Wasze Książęce Moście, że poczciwe
Obywatelstwo dowie się z ust moich
O sprawiedliwém waszém postąpieniu.

GLOSTER.

Przetośmy Waszą Cześć tu zaprosili,
Dla uniknienia złośliwych zarzutów.

BUKINGHAM.

Skoro zaś cel nasz dopiętym nie został,
Skutkiem spóźnienia się twego, milordzie.
Zechciéj przynajmniéj podać to, co słyszysz,
Że-śmy na celu mieli; a tym czasem,
Czcigodny lordzie majorze, Bóg z wami!
(Lord.major wychodzi).

GLOSTER.

On teraz pędzi jak kula na ratusz;
Idźże tam za nim, bracie Bukinghamie,
I w miarę, jak się zdarzy k'temu zręczność,
Wykaż nieprawość Edwardowych dzieci.
Powiedz tam, jak to król Edward pewnego
Obywatela na śmierć skazał za to,
Za to jedynie, że ten się dał słyszeć,
Iż syna swego uczyni dziedzicem
Korony, mając przez to rzeczywiście
Swój dom na myśli, który tak był zwany,
Z powodu, że miał koronę na szyldzie;
Wytknij też jego szkaradną rozwiązłość,
Jego zwierzęcą skłonność do zmienności,
Która ich sługom, córkom, żonom nawet
Nie przepuszczała: kędy tylko jego
Niestałe serce i lubieżne oko
Mogło łup sobie upatrzyć. W potrzebie,
Rzuć plamę na mnie samego, i powiedz,
Że kiedy moja matka była w ciąży,
Z nienasyconym tym Edwardem, wtedy
Najszlachetniejszy rodzic mój, Jork, toczył
Wojnę we Francyi i z rachuby czasu,
Doszedł, że dziecko to nie było jego;
Co się i z rysów tegoż dało poznać,
W których nie było cienia podobieństwa
Do szlachetnego księcia, mego ojca.

Lecz tego dotknij ostrożnie, zdaleka;
Bo moja matka, jak wiesz, jeszcze żyje.

BUKINGHAM.

Nie troszcz się o to, milordzie; odegram
Tak umiejętnie rolę oratora,
Jak gdyby złoty wieniec mej wymowy
Mnie się miał dostać. Żegnam cię tymczasem.

GLOSTER.

Jeżeli ci się uda z nimi sprawa,
To sprowadź kilku z nich do Baynard's Castle;
Gdzie mię znajdziecie w poważnej kompanii
Czcigodnych Ojców i światłych biskupów.

BUKINGHAM.

Pomiędzy trzecią a czwartą godziną,
Będziesz miał, książę, relacyą z ratusza.
(Wychodzi).

GLOSTER.

Ketsby, idź zaraz do ojca Penkera;—
A ty, Lowelu, do doktora Shau;—
Poproście obu, aby za godzinę
Przybyli do mnie na Bajnardski zamek.
(Lowel i Ketsby wychodzą).
A ja tymczasem pójdę skrycie zlecić,
Aby Klarensa bębnów w kąt schowano;
I rozporządzić, by odtąd nikt zgoła
Do królewiców nie znalazł przystępu.
(Wychodzi).

Scena szósta.

Ulica.

Wchodzi pisarz kancellaryjny.

PISARZ.

Oto egzemplarz aktu oskarżenia
Zacnego lorda Hastyngs, sporządzony
Na czysto, w kopii, która dziś w kościele
Świętego Pawła ma być odczytaną.
Patrzcież, jak jedno z drugiem tu się wiąże:
Potrzebowałem jedenaście godzin
Na przepisanie tylko tego aktu,

Bo Ketsby przysłał mi go wczoraj wieczór;
Musiałci brulion zabrać tyleż czasu,
A przed pięcioma godzinami Hastyngs
Żył jeszcze, wolny, nie indagowany,
I bez zarzutu. Dziwnież się to klei!
Któż jest tak głupi, żeby w tém nie widział
Dotykalnego szelmostwa? Lecz któżby
Tak był odważnym powiedzieć, że widzi?
Zły świat i złe go czekają następstwa,
Gdy milcząc takie widzi się przestępstwa.
(Wychodzi).

Scena siódma.

Podwórze w zamku Bajnarda.

GLOSTER *i* BUKINGHAM *wchodzą z przeciwnych stron.*

GLOSTER.

Jakże tam? jakże? Co mówi mieszczaństwo?

BUKINGHAM.

Na Przenajświętszą krew Chrystusa Pana!
Mieszczaństwo milczy, jak gdyby mu gębę
Kneblem zabito.

GLOSTER.

Czy im napomknąłeś
O nieprawości Edwardowych dzieci?

BUKINGHAM.

A jakżeż i o ślubie z lady Lucy,
I tym we Francyi przez pełnomocnictwo,
I o niesytéj chciwości żądz jego,
I o gwałceniu żon obywatelskich,
I o pastwieniu się jego za fraszki,
I o bękarctwie jego własném, ile
Że był splodzonym w takim czasie, w którym
Szanowny jego ojciec był we Francyi,
I nie był z twarzy do ojca podobnym.
Poczém skreśliłem im twe rysy, książę,
Będące żywym obrazem ojcowskich,
Tak co do kształtów jak i szlachetności,
Odbijającéj szlachetność twéj duszy;
Przywiodłem wszystkie twe zwycięztwa w Szkocyi,

Twą dzielność w boju i mądrość w pokoju,
Twą dobroć, prawość i pokorę: słowem,
Nie pominąłem w ciągu mojéj mowy,
Ani dotknąłem pobieżnie niczego,
Co tylko mogło do celu posłużyć.
A gdym oracyą już wyczerpał, wniosłem,
Ażeby każdy, kto ojczyznę kocha,
Krzyknął: Niech żyje Ryszard, król angielski!

GLOSTER.

I cóż? czy oni to zrobili?

BUKINGHAM.

Gdzie tam!
Boże mi odpuść! nie rzekli i słowa.
Jak nieme głazy, jak zimne posągi
Stali i z trwogą patrzyli po sobie.
Co zobaczywszy, zgromiłem ich ostro,
I zapytałem majora, co znaczy
To uporczywe milczenie? Ten odrzekł:
Że to jest rzeczą niezwykłą dla ludu,
Aby doń mówił kto inny jak syndyk (1);
Więc go znaglilem powtórzyć me słowa,
Co i uczynił, dodając przy każdém,
Tak mówi książę, książę tak podaje;
Ale od siebie nie rzekł nic takiego,
Coby poparło rzecz. Gdy skończył mówić,
Niektórzy z moich własnych zwolenników,
Na drugim końcu sali, wpakowali
Czapki na głowę; z jakie dziesięć głosów
Dało się słyszeć: *„niech żyje król Ryszard"*
Więc podchwytując te, krzyknąłem: *„Dzięki*
Cni przyjaciele i obywatele!
Ten jednozgodny i radosny okrzyk
Świadczy zarówno o mądrości waszéj,
Jak o miłości waszéj dla Ryszarda."
Na tém uciąłem krótko i wyszedłem.

GLOSTER.

Zakute głąby! nie chcieli nic mówić?
Więc Major z swoją gawiedzią nie przyjdzie?

BUKINGHAM.

Major nadejdzie, milordzie, za chwilę.
Udaj, jakobyś był zakłopotanym;

(1) *Recorder*=prokurator miejski, którego obowiązkiem było przemawiać do ludu w ważniejszych sprawach i objaśniać mu takowe językiem dlań zrozumiałym.

Każ się usilnie prosić, nim ich przyjmiesz;
I pomnij w ręku mieć książkę nabożną,
A obok siebie dwóch ojców duchownych;
Bo mi to poda tekst do patetycznéj
Prozopopei. Tylko się droż, panie,
Nim prosbie naszéj uczynisz zadosyć:
Uczyń jak dziewka, mów *nie*, a bierz jednak.

GLOSTER.

Dobrze; odchodzę. Jeśli ty, milordzie,
Będziesz tak dobrze przemawiał za nimi,
Jak ja potrafię mówić *nie*, za siebie,
To rzecz niechybnie załatwim po myśli.

BUKINGHAM.

Idź, mości książę; wejdź na ganek: ztamtąd
Dasz im się widzieć. Lord Major już idzie.

(Gloster wychodzi).

(Wchodzi lord major, aldermani i obywatele).

BUKINGHAM.

Witaj, milordzie! Czekam tu i czekam:
Książę snadź nie chce dać dziś posłuchania.

(Ketsby nadchodzi z zamku).

No, i cóż Ketsby? Cóż twój pan powiedział
Na moją prośbę?

KETSBY.

Prosi Waszą Miłość,
Iżby go jutro raczyła odwiedzić,
Albo po jutrze. Zamknięty jest z dwoma
Świętobliwymi sługami kościoła
I zatopiony w medytacyi; żaden
Światowy powód nie zdoła go skłonić
Do zawieszenia tych duchownych ćwiczeń.

BUKINGHAM.

Kochany Ketsby, oznajm księciu panu,
Że ja, lord major i aldermanowie,
W naglącéj sprawie, w rzeczach wielkiéj wagi,
Bo powszechnego dobra dotyczących,
Przyszliśmy tutaj i w podwórzu stoim,
Pragnąc pomówić z Jego Wysokością.

KETSBY.

Idę niezwłocznie o tém go uprzedzić.

(Wychodzi).

BUKINGHAM.

A co? ten książę, panie, to nie Edward:
Ten się na miękkiem łożu nie rozwala,
Ale na klęczkach duma świętobliwie;
Nie baraszkuje w gronie sprosnych niewiast,
Ale rozmyśla w towarzystwie księży;
Nie śpi, by gnuśne ciało swe utuczył,
Ale się modli, by wzmógł swój duch czynny.
Zaprawdę, Anglia byłaby szczęśliwą,
Gdyby ten książę bogobojny przyjął
Ster rządu nad nią; lecz niestety! pewnie
Nam się nie uda skłonić go do tego.

MAJOR.

Niechże Bóg broni, aby Jego Miłość
Miała powiedzieć *nie!*

BUKINGHAM.

Boję się bardzo,
Czy tak nie zrobi. Oto Ketsby wraca.
(Ketsby wchodzi).
No, Ketsby, jakąż niesiesz nam odpowiedź?

KETSBY.

Jego książęcéj Wysokości dziwno,
W jakim-eś celu, milordzie, na zamek
Sprowadził taki tłum obywateli,
Gdy o tém Jego książęca Wysokość
Uwiadomioną nie była uprzednio.
Jest on w obawie, ażali to jakich
Złych względem niego nie kryje zamiarów.

BUKINGHAM.

Żywo boleję nad tém, że mój wielce
Szlachetny kuzyn przypuszcza z méj strony
Złe względem niego zamiary. Bóg świadkiem,
Że-śmy w najlepszych myślach tu przybyli.
Idź, Ketsby, jeszcze raz; zapewnij o tém
Jego Wysokość.
(Ketsby wychodzi).
Kiedy ludzie pełni
Świętéj dewocyi siedzą nad różańcem,
To ich nie łatwo od niego odciągnąć:
Taką ma w sobie słodycz bogomyślność.
(Gloster ukazuje się na górnéj galeryi, pomiędzy dwoma biskupami. Ketsby powraca).

MAJOR.

Patrzcie-no, wszak-że to Jego Wysokość
Stoi pomiędzy dwoma biskupami.

BUKINGHAM.

Dwa-to filary, na których się cnota
Chrześciańskiego opiera książęcia,
Aby w bezdroża próżności nie upadł.
I w ręku, patrzcie, ma książkę nabożną,
Tę najprawdziwszą ozdobę, po której
Świętobliwego znać męża.—
Przesławny
Plantagenecie, przedostojny książę,
Podaj łaskawe ucho naszéj prośbie;
I wybacz, że-śmy przerwali praktykę
Twéj chrześciańskiéj, żarliwéj dewocyi.

GLOSTER.

Nie ma potrzeby tych usprawiedliwień,
Milordzie; ja-to was raczéj przepraszam,
Że służbą Bożą w cichości zajęty,
Każę na siebie czekać przyjaciołom.
Ale nie mówmy o tém. Cóż sprowadza
Wasze Miłoście?

BUKINGHAM.

To, co się zarówno
Podoba, mniemam, Bogu, jak i wszystkim
Poczciwym ludziom téj wyspy, nateraz
Będącéj w smutnym stanie bezkrólewia.

GLOSTER.

Boję się, czylim nie popełnił czego,
Co mogło zdrożném się wydawać w oczach
Obywateli, i czy-ście nie przyszli
Zganić mię za ten mimowolny usterk.

BUKINGHAM.

Tak, zawiniłeś, milordzie: bogdajby
Wasza Wysokośc chciała wynagrodzić,
Na nasze prośby, to swe przewinienie.

GLOSTER.

Gdybym win moich zmywać nie był gotów,
Na cóż-bym liczył się do wiernych chrześcian?

BUKINGHAM.

Dowiedz się przeto, miłościwy książę,
Iż w tém jest twoja wina, że skazujesz
Majestat tronu, berło twoich przodków,
Przywilej szczęścia i należność rodu,
Dziedziczną chwałę cnego domu twego,
Na poniżenie przez niegodne plemię;
Ponieważ skutkiem zbytniéj łagodności
Uśpionych myśli twoich, które zbudzić,
Dla dobra kraju, jest zamiarem naszym,
Sławnéj téj wyspie brak właściwych członków;
Piękną jéj postać szpecą blizny hańby;
W jéj pniu królewskim tkwią szczepy nikczemne,
A on sam prawie wtrącony jest w ciemną,
Pochłaniającą przepaść zapomnienia.
Chcąc to naprawić, postanowiliśmy
Waszą Wysokość prosić, iżbyś raczył
Przyjąć na siebie rządy tego kraju,
Nie jako rejent, protektor, namiestnik,
Albo cudzego mienia zawiadowca,
Lecz jako istny, z porządku krwi, dziedzic,
Wchodzący w swoje prawa, w posiadanie
Swojego spadku, swych dóbr, swéj własności.
Dlatego, łącznie z obywatelami,
Którzy cię cenią, panie, i miłują,
I na usilne tychże naleganie
Przychodzę Waszą książęcą Mość skłonić
Do uczynienia zadosyć téj prośbie.

GLOSTER.

Nie wiem, co lepiéj-by godności mojéj
I położeniu waszemu przystało:
Czy żebym odszedł nic nie powiedziawszy,
Czy też wam gorzkie uczynił wyrzuty.
Gdybym nic nie rzekł, moglibyście myśleć,
Że krępująca mi język wyniosłość
Milcząc przystaje na przyjęcie tego
Złotego jarzma monarchicznéj władzy,
Którą niebacznie chcecie mi narzucić;
Gdybym was zgromił za tę waszą prośbę,
Tak oczywistym będącą dowodem
Prawdziwéj waszéj dla mnie przychylności,
To, z drugiéj strony, skrzywdziłbym przyjaciół:
By więc uniknąć pierwszego i mówić,
A mówiąc nie wpaść w drugą ostateczność,
Taką pośrednio daję wam odpowiedź.
Życzliwość wasza warta méj podzięki,

Ale zasługa moja mało warta
Cofa się w obec celu waszych życzeń.
Choćby, przypuśćmy, usunięte były
Wszelkie przeszkody i choćbym na mocy
Praw urodzenia miał utorowaną
Drogę do tronu, to winienem wyznać,
Tak bardzo jestem ubogi na duchu,
Tak wielostronne są me niedostatki,
Że-bym się wolał ukryć przed wielkością,
Jako łódź, siły morza nie znosząca,
Niż zostać moją wielkością zakrytym,
I zaduszonym dymem mojéj chwały.
Ale, na szczęście, nie ma téj potrzeby,
(Gdyby zaś była, byłbym, chcąc wam pomódz,
W ciężkiéj potrzebie), z królewskiego drzewa
Królewski przecie pozostał nam owoc,
Który, dojrzawszy z czasem, niewątpliwie
Majestatowi ujmy nie przyniesie,
I uszczęśliwi nas rządami swemi.
Na niego zdaję to, co-ście panowie
Zdać na mnie chcieli; zostawiam go spełna
Przy jego prawach i świetnéj przyszłości:
Niech mię Bóg broni wyzuwać go z tego!

BUKINGHAM.

Świadczy to, panie, o skrupulatności
Twego sumienia, ale, jak nateraz,
Są to skrupuły niewczesne i błahe,
Kiedy się wszystko dokładnie rozważy.
Mówiłeś, panie, że królewic Edward
Jest twym bratankiem, i my to mówimy;
Ale nie z żony Edwarda, bo Edward
Był połączony pierwéj z lady Lucy;
Wié o tych ślubach twa matka, milordzie;
A nieco późniéj, przez pełnomocnictwo,
Wszedł w związki z Boną, siostrą króla Francyi:
Gdy zaś te obie dostały odprawę,
Naówczas prosta jedna supplikantka,
Znękana losem, matka kilku synów,
Z pola piękności zeszła biedna wdowa,
Na samym schyłku swych dni przedjesiennych,
Lubieżne jego zniewoliła oko,
I dążeń jego wyższy lot zwichnęła,
Do sromotnego wiodąc go dwużeństwa.
Z tego-to łoża nieprawego idzie
Edward, przez grzeczność zwany królewicem.
Mógłbym tu jeszcze coś więcéj przytoczyć,
Ale szacunek dla niektórych osób,

Co jeszcze żyją, zamyka mi usta.
Przyjm więc, łaskawy panie, ten przywilej
Królewskiéj władzy, który ci niesiemy,
Jeśli nie w celu zlania przez to na nas
Błogosławieństwa i na kraj nasz cały,
To choć dlatego, ażebyś szlachetny
Dom swój uchronił przez to od zakału,
Jaki mu grozi, zapewniając temuż
Prawy, właściwy porządek następstwa.

MAJOR.

Spełń, panie, prośbę twych obywateli!

BUKINGHAM.

Nie gardź, o panie, tą ich serc ofiarą!

KETSBY.

Uciesz ich, skłoń się do ich słusznych życzeń!

GLOSTER.

Ach, po cóż na mnie składacie to brzemię?
Ja-m nie do tronu, nie do majestatu.
Wybaczcie, proszę; nie miejcie mi za złe,
Że chęciom waszym nie mogę dogodzić.

BUKINGHAM.

Skoro nam tego odmawiasz, milordzie,
Nie chcąc przez zbytnią dobroć i sumienność
Wywłaszczać tego twojego bratanka,
Co i umiemy wyrozumieć, znając
Tkliwość twojego serca, twe łagodne,
Miękkie współczucie, nietylko dla krewnych,
Ale zarówno dla każdego stanu;
To wiedz, że czyli uczynisz nam zadość,
Czy nie uczynisz, syn twojego brata
Nigdy nad nami panować nie będzie:
Osadzim kogo innego na tronie,
Z krzywdą twojego domu i upadkiem.
To jest ostatnie nasze słowo.—Pójdźcie,
Obywatele; nie prośmy już dłużéj.

(Wychodzi).

KETSBY.

Każ go przywołać nazad, drogi książę;
Przyjm ich ofiarę: jeśli ją odrzucisz,
Biedny kraj ciężko to odpokutuje.

GLOSTER.

Koniecznież na mnie ma spaść ten trosk nawał?
Dobrze więc, wróć go.
(Ketsby wychodzi).
Nie jestem-ci z głazu;
Tak natarczywe wasze nalegania
Pokonywają mój opór, jakkolwiek
Trwać mi w nim radzi serce i sumienie.
(Bukingham wraca).
Milordzie Bukingham, i wy poważni,
Swiatli mężowie, skoro przez życzliwość
Chcecie mi na kark wtłoczyć ciężar szczęścia,
Abym go dźwigał chętnie czy niechętnie,
Muszęć z poddaniem przyjąć go na siebie.
Jeśliby jednak kiedy czarna potwarz,
Albo złośliwy, niecny jaki zarzut
Miał być następstwem mego ustąpienia,
Niechże mię wtedy niniejszy wasz przymus
Oczyści z wszelkich plam, jakieby na mnie
Były rzucone; bo wiadomo Bogu,
I wy poniekąd sami to widzicie,
Jak-em daleki od pragnienia tego.

MAJOR.

Boże błogosław Waszéj Wysokości!
Widzim to, panie, i możem poświadczyć.

GLOSTER.

Czyniąc to, prawdę tylko poświadczycie.

BUKINGHAM.

Witam cię tedy, panie, tym okrzykiem:
Niech żyje Ryszard, prawy król angielski!

WSZYSCY.

Amen!

BUKINGHAM.

Pozwolisz, miłościwy panie,
By koronacya odbyła się jutro?

GLOSTER.

Kiedybądź, skoro taka wasza wola.

BUKINGHAM.

Jutro więc czekać będziem na rozkazy
Waszéj królewskiéj mości, a tymczasem
Radośnie służby nasze polecamy.

GLOSTER
(do biskupów).

Powróćmyż znowu do świętych spraw naszych.
Bądź zdrów, kuzynie; daj ci Boże zdrowie,
Lordzie majorze i wam współziomkowie!

(Wszyscy wychodzą).

(Dokończenie nastąpi).

KILKA UWAG
O ROZWOJU I KIERUNKU SZTUKI MALARSKIÉJ
W POLSCE.

PRZEZ

Ludwika Buszara.

W łonie społecznem, tak jak w łonie natury, odbywa się ciągła praca wewnętrzna: to wulkan rozgrzmiewa, wytryska ogień i lawa, wyskakują góry, zapadają jeziora, w jednéj chwili zmienia się postać świata, a człowiek pada na twarz ukorzony myślą i sercem, przed straszliwą potęgą; groza i uwielbienie jednoczą wszystkich, postrach nakazuje milczenie analizie, i człowiek wierzy. I znów strumień powoli się sączy, kropla po kropli pada, ziemia cicho pod spojrzeniem słońca pracuje— i rozprysły się skały, zazieleniły pustynie, a człowiek się raduje, zachwycony nawet pada na kolana; ale pod wpływem spokojnego uczucia, rozważa, rozdziela, analizuje; wiara go odpada, a z nią jedność. Jedni obojętnieją i zapominają, drudzy widzieli cuda grozy, zbadali ciche pracowniki natury, i małém wydaje im się to, co pod okiem ich powstawało; inni nareszcie szczerego serca, czystéj myśli, pełnemi piersiami wciągają rosę niebieską i marząc o przyszłości, miłośnie patrzą na pierwsze jéj zadatki.

Wystawa krajowa sztuk pięknych jest jednym z objawów, cichéj wewnętrznéj pracy naszego społeczeństwa, i dlatego téż tak różnorodne wzbudziła uczucia. Naraz

jeden pusty nigdyś obszar, gdzieniegdzie krzaczkiem lub smukłém drzewkiem naznaczony, pokrył się zielonością; wewnętrzne siły wyparły się na zewnątrz, zjednoczyły, i wystawa krajowa otworzoną została. Wieść o niéj rozeszła się szybko, iskra elektryczna przebiegła społeczeństwo; massy napłynęły do salonów, wszyscy się radują, bo pierwsze listki, pierwsza trawka, jakkolwiek jeszcze maluczka, dając wielkie obietnice i wielkie nadzieje, miła jest każdemu. Ale po tém pierwszém wrażeniu, następuje namysł, a z nim rozdział; człowiek uczuwa potrzebę pracy, wytrwania; obowiązki stają przed nim z całym szeregiem następstw i odpowiedzialności, to téż pyta: ażaliż ta roślinka warta mojéj pieczy, ażaliż ta ziemia wyda plony, jakich się spodziewam, na co mi się to przyda, co mi da do życia? W takim razie natura nie pyta, rządzona bezpośrednią wolą bożą, pracuje, tworzy bez względu, czy człowiek interesuje się jéj pracą, czy nie. Inaczéj rzecz się ma z ideałami, ponieważ płyną z duszy człowieka, istnienie ich lub upadek zależy od niego, zależy od społeczeństwa, pośród którego się objawiły, i od którego mają wziąć wzrost i siłę.

Ideał objawia się przez jednostkowego ducha: artysta wypowiada to, co przeczuciem lub żądzą nurtowało w łonie społecznem, i gdyby wypowiedzenie lub wyrażenie mogło być odrazu zupełném i doskonałém, jużby się wcale o ideał troszczyć nie potrzeba, stałby on o sobie, i wszystkie burze świata obalićby go nie zdołały. Ale im wyższa jest owa przeczuwana lub pożądana prawda w formie pięknéj objawić się mająca, im większe dobro w niéj zawarte; tém téż trudniéj, tém powolniéj wydobywać się musi na zewnątrz; a sztuka należy właśnie do tych ideałów, których żaden wywrót społeczny, żadne odrazowe chociażby największe usiłowanie wywołać nie może. Zanim Włochy ujęły złote berło sztuki, zanim rozgrzmiały sławą swoich Leonardów i Rafaelów, pierwéj całym wiekiem pracy i zapału z jednéj, gorącego współczucia, z drugiéj strony, przygotowały się do tego; tą samą drogą idąc Francya, dziś w sztukach plastycznych, na czele Europy stanęła. Istnieje zatém na każdéj drodze potrzeba pracy, wytrwania, miłości, czego nam do-

wodzi i czego nas poucza historya wszystkich czasów i ludów.

Pierwéj nim Duch Śty zstąpił na apostołów, pierwéj nim wszystkiemi językami świata, to jest językiem zrozumiałym dla każdéj żywéj duszy przemówili; wprzód porzucili wszelkie ziemskie widoki, wprzód w pokorze całe lata słów mistrza słuchali, badali i kształcili własnego ducha. I znów apostołowie wyszli z łona ludu izraelskiego, a jednak własny lud ich odtrącił; zamknęło się łono rodzinnéj ziemi i owoce prawdy gdzieindziéj wyrosły. Ale czyż każdemu narodowi daném jest objawić się we wszystkich gałęziach sztuki? Czyż hodując niewłaściwą klimatowi naszemu roślinę, nie strwonimy napróżno sił i czasu? Odpowiadamy:

Sztuki tak jak nauki trzymają się za ręce: jedna drugą rodzi, wspiera, podnosi, wywyższa; skoro raz już w jakim narodzie zbudzi się duch, zadźwięczy jedna struna lutni, to go już nieokreślona tęsknota prze ku pełniejszéj i wyższéj harmonii, i przybywa jedna struna po drugiéj, dopóki się żywot narodowy nie wypełni, dopóki mu starczy zasobów moralnych, dopóki tleje chociażby iskierka życia. To parcie ducha do coraz pełniejszego i wszechstronniejszego objawu, ta potrzeba rozszerzenia granic uczucia, wyobraźni i wiedzy, tak dalece jest właściwą duchowi ludzkiemu, że go każde pojedyncze indywiduum na sobie sprawdzić może. Jeden stopień przebyty wiedzie do drugiego; jedna zapora złamana dodaje otuchy i siły do zwalczenia drugiéj; ogniwo łączy się z ogniwem, przedłuża Jakubowa drabina, po któréj aniołowie schodzą na ziemię niosąc pociechę i nadzieję. Tego braterstwa sztuk pomiędzy sobą, tego ich rozrostu familijnego, historya mnóstwo podaje przykładów. Persowie, Grecy, Włosi, Niemcy, Francuzi, Anglicy śpiewają, budują, rzeźbią, malują, kolejno lub razem; sztuka przebiega od narodu do narodu; duch wciela się dowolnie w tę lub ową formę, pojawia w różnych strefach i czasach. U nas pod wpływem niedawno otwartéj wystawy, zapomniano o tém; mnożą się wyobrażenia, objawiają sprzeczne opinie. Podział sztuk na plastyczne i idealne, wyzwalanie się ducha z obłoczy materyalnéj i przechodze-

nie od ciężkiego materyału z ziemią jeszcze zrosłego, do dźwięku i słowa, niemało zawrotu w umysłach sprawiło. Zapomniano o nieograniczonéj swobodzie ducha; zapomniano, że w Grecyi wprzód śpiewał Homer, nim się zjawił Fidyasz i Apelles; że Dante poprzedza Michała Anioła: podział loiczny ułatwiający pojęcie rzeczy oderwanych, wzięto za prawa konieczności duchem rządzące, i zadecydowano, iż tam, gdzie się już sztuki idealne objawiły, plastyczne miejsca mieć nie mogą.

Z drugiéj strony materyaliści posunęli się jeszcze daléj, i tych nie już zwątpienie w możność objawienia się u nas sztuk plastycznych, nie obojętność na pierwsze próby artystów, ale strach i zgroza na samą wieść o wystawie ogarnęły. Autor broszury Sztuka w Polsce, dowiedziawszy się, że publiczność nasza z szczególnym zapałem zajmuje się sztukami pięknemi (niestety!); że wiele ludzi marnuje przy nich czas i życie; przerażony o przyszły los społeczeństwa, uważając sztuki plastyczne za objaw próżniactwa, ponętę i upoważnienie do rozkoszy i zniewieściałości, znikczemnienie ducha do wyższych i ważniejszych stworzonego celów, woła:

„Z zapaloną imaginacyą pod palącém niebem, z wyostrzonemi zmysłami śród ostrych ponęt, w otoczeniu natury, która pieszczotami naprzemian usypia i budzi, w otoczeniu ciał tak pięknych i piękności tak cielesnych; ludy południowe na polu szczególniéj rzeźby i malarstwa stworzą arcydzieła, i równie skoro jak szczęśliwie uchwycą i wydoskonalą te głównie sztuki, w których duch nawpół się z materyi wyzwala, a nawpół jéj ulega, nawet się w niéj rozkoszuje, i gdzie myśl przedewszystkiém jest kształtem, a uczucie ledwiebyśmy nie rzekli dotknięciem: na tém samém polu ludy północne tylko swoje wysilenia, nigdy swojéj siły prawdziwie nie objawią. Brak im do tego nieomal wszystkiego, brak im przedewszystkiém, téj intuicyi form, téj tajemniczéj morfopedyi, która od kolebki prawie bez jego wiedzy i woli kieruje każdym krokiem i ruchem południowego mieszkańca.“

Zanim rzecz tę ze stanowiska moralnego rozważym, musimy zastanowić się cokolwiek nad kwestyą klimatyczną; bo jeżeli w istocie sztuki plastyczne tylko na połu-

dniu zakwitnąć mogą, to też i mniemane zepsucie z nich płynące, tak bardzo nas obchodzić nie może; rozważenie zaś obydwóch tych kwestyj, może nam da odpowiedź na poprzednio rzucone pytania i zaspokoi obawy. Przypuśćmy więc na chwilę z autorem, że sztuki plastyczne są po prostu odbiciem wrażeń zewnętrznych, odzwierciadlaniem otaczającéj natury, i rzućmy okiem na ten świat, co ma być dla nas wzorem i nauką.

Piękne jest słońce Południa, cudowny jego promień, łachmany w bogate szaty przemienia, iskrzy w czarnéj źrenicy, miękką, pieszczoną rozkoszą przenika ciało; ale niemniéj piękne jest niebo Północy, co na ubogie szaty, na harde postacie, to obłoczny płaszcz ze mgły zarzuca, to jasném dojmuje spojrzeniem, co tak spokojną godnością wygląda z czoła, takiém anielskiém weselem świeci w jasnéj źrenicy. I dlaczegożby to fantastyczne niebo Północy, mniéj było przydatne do sztuki, jak szafirowe niebo Włoch; dlaczegożby niebieskie lub siwe oko mniéj wyrazić potrafiło niż czarne, i dlaczego mając z łaski Boga możność układania swego ciała dowolnie, a do tego odpowiednio wrażeniom tak zewnętrznym, jak wewnętrznym, mielibyśmy pożyczać koniecznie pieszczonych ruchów od ulubionych pod tym względem autorowi południowców. I kraina nasza ma swoją poezyą, swój wdzięk; i mieszkaniec Północy z równém zachwyceniem patrzy na kołyszące się na błękicie stada białych chmurek, jak południowiec na przeczysty lazur swego nieba, a choć mu krew nie zakipi żądzą, to mu za to serce zatęskni do tych białych chmurek duchów, co strzegą jego ziemicy, lub krwią opłynie, gdy ciemnym zastępem ponad jego głową kroczą. Dla takich uczuć, dla takich myśli, cieplarni nam nietrzeba; one muszą i mogą tylko dojrzeć, w tym klimacie, co to nie „pieszczotami usypia i budzi na przemian,“ ale tylko w tym, co ciągłą walką hartuje, nieustanną zmianą do nieustannéj czynności usposabia. Arytyści nasi nie uciekną tam „gdzie buja laur i cyprys cicho stoi,“ bo dla nich brzoza smutne zwiesza warkocze, dąb harde podnosi czoło, do nich wdzięczy się kalina i świerk ramiona wyciąga. Sztuki plastyczne też u nas nigdy pięknościami Południa nie zasłyną, nie odbiją palą-

céj rozkoszy, i nigdy Zamojski, choć głos jego tak przeważnie grzmiał na obradach, choć majestatem swoim przypomina najsławniejszych mężów Rzymu, przed oczyma duszy artysty w todze rzymskiéj nie stanie, lecz czyż dlatego mniéj pięknym będzie?.... Jeżeli zaś rzecz ze strony wyższéj, duchowéj weźmiemy, to twierdzenia i obawy autora, tém dziwniejsze się wydadzą; bo jakżeby sztuka, ta nić tajemnicza, wiążąca niebo z ziemią, stworzenie ze Stwórcą, mogła być własnością jakiegoś klimatu, a chociażby i ludu, gdy wszystkie czują jéj potrzebę, gdy rzeźba i malarstwo, tak jak każda inna sztuka, objaw nieśmiertelnego ducha człowieka, nie na wiernem oddaniu piękności natury, ale na żywém przedstawieniu żyjących na dnie duszy ideałów polega. Różnica klimatów, to tylko różnica objawów myśli i uczuć, ale nie ich niższość lub wyższość, potęga lub niemoc.

Czytamy jeszcze: „za stępieniem zmysłów idzie wyostrzenie myśli.“ Duch objawić się tylko może za pośrednictwem zmysłów, a wykształcenie jego tak dalece od nich zawisło, że za ich stępieniem lub osłabieniem idzie stępienie i osłabienie nie tylko władz twórczych, ale nawet władz moralnych człowieka. Duch zaklęty w swych głębinach, niemający możności zetknięcia się ze światem zewnętrznym, pozostanie na zawsze duchem niemowlęciem. Jeżeli zaś autor miał na widoku owych ślepców, co to z gęślą a pieśnią przebiegali kraj cały, do wielkich zachęcając czynów, to lubo odjęcie wzroku mogło w owych czasach grubego materyalizmu przyczynić się do wyższego nastroju wewnętrznego, to w dzisiejszych czasach, gdy człowiek wyższéj dobił się godności, gdy życie wszechstronniéj pojmuje, zamknięcie oczu, osłabienie lub odjęcie jakiegokolwiek zmysłu, ni pożytku ni zasługi mu nie przyniesie. Ślepcy patrzyli na świat zewnętrzny oczyma swych braci; dziś kiedy chrześciaństwo wyzwoliło człowieka nie tylko z objęć natury, ale i z pod przewagi drugiego; gdy wysoko rozwinięta indywidualność czyni go odpowiedzialniejszym niż dawniéj za opinie, czyny i życie całe, gdy nauki rozwinęły przed nim nieskończoność przestrzeni i światów; to téż dziś, wyręczać go w niczém drugi nie może i nie potrafi. Pie-

lęgnowanie i kształcenie jednych zmysłów z krzywdą drugich, tak jak rozwijanie i kształcenie odrębne władz duszy, nadanie przewagi jednéj nad drugą, może utworzyć albo doskonałego wojownika, jak to było w Sparcie, albo doskonałego mnicha, jak to było w średnich wiekach, lub coś do tego podobnego; ale nie utworzy człowieka. Spartanin znikczemnieje lub spodli się w pokoju, dla ambicyi kraj zdradzi; mnich ziemską ojczyznę dla niebiańskiéj porzuci.

„Za ubóstwem natury idzie bogactwo ducha.“ Tu już trudno pojąć, o jakiém to ubóstwie i bogactwie autor chce mówić; bo jeżeli ubóstwo natury z wyobrażeniem zimna połączym i za żywioł dodatni weźmiemy, to postępując ku biegunowi, z każdym krokiem rosłoby nam bogactwo duchowe: Lapończycy i Eskimosy wyszliby na ludy szczególniéj uprzywilejowane, za potępione te, które los rzucił pod skwarne niebo równika; a przekleństwo niegdyś na rodzie czarnym ciążące, przeniesione na przestrzeń, szerszeby koło objęło. Tymczasem ta sama natura, co tu czarnym, owdzie złotym kolorem farbuje włosy człowieka, co hebanową, miedzianą lub alabastrową nadaje mu cerę; ta sama natura jak czuła matka, nad jednym zawiesza ogniste niebo, ludzi zjawiskami, u stóp roześciela bujną roślinność, wysadza olbrzymie drzewa, otacza, więzi, podsyca nieskończonością wód i piasków; drugiemu barwnemi kwiatkami wyściela kobierzec, drobnym liściem szemrze po nad głową, a tak tajemniczo patrzy mu w oczy, jakby do najgłębszych zakątków duszy wedrzeć się chciała; innemu nakoniec rozdziera niebios zasłonę i naraz jeden wszystkie barwy Południa, wszystkie tajemnice umiarkowanych stref wprost do serca wrzuca, a duma z nim po długich nocach, i świętuje w wielkim dniu i pracuje w krótkim lecie.

Widzimy zatém, że natura nigdzie wykształceniu duchowemu człowieka nieprzełamanéj zapory nie stawia, i kontentując się na naznaczeniu go pewném piętném, nigdzie mu pociechy i opieki nie odmówiła. Przesądy i ciemnota ludzi długo bardzo własne błędy na karb natury zrzucała; ale minęły już te czasy, a groźne ale zarazem i wygodne fatum, z wyższém rozwinięciem umysło-

wém, z bliższém zbadaniem natury ustąpić ze świata musiało.

„W objęciach muz czeka nas tylko wycieńczenie i uśpienie.“

Jedno jest źródło tak sztuk plastycznych, jako i idealnych: wszystkie poczęte w duchu, drogą zmysłów tryskają na świat zewnętrzny; a zmysł, przez który owe źródło duchowe toruje sobie drogę, tak jak powietrze i niebo ojczyste, nadaje mu formę odpowiednią swojéj naturze. Na téj jedności pochodzenia, tak jak na jedności rodu ludzkiego, waruje się braterstwo sztuk i wysoka zacność wszystkich; a jak między narodami nie masz niższych i wyższych, przeklętych i błogosławionych, ale są tylko różne i różném naznaczone posłannictwem, a wartość ich rzeczywistą stanowi dorobek żywota; tak też i między sztukami, nie masz zacniejszych i mniéj zacnych, dobrych lub szkodliwych, ale są różne z różném obliczem i różnym charakterem, córy jednego ducha, a każdą z nich kołysze nieskończoność, a każdą uczy miłość, każdéj przyświeca doskonałość. One zasługą narodów i ludzi; a im liczniejszy ich szereg, tém szérsze koło działania. Sztuki w zjednoczeniu dopiéro urzeczywistniają ideał dobra, za którém goni ludzkość, na którém sławę i szczęście buduje naród i człowiek; dlatego też co zbuduje geniusz sztuki, tego wieki nie obalą. Utonęły w niepamięci wielkie wojenne czyny, wiatr rozwiał grobowce burzycielów świata, czas obalił najwyższe systemata polityczne; a posąg, kolumna, stanęły jak anioły stróże nad rodzinną ziemią; i kiedy wszytko około nich zaniemiało lub zmarło, z niepożytéj ich piersi wydobywa się pieśń nieśmiertelna, któréj każda zgłoska nowe życie wśród nowéj ludzkości budzi.

„Wolnoż przypomnieć, mówi autor, że Idejska bogini ma także w swoim ręku pewne symboliczne jabłko? którego nawet pod niejednym względem żądać ma prawo żywot artysty? „Życie artysty nie mogło i nie może sobie rościć do tego prawa, bo główną podstawą sztuk plastycznych jest porządek i harmonia, i dziś właśnie gdy rozum i uczucie zerwawszy z sobą przymierze, samopas broją po świecie, gdy luźne te pierwiastki, materyalizm lub

ślepą wiarę za Boga ludzkości narzucają, sztuki jedynie jako jednoczące, mogą wskazać prawdziwą drogę, mogą uchronić narody niepopadłe jeszcze w żaden z tych kierunków od bezużytecznych prób i walk.

W malarstwie nawet, jednéj ze sztuk plastycznych, najbardziéj polegającéj na uczuciu, rozum i wypływające z niego nauki: perspektywy, światłocienia i kolorytu, tak dalece zrosły się z uczuciem, że bez nich jak niemasz obrazu, tak niemasz i malarza. Wszelkie namiętności ludzkie, charakter figur lub okolic, uderzające nas głównie w obrazach, choć właściwie z uczucia płyną, aby w sztuce objawić się mogły, wprzód do pojęcia odniesione i pod prawa rozumu poddane być muszą. To też Plutarch traktując o fortunie i przypadku mówi: „W sztukach cokolwiek jest dobrze zrobione, nie jest zrobione przypadkiem, i nie znam dzieła, któreby powodzenie swoje winno było czemu innemu, jak przewidności i nauce artysty. Artysta opiera się zawsze na prawidłach, liniach, miarze, liczbie, i nic niemasz, coby było zrobione samowolnie lub przypadkiem.“ Jakżeby więc architekt, rzeźbiarz lub malarz mógł nieład i rozpustę w łono społeczne wszczepiać, kiedy konieczną podstawą jego sztuki jest badanie natury, a poznanie dopiéro jéj praw niezmiennych i cudownéj harmonii namaszczeniem na artystę. Wszelkie zatém nadużycia i chorobliwe uczucia, jako wręcz przeciwne sztuce, w życiu artysty prawa obywatelstwa mieć nie mogą. Złe namiętności leżą w człowieku, nie w zajęciu, jakiemu się on oddaje; a jeżeli można być doskonałym politykiem i doskonałym egoistą, nie można być nie tylko doskonałym mistrzem, ale nawet wyższym talentem w dziedzinie sztuki, bez pewnego zaparcia się siebie, bez możności poświęcenia: bo sztuka, choć bez kierunku rozumowego, jakeśmy to już wyżéj wykazali, w żaden sposób obejść się nie może, za główny jednak organ, oprócz wyobraźni, ma uczucie, z którego płynie wszystko, cokolwiek bezinteresownego i wielkiego człowiek zdziałał na świecie.

Sztuki po wsze czasy uważane były, jako potężny środek zachowania lub odrodzenia społeczeństw, a artysta życie swoje poświęcający sztuce, pracując dla piękna,

pracuje tém samem na pożytek i szczęście społeczeństwa. Grecy dla uczczenia swych bogów ofiarowali im obrazy wygranych bitew, posągi sławnych ludzi; a współubieganie się o ten wielki zaszczyt zaszczepiło w narodzie cnotę, miłość chwały i ojczyzny. Platon też mówi (1):

„Przyglądając się codziennie arcydziełom architektury, rzeźby i malarstwa, umysły najmniéj skłonne do poczucia wdzięku, wychowane pomiędzy niemi, jakoby w atmosferze czystéj i zdrowéj, nabiorą upodobania do wszystkiego, co piękne, skromne i delikatne. Przyzwyczają się do trafnego chwytania tego, co jest doskonałém lub wadliwém w dziełach sztuki i w dziełach natury, a ta szczęśliwa pewność sądu stanie się nawyknieniem ich duszy." Daléj dodaje: „Będziemy mieli pilne oko na artystów, ażeby wszystkie przedmioty, działające na zmysły, wywierały zbawienny wpływ, aby tym sposobem obywatele od dzieciństwa przywykali nieznacznie do ukochania zdrowego rozsądku i zaprowadzenia doskonałéj zgody między nim a sobą".

Sztuki więc nie uczą próżniactwa, nie mnożą zniewieściałości, bo szerokie ich dziedziny obejmują cały ogół wiadomości zdobytych przez ludzkość, tak na drodze fizycznéj jako i moralnéj, a odkrywając tajemnice i harmonią natury, zaprowadzają ład i wdzięk we wszystkie najwznioślejsze potrzeby rozumu. Sztuki dają jeszcze szczęście, bo odrywając uczucia, myśli, namiętności od ziemi, oczyszczają je w nieśmiertelnym swym ogniu.

Rozpisaliśmy się cokolwiek obszerniéj nad broszurą autora Sztuki w Polsce, nie dlatego, jakoby ona sama w sobie była ważną, ale że sympatya wielu dla autora i znakomity dar słowa, jaki posiada, mogła dla mniéj głębokich umysłów i dla ludzi serca, błędy jego myślenia uczynić zgubnemi. Dobre chęci i zapał niedostateczne do prowadzenia drugich i objawienia zdania swego publicznie; a kierunek tak przeważnie serdeczny autora i jego zwolenników, dowodzi właśnie koniecznéj potrzeby pielęgnowania u nas sztuk plastycznych, by umysły

(1) Rzeczpospolita. Ks. III.

mniéj głębokie i ludzie nie dość czasowi, aby prawd społecznych na drodze myśli dochodzić, przez przypatrywanie się dziełom sztuki usposabiali według zdania mędrca greckiego: „do ukochania zdrowego rozsądku i zaprowadzenia doskonałéj zgody między nim a sobą".

Teraz zaś, gdyśmy już wykazali wysoką niesprawiedliwość rzuconéj na sztuki plastyczne klątwy; gdy i kraj nasz po bliższém przyjrzeniu się nie tak jakoś ubogo pod tym względem wygląda; rzućmy okiem, co téż dla sztuk plastycznych a mianowicie dla rzeźby i malarstwa zrobiła dzisiejsza Europa; co od niéj wziąć, za czém dążyć, a czego wystrzegać się mamy?

— Włochy! to imię pierwsze nasuwa się myśli. Włochy przez trzy wieki piastowały berło sztuk plastycznych. Gdzie spojrzysz, świątynie Pańskie sadzą wieżycami w lazurowe niebo, freski zarzuciły na nie płaszcz swój królewski, a strzegą ich białe rzeźby jak czyste duchy aniołów a zaludniają święte postacie, co walczyły i cierpiały w imię Syna Bożego. W rozkoszne pałace, w kwitnące ogrody zbiegły bogi zapadłego w przeszłość świata; z tajemniczych ścian wyglądają wabne, harde a zawsze namiętne postacie namiętnego wówczas świata; ale dziś nie ma już tych ogólnych usiłowań i ogólnego zapału: wyludniły się pracownie mistrzów, geniusz jednak sztuki unosi się jeszcze nad lubą krainą, a duchy wielkich przodków przez Bartolinich, Jacomettich, Teneranich, Benzonich i wielu innych, coś o przeszłości czy przyszłości gwarzą.

Francya przeciwnie, urosła. Wprawdzie w swéj przeszłości liczy ona Poussina, Lessuera, Lebruna, a późniéj kilka jeszcze talentów, ale właściwie dopiéro od pół wieku, a mianowicie w ostatnich latach staje się ogniskiem sztuki, szkołą dla malarzy i rzeźbiarzy. Żadne miasto nie posiada tylu artystów, w tylu rodzajach i tak doskonałych jak ona. Paryż połączył w sobie wszelką indywidualność Wenecyi, Rzymu, Florencyi, Medyolanu, Neapolu i Genui, nie tracąc oryginalności. Z trafném pojęciem rzeczy zawsze ją odznaczającém, Francya połączyła koloryt i rysunek najpierwszych mi-

strzów Włoch; dobiła się stylu, który zda się już był na zawsze zginął dla cywilizacyi tegoczesnéj. Łatwy jéj pędzel zapanował nad przestrzenią i czasem, i przedstawia nam namiętności, myśli, uczucia wszystkich wielkich epok historycznych, nieba wszystkich klimatów, temperamenta wszystkich nieomal ludów. Tajemnice wiary, objawienia świętych, krwią i łzami, weselem i niedolą przeplatane życie ziemskie, piękne lub groźne widoki natury znajdują tu swoich przedstawicieli. Klassyczny Ingres staje obok wrzącego Delacroix, świetny Decamps obok naiwnego Meissoniera i wielu innych wybitnéj a odrębnéj oryginalności.

Niemcy porzuciły sposób traktowania wierny i drobiazgowy dawniejszych mistrzów Alberta Dürera i Łukasza Kranacha. Malarze tegoczesni wskróś przejęci abstrakcyjną filozofią, mało patrzą na naturę, nie zajmują się kolorytem; oni komponują, rysują kartony, a ich pomocnicy, uczniowie, wykonywają resztę. Cóż twórcę poematów, systemów filozoficznych, widzeń Apokalipsy i pomysłów cyklicznych, rozwijających przeznaczenie rodu ludzkiego, obchodzić może świat ten znikomy i jego przypadłości, co zręczność pędzla i dotknięcia! Jestto całkiem nowy sposób zapatrywania się na sztukę, a ciekawy przedmiot badania dla wykształconych malarzy. Szkoła ta wskróś umysłowa jest przeciwstawieniem szkoły francuzkiéj.

Belgia odznacza się nadzwyczajną zręcznością i rzadką biegłością wykonania, nie goni za ideałem, ale jak jéj prababka szkoła flamandzka, i z najmniéj znaczącego przedmiotu zrobi małe arcydzieło, w którém się odbije wielkie zamiłowanie natury i zbadanie dawniejszych swych mistrzów. Niekiedy naśladuje ona Francyą, ale w ogóle ma swą odrębną indywidualność: słowem Belgia nie odrodziła się od swych przodków.

Charakterem angielskiego tegoczesnego malarstwa jest oryginalność zupełna, doskonałe piętno miejscowości i narodowości. Anglicy nie wzięli nic od starożytnych, nic od średnich wieków i szkół dzisiejszych. Utwory ich odróżniają się od wszystkich innych. Pomysł,

gust, rysunek, koloryt, dotknięcie, uczucie, wszystko tak dalece jest różném, że na patrzącym czyni wrażenie obcości, i dopiéro po dłuższém zbadaniu w zaklęte swe kółko przypuszcza. Jestto sztuka wyłączna, wyszukana aż do manieryzmu, dziwaczna aż do chińszczyzny, ale zawsze arystokratyczna, szlachecka i pełna światowéj elegancyi. Cywilizacya tegoczesna i całe *dziś* narodu angielskiego, odbija się w najdrobniejszych szczegółach téj sztuki. Po za tą formą dziwaczną, pełną blasków, jaskrawości i kokieteryi poznać można jednak głębokie zrozumienie ruchu i układu, oraz zbadanie filozoficzne charakteru i fizyonomii.

Hiszpania zapomniała Velasqueza, Ribeirę, Murilla, Zurbarana a nawet Goya; już nie maluje ponurym swym pędzlem ascetycznych mnichów, dumnych rycerzy, ekstatycznych Madon; nie ma już tego dzikiego zapału, téj namiętności katolicyzmu, która ją kiedyś odznaczała: odróżnia się od Francyi tylko mniejszą działalnością.

Widzimy zatém, że sztuki plastyczne w Europie rozstrzelają się w trzy osobne drogi. Francya przedstawia życie doczesne, ziemskie, we wszystkich jego przejawach społecznych, człowieka ogólnego, wewnętrznego z jego dobrą i złą stroną, człowieka takiego, jakim on jest wszędzie, bez względu na stan i miejsce urodzenia; a ta wszechstronność i trafność poglądu odbija się nietylko w historycznem i rodzajowém malarstwie, ale i w krajobrazach. Francuz naturę żywcem na uczynku chwyta: by ujrzéć jaskrawy promień słońca, wyrysować palmę, oddać charakter Afrykanina lub Turka, nie szczędzi trudów, nie lęka się opuścić kraj rodzinny na lata całe. Zajmuje go wszystko co piękne, co żyje, co ma charakter; sztuka tu zbliża się do stanowiska chrześciańskiego i miłosném spojrzeniem obejmuje świat cały. Francuz zwiedzając galerye, zapełnione obrazami swych mistrzów, wynieść z nich musi koniecznie pełniejsze uczucia braterstwa dla wszystkich ludzi, poszanowanie dla wszystkich stanów, znajomość ogólnych piękności natury i jakby poczucie różnorodnych klimatów. Niemiec przeciwnie, nie dba, jakie jemu lub innym przyświeca słońce, jaką depcze roślinność, jakie drzewa bujają mu

po nad głową, jak ten lub ów człowiek wygląda w swéj ziemskiéj pokrywie, bo przed nim myśl nieskończona swe rozwarła dziedziny; on stworzył dla siebie świat, i w tym fantazyjnym świecie fantazyjne osoby przedstawiają dramata myśli ludzkich i nieuchwytne wizye przeszłości i przyszłości. Anglik więcéj zebrany w sobie, czy téż bardziéj egoistyczny, nie rozgląda się po świecie, mniéj w jego mniemaniu wartym, kocha swoją Anglią, swoje zwyczaje, swych poetów, a oddaje to wszystko po mistrzowsku.

Tak więc wszechstronność życia, wszechstronność myśli i indywidualność myśli i życia stają przed nami. Którąż z tych dróg młodzieńczy duch naszego narodu wybierze? Na czyich dziełach kształcić mu się wypada? Sztuka wspiera się na harmonii świata całego, żyje tradycyą wszystkich czasów i ludów, ale rozwija i utrzymuje się tylko na żywiołach narodowych; aby więc sztuki plastyczne u nas zakwitnąć mogły, nie możemy rzucać się na ślepo w żaden z wymienionych wyżéj kierunków, obejmować świat cały myślą i uczuciem, kształcić się chociażby na wzór najpotężniejszéj indywidualności. Bo cóż wspólnego duch i potrzeby naszego społeczeństwa mieć mogą z temi pysznemi, szczęśliwemi, zaufanemi w sobie o szerokiéj materyalnéj podstawie ludami. Oni przepracowali lata, doświadczenie wzbogaciło ich swemi darami, fortuna wypieściła. Po wyżynach ich myśli, po głębinach ich społecznego żywota, materyalizm i duchowość straszne harce wywodzą. Nam skroń młodzieńczą owiewa wiara, nam tęskno ale nie straszno i chmurno w myśli: u nas téż artysta musi w pokorze i zebraniu podsłuchać uczucia tych, co myty o Leszkach, Popielach, Wandzie i Krakusie utworzyli; co wielkie znaczenie indywidualności w prawach sejmowych uczcili; co wiarę w natchnienie Boże na pola elekcyjne nieśli; a osobistość jego tylko wtedy wyższéj dobije się zacności, tylko wtedy współczucia w społeczeństwie dozna, gdy duch jego duchem ogółu się przejmie i miłośnie mu się poświęci. By dojść jednak do sztuki narodowéj, dobić się możności oddania uczuć i myśli naszych, nie

możemy zrywać z ogólną tradycyą sztuki, ani się też odosobniać od dzisiejszego artystycznego ruchu Europy.

Uczyć się trzeba od drugich; uczenie to jednak musi mieć pewną zasadę i kierunek. Zasadą sztuki narodowéj, treścią, którą artysta wypełni swego ducha, zanim obcych mistrzów badać zacznie, będzie nie tylko doskonałe poznanie i umiłowanie przeszłości, jakeśmy to już wyżéj nadmienili, ale poznanie i przejęcie się literaturą ojczystą. Już naród nasz dźwiękiem i słowem przemówił o sobie: pieśń jego poetów owiała rodzinną ziemię, przebiegła góry i morza, zawisła gwiazdką na europejskim horyzoncie; trzeba więc, żeby artysta zgarnął w swą pierś rozległe echa téj pieśni, rozświecił swój umysł promieniami téj gwiazdy; trzeba mu jeszcze znajomości ogólnych dziejów ludzkości, dziejów i zasad sztuki, zbadania dzisiejszego społeczeństwa, jego dążeń i potrzeb, co dotąd nie miało miejsca. Praca ta i nauka potrzebna jest we wszystkich rodzajach malarstwa. Dramata historyczne i społeczne, sceny obyczajowe, krajobrazy, mają zarówno swoje ukryte korzenie, zachowane w głębi tajemnice. To też artysta w każdym z tych rodzajów powinien zbadać nie tylko treść przedmiotu, jaki ma przedstawić, ale wykonać go w takim charakterze, w jakim instynktowo widzi go cały naród. I my tak jak i Francya liczymy w swéj przeszłości kilka znakomitych talentów, ale one stoją samotne wśród ludu, nieznane jedne drugim, bo nic ich z sobą nie wiąże. Czechowicz, Stachowicz i inni kochali kraj swój, religijnie, świąteczno było im w duszy, i to też stanowi ich artyzm. Ale siła ich attrakcyjna nie sięgnęła po za ich żywot doczesny. Jedni przyjmowali razem z formą i treść od cudzoziemców; drugim zaś brak było nauki i talent ich nie mógł rozwinąć się w całéj pełni. Nie masz dotąd szkoły narodowéj, bośmy nie rozpatrzyli się w sobie i nie rzucili celu przed siebie.

Przypatrzmy się teraz wielkim mistrzom i założycielom szkół. Leonardo da Vinci należy do najuczeńszych ludzi swego wieku: nic mu nie jest obce, co rozszerza umysł i bogaci serce. Nauki ścisłe, historya, poezya, muzyka znajdują w nim swego zwolennika

i znawcę. A co za praca, co za żelazna wola w Buonarottim, a jednak ten olbrzym sztuki, ten geniusz zuchwały, z pokorą i czcią, uczy się od Danta i mistrzem go swym nazywa. Toż samo możnaby powiedzieć o takich artystach, jak: Cimabue, Massaccio, Ghiberti, Giorgione, Annibal Carrachi i wielu innych, co obok wielkiego talentu posiadali rozległą naukę. Jeżeli artyści nasi pragną rzucić pierwsze ziarno sztuki narodowéj, pracować z pożytkiem; jeżeli chcą, by ostatni ruch ich ręki, drgnienie myśli, nie było ostatniém wspomnieniem, powinni pracować i kształcić się nie tylko w tém, co sztuki wprost dotyczy, ale i w tém, co ma związek z ich rozumem i sercem; bo chociaż ważną jest strona techniczna, wiele trzeba jéj żył podziemnych, by ożywczém źródłem na świat wytrysła. Zbogaceni myślą, myślą rodzinną, wsparci na tradycyi i nauce, mogą dopiéro śmiało uwielbiać arcydzieła Włoch, kształcić się lata całe we Francyi: bo ucząc się sposobów, badając tajemnice indywidualności mistrzów, nie zagubią już własnéj, ani zatrą w sobie narodowego piętna; a co pochwycą z saméjże istoty piękna, z tego, co jest wiecznem w sztuce, posłuży im do uwydatnienia pomysłów, z ducha narodowego i indywidualnego wyczerpanych.

Tym sposobem wprawdzie nie zrobimy odrazu nadzwyczajnych rzeczy, nie wzlecimy jedném poruszeniem skrzydeł na wyżyny sztuki, postęp nasz będzie powolny; ale za to, ten postęp nie będzie chwilowym, z nadzwyczajnych przyczyn zrodzonym blaskiem, przebiegiem komety w nieskończoność dążącéj; ale rozwijaniem złożonych w duchu pierwiastków narodowych, słowem narodu obleczoném w ciało, jednym promieniem z korony ideałów bożych.

Zasada taka prawdopodobnie opóźni nasz postęp w sztuce, niejednę indywidualność śmierć porwie w połowie mozolnéj drogi, niejedno usiłowanie spełznie na niczém; ale za to każda odrobina nauki, każde wysilenie, choć stracone dla pewnego indywiduum, lub pewnéj chwili czasu, posłuży za stopień dla następnych pokoleń; a to, co zdobędziemy, będzie w zupełności naszém, rodzimém i oprze się wszelkim przeciwnościom

ziemskim. Spieszyć się, sztucznemi sposobami podsycać wzrost drzewa, pod którego cieniem spocząć mają liczne pokolenia, nie przyda się na nic, bo to olbrzymie drzewo olbrzymich potrzebuje żywiołów; ono z każdym rokiem głębiéj zapuszcza korzenie, pnie się coraz wyżéj; na nie u góry czatują wichry i burze, u dołu nieznane ziem pokłady, nieprzewidziane przeszkody, i dlatego mu téż obfitych soków rodzimych, nie zaś powierzchownéj lub sztucznéj uprawy, do wzrostu i siły potrzeba. Gorączkowe uniesienia, gwałtowne a bezwiedne rwanie się naprzód, zawsze było i jest przeszkodą do spełnienia wielkich celów.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Kwestya kobiet.—Dziecko.—Kobiety za sto lat.—Maski i Bufony Maurycego Sanda.—Romanse sielskie, pani Sand.—Książę Job, komedya Leona Laya.—Długi serca, dramat Augusta Maquet.—Raport Kommissyi reformującéj Teatr francuzki.—Panna Déjazet.—Paryż, Rzym, Jerozolima, przez Salvadora.—Wiadomości literackie.

W literaturze tegoczesnéj pojawił się przedmiot nowy, który pożyczywszy języka od dyplomacyi, możnaby nazwać *kwestyą kobiet*. Stanowisko, jakie niewiasty powinny zajmować w społeczeństwie, ich posłannictwo w rodzinie, ich znaczenie poza familią: wszystko to są temata rozwijane szeroko tak w romansach, jak w teatrach, salonach i studyach moralnych. Jedni powstają przeciw tak zwanéj emancypacyi kobiet, drudzy ją popierają; ci chcąc odwrócić uwagę interesowanych od zbyt odległych dociekań, wskazują obowiązki blizkie, a dość liczne, ażeby wypełniły życie, i pragnienie wolności wyrugowały z głowy. Ci znów krzycząc, że to eksploatacya krzywdząca mężczyznę, wytykają przesądy i zwyczaje poniżające kobietę; inni nakoniec, a takich najwięcéj, chcąc interesa płci obojéj ułożyć polubownie, przysypują kwiatami kamienistą ścieżkę, po któréj wymogi społeczne pędzą kobietę, i usiłują wyperswadować jéj, że cierń nie kole, a życie, jakie jéj przepisali prawodawcy, wcale nie takie ciężkie ani niepoetyczne, jak się wydaje rozmarzonym głowom.

Mnogość dzieł, poświęconych *kwestyi kobiecéj*, uderza, jak niemniéj dziwi sprzeczność konkluzyj i różność aspiracyj tych książek, choć przedmiot wszystkich jednaki. *Indiana*, *Lelia*, George-Sanda; *Kameliowa Dama*, Dumasa, *Historya moralna Kobiet*, Legouvego; *Daniel*, pana Feydeau; *Miłość*, Micheleta: wszystkie te utwory mówią o kobiecie, o jéj losie i przeznaczeniu: ją pisarz na pierwszym stawia planie i na nią ściąga uwagę czytelnika. Otóż, jak powiadam, jestto zupełnie nowa dążność literatury.

Dawniéj w każdym romansie i dramacie była także kobieta, ale jako kwiat tylko, jako efekt potrzebny w obrazie, jak bawidelko, miniatura, brylant, jeźli wolicie, połowa konieczna do dopełnienia mężczyzny; dawniéj dagierotypowano kobietę, dziś ją malują; dawniéj pokazywano, jaką jest, dziś, jaką być powinna; dawniéj doktorowie *ès-lettre* dyssekowali jéj ciało, dziś dyssekują jéj ducha i nad jego uzacnieniem pracują.

W tém leży różnica dwnéj a teraźniéjszéj *kwestyi kobiecéj*, oraz cecha charakteru epoki naszéj i literatury tegoczesnéj. Nie chodzi jéj tyle o trafne uchwycenie jéj rysów, ile o udoskonalenie niewiasty. Autorowie piszący obecnie o kobietach, to mają wspólnego, że wszyscy chcą ulepszyć matkę rodu ludzkiego i tym sposobem zreformować świat.

Dwie książki, o których tu mówić zamierzamy, mniéj mają pretensyi do tego wielkiego zadania, niż inne, w téjże materyi napisane; autorkami obydwóch są kobiety. Zadziwi to może czytelnika, ale faktem jest, że kobiety dostarczyły tu niemało dzieł polemice, któréj same są przedmiotem. Do czegoż-bo teraz nie mieszają się kobiety? Dawniéj ambicya ich ograniczała się na panowaniu w domu, dziś chcą panować wszędzie, i to nie skrycie już, ale jawnie.

Im więcéj nowe życie nadane Francyi przez reformy społeczne 1789 r. się organizuje; tém bardziéj znika prawo salickie, tém interwencya kobiet wszędzie, nawet w literaturze wojującéj, mężnieje i wzrasta. Nie ma dziś gałęzi piśmiennictwa, któregoby tutaj pióro niewieście nie dotknęło: krytyka, filozofia, kwestye bieżące tak polity-

czne jak socyalne, dramat i komedya, wszystkie te przedmioty dawniéj pióru męzkiemu wyłącznie dostępne, Francuzki dotknęły i rozstrzygły nieraz z dorównywającą mężczyznom siłą.

Że wszystkich dowodów pełnoletności kobiet, ten wydaje nam się najwymowniejszy, a ze wszystkich tytułów do praw, o które się upominają, ten podobno najmniéj ulega zaprzeczeniu. Ażeby dowieść, że mogą chodzić, same chodzą.

Czy idą zawsze w dobrym kierunku; czy się nie potykają podważając ciężkie problemata, to inna kwestya: bywa tak i tak. Jedne wiedzione nadziemskiém światłem, omijają przepaście; drugie, wodzone namiętności ognikiem, wpadają na bezdroża.

W każdym razie krytyka książek niewieścich bardzo trudna, dlatego że książka kobiety jest *nią samą*. Nie weźmie się ona nigdy do pisania w stanie spokoju, w którym mężczyzna zwykł myśl swoją objawiać, w którym, godny téj nazwy, literat zwykł do świata przemawiać, chwalić, ganić, stawiać lub burzyć; w kobiecie potrzeba pisania jest czysto egoistyczna: chętnie bierze do ręki pióro wtedy tylko, kiedy albo jéj dusza w kwiecie nie może pomieścić nadmiaru woni i ognia, który tam niebieskim bucha płomieniem: więc rozsypuje swe skarby, jak kwiat swe kolory i zapachy; albo téż, kiedy cierpiąca nad miarę, sama przed sobą i przed ludźmi potrzebuje uniewinnić, usprawiedliwić namiętności, które owładnęły nią przemożnie, i skłoniły do czynów, które społeczność potępia, a nawet srogo karze.

Dwa powyższe uczucia samolubne, tak ściśle się łączą zwykle z literacką tkanką w utworze kobiety, tak *ona* przeważa w nim nad fikcyą, że chcąc dyssekować dzieło, najłagodniejszy krytyk zawsze prawie skalpelem w żywe zakroi ciało: potępiając książkę, potępi samą autorkę, albo co gorsza, mniemając iż dotknął tylko papieru, na rozranione serce piekielnego przyłoży kamienia...

Wiedząc o tém wszystkiém, bez noża rozcinać będę karty dwóch książek kobiecego pióra, od których niniejszy przegląd zaczynam; a chociaż wiem, że autorki nie przeczytają tego, co o nich tu napiszę, tém bardziéj nie-

chcę ich sądzić zaocznie, i ograniczę się na prostéj relacyi, przynajmniéj co do pierwszego dzieła, które wielka boleść natchnęła.

Dziecko, książka wydana bezimiennie (podobno przez panią Klessinger, córkę pani Sand) jest echem wielkiego domowego nieszczęścia: matka ugodzona w serce, straciwszy to, co miała najdroższego na świecie, jedyne dziecię—chcąc zagłuszyć cierpienie, na które nie ma pociechy, napisała dla innych matek rodzaj przewodnika, czyli fizycznego i moralnego obchodzenia się z dziećmi, ażeby oszczędzić innym tego, co sama czuje i uchronić od nieszczęść, w które sama przez niedoświadczenie popadła.

Książka ta, choć niedoskonała, jest potrzebniejszą, niżby się zdawać mogło: mylném bowiem wydaje nam się mniemanie powszechne, że kodeks macierzyństwa cały już ręką natury napisany, i że dość trzymać go się ściśle, ażeby spełnić jak należy trudne obowiązki matki. Wielu sądzi, że łatwo być matką; doświadczenie atoli temu twierdzeniu przeczy, pokazując jak rzadkie są te, które znają swoję powinność, czynią zadość niezliczonym wymogom wielkiéj pracy formowania ludzi; jak rzadkie są nawet te, co dopełniają sumiennie rzeczy *koniecznych*, nie wspominając już o *zbytku* pieczy i miłości, które przy wychowywaniu dziecka są czasami także *koniecznością*.

Nie przeczę, że natura obdarzyła kobietę instynktem wzniosłym, złożyła w jéj sercu niewyczerpane źródło poświęcenia dla owocu jéj wnętrzności; ale te instynkta potrzebują światła, a te poświęcenia przewodnika: inaczéj, najczęściéj wyjdą na szkodę nie na pożytek dziecka. Zbytnia czułość zaślepia matkę a dziecko zbyt rozmiękcza fizycznie i moralnie; brak taktu, brak potrzebnego wykształcenia, zmniejsza użyteczność i powagę przewodnika, którego rodzący się człowiek potrzebuje. Ażeby rozwinąć ciało, potrzeba znać hygienę; ażeby rozwinąć duszę, trzeba samemu mieć zdrowe i wzniosłe myśli: żeby otworzyć umysł drugiego, trzeba żeby własny był otwarty.

Gdyby nawet matka posiadała wszystkie niezbędne do pełnienia swych funkcyj warunki, ileżto razy pożądane uciechy życia, wymagania społeczne, konwenanse przez ludzi wymyślone, staną w poprzek i zwrócą matkę

z prostéj drogi, którą iść zamierzała, pokrzyżują jéj szyki, przerwą rozpoczęte dzieło. Nadto, prócz że jest matką, jest żoną: ma więc dwojakie obowiązki; a obowiązki matki z obowiązkami żony nie zawsze pogodzić się dają: ztąd scyzya, niepokój, walka, w któréj zwycięztwo na którąbądź stronę padnie, jest zarazem przegraną.

Trzeba znać te wszystkie subtelne trudności, słowem, trzeba być żoną i matką, ażeby należycie ocenić cztery-sta stronnie zapisanych uwagami, które bezimienna autorka rozwadze matek podsuwa. Ogół rzuci zapewne obojętnie taką książkę, ale niewiasty wychowujące dzieci, czytać ją będą z zajęciem, będą rozważać i dyskutować wyrażone tam zdania, bo istotnie na uwagę zasługują.

Nie chcę przez to powiedzieć, że pani K. rozwiązała w dziele swém wszystkie trudności; ale że nie pominęła żadnéj, a i to już bardzo wiele. Nie pochwalam także tonu lirycznego i egzaltacyi, z jaką częstokroć mówi o kwestyach praktycznych; ale to już wada, którą z góry wybaczyć trzeba każdéj autorce, przez wzgląd, że kobiety z zimną krwią pisać nie umieją.

Pominąwszy sentymentalizm, który zawsze i wszędzie ubliża prawdzie, książka, o któréj mowa, pełną jest rzeczy ważnych i zdrowych; mianowicie téż podziwiać trzeba głębokość, z jaką autorka wyżłobiła rolę matki i uplastyczniła jéj moralne obowiązki. Widok takiéj rzeźby, oczom każdéj niewiasty potrzębny, a mianowicie téż zbawiennym jest dla młodych niedoświadczonych kobiet, które poszły za mąż nie znając wcale swoich obowiązków, czyli przyjęły partyą szachów wcale grać w nie nieumiejąc.

Wspomnieliśmy wyżéj o wzrastającéj ważności, jakiéj Francuzki nabywają w życiu i literaturze; wymieniliśmy oraz przyczyny, usprawiedliwiające ich ambicyą i okoliczności, uprawniające ich zuchwalstwo; otóż, jakby nam niedość trudno było dać sobie radę z kobietami, jakie są, trzeba że jedna z nich pokazuje nam, jakie będą za lat sto.

Les Femmes dans cent ans, spora książka w żółtéj okładce, jest rodzajem figlarnéj Apokalipsy, któréj autorka, pani Hermina Lesguillon, dała dowód imaginacyi i śmiałości niepospolitéj. Znakomity ekonomista, pan

Audiganne, opisał niedawno, czém będą za lat sto koleje żelazne, czyli skreślił czytelnikowi obraz odrodzonego świata, jaki z nich wyniknie; ale cuda jego są niczém w porównaniu z temi, jakie nam obiecują za sto lat kobiety, obrachowawszy swe siły. Posuwając się tym pędem naprzód, w przeciągu jednego stulecia zamierzają zdobyć sobie nietylko równość, ale wyższość, i to nie wyższość moralną, ale wyższość realną: prawie polityczną.

Jakaż przyszłość nas czeka? Mocny Boże! jakże smutne otwierają się przed nami perspektywy! Na szczęście, rzadko kto sto lat żyje, rzecz ta więc wyłącznie synów naszych dotyczy. W téj chwili przyznać jeszcze możemy bez obawy chłosty, że kreśląc idealną reorganizacyą płci swojéj i szukając sposobów sprowadzenia mężczyzn do zera, pani Lesguillon nie bardzo użyteczną książką przysłużyła się ludzkości; gdybyż to jeszcze była książeczka, ale to tom gruby. Takie utopie literackie w żadnym razie nie mogą być długie, bo nic więcéj nie nuży jak podobne allegorye, ułożone na wielką orkiestrę.

Wytknąwszy główne błędy dzieła, przyznać musimy, że wojna, którą autorka Micheletowi wydaje, jest słuszna. Michelet w swéj *Miłości* podwójnie skrzywił stanowisko kobiety wystawiając ją jako chorą i wiecznie małoletnią: monopol choroby na niéj dzięki Bogu nie ciąży, a dowody świadczą, że z dniem każdym do pełnoletności się zbliża. Autor rozminął się nietylko z warunkami prawdy, ale i z warunkami natury, czyniąc z męża tylko dobrego pana i przyjemnego *żeoliera*. W tym punkcie pani Lesguillon ma zupełną słuszność, i bardzo sprawiedliwie, że protestuje przeciw téj systematycznéj niższości, przeciw téj zniewieściałości niewiast. Ale żeby autorka protestacye swoje przedzielała mniejszą liczbą wykrzykników, książka zyskałaby wiele pod względem wytrawności; gdyby znów nie zagrażała światu wywrotem wszech rzeczy, większy posłuchby znalazła. Z talentem i łatwością argumentacyi, jaką posiada, mogła była stanowczo pobić micheletowskie teorye miłości; ale ów nieszczęsny brak krwi zimnéj, który autorom żeńskim zawsze szyki umysłowe miesza, sprawił i tą rązą, że pani Herminia, choć zwykle dowcipna a czasami nawet roz-

sądna, rozkochanemu tyranowi niewiast, ledwie parę strzał trafnych posłała.

Kiedy to piszę, dowiaduję się, iż *Kwestya Kobiet* zbogaciła się dwoma nowemi książkami: Michelet wydał znów tomik pod tytułem: *Kobieta*, a pan Marchef-Girard grubą księgę pod napisem: *Kobiety, ich przeszłość, teraźniejszość i przyszłość*: autor poprzedza rzecz swoją, listem Lamartina.

Pod napisem *Masques et Bouffons*, Maurycy Sand wydał piękną księgę *in folio*, a raczéj wspaniale ozdobne Album, w którém wskrzesił cały bufoński teatr włoski. Znany ze swych naiwnych powiastek syn sławnéj romanso-pisarki, tą razą występuje jako archeolog maryonetek. Z prochu teatralnych desek i bitych gościńców, wywołał wszystkie kształtne i bezkształtne widma, będące uosobieniem przywar i śmieszności ludzkich; zgromadził wszystkie dowcipniejsze improwizacye karnawałowych królów; przywrócił im dawny język, oddał dawne ubiory, i tym sposobem stworzył podwójną galeryą portretów: jedną kreśloną piórkiem, a drugą ołówkiem: obie charakterystyczne, dowcipne i eleganckie, jak rzadko.

Wmieszajmy się na chwilę do téj maskarady.

Jowiszem jéj jest Poliszynel. Niezmiernie to stara figura w dziejach świata: znaleziono jego profil na grobie Sezostrysa, jego sylwetkę na czerwoném tle amfory; sama nawet kamea grecka nie wzgardziła śmieszną postawą błazna i odbiła go w swém wykwintném łonie. Poliszynel stary jak świat, a raczéj jak ludzka natura, któréj jest karykaturą. Czy mu na imię Pappus, Bucco, Maccus, Casnar, Pulcinella, Karageus czy Punch, uosabia on zawsze zwierzęce instynkta ciała, pierworodną przywarę człowieka, to, co jest gliniastego w jego boskiéj formacyi.

Starożytny Egipt przemienił w dogmat tę antytezę ciała i duszy. Skoro człowiek żyć przestał, balsamiciel wyjmował z ciała wszystkie niższe organa fizycznego życia i zamykał je w kuferku, który podnosząc w górę kapłan odmawiał w imieniu zmarłego następującą modlitwę: „Słońce! mocarzu! życio-dawco! chciéj mnie przyjąć! Pełniłem wiernie obrządki ojców, zawszem czcił tych, od

których mam to ciało; nigdym nie zaparł depozytu; nigdym nie zabijał; a jeżeli popełniłem inne błędy, niedziałałem przez siebie, ale przez rzeczy zamknięte w tym kuferku.“ Po odmówieniu téj modlitwy, kufer rzucano do Nilu, a oczyszczone ciało stawiano w szeregu mumij przodków.

Poliszynel wyobraża ów egipski kufer, stokroć gorszy od szkatułki Pandory.

Rodowody Pulcinella autor wywodzi w prostéj linii od bufonów pogańskich: powiada, że to jest ostatni Satyr Wielkiéj Grecyi, w któréj było niegdyś mrowisko rozpustnych bożków. Ze starożytnego pochodzenia swego, Pulcinella zachował garbaty nos kozy, krótką tunikę, niewolniczą i czarną pół-maskę. Dzwonek, co mu u pasa dzwoni, przypomina grzechotkę kozła, na którym niegdyś jeździł; wszystkie instynkta jego dzikie, krwiożercze, rzekłbyś, mitologiczny potwór zapomniany w egzorcyzmach, które oczyściły lesiste wzgórza włoskiéj kampanii.

Polichinelle francuzki mniéj jest dziki od dziada swego Włocha: obejście jego grzeczniejsze, kształty więcéj do ludzkich zbliżone: jestto tylko komiczna karykatura gaskońskich przechwałków, gallickiéj jowialności i żołnierskiéj wesołości, w gruncie najpoczciwsza istota.

Punch angielski przeciwnie, zły jest i straszny. Anglia ukuła tego potwora na kowadle swéj historyi i poezyi: dała mu garb Ryszarda III, żarłoczny brzuch Henryka VIII, i gorzałką spaloną cerę starego Falstaffa. Punch się nie śmieje, ale szydzi; nie gwiżdże, ale warczy... Rzuć w kocioł brzytwę, którą sobie poderżnął gardło jaki lord splenem męczony, kawał powroza z pod szubienicy Tyburnu, wybity ząb boksera, chory kartofel nadgryziony przez konającego z głodu Irlandczyka; do tego doléj dżinu i opium, wsyp tureckiego pierzu, wymieszaj kościstym palcem najstarszéj z trzech czarownic Makbeta; a z tego wrzątku otrzymasz z pewnością *Punczu*, owe szatańskie Anglii wcielenie.

Tenże sam kontrast istnieje pomiędzy francuzkim a angielskim Pierrotem: pierwszy jest pusty, pocieszny, poczciwy; drugi zły, odrażający i okrutny.

Typem uderzającym w galeryi Sanda jest także *Cassandrino*. Maryonetka ta przedstawia rzymskiego mieszczanina facecionera, nic warta, filuta, ale takiego, co to idzie sobie, *piano*, *piano*, ostróżnie i oględnie, nie potrącając nikogo, a jednak przypinając tu i owdzie łatki. *Cassandrino*, do dziś dnia bawi Rzymianów swymi konceptami; teraz nawet szepcą tam sobie do ucha posłyszane od niego na ulicy ucinki i żarty, które w cichém powietrzu odwiecznego miasta brzęczą jak komary. Policya szuka, bada, i nie może wynaleźć winowajcy, ale mieszczanie wiedzą, że to niecnota *Cassandrino* podciął słówkiem, jak biczykiem, dostojne stopy ambasadora, legata, księcia, lub którego z *monseigniorów*.

Około tych najwyraźniejszych typów, wiruje złoczynny rój Pantaleonów, Brighellów, Scapinów. Sbriganich, Scaramuszów itd. itd.; cała zgraja błazeńskich masek udrapowana w pasiaste tuniki, lub białe płaszczyki:

„Wrzawa, śmiech pusty,
Żywo, radośnie,
Skrycie, miłośnie.
Staruszek doża, arlekin młody,
Dziewczyna hoża, szuka oslody;
Matrony, oszusty, swobody.“

Wszystko to, skacze, wrzeszczy, biega i błaznuje z dziwną fantazyą. W téj zgrai autor przedstawił całą werwę południowego łotrostwa, całą potęgę włoskiego *ingegno*, zastosowanego do psot i rozpusty. A wszystko to rasy, psoty i narowy starożytne: rozbierz tych arlekinów, a pod tém nowomodném dominem odnajdziesz niewolników Plauta i Terenciusza, powtarzających nowoczesnym językiem też same plotki, platających też same figle, za które niegdyś dawne pany kazali ich zabijać kijami.

Karnawał Wenecki pełen kolorów i wdzięku, jest perlą publikacyi; ale już téj stulistnéj róży oskubywać nie będę; nie skończyłbym dzisiaj chcąc wam pokazywać karta po karcie wszystkie obrazki, z których ten gruby tom złożony: polecam go więc tylko uwadze waszéj, sam zaś, porzucam syna i przechodzę do matki.

— Wyjdzie wkrótce nowa przepysznie illustrowana edycya *Romansów sielskich* pani George-Sand. Ogłoszono już drukiem przedmowę do tego dzieła, napisaną przez pana Stahl, jednego ze znakomitszych pisarzy paryzkich. Znajdujemy w tym pięknym wstępie bardzo trafne ocenienie geniuszu autorki *Indiany*.

„Nieraz, powiada wydawca, przyrównywano geniusz George-Sanda do wielkiéj rzeki, która użyźnia kraj, ale często występuje z łożyska i szkody czyni. Nam on się zawsze wydawał jako wspaniałe jezioro, które podróżny z zachwytem spostrzega u stóp wysokiéj góry. Prawdziwy charakter tego geniuszu, jest potężny spokój stojącéj toni. Najlepiéj odbija ona bezdenny błękit pogodnego nieba, swój szmaragdawy trawnik nadbrzeżny, nachylone nad sobą drzewo, szczyt skały, która się w niéj jak w zwierciedle przegląda. Najmiléj jéj słuchać westchnień lub szmeru zefirów, ożywionéj ciszy pięknéj nocy, pacierza wschodzącéj jutrzenki, potężnéj pieśni budzącego się dnia, lub modlitwy wieczora. Skoro burza ją nawiedzi, toń spokojna dziwi się i dręczy, bo nie szukała walki; skoro wichry nią wstrząsną i wyrwą ze zwykłego spokoju, kiedy musi stawić im czoło: wtedy zmącona głębia słodkiéj wody wydaje jęki bolesne; skarga jéj jednak zawsze poważna: fala wzdyma się i piętrzy wolno, jak wały oceanu. A skoro tylko minie nawałnica, jezioro znów do naturalnego powraca spokoju, gładką szybą kryształu zakrywa przed ludzkiém okiem swe rany, chowa tajemnice swych cierpień, i znowu staje się czystém nieba zwierciadłem.

„Sielskie romanse George-Sanda są tém spokojném jeziorem, pozłoconém promieńmi słońca, do którego się cała natura uśmiecha".

Definicya wydaje nam się trafna a pomysł szczęśliwy. Każda prawa dusza będzie wdzięczna wydawcom, którzy zgromadzili razem te czyste i nadobne powieści. Tworzą one osobne dzieło w dziełach autora i we francuzkiéj literaturze tegoczesnéj. Smak powszechny oddawna się domagał, ażeby z tych wszystkich kwiatów bukiet ułożono. Liczba książek, które każdy z pożytkiem i uciechą czytać może, jest tak szczupła, tak mało jest

dzieł, które za życia autora można do rzędu klassycznych policzyć, że prawdziwą przysługę ten czyni ludzkości, kto jéj podaje snopek czystego zboża bez kąkolu.

Romanse sielskie, zdaniem nawet najsurowszych krytyków, są doskonałym wzorem swego rodzaju. Nawet *Paweł i Wirginia*, ów typ powieści czystych, mniéj jest jasny i dziewiczy. Romans Bernardin'a de Saint-Pierre jest tylko niewinném marzeniem, kiedy opowiadanie, dające nam poznać i pokochać Marynkę pastuszkę i Piotra oracza, jest szczerą prawdą. Jestto rzeczywistość sielska w swym najszlachetniejszym i najprostszym wyrazie, prawdziwa kąpiel powietrzna dla duszy i ożywcza dla serca rosa.

Nie ulegniemy chęci rozbierania tu szczegółowo wszystkich piękności *sielskich romansów* Sanda; ograniczymy się tylko na potwierdzeniu ogólnego zdania, że nigdy czystszy i uczeńszy zarazem język nie oddał biegléj wzniosłéj prostoty. Arcydzieła te nie są podobne do niczego, co świat nowożytny w tym zakresie stworzył: nie przypominają ani *Aminty* Tassa, ani sentymentalnych owczarni Floriana, ani fantastycznych sielanek Szekspira, ani *Galatei* Cervantesa, ani *Arkadyi* Sidneya, ani nawet prostego Roussa; *Eglogi* Teokryta i Wirgiliusza, a właściwiéj jeszcze *Księga Ruthy* są jedynemi dziełami, któreby można dać za pradziadów utworom wydanym pod napisem: *La Mare au Diable*, *François le Champi*, *la Petite Fadette* i *Maîtres-Sonneurs*, gdyby zupełne odrodzenie rodzaju nie było twórczością.

Publiczność i krytyka paryzka zdziwiła się niezmiernie ujrzawszy na scenie *la Mare au Diable* i *Champi*; w teatrze swoim bowiem widziała zawsze tylko złych lub śmiesznych chłopów; pierwsza pani Sand pokazała ich zdolnych do poczucia i pełnienia dobra. Dzięki jéj, większa połowa ludzkości nabyła praw do życzliwości swych starszych braci.

Romanse sielskie są pierwszemi tomami publikacyi, mającéj wychodzić pod napisem: *Bibliothèque de Livres et de Romans Moraux.*

Pojawiła się znów komedya przeciw giełdzie: jestto już przynajmniéj setna z rzędu. Od lat dziesięciu stoi w teatrze francuzkim gwintowe działo, wycelowane na bursę; autorowie kolejno przychodzą go nabijać: skoro jeden nabije i wystrzeli, przybywa drugi artylerzysta-dramaturg i znów pali: a Bursa jak stoi—tak stoi! można jéj przyznać, że mocna! Wprawdzie pan Leon Laya nie bardzo ją nadwerężył, nabił bowiem działo samym prochem deklamacyi, który się spalił nieszkodliwie, zostawiając w powietrzu miasto dymu przeciwnego synom Merkura, miłe powonieniu złotego cielca kadzidło. *Książę Job* zyskał tu odrazu powszechną aprobacyą, która zwykle dowodzi mierności dzieła; wychwalana ta komedya jest jedną z tych sztuk uczciwych i powszednich, coto żyją sobie spokojnie, dużo przynoszą dochodu i umierają w późnym wieku bez zmartwychpowstania.

Bohatérem komedyi jest książę Jan de Rieux, przezwany Jobem z powodu ubóstwa, które jak rdza na mitrę jego padło. Kiedyś za dobrych czasów, coto dla najuboższego szlachcica chowały jeszcze jakiś wygodny kątek, książę Job byłby został kawalerem maltańskim; teraz, kiedy wszystkie już synekury zamknęły się niepowrotnie, żeby nie umrzéć z głodu, musiał wstąpić do armii afrykańskiéj. Tam wkrótce zasłużył na stopień sierżanta; a że prawdziwie szlachetną ma duszę, książę Job z téj maluczkiéj zasługi własnéj, dumniejszy niż z zasług naddziadów.

Nie ma podobno sympatyczniejszéj figury w naszych czasach jak szlachcic w mundurze prostego żołnierza walczący za dobrą sprawę; ale téj postaci dotąd nikt jeszcze nie odmalował, jak należy. Pan Laya chybił ją zupełnie: książę jego ma wszystkie cnoty i zalety, ale mu brak téj woni czy barwy, na którą w naszym języku nie ma nazwy, a którą Francuzi *dystynkcyą* zowią. Człowiek, na którym natura téj szlacheckiéj pieczęci nie wycisnęła, choćby mu wszyscy monarchowie książęcą mitrę przyznali, zostanie zawsze potomkiem Chama.

Poznajemy księcia Joba na urlopie u ciotki, która poszła za bankiera Dawida, finansistę pierwszéj gildy. Cały dom cioci choruje na złotą gorączkę: ojciec ra-

chuje od rana do nocy; matka odcina kupony; syn Achilles pędzi życie na bursie; córka Emma też tylko arytmetyką zajęta. Nad wiek swój rozsądna panna Dawidówna w siedmnastu leciech uważa już małżeństwo jako stowarzyszenie handlowe, ustanowione ku wzajemnemu ponoszeniu kosztów życia. Spisawszy tedy swoje dochody i wydatki i podsumowawszy dodawanie, panna Emma zadecydowała, że ponieważ ma trzykroć sto tysięcy posagu, mąż powinien jéj przynieść drugie trzykroć.

Dlatego kochane to dziecię z zamkniętemi oczyma przyjmuje przedstawionego sobie przez papę przyszłego małżonka. Ów przyszły pan Valette nie jest ani piękny, ani brzydki, ani zły, ani dobry, ani głupi, ani sprytny: jedyny jego znak szczególny ten, że w przeciągu roku wygrał na bursie żądane 300,000.

W takim domu i okoleniu nasz pan Job wygląda jakby Don Kiszot z dzidą na koniu harcujący pomiędzy meksykańską zgrają złoto-kopów. Kocha on mimowolnie zapatrzoną w kassę panienkę, ale Jobowa duma nakazuje mu milczenie. Jednak, kiedy Emma przychodzi radzić go się w swych matrymonialnych interesach, sierżant afrykański wybucha... oświadcza się kuzynce, poczém wspomniawszy na swe ubóstwo, ucieka, jakby popełnił zbrodnią.

W następnym akcie spotykamy znów młodego księcia w domu wuja, margrabiego de Rieux, który filozoficznie siedzi sobie w gruzach swego feudalnego zamku. Wujaszek na zalanie wspólnéj biédy wynosi jednę i drugą butelkę starego wina; po drugiéj wychodzi trzecia i czwarta, którą wychyliwszy młodzieniec usypia w objęciach Bachusa. Wuj zostawia go w fotelu a sam idzie położyć się wygodniéj na łóżku. Pusto w sali, nic nie słychać prócz chrapania naszego bohatéra; wtém drzwi się otwierają i wchodzi na paluszkach panna Emma.

Oświadczyny kuzynka znać trochę drasnęły jéj serduszko, które dotąd jak złoty zegarek tylko liczby wskazywało. Radaby poślubić Joba, ale arytmetyka od uczucia mocniejsza woła głośno: „nie pozwalam!“

Czując w sobie tę nieznaną walkę chciwości z miłością, panna Emma siada, dobywa z kieszeni karnecik

i naprędce zaczyna rachuneczek: dodawszy 3000 dochodu kuzynka do 15,000 swéj renty, oblicza, czy za to żyćby można jakotako. Chodzi o to, żeby bez wielkiego uszczerbku w wygodach, umazać 12,000 z wymarzonego budżetu. Najprzód tedy ujmuje na mieszkaniu, potém urywa na strojach, potém wyprzęga jednego konia od powozu, odprawia jednego służącego; ale mimo to, zawsze jednak braknie jakich dwóch lub trzech tysięcy do znośnego żywota.

Scena ta niezmiernie się tutaj podobała: nas ona oburzyła. Może jest prawdziwa; nie przeczę, że takich córek Dawida nie małoby tu naliczył; ale autor *proh pudor* młodości, powinien był oszczędzić ludziom tego widoku: ta dziewczyna myśląca tylko o tém, jakby najkorzystniéj *uplacować* swą miłość, budzi wstręt i wzgardę. Widząc ją obok śpiącego kochanka obliczającą budżet domowy, zdało mi się, że mam przed oczyma jakąś amerykańską gospodynią, namyślającą się czy kupić czy nie kupić niewolnika, który jéj się za drogi do wyżywienia wydaje; mimowolnie podczas tych obrachunków przychodzi na myśl górne słowo Dziewicy Szekspira: „Tylko żebraki pieniądze swe liczą".

W ostatnim akcie, ni ztąd, ni zowąd, łaska boża pada na dom bankiera: jakieś konwercye pękają w nim jak granaty; wszystkie charaktery nagle z czarnego w biały przechodzą kolor: bankier Dawid zrzeka się giełdowych zysków i chce poprzestać na trzech od sta; Achilles marzy o miłości, Emma z radością idzie za kuzynka na pół-żołdzie: rodzina rozczula się nad młodą parą, mającą zamieszkać w chatce nad strumykiem.— Wszystkie dawne pojęcia nie wiedzieć jak znikają. Wtém nowe nieprawdopodobieństwo: słychać dźwięk złota i nagle cztery miliony spadają na głowę Joba.

Cud ten tak się tłumaczy: przyjaciel, kolega, któremu Job był kiedyś oddał 40,000 długu, żartem, bo nic nie posiada, ale prawnie ustanowił go na wszelki przypadek swoim spadkobiercą: otóż, ojciec tego przyjaciela, sławny skąpiec i bogacz zabił się przypadkiem; zatém Job bierze po nim sukcessyą.

Przy blasku milionów kończy się sztuka. Ale gdzie sens moralny? Finalna lawina złota zupełnie go druzgocze. Komedya, która przez cztery akty wpaja pogardę mamony a kończy się milionową ulewą, może tylko wzruszenie ramion wywołać. Cała ta sztuka przypomina ów *panegiryk ubóstwa*, napisany na szczerozłotéj tablicy przez jakiegoś rzymskiego sofistę.

— *Les Dettes de Coeur*, dramat sławnego współpracownika Dumasa, Augusta Maquet, przedstawiany teraz na dworskim teatrze w Compiègne— bez porównania jest wyższy.

Autor wziął przedmiot smutny, sto razy opracowany a zawsze nowy: przedstawił mężczyznę stojącego pomiędzy dawną kochanką a młodą narzeczoną— odmalował *miłość wierzycielkę* ścigającą swego dłużnika. Jak Shylock ma ona prawo do „funta mięsa z pod serca"; a zanim odbierze dług w *naturze*, ostrząc nóż, sprawę swą adwokatuje.

Taki jest przedmiot *Długów Serca*, przedmiot niewyczerpany! bo ileż sprzeczności i walk w takiém położeniu. Sumienie się waha, samolubstwo nawet nie wié, jak zawyrokować w takich sprawach. Miłość ukradkowa nie ma istotnie żadnego prawa do życia, ani trwania; nie wié tajemnicy swego przeznaczenia; przechodzi od ślubu bez ołtarza, do wdowieństwa bez grobu; zależy od kaprysu, oziębienia zmysłów, ocknienia rozsądku, od jednego przelotu surowéj myśli po otaczającéj ją próżni: takie jest prawo takich związków.

A jednak, jakże nie uczuć srogiego losu kobiety, która przez pierwszą winę wyrzucona z życia normalnego i zatrzymana przez zwodnicze uczucie nad przepaścią, czuje tę wątłą gałąź łamiącą się w swém ręku. Łatwo pojąć, że taka istota się broni, że klnie i złorzeczy, że wyrzuca przypadkowi, iż nie jest regułą, a chwili, że nie jest wiecznością.

Z drugiéj strony łatwo także pojąć, że mężczyzna, oplątany w nieprawne związki, odsunięty od świata, który go od swego stołu odpycha i każe pożywać ukradkiem ów zakazany owoc, urwany mimochodem, znuży się w końcu takiém przemycaném szczęściem; a znuży się

tém rychléj, że zerwanie z niém jest zgodą ze światem. Przychodzi tedy kryzys. Rzecz skończona, jeżeli pamięć z obu stron krótka; ale jeżeli poświęcona miłość przeżyje małżeństwo, wtedy dramat staje się tragedyą: wtedy przychodzi dzień, w którym pochowana miłość przemaga popiół, którym ją przysypano i znów wybucha niespodzianie, jak źle zgaszony pożar.

Straszne jest takie zmartwychwstanie namiętności! Podobną ona wtedy do owego wschodniego geniusza, zaklętego w szkatule, od któréj klucz w morzu: skoro pęknie wieko niebaczną naciśnięte dłonią, wtedy geniusz płomieniem wybuchnie i spali czarodzieja, który go więził.

Oto kanwa, na któréj Maquet pohaftował sceny tak rzewne, iż cały dwór francuzki do łez poruszyły. Mając sobie podane tło obrazu, czytelnik lepiéj go sobie niż sprawozdawca odmaluje.

Kommissya, wyznaczona przez rząd do ułożenia nowego kodeksu dla Teatru francuzkiego, zakończyła swoje czynności. W raporcie podpisanym przez pp. Empis, Augier, Mérimée, Saint-Beuve, Sandeau, i Thierry, czytamy, że każdy autor będzie pobierał 15% brutto, od przedstawienia swéj sztuki. Jestto już znaczne podwyższenie, ale wynagrodzenie autorów nie stawia jeszcze na równi z korzyściami, jakie ciągną ze sztuk przedstawionych w *Gymnase* i *Vaudevillu*.

Położywszy umyślnie nacisk na ten punkt drażliwy, dostojni kommissarze dodają.

„Dopóki kwestya pieniężna górować będzie nad kwestyą literacką; dopóki autorowie mało ważyć sobie będą zaszczyt oglądania swéj sztuki, odegranéj przez doskonałych artystów w przybytku szlachectwa i dostojeństw, gdzie na nich czekają popiersia przodków i mistrzów; dopóty nowa taryfa, choć ulepszona, nie zwróci ich na drogę wiodącą do Teatru francuzkiego. Ażeby ich doń doprowadzić, potrzebaby zmniejszyć *Gymnase* i *Vaudeville*, albo zniżyć Teatr francuzki kasując dawny repertoir.

„Kommissya nie sądziła, ażeby zniżenie sztuki było środkiem podniesienia autorów. Rachuje ona wiele na naturalny bieg rzeczy i szybkie przemiany literatury. Umowy wyjątkowe ciążą już teatrom drugiego rzędu; rzadko się zdarzyło, żeby sztuka przyniosła tyle, ile kosztowała. Nowa komedya wyczerpie wnet tę wenę naszych obyczajów sekretnych, którą tak zuchwale eksploatuje. Skoro znów zacznie czerpać w obyczajach publicznych i prawnych stosunkach życia, autorowie sami powrócą do Teatru francuzkiego, do teatru prawdziwéj, wielkiéj sztuki, i odnajdą tam owe powodzenia, zaszczytne zarówno dla kraju jak dla autora; powodzenia, które wskazują oklaskanego poetę najwyższéj nagrodzie państwa i dają mu sprawiedliwą zapłatę pracy, wyższą od téj, jaką mieli autorowie *Szkoły Starców* i *Ludwika XI*".

Nieśmiertelna panna Déjazet ma teraz własny teatr, któremu swéj nazwy użyczyła. Niepojęta ta niewiasta, na któréj czas odwrotne niż na reszcie śmiertelników wywiera wpływy, odmłodniawszy znowu o jakie lat dziesięć, występuje w roli piętnastoletniego chłopca, bohatéra ucieszněj sztuczki, pod tytułem: „*Les Premieres Armes de Figaro.*" Widzimy tam Figara terminującego jeszcze u balbierza i kształcącego się w talentach, które późniéj tak wielkie mają mu pozyskać wzięcie. Sztuczka ta jest tak dowcipna, pusta i lekka, że możnaby ją Baumarchemu przypisać. Intryga, zawikłana jak węzeł gordyjski, jest jedném nieustanném imbroglio; a wiadomo, że w takich właśnie sztukach celuje panna Déjazet.

W ciągu jéj sześćdziesięcioletniego zawodu scenicznego, ileż dla niéj nie napisano podobnych igraszek. Ulubiona komedyantka bywała na przemiany to cherubinem, to panią Dubarry owych kartonowych Wersalów; odmawiała księżętom kochanki, a księżniczkom amantów; przewracała wóz państwa z czekolady; wzmagała burze w szklance wody lub kropli lacryma-Christi. Maskarady, polowania, wesela, schadzki, wykradzenia, alkowowe niesnaski, serajowe niełaski, łowy na historyczne motylki, wszystkich tych rozwiozłych scen, Déjazet była

zawsze duszą. Nie ma księztwa, elektoratu, ani państewka niemieckiego, nadętego etykietą; nie ma willi włoskiéj, rojącéj się maskami, gdzieby vaudevilliści paryzcy nie posłali panny Déjazet w ubiorze pazia, nimfy lub huzara. Onato, nie kto inny, stworzyła najmilszy Francuzom vaudeville; ona tylko jedna potrafiła odegrać owe dwupłciowe role, wysnute z Pamiętników Casanowy lub Awantur Faublasa. Grała je jak naoczny świadek, jako członek owego społeczeństwa.

Déjazet jest rzeczywiście ostatnią kobietą XVIII wieku: nizka jak one, ma ich przymrużone oczki, uśmiech figlarny, i rumieniec uwieczniony pędzlem sławnego Watteau: nawet dzwięk jéj głosu donośny a wątły, przypomina oklepane klawikordy, po których brząkały stare margrabiny.

Bez gry panny Déjazet cały nowy vaudeville jest niczém, dlatego intrygi nowéj sztuczki tu nie przytaczam, powtarzam tylko, że jest zadziwiającém naśladownictwem stylu Baumarchego; autor pan Wiktor Sardou, zadziwił wszystkich pisarzy paryzkich i śmiało rzec można, zapowiedział wskrzeszenie zmarłéj od dawna wesołości szczeréj.

Rabin paryzki, pan Salvador, wydał obszerne dzieło pod tytułem: *Paryż, Rzym, Jeruzalem.* Trzy te nazwy odpowiadają trzem czasom: Paryż, ognisko rewolucyj politycznych, to *teraźniejszość*, z całym swym gwarem, usterkami i ściskiem; Rzym, będący wyrazem katolicyzmu, to *przeszłość* z całą pozostałością dawnéj intelligencyi, zręczności i wielkości; Jerozolima, to *przyszłość*, stolica powszechna, która była obiecana od początku świata, a którą dźwignie cywilizacya.

Krótkie to streszczenie może dać pojęcie o ważności kwestyi i wielkości problematów, które Salvador w dziele swém porusza.

Na wstępie odpiera on zasadę, uważającą religią za rzecz stałą i nieruchomą. „Nic, powiada, ruchomszego jak święte dogmata: doskonalą się one i oczyszczają nieustannie. Też prawa rządzą religią co i naturą człowieka; religia przeto niemoże zostać nieruchomą, nie rozpocząwszy z umysłem ludzkim walki, z któréj konie-

cznie wyjść musi zdyskredytowana i ze czci odarta: trzeba więc, żeby była, tak co do gruntu, jako i formy, w proporcyi z oświatą wyznających ją ludów. Nieruchomość wyradza nieproporcyą pomiędzy stanem umysłu a przedmiotami przedstawionemi wierze: z téj dysproporcyi rodzi się niewiara."

Oto główna myśl, która na wstępie téj obszernéj pracy uderza.

Pan Dargaud wydał dzieło pod tytułem „*Histoire de la liberte Religieuse en France et de ses fondateurs.*" Praca ta światła i sumienna, a nadto, przybywająca w porę, żywo zajęła tu umysły.

— Renaud wydał „*Les Poemes de l'Amour.*" Utwór mierny, który nie wzbudzi miłości poezyi w tym, kto jéj nie posiada, ale téż jéj nie odejmie temu, kto ją ma.

— Capefigue, historyk pani Dubarry et compagnie, wydał nowy tom pod tytułem *Gabrielle d'Estrée.* Praca ta jest godna poprzednich utworów tego mistrza.

— Poeta Lannau-Rolland wydał tom pod napisem „*Michał Anioł poeta.*" Wbrew woli autora, czytelnik przejrzawszy jego prace utwierdza się w uznanéj powszechnie prawdzie, że Michał Anioł większym był rzeźbiarzem niż rymotworcą.

— Wyszedł piérwszy i drugi tom *Korrespondencyj Berangera*, zebrany i wydany przez Pawła Boiteau; trzeci i czwarty wyjdzie w styczniu.

— Trzeci tom *Historyi Prassy Francuzkiéj* Halin'a, wyszedł z druku.

— Członek akademii, p. Lacretelle wydał tomik poezyj pod tytułem „*les Contes de la Méridienne.*" Rzecz bardzo nie smaczna.

— Wkrótce wyjdą z pod prassy dwa nowe tomy, napisane przez Arsena Houssaye: „*Panna de la Valliére*," i „*Pani de Montespan.*" Wyszła tegoż autora trzecia edycya *Króla Voltair'a.*

— Jednocześnie pojawiło się trzecie wydanie *Szkiców Moralnych* Daniela Stern (Comtesse d'Agout). Jest to zbiór myśli i zasad, wypowiedzianych w nader miłéj for-

mie; a nic trudniejszego podobno, jak dobra oprawa myśli poważnych. Na stu pisarzy zaledwie kilku zdobyło kształt odpowiedni charakterowi ducha-mentora. Rozwinięcia obszerne, drobiazgi i wybiegi, posługujące romansopisarzowi, wzbronione są moraliście: styl jego powinien być trzeźwy, zwięzły, nie obrazowy, dochodzący najkrótszą drogą do celu: słowem, każda myśl moralisty powinna być brylantem, oprawionym w prostą złotą niteczkę. Daniel Stern zapewne nie posiada wszystkich zalet, wymaganych od moralisty; ale dzieła jego mają już tę wielką zaletę, że czytelnik na każdéj stronnicy spotyka myśli własne, które czuł, choć sobie z nich sprawy zdać nie umiał: obudzić cały rój nie ujętnych idei w duszy czytającego, przyodziać w ciało jego aspiracye, nie jestże to największy tryumf pisarza, prawdziwy kamień probierczy talentu? Swieżo wydana edycya ozdobiona jest portretem autora. Numizmatyczna głowa tego „niewieściego anioła z męzką duszą," ślicznie wygląda w powojowym wieńcu. Wyszły także dzieła kompletne pani Girardin.

— Pani Beecher Stowe wydała jednotomowy romans pod napisem „*The Minister's Woving*" (Narzeczona Pastora). Zaczęto go tu już tłumaczyć na francuzkie. Pan Cucheval-Clarigny w *Revue des Deux Mondes* powiada, że „potężną kosą wykosiwszy teologiczne krzaki, zarastające tę powieść, możnaby z niéj ładną rzecz wyciągnąć."

— Członek Instytutu Ludwik Wołowski, rozpoczął ósmego listopada swój kurs *Prawodawstwa Przemysłowego* w amfiteatrze konserwatoryum sztuk i rzemiosł. Wykład odbywa się we wtorki i piątki od siódméj do pół do ósméj wieczorem. Professor mówi tego roku o prawach, zastosowanych do kondycyi wyrobników, o pracy dzieci, o koalicyach wyrobniczych i instytucyach, służących do dopełnienia zasady wolności pracy.

AYMERILLOT.

(Z LEGEND WIKTORA HUGO).

Karol, z brodą zarosłą, z groźną w oku chmurą,
Wraca z kraju Hiszpanów i woła ponuro:
„O! nieszczęsne Roncevaux, zdrajco Ganelonie!"
Bo żal ściska mu serce po Rolanda skonie,
I tych dwunastu parów walecznych, co razem
Z dzielném wojskiem pod wroga polegli żelazem.
Rolnik powraca w góry, wchodzi w próg swój śmiało
Ściska żonę i rzecze: „ha! dobrze się stało!"
Krwawy łuk zmywa w zdroju, co w pobliżu płynie,
A kości bohaterów bieleją w dolinie.

Dobry król czuje ciężki żal w sercu stroskaném,
I koń jego Syryjczyk, żałosny wraz z panem.
Płacze mocarz: o! łzami płacze on krwawemi
Za wodzami dwónastu, kwiatem Franków ziemi,
Których ramię waleczne nigdy nie omdlało.
On płacze za Rolandem, za straconą chwałą!
Bo złowrogiem przeczuciem w mętną przyszłość sięga,
On, przed którym hiszpańska runęła potęga,
Wie, że z gór tych wnet rozgrzmi pieśń po świecie całém
O mężnych, co polegli pod chłopstwa nawałem.

Karol jedzie trzy doby, nie ustając wcale,
Aż stanął na najwyższéj Pireneów skale,
I wzrok orli wlepiwszy w przestrzeń niezmierzoną,
Widzi zdala, na wzgórzu, za mglistą osłoną,
Warownią, w krąg objętą potrójnemi mury;
Przy każdéj bramie, baszty dwie, sterczą do góry
I niby las owiany w powietrzne błękity,
Trzydziestu groźnych wieżyc najeżone szczyty;
Saraceńskie krużganki świecą się w około,
Grubo zewnątrz oblane żywicą i smołą;

A za niemi z pośrodka warownego miasta
Olbrzymich kształtów wieża w obloki wyrasta:
Blanki jéj ołowiane, a w każdéj strzelnicy
Ze wzrokiem wytężonym czatują łucznicy;
A na złotym jéj szczycie wielki, jak tarcz słońca,
Dyament lśni w około blaskiem barw tysiąca,
I strumieniem światłości oblewa krąg cały.

A na lewo poważnie kipią morskie wały,
I do podnóża grodu białe niosą żagle.

Karol z góry dopatrzył gród i zadrżał nagle.

„O mądry mój Naimie, patrz, patrz, tam daleko,
Jakiżto gród potężny połyska nad rzeką?
Kto posiędzie go, wieczną okryje się chwałą!
Jam smutny, mnie się raczéj weselić przystało,
Gdybym tu z lat dziesiątek strawił w ciężkiéj zbroi:
O łucznicy, wodzowie, towarzysze moi,
Dziatki moje, lwy moje, przysięgam na duszę,
Nim na krok wstecz ustąpię, ten gród zdobyć muszę".

Dreszcz trwogi na wskroś przejął starego Naima:
„Kup go, królu: przemocą nikt go nie otrzyma;
Bo prócz wiernych Bearnów, nie zachwianych w wierze,
Bitnych Turków dwadzieścia tysięcy go strzeże.
Niegdyś o naszych czynach brzmiały głośne wieści,
Lecz dziś, królu, czyż stanie za zastęp niewieści
Ta garstka zmordowana i dachu spragniona!
Jam starzec najdzielniejszy z twych rycerzy grona.
Panie, pozwól niech słusznie powody wyliczę:
Kędyż mamy tarassy? kusze oblężnicze?
Konie padły w pochodach, a żołnierz syt boju,
Radby wreszcie odpocząć po trudach i znoju.
Szaleniec chyba mniema, wyznam, królu, szczerze,
Iż pociskiem kusz ręcznych rozwali te wieże"

A król na to z słodyczą rzecze nie udaną:
„Książę, jam ciebie pytał jak ten gród nazwano".

—„Chybia pamięć, gdy człeka wiek ciśnie do ziemi,
Ależ, panie, miéj litość nad barony twemi,
Daj powitać ogniska i progi domowe,
Na co nam nowe trudy i podboje nowe?
Małożeśmyto ziemi krwią zdobyli własną?
W twém olbrzymiém cesarstwie jeszczeż ci za ciasno?
Chcesz, by wróg ci urągał z wierzchołków tych wieży,
Gdy w lot mu zbrojny zastęp na odsiecz przybieży;
Skoro szalonych śmiałków zaoczy z oddali,
Bo trzy drogi mu w ziemi Turcy wykowali:
A piérwsza prosto wiedzie w wąwozy Bastana,
Druga do morza, trzecia w kraj ciemny szatana",

Król się słodko książęcej przysłuchiwał mowie:
„Ależ powiédz mi—rzecze—jak się gród ten zowie?“
—„To Narbona!“

„Narbona!—król woła z zapałem—
Jak piękna! mieć ją muszę! nieraz podziwiałem
Słynne z cudnéj urody narbońskie dziewice,
Czarodziejskim ich wdziękiem wnet oczy nasycę.“

I Karol po rycerstwie wzrok powiódł dokoła:
„Niech Dreus z Montdidier przyjdzie tu—zawoła.—
Hrabio! już serce w starym strupiało Naimie,
Ty bracie weź Narbonę! twe ramie olbrzymie
Zagarnie gród potężny, jać zapłacę wzajem
Trud, szerokim téj ziemi aż po morze skrajem.
Tyś synem walecznego ojca, przyjacielu!
Twój stryj, mąż świętobliwy, był opatem w Szellu;
Wszak idą torem ojców nieodrodne syny.
Daléj dzielny rycerzu, każ stawiać drabiny:
Do dzieła!“

Na to hrabia: „Królu mój a panie,
Ledwie mi do odwrotu ostatka sił stanie,
Dość chadzałem w pancerzu, hełmie i kolczudze,
A dziś łoża miękkiego twemu trzeba słudze:
Jam chory, krew mi kipi gorączkowym żarem
I barki się ugięły pod zbroi ciężarem:
Już gromem strzaskanemu nie dźwignąć się drzewu!“

A Karol nie okazał ni żalu, ni gniewu,
Lecz wzrok powiódł, szukając Huga z Konektynu,
Wodza cześci niezłomnéj, skorego do czynu.
„Hugonie! czegóż dzielne ramie nie dokona,
Wyciągnij śmiało rękę, a twoją Narbona“.

Hugo przed królem głowę pochylił wyniosłą:
„O panie! jak szczęśliwe rolnika rzemiosło:
Idzie z pługiem na rolę, a gdy łan zaorze,
Wraca spocząć do chaty, nim zagasną zorze.
Jam pokonał Gajfera, Tessala, Tryfona,
A czy w mróz, czy w skwar letni, gniecie mi ramiona
Ten pordzewiały pancerz; a spoczynek senny
Co ranek mi przerywa huk trąby wojennéj.
Dość tych nocy bezsennych, dość krwi i zasługi,
Jam już ztrudzon: Narbonę niech posiędzie drugi“.

Smutno król zwiesił głowę i dumał głęboko.
Znów na wiernych swych wodzów baczne zwraca oko,
I Ryszera z Normandyi przyzywa do siebie:
„Tyś, książę, doświadczony w rycerskiéj potrzebie,

Chcesz-li ród twój odwieczny odziać w nowe blaski:
Zdobądź oto Narbonę!“

„Jam już z Bożéj łaski
Książęciem od pradziadów, potężny Karolu!
Mnie zadość, nie chcę chwały zbierać na tém polu“.

Ku hrabiemu z Gandawy król zwrócił oblicze:
„Tyś zwalczył Magierona zgraje rozbójnicze!
Gdy ci w dni twoich progu pierwsza blysła zorza,
Dzielność w pierś twą wplynęła, z czystém tchnieniem morza;
Zacną była twa matka, tyś wziął cnotę po niéj,
A miecz ci, chyba zdradą wróg wytrącił z dłoni:
Lecz z upadku tém dzielniéj, duch pełen zasobu
Powstawał, nie przepomnę téj chwili do grobu.
Jakaż zuchwała radość tliła w twéj źrenicy,
Gdyśmy obaj zbłąkani w obcéj okolicy,
Nagle lanc saraceńskich posłyszeli szczęki;
Z jakim szałem, tyś oręż pochwycił do ręki:
Boś ty nigdy na sercu nie upadł w złéj dobie,
Hrabio, zdobądź Narbonę, a oddam ją tobie!“

„O panie! mnie do Flandryi co żywo biedz trzeba,
Jam głodny i drużyna moja łaknie chleba.
Po co w kraju przeklętym nowe wszczynać boje,
Zamiast mąki pszenicznéj, tu rycerstwo twoje
Jadło szczury i myszy; a gdy tych niestało,
Stary rzemień z obuwia chciwie pożerało;
A potém, skwar słonecznych w tym kraju promieni
Czerni skórę i dziwnie krasę lica mieni.
Kto wie, czyli małżonka, którą cenię drogo,
Wziąwszy mnie za Maura, nie odtrąci z trwogą.
Ol mnie pilno powitać dom i żonę młodą,
Gdybyś mi, panie, dawał za ten gród, w nagrodę
Cały skarb Salomona i Pepina złoto,
Po kęs chleba do Flandryi wracałbym z ochotą!“

„Te poczciwe Flamandy—król rzecze—im trzeba
Bardziéj niźli wawrzynów, ogniska i chleba.
Lecz co szukać zdobywcy, gdy w rycerstwa kole
Ty jesteś hrabio Nancy, mój stary sokole.
Wierny mój Eustachy, patrz, ten gród wspaniały,
Ma trzydzieści zamczysków i potrójne wały;
Przy każdéj bramie sterczą dwie baszty na straży,
A kto w miasto przez wyłom wedrzéć się poważy,
Ten ledwie począł dzieło, trud go czeka nowy,
Dopóki nie zdobędzie wieżycy środkowéj.
Twarda sprawa, lecz tobie wszak sił na to stanie:
Tyś przecie stary sokół!“

„Jam gołąbek, panie!
Licha zięba, co rada ukryćby się w chrósty
I uleciéć do gniazda: mój skarbiec już pusty,
Nie mam solda przy duszy, a głodna drużyna
Niecierpliwie się nędznéj płacy dopomina.
Jam zgrzybiały już, panie, tak duchem, jak ciałem,
Dawno téj staréj pięści z krwi nie opłókałem;
Wojna zużywa człeka, aż przyjdzie nań pora,
Że dziś to znienawidzi co ukochał wczora.
Niegdyś patrzał w twarz śmierci przezemglę różową,
A dziś mu wszystko w oczach szczerniało grobowo;
Lata wloką podagrę, radość z serca płoszą:
Kto biegł z gniazda sokołem, powraca kokoszą.
Jam chwałą przesycony, dość mi w śmierci progu
Odpocząć staryin kościom na garści barłogu“.

Dzielny rumak królewski grzebał nogą ziemię,
Jakby słowa rozumiał, a czarne chmur brzemię
Wlekło się ponad górą, a poniżéj skały
Gerarda z Russyllonu zbrojne roty stały.
Król przystąpił z uśmiechem:

„Mężu walk świadomy,
Twardy w boju, jak męże nieśmiertelnéj Romy:
U ciebie niczém trudy, tam żywot w pogardzie:
Patrz, ten gród będzie twoim, zdobądź go Gerardzie“.

A Gerard z Russyllonu pogląda ponuro
Na garstkę niedobitków, co stała pod górą,
Na zbroice rdzą na wskroś przegryzioną z laty
I na starą chorągiew podartą na szmaty.

„Tyś zaduman –król rzecze—jakby Żak z Sorbony,
Nie chcesz-li w upominku z rąk moich Narbony?“

„Królu! mam własnéj ziemi dość.”—Gerard odpowie.

I takto przemawiali ci dumni wodzowie,
A wśród dębów poważnie potoki szumiały.

Król spiął konia, objechał wojsk swych zastęp cały,
I z kolei wyzywa dzielnych Frankow syny,
Eudesa, lennika Burgundów krainy,
Samona, dziś w legendach głośnego po świecie,
Garyna, co lwa uniósł na szerokim grzbiecie,
Z przedsionka onéj sławnéj Marka bazyliki,
Ożjera, co wiódł śmiałe do boju Duńczyki,
I Rogera, co gotów zawdy w harce nowe:
Lecz wszyscy odmówili.

A król podniósł głowę,
Wspiął się, oparłszy stopy o strzemiona twarde,
W zbladłem jego obliczu znać gniew i pogardę.

Dobył miecza, szerokie ogniem błysło ostrze,
I jak orzeł, gdy skrzydła nad ziemią rozpostrze
Sypiąc iskry złowrogie z rozwartéj źrenicy,
Jak grom straszliwym głosem ryknął: „Nikczemnicy!
O! wodzowie polegli u tych gór podnóża!
Olbrzymy, których czoła zdruzgotała burza,
Z wami niegdyś sam szatan nie śmiał iść w zapasy,
Oliwjerze! Rolandzie! gdzieżeście w te czasy?
O! snadnoby wam zdobyć wieżyce Narbony,
Boście w dłoniach dzierżyli oręż nieskażony!
Bo wam w sercu krew wrzącym kipiała potokiem,
Boście śmiało szli naprzód wstecz nie mierząc okiem;
Wy, których dzielne ramię skrył grobowiec głuchy,
Z wami świat-bym pokonał, moje wierne druchy!
Boże! wskaż mi co czynić w téj nagłéj potrzebie!
Próżno serca dzielnego szukam blizko siebie,
Daremnie wkoło wodzę oczyma trwożnemi,
Od podłych, do walecznych, co śpią w chłodnéj ziemi.
Mój język do zelżywych słów nie zaprawiony:
Precz mi z oczu! precz, mówię, nikczemne barony!
Wy, coście na me hasło biegli do zapasów,
Normandy, Lotaryngi, wy z Germańskich lasów
Dziedziczni Margrafowie, Burgundy, Bretony,
Pikardy, Flandry, Franki: precz w rodzinne strony!
Precz z obozu, gdzie trąby grzmią, gdzie oręż błyska;
Precz ztąd, idźcie powitać domowe ogniska.
Idźcie, gdzie was ponętnie wzywa głos niewieści:
Tam ostrożni, szczęśliwi, bez sławy, bez cześci,
Snujcie swobodnie życia pasmo niezmącone,
Ja sam, bez waszéj łaski, zdobędę Narbonę!
Sam zostanę tu, pełen otuchy i siły:
A kiedy wy spoczniecie w swéj ojczyźnie miłéj,
Wy, co ze mną gromili saksońskie narody,
Wsparłszy nogi w kominie o dębowe kłody,
Zdala szczęku oręża i wojennéj wrzawy,
Jeśli was kto zapyta, pomny waszéj sławy,
Którą pieśń tak rozgłośnie po świecie powtarza,
Gdzieżeścieto wodzowie odbiegli cesarza?
Wy natenczas ze sromu rumieńcem na czole
Rzekniecie: my w dzień bitwy opuścili pole,
Gnani trwogą, tak nagłym pędziliśmy krokiem,
Że nam znikł ślad cesarza, za kurzu obłokiem".

Tak przemawiał król Franków, Karlomanem zwany;
On, co berło cesarskie dzierżył nad Germany.
Wiatr powiał i daleko grzmiące słowa niesie;
A pastuszki z trzodami rozpierzchli po lesie,
Mniemali, że nad niemi grzmot rozległ się z góry.

„Jam gołąbek, panie!
Licha zięba, co rada ukryćby się w chrósty
I ulecieć do gniazda: mój skarbiec już pusty,
Nie mam solda przy duszy, a głodna drużyna
Niecierpliwie się nędznéj płacy dopomina.
Jam zgrzybiały już, panie, tak duchem, jak cialem,
Dawno téj staréj pięści z krwi nie opłókalem;
Wojna zużywa człeka, aż przyjdzie nań pora,
Że dziś to znienawidzi co ukochał wczora.
Niegdyś patrzał w twarz śmierci przezemglę różową,
A dziś mu wszystko w oczach szczerniało grobowo;
Lata wloką podagrę, radość z serca płoszą:
Kto biegł z gniazda sokolem, powraca kokoszą.
Jam chwalą przesycony, dość mi w śmierci progu
Odpocząć staryim kościom na garści barłogu".

Dzielny rumak królewski grzebał nogą ziemię,
Jakby słowa rozumiał, a czarne chmur brzemię
Wlekło się ponad górą, a poniżéj skały
Gerarda z Russyllonu zbrojne roty stały.
Król przystąpił z uśmiechem:

„Mężu walk świadomy,
Twardy w boju, jak męże nieśmiertelnéj Romy;
U ciebie niczém trudy, tam żywot w pogardzie:
Patrz, ten gród będzie twoim, zdobądź go Gerardzie".

A Gerard z Russyllonu pogląda ponuro
Na garstkę niedobitków, co stała pod górą,
Na zbroice rdzą na wskroś przegryzioną z laty
I na starą chorągiew podartą na szmaty.

„Tyś zaduman —król rzecze—jakby Żak z Sorbony,
Nie chcesz-li w upominku z rąk moich Narbony?"

„Królu! mam własnéj ziemi dość."—Gerard odpowie.

I takto przemawiali ci dumni wodzowie,
A wśród dębów poważnie potoki szumiały.

Król spiął konia, objechał wojsk swych zastęp cały,
I z kolei wyzywa dzielnych Frankow syny,
Eudesa, lennika Burgundów krainy,
Samona, dziś w legendach głośnego po świecie,
Garyna, co lwa uniósł na szerokim grzbiecie,
Z przedsionka onéj sławnéj Marka bazyliki,
Ożjera, co wiódł śmiałe do boju Duńczyki,
I Rogera, co gotów zawdy w harce nowe:
Lecz wszyscy odmówili.

A król podniósł głowę,
Wspiął się, oparłszy stopy o strzemiona twarde,
W zbladłem jego obliczu znać gniew i pogardę.

Dobył miecza, szerokie ogniem błysło ostrze,
I jak orzeł, gdy skrzydła nad ziemią rozpostrze
Sypiąc iskry złowrogie z rozwartéj źrenicy,
Jak grom straszliwym głosem ryknął: „Nikczemnicy!
O! wodzowie polegli u tych gór podnóża!
Olbrzymy, których czoła zdruzgotała burza,
Z wami niegdyś sam szatan nie śmiał iść w zapasy,
Oliwjerze! Rolandzie! gdzieżeście w te czasy?
O! snadnoby wam zdobyć wieżyce Narbony,
Boście w dłoniach dzierżyli oręż nieskażony!
Bo wam w sercu krew wrzącym kipiała potokiem,
Boście śmiało szli naprzód wstecz nie mierząc okiem;
Wy, których dzielne ramię skrył grobowiec głuchy,
Z wami świat-bym pokonał, moje wierne druchy!
Boże! wskaż mi co czynić w téj nagłéj potrzebie!
Próżno serca dzielnego szukam blizko siebie,
Daremnie wkoło wodzę oczyma trwożnemi,
Od podłych, do walecznych, co śpią w chłodnéj ziemi.
Mój język do zelżywych słów nie zaprawiony:
Precz mi z oczu, precz, mówię, nikczemne barony!
Wy, coście na me hasło biegli do zapasów,
Normandy, Lotaryngi, wy z Germańskich lasów
Dziedziczni Margrafowie, Burgundy, Bretony,
Pikardy, Flandry, Franki: precz w rodzinne strony!
Precz z obozu, gdzie trąby grzmią, gdzie oręż błyska;
Precz ztąd, idźcie powitać domowe ogniska.
Idźcie, gdzie was ponętnie wzywa głos niewieści:
Tam ostrożni, szczęśliwi, bez sławy, bez cześci,
Snujcie swobodnie życia pasmo niezmącone,
Ja sam, bez waszéj łaski, zdobędę Narbonę!
Sam zostanę tu, pełen otuchy i siły:
A kiedy wy spoczniecie w swéj ojczyźnie miłéj,
Wy, co ze mną gromili saksońskie narody,
Wsparłszy nogi w kominie o dębowe kłody,
Zdala szczęku oręża i wojennéj wrzawy,
Jeśli was kto zapyta, pomny waszéj sławy,
Którą pieśń tak rozgłośnie po świecie powtarza,
Gdzieżeście to wodzowie odbiegli cesarza?
Wy natenczas ze sromu rumieńcem na czole
Rzekniecie: my w dzień bitwy opuścili pole,
Gnani trwogą, tak nagłym pędziliśmy krokiem,
Że nam znikł ślad cesarza, za kurzu obłokiem".

Tak przemawiał król Franków, Karlomanem zwany;
On, co berło cesarskie dzierżył nad Germany.
Wiatr powiał i daleko grzmiące słowa niesie;
A pastuszki z trzodami rozpierzchli po lesie,
Mniemali, że nad niemi grzmot rozległ się z góry.

Baronowie wlepili w ziemię wzrok ponury,
Strach odebrał im mowę, wstyd pali im czoła:
Wtém młodzieniec wybiega z szeregów i woła:
„Niech święty Dyonizy króla Franków strzeże!“

Na te słowa w niezłomnéj wyrzeczone wierze,
Wlepił oko w młodziana król zdumiony cały,
Jako Saul gdy mu Dawid pojawił się mały,
Patrząc na ręce białe i różanne lice,
Chwilę mniemał, że widzi przebraną dziewicę:
Taka słodycz i ufność na młodziana czole;
Nie ma tarczy ni hełmu ubogie pachole,
Lecz postać jego świeci pod prostą siermięgą,
Dziewiczą niewinnością a męzką potęgą.

„Czego żądasz—król pyta—w téj stanowczéj chwili?“

„Błagam cię o to, panie, czém wszyscy wzgardzili:
Chcę być tym, o kim z chlubą wieki nieskończone
Powtarzać będą wiekom: „on zdobył Narbonę!“

Prawda jaśnieje w słodkiém pacholęcia słowie,
Z prostotą spojrzał w stronę, gdzie stali wodzowie.

Hrabia z Gandawy pierwszy podniósł w górę czoło,
Rozśmiał się, do rajtarów swych rzecze wesoło:
„Patrzcie, to Aymeryllot, co służy nam z młodu“.

„Aymeryllot!—król rzecze—a z jakiego rodu?“

„Imię moje Aymery, ród nieznany, panie,
Moje mienie, dla konia na obrok niestanie;
Nic, oprócz lat dwudziestu i szkolnego wieńca,
Nie mam: snać los przepomniał biednego młodzieńca,
Gdy drugich wyposażał dziedzictwy lennemi,
Mnie i marnego kęsa nie wydzielił ziemi.
Lecz pierś moja młodzieńcza takim ogniem pała,
Że jéj przestrzeń niebiosów nie nasyci cała;
Ja wkroczę do Narbony, bo śmiałe mam serce,
A skoro gród zdobędę, poskromię szyderce“.

A Karol promienisty jak archanioł z nieba
Zawoła:

„O! serc takich zaprawdę mi trzeba!
Dziś ubogi młodzieniec, z imieniem nieznanem,
Będziesz wodzem wojsk moich i Narbony panem,
Rychło pod skrzydły memi cześć walecznych wzrasta,
Idź!“

Nazajutrz Aymery został panem miasta.

LITERATURA WŁOSKA.

RZUT OKA NA OBECNE PIŚMIENNICTWO.

Niccolini. — Guerrazi. — Leopardi. — Giusti. — Dall'Ongaro. — Ugo. — Foscolo.

I.

Stosunek krytyki do autorów i autorów do narodu. — Stara Italia i młoda Europa. — Przeszłość, wychowanie, natura języka, rutyna szkolna — Tragedye Niccoliniego, Giovanni de Procida, Antonio Foscarini i Filippo Strozzi. — Parallella. — Dwaj Foscari Byrona i Lorenzaccio Musseta.

Sądzić o literaturze narodu z martwéj litery, jest to samo co uważać kwiat oderwany od łodygi i liści. *Wer den Dichter will verstehen muss im Dichter's Londe gehen*: dawno już powiedział Göthe; by sądzić objaw ducha narodu, trzeba znać kraj i społeczność, stosunek do niéj autora; trzeba rozpoznać co on wziął od ziemi, na któréj wyrosł, od powietrza, którém oddychał, co mu dały wichry dalekie i obecne burze, co świat otaczający, a co świat wewnętrzny. Dlatego trudném jest zadaniem, osądzenie obcego autora, zwłaszcza gdy ojczyzna jego mało jest z nami duchem pokrewna; bo żeby ocenić piękności i zrozumieć wady jego, trzeba się wszczepić w zupełnie obce stanowisko: inaczéj sąd każdy powierzchownym i fałszywym być musi. Zapewne w ogólnym rozwoju literatury świata i sąd i stanowisko innemi będą, ale sądy

podobne wydaje dopiéro daleka potomność i nie wchodzą one zupełnie w zakres skromnego studyum o kilku nowoczesnych autorach i poetach włoskich. Jak na wszystkiém w świecie, tak i na nich cięży duch i życie przeszłości.

Na całéj zaalpejskiéj nowoczesnéj literaturze przeważnie też odbija się przeszłość klassyczna. Ojczyzna Wirgiliusza i Danta nie mogła wyłomać się z naśladowniczych form przeszłości; nie napróżno padł na jéj kolebkę wielki cień konającego poganizmu, nie napróżno przygniata ją dotąd ogromem swoim, geniusz średniowiecznego olbrzyma. Naród, co wypiastował Dantego, zdumiony zatrzymał się w biegu i wątpiąc by zdołał kiedy wydać z łona swego indywidualność podobną, dotąd czci w nim samego siebie i w téj czci bałwochwalczéj zatracił na długo siłę twórczą. Italia napróżno dotąd walczy z tą Dantejską sferą i nieśmiało szuka dróg nowych; posągowe jego postacie tak wpiły się w jéj wyobraźnią, iż dotąd w słowie szuka ona posągu; li tylko posągu. I nie dziw, wszystko w około, natura południowa i sztuka starożytna tchną spokojnym i skończonym wdziękiem; pejzaż włoski tak samo jak statua grecka, wionie doskonałą ciszą. Duch nią karmiony przywykł urabiać w tę formę konwencyonalną, gdy jest naśladownictwem, wszystkie płody swego ducha. Italia przedoskonale plastyczna, prawa plastyki narzuca myśli swojéj, nawet gdy ona wciela się w słowo. Słowo być może i jest nieraz posągiem, ale wtedy tylko, gdy myśl i forma w jednéj chwili powstaną w duchu poety, gdy nie jest ona *a priori* przykrojoną szatą, ale żywą częścią myśli. Téj posągowości nie nada żadna szkolna poetyka, nad którą dotąd młodzież włoska traci najpiękniejsze lata. Wychowanie dotąd w całych środkowych i południowych Włoszech zostawione w ręku duchowieństwa, nie wyszło z odwiecznéj rutyny i zda się pracuje tylko nad skarlowaceniem narodu, zabijając młode umysły scholastyczną nauką łaciny, w któréj dotąd wykładane są wszystkie przedmioty tak w szkołach, jak w uniwersytetach. Ślepe naśladownictwo starożytnych wzorów, nie przystających już do nas a przedstawianych jako arcywzór piękna, krzywi i łamie wszelki polot sa-

moistnego ducha. Z takichto powodów wyrobił się we Włoszech nietylko styl, ale język osobny, poetycznym zwany, z osobnemi słownikami, którego osobno uczyć się potrzeba. Język ten, złagodzony i zmiękczony jeszcze, z którego wykréślono całą codzienność życia, w któréj nikt nowego wyrazu wprowadzić nie śmie, jest rzeczywiście tak śpiewny i piękny, że lubując się wdziękiem jego, łatwo zapomnieć, że słowo ma tyle tylko znaczenia, ile mu duch nadaje: można zasłuchać się w samych dźwiękach nic nie żądając więcéj. Jednak ten język poetyczny, którym szczyci się Italia, jako jedném z niezrównanych swych bogactw, dotąd jest właśnie zgubą jéj samoistnego ducha i główną zaporą rozwoju poezyi, zmuszając ją kręcić się w wiecznie jedném zaczarowaném kole, z którego wyjść jéj nie podobna. Dzięki jemuto, poezya stała dotąd na piedestale, a w życie wejść nie mogła; przywiązano się do wyrazów nie do ducha, takt i smak zastąpiono formułą: dlatego pełno myśli i uczuć zostało po za obrębem konwencyonalnéj poezyi, która zubożała i stała się tylko czczém zebraniem wyrazów. Zamiast poezyi zakwitła poetyka, a szatę wielkich mistrzów przeszłości wzięto za normę dla przyszłych pokoleń; napróżno usiłują przykroić je do niéj.

Dopiéro w dzisiejszych czasach kilku ludzi z geniuszem i sercem, nieświadomi może własnéj herezyi przeciwko tradycyi, zaczęli się z niéj wyłamywać. Nieśmiertelnie smutny Leopardi (słusznie nazwany przez jednego z największych poetów francuzkich kochankiem śmierci), śpiewnie tęskniący dall'Ongaro, krwawo ironiczny Giusti, musieli dla myśli swoich szukać dróg nowych i odstrychnąć się od powszechnéj kolei. Jednak czynili to oni bez samowiedzy, przez nieodzowną konieczność ducha i dlatego modyfikacye ich zostały więcéj w myśli jak w formie, więcéj przeczuciem jak faktem, i nie sprowadziły w całéj literaturze zwrotu, na jaki potrzeba snać silniejszego wstrząśnienia. Z tradycyą nie zrywa się tak łatwo, zwłaszcza tam, gdzie teraźniejszość nie istnieje, gdzie przeszłość stała się prawdziwą skarbnicą i arką przymierza narodu.

Z tego moralnego parcia, jakie wywiera wpływ tradycyi wychowania, i ślepéj miłości przeszłości, wyrodził się fakt dziwny: literatura przestawszy być zwierciadłem społeczeństwa, zbłąkała się wśród naśladowań obcych, i ztąd wypadło, że naród najnamiętniejszy i najburzliwszy posiada najspokojniejszą literaturę. Powieść za Alpami nie wyszła dotąd z cyklu Walter-Scotta, bo blade szkice Carcona, niby obyczajowe, zbyt mało mają wybitnego charakteru, by epokę w literaturze stanowić mogły. *I promessi Sposi* Manzoniego, są dotąd jéj prototypem; około téj gwiazdy kręcą się Rosini, Canta, Grossi i najgenialniejszy ze wszystkich d'Azeglio, którego ostatnia powieść *Nicolo des Lapi* wszędzie zasługiwała na uwagę. Ale ponieważ jest w naturze Włochów wszystko przyprowadzać do ostateczności, i powieści ich coraz bardziéj idealizowane, coraz bardziéj traciły charakter prawdy i realności tak potężnéj w Walter-Scocie. Mimo niezaprzeczonych piękności, mają one coś dziwnie dziecinnego i naiwnego w sobie; brak im zupełny głębszéj analizy, brak pół-cieni, pół-świateł, brak szczególniéj ludzi z krwi i ciała: bo jeśli znajdzie się przypadkiem jaki charakter odzwierciadlający życie, należy on niezawodnie do powieściowego komparsa. Charakter czarny, kwitnie w nich dotąd w całéj świetności, a heroiny i bohaterowie tak mało podobni są do nas, tak zupełnie wolni od wad i ułomności ludzkich, iż ta kwintessencya szlachetności i cnoty, nie zbrudzona nawet pyłem pokusy, może w nas obudzać tylko podziw, ale nigdy współczucia. Szczególniéj heroiny tak są skromne, stałe i niewinne, tak nieodmiennie mają złote włosy, błękitne jak niebo oczy i lice świeższe od róż i lilii, że możnaby je bez szkody niczyjéj poprzekładać z powieści do powieści, i żaden najczulszy mąż ani kochanek, nie byłby w stanie rozpoznać jednéj od drugiéj. A jednak naród namiętny i wrażliwy chwyta chciwie te chińskie cienie rzeczywistości, zapala się do nich, boleje ich miłością i płacze nad ich cierpieniem. Przyczyny popularności podobnych utworów szukać należy w owéj tajemniczéj nici, wiążącéj autora z publicznością, dla któréj pisze; tajemnicy téj sympatyi wspólnéj, zapomniano dawno już na Zachodzie,

a coraz bardziéj zapominają u nas. Zaletą, stawiającą je wyżéj nierównie od kunsztownych produkcyi Dumasów, Suego, Scriba, potęgą, która w nich drga ukryta, jest *sumienie*. Rzeczy pisane krwią, muszą w sercach echo obudzić. Tandetna literatura, utwory pisane dla schlebienia chwilowym żądzom i stronnictwom, jedynie by zyskać pokup i rozgłos, nie skalały jeszcze dziewiczego zapału narodu, nie nauczyły go nieufności i niewiary, w zamian téż i chłód czytelników nie zmroził autorów; dotąd są oni sercem narodu, mają go w swém ręku i czują to; nie zerwała się solidarność wiary pomiędzy piszącemi a czytelnikami. Przez wiarę, nie rozumiemy tutaj żadnéj wyłącznie doktryny, ale poprostu siłę wyczerpniętą już prawie w całéj cywilizowanéj Europie, siłę, która schroniła się nie do narodów młodych, ale do najstarszego duchem, *siłę wierzenia*. Italia, znękana tyloma sprzecznemi kolejami, kolébka dzisiejszéj oświaty, nie zatraciła dotąd w sobie młodzieńczych skarbów wiary; może dlatego, że kochać i nienawidzieć umiała, i zawsze pełną piersią krew przelewała dla idei swoich. W tém leży cała jéj przyszłość i przewaga istotna nad resztą Europy.

Język jest niezawodném odbiciem społeczności, przekształca się z nią, z nią żyje i postępuje. Przypatrzmy się, ile wykreślono z niego wyrazów pod pozorem oklepanek i komunałów. Rzeczy, w które się wierzy sercem, nigdy komunałem nie są; a te, których się nazwać nie śmié pod karą śmieszności, musiały w istocie swojéj stać się śmiesznemi, sprofanować się w życiu, zanim sprofanowały się w mowie. Ośmnasty wiek tak niesłusznie potępiony, był może po wiekach krucyat najsyntetyczniejszym wiekiem. Doktryny, jakiebądź one były, zamieniały się w czyn, słowo wstrząsało społecznością, wiara choć negacyjna niezachwianą była. Porównajmy stan ten z dzisiejszym stanem, czyż wierzymy nawet w niewiarę naszą. Bladość i czczość ogarnęła ziemię, wszystko rozbija się o tę najtwardszą skałę zobojętnienia, dla wszystkiego, co dotykalném nie jest. Straciliśmy zapał i dowcip, to dziecię łzy i uśmiechu.

Zgrzybiałość społeczeństwa ciąży na indywiduach począwszy od kolebki: rodzą się stare dzieci i moralne karły; chwytają chciwie każdy napój nowy a kropla starczy, aby przesycić przesyconych już i głodnych z urodzenia. Zrozpaczeni własnym stanem wyczerpali świat otaczający i zaczepić chcieli świat niewidzialny, w który nie wierzą. Przesyt i nuda doprowadzają do szału, którego ostatnim wynikiem żądze niepohamowane. Przewróciwszy niebo i ziemię, zwrócono się do natury, gorączkowo szukając i pragnąc prostoty, jak gdyby w ten sposób znaleźć ją można; i najgenialniejsi powieściopisarze Zachodu: Sand, Feuillet, Auerbach, przeczuwając ten wymysł przeżytego starca, trafili na nowy rodzaj mdłego manieryzmu, podają mu obrazy spokoju i cnoty, gdzie nie ma ani spokoju ani cnoty, sielanki konwencyonalne, w które konwencyonalnie wierzy się... tym czasem.

Dziwny i orzeźwiający kontrast z tym gorączkowym stanem reszty Europy przedstawiają Włochy; choroby naszéj nie zrozumieliby oni nawet, jak człowiek w stanie zdrowia nie pojmuje cierpienia, którego nie doświadczył. Oni wierzą w przyszłość i w siebie, w to, co piszą i w to, co czytają; wierzą, iż zmieniwszy kilka pionów na szachownicy świata, kilka praw, kilka nadużyć, stanie się raj na ziemi, a podobna wiara to najsilniejsza dźwignia przyszłości. Naród to zbyt wrażliwy, by mógł być obojętnym; zbyt pozytywnie namiętny, by mógł ścierpieć próżnię zwątpienia i dlategoto tam jeszcze idea a nie korzyść kieruje massami; tam tylko spotkać można indywidualności jednolite.

Z tegoto stanowiska zapatrywać się trzeba na nowy zwrot literatury włoskiéj, bo inaczéj będzie on dla nas zupełnie niezrozumiały. Ze wszystkich kształtów, jakie myśl ludzka przybiera, wady i usterki téj literatury w dziełach scenicznych najsilniéj charakteryzować się muszą. Dramat właściwy nie istnieje jeszcze we Włoszech, komedya od czasów Goldoniego jest błahą, i nie warto o niéj wspominać. Włochy jak i reszta Europy żyje bez wyjątku prawie francuzkim wodewilem, natomiast tragedya jest tam w całym rozwoju. Od czasów

Alfierego pojawiało się pełno, mniéj więcéj udatnych naśladowań jego maniery i stylu. Dziś cały interes dramatyczny skupia się w Niccolinim, indywidualności silnéj, szorstkiéj może, ale wybitnéj. Nazwisko to otoczone jest czcią i miłością narodu, bo Niccolini jest doskonałém wcieleniem pragnień i marzeń jego. Napróżno jednak chcielibyśmy upatrywać w dziełach jego zajęcia, węzła dramatycznego, logicznego przeprowadzenia charakterów i tych momentów porywających jedném słowem prawdy; o to wszystko dba on tak mało, że od pierwszéj kartki odgadnąć zawsze można rozwiązanie: wszędzie prawie znać lekceważenie zwyczajnych sprężyn działających na słuchaczy, tak dalece, że do niektórych tragedyj, jakoto *Arnaldo da Brescia* i *Filipo Strozzi*, miłość zupełnie nie wchodzi w akcyą. We Włoszech, kraju, gdzie ona jest alfą i omegą życia, trzeba posiadać talent ogromny i trafić w samo serce narodu, by módz obejść się bez tego czynnika. To też w Niccolinim wionie jakiś duch starożytny, znać, że kształcił się na wzorach greckich: Eschyles i Sofokles wypiętnowali się na jego dziełach. Postacie działające, szczególniéj też w tych dwóch tragedyach, to idee chodzące, ale idee wzniosłe i silne. Język jego niezrównanie piękny, styl jędrny i zwięzły, nadają dziełom jego jakiś urok ożywczy. Zalety te, są własnością czytającego ogółu, dla Włochów zaś ma on inne jeszcze; zebrał jak pszczoła z kwiatu narodu, najszlachetniejsze pomysły, natchnienia, to, czego pragną i wyrazić nie umieją; ukochał to, co kraj ukochał, znienawidził czego on nienawidzi i stawił mu widomie przed oczy ideały i sny przetworzone potężną dłonią w rzeczywistość. Zamiast do żądz brudnych, do materyalnych instynktów, przemówił do najwznioślejszych uczuć swego ludu, innych stron tykać nie chcąc i został zrozumianym; chwała ztąd równa dla autora i dla społeczności, która go ocenić potrafiła.

Najsławniejszém z dzieł Niccoliniego choć może mniéj od innych mającém rzeczywistych zalet, jest tragedya *Giovanni da Procida*: chwilowe nienawiści, przystosowania obecne, zjednały jéj tę wziętość. W tragedyi

téj nie ma ani jednéj chwili zapomnienia, w któréjbyśmy dojrzeli człowieka; idea tylko przemawia sama, a wszystkie osoby otaczające główną postać, służą jéj tylko za tło i za słuchaczy. Rzecz dzieje się w Palermo za panowania Francuzów. Procida, doznawszy najkrwawszych zniewag od jednego z ich wodzów Eriberta, który wydarł mu żonę i zabił syna, poprzysięga zemstę i poświęca jéj życie całe. Opuszcza kraj rodzinny i jedyną córkę i po latach kilku powraca potajemnie, w chwili, gdy ma wybuchnąć przygotowane przez niego powstanie. Witając córkę, oświadcza, że obiecał jéj rękę Gualtierowi powiernikowi swemu, który ją kocha oddawna, a tymczasem w czasie nieobecności jego córka zaślubiła tajemnie Tankreda, nie wiedząc, iż tenże jest synem Eriberta, a jak się w końcu pokazuje, jej bratem. Cała ta dość niezgrabna bajka, w któréj autorowi znać nic a nic nie szło o prawdopodobieństwo, wyraźnie ułożona jest dlatego, by dać pole Procidzie, przechodzenia przez różne stopnie niezmiennéj sytuacyi. Ani wahania, ani walki wewnętrznéj, ani akcyi żadnéj tam nie ma. Prawda, Procida jest sam przez się wielką historyczną figurą, nieszpory sycylijskie faktem bardzo tragicznym; ależ sam fakt historyczny jeszcze tragedyą nie jest, i nie wystarcza na zajęcie dramatyczne. Na próbkę sposobu pisania autora przytaczamy tutaj jednę z najsilniejszych scen, gdy Procida w akcie trzecim wynosi z grobowca szpadę swego syna.

SCENA CZWARTA.

Procida, *Imelda* jego córka, *Gualtiero*.

GUALTIERO.

On płacze.

IMELDA.

Drży cały.

PROCIDA.

Nie sądziłem Gualtierze, by nienawiść moja wzrosó jeszcze mogła, by wściekłość była tak łez blizką. Czyż uwierzyłabyś temu Imeldo?

IMELDA.

Oh! ojcze.

PROCIDA.

Śmierć uszanowała zwłoki brata twojego i nie zmieniła mu rysów, może dlatego, by wzywały zemsty. Potok łez gorących wylałem na rany, które się jeszcze otwierać zdawały i pochylony u stóp jego, jak gdyby mógł mnie usłyszéć, wśród szału ojcowskiéj miłości wymawiałem wyrazy, których powtórzyć nie zdołam. Ból zwyciężył mą pamięć. Uścisnąłem go i wzrósłem, czuję to w objęciu umarłego. Patrz, oto oręż, otworzyłem mu dłoń zamkniętą i wyjąłem. On umarł ściskając go...

GUALTIERO.

Biédny ojcze.

IMELDA.

Nieszczęśliwa córka.

PROCIDA (*do Gualtiera*).

Płaczesz? Ty, tak silny; płacz... krew łzy twoje okupi.

GUALTIERO.

Wroga twojego, ja ukarzę, przysięgam... Dość dla mnie, że ten oręż oddajesz mi w spadku. Ale dla czegóż syn twój broń skrzyżował z tym Frankiem. Chcę, aby sprawa broniona przezemnie słuszną była.

PROCIDA.

Jest ona słuszną, jak sprawa uciśnionéj niewinności przez hardą zbrodnię, co jéj jeszcze urąga... Na dziś powiedziałem ci dość. Jeszcze nie nadszedł czas zdarcia zasłony z krwawéj tajemnicy.

GUALTIERO.

O panie, czemuż milczysz.

PROCIDA.

Wówczas, gdy oręże nasze krwawe będą i nieubłagane jak śmierć, nieubłagane jak sam Karol; gdy zemsta będzie wzywać zemsty, gdy zgaśnie iskra litości w każdéj sycylijskiéj piersi i gdy gorzkie słowa nasze

urągać jeszcze będą boleści: wówczas dowiesz się, jaką to obelgę chciał zmyć krwią hardy młodzieniec.

GUALTIERO.

Mów, nienawiść moja dość jest silną.

PROCIDA.

Ah! nie jesteś ojcem, nie wiesz, jaką wściekłość rodzi obraza śmiertelna, którą taić trzeba i karmić milczeniem! Gdyby ten nikczemnik..... Gdyby Eribert!... Ale zemstę mieć będę, zemstę zupełną. Ten gwałciciel tylu związków świętych miał żonę we Francyi, ma syna. Imeldo czy znasz go?

IMELDA.

Ja... nie.

PROCIDA.

Gdyby córka moja widokiem Franka miała wzrok zbrudzony, nie śmiałaby teraz wznieść oczów na czoło ojca. Imeldo ty je spuszczasz.

IMELDA.

Oh! ojcze, straszny jest wyraz gniewu na twéj twarzy i słowa twoje przerażają, jak ostry oręż.

PROCIDA.

Przebacz wściekłości mojéj: nienawidzi Eriberta, kto kochał za nadto... Powiedz mi Gualtierze czy znasz tego Franka.

GUALTIERO.

W blizkim dniu rzezi wśród Franków szukać będę Tankreda.

PROCIDA.

Wiedz, że Eribert do mnie należy; nie przebaczyłby mi cień syna, gdyby on zginął z innéj ręki.

GUALTIERO.

Wyzwę Tankreda, jak gdyby on był rywalem moim.

PROCIDA (*do Imeldy*).

Tyś mu powinna ten oręż przypasać. Oby szczęśliwszym był w ręku twoim. Pamiątka to strasznéj bo-

leści. Niech go obnażę, niech mu się przypatrzę i niech go wprzód zwilżą łzy ojca, zanim utonie na nienawistnéj piersi. Oto go masz Imeldo, przypasz mu go do boku. Cóż to, chwiejesz się?.. ręka twoja drży, czyż taką dajesz mu wróżbę?...

IMELDA.

To żelazo....

PROCIDA.

Czyż straszy ono ciebie? ciebie, co masz w żyłach krew Procidy! Chodź! przybliż się do grobowca, ręka niewinna niech go się dotknie bez trwogi. Powiedz rycerzowi: „Panie, byłam siostrą i świętą jest dla mnie jako oltarz trumna brata, tu ci dłoń podaję i tutaj ślubuję ci wiarę małżeńską.....

Scena ta niesłychanie traci w tłumaczeniu prozą; by ją oddać wiernie, nie tracąc siły wdzięku i zwięzłości, trzebaby poety równego Niccoliniemu. Dla podobnego ustępu łatwo przebaczyć wiele usterków, tém bardziéj, że piękności podobne rozsypane są tam garściami, z hojnością prawdziwego bogactwa, ale to właśnie staje się przyczyną jednotonności nużącéj. Procida deklamuje tak przez całe cztery akty, a lubo mówi rzeczy prześliczne i wielka ta figura tak znaną jest w historyi, przychodzi jednak mimowoli na myśl pytanie, czy zostanie mu choć odrobina tchu do działania po tylu tyradach. Zbyteczna gadatliwość, oto zarzut, jaki uczynić można wszystkim figurom Niccoliniego. *Słowa, słowa* i jeszcze *słowa*, zastępują w nich lub osłabiają akcyą; wada jest może wadą całego narodu, niemniéj jednak razi ona na scenie. Nawet indywidua, których historyczną cechą jest skrytość i milczenie, naprzykład *Lodovico Sforza*, jeśli nie odkrywają planów swoich, muszą jednak oświadczać co chwila z uśmiechem tajemniczym, iż mają w głębi ducha wielkie zamysły i że wszystkich wkoło zwodzą i oszukują. Niekonsekwencya podobnych deklamacyj nie może ujść niczyjego oka, i zdaje się, że sam autor podobnych usterków dopuszczał się z umysłu, szukając jedynie ram dla myśli swoich, nie zaś właściwego dramatu.

W dwóch utworach swoich *Antonio Foscarini* i *Filippo Strozzi*, Niccolini spotyka się z angielskim i francuzkim dramatem. Ciekawém jest porównanie, jak rzeczy włoskie pojmowali obcy poeci, z jakiego stanowiska zapatrywali się na jednakie fakta.

Znany jest rozdzierający epizod historyczny o młodym Foscarim, którego Rada Trzech skazała na śmierć, za panowania własnego ojca. Tradycya przypisuje śmierć jego zemście, jaką poprzysiągł jeden z jéj członków, Loredano, całemu rodowi Foscarich. Dramat ten, jak tyle innych, osłania straszna tajemnica weneckich sądów, zostawiając wolne pole domysłom. Przypatrzmy się, jak go pojęli Byron i Niccolini. Byron, wystawia młodego Foscara tak rozmiłowanego w ojczystéj lagunie, tak nie mogącego oddychać inném powietrzem, że przenosi śmierć i męki nad wygnanie, na które go już skazały nienawistne intrygi Loredana. Powraca więc do kraju, wiedząc co go czeka, i kona w skutek tortur na rękach żony, w obec ojca, mającego idealną władzę, który patrzéć musi na męki niewinnego syna; kona błogosławiąc ojczyznie, szczęśliwy, że na nią patrząc umiéra.

Niccolini przeciwnie, w Foscarim przedstawia charakter burzliwy i energiczny, nie mogący ścierpiéć tyranii weneckiego rządu; plącze go w miłość z żoną jednego z inkwizytorów stanu, Contoriniego, i stawia go w położeniu tak trudném, iż dla uratowania jéj sławy musi przekroczyć prawo. Foscari zatém przez ten sam czyn winien jest śmierci, a Loredano równie jak Contarini skazując go, nie tak jeszcze dogadzają swéj zemście, jak bronią praw odwiecznych, które czczą i kochają, przeciw duchowi nowatorstwa, którego przedstawicielem jest Foscari.

Byron czyni ze swego bohatera ofiarę miłości rodzinnéj ziemi, Niccolini zaś miłości swobody. Ten ostatni idąc tutaj za ideami swemi, spotkał się może więcéj niż Byron z historyczną prawdą. Chorobliwa tęsknota Foscara jest odbiciem ponuréj tęsknoty, jaka trawiła ciągle angielskiego wieszcza, a fanatyczno-artystyczna miłość do Wenecyi, daleko prędzéj zrodzić się mogła w rozbujałéj wyobraźni poety, niż w sercu średniowiecznego

patrycyusza i wojownika. Foscari mógł kochać Teressę Contarini, ale z pewnością nie kochał Wenecyi *à la* Byron. Raz jednak przyjąwszy te fałszywe dane, charakter bohatera konsekwentnie jest przeprowadzony, a wszystkie sceny piętnuje mistrzowska znajomość uczuć i ludzi. Przeciwnie dzieje się z Foscarinim Niccoliniego: pojęty on wprawdzie daleko prawdziwiéj, ale za to człowiek znów niknie za deklamatorem. Foscari peroruje tak wszędzie i wszystkim o nadużyciach Rady Trzech, o sposobach zwalenia jéj; w obec niéj saméj nawet, stając jako obwiniony, rozwija swoje reformatorskie plany, że doprawdy dziwić się nie można tragicznéj śmierci, jaka go w końcu spotyka; a Rada Trzech, na którą piorunować nie przestaje, w obec tak hardego przeciwnika, nie chcącego się nawet uniewinniać, okazuje się jeszcze bardzo łagodną i umiarkowaną, dając mu wszelką możność obrony. Doża tu i tam jest słabą, bezwłasnowolną istotą, za to Loredano Niccoliniego o wiele jest wznioślejszy i zrozumialszy od Loredana Byrona. Trudném jest rzeczywiście do pojęcia, i zbyt mało ludzkiéj prawdy ma w sobie ten patrycyusz najwyższą piastujący godność, pastwiący się tak zimno nad starcem bezsilnym i synem jego wpół obłąkanym przez ból i tęsknotę, gdy przeciwnie Loredano Niccoliniego ma swoją wielkość, bo zemsta ginie w nim za polityczną wiarą.

„O! czasy, o! zmienione obyczaje, woła on w oburzeniu, gdzież jest dbałość o bezpieczeństwo państwa? Czyście już zapomnieli, że zadaniem naszém jest więcéj uprzedzać, niźli karać zbrodnie? Winnym jest zawsze ten, którego lękać się trzeba, a gdyby nawet i był niewinnym, skazałbym go dlatego, że jest obrażony i wkrótce zemsta winnym go uczyni".

Słowa te są polityczną prawdą: takiemi były rzeczywiście maksymy Rady Trzech i takiemi sposobami rządziła ona krajem i miastem samowolnie, bez pomocy siły zbrojnéj. Poszanowanie prawa i postrach tajemniczéj nieznanéj władzy, stały na straży bezpieczeństwa publicznego i zapewniały Wenecyi spokojne panowanie w kraju i w obszernych posiadłościach. Dlategoto figura Lo-

redana jest jedną z najbardziéj żyjących figur Niccoliniego. W téj tragedyi wiele jest ustępów pięknych; piérwsza scena pomiędzy ojcem a synem, śmierć Foscara, a nadewszystko scena, w któréj Teressa Contarini spogląda smutnie z okna na morze i słyszy zdala śpiew Foscara, jest jedną z rzadkich scen zapomnienia, jakiemi nas autor obdarza.

TERESSA, MATYLDA *jéj towarzyszka.*

TERESSA.

Wszystko tutaj albo mnie boli, albo mnie obraża.

MATYLDA.

Obyś znalazła spokój.

TERESSA.

Spokój.... tu każda twarz żyjąca mój spokój zakłóca.

MATYLDA.

Jeśli nie znajdujesz go wśród ludzi, szukaj go w naturze, *(prowadzi ją do okna otwartego na lagunę).*

TERESSA.

Oh! jakże słodka ta godzina ciszy dla zbolałego serca. Cierpienie nawet ma swoje rozkosze tajemnicze.... Słyszę jakieś dźwięki żałobne.... jakieś szmery dalekie.

MATYLDA.

Wiatrem niesiona fala o brzeg się rozbija i płakać się zdaje; patrz, jak spokojna jest laguna, jak odzwierciedla te marmurowe pałace.

TERESSA.

Błogosławiony, kto się tu nie urodził.

MATYLDA.

Dochodzi wśród ciszy jakiś śpiew daleki, pewnie rybak lub gondolier nuci pieśń powrotu, kierując barkę do brzegu, gdzie go czeka żona lub kochanka.

TERESSA.

Jak szczęśliwi być muszą; kochają się.... on ją może niedawno porzucił i znów powraca pełen miłości.

MATYLDA.

Słyszysz, śpiewa o Herminii....

TERESSA.

To powieść łez pełna i w pieśni zda się drga boleść; głos w jęk przechodzi i wśród fal umiéra.

MATYLDA.

Ciemna gondola zbliża się do brzegu; ten, co nią kieruje, zaledwie wiosłem dotykając wody, śpiewa pieśń inną: może to głos skrytego cierpienia, może ją śpiewa dla téj, którą kocha; kto wié, może zdradzony?....

TERESSA.

Co mówisz?

MATYLDA.

Słuchaj *(odzywa się śpiew Foscara).*

TERESSA.

Co to za głos.... ja winną nie jestem.... czemu on mnie oskarża? O! niech ucieka co prędzéj z téj ziemi, gdzie każda chwila śmiercią mu grozi.

MATYLDA.

Chwiejesz się?

TERESSA.

Wiész, jak często opuszczają mnie siły.... wesprzyj mnie.

MATYLDA.

Chcesz ztąd odejść?

TERESSA.

Ja?... tak... nie, nie mogę.... ten śpiew krępuje mnie nieodgadnionym czarem.... ujść przed nim nie mogę. Tyś nie cierpiała Matyldo, na twoich licach kwitną róże mło-

dości i szczęścia; ty nie pojmujesz, jakie tajemnice odkrywa nam boleść....

Ta tęskna scena, pełna prostoty i prawdy, pokazuje, jak wszechstronnym mógłby być talent Niccoliniego, gdyby on sam dobrowolnie wszystkich stron rzewnych nie skazywał na milczenie; pokazuje ona, że nie przez niemoc poeta wzgardził miękkiemi tonami miłości i tęsknoty; snać uważał je za mniéj potrzebne dla rozśpiewanéj, rozkochanéj Italii, i oddał pióro swoje jedynie energicznym uczuciom swobody i poświęcenia.

W *Filippo Strozzi*, Niccolini spotyka się znowu z geniuszem najoryginalniejszym i najgłębszym może dzisiejszego wieku: z Alfredem de Musset. Między przedstawicielem Włoch młodych, a zgrzybiałego Zachodu, wszystko jest kontrastem: jedynym punktem łącznym między niemi, jest sumienie. To posiadają oni zarówno tak jeden w rozpacznym skeptycyzmie, jak drugi w niezachwianéj wierze. Nigdy może dwa przeciwniejsze umysły nie uchwyciły dwóch odwrotnych stron przedmiotu, a przecież dzieło jednego nie jest parodyą drugiego, chociaż ogromna wyższość zostaje przy Mussecie, bo jego *Lorenzaccio*, należy do najznakomitszych dzieł tego wieku. Nie wiem, czy potrzebujemy kreślić treść tego dramatu lub zwracać uwagę na piękności tam, gdzie każde słowo dźwięczy prawdą, z każdéj postaci tryska życie, a każda z nich jest typem, dającym nam doskonały obraz ówczesnéj Florencyi. Z takim utworem mierzyć się trudno, Niccoliniemu trudniéj od innych, bo porównanie uwydatnia jeszcze wszystkie ogólne wady jego.

Lorenzo, krewny Alexandra Medyceusza, księcia Florencyi, postanowił uwolnić ojczyznę od jego tyranii; dla wykonania swego zamiaru i zyskania ufności, naśladuje jego obyczaje i wdziewa maskę zepsucia i podłości, tak dalece, że pogarda ludu nadaje mu przezwisko Lorenzaccia, pod którém znany jest w historyi. Ta maska jak suknia Dyonizy przyrasta mu do ciała: zdjąć mu jéj już nie podobna; w końcu zabija on Alexandra więcéj dla dopełnienia młodzieńczych zamiarów, niż z wiary, by śmierć ta zbawiła Florencyą: poznał bowiem, że śmierć jednego nie przekształci narodu. Rzeczywiście Florencya

oddaje się w ręce Cosima Medyceusza, ogłaszając go księciem na miejscu zabitego i pozwala skazać na śmierć Lorenzacia i Filippa Strozzi jako jego wspólnika. Filippo Strozzi, potomek w duchu dawnych stoików, na którego życiu nie było ani skazy, ani cienia, znaczeniem i zasługą stał na czele obywateli florenckich. Żyjąc osamotniony, spartańską cnotą i surowością obyczajów w tém mieście zepsucia i zbytku, cały oddany naukom, karmiony utopiami starożytnych, chciał ideały swoje wcielić w życie. Siwowłosy marzyciel zabłąkał się wśród ówczesnych ludzi i tak zapomniał o społeczeństwie, jakie go otaczało, że uwierzył w możność wprowadzenia w życie instytucyi Platona, sądząc, iż jedyną zawadą na téj drodze jest Alexander.

Te dwie postacie Lorenza i Filipa jednako pojęli Niccolini i Musset, ale jakżeż różne jest wykonanie? Tam gdzie Lorenzo Niccoliniego przychodzi oświadczyć Filipowi bardzo porządnie i sentencyonalnie, że według przyrzeczenia zabił księcia, że sam niezdolny się czuje do dalszego działania, bo rola, jaką odgrywał, zabiła go moralnie; Lorenzaccio Musseta mówić tego nie potrzebuje, bo czytelnik czuje to sam w każdém słowie, w każdym ruchu jego. W Mussecie, Filip zamknięty w bibliotece swojéj, szukając prawd filozoficznych, i jak dziecię wierzący w ludzi, nie pojmujący nawet prawdziwego znaczenia gorzkich uwag i sarkazmów Lorenza, jest sam przez się postacią wysoko dramatyczną. Bolą nas marzenia jego i ta wiara życia całego, z jaką się rzuca w odmęt wypadków, bo czujemy, że ona rozbić się musi jak bańka mydlana w piérwszém zetknięciu z rzeczywistością; gdy przeciwnie Filip Niccoliniego, brany na seryo przez autora, na seryo rozwijający plany dziecinnie niepraktyczne, nudzi i razi jak każdy pedant mówiący o rzeczach, których nie pojmuje. Dla tejto przyczyny włoski poeta musiał uciekać się do zmów i spisków dla wprowadzenia na tron Cosima, by konsekwentnym być z samym sobą. Musset natomiast ukazuje nam tylko zgangrenowaną społeczność florencką i ukazuje tak dotykalnie, iż rozwiązanie ani na chwilę wątpliwém być nie może. Tutaj wcieliły się dwie polityczne idee narodów: Włochy wierzą

jeszcze w *vox populi*, gdy tymczasem Francya doświadczyła już, co ono znaczy, a jeden z najdowcipniejszych jéj pisarzy Philarète Chasles tak zdefiniował zgromadzenia narodowe: *Machine inventée pour que quatre vingt dix neuf imbéciles l'emportent sur deux hommes de sens.*

Niccolini przedstawił nam tylko jeden dramat raz odegrany we Florencyi, gdy tymczasem w Mussecie mamy dramat odwieczny, odgrywany ciągle na większą lub mniejszą skalę, przez całą ludzkość zbolałą.

Te dwa utwory tak różne w istocie i wartości swojéj nie mogłyby być porównywane, gdyby się w nich nie wcieliły widocznie, różnice narodowych wad i pojęć.

KRONIKA LITERACKA.

Pismo zbiorowe wileńskie na rok 1859. *Wilno. Drukiem Teofila Glücksberga.*

Pismo, jeżeli niekoniecznie tego tytułu ale przynajmniéj téj natury i zamiaru jak to, które mamy przed sobą, uważamy za rodzaj fakultetu, nie zaś za prosty zbiór artykułów przypadkowo nagromadzonych: patrzymy owszem na szereg mających w niém się zawrzeć szczegółów, jak na towarzystwo dobrane, którego pojedynczy członkowie zbiorą się w jednéj myśli, z wiadomym celem i w obradach swych trzymają się stałego, zgóry nakreślonego programmatu. Jeżeli bowiem rzeczywista wartość artykułu pojedynczego jest warunkiem życia i bytu publikacyi, to z drugiéj strony wartość ogólnego zbioru artykułów, podwyższa się związaniem ich w pewien system, od którego tylko noworoczniki lub albumy zwolnionemi być mogą.

Pismo, którego przegląd odbyć zamierzamy, jeszcze nie zdołało zupełnie uszykować się w taki system, ale widocznie do niego dąży: przestaje częściowo drukować *książki*, a natomiast zaczyna więcéj obejmować to, co obudza interes do książek albo przyczynia się do ich objaśnienia. Jednak reformy téj tu widzimy dopiéro początek i bodaj był dobrym.

W zbiorze obecnym najsilniéj reprezentowane są studya przeszłości a w téj materyi najobszerniejszą jest rozprawa p. Jaroszewicza p. t. *Zarysy z czasów pogańskich Litwy*, w któréj obok opisu miejscowości pod względem topograficznym i statystycznym, autor kreśli życie wewnętrzne Litwinów, prostując zdania obcych i ojczystych pisarzy, mianowicie Szajnochy, który w dość niekorzystném świetle przedstawia dawnych czcicieli Peruna.

Litwini, według wywodów p. Jaroszewicza, byli pracowici, gościnni i ulegli władzy, a ziemię swą kochali nadewszystko; zaczem jednak nie idzie, aby ta miłość kraju wyrodziła u nich plemienną jedność, tak, że Litwa, Żmudź, Prusy, Łotwa i Jaćwież pomimo tożsamości wiary i mowy tworzą tyleż odrębnych społeczeństw, wzajem dla siebie obojętnych, nie związanych wspólnością interesu, tak, iż wprzódy oręż nieprzyjacielski utonąć musiał w piersiach Prus, Łotwy i Jadźwingów, aby w pozostałych plemionach obudzić serdeczniejszą sympatyą, która jednak już wtedy ograniczyć się musiała jedynie na udzielaniu przytułku zbiegom i prześladowanym. Dziwić się i nie dziwić Litwinom za ten brak plemiennej solidarności: ani czasy, w których oni żyli, ani ich cywilizacya była po temu, żeby uznać znaczenie jedności rządu i wyciągnąć z niéj należne korzyści. Słowianie ich sąsiedzi, ludy nawet romańskie nie przewyższały ich pod tym względem, wyrzynały się owszem wzajem na korzyść podstępnego nieprzyjaciela; germańskie jedynie plemiona posiadały wyraźniejszy instynkt jedności i cnotę wzajemnego bezpieczeństwa potrafiły wyegzaltować aż do zbrodni, a przez nią przyjść do przewagi i obszernego mienia. Definiując autor rodowe zalety Litwinów, oczyszcza ich również z przypisywanych im wad, a mianowicie: lekkomyślności, żądzy zemsty i skłonności do pijaństwa, dowodząc, że wady te, jeżeli w części istniały w społeczeństwie litewskiém, to nie w większym stopniu jak gdzieindziéj. O lekkomyślność obwiniano Litwinów z powodu częstych zmian religii, ale tego dopuszczali się głównie sami książęta; żądza zemsty, wyrodziła się, bardzo prostém następstwem, w skutek krzywd doznawanych od Niemców; pijaństwo, to wymysł nieprzychylnych dziejopisarzy, do których liczy się i Szajnocha, bo w Litwie dawnéj karczem nie znano, a biesiad wydawanych w dnie uroczyste, nie można brać za assumpt do podobnego zarzutu. Nie ścierając apologijnego charakteru wywodów p. Jaroszewicza, nie widzim jednak jasno, do czego one dziś mają prowadzić. Czytajmy historye obyczajów wszystkich ludności a wszędzie zobaczymy te same z małą przemianą zalety, a zatém wyliczenie ich i poparcie zakrawa na ciekawość bez użytku. Inna rzecz, jeśli poszukiwać będziemy tego, co one wyrodziły, jeśli w nich upatrywać będziem kierunku, jaki ono nadały politycznemu rozwinięciu się narodu. Otóż z tego zapatrując się punktu, oddać musimy sprawiedliwość pogańskiéj Litwie za jéj usilność w obronie własnéj niepodległości; ale co do

reszty nie dostrzegamy żadnych żywiołów cywilizacyjnych, nic takiego, coby ze szczególnym pożytkiem wpływało do ogólnego życia ludzkości i przejawiało się barwą swą w późniejszym postępie czasu. Naród ten utracił samodzielność swą wprzód, nim się zdołał samodzielnie rozwinąć: gdzież ślady jego wiedzy lub sztuki? a wspomnienia krwawych najazdów na sąsiedni kraj, uprowadzanie tysiącami niewolników z Polski, wreszcie późniejszy statut, nie są to pomniki, coby najświetniejsze świadectwo dawały o obyczajach Litwy. System wzajemnego ucisku tak był wkorzeniony w to społeczeństwo, że nawet po przyjęciu wiary chrześciańskiéj, on był powodem długiego jeszcze oporu w ściślejszém zlaniu się z Polską, w któréj zasadą była równość obywatelska, przynajmniéj szlachecka. P. Jaroszewicz zrzekłszy się poszukiwań pod względem pomników sztuki litewskiéj i wywnioskowania z nich cośkolwiek o stanie oświaty, przyznaje i bardzo słusznie, że wszelki postęp na drodze cywilizacyi, Litwa zawdzięcza wpływom obcym i wyobrażeniom chrześciańskim, które rozmaitemi drogami do niéj przesiąkały; dodać tu jednak należy, iż Litwa, zerwawszy z przeszłością i za pośrednictwem Polski przechodząc w organizm europejski, nic znaczącego z téjże przeszłości do nowego porządku rzeczy nie przeniosła, więc też nie dziw, że nie mając własnéj dość silnéj podstawy, nie mogła utrzymać nawet fizyonomii właściwéj w otoczeniu różnoplemiennem, jak to naprzykład uczynili Madziarowie, ale rozpłynęła się w pierwiastku słowiańskim, z wyjątkiem prostego ludu, ponad głową którego niewidzialnie przeszedł postęp socyalny.

Jedynym wielkim pomnikiem przeszłości litewskiéj jest język, bogatych a wyrobionych form, który dotąd żyje w ustach kilkomilionowéj ludności i razem z nią skrystalizował się w nieruchomy głaz. Język to powinowaty sanskryckiemu i słowiańskiemu i razem z niemi należący do rodziny indo-europejskiéj, a o ważności jego pod względem filologicznym ledwie dowiedzieliśmy się od Niemców. Odtąd czynniéj nieco zaczęto zajmować się odkopaniem tego skarbu naukowego, a dziś mianowicie, zajęcie to dochodzi w nadniemeńskich stronach do pewnego stopnia zapału, i w tym też charakterze napisaną jest rozprawa p. t. *Znaczenie języka litewskiego we względzie naukowym* przez K. A. K. Jak z jednéj strony autor jéj daje dowody dobréj woli, znajomości tego języka, i wskazuje co dotąd dla niego zrobiono; tak z drugiéj przesadza w swoich wywodach i wnioskach. Ani sło-

wa: język litewski nie jest jakiemś tylko chłopskiém narzeczem (patois), ale jednym z najstarożytniejszych ludzkich dyalektów; jednak dla czegóżby za jedną drogą grecki i łacina miały być tylko zepsutym językiem litewskim. Podobieństwo wyrazów z łaciną jest tylko dowodem powinowactwa języków pelazgijskich z indo-europejskiemi, a dowód wyższości i pierwotności, jaki autor upatruje w tém, że wyrazy litewskie są dłuższe od podobnychże łacińskich, nie jest bynajmniéj przeważnym i nie może być wskazówką pochodzenia łaciny od języka litewskiego. Przytoczymy przeciw takiemu dowodzeniu to tylko, że pochodne włoskie, mianowicie powstałe z imion łacińskich deklinacyi trzeciéj, są dłuższe od tychże imion, gdyż mają formę łacińskiego przypadku szóstego, np. po łacinie *virgo*, po włosku *vergine:* więc stosując tu powyższą zasadę wypadłoby, że łacina jest zepsutym językiem włoskim, lub że od niego pochodzi. Bardzo szanujemy myśl autora, kiedy nagli do serdeczniejszego zajęcia się tym skarbem ziemi naszéj; gdyż poznanie języka litewskiego, jako jednego z dyalektów szczepowych, odwiecznych, może oddać znakomite przysługi historyi i filozofii mowy; rozjaśnić tajemnice kryjące się w pieśniach, podaniach i przysłowiach ludu, posłużyć do kształcenia tegoż ludu, jeśli kształcący będą do niego przemawiać jego językiem, czyto ustnie czy z książki; ale téż na tém tylko jego rola ograniczyć się może. Chcieć zaś zrobić go językiem towarzyskim i literackim, jak to proponuje autor rozprawy, jest to bardzo patryotyczna wprawdzie ale i bardzo niepotrzebna utopia: ku temu trzebaby nasamprzód stworzyć ludzi, którzyby zawarli się w obrębach pojęć, do jakich ten język jest sposobnym, a to już nie jest w mocy naszéj. Nie czas to po śmierci wędrować: gdybyśmy tylko wszędzie *polski* język utrzymali na téj stopie towarzyskiéj i literackiéj godności, jaka odpowiada ogólnemu dzisiejszemu ukształceniu, byłoby to dostateczną zasługą; językowi zaś litewskiemu zostawmy jego ważność filologiczną, do jakéj ma niezaprzeczone prawo, a nie rozminiemy się z obowiązkami obywatelskiemi. Nie zapominajmy i o tém, że nauka języka litewskiego musi być bardzo bezinteresowną, i ktokolwiek jéj się poświęca, powinien z góry powiedzieć sobie, że się uczy języka dla samego języka; boć w nim nie znajdzie skarbów wiekowéj mądrości społeczeństw, nie przeczyta w nim Zendawesty, ani Odyssei, ani Sakontali: Litwa bowiem całą wielkość ducha i uczucia swego złożyła w języku Mickiewicza.

Kreśląc te słów kilka, nie chcemy przez to nie uznawać zasług i pożyteczności ruchu, jaki się objawia za Niemnem, około wyprowadzania na jaśnię zabytków przeszłości Litwy pogańskiéj, wśród których najważniejszym jest niezawodnie język: chcieliśmy tylko powiedzieć, że jakkolwiek chwalebną jest modlitwa za umarłych, nierównie pożyteczniejszą jest praca dla żywych i *ta* właściwie stać powinna w pierwszym rzędzie zatrudnień.

P. Julian Bartoszewicz dał do tego zbioru dwie biografie: *Józefa Sapiehy* i *Udalryka Radziwiłła*. Wszystko, co pisze pan Bartoszewicz, jest niezawodnie pożyteczne, bo i z niemałym mozołem wyszukane w mniéj znanych źródłach i nie przechodzi bez wyraźnego sądu. Biografie XVIII wieku, to ulubiony widać temat pana Bartoszewicza, bo niema pisma, któregoby niemi nie zasilił; dzięki tym biografiom przyłożył się on do rozjaśnienia życia wewnętrznego w wieku XVIII, ale też wywlókł z poza grobów tyle niecnoty, tyle niedołęztwa, że nas bynajmniéj nie dziwią głosy odzywające się przeciw podobnemu systematowi. Dwie powyższe biografie z tego tylko względu mogą mieć znaczenie, iż uczą, jakim powinien być człowiek, aby obudził pogardę potomności, a przytém zaciekawiają kilką szczegółami życia publicznego i domowego. Inne, przyjemniejsze wrażenie sprawia artykuł pana Bartoszewicza o rozprawie Brüggeneja p. t. *De Rusticorum regni Polonici conditione*, którą autor niemiecki bronił niedawno w uniwersytecie królewieckim *pro venia legendi*. Zdaniem pana Bartoszewicza, rozprawa ta dla nas nie tyle ma ważności naukowéj, nie zawiera bowiem w sobie nic takiego, do czegobyśmy już własnemi badaniami nie doszli; ale wartość jéj dla nas leży głównie w sprawiedliwém a nader przyjaznem zapatrywaniu się niemieckiego autora na historyą naszą. Dowodzi on nikczemności wrzasków niemieckich na bezprzykładny ucisk, jakiego stan kmiecy doznawał u nas w wieku XIV, XV i XVI, oraz przekonywa porównawczo, że stan ten u nas bynajmniéj nie był bardziéj upośledzonym jak gdziekolwiekbądź, a tém mniéj u naszych sąsiadów. Z całego toku rozprawy widać, że autor jéj zamierza zbadać prawa i instytucye polskie w całéj ich obszerności, i dotąd odbył już niemałe choć niedostateczne studya; głównie zaś zajmować go będzie historya włościan, któréj niniejsza rozprawa jest tylko początkowym szkicem. P. Bartoszewicz przychodząc w pomoc szanownemu autorowi rozprawy, prostuje niektóre jego pojęcia i wskazuje mu na źródła, o których tamten snadź nie wie. Je-

żeli tedy przy większéj obfitości i zupełném zbadaniu źródeł pan Brüggenéj dokona zamierzonéj pracy z tém samém uczuciem, jakie przewodniczyło mu w napisaniu téj rozprawy; to możemy sobie powinszować przyjacielskiego tłumacza naszéj ojczystéj sprawy w obec bardzo nieprzyjacielskiego sąsiada, a tymczasem, wspólnie z autorem sprawozdania oświadczyć musim, że nie mamy słów dostatecznych na podziękowanie p. Brüggenejowi, iż jest sprawiedliwym dla naszego plemienia, Bartoszewiczowi zaś wyrazić wdzięczność za udzielenie tak miłéj wiadomości.

Przypowieść nasza wyrażająca się słowem *Diabeł wenecki*, zanotowaną jest w Długoszu (ks. X p. 108), który utrzymuje, iż Władysław Jagiełło bawiąc w Poznaniu, złożył z urzędu, dóbr pozbawił i wtrącił do więzienia, Jana, sędziego poznańskiego, dziedzica wsi Wenecyi, zwanego krwawym diabłem. Owoż p. Przyborowski mając pod ręką archiwum poznańskie, chciał tę luźną wieść Długosza, opartą tylko na podaniu ludowém, porównać ze źródłami, i poszukiwania swoje podał tu w rozprawie p. t. *Wiadomość historyczna o Krwawym Djable*. Poszukiwania te okazały, że wieść podana przez Długosza jest fałszem i to pod dwoma względami: raz, że lubo w ciągu panowania Władysława Jagielły jest wprawdzie sędzią poznańskim Jan, ale ten był dziedzicem Czarnkowa nie zaś Wenecyi, o żadne nadużycia nigdy obwinionym, a tém samém karanym nie był i dopiéro w r. 1401, tojest dawno już po piérwszym pobycie Jagiełły w Poznaniu, zestąpił z urzędu z imieniem nieskażoném. Powtóre, lubo przydomek Krwawego Djabła często napotyka się w urzędowych nawet aktach grodu poznańskiego, ale ten dotyczy bezpośredniego następcy Jana w urzędzie, tojest Mikołaja, dziedzica Wenecyi, poprzednio sędziego kaliskiego, który również jak najgodniéj urząd swój piastował; on tedy jest tym krwawym djabłem, czyli djabłem weneckim. Tym sposobem p. Przyborowski pamięć dwóch ludzi świetnie zrehabilitował, wiadomość historyczną wyświecił, ale powodu przysłowiowego przydomku nie doszedł. Przydomek bowiem ten zdaje się mieścić w sobie coś oskarżającego; tymczasem gdyby tak było, toćby go nie używano w aktach grodzkich przy ferowaniu wyroku, przez człowieka, do którego się odnosił: pewność tedy zastępuje autor hypotezą, przypuszczając, że przydomek ten był raczéj chlubą i symbolem nieubłagalności stróża publicznego bezpieczeństwa dla najezdców i łupieżców, w których za panowania Ludwika i w czasie bezkrólewia miała obfitować Wielko-

polska. Chociaż rezultat poszukiwań pana Przyborowskiego, pod tym ostatnim względem, tojest powodu tradycyonalności przydomka, nie zadawalnia, nie możemy wszelako nie przyznać, że rozprawa jego jest pięknie i jasno, pomimo cytat i erudycyi, napisaną; a jako wykrywająca odwieczny fałsz, z korzyścią dla osób, już tém samém ma prawo do pewnéj zasługi.

Wymieniając rozprawy historyczne, nie możemy z nich wyłączyć rzeczy o *Zbiorach Kanonów*, która jest wyjątkiem z dzieła ks. biskupa Krasińskiego, już przygotowanego do druku. Trudna to, nader ważna, a piérwsza podobno w języku naszym będzie téj treści oryginalna praca; to, co w niniejszym zbiorze widzimy, dowodzi już nie pospolitego obeznania się z materyałami; ale jak dotąd, ma ono tylko charakter więcéj bibliograficzny: z tego powodu nie domyślam się znaczenia tego wyimku w piśmie *zbiorowem*. Spodziewamy się i mamy od takiéj pracy prawo żądać wyjaśnienia, o ile kanony są rozwinięciem pisma, tradycyi i o ile w swym przebiegu wnikały w prawo świeckie, mianowicie kryminalne, szczególniéj téż w wiekach średnich; to zaś, gdzie i kiedy jaki zbiór wyszedł, jest rzeczą dość obojętną dla niespecyalnego czytelnika. Ustęp zamieszczony w obecném piśmie jest nader ważnym dla badacza a wreszcie koniecznym wcałości dzieła; wyrwany zaś z niéj nie przedstawia nic bezpośrednio żywotnego.

Ten sam zarzut, a zkądinąd nierównie surowszy, dałby się ściągnąć i do *Zbioru ułamkowych wiadomości o uniwersytecie Wileńskim* przez ks. Stanisława Jundziłła. Jest to wyjątek z jego pamiętników; ale czyż podobna przypuścić, aby w nich zmarły professor tegoż uniwersytetu nie zamieścił nic innego, prócz tych szkaradzieństw, jakie Redakcya wybrała. Uniwersytet wileński, toż to instytucya, któréj imię ze czcią wspomina każdy, kto sercem związany jest z przeszłością. Niechże zajrzy do tego zbioru i przypatrzy się ludziom, którzy przewodniczyli téj instytucyi: nieuki, niedołęgi, próżniaki i opoje. Nie przeczymy, że to wszystko może być prawdą, co pisał sławny professor botaniki i uczciwy człowiek; mógł on tém żalić się na kierunek instytucyi skrzywiany w ciągu pewnéj doby przez ręce nieudolne i opóźniający postęp. Niema nic świętszego jak prawda, wypowiedzieć ją można i trzeba, zawsze i na każdém miejscu. Te więc portrety kreślone przez ks. Jundziłła nic a nic nie przeszkadzają w całkowitéj galeryi, ale zdjęte ze ściany w pewnéj części i postawione przed oczami późniejszych, czynią

krzywdę téj świetnéj a zacnéj postaci uniwersytetu wileńskiego. Słowem, Redakcya zły użytek zrobiła z udzielonych jéj pamiętników.

Za to poprawiła się w Pamiętnikach umieszczczonych pod tytułem *Ramot starego Detiuka o Wołyniu*, które zebrał A. Andrzejowski. Wprawdzie mogłyby one być o połowę krótsze, mieszczą bowiem dużo szczegółów mniéj interesujących lub się zbytecznie nad niemi rozwodzą, ale w rezultacie stanowią godny uwagi przyczynek do dziejów domowych z końca XVIII wieku. Interesującą jest tam wiadomość o mieście Korcu i jego fabryce porcelany, jak niemniéj wzmianka o malarzu Józefie Mańkowskim, którego prace zdobią pomiędzy innemi tamtejszy kościół farny. Myli się jednak autor, mówiąc, że o tym artyście nigdzie dotąd nie wspominano; imię jego bowiem znajduje się w Słowniku malarzy wydanym przez Edwarda Rastawieckiego, chybaby w tym czasie dwóch było tego nazwiska artystów. Zamieszczony w tych pamiętnikach ustęp, z życia kasztelanowéj Bieżyńskiéj, mógłby być tematem do bardzo tragicznego dramatu, a świadczy zarazem o głębokiém zepsuciu obyczajów, jakie podtenczas wtargnęło do klass wyższych z zamorską edukacyą. W ogóle, smutne sprawia wrażenie przeczytanie tego pamiętnika: co krok przeswiadczasz się o téj różnorodnéj niedoli, w jakiéj kraj podówczas był pogrążony; ale dobrze się i o tych różnych jéj szczegołach dowiedzieć.

Z literatury pięknéj mamy w tym zbiorze i wiersze i prozę: na wierszach nam nigdy i nigdzie nie zbywa, tylko to bieda, że wierszom najczęściéj zbywa na poezyi. To szczególniéj dotyczy tu *satyr* Leonarda Sowińskiego. Nie sądźmy, żeby nazwa satyry była tu użytą w znaczeniu powszechnie do tego wyrazu przywiązywanem, bo kto dzisiaj satyry pisze? To dobre było wówczas, kiedy jeszcze nie było szkiców obyczajowych, powieści humorystycznych, tygodniowych sprawozdań i innych towarzyskich kazań, które zgniotły klassyczną formę satyry. Dziś autor z talentem Krasickiego wolałby napisać lichą komedyę, niż wyborną satyrę. To też p. Sowiński użył téj nazwy przenośnie i w miejsce ironii dał treny nad niemocą ducha ludzkiego, które zręcznością wyrażeń zastępują natchnienie i cel bardzo problematyczny. *Kometa* Deotymy w porównaniach do zjawisk sfery duchowéj bardzo poetyczna, nie obeszła się jednak bez ustępów wyobrażających traktat naukowy na zimno redagowany.—*Krzyże wioskowe* Władysława Syrokomli napisane,

jeśli nie poetycznie, to z życiem i werwą.— Z utworów prozą, przyjemnym obrazkiem familijnym jest dyalog K. W. Wójcickiego p. t. *Lekarz domowy:* ma on za treść nawrócenie zbłąkanego małżonka do powinności i zdrowego rozsądku, dokonane przez przyjaciela domu: a jeśli autor nie sięgnął tu głęboko w naturę charakterów i namiętności, za to uczuciem rodzinnem wypełnił swój skromny utwór, który jeśli się nie mylimy, jest powtórzeniem znanego nam już zkądinąd tematu. Użytecznie działa p. Wójcicki, że nam od czasu do czasu przypomina te niedawnéj jeszcze przeszłości naszéj postacie a tak pięknie ją zalecające: radzibyśmy jednak, aby je stawiał na więcéj uroznaiconych punktach.—Z utworu fantastycznego: *Podróż naokoło świata odbyta w trzech godzinach* przez Zbigniewa, zajmującym jest tylko humorystyczny wstęp, a nudném całe późniejsze filozofowanie nad światem moralnym, ujęte w formy lądowéj i morskiéj allegoryi; i całą tę sprawę, zdaniem naszém, zaliczyć można do rzędu zabawek, które bawią chyba samego tylko piszącego, i dlatego nie dziwimy się, że je ktoś pisze, ale mamy prawo dziwić się, że je drukują, tembardziéj, jeśli sam autor pracę swą dedykuje psu.—Zaledwie wypada tu wspomnieć o *Zagrodzie domowéj* Oktawiusza Feuillet w tłumaczeniu p. Juliana Horaiua, która wprawdzie jest bardzo pięknym dyalogiem, ale jako przekład z prozy na prozę, wartości zbioru nie podnosi; tembardziéj, że nie jest ona dla nas nawet nowością, bośmy ją i w naszém piśmie przed sześcią laty widzieli.

Krytyka reprezentowaną jest tu przez jedno tylko studyum zasłużonego pisarza, p. Aleksandra Tyszyńskiego, o utworach *Deotymy.* Jednak rzadko któremu z poetów zdarzyło się zaraz z początku zawodu mieć tylu kommentatorów, jak Deotyma: Prusinowski, Kremer, Kaczkowski, Kraszewski a teraz Tyszyński, rzucają ogólne na jéj twórczość poglądy, nie licząc innych szczegółowych ocenień; ale poza temi krytykami stoi jeszcze jeden i to najsurowszy sędzia, tojest: ogół czytających; a ten, nie wiem, czy się zgodzi na zdanie p. Tyszyńskiego o zdolnościach Deotymy, który powiada: „każdy utwór autorki tak jest zwykle zamożny w poezyą, iż poetyczności téj mógłby pozazdrościć każdy, by najznakomitszy poeta; i tak jest przytém bogaty w myśl, spekulacyą, iż myśli tych mógłby się niepowstydzić żaden filozof, iż owszem staćby mogły nieraz za ramy nowego spekulacyjnego systemu." Ogół wyraziłby się skromniéj, powiedziałby: że Deotymie przewodniczy zawsze myśl wyższa,

często oryginalna, że młoda autorka nigdy nie staje niżéj od pojęć i postępu epoki, że zadziwia powagą poglądu na rzeczy; ale że zarazem nie wszędzie potrafi zachować miarę pomiędzy wiedzą a erudycyą, i że obok szczęśliwych momentów natchnienia, często poezyę zastępuje wymową, a obraz rysunkiem, któremu ciała i krwi brakuje. Czego zazdrościć można Deotymie, to mocy wzniesienia się w pomyśle na wysokie stanowisko; czego żałować, to tego, że pomysł ten rzadko staje w tak gorącém świetle, aby jego promienie dogrzały do serca niżéj stojących i najczęściéj zatrzymują się tylko na umyśle. Nikt wyraźniéj od p. Tyszyńskiego nie wskazał punktu, z którego począł się kierunek talentu Deotymy. Zwrot messyaniczny w myśleniu naszém, dokonany za sprawą Hoene-Wrońskiego i autora Modlitwy Pańskiéj, traktujący o wieku przyszłym, o wieku dla ludzkości nadejść mającym, zwrot, który wprowadził w swe koło najpierwszych poetów naszych, upodobała sobie i Deotyma. Ani słowa, p. Tyszyński pierwszy zrobił to spostrzeżenie i zrobił je nader trafnie; to ułatwiło jemu i nam wyjaśnienie wielu jéj pojedynczych utworów, które on szczegółowo przechodzi, oraz dopatrzenie związku pomiędzy niemi i jedności ogólnéj myśli przewodniczącéj. Jednak czy kierunek ten jest tak bardzo pożądanym, czy przedewszystkiém jest niezaprzeczenie zdrowym, to inna znowu kwestya, prowadząca do szerokiéj dyskussyi, tak jak zwrot ten prowadzi do mrzonek i chorobliwych ekstazyi. Już jednym z chorobliwych jego objawów jest jakiś rozdział własności bożych i kolejność ich panowania, który przypomina najuboższe o bóstwie pojęcia Wschodu. Po epoce siły (Jehowa), nastąpiła era Miłości (Chrystus), a przyjść ma era *Mądrości* (Pocieszyciel), tak powiada Deotyma a z nią p. Tyszyński idąc za dowolnem rozumieniem heglowskiéj nauki; ale pomimo całego poszanowania dla powagi myślicieli, dziwném się nam wydaje i dosyć dowolnem takie oddzielenie przymiotów Istoty nierozdzielnéj; pewni owszem jesteśmy, że Bóg w Trójcy Świętéj jedyny zawsze i wszędzie przytomnym był i jest we trzech Osobach, czy to uważany w Istocie swéj, czy w życiu Ludzkości, boć ona była zawsze jest i będzie kościołem wojującym, dopóki królestwa Bożego sobie nie wywalczy. Owoż, odkładając rozumowania nad tém do właściwéj sposobności, pomimo, że pod pewnemi względami różnimy się z p. Tyszyńskim, przyznać jednak musim, że ta jego rozprawa, nietylko dopina głównego celu rozbierając trafnie naturę talentu

Deotymy, ale nadto naprowadza na wiele ogólnych rozmyślań i jako słowo wielce światłego człowieka, z niemałą korzyścią odczytana być może.

Dla urozmaicenia pisma i zbliżenia go do bieżących potrzeb, nie przepomniała Redakcya i o korrespondencyach. Z *Warszawy* mamy aż dwa listy, z których pierwszy dotyka spraw w sposób więcéj pobieżny i czysto sprawozdawczy; drugi, zastanawia się i z werwą rozumuje nad znaczeniem tych spraw: obydwa mają swoje zalety, ale jako sprawozdania z dziennego żywota mniéj szczęśliwie wyglądają w grubym woluminie, który tak późno dostaje się do ręki. Radzilibyśmy przeto Redakcyi w zbiorach podobnych na lata następne opuszczać szczegóły, które po kilku dniach wietrzeją a w korrespondencyach zatrzymywać te tylko zjawiska, które na dziś i na jutro mają w sobie życie. *Listy z Paryża* stylem i całym sposobem traktowania przypominają naszą Kronikę Paryzką i prawie go towiśmy upewnić, że są one płodem jednéj i téj saméj myśli.

Pod skromnym tytułem listu z *Turcyi*, umieściła Redakcya artykuł, który byłby ozdobą i zaszczytem najświetniejszego nawet pisma. Turcya jest tu widać użyta tylko w znaczeniu jeograficznem, gdyż cała treść korrespondencyi odnosi się do Bulgaryi. Interes, jaki opis podobnéj miejscowości budzić u nas może, polega głównie na tém, że okolica ta jest nam pobratymczą, słowiańską; a daleko więcéj niezawodnie naczytaliśmy się o Algeryi lub Kochinchinie niż o Bulgaryi. Autor korrespondencyi otwiera przed nami wszystkie jéj tajniki, te przynajmniéj, które nas jako ludzi serca, nie zaś rachuby obchodzić mogą: nie zajmuje go tyle statystyka ludności, natura gruntu lub rodzaj zatrudnienia, ile życie moralne, barwa obyczajowa, myśli i marzenia tego ludu; a na wszystko to zapatruje się on ze stanowiska, jakie przystoi wiekowi naszemu i synowi ziemi naszéj. Nie sztuka to pisać korrespondencye z Rzymu, Londynu lub Paryża: tam sucho nawet podane zjawiska świata intelligencyi zdolne są zająć i zaciekawić, mamy ich téż zewsząd napływ aż do znudzenia wkoło się powtarzających; ale tu, gdzie uczucie przygnębione, umysł drzemiący, godność plemienna zapomniana, stan półdzikości,—tu, powiadamy, trzeba stworzyć sobie pogląd i we własnéj duszy wynaleźć punkt zapatrywania się, aby rozwiniętą panoramę uczynić powabną i zajmującą. Tego właśnie dokonał autor: sympatyą własną dla opisywanéj treści dostał się i nam do serca: postawił nas na takim punkcie, z któ-

go widzimy dokładnie niedolą naszych braci i czujemy wespół z niemi jako ludzie i jako Słowianie. Stan Bulgaryi przypomina nam odpowiedź ludności słowiańskiéj daną Lechowi, według Deotymy: *czy być może inaczéj*, tak u ludu jéj zatarło się wszelkie poczucie bytu samodzielnego, a odrętwiałość doszła aż do zapomnienia osobistéj godności, aż do zobojętnienia na przeszłość, na tradycye i legendy jedynéj a krótkiéj chwilki świetniejszéj, gdy Bulgarya była niepodległém carstwem. Panowanie tureckie i despotyzm baszów utrzymuje ten lud w upodleniu duchowém, ciemnocie i nędzy materyalnéj; z drugiéj strony wpływ Greków, mianowicie po miastach, jako przeważny intelligencyą nie dozwala rozwinąć się temu ludowi nawet w kierunku pracy i przemysłu, a nadto kojarząc obok siebie najżywotniejsze interesa, tojest zarobkowe, wprowadza język i obyczaje greckie jako warunek konieczny i tym sposobem upodrzędnia żywioł narodowy. Tak tedy Bulgar staje się podobien niejako rybie latającéj, która znajduje wroga zarówno w wodzie jako i na powietrzu. Pomyślmy, że ten stan trwa jednak od niepamiętnych czasów, a zadziwimy się, iż ludność ta dotąd jeszcze istnieje w kilko milionowéj massie i nie zatraciła swojéj fizyonomii pomimo rzezi i całego ucisku bisurmanów. Otóż jedynym jeszcze w téj toni ratunkiem jest pierwiastek szczepowy, który wyradza jedność języka, i kościół, który utrzymuje jedność wiary: w tych dwóch siłach leży jeszcze jakaśkolwiek przyszłość tego ludu: przypuszczając, że siły te nie będą zawsze, jak dzisiaj, tylko siłami oporu, ale zaczną być kiedyś dźwigniami ruchu. Otóż i dziś już zdaniem autora, czuć tam gdzieniegdzie jakieś drganie ku lepszemu; ale z niego nie wiele jeszcze wróżyć można, gdyż całe zachody pod względem kształcenia umysłowego i oppozycya przeciw przewadze greckiego wpływu na rzecz narodowych obyczajów, skupiają się około jednéj Szumli i wielkie jeszcze zachodzi pytanie, czy ten prąd zdoła przebić skorupę ciemnoty i obojętności kraju całego. Najzgubniejszém znowu, według naszego mniemania, o ile wnieść mogliśmy z opisów autora, zgubniejszém jak despotyzm turecki i chytrość grecka, jest zagęszczające się w Bulgaryi upodobobanie do form *à la franca*. Jest to niby wprowadzanie trybu zachodnio-europejskiego; ale ma ono tam ten sam skutek, jakby kto sobie wyrywał zdrowo zęby dla wprawienia sztucznych w złoto oprawnych. Bulgar z całą ciemnotą i bezmyślnością swoją, jeśli nie wychodzi poza zakres, jaki mu odwieczne nakreśliły obyczaje, to choć-

by się wcale nie poruszył, zachowuje przynajmniej tę swojską barwę prostoty, która mu nadaje jaki taki charakter: ale jeśli ma takie zachciewanki jak np. bal z żydowską orkiestrą i kontredansem, przy ukształceniu umysłowém nie wiele różniącém się od dzikiego Indyanina, to staje się karykaturą i samobójcą. Dziwna rzecz, że w tym samym kraju, ścianą tylko rozgraniczone, znajdują się dwa społeczeństwa jednego rodu a tak różnéj myśli, jak Serby i Bulgarowie. Tam siła i takt, tu niemoc i nieład jak w żydowskiéj skrzyni. Przy całym nawet względzie na różnice politycznych ich kolei, tyle jednak między temi dwoma społeczeństwy znajduje się podobieństwa warunków bytu towarzyskiego, że trzeba chyba ślepoty lub fatalności, aby Bulgarya nic od sąsiadki swéj nie korzystała, choćby tylko w pielęgnowaniu zabytków przeszłości, obyczaju domowego i w kształceniu się właściwém, którego przecież zwierzchność miejscowa nie tamuje i nawet nie jest zdolną tamować.

Wskazaliśmy tu ogólną myśl, którą w szczegółach rozprowadza autor korrespondencyi. Nie dopełnił on swego programatu, powiada bowiem z góry: „nie spodziewajcie się w listach moich znaleźć świetnych obrazów a témbardziéj głębokich rozpraw historycznych"; tymczasem obrazy jego są najpiękniejszego blasku, a rozprawy, jeśli nie głębokie, to głęboko trafiają. Wszędzie przytém usprawiedliwia się autor z braku systematu; ależ systemat rozsądnych myśli, żywości opisów i dowcipu opowiadawczego nie jest znowu tak złym systematem. Nie z jednéj o pedantycznych pretensyach księgi tyle nauczyć się nie można, ile z tych pobieżnych listów korrespondenta, i dla tego prosimy nieznanego i oddalonego ziomka, aby trzymał się i nadal tego systematu, a pismo niniejsze jaknajczęściéj pracami swemi zasilał.

dnia 16 Października 1859 r.

Kazimierz Kaszewski.

Homera Odyssea, przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. Poznań. 1859 *r.*

Głębokie i męzkie studya nad literaturą starożytną, w świetnych czasach naszych, zrodziły złoty wiek literatury.

Późniejsze *szkolarstwo*, zapomniawszy o treści, rzuciło się na formę tylko. Kierunek ten, nie prowadząc do istotnéj znajomości znakomitych utworów, kaził język ojczysty, krzywił zdrowe niegdyś wyobrażenia i stworzył nareszcie pseudo-klassycyzm. Rozbudzona reakcya zdrowszych pojęć wywołała romantyzm, który ostatecznie wziął przewagę, ale, nie podsycany do źródeł sięgającą pracą, wpadł w naśladownictwo literatur Zachodu, zwłaszcza też francuzkiéj, ohydził nam starożytność, podkopał prawdziwą naukę. Obok znakomitych, bez zaprzeczenia, utworów téj szkoły, prawdziwym talentem i szlachetną nacechowanych tendencyą, zarzucono nas massą wierszy i powieści, często podejrzanéj tak pod względem treści, jak i formy wartością. Przy takim stanie literatury i przewadze powszednich, materyalnych celów nad wyższe, nic dziwnego, że znajomość języków i literatur starożytnych, a z niemi i zdrowe pojęcia o życiu tych potężnych narodowości do szczętu upaść musiały.

Tłumaczenia musiały zastąpić znajomość oryginałów. Przyczém jednak zupełnie opuściliśmy z uwagi, że przekład z każdego nowego języka łatwo zastępuje oryginał, bośmy wszyscy dziś podobno pod każdym względem zbliżeni jednakową mniejwięcéj cywilizacyą. Ze starożytnemi zupełnie rzecz inna, zwłaszcza też z poetami i filozofami, w których duch i twórczość narodu najwybitniejsze. Zbliżmy przekład do oryginału, a dziwacznym się wyda; oddajmy oryginał językiem podług naszych pojęć *urobionym*, a często zamiast przekładu, będziemy mieli parodyą: Greka lub Rzymianina w nasze suknie przebranego. Do tegoto stopnia świat starożytny z naszym się różni.

Bądź co bądź tłumaczeń dziś potrzebujemy: na nich urabia się język, przynajmniéj tego, który tłumaczy; przez nie choć do słabego o starożytnych dochodzimy pojęcia. Z tegoto powodu przekład im bliższy oryginału, tém lepszy. Takim, podług naszego przynajmniéj zdania, jest przekład pana Bronikowskiego pierwszychto *rapsodyj* Homerowéj Odyssei. Czytając go, zdaje się, że mamy w ręku oryginał z całą jego nietylko obrazów, ale szczegółowych wyrażeń i wyrazów plastycznością. To praca nie małéj wagi, to przejęcie się duchem oryginału prawdziwe, a znajomość języka Homerowego głęboka. Wczytawszy się cokolwiek, nie odrażamy się ciężką i poważną formą *hexametru*, ani też wyrazami gdzieś ze starych ksiąg lub z pomiędzy ludu odszukanemi; przebaczyć musimy tłumaczowi *nowo* czasem urobione do oddania oryginału wyrazy. Homera inaczéj,

bez skażenia oryginału, przekładać nie podobna. Taki tylko przekład dla nieznających oryginału prawdziwą korzyść przyniesie, choć w części go zastąpi, nie *spaczy* myśli pierwowzoru.

Radzibyśmy, aby publiczność nasza wzięła się do pilnego odczytywania tego przekładu, a odżywi w sobie czasy, po których tysiące lat upłynęły; zachęci się może nie jeden do podjęcia szlachetnéj pracy nad poznaniem się z językiem oryginału, na którym najznakomitsze geniusze przeszłości myśl swoją urabiały, z którego uczeni Aleksandryi kanony piękna stanowili. Przytém w obrazach Homera słyszymy jakby pieśń z prastarych czasów naszych, bo jak język tak i ustrój społeczeństwa staréj Hellady najbliższy nam i sąsiedztwem i sercem. Przedwczesném byłoby dziś występować ze szczegółowym rozbiorem pracy pana Bronikowskiego. Po wyjściu całkowitego przekładu Odyssei zajmiemy się nim, porównamy go z dawniejszemi przekładami tak naszemi, jak i obcemi. Dziś poprzestajemy na téj krótkiéj wzmiance, aby zwrócić nań uwagę publiczności i aby pismu naszemu słusznie nie zarzucono, że pracę znakomitéj wartości milczeniem pominąć mogło.

Cypryan Izdebski.

Roczniki c. k. kommissyi centralnéj, ustanowionéj dla wykrycia i zachowania pomników budownictwa, wydawane pod redakcyą Gustawa Heidera w Wiedniu. Drukarnia rządowa. Tomów 3 *in* 4°. *Tom I z r.* 1856. *Stronnic* 140. *Tablic* 17. *Drzeworytów* 26. *Tom II z r.* 1857. *Stronnic* 200. *Tablic* 34. *Drzeworytów* 156. *Tom III z r.* 1859. *Stronnic* 276. *Tablic* 42. *Drzeworytów* 177.

Dzieło, które przed sobą mamy, pod dwoma względami powinno nas zajmować: naprzód jako zawierające sprawozdania z czynności zupełnie świeżéj instytucyi, któréj potrzeba w obec coraz bardziéj ginących zabytków przeszłości coraz téż silniéj uczuwać się daje; powtóre, jako praca wspólna wielu znakomitych uczonych, poświęcających się z zamiłowaniem historyi sztuki. Kommissya centralna w r. 1853 czynności swe rozpoczęła, przydzielono ją wtedy do ministerstwa budowli publicznych i handlu; minister Bruk, który piérwszy uznał potrzebę instytucyi pracującéj nad wykryciem pamiątek historycznych i zabytków sztuki, a zara-

zem czuwającéj nad ich zachowaniem, powiada w swém przedstawieniu: „Monarchia austryacka składa się z wielu narodowości, z których każda ma swą własną historyą, każda posiada znaczną ilość pomników znakomitéj wartości, które częstokroć zaledwie są znane, a o których zabezpieczeniu nikt nie pamięta". Daléj przypomina, że „większa część zabytków znajduje się pod zarządem duchowieństwa katolickiego, że więc rodząca się instytucya winna sobie zapewnić jego współdziałanie i pomoc, na którą tembardziéj liczyć będzie można, że ludy Austryi winne są temuż duchowieństwu nietylko początki oświaty, ale i dalsze jéj rozkrzewienie; spodziewają się więc pomocy w utrzymaniu zabytków, dających teraz jeszcze niewątpliwe téj oświaty dowody". Wszystko to możnaby żywcem i o naszym powiedzieć kraju; czujemy téż zapewne wszyscy potrzebę podobnéj instytucyi u nas, dlatego téż głównie zdajemy sprawę z treści roczników, ażeby mieć sposobność zwrócenia uwagi na święty nasz obowiązek czuwania nad ochronieniem pamiątek historycznych. Kommissya centralna ustanowioną została pierwotnie z samych prawie urzędników, czego się po rządzie austryackim spodziewać było można; przyznać jednak musimy, iż wybór członków był bardzo szczęśliwym, w dalszym bowiem ciągu roczników mieliśmy sposobność ocenienia ich zdolności naukowych. Kommissya składa się z następujących 13 członków: naczelnika wydziału budownictwa w ministerstwie budowli publicznych i handlu, naczelnika wydziału architektury w generalnéj dyrekcyi budownictwa, dwóch reprezentantów ministerstwa spraw wewnętrznych, dwóch reprezentantów ministerstwa spraw duchownych i oświecenia, dwóch reprezentantów akademii nauk w Wiedniu, dwóch reprezentantów akademii sztuk pięknych w Wiedniu, konserwatora budowli miasta Wiednia, archiwisty wydziału budownictwa i protokulisty, którym ma być inżynier I klassy.

Piérwszą czynnością kommissyi było zniesienie się z istniejącemi w kraju towarzystwami naukowemi lub znakomitemi uczonemi i zbieraczami w celu wzajemnego wspierania się. Następnie mianowała znaczną liczbę konserwatorów i korrespondentów, których obowiązkiem jest, czuwać nad zachowaniem pomników sztuki w swoim okręgu, a donosić o odkryciu nowych lub o grożącém niebezpieczeństwie dawnym. Bez wątpienia, że czas pracuje powoli lecz nielitościwie nad niszczeniem wszelkich zabytków, lecz częściéj jeszcze i prędzéj, chciwość ludzka lub nieumiejętne odnawianie zaciera ich ślady. Tu się więc otwiera pole dzia-

łalności konserwatorów i korrespondentów, którym w razie nagłym służy nawet prawo wstrzymania robót rozpoczętych, a władze są obowiązane w tém ich słuchać i im dopomagać. W razach podobnych kommissya centralna mająca w swém łonie reprezentantów prawie wszystkich władz, działać może z wielkim pośpiechem. Konserwatorów mianowano odrazu 55, między niemi dla okręgu i miasta Krakowa Pawła Popiela, znanego miłośnika starożytności i obywatela, dla Galicyi wschodniej Franciszka Strańskiego, bibliotekarza uniwersytetu lwowskiego. Korrespondentów mianowano 43: dla prowincyj od Polski oderwanych żadnego. Następnie rozpoczęła kommissya centralna starania względem utworzenia ile możności dokładnego i szczegółowego obrazu statystycznego pomników budownictwa w całéj monarchii się znajdujących. W tym celu rozesłała konserwatorom, korrespondentom, proboszczom, nauczycielom, budowniczym i inżynierom, oraz prywatnym, znanym z zamiłowania starożytności, ogromną liczbę blankietów z prośbą o jak najspieszniejsze spisanie pomników w okolicy się znajdujących. Że zaś wszystkie władze wydały polecenia swoim podwładnym, aby cele kommissyi ile możności wspierali, zebrano w krótkim czasie nader bogate materyały. Rubryki na blankietach były następujące:

1. Nazwa pomnika lub innego zabytku sztuki budowniczéj, oraz określenie miejscowości.
2. Czas wystawienia, nazwisko fundatora i t. d.
3. Epoka i rodzaj poczynionych zmian, dodatków i odnowień
4. Pierwotny cel, materyał, styl.
5. Rozmiary.
6. Wymienienie napisów i rzeźb na pomniku się znajdujących.
7. Obecny użytek zabytku, kto z niego korzysta, oraz kto ma obowiązek utrzymania go w dobrym stanie.
8. Wartość jego bądź pod względem historycznym, bądź artystycznym.
9. Wymienienie opisów lub rysunków jego, oraz źródeł mogących dać bliższe objaśnienie.
10. Stan teraźniejszy i opinia, czy się takim jak jest utrzymać może.
11. Zdanie, w jakim stopniu zasługuje na zachowanie.

Że zaś każda rzecz wtedy dopiéro bywa szanowaną, gdy się ma sposobność poznania prawdziwéj jéj wartości, przedsięwzięła kommissya utworzyć sobie organa, w którychby mogła zdawać peryodycznie sprawę ze wszelkich swoich czynności, opisywać

naukowo najciekawsze zabytki, a zarazem stosownemi rozprawami wpływać na wykształcenie ogółu. W tym celu postanowiono wydawać Roczniki, w których oprócz sprawozdań, umieszczają się większe rozprawy, dłuższych przygotowań i kosztownych rycin wymagające. Niezadługo jednak okazała się potrzeba częstszego znoszenia się kommissyi z publicznością, która żywy brała udział w jéj czynnościach. Rozpoczęto wtedy wydawać osobne pismo peryodyczne miesięczne pod nazwą: *Mittheilungen der k. k. Central Komission* etc., pod osobną redakcyą Dra Karola Weissa. Pismo to liczy już teraz rok czwarty swego istnienia, a tak życzliwie w całych Niemczech przyjęte zostało, że mimo starań, nie mogliśmy dotąd dostać piérwszego roku; dlatego sprawozdanie o niém na późniéj odkładamy. Nadmieniamy tylko, iż zawiera wiele artykułów bliżéj nas obchodzących, jakoto: Essenweina monografia bramy Floryańskiéj w Krakowie, tegoż autora o niektórych średniowiekowych wyrobach żelaznych w Krakowie; prof. Eitelbergera o Wystawie starożytności krakowskiéj, tegoż o manuskrypcie Bema; Wolfskrona o najdawniejszych budowlach z drzewa w Galicyi; Józefa Łepkowskiego uwagi nad terminologią architektoniczną w Polsce i t. d. Oba te pisma umiejętnie są redagowane, zadziwiają doborem i pięknością drzeworytów i, co także nie małéj jest wagi, przystępną ceną. Roczniki kosztują od 4—6 rubli tom, tu w Warszawie; Mittheilungen zaś, dające miesięcznie $2\frac{1}{2}$ arkusza druku z mnóstwem drzeworytów i jedną tablicą, kosztują rocznie 18 złp. Prawda, że rządowa drukarnia ma europejską sławę i nie potrzebuje szukać zysku; współpracownicy po większéj części są płatni od rządu, ale zaprzeczyć nie można, że ogółowi z tém dobrze.

Tom I Roczników zawiera wszystkie mowy inauguracyjne, ustawy, rozporządzenia, oraz sprawozdanie z czynności komissyi w latach 1853, 1854, 1855. Dla dania wyobrażenia o sposobie działania i dążeniach, powtarzamy niektóre:

Klasztor w Zwettl sprzedał handlarzowi obrazów dwa ołtarze składane znakomitéj wartości artystycznéj; na przedstawienie kommissyi centralnéj, ministerstwo spraw duchownych i oświecenia publicznego zerwało akt sprzedaży, a ołtarze z funduszów duchownych odnowione do kościołów powróciły.

Hrabia Keglevich doniósł kommissyi centralnéj o nader pięknym kościele, w stylu romańskim, znajdującym się w małéj mieścinie węgierskiéj St. Jak (komitat eisenburski). Gdy parafia okazała się za biédną do dźwignienia takowego, kommissya wy-

starała się u władz o odpowiednie fundusze, aby go umiejętnie odnowić, a nadto wysłała prof. akad. Eitelbergera z budowniczym Hieserem, dla wykonania dokładnego opisu objaśnionego planami i rysunkami. Całe to wypracowanie, pod każdym względem za wzór służyć mogące, w Rocznikach wydaném zostało.

Podobnież gdy odkryto w Löwö (komitat eisenburski) ślady grobów rzymskich, postarała się kommissya centralna o wysłanie tamże Kustosza gabinetu monet i antyków barona Sakena, dla naukowego prowadzenia poszukiwań.

Gdy w roku 1854 dowiedziała się kommissya, że magistrat Pragi Czeskiéj przedsięwziął odnowić ratusz i wieżę mostową, a miał zamiar porobić niektóre zmiany nadwerężające starożytny charakter tych budowli, wyjednała naprzód u władzy wyższéj rozkaz wstrzymania robót, a następnie wpłynęła na przerobienie projektu w sposób odpowiedni.

Podobnych wypadków wymieniono kilkadziesiąt, gdzie zawsze kommissya starała się o zachowanie jakowego zabytku albo przynajmniéj o bliższe jego poznanie. Co do pomników budowniczych w Galicyi, znajdujemy krótką tylko wzmiankę, uczynioną przez dyrektora budowli Konrada Schenkla o ciekawéj płaskorzeźbie i o drzwiach w gmachu akademii Jagiellońskiéj; ale starań kommissyi centralnéj o zachowanie naszych pomników ani śladu.

Rozprawy w tomie I znajdujemy następujące: O rzymskich starożytnościach i zamkach niemieckich w ziemi siedmiogrodzkiéj przez Aknera. Do téj rozprawy przyłączono bardzo ciekawą i zazdrości godną mappę ziemi siedmiogrodzkiéj, na któréj odmiennemi kolorami i znakami wskazano: kierunki wielkich dróg rzymskich, miejsca, w których odkryto ślady osad rzymskich, gdzie znaleziono rzymskie naczynia, monety, bronie i t. d., gdzie odkryto pomniki, groby lub napisy; gdzie są słupy milowe rzymskie; gdzie się znajdują zbiory starożytności i nakoniec gdzie są ślady średniowiekowych zamków niemieckich. Między innemi są tu ciekawe opisy kopalni złota i ślady prac rzymskich w zawodzie górniczym.

Następnie znajdujemy wiadomość o Hypocaustum czyli ogrzewaném sklepieniu, będącém częścią łaźni rzymskich; odkryto je na miejscu, gdzie dawniéj stało miasto Lauriacum, w trójkącie tworzonym przez rzeczkę Enns do Dunaju wpadającą.

Rozprawa o grobach rzymskich przy Löwö, daje przy téj sposobności objaśnienia, jak się przy rozkopywaniach zachować trzeba.

Najciekawszém dla nas jest opisanie wycieczki prof. Eitelbergera do Węgier. Celem właściwym podróży jego było wypracowanie opisu kościoła w St. Jak; gdy jednak niespodzianie napotkał znaczną ilość pięknych kościołów romańskich i gotyckich, opisał je także, a mając przy sobie budowniczego Hiesera, dołączył rysunki. Wielkie zachodzi podobieństwo między kościołami w Węgrzech i u nas, to samo też o naszych powiadają. „Większa część pomników budownictwa, pisze Mailath w historyi Madziarów, zniszczoną została przez trzykrotne klęski; czego napływ Mogołów nie zrównał z ziemią, to zmarniało pod 150-letnim naciskiem Turków, co zaś jeszcze szczęśliwym trafem ocalało, to się w gruzy rozsypuje po zniesieniu klasztorów przez cesarza Józefa". Uczony autor, który nigdy nie zapomina wywyższać lub bronić Niemców, dowodzi, że w Węgrzech dochowało się jeszcze wiele budowli, których lekceważyć nie wypada. Wiele zniszczono także, czemu ani manifesta cesarza Józefa, ani Turcy nie są winni, bo głównym błędem Węgrów była niedbałość i ubieganie się za nowością. Powyłamywano harmonijne romańskie lub gotyckie okna dla osadzenia większych z modnemi drewnianemi ramami; wyrzucono piękne stalle i ołtarze dla pomieszczenia pstrych i powykrzywianych krzeseł i ołtarzy; zabielono kamienne filary i pomniki, aby kościół był widnym jak sala balowa lub fabryczna. Zapomniano w Węgrzech jak i gdzieindziéj, że z każdym kamieniem z średniowiekowéj budowli bez powodu wyłamanym, ginie część historycznych tradycyj, których ojczyzna i kościół zarówno potrzebują. Tylko budowle z kamienia opisał tym razem prof. Eitelberger; zwraca jednak uwagę na znaczną liczbę w innych prowincyach Austryi rzadko się zdarzających budowli drewnianych. Budowle te nad Cissą mają być bardzo dawne i ciekawe, zasługują więc na naukowe i artystyczne opracowanie. Są także i nad Wisłą, ale kto się niemi zajmie?

Kościół i opactwo w St. Jak wraz z miasteczkiem tegoż nazwiska, 1532 r. ogniem i mieczem przez Turków zniszczone zostały, tak, iż ludzie prawie o nich zapomnieli. Damian Fuxhofer w monasterologii ledwie o nich napomknął. Mieścina St. Jak mająca 1300 mieszkańców i leżąca na uboczu, nie posiadała dostatecznych dla podźwignienia kościoła funduszów, który tym sposobem uniknął szczęśliwie manii, w XVII i XVIII wieku panu-

jącéj, przerabiania wszystkiego na styl barocco. Wszyscy, którzy mieli sposobność ten kościół widzieć, przyznają, iż mało istnieje budowli w stylu romanskim, któreby miały tak piękny rozkład w planie, nawach i wieżach. Przytém posiada bogate a pełne fantazyi kapitele i gzymsy, szczególniéj zaś wielkie kamienne odrzwi, ozdobione posągami Chrystusa Pana i 12 apostołów. Słowem, według zdania prof. Eitelbergera, mało jest kościołów, w którychby część ornamentowa z takim smakiem była pomyślaną i tak pięknie wykonaną. Sprawozdawcy poświęcili temu kościołowi oprócz wielu szczegółowych rysunków, 6 tablic in folio, dających widoki kościoła ze wszystkich stron, oraz wyobrażenie odrzwi w wielkim rozmiarze. Kończymy sprawozdanie z tomu I życzeniem abyśmy także niezadługo mogli się poszczycić tak wypracowaną monografią którego z duninowskich kościołów. Wielka ilość drzeworytów i innych rycin dodawana teraz do dzieł zajmujących się archeologią, niezmierną im daje wyższość nad dawnemi i nad wychodzącemi u nas. Żaden, by najdokładniejszy opis nie powié tyle i nie tak się wpoi w naszą pamięć, jak plan lub kilka szczegółów architektonicznych umiejętnie wybranych i narysowanych.

Tom II Roczników obejmuje sprawozdanie z czynności w latach 1856 i 1857. Widocznym jest przedewszystkiem znakomity rozwój stosunków literackich kommissyi centralnéj tak z pojedynczemi miłośnikami jako z towarzystwami naukowemi w cesarstwie i zagranicą, naliczyliśmy tych ostatnich 27. Towarzystwa te przesyłają sobie wzajemnie i bezpłatnie wszelkie swoje publikacye. Radzibyśmy ujrzéć w tym poczcie i wileńską archeologiczną kommissyą, która wydając Roczniki ma wszelkie do tego prawo. Wprawdzie porównanie byłoby z początku trochę upokarzające, ale z pewnością współzawodnictwo wpłynęłoby na postęp w wydawaniu Roczników wileńskich. W peryodzie, o którym mowa, wysyłała często kommissya centralna archeologów lub budowniczych w rozmaite okolice cesarstwa, dla zdania sprawy o potrzebie robót zachowawczych i przedstawienia projektu odnowień. Posługiwano się też fotografią dla powzięcia wyobrażenia o ważności przedmiotu. Niepodobna nam tu wymienić ani części wypadków, w których kommissya wezwaną była dla współdziałania przy odnowieniu lub sama uznała potrzebę wmieszania się; daliśmy już kilka przykładów, a te się z małemi odmianami ciągle powtarzały. Mieliśmy jednakże inny powod do przeglądania od deski do deski sprawozdań kommissyi; chcieliśmy się do-

wiedzieć, co też dla Galicyi zrobiono. Szukaliśmy pilnie śladów czynności konserwatorów, naszych rodaków, ale nadaremnie. Nie ma to być wcale wyrzutem, ci panowie znają lepiej niż my, okoliczności i stosunki, w których żyją, wiedzą więc co im czynić wypada: my tylko fakt notujemy. Pod działalnością dyrekcyi budowniczych prowincyonalnych znajdują się jednak szczegóły bliżéj nas obchodzące. W Galicyi wschodniéj i zachodniéj: ukończono roku 1856 skrzydło ogrodowe kollegium Jagiellońskiego w Krakowie, umieszczono tamże odrzwi *zdobyte* przy rozebraniu ratusza. Odnawia się pałac biskupów, który pokryto dachem łupkowym, dwa pawilony fasady głównéj opatrzono szczytami w stylu dawnego budynku. Dyrekcya budownictwa fortyfikacyjnego rozpoczęła odnawianie zewnątrz starego zamku królewskiego, który teraz na wojskowe cele przeznaczonym został (tak się wyraża kommissya centralna do zachowania pomników budownictwa, o obwarowaniu zamku na Wawelu, które zmieniło najzupełniéj charakter tego gmachu). Nakoniec przedstawiła dyrekcya budownictwa prowincyonalnego 7 rysunków kościoła OO. Dominikanów w Krakowie, oraz rysunek grobowca w tymże kościele znajdującego się. Nadmienić wypada, że korrespondentów, których np. Karyntia ma 17 a Ziemia Siedmiogrodzka 10, Galicya wschodnia i zachodnia wcale nie posiada; kommissya centralna snadź nie ciekawa wiedzieć co się tam dzieje. Oddział drugi zawiera rozprawy, ciekawe i nauczające, a mianowicie: O zabytkach z wieków średnich w Salcburgu przez redaktora Roczników Dra Heidera (wysłanego przez kom. cen.). Kolonie i obozy Rzymian w dzisiejszéj siedmiogrodzkiéj ziemi przez Aknera. Autor wymienia takowych 23 i bada krytycznie jak się dawniéj nazywać mogły. Zabytki sztuki z wieków średnich w okręgu wiedeńskiego lasu przez barona Sakena, który przechodząc wieś po wsi, miasteczko po miasteczku, notuje skrzętnie co ważniejszego napotkał. Poszukując głównie przedmiotów z historyą sztuki u nas związek mających, wspominamy o ołtarzu składanym z drzewa rzeźbionym, znajdującym się w miasteczku Mauer. Poświęcony jest Najśw. Maryi Pannie, a autor uważa go za dzieło jednego z najzdolniejszych uczniów Wita Stwosza, z którego pracami wiele ma podobieństwa. Daléj znajdujemy w tym tomie rozprawę o najdawniejszych oknach malowanych w Klosterneuburg pod Wiedniem, oraz wizerunki panów na Babenbergu także na szkle malowane, które się przechowały w opactwie Cystersów Św. Krzyża pod temże miastem. Malowania te należą

do najdawniejszych znanych zabytków téj sztuki: niektóre pochodzą z piérwszéj połowy XIII wieku, są one ważnym przyczynkiem do historyi ubiorów: dlatego téż nie żałowano rycin i do téj jednéj rozprawy dodano 22 drzeworytów i 27 tablic. Zabytki sztuki z wieków średnich w Styryi opisał Karol Haas. Objeżdżał on z polecenia stanów prowincyonalnych wszystkie wsie i miasta, a co godnego uwagi napotkał, to krótko wspomniał lub czasem objaśnił rysunkiem. Pospieszył zaś z wydrukowaniem téj choć niezupełnéj pracy, aby ją drugim przystępną uczynić, a samą od zaglady ochronić (1). Koń zy tom drugi Roczników sprawozdanie professora Eitelbergera o starożytnościach w Cividale na stałym lądzie Wenecyi. Miasto to posiada wiele zabytków z czasów rzymskich, temi jednak autor się nie zajął, poświęcając się wyłącznie badaniu nielicznych pomników, które w VIII wieku za panowania Longobardów powstały. Z tych najważniejszemi są babtisterium Kalixta i ołtarz księcia Longobardów Pemma. Rzadkość zabytków z tego wieku i gruntowna nauka autora uczyniły tę rozprawę bardzo zajmującą.

Tom III zawiera sprawozdanie z czynności kommissyi centralnéj za czas od 1 lipca 1857 do 1 października 1858 r. Z czynności obchodzących kraj nasz, znajdujemy nominacyą jedynego dotąd korrespondenta w całéj Galicyi Adolfa Wolfskrona dyrektora loteryi we Lwowie. Działalność kommissyi i w tym przeciągu czasu nie dotknęła naszego kraju. Dyrekcya budownictwa pod kierunkiem Dra Konrada Schenkla będąca, zdaje tylko kommissyi sprawę w następujących słowach: „Zrobiono projekt wykończenia kollegium Jagiellońskiego, który w roku przyszłym *mógłby* być wykonanym. Wypracowano szkic restauracyi sukiennic w rynku krakowskim, co do któréj jednakże nic jeszcze nie postanowiono. Rozpoczęto odbudowanie kościoła Św. Trójcy, oraz restauracyą kościoła Św. Katarzyny. W kościele Franciszkanów odnowiono kosztem prywatnym wielki ołtarz gotycki: dobroczyńca chciał pozostać nieznanym. W zamku królewskim pracowano przy odnowieniu strony zewnętrznéj, oraz wykończono na rozkaz cesarski, według projektu dyrektora budownictwa, sarko-

(1) Przypomina nam to opis ważniejszych zabytków sztuki po naszym kraju rozsypanych, z polecenia rządu przez p. K. S. wykonany i wieloma rycinami objaśniony. Istnieje on także w jednym tylko egzemplarzu, a ilekroć zapytywaliśmy, czyby nie było na czasie wydać go drukiem, zawsze nam skromny autor odpowiadał, że praca ta nie jest dostatecznie obrobioną. Jednakże czas leci, a my nie dokładniejszego tak prędko mieć nie będziemy.

fag marmurowy dla zwłok króla polskiego Michała i ten niezadługo w grobach kościoła katedralnego ustawionym zostanie".

Na czele rozpraw znajdujemy obszerną i gruntowną pracę Essenweina o rozwijaniu się systemu filarów i sklepień w budownictwie kościelném od początku wieków średnich do końca XIII wieku. Autor nie zajmując się wyłącznie monarchią austryacką, daje nam systematyczny wykład téj części budownictwa średniowiekowego. Zaczyna elementarnie od objaśnienia, że budowlą jest każda przestrzeń otoczona ścianami i przykryta, ściany i podpory mają stałą podstawę, przykrycie zaś na nich się opiera. Do rodzaju przykrycia stosować się więc muszą ściany i podpory, mianowicie wtedy, gdy jak w kościołach np. zachodzi potrzeba przykrycia większych przestrzeni. Każda zmiana w systemie przykrycia wywołuje przekształcenie podpierających słupów i otaczających murów. Tak prowadzi nas autor od najprostszych drzewem przykrytych kościołów, do coraz śmieléj sklepionych gmachów, które dziś jeszcze podziwiamy. Kilkadziesiąt dołączonych drzeworytów robią tę pracę bardzo przystępną i nauczającą. Drugiém z porządku jest opisanie skarbca kościoła metropolitalnego w Granie. Znajdujemy tam, najrozmaitszych kształtów i czasów, relikwiarze, krzyże, monstrancye i kielichy, byzantyńskich mało, romańskich cokolwiek więcéj, reszta gotyckie. Przepyszne te zabytki lśnią się od złota i drogich kamieni; poprzestano jednakże na rycinach czarnych, bo rzeczywiście dość jest powiedzieć w objaśnieniu, że przedmiot złoty, srebrny i t. p., aby dać dokładne o nim wyobrażenie. Za to kontury i cieniowanie daleko dokładniejsze i sumienniejsze niż to w drogich, a tak wziętych u nas chromolitografiach napotykać zwykliśmy. Daléj następuje budownictwo kościołów stylu romańskiego w siedmiogrodzkiéj ziemi przez Müllera. Byłato dla historyi sztuki *terra incognita*, tak niby jak i nasza ziemia i wszyscy się dziwią razem z autorem, że tam jest tyle pięknego, o czém się uczonym ani śniło. Autor wymienia 19 kościołów romańskich i daje plany, widoki i szczegóły architektoniczne ciekawszych. Mianowicie kościół katedralny w Karlsburgu, dokładnie opisany i wyobrażony został, na co téż ze wszech miar zasługiwał. Z kolei idzie rozprawa Karola Sawy, o średniowiecznych pieczęciach opactw i klasztorów w arcyksięztwie austryackiém. Ważność pieczęci dla historyi sztuki nie dawno dopiéro uznaną została; duchowni i świeccy przechowując dokumenta w własnym interesie, przekazali nam bogaty zasób zabytków sztuki tém ważniejszy, że data

ich jest znaną. Te więc nietylko nam dają wyobrażenie o postępie sztuki rzeźbiarskiéj, ale jeszcze mogą posłużyć za punkt oparcia przy oznaczaniu epoki innych zabytków. Następuje monografia kościoła i klasztoru Cystersów w Cisnowcu na Morawach, przez Jana Erazma Wocela. Jestto fundacya Konstancyi córki Beli III kr. węgierskiego, a wdowy po Przemysławie Otokarze kr. czeskim, z r. 1233. Zakończa tom III dalszy ciąg okien malowanych w XIII wieku, z klasztoru Cystersów pod Wiedniem. Tablice te w liczbie 32 wykonane są bardzo dokładnie, nowym sposobem fotolitograficznym, tojest rytowane za pomocą światła wprost na kamieniu, a z kamienia odbite na zwyczajnéj prasie litograficznéj. Sposób ten daje się tylko użyć do oddania rysunków kréskowanych, nie wyraża bowiem stopniowania cieniów z należytą dokładnością. W tym wypadku użycie jego było bardzo szczęśliwe, bo malowania te nie są cieniowane, a głównem zadaniem było oddanie stylu z największą dokładnością, w czém rysownicy bardzo często grzeszą.

Oto jest po krótce treść czynności kommissyi centralnéj i rozpraw, zawartych w pierwszych trzech tomach jéj Roczników. Zyskała ona współczucie całego kraju bezinteresownem i energicznem postępowaniem w celu zachowania pomników sztuki. Nic też dziwnego, że oświeceńsi mieszkańcy kraju, w którym biurokracya panuje, sympatyzują z instytucyą, zdającą sprawę przed ogółem ze wszelkich swoich czynności. Z żalem widzimy wprawdzie, że dla naszych prowincyj nic nie zrobiono. Nie znamy dość blizko szczegółów, aby stanowczo powiedzieć, czy tego przyczyną zła wola, czy niewiadomość. Jeżeli ta ostatnia, to część winy spada na nas samych. Nie możemy winować zagranicznych autorów, że historyi sztuki w Polsce nie znają, kiedy my sami dzieł koniecznych albo wcale nie posiadamy, albo też tak słabe pod względem rycin, że wyobrażenia dobrego o niéj dać nie mogą. Jedyne *Wzory sztuki średniowiecznéj*, gdyby się zajmowały najdawniejszą i najważniejszą dla ludzkości ze sztuk pięknych architekturą, mogłyby się za naszą sztuką ująć. Wzory sztuki nieukończone, wydawcy nie ustają w poświęceniu, miejmy nadzieję, że i pod tym względem zechcą uzupełnić swoje dzieło.

Karol Beyer.

Pan Atanazy Skorupa człowiek postępowy. Szkice obyczajowe, skreślił i tekstem objaśnił A. Bartels. Paryż. U Lemerciera. (1859 r. W kroju arkusza kart 15).—Jestto druga serya szkiców Bartels'a, w znanéj publikacyi J. K. Wilczyńskiego *Album Wileńskiego:* pierwsza, o któréj mówiliśmy już w naszem piśmie (Bibliot. Warsz. T. I. 1858 r.), wyszła p. n. *Łapigrosz.* I pan Atanazy Skorupa jestto jakby druga *ramotka*, w któréj autor rysunek tekstem dopełnia i objaśnia. Na pierwszéj tablicy widzimy staropolską postać sędziwego Skorupy i jego pracowitéj a pobożnéj żony; jakże odmiennie wygląda ich jedynak, z dumą poglądający na swych rodziców i podpisujący się już *le comte Athanase Skoroupa.* Po śmierci czcigodnego ojca i matki wróciwszy z długiéj wędrówki po obczyźnie, nowy ład zaprowadza w dobrach swoich. Starzy słudzy rodziców idą pod rozkazy kamerdynera Francuza, który nic nie robi, tylko pali pańskie cygara, spija stare zapasy węgrzyna; nadto oddani są władzy także drugiego Francuza, przyjętego w charakterze *maitre d'hôtel'a.* Anglik objął zarząd stajni, Ślązak ogrodu, a tłusty *Raucher* niby to uczeń *Thacra*, a rzeczywiście zbankrutowany mydlarz ze Sztetyna, gatunek słonia będącego w stanie zrobić 28 kroków na dzień, ogólny zarząd gospodarstwa. Młody dziedzic zwalił dwór stary, wystawił pałac z płaskim dachem; starzy przyjaciele rodziców, zrażeni obojętnem przyjęciem, usunęli się zwolna. Pan Atanazy o ile jest dumnym z braci szlachtą, o tyle jest do podłości uniżonym z każdym prawdziwym panem, i nie ma słów do opisania szczęścia jakiego doznaje, gdy mu jaki hrabia lub książę pod nos powie: *bon jour mon cher Skoroupa.* Wielu też bywa młodych panów u pana Atanazego, aby wybić mu zwierzynę, ochwacić i okulawić kilka koni, wygrać przytém paręset dukatów, wypić starego ojcowskiego węgrzyna i naśmiać się do woli z jego dorobkowiczostwa i z jego cudzoziemczyzny. Pan Atanazy uważał to za tak wielkie szczęście, że dałby się sam ochwacić i okulawić, byle tylko w takiém towarzystwie. W lat parę przekonawszy się z płodozmianu, browawów, owiec i całego systematu agronomicznego niemca Rauchera, że nie ma żadnéj korzyści, uznaje stosownem rozstać się z nim po przyjacielsku i przestaje zupełnie wierzyć w agronomią niemiecką. To rozstanie się przyjacielskie, przedstawia artysta w zwyczajny sposób, gdy noga p. Atanazego uderza silnie opasłego ex-mydlarza, poniżéj pacierzowéj kości. Natomiast szczęśliwa gwiazda nastręcza mu p. Dziegciarskiego z Polesia który go naprowadza na myśl handlu smołą *en grand*, popartą rachunkiem zapewniającym czystych 60%. P. Atanazy pakuje się w smołę po uszy. Po tym projekciście, odkrywa osmy cud świata, t. j. żyda, ale żyda bez brody, który przez miłość chrześciańską przedstawia mu 16 projektów o wyrobie i handlu leśnym, począwszy od masztów, aż do drewnianych zapałek chemicznych. Ponosi znów wielkie straty; zostały mu po wyniszczonych lasach, ogromne zapasy różnych przedmiotów nieużytecznych i na użytek tylko domowy miliardy drewienek do zapałek. Traci na cukrowarstwie, na fabryce sukna cienkiego, tym od których pożyczył pieniądze nie oddaje, zaszargany w interesach oświadcza się pannie Róży Mechesowskiéj z potężnym nosem i oddawna pełnoletniéj z posagiem 800,000 złp. Ale zaledwie ślub się odbył. pani Róża spłaca długi mężowskie, lecz sama wchodzi na hipotekę dóbr jego, obejmuje zarząd cały,

drze jego projekta nowe i w nos mu rzuca. Wypędza Anglika z dżokejami, kucharza i służbę bierze pod swój ścisły nadzór: na pałacu w miejsce płaskiego dachu stawia spadzisty, odpowiedni do naszego klimatu, i gontami pobija; zaprowadza słowem ład i porządek, podnosi upadłe gospodarstwo. Pan Atanazy z podziwieniem a rozkoszą ogląda ogromny burak: dochody się mnożą, ale worki ładowane chowa pani Róża do własnéj skrzyni. Pan Atanazy, nieraz usiłował dopomnieć się o swoje, ale musiał uledz przed energią żony. Poddał się wreszcie pokorny otrzymawszy od niéj wszelkie wygody, cztéry konie pojazdowe, jednego wierzchowca i 60 dukatów na miesiąc, które mu wystarczają na drobne wydatki, koszta wyszukania dowodów tytułu hrabiego i kupno dzieł postępowych, które czyta z zapałem i powiada że rozumie. Na tym p. Bartels kończy szkic swój obyczajowy. Wszystkie postacie wprowadzone do tego szkicu odznaczają się wybitnością oblicza, właściwą charakterystyką i wykończeniem artystycznem. W nich, rzec nawet możemy, głównie odbija humor i dowcip artysty, więcéj jak w samym tekscie. Wyborne są postacie staropolskie, równie jak Anglika, Szlązaka, opasłego Niemca i chudych jak szkielety dżokejów, wypędzonych przez panią Różę. Wiąże je w całość figura głównego bohatera, pana Atanazego, zmieniająca się nieco latami i troską: na ostatniéj karcie widzimy go w zupełnem niepodobieństwie, bo wyłysiały, bez wąsów i bródki hiszpańskiéj, przedstawia raczéj człowieka siedzącego w szpitalu waryatów, w roztwartéj koszuli i pantoflach na schudzonych nogach. Pani Róża nic z pierwotnych wdzięków swoich nie traci. Cena zbyt wysoka, prawie dwa razy większa od pierwszéj seryi, bo rsr. 6, czyli złp. 40 wynosząca, nie upowszechni téj zajmującéj publikacyi.

ROZMAITOSCI.

PROTEUSZ albo NIEŚMIERTELNOŚĆ.

(Rozmowy z Humphry Davy z dzieła: *Consolations in travel*).

Wrażenie, jakie na moim umyśle wywarł Nieznajomy z Paestum, owładło mnie tak nadzwyczaj silnie, i zewszech miar tajemniczo, żem często dumał o jego postawie, o jego ubiorze, sposobie zachowania się, o akcencie mowy; barwa zaś jego filozofii, owładła moją wyobraźnią niepojętym sposobem; często nawet we śnie marzyłem o nim, nieraz zdawało mi się, żem go kiedyś widział: ale to było złudzeniem; rozmyśliwałem nad dawniejszemi przygodami życia, szukając podobieństwa do jego postaci. Wypytywałem się nieustannie o niego znajomych: niestety, przekonałem się z żalem, że go nikt nie znał, nawet nie widział. Odznaczał się tyloma tak wybitnemi przymiotami, iżby nie uszedł ich uwagi, a gdyby wystąpił w świecie, zjednałby sobie powszechne poważanie. Zajmowałem się nim do tego stopnia, że moi znajomi w końcu zaczęli sobie ze mnie żartować, i nieraz zapytywali, czyli się mnie nie objawił nadziemski przyjaciel.

I wtém wróciwszy z Neapolu do Rzymu, powołała mnie do Anglii śmierć bardzo blizkiego a ukochanego krewnego; trzeba było rzucić dwóch przyjaciół: Ambrożya i Onufryo, którzy zamierzyli dłużéj podróżować i zwiedzić odleglejsze kraje. Z zupełnie inném usposobieniem zbliżałem się teraz do tego grodu, umysł przygniotła melancholia, któréj przyczyną był nietylko smutny wypadek, powołujący mnie do ojczyzny, jako raczéj zupełna przemiana w moim stanie fizycznym, moralnym i umysłowym.

W młodości, w kwiecie wieku, w sile lat męzkich wracałem do Londynu zawsze z wewnętrzną rozkoszą i z wielkiemi nadziejami. Londyn przedstawia mi się jako wielka wyrobnia dzieł umysłowych, jako pole otwarte dla każdego rodzaju usiłowania i wszelkich przedsięwzięć, jako stolica świata, handlu, myśli i czynów. Otaczali mnie tam przyjaciele i towarzysze młodości, witali z zapałem i pochwałami. Codziennie najwytworniejsze towarzystwo wyprawiało umysłowe biesiady, tak urozmaicone, iż o przesycie niepodobna było pomyśleć; występowały tam raz wraz nowe przedmioty również zajmujące jak i podniecające dumę utrzymując ciągle uwagę zwróconą to do polityki, to do pięknéj literatury, lub do umiejętności. Straciłem zdrowie, przesyciłem się ubieganiem o sławę, nie dbałem o odznaczenia się; ta, którą najczuléj kochałem, leżała w grobie, i wyrażając się przenośnią wziętą ze zmian, jakim ulega w biegu czasu sok winnéj latorośli, już nie kipiał silnie puhar mojego żywota, ani był słodkim i szumiejącym, stracił słodycz swoję, a choć została siła, nabrał cierpkości. Bawiąc kilka miesięcy w Anglii pocieszało mnie towarzystwo przyjaciół, których śmierć ochroniła (ile to być mogło); gdy wtém na nowo obudziła się chęć podróżowania. Przy mojém rozbiciu umysłowém zachowałem jedno silne i niezmienne uczucie, uczucie piękności przyrody, ostatni bodziec w podeszłym wieku, dla robienia planów w życiu i do działań. Zdaje się, że ze wszystkich europejskich klimatów angielski najbardziéj utrzymuje umysł w czynności, najmniéj sprzyja wypoczynkowi. Rozmaite i nagłe zmiany klimatu budzą raz wraz nowe uczucia; nieustanne przemiany stanu nieba, to posuchy, to wilgocie, przejście z eterycznego błękitu do gęstych obłoków i mgły, zdaje się utrzymywać układ nerwowy w ciągłém naprężeniu. W łagodnym klimacie Nizzy, Neapolu, w Sycylii gdzie nawet w zimie na otwartém powietrzu pod palmą, albo w gajach pomarańczowych drzew, nieustannie zielonych, okrytych pachnącemi owocami i wonnym kwiatem przygrzewa promień słońca, już sam byt jest rozkoszą, nawet o cierpieniach ciała zapominamy; niekiedy pod wpływem balsamicznéj przyrody, pasmo miłych niczém nie zmąconych uczuć wzywa do wypoczynku, do zapominania. Lecz w przemiennéj, burzliwéj powietrzni angielskiéj, trudno żyć w spokoju, i żeby napady nudów odwrócić, trzeba się zatrudniać. Anglicy uważani jako naród, nadzwyczajnie są czynni; ludzie żadnego szczepu nie dążą do swego celu z taką siłą, ani bardziéj żarliwie i wytrwale. A ponieważ wszelkie siły ludzkie są ograniczone, mało jest przy-

kładów, by wielu odznaczających się mężów dochodziło w tym kraju do sędziwego wieku: pospolicie słabieją, więdną i umierają, zanim staną u kresu przeznaczonego od przyrody dla życia ludzkiego. Nieprzeliczone dowody potwierdzają ten pewnik, wyciągnięty z życia naszych ludzi stanu, bohaterów, poetów, a nawet badaczów przyrody: co nieustannie gore, musi zetlić, zamienić się w popioły. Nim się skończy młodość, pospolicie już siwizna okrywa skronie ozdobione laurem, albo liściem dębowym korony obywatelskiéj, i wieniec myrtu, albo róż opływają ego we wszystko człowieka światowego nie chroni od przedwczesnych śniegów zimy.

Gdym się zastanawiał nad krajami bogatemi w piękne widoki, w których mógłbym podróżować, trzymałem się nabytego doświadczenia. Nie znam rozkoszniejszych okolic od Alp austryackich, do nich łączę Alpy Tyrolu południowego, Illiryi, noryckie, i julijskie, daléj Styryą i Krainę salzburgską. Rozmaitość krajobrazów, zieloność drzew, głębokość dolin, wysokie góry, a przezroczyste, obszerne rzeki i jeziora, wszystko razem czynią według mnie te krainy niezaprzeczenie ponętniejszemi od Szwajcaryi; lud tam siedzący ma nierównie milsze obyczaje, w jego zwyczajach panuje wielka rozmaitość; jedni należą do szczepu illiryjskiego, drudzy do germańskiego, inni wreszcie do włoskiego: każdy odznacza się nadzwyczajną prostotą charakteru, miłością ojczyzny, przywiązaniem do monarchy, gorącą i czystą wiarą: wielce są poczciwi i prócz rzadkich wypadków nader grzecznie i uprzejmie spotykają cudzoziemców.

W kwiecie wieku zwiedzałem te krainy w towarzystwie osoby, która mnie uszczęśliwiała rozkoszą umysłowéj przyjaźni, słodkiém i szlachetném przywiązaniem; innego razu opuściłem skwarne lato Włoch z burzą rozdzierającej mnie namiętności: znalazłem tutaj chłód, cieniste okolice i ukojenie cierpień. W późniejszym jeszcze wieku szukałem tu pociechy i znalazłem onę, nadto odzyskałem w części zdrowie po niebezpiecznéj chorobie, w skutku prac i wysileń umysłowych; tam spotkałem ducha mego widzianego w młodości. Zatęskniłem dlatego do tych okolic, postanowiłem w nich spędzić pewien czas wśród téj uroczystéj przyrody, w nadziei, że mi się naprawi nadwątlone zdrowie; a jeżeli ta nadzieja była wątpliwą spodziewałem się przynajmniéj, że spokojniéj i przyjemniéj zakończę ostatnie chwile żywota, aniżeli w stolicy mojej ojczyzny. Przyroda nie oszukuje nas nigdy; skały, góry, rzeki niezmiennym przemawiają językiem,

A chociaż w chłodnéj wiośnie niekiedy powlecze śnieg zieleniejące się lasy, deszcz z piorunami zmąci przezroczysty błękit strumienia, takie zdarzenia są rzadkie, przemijają po kilku godzinach, a następnego dnia wracają wszystkie źródła piękności. W przyrodzie niemasz bez przerwy nieszczęść i utrapień, którym ulega wątły człowiek; przyroda nie przedstawia tych nadziei, ginących w pączku, nie wydaje jestestw pełnych życia uroku, przyszłości na to, by umierały w kwiecie wieku: jéj owoce pełne balsamicznéj woni, blasku i słodyczy nie wydają skarłowaciałych jestestw, tak pospolitych w rodzie ludzkim, jestestw podobnych do bajecznych jabłek z nad morza Martwego, z wejrzenia świeżych i pięknych a wewnątrz zaprawnych goryczą i popiołem. Wspomniałem już o tém potężném wrażeniu, jakie na moim umyśle wywarł Nieznajomy z Pestum. Nadzieja zobaczenia go stała się także jednym z powodów, żem na nowo opuścił Anglią; prawdziwie nie wiém, zkąd powziąłem jakieś przeczucie, że go pewniéj spotkam w państwie austryackiém, aniżeli w Anglii jego ojczyźnie.

W téj podróży towarzyszył mi dawny przyjaciel i lekarz poradnik. Żył on wiele na świecie, zebrał sobie znaczny majątek, przestał leczyć i odsunął się od ludzi, chciał podobnie jak ja wypocząć w podróży i używać mile piękności przyrody. Człowiek ten miał potężny a bystry rozum, mniéj usposobiony poetycznie od innych, chociaż posiadał równie żywą duszę; myślał logicznie, najrozmaitsze zebrał sobie wiadomości, celował w fizyologii, był rzeczywistym badaczem przyrody, w swych wnioskach zachowywał ścisłość matematyka i niezłomnie strzegł się wpływu wyobraźni.

Minął południk jego żywota, zdrowie również jak ja miał wątłe; jako towarzysze podróży byliśmy bardzo do siebie podobni: zwolna przenosiliśmy się z miejsca na miejsce bez pośpiechu i wysilenia. Nazywać go będę Eubates. Nie zamierzam opisywać mojéj podróży przez Francyą i Niemcy; ograniczę się tylko na strony, które żywo dotąd mnie zajmują, gdzie mi się wydarzył na zawsze pamiętny wypadek.

Przez Linz nad Dunajem pojechaliśmy w Alpy austryackie; postępując nad rzeką Traun stanęliśmy w Gmunden nad jeziorem Traunsee, gdzie zatrzymaliśmy się dni kilka. Gdybym miał usposobienie opisywać szczegółowo te malownicze okolice, mógłbym szeroko przedstawić charakter pełen rozmaitości tych zachwycających obrazów przyrody. Doliny te mają ów sielanko-

wy wdzięk, tę trwałą zieloność, do której nawykliśmy w Anglii: przyozdabiają one żywe płoty, drzewa owocowe i leśne. Wyżéj rozciągające się pagórki okrywają bukami i dęby; na łańcuchu gór zamykającym widnokrąg rosną jodły i modrzewie, grzbiety zaś marmurowe wznoszące się nad obłoki powlekają wieczne lody.

Dolna część jeziora Traun nawet w czasie najmocniejszych deszczów ma przezroczyste wody: z niego płynie rzeka Traun, przedzierając się przez sterczące skały, a chociaż szeroka i wspaniała, ma wody jak łza przezroczyste, barwy najczystszego berylu. Naszą ulubioną przechadzką był wodospad rzeki Traun 5 godzin poniżéj Gmunden. Wodospad ten, gdy rzeka jest pełną, równa się co do wielkości wodospadowi Renu pod Szafuzą; z podobnąż wspaniałością spada nagle niezmierna ilość wody, przejmując widza uszanowaniem i zgrozą, piękną barwą wód i pian, krojem skał, po których spada. Tu przypadek zaledwie mnie nie pozbawił życia, a nadto był przyczyną odnowienia stosunków z nieznajomym cudzoziemcem w sposób najszczególniejszy. Eubates namiętnie lubił łowić ryby wędką i zajął się powyżéj wodospadu łapaniem ich na obiad; ja zaś wsiadłem na statek używany do spławiania soli i drzewa z górnéj Austryi na Dunaj w kanale wykutym w skale obok wodospadu i chciałem płynąć po śluzie, zalecając dwom chłopcom i mojemu służącemu na linie spuszczać zemną statek powyżéj wodospadu. Chciałem zabawić się szybkiém pływaniem po tym kanale: kilka chwil posuwała się łódka spokojnie po gładkim strumieniu i rozkoszowałem się nad pięknością widoku poruszającego się wkoło mnie; a gdym wlepił oczy w cudną tęczę tworzącą łuk nad moją głową, który powstał z rozpryskania się wód spadającéj rzeki, nagle przeraził mnie rozpaczliwy krzyk mojego służącego: obejrzawszy się spostrzegłem, że się oderwał kawałek drzewa, do którego linę przywiązano, łódź oddana na wolę fal płynęła za biegiem rzeki. Z początku nie obawiałem się niczego, bo widziałem, że moi ludzie opatrzeni w długie żerdzie łatwo zatrzymają łódkę, nim ją porwie szybki pęd wody kanału; wołałem na nich, by razem trzymając najdłuższy drąg podali mi go nad wodą, abym mógł uchwycić jego koniec. W téj chwili sądziłem się zupełnie bezpiecznym, lecz nagle zawiał z doliny lekki wietrzyk i spędził łódź z boku na środek rzeki i odrazu spostrzegłem, że trzeba wpaść na dno wodospadu; mój służący i flisacy rzucili się do wody, była za głęboka,

nie mogli zbliżyć się do łodzi. Wkrótce widziałem tylko białe piany na początku wodospadu i niebezpieczeństwo nieuchronne. Tyle miałem jeszcze przytomności, że się zastanowiłem, czy bezpieczniéj będzie wyskoczyć, czy w łodzi pozostać: postanowiłem nie ruszać się. Spojrzałem na tęczę, w jasne słońce świecące nademną, żegnając na zawsze tę cudną gwiazdę; raz jeszcze pobożnie westchnąłem do boskiego źródła świata i życia: wtém zagłuszył mnie huk wodospadu i ciemność okryła wzrok. Jak długo zostawałem bez czucia, nie wiem; przyszedłszy do przytomności po tym wypadku, spostrzegłem naprzód jasne światło rozpostarte nademną, daléj uczułem ciepło i ból potłuczonych różnych części ciała, a w uszach dudnił szum wodospadu. Zdawało mi się, że światło przebudziło mnie z głębokiego snu, starałem się zebrać rozrzucone myśli nadaremnie i znów zasnąłem. Z powtórnego snu zbudził mnie głos wydawający się niezupełnie obcym: spojrzawszy, dostrzegłem jasne oko, pełne szlachetności nieznajomego cudzoziemca, którego poznałem w Pestum, tego miłośnika i wielkiego znawcy sztuki(1). Słabym głosem wymówiłem: jestemże na innym świecie? Nieznajomy rzekł: „na tym jesteś i uratowany. Spadając potłukłeś się nieco, lecz wkrótce wróci zdrowie: zachowaj spokój umysłu. Przyjaciel twój jest przy tobie i nie troszcz się, wszelką pomoc dam ci z łatwością,"—potém wziął mnie za rękę, poznałem go po silném i gorącém uściśnieniu, z jakiém mnie żegnał w Pestum. Właśnie Eubates z niezwyczajną radością i zapałem, co mu się rzadko zdarza, ściskał serdecznie drugą rękę i obadwaj rzekli: że powinienem wypocząć kilka godzin. Mocno spałem do wieczora, dopiéro wtedy mógłem przyjąć nieco posiłku; nie czułem osłabienia po tym przypadku prócz kilku stłuczeń dolnéj części ciała i małego zawrotu głowy. Następnego dnia wróciłem do Gmunden, tam opowiedział mi nieznajomy prawie cudowne moje wyratowanie. Często, rzekł, łączę moje badania przyrody z wiejskiemi rozrywkami; właśnie tego dnia, w którym się wydarzyło to nieszczęście, łowiłem poniżéj wodospadu rzeki Traun wielki gatunek dunajowego łososia; na moje szczęście ryba ta łowi się bardzo mocnemi narzędziami. Z niezmierném zadziwieniem i przestrachem spostrzegł łódź i moje ciało jak spadło na samo dno wodospadu; szczęśliwie wędą swoją zacze-

(1) Ten, który Humphry Davy uratował z wodospadu rzeki Traun, był to ojciec teraz panującego króla bawarskiego, król Ludwik.

pił za moje suknie, gdym się nieco dłużéj jak minutę nurzył pod wodą. Przy pomocy jego służącego opatrzonego właśnie w krzywe widły, używane do wyciągania na brzeg wielkich łososi, wyciągnęli mnie na bezpieczne miejsce, rozebrali, włożyli do ciepłego łoża i gdy zaczęli trzeźwić, na czém się znał doskonale, odzyskałem czucie i przytomność. Gorąco objawiłem życzenie rozmawiać z nim i z Eubatesem o stanie zniszczenia siły i o przemijającéj śmierci, jakiéj doznałem pod wodą; lecz obadwaj położyli za warunek, bym odłożył podobne roztrząsania, wymagające głębszego zastanowienia, aż przeminą skutki nieszczęsnego przypadku, który dotknął moje słabe ciało, aż wrócą nieco siły. Chętnie przystałem na to, mianowicie gdy nieznajomy przyrzekł pozostać przynajmniéj kilka dni w naszém towarzystwie: właśnie zamierzał rozpoznawać okolicę, którą przedsięwzięliśmy także zwiedzić tego lata. Po kilku tygodniach dopiéro nabrałem siły do odbycia téj podróży, moje ciało bowiem nie tak łatwo znosiło podobny przypadek; zastanawiając się nad moim słabym stanem, w jakim zostawałem przy zanurzeniu się pod wodą, trzeba było przypuścić, że wyzdrowienie jest dziełem Opatrzności, a obecność i pomoc nieznajomego wiąże się dziwnie z mojém późniejszém przeznaczeniem i pożytecznością mojego życia.

W połowie sierpnia udaliśmy się w dalszą podróż, naprzód do malownych jezior przy Hallsztacie, Ausee i Teplicy, w których się zbierają śniegowe wody spadające z wysokich gór styryjskich i ciągle zasilających źródła rzeki Traun. Następnie zwiedziliśmy wznioślejsze części Tyrolu pod potężny łańcuch górujący nad doliną Pusterthal, z którego lodowców spadają wody do Drawy i Adygi, rzek zwracających się do morza Czarnego i Adryatyckiego. Kilkanaście dni przepędziliśmy w tych cudnych dolinach dających początek Sawie, zkąd ta wspaniała a bogata rzeka wytryska, jakby z łona piękności. Z podziemnych jam wpada pomiędzy śnieżyste góry Terglu i Manhardt, a jéj piorunujące wodospady przedarłszy się pomiędzy skały i lody łączące się z jeziorami Wochau i Wurzen z ich czystemi ciemno-niebieskiemi wody i odtąd płyną wśród sielankowych łąk, ozdobionych nieprzeliczonemi rośliny i drzewy, przez doliny podobne do ogrodu. Góry w téj części Illiryi składają się całkiem z wapienia, a w ich wnętrzu są nieprzeliczone jamy; na każdym prawie boku widać wielkie lejkowate zagłębienia podobne do krateru w wulkanie, w których gubią się wody powietrzni. Prawie każdę

jezioro lub rzeka ma swe podziemne źródło i często podziemny odpływ. Rzeka Lubianna (Lajbach) po dwakroć wypływa z wewnętrza gór wapiennych i po dwakroć kryje się w ziemi, aż ostatecznie występuje i łączy się ze Sawą. Jezioro cyrknieckie zapełniają wody płynące z podziemiów i odpływają również podziemnemi gardłami. Jego własności przyrodzone są szczególne, ale nie masz w nich nic cudownego lub tajemniczego. Bardziéj aniżeli te jeziora zajęła nas jama Magdaleny przy Postojnéj (Adelsberg) Powtórzę rozmowę, którą prowadziliśmy w téj ciekawéj jamie, o ile pamiętam, słowami moich towarzyszy podróży.

Eubates. Zapewne znajdujemy się kilkaset stóp pod powierzchnią ziemi, a przecież powietrze jest tu zdrowe i przyjemne.

Nieznajomy. W jamie panuje średnia temperatura powietrza; własność to ogólna podziemnych jam, nie wystawionych na działanie światła i ciepła słonecznego. Wtak gorącym dniu sierpniowym, jak dzisiejszy, nie znam milszego i zdrowszego sposobu używania zimnéj kąpieli, jak wstępować w część powietrzni nieulegléj podwyższaniu się temperatury.

Eubates. Byłeś pan już kiedy w tym kraju?

Nieznajomy. Po raz trzeci właśnie odwiedzam go w lecie. Pomijając urocze piękności Illiryi i rozmaite zajęcia, jakie się nastręczają miłośnikom przyrody, przed wszystkiém zajmowałem się tém najosobliwszém zwierzątkiem, które żyje w głębiach tych podziemnych jam.

Zamierzam mówić o Proteuszu *(Proteus anguinus)*, jednéj z największych osobliwości przyrodzonych w téj pełnéj cudów krainie, o którym Valvasor przed półtrzecia wiekiem zdał sprawę królewskiemu towarzystwu, jednakże bardziéj z poetyczną barwą, aniżeli to wypada na badacza przyrody.

Filaletes. Widziałem te zwierzęta, przejeżdżając przez ten kraj, ale miłoby było zapoznać się z ich własnościami przyrodzonemi.

Nieznajomy. Wkrótce przyjdziemy do téj części jamy, gdzie się one znajdują i chętnie udzielę wam moich szczupłych wiadomości, które powziąłem o ich charakterach i przyrodzonych obyczajach.

Eubates. Jama staje się rzeczywiście coraz wspanialszą, tyle pięknych olbrzymich postaci nie widziałem dotąd w żadném podziemiu; nierówność powierzchni, wielkość zwalonych głazów tworzących ściany, które oderwały się od wnętrza gór, świadczą

o gwałtownych konwulsyach przyr dy; ciemne barwy tych głazów i ich ponure cienie stoją w dziwném przeciwieństwie z nadobną jednostajnością, i niech mi wolno powiedzieć, z porządkiem i wdziękiem największéj części stalaktytów, porozwieszanych ze sklepień; światła zaś naszych pochodni, które odbijają błyszczące, przezroczyste kamienie z wapienia, wydają się jakby obraz wywołany różdżką czarodziejską.

Filaletes. Gdybyśmy sobie wymarzyli, że ta straszna gardziel najeżona zewsząd czarnemi skałami jest dziełem czartów, którzy wyszli ze środka ziemi; to przecie możemy porównywać te urocze dzieła przyrody, rozpościerające się nad naszemi głowy, do świątyni, albo sali balowéj, zapełnionéj nimfami, albo geniuszami bajek arabskich.

Nieznajomy. Wsaméj rzeczy mógłby tu jaki poeta umieścić pałac króla gnomów, a w małych zbiorkach wód, na które padają iskry pochodni dostrzegać ślady własnéj siły twórczéj; bo tutaj spodziewam się odkryć te szczególne zwierzęta, na które od tak dawna zwracam moją uwagę.

Eubates. Oto spostrzegam trzy albo cztery zwierzęta, podobne do smukłéj ryby, poruszające się w błocie pod wodą.

Nieznajomy. Widzę one także, to Proteusze: oto są w mojéj siatce, teraz w dzbanie napełnionym wodą. Na piérwsze wejrzenie podobne do jaszczurki, z ruchu do ryby. Ich głowa, brzuch i ogon przypominają piskorza, ale są bez płetw, dziwne ich oddechowe organa, nie mają postaci dychawek rybich: tworzą one, jak widzisz właściwe sploty naczyń i jakby grzebieniem obwodzą szyję, można one odciąć, a zwierzę nie umiera, gdyż ma prócz tego płuca; przez ten podwójny przyrząd, łączący krew z powietrzem, mogą zarówno żyć w wodzie, jak na ziemi. Przednie nogi podobne są do rąk, mają jednakie trzy pazury, albo palce, zasłabe by służyły do chwytania albo dźwigania własnego ciała; tylne nogi mają tylko dwa pazury albo palce, które w wyrosłych indywiduach zupełnie maleją.

W miejscu oczu ma to zwierzę czarne kropki, jakby dla przypomnienia analogii panującéj w przyrodzie. W przyrodzonym stanie, Proteusz ma barwę mięsisto białéj, nieco przezroczystéj; skóra wystawionego na działanie światła ciemnieje, a w końcu zostaje oliwkowo-brunatną.

Jego organa powonienia są szerokie; zęby ma liczne, z czego możnaby wnosić, że należy do zwierząt drapieżnych; jednakże

w niewoli nikt go nie widział jedzącego; żyje wiele lat, gdy mu się zmienia tylko wodę, w któréj zostaje.

Eubates. Czy w tém jedném tylko miejscu w Krainie, zwierzę to przebywa.

Nieznajomy. Pierwszy odkrył Proteusze zmarły baron Zois; późniéj wprawdzie bardzo rzadko znajdowano je w Sittich, prawie siedm mil ztąd, gdzie wypłynęły z wodą z podziemnéj jamy; właśnie dowiaduję się, że kilka okazów tych zwierząt odkryto w skałach wapiennych Sycylii.

Eubates. Jeziorko, w którém dostrzegliśmy te zwierzęta, jest nader małe, sądzisz, że się w niém lęgną?

Nieznajomy. Z pewnością nie. Wczasie posuchy, są one tutaj bardzo rzadkie, lecz po nawalnych deszczach, często pokazują się liczniéj. Wystawiam sobie, o czém trudno wątpić, że żyją w bardzo głębokiém podziemném jeziorze, z którego wychodzą po znacznym przypływie wody i szczelinami przecinającemi skałę dopływają do miejsc, gdzie one spotykamy. Zastanawiając się nad właściwą przyrodą tego kraju, wszelkie jest prawdopodobieństwo, że z jednéj wielkiéj podziemnéj jamy, wychodzą te zwierzęta do Postojnéj i Sittich.

Eubates. Szczególniejszy to sposób pojmowania tego przedmiotu. Nie mogłażby to być pewnego rodzaju kijanka nieznanego zwierza, żyjącego w téj jamie wapiennéj? Nogi jego nie odpowiadają reszcie organizacyi, a gdyby ich nie miało, nie różniłoby się od ryby.

Nieznajomy. Na to nie mogę się zgodzić, iżby to była kijanka, w przyrodzie, ile wiem, niemasz przykładu przeobrażenia z doskonalszego zwierza w mniéj doskonałe. Kijanka jest podobną do ryby, nim się przemieni w żabę. Poczwarka w nowém przeobrażeniu, nietylko zyskuje doskonalsze organa do ruchu na ziemi, ale nadto dostaje członki dla przebywania w innym żywiole. Zwierzę to, jak sądzę, żyje w właściwym sobie żywiole, wyrosłszy bywa nierównie większe od tych, które teraz widzimy; porównawcza anatomia jego organów, wprost przeciwną jest przypuszczeniu, żeby się to zwierzę przeobrażało. Znajdowano je różnéj wielkości, począwszy od grubości dudki pióra, aż do wielkiego palca, a zawsze z organami jednakowemi. Niewątpliwie zwierzę to jest zupełnie wyrosłem, i należy do właściwego gatunku. Jestto przykład z pomiędzy wielu innych, cudownego sposobu powstawania żyjących jestestw i mnożenia się w każdéj części kuli ziemskiéj, nawet w miejscach napozór najmniéj przyjaznych życiu.

Taż sama nieograniczona potęga i mądrość, która zaopatrzyła wielbłąda i strusia wewnętrzną organizacyą właściwą do zamieszkiwania po puszczach Afryki, jaskółkę do wydzielania z siebie własnego gniazda w jaskiniach na wyspie Jawie, wieloryba do życia w morzach przybiegunowych, foki i niedźwiedzie do lodów najwyższéj Północy; taż sama potęga przeznaczyła głębokie i ciemne jeziora Illyryi na mieszkanie Proteusza, żywiny niepotrzebującéj wcale światła dziennego, zarówno przebywającéj w wodzie i w powietrzu, na powierzchni skał i wgłębiach bagien.

Filaletes. Dziesięć lat już upłynęło, jakem to miejsce po raz pierwszy odwiedził. Byłem nadzwyczajnie ciekawy widzieć Proteusza i tegoż samego dnia wieczorem, w którym przybyłem do Postojnéj, udałem się z przewodnikiem do téj jamy. Rozpoznawaliśmy jéj spodek z największém staraniem, ale nie było ani jednego. Następnego dnia znów udałem się do niéj i spostrzegłem szczęśliwie pięć okazów na samym obwodzie błota, okrywającego dno jeziora. Błoto miało powierzchnią zupełnie równą i niewzruszoną, woda była czysta, wcale niezmącona; zjawienie się nagłe tych zwierząt w nocy nadzwyczajnie mnie zajęło: trzeba było przezwyciężenia siebie, aby nie przypuszczać, że właśnie co stworzone zostały. Najmniejszéj dziurki nie dostrzegłem, przez którą mogłyby się tu dostać, spokojne zwierciadło jeziorka zdawało się potwierdzać moje przypuszczenie. Marzyłem coraz bardziéj. Fantazyą przeniosłem w pierwotny stan naszéj planety, w czasy, gdy żyły wielkie zwierzęta z rodzaju jaszczurów pod ciśnieniem ciężkiéj powietrzni; myśli te nie były tak nieprawdopodobnemi, mianowicie, gdy jeden ze sławnych anatomów, któremu posłałem zebrane okazy Proteusza, oświadczył: że jego układ ciała i pacierzowe kręgi, żywo przypominają wielkiego jaszczura, którego szczątki zachowały się w dawniejszych skałach warstwowych. Wtedy niedostrzeżono w ropoznawanych Proteuszach jeszcze części płciowych, i ta okoliczność potwierdzała w części moję myśl, jakoby to były nowo stworzone zwierzęta; mniemanie to potępiam jako niczém niepoparte marzenie.

Eubates. Z całego toku opowiadania wnoszę, że nie przykładasz wiele wagi do swego zdania. Opierając się na podobnych przypuszczeniach, możnaby węgorza uważać za zwierzę nowo stworzone, gdyż dotąd nieodkryto w nim dojrzałych jajników, przybywa trudno dostrzeżonemi drogami z morza do rzek.

Nieznajomy. Zagadka o płodzeniu się Proteusza, jako i zwyczajnego węgorza nie jasną jest dotąd; a ponieważ odkryto

jajniki u dwóch tych zwierząt, sądzę, że i w tym przypadku jako we wszystkich innych stosuje się zdanie Hervey'a do zwierząt należących do teraźniejszego porządku rzeczy: *omne vivum ex ovo* (każda żywina powstaje z jaja).

Eubates. Wspomniałeś właśnie, że to zwierzę było oddawna przedmiotem twych badań; zastanawiałżeś się nad niém, jako anatom porównawczy dla wyjaśnienia zagadki jego sposobu rodzenia się.

Nieznajomy. Nie: te prace podjęli nierównie zdolniejsi odemnie badacze Configliachi i Schreibers: zająłem się jego organami oddechowemi i zmianą, jakie doznają dychawki w wodzie.

Eubates. Spodziewam się, że doszedłeś do pewnych wypadków.

Nieznajomy. Przekonałem się przynajmniéj, że te zwierzęta nietylko przyjmują w wodzie rozpuszczony kwasoród, lecz i części azotu w czasie oddychania absorbują.

Eubates. Poszukiwania twoje potwierdzają zatém badania francuzkich uczonych i Alexandra Humboldta, że zwierzęta przy oddychaniu przyjmują w siebie powietrze z wodą; dwie te składowe części powietrzni wchodzą w ich organizm, czyli zostają przyswojone.

Filaletes. Za młodu słyszałem tyle i tak odmiennych zdań o sprawie oddychania, a nawet i później, że życzyłbym sobie dowiedzieć się, jak teraźniejsi badacze rzecz tę pojmują. Niczyjego zdania więcéj nie cenię, jak twoje, oprócz tego, pragnę poznać tę rzecz dokładniéj; bo jak ci bardzo dobrze wiadomo, sam stałem się przedmiotem doświadczenia będącego z nim w styczności, i tylko twoje poświęcenie i czynna pomoc wyrwała mnie od zguby.

Nieznajomy. Najchętniéj udzielę moich postrzeżeń w tym przedmiocie, uprzedzam jednakże, że bardzo mało opowiem. W fizyce i chemii, czyli w umiejętnościach o martwéj materyi, znamy nieprzeliczone szczegóły, a mało zasad albo praw; lecz ile razy zastanowimy się nad funkcyami żywotnemi, aczkolwiek znamy niezmiernie wiele szczegółów; niemasz wątpliwości, że posiadamy zaledwie ogólniki i pospolicie trzeba tam kończyć, gdzie się zaczęło t. j. z wyznaniem naszéj zupełnéj niewiadomości.

Eubates. Nie mogę przypuścić, żebyśmy co do tego zostawali w tak grubéj niewiadomości. Bez wątpienia wiemy nieco o krążeniu krwi i jéj łączeniu się z powietrzem w płucach, a chociaż to nie są prawa, przecież główne zasady.

Nieznajomy. Mówię li o funkcyach, zostających w połączeniu z życiem. Nie znamy dotąd źródła ciepła zwierzęcego, aczkolwiek od półwieku zdawało się chemikom, że dowiedli, jakoby powstawało z gorenia węgla zawartego w krwi naszéj.

Filaletes. Gdy wrócimy do naszego zajazdu, spodziewam się, że nam udzielisz swych pomysłów o własnościach funkcyi, tak ważnych dla wszystkich żywin. Opowiedz co wiesz, albo co mniemasz o téj rzeczy, albo co inni mniemają o nich.

Nieznajomy. Organiczne siły zmieniają się nieustannie: i to ich wybitny przymiot; stratę, jakiéj doznaje ciało przez czynność muszkułów, wyziewy i różne wypocenia, wynagradzają naczynia wsysające, przyprowadzając do krwi pożywne pierwiastki; ściąganie i rozdymanie się serca utrzymuje krew we wszystkich częściach ciała w nieustającym ruchu. W płucach albo dychawkach, żyłowa krew styka się z powietrzem atmosferycznem, przerabia się widocznie i zmienia w krew tętnicową. Dostrzegana przemiana chemiczna powietrza, dosyć jest prostą; w tym przebiegu przymieszywa się do niéj nieco węgla, a nabiera więcéj ciepła albo pary. Objętość gazów wdychanych i wydanych, wcale się nie zmienia, jeżeli weźmiemy na uwagę zmianę temparatury: gdyby przy tém działaniu miano tylko wzgląd na ważkie części, wydawałoby się, że użytek wynikający z oddychania, ogranicza się li na uwolnieniu krwi od pewnéj ilości węgla. Prawdopodobną wszakże jest rzeczą, iż ten gaz jest tylko podrzędną częścią tego działania i że zmiany pochodzące z oddychania, nierównie są ważniejsze. Kwasoród w stanie gazu ma nader ciekawe własności, ściśniony rozwija światło, ile mi wiadomo, nie ulega temu żaden inny płyn sprężysty, wyjąwszy jeżeli się z nim miesza nie spalony kwasoród. Rozwijanie się ognia z kwasorodu w pewnych procesach i sposób wracania za pomocą dodatniéj elektryczności z połączeń do stanu gazowego, zaledwie upoważniają nas uczynić domysł: jakoby prócz wązkich, zawierał jeszcze nader subtelny pierwiastek, objawiający się w postaci ciepła i światła. Domysł mój zatém, że zwyczajne powietrze przy oddychaniu doznaje pewnego rodzaju rozkładu i wchodząc całkowicie do żylnéj krwi wprowadza części delikatne i eteryczne tak nieznacznie, że zupełnie giną w zwyczajnych przemianach chemicznych; daléj, że wydziela ze krwi kwas węglowy i azot; a przy jéj krążeniu części eteryczne jako i ważkie doznają pewnych zmian, których uważać nie można za prawa chemiczne; w tym procesie część eteryczna wytwarza niewątpli-

wie ciepło zwierzęce i sprawia inne skutki, gdy przeciwnie część ważka służy do wyrabiania kwasu węglowego i innych utworów. Krew tętnicowa niezbędną jest do wszelkich funkcyj żywotnych, zostaje w związku z drażliwością muszkułów, z czynnością nerwów, jako i ze wszystkiemi wypocinami.

Rubates. Nikt bardziéj odemnie nie jest przekonany o szczupłéj naszéj wiedzy w chemicznéj fizyologii, i gdy oświadczam się, że jestem uczniem i zwolennikiem doktora Black, wyżéj cenię jego dawne widoki od waszych nowoczesnych: chciałem tylko przerwać nieco rozmowę, abyś raczył mnie posłuchać. Może ci się wydadzą niedostatecznemi, lecz pozwólcie, niech one wam wyłożę. Naprzód we wszystkich znajomych przemianach chemicznych, w których się łączy kwasoród i wytwarza kwas węglowy, wywiązuje się ciepło: łatwo na to przytoczyć tysiące przykładów, począwszy od spalenia drzewa i wyskoku, do fermentacyi kwasów i gnicia ciał zwierzęcych. Ten ogólnie powtarzający się wypadek, który prawie można uważać jako prawo, potwierdza zdanie doktora Black. Inna okoliczność mówi zatém, że zwierzęta mające najgorętszą krew zużywają największą ilość powietrza, i w różnych stanach czynności i spoczynku ich ciepło większéj części odpowiada ilości spotrzebowanego kwasorodu. Daléj, zwierzęta wdychające najmniéj powietrza mają krew zimną. Inna jeszcze okoliczność potwierdza zdanie Dra Black: zmiana barwy krwi z czarnéj w czerwoną, zdaje się wskazywać utratę węgla.

Nieznajomy. Oddając największą cześć pamięci doktora Black i zdaniom jego ucznia, tak odpowiadam na podane dowody. Nie mogę przypuścić, ażeby jakie faktum albo jakie prawo martwéj materyi dało się stósować do sił władających w przyrządach żywego organizmu: krew jest żywym płynem i niemasz wątpliwości, że nie gore przy oddychaniu. Wyrażenie: ciepło i zimno w zastosowaniu do krwi zwierzęcéj, nie jest właściwe w rozumieniu, jakiego właśnie użyłeś. Rzeczywiście zwierzęta mają ciepłą krew, tylko stopień ich temperatury stosuje się do zewnętrznych okoliczności, w jakich mają przeznaczenie zostawać. Nadzwyczajnie ruchawe zwierzęta najgorętszą mają krew, która jest skutkiem ogólnéj czynności a nie pochodzi od pojedyńczego skutku oddychania. Z wielkiém prawdopodobieństwem okazał znakomity jeden fizyolog (p. Brodie), że zwierzęce ciepło wynika bardziéj od działania nerwów, aniżeli od jakichkolwiekbądź skutków oddychania. Dowody ze zmiany barwy wyprowadzone niczego

nie dowodzą a nawet prowadzą do błędu. Niekoniecznym jest skutkiem, że krew wydzielając węgiel, staje się jaśniejszą. Siarka łącząca się z węglem drzewnym tworzy płyn przezroczysty, a czarny niedokwas miedzi zostaje czerwonym, łącząc się z ciałem bogatém w węgiel. Żadnéj zmiany chemicznéj nie można z własności dostrzegalnych zmysłami z pewnością oznaczyć. Zamierzam bliżéj rozwinąć moje myśli, które nie zupełnie dotąd przedstawiłem. Przyjmując, że podczas sprawy życia tworzy się w żylnéj krwi kwas węglowy, chciałem tylko nadmienić, że też przez pewne zmiany nabiera własności wydzielania zarazem węgiel i kwasoród, albowiem w chwili, gdy ciała nieorganiczne złączą się z żyjącemi organami, ulegają nowym prawom. Działanie soku żołądkowego, posiada li chemiczne własności; tylko martwe ciała rozpuszcza tenże i to się odbywa zarówno w rurach metalowych, jak w żołądku, tymczasem nie działa na żywą materyą. Oddychanie nie jest prostém działaniem chemicznem, jak absorbcya soku pokarmowego (chylus); zmiany zachodzące w płucach, jakkolwiek wydają się proste, mogą być nadzwyczajnie zawiłe. Niemasz nic bardziéj nieumiejętnego, jak uważanie téj zmiany za proste gorenie węgla, jak przypuszczenie, że wydzielanie się muszkułów jest krystalizacyą krwi tętnicowéj. Niemasz wątpliwości, że organizm w swych działaniach rozporządza wszystkiemi siłami i potęgami materyi na pożytek swéj czynności; lecz zjawisk organicznych nie może tłumaczyć chemia jak mechanika chemicznych zjawisk. Gdy kwasoród zachowuje się do wszelkich ciał zwierzęcych w stosunku napięcia elektrycznego, które nazywamy elektro-dodajnym, dlatego przypuszczać można, że i na krew wywiera pewne wpływy elektryczne; aczkolwiek jestto prostą hypotezą. Opierając się na doświadczeniach, na mocy których elektryczność rozkłada ciała, chciano tłumaczyć wydzieliny ciał za pomocą słabych sił elektrycznych i wyobrażano sobie, że gruczoły są organami elektrycznemi, a nawet czynność nerwów szukano w elektryczności.

Wszystkie takie pomysły, uważam jako niedostateczne wnikanie w istotę rzeczy. Jeżeli elektryczne wpływy są przedstawieniem się pewnych sił właściwych materyi, co słusznie można przyjmować, natenczas nie może się żadna zmiana odbywać, w któréjby elektryczność nie miała mniéj więcéj udziału: ale przypuszczać bytność elektryczności dla wytłumaczenia zjawisk, których przyczyny nie znamy, znaczy to samo, co w miejsce nieokreślonego słowa, używać innego onemuż podo-

bnego. Pewne zwierzęta mają elektryczne organa; jestto ich artylerya, dająca im środek chwytania zdobyczy, lub obrony. Te spekulacye można porównywać do tych powierzchownych zwolenników filozofii Newtona, którzy tłumaczą siły zwierzęce jako działania mechaniczne, czynności muszkułów jako rozdymanie i ściąganie się sprężystych pęcherzy. Takie blahe myśli zrobiły z człowieka pewien rodzaj maszyny hydraulicznéj. Gdy następnie odkryto chemią pneumatyczną, wystawiono sobie organiczne postacie jako pracownią, w któréj rozkłady i połączenia chemiczne sprawiają wszystkie objawy życia: przypuszczano, że ściąganie muszkułów pochodzi od wybuchów, podobnych do strzelających połączeń, a tworzenie się krwi z pożywnego soku uważano prosto za chemiczny rozczyn. Dzięki teraźniejszym postępom umiejętności, otrzymaliśmy nowe nadzwyczajnie ważne pogłądy o elektryczności, te zaraz zastosowali niektórzy spekulujący marzyciele dla wytłumaczenia kilku ciemnych, a tajemniczych zjawisk zwierzęcego życia. Lecz analogie są zbyt dalekie i wypaczone. Zasłony okrywającej źródło życia nie uchyli taka maszynerya: w tym celu zwracać się do sił elektrycznych, znaczy toż samo, co szukać życia wśród trupów; władza czucia nie może być uczutą, władza wzroku nie może być widzianą; a co panuje zmysłowym uczuciom, nie może być nigdy ich przedmiotem.

Filaletes. Z tego, coś w końcu powiedział, wnioskuję, że aczkolwiek skłaniasz się do przypuszczenia, że oddychając przyjmuje ciało nieznaną nader subtelną materyą, a to według ciebie nie jest elektrycznością, jednakże na to przypuszczenie niemasz dowodu, iżby elektryczność nie miała sobie wł ściwego i szczególnego udziału w wyrabianiu spraw żywotnych.

Nieznajomy. Radbym cię ochronić od wszelakiéj hipotezy w tym zawiłym i arcytrudnym przedmiocie. Jakkolwiek nie łatwo oznaczyć przymioty oddychania, to przecież znamy nader dokładnie jego skutki i stosunek do czynności odbywających się w ciele. Wpływ powietrza wywarty na krew, czyni onę zdatną do życia i te funkcye zaczynają się w chwili, gdy życie objawia się czuciem lub wolą. Rozwijanie się jaja zdaje się zaczynać przez działanie powietrza nadające mu tchnienie życia. Najgłówniejszym warunkiem zachodzącym w jaju jest zetknięcie się z powietrzem. Jeżeli to nie odbywa się przez krew matki, jak u zwierząt ssących za pomocą łożyska, natenczas czynność ta odbywa się inaczéj, i jak u gadów i ryb, powietrze wchodzi do

nich swobodnie błonami, które okrywają jaja, albo też same jaja wyszedłszy z ciała wciągają w siebie powietrze przez okrywające one powłoki i skorupy: jeżeli powietrze nie ma dostępu, wylęganie albo sztuczne ciepło nie wywiera żadnego na nie wpływu. Ryby składające swe jaja w wodzie, która jak wiadomo, zawiera nieco powietrza, są bardzo przezorne i prawie może się wydawać, że to wykonywają z rozwagą lub z umiejętną wiedzą, lubo im przewodniczy nieomylna zasada, instynkt zachowania plemienia. Ryby odbywające tarło na wiosnę lub na początku lata, żyjące w pośrodku głębokich, spokojnych wód, jak karpie, szczupaki i t. d., składają swe jaja na wodnych roślinach, a wpływ światła słonecznego udziela nieustannie wodzie powietrza. Pstrąg, łosoś i inne ryby łososiowate odbywają tarło na początku lub w końcu zimy, żyją w rzekach, do których wpadają strumienie z zimnemi wodami nadzwyczajnie nagle; ryby te składają swe jaja na piasku, ile być może blizko źródeł rzek, gdzie się wody obficiéj nasycają powietrzem, i aby to dokonać, płyną pod wodę sta mil, przeskakują katarakty i tamy. Tym sposobem właściwy łosoś (Salmo salar.) płynie Rodanem i rzeką Aar aż do lodowców Szwajcaryi, inny łosoś zwany Huch płynie pod wody Dunaju, Izary i Sawy, aż do górskich strumieni, biorących początek w noryckich i julijskich Alpach.

Filaletes. Własne moje doświadczenie jak najjawniéj przekonywa o bezpośrednim związku, zachodzącym pomiędzy czułością a oddychaniem. Jedno co sobie przypominam, w czasie mojego nieszczęsnego przypadku, był silny a dolegliwy ból, pochodzący z nacisku na piersi, następnie bezpośrednio ustało czucie.

Eubates. Nie wątpię, że wszelkie twe bole ustały w chwili, którą opisujesz; co do czułości, to zostawałeś zupełnie bez życia, gdy cię z głębi wyciągał twój przyjaciel. Ten nierozerwany związek, zachodzący pomiędzy czułością a oddychaniem za pomocą krwi, przemawia, jak sądzę, za zdaniem naszego przyjaciela, że jakaś subtelna i eteryczna materya udziela się organizmowi wraz ze sprężystém powietrzem i ta właśnie sprawia siły żywotne.

Nieznajomy. Przystaję na to, jeżeli się tak podoba: jednakże nie przystaję, aby myśli moje błędnie pojmowano. Sądzę, że jakaś nieznana subtelna materya zostająca w styczności z czynnością życia mieści się w powietrzni; ale najmocniéj sprzeciwiam się przypuszczeniu, że sama jest przyczyną życia.

Filaletes. To wynika z całego toku twéj rozmowy, a mianowicie z wyrażenia: „że to, co panuje nad zmysłowemi uczuciami,

nie może być ich przedmiotem". Sądzę, żem zrozumiał twe myśli utrzymując, że żywotność wystawiasz sobie niezależną od jakichkolwiek materyalnych przyczyn, lub od materyalnego pierwiastku.

Nieznajomy. Tak jest rzeczywiście: o tym przedmiocie wcale nic nie wiem i wyznaję z głęboką pokorą moją zupełną niewiadomość; wiem, że niektórzy znakomici fizyologowie wymarzyli sobie, że organizm stwarza siły, jakich materya pierwotnie nie posiada, a czułość jest wynikiem nieznanego połączenia nieznanych eterycznych żywiołów. Lecz takie przypuszczenia wydają mi się niefilozoficzne: jestto tylko kilka niezrozumiałych wyrazów, określających niewiadomy przedmiot. Żadnym sposobem nie mogę przypuścić, iżby dzielenie, uszlachetnienie, wydelikatnienie, stykanie się albo uporządkowanie cząstek materyi mogło wydać czułość, albo że rozum jest skutkiem łączenia się nie myślących, czysto materyalnych tomów. Podobnymże sposobem rozumując, możnaby sobie wystawiać, że planety z własnéj woli i postanowienia krążą naokoło słońca, albo że kula armatnia myśli opisując parabolę. Materyaliści przytaczają miejsce jedno z Locke'go na poparcie swéj nauki, w którém ten filozof zdaje się powątpiewać, czyli nie podoba się Bogu udzielić materyi władzy myślenia. Ale najwyższą cześć dla wielkiego myśliciela, twórcy nowoczesnéj logiki; w téj wątpliwości spostrzegam nie wiele zwyczajnéj jemu tęgości ducha: zdaje mi się, że mógłby się zapytać z témże samém prawem, czyliby nie podobało się Bogu stworzyć dom, któregoby sam był mieszkańcem.

Eubates. Nie jestem materyalistą, ale sądzę, że lekceważysz to skromne powątpiewania Locka. Spodziewam się, że nie biorąc mnie za stronnika tego zdania, pozwolisz przytoczyć kilka dowodów, jakie podają dobrzy fizyologowie, a które tak potępiasz. W pierwotném nagromadzeniu się cząstek materyi w żywiny, spostrzegamy postacie, prawie zupełnie podobne do ciał ulegających sile krystalizacyjnéj, opatrzone w jak najprostsze organy, zaledwie ślad czucia pokazujące. Następnie stopniowe kształcenie się z powstawaniem coraz nowszych organów, które wydają nowe im odpowiednie siły, aż do dojścia do zupełnéj doskonałości, prowadzą mimowolnie na myśl, że siły żywotne zostają w stosunku do rozwoju organów. Daléj podobnie jak się stopniowo wzmagają siły, zostające w stosunku do doskonalającéj się organizacyi, ubywają też zwolna z rozstrajaniem się ciała. Jak niedołężność dziecka zostaje w stosunku z wątłym organizmem niemowlęcia, siła młodziana i dzielność męża z potęgą

rozwiniętego ciała, tak samo słabość i zgrzybiałość starca odpowiadają ubywaniu doskonałości organizacyi: zdaje się, że władze umysłowe psują się w starości razem z siłą ciała, wreszcie następuje jego ostateczne rozstrojenie, a pierwiastki wracają do martwéj przyrody, z któréj pierwotnie wyszły. Był zatém okres, którym największy filozof, mąż stanu albo bohatér, jaki kiedykolwiek istniał, nie był niczém inném jak żyjącym atomem, uorganizowaną postacią z władzą, mogącą to uważać, i nie można pomyśléć, żeby połączenie, z którego Newton powstał przed urodzeniem i bezpośrednio potém okazywało jakowe, choćby najdrobniejsze ślady rozumnego jestestwa. Jeżeli przyjąć trzeba, że właściwy pierwiastek umysłowy jest koniecznym; taki musi być rozpostartym w całéj żyjącéj przyrodzie. Umysłowe usposobienie słonia zbliża go więcéj do człowieka, aniżeli ostrygę do słonia; od żyjątka zwierzokrzewu aż do filozofa można wykazać nieprzerwane pasmo władzy czucia. Tymczasem w zwierzokrzewach czujący pierwiastek można dzielić, z jednego zwierzokrzewu albo z jednéj glisty ziemnéj powstaje ich dwa lub trzy, a każda część staje się również doskonałém zwierzem, obdarzoném poznawaniem i siłą woli: z tego przeto wynika, że czujący pierwiastek posiada z materyą przynajmniéj jednę wspólną własność, a tą jest podzielność. Trudności te niemało powiększają zawisłość wszystkich wyższych władz duszy, pochodzących od stanu mózgu; przypomnijmy sobie nadto, że nietylko władze umysłowe, lecz i siły czucia ustają, jeśli nawet mała ilość krwi naciska na mózg i wtedy wzmagają się te trudności. Przypomnijmy sobie daléj zawieszenie objawów życia w przypadku, który się wydarzył naszemu przyjacielowi, kiedy najmniejszego śladu życia nie dawał, a ożył wraz z działaniem organów. Bezwątpienia we wszystkich tych przypadkach wszystko, cokolwiek przedstawia się jako przymioty ducha, całkiem zawisło od uporządkowania i własności materyi.

Nieznajomy. Przyczyny, które dajesz, zwykle przywodzą fizyologowie. Przemawiają za niemi pozory, w istocie małoważne. Dowodzą, że władze ducha żeby były czynnemi, potrzebują koniecznie pewnéj doskonałości maszyny ciała: jednakże nie dowodzą, że sama maszyna jest duchem. Bez oczu nie można widzieć tego, co podpada pod wzrok; bez mózgu nie można przypominać sobie żadnéj myśli, którą poznajemy widzeniem; jednakże ani nerwów widzenia, ani mózgu nie można brać za władającą a czynną przyczynę: obydwa są poprostu narzędziami

siły, nie mającéj z niemi nic wspólnego. Co przypuszczamy o systemacie nerwowym, można przypuścić o każdéj innéj części naszego ciała. Zatamuj ruchy serca, a natychmiast ustanie czucie i życie, aczkolwiek pierwiastek życia nie spoczywa w sercu, ani w krwi tętnicowéj, którą serce wysyła we wszystkie części swojego systematu. Dziki człowiek przypatrujący się pewnéj ilości maszyn wyrabiających pończochy, które obraca para, gdy przy zatrzymaniu się nagłém jednego kółka wstrzyma się cały ten narząd, mógłby sądzić, że poruszającą siłę wykonywa kółko, nie przeczuwałby wcale, że toż zawisło od pary, albo raczéj od ognia palącego się pod ukrytym kotłem. Badacz przyrody uważa ogień za przyczynę siły poruszającéj tę wielce złożoną maszynę, która przedstawia się tak niepojęcie dzikiemu człowiekowi: ale obadwaj z równo nic nie wiedzą o boskim ogniu, o téj wewnętrznéj przyczynie mechanicznéj jestestw organicznych. Zostając w zupełnéj niewiadomości co do tego przedmiotu, nie możemy nic innego czynić, jak kreślić historyą własnego ducha. Świat zewnętrzny albo materya w saméj rzeczy przedstawia nam się tłumem, albo raczéj szeregiem uczuć, a zwróciwszy się do naszéj wiedzy, wtedy spostrzegamy pierwiastek, który jako monada, jako jaźń nieustannie sobie przytomna łączy się ściśle z właściwém uczuciem, które nazywamy własném ciałem, naszemi organami. Organa te stoją w związku z naszemi uczuciami i poruszają się z niemi, jakby w różnych kołach bytu: gdy opuszczają na czas pewien szereg uczuć, aby się zwrócić do innych: ale téj monady nieustannie sobie przytomnéj, nie można oznaczyć początku, ani końca jéj działań. Nieraz gubi się początek i koniec snu; przypominamy sobie tylko jego środek, a jeden sen nie wiąże się z drugim; lecz wiemy o nieprzeliczonych snach. Analogia w tym stosunku nakazuje nam wierzyć w nieskończoność poprzedniego bytu, który zostawał z sobą w koniecznym związku i wolno nam uważać ludzkie życie, jako typ nieskończonego i nieśmiertelnego życia. Sen i czuwania po sobie następujące wskazują nam obraz zmiany zachodzącéj pomiędzy śmiercią a urodzeniem, którym podlega właściwość życia ludzkiego. Niemasz wątpliwości, że duch właściwe sobie myśli pierwiastkowo nabywa przez ten rodzaj czucia, które nazywamy organami, również, jak że matematyczne prawdy zawisły od znaków one wyrażających; lecz jak te znaki nie są same przez się prawdami, tak samo i organy nie są duchem.

Cała historya naszego rozumu jest historya zmian, według pewnego prawa: pamiętamy tylko ten rodzaj przemian, które nam mogą być pożytecznemi. Płód zapomina co się z nim działo w łonie matki; przypomnienia dziecięcia z dwóch pierwszych lat jego żywota, również gubią się w niém szybko; lecz zachowują przez całe życie niektóre nawyknienia, już w tym wieku nabyte. Pierwiastek czujący otrzymuje myśli przez narzędzia materyalne, następnie czucia jego zmieniają się w miarę zmieniania się onych; w starości zdaje się zasypiać duch, jakby dla obudzenia się w nowym bycie. Rozum człowieka z teraźniejszą organizacyą jest ograniczonym i niedoskonałym: to zawisło od jego materyalnéj maszyny, i możemy przypuścić, że wyżéj wyorganizowane postacie mają nieskończenie wyższe siły. Gdyby człowiek był nieśmiertelnym z teraźniejszą powłoką cielesną, nieśmiertelność ograniczałaby się li do téj maszyny, a korzyść duchowa w témby leżała, że śmierć następowałaby co dwieście lub trzysta lat: co jednakże toż samo znaczy, że pamiętałby pewną summę pomysłów i że istota uważana za nieśmiertelną zostawałaby w tymże stosunku do tego, co się przed tysiącem lat działo, w jakim się teraz znajduje człowiek wyrosły, do wydarzeń jego młodości. Bez potrzeby usiłowałbym skreślić zarys sposobu i stosunku, w jakim zostają organa do uczuć. Nerwy i mózg zostają w bezpośredniéj styczności z czynnościami życia; lecz jak się to odbywa, w żaden sposób nie można pojąć. Szybkość i nadzwyczajna rozmaitość zjawisk dostrzeganych czynią wielce prawdopodobną rzeczą, że w mózgu i nerwach znajduje się materya nierównie subtelniejsza i doskonalsza od wszystkiego tego, cokolwiek poznajemy zapomocą spostrzegania lub doświadczenia, i że bezpośredni związek pomiędzy pierwiastkiem czującym i ciałem, wytwarza pewien rodzaj ciała eterycznego, które zmysły pojąć nie zdołały; ta arcy subtelna materya, zostaje może w tymże stosunku do ciepła, światła i elektryczności, jak te postacie, albo bliżéj się tłumacząc zjawiska materyi, zachowują do różnych gazów. Ruch można jak najłatwiéj wydobywać w rozmaitych rodzajach najmniéj ciężkiéj materyi, jednakże nie ważkie ciała, jak elektryczność, mają dostateczną siłę do rozsadzania najcięższych ciał. Nie masz, według mnie nic bardziéj niepodobnego, jak kusić się o definicyą tego przedmiotu i nigdy nie zgadzam się ze zdaniem Newtona, że bezpośrednia przyczyna uczuć jest drganiem eterycznego płynu. Zresztą wcale prawdopodobną wydaje mi się rzeczą, że czujący pierwiastek ma jakąś nader misterną maszyneryą do myślenia,

która trwa nawet w zmienionym bycie: aczkolwiek śmierć niszczy organa grubszych uczuć, jako to nerwy i mózg, mogłaby przecie przezemnie przepuszczana ona nie wiadoma z eterycznemi przymiotami nie tyle podlegać zniszczeniu. Czasem wystawiam sobie, że niektóre z tych sił, jakie instynktowemi nazywają, pochodzą od wytworniejszych szat ducha. Stmienie, zdaje się mieć w saméj rzeczy jakieś nie oznaczone źródło, wiążące się z jakimś pierwotnym bytem.

Eubates. Wszystkie te pomysły nie są niczém inném, jak genialnemi spekulacyami. Objawienie bynajmniéj nie potwierdza twego zdania o takim rodzaju duchowéj natury; chrześciańska nieśmiertelność opiera się na zmartwychwstaniu ciała.

Nieznajomy. Nie przystaję na to. Nawet w historyi Mojżesza o stworzeniu człowieka, ciało stworzoném jest na obraz boski, czyli posiada zdolności być rozumnym: Stwórca wlewa w nie tchnienie życia, własną swą treść. Nasz Odkupiciel wyrzekł bowiem: „Bóg Abrahama, Izaaka i Jakóba nie jest Bogiem umarłych, lecz Bogiem żywych." św. Paweł mówiąc jak się duch obleka w nowe niebiańskie ciało, bierze porównanie z ożywionego kiełka nasienia, który się nie pierwéj ożywia, aż gdy wpadnie w pozorną śmierć. Zgadza się z tém zupełnie katastrofa naszéj planety, którą, według objawienia, zniszczy i oczyści ogień, nim się stanie zdatną na mieszkanie bogobojnych ludzi.

Eubates. Nie mogę tych poglądów zgodzić z tém, co nawykłem uważać za myśl Pisma Swiętego. Wszystko, co tylko należy do żywota materyalnego, zamierzasz uczynić zawisłem od organizacyi ciała; a przecież wyobrażasz sobie, że duch po śmierci przybiera nowe ciało; w systemacie nagród i kar, byłoby zatém to lub owe ciało szczęśliwém lub nieszczęśliwém za czyny, które popełniło inne dawno rozpadłe. Właściwa organizacya może podobno ciało pobudzać do niestósownych i nie moralnych rozkoszy; lecz według zasad odwiecznéj sprawiedliwości, nie uważam za rzecz prawdopodobną, iżby zmartwychwstające ciało odbierało kary za występki już rozłożonego i zniszczonego składu ciała.

Nieznajomy. Nie masz nic bardziéj niedorzecznego, niech mi wolno powiedzieć, nic bardziéj bezbożnego, nad człowieka mającego wzrok okryty gęstą mgłą zmysłową, gdy się odważa rozumować o wyrokach odwiecznéj sprawiedliwości. Trzymasz się tychże samych ciasnych myśli, które przywodziłeś w rozumowaniu przeciw trwałości czującego pierwiastku człowieka,

wychodząc z pozornego podziału pierwiastku życia w zwierzokrzewach i nie spostrzegłeś wcale, że możebność pomnożenia albo podniesienia pewnych przymiotów nie dowodzi bynajmniéj, że mogą być całkiem pominięte. Jeżeli według mnie nie masz żadnéj wątpliwości, że wiedza o dobrém i złém nieustającym jest przymiotem czującego pierwiastku człowieka, a z tego wynika koniecznie, że nagrody i kary ściągają się do czynów téj wiedzy, a posłuszeństwo lub nieposłuszeństwo i nieuleganie zniszczenia czującéj istoty jest koniecznem dla odwiecznéj sprawiedliwości. Według twego zdania byłaby prawie niepodobną sprawiedliwa kara za występki tego życia, albowiem pierwiastki, z których się człowiek składa, zmieniają się bardzo szybko, a po niewielu latach zapewne nawet atomu nie pozostaje z pierwotnego ciała, i materyalista nawet musi w sędziwym wieku pokutować za grzechy młodości, i nieuskarżać się na niesprawiedliwość, gdy w biegu czasu jego zniszczony organizm zupełnie się zmienia, prawie kostnieje i cierpi za nieumiarkowanie młodego i zbyt rączego ciała. Wystawiam sobie, że sumienie jest postacią ducha usposobioną dla doświadczania onego przez śmiertelność. Zgadza się to jak najmocniéj z zasadami naszéj religii, któréj boski początek zaświadcza równie historya, jak i jéj harmonia z jestestwem naszéj przyrody. Uleganie jéj przepisom, gdy nam przysposabia lepszy byt w innym świecie, zapewnia jednocześnie szczęście na ziemi. Nakazuje nam wyrzekać się nieustannie zmysłowych roskoszy i przyjemności, zapominać o naszém ciele i zmysłowych organach, a pociechy łączyć z duchem, i wszystkie skłonności zwracać ku jednéj najwyższéj Istocie, która przenika swym duchem wszystko, co istnieje. Że posiadamy zdolność wyrobienia sobie myśli, aczkolwiek niedostatecznéj o najwyższym duchu, podwyższa to przypuszczenie o naszéj własnéj nieśmiertelności i o stosunku, w jakim zostaje nasza skończona wiadomość do odwiecznéj mądrości.

Filaletes. Cieszą mnie twe poglądy: zgadzają się bowiem z temi, które sam w sobie wyrobiłem, gdy wyobraźnia moja zajmowała się opowiedzianą wizyą w kolisseum; nie są one sprzeczne z pomysłami, do jakich mnie sprowadził chłodny sąd i zdrowa a pobożna wiara Ambrozya. Nauki materyalistów były mi zawsze, nawet za młodu zimne, ciężkie, nieczyste i obmierzłe: zwracają koniecznie ku ateizmowi. Słuchałem z obrzydzeniem układu fizyologów rozwijanego w anatomicznych salach, jak się materya zwolna gromadzi i nabiera drażliwości, jak dojrzewa

czucie przez wewnętrzne siły i dochodzi do koniecznych organów i wreszcie wznosi się do rozumnéj istoty; natenczas przechadzka po zielonych błoniach i gaiku, lub nad brzegiem rzeki zwracała moje uczucia od przyrody do Boga; we wszystkich siłach materyi widziałem objawy Bóstwa. Promienie słońca, oddech wietrzyka, budzi życie w postaciach, które przysposobił boski rozum dla przyjęcia onego. Nasienie bez czucia, jaje drzymające, w których życie ma się rozbudzić, przedstawiały mi się jako nowo narodzone zwierzęta, jako dzieła ducha boskiego. Widziałem miłość jako twórczą zasadę w materyalnym świecie, miłość tę uznałem za przymiot czysto boski. Dlatego w duchu moim powstawało z nowemi uczuciami i nieokreślonemi nadziejami pragnienie nieśmiertelności. Zdawało mi się, że wielkie imiona minionych wieków i starożytnych narodów, jeszcze mnie otaczają: a nawet w pomnikach zgasłych bohaterów i wielkich ludzi znajdowałem dowody trwałości naszego ducha. Takie uczucia pospolicie ogół uważa za utwory poezyi, chociaż według mnie dostrzegam w nich jawny, filozoficzny dowod nieśmiertelności duszy. We wszystkich obyczajach i instynktach młodych zwierząt, dostrzegać można, jak ich uczucia i ruchy najwyraźniéj zapowiadają ich przyszły, doskonały rozwój: zabawy ich mają statecznie niejakie powinowactwo ze sposobem uganiania się za zdobyczą, albo szukaniem pokarmu; młode ptaszki nawet już w gniaździe pokazują ślady pewnych pieszczot, które się rozwijają, gdy się ich ciało wyrobie i łączą się ściśle ze sposobem mnożenia się i zachowania gatunku. Ubieganie się za sławą, za zaszczytami, za nabyciem nieśmiertelnego imienia, za prawdziwą umiejętnością, które tak często spostrzegamy w młodzieńcach ze zdrowym umysłem, są to objawy nieskończonéj i postępującéj własności ducha. Te dążenia ściągają się do nadziei, które nie tutaj, lecz w owym świecie mają się spełnić.

Nieznajomy. Religia naturalna, czy objawiona statecznie arcy dobroczynnie wpływa na umysł. Za młodu gdy sprzyja zdrowie i szczęście, budzi uczucia wdzięczności, uszlachetnia czystą miłość, a zarazem wznosi duszę; ale najpotężniejszych, a razem najzbawienniejszych skutków doznajemy w nieszczęściu, w chorobie: jeżeli uległość wierze i pokorne zaufanie woli Bożéj było z początku obowiązkiem, wtedy staje się nieustannem źródłem pociechy, wlewa w duszę moc, którą już za wygasłą miano, i udziela jéj tę świeżość, która wydawała się na zawsze zawiędłą i odmładza się

jak nieśmiertelna nadzieja; religia jest ową przyświecającą latarnią morską, prowadzącą żeglarza wśród rozhukanych i szumiących fal do rodzinnej siedziby, gdy jak żeglarz norwegski z burzliwego morza Północnego wpływa do swych spokojnych, uroczystych zatok czyli fiordów, otoczonych wesołemi gajami i sielskiemi łąkami: ona jest natenczas tą oazą zieloną, gdzie tryskają żywe źródła i przyjemnie wśród puszczy spragnionego, pod ciężarem upalnego wędrowca. Jej wpływ przetrwa wszystkie ziemskie rozkosze, wzmaga się w sile, w miarę starzenia się organów, i coraz dalszego rozstrojenia ciała.

I. Zejszner.

WIADOMOŚCI Z NAUK.

Ciepło i światło są objawami jednéj i tejże saméj siły.

Hypotezy budowane w nauce, będącéj dopiéro w stanie indukcyi, bogacącéj się dopiéro w fakta, nie posiadają zwykle cech prawdopodobieństwa, pozostają bez żadnego wpływu na postęp nauki a czasem nawet szkodliwie się doń przyczyniają. Inna jest rzecz, gdy tworzymy hypotezy w nauce, znajdującéj się w epoce dedukcyi, gdy obfitość faktów, doświadczeń, ku jednemu celowi skierowanych, podsuwa niejako myśl zdolną do powiązania różnych zjawisk; wówczas hypotezy są konieczne w nauce, pożytecznie wpływają na jéj postęp, stając się niekiedy źródłem nowych odkryć lub postrzeżeń.

Do takich hypotez w fizyce należą mniemania dotyczące sił natury, zwanych czynnikami świata, jakoto ciepła, światła, elektryczności i t. p. Po dostrzeżeniu licznych między temi siłami związków starano się sprowadzić je do jednego źródła, wykazując zależność jednéj siły od drugiéj w takim stosunku, jak przyczyna i skutek. Jednakże oddawanie jednéj sile pierwszeństwa przed drugą jest pomysłem błędnym; dziś bowiem, niepodobna jednego czynnika poczytywać za wynikłość drugiego. Weźmy dla przykładu elektryczność i magnetyzm; po odkryciu elektromagnetyzmu przez Oersteda i magneto-elektryczności przez Faradaya, te dwie siły przedstawiły się w takim między sobą związku, że żadnym sposobem jednéj za przyczynę drugiéj uważać nie można. Hypotetyczne strumienie elektryczne Ampera będące spójnią tych dwóch sił, jakkolwiek przyjęte w nauce, z powodu że ułatwiają pojęcie i niemal dotykalnie

tłumaczą znaczenie faktów, pod krytycznym rozbiorem ostać się nie mogą; z równém bowiem prawdopodobieństwem możnaby poczytać linie siły magnetycznéj, siły bardzo ogólnéj, działającéj na wszystkie ciała, za źródło strumieni galwanicznych i tym sposobem zniszczyć całą budowę, na któréj opiera się myśl o podrzędnéj zależności, jaką magnetyzm ma zachowywać względem elektryczności. W teraźniejszym stanie fizyki właściwiéj na innéj drodze gruppować się dadzą czynniki natury; nie przez uważanie przyczynowości i skutku, lecz przez uważanie ich jako odmienne formy ogólnego nieodłącznego od materyi i wiecznie istniejącego ruchu. Według tego sposobu zapatrywania się przypuszczamy np., że elektryczność i magnetyzm podczas swego przebiegu wstrząsają w szczególny sposób cząsteczki materyi; czyli naodwrót, że pewne ruchy cząsteczek są właściwością elektryczności i magnetyzmu. Magnetyzm zaś stały i elektryczność statyczna są jakby warunkami statycznemi pewnéj siły mechanicznéj względem innych sił międzycząsteczkowych na atomy ciał działających.

W dalszym ciągu zamierzyliśmy przedstawić dowody podobieństwa światła i ciepła (promienistego), przekonać, że ta gruppa sił fizycznych pochodzi z tejże saméj formy ruchów, pojmując tożsamość w takiém znaczeniu, jak np. kolor żółty z niebieskim.

Uważanie światła za własność ciał a raczéj za szczególny ich stan pod wpływem pewnéj siły, nie zaś jako wynikłość naszego organizmu, datuje się od XI wieku; lecz dopiéro w XVII wieku powstały właściwe hypotezy nad naturą światła; Grimaldi, Huyghens stworzyli teoryę falowaniu, Newton dał początek hypotezie wypływu. Ta ostatnia przez długi czas powszechnie przyjmowana, służy dziś niejako za przykład, jak wielka znakomitość naukowa zdolną jest niekiedy swoją powagą wprowadzić w zapomnienie myśl nową, szczęśliwszą, pociągając za sobą badaczy w jednym wyłącznie kierunku. Po odżywieniu myśli Grimaldiego przez Younga, Fresnela, i Cauchy, wszyscy prawie opuścili teoryę wypływu cząstek materyalnych z ciała świecącego, jako nie zdolną wyjaśnić zjawisk optycznych, wynikających ze zmiany natury światła podczas przechodzenia przez ciała. Podobne koleje przechodziły teorye dotyczące natury ciepła.

Ciepło poczytywano pierwotnie (Epikur, Demokryt) za szczególną materyę, będącą substancyą ognia ale w stanie największego rozdrobnienia; następnie uważano za materyę złożoną z drobnych cząstek pływających po przestrzeni, które dopiéro w pewnych okolicznościach objawiają swą bytność, np. podczas tarcia, przez co zostają wyciągnięte w promienie (Homberg, Sgrawesande); pod koniec ciepło zostało poczytane za wynikłość drgań cząstek ciał (Bacon, Decartes, Newton). Wreszcie w skutek prac Rumforta, Bernonilli, Eulera odrzucono materyalność cieplika, uważając go jedynie za skutek drgań wzbudzonych w eterze przez ciała gorące. Za tą ostatnią hypotezą, podobną do teoryi falowania światła, po wykryciu wielu własności ciepła odpowiadających znanym zjawiskom w świetle, przemawia wielkie prawdopodobieństwo. Zestawmy obok siebie te podobne zjawiska, należące do tych obudwu sił natury.

Zacznijmy od rozchodzenia się ciepła i światła w środkach jednorodnych. Do tego posłuży przypuszczenie bytności eteru przenikającego wszystkie ciała ziemskie, naszą atmosferę i przestrzenie między słońcem, planetami i t. d. Dopóki cząstki tego płynu subtelnego znajdują się w zupełnym spoczynku, istnieje ciemność; lecz ruch wzbudzony w jakimkolwiek punkcie zrywa równowagę w położeniu otaczających cząstek eteru i w skutek nadzwyczajnéj sprężystości tego środka, ruch udziela się z wielką chyżością na wszystkie strony, dając początek falom rozchodzącym się współśrodkowie na około punktu. Fale podobne doszedłszy do naszego oka, na delikatnéj tkance nerwowéj *siatkówce* (retinie) wywołują uczucie, które zowiemy światłem.

Gdyby eter przenikający ciała ziemskie, we wszystkich kierunkach posiadał jednostajną gęstość, lub jak inni utrzymują tęż samą sprężystość, wówczas żadnéj zmiany w rozchodzeniu się światła przez ciała przezroczyste dostrzedzbyśmy nie mogli. Lecz subtelność tego płynu materyalnego czyni prawdopodobném, że mała zmiana w układzie cząstek materyalnych jest w stanie wywołać pewne różnice w gęstości przylegających atmosfer eterycznych, czyli że ciała różnéj gęstości albo ciała posiadające budowę wewnętrzną niejednorodną w różnych kierunkach, np. kryształy, winny przedstawiać odmiany w rozchodzeniu się fal światła.

Cząstki eteru wyprowadzone z położenia równowagi nie mogą się dowolnie przesuwać, lecz muszą odbywać ruchy w pewnych tylko granicach określonych odległością otaczających cząstek i wielkością siły wzajemnie je wiążącej przy atomach ciał. Taki ruch ograniczony co do wielkości zboczenia z obu stron położenia równowagi, przyrównać można do ruchu wahadłowego. Linie krzywe opisywane przez cząstki eteru są: albo elipsy albo koła albo linie proste, jako jedynie zdolne doprowadzić do rozchodzenia się fal światła po liniach prostych. Powierzchnia fali światła rozchodzącéj się na około punktu świecącego, powstaje z jednoczesnych zboczeń cząstek eteru, to w jednym to w przeciwnym kierunku. Ta powierzchnia wewnątrz ciał jednorodnéj budowy musi być kulą. Długością fali świetlnéj zowiemy odległość, do jakiéj przesyła się ruch po eterze, w tym czasie gdy jedna cząstka, gdziekolwiek wzięta, uskuteczni swój bieg wahadłowy po obu stronach położenia równowagi.

Szybkość rozchodzenia się fal w eterze, czyli odległość, do jakiéj dochodzą wstrząśnienia wywołane w pewném miejscu po upływie jednéj sekundy, wynosi przeszło 41500 mil. Ta nadzwyczajna szybkość posłużyć może za miarę wielkiéj sprężystości eteru; wskazuje bowiem, że w ciągu jednéj sekundy ruch jednéj cząstki udziela się szeregowi cząstek, z których ostatnia od pierwszéj odległą jest według najświeższych doświadczeń (Fizeau) na 42506 mil. Im ciało jest gęstsze, tém szybkość światła przepływającego po niém musi być mniejszą; i rzeczywiście bezpośrednie doświadczenia przekonały, że, zgodnie z teoryą falowania, szybkość światła w wodzie jest znacznie mniejszą aniżeli w powietrzu i stosunek między prędkościami w tych dwóch środkach odpowiada zupełnie stosunkowi między ich skaźnikami załamania.

Jeżeli fala światła kulista przechodzi z jednego środka w inny, wtedy każda cząstka eteru na granicy tych dwóch ciał leżąca w ruch wprawiona, daje ze swéj strony początek nowéj fali; zbiór zaś tych drobnych fal przez szereg atomów eteru wzbudzonych, tworzy jednę wypadkową falę płynącą po nowym środku. Ponieważ zaś inny środek posiada w ogóle odmiennéj gęstości eter, przeto promienie tych nowych drobnych kul stają się albo dłuższe albo krótsze, a ztąd i całkowita wypadkowa fala przyjmuje powierzchnią odmienną od powierz-

chni fali rozchodzącéj się po pierwszym środku. Nowa fala zwie się załamaną.

Skoro fala eteru światło niosąca uderza o pewne ciało zawierające eter odmiennéj gęstości, wówczas właściwie ta fala rozdziela się na dwie, z których jedna rozchodzić się będzie po wnętrzu nowego ciała z małą odmianą chyżości, druga zaś powstanie w tymże samym środku, z którego pierwotnie szło światło, tylko postępować będzie w przeciwnym kierunku, lecz z tąż samą prędkością. Nachylenia powierzchni fali pierwotnéj i powierzchni fali odrzuconéj przez ciało do powierzchni tegoż ciała, muszą być między sobą równe; nie ma bowiem przyczyny zmiany prędkości. Tak więc fala światła pod tymże samym kątem się odbija, pod jakim dotknęła się płaszczyzny ciała. To zjawisko zowiemy odbijaniem się światła pod kątem padania równym kątowi odbicia.

Jeżeli fala światła, np. z powietrza podu na środek ograniczony równoległemi płaszczyznami, wtedy fala dwa razy bywa załamaną; lecz pierwsze i drugie załamania odbywają się w tychże samych, lecz odwrotnie umieszczonych środkach, ztąd powierzchnie fali padającéj i wychodzącéj z ciała o równoległych ścianach, nieprzestaną być od siebie równoległe, światło więc nie zmienia swego kierunku. Jeżeli zaś środek ograniczony jest ścianami płaskiemi, ale pochylonemi pod kątem, np. w pryzmatach, wtedy i powierzchnie fal padającéj i wychodzącéj będą także ku sobie pochylone pod kątem, który zależéć będzie od stosunku gęstości cząstek eteru środka i ciała i od kąta pochylenia płaszczyzn ciało ograniczających.

Przechodząc do ciepła, a głównie do zjawisk cieplika promienistego, spostrzegamy, że udzielanie się cieplika z jednego ciała w drugie niekoniecznie potrzebuje pośrednictwa ciał innych. W próżni ciepło rozchodzi się po liniach prostych we wszystkich kierunkach, tak jak światło i promienie ciepła i światła słabną z odległością, tak, że natężenie obu tych czynników jest odwrotnie proporcyonalne do kwadratów z odległości od ich źródła. Lecz w rozchodzeniu promieni z ciała gorącego względnie do rozchodzenia promieni świetlnych natrafiamy na pewne różnice. Promienie cieplikowe wypływające z ciał zależne są nietylko od temperatury ciała, ale nadto od własności powierzchni ciał ogrzanych, od ich gładkości, barwy i t. p. przyczyn mogących wpłynąć na gęstość ze-

wnętrznéj warstwy tych ciał. W ogóle, im mniejsza gęstość, tém silniejsze wyrzucanie ciepła, i odwrotnie wszelkie zwiększenie gęstości wpływa na zmniejszenie sposobności promieniowania cieplikowego: okoliczności dotyczące wyrzucania i przyjmowania cieplika dotąd dostatecznie nie zostały zbadane. Jednakże dostrzeżone różnice wskazują, że natura promieni cieplikowych zmienia się głównie z temperaturą ciał; w wysokich dopiéro temperaturach zdaje się, że nikną odmiany w sposobności pochłonywania lub wyrzucania promieni ciepła.

Według teoryi undulacyjnéj te zmiany przy wypływie ciepła z ciał, dają się wyjaśnić rozmaitą chyżością drgań cząstek eteru, na podobieństwo tonów muzycznych albo barw światła. I dla tego całą gruppę tych zjawisk nazwano *ciepłobarwnością* (thermochrose). Układ cząstek ciał na drgania eteru, będące zapewne przyczyną ciepła, daleko łatwiejsze i rozmaitsze objawia wpływy, aniżeli na drgania eteru światło wzbudzające. Przyczyny tego szukać należy głównie w tém, że wahania eteru ciepło rodzące (jak to poniżéj zobaczymy), wolniéj się odbywają, aniżeli ruchy należące do światła.

Promienie ciepła nie zatrzymywane na swéj drodze, rozchodzą się po przestrzeni nieograniczenie; natrafiając zaś na ciała bądź stałe bądź płynne, podobnie jak światło, albo je przechodzą albo się od nich odbijają. Badania nad przechodzeniem promieni światła przez ciała, głównie obowiązani jesteśmy Melloni'emu, który z pomocą swego sławnego przyrządu nazwanego termomultiplikatorem, okazał że ciała w rozmaitym stopniu posiadają własność przepuszczania ciepła. Jedne ciała, jak np. sól kuchenna, z łatwością przepuszczające ciepło, nazwano przecieplającemi (diathermane), inne, jak np. ałun, które pochłaniają promienie cieplika nań padające, nazwano nieprzecieplającemi (athermane). Jak nie ma ciał zupełnie nieprzezroczystych dla światła, skoro je tylko w dostatecznie cienkich blaszkach używać będziemy, tak téż nie istnieją ciała, któreby zdolne były wstrzymywać wszystkie promienie ciepła.

Doświadczając różnych ciał, np. gips, szkło, przekonano się, że jedne przepuszczają promienie cieplikowe płynące z pewnego źródła, np. lampy, a wstrzymują promienie idące z innego źródła, np. sześcianu blaszannego wodą napełnionego. Z tego powodu przyjęto, że promienie ciepła z lampy, rozpalonéj platyny, wody wrzącéj, posiadać muszą pewne im właściwe cechy,

odmiany, które je czynią podobnemi do różnokolorowych promieni światła. Tę własność pochłonywania pewnych tylko promieni ciepła Melloni nazwał ciepłobarwnością; promienie zaś bezbarwne, które po przejściu dopiéro jakiego ciała nabywają odmiennych własności czyli nabywają niby jakiéj barwy, oznaczył nazwą barwnych promieni cieplikowych (thermochroique).

Podobieństwo między działaniem ciał na ciepło a szkłami zakolorowanemi dla światła, wykrywa się przez to ważne doświadczenie, że przepuszczając ciepło przez różne ciała w taki sposób, aby ilość przepuszczonych promieni była jednakową, to promienie wyszłe posiadają różną zdolność przy przechodzeniu innych ciał na kierunku ich postawionych. Tak np., promienie ciepła, które przeszły kwas cytrynowy, winian potażu i sody, ałun, mogą z jednakową prawie siłą przechodzić przez podstawioną drugą tallę ałunową; powyższe więc ciała są jakby jednobarwne dla ciepła. Podobnie promienie ciepła, które przeszły kryształ górny, spat wapienny, szkło, mogą z różną łatwością przejść przez warstwę ałunu; ich więc barwy cieplikowe muszą być bardzo do siebie zbliżone. Termomultiplikatorem okazano, że promienie ciepła natrafiając w swym biegu na ciała ograniczone nie równoległemi płaszczyznami, np. pryzmat z soli kuchennéj, zbaczają od swego pierwotnego kierunku, czyli załamują się. Tę własność zarówno posiadają promienie słoneczne, w których ciepło i światło są zespolone, jak i promienie ciepła ciemne płynące z blachy miedzianéj rozpalonéj do 400^0 lub z sześcianu blaszannego napełnionego wodą wrzącą. Naturalnym wnioskiem załamywania promieni cieplikowych powinna być możność skupiania promieni ciepła w pewném miejscu znajdującém się po za soczewką podwójnie wypukłą, np. z soli kuchennéj. Doświadczenie w zupełności stwierdza ten wniosek, i posiadamy możność zgęszczania promieni ciepła wychodzących ze słabego źródła.

Ciepło przechodząc przez pryzmata nietylko się załamuje, ale podobnie jak światło rozprasza się tworząc pewien rodzaj widma. Widmo cieplikowe różni się od świetlnego pod tym względem, że maximum natężenia ciepła nie jest stałe, ale zmienia się stosownie do natury materyi przecieplającéj i grubości pryzmatu. Różnica w położeniu maximum ciepła i maximum światła w widmie słoneczném była przez pewien czas

zarzutem przeciw tożsamości tych dwóch czynników natury. Bliższy jednak rozbiór przeświadcza, że ta różność położeń nie jest skutkiem różnorodności źródeł je wywołujących, ale jedynie wynikłością ubocznych okoliczności, jakoto materyału pryzmatu a głównie skutkiem naszego organizmu. W saméj rzeczy sądzimy o natężeniu światła za pomocą naszego organizmu, lecz wiemy z doświadczenia, że oczy różnych osób, a nawet oczy tegoż samego indywiduum w pewnych okolicznościach, np. pod wpływem barw przyległych, nie są zdolne sądzić dokładnie o mocy tegoż samego źródła światła. Co się zaś tyczy ciepła, jego natężenie oznaczać możemy z wszelką dokładnością od nas nie zależącą. Nadto, jak to Melloni okazał, wstawienie warstwy wody na drodze promieni słonecznych zdolne jest maximum ciepła przypadające zwykle na krańcu koloru czerwonego, tojest w miejscu ciemném widma słonecznego, przesunąć w miejsce jasne widma słonecznego, a nawet zbliżyć aż do barwy żółtéj, tojest do miejsca, w którém przypada maximum światła. Jeżeli więc weźmiemy pod uwagę płyny wodniste, zawarte we wnętrzu naszego oka, to można pojąć, iż na siatkówce ocznéj maxima ciepła i światła muszą przypadać w jedném albo w dwóch bardzo blizkich siebie miejscach.

Promienie ciepła mogą się odbijać od różnych powierzchni, podobnie jak promienie światła; lecz moc odbicia zależy wiele od natury odbijającéj powierzchni. Najsilniéj odbijają ciepło metale, tak np. dobrze wypolerowane srebro ze 100 padających na nie promieni odbija się 97. Zwierciadła metalowe posiadają nadto własność niezmieniania przez odbicie stosunku różnych odmian promieni cieplikowych; tak, że na drodze promieni odbitych od metalowych zwierciadeł, ustawiając różne blaszki z miki, gipsu, szkła, ilość promieni przez nie przechodzących, jest takąż samą, jak ilość promieni przechodzących przez nie wprost to jest bez poprzedniego odbijania się od metali.

Dotąd uważaliśmy ciała mające budowę wewnętrzną jednakową we wszystkich kierunkach (isotrop), czyli w których fale eteru we wszystkich kierunkach jednakowych doznają przeszkód; przejdźmy do rozchodzenia się drgań eteru po ciałach różno układowych (heterotrope). W takich ciałach powierzchnia fali świetlnéj nie może być kulą mającą środek w punkcie wstrząśnienia, ale powierzchnią krzywą, któréj

kształt będzie zależnym od szybkości rozchodzenia się fal w różnych kierunkach massy ciała. Jeżeli układ cząstek materyalnych ciała odmiennym będzie w dwóch lub trzech kierunkach, to powierzchnia krzywa będzie posiadała dwie lub trzy różne osie, słowem powierzchnia fali świetlnéj w kryształach ściśle złączoną będzie z ilością różnorodnych osi krystalizacyi. Jeżeli kryształ należy do systematu regularnego, mającego trzy równe do siebie prostopadłe osie, wtedy światło we wszystkich kierunkach przenika go bez żadnéj różnicy, i fala światła ma kształt kuli; kryształ więc działa, jak sześcian ze szkła. Skoro kryształ należy do gruppy jedno-dwuosiowéj, lub jedno-trzyosiowéj mających jednę oś odmienną co do wielkości od pozostałych osi, lecz do nich prostopadłą, wówczas powierzchnia fali świetlnéj, nie przestając być powierzchnią obrotową, przyjmuje jednak taki kształt, że w jednym kierunku stanie się dłuższą, tojest zmieni się w elipsoidę obrotową. Forma takiéj powierzchni wywołuje rozdzielanie się pojedynczego promienia światła wewnątrz kryształu na dwa inne, z których każdy idzie według praw odmiennych. Taki właśnie fakt dostrzegamy na krysztale spadku islandzkiego. Przez niego przepuszczona wiązka światła, rozdziela się na dwa promienie, z tych jeden łamiący się według zwykłych praw nazywany promieniem zwyczajnym, drugi zaś ulegający odmiennym prawom w swojém załamywaniu, zyskał nazwisko nadzwyczajnego. Już Huyghens podał sposób geometryczny, na wynalezienie kierunku obu promieni światła w podobnych kryształach, ale tylko w szczególnych przypadkach; dziś analiza objęła wszystkie przypadki kierunków padających i podwójnie łamiących się promieni. Podwójne łamanie światła może mieć miejsce i w kryształach należących do pozostałych trzech systematów krystalizacyjnych, które mają to wspólnego, że kryształy do nich należące, nie posiadają osi równych między sobą. Promień światła w takich kryształach rozszczepia się także na dwa inne, nie łamiące się według praw zwykłych; obadwa więc są promieniami nadzwyczajnemi. Jednakże i w podobnych kryształach istnieją dwa kierunki, których położenie nie jest wszakże w ścisłéj zależności od osi krystalizacyjnych; po tychto kierunkach puszczony promień światła, nie rozkłada się na dwa inne. Takie dwa kierunki nazwano osiami optycznemi, a same kryształy dwu

osiowemi. Osie są nachylone ku sobie pod rozmaitemi kątami, począwszy od 3^0 (siarczan niklu) aż do 90 (siarczan żelaza). Fresnel wychodząc z przypuszczenia, że eter przenikający te kryształy w trzech różnych kierunkach, posiada odmienną sprężystość, przedstawia powierzchnią fali świetlnéj wewnątrz kryształu, jako elipsoidę mającą trzy osie prostopadłe różnéj długości i podaje sposoby na wynalezienie kierunku promieni rozdzielonych przez te kryształy.

Przechodząc teraz do cieplika promienistego, znajdujemy fakta zupełnie podobne do podwójnego załamania światła. Promienie cieplikowe, np. od słońca, przepuszczane przez wązką szparę, a następnie rzucone na znacznéj wielkości romboedr ze spadku wapiennego, po wyjściu rozdzielają się na dwie części. Knoblauch stawiając poza takim kryształem, termomultiplikator w ten sposób urządzony, aby spojenia bizmutu i antymonu leżały na jednéj tylko linii, przesuwając go powoli w poziomym kierunku, znalazł dwa maxima ciepła, wywołujące jednakie zboczenie igły galwanometru (20^0), czyli dwa miejsca, w których działanie ciepła było najmocniejsze. Te dwa punkta były przedzielone miejscem, w którém ustawiony termomultiplikator dał zboczenie daleko mniéj wynoszące (5^0).

Obracając spath wapienny, umieszczony między szparą a termomultiplikatorem, spostrzegamy, że jedno miejsce odpowiadające maximum ciepła, to się zbliża to oddala od drugiego co 90^0; więc przy cieple podobnie jak w świetle dwa rozszczepione promienie ciepła różnią się pod względem praw załamywania, jeden ulega zwykłym prawom i dlatego może być nazwanym zwykłym, drugi usuwa się od tych praw i dlatego jest promieniem ciepła nadzwyczajnym.

Natężenie ciepła w obu tych wiązkach promieni cieplikowych jest wszędzie jednakowe i wyrównywa połowie natężenia ciepła zawartego w wiązce idącéj ze szpary przed jéj wejściem w kryształ.

Ta zgodność wypadków podwójnego łamania ciepła i światła, naprowadziła Knoblauch na myśl, że ciepło padając na kryształ spatu szlifowany prostopadle do osi, nie powinno się rozdzielać na dwa promienie. Doświadczenie w zupełności stwierdziło to domniemanie; pęczek ciepła rzucony po osi kryształu, wyszedł jako pojedyńcza wiązka i wskazał jedno tylko maximum natężenia ciepła.

Zjawiska zwane uginaniem się światła, polegając na tém, że wiązka światła, przez wązką szparę puszczona, a następnie przechodząca przez drugą szparę, lub na około ostrza, daje w ognisku lunety szereg linij, naprzemian ciemnych i jednokolorowych (gdy użyte światło było także jednéj barwy), tłumaczą się w teoryi falowania tym sposobem, że każda cząstka przegrody, np. ostrza, jest jakby nowym środkiem, z którego wychodzące fale świetlne, tworzą promienie nietylko w kierunku pierwotnym otworów ale i na boki. Takie nowo powstałe fale mogą się spotykać z falami wprost przechodzącemi przez szpary, spotykając zmieniać; w skutek czego atomy eteru poddane jednocześnie dwom przyczynom usiłującym wywołać w nich oscylacyjne ruchy albo w jednym, albo w przeciwnych kierunkach, odbywają, albo silniejsze drgania, albo sprowadzane są do położenia spoczynkowego. W pierwszym razie przez podobne ścinanie się fal (interferencia) otrzymujemy smugi jaśniejsze, w drugim zaś przypadku pręgi ciemne.

W najnowszych czasach Knoblauch okazał istnienie podobnego zjawiska w cieple, a to za pomocą powyżéj wzmiankowanego linijnego termomultiplikatora. Przesuwając taki stos równoodległe od promieni światła słonecznego, przechodzących przez wązką szparę a następnie skupionych jeszcze przez soczewkę walcową, znalazł, że stos zbliżany z dwóch stron do obrazu szpary wskazuje maximum ciepła, znacznie poza granicami, w jakich, sądząc z prostolinijnego rozchodzenia światła i ciepła, toż maximum przypadać powinno. To rozszerzenie obrazu największego ciepła, licząc od szerokości, jakąby ten obraz mieć powinien, zależy:

1) od odległości, w jakiéj ustawia się stos,

2) od wązkości szpary, przez którą przepuszczamy promienie ciepła.

Ciepło więc ugina się na około wązkich otworów.

Należało jeszcze okazać, że promienie ciepła, spotykając się z sobą, w kierunkach bardzo do siebie zbliżonych, mogą się ścinać, a przez to wzmacniać lub osłabiać. Tego dowiedli w ostatnich czasach Fizeau i Foucault, używając do mierzenia temperatury termometru wyskokowego, zdolnego do objawiania różnic wynoszących $^1/_{100}{}^0$ i który nadto dla uniknienia błędów, zasłonili od ciągów powietrza i gwałtownych zmian temperatury. Promienie światła słonecznego rzucili na zwier-

ciadło Fresnela, składające się z dwóch metalowych płaskich zwierciadeł, nachylonych ku sobie pod kątem bardzo mało różniącym się od 180°; ztąd otrzymali przez ścinanie się fal świetlnych smugi ciemne i kolorowe. W przestrzeni przez nie zajmowanéj, przesuwając swój termometr i obserwując mikroskopem jego podziałkę, wykryli miejsca, w których przypadało podwyższenie temperatury i punkta, w których następowało jéj zniżenie. W widzialnym więc obrazie, ciepło podobnie jak światło było poprzedzielane: np. w środku jasnéj pręgi przypadało maximum ciepła, minimum zaś w przyległéj ciemnéj smudze.

Te piękne odkrycia przeważnie przyczyniły się do wykrycia analogii, albo raczéj tożsamości źródeł ciepła i światła. Przekonywają bowiem, że ciepło tak jak i światło, powstawać musi przez drganie cząstek materyalnych pewnego płynu, skoro te wahania, albo się wzmacniać pod działaniem sił działających w jednym kierunku, albo zupełnie niszczyć mogą, skoro siły prawie równe wywierają swe wpływy w kierunkach wprost sobie przeciwnych. Na téj postępując drodze widzimy możność ocenienia długości fal cieplikowych, a to według tejże saméj metody, jakiéj używamy przy ocenianiu długości fal świetlnych.

Najważniejszym jednak dowodem, przemawiającym za tożsamością źródeł ciepła i światła, są zjawiska polaryzacyi.

Światło, które do naszego dochodzi oka, jest powiększéj części zmienione i zaledwie mała jego część znajduje się w tym stanie, w jakim się znajdowała w chwili wyjścia z ciała świecącego, np. słońca. Oko odbiera bowiem światło po największéj części odbite od różnych powierzchni, np. chmur, murów, przez co światło jest już zabarwione i posiada w części przynajmniéj zmienioną naturę. Chcąc się przekonać o rzeczywistości tego mniemania, dosyć rzucić wiązkę promieni światła równoległych na powierzchnią szklannego zwierciadła pod kątem 35° 25″ albo na powierzchnią pęczka równolegle ułożonych cienkich tafelek szklannych; wówczas światło rozdzieli się na dwie części: jedna odbije się pod kątem równym kątowi padania, druga zaś przejdzie przez pęczek szklannych tafelek, załamując się stosownie do wielkości skaźnika załamania. Lecz odbite w ten sposób światło zmieniło już swe własności, np. powtórnie może się odbić od szklannego zwierciadła, tylko przy pewnych położeniach jego płaszczyzny względnie do płaszczyzny pierwszego zwierciadła, lub płaszczyzny tafelek. O téj zmianie natury światła,

łatwo się jeszcze przekonać można, przepuszczając wiązkę światła przez blaszkę turmalinową szlifowaną, równolegle od osi krystalizacyi i na takie światło patrząc przez drugą podobną blaszkę turmalinową. Wtedy jeżeli osie krystalizacyi są od siebie równoległe, światło przechodzi zupełnie, tracąc jedynie ze swego natężenia część odpowiadającą grubości i zabarwieniu użytych blaszek turmalinowych; lecz stawiając turmaliny tak, aby ich osie były do siebie prostopadłe, światło przez tak złożone blaszki, wcale przejść nie może.

Promienie światła po przejściu przez turmalin muszą więc doznawać takiéj saméj odmiany w swéj naturze, jak przez odbicie od powierzchni szklannego zwierciadła pod kątem $35^0 25'$. albo przez załamanie w wiązce szkieł równoległe szlifowanych. Przez takie działania nadajemy promieniom światła, zdolność objawiania swych pierwotnych własności odbijania się i załamywania, tylko w pewnych położeniach i na pewnych płaszczyznach. To spostrzeżenie zmiany natury światła przez odbicie, uczynione w początkach tego wieku (Malus 1810) nazwano polaryzacyą; płaszczyznę zaś odbicia, na któréj leży i odbija się wiązka światła, płaszczyzną polaryzacyi. Zjawiska polaryzacyi są najsilniejszą podporą hypotezy ondulacyjnéj światła. Stanowią zadanie mechaniczne, które analitycznie traktowane daje wypadki nietylko zgodne z innemi dotąd faktami, ale nadto te poszukiwania analityczne, posłużyły do wykrycia nieznanych dotąd zjawisk. Początkowo przypuszczano, że drgania cząstek eteru, światło wywołujące, odbywają się podłużnie, tojest w kierunku prostopadłym do kierunku fali, tak jak to ma miejsce w dźwięku, powstającym przez wahanie się cząstek powietrza. Wkrótce jednak wykryte zjawiska polaryzacyi wskazały niepodobieństwo podobnego rodzaju drgań dla cząstek eteru. Przyjęto więc, że te drgania odbywać się muszą poprzecznie, tojest prostopadle do kierunku promienia i to jeszcze w dwóch prostopadłych ku sobie kierunkach. Ile zaś razy światło jest polaryzowane, zawsze drgania cząstek eteru ten stan wywołujące, odbywają się na jednéj tylko płaszczyźnie. Płaszczyznę, na któréj odbywają się oscyllacye, zowiemy płaszczyzną wahań i ona jest prostopadłą do płaszczyzny polaryzacyi; tak np. polaryzując światło przez odbicie, zmuszamy cząstki eteru do ruchów wahadłowych, odbywających się na płaszczyźnie prostopadłéj do płaszczyzny odbicia światła, a polaryzując przez załamanie,

zwracamy drgania na płaszczyznę schodzącą się z płaszczyzną załamywania. Turmalin zaś działa w ten sposób, że z dwojakiego gatunku wahań eteru w świetle niezmienionem, przepuszcza tylko te drgania, które się odbywają w kierunku płaszczyzny przez oś przechodzącéj.

Lecz oprócz pojedynczego załamania i odbicia, światło polaryzuje się jeszcze przejściem przez ciała krystaliczne, które podwójnie łamią światło, np. spat islandzki. Patrząc na płomień przez romboedr spatu nakryty papierem, opatrzonym cienką szparą, otrzymujemy w oku dwa obrazy szpary równéj mocy; probując każdy z tych obrazów przez rzucenie ich na tafle szkła czarnego, albo przez turmalin szlifowany równolegle od osi, spostrzegamy, że gdy jeden obraz zupełnie się odbija, drugi ginie w odbiciu, albo że podczas obracania turmalinu, co ćwierć koła, jeden z tych obrazów niknie w przezroczu. Służy to za jasny dowód, że światło podwójnie złamane jest spolaryzowaném, w dwóch do siebie prostopadłych płaszczyznach. Kryształy podwójnie łamiące, używane są dziś najczęściéj do polaryzowania światła, albo do rozpoznawania światła, które przez inne sposoby mogło uledz zmianie co do swéj natury. Pryzmat Nicola z spatu islandzkiego stanowi najlepsze do tego celu służące narzędzie.

Polaryzacya ciepła naprzód wykrytą została za pomocą promieni słonecznych (Berard), a następnie dopiéro w promieniach ciemnego ciepła przez Melloni i Knoblauch. Promienie słońca odbite od czarnego zwierciadła pod różnemi kątami, przepuszczał Knoblauch przez pryzmat Nicola i następnie próbował je za pomocą termomultiplikatora. Multiplikator okazywał wówczas różne zboczenia stosownie do rozmaitéj wielkości kąta i do położenia głównego przecięcia pryzmatu względem płaszczyzny odbicia. Kąt, przy którym najsilniejsze objawiało się ciepło, był 35^0; jestto właśnie kąt polaryzacyi światła przez odbicie od szkła; położenie zaś pryzmatu odpowiadające maximum ciepła, miało wtedy miejsce, gdy przecięcie główne pryzmatu leżało prostopadle do płaszczyzny odbicia. Z tego drugiego warunku wyprowadzimy wniosek, że płaszczyzna polaryzacyj odbitych promieni ciepła jest prostopadłą do płaszczyzny odbicia.

Ciepło, podobnie jak światło daje się polaryzować i przez załamanie. Jeżeli promienie cieplikowe przepuszczone przez

wiązkę tafelek ze szkła zwyczajnego padną następnie na drugą wiązkę podobnychże talli, wtedy odpowiednio do rozmaitego położenia względem siebie tych dwóch pęczków szkła, ciepło bywa w różnym stopniu spolaryzowaném. Probując za pomocą termomultiplikatora natężenie ciepła, które przeszło przez system tych dwóch wiązek, znajdziemy np., iż przy kącie 60^0 padania promieni względem normalnéj do płaszczyzny szkieł pierwszéj wiązki, multiplikator daje $12^0\,5'$ zboczenia i skoro płaszczyzny załamania obu wiązek szklannych są równoległe; a tylko 3^0, gdy te płaszczyzny nastawimy do siebie prostopadle. Jeżeli w miejsce drugiéj wiązki szkła analizującéj promienie ciepła przez pierwszą przepuszczone, użyjemy pryzmatu Nicola, a za nim dopiéro umieścimy termomultiplikator; wtedy z obrotu głównego przecięcia pryzmatu, dochodzimy do wniosku, że płaszczyzna polaryzacyj zmienionych przez załamanie promieni ciepła, leży prostopadle do płaszczyzny załamania. Łącząc to prawo z poprzedniém dotyczącém położenia płaszczyzny polaryzacyi promieni odbitych, widzimy, ze płaszczyzny polaryzacyi promieni cieplikowych przez odbicie i przez załamanie są względem siebie prostopadłe.

Knoblauch wykrył, że i podczas podwójnego załamywania promieni ciepła, wiązki ciepła są spolaryzowane. Wypadek tych poszukiwań da się w ten sposób streścić, że ciepło zawarte w swietle słonecznem, podobnie jak promienie świetlne składa się z dwóch wiązek prostopadle do siebie spolaryzowanych. Wychodząc z tego odkrycia Wartmann probował polaryzacyi ciepła atmosferycznego za pomocą termomultiplikatora umieszczonego w skrzyni opatrzonéj rurą mającą wewnątrz pryzmat Nicola, lecz tak osadzoną, iżby ciepło na multiplikator dopiéro po przejściu pryzmatu padać mogło. Tym sposobem znalazł, iż w dwóch położeniach pryzmatu, różniących się o 180^0, przypadało maximum ciepła; a w dwóch innych położeniach, o 90^0 pochylonych względem pierwszych, miało miejsce minimum natężenia ciepła. Służy to za dowód, że ciepło do ziemi wraz ze światłem dochodzące, jest po większéj części spolaryzowane i że płaszczyzny polaryzacyi obu tych czynników natury schodzą się pomiędzy sobą.

W r. 1811 Arago odkrył, że kwarc posiada własność skręcania płaszczyzny polaryzacyi promieni światła, tak, że blaszka kwarcowa gruba na jeden mm. skręca płaszczyznę pola-

ryzacyi dla promieni barwy czerwonéj o 19°, dla żółtéj o 24°, a dla niebieskiéj o 36°. Następnie Biot drogą doświadczeń przekonał, że wielkość skręcenia zależy od grubości blaszki i że oprócz kwarcu, którego jedne gatunki w prawo, drugie w lewo skręcają płaszczyznę polaryzacyi, wiele jest ciał płynnych tęż samą własność posiadających; np. roztwór kamfory, dextryna, roztwór cukru, olejku cytrynowego, skręcają w prawą, a roztwór gummy, terpentynowego olejku etc. w lewą stronę; w ogóle jednak ciecze w daleko niższym stopniu objawiają tę własność.

Biot i Melloni w poszukiwaniach czynionych w celu przekonania się, czy materye, zbaczające płaszczyznę polaryzacyi światła, wywierają podobny wpływ na promienie ciepła, używali do spolaryzowania i rozpoznawania zmienionego ciepła, dwóch wiązek z cienkich blaszek mikki, które ustawili do siebie prostopadle. Pierwsza wiązka polaryzowała promienie ciepła, druga zaś odbijała spolaryzowane ciepło, nie przepuszczając żadnego promienia cieplikowego. Między te dwie wiązki mikki wstawiali blaszkę kwarcową grubą na 7,5, która płaszczyznę polaryzacyi dla czerwonego koloru światła zbacza o 131°; przed całym przyrządem umieszczali soczewkę z soli kuchennéj, zbierającą promienie ciepła, a po za przyrządem termomultiplikator, który miał wykrywać bytność promieni cieplikowych. Okazało się, że jeżeli przy pewném położeniu wiązek mikki bez kwarcu, multiplikator wskazywał minimum zboczenia, tojest cały przyrząd najmniéj przepuszczał ciepła, to za wstawieniem blaszki kwarcowéj (bez poruszenia wiązek mikki) ilość ciepła była znaczniejszą; zboczenie igły multiplikatora wynosiło blizko dwa razy więcéj. Powtarzając doświadczenia powyższe nad polaryzacyą kołową, Prevostaye i Dessains wykryli, że oprócz kwarcu i ciecze działają na obrót płaszczyzny polaryzacyi promieni ciepła; tak np. olejek terpentynowy, roztwór cukru, które zbaczają płaszczyznę polaryzacyj świetlnych promieni, podobnie działają i na promienie cieplikowe. Nadto używając te ciecze w różnym stopniu nasycenia i warstwy różnéj długości przekonali, iż promienie spolaryzowane przechodząc te ciecze, doznają tychże samych zmian i w takichże samych stosunkach, jak promienie świetlne. To jest, że wielkość zboczenia płaszczyzny polaryzacyi zależy w olejku terpentynowym od grubości warstwy tej cieczy, a w roztworze cukrowym od grubości warstwy i od mocy nasycenia.

W ogóle promienie ciepła przedstawiają wszystkie zjawiska do polaryzacyi światła należące. A że te doświadczenia z polaryzacyą ciepła głównie przedsiębrane były na mocy przypuszczalnéj tożsamości natury tych dwóch czynników, przeto pomyślne ich wypadki mogą niejako posłużyć za najsilniejsze poparcie prawdopodobieństwa saméjże hypotezy.

Przystąpmy nakoniec do zjawisk pochłonywania światła i ciepła przez kryształy. Wiemy z krótkiego opisu podwójnego załamania powyżéj przywiedzionego, że np. turmalin przepuszcza jednę tylko wiązkę polaryzowanego światła, drugą w sobie pochłania. To pochłanianie najwyraźniéj okazać można za pomocą pryzmatu z turmalinu tak szlifowanego, aby krawędzie były równoległe od osi krystalizacyi. Patrząc przez taki graniastosłup blizko krawędzi, gdzie grubość jest najmniejszą, dostrzegamy dwa obrazy powstałe z podwójnego załamania promieni światła; lecz podsuwając coraz grubszą warstwę turmalinu, polaryzacya przechodzącego światła staje się coraz dokładniejszą, ale jednocześnie i znikanie drugiego obrazu. Pochłanywanie niektórych promieni przez kryształ, daje początek różnym barwom stosownie do kierunku, w jakim przepuszczamy światło, np. turmalin szlifowany prostopadle do osi, przedstawia się w kolorze zielonkowatym lub brunatnym a szlifowany równolegle od osi, staje się prawie nieprzezroczysty albo przynajmniéj ciemny. Tę własność ciał względem światła od minerału dichroit, nazwano zrazu dichroisme; lecz gdy Herschel na innych dwuosiowych kryształach znalazł trzy kierunki do siebie prostopadłe, przy których następują różne odmiany światła uważanego w przezroczu, wtedy nazwę zmieniono na trichroisme, cały zaś szereg zjawisk tego rodzaju oznaczono Polychroismus albo Pleochroismus (Haidinger).

Odmiany barw światła zwyczajnego w przezroczu nie na każdym okazują się kryształe, są jednak wyraźniejsze przy użyciu światła polaryzowanego. Haidinger do badań tego rodzaju urządził lupę składającego z długiego romboedru spatu islandzkiego, mającego na końcach przytwierdzone szklanne pryzmata, tak, iżby zewnętrzne ich powierzchnie były prostopadłe do najdłuższéj krawędzi spatu. Cały przyrząd osadził w pierścień z korka i otoczył walcem mosiężnym, w jedném dnie którego istnieje otwór kwadratowy, a w drugiém otwór okrągły. Nakoniec między otworem okrągłym a szklannym

pryzmatem umieścił soczewkę takiego ogniska, iżby otwór kwadratowy drugiego dna przedstawiał się wyraźnie, jako dwa dotykające się obrazy. Z pomocą takiego urządzenia zyskujemy dwa obrazy: zwyczajny i nadzwyczajny, obok siebie ustawione ze swemi właściwemi barwami, a więc w położeniu dogodném dla oceniania przeciwności kolorów.

Tą lupą patrząc na kryształy jednoosiowe cięte w sześcianki, mające ściany prostopadłe lub równoległe od osi, rozkładamy w pierwszym razie promienie przez podstawę idące na dwa obrazy, które posiadają zawsze jednakową prawie barwę, zwaną barwą podstawy; w drugim zaś przypadku (gdy ściana sześcianku równoległa od osi) otwór kwadratowy daje także dwa obrazy różnie zabarwione, jeden mający barwę podstawy, a drugi barwę powierzchni bocznéj. Jeżeli z kryształów dwuosiowych wytniemy czworościenne graniastosłupy, tak, iżby każde dwie przeciwległe ściany były prostopadłe do jednéj z osi, wtedy z pomocą powyższéj lupy można w takich kryształach wykryć trzy barwy: podstawy, ścian poprzecznych i podłużnych. Podobnie zachowują się niektóre kryształy i względem ciepła. Knoblauch okazał, że przechodzenie promieni ciepła jest w ścisłéj zależności od położenia osi kryształów. Szlifując sześcianki z kryształu górnego zadymionego, turmalinu, berylu w ten sposób, aby ścianki były równoległe od osi krystalizacyi i osadzając je tak, aby mogły przybierać różne położenia względem promieni słonecznych, przekonał się, że np. stosunek ilości przechodzących promieni ciepła przez kryształ górny w dwóch różnych położeniach jest jak 100:92; w berylu jak 100:54; a w obu tych razach promienie ciepła idące prostopadle do osi, daleko trudniéj przechodzą, jak promienie puszczone równolegle od osi kryształów.

Podobieństwo zachowywania się promieni ciepła i światła w zjawiskach polaryzacyi wywołuje potrzebę (podobnie, jak w świetle) przypuszczenia, że cząstki płynu, które swemi ruchami dają początek ciepłu, odbywają swe drgania poprzecznie do kierunku promieni ciepła. Nadto zjawiska ścinania się (interferencyi) promieni ciepła dowodzą, że fale cieplikowe podobnie do świetlnych, powstają z jednokierunkowych ruchów (tojest skierowanych w jednę stronę) cząstek płynu subtelnego, leżących na powierzchni kuli lub elipsoidy. Taka ogólna zgo-

dność w zjawiskach nasuwa pytanie, czyli czasem obadwa te czynniki natury, nie pochodzą z tychże samych ossyllacyj i tegoż samego płynu subtelnego, eteru. Objaśniając tę kwestyą, najprzód wypada nadmienić, że według doświadczeń Drapera, temperatura potrzebna, aby np. blaszka platynowa świecić mogła, czyli rozpalać się do czerwoności, wynosi 525°. Przepuszczając promienie świetlné wychodzące z rozpalonego metalu przez pryzmat i wpatrując się lunetą w utworzony obraz, spostrzegamy wychodzące na jaw najprzód linie ciemne, znajdujące się w widmie świetlném od strony czerwonéj, tojest w kolorze najmniéj łamiącym się. W miarę wznoszącéj się temperatury blachy platynowéj, wyraźnemi się stają w ognisku lunety linie Fraunhofera w dalszych częściach widma po za czerwonym kolorem, powstałych z barw mocniéj się łamiących. Tak więc z podnoszeniem temperatury nietylko wzrasta natężenie światła, ale przybywają barwy coraz silniéj łamiącego światła. Draper przekonywa, że ilość ciepła i światła rośnie prawie proporcyonalnie z temperaturą. Te fakta zdają się świadczyć, że ciepło i światło zależą jedynie od różnorodnych pod względem szybkości drgań cząstek eteru. Skoro ciało jakimkolwiek sposobem przez tarcie, uderzenie, będzie miało wstrząśnięte swe cząstki, wówczas powstały ruch udziela się przyległym cząstkom materyalnym, a jednocześnie i atomom eteru oblewającym cząstki materyalne; im gwałtowniejsze będą te drgania cząstek materyalnych, tém szybsze muszą być i ruchy eteru, tém większa objawia się temperatura w ciele. Gdy w końcu drganie cząstek eteru w jednéj sekundzie stanie się tak szybkiém, że dojdzie 400 bilionów oscyllacyi, wtedy eter nabywa własności wywołania fal światła posiadających najmniejsze załamanie np. przez pryzmat i rażenia naszéj siatkówki ocznéj. Przy jeszcze gwałtowniejszym ruchu cząstek eteru rośnie temperatura i powstają fale świetlne wywołujące promienie mocniéj się łamiące.

Nakoniec skoro chyżość, przejdzie poza pewne granice, tojest gdy liczba drgań na sekundę wyniesie około 800 bilionów, wtedy tworzą się fale i promienie, nie zdolne już razić siatkówki, lecz natomiast posiadające własność wywoływania działań chemicznych, które jak wiémy, przypadają głównie po za kolorem fioletowym widma słonecznego.

Aby stwierdzić to śmiałe na pozór twierdzenie, że ciepło, światło i chemizm są skutkami różnéj chyżości drgań cząstek eteru, i że promieniami świetlnemi nazywamy te, które w pewnych granicach mogą wstrząsać układ włązek nerwowych stanowiących naszą siatkówkę, przytoczymy doświadczenie wykonane przez Helmholtza nad częścią widma słonecznego, niewidzialnego, czyli w zwykłych okolicznościach niesposobnego razić naszéj siatkówki.

Znakomity ten fizyolog oddzielił część widma słonecznego, leżącą poza barwą fioletową; przepuścił ją przez szparę, a następnie ujął na pryzmat z kwarcu, aby otrzymać nowe widmo ciemne. Kierując na nie lunetę opatrzoną soczewkami kwarcowemi, zdołał to widmo uczynić widzialném.

W takiém to widmie można rozróżnić ciemne smugi, ocenić ich skaźniki załamania. Te linie ciemne, dla których Esselmann oznaczył skaźniki i długość odpowiednią fal, nazwano literami H, L, M, N, O, P, Q, R. A że Fizeau, Foucault ze swych badań nad ścinaniem się (interferencyą) promieni cieplikowych, leżących po drugiéj stronie widma słonecznego, t. j. od strony barwy czerwonéj, oznaczyli skaźniki załamania i długość fal pewnych miejsc, które oznaczymy przez a, b, c, d, e, f, przeto łącząc obserwacye Fizeau i Foucault z znanemi wypadkami Fraunhofera i niedawno otrzymanemi przez Esselmanna, otrzymamy następny szereg dla promieni świetlnych i ciemnych, ciągnących się z obu stron pierwszych (1).

Ostateczna granica działań ciepła . . .	a = 0,001940	Fizeau i Foucault
	b = 0,001745	
	c = 0,001445	
	d = 0,001320	
	e = 0,001196	
	f = 0,001101	
Widmo świetlne	A = 0,0007610	Fraunhofer
	B = 0,0006878	
	C = 0,0006565	
	D = 0,0005888	
	E = 0,0005260	
	F = 0,0004843	
	G = 0,0004291	

(1) Monatsber. Berl. Akademie 1855 str. 757.

H = 0,0003923
L = 0,0003791
M = 0,0003657
N = 0,0003498
O = 0,0003360
P = 0,0003290
Q = 0,0003232
R = 0,0003091

} Esselmann

W tym szeregu trudno dokładnie oznaczyć granice, gdzie się zaczyna światło, a kończy ciepło. Ciepło istnieje w całym pasie widma słonecznego; tam jednak gdzie przypada jego najmocniejsze działanie, istnieją tylko drgania zdolne wywołać jedynie ciepło. Ciepło więc zdaje się być ogólniejszym objawem drgań cząstek eteru: światło zaś przyrównaćby można do gatunku ciepła powstającego z takiego rodzaju drgań, które widzialnemi stać się mogą. Światło jest jakby przypadkowym czynnikiem, bo tylko uważane względnie do organizmu zwierzęcego daje początek czuciu, które światłem mianujemy.

Samo światło przez się jest bezbarwne i nieświetlne, nabywa tych własności dopiéro w naszém oku; możemy więc idąc za Mellonim nazwać ciepło także światłem tylko dla nas niewidzialném. Można jednak przy pomocy pewnych ciał uczynić widzialną, część ciemną widma słonecznego. Podobnie, część widma słonecznego za fioletowym kolorem leżąca, może wywołać światło przy użyciu ciał, jak np. roztworu chininy.

Zestawiając równolegle zjawiska ciepła i światła, mieliśmy na uwadze jedynie tę formę ciepła, w któréj ten czynnik wychodzi z ciał w kształcie promieni, tojest tak zwany cieplik promienisty; dla innych bowiem form ciepła nie znajdujemy odpowiednich zjawisk w świetle, z któremi to porównanie przeprowadzićby się dało. Jednakże niepodobna pominąć, że zatrzymywania ciepła przez ciała, czyli ogrzewania się ciał pod pewnym względem odpowiadają niedokładnie jeszcze poznanym zjawiskom fosferescencyi. W pierwszym i w drugim razie materya ciężka zatrzymuje w sobie czynniki natury, możemy więc przypuścić, że ruch cząstek eteru w ciele uwięzionego wywołany drganiem eteru zewnątrz rozlanego, trwa nawet po usunięciu źródła podniecającego do ruchu. Być może, że przez długie trzymanie ciała przy źródle ciepła, lub przez długie wystawienie go na światło (insolacya), powstaje ruch

i w cząstkach ciała; tak obudzony ruch nie może tak prędko przejść do stanu równowagi, a przez to samo pomaga do przedłużenia ruchu eteru w ciele zawartego, trwającego nawet po usunięciu przyczyny ten ruch wzbudzającéj.

W dzisiejszym stanie nauki, trudno coś stanowczego powiedzieć o naturze zjawisk wywołanych przez inne formy ciepła; zbyt mało wiemy o wewnętrznéj budowie ciał, któréj małoznaczna na pozór zmiana wywołuje już różnice to w rozchodzeniu się, to w pochłonywaniu lub odbijaniu promieni świetlnych (1).

S. P.

(1) Przedmiot powyższego ustępu obszerniéj można znaleźć rozwinięty w dziele V Weber'a „Licht und Stralende Wärme mit Rücksicht auf die Identitätstheorie".

KORRESPONDENCYE.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Otrzymawszy upoważnienie do założenia Instytutu Muzycznego w Warszawie, postanowiłem odwołać się do ogółu, by téj nowéj instytucyi, mającéj powiększyć liczbę naszych naukowych zakładów, z czynną przyszedł pomocą.

W ten tylko bowiem sposób Instytut powyższy otwartym i w życie wprowadzonym, w ten tylko sposób poczucie ogólne jego potrzeby dowiedzionem i rozwój Instytutu zapewnionym być mógł.

Znając kraj, jego potrzeby, jego uczucia, jego do ofiar gotowość, gdy chodzi o rzecz publicznego pożytku, wziąłem na siebie ten obowiązek, który był i będzie najwyższém mego życia zadaniem: wziąłem się do niego *z wiarą, ufnością* i *wolą silną:*—z wiarą, że mi poparcia nie braknie; z ufnością w współczucie, jakie spotkać musi każde przedsięwzięcie w podobny sposób interes ogólny mające na celu; z wolą silną niezrażenia się zawadami, gdybym jakie w dochodzeniu do celu spotkał.

Do téj pory liczne ze wszech stron czynne poparcia (*) utwierdziły tylko moją wiarę i ufność; zawad ani niechęci nie spotkałem nigdzie; z dowodów sympatyi, jakie dotąd projekt Instytutu zyskał, mogłem być prawie pewnym, że czysto osobiste zachody i ofiary wystarczyłyby do zapewnienia mu istnienia; ale zdawało mi się, że obowiązkiem jest moim o ile można jak najwięcéj nową instytucyę z ogółem zespolić, jak największéj liczbie osób otworzyć możność przyłożenia ręki do dzieła, przyjęcia udziału w przedsięwzięciu, tak bardzo interes ogólny mającego na widoku. Zdawało się mnie, że w ten sposób lepiéj usłużę i instytucyi i ogółowi: *piérwszéj* przez zapewnienie jak największéj liczby orędowników, *drugiemu* przez otwarcie nowéj drogi dla służenia sprawie publicznéj!

Oto jest powód dzisiejszego mego wystąpienia! Tutaj winienem dać objaśnienie, dlaczego téj nowéj instytucyi naukowéj nadawać muszę znaczenie tak rozległe. W czasach jak nasze, w których nie-

(*) Wiele ofiar fundatorskich, stypendyów osobistych, oraz zbiorów dyecezyalnych powiatowych w Cesarstwie i Królestwie zostało już wzniesionych na rzecz Instytutu Muzycznego, a których lista szczegółowa wkrótce będzie ogłoszoną za pośrednictwem dzienników krajowych.

kiedy zasłyszeć można słowa lekceważące sztukę, objaśnienie to koniecznem się zdawało, by wykazać, że nie przez naśladownictwo, ale przez poczucie potrzeby miejscowéj, czasem, postępem i rozwojem wychowania wywołanéj, projekt owéj instytucyi powstał i w wykonanie ma być wprowadzony.

W wykształceniu ogółu, sztuki a przedewszystkiem *muzyka*, przeważną dziś odgrywają rolę. Nie tu miejsce wykazywać jéj wpływ cywilizacyjny i moralny; w braku jednak rozleglejszych przykładów u nas samych, powołaćbym się mógł na kraje, które nas w tym względzie wyprzedziły, by dowieść, jak muzykalne wykształcenie wnikając aż do klass uboższych, oddziałało na moralność tych klass, odrywając je od grubszych i bardziéj materyalnych rozrywek i pozwalając im kosztować wyższych duchowych przyjemności. Niedawno jeszcze złożone świadectwa o towarzystwach orfeonistów francuzkich, towarzystwach potworzonych w większéj części miast Francyi, wystarczyćby tutaj mogły.

U nas dość trudno przychodziłoby wyszukiwać śladów podobnego wpływu muzyki w tych uboższych sferach społeczeństwa; dotąd jest ona tylko towarzyszką prawie wyłączną swobodniejszych zajęć, niezależności majątkowéj. Tutaj coraz częstsze, coraz rozleglejsze jéj wymagania spotykamy. Na te więc sfery zwróćmy uwagę.

Cóż tam spotykamy?—tam spotykamy dotąd, jeżeli nie bacząc zbytnio na szczegóły, wejrzym w ogólne prowadzenie naszego muzykalnego wykształcenia, zdolności, talentów nawet znachodzim mnóstwo, ale o trudność wykształcenia ścisłego owe zdolności albo rozbijać się muszą, albo w chęciach swych słabnąć, w zapale stygnąć, rozdrabniać się, więdnąć, z czasem niknąć, jeżeli zwłaszcza zamożność lub wyjątkowe okoliczności nie przyjdą im w pomoc.

Przy tylu talentach wyższych, na naszéj niwie wzrosłych, pod względem nauki i kierunku wykształceniem muzykalném, oglądać się musimy po największéj części ciągle na obcych, sprowadzać z zagranicy za drogie pieniądze, powierzając im naszych synów i córki, pozwalać, by cudzoziemcy, nawet mimo woli, zacierali w nich poczucia dla *obcych* obce, a które jednak u nas nigdy wygasnąć nie powinny!

W ten sposób owo wykształcenie muzykalne, mające być ostatecznym kwiatem ogólnego wykształcenia, jeżeli weźmiem jego *ogół* nie szczegóły, jeżeli zwłaszcza z miast większych przeniesiem się do miast mniejszych, a tembardziéj do siedzib wiejskich, zamieszkałych przez obywateli; owo wykształcenie, powtarzamy, zdaném jest na łaskę przybyszów obojętnych, lub nawet nieraz niechętnych, których droga najczęściéj zapłata dostatecznie zjednać, ani nieraz i zatrzymać nie potrafi.

Ztądto po największéj części owa najkosztowniejsza u nas część wychowania rychło zapomnianą i zaniedbywaną bywa, bo obcy nauczyciel nie stara się wszczepić prawdziwego do sztuki zamiłowania, ani gruntowném wykształceniem wzmódz zdolności wrodzone. Muzyka wówczas chybia swego celu: zamiast podnieść ducha, służy tylko do pozornego i chwilowego blasku!

Jeżeli z domów prywatnych wejdziem do kościołów, a od świątyń Pańskich powinienbym zacząć moje wywody, jakiż smutny bezład tam spotykamy! Posłuchajmy głosu organów w czasie służby Bożéj, posłuchajmy śpiewu: wszędzie, z małym wyjątkiem, albo niedołęztwo, albo obczyzna!

Zjeździłem kraj cały w moich muzykalnych pielgrzymkach; we wszystkich jego stronach bliższych i dalszych, spotykałem też same fakta; wszędzie wzmagające się zamiłowanie w sztuce, żądanie jéj coraz silniejsze, talentów i zdolności mnóstwo, środki zaś wykształcenia jeżeli nie powiem żadne, to w każdym razie nie odpowiadające owéj potrzebie i wymaganiom.

Ztąd wyrodziła się myśl utworzenia wyższéj instytucyi muzycznéj, która z czasem, dając krajowi dobrych nauczycieli i wykonawców, mogłaby odpowiedzieć jego artystycznéj potrzebie, ułatwić naukę muzyki, wydobyć na jaw zdolności, dziś dla braku możności wyższego kształcenia ukryte, wprowadzić to wykształcenie, a przynajmniéj jego początki do mass, dotąd instynktowo tylko sztukę pojmujących; zdawało mi się też i zdaje dotąd, że instytucya taka zrobi i to dla nas, co podobne instytucye zrobiły dla innych krajów, że z czasem rozwinie ową muzykę z wybitną cechą *naszą, własną, oryginalną*, któréj tak widoczne ślady spotykamy już w kilku kompozytorach wielkiego talentu, a których śpiew czy to w formie pieśni lirycznéj, czy to w formie instrumentowych kompozycyj, tak do naszego ducha przemawia.

Tworząc ten projekt, byłem tylko echem żądań nader licznych, obywateli kraju naszego stron rozmaitych, którzy w instytucyi podobnéj widzieli pożytek ogólny tak ze względu na zwiększenie dróg kształcenia się młodzieży, jak ze względu na rozwój sztuki u nas.

Tém przekonaniem i temi radami powodowany, zwróciłem się z prośbą do Tronu. Najjaśniejszy Pan raczył najłaskawiéj podanie moje uwzględnić i na otwarcie Instytutu Muzycznego pozwolić.

Dobroczynny Rząd pomocą swą założył pierwsze fundamenta pomienionéj instytucyi, udzielając na ten cel odpowiedni gmach, restauracyę tegoż, subwencyę roczną i przywileje korzystne równie dla tejże instytucyi, jakotéż dla kształcącéj się w niéj młodzieży (*).

W tém, co wyżéj powiedziałem, zamkniętemi są wszystkie cele Instytutu: 1) *Otworzenie dla młodzieży nowéj drogi do kształcenia się i do pracy szlachetnéj i pożytecznéj.* 2) *Zapewnienie krajowi uzdolnionych i wykształconych organistów i nauczycieli śpiewu kościelnego rzymsko-katolickiego.* 3) *Zapewnienie mu z czasem dobrych nauczycieli do instytutów, pensyonów i domów prywatnych.* 4) *Przygotowanie zdolnych wykonawców tak w muzyce instrumentalnéj, jak wokalnéj.* 5) *Zrobienie wykształcenia muzykalnego przystępniejszém i powszechniejszém, przez zmniejszenie kosztów nauki.* 6) *Nakoniec, podniesienie muzyki krajowéj już to w pieśni kościelnéj, już też w pieśni krajowéj i lirycznéj.*

(*) Art. 70 Ustawy Instytutu Muzycznego warszawskiego.

Jednym z warunków Ustawy jest zyskanie od kraju potrzebnego funduszu. Dlatego dziś odwołuję się do kraju, objaśniając mu dążność instytucyi i powody, skłaniające mnie do téj odezwy.

Dlatego dziś śmiem zwrócić się do zacnego naszego *duchowieństwa*, które u nas w obywatelskich przysługach nigdy nikomu wyprzedzić się nie dało, by tak dla ogólnych względów, jak z przyczyny udziału, jaki muzyka brać jest obowiązaną dla podniesienia blasku służby Bożéj, podało rękę tworzącemu się Instytutowi.

Dlatego odwołuję się do ogółu *obywateli* naszych, którym nic pod względem ogólnego rozwoju, wykształcenia, postępu i sławy kraju obojętnem nie jest, by nie odmawiali czynnego poparcia Instytutowi.

Dlatego nakoniec odwołuję się do braci moich w sztuce, do *artystów* wszelkiego zawodu, by wsparli ów Instytut swą pomocą, urządzaniem koncertów, przedstawień, zabaw, przeznaczonych na zebranie zasiłków potrzebnych. Oni pomiędzy pierwszymi wystąpili do mnie z słowem zachęty, z ofiarą, pomocą; oni może najubożsi pomiędzy nami, objawili najżywszą gotowość poniesienia swego prawdziwie wdowiego grosza na ołtarz ogólnego interesu! Niech będą dzięki tym wszystkim, którzy ową serdeczną objawili gotowość! Niech im będą dzięki za tę gorącą skwapliwość, która tyle dobréj otuchy przyniosła.

Do wszystkich udaję się z wiarą i ufnością, bo mówię w interesie publicznym. Słowo to święte wszędzie znajduje odgłos, wezwanie podobne zawsze u nas znajdzie odpowiedź.

Każdy tu może przyjść z pomocą; oprócz całkowitych akcyj fundatorskich 500-rublowych i protektorskich stypendyów 300-rublowych, dozwolonemi są także *zbiorowe* stypendya, oraz datki 25-rublowe. Te ostatnie są utworzonemi dlatego, by każdy mógł się wedle możności przyczynić do wzrostu nowéj instytucyi. Instytut nie może mniejszych kwot przyjmować nad owe 25 rubli, ale ta kwota w prywatnych rękach może wzrość z drobniejszych datków. Te kwoty razem zebrane utworzą stypendya, za które młodzież nasza wykształcenie pobierać będzie.

Im więcéj będzie składających, tém większą będzie siła nowéj instytucyi, tém silniéj oprze się ona na współczuciu ogółu, tém zadanie jéj bardziéj będzie ułatwione. A nie samego Instytutu interes mam tutaj na względzie, ale i myśl, że gdy chodzi o rzecz ogólnego pożytku, nie damy się wyprzedzić, i że każdy z nas przyłoży się do niéj jak może.

Nie jednemu *summa* będzie się zdawać *za wielką* do zebrania, *termin* zebrania *za krótki*. Sądziłem jednak, że w rzeczy podobnéj wagi i znaczenia, przyjmując na siebie obowiązek, *mogłem za kraj zaręczyć*. Ani też nie zrobiłem tego lekkomyślnie, bo z dawna poznałem potrzeby i życzenia kraju w tym względzie. Co do terminu, zdawało mi się, że rzeczy dobréj nie godzi się puszczać w odwłokę, że należy korzystać z czasu, że dla obojętnych lata całe byłyby terminem zbyt krótkim, dla popierających zaś gorliwie dobro ogółu, półroczny termin jest *dostateczny*.

Dla ułatwienia zbierania składek, uprosiłem od siebie marszałków gubernialnych i powiatowych, jakoteż deputatów w Cesarstwie i Królestwie, którzy już do jéj przyjmowania łaskawie pomoc swoją przyrzec raczyli; nadto zaś wszelkie ofiary na rzecz Instytutu Muzycznego mogą być przysyłane wprost już to do redakcyi pism peryodycznych krajowych, już też na imie dyrektora Instytutu Muzycznego w Warszawie. Listy imienne składek, jako świadectwo odebrania, ogłaszanemi będą w miarę wpływających summ.

Z wiarą i *wytrwałością* idę do celu, który tutaj jasno wyłożyłem; z wiarą w ważność tego celu, w sympatyę, jaką ten budzić musi w ogóle naszym; z wytrwałością, któréj nic zachwiać nie potrafi, gdyby spotkać się przyszło z przeciwnościami, nieodłącznemi od żadnego ludzkiego przedsięwzięcia.

Odwołując się więc do waszych serc, szanowni obywatele, wiem co czynię.

Urzeczywistnienie Instytutu ma to wysokie znaczenie, że wzniesiony siłami wspólnemi, będzie dowodem miłości dla kraju, gotowości służenia mu, nie czczém życzeniem, lecz uczynkiem i gorliwością, oraz dowodem wdzięczności Najjaśniejszemu Panu *za pozwolenie i pomoc daną, a nakoniec nowym dowodem dla świata, że kiedy idzie o dobro i użytek dla kraju, słowo* obojętność *jest u nas nieznaném.*

Warszawa,
d. 2 (14) grudnia 1859 r. *Apolinary Kątski.*

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej (*).

Po siedmiomiesięcznym pobycie moim w Wilnie, dokąd udałem się dla przyjęcia księgarni nabytéj u p. Teofila Glücksberga, powróciwszy do Żytomierza, objąłem ster wydawnictwa Biblioteki Domowéj, o czem zawiadamiam osoby, mające udział w tém przedsięwzięciu.

Lubo czas niezmiernie jest dla nas drogim i najwłaściwiejby go poświęcić rozpoczętemu dziełu wydawnictwa, jednakże obecność moja w Wilnie koniecznie potrzebną była, gdyż przyjęcie kupionéj księgarni nie cierpiało zwłoki, a rachunki rozpoczęte z p. Glücksbergiem, potrzeba było uregulować i zakończyć.

Pomysł wydawnictwa tanich książek, oddawna już wielu zajmował, czas tylko na jego spełnienie nastał teraz dogodniejszy.

Tę myśl ogółu, przez organa gazet naszych nieraz ogłoszoną, wypowiedziałem; panowie Karol Kaczkowski i Leon Lipkowski, do serca ją wzięli i do zrealizowania w obywatelstwie dopomogli. Bez ich pomocy, słowa moje jak tylu innych, uleciałyby z wiatrem; szczę-

(*) Umieszczamy tę korrespondencyą, jakkolwiek spóźnioną, z powodu, że po długiém milczeniu podaje nam wiadomość o działalności Spółki żytomierskiéj.

śliwy jestem. żem się złączył z temi ludźmi szlachetnego serca, którzy za całą swą bezinteresowną gorliwość, mają tylko pracę, troski i sądy często niesprawiedliwe.

We trzech wystąpiliśmy jako zakładcy domu handlowego, bo ta forma jest dla nas najdogodniejszą, bo książka nim się stanie karmią duchową, musi niestety, przechodzić przez ręce handlarza. Staramy się robić to, co jest w naszéj mocy, i przez stosunki z najznakomitszymi autorami i uczonymi, usiłujemy nadać szlachetny kierunek naszemu handlowi i uiszczać się z przyrzeczeń ogłoszonych w prospekcie.

W pierwiastkowym naszym planie, właściwe księgarstwo miało dopiéro z czasem u nas nastąpić; nadarzyła się przyjazna okoliczność nabycia od Glücksberga wielkiéj księgarni na arcydogodnych warunkach. Jakże było nie skorzystać i odrazu nie osiągnąć tego, do czego długiemi laty ledwobyśmy przyjść zdołali?

Nie pierwszy to raz zawiązywała się w kraju naszym podobna spółka; za dni naszych w Warszawie, a niegdyś w Wilnie utworzoną była, ale obie upadły. Dla czego? bo nie były wsparte handlem księgarskim, bo księgarstwo je pochłonęło. Nabyta u pana Gliicksberga księgarnia, dostarczając nam wielką ilość tanich książek, dozwala i rozwijać handel na nowych warunkach, i dla dzieł przez nas wydawanych udzieli miejsca dla ich odbytu, a tém samém uwolni nas od narzucania się z nimi księgarzom.

Księgarnie p. Glücksberga kosztować nas miały 17,000 rs. z tego sprzedawca ustąpił 2,000 rs. i naddał w ofierze książek szkolnych na 1,200 rs., a tak całe nabycie w Wilnie i Kijowie kosztuje 15,000 rs. Pokazało się przy szczegółowém obliczeniu, że samych nakładów p. Teofila Glücksberga mamy (w cenie zniżonéj o 50%) na cyfrę 42,000 rs. prócz massy książek obcych wydań, we wszelkich gałęziach wiedzy i różnych językach, prócz księgarni kijowskiéj, którą dziś rozdzielono na dwie księgarnie: kijowską i żytomierską, a tak trzy księgarnie dostały się nam za 15,000 rs. i to na rozkłady na trzy lata; kapitał, wydawnictwa tylko w 5,000 rs. został tu użyty.

Nieżyczliwi krzyczą, żeśmy kupili same wybierki lub rzeczy przestarzałe, ale katalogi, które wkrótce będą wydrukowane, najlepiéj zaświadczą o nieprawdziwości tych zarzutów. Książka, to nie suknia zależąca od mody: co dobrego, zawsze dobrem zostanie. Z wydań p. T. Glücksberga są takie, które nigdy ceny nie stracą, jako to: Dzieła Brodzińskiego, Literatura Kondratowicza (Syrokomli), Dzieje Wapowskiego w przekładzie Malinowskiego, Filozofia chrześcańska Jakóbowicza, Pomysły Herdera w przekładzie Bychowca, kilka dzieł ks. Hołowińskiego, Przezdzieckiego, Marcinkowskiego, Pielgrzym w Dobromilu, Pamiętniki Chr. Paska, Rozmyślania Ewangelii i t. d.

Drugą podstawą naszego przedsięwięcia jest drukarnia; chcieliśmy aby wydawnictwo miało swoją, ale zauważano, że zakład czysto-fabryczny, powinien stać osobno i sam z siebie się rozwijać. Spółka do wydawnictwa powoli się zawiązywała, Bóg wie kiedybyśmy się wspomogli na drukarnią, wymagającą znacznych kapitałów; powstała

więc z osobnych summ, które po większéj części złożyli przewodniczący wydawnictwu. Jest więc dziś na rozkazy, jak każda pracownia, co spełnia wszelkie obstalunki. Ale i drukarnia nim się urządziła, musiała przechodzić ciężkie próby. Wszystko sprowadzaj z Warszawy lub Lwowa, szukaj po prowincyach, wyuczaj na nowo. Nieraz, to co znacznym kosztem sprowadziłeś z daleka, nic nie warte; ztąd nie jeden zawód, pomyłka, opóźnienie, ztąd pierwszy elementarz przez nas wydany, musieliśmy przedrukować po dokładniejszém przejrzeniu onego. Już wszystko zdaje się urządzone, a tu dom w ogniu i tylko dzielności straży ogniowéj winni jesteśmy ocalenie naszéj drukarni, przy niewielkich w niéj stratach. Papieru szukać musisz w Kijowie, Kijów sprowadza go z Moskwy, więc wprost do Moskwy posyłasz pieniądze; termin przychodzi, a papieru nie ma i zaledwie w parę miesięcy potém się zjawia. Ileż trosk i usiłowań, by na przyszłość uniknąć podobnych zawodów! Wszakże mimo tych przeszkód, na kontrakty kijowskie (jeżeli jakie nieprzewidziane nie zajdą trudności) wydane będą: Elementarz układu p. F. Nowickiego, Katechizm przez ks. Chwalibóga, Bajki Jachowicza, Pielgrzym w Dobromilu, Chronologia pana Konopackiego, Kronika Nestora, oryginał z przekładem i notami p. Kotkowskiego, Gigantomachia pana Galli, Kartka z dziejów sztuki p. Siemieńskiego. Poeta i Muzyk, powieść p. A. Janowicza. Do druku mamy nadesłane: I tom Opowiadanie o Janie III, przez p. Szajnochę, I tom powieści p. J. Chodźki, Supplement do Pamiętników kwestarza; 2 tomy obrazu poezyi i prozy polskiéj. w przykładach. przez Aleks. Grozę; dalszy ciąg Dziejów literatury polskiéj, przez Syrokomlę i t. d.

W niebytności mojéj zastępował mię p. Apollo Korzeniowski, za co niech mi będzie wolno złożyć mu publicznie podziękowanie, równie jak i pp. Pietkiewiczowi, Nowickiemu i Czapskiemu, którzy dotąd dla wydawnictwa gorliwie i bezinteresownie pracowali.

Żytomierz,
d. 19 listopada 1859 r. *Aleksander Groza.*

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

DZIEŁ I PISM WYCHODZĄCYCH W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Miesiąc Listopad 1859 roku.

DZIEŁA.

Encyklopedya powszechna. Tom I. Zeszyt 4, 5 i 6. Warszawa, 1859, nakł. i druk. S. Orgelbranda, w 8ce, str. od 337—448, 449—560, 561—672, okł. druk., każdy zeszyt kop. 35.

Łuczkiewicz Henryk. Farmakologia wedle układu Dra F. Oesterlena do podręcznego użytku opracowana. Warszawa, 1860, nakł. i druk. K. Kowalewskiego, w 8ce, str. VI, treści nieliczb. 4 i liczb. 310 i XIV, okł. druk., rsr. 1 k. 50.

Kamiński Jan Nepomucen. Zabobon czyli Krakowiacy i Górale, zabawka dramatyczna ze śpiewkami w 3 aktach. Warszawa, 1859, druk A. Gins, w 8ce, str. 140, okł. druk. kop. 60.

Sk(imborowicz) Hipolit. Rzecz krótka o życiu i dziełach Szyllera wydana w rocznicę stulecia urodzin jego obchodzoną w Warszawie roku 1859. Warszawa, nakł. A. Nowołeckiego, druk K. Kowalewskiego, w 8ce, str. 30.

Elsenberg J. Powieści z Pisma Świętego starego przymierza dla młodzieży wyznania mojżeszowego. Warszawa, 1859, druk S. Orgelbranda, w 12ce, str. 153, okł. druk.

Wiązanka miłości ułożona ku czci najsłodszego serca Zbawiciela, z trzema rycinami na stali, z francuzkiego. Warszawa, 1859, druk J. Psurskiego, w 12ce, str. XII, 570 i wykazu przedmiotów nieliczb 5, okł. druk. rsr. 1.

Katalog dzieł historycznych, prawnych, architektonicznych, oraz powieści i romansów księgarni i składu nut muzycznych Michała Glücksberg. Warszawa, 1860, druk J. Glücksberga, w 12ce, str. 107,

Gliszczyński Michał. Rozmaitości naukowe i literackie. Tomik 4, Warszawa, 1859, nakł. autora, druk Gazety Codziennéj, w 12ce, str. 158, okł. druk., zawiera: Innocenty III, Epopea i Filozofia w Indyach.

(Ciechoński Jakób). Pan starosta Zakrzewski. Wydał *Michał Grabowski.* Kijów, 1860, druk Gazety Codziennéj w Warszawie, w 8ce, str. VI i 157, okł. druk. kop. 75.

Wiadomość o szkaplerzu Niepokalanego Poczęcia N. Maryi P. z dodatkiem stosownych modlitw. Warszawa, 1859, druk XX. Missyonarzy, w 12ce, str. 71, okł. druk.

Feliński Stanisław ks. Kazania na niektóre niedziele i uroczystości w roku. Warszawa, 1859, druk J. Ungra, w 8ce, str. 72, okł. druk. k. 30.

Świątkiewicz Wojciech ks. Nauki parafialne na niedziele i znakomitsze uroczystości w roku zebrane, z dzieł ks. *Bonnardel.* T. II. Warszawa, 1859, druk XX. Missyonarzy, w 8ce, str. 256, okł. druk.

Kalendarz biurowy ścienny na rok 1860. Druk Banku Polskiego, fol. kop. 30.

Młodzian Seraficzny Święty Stanisław Kostka. Nowenna w uwagach i modłach z życia św. Stanisława czerpniętych, młodzieży do rozmyślania i naśladownictwa przedstawiona, odpustami przez Stolicę Apostolską udarowana. Tłumaczył z włoskiego ks. *S. U.* Warszawa, 1859, druk XX. Missyonarzy, w 12ce, str. IV 62, okł. druk.

(Miniszewski Józef). Galerya obrazów szlacheckich, opowiadania Cześnikiewicza. Warszawa, 1860, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8ce mniejsz., okł. druk. T. I str. 304. T. II str. 310. T. III str. 321. (T. 3 rsr. 3 kop. 60).

Amscejewicz Michał. Ahn'a Praktyczne prawidła nauczenia się w krótkim czasie języka rossyjskiego z zastosowaniem do użytku młodzieży polskiéj. Kurs pierwszy. Warszawa, 1859, druk A. Gins, w 8ce, str. 112, okł. druk. kop. 40.

Zbiór przepisów dotyczących uregulowania stosunków włościan osiedlonych w dobrach prywatnych w Królestwie Polskiém. Warszawa, 1859, druk A. Gins, w 8ce, Poszyt 1 str. 85 i spisu przedmiotów nieliczb. 2, okł. druk.

Hirschfeld Ludwik. Wstęp do wykładu anatomii opisującéj. Warszawa, 1859, druk J. Ungra, w 8ce, str. 15.

Katalog czytelni polskiéj przy księgarni i składzie materyałów piśmiennych i rysunkowych Adama Karlsbad. Warszawa, 1859, druk J. Glücksberga, w 16ce, str. 80 kop. $7^1/_2$.

F. Ahn'a. Wykład praktyczny nauki języka francuzkiego z niemieckiéj oryginalnéj edycyi przerobiony i do użytku młodzieży polskiéj zastosowany przez *B(ernarda) L(esmana).* Kurs drugi. Warszawa, 1860, nakł. B. Lesmana, druk J. Psurskiego, w 8ce, str. 106 i XXI kop. 40.

Pamiętnik Teodora *Jewłaszewskiego* nowogrodzkiego podsędka. 1546—1604. Wydał *T(adeusz) Ks. L(ubomirski).* Warszawa, 1860, druk Gazety Codziennéj, w 8ce, str. 74, okł. druk. kop. 45.

Kalendarzyk na rok 1860, druk Banku Polskiego, kop. 20.

Ustawa o służbie cywilnéj w KrólestwiePolskiém. Warszawa, 1859, druk J. Ungra, w 16ce, str. 112, okł. druk.

Уставъ о гражданской службѣ въ Царствѣ Польскомъ. Г. Варшава, 1859, въ типогр. О. Унгра, w 16ce, str. 139, okł. druk.

Directorium divini officii sacrisque sacrificiis rite persolvendis juxta generales et peculiares rubricas tam breviarii quam missalis nec non sacrae rituum congregationis. Ad usum seraphici ordinis minorum S. P. N. Francisci conventualium et monialium sanctae clarae virginis ac tertii ordinis utriusque sexus. Auctoritate A. R. P. Magistri Juliani Oscik Ministri provincialis ac Commissarii generalis. Pro anno a nativitate Christi MDCCCLX ipso bissextili. Pro Provincia in Regno Poloniae dispositum. Varsavie, typis J. Psurski, w 8ce mniejsz., str. 51 i nieliczb. 2.

Dwie podróże na około świata przez niewiastę odbyte, Dzieło pani *Idy Pfeiffer*, przełożył *Juliusz Schedling*. Warszawa 1860, nakł. F. S. Dmochowskiego, druk J. Jaworskiego, w 8ce, str. 312. (Przedruk z Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych 1859 r.)— okł. drnk. rs. 1 k. 20.

Dawne obyczaje i zwyczaje szlachty i ludu wiejskiego w Polsce i w ościennych prowincyach. Warszawa. 1860, nakł. F. S. Dmochowskiego, druk J. Jaworskiego, w 8ce, str. 314 i nieliczb. spisu przedmiotów 2, okł. druk. rsr. 1 k. 20.

DZIEŁA ZBIOROWE.

Kalendarz astronomiczno-gospodarski na rok 1860, który jest rokiem przestępnym, mającym dni 366. Warszawa, nakł. F. L. Salzsteina, druk K. Kowalewskiego, w 4ce, str. 36, XX, 8, okł. druk., kop. 30, zawiera prócz części astronomicznéj i kościelnéj:

Kalendarz czyli przepisy gospodarskie na wszystkie miesiące. Kalendarz kuchenny. Reguły Doświadczyńskiego. O podlewaniu ogrodowizn. Żółta lucerna. W jakim czasie różne nasiona wschodzą. Środki przeciw dymieniu się. Sposób przechowywania świeżego mięsa. Przechowywanie długo słodkiego mléka. Jastrych z popiołu zamiast podłogi. Termina opłacania podatków. Jarmarki. Kop. 30.

Deutscher Warschauer Kalender für das Jahr 1860 welches ein Schalt-Jahr von 366 Tagen ist. Warschau. Verlag von M. Rodzyn. Gedrukt bei J. Jaworski, w 8ce mniejsz., str. 72 i XXVI, prócz części kościelnéj i astronomicznéj zawiera między innemi:

Ein Wort über das Wetter. Die Ruinen von Liebenstein. Perlen. Sonst und Jetzt. A. B. C. für grosse Kinder. Ich möchte v. Marie Harrer. Meine Mittel erlauben mir das. Industrie und Wirthschaft. Hauswirthschaft. Ueber die Fabrikation künstlicher Steine. Aus der Thierwelt. Jarmarkts-Verzeichniss. Kop. 30.

Kalendarz popularno-ziemiański na rok 1860, który jest rokiem przestępnym, mającym dni 366. Warszawa, nakł. M. Rodzyna, druk J. Jaworskiego, w 4ce, str. XVI, od 17—72, VIII, okł. druk. kop. 45, zawiera: I część kalendarzową, II część literacko-rolniczą: Kalendarz gospodarski. Szkic obyczajowy. Kalendarz leśny i ogrodowy. Przelotny obrazek, powiastka. Żniwiarka polska pomysłu Nepomucena

Rolbieckiego. Płodozmian i jego znaczenie, p. *Adama Socha*. Opisy roślin, p. *Gustawa Brüner*. Nowy Manež, p. *Zygmunta Gawareckiego*. Żniwiarka amerykańska. Poezye. Anegdoty. Rzut oka na dawny i obecny stan pszczolnictwa w Polsce, p. *Ludwika Twarowskiego*. Biurko babuni, p. *S. Ci*. O urządzeniu gnojowni, p. *Edmunda Kaszyńskiego*. Jakie są środki do podniesienia gospodarstw w kraju naszym i jakie są przyczyny zbytecznéj zmienności cen naszych produktów rolniczych, p. *Stanisława Rudnickiego*. Wieś i miasto, p. *A. K*. Przepowiednie praktycznego rolnika co do urodzajów i pogody. Wspomnienie Białéj na Podlasiu, p. *Władysława Mal*. Kobylniki, legenda historyczna. Zbiór pięknych myśli. O zbiorze zboża, p. *Pleśniewicza Józefa*. O pszczołach. Śnieżne uragany w Rossyi. Ciechocin. Przyspieszona hodowla buraków. Wystawa rolnicza w Łowiczu w 1859 r., p. *Albina Kohna*. III. Część praktyczna: Wiadomości domowe i gospodarskie. IV. Wiadomości pomocnicze: Rozkład jazdy na drogach żelaznych krajowych. Tabella przychodu i odchodu poczt. Jarmarki krajowe i zagraniczne. Termina opłacania podatków. Rozkład opłacać się mających podatków.

Jana Jaworskiego Kalendarz astronomiczno-gospodarski na rok przestępny 1860. Opisów roślin rok 23. Warszawa, nakł. i druk. wydawcy, w 4ce, str. XVI, 170, L. okł. druk. kop. 45, zawiera:

I. Część astronomiczna, między innemi: Wykaz alfabetyczny świętych i świąt. Wykaz odpustów. Wymiary świata słonecznego. Asteroidy. Tabella do regulowania zegarów podług kompasu. O regulowaniu zegarów podług kompasu. Wypadki średnie dostrzeżeń meteorologicznych w 1858 r. robionych. Ogólny stan r. 1858. Stan każdego miesiąca i ważniejsze zdarzenia meteorologiczne w tychże. Zamarzanie Wisły i puszczanie na niéj lodów. Trwanie lodów na Wiśle pod Warszawą. Spis alfabetyczny niektórych miast Król. Pol. wskazujący w któréj gubernii miasto położone, jaka jest odległość od Warszawy i jego położenie geograficzne. II. Część gospodarsko-techniczna: *H(ipolit) Sk(imborowicz)*: Józef Goluchowski gospodarz-filozof, z ryciną. *Wincenty Stępowski*: Płodozmian. *Karol Martin*: Budownictwo wiejskie, z tablicą planu. *Franciszek Kozielski*: O drenowaniu. *Albin Kohn*: Opisy roślin gospodarskich, z ryciną. *Fr. Miłosz*: O uprawie lnu. *Albin Kohn*: Sztuczne wylęganie drobiu, z ryciną. *Kozłowski Felix*: O taczkach i o poprawie ich konstrukcyi. *K. W.*: O użytkach podrzędnych z lasów. *Albin Kohn*: Jak hodować u nas pijawki, z rycinami. *Stanisław Loewenhard*: Fermentacya. *L.*: Literatura rolnicza, z rycinami. *Zygmunt Gawarecki*: Uprawa rabarbaru. *L. Ziemiński*: Pompa do rozprowadzania uryny i odchodów stałych, z ryciną. *Benedykt Aleksandrowicz*: O cemencie i jego użyciu. *Adam Mieczyński*: Najnowszy postęp w ogrodnictwie, z rycinami. *Jan Kr. Pietraszek*: Tartaki parowe, z ryciną. *Z. G.*: Rybactwo krajowe, z rycinami. *Julian Lubieniecki*: Rośliny dla pszczół pożyteczne. *Adam Mieczyński*: Farbowanie masła. *Seiffman Piotr*: Ochwat u koni i bydła. Maszyna do podrzynania darniny. III. Część

literacko-naukowa: *H(ipolit) Skimborowicz.* Jan Heweliusz Astronom, z ryciną. *Alexander Niewiarowski:* Stary i nowy rok. *Fr. Henryk Lewestam:* Krótki pogląd na piśmiennictwo polskie w ostatnich dziesięciu latach. *Julian Bartoszewicz:* Wawrzyniec Słupski Bandura, kandydat do korony polskiéj. Charakterystyka panowania Kazimierza W., z ryciną. *Jan Kanty Gregorowicz:* Obrazek wiejski. *(Wilczyński):* Sąsiedzkie pociechy. *O(skar) Kolberg:* Słówko o tańcach ludowych, z nutami. *Antoni Wieniarski:* Zaślubiny Jagiełły z czwartą żoną. *H(ipolit) Sk(imborowicz):* Część góry Śto-Krzyzkiéj, z ryciną. *Wacław Szymanowski:* Wyjątek ze szkicu: Sztuka i rzemiosło. Poezye. *T(ymoteusz) Lipiński:* Przysłowia tyczące się świętych. Część informacyjna. Tabella odchodu i przychodu poczt. Taksa opłat pocztowych. Rozkład jazdy na drogach żelaznych krajowych. Taryfa drogi żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj. Jarmarki. Termina opłacania podatków. Wykaz przypadających opłat od pożyczek Towarzystwa kredytowego. Spis dzieł polskich znajdujących się u księgarzy warszawskich.

Józefa Ungra Kalendarz warszawski popularno-naukowy na rok przestępny 1860, który ma dni 366. Rok piętnasty. Warszawa, nakł. i druk wydawcy, w 4ce, str. nieliczb. 16, liczb. 133, nieliczb. 3, liczb. XX, nieliczb. 30, liczb. XIII, 23, okł. druk. kop. 45, zawiera prócz części kościelnéj, astronomicznéj i informacyjnéj, pomiędzy innemi:

Anioł Zmartwychwstania O. Sosnowskiego, z drzeworytem. O wpływie ruchów ziemi na człowieka, p. *T. J. Wagnera.* Wiadomość historyczna o dawném zgromadzeniu kupieckiém w Warszawie, p. *F(ranciszka) M(aximiliana) Sobieszczańskiego.* Ojców, p. *Juliana Bartoszewicza.* Pomyłka, opowiadanie p. *Józefa Korzeniowskiego.* Opowiadania meteorologiczne: Pankracy, Serwacy i Bonifacy, p. *Adama Prażmowskiego.* Potrzeba i sposób sprawdzania dobroci gromochronów, p. *Stanisława Przystańskiego.* Ustęp z podróży odbytéj po kraju, p. *Jana Kantego Gregorowicza.* O piśmiennictwie ludowém, p. *F. Henryka Lewestama.* Starodawny szlachcic polski, p. *Kazimierza Władysława Wójcickiego.* Zamek Odrzykoński, z drzeworytem. Widok Łomży, wspomnienie z początku XIX wieku, p. *Tomasza Dziekońskiego.* O zabytkach historycznych w lasach, p. *Alexandra Połujańskiego.* Alfabet ze zdań, maksym i przysłowiów, p. *Adama Bartoszewicza.* Woda i jéj własności. Inwalidzi rolnictwa, p. *Antoniego Wieniarskiego.* Słów kilka o kartach do gry, p. *L. Grabowskiego.* Historya celniejszych roślin, p. *Jerzego Aleksandrowicza.* Herbata, z drzeworytem. O niektórych wodnych roślinach, z drzeworytem, p. *Z. Gawareckiego.* Forsowna uprawa drzew owocowych i ananasów, p. *Z. Gawareckiego.* Fotografia. Kilka słów o ogniu gregoryańskim jako przyczynie wynalazku prochu. Jak przemysł umié ze wszystkiego korzystać. O mechanice praktycznéj. Wiadomość o działaniach Towarzystwa rolniczego w Król. Polsk. w 1859 r. Wielkie zakłady przemysłowe w Warszawie. Koza kaszemirska. Kołowrot czyli kołowacizna u owiec, p. *Jana Kantego*

Gregorowicza. O postępowaniu w czasie rojenia się pszczoł, z drzeworytami, p. *Adama Mieczyńskiego.* Afisze teatralne. Rozkład jazdy na drodze żelaznéj Warsz.-Wiedeń. Taryfa przychodu i odchodu poczt. Jarmarki. Termina opłacania podatków. Taryfa domów Warszawy i Pragi. Spis ulic Warszawy. Wykaz numerów domów Warszawy przy jakiéj ulicy znajdują się. Poezye.

Kalendarżyk kieszonkowy gospodarski na rok 1860, mający dni 366. Warszawa, nakł. i druk K. Kowalewskiego, w 16ce, str. 270, zawiera:

Część astronomiczną i kościelną. Wagi różnego ziarna. Jarmarki. O opłatach i używaniu papieru stemplowego. Wykaz numerów domów w Warszawie i Pradze. Kop. 60.

PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Pamiętnik religijno-moralny. Miesiąc listopad, 1859. Nr. 11, str, od 481—600, zawiera:

Ofiarowanie się Jezusa Chrystusa (dokończenie). O ruchu i przemianie wyobrażeń w Niemczech. Pijarzy w Łukowie. Korrespondencye. Kronika kościelna i Rozmaitości. Wiadomości naukowe i Bibliografia duchowna.

Roczniki gospodarstwa krajowego. Tom XXXVII. Poszyt 2. Listopad 1859, zawiera:

Czynności Komitetu Towarzystwa rolniczego w Król. Polsk. w miesiącu październiku r. b. Sprawozdanie Komitetu drugiéj Wystawy rolniczéj odbytéj w Łowiczu r. b. Gospodarstwo ulepszające, p. *S(ewerynа) Zdzitowieckiego.* Przegląd rolniczy zagraniczny, p. *Franciszka Lutosławskiego.* Warunki konkursu do nagrody za ułożenie najlepszego poradnika hodowli koni. Przedmioty obrad przeznaczono do rozbioru na 3 ogólném zebraniu Tow. rol. w Król. Polsk. w lutym 1860 r. odbyć się mającém. Rozmaitości: Dom zleceń rolników płockich, p. *P. F. Z.* Kopanie ziemniaków na wydział. Korrespondencya J. Lompy ze Szląska górnego. O wołkach, p. *Alexandra Makowskiego.* O zagranicznym handlu okowitą, p. *tegoż.* Sprawozdanie z handlu gdańskiego za m. wrzesień r. b., p. *tegoż.* Przegląd wiadomości przez korrespondentów Tow. rol. w Król. Polsk. za m. październik r. b. nadesłanych. Dostrzeżenia meteorologiczne za m. wrzesień r. b.

Tygodnik lekarski. Nr. 41—44 zawierają:

Wiadomości konkursowe z Wilna. *K. Niżycki:* Listy o kołtunie. *K. Rose:* Treść patalogii celularnéj Virchowa. Posiedzenie 17 Towarzystwa lekarskiego z dnia 21 września 1859 r. *Michałowski:* Uleczenie paraliżu od długotrwałego gośćca pochodzącego, użyciem rośliny Rhus toxicodendron. *Niżycki:* Listy o kołtunie. *Maciejowski:* Leczenie astmy, *Przystański:* Varia. *Warschauer:* Przyczynek epidemiologiczny tyczący się zapalenia otrzewnéj połogowego. *Sci-*

borowski: Historya sinego człowieka. Pierwszy wykład patologii i terapii szczegółowéj w Akad med. chir. prof. *Chałubińskiego*. *Przeradzki*: Wyjątek z patologii komórkowéj Virchowa. *Eborowicz*: Wyciągi z pism zagranicznych. Spostrzeżenia meteorologiczno-lekarskie. Nowe dzieła. Doniesienia.

Ruch Muzyczny. Miesiąc listopad 1859. Nr. 44—48 zawierają:

Faworyta, opera Donizettego w 4 aktach, pierwsze wystąpienie panny Zawiszanki. Koncert p. Karola Tauziga. Podróż bez celu, p. *Orfeusza Dudaszka*. Kilka słów dotyczących elementarnych wiadomości o muzyce i t. d. Krótki rys historyi powszechnéj muzyki (ciąg dal.). Ludwik Spohr. Uroczystość na cześć Szyllera w Warszawie. Echo muzykalne z Wilna, p. *J. G.* Stanisława Moniuszki Szósty śpiewnik domowy (rozbiór). Karol Bogumił Reissiger. Jan Złotousty Mozart do swego ojca. Orfeon w Warszawie. Korrespondencye. Rozmaitości. Nowości krajowe i zagraniczne.

Tygodnik illustrowany. Miesiąc listopad 1859. Nr. 6—9 zawierają:

Ks. Karol Antoniewicz z drzeworytem, p. *Sewerynę z Żochowskich Pruszakową*. Akademia medyko-chirurgiczna w Warszawie z drzeworytem. Kościół Św. Michała w Lublinie z drzeworytem. Komunikacye, przemysł i handel. Nowy Kastor i Polluks albo Historya o dwóch zasuszonych kawalerach na warszawskim bruku, opowiadanie Cześnikiewicza (*Miniszewskiego*). Belizaryusz Oskara Sosnowskiego z drzeworytem. Piotr Steinkeller z drzeworytem. Żarki z drzeworytem, p. *L. Jenike*. Kościół Św. Bernarda w Wrocławiu z drzeworytem. Kronika zagraniczna (p. *Adolfa Hennel*). Stanisław Moniuszko z drzeworytem (p. *Maurycego Karasowskiego*). Wiśnicz, z drzeworytem. Kaplica w Rogalinie, z drzeworytem. Otworzenie w Warszawie Ochrony nr. 8. Dom Mikołaja Kopernika w Toruniu, z drzeworytem. Karol Szajnocha, z drzeworytem, p. *Juliana Bartoszewicza*. Gmach Towarzystwa kredytowego w Warszawie, z drzeworytem, p. *Markoniego*. Hotel angielski w Warszawie, z drzeworytem. Pogrzebanie kości na dawnym cmentarzu XX. Reformatów w Warszawie, z drzeworytem. Kronika literatury bieżącéj. Kronika sztuk pięknych. Sprawozdanie z postępu nauk przyrodzonych, przemysłu i wynalazków. Kronika tygodniowa (p. *Wacława Szymanowskiego*). Rozmaitości. Szachy. Rebusy. Zadania konikowe.

Magazyn mód. Nr. 38—42 zawierają:

Lew zakochany, powieść (ciąg dalszy). Poezye. Mody. Rozmaitości.

Czytelnia Niedzielna. Miesiąc listopad 1859. Nr. 45—48 zawierają:

Kowal jakich mało i czapnik jakich dużo. Wiadomość o książkach dla ludu wydawanych: Elementarz dla chłopców wiejskich. O otwartych praktykach gospodarczych i rzemieślniczych. Zmiana rzeczy najpośledniejszych w najprzedniejsze dokonywająca się sposobem ogrodniczym. Świętobliwe niewiasty: Elżbieta Myszkowska. Krzyż biały na mogile. O założeniu i poświęceniu kamienia węgielnego pod budowę kościoła i klasztoru dla Zgromadzenia PP. Maryawitek

w Częstochowie. O chmurach. Opowiadania Gabryela. Różnica między uprawą gleby zaniedbaną, a uprawą staranną. Rozmowa o geografii (p. *Jana Papłońskiego*). Prawdy gospodarcze. Godziny po robocie. Poezye.

Gazeta Warszawska: Miesiąc listopad 1859. Nr. 290—318 zawierają:

Capreä i Roma, obrazy z pierwszego wieku, p. *J. I. Kraszewskiego* (ciąg dalszy). Muzeum starożytności szlązkich. Korrespondencya z Jass: Charakterystyka ludności romańskiéj. O wykopaliskach w Brzezinach. Korrespondencya ze Żmujdzi: Literaci żmujdzcy, p. *Kajetana Niezabitowskiego*. Otwarcie nowych katedr w Akademii C. K. Med. Chir. Warsz. Szańce szwedzkie. Sersbskie Łużyce i ich mieszkańcy (ciąg dalszy), p. *Romana Zmorskiego*. Listy z podróży, p. *Tadeusza Padalicy* (*Zenona Fisza*). Album lubelskie zeszyt III. Legenda wieków Wiktora Hugo. Mowa miana z powodu Wystawy rolniczéj w okręgu czerskim. Jan Marcinkowski. Uroczystość stoletniéj rocznicy urodzin Szyllera. Odpowiedź na uwagi p. Z(ygmunta) W(ielopolskiego) w bibliotece Ordynacyi Myszkowskiéj z powodu artykułu o zapisie Konstantego Swidzińskiego, p. *G(ustawa) W(ołowskiego)*, Przegląd literatury zagranicznéj: Jakób Leopardi, p. *Władysława Kulczyckiego*. Charakterbilder inabgerundeten Gemalden aus der Lander und Vilkerkunde v. A. W. Grube, p. *Kazimierza Jarochowskiego*. Kościół Dominikanów i grób książąt Mazowieckich w m. Warce, p. *Z. Gawareckiego*. Uwagi o ogólnym wypadku Wystawy rolniczéj odbytéj w Łowiczu i zapatrywaniu się na nią Komitetu Towarzystwa rol. Święci patronowie cechów rzemieślniczych. Listy potoczne *Wiktoryna Zielińskiego* IX. Przegląd literatury krajowéj: Krew i duch przez Adama Pługa (Pietkiewicza), p. *Edwarda Siwińskiego*. Miasto Opole na Szlązku. Kronika kamienicy pod nr. 372. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Sprawozdania z konkursów okręgowych Towarzystwa rol. w Król. Pol. Rozmaitości. Wiadomości naukowe, literackie i bieżące.

Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych. Miesiąc listopad 1859. Nr. 111—139 zawierają:

Kredyt rolniczy (ciąg dal.). Listy z Warszawy: IV. V, Hollandya, tryb życia i obyczaje Hollendrów przez Alfonsa Esquiros (ciąg dal.). Szamil. Kongres ekonomistów niemieckich w Frankfurcie. Lasy i rolnictwo (z Przegl. dwóch światów). Uroczystość Szyllerowska. Pożyczki na hypoteki prowincyonalne. Poezye Włodzimierza Wolskiego. Jedynaczek, powieść. Praca. Społeczność i literatura zagraniczna. Domy i komorne, Historya Attyli (ciąg dal.). Sprawozdanie z czynności wydawnictwa dzieł Długosza (z Czasu). Oszczędność, p. *F(ranciszka) S(alezego) D(mochowskiego)*. Rzetelność. Korrespondencye. Rozmaitości.

Gazeta Codzienna. Miesiąc listopad 1859. Nr. 290—318 zawierają:

Silva rerum, p. *J. I. Kraszewskiego:* VII. La Legende des siecles, de Victor Hugo. VIII. Wrażenia teatralne. IX. Dziennikarstwo. X. Gazeta Codzienna w r. 1818 i 1819. Teatr: Faworyta, opera

Donizettego. Czarna i biała, komedya. Poezye A. E. Odyńca. Poezye Włodzimierza Wolskiego (rozbiory p. *F. Henryka Lewestama*). Wędrówki po ogniskach rodzinnych (p. *Miniszewskiego*). O upadku dynastyi Sobieskich. Statystyka powiatu Zasławskiego. Szyller, jako redaktor gazet, p. *F. H. Lewestama*. Uroczystość Szyllerowska. O Szyllerze rzecz czytana na obchodzie uroczystym setnéj rocznicy urodzin jego, p. *J. I. Kraszewskiego*. Listy z Paryża, p. *W.* Trochę o tragedyi, p. *Wacława Szymanowskiego*. Wojna hiszpańska, przyczynek do dziejów krajowych z końca XVIII i początku IX stulecia, p. *K. W. Wójcickiego*. Dla miłego grosza, komedya Apollina Korzeniowskiego, rozbiór *Wacława Szymanowskiego*. Wyrok Jana Kazimierza, dramat w 4 aktach, p. *Władysława Syrokomlę* (*Ludwika Kondratowicza*). O wewnętrznéj budowie roślin, według Schleidena (ciąg dal.). Nowe poezye *T. L.* Przegląd nauk społecznych, p. *L. W.* Przegląd pism czasowych. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Rozmaitości. Co tam słychać? Wiadomości literackie pod znaczkami: ×, △, ⁂, Φ, &, G.

Kuryer Warszawski. Miesiąc listopad 1859. Nr. 290—318.

Warschauer Zeitung. M. November 1859. Nr. 152—176 zawierają:

Die Göttin novelle, von Ferdinand Kürnberger (ciąg dalszy). *Madam Pompadur und die Sängerin Plaudereien aus der nördlichen Muzikzone. Aus dem Memoiren eines Polizeibeamten. Den Manen Schillers, zur Säkularfeier seines Geburtstages, v.* A. Woike. *Rede zur Schillerfeier in Warschau am 10 November 1859 verfasst, v. Dr.* W. Fecht. *Zur Gischichte der Säkularfeier Schillers. Rede zur Schillerfeier in Warschau am 10 November 1859, v.* J. I. Kraszewski, *uebersetzt v.* G. Dittmann. *Denkt darau! Etwas über den Holzverbrauch in Polen. Die drei Budrys, Lithanische Ballade von* Adam Mickiewicz, *uebersetz v.* A. Woike. *Schiller. Der Edelmann, aus den Typen und Charakteren von J. I. Kraszewski, ueberzetz v.* E. W. *Meeresstille, Sturm von Mickiewicz. Das Gericht der Mädchen von Bohdan Zaleski, uebers. v.* A. Woike. *Die Nebenbuchlerin. Lokalbericht. Muzikalisches. Technisches. Handelsnachrichten. Vermirchtes.*

Gazeta Rządowa. Miesiąc listopad 1859. Nr. 240—264 zawierają:

Ukaz Najwyższy o reformie zakładów bankowych. Ustawa o pięcioprocentowych rządowych biletach bankowych. Przedstawienie p. ministra skarbu w przedmiocie reorganizacyi zakładów bankowych. Prawidła o przywilejach nadających się niższym stopniom wszystkich wojsk regularnych i komend zarządu wojennego wstępującym do służby na termin ogólny obowiązkowy.

Warszawska Gazeta Policyjna. Miesiąc listopad 1859. Nr. 305—334 zawierają:

Nic nadto (ciąg dal.). Robert Houdin w Afryce. Przygody Bretańczyka.

Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. Miesiąc listopad 1859. Nr. 85—91 zawierają:

Uprawa truskawek, p. *Zygmunta Gawareckiego* (ciąg dalszy). Sposób poznawania dojności krowy, p. *L. N.* Przegląd krytyczny niektórych

dzieł agronomicznych. Pijawka, jéj hodowanie i pielęgnowanie, oraz korzyści z jéj hodowli wypływające, przez Augusta Jourdiera, przełożył i uwagami uzupełnił Albin Kohn, rozbiór *Zygmunta Gawareckiego*. Przyswojenie nowych roślin. Suszenie świeżych i kwaszonych jarzyn domowym sposobem, bez użycia do tego prasy. Gawędy starego gospodarza. Wychów zwierząt: O wszołach trapiących nasze domowe zwierzęta i o sposobach wytępienia takowych, p. *J. H. Lewandowskiego*. Fabrykacya kwasu stearowego (stearyny) i jego zastosowanie do świec. Grabie konne i spychacz konny, p. *Tomasza Jackowskiego*. O wołkach, p. *Alexandra Makowskiego*. Korrespondencya gospodarczo-handlowa. Korrespondencya handlowa. Wiadomości handlowe. Średnie ceny żywności na targach Warszawy i Pragi.

Gazeta rolnicza, przemysłowa i handlowa. Miesiąc listopad 1859. Nr. 43—46 zawierają:

Oranie za pośrednictwem pary, p. *Keppel Magdonald*. Wystawa rolnicza w Łowiczu (dokończenie). Liszki niszczące u nas w 1859 roku oziminy i rzepaki, p. *Antoniego Wagę*. Doświadczenia czynione w celu otrzymania spirytusu z drzewa, p. *Zygmunta Gawareckiego*. Jeszcze słów kilka o maszynie do koszenia trawników ogrodowych, p. ks. *A. I.* O próchnicy i ważności jéj dla rolnictwa, p. *Władysława Miączyńskiego*. Otrzymywanie terpentyny (dokończenie). Słów kilka w kwestyi torfu i cepuchu, p. *Albina Kohna*. O uprawie ziemi i poprawie rzeczy ziemskich, p. *Jastrzębowskiego* (ciąg dalszy). O lasach prywatnych, p. *T. Wilkońskiego*. Celniejsze narzędzia rolnicze na tegorocznéj Wystawie łowickiéj przedstawione. O wołkach. Meteorologia rolnicza. Korrespondencya gospodarska. Ostatnie wiadomości gospodarskie. Wiadomości handlowo-gospodarcze. Ceny średnie produktów rolniczych na ostatnich targach znaczniejszych miast Królestwa Polskiego.

MAPPY.

Skrzypiński Piotr. Krajobraz świata starożytnego, 1859, litogr. J. Müller, fol.

Skrzypiński Piotr. Krajobraz średnich wieków, 1859, litogr. J. Müller, fol.

MUZYKALIA.

Kuhne Antoni. Józef Mazur skomponowany na fortepian. Warszawa, nakł. i litogr. Paszkowskiego i Petersilgé, str. 3, kop. 15.

Zientarski Romuald. Muzyka kościelna chóralna i figuralna używana przy obrządkach kościoła Rzymsko-katolickiego. Zeszyt 6 i 7. Warszawa, litogr. K. Tytz, w 4ce, str. od 61—76, k. 75.

Teichman A. Dwie ofiary, ballada, na mozzo-sopran z towarzyszeniem fortepianu, słowa *K. Kaszewskiego*. Warszawa, nakł. G. Gebethnera, litogr. i sztych W. Otto, str. 11, kop. 45.

Łodwigowski E. S. Cztery krakowiaki na fortepian. Warszawa, nakł. G. Gebethnera i Spół., litogr. i sztych. W. Otto, str. 13, kop. 52 1/2.

Gnatkowski Adam. Na cześć pamięci Antoniego Lesznowskiego redaktora Gazety Warszawskiéj polonez skomponowany na fortepian. Op. 282. Warszawa, nakł. i litogr. J. Müller'a, str. 3, kop. 15.

Gnatkowski Adam. Milutka polka na fortepian. Op. 283, nakł. i litogr. J. Müller'a.

Eibl Piotr. Hulaj dusza! Mazur. Warszawa, nakł. i litogr. J. Müller'a, str. 5, k. 22 1/2.

Wieniawski Józef, Menuet grany podczas przedstawienia obrazu z żywych osób: „Szlachectwo". Warszawa, nakł. redakcyi Ruchu Muzycznego, litogr. J. V. Fleck, str. 7. (Dołączony do nr. 46 Ruchu Muzycznego).

Eibl P(ierre). Quadrille Anglais 2. Les Lanciers. Oeuvre 26. Warszawa, nakł. M. Glücksberga, litogr. i sztych. W. Otto, str. 7, kop. 30.

Gnatkowski A. Filutka polka skomponowana na fortepian. Warszawa, nakł. i litogr. J. Müller'a, str. 2, k. 15.

Zientarski Romuald. Sześć śpiewów z towarzyszeniem fortepianu. Dzieło 30. II, Żal mi dawnych lat, słowa *Henryka Merzbacha*. Warszawa, litogr. i sztych. K. Tytz, str. 7, kop. 30.

Fuchs Joseph. Souvenir à Haag polka française pour le piano. Varsovie chez G. Gebethner et Comp. Lit. et sculp. W. Otto, str. 7, k. 30.

Koman Henri: Nocturne pour le piano. Oeuvre 15. Varsovie, chez G. Gebethner et Comp. Lith. et sculp. W. Otto, str. 11, kop. 60.

Piotrowki J. K. Requiem msza żałobna do śpiewania na 3 głosy męzkie z towarzyszeniem (lub bez) organów z dodatkiem na same głosy śpiewów pogrzebowych, jakoto: Subvenite, Libera, Salve, ułożona i ofiarowana na użytek kleru XX. Missyonarzy w Warszawie u Św. Krzyża. Dzieło 4. Warszawa, nakł. G. Gebethnera i Spółki, litogr. i sztych. W. Otto, str. 31, rsr. 1 kop. 20.

RYCINY, LITOGRAFIE i t. d.

Schiller (portret). *Zum Andenken die Schiller Feier in Warschau am 10 November 1859.* Na pamiątkę uroczystości Schillera w Warszawie d. 10 listopada 1859 r. Litogr. *Aschenbrenner*, w litogr. A. Pecq et Comp., fol.

Kalendarzyk pugilaresowy na rok 1860, litogr. Fajansa, kop. 2 1/2.

Kalendarzyk pugilaresowy na rok 1860, litogr. A Pecq, kop 3.

Kalendarz ścienny chromolitografowany na rok 1860, litogr. A. Pecq et Comp., fol. (Przedstawia wnętrze Teatru Wielkiego warszawskiego podczas przedstawienia opery „Halka". Akt IV). Na odwrocie święta kościoła wschodnio-katolickiego, dnie galowe.

Kalendarzyk pugilaresowy na rok 1860. Warszawa, litogr. Juliana Wróblewskiego.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Grudzień 1859 *r.*— Pomimo wielkiéj stagnacyi w handlu księgarskim, w ostatnim szczególniéj kwartale, ruch literacki nie ustaje, a wydatnieje głównie w prassie peryodycznéj. Może i jéj rozwój wpływa przeważnie na mały pokup polskich książek: (bo francuzkie sprowadzane tysiącami egzemplarzy, publiczność nasza chciwie rozkupuje), mając w gazetach i pismach innych, dosyć pokarmu duchowego, na codzienny użytek. Przyjęcie pochlebne, jakiego doznały dwa nowe wydawnictwa, „Encyklopedyi powszechnéj i Tygodnika illustrowanego," każdy odbijany w 4,000 egzemplarzy, a dziś już blizkie wyczerpania, dobrze zdają się wróżyć na przyszłość, dając rękojmią o rozbudzonéj na większą skalę potrzebie czytania i nauki.—Kiedy Gazeta Codzienna przyjęła jeden z największych formatów ze wszystkich gazet polskich, Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych, czując że z dwoma takiemi pismami jak Gazeta Warszawska i Codzienna, współzawodniczyć nie może, zmniejsza dotychczasowy format z nowym rokiem i obniża cenę prenumeraty. Jestto jedyny, a trafny środek utrzymania tego pisma, jeżeli potrafi zebrać grono czytelników, którzy pospieszą z prenumeratą. Nie powątpiewamy o pomyślnym skutku. Wydawca F. S. Dmochowski jako premium dla prenumeratorów, którzy sobie życzyć tego będą, dodaje na kwartał dwa tomy treści historycznéj powieściowéj, literackiéj i ekonomicznéj, ofiarując te książki za „cenę prawie druku i papieru po zł. 1 gr. 20 za tom, obejmujący 250 stronnic. „W zbiorze na rok 1860 wyjdą powieści oryginalne: 1. Sprawa graniczna. 2. Dziedzic i kmiecie. 3. Sierota. 4. Duch dobrodziejstwa wiary chrześciańskiéj. 5. Wszystko przez pracę: wykład popularny zasad gospodarstwa publicznego. 6. Jedno dzieło historyczne i opisowe, jakie za najważniejsze i najstosowniejsze uzna wydawca.— Czytelnia Niedzielna, która piąty rok istnienia zaczęła, a staraniu redakcyą, doborem odpowiednich duchowi pisma artykułów, potrafiła się upowszechnić w wielu kółkach rodzin, co najważniejsza pomiędzy rolnikami i rzemieślnikami naszymi: bacząc, że nieraz potrzeba wskazuje, rozszerzenia ram pisma, dodawać będzie przynajmniéj co miesiąc półarkusza tekstu, niezmieniając, ani formatu dotychczasowego, ani ceny prenumeraty. Zaczęła dodawać i drzeworyty podług rysunków F. Kostrzewskiego. Ulepszenia te, najlepsze dają świadectwo troskliwości redakcyi o utrzymanie i rozwój pisma tak użytecznego.—Ruch Muzyczny, zapowiedział dalsze wychodzenie na r. 1860. P. J. Sikorski, z godną pochwały wytrwałością, postawił pismo swoje na stanowisku odpowiedniém założeniu swemu, ciągłą zaś starannością udoskonala.— Pamiętnik Religijno-moralny zaczął już XIX rok istnienia swego. „Czyniliśmy cośmy mogli (pisze redakcya w zeszycie grudniowym), a kto

postrzega niedostatki w pracy naszej, niech weźmie w niéj udział, naprawi co jest niedoskonałego i uzupełni co brakuje. Każde wydawnictwo u nas treści poważniejszéj, wiele dokazało, jeżeli się o własnych potrafi utrzymać zasobach. Mamy tego dowód na nielicznych publikacyach peryodycznych we wszystkich prowincyach dawnej Polski. Niech tedy nikt nas nie posądza, aby spekulacya lub zarobek były sprężyną usiłowań naszych. „Z tej okoliczności przypomniało nam się, cośmy przed parą dziesiątkami lat czytali w Wandererze wiedeńskim: „Kto powiada, że wszystko dla zysku, dla pieniędzy ludzie robią, to on jest pierwszy, którego kupić można.“

— Po krótkiej przerwie, zaczęły wychodzić w trzeciéj Seryi: „Rozrywki dla młodocianego wieku, pod redakcyą Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj. Już pismo nasze w poważnym rozbiorze, oddało należną pochwałę temu wydawnictwu, które powinno znaleźć gościnne przyjęcie w każdéj rodzinie polskiéj, gdzie troskliwość czuwa nad wychowaniem młodéj dziatwy, pragnąc ażeby wraz z nauką, rozwijały się na równi w młodocianych sercach zasady religijne i moralne. Ta dążność piękna jest wydatną w Rozrywkach, a dobór artykułów, równie jak ich obrobienie artystyczne, czysty i prawdziwie polski język dowodzą, z jak sumienną pracą każdy zeszyt obmyślany, każdy artykuł dobrany, ażeby odpowiadał głównéj myśli pisma. Dziesięć tomów dwóch poprzednich Seryi może dać świadectwo, że Rozrywki, nietylko wiek młodociany zajmować mogą: znajdą tam i dojrzalsi dla siebie rozrywkę i naukę. W nowéj Seryi, o któréj mówimy, oprócz dawniejszych przedmiotów, wprowadzonym został nowy dział wiadomości z nauk przyrodzonych. A jednak dzieło tak wysokiéj wartości i pożytku, nie rozchodzi się w odpowiedniéj liczbie egzemplarzy, jakby się spodziewać należało, i jak potrzeba wskazuje. Potrzebę tę jednak wiele rodzin zastępuje dotąd książkami francuzkiemi, poświęconemi dla młodych czytelników: czyż potrzebujemy dowodzić, że w Rozrywkach znajdą lepszą i stosowniejszą rodzice i opiekunowie pomoc w kształceniu serca i głowy, niż w obcych, często dla spekulacyi jedynie kleconych książkach? Wreszcie, co dla francuzkich dzieci, może być dostatecznem; dla polskich niedostateczne: bo inne są wymogi duchowe, inne potrzeby, i inne odrębne cele.

— Alexander Groza przygotował do druku zbiór zupełny poezyj swoich we czterech tomach, które zamierza drukiem ogłosić. Wszystkie wydania poprzednie tego ulubionego i słusznie cenionego przez ogół poety, już wyczerpane z handlu księgarskiego zostały.

— Druk trzech tomów: „Historyi Literatury polskiéj w zarysach K. Wł. Wójcickiego, już ukończony, nakładem Gustawa Semmewalda, wydany, znajduje się w handlu księgarskim. Tom IV i ostatni, wkrótce pójdzie pod prassę drukarską. Wydanie to drugie, znacznie jest powiększoném i poprawném.

— P. August Mosbach, zamieszkały w Wrocławiu, przygotował do druku dzieło p. n: „Wiadomości do dziejów polskich, z archiwum miasta Wrocławia.“ Rękopism tego dzieła nadesłał poznańskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk, z zapytaniem, czy Towarzystwo zechce wydać pracę tę własnym nakładem, oddzielnie lub też w Rocznikach swoich. Wydział Towarzystwa Przyjaciół i Nauk polecił trzem swoim

członkom przejrzeć ten zbiór dokumentów ułożony przez p. Mosbacha, i sprawozdanie złożyć w jak najkrótszym czasie.

— Do szczupłego grona dramatycznych pisarzy, przybywa nowy, a mało u nas znany Józef Szujski: ostatni jego dramat historyczny p. n. „Halszka z Ostroga," lubo przedmiot jest zużyty, odznacza się tak przedstawieniem wiernem charakterów, jak obrobieniem artystycznem. Dramat ten, ogłosił „Dodatek Czasu" w całości. Radzibyśmy poznać więcej utworów dramatycznych p. Szujskiego: które chociaż drukowane były w pismach lwowskich u nas są zupełnie nieznane.

— Z listu Józefata Obryzki z Petersburga dowiadujemy się, że na przedruk *Voluminów Legum*, zebrał dotąd 1350 prenumeratorów. Jestto jak na początek, kiedy żaden tom się jeszcze nie ukazał z pod prasy, piękna cyfra i rokująca, że cały nakład znajdzie chętnych nabywców. U nas w Królestwie, oczekuje wielu miłośników na pierwsze tomy, ażeby zaprenumerować to ważne dzieło. Tom pierwszy i drugi tego przedruku otrzymamy niewątpliwie w pierwszej połowie stycznia r. b., bo wydawca rozsyłkę rozpoczął w dniu $^{10}/_{22}$ grudnia. Tom III skończony w druku niemal równocześnie rozesłanem będzie: tom IV w lutym. Energiczne wzięcie się szanownego wydawcy w celu upowszechnienia tak ważnego pomnika przeszłości naszej, musi znaleźć i powinno silne u nas poparcie. Dwa tomy pisma zbiorowego do 60 arkuszy druku obejmujące wyszły już z pod prasy. Nakładem tegoż gorliwego wydawcy wyjdzie pierwszych dni stycznia r. b. „Żywot i dzieła Goethego", zarysy wieku jego i jego współczesnych z ogłoszonych i nieogłoszonych źródeł: napisał po angielsku G. H. Lewes, przekład Antoniego Nowosielskiego (arkuszy 40 druku). W drukarni J. Obryzki, druk tomu II Ekonomii politycznej Milla zbliża się ku końcowi.

— Z radością donieść możemy, że prace co do wydawnictwa dzieł Długosza nie ustają ani na chwilę. Równocześnie postępuje przekład dziejów, jak kollacyonowanie oryginalnego tekstu. Mamy nadzieję, że w ciągu roku, druk już się rozpocznie, sądząc po energicznem wzięciu się redakcyi, której główną siłę i poparcie stanowi Alexander Przezdziecki.

— P. Alexander Łodnowski autor monodramu znanego na scenie naszej p. n. Pan Stefan z Pokucia, wydał w Rzeszowie w Galicyi dwa utwory dramatyczne: „Eudoksya księżniczka na Klewaniu, i Berek zapieczętowany„.

— „Pražské Noviny" ciekawy mieszczą szczegół odnoszący się do wypadku z naszych dziejów i mający łączność z wymienionym dramatem J. Szujskiego. W N. 279 tego pisma znajduje się list z Jaromirza pisany na d. 18 listopada, w którym znajdujemy wzmiankę o wykryciu grobu Dymitra Sanguszki, który w dniu 3 lutego 1551 w nocy z soboty na niedzielę zamordowany został w tem mieście czeskiem przez Marcina Zborowskiego, a potem w d. 11 t. m. przez mieszczan jaromirskich z należnym obrządkiem uczciwie był pochowanym. Nagrobek jego w kościele jaromirskim ś. Mikołaja zbudowany z piaskowca, znajduje się przy ołtarzu ś. Barbary, który jest własnością cechu rzeźniczego. Na nagrobku widoczny jeszcze herb Pogoni, a u góry i po bokach napis łaciński wielce już uszkodzony, nie tak jednak, aby nic z niego wyczytać się nie dało. Odkrycie to kładzie koniec wątpliwości

co do miejsca pochowania zwłok zamordowanego księcia. Badacze nie przestaną zapewne na tém i zechcą napis nagrobku odczytać a sam nagrobek przerysować. Zapewne w pismach czeskich znajdą się później dokładniejsze wiadomości o rzeczonym nagrobku.

— Pomiędzy wydanemi książkami na gwiazdkę Bożego Narodzenia nie możemy pominąć ogłoszonego nakładem Michała Glücksberga księgarza: „Abecadlnika historycznego", ułożonego i rysowanego przez A. Lerue, wydawcę Album Lubelskiego. Pierwszy to u nas abecadlnik, który na wzór zagranicznych na przeszło 4-łokciowéj podłużnéj karcie mieści litografowane wizerunki Anny Jagiellonki, Stefana Batorego, Czarnieckiego, Długosza, Elżbietę matkę królów polskich, Firleja, Gedymina, Hozyusza, Jadwigę ś., Kopernika, króla Leszczyńskiego, Łaskiego arcybisk., Mieczysława I, Naruszewicza, Oleśnickiego Zbigniewa, Potockiego St. hetmana, Reja, Skargę, Tarnowskiego Jana, Uchańskiego, Wojciecha ś., Księcia mazowieckiego, Zamojskiego Jana. Tekst pokrótce obejmuje życiorysy wymienionych osób, poprzedzony abecadłem i nauką czytania. Dziatwa nasza ucząc się z tego elementarza, odrazu w młodéj pamięci, zachowa wydatne postacie z przeszłości narodowéj.

— Pocieszającą mamy wiadomość, że *Dodatek do Czasu* wychodzić w r. 1860 nie przestanie. Widzimy z powiększonéj objętości ostatnich zeszytów, że materyałów nie braknie; życzyć należy, ażeby koło swoich czytelników mógł rozszerzać coraz więcéj, jak na to zasługuje doborem artykułów i starannością redakcyi.

— Nakładem Michała Glücksberga już drukuje się: „Historya literatury polskiéj Juliana Bartoszewicza", w jednym obszernym tomie. W *przygotowaniu* czytelnika na czele dzieła umieszczoném, autor przywodząc wszystkie dzieła, jakie w tak ważnym przedmiocie mamy, wspomniawszy o różnych podziałach to na okresy, epoki, to na zwroty, sam nowy następny podział podaje:

Okres I *piastowski* czyli okres *kronik łacińskich*, ciągnący się od pierwszego brzasku literackiéj jutrzenki aż po r. 1386, to jest do połączenia się Polski z Litwą.

Okres II *jagielloński*, który nazywa okresem *Długosza* i który się ciągnie aż do zawiązania się literatury czysto polskiéj za Zygmunta Starego: do Reja z Nagłowic i Jana Kochanowskiego.

Okres 3 *złotego wieku Zygmuntowski*, zwany także okresem Reja i Jana Kochanowskiego, aż do upadku smaku za panowania królów z domu szwedzkiego Wazów.

Okres 4 *panegiryczny, makaroniczny*, ciągnie się aż do Stanisława Konarskiego.

Okres 5 *Stanisławowski* nazwany tak od Stanisława Augusta, gdy król wiele na literaturę tę wpływał.

Okres 6 *Mickiewicza*, ciągnie się od r. 1821 mniéj więcéj aż do dziś dnia. Z początku wre w nim walka wyobrażeń i następuje rozwój wspaniały narodowéj poezyi, a potem już wszechstronny rozwój literatury we wszelkich kierunkach. Dopiéro dzisiaj tak samo jak i za czasów jagiellońskich, mamy literaturę.

Podług takiego podziału wykłada p. Bartoszewicz historyą literatury polskiéj. Całe dzieło złoży tom wielki i będzie wielką pomocą do wykładu téj nauki.

— Pisma pod redakcyą i nakładem J. Osieckiego „Postęp" wydawanego w Wiedniu, mamy już dwa zeszyty. Niefortunne wystąpienie z pierwszym zeszytem i bezsensowne karykatury, w których chciano podać w pośmiech, rzeczy, które szanujemy, zgubnie wpłynęły na prenumeratę „Postępu". Przytém odstręczyło wielu brak staranej korrekty, myłki drukarskie nie do przeliczenia, a co najgłówniejsza, język niegodziwy i czcze deklamacye o postępie, zamiast starannych i opracowanych należycie artykułów. W drugim zeszycie zamieszczono w drzeworycie popiersie Agenora hr. Gołuchowskiego (z życiorysem): „O organizacyi Gmin." Gmach Towarzystwa Kredytowego w Warszawie z innego wzięty punktu, jak go nam przedstawił „Tygodnik illustrowany." „Podróż nadpowietrzna", w drzeworycie przedstawiony wypadek balonu olbrzymiego, zwanego „Atlantykiem." Obrazek *z tajemnic Warszawy* z drzeworytem, nieskromnie przyodzianéj baletniczki z Teatru Wielkiego jest w treści tak pospolity, że nie zasługiwał na umieszczenie w piśmie noszącém tak poważny tytuł: „Postęp". Karykatura p. n.: „Walka postępu ze staroświeczczyzną", przedstawiająca znanego pisarza walczącego piórem przeciw falandze uzbrojonemu w serdegę, szpadę, laseczkę dyrektora opery i t. p. przybory— może bawić kogoś w Wiedniu, u nas uśmiech. wywołuje litości, że takie przedmioty wprowadzają do naszego piśmiennictwa. O jednéj jeszcze nowości nadmienić musimy a niesłychanej u nas: Redaktor nie mogąc w samym zeszycie pomieścić artykułów, kończy je na kolorowych okładkach. Tym sposobem zmusza prenumeratorów, jakich potrafił zebrać do przechowywania starannego i okładek „Postępu".

— Nakładem księgarza Alex. Nowoleckiego wyszły: „Poemata mniejsze i strofy ulotne Jana Chęcińskiego", autora komedyi „Szlachectwo duszy", która tak pochlebnego doznała przyjęcia na scenie naszéj. Mieszczą się tu poemata w większych rozmiarach osnute na podaniach ludowych, oraz drobne poezye.

— Księgarz Karol Bernstein wydał w dalszym ciągu tom IX Biblioteki Popularnej nauk przyrodzonych, podług niemieckiego oryginału A. Bernsteina, o życiu roślin, zwierząt i ludzi, w przekładzie Stanisława Löwenharda. Tom X téj zajmującéj publikacyi obejmie przedmiot: „O praktycznem opalaniu". Nakładem tegoż księgarza wyszedł poemat Romana Żmorskiego p. n. Wieża siedmiu wodzów z rysunkami W. Gersona. Cztery drzeworyty odpowiednie treści téj pięknéj pieśni zdobią to wydanie. Adam Pajgert tłumacz Szekspira nadesłał przekład z Byrona „Raj i Peri", oraz poemat: „Slepa dziewczyna" z Gaskonskiego, Jasmina, które w jednym tomie wyjdą nakładem tegoż księgarza.

— Ksiądz Adam Załęski znany tłumacz wyborowych dzieł literatury starożytnej, przełożył obecnie z greckiego i przygotował do druku sześć ksiąg Ś. Chryzostoma o *kapłaństwie*. Wysoka wartość tego arcydzieła oddawna uznaną została.

— Księgarz S. H. Merzbach wydał swoim nakładem: 1) Jakóba Arago podróż naokoło świata dla młodzieży, z tekstem francuzkim i przekładem polskim, wydanie illustrowane wielu drzeworytami. 2) Godziny rozmyślania czyli rady i przestrogi dla młodzieńców, przez Karola de Sainte foi przekład z francuzkiego. Obadwa dziełka zalecają się dobrém tłumaczeniem i użytecznością treści dla młodzieży. Ostatnie: Go-

dziny rozmyślania, mają approbatę arcybiskupa metropolity warszawskiego, polecając je jako pracę korzystnie oddziałać mogącą na młode pokolenie.

— Nakładem i drukiem J. Ungra wyszły „Nauki parafialne dogmatyczne dla ludu wiejskiego", napisane na wszystkie niedziele i niektóre uroczystości przez księdza Waleryana Serwatowskiego b. professora teologii w Tarnowie. Każda z nauk może być oddzielona od innych, co ułatwia uczenie się na pamięć, lub kolejne studyowanie tychże nauk.

We Lwowie wyszły: „Wieczory Wołyńskie" J. I. Kraszewskiego. *Postęp* podając w krótkości treść téj pracy nowéj, oddaje jej wielkie pochwały. My nie znając jeszcze samego dzieła, zdania o niém wydać nie możemy.

W Krakowie wyszedł z drukarni uniwersyteckiéj „Rocznik Towarzystwa naukowego krakowskiego poczetu 3go tom III obejmujący 1) Mowę Fr. Wężyka prezesa T. N. miana d. 26 lutego 1859 r. 2) Scen kilka z dramatu *Bezkrólewie* Fr. Wężyka. 3) Zdanie sprawy kommissyi wyznaczonéj celem sprawdzenia doświadczeń Dra Dropsego we względzie jego sposobu użycia elektryczności w zastosowaniu lekarskiém przez Dra J. Majera. 4) Obraz czynności kommissyi balneologicznej w r. 1858 i 1859, skreślił p. Skobel. 5) Badanie plam krwawych sądowo lekarskie, ze szczególném uwzględnieniem w téj mierze *haniny* i użytku wodanu potasowego przez prof. Dra J. Majera. 6) Przegląd Flory okolic Krakowa przez Feliksa Berdau. Z oddziału *Biblioteki naukowéj* wydawanéj staraniem i kosztem Towarzystwa naukowego wyszła część trzecia elementarnego wykładu matematyki przez prof. uniwersytetu jagiellońskiego J. K. Sterzkowskiego, obejmująca *Geometryą analityczną* wraz z liniami i powierzchniami krzywemi drugiego rzędu.

Kijów. Nowa księgarnia Leona Idzikowskiego dobrze się zaleca nakładami mającemi prawdziwą wartość literacką. Do tych policzamy świeżo ogłoszone: 1) Pan Starosta Zakrzewski, wydał Michał Grabowski. 2) Stary Biuralista, Antoniego Nowosielskiego. 3) Widziadła, Leonarda Sowińskiego. Pierwszy raz wystąpił ten pisarz w zbiorowém piśmie wileńskiém z satyrami; teraz w powyższéj broszurze przedstawia życie poety. Dla poznania choć w części tego utworu przywiodę tu jeden ustęp (VII).

„Biedny! kto iskrę ducha zaklnie w pieśni słowa
I szczęście swe przykuje do ułudnéj mary:
Kto siły nanaszczone na życie ofiary,
W kryształowém więzieniu ideałów chowa!
Świat roztaczał przed wieszczem skarbów swoich czary:
Lecz czy żądzą szaloną płonęła mu głowa,
Czy też parła do czynu powinność surowa,
Zawsze padał zgnębiony pod głazem niewiary,
I dziwnie smutno było młodemu poecie,
W tym jasnym, posągowym, poezyi świecie.
Pierś wzdychała do szczęścia, nie było go w śpiewie,
Co wiecznie brzmiał gdzieś w ducha gorejącym krzewie,
Roiła miłość wielką, nie znała jéj przecie,
Więc tęskniła i w gorzkim zżymała się gniewie.

Kraków. W drukarni Czecha wyszedł tom 3ci dzieła: „Historya wymowy w Polsce," przez Karola Mecherzyńskiego. Mieści okres czwarty: epokę jezuicką od połowy XVII wieku do reformy Konarskiego. Przebiega autor rozwój wymowy równie politycznéj, jak i religijnéj i po szczególe przechodzi wszystkich pisarzy, którzy na tem podwójném polu szczególniéj się odznaczyli. Tom ten obejmuje nadto historyą wymowy sądowéj, wymowę przygodną, mówi o szkole wymowy, wreszcie o krasomówstwie. Ważne to dzieło, jest prawdziwém zbogaceniem literatury naszéj: pragnąćby należało, ażeby znalazł się kto, któryby podjął na równie obszerną skalę „historyą poezyi polskiej." Przedmiot równie zajmujący, potrzebny, jak użyteczny. Ale na to potrzeba wiele lat pracy sumiennéj: teraźniejsi nasi pisarze nie radzi takim trudom: wolą z dziś na jutro pisać.

Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk pięknych w c. k. Tow. Naukowém Krakowskiém odbyło się dnia 21 listopada 1859 r.— Po przeczytaniu i sprostowaniu protokułu poprzedniego posiedzenia, zajmował się oddział sprawą spisania naukowego katalogu zbiorów Towarzystwa. W tym przedmiocie rozbierano złożone na piśmie projekta i wnioski trzech członków, mianowicie: p. Józefa Łepkowskiego, p. Marcina Strzelbickiego i hr. Jana Załuskiego.

Członek oddziału p. Lucyan Siemieński odczytał wyimek z listu od W. Wernickiego z Odessy, w którym mu tenże donosi, iż hr. Alexander Branicki nabywszy i sprowadziwszy trzy mumie egipskie, przeznacza jednę z nich darem do muzeum naszego Towarzystwa.

Korespondent wspomniony czyni jednak uwagę, iż w mowie będąca mumia w ciągu zimy, gdzie jak wiadomo żegluga na Dunaju bywa przerwaną, do Krakowa odwiezioną być nie może, zatem dopiero na wiosnę odesłaną zostanie. Oddział przyjął doniesienie szanownego członka i jego korrespondenta do wiadomości, prosząc obu o dalsze pośredniczenie w téj Towarzystwo żywo okchodzącéj sprawie.

Przewodniczący p. Karol Kremer donosi, iż na skutek odezwy Towarzystwa do tutejszéj dyrekcyi budownictwa wystosowanéj, nadesłał elew urzędu budowniczego w Bochni p. J. Wojciechowski trzy ołówkiem rysowane widoki kościoła w Szczepanowie (miejscu urodzenia ś. Stanisława biskupa); tudzież pięć także ołówkiem narysowanych widoków z opisem kościoła w Niepołomicach (miejscu łowieckich rozrywek królów polskich) darem dla Towarzystwa. Zgromadzenie oglądało owe misternie wykonane roboty p. Wojciechowskiego z przyjemnością; w szczególności atoli śliczny rysunek zbiorowego grobowca marmurowego dwojga Branickich (Katarzyny † 1588 i Grzegorza † 1595 r.) który się w kaplicy ś. Franciszka Xawerego, przybudowanéj od strony południowéj kościoła przez Jana Branickiego w r. 1596 znachodzi.— Postanowiono złożyć należne podziękowanie szanownemu dawcy, a z nadesłanego opisu i rysunków zrobić użytek naukowy.

Na tém posiedzeniu złożył członek oddziału ks. Eugeniusz Janota w darze Towarzystwu transumpty sześciu przywilejów królewskich, będących własnością zgromadzenia OO. Karmelitów na Piasku w Krakowie, mianowicie Przywilej Władysława Jagiellonczyka (z r. 1444); Zy-

gmunta III. (z r. 1593 albo raczéj 1597); dwa przywileje Władysława IV (z r. 1638 i 1641); przywilej Jana Kazimierza (z r. 1649, w którym przytacza osnowę trzech dokumentów z r. 1413, 1444 i 1633); wreszcie Jana III. (z r. 1692).

Na wniosek sekretarza oddziału postanowiono wystosować pismo do hr. Ludwika Krasińskiego, łącznie z przesłaniem kosztorysu i projektu restauracyi obrazu ś. p. biskupa Franciszka Krasińskiego w krużgankach Franciszkańskich, który kosztorys i projekt nakreślił członek oddziału p. Feliks Księżarski.

— Dnia 29 listopada, Kommissya balneologiczna ku podniesieniu zdrojowisk krajowych, w Towarzystwie naukowém krakowskiém od lat dwóch zawiązana, odbyła w sobotę d. 26 b. m. pierwsze swoje tegorocznego okresu posiedzenie, na którém po zagajeniu przez prezydującego prof. Skobla, sekretarz tejże kommissyi Dr. Zieleniewski odczytał: „Obraz stanu zdrojowiska w Krynicy w r. 1859.“ Dr. Zieleniewski opierając swoje sprawozdanie na urzędowych datach, podał, iż w ubiegłém lecie bawiło w Krynicy 339 rodzin, składających się z 790 osób, z których było: z krajów ces. Austryackich 266 rodzin, a z krajów ościennych, mianowicie: z Polski, z Litwy, z Wołynia i Podola razem 73 familij. Sprawozdawca odczytał mnóstwo przykładów pomyślnego skutku z użycia przy zdrojach wód krynickich. nawet w takich niemocach, na które inne środki lekarskie, lubo odpowiednie, nie pomogły. Nadmienił równie sprawozdawca o ulepszeniach, jakie w Krynicy w b. r. co do mieszkań i wielu innych wygód zaprowadzono— niepomijając milczeniem i niedogodności, jakich goście kąpielni w łazienkach tutejszych doznają; albowiem zadaniem sprawozdawcy potrzeba nowych łazienek jest dla Krynicy prawie żywotném zadaniem. Wszakże zakład kąpielny w Krynicy może się spodziewać nowych łazienek, skoro Towarzystwo Spółki zdrojów krajowych, o 50-letnią dzierżawę zdrojowiska krynickiego obecnie ubiegające się, postawienie nowych łazienek na siebie przyjmuje. Na témże posiedzeniu prezydujący prof. Skobel, udzielił kommissyi balneologicznéj wiadomości statystycznych, co do liczby gości i sprzedaży wód lekarskich w 10ciu krajowych zdrojowiskach— które to wiadomości otrzymała kommissya od Izby handlowo-przemysłowéj krakowskiéj.

— W d. 1 b. m. Oddział nauk moralnych w Towarzystwie Naukowém odbył zwyczajne posiedzenie swoje. Przewodniczący oddziału oświadczył członkom, iż gdy wskutek ogłoszonych konkursowych nagród za rozprawy, jedna z tych rozpraw jako treści historycznej została przez Komitet przekazaną oddziałowi do rozbioru i dokładnego ocenienia, przeto takowa członkom z kolei udzieloną będzie. Poczém X. Eug: Janota odczytał ustępy z większéj pracy. „O mytach skandynawskich z uwzględnieniem Mitologii ludów słowiańskich.“

— Wyszło z drukarni uniwersyteckiéj dzieło p. Feliksa Berdau p. n. „Flora okolic Krakowa“ i t. d. Obejmuje ono w sobie wyliczenie i opis roślin dziko rosnących w obwodzie krakowskim i przyległych częściach obwodów wadowickiego i bocheńskiego, tudzież w dolinie Ojcowskiej. Na załączonéj tablicy jest wyobrażenie rośliny nieznanéj do-

ląd, a przez autora odkrytéj, z rodzaju mieczyków, która ma nazwę „Mieczyk drobnokwiatowy Berdau“ (Gladiolus parviflorus Berdau). Dzieło, o którém tu mowa, składa się z trzech części: pierwsza mieści w sobie topografią i geognozyą okolicy tutejszéj, zajmującéj przestrzeń 40 mil kwadratowych; druga klimatologią, a obie ze względem na florę; trzecia nakoniec najobszerniejsza, szczegółowy opis 483 rodzajów i 1183 gatunków roślin. Obszerność i dokładność téj pracy, wykazać się najsnadniéj może z porównania z dziełami opisującemi florę innych okolic, a mianowicie: Zawadzkiego Flora Lwowa liczy 389 rodz., 812 gat.; tegoż Flora Galicyi 453 rodz., 1550 gat.; Flora W. K. Poznańskiego Ritschla 478 rodz. 1031 gat.; Flora Królestwa Polskiego Wagi 410 rodz. 962 gat. Autor przez kilka lat gromadził materyały do téj swojéj pracy, która zapewnie nie będzie ostatnią, gdyż jak słyszeliśmy, posiada on liczne materyały do Flory tatrzańskiéj, zwiedzając często Tatry i po kilka nawet miesięcy odbywając po nich przechadzki badawcze. Autor wybrany został świeżo sekretarzem oddziału nauk przyrodzonych w tutejszém Towarzystwie naukowém, a nadto jest członkiem Towarzystwa zoologiczno-botanicznego w Wiedniu; przez lat kilka był adjunktem katedry botaniki na uniwersytecie Jagiellońskim przy prof. Czerwiakowskim, któremu dzieło swoje niniejsze poświęcił, a następnie wykładał botanikę w szkołach publicznych.

— P. Jan Radwański wydał był niedawno „Katedrę Krakowską“ tojest: krótkie żywoty biskupów krakowskich, przedruk z X. Kasyana Korczyńskiego kaznodziei katedr. Obecnie w tym samym sposobie wydał tegoż autora „Katedrę Kujawską“ dołączywszy objaśnienia i opatrzywszy przedmową, a przy téj książeczce dodał do poprzedniéj spis kanoników katedralnych krakowskich w r. 1765, których wylicza naówczas 37. Obie te książeczki, tak żywoty biskupów krakowskich jako i kujawskich razem łączą się, gdyż druga z nich ma włączone przedmioty dopełniające pierwszą. Żywoty te jakkolwiek niewolne od panegiryków, ważnym są przyczynkiem do dziejów kościoła i kraju, a o istnieniu ich bibliografowie tylko dotąd wiedzieli, przyłączone bowiem były do kazań ks. Korczyńskiego; przedrukowanie ich przeto było na czasie. Wydanie u Prochaski w Cieszynie bardzo piękne.

— Redaktor „Biblioteki polskiéj“ wydał dalsze zeszyty téj szanownéj publikacyi: obejmują: pisma Szymona Starowolskiego: 1. Reformacya obyczajów polskich. 2. Lament utrapionéj matki korony polskiéj: gdzie jakby wieszczém przeczuciem przepowiada późniejsze klęski i niedolę narodową. 3. Kazanie na śmierć Jakóba Zadzika biskupa krakowskiego. Niebawem mają wyjść Waryanty do Herbarza Paprockiego, z ułożonym do niego skorowidzem, co bardzo ułatwi szukanie. Zeszyt to będzie obszerny, uzupełniający jedno z najważniejszych przedruków „Biblioteki polskiéj.“

Lwów. Wyszły z druku: Józefa Szujskiego dramat w 5 aktach p. n. „Dzierżanowski:“ Teofila Lenartowicza poemat „Sowiński.“ Henryk Szmitt ogłosił: „Rzut oka na stosunek praw przyrodzonych społeczeństwa ludzkiego do stanowiska żydów w Polsce.

Poznań. J. K. Żupański własnym nakładem wydał 1. „Domowa apteczka,“ dziełko wielce użyteczne dla każdéj rodziny, Dra Teof.

Małeckiego. 2. „Dwór pański“ obrazek dramatyczny w trzech aktach, z podań ludu napisany. Nakładem Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego, wyszła, zajmująca praca Leona Weynera: p. n. Jan Ostrorog i jego Pamiętnik z lat 1450—1501.

† Dnia 17 grudnia 1859 r. zmarł po krótkiéj chorobie Jan Feliks Piwarski professor b. Uniwersytetu warszawskiego, b. konserwator gabinetu rycin przy b. publicznej Bibliotece, współpracownik „Gazety literackiéj;“ professor w b. szkole przygotowawczej do Instytutu politechnicznego, znakomity artysta i literat. Wydawca „Album cynkograficznego, Kramu malowniczego, Galeryi królów polskich Bacciarellego“ i w. i.; nietylko na polu artystycznem położył wielkie zasługi: miał je niemniejsze jako prawy i zacny człowiek— jako najszlachetniejszy rodak. Obszerniejszy życiorys poświęcimy pamięci tego męża, w jednym z następnych zeszytów.

SPROSTOWANIE.

W tomie IV 1859 r.

Str. 768 wiersz 8 od dołu: *zamiast:* Poaejdonz *czytać:* Pozejdona.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

***Listopad*, 1859.**

Listopad 1859. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser-**atoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po-iom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ˢ·14ᵐ·45ˢ·,7 czyli w łuku 18°41′25,″5 na ʏschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	dé-szczu	śnie-gu
1	☽.	733.29	733.45	727.52	728.13	+ 3°.7	+ 5°.4	+ 5°.7	+ 8°.3	94.0	poch. dész.	pochmurny	dészcz	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Pd.	Z.		
2		730.04	731.07	737.27	741.38	+ 9.1	+ 9.8	+ 8.1	+ 5.6	79.5	dészcz	dészcz	napół pog.	pogodny	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.	6.0	
3		748.71	750.96	750.84	751.43	+ 4.1	+ 4.8	+ 7.1	+ 3.6	87.2	pochmurny	pogodny	pr. pogodny	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	Pd.	3.8	
4		748.72	749.95	748.54	746.09	+ 4.8	+ 6.2	+ 7.8	+ 4.8	88.5	pochmurny	napół pog.	pr.pogodny	lek. zamgl.	PdZ.	Z.	Pd.	PdW.		
5		742.14	741.34	740.98	744.68	+ 3.6	+ 7.1	+ 11.6	+ 12.2	82.8	pogodny	pogodny	pochmurny	lek. pochm.	PdW.	—	Pd.	Z.		
6		747.01	747.52	747.17	747.33	+ 5.9	+ 10.0	+ 11.6	+ 13.3	72.7	lek. pochm.	pr. pochm.	pr. pochm.	lek. zamgl.	Pd.	PdZ.	PdZ.	Z.		
7		749.52	750.53	748.97	748.81	+ 8.7	+ 11.5	+ 12.9	+ 11.8	80.3	napół pog.	pochmurny	lek. pochm.	lek. zamgl.	PdZ.	Pd.	Z.	PdZ.		
8		748.54	747.60	745.35	745.64	+ 8.8	+ 12.1	+ 10.8	+ 9.0	84.2	pr. pogodny	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Pd.	Z.		
9		744.18	745.09	745.99	748.84	+ 6.7	+ 7.8	+ 6.2	+ 3.6	94.0	dészcz	pochmurny	napół pog.	napół pog.	Pd.	PdZ.	Z.	Z.	6.0	
10	☺.	752.32	753.18	758.11	762.71	+ 2.7	+ 3.7	+ 3.8	— 0.4	84.3	pochmurny	pr. pogodny	pr. pogodny	pogodny	Pn.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
11		766.72	767.70	768.93	768.89	— 2.5	+ 0.3	+ 0.7	— 1.9	90.0	pochmurny	lek. pochm.	pogodny	pogodny	PnZ.	PnZ.	Pn.	PnZ.		
12		768.65	767.94	766.94	766.85	— 3.5	+ 0.2	+ 0.4	— 0.4	95.7	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	Z.	Z.	Z.	Z.		
13		766.69	767.17	766.38	765.67	— 0.2	+ 1.1	+ 2.7	+ 1.7	93.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PdZ.		
14		762.92	761.92	757.29	755.04	+ 1.4	+ 2.0	+ 2.0	— 0.7	83.0	pochmurny	pochmurny	pogodny	lek. pochm.	Pd.	Pd.	PdZ.	Pd.		
15		753.56	753.96	755.36	757.62	— 0.6	+ 0.8	+ 0.9	— 0.5	85.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	lek. pochm	Pd.	Pd.	PdW.	PdW.		
16		759.34	760.60	761.65	762.49	— 2.5	— 1.1	+ 1.5	+ 1.4	83.7	pogodny	pr. pogodny	napół pog.	pochmurny	W.	W.	PdW.	PdW.		
17	☾.	760.95	761.23	759.80	760.20	— 0.0	— 0.3	+ 0.4	— 0.6	77.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	W.	PdW.		
18		762.40	764.12	765.85	766.53	— 1.2	— 0.0	— 0.9	— 1.9	73.2	pochmurny	lek. pochm.	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
19		766.73	767.06	765.83	766.29	— 5.2	— 3.8	+ 0.4	— 4.0	81.8	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	W.	PnW.	PnW.		
20		765.39	764.97	763.54	763.27	— 6.7	— 3.5	— 0.5	— 3.5	87.7	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		
21		762.47	762.37	761.34	761.20	— 5.8	— 4.4	— 0.3	— 3.3	97.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
22		760.79	760.89	759.45	759.32	— 5.6	— 3.0	+ 0.6	— 2.1	94.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogogny	Pd.	Pd.	PdW.	Pd.		
23		758.25	758.35	757.23	756.79	— 4.4	— 1.6	+ 1.0	— 3.4	90.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
24	☽.	756.56	757.36	757.93	758.61	— 4.6	— 2.1	— 0.5	— 0.5	97.7	pogodny	poch. i. mg.	mgła	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
25		759.94	760.89	761.93	763.03	— 0.4	+ 0.4	+ 1.4	+ 0.6	93.5	poch. mgła	mgła	pochmurny	pochmurny	Pn.	PnW.	W.	PnW.		
26		763.15	763.59	762.53	762.46	+ 0.2	+ 0.5	— 0.2	— 2.1	89.5	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
27		758.06	757.44	755.43	755.10	— 3.1	— 0.9	+ 2.9	+ 1.0	84.2	pochmurny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
28		754.19	754.44	753.34	749.84	— 0.2	+ 3.0	+ 3.1	+ 1.7	95.0	napół pog.	lek. zamgl.	poch. dész.	poch. mg. g.	PdW.	Pd.	Pd.	—		
29		741.72	741.79	741.28	738.76	+ 2.4	+ 3.8	+ 2.7	+ 1.7	87.5	poch. dész.	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	3.2	
30		737.65	738.86	738.08	736.54	+ 1.6	+ 1.7	+ 2.0	+ 0.3	93.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	PdW.	2.2	
Śre.		754.333	754.778	754.361	754.685	+ 0°.57	+ 2°.38	+ 3°.53	+ 1°.84	87.4									21.2	

	m.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	754.539	27	10.483
Najwyżej barometr dochodził d. 11 o g. 10 w.	769.89	28	5.290
Najniżej — — d. 1 o g. 4 w.	727.25	26	10.507
Średnia zmiana dzienna barometru	4.677		2.073
Największa zmiana dzienna barometru d. 2—3 o g. 10 r.	19.89		8.817
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 33 lat poprzedzających	4.128		1.830
	750.411	27	8.653
Średnia temperatura listopada wynosi:	+ 2°.08	C. +	1°.66 R.
i ta jest wyższa o	0.90	„	0.72 „
od stanu normalnego z 33 lat poprzedzających	+ 1.18	„ +	0.94 „
Największe ciepło było d. 6 o g. 10 w.	+ 13.3	„ +	10.64 „
Największe zimno — d. 20 o g. 6 r.	— 6.7	„ —	5.36 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.865	„	1.492 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 4—5 o g. 10 w.	7.4	„	5.92 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 11°.5 R. d. 7 po poł.
Minimum: — 5°.5 „ d. 20 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 87.4, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 5.34 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest przeszło o 0.04 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 21.2 mil. czyli 9.40 lin. par.; ilość ta jest o 10.01 lin. par. mniejsza od tej, jaka średnio u nas w listopadzie spada.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 6, pochmurnych 18.
Dni deszczu 7 (d. 1, 2, 7, 8, 9, 28, 29).
— śniegu 3 (d. 11, 12, 30).
— mgły 3 (d. 24, 25, 28).
— gradu 2 (d. 9, 10).

Wichrów było 2 (1 PdZ., 1 PdW).
Wiatrów mocnych 11 (7 Z., 3 PdZ., 1 PdW).
Wiatr panujący Południowo-Wschodni, częste były także Zachodnie, Południowo-Zachodnie i Południowe.

Listopad zwykle u nas bywa niepogodny, wilgotny i słotny; w r. b. przeciwnie był pogodny, suchy i o 0.7 stop. R. cieplejszy niż zwykle. Pierwsze dziesięć dni były szczególnie ciepłe, ostatnie dwadzieścia zimne. Dni najcieplejsze były: d. 2, 5, 6, 7, 8, 9; najzimniejsze d. 19, 20, 21, 22, 23. Barometr przez dni 17 to jest od d. 10 do 27 utrzymywał się bardzo wysoko, najwyżej dochodził 28 cali 5.29 lin. par. d. 11 o godz. 10 wieczór, to jest tylko o 0.38 lin. par. niżej od najwyższego stanu jaki był d. 5 listopada 1828 r. Zmiany barometru były znaczne, największa dochodziła 8.82 lin. par. z d. 2 na 3 o godz. 10 wieczór przy wichrze zachodnim. Powietrze było suche, wilgotność jego była o 4 setne mniejsza niż zwykle. Deszcze rzadko padały i nie obficie, ilość wody spadłej z deszczu wynosi tylko połowę ilości, jaka zwykle w tym miesiącu spada. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był pogodniejszy niż zwykle; albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych, do napółpogodnych i pochmurnych jest jak 2,9:6.0:21.1; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 6:6:18. Stan elektryczności atmosferycznej, co do jej natężenia średni miesięczny jest 25.1 stopni; największe natężenie siły elektrycznej dochodziło 66 stopni d. 9 o godz. 11 rano przy mgle opadającej; najmniejsze 2 stop. d. 29 rano przy niebie pochmurném.

W tym miesiącu liczne plamy pokazywały się na słońcu.

Dnia 11 o godz. 6 min. 45 wieczór widziano świetną gwiazdę przelatującą od Wschodu na Zachód.

Największa wysokość wody na Wiśle dochodziła stóp 7 cali 4 d. 5.
Najmniejsza — — — stóp 2 cali 5 d. 24.

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegrafem elektrycznym do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém co dzień o 8 godz. rano.

L. A. SENEKA.

PRZEZ

Kazimierza Kaszewskiego.

Virtutes nostrae silentio praeterissent: illustratae sunt dum conferuntur.. Quanti ex his viri fortes, quanti tyrannicidae, quanti sacerdotes....
Seneca, Contr. X. d. 3. 4.

Nie byli Rzymianie narodem, któregoby usposobieniu odpowiadała spekulacya naukowa, dlatego to w dziedzinie oderwanego myślenia nie stworzyli oni u siebie nowego systematu, ale przenieśli je gotowe z Grecyi i w tém nawet uczynili wybór. Nauka Platona i Arystotelesa, zamknięta w samych pojęciach, nie mogła zaspokoić narodu czynnego i praktycznego, mało więc ona popłacała w Rzymie, którego obywatele nie rozumieli tego, co tojest nauka dla saméj nauki, i niech Bóg broni, aby u nich mógł ktoś pomyśléć o zaprowadzeniu nauki ograniczającéj się na saméj teoryi, takiéj naprzykład, jaką widzimy w dzisiejszych Niemczech. Oni poszukiwali nauki, któraby miała natychmiastowe i bezpośrednie zastosowanie do życia i w niém się sprawdzała, nadając prawidła i życia i śmierci; z tego więc powodu właściwszemi były dla nich zasady epikureizmu, cynizmu, a najwięcéj zwolenników w Rzymie liczyła szkoła stoików; te bowiem szkoły oprócz tworzenia i rozwijania w pewnym kierunku, pojęć, trudniły się przekształcaniem ich w zasady moralności, w życie praktyczne.

Dlaczego zaś w Rzymie stoicka szkoła miała najwięcéj powodzenia, odpowiedź na to leży w stosunku, jaki istnieje pomiędzy zasadami téj szkoły i charakterem Rzymian. Rzymianin,

w zdrowym organizmie państwa, każdy był Scewolą lub Regulusem; w rozstroju organicznym jeszcze lubił chorować na Brutusa lub Katona: słowem *virtus romana*, jeśli nie żyła duchem, to przynajmniéj tradycyą. Owóż, duszą szkoły stoickiéj jest *dzielność* (energia), i ona to sprawiła taką wziętość téj szkole w grodzie Scypionów. Charakterystycznym rysem pojęcia stoików o życiu jest walka zacięta, nieubłagana pomiędzy wolnością i namiętnością; w walce téj wolność powinna zwyciężyć w miarę coraz większego panowania nad namiętnościami aż do ich ostatecznego upadku, tojest do apatyi, która jako tryumf wolności, jest ich życia ideałem, o czém późniéj obszerniéj się powié.

Do takiéjto szkoły należał między innemi Seneka, a wierny zasadzie, nie stawia nauki na stanowisku oderwaném, ale ją wciąż z życiem praktyczném stara się jednoczyć według tego co pisze w liście 89: „Lubo niektórzy z naszych (*stoików*) utrzymują, że filozofia jest dążeniem do cnoty (studium virtutis), i że ta jest celem a tamta tylko środkiem; jednak nie sądzili, aby je rozdzielić można. Albowiem niema filozofii bez cnoty, ani cnoty bez filozofii. Filozofia poszukuje cnoty, ale przez samąż cnotę. Ani cnota istniećby mogła bez dążenia do niéj; ani dążenie do cnoty, bez niéj saméj, mogłoby mieć miejsce. Nie tak to bowiem jest tu, jak w owym razie, kiedy ktoś gdzieindziéj stoi a gdzieindziéj przedmiot, do którego zmierza: ani jako te drogi, co do miast prowadzą, a same są poza ich obrębem; do cnoty przychodzisz przez nią samą. Tkwią tedy w sobie wzajem filozofia i cnota.“ Punktem wyjścia filozofii stoickiéj była sławna formuła Arystotelesa: „Nihil est in intellectu quod non prius fuerit in sensu (1)“; ztąd téż droga stoicyzmu jest nasamprzód czysto empiryczna; ale to bierne pojmowanie zmysłami jest tylko materyą, którą zagarnia czynność umysłowa i przerabia na szeregi przeistoczeń; te zaś z przelotnych wrażeń przechodzą kolejno w sąd, rozumowanie, stają się prawdami, ogólnemi zasadami. To tedy stopniowanie pojęć jest wysileniem, dzielnością umysłu (ἐπιτάσις, tenor), który wznosi się od szczegółów do ogółu. Niektórzy nawet ze stoików, wbrew takiéj drodze syntezy, przypuszczali pojęcia niezależne od środków doświadczalnych. Stoicyzm tedy nie był sensualizmem, lubo zrazu na to zakrawa,

(1) Nic nie postoi w umyśle, co nie przeszło przez zmysły.

twierdząc témbardziéj w swéj części fizyologicznéj, że wszystko, co ma byt, jest ciałem i twierdzenie to rozciągając od substancyi aż do własności. Ale pojęcie to ciała jest raczéj wskazówką zasady, że aby byt jakiś był realnym, musi być koniecznie złożonym z dwóch pierwiastków, które abstrakcya tylko rozdzielić może, a temi są: pierwiastek bierny, materyalny, i pierwiastek czynny, duchowy. Niema zatém według téj zasady żadnego bytu, który byłby samą siłą lub ideą; połączenie jéj dopiéro z materyą stanowi rzeczywiste ciało. Pierwiastkiem, z którego te ciała wychodzą i do którego wrócić muszą, jest Bóg, ale ten według nauki stoików, ma tylko znaczenie i potęgę rozumnéj natury. Przy takiém pojęciu Boga, stoicy mogli śmiało godzić się z pospolitym politeizmem, który ubóstwił pojedyńcze siły natury jako odcienia ogólnéj idei Zeusa.

Ta więc teorya filozoficzna była zarazem teoryą Seneki. Według niéj, dzieli on filozofią na trzy części, idąc, jak się wyraża, za zdaniem największych mistrzów (1). Pierwsza kształci duszę i zwie się filozofią moralną; druga bada naturę rzeczy, i dlatego nazywa on ją filozofią natury; trzecia, tojest filozofia racyonalna, określa własności słów, rozpoznaje prawa wiązania i argumentacyi, „ażeby fałszu nie brać za prawdę.“ Będzie to więc w dzisiejszém znaczeniu loika. Z przytoczonego tu podziału widzimy już, że Seneka téj ostatniéj części, która najwięcéj charakteryzuje czystą spekulacyą, nie pojmuje należycie, nadając jéj tylko znaczenie dyalektyki; a obszar dzieł jego przekonywa, że on, w całym sposobie traktowania rzeczy, zgodnie z metodą stoików i skłonnościami ludu rzymskiego, był więcéj retorem niż systematykiem. Podział nauki wskazany przez samego Senekę przyjąwszy za zasadę do śledzenia go w jego czynnościach, spostrzeżemy, że Seneka tym właśnie trzecim działem, tojest loiką, czyli według niego, filozofią racyonalną, zajmował się bardzo mało, a nawet lekceważył oderwane myślenie, do tego stopnia, że narzeka na kierunek spekulacyjny w liście 106, mówiąc: „Gonimy wiatr po świecie, dowcip zużywa się marnie. Nie czynią tego ludzie prawi, ale uczeni. Dla zdrowego rozsądku mało potrzeba nauk. Lecz my jako wiele innych rzeczy marnujemy, tak i filozofią samą. Jako wszystkiego, co rzadkiém jest, tak i nauki nadużywamy. Uczy-

(1) Epistola 89.

my się nie dla życia ale dla szkoły.“ Jak z tego tak z wielu innych miejsc okazuje się, że Seneka był nieprzyjacielem czystéj spekulacyi, w czém już odstępuje nieco od pierwotnego charakteru stoickiéj szkoły rozwiniętéj na gruncie greckim. Jakoż rzeczywiście stoicyzm rzymski, jest już pewną szkoły Zenona reformą, na którą wpływał charakter narodowy. Filozofowie rzymscy wykształcili jéj stronę etyczną i religijną, zbliżając się w tém znacznie do pojęć chrześciańskich. Z drugiéj strony widać i to, że Seneka nie był umysłu zdolnego do zagłębienia się w sfery czystéj spekulacyi, gdyż nie może schwycić jéj celu, a przez to mówi o niéj jako o rzeczy niewiadoméj sobie, zbywając jakby drwinami tam, gdzie należałoby postawić silny argument, aby obalić kierunek, po którym Plato sięgał aż do nieba.

Pewniejszy siebie Seneka w materyach wyraźniéj uwidomiających się, więcéj już zajęty jest drugim swoim działem, tojest filozofią natury, któréj w dziełach jego główny objaw stanowi traktat „*Quaestiones naturales*“ złożony z ksiąg siedmiu; ale materya ta rozrzuconą jest i po innych miejscach. Chcąc mówić o jego w téj materyi pojęciach, musimy przypomnieć sobie cośmy poprzednio powiedzieli o ogólnéj teoryi stoicyzmu greckiego: Seneka nie posuwa go ani na krok. W teoryi téj oprócz kwestyj czysto fizycznych i bardzo niedostatecznie nawet jak na ówczesny już postęp wyłożonych o świecie, o zjawiskach przyrodzonych, o ciałach niebieskich, słowem prócz starożytnéj kosmogonii i kosmografii, znajdują się wywody dotyczące wprost człowieka, jako istoty duchowéj, a pochodzi to ztąd, że według metody stoików, co tylko ma byt jakikolwiek, przez to samo jest już ciałem. Tu właśnie trudno Senekę pochwycić tak, aby nam się jasno wytłumaczył z indywidualnych swych pojęć o przedmiotach wchodzących w sferę metafizyki. Raz powiada (1): „Wiele rzeczy jest takich, których uznajemy istnienie, ale czém one są, nie wiemy. Mamy duszę, która nas pędzi i zwraca, wszyscy to przyznają; ale co to jest ta dusza, pani i rządczyni nasza, nikt ci bardziéj nie wyjaśni, jak tego gdzie ona jest. Jeden powié, że to jest duch; drugi, że to pewna harmonia (concentus); inny nazwie ją siłą Bożą i częścią Boga; inny jeszcze najsubtelniejszém powietrzem, inny potęgą niecielesną. Nie zabraknie i takich,

(1) Quaestionum Naturalium. VII. 24.

którzy utrzymywać będą, że dusza, to krew lub ciepło.“ Dotąd wyznaje Seneka swoją tylko niewiadomość i ani wié w czém wybrać, ani sam sobie, na wzór twórców systematów, pojęcia utworzyć nie może. Daléj jest on więcéj samodzielnym, gdy powiada (1), że nie można przypuszczać, aby dusza nie mogła wyjść z człowieka obłożonego wielkim ciężarem; bo jak niepodobna pochwycić płomienia, gdyż ten obiega około palącego się przedmiotu; jak powietrza niepodobna uderzyć lub przeciąć, gdyż ono opływa około przedmiotu, któremu ustępuje: tak dusza, która składa się z najsubtelniejszego pierwiastku (*ex tenuissimo*), nie może być pochwyconą, ani w ciele dotkniętą, lecz siłą subtelności swéj wymyka się nawskroś uciskającego ją przedmiotu. Jako piorun, choć na ogromną przestrzeń grzmi i bije, a najwęższą wymknie się szczeliną; tak dusza, która subtelniejszą jeszcze jest od ognia, w całém ciele otwarty ma odwrot.

Nie poprzestając na tak materyalnym poglądzie na naturę duszy i równając ją do innych czysto fizycznych żywiołów, jakoby ona była ciałem subtelnością cząstek tylko od innych się rozróżniającém, Seneka cielesność tę upatruje nawet w objawach duszy i jéj przymiotach, co sprawdza szczególnie paradoksalny jego list 106, w którym on opierając się na wierszu Lukrecyusza:

Tangere enim et tangi, nisi corpus, nulla potest res (2)

dziwnych dowodzi rzeczy. I tak, czy dobro jest ciałem? zapytuje; i w odpowiedzi mówi; „Jest ciałem, albowiem działa, a cokolwiek działa, ciałem jest. Dobro wstrząsa duszą, kształci ją niejako i podpiera; a to wszystko właściwém jest ciału: ponieważ zaś dobra ciała ciałami są, przeto ciałami są i dobra duszy, która także jest ciałem. Dobro człowieka musi być ciałem, ponieważ on jest cielesnym. Kiedy ciałami są te rzeczy, które go żywią, które zdrowie jego utrzymują lub wracają, tedy i dobro jego ciałem jest. Sądzę, iż nie masz wątpliwości w tém, że ciałami są i uczucia, jako to: gniew, miłość, smutek. Jeśli wątpisz, patrz, czy zmieniają nam oblicze, czy marszczą czoło, czy wywołują rumieniec, czy spędzają krew? Sądziszże, iż mogłoby ciało odbierać tak wyraźne wrażenia od czego innego jak od ciała? Jeżeli uczucia i choroby duszy, chci-

(1) Epistola 57.

(2) Dotknąć i być dotkniętém nic nie może, prócz ciała.

wość, okrucieństwo, wady zakorzeniałe i do stanu nieuleczonego doprowadzone, a zatém i zło ze wszystkiemi swemi postaciami: złośliwością, zawiścią, pychą, ciałami są; toż samo więc rozumieć trzeba i o dobru, raz dlatego, że ono jest tamtemu odwrotne; powtóre, że daje też same wskazówki. Dzielność nadaje siłę oczom, roztropność uwagę, wesołość pogodę, surowość powagę.... Wszystko to zatém nie zmieniałoby ciała, gdyby go nie dotykało; a ponieważ dotyka, przeto, zgodnie z powyższym wierszem Lukrecyusza, jest ciałem."

Pomimo jednak tak grubego materyalizmu w definiowaniu rzeczy duchowych, Seneka potwierdza przy każdéj sposobności ideę nieśmiertelności duszy; ale jak pojęcie jego o naturze duszy jest niezbyt jasne, w oddzielny system albo przynajmniéj osobnym traktatem nie objęte, tylko jakby mimochodem wypowiedziane; tak téż i to pojęcie nieśmiertelności, o którém kilka razy wspomina, pozostawia dużo wątpliwości w tém, jak ją sobie filozof nasz wyobrażał. Właściwie w dwóch tylko ustępach jego dzieł spotykamy obszerniejszém słowem dotkniętą nieśmiertelność, ale są to właśnie ustępy mające najmniéj charakteru wywodu naukowego, bo zawarte w listach pisanych z pocieszeniem po stracie drogich osób. W pierwszym z nich robi dwa przypuszczenia, nie przechylając się do żadnego (1), to jest: że człowiek po śmierci może być albo niczém albo błogosławionym (aut beatus aut nullus). W drugim (2) już stanowczo oświadcza się za stanem błogosławieństwa w nieśmiertelności, a nawet w połączeniu tych dwóch ustępów ślicznie i z energią ten stan opisuje. „Te kości okręcone nerwami, skóra na nich porosła, twarz, ręce usłużne, wszystko słowem, czém obłożeni jesteśmy, to więzy duszy, to są jéj ciemności. Dusza, uciskana w tém wszystkiém, wydziera się tam, zkąd ją zesłano: tam czeka ją wieczny spoczynek, tam zamiast brudów i mętów widzieć będzie jasność samą i czystość. Duch (3), jakoby z długiego więzienia uwolniony, dobił się nareszcie swoich praw i władzy; teraz mu dopiéro otworem tajemnice natury, na rzeczy ludzkie spogląda z wysoka, i zbliża

(1) Consolatio ad Polybium c. 27. — Providentia c. 6. „Contemnite mortem, quae vos aut finit aut transfert."

(2) Consolatio ad Marciam c. 24.

(3) Seneka zdaje mi się ani raz nie użył wyrazu *anima*, tylko zawsze *animus*.

się do rzeczy boskich, które tak długo nadaremnie badał" Otóż wszystko, czegośmy mogli się doszukać u Seneki w przedmiocie tak zajmującym umysły wszystkich ówczesnych filozofów; rzeczywiście dziwna krasa mowy tego człowieka: gdzie dotknie piórem, wszędzie kwiaty wyrastają, ale też wszystko, cośmy dotąd widzieli w nim, to tylko kwiaty. Widocznie unika on metafizycznego myślenia; a jeśli się spotka z przedmiotem metafizyki, to powierzchownie potrąca o niego lub powtarza rzeczy już znane; ale to powtórzenie w jego ustach staje się czémś uroczystém, tak jest wspaniałe i silne. W taki sam sposób wyraża się Seneka o Bogu, wspomina go tak często, że trudno jest nam a nawet nie potrzeba wszystkich miejsc przytaczać; to wszakże pewna, że pojęcie jego o Bogu jest panteistyczne, a zatém zgodne z ogólnym duchem szkoły stoickiéj. Bóg, według niego, jestto myśl wszechświata, a środkiem pomiędzy jego naturą i ludzką jest najszlachetniejsza część nasza, to jest duch: my wszyscy jesteśmy cząstkami ducha uniwersalnego, który jest pełen rozumu, wszechmocy i wszechwiedzy, sam dla siebie kształci materyą, którą poprzedza idea; a jeżeli ten wielki mistrz częstokroć utworzy coś niedoskonałego, to nie przez to, iż mu chybiła twórczość, ale że to, na czém ona doświadczała się, stało się nieposłusznem twórczości (1). Człowiek ponieważ ma cnotę i duszę w ciele obecną, jest tém samém częścią Boga i to, z czego on się składa jest jednością, jest Bogiem: wszyscy ludzie są to jego towarzysze i członki (2). Między ludźmi dobremi i Bogiem jest przyjaźń, któréj pośredniczy cnota; nietylko nawet przyjaźń, ale związek i podobieństwo, gdyż prawy człowiek różni się od Boga jedynie czasem; on jest jego uczniem, współzawodnikiem i istotnym potomkiem, którego ten wspaniały ojciec ostro wychowuje (3). Nie ma co rąk do nieba podnosić, ani zbliżać się do uszu posągów świętych, kiedy Boga wzywamy na pomoc. On jest blizko nas, z nami, w nas: święty duch wewnątrz nas przebywa, uważa nasze złe i dobre, strzeże nas, i jako my jemu tak on nam oddaje (4).

(1) Quaestionum naturalium lib. 1 praef.
(2) Epistola 92.
(3) Quare bonis viris mala accidant cum sit Providentia, cap. 1.
(4) Epistola 41.

Nie jestże to czysty panteizm? wszak tego, co tu powiedzianém było, nie wyparłby się ani Spinoza, ani Hegel, bo też panteizm strasznieto stara doktryna, wlecze się tysiące lat od Gangesu, i daj Boże, aby się na Sprei zatrzymała. Jako Bóg Seneki jest panteistyczny i zbliżający się do znaczenia natury, tak i Opatrzność, któréj poświęcił osobny traktat, a prócz tego, gdzie tylko może o niéj wspomina, zakrawa znowu na fatalistyczność, inna bowiem nie mogłaby płynąć z podobnego Boga. Dodać tu też należy, że Seneka w tych rzeczach często sam z sobą zostaje w sprzeczności, a jak popuści wodze imaginacyi, któréj z upodobaniem zwykł się poddawać, tak już nie wié, gdzie się ma powstrzymać i wpada z jednego paradoksu w drugi. Raz ściśle trzyma się Zenona i stawia go nad wszystkich filozofów, to znowu powstaje przeciw teoryom stoickim, gniewa się na ich subtelności; a przez to trudno nawet zdać sobie na czysto sprawę z głównego kierunku jego myśli, bo często bardzo nie zastaniesz go w tém właśnie miejscu, gdzie się z tobą poprzednio umówił.

To też mówiąc o Senece jako o filozofie, nie możemy patrzéć na niego jako na człowieka postępu, nie możemy od niego żądać nauki saméj; widzimy w nim wszakże przedstawiciela pewnéj strony swego narodu, widzimy ten zmysłu spekulacyjnego brak, który odznaczał Rzymian i zawsze zastępowany był myśleniem greckiém. Ludzkość zawdzięcza im wiele prawd społecznych: ani jednéj prawdy ogólnéj. Seneka, jako filozof w rzeczywistém znaczeniu tego słowa jest zaledwie i to nie celującym uczniem potężnych myślicieli Hellady: nie może on rozumem swym dźwignąć zbiorów wiedzy, jakie oni nagromadzili, przyswaja więc sobie ich okruchy, czerpiąc najwięcéj z układu stoickiego, i to nie dlatego iżby układ ten miał dla niego najwyższy powab naukowy, ale że za nim szli dwaj jego poprzednicy: wielki konsul i wielki obywatel samobójca. Odkrywszy więc słabą stronę Seneki na stanowisku właściwie filozoficznem, przyjąć musimy przyznawane mu przez starożytność miano filozofa w znaczeniu moralisty, i to też znaczenie stanowi jego prawdziwą świetność.

Ponieważ nie możemy oddzielać Seneki od teoryi stoickich, przeto aby ocenić jego o moralności pojęcia, musimy choć ogólnie spojrzéć na moralność stoicką i upatrywać o ile on się z nią zgadza, o ile od niéj odstępuje, czy wprowadził

do niéj nowy element bądź indywidualny, bądź wyczerpany z ducha czasu, i to téż będzie przedmiotem następujących uwag.

Lubo zasada moralności stoickiéj wyraża się dwiema formułami, to jest: żyć według natury, i żyć według rozumu; jednak obie one toż samo znaczą, gdyż natura podług nich jest prawem powszechném wszelkiego bytu, a prawo mieści w sobie koniecznie pierwiastek rozumu: natura tedy jestto manifestujący się duch boży. Byt znowu wszelki, lubo jest jednością, składa się wszakże z dwóch pierwiastków: duchowego i materyalnego; a chociaż byt taki dopiéro nazywa się ciałem, jednak to nie przeszkadza twierdzić, iż gruntem tego ciała jest pierwiastek duchowy, jako siła organizacyjna, życiodawcza, rozumna, a materya to rzecz bierna, bez żadnego znaczenia, ślepo duchowi posłuszna. Ta abstrakcyjna zasada zastosowana do człowieka, rozwija się w taki sposób, że człowiek powinien rządzić się prawami ducha i przez nie się uzacniać, a ciało gnębić jako podłego niewolnika, nie dawać mu najmniejszéj folgi, póki on całkiem nie ogłuchnie, nie umilknie, nie odrętwieje, a wtedy człowiek staje się zupełnie wolnym, ideałem człowieka według Zenona, i to jest owa walka wolności z namiętnością, o któréj wspominaliśmy na początku. Zasada ta doprowadzoną została przez Cyników do ostateczności, do obrzydliwych następstw w loicznym porządku rzeczy, ale i według doktryny stoickiéj nie jest jeszcze ona ostatnim wyrazem potrzeby ludzkiéj, pomimo wielkiego pozoru prawdy; trudno bo téż i wymagać od stoickiéj szkoły ostatniego w tym przedmiocie zdania; zasłużyła się ona i bez tego dobrze postępowi ludzkości, wyrabiając charaktery dzielne choć jednostronne.

Prawidło stoickie: *απεχου και ανεχου* (wytrzymuj i powstrzymuj), miało piękne zastosowanie tam, gdzie chodziło o same zachciewanki ciała, o ponęty zwierzęce; ale stoicy nie dosyć rozróżnili naturę pragnień, albo téż nie umieli naznaczyć im granicy, tak, iż potępili przy takiém pojmowaniu najszlachetniejsze nawet popędy, które są dźwigniami życia i wielkich czynów. Był w tém podwójny błąd: raz, sama szkodliwa napaść na namiętności bez rozróżnienia pięknych od brzydkich; powtóre, niezastanowienie się, iż napaść ta jest daremną, gdyż godzi ona na naturę ludzką, chce ją przerobić, okaleczyć, o ile pierwiastek czułości należy do jedności natury

ludzkiéj. Stoicy rzeczywiście dążyli do tego, aby człowiek odrętwiał zupełnie na wszelkie wrażenia zewnętrzne, na ból i rozkosz, aby stępił w sobie żywioł uczuciowy, aby żadna przeciwność nie dotknęła duszy jego majestatu; i na tém zakładali człowieka wielkość i szczęście. Ale jakaż to jest ta wielkość? wielkość zadowolenia dumy osobistéj, nasycenie jéj jakimś czczym, abstrakcyjnym pokarmem wolności. Nie tak tę rzecz pojmuje Chrześcianizm, nie tak pojmuje ją Plato, sprzymierzeniec naszych Ojców kościoła: nie chodzi tu bowiem o zabicie w naturze ludzkiéj jakiegoś żywiołu, bo tam wszystkie są potrzebne, ale o utrzymanie ich wszystkich w harmonii i jedności.

Taką tedy formę moralności, którąśmy tu ledwie w skupionych rysach przedstawić zdołali, przyjmuje Seneka. Gdyby nie był nieprzyjacielem lub gdyby miał zmysł spekulacyi, postawiłby naprzód jéj ogólną zasadę, wyszukaną w saméj naturze rzeczy, czyli poprostu mówiąc, dałby z góry jakiś absolut, z któregoby dedukcyjnie wypłynęły wszystkie wywody tę rzecz objaśniające; napisałby słowem traktat, w którymby ona ogólnie i bezwzględnie przedstawić się mogła. Ale przypomnijmy sobie, że Seneka jest podrzędnie filozofem a głównie retorem, że tedy wszystko co wié, zkądkolwiek wié, co myśli i czuje, wypowiada tylko przy zdarzonéj sposobności, bez związku części i systematu, obrabia niektóre specyalne działy przedmiotu, monografie: więc i tu znowu szukać go musimy po całym lesie jego dzieł, aby ze szczegółowych rozpraw a nawet szczegółowych wywodów wyrobić sobie ogólne o nim pojęcie.

Trudno i nam zaprawdę będzie ująć w pewien systemat rzecz niesystematycznie rozpierzchniętą i często krzyżującą się w szczegółach; ale żeby nadać przedstawieniu jakikolwiek początek, posłuchajmy, jakie jest zdanie Seneki o najwyższém dobru. Przyjąwszy za zasadę życie według natury, chce on być konsekwentny i wierny tradycyom stoickim, które *czyn* stawiały za główny warunek życia. Tymczasem on radby natomiast podstawić kontemplacyą, a czując się w pewnéj niezgodzie z zasadą, nasamprzód pragnie okazać, iż pewna samodzielność nie czyni go odstępcą, ale tylko ratuje od ślepego naśladownictwa. „Zależymy wszyscy od cudzych zdań, — powiada on, — i to zdaje się nam najlepszém, które ma najwięcéj zwolenników i chwalców, nie zaś to, które najwięcéj chwalić

i za którém iśćby wypadało. Dobréj lub złéj drogi nie wybieramy sami przez się, lecz idziemy śladem tłumów, na których już nie widać kroków powrotu. Powiesz mi: Co czynisz Seneko? opuszczasz swą chorągiew! wszak wasi stoicy mówią: — Ostatnia chwila życia zastała nas przy czynie, nie ustawaliśmy w pracy około dobra powszechnego, pojedynczym dawaliśmy wsparcie, do nieprzyjaciół nawet rękę pomocy wyciągali. My żadnego lata nie dajem sobie wytchnienia, i jak powiada pewien wymowny mąż, — siwiznę hełmem uciskamy. My tak przestrzegamy, aby ni chwili przed śmiercią nie spocząć, iż pragnęlibyśmy, gdyby można, aby śmierć nawet nie była bezczynną. — Otoż ja ci dowiodę, że nie odstępuję od zasad stoików (1). I w myśl tego następuje wykład godzący życie kontemplacyjne z życiem czynném, który streszcza się w następujący sposób: — Rozum wskazuje nam na dwie ojczyzny: jedna jest wielka, istotna rzeczpospolita, którą zamieszkują i bogi i ludzie, w któréj nie oglądamy się na ten lub ów kącik, ale granice téj naszéj ojczyzny rozciągamy do słońca. Druga jest ta, w któréj nas umieściły warunki urodzenia, i ta nie do wszystkich, ale do pewnych tylko ludzi należy. Niektórzy zajmują się obydwiema, inni tylko większą, inni tylko mniejszą. Téj tedy wielkiéj rzeczypospolitéj możemy według naszego filozofa, bezpiecznie służyć w spokoju, i kto wié, czy nie lepiéj. Jako warunki służby téj kładzie on badanie: coto jest cnota i jestli ona jedna, czy téż jest ich wiele; czy natura, czy téż prawidła tworzą ludzi dobremi; czy jednością jest to, co ogarnia ziemię i morza z tém, co one w sobie zawierają; czy Bóg wiele takich ciał rozrzucił; czy materya, z któréj się wszystko tworzy, jest ogólna i nierozdzielna czy téż rozdzielona, i czy obok ciał stałych znajduje się próżnia; czy Bóg, siedząc, spogląda na swoje dzieło, czy téż niem kieruje; czy on zewnątrz niego rozpierzchnięty jest, albo téż tkwi w jego całości; czy nareszcie świat ten jest nieśmiertelny lub zaliczony do rzeczy doczesnych i ulegających zniszczeniu. Wychodząc z zasady, że najwyższém dobrem jest żyć według natury, twierdzi on, że natura zarówno przeznaczyła nas tak do rozglądania się w tém wszystkiém, jako i do życia czynnego. Na dowód zaś tego przytacza wrodzoną ciekawość do odkryć, która

(1) De vita beata c. 28, 29.

człowieka pędzi w nieznane kraje śród ludzi nieznanych, z narażeniem zdrowia i życia. Natura prócz tego nie darmo nas w centrum swojém postawiła i oblicze nasze wzniosła ku niebu, abyśmy obszary jéj od końca do końca obejmowali okiem: w tém już widzi on wyraźną wskazówkę sięgania do jéj tajemnic, do których drogę rozum sobie otwiera, aby z ciemności do światła wybiedz i dociec, czy nie ma coś starszego nad świat, zkąd początek wzięły gwiazdy i jaki był stan wszechświata, nim on się uszykował w części. Pozostaje nadto prześcignąć granice świata i dowiedzieć się, azali człowiek jest częścią ducha bożego, którego cząsteczka spłynęła niejako w świętych kropelkach, a on sam w inném przebywa miejscu. Takie tedy wysokie zadania kontemplacyjne nie wyłączają czynu, a oddanie się im z zapałem i miłością, praca dla wielkiéj, nieskończonéj rzeczypospolitéj wszechświata, jest życiem według natury, jest najwyższém dobrem (1). Cała ta zachęta do życia czynnego w spokoju wymierzoną jest w chęci wykazania wyższości zajęć, mających związek z duchem i połączonych z interesem ludzkości całéj, a zatém łączących ludzi wzajem między sobą, nad interesami pojedynczych w sobie zamkniętych społeczeństw, które to interesa nietylko że są ograniczone, ale nadto częstokroć rozdzielają ludzi. Jednak Seneka i tu ani pogardza sprawami politycznemi, ani ujmuje im zacności, owszem unosi się nieraz nad wielkiemi jednostkami zawodu publicznego; ale uważa, że zawód ten można śmiało z kontemplacyą łączyć od najpierwszych lat życia, a szczególniéj oddać się jéj wyłącznie po wysłużeniu się publicznym sprawom, w czém powołuje się na prawidła stoików, przytaczając, jaka w téj okoliczności zachodzi różnica pomiędzy niemi i epikuryanami. Epikurejczycy mówią: — mędrzec nie przystępuje do spraw publicznych, chyba znaglony koniecznością; Zenon zaś powiada: — mędrzec powinien trudnić się zawodem publicznym, chyba, że go przeszkoda nieprzełamana odwiedzie. Tamci spokój i bezczynność zalecają z zasady, ten jako wypadek konieczności, a Seneka, niby tylko dopełniając myśli stoickiego mędrca, bezczynność tę administracyjną zaraz zastępuje czynnością ducha, która ma swoje powaby i korzyści, czyni życie, jeśli nie dostojniejszém, to szczęśliwszém. Aby położyć grunt

(1) De vita beata c. 30, 31, 32.

temu szczęściu, Seneka kojarzy tradycyjne stosunki mężów nauki, wzajemne ich na siebie oddziaływanie, dając nam tu wzorek braterstwa w duchu, z któremu podobnym nie łatwo się spotkać. Powiada on mniéj więcéj, że jako nie w naszéj mocy jest wybrać sobie rodziców, których nam los daje; tak od nas samych zależy urodzić się, czyli raczéj odrodzić do życia intellektualnego. Oto stoją rody olbrzymich geniuszów, niech każdy wybiera pomiędzy niemi, do którego ma się wpisać, a wtedy nietylko przypuszczonym zostanie do imienia familijnego ale i do równego działu dóbr, nad któremi nie potrzebuje czuwać obrzydła straż chciwości; bo im więcéj kto dzieli się niemi, tém one więcéj rosną. Ten prawdziwie spełnia obowiązek, kto takich mężów: jak Zeno, Pitagoras i Demokryt, jak Arystoteles i Teofrast, jak tylu innych przewodników wiedzy, ma za codziennych i najpoufalszych towarzyszów. Żaden z nich nie omieszka, żaden przychodzącego nie odprawi z próżnemi rękami, ale ktokolwiek do nich się zbliży, odejdzie szczęśliwszy i bardziéj w nich rozmiłowany. Do nich każdy człek dniem i nocą otwarty ma przystęp. Żaden z nich nikomu śmierci nie zada, a każdy umierać nauczy; żaden zdrowia niczyjego nie nadweręży, owszem swojego użyczy; żadnego słowo nie stanie się niebezpiecznem, żadnego przyjaźń śmiertelną a uwaga kosztowną. Oni przybywającemu otworzą drogę do nieśmiertelności i wzniosą go na to miejsce, z którego nikt nie bywa strąconym; jedyny to środek do rozciągnienia śmiertelności swéj, owszem zamienienia jéj na nieśmiertelność. Dostojeństwa, pomniki, wszystko co wzniósł przemysł, albo rozkaz pychy, wali się niebawem; wszystko to pastwą jest szanownéj starości, która wstrząsa szybko tém, co uświęciła. Mądrości nic zaszkodzić nie może: jéj nie zniesie ani teraźniejszość ani przyszłość, każdy wiek coś owszem doda do jéj chwały, bo zazdrość kręci się tylko w pobliżu; zdaleka łatwiejszy podziw. Mędrzec tedy ma przed sobą szeroką drogę; nie taką, którąjby gdziekolwiek granice zakreślić można; on jeden wyłamuje się z pod ogólnych praw rodu ludzkiego: jemu, jako Bogu, wszystkie wieki służą! (1).

Otoż to jest ideał dobra, ideał szczęścia Seneki: czuć go on musiał głęboko i doświadczać, kiedy słowo jego tchnie ta-

(1) De brevitate vitae c. 14, 15.

kim zapałem i prawdą. Ale nie uwodźmy się zbytecznie temi pięknemi wywodami. Seneka kreśli szczęście zasadzające się tylko na rozwijaniu władz umysłowych gwoli zaspokojenia ciekawości wiodącéj w światy nieznane lub mgłą pokryte: umysł jest tu niezmiernie czynny, ale serce śpi; a i to szczęście umysłu, to tylko cześć oddana samemu sobie, zaczyna się ono i kończy w człowieku samym, nie zasadzając się bynajmniéj na wzajemnéj kombinacyi uczuć, która tworzy ognisko rodzinne, towarzyskie, społeczne a koncentruje się w Bogu. Niewczesną byłoby to rzeczą krytykować, według dzisiejszych pojęć, stanowisko Seneki; znaczyłoby to bowiem tyle, co wdać się w potyczkę z wiatrakami. Każdy z nas dzisiaj pojmuje doskonale, iż niedość obszerne koło mędrzec rzymski zakreślił szczęściu ludzkiemu cyrklem filozofii pogańskiéj; ale z drugiéj strony nikt téż nie zaprzeczy, na jak wysoki szczebel weszła już podówczas ludzkość, wskazując za cel zupełnego zadowolnienia duszy, przedmiot tak szlachetny, tak odarty ze wszystkiego, co się zwie materyalizmem, cel, słowem, taki jakim jest doskonalenie rozumu. Jeżeli jest to prawdą choćby w części, a jest nią niezawodnie, to już i w tém niepospolita i niczem nieopłacona zasługa wieków starożytnych, które bez światła prawdziwéj wiary, bez proroków i zakonu, w dowolném tłumaczeniu prawa przyrodzonego, jednak dotyla postąpiły w wyobrażeniach o zacności człowieka, że odrywają go od uciech przynoszących bezpośrednie zwierzęce zadowolnienie, a wskazują mu rozkosze umysłowe jako jedyne dobro, zgodne z charakterem jego istoty. Jest to zapewne błędem Seneki, że rozkosze te ogranicza do samego umysłu, ależ nie zapominajmy, raz, że to poganin, powtóre, że to uczeń stoickiéj szkoły, która uczucia uważa za zjawiska materyi, ciała, a ciało trzeba podbić, ażeby być wolnym. Prosta rzecz, że gdyby czy to ta szkoła czy inne były bezwarunkowo doskonałemi, przedstawiały prawdę bezwzględną, to byłyby nieśmiertelne, stawiłyby czoło wszelkim prześladowaniom i bramy piekielne nie przemogłyby ich. Ale że to były twory rozumu tylko ludzkiego a zatém ograniczone i uległe postępowi, przeto musiały się modyfikować: miały one swą wielkość, którą ludzie uznają i Bóg porachował, ale miały téż niedoskonałości, które są zarodami śmierci. Przyszedł chrześcianizm i rozciągnął nad wszystkiemi poprzedniemi doktrynami swoją boską kontrollę; szkoły dumne wiekami istnienia

i imionami mędrców nie chciały długo uchylić czoła przed nowym przychodniem, który wprowadzał nowe elementa życia, ale nareszcie wysilone upadły mu do nóg. Co tylko było dobrego w starożytnych szkołach, to wszystko wpromieniło się w słońce chrystyanizmu; męty wiatr rozwiał po świecie i dziś czepiają się one pojedynczości tylko i zatruwają nieraz jeszcze latorośl chrześciańską. Szkoła stoicka nie o wiele przeżyła Senekę, bo dzielność, którą ona zaleca, wówczas nie była na dobie; szkoła więc z czystych rąk Seneki i jemu podobnych jak Tacyt, spadkobierca ducha Seneki i jego przedśmiertnych myśli, dostała się w ręce oszustów, którzy ją profanowali; dusza więc jéj ulatywała coraz bardziéj ku sferom chrześcianizmu, aż ostatecznie szkoła ta z Markiem Aureliuszem wydała ostatnie tchnienie.

Skreśliliśmy wyżéj podług Seneki obraz stoickiego szczęścia, teraz wypada zapytać się, czy nie staje co człowiekowi na przeszkodzie do takiego stanu. Zdaje się, że nie: gdyż człowiek nie jest człowiekiem w pojęciu zasadniczém, jeśli nie jest wolnym moralnie; a skoro raz stanie się wolnym, więc jest mocen iść do tego szczęścia bez żadnéj przeszkody. Ażeby zaś osiągnął wolność, potrzebuje pewnych wysileń, na które gdy się raz zdobędzie, już mu nic wolności odebrać a tém samém drogi do szczęścia tamować nie może.

Największą przeszkodą do osiągnienia wolności jest złe pojmowanie przeciwieństw, klęsk, słowem wszelkich utrapień, które z zewnątrz na człowieka idą: to bowiem, co budzi w ludziach największą obawę i wywołuje ich narzekania, czyli złe, jest dobrem. Wdzięczni powinniśmy być Bogu, że nam zsyła przeciwności, bo one tylko uzacniają naturę człowieka, one nadają mu wartość i miarę jéj stanowią, czyli, według wyrażenia samego Seneki, jak ogień jest próbą złota, tak nieszczęście próbą zacności człowieka (1). Kogo Bóg więcéj ukochał, tego on więcéj doświadcza, aby mu dać okazyę do odznaczenia się, jako wódz, który na najniebezpieczniejszym posterunku stawia najdzielniejszego żołnierza; a jakkolwiek miło jest patrzeć na bohatera zdrowo wracającego z boju, ale ileż więcéj on budzi zapału, kiedy krew bryzga z jego rany. Bóg powiada do swoich wybranych: innym dałem fałszywe dobra, okryłem ich

(1) Quare bonis viris mala fiant cum sit providentia c. 1 sqq.

złotem, srebrem i kością słoniową, ale wewnątrz niema tam nic; ci, których wy za szczęśliwych macie, gdyby wam się ukazali nie z powierzchownéj strony ale w głębinie swéj, dopiérobyście zobaczyli, jak są nędzni, brudni i szpetni, zupełnie tak jak ich ściany, zewnątrz tylko świecące. Błędem jest mniemać, jakoby stała szczęśliwość była przywilejem niektórych: przyjdzie koléj na każdego szczęśliwca, a biada mu, jeśli go złe znajdzie nieprzygotowanym, zgnuśniałym i rozpieszczonym; kiedy przeciwnie dzielny mąż cieszy się na widok niebezpieczeństwa, jak żołnierz waleczny na widok nieprzyjacielskiéj chorągwi. Rekrut blednieje na samą myśl o ranie: weteran śmiele patrzy na własną krew, bo wie, że po krwi biegł do zwycięstwa. Seneka w tym razie wyobraża sobie Boga w takim stosunku do człowieka, jaką była idea rządu spartańskiego w stosunku do obywateli, a walkę człowieka z losem uważa jakby cyrk, w którym człowiek jest gladyatorem a widzem Bóg „*si quando voluptatem capiunt dii, cum spectant magnos viros colluctantes cum aliqua calamitate.*" Silny i poetyczny jest jego pędzel, kiedy maluje człowieka zahartowanego na wszelkie próby losu i z równą siłą pogardy depcze niewieściuchów, których nieszczęście samo omija jako nikczemnych, niegodnych walki, którzy wytrzymać nie mogą nawet wzroku przeciwności. Niepodobna jest ani wyłamać się z pod ciosów przeciwności ani narzekać na nie, boć one są wynikiem odwiecznych praw. Tu Seneka odwołując się do nauki Demetryusza (1), którego wiele razy w swych dziełach wspomina, wpada w teoryą fatalizmu. Nie zaprzecza on, iż Bóg jest pierwszą przyczyną wszelkiego bytu, ale prawo tegoż bytu rozciąga nietylko na człowieka ale i na Boga, odmawiając temuż wolnéj woli w dalszym porządku istnienia, tak jakby Bóg dobrowolnie zrzekł się wszechmocy na rzecz stałego prawa przez siebie nadanego. Jakakolwiek jest siła, co nam zakreśla konieczne warunki życia

(1) Demetryusz ten, filozof sekty cynickiéj, spółczesnym był Senece i jego przyjacielem. Nauka jego zależała na praktykowaniu kilku prawd odnoszących się do sfery moralności nie zaś spekulacyi. On zarówno z Seneką utrzymywał, że szczęście zależy na wolności i mocy duszy, a człowiek niema się czego obawiać z zewnątrz, bo śmierć nawet nie jest nieszczęściem, ale wyswobodzeniem. Czy pisał co, niewiadomo, a szczątki jego nauczania, po których rozeznać można ducha teoryi, znajdujemy u jednego tylko Seneki.

i śmierci, tejże saméj sile ulegają i bogowie; tenże sam pęd porywa za sobą rzeczy ludzkie i boskie. Bóg jako stwórca i władca wszystkiego zapisał fata w księdze konieczności, ale i sam téż im się poddaje: jawi się on wprawdzie nieustannie, ale kierunek przezeń nadany jest jeden i nieodmienny (semper paret, semel jussit). Mistrz nie może dzieła swego odmienić. To téż właśnie jest pociechą w przeciwności i zachętą do wytrwania w niéj, że człowiek pełni prawo przyrodzone z całém uniwersum, mając Boga za świadka i towarzysza, i to właśnie nazywa się cnotą. Ta pewność nadaje człowiekowi ogromną siłę: niema przeciwności, nikną bole i cierpienia, on gotów jest dążyć tam gdzie drży samo słońce; nikczemnem i podłem jest chodzić po bezpiecznych gościńcach, droga do cnoty wiedzie przez wyżyny. Kto tedy tak uzbrojony czeka na nieprzyjaciela, ten jest człowiekiem wolnym, ten jest mędrcem; pozostawi on daleko za sobą innych ludzi, a bogowie nie o wiele go wyprzedzą, bo jakaż między nim i bogami może być różnica. Dłuższy tylko wiek istnienia: ależ i to nielada sztuka, aby całość w małéj cząstce zamknąć (1). Pod pewnym nawet względem mędrzec ma nad Bogiem wyższość: Bóg naturze swéj, nie sobie samemu, winien swą mądrość (jest ona niby prawem Istoty Najwyższéj), ale większa to rzecz z upośledzeniem człowieka połączyć pewność Boga.

Po tém wszystkiem cośmy tu przywiedli, wyobraźmy sobie na chwilę czławieka wychowanego w takiéj szkole i nawskroś przejętego jéj zasadami aż do dna duszy, a wtedy zrozumiemy te oblicza surowe, które do nas przemawiają ze starych posągów Rzymian. Z takim człowiekiem niema rady; niech się wali cały świat, on będzie sobie drogę torował przez zwaliska, aby dojść do zamierzonego celu: ognie i miecze go nie zatrzymają, a jeśli stanie, to dlatego tylko, aby skonać jak Brutus, jak Kato. Cała poprzednia teorya jest to *virtus romana:* uchyla nam ona tajemnice duszy tego społeczeństwa bohaterów, których los nigdy złamać nie mógł, którzy po rzezi kanneńskiéj, z okrzykami radości przyjmowali w Rzymie konsula wiodącego pobite szczątki ostatniéj armii. Przypominam tu sobie jedno wyrażenie w Liwiuszu. Kiedy Gallowie z Numidami broczyli

(1) Epistola 53.

we krwi Rzymian, a wódz okryty ranami, siedział już na kamieniu, aby oddać ducha, podchodzi do niego jeden z setników: chciał go czy ratować, czy uprowadzić. Paweł Emiliusz ruszyć się już nie mógł, ale jeszcze dawał z rozpaczą rozporządzenia i coś o rodzinie wspominał. Setnik między innemi powiada doń: „Paule Emili, dum *et* tibi virium aliquid superest" (1) ja nie rozumiałem zrazu co tu robi ten spójnik *et*, co on łączy z Emiliuszem? A to setnik miał na myśli *ojczyznę*, pomimo, że widział co się na około działo, że droga do Rzymu otwarta a na niéj tylko garstka niedobitków, a wróg straszny i rozwścieczony zwycięztwem; jeszcze ani przypuszczał, żeby ojczyzna była bezsilną lub bez ratunku zagrożoną. Owoż jeśli przypomnimy sobie takiego Scewolę, o którym powiada Seneka, że nie mogąc zbrojną ręką pokonać wroga, odpędził go zgorzałą; jeśli rozpatrzymy się w postaciach Regulusa, Fabrycyusza i innych; jeśli wreszcie całe społeczeństwo z czasów Rzeczypospolitéj mieć będziem na uwadze: zobaczymy, że wszystko, co mówi tu Seneka, jest to nie tyle powtórzeniem teoryi stoickich, jak summą zasad i istotą ducha rzymskiego ludu, a Seneka jest tym bardem, który zasiadł na mogiłach bohatérów, aby pieśń o nich zanucić. Rzeczywiście poeci złotego wieku byli czy tyle obojętni czy tyle ostróżni, że ani wspomnieli o zacności dawnego porządku rzeczy; Horacy nawet podrwiwał sobie z Katona; od nich nie łatwo dowiedzieć się, czy była jaka wielka dźwignia w narodzie, a témbardziéj niepodobna żądać od nich określenia duszy narodu w jéj tajemnicach. Czy zaśpiewał który szczerą odę na cześć tych kolosów, co w łonie swém piastowali prawdziwą godność narodową? Nikczemny Owidyusz nazywa stronników Brutusa *impia manus*. Wirgiliusz pisze tysiące suchych wierszów, aby koniecznie Augusta wylegitymować od Eneasza a po kądzieli sięgnąć aż do Wenery; olbrzymia zaś przeszłość leżała dla nich w niepamięci. Jest to zwykły tryb poezyi przedpokojowéj. Obowiązek poetów spełnili historycy i filozofowie: Liwiusz, Seneka, Tacyt, poeci a przynajmniéj dwaj pierwsi stokroć wyżsi od tych, którzy pisali wiersze. Dalecy jesteśmy od ślepego entuzyazmu dla Rzymu republikańskiego, patrząc krytycznie na jego sprawy, możemy owszem zarzucić mu wiele. Nic on nie

(1) „Emiliuszu, gdy *i* tobie nieco sił pozostaje" nasuwa się tu zarazem pytanie — komu drugiemu?

widział prócz siebie, chłonął i niszczył obce narodowości dążąc do panowania nad światem; ale nie możemy też nie uznać, że dążenie to okupywał rzeczywistém poświęceniem i ofiarą wszystkiego składaną przez indywidua na ołtarz publicznéj sprawy, którą w kaście swéj widział reprezentowaną. Przez to wyrabiał on charaktery dumne, ale duma ta była uprawnioną wielkościami czynów i poświęceń. Rzym imperyalny, zachował wszystkie złe strony Rzymu republikańskiego nie przydając zalet, a utraciwszy potrzebę poświęcenia, utracił zarazem indywidualną godność, za którą znikły charaktery, jako nie mające pola rozwinięcia się.

W naszym Senece, który jest poniekąd piewcą starego Rzymu, co krok napotykamy, to obrazy, to wyrażenia, które odkrywają wielki poetyczny talent; to właśnie nadaje mu taką żywość i moc, że jeśliby go kto przeparł logiką, to nigdy wymową, a co większa nie znajdujemy u niego żadnéj frazeologii, tak jak często w Cyceronie: wyrazy są tak zbite, że niepodobna jednego wyjąć, aby nie zepsuć obrazu lub myśli, a księgi jego są nader prawdziwém odbiciem rzymskiego umysłu i charakteru, rozumię się z tego czasu, kiedy w Rzymie był jeszcze charakter. Seneka żył w czasach, kiedy Rzym zaczął próchnieć na dobre, ale że to był dąb o szerokich konarach, więc nie łatwo się mógł obalić: Augustowie wprowadzili do rządu pierwiastek wschodni, który musiał rozlać się jadem śmierci; obywatelstwo, skoro nie poszło raz za Brutusem, to już było, pokazuje się, moralnie zgubione: polityka jedna była silną, ale moralność straszliwie zanieczyszczoną; więc też Seneka z całą gwałtownością powstaje na zepsucie, na znikczemnienie swego czasu, przeciwstawiając gdzie może przykłady dawnéj wielkości. Z jakim to on zapałem opisuje śmierć Katona. „Nie wiem, powiada on (1), czy dla Jowisza było co piękniejszego na ziemi, jeśli spójrzeć na nią raczy, jak widok Katona. Stronnictwo jego już nieraz złamane a on mimo to stoi nieugięty na zwaliskach społeczeńskich. Chociaż wszystko dostało się w moc jednego, chociaż legiony pilnują ziem, a floty mórz, choć żołnierz cezarowy obsadził bramy, Kato ma jednę bramę, którędy wyjdzie. Jedną ręką otworzy sobie szeroką do wolności drogę. To żelazo, które czystém i niewinném pozostało nawet w domowéj wojnie, do dobréj tylko i szlachetnéj użytém bę-

(1) Providentia c. 2.

dzie sprawy: ono, da Katanowi tę wolność. któréj nie mogło dać ojczyznie. Duchu mój! przystąp do dzieła dawno obmyślanego, oderwij się od rzeczy ludzkich!... O, pewien jestem, mówi filozof, z jaką to rozkoszą patrzyli bogowie, jak ten mąż straszny dla siebie, radzi o wybawieniu innych, zabezpiecza odwrot ustępującym, i w tejże saméj nocy ostatnie odbywa studya; jak w świętą pierś wbija żelazo, rozprasza wnętrzności i tę duszę najświętszą, któréj niepowinno było skazić żelazo, ręką wyprowadza. Wtém rana okazuje się niedosyć stanowczą. Nie dosyć było bogom nieśmiertelnym raz tylko patrzeć na umierającego Katona: on tedy wstrzymuje i napowrot przyzywa swe męstwo, aby w trudniejszym okazało się razie, bo jeśli wielkiéj trzeba siły, aby sobie smierć zadać, większéj nierównie aby ją powtórzyć. Czyż nie z rozkoszą patrzyli oni na swego ucznia, który tak świetnie, tak pamiętnie, schodził z tego świata?" Tak chlubne wspomnienia mężów wiążące się z okolicznościami, które mogły w najokazalszy sposób przedstawić ideał Rzymianina, wywołuje Seneka z całych dziejów, aby niemi zasilić rozumowania wiodące do wyświecenia zasad, jakie sam wyznawał, a lubo głos jego wołał na pustyni, nie mniéj jednak słowa jego zawierają narodową prawdę. Zasady, jakiemi rządził się lud rzymski, tłumaczą nam, dla czego najwięcéj stoicka nauka przyjmowała się śród Rzymian: była ona bowiem jakby teoryą tego, co oni instynktownie zdawna już praktykowali, ale widzimy zarazem, jak nauka ta już u Seneki została zreformowaną. W Grecyi stanowiła ona godność filozoficzną indywidualną, w Rzymie zaś rozwija głównie stronę swą praktyczną, moralną, dążąc do zajęcia w téj formie stanowiska ogólnéj społeczeńskiéj zasady, z pominięciem strony spekulacyjnéj. Rzymianie radzi byli, przyjmując ją: widzieć w niéj teoretyczne kryteryum kierunku, jakim szli na drodze życia publicznego i rodzinnego: cieszyli się widząc, że jest na świecie przekonanie mędrców, które pochwala to, że ani ogień ani żelazo nie sprawia boleści, że ani głos wabnéj przyjaciołki, ani jęk rodzonego dziecka nie sprowadza z drogi obowiązku. Topór pierwszego Brutusa, puginał Wirginiusza, znalazły approbatę w stoickiéj szkole.

Moralność uważana jako idea ogólna, ożywiająca działalność wszelką, była pojmowaną przez Senekę tak jak być mogła na stanowisku naturalistycznem a nawet politeistycznem: ale są

znowu pewne szczegółowe jéj prawdy nieoddzielne od natury człowieka, wieczne, niezmienne, w obec wszelakich pojęć religijnych. Tłumaczenie takich to prawd, jest najświetniejszą stroną Seneki; wtém żaden z mędrców starożytności nie może z nim wytrzymać porównania. Szczególna przenikliwość, odgadywanie usposobień ludzkich w ich najdrobniejszych odcieniach, dowcip, siła obrazowania w tym człowieku przejmuje zdziwieniem tam mianowicie, gdzie on wytyka występki i zepsucie, i natomiast podstawia prawdziwe pojmowanie rzeczy; a jeśli wpada niekiedy w zboczenie, to tylko przez przedstawienie prawdy aż do przesadzonych rozmiarów. Traktując specyalne części moralności, łączy on wszystkie szkoły, wybiera z nich wszystko dobre, czerpie u każdego źródła, a plany jego tak są szerokie, że zdaje się jakoby nie były mu obcemi nawet zasady moralności chrześciańskiéj. Wszystkie traktaty jego ożywia jakiś duch zgody, pojednania i życzliwości wzajemnéj; znać w nich nietylko prawego obywatela kraju ale zacnego członka ludzkości całéj. Dziś wygląda to na smutną parodyą, kiedy spojrzymy na tytuł rozprawy „*O łagodności*“ którą on napisał umyślnie dla ucznia swego, ośmnastoletniego Nerona, gdy ten obejmował ster rządu. Jakież to poczciwe były zamiary, jak wielkie chęci zacnego filozofa; jegoż to wina, że tak niesłychanie strasznego doznały zawodu? Z wielką on tam loiką a z większą jeszcze żarliwoscią obstaje za swobodą ludu; a głównym widać powodem do napisania téj rozprawy były gwałty i nieprzerwanym ciągiem po sobie następujące wyroki śmierci od czasów Augusta, aż do wstąpienia na tron Nerona. Bolała nad tém obywatelska dusza Seneki i boleść tę rozlał on na wszystkich kartach swego traktatu, ujmując się za ofiarami, pragnąc ochronić żyjących od podobnéj kolei: to perswazyą, to prośbą, to delikatną pogróżką następstw działa on na młodego pana, aby odwrócić jego oczy od potwornych przykładów przeszłości. „Cóż w tém może być miłego, o wielcy bogowie! powiada on do ucznia (1), srożyć się, mordować, rozkoszować się brzękiem kajdan, ścinać głowy obywateli, za każdym krokiem potoki krwi rozlewać, obliczem swém przerażać i płoszyć. Jakieżby inne życie być mogło, gdyby tu lwy panowały, gdyby nad nami dana była moc wężom lub innym dzikim bestyom. One są bezro-

(1) De Clementia lib. I. c. 26.

zumne, za drapieżne przez nas okrzyczane, a jednak bezpieczne między sobą. Człowiek jedynie, nietylko podobnego sobie człowieka nie oszczędzi, ale wściekłości swéj przed krewnym nawet nie zatrzyma; mało mu śmierci pojedynczéj: tępi całe plemiona, dachy obrzuca płomieniem, przez grody stare przeprowadza pług, i to nazywa dopiéro potęgą....“ Stawia on mu za przykład rozmaite czyny łagodności, a między innemi sławne postąpienie Augusta z Cynną, w ustępie pełnym malowniczości, z którego Corneille blado swoją scenę skopiował. Dowodzi mu, że jak osobista srogość człowieka niegodziwą jest, gdyż go przemienia w dzikie zwierzę; tak surowość zbytnia również szkodliwą jest dla państwa; radzi mu, aby jak najrzadziéj i tylko w ostateczności używał kary, żeby lud nie otrzaskał się z nią aż do zobojętnienia. Łagodność władcy wstydem krępuje występnych największym; przeto wypada, aby on do kary przystępował zrzadka i z największym wstrętem: a jak z jednéj strony niebezpiecznie jest wykazywać ludności wielką liczbę przestępców, tak z drugiéj, władcy nie zaleca bynajmniéj liczba wymierzonych kar, tak jak lekarza nie zaleca wielka ilość pogrzebów (1). To wszystko pokazuje, jak ciężko na duszy Seneki leżała niedola ówczesna ludności rzymskiéj i ludności świata, oraz jak serdecznie pragnął ulżyć jéj przez wpojenie dobrych zasad w umysł panującego, przez obrzydzenie w nim kierunku otwartych zbrodni, jakich się dopuszczali jego poprzednicy nad ludem, o którym Tyberyusz powiedział: o podłe plemię, samo ręce podaje w kajdany! Daremne były usiłowania Seneki: Neron pozostał przy dziedzicznéj srogości, a lud przy dziedzicznem znikczemnieniu: ale słowa mędrca nie straiły mocy, mają one dobry dźwięk po wszystkie czasy.

Jeżeli myśl poprawy rządu i moralności, gorącém uczuciem w poprzedniéj przeprowadzona rozprawie, któréj część tylko zachowały nam wieki, chlubę przynosi Senece, to niemniéj zazaszczytną dlań jest myśl obszerniejsza, więcéj, że tak powiem, chrześciańska, która błyska w rozmaitych dzieła jego ustępach. Jestto podniesienie niewolników do godności człowieczéj: jedyna myśl, która pojawiła się w pogańskiéj starożytności. Seneka w tym sensie o tém się wyraża: Błędem jest mniemać, jakoby niewola ogarniała całego człowieka: jego część lepsza stanowi

(1) De Clementia lib. I. c. 22, 23, 24.

wyjątek. Ciała podległe są i zapisane do własności pańskiéj, ale duch praw swoich nie utraca. Duch tak jest wolny i nieskrępowany, że nawet więzienie to, w którém zamknięty siedzi, nie wzbroni mu pędzić według upodobania, dokonywać olbrzymich dzieł i wzbijać się ku niebiosom. Ciało więc tylko trafem dostaje się panu, ciało tylko ulega kupnu i sprzedaży, ale ta część wewnątrz ukryta nie zwalnia się przez *manumissyę*, z tą częścią, cokolwiek ma związek, jest wolném: ani sobie wszystkiego nakazać, ani niewolnika do wszystkiego zmusić nie możemy (1). Tak na te rzeczy spoglądając Seneka nie jednokrotnie powstaje z gwałtownem oburzeniem na dzikie obchodzenie się panów z niewolnikami (2), a w przepysznym liście do Luciliusza (3) kreśli obraz stosunków, jakie powinny istnieć pomiędzy panem i niewolnikiem. List ten napisany jest tak, że prócz niektórych ustępów lokalnych, bez zmiany wyrazu dziśby zarówno powtórzyć go można, a niejedne nożyceby się odezwały. Mówi on tam między innemi: Miłość ze strachem połączyć się nie da... mówicie, że co niewolnik to wróg; mylicie się, oni wrogami nie są, my ich wrogami naszemi tworzymy. Pan biesiaduje i brzuch łakomo napycha, a tłuszcza niewolników stać musi nieruchoma, milcząca; jeden głos, kaszlnięcie, sprowadza krwawą chłostę, noc całą biedny niewolnik głodny i niemy przestoi. Nic dziwnego, że ci, którym nie wolno mówić przy panu, mówią o panu. Ale ci, którym nietylko przy panu, ale i między sobą rozmawiać było wolno, gotowi byli podać kark za pana i na głowę swoją przyjąć spadające niebezpieczeństwo. Ci, co przy biesiadach rozmawiali, milczeli w czasie męczarni (4). Czytając ten list mimowolnie przyszliśmy na porównanie i zapytali, czy te tysiąc ośmset lat o wiele oddaliły nas od czasów Seneki, i ciekawym, jakąby nam dała odpowiedź północna Ameryka, że przez grzeczność wypada nam opuścić Europę.

Opinia Seneki w przedmiocie stanu niewolniczego nie jest luźną ani oderwaną, wyraża ona tu tylko zasadę równości człowieka w prawach przyrodzonych i politycznych, ale wiąże

(1) De beneficiis lib. III. c. 20.
(2) De ira lib. III. c. 29. 32.
(3) Epistola 47.
(4) Stosuje się to wyrażenie do torturowych indagacyi niewolników wzywanych, aby świadczyli przeciw panom oskarżanym o zbrodnie stanu.

się z zasadą ogólnego dobra, polegającego na wzajemnéj pomocy, zgodzie, na wzajemném przebaczaniu uraz i ułomności; to téż w téj myśli uderza on przeciw wszystkim namiętnościom, które tamują zbliżenie się ludzi do trybu braterskiego. Rady, jakie daje dla wprowadzenia téj zasady w życie, spostrzeżenia, jakie czyni, przechodzą wszelkie spodziewanie, aby wyjść mogły z ust człowieka, który nie był chrześcianinem. Nierozsądnie, według niego, byłoby błądzących ścigać nienawiścią, bo tym sposobem każdy powinienby nienawidzić siebie. Niechno pomyśli każdy, wieleto wykroczył przeciw prawdzie, a zobaczy, wiele byłby winien sądu; niechże więc potępia sam siebie, bo sprawiedliwy sędzia nie może dawać innego zdania o sobie, jak o kim innym. Nie ma nikogo bez grzechu, a ten, co się powiada niewinnym, patrzy na świadków, ale nie na swe sumienie. Nierównie zgodniéj jest z wyobrażeniami ludzkości łagodne i spokojne oblicze ukazywać grzesznikom i nie ścigać ich, ale raczéj przywołać; błądzącego po manowcach przez nieświadomość drogi lepiéj jest naprowadzić na prostą ścieżkę, niż go odpędzać. Grzesznika należy poprawiać strofowaniem i siłą, łagodniéj i surowiéj, a sprowadzać go na dobrą drogę nie bez kary, ale bez gniewu, bo czyż może się gniewać ten, co podejmuje się uzdrawiać. Występując tym sposobem przeciwko nienawiści, równie potępia chęć szkodzenia i zemstę, radząc natomiast poczciwemi słowy odpuszczenie wzajemne winy, jako podstawę wspólnego szczęścia; nie wyłącza on użycia środków surowości, ale tym ma przewodniczyć łagodność i sprawiedliwość, a kara bynajmniéj nie ma być uważana za pomstę, lecz za środek działający na poprawę występnych i nie przeszłość, ale raczéj mieć na względzie przyszłość człowieka (nec unquam ad praeteritum sed ad futurum poena referretur), czyli nie dlatego ktoś ma być karanym, że zgrzeszył, ale dlatego, aby nie grzeszył. Na téj zasadzie odzywa się on wiele razy za usunięciem kary śmierci, a to dlatego, że społeczeństwo względem sądzonego wyobraża niby stosunek ojca do dzieci, a ojciec karze syna nie iżby rozkosz sprawić sobie jego boleścią, ale żeby go poprawić, i nigdy dziecku życia nie odejmuje. Skłonności nieprzyjazne rozbiera Seneka z nader szczegółową znajomością dźwigni ludzkiego serca, przytacza przeciw nim mnóstwo argumentów logicznych i naprzemian uczuciowych, popiera przykładami z dziejów, z praw zasadniczych, a najmocniéj po-

wstaje przeciw zemście, mówiąc, że wstrzymywać się od niéj potrzeba, jeżeli nie z wewnętrznego poczucia, to przez rozum i to zarówno względem równych, wyższych i niższych; gdyż zamiary zemsty względem równych siłą, są wątpliwego celu; względem silniejszych szalone; względem słabszych podłe. Przeciw chęci szkodzenia drugim taki pomiędzy innemi stawia syllogizm, że nie godzi się szkodzić ojczyźnie, więc nie godzi się szkodzić i obywatelowi, który jest częścią ojczyzny. Jeżeli dla nas wszechświat jest świętością, świętemi są równie i części,a zatém ludzie. Jako wszystkie członki człowieczego organizmu pojedynczo dążą do tego, żeby utrzymać i zabezpieczyć całość, wspierają się pojedynczo a nawet jeden nadstarcza uchybienia drugiego; tak i ludzie powinni działać, jedni drugich wspierać, ponieważ do gromady stworzeni są: społeczeństwo zaś nie może stać w gromadzie tylko przez miłość i wzajemną straż (1). Do takiéjto wzajemności, jako środek wysoko kształcący charakter ludzki i najdzielniejszy w kojarzeniu nierozerwalnych związków; jako wreszcie konieczny obowiązek ludzkości zaleca on dobroczynność i wykładowi jéj poświęca osobny znakomity traktat, w którym wyświeciwszy całą piękność usposobień wiodących do dobrych uczynków, do pośpiechu z wszelakiego rodzaju pomocą, naciska na to, aby dobroczyńca poprzestawał na saméj słodyczy dobrodziejstwa, nie poszukując ztąd ani chluby ani wdzięczności, i nawzajem, aby on niewdzięcznością nie zrażał się bynajmniéj, bowiem „stanąłby cały ruch czynności ludzkich na lądach i morzach, gdyby nie kuszono się powtórzyć usiłowania, które raz upadło. Okaże się ktoś niewdzięcznym, mniejsza o to, on sobie, nie mnie krzywdę uczynił; ja miałem dostateczną nagrodę w dobrodziejstwie samém, nie zleniwieję przez to, ale owszem nowych nabiorę sił, aby odzyskać na drugich to, com na tym jednym stracił. Do niego samego owszem zwrócę się raz jeszcze z dobrodziejstwem i jako dobry rolnik, staraniem i pracą przezwyciężę nieurodzajność gruntu (2).“ Bezinteresowność tedy, podstawa chrześciańskiéj dobroczynności, jest zarazem pierwszém i ostatniém słowem wykładu Seneki o cnocie téj traktującego.

(1) De ira. pass.
(2) De beneficiis l. VII. c. 31. 32.

Nie mamy żadnego śladu historycznego, któryby nas wyraźnie wprowadzał na dowód, że Seneka pisał pod wpływem chrześciańskiéj moralności lub bezpośrednio czerpał coś z jéj zasad; a lubo wieki średnie skłonne do legendy, przyznają mu stosunki jakieś z ś. Pawłem, opierając się na zmyślonych listach tych dwóch osób: to jednak ani grunt obu nauk, ani inne okoliczności nie sprawdzają podobnego przypuszczenia. Gdyby wreszcie istniało jakie zbliżenie pomiędzy nim i chrześcianami bawiącemi w Rzymie, ślad tego zostałby mniéj więcéj w jakich kronikach, to rzymskich, to chrześciańskich; ale jeżeli nie ma śladu stosunków, za to widzimy zbyt jasne powinowactwo pojęć. Seneka, jako człowiek wyższy nad swą epokę i swoje społeczeństwo, czuł, że ono nie utrzyma się na tych podstawach, na jakich istniało dotąd; stan zamętu, powszechnéj niewiary w wyobrażeniach, w życiu zaś zerwanie wszelkich więzów moralności, ten cały wstęp do dziejów kilkowiekowéj tyranii, który właśnie przypadł na istnienie Seneki, naprowadził go na myśl, że potrzeba zmienić porządek wyobrażeń naprzód, aby za niemi poszło przeistoczenie porządku społecznego. Pomysły jego te, których nie zawdzięcza on ani żadnym szkołom, ani ideom tkwiącym niegdyś we własném jego społeczeństwie, a tak jasno odbijające się w prawdzie chrześciańskiéj, która jednocześnie przyszła wybawić świat, usiłowania Seneki do uszlachetnienia człowieka uważanego wprost za istotę moralną bez żadnego celu ziemskiego, stawiają tego mędrca poza obrębem ówczesnego świata rzymskiego: ten świat nic mu nie dał, on od niego nic nie wziął prócz widoku wielkich zbrodni i większych jeszcze podłości. Seneka z rozpaczą poszukujący środków na swoje społeczeństwo, nie już jako na Rzymian, ale jako na ludzi w ogóle, zbliżył się wysileniem umysłu do prawd ogólnie ludzkich, a przez nie do serca wszystkich miejsc i czasów. Każda podobna prawda niezawodnie znajdzie sprawdzenie w chrześciaństwie, nic dziw więc, że większa część ustępów moralności Seneki zdaje się być wyjątkiem z filozofii chrześciańskiéj: Seneka, ponieważ mieszkał w Rzymie i na dworze Cezarów, zachował przeto miano filozofa; gdyby oprócz namaszczenia Bożego namaszczono go jeszcze olejem chrztu, zostałby był Ojcem Kościoła.

Zachodziłaby tu kwestya, czy Seneka te wszystkie piękne prawidła moralności sprawdzał we własném życiu; ale, lepiéjby

nam téj kwestyi nie dotykać. Przeczuwał ją sam filozof i kilku odpowiedziami uprzedził. Zarzucają mu życie dworskie a tém samém wszystkie wiążące się z nim okoliczności; jestto zarzut niewczesny; gdyby bowiem Seneka poprzestawał na saméj nauce spekulacyjnéj, mógłby sobie siedzieć w ustroniu; chcąc zaś działać wprost na życie, musiał szukać sobie dogodnego punktu i rzucić się w jego wir, nie pytając kto kogo pochłonie. Nie wyszedł on wprawdzie z należytą godnością ze stosunków dworskich: znalazł w sobie dość siły do pisania owacyi tyranowi i téj hańby nic mu z czoła nie zetrze; przyschła ona na nim, tak, jak na czole wielu wcześniejszych i późniejszych poetów: wieki jéj nie oderwą, żaden interes wyższy, żaden cel tego środka nie usprawiedliwi; ale jeżeli Seneka jakiekolwiek błędy popełnił w życiu, okupił je śmiercią, którą poniósł z godnością znamionującą człowieka, jakiego ideał w dziełach swoich przedstawił.

Dnia 16 listopada 1859 r.

KRÓTKIE
CURRICULUM VITAE MATYJASZA,

CO ZWAN BYŁ:

KOBEŹNIKIEM NA WILCZÉJ USTRONI.

WEDLE SŁÓW PEWNEGO STAREGO TRADYTORA W RYM UJĘTE

I

ŚWIATU PRZEDSTAWIONE.

PRZEZ

Stefana z Opatówka.

Stary mówi:
Quam sunt fata similia! Po głowie się macam
I jak człowiek co szuka, oczy przed się zwracam;
Ślizgają się dwa palce w poprzek po łysinie:
Nie ma na czém się ostać wzrok na karczowinie...
I rzewno mi jest patrzéć w poleśne pustkowie...
Otóż z lasem na ziemi, co z włosem na głowie!

Bo ono trzeba wiedzieć, że dawnemi czasy,
Z południa i z północy schodziły się lasy:
Od gór mówię, Chrobackich, morza Baltyckiego,
Aże do Częstochowy, do centrum świętego;
I tu już jakby daléj iść się nie ważyły,
U stóp się Jasnéj-Góry wieńcem położyły.

A że to lasy dawne, o których rzecz czynię,
Były, rzekąc, dąb w dęba starosty w dębinie,
Przy których klony, świerki, wiązy, buki, graby,
Kupiły się w gromadę jak czeladne draby.

A człowiek staroświecki, co bił dzicz pogańską,
Konterfektował wszystko z tarczą chrześciańską:
Ztąd też i ów pas boru z gór do morza brzegu,
Quasi starą hussaryę stojącą w szeregu
Przed Najświętszéj Panienki lechicką stolicą,
Nazwał więc po swojemu, Panieńską strażnicą.

Jakoż się owo imię sprawdzało w tym czasie,
Dopókąd stały dęby na strażniczym pasie.

Mówili mi starcowie, którym wierzyć mogę,
Że raz tu w nim Husyci zatracili drogę,
Kiedy nieśli klejnoty zabrane z klasztoru:
Błąkali się wszerz i wzdłuż po cienistym boru;
A ilekroć już pewni że do kresu przyszli,
Zawsze się w onym punkcie znaleźli, zkąd wyszli:
I dotąd kołowali w opacznym kierunku,
Pókąd im żołnierz polski nie odbił rabunku.
A tak więc *quam est semper i ta male parta*,
Jako mówi makaron, wyszła im na czarta.

Za króla, co nieszczęścia liczył na tysiące,
Za Jana Kazimierza, Szwedy bobrujące
Gęstą kupą rajtarów z chciwym knechtów gminem,
Wlazły w pas on strażniczy, przed, czy za Olsztynem?
Aliści dęby stare czując wraże plemię,
Poczęły się chwiać całe i walić na ziemię,
I przygniatać tę spłazę gdzie stała rajtarya.
Takto ongi broniła ta leśna hussarya
Virtute miraculi potężnego Boga,
I nie wyszła już z pasu żadna szwedzka noga,
Tylko dusze—do piekła.

Jak długa granica,
Miała dwa pasy leśne Panieńska strażnica.
Ten, co się od gór spuszczał, górskiego miał miano,
A co z morza wychodził, morskim go przezwano.
Pas morski pięć województw oddalonych spinał:
Na bagnach się w pomorskiém od morza poczynał,
Z gnieźnieńskiego w poznańskie wschodnim skrętem wbiegał,
Przez kaliskie z sieradzkiém w podłuż się rozlegał;
A gdy ziemię wieluńską przerznął jak po sznurze,
Łączył się z pasem górskim, tuż przy Jasnéj-Górze,
Która w centrum ich stojąc i wiążąc je z sobą,
Błyszczała niby spinka szmaragdu ozdobą.

Za méj jeszcze pamięci, w naszéj okolicy,
Dochował się ślad pasu Panieńskiéj strażnicy;

Choć już jak wyspy na nim stały karczowiska,
A na nich kupy osad jak świeże mrowiska.
Stoją mi dotąd w myśli, siekierą nie tknięte,
Te okiem nie przejrzane, cyfrą nie ujęte,
Szanowne w cieniu lat swych i tym cieniem sławne,
Wiece leśnych starostów, one bory dawne,
Co pono biły pokłon Mieszku w postrzyżyny.
One bory: Dębego, Szczytnik, Bukowiny;
One: Brzezin, Jasionny, Klonowy, Chajowa,
Sokolnik i Dąbrowy, Wierzchlasu, Turowa,
Jaworzna i Szyszkowa, Lipia, Wilkowiecka (1),
Że o innych przemilczę.

Gadka staroświecka,
Jak kur leśny wypłoszon z swych wiosennych wczasów,
Głuży mi po pamięci onych dawnych lasów,
I jedno przypomniawszy wiele przypomniałem...

Opowiem więc Waszeci, co sam zasłyszałem,
Gdym się z pieski za liszką ganiał na koniku,
O pewnym Matyjaszu, leśnym kobeźniku.
A choć w tém Curriculum nadarzy się przerwa:
Audi puer attente et quid audis—serva
Intra claram memoriam, ad majorem gloriam
Tam temporum altorum quam rerum veterum.

Otóżto w one leśne, *dico* lepsze czasy,
Gdy się bory zrastały na strażnicze pasy,
Była tutaj dolina borem opasana,
Alias Wilcza-Ustroń *vulgariter* zwana,
Że wilczyce tu co rok na wypłód chadzały.
Wygon to był nie duży, ale też nie mały,
I obejść go w około nie szłoby ci sporo,
Bo w poprzek jedno staje, a w podłuż miał czworo;
Przytém boki zatkane gąszczem wielorakiem:
Głogiem, cierniem, jeżyną i innym chrośniakiem.

Tu oto w téj dąbkami porosłéj leszczynie,
Płynęło toż źródełko, co i teraz płynie;
Tylko znikła ta chatka, co stała na świadki,
Że odeń wziął zakątek przezwę „Rosochatki" (2).

(1) Sąto nazwiska wsi dawnego województa kaliskiego i sieradzkiego, których bory łączyć się miały z sobą w pas jeden docierający do Częstochowy i tu wiążący się z borami krakowskiemi i szlązkiemi przez Olsztyn i Herby. Za tradycyą przemawia głównie nomenklatura leśna cytowanych wsi i dochowane przy większej ich liczbie aż dotąd dość znakomite bory.

(2) Jest to miejsce za Opatówkiem ku Cieni, jedno w téj okolicy z najpiękniejszych. Droga do Rosochatki prowadzi przez obszerne karczowisko porosłe gęstym, nizkim jałowcem.

Rosły tu jak w czworaku, jak gdyby pod miarę,
W dość prostéj paraleli cztéry dęby stare.
Architekt, co zamyślał budować w tym lesie,
Podwalił pod nie bale na cztéry przyciesie,
Sklinował przy rosochach cztérema przyciągi,
Na powałę zarzucił jedlinowe drągi;
Przytwierdził nizkie kozły i w górę nastroszył,
Mchem lekkim, nie przesiąkłym pokrył je i poszył;
W czém mu téż pomagały ptaki należycie,
Siejąc wrzos i bylicę na meszne poszycie.
Wyplótł potém ścian cztéry grubawą łoziną,
Pozatykał mchem szpary, a dziury darniną;
Z tyczek komin podźwignął i gliną ogładził:
A tak, prostym rozumem, chatkę wyprowadził.

Że zaś ta chatka meszna wśród boru głuchego,
Wyglądała pocieszniе jakby coś żywego,
Że w dęby wklinowana do samego rdzenia,
Zdawała się wyrastać z wspólnego korzenia;
Przytém, że i budulec prosto cięty w boru,
Nie znał piły ciesielskiéj ani téż toporu;
Że więc po niéj tu owdzie sterczał sęk nie gładki:
Ztąd zyskała i słusznie przezwę Rosochatki.
Dopiéroż gdy wieczorem lub o wczesnym świcie
Spadały mgły kroplami na meszne poszycie,
I na po niém rosnące bylice i wrzosy,
To już ta Rosochatka była chatką z rosy.

Stała téż Rosochatka na doprawdy składnie,
Choć trochę za przykośno i nazbyt zasadnie!
W obejściu był tu oraz porządek wszelaki,
Co wnet się sam pochwali, gdy opowiem jaki?

Na podwórku za chatą, takiejże struktury,
Strzecha była na słupach, a przy niéj wilk bury,
Co dla swych sentymentów wołan był: Pokorny;
Jakoż wcale nie pyszny, układny i dworny:
Ujęty za obrożę w skręcone powrozy,
Pilnował skromnie stajni i szopy na wozy.

W stajence klaczka Rześka z konikiem Drabantem,
Żyły w zgodzie przykładnéj z baranem Dyszkantem;
Choć tenże rej przy żłobie wyłącznie prowadził,
Co dziwniéj, Pokornego nieraz w bok usadził...
A Pokorny znać ćwiczon w sąsiedzkiéj dworności,
Najpokorniéj ponosił bodźce życzliwości,
Szczerząc zęby, dmąc w kułak paszczęką klapiatą,
Jako zwyczaj jest mówić.

W zaroślach przed chatą,
Ogrodzony kołami, nad strużki pobrzeżem,
Był zwierzyńczyk nasadzon co łatwiejszém zwierzem,
Na którym się wpasały myśliwe sokoły.
Skakał tu przy sarence króliczek wesoły,
I zajączek kusajda z jelonkiem wyskokiem.

W zwierzyńczyku w pośrodku na drągu wysokim
Stał gołębnik okrągły. Zamiast chorągiewki,
Na bocianich piszczelach odzianych w cholewki
Z tołuwem i głowizną paździerzem wypchaną,
Z zawieszoną na kręgach strzępiatą sukmaną,
W kapeluszu z piórami puchacza i kraski,
Udaną dzierżąc strzelbę z jałowcowéj laski,
Czatował ślepy, trafar *vel* straszek na ptaki,
I celował ze szczytu jak Zoilus jaki,
Co się składa i mierzy, wszelakoż nie spuści...
Jakoż mu na rusznicy przy samėj czeluści,
I na głowie wróbelki siadały niegrzecznie...
Jeno leśnik skrzydlaty, po dworsku, statecznie
Obchodził się z tym dziwnym a strasznym subjektem,
Estymując w obłokach z należnym respektem.

Przed drzwiami Rosochatki, wysmukła borówka,
Chodziła na łańcuszku liszka Adwentówka,
Tak zwana, dla skromności godnéj podziwienia!
Która ją salwowała od postu strefienia,
Nauczała pogardzać mięsnych pokus głosem,
Co wabiły do grzechu tuż pod samym nosem,
I trzy sensa łaskocząc zaostrzały czwarty,
Na kury, kaczki, gęsi, najwściekléj zażarty.

Owoż i z człekiem chytrym toż samo się staje...
Czego w pazur nie imie, nie waży za jaje;
I taka wzgarda rzeczy więc mu we łbie siedzi,
Jak liszki na łańcuszku dla śmietnéj gawiedzi.

Wzdłuż całego okapu, tuż pod strzechą chatki,
Wisiały długim rzędem różnokształtne klatki.
Były w nich posadzeje z głośnemi wabiami,
Dobre wielce na służbie przy łowach z sieciami:
Turkawki turkające, gruchliwe gołąbki,
Makolągwy pogwizdne i donośne ziąbki,
Jemiołuchy skwierczące, ciurkliwe dzięcioły,
Kosy, szpaki poświstne, piskotne kwiczoły,
Gile, czyże, przepiórki, szczygły i sikory,
Skowronki i ledwuchny (1) i inne kantory,

(1) Ledwuchna, skowronek borowy.

Które wszystkie o świcie rannemi dyszkanty,
Chóralne na dzień dobry śpiewały kuranty.

Po ścianach niżéj klatek szły kołki drewniane,
Na których były ongi przyrządy wieszane
Do łowiectwa wszelkiego na ptaka i zwierzę:
Więc włóczki, czyli lepiéj powietrzne kacerze,
Sprężyny-samołówki i siatki-zawiaski,
Wędki ptasie: wątony i zdradne potrzaski,
Spary do poruszania, z sidełkami tykle,
Ponoża, które zowią obręczowe wikle,
Szaterek, który z płótna zielonego bywa,
I w którym się na czatach rad łowczy ukrywa,
Płachta ze łbem bydlęcym farbowana korą,
Którą na się myśliwi, by zejść stado, biorą,
Żelaza na borsuka, na kunę, na wilka,
I piszczałek przywabnych wisiało téż kilka;
Przepiór z kości łabędzia zgrabnie wyrzezany,
Dobry na przepierzyce i na one brany,
Kuwiek z sarniéj piszczeli na pućki i sowy,
I kwiél z rogu na drozdy, na kosacynowy,
Oraz trąbka-chartówka do polowéj szczwanki,
I róg gończy-kniejowiec na leśne naganki.

A wisiéć to tu miało w tak pięknym porządku,
Tak każde na swém miejscu, na kołku, na prątku;
Tak nic dodać, nic przydać, nic ująć, nic schować,
Że było na co patrzéć i czém się radować:
Tak składnie, choć gromadnie.

Dwa jelenie rogi,
Rosochate, zjeżone gęstemi odnogi,
Nad drzwiami Rosochatki przybite sterczały.
Na rogach po gałęziach sokoły siedziały,
Łowce szlaków powietrznych szlachetne i bitne:
Krzeczot rudy, co nogi zwykł miewać błękitne,
Kobus raby poczęści a poczęści kary,
I drzemlik pomierniejszy jarzębato-szary,
Oraz kurnik-jastrząbek i dwa krogulaszki
Wpaszone na przepiórki i pomniejsze ptaszki.
I siedząc one łowce, wsłuchując się w bory,
I w kwiląće tuż obok po klatkach kantory,
Rozmyślały szeroko o niebieskich łowach
Niby mnichy pierzate w skapturzonych głowach.

Przestąpiwszy próg chaty, wnet pieski ciekawe
Zaraz do cię na wstępie, pytając o sprawę,
I wietrząc chęć ukrytą podnosiły pyski
Z rogoży w kącie chaty z za obrocznéj miski.

A było wszystkich pięciu: Ujadacz, Dusiciel,
Rozbój, Potrop, Doskwierka; i znać, że karmiciel
Mądrze je wyhodował na owsianéj tłuczy,
Która zdrowo posila wszelakoż nie tuczy,
Zwłaszcza gdy się odmięsną pomyjką podlewa.
Bo im żeber nie wzdęły rozepchane trzewa,
I smagło wyglądały.

Na lewo od sieni
Wchodziłeś do ptaszarni, do któréj w jesieni,
Gdy akwilon ściął wody i dmuchnął śniegami,
Wsadzały się sokoły i klatki z ptakami,
Jeno mnichy w dystancyi od kantornéj ciżby;
Na prawo zaś drzwi wiodły do mieszkalnéj izby.

Gospodarz znać niewprawny w pisiemne mozoły,
Posadził kredą na drzwiach trzy grube gryzmoły,
Które symbolowały Trzech Króli w pochodzie,
Wyżéj nieco krzyż skośny, jak gwiazdę na wschodzie,
A pod nią wyraziście bieżący Rok Pański.
Dzisiaj, jeszcze sam tylko kmiotek chrześciański,
Tak drzwi obwarowywa w doświadczone *signa*,
Że do nich złego człeka, zła dola nie przygna...
I dopókąd mu na drzwiach stoi to pisanie
Miłościwe dlań lata płyną nieprzerwanie,
A człek każdy, co wstąpi na izdebne deski,
Gościnne niesie cnoty, niby dar króleski,
I Boga pochwaliwszy w prostym mu pokłonie,
Składa serce, jak złoto, a mirę i wonie
W rzetelnych szczerych chęciach.

Do prawéj futryny
Przybita była gwoździem kropielniczka z cyny,
Któréj wodą przychodzień żegnał się za progiem,
Jakby pragnął oświadczyć — że wstępuje z Bogiem
I czyste swe intencje chce poświęcić jeszcze....

Jak izba wyglądała w krótkich słowach streszczę.
Była jako dawniejsze: biała i nieciasna,
O trzech oknach szerokich, więc widna i jasna;
Z piecem aż pod sam pułap glinianym, pękatym,
I z przypieckiem w kształt ławy szerokim, płaskatym.
Na środku stał przykryty stół wielki, dębowy,
Na nim był bochen chleba, sól i dzban cynowy,
Przekąska, którą i dziś stawiają dla gości.

Ale była w téj izbie *raritas* rzadkości,
Któréj już nie zobaczysz — chociażby cię *vena*

Per modum ciekawego z beczki Dyogena,
Wyciągnęła pójść szukać jéj po świecie całym—
I choćbyś tak szukając z świeczką o dniu białym
Wstępował w każdę chatę i dworek szlachecki...
A był nią: u pułapu podciąg staroświecki!
Prosta belka, lecz naszym gołym niepodobna:
W różne głoski i kształty rzezane ozdobna.

Na jednym więc jéj końcu, Imię Jezus święte
Było dłutkiem wżłobione i w nimbus opięte;
Na drugim, stał w koronie z cierniami ostremi,
Krzyż Pański z mąk narzędźmi, a pomiędzy niemi,
Począwszy od Imienia w nimbusowém słońcu,
Szedł wzdłuż belki do krzyża na drugim jéj końcu,
Długi, wązki jak ona epigramat na dom.
Powtórzę, bo rzecz rzadka i dobrzem go świadom,
Jakobym sam wdłutował:

Ja w Imie Twoje,
Podźwignion stoję.
Mnie w Twéj obronie,
Potwór nie schłonie.
Ogień nie spali,
Burza nie zwali.
Powódź nie spławi,
Ziemia nie strawi.
I czas nie skruszy.
Ni z miejsca ruszy
Powszechny zamęt.
Krzyż mój fundament.

Uważ, jak to roztropnie w onéj epigramie,
Przemilczano niszczące złego człeka ramie...
Jak przeczuwał los chaty co ten wiersz dłutował,
Że w nim ręki człowieka z niczem nie zrymował—
Ręki, sroższéj nad bestye i straszne momenta,
Która, tam... gdzie śmierć zadać, nieraz elementa
Wzdragały się okrutne i nieukrócone,
Moc zagładną traciły lub pierzchały w stronę—
Gdzie tężały struchlałe potwory pożercze—
Podnosiła się z hańbą na dzieło mordercze
I spadała z ohydą!...
Od dawnego wieka,
Taką była w zniszczeniu słaba ręka człeka.
O czém pilnie rozczytuj Żywoty sług Pańskich,
Męczenników, męczennic, świętych chrześciańskich,
A dojdziesz prawdy sprośnéj: że przeżyli męki—
Ale przeżyć nie mogli ciosu ludzkiéj ręki;
Że żaden ich element nie tknął i nie spożył,
A człek ręką katowską na ziemię położył.
Wtém jest wielka nauka....

Osobliwszy też jeszcze i dziś nie widzialny,
Był w rogu onéj izby zakątek sypialny—
Legowisko myśliwca, gdy go zmogły trudy.
Stał tam tapczan drewniany istne dławidudy!
Długi, wązki a wzniosły, ztąd smagłéj postury,
Z wezgłowiem przez dwa kołki wzniesionem do góry,
Sam na nóżkach brzozowych, które to pedały
Brzozową także ramę na sobie dźwigały,
Wybitą tarciczkami wązkiemi jak szkudły.

Na tapczanie; niedźwiednia z puszystemi kudły
Rozpostarta leżała, znana z swéj własności:
Że kurcz z szpiku wypędza przez nagrzanie kości
I krzyż w górę prostuje.
Ociosany drążek
Stał wbity za tapczanem, na nim płaski krążek,
O który wsparte strzelby: dźwirówka-marmurka,
Grzbietówka z paskiem wpodłuż, okrągła dwururka,
Sztucicc do kul kanciaty, z rowkami trafarka,
I szturmak do krajanek i długa janczarka—
Skupiły się gromadką, w uzbrojony stożek.
Kosztur zaś, szabla, torba i do prochu rożek,
Wisiały na rusznicach.
W środku krążka, z dziury
Sceptrum ptasie zatknięte, sterczało do góry.
Ulubieńczyk myśliwca i stałych faworów,
Najszlachetniejszy z wielkich rzadkich białozorów,

Raróg-polak (1) olbrzymi, przezwany sternikiem,
Siedział na niém i dumał...

Z radosnym wykrzykiem,
Wyprzedzając kobusów, jastrząbów, sokołów,
Rzucał się on najpiérwszy lecz na grubszy połów
I powracał ostatni z łupem w dziobie żywym.
Był on przytém w téj izbie zegarem myśliwym,
Bo zaraz po północy z piérwszemi kurami,
Ocykał się na berle i klapał skrzydłami.

Pod pułapem na ścianie, w sukience z purpury
Królewska nasza Matka z Świętéj Jasnéj-Góry,
W złocistéj stała bramie, a tuż po prawicy,
Gromnica w pęku z wrzosu i polnéj bylicy.
I stała tam ta Matka w prawym Majestacie!
Bo raróg, co na berle przy Jéj siedział szacie,
Z skrzydłami złożonemi w kształt powietrznych wioseł,
Wyglądał jak królewski Niebios Pani poseł.

Jeżelim się nad miarę nad tą chatką bawił,
I wszystko, co tu było *copiose* sławił,
To już najpierw dlatego, żeć się to kleiło,
Że wspomnićć ten porządek samemu mi miło;
Przytém abyś też wiedział i w pamięci chował,
Że człek dawny gdy sprawę jaką umiłował,
To się jéj oddał cały niby młodzian w drużby,
Jak mówią z bebechami, i pieczęć téj służby
Znać było w rąk robocie i na każdéj rzeczy!

Dziś to jakoś naopak, praca służbie przeczy.
Dla Boga niesiem pokłon, a świeczkę dla czarta;
I dzieł naszych nie poznasz, jak z twarzy bękarta...
Mówię to, choć nie w miejscu, lecz w stosownym czasie,
Bo mówić, gdy co boli, i trzeba i zda się.

W onéj Wilczéj Ustroni, z któréj karczowiska...
W téj chatce Rosochatce, z któréj krom nazwiska
Nic tu nie pozostało, a które to obie
Przed oczy ku pamięci przedstawiłem tobie,
Mieszkał czasu dawnego przepomnianéj daty
Architekt, oraz *heres* wyż rzeczonéj chaty,
Matyjasz zwan Kobeżnik, z dwornią wyćwiczoną,
Z kuchtą, strzelcem i rajcą, a jedną personą...
Bo quam unus triumvir wszystkie trzy urzęda,
Piastował w swéj osobie godnie Łukasz Zgrzęda.

(1) Rzeczywiście pod tą nazwą znany był w dawném ptasznictwie polskiem białozor. Ma to być podług p. A. Wagi: Hierofalco candicans.

Obaj byli nie młodzi... Lecz choć krzyż lat ciężkich
Przygiął im nieco grzbietu, a po czołach męzkich
Pięła się do łysiny długa zmarszczek drabka,
Ćwiki to były czerstwe, jak zimowe jabka.

Oboje żon nie mieli, a zatém i dzieci,
I żyli tu w téj kniei jak anachoreci.
Jakoż o nich mówiono i nie bez pozoru,
Że ptaki im szlachetne z sąsiedniego boru
Niosły w dzióbach na pokarm dzienne swoje łupy.
Tak było, ale latem, gdy z twardéj skorupy
Kluły się orły młode iglastemi dzióby,
W swoich gniazdach chruścianych.

Wtedy na drzew czuby
Łukasz oko swe zwracał, gdy po boru chadzał,
Zbierał gniazda z piskląty i na dębach sadzał
Tych, co rosły przy chacie, i w tém sekret rzadki,
Dlaczego na te dęby stare orle matki
Znosiły dzicz borową, a po którą z worem
Właził Łukasz, paproszył i co dzień wieczorem
Zabierał (w tém do każdéj podobien macochy),
Zostawując dla piskląt na gnieździe paprochy.
Co zacz był ów Matyjasz i jakim klejnotem?
Zkąd i na czém się pisał? Trudno wiedzieć o tém,
Gdyż w całéj okolicy, w okół na sto koni,
Zwano go Kobeżnikiem na Wilczéj-Ustroni.

Jednakże, gdy na wszystko com zasłyszał baczę,
Wnoszę, że Generosus i tak to tłumaczę:
Że miał szablę przy boku, więc possesionatus;
Że gardłował *pro* bono, zatém *bene natus*.
Bo szabla o szlachcicu dowodne świadectwo,
A służba dobréj sprawie wrodzone szlachectwo.
Byłto więc polski szlachcic.

Jakie zawieruchy
Przygnały go w te bory, na ten wygon głuchy?
Dlaczego w téj Ustroni niby niedźwiedź siedział?
Nie mówiono mi o tém, bo i nikt nie wiedział.

Wiem tylko, że żył tutaj z zwierzęty i ptaki,
Że szum borów rozumiał, czytał gwiazdne znaki,
Że każdéj bestyi leśnéj inak odpowiadał,
A z ptaki powietrznemi po ptasiemu gadał:
Słowem, że żył jak leśnik.

Przez piérwsze półrocze,
Od marca aż do września wiódł życie robocze:

Robił lepy z brzozowéj i świerczéj jemioły,
Zaprawiał w zwierzyńczyku do łowów sokoły,
Układał pieski gończe, łatał stare siatki,
Restaurował narządy, reparował klatki,
Czasami wziąwszy wąton lub strzelbę trafaka
Wyprawiał się na łodzi po mokrego ptaka,
Jeździł z votum dokoła w wiecowéj potrzebie,
A w końcu jak dziad z kijem o żebranym chlebie
Na odpust Narodzenia szedł do Częstochowy.
Zkąd, gdy wrócił z powrotem, rozpoczynał łowy,
I rzemiosło myśliwskie czynne i ochocze
Wiódł już odtąd bez przerwy przez drugie półrocze.

Kobeżnikiem zaś leśnym na Wilczéj-Ustroni
Dlatego zwan był wszędy w okół na sto koni:
Że raz każdego roku wśród tych głuchych borów
Gędził.... ale dla leśnych tylko audytorów,
Tojest (iż go porównam z Apollem zdziczałym),
Dął na kobzie myśliwskiéj wilczyskom zgłodniałym.
Jak to było, opowiem.

Kiedy mróz grudniowy
Przejął ziemię do szpiku, kiedy śnieg ponowy
Skrzypiał pod podeszwami z gruntu przemarznięty,
Sople z dachu owisły w lane dyamenty,
Nawisy z drzew spadały srebrnemi bisiory,
Mgły się tłukły po boru jak senne potwory,
A chatka zmarzłą rosą pokryta poranną,
Zdała się ową w bajce czarodziejską szklanną;
Wtedy kiedy się w Panu każdy twór weseli,
Na Adama i Ewę piérwszych rodzicieli,
W wigilią Narodzenia Zbawiciela świata,
Winszując szczęścia tego i dosiego lata,
A z sobą oracyjne przynosząc opłatki,
Przychodził po kolędzie do téj Rosochatki,
Nie Pater Reverendus, Jubilatus Lector,
Lecz całego konwentu Mecenat-Protector,
Bo go żywił i stroił w dobrodziejów dary;
Kwestarz od Bernardynów, braciszek Hilary,
Dla lekkiéj krotochwili zwan Mnisza Przynęta.

Nad wszystkie dni szczęśliwe Wigilia święta,
Jestto dzień, w którym każdy czyni swe praktyki,
Przyszłego pragnąc posieść szczęścia prognostyki.
Mawiał leśnik Matyjasz do księdza kwestarza:
„Ot i dziś, gdy Jegomość w sam się czas nadarza,
Wartoby się przekonać (gdy racye podwójne),
Czyli zawsze wilczyska na mą kobzę czujne?

Trzeba szczęścia sprobować, aby przyszłe wiedzieć".
Tu już dłużéj na stołku mnich nie mógł dosiedzieć,
Zrywał się, piorunował, groził mąk łańcuchem,
I nazywał zabobon antychrystskim duchem.

Matyjasz wśród piorunów nagle się zapinał,
Powstawał, ścierał ręce i tak grom zaklinał:
„Aj, Mości kwestarzenku, jam teolog lichy....
Ależ mróz decembrowy, to panie nie chichy!
To para w gębie marznie, nos się szronem bieli.
Jak téż tam Jegomoście wytrzymają w celi?
Ażaż sempiternitas tak Waszmoście grzeje?
Bo to słyszę nie noszą giezeł Dobrodzieje,
A porteńki to ledwie Reverendus który....
Et, możeby się i zdały pod habit wilczury?
Ot ja szczęścia sprobuję a klasztor skorzysta,
I mnie zabobonnika z kleszczy antychrysta
Wyciągnie paciorkami...

I tymto fortelem
Rok rocznie udobruchał, jak zadanym chmielem,
Matyjasz Hilarego, i tym go nakłaniał,
Że dłużéj już udziału przyjąć się nie wzbraniał
W łowach na próbę szczęścia.

Z praktyką więc zgodnie,
Gdy piérwsze na firmament weszły gwiazdy wschodnie,
Klaczka Rześka wprzężona w pomierne saneczki
Zajeżdżała przed chatę. Ksiądz kwestarz, bez sprzeczki
Właził z biczem na kozieł udając woźnicę.
Łukasz grubo ładowne wynosił rusznice
I obstawiał onemi w krąg siedzenie całe,
Poczém wkładał prościaka, głośnego kwikałę,
W końcu siadał Matyjasz — i szu! bez rumoru,
Podsuwali się obaj do krawędzi boru.

A Łukasz pogwizdując tymczasem kuranta,
Wprzągł do drabiastych sani konika Drabanta,
Pochodnię gorejącą z długiéj smolnéj szczapki
Na wstręt i popłoch wilkom przywiązał do drabki,
I śladem piérwszych sanek po śnieżnéj kolei,
Sunął truchtem powolnym do borowéj knici.

Braciszek, z Matyjaszem pod bór podjechawszy,
„Pru" krzyknął i klacz ściągnął. Matyjasz powstawszy,
Prawą ręką z siedzenia wyciągnął szturmaka,
Pod lewą pachę włożył i ścisnął prościaka,
Przyklęknął na siedzeniu i w takiéj posturze

Wziąwszy na cel szturmakiem, zakrzyknął: „A nuże!
Zatnij a bez żałości po najczulszéj skórze!"

I zaciął kwestarz Rześkę i pomkła w galopie
Brzegiem boru po wilczym udeptanym tropie.
Matyjasz lewą pachą naciskał kwikałę;
Na ton klarynetowy wilczyska zgłodniałe
Wybiegły wyjąc z boru szarém długiém stadem
I pędziły za kwikiem, za sankami śladem.
Matyjasz dopuściwszy na wystrzał wilczyska,
Pluskał im poociemku w iskrzące ślipiska,
I za broń nową chwytał i w powtór się składał,
I co strzał to trup świeży krwią charkając padał.
A wilczyska rozżarte zaciekłém nęceniem,
Nie strachając się prochu ani huku broni,
Ścigały Matyjasza po całéj Ustroni,
Jakby szturmem wziąć chciały.

Dopiéro gdy z chaty
Buchło światło przez szyby, gdy domowe czaty,
Psy, zawyły żałośnie wietrząc Matyjasza,
Zatrzymały się nagle... a głownia Łukasza,
Który jechał za hukiem i co strzał to zsiadał
I łup na jedną kupę między drabki składał,
Spłoszyła niedobitki.

Otóż przerzeczony
Matyjasz, przez konterfekt dziwnie przybliżony
Podobieństwem owego pod pachą prosięcia,
Do mieszka kobeżnego a kwiku do dęcia,
Wystrzałów, które zbytnie miarkowały kwiki,
Do tempów przybijania pod takty muzyki;
Naszczekiwań zaś wilczych i wyć wściekłych chorów,
Do nieskąpych aplauzów głośnych audytorów;
Z tych więc tedy pobudek, powszechnym językiem,
Zwan był, jakto się rzekło, leśnym Kobeżnikiem,
A owe wilcze łowy na próbę szczęśliwą,
Kobzą alias dudą ochrzczone myśliwą.

Gdy tak tedy Matyjasz z Bernardynem społem
Tryumfalném objechał swoją Ustroń kołem,
Niby wilczy monarcha po borowym szlaku;
Gdy i Łukasz tuż za nim jadący w orszaku,
Siedząc na kupie wilków jak na danin stogu,
Nadjechał też niebawem i stanął przy progu,
Znoszono łupy z sani i z wiktoryą wielką
Otwierano drzwi izby.

Tu pod średnią belką
Wisiał sznurek konopny oblepiony złotem;
Na tym sznurku kagańczyk z gorejącym knotem;
Pod nim zaś wielka gwiazda (do pory stosownie)
Z oracyjnych opłatków sklecona kunsztownie,
Dzieło księdza kwestarza i Łukasza razem.
Przed w hoinę przystrojonym cudownym obrazem
Jarzyła się gromnica u Maryi kolan,
A z porzuconych na stos długich smolnych polan
Buchał i skwierczał ogień w potężnym kominie,
I biła światłość z izby, jak w świętéj godzinie
Uderzała przed wieki z Betlejemskiéj szopy,
Tylko że nie niebieska.

Zbóż wszelakich snopy
Stały chyląc swe kłosy w każdym węgle chaty,
Na uproszenie łaski, aby od téj daty,
W któréj się rodzi Zbawca człowieczego rodu,
I one się rodziły w ciężką plagę głodu.

Stół potrząśniony grubo sianem leśném, suchem,
W okół był obciągnięty żelaznym łańcuchem,
Na pamięć i na żywe przypomnienie sobie,
Że ten, co się urodził na sianeczku w żłobie,
Wszystkie serca ku sobie jak ogniwa sprzągnął,
I takimto łańcuchem ziemski głob obciągnął,
By z nienawiści nie pękł.

Wigilijne strawy,
Roznosząc w ciepłéj parze korzenne przyprawy,
Stały na stole w misach lub z angielskiéj cyny,
Lub w biało polewanych z twardéj polskiéj gliny:
Siemieniucha konopna, szczupak na szafranie,
Śledzie mleczną podlewką zaprawiane biało,
Daléj w mące tarzane i smażone cało
Karaski z okuńkami i drobniejsze rybki,
I wreszcie kluski z makiem i z kapustą grzybki;
Co wszystko kuchta Łukasz z klechą dobrodziejem
Zaprawiali makowém mlekiem lub olejem;
Bo kto pragnie Jezusa, kto czeka z Maryją,
Temu mięrznie pokusa, ten pości wiliją.

Wszedłszy za próg Matyjasz z rozrzewnieniem rzadkiem,
Łamał się wigilijnym, jak zwyczaj, opłatkiem,
I prawie w takim sensie składał chęci swoje:
„Bóg daj abyśmy za rok, jak tu stoim troje,
Wy i ja, wasz *in Christo et in patria frater*,
Tę jedyną nam wszystkim wspólną *Alma Mater*,

Naszą miłą ojczyznę, w łasce Pana Boga,
W miłości u sąsiada, w szacunku u wroga,
Przez cnoty prawéj próby ofiarnego hartu,
Na większą chwałę, wściekłą rozpacz czartu,
Podwyższoną ujrzeli, i abyśmy sami
Pod tejże łaski Boskiéj pewnemi skrzydłami,
Bez żadnego na duszy i ciele przypadku,
Doliczyli się wszyscy przy drugim opłatku
I nie brakło z rąk któréj."

Tu z księdzem Łukasza
Obu razem przyciskał, a ci Matyjasza
Uściskali za nogi w czułych łzach się kając,
„I Bój daj, Bóg spraw ojcze" powtarzali łkając.
Poczém kwestarz odmawiał modlitwę nad stołem
I siadano spożywać, co Pan Bóg dał, społem.

Po wieczerzy i modłach dziękczynnych za strawę,
Przysuwał zaraz Łukasz do ogniska ławę:
Kwestarz usiadł w pośrodku. Z za mniszéj pazuchy
Dobył ewangelijkę i czyniąc hołd skruchy,
Dał ją do pocałunku i sam ucałował.
Otworzył i jął czytać, jakby hymn skandował,
Głosem wielkim, z punktacyą, wyraz po wyrazie...
Słuchacze w jego twarzy, jak w świętym obrazie,
Zatopiwszy nie oczy, ale skry płonące,
Chwytali od ust słowa w swe serca pragnące
Tchem w piersi zatrzymanym.

W natężeniu świętém,
Dawniéj praktykowaném, acz dziś nie pojętém,
Słuchając nie nowości, przy skrzącym kominie
Siedzieli do północka, o któréj godzinie,
Gdy raróg z berła swego zakłapał skrzydłami,
Huknęli wszyscy naraz wspólnemi głosami:

„Hej w dzień Narodzenia Syna Jedynego,
Ojca Przedwiecznego, Boga prawdziwego,
Wesoło śpiewajmy,
Chwałę Panu dajmy,
Hej kolęda, kolęda" (1).

Ksiądz kwestarz raz dyszkantu popuściwszy wodze,
Podniecan kupą wilków w kącie na podłodze,
Nie mógł się już zatrzymać i z nowym zapałem
Zakończył tę kolędę stosownym finałem:

„Przybył i Matyjasz z swéj Wilczéj-Ustroni,
Pyta się Józefa, czyli wejść nie broni;

(1) Pierwsza zwrotka znanéj i powszechnie śpiewanéj kolędy.

Do dzieciny Boga
Nie zamknięta droga,
Hej kolęda, kolęda.

Z anioły i woły, na klęczkach do szopy
Wstępuje Dziecinie ucałować stopy,
Przy żłobeczku pada
I dary swe składa,
Hej kolęda, kolęda.

Hetmanie pastuszków! ażeby ci szkody
Nie czynili wilcy, nie szarpali trzody,
Tych bestyjek parę
Niosęć na ofiarę,
Hej kolęda, kolęda".

Ukończywszy kolędę, wnetże do kościoła
Jechali na Pasterkę, a radość im z czoła
Błyszczała jak promienie onéj gwiazdy Wschodu,
Która wiodła Trzech Króli różnego narodu.

Owoż, świeżą pamięcią ze starego wątka,
Snując rzecz wolnym ciągiem niby z kłębka prządka,
Stanąłem na tym punkcie, gdzie się nitka zrywa...
Słówko jeszcze i skończę.

Jak za zwyczaj bywa
(Gadkarz nie mówi: kiedy, ale jak bywało?
Jakby przez to nauczał, że to, co się stało,
Stało się nie na dobę, lecz na wieków wieki),
Poczynam i ja także, koniec nie daleki
Mojéj gadki borowéj, nie bacząc gdzie data.
Od owego Pańskiego łaskawego lata,
W którém po ciężkiéj zimie, co zębami dzwoni,
Zajrzała ciepła wiosna do Wilczéj-Ustroni,
I pobudziła ptastwo do radosnych chorów,
A zapachem żywicznym z pękających borów
I tysiącznym od kwiatów, wiała bezustanku.

W téj tedy ślicznéj wiosny pogodnym poranku
Siedział Matysz przed chatą na dużym kamieniu,
I piastując sternika na prawém ramieniu,
Odmawiał głosem wolnym poranne pacierze.
Łukasz siedział na ziemi i łatał więcierze.
Wśród ciszy przerywanéj słowami modlitwy,
Sternik jak sił probując do górnéj gonitwy
Stroszył pióra, rozpuszczał, krzywym dziobem głaskał,
Otrząsał się, unosił i skrzydłami plaskał,
I jakby tylko czekał rannych modłów końca.
Że po wyrazie amen zerwał się do słońca

I zginął w jego blaskach... Tu się fakt stał dziwny!
Matyjasz w tenże moment nalezion był sztywny,
Z okiem jak zapłynioném porannym błękitem.
Tak oddał Bogu ducha.

Łukasz, co był przytém,
Przysięgał, że na skrzydłach rozwartych sternika
Siedziała biała dusza siwego leśnika,
I że niósł ją wciąż wyżéj, aże tak wysoko,
Aże gdzie najbystrzejsze nie dopatrzy oko...

Łukasz, co już sam nie wiem jak pana miłował,
Przeżył go, na to tylko, ażeby pochował;
Sam w tydzień od téj daty, bez bolu i jęku,
Skonał zdrowy spokojnie na kwestarza ręku.
Pogrzeb mu wyprawili litośni ojcowie.

O resztę nie mnie pytaj, pustkać więcéj powié
Niżli ja, bych téż mówił i z największym żalem...
Dixi.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Broszury Emila de Girardin. — Wycieczka Renan'a przeciw Berangerowi. Listy Ewerarda. — Kobieta Micheleta. — Orfeusz Gluck'a. — Ojciec Marnotrawny Dumasa. — La Tircuse des Cartes.

W epoce swych najsilniejszych wstrząśnień społecznych, Francuzi nie pisali i nie wydawali tyle broszur, ile ich wydają teraz. Od chwili rozpoczęcia wojny włoskiéj nie ma tygodnia, często nie ma dnia, żeby się nie pojawiła jaka nowa książeczka, z radą, projektem, aprobacyą lub naganą polityki cesarza Napoleona, podająca w kilku kartkach nieomylne lekarstwo na wszystkie rany ludzkości, przecinająca jednym obosiecznym frazesem wszystkie węzły gordyjskie, które z mnogich nitek interesów własnych, w stosunkach między-narodowych pozaciskały wieki.

W całym tym tłumie latających książeczek ledwie setna zdarzy się rozsądna, ale ich mnogość ma wartość: dowodzi bowiem, że opinia jest rozbudzona, a pisarze nie zaniedbują interesu powszechnego. Dobre czy złe, szalone czy rozumne broszury stanowią dziś najżywotniejszą część literatury francuzkiéj; rzecby nawet można, że władza myślenia uciekła z belletrystyki i całkowicie w polityce się skupiła. Nic w tém dziwnego, czasy są po temu.

W ciągu ubiegłego półrocza w szeregach publikacyj politycznych naracho waliśmy aż sześć broszur Emila

de Girardin: *Wojna*, *Równowaga europejska*, *Rozbrojenie*, *Napoleon III i Francya*, *Napoleon III i Europa*, *Napoleon III i Włochy*, kolejno zaprzątały umysł tutejszych publicystów. Wszystkie te sześć broszur razem wzięte, nie zajmują trzystu stronnic, a trzebaby napisać najmniéj pięćset, chcąc wytknąć ich wady i szaleństwa. W utworach tych najwięcéj uderza upór, z jakim Girardin zawsze jednym i tym samym tonem absolutnym powtarza też same twierdzenia: co tak wielką sprawia monotonią, że przeczytawszy pierwszą jego książeczkę, można na pamięć wiedzieć, co zawiera druga i dziesiąta.

Właściwie mówiąc, Girardin napisał jednę tylko broszurę, która tocząc się po naturalnéj pochyłości, jak lawina nabrzmiała, potrąca po drodze o wszystkie skały sterczące na wyżynach socyalnych: jak prawo publiczne, ekonomia polityczna i administracya. We wszystkich tych kwestyach Girardin wyrokuje krótko a stanowczo, jak człowiek gwałtowny, któremu łatwiéj przeciąć trudność, niż ją rozwikłać.

Skutek tego systemu siekanego taki, że całości dzieł sławnego publicysty francuzkiego uchwycić niepodobna, a myśl jego ciągle od jednego do drugiego przeskakująca przedmiotu, wymyka się krytyce.

Treść pojęć i zasad, otwarcie objawionych w ostatnich broszurach Girardina, jest następująca: kwestye polityczne się zużyły; dziś istnieją tylko kwestye ekonomiczne. Wojna jest barbarzyństwem utrzymywaném pośród cywilizacyi nowoczesnéj; barbarzyństwo to trwać będzie dopóty, dopóki mocarstwa za wspólną zgodą nie zadekretują rozbrojenia europejskiego. Będzie to tryumf idei ekonomicznéj, „po za którą teraz nie ma już polityki". Dziś prawdziwą potęgą państwa jest bogactwo, zatém, które państwo będzie najbogatsze, będzie najmocniejsze".

Oto w kilku słowach temat sześciu broszur Girardina.

W czasie wojny, powiada on, Europa jest obozem; w czasie pokoju koszarami; tak w czasie wojny jak pokoju przepełniona jest żołnierstwem; ciągłe utrzymywanie wojska rujnuje ją; armie pochłaniają wszystkie

jéj zasoby, co jest największą przeszkodą do zaprowadzenia wolności i dobréj konstytucyi.

Na to zgoda. Jest złe, ale na to złe jakież lekarstwo? Rozbrojenie europejskie, odpowiada Girardin. Jakże go dokonać? Nic łatwiejszego, woła autor: niech potencye zgromadzone na kongresie, zamiast się bawić drobnostkami (des misères) takiemi, jak sprawa włoska, schwytają odrazu „kwestyą za rogi", niech się porozumieją względem zmniejszenia wojsk swoich, niech „tak jak od pożaru, zaasekurują się od wojny: tojest, niech uorganizują proporcyonalnym kosztem wojsko, mające zadanie gasić wojnę, gdzie się tylko zapali".

Bardzo to stary pomysł: jeszcze przed dwoma tysiącami lat wpadł nań Xenofont. Wykazawszy, że pokój jest potrzebną gwarancyą bezpieczeństwa przychodów Attyki, konkluduje, iż dobrzeby było stworzyć urzędników, mających obowiązek czuwania nad spokojem: uprzedzania i tłumienia wojny. Pierwszy to zapewne projekt wieczystego pokoju. Później taż sama myśl uśmiechała się nie jednemu wielkiemu umysłowi: zajmował się nią we Francyi Henryk IV, Sully i Rousseau. Mimo jednak tak wzniosłych apostołów, idea ta, piękna w teoryi, zawsze jednak przez ludzkość w poczet mrzonek zaliczaną była. Widać więc, że jakaś potężna przeszkoda urzeczywistnieniu jéj się sprzeciwia. Przeszkoda jasna jak słońce, ale Girardin widzieć jéj nie chce i ciągle swoje prawi, dowodząc, że rozbrojenie dałoby ludzkości dobry byt. Nikt nie przeczy, ale przecież jest coś wyższego nad ów dobry byt, który autor jedynie ma na myśli.

Girardin podnosi i rozstrzyga z równie kosmopolitycznym chłodem wbrew wszelkim przepisom sprawiedliwości, inne ważniejsze jeszcze sprawy, o których dyskutować rzecz zbyteczna, tak stoją czysto i jasno.

Niemniéj rażącym błędem jest zaprzeczanie ważności kwestyom politycznym a widzenie wszędzie tylko kwestyj ekonomicznych. Wzięte w sensie absolutnym, takie zapatrywanie się jest niezmiernie mylne i szkodliwe, a tém zgubniejsze, iż jest wyrazem najsmutniejszego usposobienia naszego czasu. Ponieważ „władza nad *ludźmi* nader ciasno ograniczona teraz, a władza

nad *rzeczami* nader rozległa, państwo nic przeto nie straci, jeżeli porzuci pierwszą dla drugiéj. Niech się stara być najbogatszém, będzie najmocniejszém."

Powyższe zdanie, które Girardin stawia jako podstawę zasadniczą polityki nowoczesnéj, także jak świat stare. Dawno już publicyści angielscy uznali za pewnik, że wszystko, co powiększa bogactwo państwa, powiększa zarazem jego potęgę, trwałość, oraz szczęście narodów. Zupełnie to tak wygląda, jakby kto utrzymywał, że zdrowie i siła pojedynczego człowieka są zawsze w proporcyi do jego majątku. Nie ma podobno systemu, któryby się więcéj przyczyniał do spodlenia charakterów: dąży on do skarlenia interesów obywatela, do odjęcia im ich strony wysokiéj, publicznéj, do zastąpienia moralności arytmetyką. Nie na takimto systemacie oparty naród może spotężnieć i wyszlachetnieć.

Jeszcze jeden zarzut. W broszurze: „*L'Empereur Napoleon III et la France*" (str. 8) znajduje się następujący kawałek: „Są jeszcze we Francyi partye, ale już nie ma opinii; stronnictwa je utraciły równie jak wiarę; nie wierzą już i nie wiedzą. Zachowały tylko łapczywość władzy. Legitymiści mają już tylko nazwę legitymistów. Orleaniści czy przywołaliby z wygnania ustawy 1830 r., a z Londynu rząd parlamentarny? Nie; bo przypisują swój upadek zbytkowi wolności i obwiniają się, że na nią pozwolili. Republikanie nie uczą się ani nie zapominają, umieją tylko wypędzać... wypędzanie jest jedyną wspólną ich ideą".

Kilka kart daléj Girardin znów powstaje przeciw dziennikarstwu: powiada, że spróchniałe i cuchnące, że wybory powszechne 20 grudnia 1852 r. wykazały niemoc jego; nadto, dodaje, że wolność druku byłaby fatalną „dla dziennikarzy tegoczesnych, przyuczonych do chodzenia wkółko w jednym deptaku, a dających do zrozumienia, że jeżeli nie zgłębiają kwestyi, to dlatego, że nie wolno. Gdyby było wolno drukować co się podoba, musieliby stereotypować oklepanki, albo zasiąść na seryo do studyowania kwestyj poważnych; musieliby zadać sobie pracę dyskutowania, co mniéj łatwo niż chwalić nieszczerze lub krytykować stronniczo".

Otóż, wydaje nam się, że ani uczciwie ani słusznie wyrażać się w ten sposób o dziennikarstwie, któremu Francya tak wiele zawdzięcza, o zawodzie liczącym tutaj tylu ludzi znakomitych, zasłużonych, a nawet genialnych, którzy dziś dyskutować z panem Girardinem nie mogą. Krok to nawet nie polityczny na tak wielkiego polityka, powstawać z taką wzgardą na rzemiosło, któremu całą swą sławę i mienie zawdzięcza.

W ogłoszonéj temi dniami broszurze *Napoleon III i Włochy*, która chwilowo wstrzymaną została z powodu lekceważenia głowy kościoła, Girardin proponuje, ażeby kongres zebrał się w Stambule i tam, nie w Paryżu, regulował stosunki europejskie tak, żeby pokój już potém mógł trwać nieprzerwanie do skończenia świata. Dla czego w Stambule? „Dlatego, żeby każdy pełnomocnik, będąc daleko od swego kraju, stracił z oczu wszystkie jego drobne interesa".

I jakiż skutek tych śmiałych i absolutnych odezw, które cztery razy milionowy Girardin z pałacu swego na bruk paryzki rzuca? Oto taki, że zapomniano zupełnie o tém, co kiedy mądrego powiedział: przyjaciele nawet przestali go bronić przed pociskami opinii publicznéj, i przyszło do tego, że nikt go już we Francyi za człowieka poważnego nie uważa.

Mimo preokupacyj politycznych w téj chwili zagłuszających wszystkie inne, zajmowano się tu żywo wycieczką, któréj sobie sławny filolog Ernest Renan przeciw Berangerowi w *Debatach* pozwolił. Oburzyła ona Paryżanów i wywołała ostre odezwy nawet w pismach, które niegdyś gorąco zdolności Renana sławiły. Nikt się nie spodziewał takich wyroków z tak znakomitéj głowy, nikt nie sądził, żeby powszechnie uznana mądrość mogła naraz tak fałszywy przybrać kierunek; chociaż tak zwykle bywa, jeżeli mądrość jest napływową, jeżeli talent nie jest podszyty a raczéj podparty charakterem, jeżeli pisarz nie ma własnego zdania, a wyobraźnia jego jak błędna soczewka *Camery Obscury* dagerotypuje co ją uderzy.

Wedle krytyka *Debatów* „*pan Beranger*" jest biednym rymokletą, nie mającym żadnéj wagi; nędzny ten piosenkarz *plebsu* nie miał ani uczuć wyższych, ani poetycznego natchnienia: forma jego wierszyków nędzna i t. d.

Mniejsza o zarzuty, jakie pan Renan czyni formie utworów Berangera; pan Veuillot popisał gorsze rzeczy o dramatach Wiktora Hugo, a dlatego jego sława literacka nie straciła przez to ani jednego promienia: zresztą forma, to rzecz gustu: ale co najwięcéj uderza w rozprawce Renana, to jego definicya charakteru religijnego dzieł Berangera: uważa on je za bezbożne.

Zupełnie to nowy pogląd. Świat cały miał dotąd Berangera za deistę, nigdy za ateusza. W pismach łagodna jego filozofia i wysoki rozsądek hołdują *Bogu poczciwych ludzi*. Używał prostéj formy, bo ta wydawała mu się najstosowniejszą do nauczania młodszych braci; podniósł umysł ludu francuzkiego, mówiąc mu o jego prawach i obowiązkach; opiewając nieszczęścia i sławę Francyi, wzbudził w narodzie świętą miłość ojczyzny; nadto, wpajał weń pobłażanie, owe wzniosłe pobłażanie, którego gorliwym apostołem był kiedyś sam pan Renan, nie domyślając się wtedy wcale, że jest uczniem Berangera. Ale najpiękniejszy jego tytuł do poetyckiéj sławy jest właśnie oddziaływanie przeciw ogarniającemu Francyą ateizmowi, to, że mówił o Bogu ludziom, którzy już głosu księdza nie rozumieli.

Ktoby się spodziewał, że to właśnie najmocniéj Berangerowi będzie wyrzucał uczony filolog, dowodząc, że taki prostak Boga rozumieć nie może. Renan bowiem czci jakiegoś własnego boga arystokratę, którego zwie bogiem myślicieli i pisarzy, ale powszedniego Boga poczciwych ludzi nie uznaje.

Nie przesadzam, oto własne słowa Renana:

...„Nie! nie! Oni nie mogą Cię znać (ci piosenkarze brukowi, ci poeci ludu) nie mogą Cię pojmować. Istoto święta, którą dostrzedz tylko można w pogodzie czystego serca. *Należysz tylko do nas*, którzy szukać Cię umiemy. Bluźnierstwa geniuszu muszą ci się więcéj podobać niż powszedni hołd zaspokojonéj wesołości".

Rozumié się, iż geniuszem tutaj jest Renan, a powszednim hołdem Beranger.

Czyśmy się domyślali, wielbiąc tyle razy na tém miejscu wysokie zdolności Renana, że on wkrótce na śmieszność się wystawi, ogłaszając światu swą nową religią. Nie jestto, właściwie mówiąc, nowa religia, ale nowy bóg: bóg ludzi przyzwoitych i geniuszów, nie troszczący się o plebs, wyznający zasadę poetyczną Horacego: „*Odi profanum vulgus*", czyli: brzydzę się plebsem a obcuję tylko z Renanem i jego przyjaciołmi. Jestto tenże sam bóg, którego czcił Ludwik XIV, kiedy w końcu panowania widząc się zdradzony przez fortunę, chociaż odwołał edykt nantejski, wyrzekł tonem poważnym owe bufońskie słowa: „koniec końców, bóg czyni dla mnie, com uczynił dla niego, odmierza mi takąż miarką, jaką mu mierzyłem". Miejmy nadzieję, że bóg ten liczący nie mało wielbicieli, chociaż nie mający nic wspólnego z Bogiem ewangelii, nie okaże się równie niewdzięcznym względem swego nowego adepta i że pan Renan nie będzie potrzebował w końcu żywota powtarzać sławnego frazesu Ludwika XIV.

Żart na stronę, ale smutna jest widzieć, do jakich aberacyj wiedzie talent bez charakteru. Czémże jest intelligencya? czémże autorska zdolność, jeżeli może doprowadzić do tak opłakanych obłędów!

Rzecz niesłychana! Cała Francya wielbi swego narodowego poetę; czy był wielki, czy mały, wedle artystycznego cyrkla, w to nie wchodzę, ale posiadał niezaprzeczenie najdroższy dar poety: umiał gadać do ludu i ofiarował ten dar na usługi najświętszéj sprawy. Pan Renan mówi, że pisał bez smaku: niech i tak będzie; aleć Berangera zasługi nie artystyczną miarą mierzyć, zostawmy ją dla poetów, co „nie biorą cierpień ludu w pierś swą magnetycznie, a pieją zawsze tylko fantastycznie"; na Berangera nie ze stanowiska estetyki, ani sztuki rymotworczéj zapatrywać się należy: piękności jego nie z tego manierowanego świata: budził on w swym narodzie najświętsze uczucia; mówił mu o Bogu, o sprawiedliwości, uczył go kochać ojczyznę i bliźniego. W piersiach tego poety biło złote serce: nie z głowy,

ale z niego, wysnuł wszystko, co powiedział; przez całe życie, choć nie bogaty, wspierał ubogich, płakał i śmiał się z niemi... żadna nędza do drzwi jego nie zapukała napróżno... nie był on jak ów rzymski sofista, co panegiryki ubóstwa pisał na złotych tablicach: on łzy ocierał biednym i żył z nimi, odrzucił wszystkie zaszczyty, które mu ofiarowali możni, odpowiedział spanoszonym przyjaciołom, co go z sobą na wyżyny władzy pociągnąć chcieli, sławną piosneczką, w któréj co strofka powraca ów wierszyk godny starożytnego stoika: „*En me créant Dieu m'a dit: „ne sois rien"!* Beranger więcéj od wszystkich Chateaubriandów i Lamartinów kraj swój kochał: czuł za całą Francyą, cierpiał wszystkie jéj bole i wyśpiewał wszystkie jéj radości. Za to téż Francya, co wszystkich prawych synów instynktem odgaduje, w poczet swych dobrych geniuszów imię jego zapisała ogniem nieśmiertelnéj miłości.

I na takiego to człowieka jakiś tam chłodny mędrek z akademii napisów śmié miotać obelgi! Dlatego, że Beranger śpiewał dla biednych, że wydziedziczonym z dóbr świata tego mówił o Bogu poczciwych ludzi: pan Renan powiada, że teologia Berangera *gminna*. A jakaż to jest teologia *nie gminna*? Trzebaż więc przywrócić kasty i stworzyć osobnego boga dla literackich mandarynów?

Cóż to za pogańska teorya! Jakaż szatańska duma! Dotąd najdumniejsi mocarze ziemi nie mieli pretensyi posiadania wyłącznego Boga i wraz z plebsem klękali przed Synem cieśli. Renan dumniejszy od nich, woła: Ty do nas tylko należysz!

Bogdajby Bóg Berangera, Bóg poczciwych ludzi, ów Bóg gminny, który należy do wszystkich i o wszystkich radzi, wybaczył uczonemu filologowi to występne obłąkanie!

Pan Laufrey, znany autor dwóch dzieł znakomitych: „*O Filozofii w XIX wieku*" i „*O Rewolucyi Francuzkiéj*", wydał powieść poetyczną pod tytułem: „*Listy Everarda*". Jestto krzyk rozpaczy, wypadły z szlachetnéj piersi: dzieło poczęte we łzach i męce serdecznéj, a zapieczę-

towane rozpacznym czynem, nie potrzebne może w chwili, w któréj zwątpienie jest chorobą powszechną, ale napisane z porywającym talentem, ognistą wymową i niepospolitą głębokością poglądu.

Jestto życie młodzieńca w obrazach, coś nakształt *Kordyana*. Everard, jak każdy młody, zaczyna życie marzeniem: mieszka w górach szwajcarskich, żyje z naturą, wzdychając do duszy świata krążącéj w przestrzeni; pije mądrość ze źródła potoku, czystością białéj konwalii się napawa, podsłuchuje wyroczni, którą wicher z jodłowego lasu wykrada, a wieczorem patrzy na gwiazdy, co niby do czoła jego chcąc się zniżyć, osuwają się po szafirach nieba, i cicho, po śnieżnych kobiercach niebotycznych szczytów, lecą w przepaście.

Przeczucie nieskończoności, owa najpierwsza cnota młodéj duszy wsiąkała w górala z każdym powiewem woni lasu i łąki; wiedział on o Bogu wszystko, co może wiedzieć człowiek stojący na szczycie ziemi sam na sam ze Stwórcą.

Ale czyż ten pierwszy raj myśli ludzkiéj wystarczy? Czy w tym ciągłym zachwycie zapatrzony w rubinowe ognisko zachodu, w brylanty rosy, słuchając tylko skargi, którą pszczółka fijołkowi powierza, a widząc tylko łzy, któremi niebo nad ziemią płacze; czy tak żyjący człowiek może spełnić posłannictwo, z którém na ten padół płaczu przychodzi? Niestety! nie. Dlatego też młodzieniec otulony wonną osłoną dzikiego kaprifolium, co nań ze skały potokiem różowo-złotych kwiatów spływa, ukołysany szmerem strumienia, okolony całą lubością przyrody, naraz zerwał się, jakby żądłem wyrzutu ukąszony i bezwiednie pobiegł ku równinom na drogę, która ku bliźnim go wiodła.

— Dość marzeń,— zawołał, jakby ocknięty u gór podnóża, — trzeba żyć, trzeba działać, wmieszać się w tłum, wziąć udział w znojach ludzkości, nadstawić czoła nawałnicy i wraz z drugiemi iść zdobywać prawdę. Do dzieła więc i w drogę! Fałszem jest co mówią tchórze: jeden mniéj, jeden więcéj, nic nie znaczy, bo każdy z nas, mały czy wielki, ma swoją służbę i robotę wy-

znaczoną naprzód. Tylko pełniąc swe zadanie, człek dowodzi, że jest człowiekiem i ma prawo umierać.

Pewnego więc poranku Everard opuścił swe góry rodzinne, zeszedł na równiny, prozaicznie zajął miejsce w wagonie i pędem strzały poleciał do ogniska wszelkiego ruchu i życia, do Paryża.

Tu, jakież rozczarowanie! Na tém sławném polu myśli i czynu, poeta daremnie szuka idei. Gdzie jest słowo ożywcze? gdzie areopag wybranych? gdzie hasło przyszłości? Daremnie szuka go Ewerard, daremnie błądząc po labiryntach stolicy, podsłuchuje, patrzy i bada, czy w tym chaosie powozów i ludzi, co biegają zatrudnieni, nie dopatrzy interesu wyższego nad nizkie sobkostwo.

— Czyż to jest miasto, o którém marzyłem? pyta w końcu siebie. Tak, to Paryż, stolica wykwintu, zabawy, zbytku, biesiad, muzyki włoskiéj, co spływa jak deszcz pereł po omdlałym z roskoszy parterze... Wszystko to na oko piękne, czarowne: pałace błyszczą, błyszczą kryształy, marmury i suknie drogie, któremi kobiéty zamiatają bruki tego miasta nad miastami; ale to wszystko dla ciała. Gdzie jest część duszy? gdzie jéj zdobycze? boć jeżeli człowiek ma jaką wartość na tym świecie, to dlatego, że umié czynić co innego jak wąchać bukiety przy bankietowym stole, lub zrywać kamelie uwiędłe w piżmowéj atmosferze buduarów.

Tak myśli młodzieniec, i jeszcze nie dowierzając oczom, szuka *duszy* Paryża. Na téj pracy posmutniał i odrętwiał. Nareszcie, zgorzkły, rozczarowany, otruty tém sztucznem życiem, pyta siebie, po co tu przybył?— Czyniąc zadość rozkazowi powołania, które kazało wmięszać się do wielkiéj rady umysłów ludzkich, odpowiada sumienie. Ale gdzież wsunąć słowo? Filozofia już umilkła; wynalazła eklektyzm i pogodziwszy wszystko, w lubéj pogrążona drzemce, leży bezwładna, czasem tylko jeszcze przez sen gada o metafizyce. Nie ma więc z nią co robić.

Czyby zapukać do literatury i u niéj o miejsce prosić? ale i ona nie odpowiada poecie. Literatura poważna wzdryga ramionami i przechodzi milcząca, bo wié, że

tłum zastąpił umysł ludzki wirującym stołem, i może już tylko zapalić się do kanapowego romansu. Ach! co za książka! co za utwór! co za obrazy! czytałeś? znasz? wiesz!.. Słysząc grad takich pytań około siebie, Ewerard myśli, że się Messyasz narodził... Bieży do księgarni, porywa ubóstwioną książkę i widzi... co? Na welinie odciśnięte brudy, obrazy, któreby mogły zgorszyć garderobianę pani Dubarry....

Nasz poeta górny, truchleje. Stan myśli wydaje mu się opłakany; wszędzie mgła, nigdzie ręki, którąby zapaliła pochodnią. Nie jeden może z dawnych, starych mistrzów, mógłby odnaleźć święte natchnienie, ale udrapowany w togę swéj sławy, śpi na zdobytym kapitale. Że uczeń zapiera się mistrza, to rzecz zwykła, od czasu jak zapiał kogut św. Piotra; ale żeby mistrz opuszczał ucznia, tego niebywało: na taki widok cierpliwość sama oblewa się rumieńcem oburzenia.

Ewerard widząc to powszechne bankructwo, żółcią się zalewa i wybucha pełną goryczy i palących wyrzutów wymową.

Listy jego pisane pod wpływem Paryża, przypominają najczarniejsze karty Manfreda. Ale któżby potępiał tego wybrańca boleści, za to, że tak mówi wśród téj rozkładającéj atmosfery stagnacyi umysłowéj, przy odgłosie chrapiącéj myśli. Gdyby przynajmniéj Ewerard słyszał z poza horyzontu dolatujący gwar blizkiego zmartwychwstania, daleki grzmot nowéj idei, mógłby wziąć udział w działaniu, wystąpić za, lub przeciw, ulżyć duszy krzykiem nadziei lub wyzwania. Ale nic! Intelligencya w Europie cofa się przed podrzędnemi zadaniami materyi. Tryumf ciała nad duchem kompletny!

Widząc taki stan ziemi, Ewerard patrzy w niebo ale i tam nic już nie dostrzega prócz ironicznych uśmiechów gwiazd, które kiedyś, w Alpach na koronę się dlań składały. Szyderstwo ludzi, to zagrzewka do czynu; ale szyderstwo niebios, to śmierć.

Nieszczęsny kochanek niepodobieństwa, wyczytawszy swój wyrok gwiazdami pisany, ucieka z Paryża na sycylijskie wybrzeża, i tam, kulą z pistoletu serce sobie rozrywa...

Oto treść książki pana Lanfrey. Myliłby się, ktoby w tém rozpaczném dziele widział niechęć *niepojętego geniuszu*, który chcąc pomścić upokorzenie własne, ściele sobie katafalk z całego pokolenia. Ewerard, zdaniem naszém, zbyt jest szlachetny, ażeby mógł wzdychać do innéj wielkości jak do wielkości idei. Jéj służyć nawet na bezimiennéj placówce, to jedyna ambicya Ewerarda: przyzna to każdy, kto słyszał wspaniałą jego mowę. Ktoby w tym krzyku boleści widział omdlenie wiary i apel do ucieczki, także byłby w błędzie. Powiedział jakiś filozof, że nienawiść jestto odwrócona miłość: jabym powiedział toż samo o dziele pana Lanfrey: sam ogień smutku jego, zdradza potęgę nadziei. Uderza on silnie na intelligencyą tegoczesną, ażeby zgalwanizowaną iskrami swego czucia, na wyższą popchnąć drogę.

Nie dowodzę przez to, żeby przyjąć bez zastrzeżenia książkę, o któréj mowa, i uważać za wierne, odmalowane w niéj obrazy: wszystkie one są zbyt czarne, chociaż genialną malowane ręką. Epoka nasza dzięki niebu, nie jest tak przerażająca, jak się Ewerardowi wydaje: posiada ona jeszcze nie jednego człowieka i nie jeden talent.

Drugi zarzut, jakiby można zrobić autorowi, jest, że niepotrzebnie wmieszał do swéj kłótni ze światem kobiétę, i na nią głównie wylał zjadliwe trucizny swego serca. Cóż mu uczyniła, nieszczęsna, ażeby natak wymowną zasłużyć filipikę? Przyznaję, że stronnicy przyszłości zaliczyli płci pięknéj nie jedną pożyczkę, z któréj dotąd się nie uiściła; zgadzam się nawet na to, że za dni naszych kobiéty dziesiątkowane są epidemią pismo manii, zabierającéj je na wieki dzieciom i rodzinie; uznaję także, iż piękne nasze połowy, opłakany wpływ na świat wywarły, wpychając go w bezdenną przepaść zbytku i dusząc wyższe myśli stosami koronek. Ale ostatecznie, czyjaż to wina, jeśli nie nasza?

Jest tylko jeden sposób wyleczenia kobiéty z próżności umysłowéj, zwanéj *autorstwem*, i z próżności cielesnéj, zwanéj *toaletą*: a ten jest, żeby mężczyzna, przed którym z temi błyskotkami się popisuje, stanowczo je potępił, a natchnął niewieście kokieteryą innych powa-

bów i ambicyą innych przeznaczeń: póki to nie nastąpi, skarżyć się nie ma prawa.

Wytknąwszy te drobne usterki, wskazujemy dzieło jako rzecz niepospolitą. W piérwszéj swéj pracy, *Filozofii XIX wieku*, Lanfrey wystąpił jako myśliciel, z rzadką potęgą przywołał Francyą do jéj dawnych tradycyj. W dziele o *Rewolucyi*, ukazał się republikaninem z ducha i stanął odrazu na czele wojującéj młodzieży. Dziś filozof publicysta okazał większe rozmiary swego talentu, wystąpił jako poeta. Zdolność jego bardzo powabnie wygląda w téj nowéj formie: ma bowiem wdzięk liryczny, powagę przekonania, wzgardę dla podłości, a cześć religijną dla cnoty. Publiczność tutejsza poznała się na powyższych zaletach i z niezwykłém uznaniem przyjęła *Listy Everarda*.

Michelet wydał drugi tom *Miłości*, pod napisem *Kobieta*. Ledwie Paryż zobaczył ten tytuł, aliści ze zwykłym sobie rozsądkiem zawołał: *Tak ogromny przedmiot w takim małym tomiku!* „On ne met pas plus *la Femme* en un volume qu'on ne met toute la Champagne en une bouteille!"

I oto w kilku słowach najlepsza krytyka dzieła.

Bo jakże, choćby nawet genialny obserwator, może położyć na okładce taki skomplikowany i niezgłębiony tytuł: *Kobiéta* nie jest przedmiotem, ale wszystkiemi przedmiotami: jest ona zarazem starożytną tragedyą i nowożytnym dramatem, romansem wszechwiekowym i historyą wszystkich krajów; jest tłem wszech-literatury i wszech-sztuki. Każdy psycholog może napisać książkę o kobiécie, ale nikt jeszcze nie zamknął jéj w jednéj książce, nie zcharakteryzował téj prometeuszowéj istoty, ulepionéj z boskich promieni i ziemskiego błota. W saméj Francyi jest ośmnaście milionów kobiét, czyli ośmnaście milionów tomów tegoż dzieła, tego arcydzieła jeżeli chcecie, które nigdy nie będzie kompletne.

Chociaż Michelet nie tylko nie wyczerpał przedmiotu swéj książki, ale zaledwie go dotknął jednostronnie,

wszystko jednak, co powiedział o małżeństwie i o kobiécie, jest zacne i wzniosłe.

„Natura, mówi, utworzyła życie z potrójnego węzła: mężczyzny, kobiéty i dziecka; każde z nich zginie osobno: zbawić się mogą tylko we troje."

Oto punkt wyjścia. Cała nowa książeczka jest tylko rozwinięciem tego prawa zasadniczego. „Rodzina stanowi społeczność; małżeństwo stanowi rodzinę; miłość stanowi małżeństwo. Rola kobiéty jest więc wytkniętą przez Opatrzność."

Michelet w dwóch swych ostatnich utworach mówi tylko o miłości szczęśliwéj, wzajemnéj; ztąd czytelnik co krok luki znajduje, i wydaje mu się, że nie psychologiczne studyum, ale jakąś bajeczną historyą bożo-stanu czyta. Kiedy autor święci spokojne rozkosze i piękno prawéj miłości, czytający co chwila chciałby go spytać: a gdzieś podział burze serca, nawałnice namiętności, wyrzucające niewiasty poza naznaczone granice? Z jednéj strony tylko studyowałeś kobiétę, patrzysz na nią jak zachwycony; szczęśliwy człowiecze!

Czemuż my, należący do młodszego pokolenia, niemożemy podzielać naiwnego entuzyazmu tego starca! patrzéć jak on, z dwudziestoletnią łatwowiernością w kobiétę? Niestety! nie jest ona tak doskonałą, jak ją opisuje Michelet. Jestto dziwna mieszanina złych i dobrych instynktów, bezwładności i uporu, okrucieństwa i anielskiéj dobroci, słabości i siły. Wszystkich tych odcieni niema w jednostajnym szafirze Micheletowego nieba. Książka jego nie jest studyum kobiety, ale jéj poetyczną apoteozą.

W teatrze *lirycznym*, który doborem sztuk i artystów przewyższył téj zimy Wielką Operę, grają teraz *Orfeusza* Gluck'a. Poważne i urocze to przedstawienie, można tylko porównać z przedstawieniem Sofoklesowego *Edypa króla*, którego w całéj czystości stylu greckiego, podziwialiśmy rok temu w Theatre Français. W *Orfeuszu* znajdujemy tęż samą tkliwość i powagę tragiczną, tenże sam powab wzniosły, prosty a majestatyczny, który tylko u starożytnych geniuszów napotkać można. Gluck jest artystą

starożytnym, w całém znaczeniu tego słowa: utwory jego cechuje taż sama trzeźwość męzka, moc i prawda, która unieśmiertelnia marmury i pisma starożytne. Melodya jego nie marzy, nie rozpryskuje się w marne wykrzykniki, ale myśli, waży, rozumuje: podobna do krasomówstwa, wyraża określone idee z jasnością, właściwą wielkim oratorom; przylega do tragedyi, któréj wtóruje, jak draperya do posągu: słowem, styl muzyczny Gluck'a ma tęż piękność linii, którą musiała mieć muzyka starożytna: pod jakąż bowiem formą Grecy pojmowali harmonią? pod formą dźwięcznéj statuy Memnona.

Przez wczytanie się w poetów starożytnych, czy intuicyą geniuszu, Gluck schwytał zatracone echo muzyki pierwotnéj. Temu, co słyszy pierwszy raz jego hymny, wydaje się, że je gdzieś już słyszał; szuka, gdzieby to być mogło: aż wreszcie, przypomina sobie, że taż sama nuta brzmiała mu w *Idyllach* Teokryta i *Georgikach* Wirgiliusza.

Pani Viardot, śpiewaczka wybornego stylu, oraz tragiczka często dorównywająca Racheli, gra rolę *Orfeusza* i przyczynia się głównie do uwydatnienia piękności téj genialnéj opery.

Pierwszy akt jest rzewną elegią. Dekoracya wyobraża las święty, pośród którego stoi grobowiec Eurydyki. Orfeusz nachyla się nad nim pogrążony w smutném zadumaniu; z ubioru i postawy przypomina on arkadyjskich pasterzy Poussina. Chór śpiewa psalm pogrzebny, pomiędzy którym od czasu do czasu, jakby ciężkie westchnienie, odzywa się głos poety wołającego swéj Eurydyki.

Niewymowna słodycz cechuje tę monotonną żałobę. Jestto prawdziwie grecka elegia, piękna nawet we łzach; płacz nie wykrzywia ust jéj nadobnych, łzy płyną niepsując lica, jakby krople rosy po smutném obliczu marmurowego posągu. Nieinaczéj pasterze sielankowego świata musieli opłakiwać nimfę, co pomiędzy kwiecie bez życia padła, dotknięta żądłem jadowitego węża.

Śmierć w Grecyi mniéj straszna niż gdziekolwiek, zawsze w rzewnéj ukazuje się formie: nie jestto przebrzydły skielet z kosą, ale zakwefiona niewiasta, zdmuchująca

pochodnie; w muzeach ledwie odróżnić można geniusza śmierci od snu geniusza: obadwa jednakiém upojeniem ścięci, tenże wdzięk mają. Grecy starali się mianowicie upiększyć śmierć młodzieży; zarzucali nań zasłonę gracyi, zasypywali poetycznemi allegoryami: zmarły młodzian był to Hiacyntem zerwanym przez Apolina; to Hylasem przez nimfy do rzeki wciągniętym; to Adonisem pogrzebanym przez Venus w łożu niebiańskiéj miłości. Z jakimże wdziękiem padają wszystkie młode bohatéry *Iliady!* Homer krwi ich nadaje królewską purpurę: na tle wojennych zastępów, w kurzawie walki leżą oni jak potrzaskane posągi. W Atenach, zmarłych młodzieńców palono do dnia, ażeby płomień ich stosu mógł się pomieszać z różanym brzaskiem jutrzenki.

Żałobny chór Eurydyki przywodzi na pamięć wszystkie te piękne obrazy. Skoro ostatnie jego przebrzmiewają echa, Orfeusz śpiewa pieśń, która po cichém utyskiwaniu fletni i płaczek, wydaje się bolesnym krzykiem osamotnionego męża. Jęczy w niéj rozpacz bez pociechy, rozpacz prawdziwie starożytna. Starożytni bowiem, dlatego właśnie, że nie umieli kwilić jak my, ani jak my sentymentalnych łez ronić, w dniach żałoby zawodzili żale, któreby rozsadziły słabe nasze piersi. Hekuba wyje z rozpaczy; Elektra przez siedm lat płacze na grobie ojca; kiedy Edyp na Cyteronie lamentuje, zdaje się, że to grzmot idzie z góry, tak jęk jego głęboki i przeciągły.

Amor wzruszony rozpaczą Orfeusza, przybywa doń z oświadczeniem, iż bogowie pozwalają mu zstąpić do piekieł i wyzwolić Eurydykę, pod warunkiem atoli, że nań nie spójrzy, aż wyjdzie poza granice ciemnego państwa. Aryetka bożka miłości tchnie figlarną dobrocią, która w uśmiechu jego igra na statuetkach i kameach. Orfeusz ożywiony nadzieją, odpowiada radosną pieśnią, egzaltuje się, zrywa i wskakuje do piekieł z nieustraszoném męztwem atlety, bieżącego do areny z palmą w ręku.

Akt piekielny sławny jest i znany: można go tu słyszéć co rok w konserwatoryum muzyczném; ale teatralna plastyka w trójnasób dodaje mu blasku. Widok Orfeusza z lirą w ręku stojącego nad czeluściem piekieł, przy-

wodzi na myśl Wirgilego, Danta, kiedy w białéj tunice przebywa płomienie, zasłaniając oczy wawrzynem. Orfeusz stoi na górze, na dole szaleje chór furyi i szatanów. Cięty rym ich pieśni dzwoni jak łańcuchy potężną ręką targane.

Nad tą złorzeczącą nawałnicą głos Orfeusza płynie korny i słodki, błaga i prosi. Długo prośba jego, jak o skałę, łamie się o fatalne *nie*, którém przybyszowi odpowiada piekło; on znów śpiewa, i co strofa powraca owe *nie*, co tak brzmi jak zatrzaskujące się bronzowe bramy piekieł. Nareszcie śpiew czarowny uśmierza wściekłość szatanów: piekło cichnie jak morze po burzy, harmonia wnika w jego dzikie dyssonanse i wypełnia je promieniami: rzekłbyś, tęcza nad przepaścią drżąca; najprzód blado, pod naciskiem chmur czarnych, nakoniec swobodnie grająca kolorami na czystym lazurze.

Po téj sławnéj scenie, pełnéj strachu i grozy, następuje boska monotonia obrazu pól elizejskich. Jestto ów ogród *spokoju*, o którym marzył Wirgiliusz. Mędrcy i bohatéry siedzą pod cieniem drzew złotego wieku; pomiędzy nimi, w przejasném powietrzu drżą marmury. Dziewice czyste, białe jak myśl niewinna, suną cicho, kołysane wolnym ruchem religijnego tańca. Podczas kiedy te niewinne postacie malują oczom szczęście i spokój, orkiestra święci też same uczucia z niewypowiedzianą słodyczą. Słyszysz same harmonie eolskie; melodye zakreślające ruchome koła na dalekich, niebieskich horyzontach; szmery instrumentów podobne do szumu liści poruszanych lekkim wietrzykiem.

Od jednéj z tych grup przeczystych, co stoją białe a niewyraźne jak droga mleczna na tym wieczystym lazurze, odczepia się cień jeden i opiewa rozkosze spokoju. Podobny do łabędzia, zaśpiewanego na uśpioném jeziorze, cień, maluje tonami mglistą zadumę starożytnego Elizeum.

Rzecz dziwna, poganizm tak płodny w upiększanie ziemskiego życia, niczém prawie pośmiertnego nie ustroił istnienia. Duszy ukazywał za grobem tylko zieloną łąkę, przeciętą rzeką śpiącą, a na niéj duchowe igrzyska. Był to raj tak blady, że go niektórzy z owczesnych poetów,

na gwiazdzie snu, na księżycu umieścili. Któż nad ten raj, zaludniony błogosławionymi lunatykami, nie przekłada namiętnego piekła Danta lub Miltona? Człowiek tak dalece do boleści widać stworzony, że pojąć nawet nie może nieruchomego szczęścia przyobiecanego wybranym. Samo nawet niebo wymyka się słabym organom jego intuicyi. Takie, jakiém malują go poeci, więcéj straszy niż wabi wyobraźnią człowieka. Nie pojmuje on, jak dusza jego, którą tu kropla szczęścia napawa, mogłaby nie stopnieć nurzając się w morzu rozkoszy? Tutaj, zmiana jest jego prawem; niepokój jego życiem; w jednodziennym pokoju usypia; z niesmakiem wnet odrzuca owoc lub kwiat, po który sięgał łakomo. Nie przeparty instynkt pcha go i przywiązuje do rzeczy nikłych. Człowiek lubi gonić za tém, co ucieka, a wąchać to, co wietrzeje. Zapatrzony w gwiazdziste niebo, wzrok jego wnet się nuży, równie jak serce, które długo dla jednéj miłości bić nie umie; przesyt ściga go na łożu uciech, a nuda wyrywa z objęć szczęścia. Jakże więc jednostajny zachwyt mógłby nęcić tak niespokojną i zmienną istotę? Nieruchomość w ekstazie, w około horyzont wiecznie pogodny, nigdy chmurki, nigdy burzy. Dość wyobrazić taki *bożostan*, żeby zapragnąć, aby łzy ziemskie przyszły zrosić to wieczne lato.

Ale wróćmy na pola elizejskie, gdzie szukając swojéj Eurydyki przychodzi Orfeusz. Cienie Dantejskie w czyścu dziwią się zobaczywszy żyjącego; pytają go o nowiny ze świata, na którym żyły; cienie pogańskie senniejsze od chrześciańskich, nie zważają wcale na przybysza. Orfeusz nie postrzeżony patrzy w ich blade twarze, ale w całéj processyi nie znajduje ukochanéj. Coraz smutniejszy, coraz to utracając jeden promień z gwiazdy nadziei, błądzi i błądzi daremnie, a muzyka tymczasem, monotonną roztacza nutę, podobną do rzeki, która płynie spokojnie nie zważając na rozpaczającego kochanka, co z jednego jej brzegu wyciąga ręce ku ukochanéj na drugim brzegu stojącéj.

W tém dolatuje z dali cichy śpiew nadziei, zbliża się małżonka, i dotyka dłonią dłoni Orfeusza, chodzącego jak człowiek w ciemnicy. Dotknięcie miłosnym przejmuje

go dreszczem: nieobejrzawszy się, poznaje najmilszą, i ciągnie ją ku wzgórzom wiodącym do świata żyjących.

Cała scena jest niewypowiedzianie piękna. Trzeba widzieć ten nadnaturalny krajobraz, te krążące po nim widma, tego kochanka szukającego ubóstwianéj kobiéty w rojącym się białą processyą duchów półcieniu, ażeby pojąć czarowność tego widoku, nie mającego sobie równego w teatrze.

Czwarty akt cały streszczony w jednéj pieśni żalu „*Straciłem mą Eurydykę.*“ Muzyka nigdy boleśniejszego nie wydała krzyku. Pani Viardot gra rolę Orfeusza z egzaltacyą kapłanki, wygłaszającéj ludowi wyroki bogów: śpiew jéj od początku do końca jest jedném nie przerwaném natchnieniem. W scenie piekielnéj, przypomina idealny obraz *miłości* rozbrajającéj *nienawiść*. Po utracie Eurydyki głos jéj dobiega do najwyższéj ekstazy żalu. Bolesna jéj gorączka udziela się słuchaczom: płakano i rzucano śpiewaczce pod nogi laury, które tą razą, bez grzechu mogłyby być urwane na grobie Wirgiliusza.

Nastrojeniem chórów i wyuczeniem orkiestry, zajmował się sam Berlioz.

— W *Gymnase* znowu Dumas zachwyca niższą świata połowę swym *Ojcem marnotrawnym*. Sztuka napisana wybornie, cieniowana jak obrazek Theniersa, przypomina téż karczemne wnętrza tego mistrza. Pomiędzy rozhoworem nieporządnego życia, na stole pełnym próżnych butelek, wśród żywéj, dowcipnéj, podchmielonéj rozmowy, wznosi się jak beczka Danaidy, posąg *Marnotrawnego ojca*, którego dobry syn potrafił ustroić we wszystkie powaby męzkiéj, hulaszczéj, lekkomyślnéj a w gruncie najpoczciwszéj natury. Morały przebijają tu i owodzie w tym utworze, ale ostatecznie, wrażenie jego czysto zmysłowe do duszy nie dochodzi wcale. Słuchacz wychodzi z teatru jak z wybornéj kolacyi, gdzie się uśmiał, ubawił i objadł po uszy.

Komedya ma wielkie powodzenie, mimo zgorszenia moralistów, którzy radzą, żeby Dumasa do Kafrów odesłać. On tymczasem pojechał do Rzymu, prawdopodobnie, nieżałując za grzechy, ale po prostu uciekając przed etrenami.

— W obec sławnéj broszury „*Papież i Kongres*,“ wszelka inna literatura znika, tak jak w obec dramatu „*La Tireuse des Cartes*“ znikają najartystyczniejsze utwory sceniczne. Dramat ten ułożony z głośnéj niedawno historyi Mortary, z pomocą pierwszego sekretarza cesarskiego, pana Mocquard, i stawiający słuszność po stronie Izraela, wychodzi po za szranki krytyki artystycznéj a staje się wypadkiem politycznym. Zostawiam go przeto, rozwadze naszych czytelników, a niechcąc przerywać ich poważnéj medytacyi błahemi publikacyami etrenowemi, niniejsze sprawozdanie zamykam.

RYSZARD III

TRAGEDYA SZEKSPIRA.

PRZEKŁAD

Józefa Paszkowskiego.

(Dokończenie).

AKT IV.

Scena piérwsza.

Przed Towrem.

Z jednéj strony wchodzą: królowa ELŻBIETA, *księżna* JORK *i markiz* DORSET; *z drugiéj* ANNA, *księżna* GLOSTER, *prowadząca za rękę księżniczkę* MAŁGORZATĘ PLANTAGENET, *córkę Klarensa.*

Ks. JORK.

Co widzę? Wnuczka moja, Plantagenet,
W tém miejscu, z ciotką swoją, ledy Gloster?
I ona widać chce także, z czystego
Popędu serca, dostać się do Towru,
Dla zobaczenia się z królewicami.—
Witaj nam córko.

ANNA.

Daj Boże obudwom
Waszym Miłościom dzień jak najweselszy.

ELŻBIETA.

I wam podobnież, siostro! Dokąd zmierzasz?

ANNA.

Nie daléj jak do Towru, i w tym samym,
Jak mi się zdaje, celu co wy, tojest,
Dla odwiedzenia lubych królewiców.

ELŻBIETA.

Dziękuję-ć, siostro: pójdźmyż wszystkie razem.
(Brakenbury wchodzi).
Otóż i w porę komendant nadchodzi.—
Za pozwoleniem, panie komendancie,
Chciéj nam powiedzieć, proszę, jak się miewa
Książę następca i Jork, mój syn młodszy?

BRAKENBURY.

Zdrowi, łaskawa pani, ale wybacz,
Nie mogę do nich wpuścić Waszéj Cześci:
Król najsurowiéj zabronił mi tego.

ELŻBIETA.

Król? kto?

BRAKENBURY.

Chcę mówić, nasz pan, lord Protektor.

ELŻBIETA.

Niech go Najwyższy Pan w protekcyi swojéj
Od królewskiego zachowa tytułu!
Toż on pomiędzy mną a ich miłością
Stawia zaporę? Ja jestem ich matką:
Któż mi zagradzać może przystęp do nich?

Ks. JORK.

Ja-m matka ojca ich i chcę ich widzieć.

ANNA.

Ja-m tylko ciotka, lecz matka ich sercem:
Wpuść mnie więc do nich. Przyjmuję na siebie
Całą twą winę i odpowiem za nią.

BRAKENBURY.

Nie mogę na to przystać w żadnym razie;
Wybacz mi, pani: związanym przysięgą.
(Wychodzi).

(Stanley wchodzi).

STANLEJ.

Gdybym was spotkał, miłościwe panie,
Godziną później, mógłbym już powitać
Waszą Wysokość, miledy Jork, matką
I towarzyszką dwóch pięknych królowych.
(Do księżny Gloster).
Dostojna księżno, racz się do Westminster
Udać natychmiast, gdzie masz z swym małżonkiem,
Królem Ryszardem, być koronowaną.

ELŻBIETA.

Pęknijcie taśmy, pierś mi krępujące!
Aby ściśnięte moje serce miało
Choć trochę miejsca do bicia; inaczéj
Padnę pod ciosem téj zabójczej wieści.

ANNA.

O nieszczęśliwa, nienawistna wieści!

DORSET.

Nie trap się, pani.—Matko, nie trać męztwa.

ELŻBIETA.

O Dorset, Dorset, nie mów do mnie, uchodź!
Śmierć i zniszczenie w trop za tobą idą;
Imię twéj matki zgubne dla jéj dzieci.
Chcesz-li uniknąć śmierci, spiesz za morze,
Tam, do Ryszmonda, gdzie cię nie dosięgną
Piekielne szpony; o spiesz, spiesz, uciekaj
Z téj niebezpiecznéj, morderczéj jaskini,
Ażebyś liczby ofiar nie powiększył,
I pomagając klątwie Małgorzaty
Mnie żałosnego nie zgotował zgonu,
Wyzutéj z dzieci i męża i tronu.

STANLEJ.

Mądrato rada, pani, w troskliwości
Macierzyńskiego serca zaczerpana.
Korzystaj z drogich chwil, markizie Dorset:
Napiszę listy do mojego syna,
Aby się udał na spotkanie twoje.
Nie daj się złowić, ważąc się na dwoje.

Ks. JORK.

Rozpraszająca nawalnico nieszczęść!
Przeklęta piersi moja, zdroju śmierci!

Ty-ś wykarmiła to monstrum, którego
Nieunikniony wzrok niesie zagładę.

STANLEJ.

Pójdź, pani; miałem zalecony pośpiech.

ANNA.

Idę, gwałt sobie czyniąc.—O bogdajby
Ten krąg złocisty, co mi skroń ma obwieść,
Z rozpalonego raczéj był żelaza,
I aż do mózgu przepalił mi czoło!
Niechbym została pierwéj namaszczoną
Smiertelnym jadem i umarła, zanim
Kto mi zawoła: Boże chroń królowę!

ELŻBIETA.

Idź, nieszczęśliwa! nie zajrzę-ć twéj chwały;
Ani ci życzę czegokolwiek złego,
Przeto, że sama cierpię.

ANNA.

Warta-m tego.
Gdy ten, dzisiejszy mój mąż, nadszedł wówczas,
Kiedy-m szła płacząc za ciałem Henryka,
Kiedy na jego rękach jeszcze prawie
Dawał się widzieć ślad krwi, wytoczonéj
Z tego ziemskiego anioła, co moim
Pierwszym był mężem, i z tego świętego,
Którego właśnie zgon opłakiwałam,—
O, gdy-m spojrzała wtedy w twarz Ryszarda,
Takie życzenie powstało w méj duszy
I tak do niego rzekłam: *„bądź przeklęty,*
Ty, coś w tak młodym wieku mię uczynił
Tak starą wdową! niech troski oblegną
Twoje małżeńskie łoże! niech twą żonę,—
Jeśli się znajdzie na świecie kobieta,
Tyle szalona, że zaślubi ciebie,—
Pożycie z tobą nieszczęśliwszą zrobi,
Niżeli-ś ty mnie zrobił przez zabicie
Ukochanego mego męża!"—Patrzcież,
W krótszym przeciągu czasu, niż go nawet
Na wymówienie téj klątwy potrzeba,
Miękkie me serce zostało nikczemnie
Ujęte jego zwodniczemi słowy;
I własnéj mojéj klątwy niewolnikiem,
Która powieki moje od téj pory
Ciągle otworem trzyma: jeszcze bowiem
Przy jego boku nie zakosztowałam

I przez godzinę złotéj rosy wczasu,
Aby mię jego okropne marzenia
I niespokojne sny nie przebudzały.
Prócz tego czuje on do mnie nienawiść,
Z powodu ojca mojego Warwika,
I wkrótce pewnie zechce się mnie pozbyć.

ELŻBIETA.

Bądź zdrowa, biedna istoto, boleję
Nad twoim losem.

ANNA.

Nie bardziéj, ni szczerzéj,
Jak ja boleję nad waszym.

DORSET.

Bądź zdrowa,
O ty, co jękiem witasz twe zaszczyty!

ANNA.

Bądź zdrów, nieszczęsny, co się żegnasz z twemi!

Ks. JORK
(do Dorseta).

Idź do Ryszmonda, i niech ci los szczęści!

(Do Anny).

Idź do Ryszarda, i niech cię Bóg wesprze!

(Do Elżbiety).

Idź do świątnicy, i znajdź w niéj pociechę!
Mnie skołataną starość tłoczy w ziemię:
Ośmdziesięciu lat już dźwigam brzemię,
A każdą jasną nić w téj życia przędzy
Miałam zasutą stami pasem nędzy.

ELŻBIETA.

Czekajcie; spojrzmy jeszcze na tę wieżę.
O wy odwieczne głazy, miejcie litość
Nad niewinnemi memi chłopiętami,
Które złość w waszym zamknęła obrębie!
Twarda kolebko, dla tak wątłych dzieci!
Groźna piastunko! szorstka towarzyszko
Tak delikatnych książąt! miéj staranie
O moich małych! Temi was wyrazy
Zbolała matka żegna, martwe głazy.

(Wychodzą).

Scena druga.

Sala tronowa w pałacu.

Odgłos trąb. RYSZARD, *jako król, na tronie;* BUKINGHAM, KETSBY, *Paź i inne osoby.*

RYSZARD.

Odstąpcie wszyscy na bok.—Bukinghamie!

BUKINGHAM.

Do usług twoich, miłościwy królu.

RYSZARD.

Podaj mi rękę. Tak wysoko teraz,
Dzięki poradom twoim i pomocy,
Siedzi król Ryszard. Ale czyliż blask ten,
Który nas ninie opromienia, trwać ma
Tylko dzień jeden, czy stale?

BUKINGHAM.

Bogdajby
Trwale się święcił i po wszystkie czasy!

RYSZARD.

Ach, Bukinghamie! przemieniam się teraz
W próbierczy kamień, ażeby doświadczyć,
Czy jesteś szczerem złotem w rzeczy samej.—
Królewic Edward żyje—zgadnij resztę.

BUKINGHAM.

Dokończ, łaskawy panie!

RYSZARD.

Bukinghamie!
Chciałbym być królem.

BUKINGHAM.

Nie jestżeś nim, panie?

RYSZARD.

Hm! toć nim jestem;—ale Edward żyje.

BUKINGHAM.

Żyje, w istocie.

RYSZARD.

Tak mię kuso zbywasz?
Kuzynie, dawniéj nie byłeś tak tępy.
Mamże wręcz mówić? A więc, życzę sobie
Mieć tych dwóch malców trupami, i pragnę,
Aby to było spełnionem niezwłocznie.
Cóż powiesz teraz? Mów prędko, bądź zwięzłym.

BUKINGHAM.

Waszéj Królewskiéj Mości wolno czynić,
Co Jéj się tylko podoba.

RYSZARD.

Do licha!
Zlodowaciałeś coś; zapał twój zamarzł.
Mów: czy chcesz, żeby ci chłopcy pomarli?

BUKINGHAM.

Pozwól mi, proszę, miłościwy panie,
Odetchnąć nieco, namyśleć się chwilkę,
Zanim stanowczą dam na to odpowiedź:
Wnet ją mieć Wasza Królewska Mość będziesz.
(Wychodzi).

KETSBY
(do siebie).

Król rozgniewany widać; gryzie wargi.

RYSZARD
(zstępując z tronu).

Wolę mieć do czynienia z półgłówkami
Dobrodusznemi, niżeli z kimś takim,
Co na mnie patrzy rozważnie z pod oka.
Milord Bukingham oględnym się staje
Odkąd się wyniósł.—Chłopcze!

PAŻ.

Mości królu?

RYSZARD.

Czy nie znasz kogo, coby go moc złota
Do pokątnego mordu mogła skusić?

PAŻ.

Znam, mości królu, pewnego człowieka,
Co w braku środków do widoków dumy,
Ze stanu swego jest niezadowolon.
Złoto nań wywrze wpływ dwudziestu mówców,
I do wszystkiego niechybnie go skłoni.

RYSZARD.

Jak on się zowie?

PAŻ.

Tyrrel, panie.

RYSZARD.

Znam już
Tego człowieka; idź go tu przyprowadź.
(Paź wychodzi).
Rafinujący ten mędrek Bukingham
Nie będzie odtąd sąsiedni mej radzie.
Mógł mię tak długo wspierać bez znużenia,
A teraz musi tchu nabierać? Dobrze;
Niechże tak będzie.
(Stanlej wchodzi).
Cóż tam, lordzie Stanlej?

STANLEJ.

Dowiedz się, wielce miłościwy królu,
Że markiz Dorset, o ile słyszałem,
Zbiegł do Ryszmonda, tam, gdzie ten przebywa.

RYSZARD.

Chodź-no tu, Ketsby.
(Gdy ten się zbliżył, po cichu do niego).
Rozsiej wieść, że Anna,
Moja małżonka, ciężko zaniemogła:
Już ja w tém będę, żeby za próg domu
Krokiem nie wyszła. Wyszukaj mi także
Jakiego chudopachołka, któremu
Córkę Klarensa oddałbym za żonę.—
Syn głupowaty, tego się nie lękam.—
Czegoż-eś tak się zadumał? Powtarzam:
Puść wieść, że Anna, moja żona, chora,
I nie wykręci się pewnie od śmierci.
Idź: wiele bowiem zależy mi na tém,
Ażebym wszelkie nadzieje przytłumił,
Których wzrost mógłby mi przynieść uszczerbek.
(Ketsby wychodzi).
Muszę zaślubić córkę mego brata,
Boby inaczéj moje panowanie
Na szklannéj stało podwalinie.—Naprzód
Zabić jéj braci, a potém ją pojąć!
Śliska to droga! Ale-m w krwi tak zagrzązł,
Że grzeszne czyny nowym grzesznym czynem

Wybijać muszę, jak klin nowym klinem.
Nie w mojém oku mieszka łzawa litość.—
(Paź wchodzi z Tyrrelem).
Miano twe Tyrrel?

TYRREL.

Jakób Tyrrel, panie:
Najposłuszniejszy poddany i sługa
Waszéj Królewskiéj Mości.

RYSZARD.

Jestżeś takim?

TYRREL.

Staw mię na próbę, miłościwy panie.

RYSZARD.

Pchnąłżebyś nożem kogo z mych przyjaciół?

TYRREL.

Jeżeli Wasza Królewska Mość każe:—
Wolałbym jednak kogo z nieprzyjaciół.

RYSZARD.

Mam właśnie takich dwóch, i to śmiertelnych,
Wrogów mojego spoczynku i wczasu,
Z którymi radbym abyś się rozprawił.
Tyrrelu, mówię o tych dwóch bękartach,
Co siedzą w Towrze.

TYRREL.

Bylebyś mi tylko,
Łaskawy panie, wstęp do nich ułatwił,
Wnet od obawy ich uwolnion będziesz.

RYSZARD.

Śpiewasz mi słodką pieśń. Zbliż się, Tyrrellu;
Idź: za tym znakiem zostaniesz wpuszczony.—
Zaczekaj, słówko jeszcze: nadstaw ucho.
(Szepce mu).
Nie trzeba więcéj.—Powiedz, że-ś to zdziałał,
A zyskasz moją łaskę i poparcie.

TYRREL.

Dokonam tego, panie, bez odwłoki.
(Wychodzi).
(Bukingham wraca).

BUKINGHAM.

Już-em rozważył, miłościwy panie,
To, o czém świeżo raczyłeś mi wspomnieć.

RYSZARD.

Mniejsza z tém.—Dorset uciekł do Ryszmonda.

BUKINGHAM.

Słyszałem o tém, panie.

RYSZARD.

Lordzie Stanlej,
Wszak to twój pasierb? Miéj się na baczności.

BUKINGHAM.

Śmiem się upomnieć, miłościwy panie,
O przyrzeczoną nagrodę, za którą
Ręczy mi honor twój i wiara, tojest:
O hrabstwo Herford i o ruchomości,
Które mam posiąść, wedle słowa twego.

RYSZARD.

Stanleju, dawaj baczenie na żonę:
Jeśli pisywać będzie do Ryszmonda,
Ty sam odpowiesz mi za to.

BUKINGHAM.

Cóż mówi
Wasza Królewska Mość na sprawiedliwe
Moje żądanie?

RYSZARD.

Przypominam sobie,
Że Henryk szósty przepowiadał niegdyś,
Iż Ryszmond będzie królem, kiedy Ryszmond
Był jeszcze małym, trzpiotowatym chłopcem.
Królem!—być może.—

BUKINGHAM.

Miłościwy panie!—

RYSZARD.

Jak się to mogło zdarzyć, że ów prorok,
Mnie, co-m był przy tém, nie powiedział wtedy,
Że go zabiję?

BUKINGHAM.

Miłościwy panie,
To hrabstwo, które mam przyobiecane,—

RYSZARD.

Ryszmond!—Gdy byłem niedawno w Exeter,
Burmistrz tameczny wskazując na zamek,
Nazwał go Rougemont; drgnąłem na tę wzmiankę,
Bo mi bard jeden irlandzki powiedział,
Że gdy się Ryszmond przedemną ukaże,
Kres mego życia będzie niedaleki.

BUKINGHAM.

Panie, poważam się—

RYSZARD.

Która godzina?

BUKINGHAM.

Jestem tak śmiały przypomnieć to, co mi
Wasza Królewska Mość raczyłeś przyrzec.

RYSZARD.

Dobrze, lecz która godzina?

BUKINGHAM.

Dziesiąta
Wybije zaraz.

RYSZARD.

Niechże raz wybije.

BUKINGHAM.

Dlaczego wybić ma, panie?

RYSZARD.

Dlatego,
Że jako owa lalka na zegarze (1),
Trzymasz upornie podniesiony młotek
Między swą prośbą a myślami memi.
Nie jestem dzisiaj w humorze do datków.

BUKINGHAM.

To mi przynajmniéj, panie, daj odpowiedź,
Czy chcesz, czy nie chcesz uiścić się z słowa.

RYSZARD.

Natręt z Wąćpana; nie jestem w humorze.
(Wychodzi z swym orszakiem).

(1) Automatyczna figurka na staroświeckich zegarach, która podnosiła rękę, kiedy godzina bić miała, a spuszczała ją, skoro godzina już wybiła.

BUKINGHAM.

Także-to? Więc on mi pogardą płaci
Za wyświadczone tak ważne przysługi?
Na toż-em dał mu berło? O Hastyngsie!
Twój los jest dla mnie skazówką mentora:
Spieszmy do Breknok, póki jeszcze pora.

(Wychodzi).

Scena trzecia.

Tamże.

TYRREL *wchodzi.*

TYRREL.

Krwawe tyranii dzieło dokonane;
Spełniony nadmiar zgrozy, jakiéj jeszcze
W dziejach téj ziemi nie było przykładu.
Dajton i Forrest, których namówiłem
Do tego arcy-rzeźniczego czynu,
Wcielone łotry, psy na krew łakome,
Mięknąc z czułości przy opowiadaniu
Téj smutnéj sceny, płakali jak dzieci.
„*Tak*", mówił Dajton, „*leżeli przy sobie*
Te pacholęta"—„*tak, tak,*" mówił Forrest,
„*Splecione mieli w wzajemném objęciu*
Alabastrowe, niewinne ramiona.
Ich wargi były niby purpurowe
Cztéry różyczki, na jednym pniu wzrosłe,
Co się w poranku swych wdzięków całują;
A na wezgłowiu ich leżała książka
Do modlitw. Widok ten"—tak mówił Forrest,
„*Zbił mię z terminu prawie; ale szatan*"—
Tu łzy przerwały mowę nędznikowi:
A Dajton mówił dalej: „*Zgładziliśmy*
Najdoskonalsze z dzieł, jakie natura
Od piérwszéj doby stworzenia wydała".—
Poczém, miotani zgryzotą sumienia
Poszli w świat obaj, a ja-m tu się udał,
Zdać sprawę temu krwawemu królowi.

(Ryszard wchodzi).

Otóż on.—Pokłon ci, potężny panie.

RYSZARD.

I cóż, kochany Tyrrelu, ażali
Wieść mi przynosisz uszczęśliwiającą?

TYRREL.

Jeśli wiadomość o spełnieniu tego,
Co-ś mi rozkazał, ma cię uszczęśliwić,
Królu, to możesz nazwać się szczęśliwym.
Stało się.

RYSZARD.

Sam-żeś ich widział bez życia?

TYRREL.

Widziałem, panie.

RYSZARD.

I pochowanymi?

TYRREL.

Kapelan w Towrze pochował ich zwłoki,
Lecz w którém miejscu, prawdę mówiąc, nie wiem.

RYSZARD.

Tyrrelu, przyjdziesz do mnie po wieczerzy;
Wtedy mi skreślisz szczegóły ich zgonu.
Pomyśl, czém twoje trudy mam zawdzięczyć,
A wraz otrzyma skutek twe żądanie.
Bądź zdrów tymczasem.

TYRREL.

Polecam się Waszéj
Królewskiéj Mości miłościwym względom.
(*Wychodzi*).

RYSZARD.

Syna Klarensa wsadziłem pod rygiel;
Córkę wydałem za mąż za charłaka;
Na Abrahama łonie spoczywają
Dzieci Edwarda i moja małżonka,
Anna, dobranoc powiedziała światu.
Teraz-że wiedząc, że się ten Bretańczyk,
Ryszmond, o moją kusi synowicę,
Młodą Elżbietę, i dufny w ten związek
Zuchwale oczy podnosi do tronu,
Strzeliste do niéj skieruję zaloty.
(*Ketsby wchodzi*).

KETSBY.

Panie,—

RYSZARD.

Przynosisz-li złą wieść, czy dobrą.
Że tak jak bomba obcesowo wpadasz?

KETSBY.

Złą, panie: Morton uciekł do Ryszmonda,
A lord Bukingham, na czele wyboru
Mężnych wallijskich rot, wyruszył w pole,
I siły jego rosną z każdą chwilą.

RYSZARD.

Ely i Ryszmond więcéj mię obchodzą,
Niż Bukinghama moc szybko sklecona.
Pójdź;—nauczono mię, że trwożny rozbiór
Jest śpiącéj zwłoki ołowianym sługą;
A zwłoka wiedzie za sobą najczęściéj
Slimaczym krokiem pełznące żebractwo.
Niechże ognisty pośpiech chyżopiórym
Będzie mi gońcem, Jowisza Merkurym!
Idź, wydaj wojskom rozkazy: gdzie zdrada
Głowę podnosi, czyn tarczą, nie rada.

(Wychodzą).

Scena czwarta.

Przed pałacem.

Królowa MAŁGORZATA *wchodzi.*

MAŁGORZATA.

Otóż przeźrały owoc pomyślności
Zaczyna butwieć i przechodzić w zgnicie.
Tu w poblizkości chytrze czatowałam
Na widok schyłku moich nieprzyjacioł.
Strasznego wstępu już-em była świadkiem;
Teraz do Francyi poniosę me kroki,
Mając nadzieję, że i koniec będzie
Podobnież gorzki, czarny i tragiczny.
Precz ztąd, nieszczęsna Małgorzato!—Któż to?

(Królowa Elżbieta i księżna Jork wchodzą).

ELŻBIETA.

O biedne dzieci! o moje pociechy!
Moje nadobne, nierozkwitłe pączki!
Jeżeli jeszcze wasze lube dusze
Wioną w powietrzu, i nie są na wieki
Od tego świata oddzielone, krążcie,
Krążcie w koło mnie na leciuchnych skrzydłach,
I rozpaczliwych skarg matki słuchajcie!

MAŁGORZATA.

Krążcie i głoście, że odwetu sila
Jasny wasz ranek w ciemną noc zmieniła.

Ks. JORK.

Tyle niedoli stłumiło głos we mnie;
Znużona jękiem pierś ma oniemiała.
Trzeba więc było i tobie, Edwardzie
Plantagenecie, paść z zabójczej dłoni?

MAŁGORZATA.

Sroga lecz słuszna niebios-to wendeta:
Padł Plantagenet za Plantageneta,
Edward Edwarda dług spłacił.

ELŻBIETA.

O Boże!
Mógłżeś opuścić parę takich jagniąt,
I pozostawić wilkowi na pastwę?
Kiedyż-eś, Panie, ścierpiał taki czyn?

MAŁGORZATA.

Gdy Henryk święty konał i mój syn.

Ks. JORK.

Martwe, bezduszne życie! ślepy wzroku!
Marne ty widmo ziemskiego istnienia!
Ohydo świata! widownio boleści!
Grobowa właści w dziennym życia najmie!
Krótki wyciągu dni długich i nudnych!
Niech twój niepokój spocznie na tej prawej
Angielskiej ziemi, która, skutkiem bezpraw,
Takim bezmiarem krwi się napoiła.
(Siada).

ELŻBIETA.

O gdybyś mogła tak rychło grób wskazać,
Jak to żałosne miejsce do siedzenia,
Kości-bym moje wolała tu złożyć

Nie na chwilowy lecz wieczny spoczynek.
Ach, któż ma powód, prócz nas dwóch, do jęków?
(Siada przy niéj).

MAŁGORZATA.

Jeśli cierpienia tém są szanowniejsze
Im starszéj daty, to przyznajcie moim
Pierwszeństwo wieku i wyższość nad swemi;
Jeśli zaś boleść znosi towarzystwo,
To wypowiedzcie swoją na wzór mojéj.
(Siada przy nich).
Miałam Edwarda i Ryszard go zabił;
Miałam małżonka i Ryszard go zabił;
Miałam Edwarda i Ryszard go zabił;
Miałam Ryszarda i Ryszard go zabił;

Ks. JORK.

Miałam Ryszarda i tyś go zabiła;
Miałam Rutlanda także, i ten został
Za przyczynieniem się twojém zabity.

MAŁGORZATA.

Klarensa także i Ryszard go zabił.
Z twojego łona wyszedł pies piekielny,
Który nas na śmierć szczuje po kolei;
Ten pies, co pierwéj niż oczy miał zęby,
Do rozdzierania jagniąt i chłeptania
Ich krwi niewinnéj; ten wściekły niszczyciel
Pięknych dzieł bożych, arcy-typ tyrana,
Co ma tron w łzawych oczach wdów i matek.
O sprawiedliwy i opatrzny Boże!
Jakże Ci jestem wdzięczną, że ten potwór
Szarpie owoce łona własnéj matki
I uczestniczką ją czyni skarg cudzych!

Ks. JORK.

Żono Henryka, nie ciesz się z mych cierpień;
Ja-m nad twojemi płakała: Bóg świadkiem.

MAŁGORZATA.

Bądź pobłażliwą: ja-m łaknęła zemsty,
I serce moje karmi się nią teraz.
Umarł twój Edward, zabójca mojego;
Twój drugi Edward za mojego zginął;
Dodatkiem tylko był młody Jork: oba
Nie dorównali wysokiéj wartości
Tamtego, który mnie został wydarty.
Zginął i Klarens twój, który mojego

Edwarda zgładził, i niemi widzowie
Owego mordu, wiarołomny Hastyngs,
Rivers, Grej, Vaughan, zstąpili w grób ciemny.
Już tylko Ryszard żyje, ten zbir czarny,
Ten faktor piekła: ale wkrótce przyjdzie
Kres nań żałosny, niepożałowany.
Ziemia drży, piekło wre, szatany ryczą,
Modlą się święci, by zmarł jak najprędzéj.
Przedrzéj, o Boże, kartę jego życia,
Błagam Cię o to, abym jeszcze mogła
Powiedzieć: zdechł ten gad, pierwéj nim umrę.

ELŻBIETA.

O Małgorzato! ty-ś przepowiadała,
Że przyjdzie taki czas, w którym zapragnę,
Ażebyś ze mną razem przeklinała
Tę jadowitą, garbatą ropuchę.

MAŁGORZATA.

Wtedy nazwałam ciebie malowaną,
Biédną królową, marą mej przeszłości,
Cieniem jedynie tego, czém ja byłam.
Bo czémże wtedy byłaś rzeczywiście?
Szumnym tytułem opłakanéj treści;
Na to wzniesioną, by-ś tém niżéj spadła:
Matką dwóch hożych chłopiąt, na żart tylko;
Snem tylko tego, czém byłaś; purpurą flagą,
Za cel służącą niebezpiecznym strzałom;
Szyldem godności, tchnieniem, wnętrzną bańką;
Królową tylko dla zapchania sceny.
Gdzież twój mąż teraz? gdzie są bracia twoi?
Gdzie dwaj synowie twoi? gdzie twa radość?
Któż teraz klęka błagalnie przed tobą,
I mówi: Boże zachowaj królowę?
Gdzie ci parowie, co ci pochlebiali,
I kark zginali przed tobą? gdzie owe
Tłumnie cisnące się za tobą świty?
Przejrzyj to wszystko, i patrz, czem-eś teraz.
Z szczęśliwéj żony jesteś biédną wdową;
Z matki radosnéj, jęczącą na wzmiankę
Tego imienia; z królowéj poddanką,
Cierniem niezbytych trosk koronowaną.
Błagano ciebie: dziś ty kornie błagasz;
Wszyscy się ciebie bali: dziś ty musisz
Bać się jednego; wszyscy szli w zawody
Na twe rozkazy: dziś nikt cię nie słucha.
Takito wzięła obrót sprawiedliwość,
I zostawiła cię na łup czasowi;

Nie pozostało ci nic krom pamięci
Tego, czém byłaś, by ci tém dotkliwsze
Męki sprawiała myśl, czém teraz jesteś.
Ty-ś sobie moje przywłaszczała miejsce,
To téż zostałaś jak ja wywłaszczoną.
Teraz twój dumny kark dźwiga połowę
Mojego jarzma, ale ja z pod niego
Uchylam odtąd mą znużoną głowę
I zdaję tobie cały jego ciężar.
Żegnam was.—Z losu, który was przygniata,
Śmiać się we Francyi będzie Małgorzata.

ELŻBIETA.

O ty, co jesteś w przekleństwach tak biegłą,
Naucz mię, jak mam przeklinać mych wrogów.

MAŁGORZATA.

Wyrzecz się w nocy snu, a w dzień posiłku;
Porównaj z zmarłém szczęściem żywą boleść;
Wyobraź sobie tych, których straciłaś,
Dwakroć milszymi niż byli, i dwakroć
Szpetniejszym, niż jest, tego, co ich zabił;
Skoro nienawiść swoją tém utuczysz,
Zionąć przekleństwa sama się nauczysz.

ELŻBIETA.

Zaostrz swojemi tępe moje słowa.

MAŁGORZATA.

Zaostrzy ci je korona cierniowa.

(*Wychodzi*).

Ks. JORK.

Zkąd się w niedoli bierze słów tak wiele?

ELŻBIETA.

Wietrzni-to cierpień adwokaci, zmarłéj
Bez testamentu radości dziedzice;
Marni rzecznicy nędzy: niech się święcą!
Wpływ ich bezsilny wprawdzie nie uzdrawia,
Ale przynajmniéj ulgę sercu sprawia.

Ks. JORK.

Nie krępuj zatém języka; pójdź ze mną:
Niech połączony dech złorzeczeń naszych
Zabije mego wyrodnego syna,

Tak jak on zabił lubych synów twoich.
(Odgłos trąb za sceną).
Trąby brzmią; idzie: nie szczędź-że mu obelg.
(Ryszard, z swym orszakiem, w marszu, wchodzi na scenę).

RYSZARD.

Któż-to mię w moim marszu zatrzymuje?

Ks. JORK.

Ta, co żałuje, że cię w swém przeklętém
Nie zatrzymała łonie, i nie zgniotła,
Nim-eś, nieszczęsny, spełnił tyle mordów.

ELŻBIETA.

Śmiesz-li w koronę kryć czoło, na którém,
Gdyby na ziemi była sprawiedliwość,
Wypiętnowane powinno płonąć
Morderstwo tego, któremu-ś ją wydarł,
I śmierć okrutna mych synów i braci?
Nędzny wyrodku, mów, gdzie dzieci moje?

Ks. JORK.

Gdzie twój brat Klarens, ropucho, i mały
Ned Plantagenet, jego syn?

ELŻBIETA.

Gdzie zacny
Rivers, Grej, Vaughan?

Ks. JORK.

Gdzie poczciwy Hastyngs?

RYSZARD.

Uderzcie w bębny! zadmijcie w puzany!
Niech niebo głosu nie słyszy tych kobiet,
Pomazańcowi Pańskiemu bluźniących!—
(Odgłos trąb i bębnów).
Albo przemówcie do mnie w dobry sposób,
Albo utopię wasze wyrzekania
W głuszczącym zgiełku wojennych odgłosów.

Ks. JORK.

Jestże-ś ty moim synem?

RYSZARD.

Tak jest: Bogu,
Mojemu ojcu i wam to zawdzięczam.

Ks. JORK.

Znieś-że cierpliwie moją niecierpliwość.

RYSZARD.

Mam to w naturze, co wy, pani matko,
Że znosić tonu wyrzutów nie mogę.

Ks. JORK.

O, daj mi mówić!

RYSZARD.

Mów, pani; ja-m głuchy.

Ks. JORK.

Łagodnie mówić będę i uprzejmie.

RYSZARD.

A przytém zwięźle, proszę, bo mi pilno.

Ks. JORK.

Tak-że się spieszysz? Ja-m na cię czekała,
Bóg widzi, w ciężkich bolach i męczarniach.

RYSZARD.

Aż-em i przyszedł na pociechę waszą.

Ks. JORK.

Przeciwnie, piekło na świat cię wywlekło,
Po to, ażebyś mi świat zmienił w piekło.
Bolesnym krzyżem był dla mnie twój poród;
Krnąbrném, niesforném było twe dzieciństwo;
Chłopięcy wiek twój strasznym, dzikim, wściekłym;
Młodzieńczość hardą i awanturniczą;
Wiek dojrzałości buntnym, chytrym, krwawym,
Im łagodniejszym, tém niebezpieczniejszym,
Powijającym złość w uprzejmą barwę.
Jakąż mi chwilę radosną przypomnisz,
Którąby przebyt z tobą mię obdarzył?

RYSZARD.

Skoro podobać się wam nie mam daru,
To mi iść pozwól, pani, i niè żądaj,
Bym ci wzrok raził dłuższą obecnością.—
Uderzcie w bębny!

Ks. JORK.

Wysłuchaj mię, proszę.

RYSZARD.

Za gorzko mówisz, pani.

Ks. JORK.

Jeszcze słowo;
Bo nigdy z tobą mówić już nie będę.

RYSZARD.

Dobrze więc.

Ks. JORK.

Albo Bóg śmierć na cię ześle.
Wprzód nim powrócisz zwycięzcą z téj wojny,
Albo ja umrę z zmartwień i starości,
I nigdy więcéj nie ujrzę już ciebie.
Zabierz więc z sobą najcięższe przekleństwo:
Niechaj cię ono w boju gorzéj gniecie,
Niż ta stalowa zbroja, którą dźwigasz.
Modły me walczą za twych przeciwników,
A małe dziatek Edwarda duszyczki
Szepcą do ucha twoich nieprzyjacioł,
I przyrzekają im nad toba tryumf.
Krwi byłeś chciwy, znajdziesz więc śmierć krwawą:
W niesławie żyłeś, umrzesz téż z niesławą.
(Wychodzi).

ELŻBIETA.

Więcéj powodów mam do przeklinania,
Ale mniéj mocy; dodam tylko amen.
(Chce odejść).

RYSZARD.

Nie odchodź, pani; mam ci coś powiedzieć.

ELŻBIETA.

Nie mam już synów dla ciebie, Ryszardzie,
Do mordowania; co do moich córek,
Te modlącemi się mniszkami będą,
Nie królowemi na łzy skazanemi:
Zaniechaj przeto godzić na ich życie.

RYSZARD.

Masz pani córkę, imieniem Elżbietę,
Cnotliwą, piękną, miłą i roztropną.

ELŻBIETA.

Przetoż ma umrzéć? O zostaw jéj życie!
A obyczaje jéj zepsuję sama,

Skażę jéj piękność, zniesławię się, mówiąc,
Że-m Edwardowi była wiarołomną,
I rzucę przez to na nią piętno hańby:
Aby ją ustrzedz od zbójczego noża,
Powiem, że ona nie z Edwarda łoża.

RYSZARD.

Nie krzywdź jéj, pani; ona z krwi królewskiéj.

ELŻBIETA.

Dla ocalenia jéj, zaprzeczę temu.

RYSZARD.

Ród jéj zapewnia jéj najlepiéj całość.

ELŻBIETA.

Tym zapewnieni umarli jéj bracia.

RYSZARD.

Bo się pod dobrą nie rodzili gwiazdą.

ELŻBIETA.

Bo złych przyjacioł mieli, powiedz raczéj.

RYSZARD.

Nieodwrócone są zrządzenia losu.

ELŻBIETA.

Tak, gdy przewrotny duch kieruje losem.
Piękniejsza była śmierć im przeznaczoną,
Gdyby piękniejszy żywot twym był działem.

RYSZARD.

Tak pani mówisz, jakbym ja ich zgładził.

ELŻBIETA.

Zaprawdę, gładko-ś wyzuł ich z wszystkiego:
Z pociech, królestwa, wolności i życia.
Czyjabądź ręka przeszyła ich serca,
Twa głowa kręto wiodła ją do tego.
Tępym niechybnie był ów nóż morderczy,
Nim naostrzony o twe serce z głazu
Zagrzązł w wnętrznościach moich biédnych jagniąt.
O gdyby nie to, że przyzwyczajenie
Najdzikszą boleść zdolne jest ugłaskać,
Nie prędzéj usta mojeby poniosły
Do twoich uszu nazwisko mych chłopiąt,
Ażby się moje paznokcie zaryły
W jamach twych oczu i ażbym ja sama,

W tak rozpaczliwéj zatoce zniszczenia,
Jak biédna łódka bez lin i bez żagli,
O twą skalistą pierś się roztrzaskała.

RYSZARD.

Niech mi tak szczęście w przedsięwzięciach służy
I w niebezpiecznych przeprawach téj wojny,
Jak więcéj zrobić dobrego zamierzam
Tobie i twoim, pani, niż-em złego
Tobie i twoim zrobił kiedykolwiek.

ELŻBIETA.

Jakieżby dobro, ukryte na ziemi,
Mogło wyjść na jaw dla mojego dobra?

RYSZARD.

Plemienia twego, pani, wyniesienie.

ELŻBIETA.

Na rusztowanie chyba.

RYSZARD.

Na szczyt szczęścia.
Na najwznioślejszy szczebel ziemskiéj chwały.

ELŻBIETA.

Pochlebiasz mojéj boleści tą wieścią:
Jakiż byt, jaką godność, jaki zaszczyt
Mógłbyś ty przynieść któremu z mych dzieci?

RYSZARD.

Co tylko w mojéj jest mocy, sam siebie
I wszystko składam jednéj z twoich córek,
Jeżeli zechcesz w letejskim strumieniu
Twéj gniewnéj duszy utopić wspomnienie
Krzywd wyrządzonych, jak myślisz, przezemnie.

ELŻBIETA.

Przystąp do rzeczy krótko, bez ogródek,
Boby zapowiedź twojéj życzliwości
Mogła trwać dłużéj niż życzliwość sama.

RYSZARD.

Wiédz więc, że z serca kocham twoją córkę.

ELŻBIETA.

Sercem ocenia to matka swéj córki.

RYSZARD.

Co?

ELŻBIETA.

To, że *z serca* kochasz moją córkę,
Tak samo *z serca* kochałeś jéj braci.
I ja téż *z serca* ci dziękuję za to.

RYSZARD.

O nie przekręcaj myśli mojéj, pani:
Serdecznie kocham twą córkę, powiadam,
I myślę zrobić ją królową Anglii.

ELŻBIETA.

Któżby był królem Anglii w takim razie?

RYSZARD.

Ten, co ją zrobi królową; któż inny?

ELŻBIETA.

Jakto? ty?

RYSZARD.

Tak jest, ja: cóż pani na to?

ELŻBIETA.

Jakżebyś mógł się jéj podobać?

RYSZARD.

Tego
Chciałbym się właśnie dowiedzieć od pani,
Jako najlepiéj znającéj jéj serce.

ELŻBIETA.

Odemnie?

RYSZARD.

Tak jest, pragnę z duszy całéj.

ELŻBIETA.

Każ jéj przez tego, co zabił jéj braci,
Zanieść w ofierze parę serc skrwawionych;
Wyryj na jednóm Jork, na drugiém Edward;
Może zapłacze na ten widok: wtedy
Podaj jéj—jako niegdyś Małgorzata
Podała twemu ojcu, skąpanemu
We krwi Rutlanda—chustkę, która, powiesz,
Z lubego ciała jéj braci wypiła
Sok purpurowy, i każ jéj tą chustką

Obetrzéć sobie zapłakane oczy.
Jeśli zaś to w niéj miłości nie wzbudzi,
Poślij jéj rejestr swych szlachetnych czynów;
Powiedz, że-ś sprzątnął jéj stryja, Klarensa,
Wuja Riversa, i z miłości ku niéj
Wysłał na tamten świat jéj ciotkę Annę.

RYSZARD.

Żartujesz sobie, pani; tąbym drogą
Nie trafił do jéj serca.

ELŻBIETA.

Nie masz innéj;
Chybabyś w inne zmienił się jestestwo,
I nie był sprawcą tych zbrodni, Ryszardem.

RYSZARD.

Jeżeli-m jakiéj dopuścił się zbrodni,
Pobudką k'temu była miłość ku niéj.

ELŻBIETA.

Za tak ohydne objawy miłości,
Możesz jedynie zyskać jéj nienawiść.

RYSZARD.

Hm, co się stało, tego już nie zmieni.
Człowiek coś czasem zrobi nierozważnie,
Czego nie może potém odżałować.
Jeśli-m tron zabrał twoim synom, pani,
Dla kompensaty oddam go twéj córce.
Jeżeli-m zgładził owoc twego łona,
Rozmnożę z drugiéj strony twoje plemię,
Płodząc potomstwo w pożyciu z twą córką.
Nazwisko babki jest prawie tak lube,
Jak słodkobrzmiący tytuł matki: wnuki
Są jako dzieci, tylko stopniem niżéj;
Taż sama krew w nich, toż usposobienie;
Też same z niemi kłopoty, krom bolów,
Które tu cierpi ta, co była niegdyś
Powodem twoich. Dzieci twoje, pani,
Były młodości twojéj utrapieniem;
Moje pociechą twéj starości będą.
Straciłaś, pani, syna, co był królem,
Królową za to będzie twoja córka.
Nie mogę-ć, jakbym chciał, nagrodzić straty,
Przyjm więc, co moja dobra chęć dać może.
Dorset, syn pani, zbiegły i w obczyźnie,
Jako malkontent dziś się tułający,

Niebawem będzie, skutkiem tego związku,
Nazad, do wielkich przyzwany dostojeństw;
Król, zwący piękną twą córkę małżonką,
Mienić go będzie poufale bratem,
Na nowo będziesz pani matką króla,
I skarby pociech w dwakroć powetują-ć
Wszelakie ujmy niefortunnych czasów.
O tak! dożyjem jeszcze dość dni błogich.
Przejrzyste krople łez, które wylałaś,
Powrócą-ć nazad zamienione w perły,
Wynagradzając swój nakład procentem
Dziesięćkroć razy większéj miary szczęścia.
Idź zatém, matko moja; idź do córki:
Ośmiel jéj młodość swojém doświadczeniem;
Nastrój jéj ucho do słów zalotnika;
W prostém jéj sercu rozżarz rwący płomień
Złotéj wielkości; uprzedź ją o słodkich,
Cichych małżeńskich uciech tajemnicach;
A gdy to ramię skarci tego karła
Buntowniczego, głupca Bukinghama,
Wtedy przybędę w tryumfalnym wieńcu
Wwieść córkę twoją do łoża zwycięzcy;
Jéj łup mój oddam, ją wyłącznie uznam
Tryumfatorką, Cezarem Cezara.

ELŻBIETA.

Cóż ja jéj powiem? Czy, że brat jéj ojca
Chce być jéj mężem? Czy, że stryj? Czy wreszcie
Ten, co krew przelał jéj stryja i braci?
Jakiż ci tytuł mam nadać, pod którym
Bóg, prawo, moja sława i jéj serce
Mogłoby do niéj przemówić za tobą?

RYSZARD.

Przedstaw jéj pokój Anglii w tém zamęźciu.

ELŻBIETA.

Który kupować będzie ciągłą wojną.

RYSZARD.

Powiédz jéj, że król, mocny kazać, prosi.

ELŻBIETA.

Tak, o to, czego król królów zabrania.

RYSZARD.

Powiédz, że będzie potężną królową.

ELŻBIETA.

By, jak ja, tytuł ten opłakiwała.

RYSZARD.

Kochać ją będę, powiédz, wiecznotrwale.

ELŻBIETA.

Ale jak długo ta wieczność ma potrwać?

RYSZARD.

Aż po sam koniec jéj życia, co najmniéj.

ELŻBIETA.

Ale jak długo potrwa to jéj życie?

RYSZARD.

Póki natura i niebo pozwoli.

ELŻBIETA.

Póki je piekło i Ryszard znieść zechce.

RYSZARD.

Powiédz, że z pana chcę być jéj poddanym.

ELŻBIETA.

Ona, poddanka, gardzi takiém państwem.

RYSZARD.

Wymownie poprzéj, pani, moją sprawę.

ELŻBIETA.

Najlepiéj słowo prawdy rzec po prostu.

RYSZARD.

Orzecz więc moją miłość w prostych słowach.

ELŻBIETA.

Prostota dziko brzmiałaby przy fałszu.

RYSZARD.

Płytko rzecz bierzesz, pani, i za żywo.

ELŻBIETA.

Owszem, głęboko, na głębokość grobu;
I tak spokojnie, jak spokojnie teraz
Śpią w nim snem wiecznym moje biédne dzieci.

RYSZARD.

Nie tykaj już téj struny; to minęło.

ELŻBIETA.

O, nie przestanę jéj tykać, tak długo,
Aż pękną wszystkie struny mego serca.

RYSZARD.

Na tę ozdobę świętego Grzegorza!
Na tę podwiązkę i koronę moją!—

ELŻBIETA.

Sprofanowaną, skalaną, wydartą.

RYSZARD.

Przysięgam,—

ELŻBIETA.

Czcza-to przysięga i żadna.
Twój Grzegorz stracił właściwą mu świętość;
Twoja podwiązka rycerską zalotę;
Twoja korona świetność swą królewską.
Chcesz-li, by dano wiarę twéj przysiędze,
To przysiąż na coś, co-ś umiał szanować.

RYSZARD.

Na świat więc!—

ELŻBIETA.

Pełen twoich niecnych bezpraw.

RYSZARD.

Na śmierć mojego ojca!—

ELŻBIETA.

Życie twoje
Cześć jéj zatarło.

RYSZARD.

To na mnie samego!—

ELŻBIETA.

Sam-eś zbezcześcił siebie.

RYSZARD.

Więc na Boga!—

ELŻBIETA.

Obraza Boska gorszą jest nad wszystko.
Gdybyś był w imię jego uczynionych
Nie lekceważył przysiąg, zaszczepiona
Przez mego męża jedność do téj pory

Trwałaby, i mój brat byłby przy życiu.
Gdybyś był w imię jego uczynionych
Przysiąg nie złamał, ten wspaniały kruszec,
Opasujący teraz głowę twoję,
Przyozdabiałby młodociane skronie
Mojego dziecka i przy moim boku
Staliby obaj młodzi królewice,
Co teraz leżą obok siebie w prochu,
Na łup robactwa skazani przez ciebie.
Na cóż-byś tedy mógł przysiądz?

RYSZARD.

Na przyszłość.

ELŻBIETA.

Tę już zdeptałeś w przeszłości i tę ja
Gorzkiemi łzami dziś oblewać muszę,
Pomna przeszłości, zdeptanéj przez ciebie.
Dzieci rodziców, których krew przelałeś,
Żyją, przedwcześnie pieczy pozbawione,
I będą nad tém bolały na starość;
Rodzice, których dzieci zarzezałeś,
Żyją jak na nic niezdatne rośliny,
I muszą nad tém boleć już w starości.
O nie przysięgaj na przyszłość, bo ona
Przeszłości twojéj nosi już znamiona.

RYSZARD.

Tak mi daj Boże pomyślnie odeprzeć
Zamachy wrogów, jak żal mój jest szczery
I chęć poprawy! Niech sam siebie zgładzę!
Niech mi odmówi niebo chwil radosnych,
Dzień swego światła, noc swego spokoju!
Niechaj się wszystkie przyjazne planety
Na mnie sprzysięgną! jeżeli nie z serca,
Nie z świętą myślą, nie z czystą intencyą
Proszę o twoję piękną, zacną córkę.
Na niéj me szczęście polega i twoje;
Bez niéj zagraża mnie i tobie, pani,
Jéj i krajowi i wielu chrześcianom
Śmierć, spustoszenie, zguba i zagłada.
Uniknąć tego można li w ten sposób,
I li w ten sposób tego się uniknie.
Kochana matko (bo tak cię zwać muszę),
Bądź więc miłości méj orędowniczką
U swojéj córki; powiédz jéj czém będę,
A nie czém byłem; nie moje zasługi,
Ale jéj wystaw na co chcę zasłużyć;

Skreśl jéj stan rzeczy i potrzeby nagłość,
I nie bądź, że tak powiem, niepraktycznie
Sentymentalną w rzeczach wielkiéj wagi.

ELŻBIETA.

Mam-że się tak dać uwieść szatanowi?

RYSZARD.

Tak jest, gdy szatan wiedzie do dobrego.

ELŻBIETA.

Mamże do tego stopnia się zapomnieć?

RYSZARD.

Tak jest, gdy pamięć o sobie jest zgubną.

ELŻBIETA.

Ale-ś ty moje dzieci zamordował.

RYSZARD.

Na łonie twojéj córki je pogrzebię,
Gdzie się odrodzą same, jako w gnieździe
Z drogich korzeni (1), na pociechę twoją.

ELŻBIETA.

Mamże pójść skłonić córkę do twych życzeń?

RYSZARD.

O tak, i stać się szczęsną przez to matką.

ELŻBIETA.

Idę więc.—Napisz do mnie jak najprędzéj,
A uwiadomię-ć o skutku mych kroków.

RYSZARD.

Bądź zdrowa! zanieś jéj mój pocałunek.
(Całuje ją. Elżbieta wychodzi).
O giętka, głupio-uległa niewiasto!
(Ratklif wchodzi, wkrótce potém Ketsby).
— Cóż mi przynosisz?

RATKLIF.

Miłościwy panie,
Z zachodu groźna zbliżyła się flota:
Tłumy wątpliwych popleczników naszych,

(1) Ryszard ma tu na myśli gniazdo, które, według bajki, Fenix sobie ściele z drogich korzeni, i w którém, po spaleniu się, zmartwychwstaje z własnych popiołów.

Z dziurawém sercem, cisną się do brzegu,
Bez broni i bez woli do odparcia.
Słychać, że Ryszmond dowodzi tą flotą.
Już pospuszczali żagle, już kotwice
Pozarzucali i czekają tylko
Na Bukinghama, aby na ląd wysiąść.

RYSZARD.

Niech tam kto w nogach nie leniwy skoczy
Co tchu do księcia Norfolk: ty naprzykład,
Ratklific, albo Ketsby: gdzież on?

KETSBY.

Jestem,
Łaskawy panie.

RYSZARD.

Ketsby, spiesz do księcia.

KETSBY.

Dopełnię tego jak najspieszniéj zdołam.

RYSZARD.

Ratklific, udaj się do Salisbury:
Skoro tam staniesz,—
(Do Ketsbego).
Za czém czekasz jeszcze,
Ciemięgo? czemu nie idziesz do księcia?

KETSBY.

Wprzód mi, potężny władzco, racz objawić,
Co mu oznajmić mam w imieniu Waszéj
Królewskiéj Mości.

RYSZARD.

Masz słuszność, mój Ketsby.
Powiédz mu, żeby niezwłocznie zgromadził
Tak wielką siłę wojenną jak może,
I spiesznie przybył z nią pod Salisbury.

KETSBY.

Idę.
(Wychodzi).

RATKLIF.

Cóż ja mam czynić w Salisbury?

RYSZARD.

Co masz tam czynić, nim przybędę?

RATKLIF.

Tak jest:
Wasza Królewska Mość raczyłaś kazać,
Abym się naprzód tam wyprawił.

RYSZARD.

Prawda; —
Inną mam teraz myśl.—
(Stanlej wchodzi).
Cóż tam, Stanleju?

STANLEJ.

Nic tak dobrego, miłościwy panie,
Aby przyjemnie było o tém słyszéć;
Ani tak złego, aby się nie śmiało
O tém powiedzieć.

RYSZARD.

Jakaś łamigłówka!
Nic złego ani dobrego? Do licha!
Po co ci tyle mil robić na okół,
Gdy możesz prostą drogą rzecz wyłuszczyć?
Cóż tam? powtarzam.

STANLEJ.

Ryszmond jest na morzu.

RYSZARD.

Niech morze na nim będzie! Cóż zamierza
Ten awanturnik z bladém sercem?

STANLEJ.

Nie wiem,
Łaskawy panie, domyślam się tylko.

RYSZARD.

Jakiż Waszmości domysł?

STANLEJ.

Że z namowy
Dorseta, Bukinghama i Mortona,
Przybywa sięgnąć po koronę Anglii.

RYSZARD.

Czyż tron wakuje? miecz nie jest dzierżony?
Czy król zmarł? państwo zostaje bez steru?
Któryż z dziedziców Jorka, prócz mnie, żyje?

I któż jest królem Anglii, jak nie dziedzic
Wielkiego Jorka? Po cóż on przybywa?

STANLEJ.

Jeśli nie po to, to nie mogę dociec.

RYSZARD.

Nie możesz dociec, po co on przybywa,
Jeśli nie po to, aby wam panował?
Chcesz, widzę, podnieść bunt i przejść do niego?

STANLEJ.

Nie, miłościwy panie; nie wątp o mnie.

RYSZARD.

Gdzież jest twe wojsko, coby go odparło?
Gdzie są lennicy twoi i wazale?
Nie na zachodnim-że są teraz brzegu,
By buntownikom z okrętów dłoń podać?

STANLEJ.

Nie, mości królu: przyjaciele moi
W północnéj teraz znajdują się stronie.

RYSZARD.

Zimna ich przyjaźń dla mnie: co ich trzyma
W północnéj stronie, kiedyby powinni
W zachodniéj bronić sprawy swego króla?

STANLEJ.

Nie powołano ich do tego, panie.
Jeśli Waszego Majestatu wola,
To zbiorę moich przyjaciół i ściągnę
O takim czasie i na takie miejsce,
Gdzie raczysz Wasza Królewska Mość kazać.

RYSZARD.

Ejże, ty chciałbyś złączyć się z Ryszmondem;
Nie ufam tobie.

STANLEJ.

Potężny mój władzco,
Nie masz powodów wątpić o méj wierze:
Nie byłem nigdy i nie będę zdrajcą.

RYSZARD.

Idź więc, zbierz swoich ludzi; ale słuchaj:
Zostawisz w zakład Jerzego Stanleja,

Swojego syna; bacz na stałość w sercu,
Lub głowa jego nie będzie bezpieczną.

STANLEJ.

Postąp z nim, panie, wedle méj wierności.

(Wychodzi).

(Goniec wchodzi).

GONIEC.

Królu, przynoszę-ć wieść, że w hrabstwie Devon,
Jak mię życzliwi ludzie zapewnili,
Sir Edward Kortuej i jego brat starszy,
Ow dumny prałat, biskup Exeteru.
Z wielu innymi w związku, broń podnieśli.

(Drugi goniec wchodzi).

DRUGI GONIEC.

W Kent Gildfordowie podnieśli broń, królu;
Z każdą godziną przybywa powstańcom
Nowych posiłków i moc ich się zwiększa.

(Trzeci goniec wchodzi).

TRZECI GONIEC.

Panie, wielkiego Bukinghama wojsko—

RYSZARD.

Precz, sowy! samąż śmierć będziecie wieścić?

(Uderza gońca).

Oto zapłata za twoją nowinę.

TRZECI GONIEC.

Nowina, którą mam udzielić Waszéj
Królewskiéj Mości, jest ta a nie inna,
Że Bukinghama wojsko, skutkiem wielkich
Dżdżów i wylewu rzek, poszło w rozsypkę,
A on sam schronił się, nikt nie wié dokąd.

RYSZARD.

Wybacz mi; oto worek, przyjacielu,
Co cię uleczy z mego uderzenia.
Czy też kto z wiernych mi sług nie obwieścił
Nagrody temu, coby ujął zdrajcę?

TRZECI GONIEC.

Wydano, panie, takie obwieszczenie.

(Czwarty goniec wchodzi).

CZWARTY GONIEC.

Sir Tomasz Lowel, miłościwy królu,
I Markiz Dorset szerzą w Jorkszajr rokosz;
Ale przynoszę przytém na pociechę
Waszéj Królewskiéj Mości wieść następną:
Bretońską flotę rozproszyła burza;
Ryszmond łódź wysłał w Dorsetszajr do brzegu,
Dla zapytania tych, co na nim byli,
Czy z nim trzymają, czy nie: powiedzieli,
Że ich Bukingham przysłał mu na pomoc;
Ale on wiary nie dał; rozpiął żagle
I do Bretanii skierował się nazad.

RYSZARD.

Daléj! marsz! póki jesteśmy pod bronią;
Jeżeli nie dla starcia obcych wrogów,
To dla zgniecenia tych rokoszan w domu.

(Ketsby wchodzi).

KETSBY.

Książę Bukingham, panie, został wzięty;
To wieść najlepsza: ta, że hrabia Ryszmond
Z ogromną siłą wylądował w Milford,
Brzmi gorzéj, ale winna być wiadomą.

RYSZARD.

Do Salisbury! Podczas gdy tu gwarzym,
Mogłaby walna bitwa być stoczoną.
Niech z was kto księcia Bukingham powiedzie
Do Salisbury; inni pójdą ze mną.

(Wychodzi).

Scena piąta.

Pokój w domu Stanleja.

STANLEJ *i sir* KRZYSZTOFOR URSWIK.

STANLEJ.

Sir Krzysztoforze, powiédz Ryszmondowi,
Że w mateczniku krwiożerczego dzika
Siedzi zamknięty mój syn, Jerzy Stanlej;
Gdy broń podniosę, spadnie chłopcu głowa.

Ta-to obawa jeszcze mię wstrzymuje.
Ale gdzież teraz jest cny Ryszmond? powiédz.

URSWIK.

W Pembrok lub w Harford-West w Walii.

STANLEJ.

Któż z mężów
Głośnych imieniem trzyma jego stronę?

URSWIK.

Sir Walter Herbert, znakomity żołnierz;
Sir Gilbert Talbot i sir Wiliam Stanlej;
Oxford, sir Jakób Blunt i mężny Pembrok,
I Rajs ap Tomas z walecznemi roty,
I wielu innych cnych a sławnych mężów.
Na Londyn oni kierują swój pochód,
Jeśli nie będą zatrzymani w drodze.

STANLEJ.

Idź z Bogiem; poleć mię swojemu panu.
Królowa, powiédz mu, z sercaby rada
Dać mu za żonę swą córkę Elżbietę.
Bądź zdrów; o reszcie dowié się z tych listów.
(Oddaje mu papiery. Wychodzą).

AKT V.

Scena piérwsza.

Salisbury. Plac publiczny.

Szeryf wchodzi, a za nim BUKINGHAM *pod strażą, prowadzony na stracenie.*

BUKINGHAM.

Nie mogęż z królem Ryszardem pomówić?

SZERYF.

Nie, mości książę; znieś swój los z poddaniem.

BUKINGHAM.

Hastyngsie, dzieci Edwarda, Riversie,
Święty Henryku, z twym szlachetnym synem,
Vaughanie, Greju, wy wszyscy strąceni
Pokątném, niecném, zdradzieckiém bezprawiem,

Jeżeli wasze obrażone dusze
Na tę godzinę z pośrodka chmur patrzą,
Ukójcie zemstę szydząc z mojéj zguby!—
Czy to Zaduszny dziś dzień?

SZERYF.

Tak jest, panie.

BUKINGHAM.

Dzień więc Zaduszny jest dniem potępienia
Dla mego ciała; owym dniem, którego
Za życia króla Edwarda wzywałem
Na moją głowę, jeśli się okażę
Fałszywym względem krewnych jego żony
I względem jego dzieci; dniem zagłady,
Któréj wzywałem, aby mię spotkała,
Nie wiedząc, że mię spotka przez fałsz tego,
Któremu w życiu najwięcéj ufałem.
Ten dzień Zaduszny dla méj biédnéj duszy
Jest ostatecznym już terminem grzechów.
Wszystkowidzący Ten, z którym igrałem,
Zwrócił nieszczere me zaklęcie na mnie,
I dał naprawdę, o co-m prosił żartem.
Tak-to on miecze złych ludzi przymusza
Obracać ostrze w własną pierś ich panów.
Tak-to się spełnia klątwa Małgorzaty:
„*Kiedy ci serce rozedrze ten szatan*"—
Mówiła ona—„*wtedy pomyśl sobie,*
Że Małgorzata była dobrą wróżką."—
Idźmy; oddaję pod nóż moją szyję:
Niech krzywda krzywdę, zakał zakał zmyje!
(*Wychodzą*).

Scena druga.

Równina pod Tamwort.

Z chorągwiami, przy muzyce, wchodzą: RYSZMOND, OXFORD, *sir* JAKÓB BLUNT, *sir* WALTER HERBERT, *i inni; a za nimi wojsko.*

RYSZMOND.

Współtowarzysze broni, przyjaciele,
Ciężkim tyranii przygnieceni jarzmem,
Tak już daleko się posunęliśmy

W głąb kraju, żadnych nie spotkawszy przeszkód.
Ten dzik zuchwały, okrutny, łapczywy,
Co porył wasze winnice, zniweczył
Wasze zasiewy, co krew waszą chłepce
Jakby pomyje i z wnętrzności waszych
Koryto sobie robi; ten wieprz nędzny
W środkowym punkcie tej wyspy ma teraz
Swe legowisko, pod miastem Leicester.
Z Tamwort do tego miejsca jest dzień marszu.
Naprzód, waleczni bracia, w imię Boga!
Abyśmy owoc trwałego pokoju,
Z tej jednéj krwawéj zebrali przeprawy.

OXFORD.

Świadomość sprawy, za którą ma walczyć,
W sercu każdego stanie za sta mieczów,
Do potykania się z tym krwawym zabójcą.

HERBERT.

Stronnicy jego przejdą, ręczę, do nas.

BLUNT.

On ma stronników jedynie przez bojaźń;
I ci go rzucą w najcięższéj potrzebie.

RYSZMOND.

Wszystko nam sprzyja. Marsz więc, w imię Boże!
Nadzieja lot ma niczém niewstrzymany:
Król przez nią bóstwem, a królem poddany.

(Wychodzą wszyscy).

Scena trzecia.

Pola pod Boswort.

Król RYSZARD *wchodzi z wojskiem; książę* NORFOLK, *hrabia* SURREJ *i inni.*

RYSZARD.

Tu się rozłożym na Boswortskich polach.—
Milordzie Surrej, smutno coś wyglądasz?

SURREJ.

Serce me dwakroć weselsze niż mina.

RYSZARD.

Milordzie Norfolk!

NORFOLK.

Najjaśniejszy panie?

RYSZARD.

Ciepłoż nam tutaj będzie! co? nieprawdaż?

NORFOLK.

Obudwom stronom, miłościwy królu.

RYSZARD.

Rozbijcie mi tu namiot; tu noc spędzę.
(Żołnierze biorą się do rozbicia namiotu).
Ale gdzie ranek? Hm! nie myślmy o tém.—
Czy są wiadome siły buntowników?

NORFOLK.

Sześć ich, najwięcéj do siedmiu tysięcy.

RYSZARD.

Toż nasza armia w trójnasób liczniejsza:
A przytém imię króla jest warownią,
Na któréj zbywa naszym przeciwnikom.—
Rozbijcie namiot.—Pójdźcie, cni panowie;
Musim rozpoznać korzyść miejscowości.—
Wezwijcie ludzi doświadczonéj rady.
Baczmy na karność; nie szafujmy czasem,
Bo mamy walną robotę za pasem.
(Wychodzi z innymi).

(Z drugiéj strony pola wchodzą: Ryszmond, sir Wiliam Brandon, Oxford i inni dowódzcy. Kilku żołnierzy rozpina namiot Ryszmonda).

RYSZMOND.

Złociście zaszło utrudzone słońce;
Jasny ślad jego ognistego wozu
Dobry na jutro dzień nam zapowiada.—
Wy, sir Wiliamie Brandon, poniesiecie
Moją chorągiew.—Przygotujcie, proszę,
W moim namiocie papier i atrament:
Skreślę plan bitwy; każdemu z przywódzców
Ściśle oznaczę zakres jego działań,
I rozdział zrobię drobnéj naszéj siły.—
Milordzie Oxford, sir Wiliamie Brandon,
I wy podobnież, sir Walterze Herbert,
Pozostaniecie przy mnie. Hrabia Pembrok

Od swego pułku niech nie odstępuje.
Idź mu, rotmistrzu Blunt, zanieść dobranoc,
I proś go, aby o drugiéj nad ranem
Przyszedł pomówić ze mną w mym namiocie.—
Jeszcze mi jednę zrób rzecz, mój rotmistrzu:
Gdzie ma kwaterę lord Stanlej, czy nie wiesz?

BLUNT.

Jeśli-m chorągwie jego dobrze poznał,
(A pewny jestem, że nie jestem w błędzie),
To jego hufce stoją o pół mili
Ku południowi od głównych sił króla.

RYSZMOND.

Jeżeli będziesz mógł, kochany Bluncie,
Dokazać tego bez niebezpieczeństwa,
To się postaraj z nim widzieć bez zwłoki,
I wręcz mu ważny ten świstek odemnie.

BLUNT.

Dokonam tego, jak mi życie miłe;
Tymczasem życzę wam spokojnéj nocy.

RYSZMOND.

Dobranoc wzajem, kochany rotmistrzu.—
Pójdźcie, panowie; wejdźmy do namiotu:
Tam radzić będziem o jutrzejszéj sprawie.
Powietrze chłodne jest i przejmujące.
(Wchodzą do namiotu).
(Król Ryszard powraca, a z nim Norfolk, Ratklif i Ketsby).

RYSZARD.

Która godzina?

KETSBY.

Czas wieczerzy, panie:
Dziewiąta.

RYSZARD.

Nic jeść nie będę téj nocy.—
Dajcie mi atramentu i papieru.—
Jakże? czy szyszak mój lżejszy jest teraz
I uzbrojenie całe w pogotowiu?

KETSBY.

Tak, panie, wszystko leży w twym namiocie.

RYSZARD.

Milordzie Norfolk, idź na swą pozycyą,
Bądź czujny, rozstaw zaufane straże.

NORFOLK.

Dobrze, łaskawy panie.

RYSZARD.

Rusz się z miejsca
Równo z skowronkiem, kochany Norfolku.

NORFOLK.

Spuść się w tém wasza Królewska Mość na mnie.
(Wychodzi).

RYSZARD.

Ratklifie!

RATKLIF.

Jestem, miłościwy królu.

RYSZARD.

Poślij herolda do pułku Stanleja:
Niechaj przed wschodem słońca tu nadciągnie,
Inaczéj jego syn strącony będzie
W bezdenną otchłań wiekuistéj nocy.
Dajcie mi wina, i przynieście świecę.
Niechaj mój biały Surréj osiodłany
Będzie na jutro,—a drzewce méj lancy
Będzie hartowne i nie nazbyt ciężkie.
Ratklifie!

RATKLIF.

Jestem, panie.

RYSZARD.

Czy widziałeś
Tego tetryka, lorda Northumberland?

RATKLIF.

Widziałem, jak o zmroku z hrabią Surrej
Obchodził wojsko od hufca do hufca,
I ludzi naszych do męztwa zagrzewał.

RYSZARD.

To dobrze. Każ mi podać kubek wina.
Nie mam dziś jakoś téj rzeźkości ducha

Ani swobody umysłu, co zwykle.

(Przynoszą wino).

Postawcie. Jest tam atrament i papier?

RATKLIF.

Jest, panie.

RYSZARD.

Zaleć czujność mojéj straży.
Bądź zdrów, Ratklifie, około północy
Przyjdziesz do mego namiotu i zbroję
Wdziać mi pomożesz. Zostaw mię, powiadam.
(Oddala się do swego namiotu. Ratklif i Ketsby wychodzą).

(Namiot Ryszmonda otwiera się; widać go otoczonego oficerami i t. d.).

(Stanlej wchodzi).

STANLEJ.

Szczęście i tryumf niech ci hełm uwieńczy!

RYSZMOND.

Ile noc ciemna może przynieść pociech,
Tyle ich doznaj, zacny mój ojczymie!
Jak się ma, powiedz, droga nasza matka?

STANLEJ.

Błogosławieństwo ci przynoszę matki,
Która się modli wciąż za twą pomyślność.
Dość tego. Ciche godziny uchodzą,
I mrok strzępiasto łamie się na wschodzie.
Czas policzony; krótko ci więc powiem:
Równo za świtem gotuj się do boju,
I losy swoje powierz rozstrzygnieniu
Miecza i krwawym szalom wstępnéj bitwy:
Ja zaś, jak będę mógł (jak chcę nie mogę),
Użyję zręcznie pierwszéj sposobności,
By ci przyjść w pomoc w tém wątpliwém starciu;
Ale się kwapić z pomocą nie mogę.
Bo gdyby tego dostrzeżono, Jerzy,
Brat twój, zgładzony byłby w moich oczach.
Bądź zdrów. Brak czasu i groźny stan rzeczy
Tamują wylew serdecznych wynurzeń
I dłuższą słodkiej rozmowy zamianę,
Którejby po tak długiém rozłączeniu
Potrzebowali użyć przyjaciele.
Oby nam nieba dały czas swobodny
Do tych radosnych miłości obrzędów!
Jeszcze raz, bądź zdrów, mężny i szczęśliwy!

RYSZMOND.

Przeprowadźcie go, kochani lordowie,
Przez obóz. Ja się będę starał zasnąć,
By ołowiany sen nie gniótł mię jutro,
Gdy będę miał siąść na skrzydła zwycięztwa:
Dobranoc, jeszcze raz, mili lordowie.

(Lordowie i inni wychodzą z Stanlejem).

O ty, którego sprawy jestem wodzem,
Zwróć na żołnierzy twoich wzrok łaskawy!
Włóż im w dłoń straszny oręż twego gniewu,
By ciężkim jego ciosem zdruzgotali
Butne szyszaki naszych przeciwników!
Uczyń nas chłosty twéj wykonawcami,
By-śmy cię mogli sławić w twém zwycięztwie!
Tobie polecam władze duszy mojéj,
Nim okiennice zawrę moich oczu:
Czy śpię, czy czuwam, miéj mię w swéj opiece!

(Zasypia).

(Duch księcia Edwarda, syna Henryka szóstego, ukazuje się pomiędzy dwoma namiotami).

DUCH

(do Ryszarda).

Kamieniem jutro niech ciążę twéj duszy!
Przypomnij sobie, jak-eś mię w dni kwiecie
W Tewksbury zabił: zwątp przeto i umrzéj.

(Do Ryszmonda).

Śmiało, Ryszmondzie: pokrzywdzone dusze
Zgładzonych książąt walczyć za cię będą:
Króla Henryka syn krzepi twe męztwo.

(Duch króla Henryka szóstego ukazuje się).

DUCH

(do Ryszarda).

Gdym był śmiertelny, śmiertelnemi rany
Okryłeś moje namaszczone ciało.
Miéj w myśli Tower i mnie: zwątp i umrzéj!
Król Henryk szósty woła: zwątp i umrzéj!

(Do Ryszmonda).

Ty prawy, święty mężu, bądź zwycięzcą!
Henryk zwiastując ci, że będziesz królem,
Krzepi twe męztwo we śnie. Żyj i kwitnij!

(Duch Klarensa ukazuje się).

DUCH

(do Ryszarda).

Kamieniem jutro niech ciężę twéj duszy!
Ja, biedny Klarens, zdradzony przez ciebie,

I utopiony niegdyś w beczce wina.
Przypomnij sobie o mnie w czasie bitwy,
I miecz bezwładnie opuść! Zwątp i umrzéj!
(Do Ryszmonda).
Potomku domu Lankastrów: skrzywdzeni
Dziedzice Jorków modlą się za ciebie;
Niech cię Bóg wspiéra w boju! żyj i kwitnij!
(Duchy Riversa, Greja i Vaughana ukazują się).

RIVERS
(do Ryszarda).

Kamieniem jutro niech ciężę twéj duszy!
Ja Rivers zmarły w Pomfret. Zwątp i umrzéj!

GREJ
(do Ryszarda).

Pomnij o Greju i niech dusza twoja
Zwątpi na zawsze!

VAUGHAN
(do Ryszarda).

Pomnij o Vaughanie,
I zdjęty trwogą winowajcy, wypuść
Z zdrętwiałéj dłoni lancę! Zwątp i umrzéj!

WSZYSCY TRZEJ
(do Ryszmonda).

Zbudź się Ryszmondzie, i bądź przekonany,
Że krzywdy nasze walczyć za cię będą
W łonie Ryszarda. Zbudź się i tryumfuj!
(Duch Hastyngsa ukazuje się).

DUCH
(do Ryszarda).

Krwawy zbrodniarzu, zbudź się zbrodni świadom,
I skończ dni swoje pośród krwawéj bitwy!
Pomnij o lordzie Hastyngs. Zwątp i umrzéj!
(Do Ryszmonda).
Spokojnie śniąca duszo, zbudź się błogo!
Walcz i z pęt wyrwij Anglią naszą drogą!
(Duchy dwóch młodych królewiców ukazują się).

DUCHY
(do Ryszarda).

Śnij o synowcach twych zabitych w Towrze
Obyśmy byli w twém sercu ołowiem,
Co cię pociągnie w zgubę, śmierć i hańbę!
Bratanki twoje mówią-ć: Zwątp i umrzéj! —

(Do Ryszmonda).

Śpij zdrów, Ryszmondzie i zbudź się bez troski!
Niech cię od dzika chroni zastęp Boski!
Żyj i daj życie szczęsnym królom! Cienie
Dzieci Edwarda wróżą-ć powodzenie.

(Duch królowéj Anny ukazuje się).

DUCH
(do Ryszarda).

Ryszardzie, żona twa, ta biédna Anna,
Co chwili z tobą spokojnéj nie miała,
Przychodzi teraz niepokoić ciebie.
Przypomnij sobie o mnie jutro, w boju,
I miecz bezwładnie opuść. Zwątp i umrzéj!—

(Do Ryszmonda).

Spokojna duszo, śpij, śpij snem spokojnym!
Śnij o zwycięztwie! Żona twego wroga
Za twą pomyślność modli się do Boga.

(Duch Bukinghama ukazuje się).

DUCH
(do Ryszarda).

Ja-m pierwszy podał ci rękę do tronu
I ja-m ostatni doznał twéj tyranii.
O wspomnij w czasie bitwy Bukinghama
I bądź pokonan poczuciem twéj winy!
Śnij o morderczych czynach i zniszczeniu;
Zwątp w bezsilności i skonaj w zwątpieniu!—

(Do Ryszmonda).

Nim-em wsparł ciebie, za chęć śmierć poniosłem;
Lecz nie trać serca w twém zadaniu wzniosłem;
Bóg ci aniołów ześle do obrony,
A dumny Ryszard padnie w proch strącony.

(Duchy znikają; Ryszard zrywa się ze snu).

RYSZARD.

Innego konia!—Zawiążcie mi rany!—
Zmiłuj się, Jezu!—To nic; to sen tylko.—
Jakże mię dręczysz, tchórzliwe sumienie!—
Świeca błękitnie się pali (1);—To północ.—
Drżące me ciało zimny pot okrywa.
Siebież się lękam? Tu nie ma nikogo,

(1) Błękitny płomień świécy oznaczał miał według ówczesnego w Anglii przesądu, obecność złego ducha. Delius przytacza w dowód tego następujący wyimek z *Lyly's Galatea* (1592). *I thought there was some spirit in it, because it burnt so blue; for my mother would often tell me when the candle burnt blue, there was some ill spirit in the home.*

Oprócz mnie: Ryszard nie godzi w Ryszarda;
Ja-m wierny memu ja. Byłżeby tutaj
Jaki morderca? Nie;—tak: ja tu jestem.
A więc uciekaj!—Przed kim mam uciekać?
Przed samym sobą?—Jest racya:—dlaczego?
Abym się zemścił. Jakto? sam na sobie?
Wszakże ja siebie kocham. Kocham? za co?
Cóżem ja sobie dobrego uczynił?
O nie! ach! ja się raczéj nienawidzę,
Za nienawistne czyny, które-m spełnił.
Jestem łotr. Kłamię; nie jestem nim. Głupcze,
Nie gań się:—głupcze, nie pochlebiaj sobie.
Sumienie moje ma tysiąc języków,
A każdy język czyni inny zarzut,
A każdy zarzut lży mi nazwą łotra.
Krzywoprzysięzki fałsz w najwyższym stopniu;
Niemiłosierny mord w najsroższym stopniu;
Wszelki grzech w wszelkim stopniu popełniony
Dąży przed straszne kratki trybunału,
Wołając: winny! winny!—Ha! to rozpacz!—
Niéma istoty, coby mię kochała;
A gdybym umarł, niktby się nademną
Nie ulitował:—któż się ma zlitować?
Gdy sam nie czuję nad sobą litości.
Zdawało mi się, że duchy tych, których
Pomordowałem, do mego namiotu
Zeszły się tłumem, i każdy z nich wzywał
Na jutro zemsty na głowę Ryszarda.

(Ratklif wchodzi).

RATKLIF.

Panie,—

RYSZARD.

Kto tu jest?

RATKLIF.

To ja, Ratklif, panie.
Wczesny kur we wsi dwukrotném już pianiem
Powitał ranek; przyjaciele twoi
Są już na nogach i wdziewają zbroje.

RYSZARD.

O mój Ratklifie, okropny sen miałem.—
Jak myślisz? czy nam nasi wierni będą?

RATKLIF.

Nie wątpię o tém, panie.

RYSZARD.

O Ratklifie!
Lękam się, lękam—

RATKLIF.

Miłościwy panie,
Nie trwoż się cieniem.

RYSZARD.

Na świętego Pawła!
Cienie téj nocy przeraziły bardziéj
Duszę Ryszarda, niżby zdołał zastęp
Szczerych dziesięciu tysięcy żołnierzy,
Kutych w żelazo, pod wodzą Ryszmonda.
Jeszcze nie dnieje. Pójdź; pod namiotami
Naszych dowódzców podsłuchiwać będziem,
Czy z nich nie myśli który mię odstąpić.
(*Wychodzi z Ratklifem*).
(*Ryszmond budzi się; Oxford i inni wchodzą*).

LORDOWIE.

Ryszmondzie, dobry dzień!

RYSZMOND.

Wybaczcie, proszę,
Moi panowie czujni i gorliwi,
Że zastajecie tu gnuśnego śpiocha.

LORDOWIE.

Czy dobrze spałeś, milordzie?

RYSZMOND.

Najlepszy,
Najprzyjemniejszy sen miałem, panowie;
Słodsze marzenia pewnie jeszcze nigdy
Nie kołysały ociężałéj głowy.
Zdawało mi się, że przyjazne dusze
Tych, których ciała Ryszard zamordował,
Zeszły się razem do mego namiotu,
I jednozgodnie wołały: zwycięztwo!
Zaprawdę, dziwną czuję w sobie rzeskość,
Rozpamiętując ten sen tak uroczy.
Która godzina?

LORDOWIE.

Wkrótce będzie czwarta.

RYSZMOND.

Czas więc uzbroić się i uszykować.—
(*Postępuje naprzód ku swym wojskom*).
Więcéj powiedzieć nad to, co już pierwéj
Wam powiedziałem, drodzy współrodacy,
Brak czasu i stan rzeczy nie pozwala;
Zapiszcie sobie wszakże to w pamięci,
Że Bóg i dobra walczy z nami sprawa.
Modlitwy świętych, duchy pokrzywdzonych
Stoją przed nami, jak szańce wysokie.
Ci, przeciw którym walczym, prócz Ryszarda,
Nasby woleli widzieć zwycięzcami,
Niż tego, komu służą; bo i któż jest
Ten, komu służą? zaprawdę, panowie,
Krwawy ciemięzca i srogi morderca;
Krwią wyniesiony i krwią utwierdzony;
Co kręto przyszedł do tego, co posiadł,
I tych, co k'temu dopomogli, zgładził;
Nikczemny kamień, który się stał drogim,
Przez poniżenie angielskiego tronu,
Tém, że szalbiersko weń wprawiony został;
Zapamiętały nieprzyjaciel Boga.
Jeżeli przeto będziecie walczyli
Z nieprzyjacielem Boga, Bóg was za to
Strzedz będzie, jako wojowników swoich;
Jeżeli szczędzić nie będziecie potu
Do powalenia tyrana, będziecie
Spokojnie spali, skoro tyran legnie;
Jeżeli walczyć będziecie z wrogami
Ojczyzny waszéj, dobry byt ojczyzny
Hojnie wam wasze wynagrodzi trudy;
Jeżeii walczyć będzie w obronie
Waszych żon, żony za powrotem z boju,
Radośnie przyjmą was jako zwycięzców;
Jeżeli dzieci wasze wyzwolicie
Z pod noża, to się dzieci waszych dzieci
W starości waszéj za to wam wywdzięczą.
W imię więc Boga i tych praw, rozwińcie
Wasze sztandary i dobądźcie miecze!
W razie przegranéj, haraczem z méj strony
Będzie mój zimny trup na zimnéj ziemi;
Ale jeżeli nam Pan Bóg poszczęści,
Cząstkę korzyści tego przedsięwzięcia
Najpośledniejszy z was otrzyma w dziale.
Zadmijcie w trąby i uderzcie w bębny!

Hasłem niech będzie, krzepiącém w was męztwo:
Bóg, święty Jerzy, Ryszmond i zwycięztwo!
(Wychodzą wszyscy).
(Ryszard i Ratklif wchodzą z orszakiem i wojskiem).

RYSZARD.

Co Northumberland mówił o Ryszmondzie?

RATKLIF.

Że on w wojennéj sztuce nie ćwiczony.

RYSZARD.

Prawdę powiedział. Cóż Surrej rzekł na to?

RATKLIF.

Uśmiechnął się i rzekł: tém lepiéj dla nas.

RYSZARD.

Miał słuszność, tak też jest w saméj istocie. *(Zegar bije).*
Która to bije?—Dajcie mi kalendarz.
Kto z was dziś widział słońce?

RATKLIF.

Ja-m nie widział.

RYSZARD.

Więc się ukazać nie chce; podług książki
Powinnoby już od godziny jaśnieć.
Zły-to dzień będzie dla kogoś.—Ratklifie!

RATKLIF.

Co, panie?

RYSZARD.

Słońce nie chce dziś zaświecić;
Niebo ponuro sklepi się nad nami.
Radbym usunąć z ziemi te łzy rosy.—
Nie świecić dzisiaj właśnie! Ale cóżto
Ma mnie obchodzić bardziéj niż Ryszmonda?
Toż samo niebo, co się tak zasępia
Nad moją głową, chmurzy się i nad nim.
(Norfolk wchodzi).

NORFOLK.

Do broni, panie! wróg już hula w polu.

RYSZARD.

Héj! żywo! żywo!—Kulbaczyć mi konia!—
Wezwać Stanleja, by pułk swój sprowadził!—

Powiodę moje wojska na równinę,
I w taki sposób uczynię ich rozdział:
Przednia straż będzie rozciągniętą w podłuż,
Zarówno z jezdnych jak z pieszych złożona;
Łucznicy będą umieszczeni w środku.
Jan, książę Norfolk, Tomasz, hrabia Surrej,
Dowodzić będą jazdą i piechotą.
Skoro pozycye zajmą, my za nimi
Staniemy z głównym korpusem, wzmocnionym
Dwoma skrzydłami wyborowéj jazdy.
To, i nasz święty Jerzy na dobitkę,
Rękojmią naszą.—Cóż myślisz, Norfolku?

NORFOLK.

Dobry plan, godny króla wojownika.—
Znalazłem to dziś z rana w mym namiocie.
(Podaje świstek).

RYSZARD
(czyta).

„Jasiu Norfolk, Ryś, twój pan,
Zdradzon jest i zaprzedan".

To rzecz zmyślona przez nieprzyjaciela.—
Daléj, panowie! na swe miejsce każdy!
Niech nas brodzące sny nie zatrważają!
Sumienie tchórzów tylko jest wyrazem,
Na powściąg możnych wymyślonym z razu:
Naszém sumieniem ramię, a miecz prawem.
Naprzód! marsz! idźmy, połączywszy dłonie,
W podwoje nieba, albo w piekieł tonie!—
(Do wojska).
Cóż wam do tego dodam, co-m już wyrzekł?
Pomnijcie na to, z kim się macie zmierzyć:
Łotrów-to zgraja, tułaczy, włóczęgów,
Auszus Bretonów i nikczemnych chłopów,
Których wypluwa ich kraj przesycony,
Na głupi hazard i pewną zagładę.
Mieliście spokój, oni go wam wichrzą;
Macie dostatnie grunta, piękne żony:
Oni chcą tamte obciąć, te znieważyć.
Któż im przywodzi? Oto jeden hołysz,
Co był w Bretanii przez długi ciąg czasu
Utrzymywany kosztem mojéj matki;
Papinka, który, odkąd żyje, nigdy
Nie zalazł głębiéj w śnieg jak po trzewiki.
Wyżeńcie nazad za morze tę szuję,
Zarozumiałą tę hołotę z Francyi,
Tych głodnych, życiem znudzonych żebraków,

Tych biédnych szczurów, coby się już byli
Dla braku kęsa w gębie powiesili,
Gdyby nie glupie widmo téj wyprawy.
Jeżeli mamy zostać pobitymi,
To niech przynajmniéj pobiją nas ludzie,
A nie bretańskie te bękarty, których
Ojcowie nasi na ich własnéj ziemi
Potłukli nieraz i wytuzowali,
I dokumentnie naznaczyli hańbą.
Oniż posiadać mają nasze ziemie,
Bezcześcić żony, uwodzić nam córki?—
(Odgłos trąb w dali).
Słyszycie odgłos ich trąb? Walczcie mężni
Synowie Anglii, walczcie, cni ziemianie!
Prężcie, łucznicy, łuki aż do głowy!
Bodźcie rumaki wasze, brodźcie we krwi,
Trzaskami lanc swych zatrwożcie firmament!
(Posłaniec wchodzi).
I cóż lord Stanlej? Czy przywiódł swe hufce?

POSŁANIEC.

Lord Stanlej nie chce przyjść, łaskawy panie.

RYSZARD.

Niech spadnie głowa jego syna!

NORFOLK.

Królu,
Już nieprzyjaciel przeszedł bagna; pozwól,
By Jerzy Stanlej zginął aż po bitwie.

RYSZARD.

Tysiąc serc czuję rosnących w mém łonie.
Chorągwie naprzód! uderzcie na wroga!
Niech stare nasze hasło, święty Jerzy,
Ognistych smoków wściekłością nas natchnie!
Za mną, synowie Anglii, do ataku!
Zwycięztwo siedzi na naszym szyszaku.
(Wychodzą).

Scena czwarta.

Inna część pola.

Wojenna wrzawa. Utarczki. NORFOLK *wchodzi z wojskiem; ku niemu nadbiega Ketsby.*

KETSBY.

Milordzie Norfolk, na pomoc! na pomoc!
Król dokazuje cudów waleczności,
I kogo spotka, z tym na śmierć bój stacza.
Straciwszy konia pieszo walczy teraz,
Sledząc Ryszmonda w groźnéj paszczy śmierci.
Na pomoc! albo jesteśmy zgubieni.
(Wrzawa. Ryszard wchodzi).

RYSZARD.

Konia! hej! konia! królestwo za konia!

KETSBY.

Schroń się gdzie, panie, a przywiodę-ć konia.

RYSZARD.

Nędzny! Stawilem na los moje życie,
I czekać będę jaka mi kość padnie.
Chyba tu sześciu Ryszmondów jest w polu;
Pięciu-m już zabił zamiast prawdziwego.
Konia! hej! konia! królestwo za konia!
(Wychodzi ze swymi).
(Wrzawa. Ryszard i Ryszmond wchodzą i walcząc przechodzą przez scenę. Odwrót przy odgłosie trąb. Poczém wchodzi Ryszmond, Stanlej z koroną w ręku, wielu innych lordów i wojsko).

RYSZMOND.

Bogu i waszéj waleczności chwała!
Zwycięzcy moi towarzysze broni!
Plac boju przy nas i krwawy herszt zginął.

STANLEJ.

Mężny Ryszmondzie, dobrze-ś się wywiązał.
Patrz, przywłaszczony ten królewski klejnot
Zerwałem z martwéj nikczemnika skroni,
Aby nim twoje czoło przyozdobić.
Noś go, używaj i zdziałaj z nim wiele.

RYSZMOND.

Bóg w niebie na to niech odpowie, amen.—
Ale czy żyje młody Jerzy, powiédz?

STANLEJ.

Żyje, milordzie, bezpieczny i cały,
W mieście Leicester, dokąd, jeśli wola
Waszéj miłości, możem i my ściągnąć.

RYSZMOND.

Kto ze starszyzny padł po obu stronach?

STANLEJ.

Jan, książę Norfolk, Robert Brakenbury,
Walter lord Ferrers i sir Wiliam Brandon.

RYSZMOND.

Pogrzebcie zwłoki ich wedle ich stopnia.
Ogłoście nasze przebaczenie zbiegom,
Którzy z poddaniem zechcą do nas wrócić;
A potém, zgodnie z uczynionym ślubem,
Gwoli którego wzięliśmy sakrament,
Zjednoczym białą i czerwoną Różę.
Niebo oddawna gniewne za ich rozdział,
Z uśmiechem patrzéć będzie na ten sojusz.
Zdrajca, kto słysząc to nie powié, amen.
Anglia oddawna była w obłąkaniu
I własne swoje szarpała wnętrzności;
Brat zaślepiony, przelewał krew brata;
Ojciec, w zapędzie, przecinał dni syna;
Syn, przymuszony, bywał katem ojca;
Cały zwaśniony ten Jork i Lankaster
Waśnił się z sobą w zobopólnej waśni.—
O, niechże teraz Ryszmond i Elżbieta,
Prawe odrosle tych królewskich domów,
Złączą je, łącząc się za sprawą Boga!
Niech ich następcy (jeśli tych Bóg zdarzy),
Błogim zbogacą przyszły czas pokojem,
Wspaniałym plonem i dniami pięknemi!
Stęp ostrze zdrajców, miłosierny Panie,
Którzyby chcieli te łzy i krwi strugi
Nieszczęsnéj Anglii wrócić po raz drugi!
Nie daj owoców na téj ziemi zbierać
Tym, coby chcieli znów jéj pierś rozdzierać!
Dziś pokój wraca, zgody świecą zorze:
By długo trwały, powiédz amen, Boże!

LITERATURA WŁOSKA.

RZUT OKA NA OBECNE PIŚMIENNICTWO.

II.

Guerrazi.— Poezya i polityka. — Przedmowa do Beatrice Cenci. — Włoski Lamartine.—Giusti.—Dowcip transalpejski.—Leopardi.—Włoski splen. — Choroby sercowe.

Guerrazi wśród plejady nowych autorów, sili się zająć osobne stanowisko, ale napróżno: związany jest z nią bardziej, niż to na piérwszy rzut oka zdawać się może. Wady jego są wadami całej szkoły włoskiéj; tylko ten gorączkowy umysł, podniósł je do tak olbrzymiéj potęgi, że jak Don-Kiszot zadał cios śmiertelny błędnemu rycerstwu, tak one powinny były zabić, uśmierzając wszystkie niby historyczne powieści zaalpejskie. Tylko to, co genialny Cervantes pisał umyślnie, u Guerrazego jest przypadkowe i bezświadome. Postacie napuszone, à la Don-Kiszot, jakie napełniają jego powieści, byłyby niewypowiedzianie śmiesznemi, brane tak na seryo przez autora, gdyby śmiechu na ustach nie mroziły tortury, krew, śmierci, zbrodnie niesłychane i wszystkie okropności moralne i fizyczne, na jakie tylko wyobraźnia ludzka zdobyć się może, a które przepełniają jego utwory. Guerrazi przedewszystkiém chce robić wrażenie, dlatego nie cofa się przed żadnym obrazem, dobiera najjaskrawszych tonów, zapominając o téj artystycznéj prawdzie, że najdoskonalsze wrażenie otrzymuje się harmonią. Zdawać się może doprawdy, iż to słowo nawet z brzmienia

znaném mu nie jest. Postaci, które wprowadza do powieści swoich, trudno nawet rozbierać na seryo, bo jeśliśmy znajdowali, że brak całéj szkole włoskich romanso-pisarzy natury i prawdy, cóż o nich powiedzieć można? Nie są to już nawet kształty ludzkie; archanioł wydałby się czarnym jeszcze, przy jego bohaterkach, a sam szatan czystym i jasnym, przy potworach, na których oddanie sadzi się jego pióro. Nigdy szalona literatura francuzka nie wydała dzieł podobnych, nawet tajemnice Paryża i Żydzi tułacze są powieściami *à l'eau de rose* w porównaniu z jego Beatrice Cenci. Okropności te rażą témbardziéj, przy klassycznéj formie historycznego romansu, z któréj autor wyłamać się nie mógł. Jednak w tym całym chaosie zbrodni, brudów, szczegółów oburzających i świateł brylantowych, przebija jeszcze prawdziwy talent. Gdyby Guerrazzi był naturalnym, gdyby nie dociągał do potwornych ideałów i nie paczył swoich utworów celami politycznemi, które z niemi najmniejszego związku nie mają, talent jego mógłby być znakomitym, ale na innéj drodze. Celów swoich nie dochodzi on wcale środkami, jakich używa; idee swoje wciela on nie w postacie powieściowe ale w wypadki, i dlatego tracą one zupełnie przekonywającą siłę. Jeżeli autor chce przemówić do czytelników i wpływ na nich wywrzeć, powinien idee te w życie wprowadzić, i nadać im ruch samoistny, tak, by chodziły o własnéj sile, a jego zakrywały zupełnie; ale kiedy on sam ciągle za nich i nad niemi przemawia, nie starając się nawet zmienić głosu, maryonetki te są maryonetkami tylko, i nie mogą budzić ani zajęcia ani współczucia. Wolelibyśmy czytać wprost wyznanie wiary Guerrazi'ego, i gorące powstanie przeciw niesprawiedliwościom, jakie dzieją się w jego ojczyźnie, niż czytać je przeplatane wypadkami niepodobnemi do prawdy, lub bredniami podobnemi tym, jakie przepełniają Beatrice Cenci, Izabellę Orsini, lub ostatni a najlepszy utwór jego Assedio di Firenze (oblężenie Florencyi). Cóż mówić naprzykład o owym sędziu w Beatrice, który tak się przyzwyczaił skazywać na karę śmierci, że oddalony od urzędu, w braku delikwentów powiesił ulubionego psa, kotka, potém żonę, a w końcu, gdy innéj ofiary zrobić nie mógł, i samego siebie. Trudno doprawdy pojąć, czy to ma być

wybryk dowcipu, czy krytyka sądownictwa; jako krytyka, fakt podobny nic zgoła nie dowodzi, a cały ton książki zbyt jest urzędownie patetyczny, by ją można o dowcip posądzić. Może to ma być jaka karykatura, któréj pierwowzór istnieje we Florencyi; ale dla nas profanów, są to rzeczy niewiadome: a typy nie mające ogólnéj prawdy, choćby i były prawdziwe, niepowinny być do powieści wprowadzane; tak samo jak monstrualności ciała nie mogą być za modele do obrazu użyte.

Przeszedł już czas, gdy wierzono, że moralność książki stanowi w końcu ukaranie zbrodni, a nagrodzenie cnoty: zdrowy sens ogółu zrozumiał prędko, że podobne zakończenia są tylko westchnieniem autora za sprawiedliwością, które mu zapewne policzone będzie w niebie, lecz nie wpłynie bynajmniéj na bieg rzeczy ziemskich. Sprawiedliwość i moralność, wyższemi są nad rozwiązania powieściowe: i gdyby jeszcze podobne rzeczy brać można na seryo, dodalibyśmy, że podobny rodzaj moralności, jest czysto pogański i zmysłowy, przeciw któremu mówi tysiące doświadczeń i prosty rzut oka na świat otaczający; a prawdy nigdy paczyć się nie godzi, jaką bądź ona jest, śmiało mierzyć się z nią trzeba, inaczéj podobni będziemy do tych dzieci, co zamykają oczy, by niewidzieć ciemności i rozbijają się na wszystkie strony, i zostaniemy na zawsze bezsilni do walk i prób rzeczywistego życia.

Guerrazi wziął tę rzecz zupełnie z przeciwnego stanowiska: u niego znowu zbrodnia musi być zawsze tryumfującą, a cnota kamienowaną, dla pokazania niesprawiedliwości sądów ludzkich. Co prawda, ten sposób widzenia rzeczy, zgadza się więcej z realnością, a nawet i z tradycyą chrześciańską, z historyą świętych i męczenników, ale niemniéj także nie dowodzi niczego: jestto zdanie osobiste Guerrazi'ego i nic więcéj, bo znać wyraźnie, iż podobne rozwiązanie nie wypływa ani z charakteru osób działających, ani z konieczności ich położenia, ale po prostu z woli maszynisty, kierującego temi maryonetkami bez krwi i ciała, który a priori tak postanowił i skazał ich na okrutne losy, by potém płakać nad niemi do woli.

Odrzuciwszy dopiéro figury i intrygi powieściowe z dzieł jego, można osądzić prawdziwą ich wartość. Znaj-

dziemy tam ustępy śliczne, myśli ogniste i wzniosłe, wypowiedziane z wiarą, językiem jędrnym i poprawnym. Tylko te błyski autorskiego talentu, przygłusza i karci w tejże chwili, człowiek polityczny, a raczéj jak lepiéj mówią Francuzi: *l'homme de parti*, bo tym zawsze i wszędzie jest Guerrazzi. Paradoksa rozrzucone po jego romansach, tak nowe dla tradycyjnéj Italii, przebiegły ją, powtarzane półgłosem, budząc zachwyt lub zgrozę, a zawsze podziwienie. Naprzykład w Assedio di Firenze rzuca on następne pytania: „Jeśli Bóg jest wszechmocnym, dlaczego ludzi nie utworzył doskonałemi? Jeśli śmierć jest złém, dlaczego ją na nas dopuścił, jeśli przeciwnie jest ona dobrém, dlaczego żyć nam kazał?“ W inném znowu miejscu dowodzi autor, iż daleko lepiéj jest źle czynić, niż nie robić nic złego. Trzeba znać usposobienie Włoch, by pojąć wrażenie, jakie tam robią podobne słowa, drukowane prozą, rozbierane i przeprowadzone w polemice namiętnéj. Dotąd jeżeli poeta rzucał słowa zwątpienia, jeżeli nieszczęśliwy kochanek bluźnił w chwili rozpaczy, uchodziło to jako licencya poetyczna; ale myśli podobne rzucone z krwią zimną, bez innéj pobudki jak rzut oka na świat otaczający, była to herezya niesłychana przeciw wszystkim przyjętym obyczajom pisarskim. Dlatego też ludzie, którzy te same zapytania rzucali myślą tylko, lub cichém słowem, ogłosili bez wahania Guerrazzego za nowatora i w tym charakterze budzi on dzisiaj tyle walk, ma tylu seidów i zaciętych przeciwników. Tymczasem co do formy trzyma się on ściśle tradycyi: jestto jeden jeszcze nowator więcéj przeczuciem, jak faktem. Najwybitniejszém jego dziełem, tojest tém, w które się najsilniéj wcieliła indywidualność autora, jest niezawodnie Beatrice Cenci. Czy dlatego, że ten stek opylonych zbrodni bezkarnie dotykać się nie daje, bo już Shelléj w dramacie swoim „*The Cenci.*“ wpadł w usterki, które zarzucamy autorowi włoskiemu; czy że ten przedmiot passował do jego usposobienia, czy też położenie, w jakiém się znajdował wówczas, roznamiętniło go bardziéj jeszcze; zaczął on bowiem i skończył tę powieść „w więzieniu nieskończenie gorzkiém“ jak się sam wyraża w ciekawéj przedmowie. W niéj to odkrywa się nam i przechwala naiwnie ten człowiek z olbrzymią miłością własną, w niéj pokazuje, jakiém

nieskończonem uwielbieniem przejęty jest dla samego siebie. Podajemy tutaj część téj przedmowy, bo inaczéj niepodobna sobie wyobrazić stylu Guerrazzego, stylu gwałtownego, ostrego, urywanego a zawsze deklamatorskiego, charakteryzującego doskonale autora....

„Zapewne jestto historya okropnych zbrodni (tak mówi o książce swojéj), przecież dziewice mego kraju czytać ją będą, przeszyje ona ich miękkie serca jak ostry oręż, a przecież czytać ją będą i ofiarują tobie (Beatrici Cenci), jedno to, co zdradzonym dać można: łzy!

„I dlaczegóżby téj książki czytać nie miały? czy dlatego, iż opowiada o zbrodniach i cierpieniach? tkanina życia składa się z żelaznych nici, a cnota tli blado jak zapalona pochodnia, rzucona w głębią otchłani. Nauczcież się przyjmować nieszczęście z wesołém czołem, bo długo jeszcze ono zasiadać będzie nie proszone przy ucztach waszych i wino wasze zaprawi łzami. Godzi się teraz wylewać łzy i krew, bo kwiat swobody karmi się tylko taką rosą. Cnota w walce ze złym losem, mówił Sokrates, jestto widok godny bogów. Tak musi być w istocie, kiedy dotąd nasycić nim nie mogą nieśmiertelnych oczów. Pisząc to, płaczę więcéj nad tobą, (zawsze Beatrice) niż nad sobą. Bo wychowanemu w szkole cierpień, świętemi są cierpiący. Losy od urodzenia spowiły mnie nieszczęściem, jak dziecię pieluchami. Nieszczęście wykarmiło mnie gorzkiem swém mlekiem, ale ono także nauczyło mnie stałości...

„Przy zachodzie słońca ludzie niektórzy spostrzegli cień własny i widząc jak on jest długi, sądzili się wielkimi. Szczęśliwi, gdyby byli skonali o północy. Przecież los nie bez przyczyny zachował ich przy życiu, przykład ich nauczył, iż tysiąc ludzi małych, zestawionych razem, nie uczyni jeszcze wielkiego człowieka, a tém mniéj człowieka z sercem wielkiém.

O! Apolliny z gipsu puste wewnątrz; upodleni, nikczemni; kłamliwe postacie Boga! gdyby wykopano w Alexandryi posąg słońca, znaleziono w głowie jego pełno pajęczyn; co znajdą w głowach waszych, tego nie wiem, ale wiem, że serca wasze są gniazdami żmii!

„Ręce są Ezawa, mówił Izaak, ale głos Jakóba; u was ręce, głos i duch wszystko podobne jest do Augustula, bo

niemoc łączy się doskonale z okrucieństwem. Judasze bez wyrzutów sumienia, Klaudyusze bez państwa, uchodźcie z myśli mojéj na zawsze.“

„Boli mnie ta myśl jedna, że złe nasienie prędzéj lub później wyda owoc niegodziwy. O Stworzycielu, Ty, coś nauczał, że owoc dobry z grobów nie pochodzi, zapomnij o nich; błagam Cię w dniu zemsty Twojéj!“

„Przyjdzie dzień, przyjdzie niezawodnie, w którym ziomkowie moi, dadzą grób spokojny obok ojcowskich prochów, tym kościom moim zmęczonym. Tam, na téj górze, gdziem się urodził, niech mój grobowiec stanie, niech wam się on wydaje ręką wyciągniętą do błogosławieństwa. Pragnę pamięci i żalu waszego po śmierci, bom was ukochał od dnia, w którym oczy moje otworzyły się światłu. A gdy przyprowadzicie dzieci wasze do świątyni Najświętszéj Panny, mówcie im, pokazując mój kamień grobowy:“

„Tu spoczywa człowiek, któremu los był przeciwny, od chwili, gdy zlano wody chrztu na głowę jego. Życie było mu ciężką walką, ale walka z losem podobna jest do walki Jakóba z aniołem: wyszedł z niéj złamany, ale nie zwyciężony. Cierpiał, pracował jedynie dla dobra ojczyzny. Przyjaciołmi nie byli mu ani lud, ani książęta; wszyscy bili przeciwko niemu: ze stron wszystkich wymierzono na niego ostre strzały. Część życia zmarnował w więzach, część na wygnaniu. Jako więzień rozmyślał i pisał, wolny pracował nad dobrem ogólném a szczególniéj nad dobrem nieprzyjaciół i współzawodników swoich. Napróżno niewdzięczność siliła się zatruć mu ducha zawiścią. Wody cierpienia zmywały mu gorycz z serca. Mając władzę w ręku, umiał pokazać, że zemsta jest namiętnością dusz pospolitych, umiał nietylko przebaczać, ale i zapominać!“

„Miecz sprawiedliwości powierzony dłoni jego, nigdy się w niéj nie zmienił w sztylet zabójczy. Gdy inaczéj nie mógł uczynić, własną piersią osłaniał tych nawet, którzy dawniéj i teraz byli mu nieprzyjaciołmi. Lud dnia jednego, złamał go jak dziecinną zabawkę. Możni rzucali go tłumowi rozszalałemu jak niewolnika w arenę na pożarcie dzikim zwierzętom. Zbolały do głębi ducha, padł w końcu na kupę gruzów zniszczonych nadziei. A ręce jego już

lodem śmierci dotknięte, kreśliły jeszcze na téj ziemi zbolałéj jako ostatnią myśl życia te słowa. „Cnota, Swoboda!“

Nie wiemy, o ile autor zasługiwał na podobne pochwały; rozczulającemiby one były w innych ustach, wyrzeczone dajmy na to nad grobem jego; tymczasem nasz autor żyje, pisze i deklamuje ciągle o sobie, w całéj pełni czerstwości i zdrowia. Przyznać jednak należy, że w tym urywku maluje się on cały. Są tu słowa głęboko uczute, wybuchy wzniosłe, natłok obrazów ognistych i myśli; szkoda, że te zalety psuje napuszoność, a nadewszystko śmieszne ubóstwienie siebie. Położenie, w jakiém się wówczas znajdował, rola odegrana w wypadkach krajowych, zapał niezgasły jeszcze, wywołany jego imieniem, umniejszają wprawdzie te wady; cóż albowiem dziwnego, że Guerrazzi zainteresował się sobą jako bardzo dramatyczną figurą, gdy zajmowała się nim cała europejska prassa; miłość własna połączyła się tu z imaginacyą poetyczną, by wyidealizować go we własnych oczach; zawsze jednak panegiryki pisane samemu sobie, choć daleko skromniejsze i krótsze niż te, którym tomy poświęcił Lamartine et Comp. mają w sobie coś oburzającego, jeśli nie sumienie, to smak dobry; ale smakiem, jak wiemy, nie celował nigdy Guerrazi.

Te same wady napotykać się dają we wszystkich dziełach jego: nie ustrzegł ich się nawet w pisemku niby humorystycznem, wychodzącém w Genui pod tytułem: *Asino* (Osioł). Jestto wadą wspólną wielu autorom i znakomitym ludziom, iż mając pretensye do zalet, których nie posiadają wcale, lekceważą te, które im są właściwe. Guerrazzi wyraźnie choruje na dowcip, rzecz od niego najdaléj będącą. Trudno wyobrazić sobie coś niesmaczniejszego, jak to pisemko, siląće się koniecznie na dowcip, a ciężko sentencyonalne, którego koncepta nie zrozumiałe i napuszone, szukając lekkości, wpadają w grubiaństwo.

W ogóle dowcip mało to aklimatyzowana roślina w literaturze włoskiéj, nie straciła ona dotąd kapłańskiego charakteru, nie śmie zstąpić do śmiechu. Rany Włoch są nazbyt krwawe, zapał zbyt szczery, położenie zbyt naciągnięte, a ludzie nazbyt namiętni. Satyra prędzéj niż lekki dowcip zrodzić się może. Jedyny może wyjątek stanowi tutaj Giusti, a jednak i jego poezye więcéj są ironiczne, niż

dowcipne i on sam tłumaczy się z tego niejako w przedmowie do piątego wydania dzieł swoich, w 1848 roku, w ten sposób:

„Sądzę, iż kiedy pisałem te wiersze, trzeba je było tak pisać; dziś przyznaję, że świat i ludzie polepszyli się wkoło mnie. Nienawiści nie czułem nigdy do nikogo, dlaczegoż więc miałbym napróżno się zżymać i biczować daléj tych, co się już poprawili? Prawda, że jeśli minęły wady i błędy przeszłe, zastąpiły je znowu inne. Ale ja szczęśliwy, że widzę już otwartą drogę doskonalenia: nie mam już serca ich chłostać i wraz z moim krajem odmłodzonym, i ja także powracam do snów i wiary dni młodzieńczych.“

Jedną z zalet Giustego, piętnującą prawie wszystkie jego utwory, jest porywająca werwa. Łamie ona z niepohamowaną siłą pierwszego rzutu, wszelkie zapory języka i konwencye. Poezya jego, zamiast miarowych, poważnych wierszy, przybiera zwroty ludowych piosnek, giętka i lekka, umie szydzić, płakać i śmiać się zarazem. Pod tym względem uważany Giusti, ma ważność niesłychaną i mieć ją będzie w historyi literatury włoskiéj; on pierwszy zrobił wyłom w olimpijskim parnasie i wprowadził do niéj całą rzeszę słów i zwrotów codziennych. Piosnki jego są lekkie, iskrzące, tryskają życiem. Umie on trafić w sam rdzeń przedmiotu: z zręcznością pochodzącą nie z uprawy, ale z umysłu pełnego logiki, nie waha się w wyborze środków, byle myśl swą oddać, i dlatego oddaje ją zawsze z dobitnością i siłą niezrównaną. Wyobraźnia u niego nie przeważa *le bon sens*, i nawzajem, a wszystko do równowagi układa smak i takt wrodzony. Z téj harmonii umysłowéj pochodzi doskonałość, jaką napiętnować umiał drobne, ale śliczne utwory swoje.

Jeślibyśmy szukali dlań pokrewieństwa między poetami tego wieku, powiedzielibyśmy, że często spotyka się z Berangerem w najlepszych tegoż utworach. Taż sama lekkość formy, przy głębokiéj nieraz myśli, tenże sam dowcip i nieokreślony wdzięk, który jak woń ulatać musi w tłumaczeniu. Tylko w poecie włoskim, odbiła się narodowość cierpiąca, dopatrzéć w nim można więcéj łez po za śmiechem, krwawszą ironię, w głębi ducha nie uleczony smutek, i tę miłość nieograniczoną, jaką budzi Italia, tém silniéj w sy-

nach swoich, im duch wznioślejszy wszech-stronniéj pojąć ją może. Tłumaczyć Giustego jest niepodobieństwem, jednak zrozumieć trudno tę odrębną indywidualność bez przytoczenia choć kilku ustępów. Oto jest koniec jednéj z najsławniejszych piosnek jego, powtarzanéj przez całe Włochy pod tytułem: *La terre dei morti* (Ziemia umarłych). Powstaje on w niéj krwawo na tych, co lekkomyślnie śpiewają *deprofundis* duchowi Italii....

. . . . . .
Tak, wszystko u nas jest śmiercią,
Któż wspomni Niccoliniego?
Manzoni już pogrzebiony
Z nim razem w składach księgarskich!
A ty natchniony Lorenzo (1)
Powiedz nam, jakim sposobem
Umiesz wlewać w martwą glinę,
Skrę życia, któréj sam nie masz?
Po wielkich umarłych naszych
Okruszyny pozostałe,
Jeszcze bogactwem wam będą,
O nowe ludy żyjące.
Oh! jakżeż tam serdecznie
Biją nam dzwony pogrzebu,
Jak spadkobiercy sumienni,
Wspaniale grzebać nas chcecie.
O wy ludzie tutaj spadli,
Jak z deszczem, z żyjących kraju,
Powiedzcie nam, jakiém czołem
U martwych zdrowia szukacie?
I czemu na nas umarłych
Z taką zazdrością patrzycie.
. . . . . .
Lecz wielka księga żywota,
Ma swój koniec i początek,
Im się więc życie należy,
Gdy my umierać musimy.
Pogrzebać nas chcą czémprędzéj,
Byśmy zrobili im miejsce.
My, cośmy byli olbrzymy,
Za nim oni na świat przyszli!
O wy miasta nieśmiertelne,
I wy grobowce wspaniałe,
Wasze cudowne ruiny
Są jeszcze apoteozą,
Jako pochodnie pogrzebne,
Lśnią im słońce, wonie, światła,
A kwiaty, róże, fijołki,
Oliwy i winogrady
Świecą jak symbol żałoby!
Cóż to za cmentarz rozkoszny?
I kogóż to dziwić może,
Iż nam go żywi zazdroszczą.
Bracia umarli, pozwólmy
Śpiewać sobie hymn żałoby:
My wiemy co ta śmierć znaczy,
I komu bliższą jest ona?
Między psalmami kościoła,
Jest także hymn *Dies irae:*
Czekajmy, wszakże nadejdzie,
Dzień sądu sprawiedliwości.

Oto jest sam szkielet niejako tego ślicznego wiersza; dowcipu, jaki go zaprawia, schwycić nie podobna. Giusti nie wahał się umaczać śmiałe pióro w obrazowym ludowym języku, ztąd pochodzi pełno charakterystycznych zwrotów. Takie przyswojenie i wniknienie w ducha narodu, może i powinno stać się dla poezyi włoskiéj nowém źródłem na-

(1) Mowa tutaj o Lorenzo Bortolinim, jednym z najsławniejszych rzeźbiarzy florenckich.

tchnienia, ale z tego powodu najoryginalniejsze utwory jego, niesłychanie śmieszne i dobitne, tłumaczonemi być nie mogą, i żeby ich zrozumieć, trzeba znać nie tylko książkowy i salonowy język, ale także i potoczną ludową mowę. Takiemi są wiersz *Il poeta e gli eroi da poltrona* (Poeta i bohaterowie fotelowi); *Lo stioale* (but); *Il brindisi di Girella* (Toast na cześć chorągiewek obracających się za wiatrem), którego sam tytuł jest komentarzem. Między innemi iskrzącym dowcipem odznaczają się: *Il proponimento di cambiar vita* (Postanowienie odmiany życia), gdzie autor gorzko powstaje na hipokryzyą i wszystkie wady wywołane uciskiem ducha i sumienia; *La Chiocciola* (oślina) wiersz na pochwałę szczęścia ludzi obojętnych i ograniczonych; *A San Giovanni* (do św. Jana); *Gingillina* (Fantazya czyli fantazyjka).

Giusti chłosta niemiłosiernie wszystkie wady, błędy i nikczemności, jakie widzi wkoło; bystrość i trafność jego są zdumiewające. Znać miłość kraju, która go trawiła, wśród najkrwawszéj ironii; znać, że on śmiał się, gdy mu łez niestało, bo wierzył, że śmiech prędzéj usłyszanym będzie. Przyzwyczaił się tak do téj formy stworzonéj przez siebie, odpowiadającéj doskonale myśli jego, że na próżno niekiedy silił się pisać inaczéj. Poezye jego i sonety miłosne, równie jak inne wiersze, trzymane w tonie poważnym, są tak blade i słabe, że trudno je jednemu pióru przypisać.

Porównywaliśmy Giustego z Berangerem, jednak różnica między temi dwoma poetami odmiennych narodowości wykazuje się nie tylko w dziełach, ale i w życiu obydwóch. Beranger rzucał swoje piosnki genialne, jak kwiaty zrywane po drodze życia: nie zmąciły mu one swobody, nie przyspieszyły zgonu, umarł on spokojnie, przeżywszy lat ośmdziesiąt kilka. Gdy tymczasem Giusti, według wyrażenia Juliusza Słowackiego „zwolna serca swego rwał kwiaty" i umarł młodo, trawiony namiętnym duchem. Dobiły go wypadki z 1848 i 1849 roku.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, czy skutkiem tajemnéj sympatyi duchów, dwaj poeci włoscy najodmienniejsze przebiegając drogi, umarli w jednymże wieku, na jednę chorobę, z jednakich moralnych przyczyn, w kilkanaście lat jeden po drugim: mówimy tutaj o Leopardim.

Nigdy może wśród tego kraju słońca i wesela nie obudził się w ludzkiéj piersi ból nieuleczeńszy, nie podniósł się głos bardziéj nieskończonego cierpienia, jak w Leopardim. Struna bolu, zniechęcenia, tak ograna przez wszystkich poetów od lat tylu, nigdy bardziéj przerażających nie wydała tonów. Ból, cierpienie, to stan przechodni ducha, owoc nieszczęścia mniéj więcéj określonego, bo w takich rzeczach przyczyna rzadko bywa ze skutkiem w arytmetycznym stosunku. Ileż to razy w poezyi najsmutniejszéj, czujemy tylko usposobienie chwilowe autora, łzę spadłą na papier, a ileż razy czujemy także gorączkowe natężenie i szukanie bolu jako źródła natchnienia. Nawet w Byronie, w tym arcykapłanie rozpaczy, znać pewne lubowanie się cierpieniem. Leopardi wprost przeciwne czyni wrażenie: na próżno potrąca on inne struny; zrozpaczenie nieuleczone, ani na chwilę zapomnieć mu się nie pozwala; a gdy porównamy ten głos bez uśmiechu i nadziei w życiu i po śmierci, ze środkiem, w jakim rozbrzmiewał, z językiem rozkoszy, w którą się wcielał, wrażenie, jakie on sprawić musi, powiększa jeszcze kontrast otaczającego świata. W Leopardim więcéj jeszcze niż autora uszanować trzeba człowieka, bo on cały jest w dziełach swoich. Myśli i uczucia, które oddał tak prostym wierszem, te kilkadziesiąt kartek łez ostygniętych, były chorobą i zgonem człowieka; one to strawiły młodość jego, rzuciły go w przedwczesną starość i w końcu zabiły w powolnych męczarniach. Leopardi umarł w trzydziestym szóstym roku życia, na anewryzm, nie zaznawszy ani jednéj chwili słodyczy, ani jednéj zapomnienia nawet, prócz tych, jakie boleść podobna umie czerpać w samej sobie. Przecież trzeba mu było tylko puścić się z prądem wody, zniżyć ton swój do ogólnéj harmonii, zapomnieć myśli, co go trawiła, szukać w szale i odurzeniu, zaguby własnéj indywidualności, by żyć i być szczęśliwym. Duch jego i uczucie wrażliwe, jak struny arfy Eolskiéj, drgały ciągle boleśnie, wśród otaczającej dysharmonii. Mało spotkał duchów bratnich, ani jednego serca, coby mu odpowiedzieć mogło. Natura obdarzając go tak hojnie władzami ducha, skąpą okazała się dla ciała. Leopardi był ułomnym, a kto wie, czy uczucie własnego kalectwa, lub jakie bolesne dziecinne

wspomnienia, nie zaszczepiły w nim tego nieuleczonego smutku. Niech się ta przyczyna błahą nie wydaje, kto pojąć może, jakie piętno ryje w duchu, słowo usłyszane w danéj chwili; jak nieznośném jest wysoko estetycznéj naturze, uczucie własnej szpetności, i ile to uczucie wpłynąć mogło na wyrobienie chorobliwej drażliwości, w późniejszem życiu? kochał on kilka razy, a zawsze nieszczęśliwie. Duch jego smutny, hardy i nieśmiały, mało od któréj Włoszki mógł być pojętym, a przecież tak bardzo potrzebował miłości, iż błogosławił chwilom cierpień nawet, jakie mu ona dawała. To uczucie przebija w wielu poezyach jego, szczególniéj w wierszu: Il Risorgimento (Zmartwychwstanie), w którym to, przechodzi wszystkie fazy swego ducha. Oto naprzykład, jak maluje stan odrętwienia moralnego, w jaki wpadł po wygaśnięciu pierwszéj miłości.....

Dzień tak ponury i mglisty,
Noc czarniejszą mi się zdała;
Zgasł dla mnie księżyc srebrzysty,
Gwiazda żadna nie błyskała.

Bez czucia, myśli i woli,
Nie pragnąc nawet pociechy,
Obumieralem powoli,
Głuchy na łzy i uśmiechy.

Próżno jaskółka wiośniana
Nowemu dniowi śpiewała.
Wkoło okna mego, z rana:
Dusza ma jéj nie słyszała.

Napróżno w bladéj jesieni,
Samotny w pośród ogrodu,
Śledziłem lunę promieni
Słońca, w godzinę zachodu.

Napróżno cień nocy siny
Zapadał po nad górami;
Napróżno wonne doliny
Brzmiały słowika pieśniami.

Wszelkiéj słodyczy zbawiony,
Bez troski, ale zbolały,
Pozorniem był ukojony,
Oczy moje łez nie miały...

Daléj tak opisuje budzące się nowe uczucie, chociaż i to jest bez nadziei.

. . . . . .
Znowu was czuję przy sobie,
Gwiazdy dni moich zarania,
Uczucia tak dawno w grobie,
Wracacie w dniu zmartwychwstania.

Któż to dziś oschłéj źrenicy
Przynosi łzy zapomniane?
O! serce w twojéj ciemnicy,
Któż żarzy blaski wiośniane?

Może wśród życia kolei,
Nadzieja śmieje się tobie,
Lecz ach! oblicza nadziei
Nie ujrzę nigdy przy sobie.

Natura mnie obdarzyła
Hojnie potęgą marzenia;
Próżno ją boleść uśpiła,
Próżne lata doświadczenia.

Nie zwyciężyło jéj życie,
Ni losu niedoli siła,
Ni nawet zdarte okrycie,
Którém się prawda spowiła....
. . . . . .

Ten wiersz nieopisanego wdzięku i śpiewności w oryginale, kończy się słowami, że póki jeszcze kochać może, póki czuje serca bicie, nie nazwie nielitościwym tego, co go na świat rzucił.

W wielu poezyach Leopardego przebija także łagodna pogarda dla całego niewieściego rodu; naprzykład w prześlicznym utworze pod tytułem *Aspazya*. Uczucie to łatwe jest do pojęcia: serce jego dziecięcéj czułości stworzone było, by kochać i być zrozumianém od kobiecego serca. Zrażony, zamknął się w sobie, nie chcąc zstąpić ani sercem ani duchem do pojęć ogółu; niżéj od siebie ukochać nie mógł, niepełném uczuciem. Namiętne rymy swoje skierował do idealnéj kochanki, idealnéj zupełnie, bo Leopardi, jakeśmy to już wspomnieli, należał do szczupłéj liczby ludzi, którzy żadnéj nie mają nadziei po za grobem. Karmiony nauką starożytnych, otoczony towarzystwem pogańskiém w formie, w kraju, gdzie szata duchowna służy zwykle za płaszczyk tylko, w kraju nadużyć, gdzie wszystko antychrześciaskie dzieje się w imieniu Chrystusa, gdzie skutkiem koniecznym moralnego pojęcia, jest hipokryzya, podniósł śmiało głowę przeciwko téj hydrze. Umysł jego wrażliwy zapamiętał te pierwsze walki, uczucie własnych cierpień zaślepiło go; duch ten stoicki, nawykły żyć w bolu i męce, odrzucił zagrobowe nadzieje i może ból swój ukochał, bo on jeden wiernym mu pozostał towarzyszem życia i nie zawiódł go nigdy. Historya czcić nam każe poświęcenia ludzi, którzy szli na śmierć dla dotrzymania danego słowa; dla czegóżbyśmy nie uczcili Regulusów dzisiejszego wieku, którzy nadstawiają głowę co chwilnym gromom szyderstwa i nienawiści, by dotrzymać wiary samym sobie, nie skalać serca, nie sprofanować myśli: i żyją tak samotni, gdy duch ich rwie się i pragnie współczucia; do téj szczupłéj liczby męczenników w duchu, należał Leopardi. Poezye jego zwięzłe i jędrne, bez cienia nawet owéj amfazy, psującéj zwykle najlepsze utwory włoskie, odbijają silnie przy tylu młodych dzisiejszych utworach; naprzykład ten wiersz do samego siebie:

Teraz spoczniesz na zawsze zmęczone serce moje:
Znikło złudzenie ostatnie,
Któreś wieczystém sądziło.

Znikło. Czuję znękany marzeniami nawet,
Żem nietylko nadzieję
Ale nadziei żądzę utracił.
Spocznij na zawsze. Dość już uderzałeś,
Nic nie jest godném drgań twoich,
Ani ziemia warta twoich westchnień.
Życie goryczą i nudą. Świat ten brudu stekiem,
Uspokój się na zawsze; zrozpaczaj poraz ostatni.
Rodzajowi naszemu nic nie dał los oprócz śmierci;
Przynajmniéj pogardzam tobą dzika potęgo ukryta,
Co rządzisz światem ku ogólnéj krzywdzie,
I nieskończoną nicością wszystkiego.

W tym wierszu odbiła się cała indywidualność Leopardego. Do śmierci odzywa się on nieraz błagając, by już raz zakończyła te męczarnie życia. „Nadzieja moja w tobie jednéj" tak kończy on wiersz do miłości i śmierci zawsze złączonych w jego poezyach. „Tego jednego dnia oczekuję, gdy złożę głowę do snu wiecznego na twojéj dziewiczéj piersi." Głęboki ten umysł nie umiał zapominać i posiadał tę nieubłaganą konsekwentność ducha, który kłamać przed samym sobą nie umie. Pragnął on spokoju, śmierci, a jednak myśl zniszczenia zupełnego, tak przeciwna naturze czującéj byt swój silnie, wstrząsała całą jego istotą. Śmierć, starość, przeżycie własnéj indywidualności, w końcu szpetność zarówno fizyczna jak moralna tak wstrętnemi były Leopardemu, iż stały mu się nie odstępném widmem, a przewidzenie samo tych nieuniknionych warunków życia, trułó mu je od lat najmłodszych. Jedna miłość może byłaby oderwała go od tych zabójczych myśli, ale z miłości zaznał on same cierpienia, chociaż i te nazywał jeszcze jedyną osłodą życia; do wyrobienia téj nieuleczonéj melancholii, przyczyniły się jeszcze i poboczne okoliczności: smutne położenie ówczesne Włoch, a wkońcu nieporozumienia polityczne z własną rodziną, które wygnały go z jéj łona. Zrażony wszędzie i we wszystkiém, rzucił się namiętnie do nauk, ale i one zapełnić nie mogły tego płomiennego ducha, a słabe zdrowie stanęło mu i tu na przeszkodzie. Choroba serca, na którą umarł tak wcześnie, trawiła go lata całe, i to powolne konanie piętnowało czarniéj jeszcze rozpaczne poezye jego; znać w nich co chwila pogląd umierającego na świat otaczający, który się wówczas pięknym wydawać musi: znać, że żal mu mimowolnie

wszystkiego, co zostawia za sobą, czego nie poznał i nie użył; struna to odzywa się od czasu do czasu z rozdzierającą prostotą prawdy w wierszach: Do mojéj kochanki; *Il sogno* (sen); w namiętnej poezyi *Consalvo*, a szczególniéj, w Wspomnieniach, z których przytaczamy ustęp:

Nadzieje, nadzieje, wy błogie uludy
Dziecinnych lat moich: czemuż, skoro myślę,
Myślę o was zawsze. Nie zapomnęż nigdy
I niczo was z serca wypędzić nie zdoła,
Czemże jest i sława, rozkosz i dostatek?
Wszystko tu na świecie nicością i prochem,
Żalu ni zazdrości, wspomnienia nie warte.
A chociaż pustynią było życie moje,
Chociaż tak ubiegły marnie lata młode,
Nic mi los nie wydarł, bo nic wydrzeć nie mógł:
Przecież ile razy do myśli wracacie
O wy! moje mary przebrzmiałych nadziei,
I patrzę na życie me smutne i głuche,
Na śmierć, co mi jedna nadzieją została,
Cierpienie przygniata mi piersi, bo czuję,
Że ja się z mym losem pogodzić nie mogę.
Kiedy ta śmierć nawet dziś tak upragniona,
Nademną zawiśnie i bole ukoi,
Kiedy już ta ziemia obcą mi się stanie,
I z oczów gasnących przyszłość znikać będzie,
Myślą mą ostatnią, wy pozostaniecie.
Ta myśl mi się stanie ostatniém westchnieniem.
Konając uczuję jeszcze próżnią życia,
I słodycz śmierci zatruje mi wspomnienie.

Zarzucić można tym utworom, że nic nie zawierają nowego, ale nie sądzimy tu, by nowość lub rozwijanie filozoficznych doktryn, było koniecznem zadaniem poezyi. Przedewszystkiém szukamy w niéj tego czegoś, co wzbudza serca bicie: poezya jak woda strumienia, wiecznie z jednego tryskając źródła, może posiadać jak ona, wiecznie jedną ożywczą, odświeżającą siłę uczucia; powinna, jak mówi Musset, łzy przekształcać na perły, a tym warunkom odpowiada zupełnie Leopardi, i dlatego ma on urok niewyczerpany. Najzwyczajniejsze słowa nabierają pod piórem jego tajemniczego znaczenia, a wiersze są jak serce wezbrane bolem i łez pełne.

Poezya nie była jedynem zajęciem Leopardego, pisał on wiele bardzo rozpraw naukowych, a nadto wydał tom

cały dyalogów, w których pod różnemi postaciami przemawia zawsze jedno uczucie zrozpaczenia. Ta czarna barwa wszystkich pism jego, nie harmonizująca z usposobieniem włoskiém, sprawiła, że Leopardi mało jest popularnym we własnéj ojczyznie, a cenionym tylko przez wyjątkowe umysły. Imię jego powtarzane jest z poszanowaniem i zaliczone pomiędzy imiona pierwszych autorów dzisiejszych, ale poezye jego mało są znane, a powtarzane mniéj jeszcze poza pewném literackiém kołem.

Po śmierci równie jak i za życia los przeciwnym mu został, a ludzie obojętnemi dla jego pamięci.

O ZARZĄDZIE
WSPARCIA I DOBROCZYNNOSCI
W PARYŻU.

PRZEZ

T. X^cia L.

Kilka lat temu, jak chcąc się bliżéj przypatrzyć zarządowi wsparcia w Londynie i Anglii, zwiedziliśmy te strony i treść postrzeżeń naszych znalazła gościnne przyjęcie w kartach pisma, które podówczas opierało się na pracy pojedynczego obywatela; dziś ma podstawę, jak kraj nasz szeroką (1). Nie odmieniając celów podróży, chcieliśmy i w Paryżu zapoznać się z wsparcia i dobroczynności zarządem.

Ciaśnina, którą parowiec w czterdziestu minutach przebiega, rozdziela dwa narody, między któremi przedział ze wszystkich innych względów jest taki, jak między kończynami dwóch najsprzeczniejszych z sobą umysłów.

W Londynie zarząd wsparcia opiera się na parafii i na tylu urzędach ile jest parafij: w Paryżu na ześrodkowaniu wszystkich urzędów w jeden. Tam przy każdym urzędzie przewodniczy grono wybieralnych oby-

(1) Roczniki gospodarstwa krajowego. 1857.

wateli, tu przyjęcie do zakładów niemal od jednego płatnego urzędnika zależy (1).

W Londynie biuro centralne zdaleka nadaje działaniom kierunek, którego każde wkroczenie w obręb parafii albo sięgnięcie poza zakres prawem wskazany, spotka milczący ale zacięty najdrobniejszéj parafii opór i głośne w całym kraju oburzenie wywoła, a parafią trzyma w karbach powinności uczucie obowiązku i obawa, by przed sąd powołaną nie była. We Francyi minister spraw wewnętrznych rządzący trzydziesto-kilko milionowém państwem, prefekt policyi i prefekt Sekwany, nareszcie dyrektor generalny wsparcia, orzekają o prawie pojedynczych osób do umieszczenia się w przytułkach, a ledwo że i nie w szpitalach.

W Londynie zarząd podlega kontroli opinii publicznéj, skutecznéj przy mocno rozwiniętém samorządzeniu; w Paryżu zależy na biegle urządzonéj buchalteryi i licznym zastępie urzędów i urzędników.

W Londynie wsparcie urzędowe czyli parafialne występuje dopiéro wtenczas, gdy ustaje dobroczynność prywatna; urzędowa tylko to podejmuje i tego dokonywa, co uszło uwagi prywatnéj. W Paryżu rzecz w odwrotnym wiedzie się stosunku: dobroczynność prywatna skromną tylko i podrzędną odgrywa rolę.

W Anglii prywatna dobroczynność silna jest o tyle, o ile może być silną w społeczeństwie, które zdawna już puściło w niepamięć zamachy na swobody narodowe; zamożna jak w kraju, w którym zamożność budżetu państwa opiera się na zamożności obywateli nie zaś jak we Francyi, gdzie ubóstwo obywateli szuka przytułku w ogromie budżetu: pełna zaufania właściwego tylko społeczeństwu, które głęboko wyznając ideę prawa, nie dopuszcza wywłaszczeń ani drogą ludową przy mównicy i samobójczych oklaskach tłumu, ani téż drogą

(1) Cet état de choses doit être considéré comme transitoire. Les hospices de Paris sont en dehors du droit commun, en vertu duquel les hospices sont les individualités libres dans la commune et seulement soumises à la surveillance de l'État. Martin-Doisy. Dictionn. d'Économie Charitable. 1857. IV. 1062.

rozpoczętą w gabinecie prawodawcy, który przeprowadza wywody własnego swego umysłu, a lekceważy życzenia i swobody całego społeczeństwa. We Francyi stowarzyszenia dobroczynne brakiem swobód ścieśnione, zawiązują się w ścisłém kółku wyznawców jednéj religijnéj i politycznéj opinii; więc massa cała ludności obcą jest tym ruchom; dobroczynność prywatna posiada tam zasoby koteryi, nie zaś zasoby całego społeczeństwa i jego współczucie jak w Anglii. W Anglii zatém prywatne zakłady dobroczynności na sta liczyć, dochody zaś na miliony można; we Francyi dochód prywatnego stowarzyszenia rzadko wynosi kilkadziesiąt tysięcy franków (1).

Lecz jeżeli Anglia ma wyższość w zarządzaniu wsparciem, to w Paryżu służbie zdrowia słuszny hołd się należy. Gdy ubogi odbiera wsparcie tam w drodze prawa, a tu niemal łaski, za to w Paryżu chory ma pomoc lekarską zapewnioną sobie z urzędu; w Londynie zaś, gdzie szpitale są fundacyi prywatnéj, tylko drogą łaski; z urzędu lekarska pomoc na miasto jest prawie nieznaną.

W Paryżu wsparcie jest okazałe, bo służy politycznym celom: hojne, bo ścisłość budżetu państwa i miast administracyjnie rządzonych obchodzi tylko człowieka stanu, nie zaś podatkującego obywatela kraju. W Anglii wielkość, skuteczność i oszczędność w niesieniu wsparcia, są podziwienia godnemi.

W Anglii prawo ubogiego przyznają głośno, a on używa go milczkiem, skromnie i w ostateczności. We Francyi prawo to nie jest określoném ściśle a używa się otwarcie, z obrazą najdrażliwszych uczuć (jak w razie kategoryi *filles-mères*).

W Anglii ubogi czyha na środki, aby się wydobył z konieczności odbierania wsparcia; we Francyi ubogi

(1) W Anglii budżet wsparcia obliczono na 330 milionów, z których prywatna dobroczynność dostarcza 180 mil. *Paschley. Pauperism and Poor Laws.* 1852. W Paryżu zakładów 80, utrzymywanych kosztem prywatnéj dobroczynności, mają tylko 2,000,000 fr., gdy sam zasiłek z kassy miejskiéj dla urzędu wsparcia, wynosi rocznie 7 mil. *Dufau. Lettres sur la Charité* 49.

rozglądając przepisy bada, jak dalece jego położenie da się zastosować do punktu przyznającego mu prawo do wsparcia. Anglik wymagając wsparcia, według naszego zdania, jest pokonanym przez warunki ekonomiczne, Francuz przez warunki moralne. Ztąd nieraz w sali posłuchań dyrektora generalnego, zwiedziony układnością i ubiorem tych osób, które się do niego po wsparcie udają, osądzisz się być w towarzyskim salonie.

W Anglii wsparcie przyznawane jest z urzędu: we Francyi, bystro postępującéj po téj saméj przemysłowéj drodze lecz nie chcącéj uznać następstw, t. j. podatku na ubogich, wsparcie jest udzielane pod płaszczykiem opryskliwéj administracyjnéj kontroli. Tu przyjęcie do przytułku jest przywilejem, jest łaską; ztąd utyskiwania coraz powszechniejsze i coraz więcéj usprawiedliwiane na protekcyą i faworytyzm. Tam przyjęcie do przytułku odbywa się w drodze prawa, nie jest łaską, ale ostatecznością, z któréj ubogi wnet się wydźwiga, gdy się mu los uśmiechnie albo nastręczy zarobek.

Różnice te mają początek w saméj osnowie tych dwóch wspaniałych społeczeństw.

W Anglii przyczyna zwiększenia się nędzy i wsparcia leży w zwichnięciu równowagi pomiędzy produkcyą rolniczą a przemysłową; ztąd owe częste zakłócenia ekonomiczne, które przerywają zarobkowanie. We Francyi przyczyna nędzy i wsparcia leży w straszliwém zepsuciu mass i niewyrobieniu się siły moralnéj między ludem. Tu w przyczynach oddziaływających niekorzystnie przemaga żywioł moralny, tam materyalny; massy bowiem są zdrowe.

W Anglii im więcéj ku dołowi, im bliżéj do warsztatu i pługa, tém potężniejsza czynność, szum, i gwar, i wykształcenie, a sfery rządowe, gorejące światłem, majestatycznie spokojne. We Francyi spostrzegasz rewolucyjne, zbutwiałe pojęcia pomiędzy massami miejskiemi, przestarzałe przesądy pomiędzy rolniczą ludnością, leniwość i zaniedbanie na dole; lecz za to na górze jaka światłość w ideach, rzutkość w pomysłach, sprężystość w działaniach!

W Anglii życie i ruch panuje w całym narodzie, we Francyi na ciasnych stolikach biór i urzędów: tu piramida wspiera się na swoim wierzchołku, tam na swojéj podstawie. Tam buduje się trwale i mocno, tu mocno, ale na tymczasem. Tam nierozsądne wybuchy karci głos publiczny, a tylko w ostateczności prawo; tu przy pierwszym wybuchu niechby i spaczonego byle namiętnego uniesienia tłumu, prawo i sądowa władza wahają się nie mając ani podstawy podaniowéj, ani zaufania w oderwanych zasadach, a tylko drogą administracyjną, w potrzebie i surową, przeprowadzają się ustawy i osięgają skutki. Ten nieszczęsny stan rzeczy i umysłów, ten system przypadkowy lecz nieobrany z uroku niezawisłości narodowéj, w téj chwili, jak twierdzą, konieczny, przeprowadzany umiarkowanie, czuć się tu daje wszędzie, a nigdzie tyle co w zarządzie wsparcia i dobroczynności.

Zarząd wsparcia dla miasta Paryża, pod zwierzchnią władzą prefekta Sekwany, ześrodkowanym jest w biurach urzędu wsparcia, mającego na czele dyrektora generalnego (Directeur général de l' Assistance publique de la Ville de Paris). Działalność jego obejmuje głównie dwie czynności: 1º wsparcie i służbę zdrowia udzielane na miasto, 2º wsparcie i służbę zdrowia udzielane w przytułkach i szpitalach. Do zarządzania pierwszém przypuszczeni są obywatele, acz nie z wyborów; przytułki i szpitale rządzone są drogą ściśle administracyjną (1).

Wsparcie na miasto rozdawane jest za pośrednictwem dwunastu urzędów dobroczynnych (bureaux de bienfaisance) po jednym na każdy cyrkuł miasta. Naczelnikiem urzędu dobroczynnego jest mer z swoimi pomocnikami (adjoints) mający przy sobie dwunastu opiekunów (administrateurs), każdy dla innego rewiru. Opiekun ma do pomocy dwóch kommisarzy. Przy urzędzie znajduje się jeden urzędnik płatny, odpowiedzialny za kassę, a tym jest sekretarz-skarbnik. Urząd dobroczynny ma po kilka domów wsparcia (maisons de se-

(1) Recueil des Arrêtés, Instructions et Circulaires Réglementaires concernant l'Admin. génér. de l'Assist. publique à Paris. I II. 1855.

cours), na całe miasto ich jest trzydzieści siedm. Wdomu takim odbywają się posiedzenia i rozdawanie wsparcia, mieści się apteka, izba konsultacyjna, i skład rzeczy przeznaczonych do rozdawania w drodze wsparcia. W domu tym mieszkają jeszcze Siostry Miłosierdzia, utrzymujące szkółkę i przytułek sierot.

Do urzędu dobroczynnego należy całe rozdawnictwo wsparcia w cyrkule. Chcącym być przypuszczonemi do wsparcia kładzie się na wstępie warunek, iżby byli od 5 do 10 lat osiedli, a od jednego do dwóch umieszczeni na spisie ubogich. Dwojakie rozdaje się wsparcie: stałe i jednorazowe. Dzieci przystępujące do piérwszéj komunii i dzieci oddawane do rzemiosła, sieroty, podrzutki, położnice, dotknięci chwilowém kalectwem lub słabością, odbierają jednorazowe wsparcie. Przepisy administracyjne z których najwcześniejsze sięgają czasów pierwszéj rewulucyi, określają prawo do wsparcia stałego. Do niego z urzędu kwalifikują się rodziny mające więcéj nad troje dzieci młodszych od czternastu lat wieku, ubodzy dotknięci bezwładnością członków (paralysie), ociemniali, kalecy niezdolni do pracy, i starcy wyżéj lat siedmdziesięciu. Wysokość wsparcia jest 5 do 12 fr. miesięcznie.

To są czynności urzędów dobroczynnych co do wsparcia. Daleko późniéj, bo już w ostatnich latach, rozwinięto drugą ważną gałąź ich obowiązków, a tą jest służba zdrowia około ubogich na mieście. Utworzeniem wsparć przytułkowych (o których niżéj) chciano wstrzymać dążność w ludności do zrzucenia ciężaru żywienia przestarzałych członków rodziny. Zaprowadzeniem służby zdrowia na mieście chciano wstrzymać inną dążność objawioną powszechnie, żeby w razie zapadnięcia na zdrowiu, natychmiast udawać się do szpitalów. Uleganie téj dążności prowadziło za sobą potrzebę mnożenia po szpitalach łóżek i coraz powiększało koszta. Odmówienie przyjęcia wywoływało niezadowolenie i sarkanie, zawsze tu niebezpieczne. Moralny cel wypowiedziano w następnych słowach: „porządek i moralność wymagają, ażeby chory był leczony we własném mieszkaniu, a to dla

utrzymania ducha rodzinnego, szpital zaś był tylko dla zdarzeń wyjątkowych." Dla służby zdrowia na mieście, utworzono sto pięćdziesiąt posad lekarskich i sześćdziesiąt trzy posad akuszerek, pod władzą zwierzchnią, dozorem i kontrolą urzędów dobroczynnych będących, i całe miasto pomiędzy nie podzielono. Każdemu ubogich zgłaszającemu się do domu wsparcia, bez względu na osiadłość i zamieszczenie w spisie ubogich, lekarz obowiązany jest udzielić rady, a w razie potrzeby z urzędu go odwiedzać na mieście. I tu się z wsparciem spotykamy: dla chorych na mieście jest ono udzielaném w kształcie lekarstw, żywności i w pieniądzach, przy szafowaniu w tym razie wsparcia ma się na widoku wspieranie nietylko samego chorego ale i jego rodziny, jeżeli ją z swego zarobku utrzymywał. Przepisy zobowiązujące przy innych zdarzeniach, tu są z urzędu pomijane; oszczędzanie wsparcia w razie choroby uznaje się za szkodliwe: „to właśnie jest chwila" powiada instrukcya „na przychodzenie z hojném wsparciem, szczególnie jeżeli chory poprzednio żadnego nie odbierał." Tę pozorną hojność usprawiedliwia obliczenie czysto materyalne, a tém jest niedopuszczenie ażeby chwilowa niemoc, np. głowy rodziny pracowitéj i samodzielnéj, wyczerpując jéj zasoby do ostatniego, nie stała się powodem do zupełnego jéj zubożenia. Chwilowe ale podane w swoim czasie wsparcie, ma zapobiedz przejściu samodzielnéj wyrobniczéj rodziny na stopień stale wspieranéj. „Dawniéj ojciec lub matka, w przypadku choroby przenoszeni bywali do szpitala; obecnie zaś w mieszkaniu swém wśród rodziny, odbierając pomoc lekarza, nie dopuszczają ażeby się ta rodzina rozpraszała a nędza zostawała w niéj na zawsze." Wypadek odpowiedział oczekiwaniom: liczba osób które zażywały pomocy lekarskiéj na mieście i przy niéj wsparcia, wynosiła w ostatnim roku 29207, a liczba zglaszających się do szpitalów zmniejszyła się o 8%. Koszta leczenia na mieście wynosiły dziennie f. 1 cent. 12, koszt zaś leczenia w szpitalu wynosi f. 2 c. 12; przeto przypuszczając, że gdyby osoby leczone na mieście, udały się były do

szpitalów, daleko znaczniejszy miasto poniosłoby wydatek (1).

Chęć przyniesienia we właściwym czasie pomocy, dla uniknienia cięższych następstw w wydatkowaniach, spowodowała ustanowienie obszernego wsparcia dla położnic. Odbierało je w ostatnim roku do 6,500 rodzin. Wsparcie to, według myśli przepisów administracyjnych, umniejszyć ma liczbę podrzucanych dzieci, jakoż przemawia za jego użytecznością następująca cyfra: śmiertelność pomiędzy dziećmi odbieżonemi wynosi 50%, śmiertelność pomiędzy dziećmi których matki odebrały to wsparcie, dochodziła tylko do 35% (2).

Zastosowanie tych wsparć natury zapobiegającéj, wymaga nader wielkiéj ostróżności, i winno być zostawioném bez ścisłego określenia, a oddaném pod rozrządzenie osób mających szczególne zaufanie; dlatego przy urzędzie istnieje pod przewodnictwem mera, komitet w tym celu.

Przyjętą jest zasada wydawać wsparcia o ile można w naturze, nie w pieniądzach: ubiór, bieliznę, chleb, warzywa; podczas choroby węgiel dla ogrzania izby, dla przyśpieszenia wyzdrowienia pożywniejsze artykuły żywności, wypożycza się ciepłe ubranie, kołyski i t. d.

Urzędy dobroczynne z prawa podają kandydatów do przytułku w stosunku dwóch trzecich miejsc w nich opróżnionych (t. j. na każde 36 zawakowań, co się tu nazywa *une répartition*, podają 24 kandydatów). W tymże stosunku podają kandydatów do 800 wsparć przytułkowych (secours d'hospices). Wsparcie to winno począ-

(1) *Mémoire* etc. *sur les dépenses des secours à domicile* i *Mémoire sur le traitement à domicile*. Année 1858. Paris. 1859.

(2) Wsparcie to surowych spotyka krytyków... Un signe certain de la démoralisation dans une localité, c'est d'y voir des jeunes filles perdre le sentiment de la pudeur... A qui l'hospice dépositaire delegue-t-il sa responsabilité de tuteur?—à une femme sans moeurs, le plus souvent, sans moyens d'existence, en dehors du modique secours alloué. Un administrateur des hospices d'Amiens disait que c'est un spectacle navrant que celui des grabats hideux sur lesquels on trouve quelquefois gisantes, elles et leurs enfants, les filles-mères auxquelles on porte les secours. Plusieurs etc. Martin-Doisy. Dict. d'Écon. Charitable. IV. 662.

tek następującéj okoliczności: podczas ostatniego powietrza, w dwóch głównych przytułkach (Vieillesse-Femmes i Vieillesse-Hommes), na dziesięć tysięcy ludności wymarło do dwóch tysięcy osób: złożono to na karb przeludnienia i zmniejszono liczbę przyjmowanych do przytułków; oszczędzone przez to summy posłużyły do utworzenia 800 wspomnionych pensyj dożywotnich. Dla utrzymania ducha rodzinnego, wymaga się od odbierającego to wsparcie, ażeby mieszkał przy rodzinie. Pensya wynosi dla mężczyzny fr. 253, dla kobiety fr. 195.

Drugą główną czynnością urzędu wsparcia, jest udzielanie wsparcia i pomocy lekarskiéj wewnątrz należących do niego gmachów, w przytułkach i szpitalach.

Przytułki są w liczbie jedenastu: jedne z nich przyjmują bezpłatnie, drugie za wnioskiem pieniężnym.

Pomiędzy bezpłatnemi pierwsze miejsce zajmują przytułki dla starców: Vieillesse-Femmes co dawniéj *La Salpêtrière* i Vieillesse-Hommes co dawniéj *Bicêtre* się zwało. Salpêtrière (łóżek 4389) ogromne za botanicznym ogrodem, z kościołem w środku zakładu, kamienice, zbudowane równolegle i prostopadle jedne do drugich, a oświetlone ode dwóch frontów, stanowi największy w Europie przytułek. Zewnątrz pozór gmachów jest wspaniały, ale wewnątrz niezupełnie zaspokaja oczekiwania; dolne sale są wysokie lecz górne za nizkie i niedostatecznie opatrzone w powietrze. Z pięciu w nim wydziałów (obłąkani stanowią piąty) każdy powierzony jest dozorczyni, dwóm pomocnicom i kilku kandydatkom. Dwa razy na tydzień dozwolone jest wychodzenie na miasto i przyjmowanie odwiedzin. Nie zupełny kaleka obowiązany jest do trzech godzin pracy dziennie; dwie trzecie zarobku należy do ubogiego; obieranie jarzyn odbywa się kolejno bez wynagrodzenia. Vieillesse-Hommes (łóżek 2725), przytułek dla mężczyzn położony za miastem, na drodze do Fonteneblo, na wzgórzu, z którego dostrzegają się jak we mgle kopuły Panteonu, dzwonnicy Notre-Dame i obszar nieprzejrzany dachów miasta. Pod względem powietrza zakład ten wyjątkowe ma korzyści: sale, szczególnie w nowo wystawionych pawilonach, otworzyste ale mocno przeludnione. Bywały przykłady, że przez 20 dni nie

odmieniano bielizny oddając człowieka na pastwę pasożytów. Podawaniu niewysuszonéj należycie bielizny, przyznawano umieranie trzech czwartych ludności na piersiowe choroby: w chwili odwiedzania przytułku, zdarzyło się nam widzieć wilgotne jeszcze koszule porozkładane na łóżkach, widocznie ażeby dosychały. Przyprowadzono nas do byłego wojskowego, ośmdziesięcioletniego starca: poświęca swój czas pisaniu dziejów ojczystych; na ostatniéj karcie, na któréj pismo jeszcze nie zaschło, znajdował się ustęp o zwycięztwach Jana III, tego przedśmiertnego odblasku życia naszego wielkiego narodu. Jeść dają trzy razy na dzień: śniadanie o 8éj, obiad o 11éj, wieczerzę o 5éj; widzieliśmy jak przyniesiono w wielkim kotle zupę kartoflową: „psów w twych dobrach na Wołyniu nie karmią tak licho“ rzekł nasz stary żołnierz. Zachodni pawilon wynajmuje się ubogim chcącym zarabiać: zarabiają do 30 cent. na dzień; znajdziesz tu przedstawicieli wszystkich rzemiosł jakie ma Paryż. Powierzchowność obudwu przytułków ma coś ponurego: sprawia to, zdaniem wszystkich, nieobecność posługi zakonnéj. Przytułków dla nieuleczonych, odpowiadających naszemu zakładowi w Górze Kalwaryi, jest także dwa: dla mężczyzn (łóżek 491) fundacyi ś. Wincentego à Paulo na przedmieściu St. Martin, dla kobiet (łóżek 642) założony przez kardynała Larochefoucauld, na ulicy Sèvres: ostatni zajmuje dwa gmachy dwupiętrowe, obydwa w kształcie krzyża; sale sypialne są wspólne, ale w ścianie do któréj łóżka głowami zwrócone, jest kilkoro drzwi, każde do pokoiku, służącego jednéj z osób odbierających przytułek, do pracowania w dzień na osobności. To połączenie wspólności mieszkania z odosobnieniem, znacznie się przykłada do uprzyjemnienia życia. Zpomiędzy trzech pomniejszych przytułków zasługuje na wzmiankę założony przez Mikołaja Brezin (łóżek 310). Człowiek ten przez obroty w przemyśle z ubogiego stanu przyszedłszy do zamożności, a będąc przez ciąg życia surowym, chciał przynajmniéj przy śmierci wypłacić się tym „którzy mu do wzbogacenia się dopomogli.“ Do tego przytułku szczególnie przyjmują mechaników i rzemieślników, mających do czynienia z kruszcami.

Przytułki płatne jakich się w Paryżu trzy znajduje, przeznaczone są dla rodzin z stanu średniego podupadłych ale zachowujących mały fundusz, dla właścicieli drobnych zakładów przemysłowych, urzędników, nauczycieli i t. d. Do tych przytułków przyjmują się małżeńskie stadła po piętnastu latach pożycia a 60ciu wieku, tak ażeby liczba lat męża i żony wynosiła 130.

Przytułek *Ste Périne* (łóżek 245) na prawym brzegu Sekwany, a *Larochefoucauld* (łóżek 245) na lewym, przyjmują za roczną pensyą od 200 do 600 franków; w trzecim zaś, *Hospice des Ménages* (łóżek 815), za jednorazowém wniesieniem 3,200 franków. Małżeństwo ma osobną stancyą; na każdą stancyą daje się po 3 fr. na dni 10, po pół kilograma mięsa na tydzień; do tego chleb, drzewo i węgiel (1).

Szpitalów ogólnych jest 8, szpitalów wyłącznie na pewne choroby dziewięć. Największy z ogólnych *Hôtel Dieu* (łóżek 842) położony jest przy katedrze *Notre Dame* na obudwu brzegach odnogi Sekwany, a obsługiwany przez zakonnice od S. Marty. Gmach ten ma być wkrótce odbudowany, jako zapadnięciem grożący. *La Pitié* (624 łóżek), *La Charité* (łóżek 494), dwa obszerne dziedzińce, sale jednak ponure. Przed porzuceniem lewego brzegu Sekwany, wypada odwiedzić szpital *Necker* (łóżek 403) w murach dawnego klasztoru, ale już w znacznéj części odmurowany na nowo; zostaje tylko kaplica, która także niedługo pod oskardem upadnie. Do tego szpitala udają się ziomkowie nasi; o każdym z nich przez lat trzydzieści nie przestaje mieć starania dama jedna, czy to ażeby go odwiedzić, czy aby wesprzéć ofiarą pieniężną albo słowami współczucia i żalu. „*Il n'y a pas de Princesse plus charitable*," rzekł do nas dyrektor, urzędnik światły i wzorowy. Na szczególniejszą uwagę zasługującym jest szpital *Lariboisière*, za kościołem S. Wincentego a Pauło, na wschodniéj kończynie miasta. Od strony przyjazdu są niewysokie sztachety przed skromnym fronto-

(1) Compte moral Administratif de l'Exercice, 1858. Paris. 1859. W przytułkach wszystkich łóżek (włączając 1306 w przytułkach płatnych) jest 10,588.

nem dwa pawilony łączącym; na zachód cztery, na wschód drugie cztery pawilony, odosobnione i równoległe tak, że wszystkich gmachów jest dziesięć, dwa na administracyą a ośm dla chorych. Odległość między jednym a drugim pawilonem, jest 10 metrów 9 centymów. System ten stawiania szpitali znajdujemy w nowszych zakładach, jako ostatnie słowo dzisiejszego budownictwa szpitalnego; dozwala on łatwych przystępów i zostawia przestrzeń dla powietrza i dziedzińców. Dla połączenia odosobnionych gmachów w jedność, ustawiają się one wkoło prostokąta; prostokąt uprawia się pod ogród, z wodotryskiem pośród świeżych trawników. Na końcu przeciwnym temu którym weszliśmy, wznosi się piękna, czteropiętrowa kaplica; pierwsze piętro podpierają słupy, na drugiém zegar z posągami wiary, nadziei i miłości, brussowanie trzeciego utrzymują czterech ewangielistów, czwartém jest dzwonica z małym kamiennym krzyżem. Oszklone galerye, ciepłe i jasne, prowadzą od jednego gmachu do drugiego; wschody drewniane, poręcze z lanego żelaza. Wysokość sal na dole 5 metrów 25 cent., na drugiém piętrze 5 metrów, na górze 4 met. 40 cent. Długość 38 metrów 50 cent. a 9 metrów szerokości; każda sala ma 32 łóżka; *na końcu* każdéj jest jeszcze pokój o dwóch łóżkach dla chorych zaraźliwych lub niespokojnych; ściany i sufit z gładzonego gipsu (*stucco*) błyszczą jakby marmurowe barwą iskrawą. Sposób ten stosunkowo do trwałości, okazał się najtańszym, a sprawia że na gładkiéj powierzchni ścian nie zatrzymują się wyziewy szpitalne; podłogi są woskowane, łóżka żelazne z materacem na sprężynach, opatrzone w białe firanki na dwa metry wysokości, nie zamknięte u góry. Ogrzewanie i wietrzenie odbywa się w jednéj części podług sposobu Vanegue, w drugiéj sposobem Duvoir: przyrząd pierwszego wciąga za pomocą pary świeże powietrze, ogrzewa je i rozsyła po salach, drugi zaś wyczerpuje zepsute powietrze, przerabia je, ogrzewa i zwraca do izb szpitalnych; powietrze w tym ostatnim razie ma być suche i niezdrowe.

Szpitale specyalne są: Ś. Ludwika (853 łóżek) dla skórnych słabości; szpitale *du Midi* (336 łóżek) i *Lourcine* (276 łóżek) odpowiadają przeznaczeniem Ś. Łazarzowi

w Warszawie, pierwszy dla mężczyzn, drugi dla kobiét. Instytut położniczy (402 łóżek) przyjmuje od ósmego miesiąca ciąży; jest oraz przy nim szkoła położnicza i klinika. Szpitalów dla dzieci jest dwa: S^te^ Eugénie (425 łóżek) i szpital dzieci chorych (658 łóżek); ten ostatni położony przy ulicy Sèvres. Ulica ta, na północy przedmieścia S^t^ Germain, prowadzi w inną de la Chaise (przy któréj leży Abbaye aux-Bois, byłe mieszkanie pani Récamier, kobiety, która umysły genialne a boleściami dotknięte, przytulała w imieniu wdzięków i dobroci) i mieści całe szeregi przytułków, szpitali i zgromadzeń zakonnych. Obok głównych klasztorów XX. Missyonarzy, Siostr Miłosierdzia, Zgromadzenia S. Tomasza de Villeneuve, przytułku des Mènages i nieuleczonych, szpitala Necker, znajduje się i szpital dla dzieci, zwany także Dzieciątkiem Jezus, założony w r. 1802 w gmachu Królewskiego zakładu wychowania szlacheckich panien, z przeznaczeniem dla dzieci obojéj płci od 2 do 12 lat wieku. Sale w nim są małe, a chorzy dwa oddziały składają: oddział chorób gwałtownych i oddział słabych na krosty, świerzbę i t. p. Dla tych ostatnich jest zakład przy wodach w Forgues. Dla chorujących na skrofuły jest obszerna sala gimnastyczna.

Przytułki płatne mają się w takim stosunku do przytułków ogólnych, jak dom zdrowia do innych szpitali; pojedyncze pokoje wynajmują za opłatą fr. 6 dziennie, przeto dla zamożniejszych tylko ludzi są dostępne (1).

Naostatek niepodobna nam zamilczéć o dwóch jeszcze zakładach; są to dla przychodzących do zdrowia: dla płci męzkiéj w parku Vincennes, dla żeńskiéj w parku Vésinet (2).

(1) Wszystkich łóżek w szpitalach jest 7,136.

(2) Co do kosztów kuracyjnych, przyjęto za zasadę wymagać około czwartą część mniéj, niżeli dzień chorego w szpitalu kosztował: na rok bieżący koszt dzienny wynosił fr. 2 c. 11 d. 20, a przy zwrocie wymaga się tylko fr. 1 c. 50. Koszta jednego łóżka w szpitalu czynią fr. 770, 88, w przytułku fr. 468, 64. Śmiertelność w szpitalach ogólnych jest jak 1 do 8, 50. W specyalnych 1 do 14, 51. W przytułku Vieillesse-hommes jak 1 do 6, 17. Vieillesse-femmes 1 do 6, 50.

Lekarze przy szpitalach są nominowani przez ministra spraw wewnętrznych; w tym celu dyrektor wsparcia podaje mu trzech kandydatów z lekarzy składających główny szpitalny urząd lekarski (Bureau Central). Na miejsce zaś opróżnione przez nich w tym ostatnim, ogłasza się konkurs odbywany przed przysięgłymi. Warunkiem przypuszczenia do konkursu jest wiek, dla doktora nie przechodzący lat 60, dla chirurga lat 55. Nominacya nie udziela się na czas dłuższy od lat 5. Służbę lekarzy prócz nich, pełnią uczniowie (Elèves externes et internes)

Przystępujemy teraz do podrzutków i sierot. Podrzutki i sieroty wysyłane są na prowincyę; zatrzymują się w przytułku (Hospice des enfants trouvés et orphelins) tylko dzieci chore i rodziców zostających w więzieniu, do zapadnięcia wyroku. Dozór dzieci umieszczonych na prowincyi, w odległości nie bliższéj nad 120 mil od Paryża, powierzony jest inspektorom stale tam mieszkającym, doktorom, proboszczowi i merowi gminy. Wychowujący, oprócz zwyczajnego wynagrodzenia miesięcznego, odbiera w trzech pierwszych kwartałach, po upływie każdego, franków 6, za posyłanie do szkółki miesięcznie centymów 50, a za posyłanie do nauki katechizmu jednorazowe premium; za wychowanie dziecka bez kalectwa, również jednorazowo fran. 50. Zobowiązujący się chować dziecko po latach dwunastu i sposobić je do zatrudnień rolniczych lub rzemieślniczych, nabywa prawa do nowego wynagrodzenia równającego się tamtemu. Za dziecko z natury ułomne, odbierają dodatkowe wynagrodzenie, mogące się rozciągnąć aż do śmierci wychowańca. Inspektorowie czuwają do 21 roku życia lub wstąpienia w związki małżeńskie. Nie jedno też dziecko przysposobione zostaje w rodzinie, która się niém zajmowała. Co do reszty, słabsze przeznaczają się do rzemiosł, silniejsze do roli, a z tych posyłają się do osad rolniczych w kraju i w Algieryi.

Miejsce przyjmowania podrzutków jest przedmiotem ciągłego dozoru: matka podrzucająca ujęta, winna jest protokólarnie przed komisarzem zeznać nieodmienność swego postanowienia. W skutek tego zaostrzenia i dawania wsparcia położnicom, liczba podrzutków coraz się

zmniejsza: w okresie lat 1817—1821 liczba podrzutków była 1 na 161 mieszkańców, według ostatnich zaś sprawozdań jest 1 na 435 (1).

Śmiertelność pomiędzy podrzutkami podaje smutne cyfry: dzieci od jednego dnia wieku do 1 miesiąca, umierają w stosunku 30%; od 1 miesiąca do 3, śmiertelność wynosi 61%; od 3 do lat sześciu 44%; od sześciu do dwunastu lat, 1,09%; śmiertelność wszystkich (włączając i starszych od 12 lat, w liczbie 18,000) wynosiła na rok 13%. Oblicza administracya, że na 100 jéj powierzonych dzieci, zostaje przy życiu dwadzieścia pięć; śmiertelność zatém wynosi 75%, kiedy w reszcie ludności we Francyi w odpowiednich latach, podług tablic Duvillard'a, wynosi tylko 42%.

Winniśmy jeszcze dotknąć urzędu ułatwiającego rodzicom oddawanie dzieci do mamek na prowincyę. Jest to urząd dla mamek (*Direction des nourrices*). Służy jako pośrednik pomiędzy mamkami z prowincyi a rodzicami, zapewniając tamtym zapłatę za pierwsze dziesięć miesięcy, w razie gdyby jéj nie uiścili rodzice, a tym dostarczając zakwalifikowanych mamek. Umowa pomiędzy strona-

(1) Obostrzenie przepisów ma oddziaływać zgubnie na pomnożenie poronień i dzieciobójstw; ks. Guillard powiada: toute fille fautive est mise dans l'alternative de se faire inscrire sur les régistres de la police ou d'avoir récours à des moyens que mille mauvaises conseillères ne manquent pas de lui suggérer.... Avant la fermeture du tour, 4 à 5 mille enfants y étaient déposés chaque année... arrachés pour la plupart à la crapule et à la misère, étaient placés dans les campagnes où ils se naturalisaient, c'est pour faire rester ces cinq mille enfants dans les boues de la capitale, pour y augmenter les nombres des gens sans aveu que vous prenez tant d'embarras... les accusations d'avortemens ont quadruplé depuis vingt cinq ans. Un médecin qui à Paris exerce son art avec un dévouement chrétien dans le quartier du gros Caillou depuis 28 ans, nous a tracé de ce quartier un tableau effrayant.. on ne saurait compter les avortements qui s'accomplissent dans les premiers mois de la grossesse. Les complices (ce sont ordinairement les sages femmes) au lieu d'employer des instruments tranchants ou perforants, vont frapper l'enfant lorsqu'il descend vers le bassin d'un corps contondant qui simule les conséquences d'un accident naturel.... Le moyen employé dans le dernier cas pour la pérpétration du crime, consiste à feindre des vapeurs, et quand l'enfant voit la lumière, à l'étrangler avec les genoux, etc Martin-Doisy Dict. d'Écon. Charit. IV. 658.

mi jest dobrowolną; każdego dnia przybywa dziesięć mamek i tyleż oddala się zabrawszy dzieci. Przedpłata na podróż, jestto nakład podejmowany przez miasto: summę tę zaokrągla częste niewypłacanie się rodziców. Liczba dzieci umieszczonych za pośrednictwem urzędu, dochodziła (1858 r.) do 3,124, czynność bowiem tego urzędu coraz się zmniejsza, bo gdy udanie się do urzędu było nieraz tylko utajoném podrzuceniem, przeto urząd przyjął za zasadę udzielać pośrednictwo jedynie wtedy, gdy jest podobieństwo, że rodzice się wypłacą (1).

Dostawa przedmiotów potrzebnych dla massy ludności dochodzącéj do półtorasta tysięcy głów, na mocy prawa z roku 1799, odbywa się w drodze licytacyi. W zarządzie wsparcia na zewnątrz, każdy urząd dobroczynny oddzielnie odbywa licytacyą; w zarządzie zaś wsparcia wewnątrz przytułków i szpitali, licytacye odbywają się w jednym dla wszystkich urzędzie dyrektora generalnego. Wszakże zmieniono bezwzględne zastosowanie prawa; poznano że niepodobna jest zostawić w bezpośredniém zetknięciu się zakłady z dostarczycielami; okazała się konieczność utworzenia zakładów służby ogólnéj (*Etablissements de service général*). Zakłady te, coraz rozszerzając swą czynność, objęły prawie wszystkie przedmioty żywności i ubioru w bezpośredni zarząd (*en régie*), zostawując licytacyom dostawę samych surowych przedmiotów.

W roku już 1796 utworzono centralną aptekę, w r. 1801 założono centralną piekarnią; ta ostatnia z rąk liwerantów przyjmuje zboże w ziarnie, a mielenie i pieczenie bierze na swoją rękę i jéj chléb jest najlepszy w Paryżu; centralny sklep (od r. 1816) przyjmuje wino, a założony w r. 1849 centralny szlachtuz przyjmuje od dostawców żywe bydło, bije i rozsyła. Do odnawiania i budowania gmachów istnieje urząd budowniczy (*Agence des travaux des bâtiments*). Drób', ryby, warzywa, owoce, jaja, zakupywali na targach sami ekonomowie z licytacyi głośnéj *à la criée;* w roku 1851 ustanowiono, dla zakupna tego rodzaju produktów, dyrektora (*Pourvoyeur général*), z od-

(1) Direction municipale des Nourrices. Projet de Budget. Exercice 1859. (Odbit. litograf.).

powiednią liczbą urzędników (1). Szycie bielizny, przerabianie starzyzny na szarpie, odbywa się w przytułku *Vieillesse-Femmes;* obrzynki i okładki odsyłają się do centralnéj apteki; tłuste odpływy i obierzyny przyjmuje folwark uprawiany przez obłąkanych. Przędzalnia dla ubogich *(Filature des indigents)* len i konopie rozdaje do czesania ubogim na mieście, dla tych dostarczając zarobku, a dla szpitalów płótna. Zgłaszający się po zarobek ubogi winien złożyć poręczycielstwo właściciela domu, lub kaucyę fr. 10. Nim oddany zostanie materyał zarobkującemu, upływa zwykle kilkanaście dni od chwili zgłoszenia się jego; pierwéj bowiem urząd centralny sprawdza stan jego ubóstwa. Przędzalnia zatém nie przynosi pomocy (jak było w myśli założycieli) w chwilowym braku zarobkowania, lecz posiłkuje stale pewne odcienia ubogiéj ludności dodatkowym zarobkiem. Zarobkiem zamiataczek ulic jest cent. 70, ale za to od siódméj z rana są na cały dzień wolnemi; w przędzalni mogą zarobić cent. 50. Obok nich, najmują się do téj czynności odźwierne, staruszki, ochroniarki prywatne i t. d. Wreszcie w przędzalni liczba zarobkujących zmniejszyła się o połowę (z 3,000 na 1,500 spadła), z przyczyny, że surowiéj sprawdzać zaczęto stan ubóstwa.

Ogólny dochód zarządu wsparcia wynosi 16,224,262 fr.; prawie połowę téj summy stanowi roczny zasiłek z kassy miejskiéj (7,202,301 fr.), resztę dochód z nieruchomości i kapitałów (2,973,388 fr.), z widowisk (1,067,762 fr.), ze zwrotu kosztów za obłąkanych przez rodziny i departamenty (1,067,762 fr.), zwrócone koszta podrzutków i urzędy mamek przez departamenty (1,808,223 fr.). Zwrot kosztów kuracyjnych wynosił summę 606,281 fr. (2).

Pięćdziesiąt lat rewolucyi zerwały tu wszystkie węzły i zburzyły podstawy towarzyskie: opiekę dziedzica na

(1) Obliczenia z lat 10 pokazały, że na targu sprzedawano z wolnéj ręki jaja po fr. 48, 38, a masło po fr. 2, 29; licytacya zaś dostarczała pierwszych po fr. 53, 48, drugiego po fr. 2, 45. W r 1851 jaja sprzedawały się po fr. 42, 70, licytacya po fr. 49, 30.

(2) Compte des Récottes et Dépenses etc. du Budget de l'Exercice 1858. Paris. 1859.

wsi, w mieście cechu, zniesiono, a życia gminy nie rozwinięto. Ze wszystkiego zaś okazało się, że indywiduum równie słabe jest teraz jak i w pierwszych dniach wyzwolenia; a przekonano się, że gdy indywiduum słabe, potęga społeczeństwa jest tylko pozorną. Rząd, co pomimo swojéj niepewnéj podstawy, trafnie rozumié współczesne pytania, pojął, że praca koło odrodzenia tylko zewnętrznego, jestto stawianie gmachu na fali bieżącéj wody, przeświadczył się, że dotąd powtarzające się restauracye były tylko odrodzenia się porządku administracyjnego. Po pięćdziesięciu latach rewolucyi, cała różnica pomiędzy odrodzeniem się administracyjném a społeczném, ale społeczném w drodze prawnéj, utkwiła w umyśle teraźniejszego władzcy. Ręka, która żywioły rewolucyjne łudzi i przytłumia blaskiem sławy wojskowéj, i prowadzi do Magenta i Solferino, ona kieruje odrodzeniem się na dole, odrodzeniem się społeczném. To odrodzenie się różni się i od rewolucyjnych i od monarchii lipcowéj usiłowań, które zakładały odrodzenie się na podstawach w oderwaniu, różni się od usiłowań narodów, które wraz z odrodzeniem się łączą myśl zgniecenia innych narodowości. Tam dla odrodzenia się sięgają teraz podstawy podaniowéj, podstawy dawnego towarzystwa, ulegając zarzutom wsteczności, przez krańcowe stronnictwa czynionym (1).

Nauka i doświadczenie naprowadziły dotąd, na nieszczęście na trzy tylko instytucye: na kassę oszczędności: na stowarzyszenia wzajemnéj pomocy, i na kassę dożywotnich pensyj, jako ostatnie swe słowo.

Kassy oszczędności, oprócz założonéj w Bernie w r. 1787, nieznane przed wiekiem XIX, wprowadzone do Francyi w r. 1818, w myśl założycieli, miały być podstawą dla wszystkich obrachowań przezorności. W r. 1843 kassy wyrobnicze powierzyły im już trzysta dwadzieścia pięć milionów franków. Byłto pocieszający widok, ale w razie zaburzeń politycznych budził obawę o kredyt

(1) „Już dużo stowarzyszeń wzajemnéj pomocy" wyraża się z zadowoleniem kommissya ministeryalna „zawiązało się pod cieniem parafij; poddać stowarzyszenia pod opiekę religii, jestto wybrać co było najpożyteczniejszego i najwznioślejszego w dawnych korporacyach, które pod chorągwiami kościelnemi skupiały się, przybierając imię jednego z świętych etc.

państwa i w rzeczy samej w r. 1848 rząd, nie mogąc trzystu pięćdziesięciu pięciu milionów powierzonych kassom oszczędności gotówką wypłacić, a chcąc się wiernie uiścić, wypuścił renty w odpowiedniéj summie, co przy niekorzystnym stanie giełdowym pociągnęło stratę dla skarbu stu czterdziestu milionów franków. Prawo z roku 1853 zmieniło ten stan rzeczy: kassa przyjmuje summy do wysokości 1,000 fr. (dawniéj do 2 i 3,000 fr.), a zakres czynności sprowadzono do dwóch zadań: 1) pośredniczyć między drobną oszczędnością a rentą, stopniowo ją zakupując; 2) przechowywać oszczędności na porę braku zarobku. Kass oszczędności obecnie (rok 1857) istnieje 411, z 179 pomocniczemi wydziałami *(succursales)*. Książeczek wydanych jest 978,802; kapitał złożony wynosi 278,921,229 fr. Mających książeczkę oszczędności przypada w depart. Sekwany 1 na 5 mieszkańców, w depart. du Nord 1 na 31, w depart. Arriège 1 na 500, a na całą Francyę 1 na 36 mieszkańców (w r. 1855 było 1 na 40, w r. 1856 1 na 38 mieszkańców) (1).

Nie szukając początku stowarzyszeń wzajemnéj pomocy w gminach gallo-rzymskich, nie śledząc ich przetworzenia się w cechach średniowiecznych, powiemy, że przed XIX wiekiem istniało w Paryżu kilkanaście stowarzyszeń wzajemnéj pomocy (najdawniejsze z r. 1694 stowarzyszenie S. Anny). Do ich rozmnożenia, oprócz instytutowego ruchu klass rękodzielnych, przyłożyło się Towarzystwo filantropiczne, które obudzając ciągle pytanie o stowarzyszeniach, do ich tworzenia zachętę dawało, a w biurach swych zgromadzało obliczania naukowe. Koło roku tysiąc ośmset czterdziestego już w Paryżu było do 200 stowarzyszeń, a przeszło półtora tysiąca w departamentach.

Zadaniem stowarzyszeń jest ubezpieczyć ludność utrzymującą się z zarobku, na przypadek niedostatku, który ją na igraszkę losu wystawia; obok tego wydostać

(1) Rapport à S. M. l'Empereur sur les Caisses d'Epargne. 1856, 1857, 1858. Mnożenie kass wpływa na liczbę składających: dawniéj (1849) przy mniejszéj liczbie kass oszczędności było 1661 składających, teraz ich na kassę przypada 2,583.

wyrobnika z samotności, tworząc mu obszerną rodzinę. Od czasu jak przystąpił do stowarzyszenia, otaczają go ludzie mający interes kontrolowania jego postępowań, jego moralności, i ganienia nadużyć szkodliwych zdrowiu. Stowarzyszenia polegają nie na pomocy wyższego i zamożniejszego dla niższego i uboższego, ale na braterskiém jéj udzielaniu przez równego równemu sobie (1). W duchu tym stowarzyszenia podejmują się dawać wsparcie w razie choroby, braku zarobku, a pensye dożywotnie w razie kalectwa i starości. Niektóre stowarzyszenia przyrzekają wynagrodzenie nawet w razie kradzieży i ognia; przypuszczają do zysków z ryczałtowego zakupywania żywności, podejmując się w nią stowarzyszonych zaopatrywać. Po departamentach w razie zarazy na bydło dają wynagrodzenie, wypożyczają pomiędzy sobą małe summy, uprawiają rolę lub winnice stowarzyszonego w razie choroby jego. Stowarzyszeni uważani pojedynczo mogli być poczciwi i rządni, ale jako grono błądzili, a to dlatego, że się stowarzyszali po za obrębem kościoła, tłumacząc moralność z swobodą dla siebie. Nie przypuszczali takiego co uwiódłszy dziewczynę, następnie ją porzucił, a przyjmowali pomiędzy siebie żyjącego w nieprawym związku z kobiétą. Obliczenia były bez podstaw naukowych; zobowiązywania się wielkie a wnioski im nieodpowiednie; depozyt powierzony nie zawsze mającym dostateczną rękojmią skarbnikom, nieraz wpadał w rękę przeniewierczą.

Stowarzyszenia odosobnione i samotne, niepodlegające wyższemu kierunkowi ani kontroli, zawiązane pomiędzy wyrobnikami jednego rzemiosła, ściśle interesem wspólnym związanemi, służyły za narzędzie podczas zaburzeń politycznych i kondyktów. Mimo to podziwiano ich wpływ na rozwinięcie idei samorządzenia się i moralności, nieraz trafność w ułożeniu statutów i rządność w szafowaniu funduszami. Stan ich pod względem pieniężnym zdawał się być zagrażającym na przyszłość,

(1) Pod wpływem tego uczucia, większa część stowarzyszeń w Paryżu warowała nieprzyjmowanie członków honorowych.

obecnie potrzebę zmian, wywoływało tylko polityczne ich usposobienie.

Prawo z r. 1850, 15 kwietnia, spisane widocznie pod naciskiem obaw politycznych, przedsięwzięło nadać stowarzyszeniom inną podstawę: rozwinąć je w nowym, pozbawionym dawnych niebezpieczeństw, kierunku. Prawo to poddało stowarzyszenia pod kontrolę zrazu gmin a następnie bezpośrednio rządu, wymagało przyjęcia przewodniczącego, którego wskazuje sam cesarz, przyjmowania członków honorowych zobowiązujących się do wniosków bez prawa do wsparcia; przymusiło dawać statuta pod zatwierdzenie władz, i nie wykluczać płci żeńskiéj. Przepisało ażeby liczba członków nie przenosiła 500, żeby stowarzyszano się nie według rzemiosła, ale według miejscowości. Ograniczyło zakres działalności do samego ratowania w chorobie i do wydatków na pogrzeb, zabraniając przyrzekania wsparcia na brak zarobku; wszakże dożywotnie pensye na starość, w drodze wyjątkowéj, po przekonaniu się o uzbieranéj oszczędności zostawiło lubo i to dopiéro wtenczas, gdy spostrzeżono, że zabronienie odejmowało stowarzyszeniom największą ponętę i gotowało im upadek.

Prawo przeistaczało prywatną i samodzielną instytucyą w instytucyą rządową i zawisłą. Narzucić dawnym stowarzyszeniom nowe zasady z urzędu, byłoby im dać hasło do rozwiązania; przeto rząd, czyniąc świeże przepisy obowiązującemi dla nowo tylko tworzących się, żywił nadzieję (po części już usprawiedliwioną) że dawne dobrowolnie się im poddadzą. Dlatego zapewnił dogodności z których te tylko mogły korzystać, któreby zastosowały się do przepisów prawa i swe statuta pod zatwierdzenie władz poddały. Te ostatnie tylko, jako ciało zbiorowe, mają prawo posiadania nieruchomej własności i składania do kassy oszczędności summ wyższych nad 1,000 fr. Są one wolne od stempla i kosztów oblatowania. Koszta pogrzebu należące z prawa do gminy, umniejszono dla nich do połowy; lokal na posiedzenia daje gmina. Karta na członka stowarzyszenia służy w miejsce paszportu. Nareszcie stowarzyszenia te wyłącznie korzystają jak ze stałego zasiłku, z od-

setku od dziesięciu milionów konfiskaty dóbr po Ludwiku Filipie.

Wprowadzając zmiany, rząd otwarcie głosił zamiar wyniesienia stowarzyszeń wzajemnéj pomocy do „godności instytucyi publicznej."

Prawidła zasadnicze zapewniające równowagę pomiędzy przychodem, dają się streścić jak następuje: wysokość miesięcznéj składki winna równać się wysokości dziennego w razie choroby wsparcia; nie ma ono być udzielane na czas dłuższy od sześciu miesięcy; w razie przedłużenia się choroby, stowarzyszenie orzeka o jego wysokości i przeciągu czasu na jaki ma być wydane. Tylko wnioski członków honorowych i zasiłek od rządu, obracane być mogą na ustanowienie pensyj dożywotnich (liczbę ich spodziewają się w lat dwadzieścia podnieść do 20,000, każda od 50 do 100 fr.).

Obliczając ryczałtowo obecny stan finansowy, da się on ująć w następne cyfry: wniosek członka rocznie jest f. 12, a wydatek na lekarza, chorobę i pogrzeb f. 9, 50, zatém przewyżka dochodu nad wydatkiem (oprócz wniosków od członków honorowych i zasiłku od rządu), czyni fr. 2, 50.

Zatwierdzonych przez rząd stowarzyszeń jest 1672, liczących 201,839 stowarzyszonych i 44,160 członków honorowych. Wszystkich stowarzyszeń jest 3069; liczyły 470414 członków (w samym Paryżu stowarzyszeń 275, a 35,464 członków). W stowarzyszeniach przez rząd zatwierdzonych, jeden honorowy członek przypada na 4 rzeczywistych; w niezatwierdzonych jeden na 19tu. Stosunek na korzyść pierwszych ogromny, wywołany sztucznie przez odezwy rządu do urzędników, przemysłowców i t. d. Na południu na każde dziesięć tysięcy mieszkańców przypada 136 rzeczywistych członków; na północy, gdzie wsparcia hojniéj są szafowane, przypada 97 (1). Ograniczenie zakresu w jakim działać mają kassy oszczędności

(1) Rapport à S. M. l'Empereur sur les sociétés de secours mutuels. 1853—8. Impr. Impér. Instruction générale pour l'execution du decrét relatif aux sociétés de secours mutuels. 1852.

i stowarzyszenia, tamte wspierając tylko podczas braku zarobku, te tylko podczas choroby, uczyniło konieczném utworzenie instytucyi dla wspierania podczas starości.

Myśl utworzenia kassy dla dożywotnich pensyj na starość, objawiła się już w ostatnich latach lipcowéj monarchii; dopiéro po obaleniu jéj przyprowadzona do skutku. Kassa zasadza się na pomnożeniu odsetkiem kapitału drobnego, ale wcześnie lub stopniowo składanego, z wyrachowaniem przypuszczoném na śmiertelność. Przy obrachowaniu bierze się za podstawę: a) Odsetek składany od kapitału złożonego na stopie 4 ½ %. b) Śmiertelność przypuszczalna stosownie do wieku wnioskodawcy i wieku, od którego ma się rozpocząć dożywotni czynsz. c) Zwrot kapitału spadkobiercom, jeżeli wnioskodawca z góry to zastrzegł (ale w każdym razie bez odsetku).

Wniosek nie ma wynosić rocznie nad fr. 2000, a dożywotnia pensya nad 750 fr.; wypłata nie może nastąpić przed 50 laty, ani po 65.

Kapitał wniesiony bezpowrotnie, wynosi franków 25,098,662, z zastrzeżeniem zwrotu fr. 26,560,152, ogółem fr. 51,658,815. Liczba osób udział biorących, wynosi dotąd 81,517.

Pomimo, że zarząd działa nic nie kosztując, bo przez pośrednictwo kassy depozytów (Caisse des dépôts et consignations), kassa dożywotnich pensyj jest w niedoborze; wypłaca dożywotnie czynsze na stopie 4 ½ % od złożonego kapitału: ad od tego kapitału obróconego na zakupno renty, pobiera dochodu tylko fr. 4 cent. 40. Jeżeli nie zajdą zmiany, nie ma rękojmi, że koszt spaść będzie musiał na kredyt państwa, jak się to już stało z kassami oszczędności (1).

„Daleko jesteśmy od mety do któréj dążymy“ powiada sprawozdanie kassy dożywotnich pensyj; sprawozdanie kommissyi stow. wzajemnej pomocy wyznaje: „patrząc na tyle zakładów, tyle fabryk, tyle rodzin dla których przezor-

(1) Rapport de la Commission de la caisse de Retraites pour la vieillesse à S. M. l'Empereur 1853—8. Imprim. Impér. Guide du déposant à la caisse de Retraites pour la vieillesse etc. par Beauvisage. Paris. 1856.

ność jest jeszcze obcą, czuje się, że dużo pozostało do zrobienia: że dopiéro na początku wielkiego dzieła jesteśmy.

Przyczyny tego niepowodzenia się, czyż nie szukać w mnożeniu krępujących swobodę przepisów administracyjnych? Te pieniężne zasiłki, które udzielają się z wielkim dla państwa ciężarem a dla prywatnych z tak nieznaczącą w porównaniu potrzeb korzyścią, czy nie niweczą rozwinięcia samodzielnego ducha? Jakże dowolnie i nietrafnie wyznaczają się zasiłki rządowe: raz najwięcéj obarczonym, drugi raz najwięcéj okazującym dobrych chęci i skutecznych usiłowań! Takie chwianie się pomiędzy ostatecznościami, czyż nie jest wyrokiem potępiającym wszelkie mieszanie się rządu i jego budżetu w zarząd i fundusze stowarzyszeń (1)? Obowiązek podawać statuta do zatwierdzenia i z ramienia cesarza przyjmować przewodniczącego, nastręcza stowarzyszeniom rękojmie moralne, podnosi ich (jak tam mówią) do godności instytucyi publicznéj (jakby w prywatnéj mądrze prowadzonéj, nie miało być tyleż godności, a jeszcze więcéj zasługi); ale za to pozbawia stowarzyszenia żywotności, swobody ruchów, szybkości zawiązywania się, a w razie potrzeby i rozwiązywania: wszystkiego tego, co im zapewnia takie powodzenie w Anglii (2). Samo to pozostawienie stowarzyszeń ich własnéj kontroli i rządzeniu się, czyż nie było jednym ze środków do wtajemniczenia wyrobniczéj klassy w ideę porządku i uległości? Wprowadzenie zasady stowarzyszania się nie według rzemiosła ale miejscowości, godzi właśnie w punkt, który stanowił całą pożyteczność instytucyi. Mnożenie członków honorowych, może nadać zewnętrzną powagę posiedzeniom, ale o tyleż pozbawia je poufnego wywzajemniania się, a sztuczne ich mnożenie

(1) Il est un thermomètre, messieurs, powiedział p. Visschers na kongresie w Frankfurcie, auquel je mesure le degré de bonté ou d'excellence des établissements de prévoyance, en ne comparant toutefois que ceux de la même nature: je les trouve d'autant mieux organisés que les derniers publics, les subventions de l'Etat entrent pour une moindre part dans leurs ressources. Congrès International de Bienfaisance de Francfort sur le Mein 1857.

(2) W Anglii stowarzyszeń jest 27,000. *Mac Culloch, Account of the British Emp.*

zamiast zespalać interesa, jak było w zamiarach wydającego prawo, wyradza podejrzliwość i nieufność. Bo te stosunki wzajemności nie opierają się ani na ścisłym pewniku religijnym, ani na głębokim interesie materyalnym. Zachęta z góry i pospolite uczucie uprzejmości, słabym są bodźcem dla przyszłości. Prawo z r. 1850 utworzyło kosztowny urząd administracyjny, ale nie utworzyło samodzielnéj a zatém żywotnéj instytucyi. Kassy oszczędności okrywa skarb wszechwładnym swym kredytem, ale z jakimże czyni to kosztem i niebezpieczeństwem, a jak małym dla klass zarobkujących pożytkiem, kiedy jéj wnioski ogranicza do wysokości 1,000 fr.? Oddaniem czynności dożywotnich czynszów instytucyi już w Anglii wypróbowanéj i potępionéj, obrano stowarzyszenia wzajemnéj pomocy z największéj ich ponęty, a nie ubezpieczono starości na podstawach przystępnych i pewnych. Rozłączono wydawanie wsparcia w trzech okolicznościach, w życiu wyrobnika ściśle się łączących, któremi są: brak zarobku, choroba, starość. W pierwszym razie odesłano do kassy oszczędności, w drugim do stowarzyszeń, a do kassy dożywotnich pensyj w trzecim. Na jakąż stratę czasu, na jakie sztuczne obrachowania wystawiona dobra wola wyrobnika! Czy nie będzie on częstokroć wolał do żadnego z nich się nie udać? Namiętność pozornéj regularności, zabija najświatlejsze pomysły administracyi.

Gdzież szukać przyczyny odwagi bez granic, z którą się skarb podejmuje zobowiązań, i również bez granic niedowierzania inicyatywie prywatnéj? Jak wytłumaczyć rozdzielenie pomiędzy trzy instytucye czynności, które z natury swojéj winny być złączone? A zkądinąd czém usprawiedliwić rozdawanie wsparcia tak hojnego w mieście, gdzie ono wypada 1 na 16, kiedy na przedmieściu zaledwie 1 na 35 wynosi?

Potępienie dawnéj zasady towarzystwa (to rewolucya dostatecznie odrobiła, a już się objawia i wsteczna w téj mierze dążność), utrzymywanie obywateli w rozosobnieniu i hojne szafowanie wsparcia kosztem przemysłu zamożnych, są zwyczajnemi środkami rządu nie utrwalonego w narodzie.

Skończyliśmy o zakładach rządowych, przejdziemy do dobroczynności prywatnéj. Nie jest w zamiarze naszym kreślić czynności dawnych już znanych zakładów, ograniczymy się na czynnościach stowarzyszenia najnowszego, ale które w krótkim czasie lat kilkunastu, zajęło pierwsze w kraju miejsce.

I już był czas dla duchowieństwa podnieść głos w sprawie nowożytnéj organizacyi dobroczynności na religii opartéj. Sprawa ta przebrzmiała już po wszystkich warstwach; świeckie towarzystwo wszędzie wyprzedziło duchowieństwo. Rządy policzały wsparcie w poczet pierwotnych swoich albo gmin obowiązków. Dobroczynność świecka zagajała w połowie światowe, w połowie naukowe zjazdy; zdziwiony byłem kiedy na kongresie w Bruxelli nie ucieszyło się oko moje widokiem ani jednego kapłana; ale gdy rząd w téj sprawie miał władzę i bogactwo zasobów, a świecka dobroczynność dobre chęci i naukowe zgłębienie przedmiotu, jedna dobroczynność w murach kościołów zawiązana, mogła mnożyć zasoby odwołując się do pozaświatowego żywota, a dając jałmużnę, obok pieniądza dawać pokarm duchowny: w jéj ręku wsparcie stawało się narzędziem moralizującém. Potrzeba wmieszania się religii w tę sprawę, dawała się czuć tembardziéj, że rewolucya nadając ogromny popęd życiu materyalnemu, podnosząc godność człowieka, ukazując mu nowe prawa i obowiązki, mało co zrobiła dla podniesienia moralności.

„Zjawienie się kapłana w mieszkaniu ubogiego, spotyka obojętność, sarkanie, szyderczy uśmiech, a nieraz i obelga.... Katolicy odbywający obrządki religii w miastach Burgundyi i Szampanii, mają ułożenie bojaźliwe... są w kraju okolice, w których ustał zwyczaj uświęcania przez kościoł związków małżeńskich; po parafiach wiejskich kościół prawie zawsze pusty; na zewnątrz istnieje gdzieniegdzie jeszcze powaga dla rzeczy świętych... ale w głębi serca obojętność, na którą wszelkie usiłowania są bezwładne; zastąpiło Stworzyciela stworzenie, ubóstwia się grunt bo daje dostatek, a nieraz i słońce, że tamten zapładnia; wieśniaka całe wychowanie stanowiła religia, całą grzeczność miłosierdzie chrześciańskie; weź-

cie religią ze wsi, a pozostanie tam tylko tłum dzikich" (1).

Już więc wyraźną stała się odpowiedź, czy owo wyzwolone *ja* wytrzymało ogrom obowiązków, o które tak rozlicznemi domagało się środkami, posilkując się to pieśnią poetów, to nauką myślicieli dla obalenia starych kształtów wiary, to władzą dla wywłaszczeń i krępowania swobód, to gniewem ludu dla wytępienia klass całych.

Wyszedłem z wspaniałych gmachów urzędu miasta Paryża, postawionych na placu mającym rozległości 9,000 kilometrów, obróconych frontem na bramy ratusza z podobizną Henryka IV (któremu w sztuce prowadzenia narodu tylko dzisiejszy wielki i sławny władca wyrównać może); przebyłem naprzeciwko Tuilleries Sekwannę, po moście postawionym w kilku miesiącach, a noszącym nazwę najgłośniejszego zwycięztwa ostatniéj wyprawy włoskiéj; zapuściłem się w dzielnice miasta, których nie dotknął jeszcze młot odnowiciela, i znalazłem się w uliczce Fürstemberg przypominającéj nazwą kardynała dwora-

(1) Bulletin de la société de St. Vincent de Paul 1857—9, 3 tomy. W dziele p. Leplay: Les ouvriers de deux mondes. 1859. II. Tailleur d'habits de Paris. 190... „Il est plus difficile de rencontrer parmi les tailleurs apiéceurs un ouvrier marié que d'en trouver dix en état de concubinage .. les malheureuses qui vivent avec eux leur coutent moins cher qu'un apprenti et s'astreignent ou se laissent contraindre à un travail beaucoup plus assidu... L'immoralité est devenue dans ce cas un véritable calcul et ils ont tellement perdu le sentiment du bien qu'ils n'hésitent pas à expliquer leur position et à en faire ressortir les avantages au point de vue de leurs salaires". Zdemoralizowanie przypisuje wysokości zarobków: „on ne saurait regretter beaucoup que de salaires si élevés ne soient pas plus répandus, s'ils doivent favoriser une dépravation comme celle que l'auteur a pu observer parmi les tailleurs d'habits." Na karcie 476. „Débardeur de la banlieue de Paris. De la dépravation des moeurs et de ses effets sur le travail, les relations et les rapports d'affaires. On ne saurait croire à quel abaissement moral est descendue la population... Le mariage est presque toujours précédé de relations illicites... Des blanchisseuses, chefs d'industrie, ne se marient plus, cela lie trop. Elles prennent, pour les aider dans leurs travaux, de jeunes gens dont elles font leurs amants... Ivrognes et débauchés, les enfants n'ont aucune idée du respect envers les parents. Il faut presque renoncer à trouver l'idée du plus simple dévoir... Le vol n'inspire guère de repulsion pour ceux qui l'ont commis... A l'époque de la conscription les conscrits... ne chantent plus comme autrefois ces chansons militaires etc. ils chantent des chansons sales et obscènes... Les

ka, nie zaś wzorowego kapłana. W dziedzińcu domu pod Nr. 6 wynajduję skromne wschody; uderzenie dzwonka otwiera ciemny korytarzyk: na prawo pokoik założony stosami książek i arkuszami nieoprawnemi, które wprędce rozejdą się po całéj kuli ziemskiéj. Drugie drzwi prowadzą do pokoju zastawionego ławkami obitemi czerwonym aksamitem: tu się odbywają posiedzenia z nauką i modlitwą; na lewo kancellarya: jeden ze trzech officyalistów z natężoną uwagą aby nie uronić żadnego słowa, zaciąga do książki prośbę przy stoliku stojącego wyrobnika: z kilku słów dosłyszanych poznałem, że wyrobnik prosi o nastręczenie zarobku, bo żona i dzieci głodne o chleb wołają. Jestto główne bióro konferencyi św. Wincentego a Paulo.

Zawiązane po 1831 r. przez grono osób zajętych obroną kościoła i jego dogmatów, które w obec szerzącego się niedowiarstwa spostrzegły, że nie dość pokonywać spaczone na górze zasady, ale trzeba stawiać czoło i na dole. Dla świata uczonego szafowała się wymowa, nauka i rozgłos; tu dla mass żyjących w niedoli i ciemnocie, była potrzebna taż nauka, ale przejęta miłosierdziem i dobrym czynem udowodniona. Imion piér-

chefs des petites industries... sont plus corrompus que les ouvriers... Il n'y pas à se fier à la parole donnée... Si vous faites faire une charpente, vous serez volé sur l'épaisseur du bois etc. Il y a des travaux devenus presque impossibles... Sans doute, on serait à juste titre accusé d'exagération, si l'on ne signalait de suite qu'il existe des exceptions nombreuses.. Mais pour dire d'une population qu'elle est corrompue, faut-il attendre qu'il n'y reste plus un honnête homme? Ce qui est claire, c'est que la gangrène monte toujours" etc. O rolniczych ludnościach p. Bonnemère, Histoire des Paysans. 1856. II. 355. „La terre aux mains des paysans, c'est la vie même des sociétés livrée à la merci de l'impuissance, de la pauvreté, de l'ignorance la plus têtue et la plus persévérante: c'est toute amélioration, tout progrès rendus impossibles etc. Plus de repas, plus d'aisance, car, frappé d'une maladie que j'appelerai la maladie de la terre, chacun se prive, prive sa femme et ses enfants, travaille à en perdre repos et repas, entasse stérilement écu sur écu... Le paysan a sa terre à lui... mais il a enterré sa joie et sa vie... lorsqu'il rentre au logis après son pénible labeur, l'isolement, l'oisiveté, l'ennui y entrent en même tems etc.— Au lieu d'être, comme ci-devant, le serf du seigneur, le paysan est devenu le serf de la misère; joug non moins pésant à porter, powiada p. Cormenin, 197. Entretiens de village.

wszych stowarzyszonych z pewnością nie podają, ale w każdym razie skromnéj są sławy, wyjąwszy może p. Ozanam, pisarza drugiego rzędu, ale professora znakomitego i człowieka wysokich uczuć religijnych.

Nie tyle zawdzięcza istnienie swe zabiegom i zasługom pojedynczych ludzi, ile wypłynęło z potrzeb czasu. Rozpoczęło się po lewéj stronie Sekwany, koło Panteonu i St. Sulpice; i gdzież właściwiéj jak nie tu zawiązać się mogło? Przedmieście St. Germain zamieszkuje szlachta, która za Ludwika XIV i XV, przejąwszy się duchem dworszczyzny, straciła niepodległość i wartość moralną; ale zostając dzisiaj poza sferami rządowemi, odradza się i przedstawia świetne niektóre charakteru narodowego rysy; koło St. Sulpice skupione jest duchowieństwo: jego nieco wyłączne dążności są okupione opieraniem się na pewniku religijnym; za Luxemburgiem wśród księgarń, książnic, kollegiów, instytutu, założyła swą stolicę nowożytna nauka w pełnym blasku uroku i posługująca się językiem jasnym niemal jak promień słońca; a tuż obok ponad Sekwaną zamieszkuje aż za wyspę św. Ludwika, zarobkująca ludność, która kamienie Panteonu, byłego grobowiska Woltera, uderzając tłumnemi, straszliwemi falami, jakby zarzut czyni ze swéj coraz zwiększającéj się duszy i ciała nędzy. Połączenie czterech żywiołów: zamożności, nauki, religii, i nędzy wydało stowarzyszenie św. Wincentego a Paulo. Stowarzyszenie zawiązane między książką a modlitwą, bez funduszów i bez rozgłosu, przy mdłym płomieniu olejnéj lampy i u stóp krucyfixu, w młodzieńczym swym biegu dotknęło wszystkich blizn i wszystkich boleści tamecznego społeczeństwa, niejednemu zaradziło a nad wszystkiemi się już modliło.

„Oświecenie osobiste jest początkiem całéj pracy.... Czy możemy nawrócić ubogich środkami czysto-ludzkiemi, dając im srebro i żywność, rozumując loicznie, rozprawiając wymownie? Nie; żeby odrodzić duszę ubogiego, żeby natchnąć go wiarą, trzeba nam samym mieć wiarę.” Utrzymanie ducha religijnego w sobie samym, przywrócenie go i rozszerzenie pomiędzy massami za po-

mocą miłosiernych uczynków, to są zasadnicze stowarzyszenia podstawy.

Kilkudziesięciu stowarzyszonych, z których każdy odwiedza od 5 do 15 rodzin, składają, pod przewodnictwem prezesa, konferencyą. Kilkanaście lub kilkadziesiąt konferencyj jednego miasta lub kraju, mają nad sobą radę wyższą, za pośrednictwem któréj odbierają zwierzchni kierunek od rady głównéj, stale w Paryżu przebywającéj. Działalność konferencyj zachodzi w następnych czynnościach:

Pierwszą jest *odwiedzanie ubogich:* odwiedziny te mają na celu poznanie potrzeb materyalnych i duchownych ubogiego. Unikają one cechy prędkiego urzędowego odrabiania obowiązku, ale mają raczéj cechę poufnego, towarzyskiego z ubogim obcowania. Stowarzyszony na odbywających się tygodniowo posiedzeniach zdaje sprawę z odwiedzenia rodzin i za uchwałą wsparcie dla nich odbiera. Drugą czynnością jest ustanowienie tak nazwanych S. Rodzin *(Saintes-Familles).* „Znaczna część miejskiéj ludności, pogrążona w niewiadomości przepisów religii, żywi nieprzyjazne względem niéj uczucia: nie uczęszcza prawie nigdy na msze ani na kazania, wymawiając się to niedostatkiem czasu, to odzienia (przypominamy tu sobie w naszém mieście człowieka, który kilka godzin nieraz przesiaduje w mieszkaniu ubogiego, zanim ten wróci z kościoła w pożyczonym od niego płaszczu). Zawiązanie ś. Rodzin ma na celu podanie rodzinom wyrobniczym możności korzystania z pociech religijnych, podniesienie ducha religijnego, odnowienie zwyczajów rodziny chrześciańskiéj, obowiązanéj znać, że wszelka mądrość, dobro i pokoj zawarte są w wykonywaniu praw Boskich i przepisów religii." Ś. Rodziny biorą za wzór Boską z Nazaretu rodzinę, zawiązują się pomiędzy kilkunastu rodzinami ubogiemi, zbierają się pod kierunkiem kapłana i świeckich członków w presbiteryum lub kaplicy, słuchają mszy ś., religijnéj nauki, opowiadań moralnéj treści, przeplatanych śpiewem kantyczek, a kończących się wygrywaniem obrazków i innych przedmiotów, sposobem loteryi. *Opieka nad terminatorami* ma na celu zaradzenie jednéj z dotkliwszych miast wielkich pladze: „w Paryżu

nie ma rodziny (przytaczamy słowa sprawozdania); dzieci tysiącami stają się własnością ulic, narożników, rynsztoków, szynkowni.... Patrz na to dziecko w łachmanach, jak jest przedwcześnie zepsute, znędzniałe, wychudłe, jak grube jego obejście, uczucia i myśli." Opieka nad terminatorami zaleca podrostków majstrom; w niedziele i święta, tudzież w dni powszednie wieczorem, zgromadza je do pewnych lokalów; tam się ich uczy katechizmu, czytania, pisania i rysunków, i przysposabia do kommunii ś.; nie odmawia się im i przyzwoitéj zabawy. Z liczby 22,000 terminatorów, mających się znajdować w mieście, 4,000 są pod opieką konferencyj ś. Wincentego.

„Osoby znające zblizka stan ubogiego," powiada leżąca przed nami ustawa kassy dla wypłat komornego *(Caisse de loyers)*, „dawno już uważały, że zajście, które się najprzykrzéj czuć daje, które jest źródłem największego zdemoralizowania i nierządu, to niemożność wypłacenia w stałych terminach komornego. Drobną summę na dzienną żywność uzbiera w drodze zarobku, przemysłu lub jałmużny, przestarzałe ubranie zamożniejszych spadnie na jego plecy, ale o miejsce, w którémby wypoczął, w którémby postawił kołyskę dziecka i zatknął świętość—o to mu najtrudniéj; najnędzniejsze mieszkanko jeszcze dla niego za drogie. Z końcem kwartału przychodzą godziny smutku i rozpaczy.... rodzina w świat idzie, a jeżeli się uda do gospody *(garnis)*, kosztownego i chwilowego miejsca pobytu, traci tam uczucie porządku, obyczajności, rodzinnego węzła i zachowywanie obrządków religijnych. Jedno ustronie rodzinne wszystko to może przechować i ochronić." Ztąd zamiar założenia kassy dla wypłat komornego, dla rozbudzenia woli i pracy samychże ubogich, ażeby starali się zbierać stopniowo zasób na wypłacenie komornego, składając grosz oszczędzony w pewne ręce, a to w celu zapobieżenia użyciu go na mniéj nagłe potrzeby.

Kassa wypłat komornego przyjmuje od 50 cent. do 150 fr. a przyrzeka w drodze premium 15%. Rachunki zamykają się z ostatnim dniem kwartału, rozpoczynając się z dniem ósmym następnego miesiąca. „Środek ten, powiadają założyciele, podaje dłoń pomocy i nie przyczy-

nia się do opieszałości; owszem, rozbudza jeszcze energią do zarobkowania."

Książka treści moralno-religijnéj jest rzadką; książka przystępnie napisana o moralności wątpliwéj tanio się sprzedaje i jest w ręku wszystkich. Zaradzając złemu, stowarzyszenia rozrzucają kalendarze dla rolnika, dla żołnierza, dla rękodzielnika, rocznie w liczbie przeszło dwukroćstutysięcy egzemplarzy. Książki do czytania *(Petites lectures)* rozchodzą się we Francyi w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy; w Strasburgu tłumaczą je dla Niemiec, w Chambery dla Włoch; Dublin dostarcza dla Irlandyi i Anglii. Nie poprzestają na swoich drukach: zakładają biblioteki, z których trzy razy na tydzień rozdają do czytania książki. Stowarzyszenia pozaprowadzały kotły oszczędnicze *(fourneaux économiques)*, które ułatwiają korzystanie z ryczałtowego kupna żywności i oszczędzenia paliwa, spożywanego niemal zarówno przy większéj lub mniejszéj ilości gotowanéj strawy. Wystawiły już kilka przytułków dla starców: zwiedziliśmy dom Nazaretański *(de Nazareth)*: powierzchowność skromna, jak przystoi na chrześciański przytułek. W prawym jego pawilonie mieszczą się kotły oszczędnicze, na górze biblioteka; w pawilonie przeciwnym kapliczka i sale dla terminatorów: w korpusie mieszkają starcy (1).

Ze wszystkiego co poprzedza, widać, że pomysły stowarzyszenia nie biją w oczy ani nowością ani praktycznością; bo co to są za rodziny, za gminy, oparte na rozmowach i loteryach? Co to za instytucye kredytowe, które 15 do 20 odsetku płacą na kwartał? W każdym cyrkule od kilkudziesięciu lat biblioteki z krociami książek stoją otworem. Oszczędnicze kotły Towarzystwa filantropicznego, kopcące się oddawna na ulicach miasta, dowodzą, że nie stowarzyszeniu S. Wincentego pierwsza myśl tego zakładu należy; mniejsza o to. Nie pozór to nowości i praktyczności zastanowienia godny: to duch w którym są zakładane, to zapał klass oświeconych, zaufanie ubogich z jakiém są przyjęte.

(1) Reglement etc. Notice pour aider à l'établissement des Saintes Familles. 1858. Caisse d'Economie pour les loyers etc. 1859.

Każdego obywatela, jakiegokolwiek byłby on stronnictwa i usposobienia ducha, stowarzyszenie zdoła pociągnąć do swych czynności; każdy bowiem znajdzie w niém odpowiednie swemu przekonaniu zajęcie. Duchowieństwo uwielbia ścisłą uległość władzy dyecezalnéj, rząd widzi rękojmią porządku, przemysłowiec przysposobienie czeladzi; dawnéj szkoły filantrop uśmiecha się zadowolniony, widząc z jakim mozołem stowarzyszeni pilnują dzieci po szkółkach elementarnych; ekonomista podziwia, że nowożytne tajemnice swobód narodowych i stowarzyszenia są tak światle pojmowane i tak wielką w nich konferencye pokładają nadzieję.

Jedną także z przyczyn powszechnego uwielbienia jest, że nie odrazu określonym prawidłom ulegają, ale zastosowują się do krajów i chwilowych potrzeb. Przeto obok głównych zajęć, stowarzyszenia mnożą szeregi przedsiębierstw (Oeuvres). Przy kąpielach i cieplicach zakładają przytułki dla ubogich, a dla wszystkich rozdawnictwo książek pożytecznych. Obrońca ubogich w pokrzywdzeniu ich przed sądem staje. Gdy rocznie w Paryżu siedm tysięcy głów rodziny odumiera, tylko trzy tysiące zawiązuje się rad familijnych; stowarzyszenia zaradzając złemu, tworzą dobroczynne, ale ściśle w myśl prawa, rady familijne; dla dorosłych dzieci zaprowadzają szkółki wieczorne. Gdzieś w środkowéj Francyi stowarzyszenia łapią podczas jarmarków dzieci kuglarzy, uczą ich katechizmu i czytania; dają nagrody gospodyniom utrzymującym w ochędóstwie dom i dzieci. W przyreńskich prowincyach, jakby zastępując dawnych dziedziców, wypożyczają zboże do siewu, i warują ażeby rzemieślnik uprawiał choć szmat ogrodu pod warzywa. W Londynie dzieci ujęte za włóczęgostwo i drobne występki, w każdym niemal dniu są stawiane przed sądy policyjne: stowarzyszenie wysyła członka, który przed zapadnięciem wyroku dzieci katolików (rozciągnąć opiekę na inne wyznania możność jego przechodzi) wybawia od dotknięcia się progów więzienia, umieszczając je w przytułkach lub osadach poprawczych. Wszystko to jest przejęte uczuciem religijném, podniesieniem serca do Boga, uduchownieniem ży-

cia, czy to przez nabożne rekollekcye, czy przez wzniosłe rozpamiętywania, wreszcie dalekie nieraz aż do Ziemi św. pielgrzymki, lub do poblizkiego obrazu cudownego i słynnego w dziejach narodu miejsca (1).

Oparte na takiém założeniu, stowarzyszenia szybko rozwinęły się w mieście, następnie po całéj Francyi, z Francyi przeszły do Anglii, Włoch, Niemiec, i doszły aż do W. Ks. Poznańskiego (2); zaniesione zostały do Ameryki, do wysp Antylskich i do Azyi. Rada główna ma pod sobą w samej Francyi 22 rad wyższych; w Belgii liczy się przeszło 400 konferencyj, w prowincyi Flandryi konferencye odwiedzają do 8,000 rodzin; w prowincyi Henaut mają pod opieką 12,000 osób.

Na widok zapału z którym się skupia ludność koło stowarzyszenia ś. Wincentego a Paulo, na widok trafności, a poniekąd potęgi usiłowań, na widok pewnika religijnego na którego podstawie odbywają się (bo stowarzyszenia otwarcie głoszą, że ich posłannictwo jest nowożytny kształt apostolstwa), na widok jeszcze świeżości natchnienia i nowości zasad (bo dla ludu religia jest tam nowością), już się nie jeden we Francyi pyta, czy nie jest to ostateczny odrodzenia się środek. Nie: narody, ani od jednego pociągu pióra, ani od jednéj przegranéj bitwy giną, ale także i nie odradzają się pojedynczém usiłowaniem, ani pod samotném hasłem.

(1) A pod natchnieniem tych uczuć jakże pobożne i wzniosłe odbywają się czyny! „Jeden z członków odwiedzający podupadłą rodzinę, nie chcąc ażeby sąsiedzi jéj stan ubóstwa poznali, wieczorem przynosił jéj wsparcie na najwyższe piętro, zostawując obuwie na dole. Inny na prowincyi dowiaduje się, że ojciec rodziny odbiegł ją dla ukrycia w Paryżu swoich nałogów i ubóstwa; pobożny członek goni za nim, ale wyrobnik stolicę opuścił; ściga go na prowincyi od miasta do miasta: kilkaset mil przebiegł, niżeli go wynalazł. Tknięty urokiem poświęcenia wyrobnik powraca do rodziny i staje się odtąd wzorowym ojcem. Postępowanie to ileż oszczędziło kosztów towarzystwu, a może i gończych listów i kosztów więzienia. Do przemysłowego miasta przybyła liczna rodzina z Niemiec: ojciec, matka, dzieci, wszystko dotknięte zaraźliwą chorobą skórną; szukających zarobku wszędzie odepchnięto, wszędzie robotnicy w warsztatach oświadczyli, że wolą je porzucić niż pracować wspólnie. Rodzinie pozostawało umierać z głodu, ale stowarzyszenie bierze ją pod swoję opiekę, leczy i w kilku miesiącach przyprowadziwszy do zdrowia, oddaje towarzystwu ludzkiemu" i t. d.

(2) Stowarzyszenie ma tam na czele Damę pełną ponęt świątobliwości.

W roku 1848, kiedy postępowanie domu Rakuskiego, wywołując krańcowe stronnictwa, zmusiło Ojca ś. oddalić się do Gaety, ktoś przed nim utyskiwał na bezwładność Francyi, smutnie rokując o jéj przyszłości. „Miejmy dobrą otuchę o narodzie, rzekł Ojciec św., który w jednéj ćwierci wieku wydał takie dwie instytucye, jakiemi są Stowarzyszenie rozszerzania wiary, i Stowarzyszenie ś. Wincentego a Paulo."

Miło nam zdać sprawę z odbytéj podróży: kilku słowami streścić miesięcznych poszukiwań wyniki. Widzimy, że żywioły które niweczą człowieka, postępują skorzéj, niż które go wzmacniają; że koniecznym towarzyszem ludności o zarobku żyjącéj jest wsparcie (1); że ani prywatna dobroczynność, czy to pod natchnieniem świeckiém, czy religii, ani urzędowe wsparcie (2), nie stoją na wyłomie niebezpieczeństw społecznych (3); że jak jedne tak i drugie winny być uznane złem bezwzględném ale koniecznem. Że najhojniej i najmądrzéj szafowane wsparcie o ile chwilowo mało zmniejsza nędzę i niedolę, o tyle w następstwie najzgubniejsze sprowadza skutki; że tylko prywatna dobroczynność, nie pogardzająca nauką i cyfrą, ale przejęta, owiana, uduchowniona przez surowe i miłosierne uczucie religijne, jeżeli nie znosi rozpaczliwych

(1) La nation belge comprend environ 908,000 familles, parmi lesquelles celles des ouvriers salariés comptent pour 446,000. Sur ce dernier chiffre, 226,000 ou plus de la moitié, figurent sur les régistres des bureaux de bienfaisance. Ducpétiaux. La question de la Charité. 1858.

(2) Depuis soixante ans que l'administration de l'assistance publique à domicile exerce son initiative (we Francyi), on n'a jamais vu un seul indigent retiré de a misère. Au contraire, elle constitue souvent le pauperisme à l'état héréditaire. De Watteville. Rapport adressé au ministre de l'Intérieur sur l'admin. des bureaux de bienfais. Tous ces millions qu'on répartit annuellement (w Belgii) n' ont pas reussi jusqu'ici à tirer une seule famille de la misère, et on trouve aujourd'hui inscrits sur la liste des pauvres les arrière petits-fils de ceux qu'on y rencontrait il y a plus d'un siècle. Ducpétiaux, La Question de la Charité. 38.

(3) Les distilleries, en Belgique, fournissent annuellement 26,800,000 litres de genièvre qui, répartis entre un million de consommateurs adultes, appartenant pour la plupart à la classe laborieuse, absorbent une somme de beauconp supérieure a celle de toutes les ressources de la charité publique. Ib. 265.

następstw, to je umniejsza i łagodzi; że korzyść wsparcia wydanego bez światła, bez modlitwy, bez westchnień, bez łez, bez miłości, bez pokory, bez umycia nóg ubogiego, trwa tylko tyle, co dźwięk rzuconego na stół metalu; że wsparcie pod bezpośrednim kierunkiem rządu, w zagrażający sposób do zwiększenia dąży, a to pod naciskiem politycznych obaw; że doświadczenie uczy pozostawić zarząd organom o ile można zbliżonym do klassy ubogiéj, czy to gminom, czy też prywatnym gronom; że o ile się oddala od téj zasady, o tyle przechodzi z odcienia prywatnéj dobroczynności do urzędowego wsparcia; że zarząd administracyjny wsparcia, jest tylko na pozór oszczędny i trafny, ale w rzeczy saméj najhojniejszy, do którego da się zastosować przysłowie angielskie: *penny wise, pound foolisch*, a najmniéj trafny, bo ścisłość przepisów administracyjnych nieraz nie ugnie się przed niedolą (jest to wyznanie urzędnika wsparcia, najbieglejszego jakiego ten kraj posiada); że jedynym środkiem umniejszenia potrzeby wsparcia, jest oświecenie dla obywatela, rozwinięcie samodzielności dla gminy, a swoboda dla stowarzyszeń; że nakoniec zarządy i stowarzyszenia oparte być winny na jednolitém połączeniu się wszystkich warstw społeczeństwa.

Jeżeli przeto wieku naszego zadaniem jest rozwiązanie średniowiecznych węzłów, do niego także należy zawiązanie nowych potężniejszych, bo i dawne zastąpić powinny i walczyć z nowością, zdradliwym nie raz sprzymierzeńcem, a to dla poparcia sprawy ludu, którego interes jest bodźcem tylu dusz i czynów w naszym kraju, a na świecie tylu przewrotnych usiłowań pozorem.

Pisałem w Poznaniu,
d. 9 listopada 1859 r.

PO WYSŁUCHANIU SYMFONII

DOBRZYŃSKIEGO.

Wielki mistrz zagrzmiał niebiańskiemi tony,
Jakie na ziemię znoszą mu anieli;
Lecz czyż tą pieśnią duch wasz był ockniony,
I czyście pieśń tę jego zrozumieli?

A przecież do was i słowy waszemi
Grzmiał, śpiewał, płakał, mówił mistrz wybrany;
Aby choć chwilkę na téj bożéj ziemi,
Został przez bratnie duchy zrozumiany.

Czyliż nie dla was braci śpiewał słowa
Odwiecznéj pieśni, tyle dla was świętéj,
Z żywotem waszym wszczętéj i zrośniętéj
Któréj i cisza nie stłumi grobowa?

Czyż tego ducha nie śpiewał tajnice,
Jako śród szczęścia i bolów się miota;
A jak głębokie w téj pieśni skarbnice,
A w tych skarbnicach stara wasza cnota?

I czyż pieśń także nie mówiła tego:
W tych starych skarbach szukajcie zbawienia;
Bo obce dary marnie was odbiegą,
A pieśń się wasza nigdy nie odmienia?

Czyż duch się wznosząc téj pieśni głosami,
W każde jéj wieczne wsłuchując się słowo,
Martwém się tylko uniesieniem mami,
I próżno słyszy przyszłą pieśń godową?

O! Bóg wszechmocny, wiecznie płyną dzieje;
Mistrz tonów stał się wieszczącym na ziemi,
Jak on uderzmy strunami wszystkiemi
I dla nas słońce i szczęścia koleje.

WSPOMNIENIE

ś. p.

JANA KONCEWICZA.

Rok dopiéro co upłyniony, grubą pokrył żałobą przyjaciół oświaty ojczystéj, bo wkilku zaledwie ostatnich jego miesiącach, straciliśmy w tym grodzie pięciu dobrze zasłużonych mężów, którzy i pismem i słowem nie mało się przyłożyli do kształcenia następującego po nas pokolenia. Zaledwie rzuciliśmy garść ziemi na zwłoki zacnego Floryana Zubelewicza, aliści nie zadługo opłakiwać nam przyszło zgon Teofila Rybickiego, Szymona Pisulewskiego, Jana Koncewicza, i świeżo znowu nieodżałowanego Jana Piwarskiego.

Zmniejszającemu się gronu pozostałych kolegów na niwie oświaty krajowéj w wspólnym celu, w jednym czasie pracujących, tkliwy pozostaje obowiązek oddania hołdu zasłudze zmarłych, przez wykazanie główniejszych rysów ich żywota naukowego; a rzecz ta tém jest potrzebniejsza, że stanowić kiedyś będzie materyał do ważnych dziejów dzisiejszego okresu oświaty narodowéj.

Mając przedstawić obraz życia jednego z powyżéj wymienionych professorów, tojest Jana Koncewicza; ze względu moralnego znakomicie mamy to zadanie ułatwione, bo koledzy jego jeszcze znajdują się między nami, a wielu odznaczających się już na polu literackiém z młodszego pokolenia, do uczniów jego należało; w obec więc takich świadków, na żadną przesadę częstokroć nadużywanych pochwał przy oddawaniu czci zmarłym, nie podobnaby się odważyć; co właśnie dla zamierzającego kreślić wyrazy prawdy, gdy nie spodziewa się spotkać zaprzeczenia, jest rzeczą zachęcającą.

Jan Koncewicz urodził się dnia 12 maja 1795 roku w mieście Łomazach, obwodzie bialskim byłego województwa podlaskiego. Oddany tamże do szkół normalnych w r. 1807 przeszedł do gimnazyum w Biały, w którém do r. 1814 zostawał, a następnie ukończył szkoły jako uczeń klassy szóstéj b. Liceum warszawskiego. Wyższe ukształcenie pobierał w b. Uniwersytecie warszawskim, w którym sposobiąc się do zawodu nauczycielskiego, uczęszczał na wydział matematyczno fizyczny, i otrzymał stopień magistra filozofii. Tu zaczyna się jego służba rządowa: w roku bowiem 1820 został mianowany adjunktem preparatorem przy katedrze chemii w b. Uniwersytecie warszawskim, w roku zaś 1821 powołany był na nauczyciela szkoły wojewódzkiéj w Kielcach, a w r. 1823 otrzymał patent na prefessora przy tymże zakładzie naukowym.

W tym czasie rząd Królestwa pragnąc w kraju obok usposobienia uniwersyteckiego, dać możność ukształcenia się i do zawodów praktycznych, przemysłowych, na nauce opartych; postanowił zaprowadzić szkołę politechniczną, a na przyszłych professorów téj szkoły wybrać właściwych magistrów b. Uniwersytetu, którzy kosztem rządu do celów szczegółowych wskazanych, mieli się usposobić zą granicą. Między innemi w gronie wysłanych w r. 1825, znajdował się i Koncewicz, który obeznawszy się praktycznie z chemią techniczną, zastosowaną do rolnictwa, a wszczególności z gorzelnictwem i piwowarstwem, w Niemczech, Anglii i Francyi; w r. 1829 powrócił do ojczyzny i został powołany na professora b. szkoły przygotowawczéj do Instytutu politechnicznego: ta bowiem przed powrotem wszystkich przyszłych uczących była naprzód ustanowioną.

Po roku 1830, przez krótki przeciąg czasu zostawał w obowiązkach prywatnych, a w roku 1833 powołany znowu został na nauczyciela b. szkoły wojewódzkiéj w Łukowie; nie przyjąwszy jednak tego miejsca, pełnił obowiązki professora przy gimnazyum imienia Zamoyskich w Szczebrzeszynie, zkąd w roku 1835 przeniesiony został na professora b. gimnazyum gubernialnego w Kielcach; ostatnią zaś służbę od r. 1841 wykonywał jako

nauczyciel nauk technicznych gimnazyum realnego w Warszawie, którą to posadę w r. 1852, wysłużywszy całą płacę emerytalną, opuścił.

Oto jest spis w porządku czasu, danych, zawodu publicznego nauczycielskiego, zgasłego naszego kolegi; znany on był ze ścisłego wypełniania swych obowiązków, co też i przez rząd ocenione zostało, jak świadczy reskrypt namiestnika królestwa z r. 1823, zawierający podziękowanie za gorliwość w służbie. Jakkolwiek mozolne obowiązki nauczania, wiele czasu mu zajmowały, nie odmawiał jednak nigdy i gdy szło o pracę dla dobra ogółu, i innych ubocznych: należał bowiem do rozlicznych komitetów, już to jako professor nauk technicznych, już też jako członek rady przemysłowéj przy Kommissyi Rządowéj Spraw Wewnętrznych i Duchownych istniejącéj; a wezwany w ostatnich czasach, przyjął udział w redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Kto zna zajęcia sumiennego professora nauk technicznych, który obok wykładu ustnego, objaśniać rzecz swą musi na większą skalę wykonywanemi doświadczeniami, często długiego czasu wymagającemi, a oprócz tego ma i inne różne zatrudnienia rządowe nadobowiązkowe; ten łatwo pojmie, że takiemu nauczycielowi mogłoby niedostawać czasu do prac ubocznych, piśmienniczych, a jednakże mimo to ś. p. Koncewicz pozostawił po sobie następujące dzieła naukowe:

1. Rozprawa: „O potrzebie ścisłego stosowania się w budowaniu domów do klimatu i natury używanych materyałów, celem zapobieżenia tak powszechnemu dzisiaj zimnu i wilgoci w mieszkaniach. Kielce 1836 r."

2. „Praktyczny wykład sztuki gorzelniczéj przez Jana Koncewicza professora Gimnazyum Realnego w Warszawie, w drukarni Piotra Baryckiego 1841. Tom jeden str. 348, z 3 tablicami rycin."

Wdziele tém, na zasadzie naukowéj, rozwiniętą jest szczegółowo cała nauka gorzelnicza, zastosowana tak do wypalania wódki ze zboża jako też i z ziemniaków, z przydaniem bardzo ważnego rozdziału, który jako dodatek uważaćby można, tojest o drzewie pod względem wartości jego opałowéj, o węglu, torfie i t. p.

3. „Piwowarstwo w całéj obszerności praktycznie wyłożone, przez Jana Koncewicza. z 10cią tablicami rycin. Warszawa w drukarni Józefa Tomaszewskiego 1847. Tom jeden str. 326.“

Wdziele tém oprócz jasnego wyłożenia tak teoryi jak praktyki warzenia wszelkich gatunków piwa, także autor wykłada jakby dodatek, rzecz o konieczności oszczędzania opału, o narzędziu zwaném cukromierz, dochodzeniu dobroci piwa i t. d.

4. Przez cały rok 1842, pełnił Koncewicz obowiązki redaktora odpowiedzialnego, znanego czasowego pisma, pod nazwą Roczniki Gospodarstwa Krajowego.

Nie jest naszym zamiarem rozbierać szczegółowo pomienione dzieła, ani nawet dawać obszerny wykaz zawartych w nich przedmiotów, bo to wszystko przechodziłoby zakres niniejszego wspomnienia; dodamy tylko, że kto znał naszą literaturę gorzelniczą i piwowarską przed ukazaniem się pism Koncewicza: ten przyznać musi, że w swym czasie prace takie techniczne, oparte, powtarzamy, na nauce, jeszcze wtenczas nie zbyt upowszechnionéj, były ważnym dla kraju nabytkiem.

Ostatnie jeszcze słowo, lubo o rzeczy nie należącéj do dziedziny życia publicznego, niech nam wolno będzie powiedzieć o Koncewiczu: życie jego prywatne odznaczało się wszystkiemi przymiotami człowieka wykształconego i uczciwego; przy rzadkiéj łagodności, wyrozumiałości i rozsądku, przebaczał łatwo urazy niekiedy z krzywdą swoją połączone: nie szukał zaś nigdy, nawet w rzeczach literackich strony ujemnéj, ale chętnie zalety istniejące wykazywał, sam bowiem pracując, umiał pracę szanować. Tym sposobem zjednał sobie powszechny i trwały szacunek, tak uczniów jak kolegów.

Pamięci takiego człowieka, zgasłego w dniu 30 sierpnia r. z. poświęcamy te kilka wyrazów, jako hołd oddany zasłudze, oraz nauce i poczciwości, co wspólnie połączone, niezaprzeczenie nadaje prawo do zaszczytnego wspomnienia późniejszych pokoleń.

J. Bełza.

KRONIKA LITERACKA.

Dwie kaplice Jagiellońskie w katedrze krakowskiéj, opisał Józef Muczkowski professor i bibliotekarz uniwersytetu Jagiellońskiego. Z czterema rycinami. Kraków. Czcionkami „Czasu". 1859. W 8-ce. Stronnic 79.

Nieodżałowanéj pamięci przezacny a wielce uczony professor i bibliotekarz krakowski Józef Muczkowski, poświęcał po większéj części gorliwe swo prace ku zbadaniu i wyjaśnieniu dziejów uniwersytetu Jagiellońskiego. W ciągu atoli mnogich około tego dochodzeń, natrafiał liczne i coraz nowo występujące ślady i dowody, rozwoju sztuk pięknych w odległych już czasach w Polsce, zwłaszcza zaś w Krakowie. Zwrócił więc ubocznie i w tym kierunku pilne swe badania, a pierwszym onych owocem miało być dzieło, które tu właśnie ocenić przedsiębierzemy. Niestety, z niepowetowaną dla nauki szkodą, w pośród ponawianego przeglądu zabytków sztuki w jednéj z kaplic katedry krakowskiéj, zaskoczyła go śmierć nagła, ostateczne dzieła wykończenie przerywająca, a pozbawiająca nas w badaniach téj odległéj sztuk krajowych przeszłości, pracownika rokującego bezwątpienia nadal plony niepospolite. Lubo nie wykończone dzieło, zawiera przecie ważne postrzeżenia, z sumiennością dokonane pomników opisy, sądy mniéj więcéj trafne i uzasadnione. Ogłoszenię więc jego, jakiém się po śmierci pisarza znalazło, wielce staje się pożyteczne i pożądane, w czém téż spadkobiercom uczonego męża należy się wdzięczność, a istotnéj zasługi uznanie. Zobaczmyż bliżéj, o czém ta pogrobowa książka poucza.

Trzy głównie przedmioty treść onéj stanowią: pogląd wstępny na średniowieczną sztukę krajową, opis dwóch Jagiellońskich

kaplic katedry krakowskiéj, w końcu badanie dawnych wizerunków Jagiełły i Jadwigi. W ciągu rozprawy potrącając o różne szczegółowe przedmioty, znajduje pisarz pole do czynienia mnogich w mniemaniu swém sprostowań, zdań i sądów przez innych starożytników objawionych, gdzie i nam zwłaszcza znalazła się niejednokrotna nagana. Wszystko to ku wyjaśnieniu prawdy, a ztąd rzetelnéj dla nauki korzyści, bliżéj nam rozebrać i przedstawić z kolei wypadnie.

Że za błogich Kazimierza W. rządów, przy wzroście przemysłu i handlu, a z nich wynikającéj zamożności, zakwitły takoż w Polsce i sztuki nadobne, poucza o tém współczesnego kronikarza podanie. Król zdobił zamek krakowski w okazałe gmachy, wieże, rzeźby i malowidła; wznosił po kraju pyszne świątynie, a upiększał je ozdobnemi rzeźby i malowaniami, uposażał w kosztowne sprzęty, kielichy złociste i mnogie księgi. Pobożni i zasobni Krakowianie, przydaje autor, wstępowali w wielkiego króla ślady, a taka dążność wzrostowi sztuk pięknych sprzyjała. Mógł też dołożyć, że zabytki malarstwa z tego okresu choć nader rzadkie, dochowują się przecie jeszcze obecnie, że malarstwo na szkle znacznie już wtedy było uprawiane. Pod Jagiellonami, powiada daléj, doszły sztuki do wysokiego doskonałości stopnia. Pierwszy z nich Władysław sprowadzał ruskich malarzy do malowań w stylu greckim na krakowskim zamku i łysogórskiego kościoła. Miał też nadwornego malarza Wężyka, co wizerunki królewskie i różne zdarzenia malował. Że były współczesne jego portrety, wątpić o tém nie można, bo wiemy nawet o jednym, co go przed ślubem dostała Jadwiga. Żeby który z nich, jak to mniemano, dochowywał się długo późniéj a nawet i teraz, przeczy temu autor zupełnie. Przywiedziony był w Przyjacielu Ludu wizerunek Jagiełły, w Nowym Sączu w klasztorze niegdyś norbertańskim znajdujący się, a r. 1409 jakoby malowany; podał także o nim podobną wiadomość uczony Sobieszczański. Idąc za tém twierdzeniem i my powtórzyliśmy to zdanie. Przygania temu pisarz, gdy ten obraz, jak mówi, w napisie oznacza datę fundacyi klasztoru, nie zaś malowania portretu, że co większa, nie jest on wcale do Długoszowego opisu króla podobny; lecz z twarzą okrągłą, z gęstym czarnym włosem, takąż brodą i wąsami, co rzeczywiście nieprawdziwość a zatém niewspółczesność wizerunku zdradza. Był dawniéj w kaplicy ś. Kazimierza katedry krakowskiéj przy grobowcu Jagiełły obraz starożytny, fundacyi akademii z wyobrażeniem Jagiełły i Jadwigi. Ten obraz opisany

przez Pruszcza a wspominany przez Mączyńskiego, braliśmy za równoczesny królowi. Karci nas i za to Muczkowski, twierdząc, iż gdy na nim wyobrażony był ś. Jan Kanty r. 1473 zmarły, przeto obraz za czasów Jagiełły nie był wykonany. Gdy ten szczegół nie mógł nam być wiadomy, nie ma w tém i winy naszéj; zawsze obraz ów wedle dziś znanego zeń drzeworytu, sięga widocznie dawnością drugiéj wieku XV połowy.

Mniéj uległe zniszczeniu, dotrwały do naszych czasów przepyszne z tamtych wieków malowania rękopismowe. Z prac tego rodzaju przywodzi pisarz kilka co znamienitszych: Decretalium liber w archiwum kapituły krakowskiéj z obrazkiem koronacyi Kazimierza W.; z drugiéj połowy wieku XV kantuały i nokturnały w Mogile Cystersa Mikołaja; z końca tegoż wieku księgi przez księdza Jana Złotkowskiego illuminowane; Ustawy cechów krakowskich Baltazara Bema z r. 1505; równoczesny pontyfikał Erazma Ciołka z obrzędem koronacyi króla Alexandra i jego żony; wreszcie rodnik Szydłowieckich z ich wizerunkami z r. 1531. Te wszystkie malarstwa zabytki, przy zawiązaném już na początku wieku XV bractwie malarskiém w Krakowie, a szeregu dość zasobnym znanych z tamtéj epoki nazwisk malarzy, jawnym są dla pisarza dowodem, że sztuki piękne wtedy w znamienitym były u nas rozwoju. Malowania w księdze Bema różnéj są widocznie ręki, a tylko na jednym obrazku odlewników jest podpis wyraźny: Stanislaus de Cracovia. Na tymże obrazku, jako też na innym garbarzy, umieścił artysta pieska białego, pudla do połowy ostrzyżonego z kiciastym ogonem. Podobny pudel znajduje się na dwóch obrazkach pontyfikału Ciołka obrzędów koronacyjnych; równie w rodniku Szydłowieckich obraz naczelny przedstawia także, jako uboczne przyozdobienie błazenka bawiącego się z pudlem. Owoż z tego wszystkiego wnosi Muczkowski, że te pudle są znamieniem malarza, nazwisko jego Hund przedstawiającém; a popiera to swe mniemanie tém, iż w Niemczech byli uczeni Hundtowie, w ostatnich zaś czasach znany Hundt Radowsky. Domysły te jego przecie nie wydają nam się uzasadnione; raz, że w robotach malarskich trzech dzieł przerzeczonych zbyt wielki jest odskok pod względem sztuki, a przestrzeń czasu pomiędzy niemi nie mała, żeby je temu samemu artyście przypisywać przypadało. Nadto, co już do saméj nazwy, nie przychodzi jéj w pomoc żaden inny ślad miejscowy, rodzina zupełnie nie naszego kraju; jest też to dla nas wcale nieprawdopodobném, ażeby artysta podpisujący się Stanisławem z Krakowa,

był Niemcem a nie Polakiem. Gdy w opisie obrazków koronacyi króla Alexandra wyraziliśmy, iż te pieski tam w pośród kościoła rozłożone, jak niemniéj jakiś szatanek z góry przypatrujący się obrzędowi, były prostą fantazyą malarza, nie rzadko w tworach tamtoczesnéj sztuki natrafiać się dającą; zdanie to nasze potępia pisarz, lubo, jak mniemamy, wbrew oczywistości wcale niezasadnie.

Że obok malarstwa zakwitła wtedy w Polsce i rzeźbiarska sztuka, dowodem są pisarzowi wspomnienia o tego rodzaju robotach za Kazimierza W., dochowana wiadomość o rzeźbiarzu Mikołaju, tudzież, że Stwosz był starszym cechu połączonego malarzy z artystami innymi. Mógł był atoli zasilić się w dowodach, mając pod okiem pomniki grobowe Łokietka i Kazimierza W., a znajdując poczet niepospolity okazałych rzeźb w kamieniu i drzewie, w uczoném dziele Sobieszczańskiego przywiedzionych, po kraju licznie rozsianych, twory Stwosza poprzedzających. Przydajmy, że do miary tamtoczesnéj sztuki nie należało pominąć i przemilczéć złotnictwa, tak szczególnie odznaczonego w wyrobach części strojów, rzędów, naczyń stołowych, a zwłaszcza kościelnych, owych przecudnych relikwiarzy, krzyżów, monstrancyj, kielichów i t. p.

Z kolei przystępuje autor do opisu dwóch Jagiellońskich kaplic, które powiada, były niegdyś bogatym skarbcem zabytków średniowiecznéj krakowskiéj sztuki, za czasem przez ludzką niedbałość w znacznéj części uronionych lub zniszczonych. Starsza z nich, dzieło pobożności królowéj Zofii, czwartéj Władysława Jagiełły żony, założona była r. 1431, a bogato przez fundatorkę opatrzona; atoli z dawnego jéj blasku nic dziś nie pozostaje, gdy ją niedawnemi czasy do szczętu przerobiono. Słusznym przejęty żalem narzeka pisarz, jak zatarto lub wyrzucono pierwotne przybytku ozdoby, jak nie szanując pamięci czcigodnéj fundatorki, téj Jagiellońskiego szczepu matki, nagrobek jéj z muru wydarto; jak samo poważne dla starożytnego styłu wnętrza wejrzenie, w nieudatne przedzierzgnięto niby bawialni przystrojenie. Z dawnych więc tylko biskupich wizyt poucza nas co tu przedtém było: ściany całe pokryte malowaniem stylu greckiego, w kwieciste barwy i postacie różnych obrządku wschodniego doktorów; w ołtarzu głównym pięknie na drzewie malowany obraz ś. Trójcy; w ścianie wpuszczony nagrobek kamienny pogrzebanéj tu królowéj; poziom cały zasłany wielkiemi grobowemi płyty, z których jeden ze spiżu ulany; cudownéj roboty pulpit; wreszcie przepyszne ornaty i okazałe rzeźbą zdobne srebrne wyzłacane naczynia.

Kaplica druga fundacyi Kazimierza Jagiellończyka i jego żony Elżbiety, dochowała się szczęśliwiéj; zostaje téż, jak to gdzieindziéj już zauważaliśmy, żywotną przedstawicielką a poniekąd miarą smaku i sztuki w tamtym okresie. Stała się więc dla Muczkowskiego szczególnym celem nad wyraz pilnego badania. Opowiedziawszy w wszelkich szczegółach jéj średnio-gotycką architekturę, opisuje następnie piękne greckie malowania ścienne, przez malarzy ruskich wykonane, umiejętnie objaśnia ich znaczenie, jak niemniéj słowiańskie napisy, o ile przy podniszczeniu ogólném wyczytać się jeszcze dają. I tutaj znowu spotyka nas mniéj trafny zarzut, że opowiadając zabytki malarstwa za Władysława Jagiełły i zamiłowanie wówczas szkoły greckiéj czyli bizanckiéj, powiedzieliśmy, iż do téj epoki odnoszą się takoż malowania kaplicy owéj greckiéj przy krakowskiéj katedrze. Wszakże dzieje sztuki mają inne swe okresy aniżeli dzieje państwa, a czasy Jagiełły i jego syna Kazimierza, tenże sam w malarstwie krajowém okres składają.

Z równą pilnością opisuje autor dwa kaplicy ołtarze, bogato snycerstwem i malowaniem zdobne. Mylny jest przecie domysł, jakoby jeden z nich był roboty starszéj, przeznaczony gdzieś indziéj, a tu późniéj przeniesiony; gdyż obok względu na tożsamość wyrobu i sztuki, ołtarz jeden, jak to sam pisarz przywodzi, nosi rok 1467, drugi zaś herby: Polski, Litwy i austryacki, tojest królowéj fundatorki kaplicy; przeto równoczesna obu data widocznie się wykazuje. Że te ołtarze były dziełem Wita Stwosza, domyślali się już uczeni: Grabowski a za nim Sobieszczański, i my téż to mniemanie podzieliliśmy. Gani wszystkich nas za to pisarz, twierdząc, że kiedy Stwosz wedle Fuesslego rodził się roku 1447, przeto w zbyt młodocianym wieku nie mógł wykonać tych dzieł kunsztownych. Przeciwko temu powiemy, że powyższa urodzenia data jest błędna. Fuessli wziął ją z Doppelmayra, a ten położył rok, czerpiąc o Stwoszu wiadomość ze współczesnego Neudoerffera, który nie oznaczając wcale urodzenia roku, mówi tylko, że Stwosz umarł 1542 a liczył lat 95 wieku. Owoż rok ten śmierci okazał się być mylnie przez Neudoerffera podany, bo Stwosz umarł w jesieni r. 1533, a zatém gdy miał wtedy lat 95, to przyszedł na świat nie 1447, ale raczéj 1438. Tak tedy zbytnia młodość nie stawia dla domysłu przeszkody; a gdy od tegoż samego Fuesslego wiemy, że Stwosz dla Kazimierza Jagiellończyka pracował, przeto niebezzasadne jest domniemanie,

iż właśnie wznosząc wspaniałą kaplicę, użył go król do wykonania ołtarzy.

Obrazy na drzwiach szafiastego ołtarza Matki Bolesnéj, były już w inném miejscu przedmiotem naszego badania. Jeden z nich przedstawia Chrystusa dzieckiem między doktorami. W obrazie tym dopatrzyliśmy wyobrażenie przez artystę sławnéj za Jagiełły w jego obecności odbytéj dysputy teologicznéj Hussytów z krakowskimi teologami. Powodem do tego było nam głównie, szczególniejsze podobieństwo postaci siedzącéj po stronie lewéj z przodu, do opisu Jagiełły przez Długosza i innych po nim dziejopisarzy, podobieństwo we wszystkich szczegółach uderzające. Że za Jagiełły sekta Hussytów żywotne obudzała zajęcie, nie dziw więc, że malarz chcąc zapewne rysy króla przekazać, skorzystał z przedmiotu swego obrazu, by na nim króla i ową z Hussytami rozprawę wystawił. Popierają to jeszcze uboczne szczegóły. liczne porozkładane księgi, kałamarz i ów dwuramienny świecznik, o jednéj tylko świecy gorejącéj, jako godło jednego tylko prawdziwego światła w nauce kościoła. Sąd ten nasz przecież nie podobał się Muczkowskiemu i z przekąsem o nim się wyraża. Głowę z postaci, którą za Jagiełłę bierzemy, zamieścił wszakże w przerysie na pierwszéj rycin tablicy; lecz objasnienia jéj wcale nie dał; znać miał je dołączyć późniéj. Na rąbku sukni postaci, która nam husycką sektę uosobiała, mniemali niektórzy widzieć napis: Doctr na Hussi, cośmy powtórzyli. Autor stara się go czytać inaczéj, w języku hebrajskim, jednak nie umié go wyjaśnić dokładniéj. Jakbądź, pomijając nawet napis zagadkowy, nie ujmuje to prawdzie, naszego co do treści obrazu twierdzenia.

Następuje opis arcy drobiazgowy wszelkich szczegółów grobowca Kazimierza Jagiellończyka, tego wzniosłego tworu mistrza Wita Stwosza. Opis ten zaleca się osobliwie wielce umiejętném rozpoznaniem nagłówków, na ośmiu słupach baldachim nad sarkofagiem podtrzymujących. Wiadomo, że na jednym z owych nagłowków, gorliwy badacz Ambroży Grabowski wyśledził był podpis rzeźbiarza, o który autor wytacza znowu spór przeciwko samemu Grabowskiemu, Mączyńskiemu i nam na podaniu pierwszego polegającym. Pozostaje wszakże dla nas pewniejszém, że jak mówiliśmy dawniéj, zwał się on Jerzy Hueber czyli Huber z miasta Passau do Krakowa przybyły, w pracowni Stwosza niewątpliwie uczeń, czyli jak się to dawniéj zwało chłopiec a z kolei czeladnik, który pod okiem mistrza z jego pomysłu nagłówki owe z niepospolitą wprawą odrobił.

Grobowiec Władysława Jagiełły, który dawniéj, jak się rzekło, w innéj stał kaplicy, przeniesiony tu został wedle Muczkowskiego twierdzenia w połowie dopiéro zeszłego stulecia, a złożony w miejsce wyrzuconego wówczas nagrobku królowéj Elżbiety. Grobowiec ten przechodził różne koleje: wykonany pierwotnie staraniem króla, zapewne Jagiełły, niewiadomo przez którego w Krakowie rzeźbiarza, przerobiony r. 1524 z woli Zygmunta I i w kaplicy ś. Kazimierza postawiony, w końcu do kaplicy greckiéj przeniesiony został, gdzie odtąd niekorzystnie do obejrzenia okolnego w rogu przy ścianie stoi. Światły badacz Grabowski wyrzekł był o tym pomniku, że go Zygmunt I wystawił; powtórzyli to za nim inni, i my téż przytém wyraziliśmy wątpliwość, że grobowiec z posągiem Jagiełły, do którego się Długosz powołuje, musiał być chyba innym. Muczkowski objaśniając, że król Zygmunt nie stawiał nowego pomnika, lecz tylko dawny odnowił, przygania ztąd wszystkim, a przywodząc słowa nasze, z ujmą opuszcza cośmy dodali: „że prawdopodobnie posąg sam króla użyty tutaj został z pomnika pierwotnego". Dzieliliśmy więc dawniéj, i dziś wraz z Muczkowskim podzielamy zdanie, że posąg królewski jest tu pierwotną wkrótce po jego śmierci wykonaną rzeźbą, wedle świadectwa Długosza, wiernie rysy zmarłego przypominającą.

W uzupełnieniu opisu Jagiellońskiéj ruską takoż zwanéj kaplicy, przydaje autor wielce ciekawą wiadomość, z dawnych wizyt biskupich zaczerpaną, że na jéj ścianach było 27 rozwieszonych obrazów, z których dwa: Zdjęcie z krzyża, i Chrystus na krzyżu, oba roboty snycerskiéj, szafiaste z malowanemi drzwiami, szczególnie cudném zachwycały wykonaniem. Obrazy te wizyta biskupa Zadzika r. 1635 już jako starożytne przywodzi, a były tu jeszcze roku 1670. Gdzieby się te sztuki dawniéj tak zachwalone twory podziały, dziś niewiadomo; wszakże domyślać nam się godzi, że bardzo podobnie były to Wita Stwosza dzieła.

Z powodu posągu grobowego Władysława Jagiełły, znajduje autor sposobność mówienia o najdawniejszych wizerunkach tego króla, niemniéj jego żony królowéj Jadwigi, co niejako oddzielną część dzieła jego stanowi. Był przedtém, jak się rzekło, w katedrze krakowskiéj obraz starożytny z drugiéj połowy wieku XV, fundacyi akademii z postaciami Jagiełły i Jadwigi; obraz ten zniszczył się za czasem. Była jego kopia r. 1628 chwalebném staraniem Michała Jordana ucznia uniwersytetu krakowskiego zdjęta, lecz i ta już nie istnieje. Tegoż samego roku wykonany

był z obrazu drzeworyt, który szczęśliwym trafem w poszukiwaniach swych naukowych innego rodzaju, odkrył Muczkowski w dwóch egzemplarzach. Jakiéj wartości artystycznéj mógł być pierwotny obraz, jak dalece twarze królewskie z dawniejszych może, a osobom współczesnych wizerunków, przeniósł tu malarz podobne; tego dziś ani przesądzać, ani z Muczkowskim twierdzić nie można. Drzeworyt w wykonaniu wcale jest brzydki: Jadwiga, owa wedle Długosza piękność przecudna, wygląda tu szpetnie i niby stara; ztąd téż o podobieństwach twarzy nie może być tutaj mowa. A przecie Muczkowski szuka tu rysów oblicza Jagiełły i na nich dalsze swe wnioski buduje. Porównywając ten niby portret z głową na grobowcu, przy oglądaniu obrazów ołtarza Matki Bolesnéj, upatrzył w obrazie pokłonu trzech króli podobieństwo jednego z nich do Jagiełły, a sąd ten, powiada, innym osobom wynurzył. Tymczasem w Pamiątce z Krakowa ogłosił Mączyński, że jest podanie, jako w tymże obrazie znajduje się przekazany wizerunek Władysława Jagiełły; inny badacz Sobieszczański powiedział więcéj, że wedle podania obraz ten przedstawia oblicza trzech królów: Ludwika, Kazimierza W. i Jagiełły. Czy było i dochowuje się takie podanie, wiedzieć to mogą lepiéj krakowscy badacze. Wszakże znajdując trzy owe postacie do przerzeczonych króli dawnych opisów wcale odpowiednie, nie wahaliśmy się poprzeć i rozwinąć objawione przez innych o tym obrazie mniemanie. Przygania temu wszystkiemu Muczkowski, a w usilnym zarzutów wywodzie, od chłodnéj nawet bezstronności odchodzi. Że sam uznaje, iż malarz wyobraził w jednym z trzech króli Władysława Jagiełłę, ztąd w logicznem następstwie przyjąć można, iż w drugich mógł chcieć takoż przedstawić dwóch jego poprzedników Kazimierza W. i Ludwika. Czy malarz był portrecistą, i czyli choćby nim był po całowiecznym czasu upływie, mógł zupełnie podobne portrety wykonać; tu także ani poręczać, ani się nawet domyślać nie można. Lecz kiedy w opisie postaci króla Loisa znajdujemy wzrost pomierny, twarz śniadawą, włosy i brodę kędzierzawą, ramiona trochę krzywe, którą to wadę przytomném zawsze onéj miarkowaniem umiał zmniejszać; a kiedy z drugiéj strony wszystkie te szczegóły widzimy na jednéj postaci obrazu jawnie uwydatnione: godzi się nam przeto wnosić, że tu artysta chciał tego króla przedstawić. To samo powiemy i o postaci trzeciéj, króla Kazimierza W. opisy przypominającéj. Zresztą rzecz cała dla sztuki czy historyi nie jest bynajmniéj tak wielkiej wagi, a sam domysł tyle zdrożny, żeby miał tu autor

dostateczny powód do zarzutu, „iż tak wyjaśniając zamierzchłą przeszłość, ubliżamy prawdzie". Przywodzi następnie szereg znanych mu wizerunków Jagiełły, ale późniejszych, które jako idealne nie mają też wcale historycznéj wagi. Co do portretów królowéj Jadwigi, dołącza ciekawy przerys z drzewa genealogicznego, w Wiedniu w zbiorze Ambrazyjskim znajdującego się, które, jak mniema, w początku wieku XVI było wykonane.

Kończy pisarz gorącém żądaniem, żeby kaplica jagiellońska, jako drogi przybytek szanownych pamiątek i dzieł sztuki najznakomitszych, oczyszczoną z nieodpowiednich nowszych przydatków i odnowioną została. Dzieląc to jego życzenie, dołączymy doń inne, o podobną troskliwość dla ołtarza wielkiego w kościele Panny Maryi, tego najświetniejszego Wita Stwosza dzieła.

Otóż wszystko, co o téj czysto starożytniczéj pracy pozgonnéj znakomitego badacza powiedzieć nam wypadało. Jeżeli mnogie w niéj szczegóły przydłużéj nas zatrzymały, niechaj to za złe wzięte nam nie będzie; bo to są wszystko cenne przeszłości pomniki, lub sztuki średniowiecznéj polskiéj pierwszorzędne twory.

E. Rastawiecki.

O karcie i z powodu karty geognostycznéj zagłębia węglowego w Królestwie Polskiém, wykonanej przez Jana Hempla.

I.

Jeszcze w lecie 1857 r., wyszła z litografii Fajansa, karta geognostyczna zagłębia węglowego w Królestwie Polskiém; kartę tę pomierzył i na niéj oznaczył pokłady (od r. 1853 do 1856), naczelny zawiadowca kopalń Jan Hempel.

Mimo tak długiego upływu czasu od jéj ukazania się na widok, ani jednego wyrazu u nas nie napisano o tak ważnym przedmiocie; jednakże to karta geologiczna części kraju najwięcéj nas obchodzić mogącéj pod względem bogactwa górniczego, karta zagłębia sięgającego od Olkusza, odwiecznie słynnego kopalniami, aż do granicy Górnego Szlązka, gdzie nasze pokłady węglowe i galmany dotykają takichże bogactw téj prowincyi pruskiéj, kwitnącéj pod względem przemysłu i dobrego bytu.

Pisma niemieckie tymczasem o pracy téj p. Hempla nie zamilczały, ani uczeni geologowie zagraniczni nie pominęli jéj,

chociaż budowa kraju naszego obchodzi ich tylko ze stanowiska czysto teoretycznego, naukowego. U nas nie przerwano dotychczas milczenia w przedmiocie objaśnić mogącym w najżywotniejszéj dla nas kwestyi, bo o podstawie i możności rozwoju krajowego przemysłu, choćby już tylko przyszło pomówić o rozszerzeniu wydobywania naszych węgli kamiennych.

Czy obojętność ta pochodzi z braku ciekawości, czy z niepoczucia potrzeby?

Co bądź, zanim okaże się stosowna recenzya, przedstawiająca opis i rozbiór téj karty, zamierzyliśmy przedstawić obce zdania i wnioski z powodu téj mappy geognostycznéj, aby recenzyą tę co silniéj wywołać.

II.

Gdy karta Hempla po wylitografowaniu, okazywaną była na posiedzeniu Towarzystwa geologicznego Niemiec w Berlinie w d. 5 Sierpnia 1857, rozbierano ją szczegółowo, a prezydujący pan R. Carnall, dyrektor (Oberberghauptmann) górnictwa szlązkiego, następujące domieścił uwagi, które są wydrukowane w czasopiśmie tegoż Towarzystwa, tom IX str. 536.

„Karta geologiczna zagłębia węglowego w Królestwie Polskiém przez p. Hempla, składa się z 12 większych a 6 mniejszych sekcyj: pierwsze stanowią właściwą mappę, lub obejmują objaśnienia znaków, podziałki, rozkład sekcyi i niektóre przecięcia; drugie zaś główne przecięcie zagłębia i tytuł. Obraz ten rozciąga się od granicy Szlązka pruskiego na wschód aż do Olkusza, na południe dotyka granicy księztwa krakowskiego, na północ tak daleko jak znane jest ciągnienie się węgla. Topograficzne wykonanie karty, odznaczające się wielką starannością, jest prawie wyłącznie dziełem p. Hempla, który, na nią wniósł wiele świéżo przez siebie oznaczonych wyniesień punktów nad poziom. Za stopę rozmiarów służy stosunek podziałki 1:20,000 dla karty, a dla profilów wysokości 1:2,000 czyli 10 razy większy."

„Według oznaczenia kolorów i znaków, następujące utwory i ich poddziały rozróżniają się:

1. Utwór węglowy.
2. Piaskowiec zlepieńcowy.
3. Wapień bitumiczny.
4. Wapień żółty krystaliczny.

} ślady utworu permskiego.

5. Wapień muszlowy podstawowy.
6. Dolomit spodni.
7. Wapień muszlowy wierzchni, dolomity wierzchnie, gliny marglowe, galman biały nowszego powstania. } utwór tryasu.
8. Wapień juraski.
9. Odsepy piasku.
10. Porfir.

Inne znaki wskazują: kierunek i upad pokładów węglowych i kopalnie tegoż rządowe i prywatne, uskoki, ucięcia pokładów węglowych, domniemane ciągi tychże pokładów; czerwony galman, biały galman i kopalnie on ch rządowe i prywatne; rudy żelazne jakoto: żelaziak brunatny, rudę kamionkową bulastą (sferosyderyt), i ich kopalnie; rudę ołowianą; tudzież kamieniołamy, wapień cementowy, glinkę ogniotrwałą."

P. Carnall czyni uwagę, iż „o ile mi znajomą jest okolica przedstawiona na karcie p. Hempla, a więcéj jeszcze z własnych spostrzeżeń w graniczących punktach Szlązka Górnego, gdzie takie same warstwy występują, nie mniemam, aby iły czerwone z piaskowcem i warstwami piasku spoczywające na utworze węgla kamiennego, z zupełnie wszakże odmiennem uławiceniem, miały należéć do piaskowca zlepieńcowego (Rothliegendes), lecz zaliczam je do piaskowca pstrego (Bunt Sandstein); również (mówi), nie posiadam własnych spostrzeżeń, któreby mi kazały domniemywać, iżby należało pokłady 3 i 4 (wapień bitumiczny i żółty krystaliczny p. Hempla), leżące pod wapieniem muszlowym od tegoż oddzielać, i uważać je za ogniwa utworu permskiego. Mimo to, (przyznaje p. Carnal), zarówno jest ważném jak zajmującém, rozdzielenie to ogniw przez p. Hempla i oznaczenie osobno na takiéj karcie szczegółowéj tych warstw, gdzie takowe znaczniejszą zajmują przestrzeń i szczegółowo dadzą się odróżnić i zaznaczyć. Jeszcze ważniejszą zaletę przyznaje téj karcie pod tym względem, iż przedstawia ostateczne wykrycie ciągu pokładów w utworze węglowym polskim. Wiemy, że Pusch w téj mierze pierwszą podał wiadomość; lecz z jednéj strony podziałka jego karty jest bardzo mała, a co gorsza wnosił on swe spostrzeżenia na błędną mappę topograficzną, z drugiéj strony od czasu Puscha, późniejsze poszukiwania i samo rozwijanie kopalń, wiele wyświeciły stosunków. P. Hempel zatém pracą swą zjednał sobie wielką zasługę, i z wdzięcznością spomnieć również należy,

iż rząd na wykonanie i publikacyę téj karty nie szczędził wydatku.“

„Okazanie się téj karty w czasie, gdy karta pokładowa zagłębia szlązkiego wykonywa się, jest tém pożądańszém, iż ciągi pokładowe w Polsce łączą się z ciągami kopalń szlązkich; a wykryte raz prawdy i wyprowadzone wnioski, przyczynią się do wyjaśnienia w Szlązku, łącznych z sobą stosunków ziemi rodnych w graniczących obu krajach.“

Dodaje się, iż karta pokładowa Szlązka, o któréj tu wzmianka, dopiéro świéżo teraz wyszła na widok.

III.

Pan B. Cotta, professor geologii w akademii górniczéj freibergskiéj, we wrześniu 1859 r. zwiedził okrąg zachodni naszego górnictwa, poczém udzielić raczył następujące spostrzeżenia geologiczne nad częścią powiatu olkuskiego pograniczną Szlązka Górnego, mieszczące uwagi i nad kartą p. Hempla.

„*Budowa geologiczna okolicy.* Utwór węglowy jest tu dawniejszym od innych, i stanowi podstawę wszelkich innych utworów. Ciągnie się daleko ku wschodowi po nad południową granicą Królestwa Polskiego, podobnie jak na zachód przechodzi do Szlązka Górnego. Utwór węglowy składa się z piaskowców i łupków ilastych, wśród których spoczywają warstwy węgla kamiennego i rudy żelaznéj bulastéj (sfero-yderytów). Uławicenie tych warstw zbliża się w ogólności do poziomego; w niektórych miejscach upad jest znaczniejszy, dochodzący do 10°. Można zapewnić, iż w całéj okolicy między Przemszą białą a Brynicą, utwór węglowy ciągnie się nieprzerwanie z warstwami węgla i rud żelaznych, nawet pod nowszemi od niego utworami.“

„Utwór węglowy podobnie w Polsce jak w Szlązku Górnym, pokrywają słabe pokłady piaskowca pstrego, które tu i owdzie na brzegach pagórków wapienia tryasowego występują. P. Hempel piaskowiec ten poczytał za permski, mniema, że i pokłady leżącego nad nim wapienia są również permskie. Bez wskazania cechowych skamieniałości, twierdzenie to zdaje mi się wątpliwém; z méj strony nie widzę powodów oddzielenia tych ogniw od wapienia muszlowego tryasu. Również i Pusch w swym opisie geognostycznym Polski, jak i p. Carnall na swéj karcie geognostycznéj graniczącego Szlązka Górnego, ogniw permskich nie oznaczali. Mnie się zdaje, że wapień permski p. Hempla, niczém inném nie

jest, jak spodnim wapieniem muszlowym; jego zaś piaskowiec permski jest niewątpliwie piaskowcem pstrym. Do tego ostatniego w takim razie zapewnie należy krzemienny piaskowiec, istotnie niezwykły, który p. Hempel na swéj karcie oznaczył pod Strzemieszycami małemi jako porfir. Do porfirów, a zwłaszcza do utworów wybuchowych, skała ta w żadnym razie nie należy, gdyż lepiszcze ziarek kwarcowych jest w niéj krzemienne a nie feldspatowe; przyznaję jednak, iż na pierwszy rzut oka skała ta do porfiru kwarcowego wielce jest podobną. W tych spodnich ogniwach tryasu, nie natrafiają się żadne pokłady ciał użytecznych."

„Idąc w górę, następuje szereg ogniw utworu tryasowego, który składa się częścią ze zwyczajnego wapienia muszlowego, częścią z wapienia dolomitowego. Ten ostatni zajmuje zwykle środkowe położenie, tak, iż rozróżnić tu można, podobnie jak w Górnym Szlązku, pod nim wapień podstawowy, tojest: spodni wapień muszlowy i wapień wałowaty (Wellenkalk), nad nim zaś wapień odpowiadający opatkowickiemu (w Szlązku); lecz ten ostatni często niewyraźny lub brakuje go, gdzie dolomit tworzy powierzchnię płaskich wzgórz i pagórków. Jeżeli więc wapień permski p. Hempla nazwiemy spodnim wapieniem muszlowym, a porfir policzymy do piaskowca pstrego, to zresztą całe przedstawienie na karcie p. Hempla, stanie się zupełnie poprawném."

„Utwór wapienia muszlowego w Polsce, podobnie jak w Górnym Szląsku, łącznie z dolomitem do niego należącym, zawiéra galman i rudę ołowianą w pokładach, równie jak i rudę brunatną.

„Ogniwa formacyi juraskiéj w okolicy Dąbrowy nie występują; dopiéro pokazują się za Olkuszem, koło Tucznéj Baby; natomiast są tu częstokroć wyraźne na powierzchni szczepy piasków potopowych i ilaste nanoszenia, bez głazów narzutowych znaczniejszych."

„Wszystkie pokłady, które pokrywają formacyę węglową, znajdują się prawie tylko w uławiceniu poziomém, tworząc płaskie pagórki."

IV.

W dalszym ciągu swych uwag, umieszcza jeszcze professor Cotta następujące spostrzeżenia:

„*A. Pokłady węglowe.* Potężne pokłady węglowe dąbrowskie, od znacznego czasu są w odbudowie górniczéj, i przedsta-

wiają dla nauki geologii obraz podziwienia godny, albowiem główna warstwa, na której otworzone są kopalnie, dosięga na kopalni Reden 5, na Ksawery 7, a na Cieszkowskim 8 sążni grubości, a zatém stanowi pokład potężny, dochodzący do 56 stóp grubości, z czego zaledwie w kilku punktach odchodzi po kilka cali na pośredniki łupkowe, nie będące węglem. Warstwa ta główna, wzięta w odbudowę kopalnianą przez obszerne odkrywki od wychodni, a głębiéj przez roboty podziemne, została tym sposobem rozpoznaną, i widocznie stanowi rozległą całość, jakkolwiek między kopalniami Ksawery i Reden istnieje znaczny odstęp, gdyż w pośrodku warstwa została przerwaną i wysuniętą w linii kierunkowéj; na téj to środkowéj części założono kopalnią Cieszkowskiego, której upad południowy około 40°, odmienny i większy, aniżeli skrajnych części warstwy, czyli na kopalniach Ksawery i Reden, gdzie pochylenie ku południowi wynosi tylko 10° do 12°. Przypuścić wypada, iż ten powiększony upad jest tylko od wychodni, i że prawdopodobnie w pewnéj od niéj odległości; a zatém idąc w głąb pochylenie się zmniejszy, chociaż trudno dziś oznaczyć tę głębokość; można również wnosić, iż tamże części usunięte warstwy połączą się wchodząc w nierozerwaną całość, jakkolwiek dziś od północy, czyli od wychodni uskokami całość ta jest przerwaną.“

„Oprócz tego głównego wyrugowania, są jeszcze pomniejsze usunięcia i zgniecenia w głównéj téj warstwie; wszakże w ogóle porównywając je z pokładami węglowemi innych okolic, są one mniejsze, i mniéj licznie jak gdzieindziéj się zdarzają.“

„Prawdopodobieństwo przemawia za tém, iż węgle w większéj głębi, leżące pod grubszą pokrywą mass nadkładowych, poprawią się w gatunku, w porównaniu z węglami, blizkiemi wychodni.

„Nie ulega wątpliwości, jak się o tém przekonano, iż utwór węglowy zagłębia polskiego, oprócz téj głównéj warstwy dąbrowskiéj, posiada jeszcze kilka innych warstw godnych odbudowy. Na karcie p. Hempla pokazuje się pod Niemcami i Sielcami przynajmniéj trzy warstwy warte kopania, oprócz kilku słabszych pokrywających je. Otwory świdrowe w blizkości Mysłowic wykazały razem 15 warstw węglowych, z których 8 wartych odbudowy, bo mają przeszło po 30 cali grubości; zkąd nadto wnosić można, iż w okolicy Dąbrowy tyleż przynajmniéj warstw znajdować się powinno; dlatego mówię przynajmniéj tyleż warstw, gdyż tak liczba jak i grubość pojedynczych warstw na kilkumilowéj przestrzeni jest zmienną, i tylko uławicenie w ogólności po-

zostaje jednakowe. Już rozpoczęto i pod Dąbrową poszukiwania świdrowe, zatém one najlepsze przekonanie w téj mierze dostarczyć będą mogły.“

V.

„*B. Pokłady rud żelaznych* (mówi prof. Cotta), znajdują się w téj okolicy dwojakie, tojest: rudy żelazne bulaste (sferosyderyty) w utworze węglowym, i żelaziaki brunatne (Brauneisenstein) w zakresie wapienia muszlowego.“

Sferosyderyty tworzą warstwy 1 do 2 stóp grubości, pomiędzy pokładami ilastemi w nadkładzie utworu węglowego, zwłaszcza nad ciągiem głównéj warstwy. Z powodu małej grubości 1 do 2 stóp, niepodobna regularnéj zakładać kopalni, chyba w miejscach, gdzie ruda stanowi poziomą warstwę blizko powierzchni, jak np. pod Porąbką: tam wydobywać ją można korzystnie szybikami i z nich wyprowadzonemi chodnikami, z następném onych zarabowaniem.“

„Dotychczas zaledwie tylko jedna warstwa takich sferosyderytów jest lepiéj poznaną; lecz zdaje się, że poszukiwania świdrowe na węgiel kamienny przedsięwzięte, wykażą téż więcéj i grubszych warstw rudy w większéj głębokości, dla których będzie warto rozpocząć odbudowę. W téj nadziei, radziłbym zwracać uwagę przy oglądaniu wyciąganéj mączki świdrowéj (czyli skruszonych ziem świdrem), na to, czy to nie ruda, gdyż ta się znaleźć może; dodać należy na poparcie, że ruda ta należy do węgla kamiennego, iż ona zawiera często wyciski roślin, cechujących formacyę węgla kamiennego.“

„Rudy żelazne brunatne, tworzą jak w niedalekich ztąd okolicach Tarnowskiéj Góry i Bytonia, również i w Polsce koło Siewierskiéj-Góry i nad Brynicą, liczne nieregularne składy, zagłębiające się pod powierzchnię wapienia muszlowego. Rudy te częściowo sposobem odkrywki, częścią podziemnie wydobywają, a zapasy onéj zdają się nie przebrane na długi lat szereg.“

VI.

„*C. Galmany i rudy ołowiane*, należą również do utworu wapienia muszlowego, podobnie jak w Górnym Szlązku, i są szczególniéj właściwe średnim ogniwom dolomitowym. Zapewnie powstały, (jak twierdzi uczony professor Cotta), kosztem

tych dolomitów, to jest pewnym rodzajem zastąpienia wykluczającego (Verdrängungs-Pseudomorphose)."

„Na kopalni Barbara, blizko Żychcic, pokazuje się ciąg dalszy potężnych pokładów galmanowych Szarleju (w Szlązku), które tamże pomiędzy dolomitem i leżącym pod nim wapieniem podstawowym, miejscami grubości 8 sążni dochodzą. Ku wschodowi czyli ku granicy polskiéj, grubość ta maleje; lecz gdy w ogóle takowa jest niejednostajną i zmienną, zatém być bardzo może, iż na polskiéj stronie, w dalszym ciągu gdzieś znów do większej grubości się wzmoże. Przy śledzeniu ciągu tych pokładów galmanowych, zawsze się trzymano granic dolomitu, idąc za wapieniem podstawowym, gdyż doświadczenie nauczało, iż w Szlązku Górnym, wszystkie potężne pokłady galmanowe leżą wzdłuż tych linij granicznych obu tych skał. Co do kopalń galmanowych olkuskich, to wyraźnie są uposadzone pod odmiennemi warunkami."

Spostrzeżenia swe zakończa professor Cotta uwagą, iż: „zejście się tak ogromnych pokładów węglowych i rud kruszcowych na przestrzeni zaledwie kilku mil kwadratowych, spodziewać się każe nader obszernego rozwinięcia życia przemysłowego w téj okolicy Polski, zwłaszcza że ona przecięta została kolejami żelaznemi łączącemi ją z środkiem Królestwa i z zagranicą. Jeżeli się jeszcze uda, jak to prawdopodobném sądzę (mówi prof. Cotta), że w utworach trzeciorzędowych w południowéj części Królestwa, znajdą się pokłady soli w dalszym ciągu wielickich, wówczas przybędzie jeden jeszcze ważny element, pobudzający rozwinięcie się pomyślności krajowéj."

Na tém kończą się spostrzeżenia prof. Cotta, a nam wypada połączyć życzenia i dobre chęci, celem urzeczywistnienia świetnych jego przepowiedni.

W dzień téj Barbary, patronki górników 1859 r.

H. L.

Nowa Liryenka, rytmy Tęfila Lenartowicza. *Warszawa*, 1859 r.

Ostatni zbiorek pieśni Lenartowicza, który wyszedł pod godłem *Nowéj Liryki*, nie przedstawia ani nowego zwrotu poety, ani nowéj myśli; trudno zatem powiedzieć o nim coś, coby już dotąd nie było powiedzianém i powszechnie wiadomém. Poeta umiło-

wał lud, naród umiłował słowo poety, ale to jeszcze nie dowodzi, że Lenartowicz jest ludowym piewcą, tak jak go nazywają: on śpiéwa wprawdzie o ludzie ale nie dla ludu, a w zbiorku obecnym mniéj niż gdziekolwiek. Nie wiem nawet, czy jest podobieństwo, aby pieśń z literackiego poddasza zstąpiła tak łatwo pod strzechę wieśniaczą: piosenka gminna, tak wyrazista i w kształtach swych skończona, któréj największą zaletą, obok olbrzymiéj siły, naiwność dziecięca,—ma właściwe sobie prawa rozwoju i właściwy grunt; poza obrębem tego gruntu wyrosła, jest tylko naśladownictwem, na którém daremnie zużywają siły nawet wysokie talenta. Trudno to jest pochwycić ideał pieśni gminnéj, ale stokroć trudniéj a nawet niewłaściwie, dla poety ze świata wykształconego, formy jéj zachowywać: dlatego téż i Lenartowicz jet często nieznośnie mdłym tam, gdzie się na tę formę sili, nie poprzestając na szczęśliwie pochwyconym ideale.

Krążenie myśli religijnéj w gminie naszym wziął sobie widać poeta za główne zadanie, bo i w tym zbiorze spotykamy się z niém najczęściéj. Dobrze to jest, ani słowa; ale czy to nie zawiele tego dobrego? Przecież myśl Boża to się wszędzie przejawić może nietylko w bezpośrednim stosunku z przedmiotami religijnemi; a lud nasz, który ma Boga w sercu, to go ma i w pamięci, przy każdym innym stosunku. Lenartowicz zanadto dziś oderwał lud od ziemi, skazując go na jakieś nieruchome kontemplacye, tak, że wygląda on u niego więcéj na mnicha z różańcem w ręku, niż na dziarskiego chłopaka, coto i do tańca i do różańca.

Przyjemnie nam przeto było odetchnąć w niniejszym zbiorze na kilku pieśniach więcéj żywotnego, historycznego znaczenia, jak: *Baśń o walecznym księciu* lub *Trzy siostry*, z których ostatnia jest plastycznóm niejako rozwinięciem tego nieporównanego ustępu z Kornada Wallenroda, który zaczyna się od słów:

„O pieśni gminna, ty arko przymierza!"

W ogóle cała część druga tego zbiorku, lubo szczupła objętością, zawiera pełne wartości ustępy. Zamieszczony tamże utwór *Święta praca*, osnutym jest na przypowieściach ludowych, stosujących się do fenomenów natury, związanych z pewnemi dniami w roku a w kalendarzu oznaczonych imieniem jakiegoś świętego. Owoż poeta, stojąc na stanowisku pojęć ludowych, wyobraża sobie, że święci w niebie pracują około potrzeb ziemskich swych braci;

Święty Bartłomiéj, gospodarz szczery,
Pod koniec roku ostrzy siekiery;
Padają drzewa stare po lesie,
W dalekie strony echo wiartr niesie:
Przy cięciu święty pilnuje świadek,
Żeby nie zaszedł jaki przypadek.
Wreszcie w ślad świętych Szymona Judy,
Na świat przychodzą śniegi i grudy,
I święty Marcin na białym koniu
Po zaśnieżonem przejeżdża błoniu,
Patrząc po stronach na biednych zwłaszcza,
Którym rozdaje kawałek płaszcza.

Otóż tak, słowy autora, nasz pobożny lud katolicki tłumaczy sobie ten pocieszający a wielki artykuł składu apostolskiego „świętych obcowanie", którym kościół nasz połączył wszystkie wieki i ludzie, a który przez reformistów racyonalnych został odepchnięty. Najpiękniejsze jednak zajęcie przeznacza w tym utworze poeta Matce Boskiéj.

W téj téż części mieści się wierszyk „*Czego nam trzeba*" który czeka tylko na stosowną muzykę, aby został jedną z najpopularniejszych piosenek.

Pierwsza część *Nowéj Lirenki*, lubo trzykroć obszerniejsza, jest znów do niéj w stosunku odwrotnym pod względem wartości. Żaden tam ustęp, żadna myśl nas nie zatrzymała. Najobszerniejszym utworem jest „*święty Franciszek*", ale to tylko żywot świętego gładkim opisany wierszem; dlaczego zaś opisany, dlaczego ten a nie inny, nie domyślamy się. Z drobniejszych wierszy jeden może „*Do mojego grajka*" ma dosyć życia, inne niemal bez wyjątku nie mogą pociągnąć, ani pomysłem ani formą. Część ta kończy się niby śpiewem historycznym „*Hadbank*", o którym tyle tylko powiedzieć możemy, że dziwi nas, jak mógł Lenartowicz ten znakomity dziejów naszych ustęp pozbyć tak opisem.

Kazimierz Kaszewski.

ROZMAITOŚCI.

Waszyngton Irwing.— Tomasz de Quincey.

Ktokolwiek się literaturą angielską zajmuje, temu nie obojętną będzie wiadomość, że Waszyngton Irwing już nie żyje. Urodzony w Nowym Yorku 3 kwietnia 1783, dożył 76 lat wieku. Szanowany powszechnie, jak powinien był być taki człowiek, i kochany od przyjaciół, jak nie może nie być taki człowiek, żył on w ostatnich czasach usunięty od świata w pięknéj majętności Irvington, o dwadzieścia pięć mil około od Nowego Yorku i tam zakończył życie 28 listopada w nocy. Gdy znakomity pisarz umiera, cały cywilizowany świat ponosi stratę, ale głównie dotkniętym nią zostaje kraj, który mu dał życie, dotkniętą zostaje literatura, którą zbogacał. Ztąd równie prawie bezpośrednio dał się uczuć żal po śmierci Waszyngtona Irvinga w Anglii jak w Ameryce. Bardziéj, niż którykolwiek z znakomitych pisarzy, którzy amerykańską literaturę wznieśli do wysokiego stanowiska, na jakiém dziś stoi, bardziéj niż Cooper, Bancroft, Prescott, Longfellow i inni, Waszyngton Irving miał w Anglii prawo obywatelstwa i był niejako domowym przyjacielem. Dzieła jego znajdują się tam w każdym domu, gdzie jakotako literatura jest ceniona, i tak go tam przyzwyczajono się uważać za współziomka, że nie jednemu z tych, co znają autorów z ich dzieł, a nie z biograficznych dykcyonarzy, z zdumieniem przychodzi się dowiedzieć, że autor „Zamku Bracebridge," „Zbioru szkiców" i „Życia Oliviera Goldsmitha", urodził się obywatelem Stanów Zjednoczonych.

Syn kupca w Nowym Yorku, Waszyngton Irving kształcił się na prawnika i stanął przed kratkami po raz pierwszy w r. 1806; ale delikatne jego zdrowie i pociąg do literackich zajęć skłoniły go do porzucenia tego zawodu. W r. 1810 wszedł, jako wspólnik

do handlowego zakładu, który jego bracia zaprowadzili w Nowym Yorku i w Liverpool. Czyniąc ten krok, miał nadzieję zapewnić sobie w krótkim czasie dochód, któryby mu pozwolił zwrócić całą energią na pole czynności literackiéj, na którém zjednały mu już były powodzenie „Listy Jonathana Oldstyle," drukowane w r. 1802 w New-Yorkskim *Morning Chronicle*, oraz sławna „Historya Nowego Yorku, przez Dietricha Knickerbocker," wydana w r. 1809. Na nieszczęście dom braci Irvingów upadł w r. 1817, w skutku pieniężnych zawikłań, sprowadzonych pokojem, zawartym między Anglią a Stanami Zjednoczonemi. W chwili téj katastrofy Waszyngton Irving bawił właśnie w Anglii, dokąd się był udał po raz drugi; i zachęcony przyjęciem, jakie jego pisma znalazły, postanowił obrać literaturę za wyłączny przedmiot zajęć swego życia. W wykonaniu tego postanowienia zaczął pisać „Zbiór szkiców", którego powiększoną edycyą wydał Murray w r. 1820. Powodzenie tych nieporównanych szkiców było tak wielkie, że autor ich za swoje następne dzieło: „Zamek Bracebridge", dostał od tegoż samego wydawcy 1000 gwineów. Odtąd pióro Irvinga przez wiele lat nie ustawało w czynności, i wszystko, co tylko napisał, było z chciwością czytaném i podziwianém przez każdego znawcę literackiéj wartości.„ Powieści wędrowca", za które Murray zapłacił 1500 gwineów, ukazały się w r. 1824; „Życie i podróże Krzysztofa Kolumba", za które autor otrzymał 3000 gwineów, wydaném zostały w r. 1828. Za temi dziełami poszły: „Dzieje podbicia Grenady" 1829 r.; „Podróże towarzyszy Kolumba", 1331 r.; „Alhambra", 1832; „Legendy o podbiciu Hiszpanii" 1835 r.; Astorya czyli anegdoty wyprawy za Góry Skaliste". 1836 r.; „Przygody kapitana Bonneville, U. S. A. w Skalistych Górach", 1837 r.; „Życiorys Małgorzaty Miller Davidson, i poetyczne po niéj pozostałości", 1841 r.; „Oliwier Goldsmith: życiorys", 1849 r.; „Mahomet i jego następcy", 1849—1850 r. i życie Jerzego Waszyngtona", 1855—1850 r. Od czasu powtórnego przybycia do Anglii, aż do r. 1832, to jest przez ciąg lat siedmnastu, Irwing przebywał w Europie, zwiedzając różne stolice stałego lądu, które potrzebował bliżéj poznać. Dwa lata przepędził w Hiszpanii; zkąd powróciwszy do Londynu, w r. 1829 zaczął pełnić obowiązki sekretarza ambasady amerykańskiéj. Talent i zasługi jego umiano tu ocenić i wynagrodzić, jeżeli nie hojnie, to przynajmniéj nie skąpo. Pominąwszy, że miał wstęp do najlepszych towarzystw, otrzymał on jeden z dwóch medalów złotych, wartości pięćdziesiąt gwineów każdy, które za panowania Jerzego IV

były przeznaczone dla dwóch najcelniejszych pisarzy historycznych, a z których drugi przyznany został Henrykowi Hallam. Uniwersytet zaś oxfordzki nadał autorowi „"Życia i podróży Krzysztofa Kolumba", tytuł honorowy. Za powrotem do Nowego Yorku w r. 1832, okryty chwałą pisarz przyjęty został od swych współrodaków z nadzwyczajném uniesieniem. Czując się obowiązanemi do wdzięczności względem niego za chlubę, jaka przezeń spłynęła na cały ich ogół, uznali, że jego zasługi warte były niepospolitego wynagrodzenia. Jakoż w r. 1842 posunięty został na wysoką godność posła Stanów Zjednoczonych w Hiszpanii, które to obowiązki, przebywając w Madrycie, sprawował aż do r. 1846. Powróciwszy w tym roku do rodzinnego kraju, zamieszkał ustronie, w którém obecnie oddał ducha.

Waszyngton Irwing nie wchodził w związki małżeńskie. W młodych latach zaręczony został z nadobną panienką, która umarła dochodząc właśnie pełni piękności. Przejęty ciężkim smutkiem, ale wolnym od goryczy, wypłacił on jéj najwyższą dań, jaką człowiek wypłacić może pamięci pierwszéj miłości. Od czasu jak ją utracił, jedynemi jego uciechami w życiu były stosunki z przyjaciołmi i literackie zajęcia.

Dziwić się przychodzi, że z tylu dzieł tak popularnego i zajmującego pisarza tak mało literaturze naszéj zostało przyswojonych. Trzy tylko znamy przekłady, t. j. p. t. „Życie i podróże Krzysztofa Kolumba", przez J. N. Leszczyńskiego, „Galerya obrazów życia ludzkiego" i „Nadzwyczajne przygody człowieka osłabionych nerwów", niewiadomego tłumacza.

Jednocześnie prawie (w pierwszych dniach grudnia r. z.) umarł w Anglii pisarz, który pod względem literackich zasług w porównanie z pierwszym iść nie może, ale którego oryginalność osoby i pomysłów dość głośnym uczyniła. Mówimy tu o Tomaszu de Quincey, tak zwanym *Opiumożercy* (opium eater), o którym w czerwcowym numerze naszego pisma z r. z. podaliśmy wiadomość. Z artykułu, który z okazyi jego śmierci angielskie pismo Athenaeum umieściło, dowiadujemy się ciekawego szczegółu, który zapewne mało komu jest wiadomy, to jest, że i sławny Coleridge namiętnie także i w wielkich dozach opium używał; nie doszedł wszakże daléj, jak do połowy ilości spożywanéj przez Quincey'a, który brał dziennie po 320 granów tego narkotyku, czyli po 8000 kropel laudanum.

WIADOMOŚCI Z NAUK.

O TEMPERATURZE ŹRÓDEŁ W DOLINIE OJCOWA.

Zwiedzając w upłynionem lecie piękną dolinę Ojcowa, która po długiém zaniedbaniu przeszła w szanowne posiadanie, wszelkie mamy nadzieje, że wkrótce Ojców stanie się również milym jak wygodnym pobytem. Rozpoznawając szczególowo tę dolinę, uderzyły mnie w niéj liczne źródła, nader odmienną mające temperaturę. Ogólnie przyjmują fizycy, że temperatura obficie płynących źródeł, odpowiada średniéj temperaturze jakiego miejsca z pewnemi modyfikacyami, co do szerokości geograficznéj. Aby rzecz ta była jaśniejszą, skréślę kilkoma rysami stosunki geograficzne, i geologiczne doliny Ojcowskiéj. Na północ od Krakowa wznosi się nad doliną Wisły obszerna wyżyna (plateau), 100 do 150 stóp nad zwierciadło Wisły wyniesiona, z któréj wyskakują liczne grzbiety i pojedyńcze skałki, a mniéj więcéj głębokie doliny przerzynają; jedne są rozwarte, inne bardzo wązkie szczeliny ze skalistemi ściany. Do rzędu ostatnich należy dolina Ojcowa, rozciągająca się prawie z północy na południe; kierunek onéj najlepiéj można poznać, rzuciwszy okiem na wyborną kartę kwatermistrzostwa, przed kilkunastą laty ogłoszoną.

Szczelina Ojcowska powstała w czasie wydźwignienia wyżyny i popękania onéj; właściwy skład chemiczny wapienia stanowiącego jéj boki, wydał te urocze widoki, dla których znaną jest w całym kraju. Skały Ojcowskie od szczytu do spodu składają się z czystego wapienia, należącego do wierzchnich ogniw, formacyi Jura; Quenstedt nazywa one wapieniem gąbkowym (Spongitenkalk), który odpowiada iłom oxfortskim (Oxfort clay) angielskich geologów. Wapień ten żółtawo biały,

jest czystym węglanem wapna, nie ma domieszanego ilu i dlatego jest bardzo spojny; wystawiony na działanie powietrza wcale się nie zmienia. Zdaje się, że te wapienie zachowały prawie też same kroje, jakie miały przy rozpęknieniu, a zmiany późniejsze sprawiły bardziéj mechaniczne siły, nie zaś rozkład chemiczny. Że te wapienie nie doznają żadnej zmiany od działań powietrzni, dowodzą dwa kościoły krakowskie, mające facyaty z nich ciosane: kościół Św. Piotra w Krakowie od dwóch wieków wystawiony, tudzież kościół Kamedułów na Bielanach pod Krakowem; jeszcze dawniejsze są dowody wytrwałości téj skały w dwóch gotyckich krakowskich kościołach, Panny Maryi i Św. Katarzyny; liczne ozdoby misternie wyrobione z tego wapienia, od pięciu albo sześciu wieków wcale nie zmieniły się.

Wapień ten pod względem geologicznym zasługuje na szczególną uwagę, gdyż od Krakowa i Tyńca aż do Szwajcaryi zachowuje jednakowy charakter mineralogiczny i jednakowe zawiera szczątki organiczne. Nie tworzy jednakże ciągłéj warstwy, którąby można uważać i wielkich doznaje przerw: nie masz onych w Czechach, dopiéro w Bawaryi wielkie tworzy skały i doliny; w Frankonii przy Bayreuth zupełnie podobne są do Ojcowskiéj; w Wirtembergu wchodzi głównie do składu potężnego grzbietu, nazywanego Alpą Wirtembergską; odtąd przenosi się do Szwajcaryi, gdzie zmienia nieco charakter mineralogiczny.

W całéj Polsce od Tyńca i Krakowa aż do Kalisza, skały wapienia gąbkowego mają jednakowy charakter mineralogiczny: jestto jednostajny, żółtawo biały wapień, mający mniejwięcéj obficie domieszane kule i buły ciemno szarego, czasem brunatnego krzemienia. Te cechy można rozpoznawać we Wawelu, przy Krzeszowicach, w dolinie Ojcowa, pod Olkuszem, Pilicą, Potokiem, Częstochową i t. d. Daléj na wschód odkryto tęż samę warstwę formacyi Jura pod potężną powłoką napływowych piasków: przez roboty świdrowe przekonano się, że tworzy podstawę pod Ciechocinkiem, przeszło tysiąc stóp grubą, lecz tutaj ma odmienne mineralogiczne cechy: składa się bowiem z pokładów jednostajnego wapienia, ułożonych na przemian z wapieniem ikrowcowym: skamieniałości zawarte w dwóch tych osadach, są zupełnie jednakowe i dlatego uważa się one za równoczesne (1).

(1) Pusch, nie wiedzieć dlaczego, z wapienia krakowskiego zrobił dolomit czyli połączenie węglanu wapna i węglanu magnezyi; mineralogiczne

Szczątki organiczne, zawarte w skałach, są jedynym przewodnikiem dla oznaczenia miejsca, jakie zajmują w twardéj skorupie ziemi: o niektórych charakteryzujących wapień gąbkowy wspomnę. Jednakowe gatunki w téj warstwie nietylko są w Polsce, lecz w całych Niemczech, we Francyi, w Anglii. Do najcelniejszych skamieniałości, ogniwu temu właściwych, należą owe piękne ślimaki, wygasłego rodzaju Ammonity; najpospolitszym jest *A. biplex*, mający na skorupie liczne żeberka szczepiące się statecznie na dwie części w pobliżu grzbietu. W innym pokrewnym Ammonicie, nazwanym *A. polyplocus*, dzielą się żeberka nieoznaczenie prawie w połowie boku w trzy lub cztéry części; gatunek ten dochodzi olbrzymiéj wielkości, nieraz miewa dwie stopy w średnicy; w tak powiększonym jednakże giną ozdoby na bokach i grzbiecie, smukłe żeberka zmieniają się w nabrzękłości, w pewnych odstępach rozłożone. Piękny a oznaczający gatunek tę warstwę jest *Am. canaliculatus*, z spłaszczoną skorupą, okrytą lekkiemi sierpowatemi żeberkami, z rowkiem na całym boku i ostrzem na grzbiecie. Pomiędzy dwuskorupnemi muszlami zasługują szczególniéj na uwagę *Brachiopody*, należące do rodzaju *Terebratula* i *Rhynchonella*. Wapień ten właściwym sposobem działa chemicznie na skorupy Ammonitów i Brachiopodów: przyczyna tego zdaje się leżeć w ich składzie chemicznym: piérwszych skorupy zupełnie znikają, nawet ślad onych nie pozostaje, zachowują się tylko przegrody wnętrza skorupy; tymczasem skorupy Brachiopodów są takie, jak były w morzu za życia: najdrobniejsza rzeźba, linijki i kropki dochowały się doskonale. Główniejsze kilkoma rysami opiszę. Okazałą Rhynchonella trilobata, składającą się jakby z trzech płatów, pokrywają liczne fałdy; i mniéj okazałą jest R. subsimiles; najpospolitszą prawie wszędzie znajduje się w tym wapieniu Terebratula bisuffarcinata, gładka, podłużna, z wielką dziurą na końcu zakrzywionego dzióbka. Niekiedy znajdują się pięknie rzeźbione jeżowce Cidarites coronata, nierównie częściéj kolanka, pocho-

cechy, rozbiór chemiczny nie wątpliwie okazują, że wapień krakowski nie zawiera i śladu magnezyi, a tém samém nie jest dolomitem; tymczasem ten błąd tak się przyjął u nas u powierzchownych pisarzy, że nieustannie tylko prawią o dolomitach. Z dolomitu trudno wypala się wapno, wapno to nie jest tłuste; tymczasem każdy mularz wié doskonale, że wapno krakowskie, pilickie, jest bardzo tłuste, nie masz od niego lepszego. Niechaj ten dowód, tak prosty, służy za odpowiedź tym pisarzom niedbającym co piszą, mającym, jak się zdaje, na celu zapełniać kolumny dziennikarskie.

dzące od łodygi lilii morskiéj. Apiocrinites Milleri, mające na każdym oddziale gwiazdkowate znaki. Właściwe temu ogniwu liczne gąbki, należą do różnych rodzajów i gatunków, jakoto: *Scyphia clathrata*, mająca postać puharowatą z licznemi symetrycznie rozdzielonemi dziurkami; daléj zasługuje na uwagę *Porospongia (Manon) marginata*, *Cnemidium striatopunctatum*.

Wapień gąbkowy Krakowa, Ojcowa, Pilicy tworzący pokład 200—300 stóp gruby, jest prawie jednakowy; dzieli się w grube warstwy, często mają 20 stóp, wyjątkowo są cieńsze 5'4', rzadko jedną stopę grube. Jeżeli oddziały warstwom odpowiednie są nie liczne, to przeciwnie poprzeczne dzielące go w kostkowate bryły, są bardzo gęste; niemi to przesączają się wody powietrzni i wypływają u spodu doliny. Nie ze wszystkich zródeł płyną jednakowe ilości wody, każda prawie odmienną ma temperaturę. Na caléj wyżynie nadkrakowskiéj glina mamutowa okrywa wapienie gąbkowe; często widać onę na bokach ścian doliny Ojcowa, nieraz wypełnia także spód doliny; o ostatniéj często nie masz pewności, czy jest pierwotnym utworem, czy też osadziła się przez spływ wód powietrzni i jest nowym osadem. Wszelkie jest prawdopodobieństwo, że wielka ilość gliny należy do pierwotnych osadów, którą wody potoku poprzerywają.

Wykaz temperatur źródeł w dolinach Ojcowa i Prądnika (1).

Dolina Ojcowa:

1. Pieskowa skała; początek wioski Sołuszowy, przy kuźni, bardzo obfite źródło, dające początek rzece Prądnik. Wapień gąbkowy.
   3 sierpnia 1859 r. . . . . 8°2 C.
2. Pieskowa skała, przy gontarni, lewy bok doliny lasem okryty, obficie odpływa.
   3 sierpnia 1859 . . . . . 9°7.
3. Pieskowa skała, młyn Mossura naprzeciw kościołka Św. Salomei, gliny nad wapieniem gąbkowym.
   1 sierpnia 1859 . . . . . 8°7.
4. Ojców w pobliżu zamku, źródło dostarczające wody mieszkańcom Ojcowa, obok altanki, przy bibularni, wolno odpływa z gliny nad wapieniem gąbkowym.
   30 lipca 1859 . . . . . 8°5.
   1 sierpnia 1859 . . . . . 8°5.
   3 „ „ . . . . . 8°8.

(1) Temperatura źródeł była oznaczona w samym wytrysku.

5. Czajowice, źródło zwane Łokietka, nader obficie odpływa ze spodu ściany wapienia gąbkowego.

4 sierpnia 1859 . . . . . 8°6.

W dolinie Prądnika stanowiącej ramię doliny Ojcowskiéj, są trzy źródła, blizko siebie wytryskujące, w zupełnie podobnych stosunkach jak w dolinie Ojcowskiéj.

6. Przy domu Ferdka, z gliny wśród łąk.

4 sierpnia 1859. . . . . 10°0.

7. Pod skałą Szaléj, obficie odpływają wody z gliny nad wapieniem gąbkowym.

4 sierpnia 1859 . . . . . 8°5.

8. Przy drodze Czajowskiéj z wapienia gąbkowego, bardzo obfite źródło, daje początek strumieniowi; z gliny nad wapieniem.

4 sierpnia 1859 . . . . . 7°7.

6 „ „ . . . . . 7°5.

Z powyższych spostrzeżeń okazuje się, że w temperaturze źródeł Ojcowskich znaczne zachodzą różnice: przechodzi od 7°5 do 10°0, a zatém różnica około 2°5°C, czyli dwa stopnie Reaumura. Jeżeli pominiemy 10°0 jako ciepło mniéj pewnego źródła, pozostanie zawsze różnica pomiędzy 7°5 C. a 9°7, czyli przeszło 2 stopnie C.: jaka tego przyczyna, trudno wyjaśnić; źródła te tryszczą prawie z jednakowego wyniesienia, albo różnice ledwie 50 stóp mogą wynosić: oznaczenia te wykonywałem jednym i tymże samym termometrem Greinera, w Berlinie w roku 1842 sporządzonym. Temperatura źródeł poblizkich okolic jest w ogólności nieco wyższą, a mianowicie źródeł tryszczących w okolicach Szkalbmierza i Proszowic: ogólnie są nieco cieplejsze od źródeł Ojcowa, chociaż dobywają się z tegoż wyniesienia co spód doliny Ojcowskiéj; takąż temperaturę pokazują źródła w okolicach Krakowa, mające wyniesienie prawie jednakie. Temperatura ich wynosi pomiędzy 9 a 10 stopni, rzadko jest niższą. Rodzaj skały, z któréj się wydobywają, nie zdaje się na ciepło wywierać wpływu, albo bardzo jest podrzędny: w ogólności znajdowałem, że źródła dobywające się z piasku nieco są cieplejsze od tryszczących ze skał wapiennych; najlepiéj okażą to następujące spostrzeżenia, wykonywane w różnych czasach:

Wielkie Strzemieszyce, stok pod młynem, wapień tryasowy (Muschelkalk).

6 sierpnia 1859 . . . . . 9°6.

Sławków, źródło zwane Żydowskie stoki, wapień tryasowy.

6 sierpnia 1859. . . . . 10°0.

Polekarcice pod Koniuszą, opoka.
12 lipca 1859. . . . . 9°5.
Lubcza na południe od Nidy, opoka.
24 sierpnia 1859 . . . . . 9°4.
Miechów, za miastem, na drodze ku Zduńskiéj woli, opoka.
3 sierpnia 1859 . . . . . 9°0.
25 „ „ . . . . . 9°5.
Rzędowice przy Wielkim Książu, źródło Nidzicy, opoka.
13 września 1859 . . . . . 9°0.
Solcza przy Rosiejowie, niedaleko Szkalbmierza, źródło w saméj wsi, opoka.
31 lipca 1858. . . . . 9°8.
Solcza, parów Osików, opoka.
31 lipca 1858. . . . . 9°5.
Radzimice przy Proszowicach, potężne źródło, opoka.
12 sierpnia 1858 . . . . . 9°5.
Zborów przy Solcu (kąpiele) pod lasem dębowym, obfite na wielu miejscach wywierające źródło, wapień heterosteginowy
14 sierpnia 1859 . . . . . 9°7.
Wola przy Zagości, niedaleko Buska, gips trzeciorzędowy.
24 sierpnia 1858 . . . . . 9°5.
Pinczów, źródło zwane Tłuszcza, na wschodnim końcu miasteczka, wapień heterosteginowy.
30 sierpień 1858 . . . . . 9°5.
Książ mały, w środku wioski, wapień trzeciorzędowy.
30 sierpnia 1859. . . . . 10°7.
Bronocice przy Działoszycach, gips trzeciorzędowy.
13 sierpnia 1859 . . . . . 9°5.
2 września „ . . . . . 9°2.
Ibramowice, na północ od Proszowic, potężne źródło siarkowe, gips trzeciorzędowy.
27 sierpnia 1859. . . . . 10°5.
Małoszów, na północ od Proszowic, gips trzeciorzędowy.
5 sierpnia 1858 . . . . . 9°5.
10 „ 1859 . . . . . 9°5.

Pod Krakowem tryszcze dosyć znaczna liczba obfitych źródeł: do najcelniejszych należy źródło Glinnik zwane pod Wieliczką i źródło w Kurdwanowie pod Swoszowicami; pierwsze tryszcze z piaskowca marglowego trzeciorzędowego, drugie z wapienia gębkowego; oba prawie zawsze wydają obfite ilości wody i pokazują stałecznie niezmienną temperaturę:

Źródło Glinnik pod Wieliczką:

12 styczeń 1839 . . . . . 9°95.
20 czerwiec 1839. . . . . 10°10.
20 luty 1840 . . . . . 9°60.
14 sierpień 1840 . . . . . 10°08.
26 marzec 1841 . . . . . 9°75.
5 kwiecień 1841 . . . . . 9°65.
17 październik 1841. . . . . 10°40.
17 marzec 1843 . . . . . 9°70.
29 lipiec 1843 . . . . . 10°25.
7 październik 1845. . . . . 10°20.
8 czerwiec 1847 . . . . . 9°81.
3 kwiecień 1849 . . . . . 9°90.
1 październik 1849. . . . . 10°25.
1 czerwiec 1850 . . . . . 9°40.
6 lipiec 1850 . . . . . 10°40.
24 luty 1857 . . . . . 9°60.

Źródło Kurdwanowa:

29 lipiec 1843 . . . . . 9°25.
7 maj 1845 . . . . . 9°30.
10 październik 1845. . . . . 9°30.
5 czerwiec 1847 . . . . . 9°40.
10 marzec 1849 . . . . . 9°40.
17 marzec 1849 . . . . . 9°40.
30 czerwiec 1849 . . . . . 9°40.
26 maj 1850 . . . . . 9°45.
9 czerwiec 1850. . . . . 9°40.
4 sierpień 1850 . . . . . 9°40.
9 sierpień 1850. . . . . 9°45.

Prawie tęż samą temperaturę pokazuje zródło w środku wioski Skotniki, naprzeciw Bielan, pod Krakowem, obficie wydobywające się z gipsu trzeciorzędowego:

5 październik 1845. . . . . 9°08.
10 październik 1846. . . . . 9°50.
22 maj 1847. . . . . 8°45.
25 maj 1847. . . . . 8°45.
18 sierpień 1847 . . . . . 9°15.

Dla porównania podaję nadto temperaturę źródeł z północnych części kraju: Nieszawa, miasto nad Wisłą, źródło przy klasztorze Franciszkanów, glina.

22 lipiec 1857 . . . . . 10°0.

Nieszawa nad samą Wisłą, glina.
22 lipiec 1857 . . . . . 9°5
Działyń, w powiecie Lipnowskim, źródło Lipka, z gliny.
16 lipiec 1857 . . . . . 8°5.
Tamże, parów pasieka.
16 lipiec 1857 . . . . . 8°0.
Piotrkowo, wieś przy Działyniu, glina.
16 lipiec 1857 . . . . . 8°70.

Wreszcie podam temperaturę kilku studzien artezyjskich, w tymże samym obrębie kraju. W Bydgoszczy na ulicy przyległéj pałacowi rządowemu i przy samymże pałacu wywiercone zostały liczne studnie artezyjskie, mające nieco odmienne temperatury, jakto okazuje załączony spis:

Studnia artezyjska w pałacu rządowym.
29 lipiec 1857 . . . . . 9°75.
14 listopad 1859. . . . . 9°8.
W domu p. Eckert.
29 lipiec 1857 . . . . . 10°0.
14 listopad 1859. . . . . 9°6.
W domu p. Kościńskiego 72 stóp głęboka.
14 listopad 1859 . . . . . 9°5.
W domu p. Treudelenburg, 115 stóp głęboka.
29 lipiec 1857 . . . . . 9°50.
W domu barona Buddenbrok na ulicy Gammstrasse.
14 listopad 1859. . . . . 9°4.

Drzewica, studnia artezyjska wywiercona w białym piaskowcu jurassowym, 390 stóp głęboka.
11 czerwca 1843 . . . . . 10°6.

Włocławek, studnia artezyjska w fabryce cykoryi 172 stóp głęboka.
1 grudzień 1845 . . . . . 9°20.

Warszawa, studnia artezyjska Temlera, 44 stóp głęboka.
1 października 1859. . . . . 9°2.

Małą różnicę w temperaturze pokazują studnie pomiędzy Koszycami (Kaschau) a Tokajem na Węgrach; podam dwa postrzeżenia uczynione przezemnie:

Pod Telki Banya, sławną kiedyś kopalnią na drodze z Telki Banya do Gönez obfite źródło tryszczące z perlitu.
26 wrzesień 1850 . . . . . 10°0.

Telki Banya przy młynie porcelanowéj fabryki, z białego konglomeratu perlitowego.

26 września 1850 . . : . . . . . 9°30.

Temperatura źródeł na północnym stoku Tatrów jest niższą, co pochodzi od znaczniejszego wyniesienia tych krain; jednakże dziwna rzecz, że prawie odpowiada ciepłu tryszczącéj wody przy drodze czajowskiéj w dolinie Prądnika, i tak źródło Bańkowki przy Poroninie, na roli Majerczykowéj tryszczące obficie z pośrodka łąk, z gliny okrywającéj piaskowiec karpatowy eoceniczny, 2200 stóp nad poziom morza wyniesiona, kilka razy mierzona w różnych latach w miesiącach letnich, pokazywało ciepło prawie jednakowe, jak następuje:

18 sierpień 1839. . . . . 7°15.
28 lipiec 1841 . . . . . 7°40.
11 sierpień 1843 . . . . . 7°45.
15 sierpień 1843 . . . . . 7°40.
10 wrzesień 1844 . . . . . 7°40.
25 październik 1844 . . . . . 7°60.

Wszystkie źródła Ojcowskie tryszczą w zupełnie jednakowych stosunkach fizycznych, wszystkie z wapienia jednostajnego, pokrytego gliną; wyniesienie ich nad poziom morza jest prawie jadnakowe, a tymczasem ich temperatura jest bardzo odmienną, przechodzi bowiem od + 7°5 C. aż do 9°7, czyli przeszło dwa stopnie stu-stopniowéj podziałki. Również silne źródła w okolicach Krakowa, Szkalbmierza, Proszowic odpowiadają najwyższemu ciepłu źródeł w Ojcowa dolinie; a zatém na wyniesieniu, wynoszącém pomiędzy 700 do 800 stóp nad poziom morza, mają 9 do 10° ciepła; ciepło źródeł najniższą pokazujących temperaturę w dolinie Prądnika odpowiada ciepłu źródła przy Bankówce u stóp północnych Tatrów mającéj średnią temperaturę 7°6. Jaka jest przyczyna takiéj zmienności temperatury źródeł Ojcowskiéj doliny, pozostaje rzeczą zagadkową. Życzyćby należało, iżby te poszukiwania, stojące odosobnione, mogły być powtarzane w różnych miesiącach i w różnych latach, wtedy przekonamy się, czyli wszystkie źródła zachowują niezmienną temperaturę? Z powyższych spostrzeżeń zdaje się wynikać, że średnia temperatura powietrza, nie odpowiada średniéj temperaturze źródeł, a jeżeli to ma miejsce, jestto czysty przypadek.

CHEMIA.

Chemik angielski p. Shank z hrabstwa Lankaster, wynalazł sposób bardzo genialny otrzymywania z gipsu kwasu siarkowego.

Sposób ten polega na dwóch po sobie następujących oddziaływaniach chemicznych, tojest na rozkładzie siarkanu wapna chlorkiem ołowiu i rozłożeniu utworzonego ztąd siarkanu ołowiu, kwasem solnym. W tym celu nasamprzód w wielką kadź dłuższą od swéj wysokości, zrobioną z ołowiu, cegieł, lub wreszcie jakiegokolwiek ciała opierającego się działaniu kwasów: wsypuje się 86 części na wagę gipsu, 68 części siarkanu wapna wyprażonego i 140 części chlorku ołowiu, poczém wlewa się na to znaczną ilość wody gorącéj i wszystko starannie miesza. Natychmiast potém widzieć można osadzający się siarkan ołowiu, a chlorek wapu (calcium), będzie rozpuszczony w wodzie na wierzchu stojącéj. Wtedy potrzeba jeszcze dotąd wszystko mieszać, aż odczynniki wskażą, że ciecz nie zawiera ołowiu; następnie ściągnąć wodę z wierzchu i przemyć w kadzi osad biały, będący siarkanem ołowiu. Gdyby zaś mieszanina zawierała znaczniejszą ilość siarkanu ołowiu od téj, jaka może być rozłożoną stosownie do praw równoważników chemicznych; wtedy jedynie ogrzéwa się ją mocniéj, a chlorek ołowiu zaraz się osadzi, roztwór zaś na wierzchu się znajdujący będzie kwasem siarkowym, który po wystudzeniu ściąga się i paruje do gęstości zwyczajnéj, potrzebnéj do handlu. Co się zaś tyczy chlorku ołowiu, pozostałego w kadzi, przemywa się go wodą zimną dla odpłukania znacznéj ilości kwasu siarkowego, poczém dodaje się do niego równą ilość świeżego siarkanu wapna. Tym sposobem użyty raz chlorek ołowiu, ciągle bez odnawiania go, w robocie téj służyć może, a traci się go tylko tyle, ile w skutku mechanicznych czynności jest to konieczne.

* Niedawno p. Payen otrzymał nowy pierwiastek bezpośredni, nazwany przez niego gelozyną (gélose), z pewnego rodzaju ciała włóknistego, pochodzącego z Chin, które już w roku 1856 zwracało na siebie uwagę p. Morin, jako ciało przezwane *mchem chińskim*. Mech ten ma się znajdować na drzewach na południu Chin rosnących, oraz na wyspach Filipińskich. Po większéj części nie rozpuszcza się on w wodzie zimnéj, jest zaś rozpuszczalny w wodzie gorącéj, a wtedy za ostudzeniem wydaje galaretę bezbarwną, przezroczystą, i pod równą wagą w ilości

10 razy większéj, niż najlepszy klej zwierzęcy rozgotowany. Tę galaretę Payen nazywa gelozyną, która posiada własność nie rozpuszczania się w roztworach alkalicznych potażu, sody i amonii, oraz w wodzie zimnéj, wyskoku, eterze i kwasach słabych. Jako cechę odznaczającą to ciało, podaje autor tę jego własność, że rozpuszcza się, lubo powolnie, w kwasach tak siarkowym, jako też i solnym ztężonych, i następnie tworzy z niemi związek barwy brunatnéj. Gelozyna składa się z kwasorodu, wodorodu i węgla, i służy z wielką korzyścią do zastąpienia kleju rybiego czyli karuku.

Obok powyższych poszukiwań, p. Payen zastanawiał się także nad gniazdami jaskółki, zwanéj salangana, ponieważ istota kleista tego gniazda dotąd była nie rozpoznaną. Ciało kleiste rzeczonego gniazda wcale nie jest podobne do gelozyny: wiadomo zaś, że z kleju tego składa się częstokroć całe gniazdo, i przez to służy za pożywienie. Powyższa istota kleista czyli galaretowata, posiada w sobie azot i jest bardzo podobna do szluzu zwierzęcego: pęcznieje w wodzie wrzącéj i w znacznéj części się w niéj rozpuszcza, a za ostudzeniem nie ścina się czyli nie krzepnie. Payen radzi nazywać ją kubilozyną (cubilose).

⁂ Woda morska zawiera pewną ilość srebra ocenioną w dawniejszych pracach pp. Malagutego i Durocher'a na 1 miligram na 100 kilogramów wody. Obecnie p. Tuld starał się sprawdzić powyższe dane, rozbierając wody z mórz pobliskich amerykańskich. Z rachunku pp. Malagutego i Durocher'a pokazuje się, że w wodach morskich więcéj jest rozpuszczonego srebra, niż z ziemi możnaby go wydobyć. Przypuszczają oni, że srebroto dostało się do wód oceanu albo w skutku rozpuszczenia wyziewów chlorku srebra wychodzących z ziemi, albo też, co jest prawdopodobniejsza, przez powolne działanie wody słonéj na siarczyki srebra, pokładów przy powierzchni ziemi lub na dnie morza leżących.

⁂ P. Demortain, naczelny aptekarz armii włoskiéj, w czasie ostatniéj wojny, zastanawiał się nad wodami rozmaitych rzek, strumieni, źródeł i studzien tak w Piemoncie, jako też i w Lombardyi. Rozbierał on powyższe wody w celu przekonania się, czyby z porównywania ich składu przyjść nie można do pewniejszych wniosków we względzie przypisywanych wodzie skutków na tworzenie się wola, która to choroba bardzo jest w Lombardyi upowszechniona. Przesyłając swą pracę akademii umiejętności paryzkiéj, autor na dwie główne w niéj okoliczności zwraca

uwagę: pierwszą jest, że był brak zupełny soli magnezyowych w wodach tych okolic, w których spostrzeżono najwięcéj chorych na wola; drugą zaś, że okazał się niedostatek chloru: w wodach bowiem powyższych tak mało znalazł chlorków, że dla ich wykrycia musiał wiele doświadczeń i to na znacznych ilościach wykonywać. Wszystkie zaś te wody były tak nazwane twarde, tojest do prania i gotowania np. grochu nie zdatne; co dowodziło już, że zawierają w znacznéj ilości węglan i siarkan wapna. Skoro wyłączono z nich dwie powyższe sole, oraz kwas węglowy, okazały się podobnemi prawie do wody przepędzonéj czyli destylowanéj. Wiele z powyższych wód miało w sobie nieco powietrza zwyczajnego.

* Za jeden z najlepszych środków przeciw tworzeniu się kamienia wapiennego w kotłach parowych, podają najnowsze pisma naukowe, włożenie w kocioł kilku kawałków metalu, np. surowcu i t. p., około którego osiądą sole wapienne bez przylegania do ścian kotła. Sposób ten łatwy, dawniéj już znany, świeżo doświadczeniami został potwierdzony.

J. B...a.

KORRESPONDENCYE.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj (*).

Do Jaśnie Wielmożnego Alexandra hr. Wielopolskiego margrabiego myszkowskiego.

Od egzekutorów testamentu ś. p. Konstantego Świdzińskiego.

Znane powszechnie znaczenie i myśl testamentu ś. p. Świdzińskiego nikogo bliżéj obchodzić nie mogą, jak podpisanych egzekutorów, przeznaczonych do pilnego czuwania nad wykonaniem jego woli.

Dopokąd jednak spór przez pp. Świdzińskich (o ważność testamentu) wytoczony, nie został wyrokiem ostatecznym sądu rozstrzygnięty; dopokąd wreszcie nie wiedzieliśmy, jaki z niego pan margrabia uczyni użytek i w jaki sposób względem spadkodawcy z położonego w nim serdecznego zaufania się wywiąże: w milczeniu czekaliśmy skutków, nie chcąc ani za śmiało wskazywać panu margrabiemu co mu czynić wypada, ani też zawczesnie zamiarów jego przesądzać. Czekaliśmy w nadziei, że podniesiemy głos wdzięczności, podzielonéj z krajem całym.

Z serdeczną boleścią inaczéj przychodzi nam przerwać oczekujące milczenie.

Wydanie piérwszego rękopismu ze zbiorów Świdzińskiego, dało panu margrabiemu sposobność objawienia publicznie myśli i zamiarów swoich, względem sposobu wywiązania się z włożonych nań przez spadkodawcę moralnych obowiązków.

Nie zaprzeczamy panu margrabiemu możności na literze prawa opartéj, urządzania tych spraw wedle obranego kierunku, ale głośno przeczymy, iżby powzięte postanowienie zgadzać się miało z nadziejami i widokami K. Świdzińskiego.

(*) Pospieszamy z ogłoszeniem niniejszéj protestacyi, nadesłanéj do naszego pisma. *Przypis. red.*

Celem naszego uczonego ziomka było, aby kraj korzystać mógł z jego półwiekowéj pracy i owoców trudów a poświęceń całego życia, w tym wyłącznie kierunku dla dobra nauki podjętych.

Chciał on cały kraj mieć moralnym spadkobiercą swoim, a w panu margrabim spodziewał się umierając znaleźć nietylko ordynata przedstawiającego trwałość zapisu, ale i zastępcę, któremu w czulych pogrobowych niemal wyrazach myśl swoją przekazał, stawiając nas (z wielu innymi) na straży swojéj naukowéj spuścizny.

Obiór dóbr ordynackich *na składy tego, co miało tworzyć muzeum Świdzińskiego przy ordynacyi margrabiów myszkowskich*, zmienia, a nawet w części niweczy spodziewany owoc tylu trudów i poświęceń twórcy zbiorów i zapisu.

Dozór i opieka zbioru nie w tych zostają rękach, w jakie je testamentem złożył ich niegdyś właściciel.

Ani Chroberz, ani Xiąż, ani Pińczów, nie są tém *dostępném miejscem*, którego dla korzyści uczonych żądał na swoje muzeum Świdziński.

Wprawdzie otwiera pan margrabia gościnny wstęp do połączonych skarbów nauki, a wybrańców wzywa i zaprasza do wzięcia w korzyściach udziału: przecież podróże mało który z uczonych podejmować może, ani też urząd lub miejscowe obowiązki pozwolą nie jednemu oddalać się z miasta, ktore samo jedno jest w Królestwie Polskiém ogniskiem umysłowego ruchu: dostawszy się wreszcie uczeni do tych skarbów nauki, przyjmować by zarazem musieli dobrodziejstwo gościnności prywatnéj.

Rozpoczął wprawdzie pan margrabia urzeczywistniać *jedno z życzeń* Świdzińskiego drukowaniem ukrytych w zbiorach jego cennych przeszłości zabytków, ale nie sądzimy, aby spełnieniem *tego tylko*, pozostawał pan margrabia w zgodzie z ostatnią wolą zmarłego przyjaciela.

Tu winniśmy przypomnieć wniosek prokuratora senatu w sprawie o testament: „*chociażby życzenie do zapisu dołączone za obowiązkowe mogło być poczytane, co obecnie nie jest przedmiotem rozpoznania* (ale byćby nim mogło), *to rozporządzenie takie nie byłoby prawem zakazaną substytucyą*". Zdanie to nadaje powagę prawa zobowiązaniu, „*które dla legataryusza stanowi* (wedle słów prokuratora) *ciężar moralny*". Przytacza te słowa (w liście do nas pisanym) najbliższy osoby ś. p. K. Swidzińskiego, świadek ostatnich chwil jego, piérwszy doradca i główny egzekutor testamentu, Erazm Michałowski, a w osobnéj na dokumentach opartéj publikacyi szczegółowo je rozwinie.

My zaś wolelibyśmy mieć jeszcze nadzieję, że pan margrabia zamiast strzeżenia litery prawa, prędzéj czy późniéj wejdzie w ducha zapisu, a przywracając testamentowi K. Swidzińskiego prawdziwą moc i znaczenie, zniewoli nas do zamienienia protestacyi naszéj na uznanie, że spełnił ostatnią wolę zmarłego, w obronie któréj z podwójnego stajemy obowiązku: egzekutorów testamentu i przeznaczonych do tego przyjaciół.

Warszawa,
d. 20 grudnia 1859.

Władysław Małachowski.
Alexander Przezdziecki.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Do zacnych rodaczek!

W odezwie mojéj z dnia 14 grudnia przemawiałem do ogółu obywateli kraju naszego, objaśniając cel, dążność i znaczenie nowopowstającéj instytucyi.

Nie wątpię, czcigodne panie! żeście czytały moje słowa gorliwie, żeście mnie zrozumiały i pojęły, bo każde przedsięwzięcie wzniosłe, szlachetne, obchodzące dobro kraju, znajduje odgłos w waszém sercu!

Lecz czułem potrzebę odwołać się osobną odezwą do was, zacne Polki! bo wiem, ile wasza opieka, wasze współdziałanie, wasze pośrednictwo będzie *przeważném*, *stanowczém* do osiągnięcia tak pożądanego celu!

Do was więc dziś przemawiam w sprawie Instytutu Muzycznego, który ma być owocem, przedstawicielem miłości, solidarności i poświęcenia obywateli dla pożytku i dobra krajowego!

Instytut Muzyczny według Ustawy Najwyżéj zatwierdzonéj, ma być wzniesionym po większéj części z dobrowolnych składek współziomków. Ma więc być *Instytucyą obywatelską, krajową!!*

To wymaga czynnego działania, troskliwéj opieki i i niczem nie zachwianéj *wytrwałości!*

Któż lepiéj jak wy, czcigodne panie, potrafi tym warunkom zadosyć uczynić, wy, które wspieracie wszystko, co jest dobrem, co krajowi użytek przynosi?

Was najwięcéj obchodzi muzyka kościelna, muzyka krajowa. Jako chrześcianki i matki, czujecie dobrze, ile ona do chwały Boga i do podniesienia wyższych uczuć w młodzieży naszéj może się przyczynić!

Zaniedbanie kościelnéj muzyki i własnéj naszéj, wszędzie w kraju czuć się daje; a przyczyną tego brak wykształconych nauczycieli i organistów. Instytut Muzyczny zaradzi temu.

Dlatego tóż, zacne rodaczki! przyłóżcie się do dzieła, bądźcie opiekunkami, piastunkami powstającéj Instytucyi. Zachęcajcie każdego do ofiar według jego możności, urządzajcie na ten cel w zamieszkałych przez was stronach wieczory, koncerta, zabawy: bo im więcéj będzie środków użytych ku temu, tém więcéj dobrych skutków, a tém samém więcéj młodzieży w mającym się założyć Instytucie, będzie korzystać z dobrodziejstw, z waszéj gorliwości i pieczołowitości wypływających!

Niech wieniec spleciony z kwiatów cnót i poświęcenia waszego, wznosi się na zawsze nad tą Instytucyą, jako błogosławieństwo matki nad swém dziecięciem.

Ale pamiętajcie, że czas zakreślony do zebrania potrzebnych funduszów na założenie Instytutu jest bardzo krótki (1). Trzeba z pośpiechem i największą energią rozwinąć działania!

(1) Termin Ustawą zakreślony do zebrania funduszów, na rzecz Instytutu Muzycznego warszawskiego jest sześcio-miesięczny, i kończy się z dniem ostatnim marca 1860 roku.

Działajcież więc sami i wezwijcie do działania waszych mężów, ojców, dzieci i przyjaciół.

Mam silną *wiarę*, że za waszym wpływem i staraniem Instytut Muzyczny wejdzie w życie i że stanie na wysokim stopniu znaczenia, nie tylko u nas lecz i zagranicą; że rozbudzi *nutę krajową*, podniesie chwałę Boga i będzie nowym dowodem, że w każdém zacném i użytecznem przedsięwzięciu dla kraju, można z pewnością odwołać się do pomocy i serc *Polek!*

Warszawa,
w dzień Bożego Narodzenia 1859 r.

Apolinary Kątski.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Z ostatnim dniem dogasającego 1859 roku, upłynie sto lat istnienia krajowéj naszéj gazety: *Kuryer Wileński.*

Sumienie narodów zwykło przywiązywać pewną tajemniczą wagę do tych wielkich podziałów czasu na stulecia zakreślonych, widzi w nich otuchę błogosławieństw nieba, lepszéj doli, przyszłego rozwoju i bliższe ziszczenie nadziei, które rozum potwierdza, których serce pragnie, dla dobra kraju i powodzenia całéj ludzkości. Minione stulecie, tak obfite we wstrząśnienia, przez które Opatrzność ród ludzki ku lepszéj przyszłości prowadząc, skierowała na tor jasnego pojęcia najwyższych i najżywotniejszych zadań, w którém, po pracowitém łamaniu się z przesądami i błędem, sprawa zdrowo pojętéj cywilizacyi, tryumf odnosić poczęła, wkłada obowiązek na każdego, do ogółu przemawiającego, szanowania tych odwiecznych zasad, na których dola społeczeństw, w najrozciąglejszém tego słowa znaczeniu, spoczywa. Poprzednicy nasi w wydawnictwie Kuryera statecznie tym zasadom hołdowali; ale w początkach jego istnienia, potrzeby społeczności były mniéj różnorodne a obręb przedmiotów w ogóle do pism czasowych wchodzących nierozciągły; to były powody, iż pewna wyłączność nader długo przemagała w trybie redagowania Kuryera. Wówczas, kiedy się wszystko dokoła zmieniało, Kuryer nie mogąc zdążyć za postępem czasu, przy końcu swojego stuletniego istnienia, znalazł się przescignionym nietylko przez obce, ale nawet i krajowe pisma czasowe; a lubo w ostatnich 20 latach podnieść się do wymaganéj wysokości, pod kierunkiem znakomitego swojego redaktora byłby zdolnym, wszakże nie zawisło od woli jego przyczyny tamowały oczekiwane powodzenie. Okoliczności te dały powód do zażaleń, że kraj nasz pochopny iść na równi z ogólnym, europejskim postępem, nie miał organu odpowiedniego potrzebom; że nie przejawiał tego, co gdzieindziéj działo się w ogólnéj sprawie umysłowego i materyalnego rozwoju; że nie przedstawiał nakoniec obrazu wewnętrznego życia téj strony, któréj miał być tłumaczem. Taka stagnacya, w którą Kuryer wpadł zbiegiem rozlicznych okoliczności, nie mogła trwać dłużéj. Czas naglił, aby niezbędną w tym względzie zmianę na lepsze wprowadzić. Głęboko przeniknieni koniecznością zaradzenia temu, wyjednaliśmy pozwolenie Rządu i zawarłszy 12-letnią umowę z Władzą, do któréj własność Kuryera

należy, zachęceni do tego szlachetną gotowością pracowania wspólnie z nami najzacniejszego naszego poprzednika i pojmując całą ważność powinności, jakie społeczność dzisiejsza na redaktora pisma czasowego wkłada, z ufnością, że trudnemu zawodowi, przez wzgląd na prawość naszych chęci Bóg pobłogosławi, że światli, uczeni i tchnący miłością dobra powszechnego ziomkowie wspierać nas zechcą; rozpoczynamy zawód, którego trudności nie taimy przed sobą, ale które spodziewamy się zwalczyć wytrwałością pracy, a co główna, spółdziałaniem ludzi zasługi, doświadczenia i nauki, którzy nam stałą pomoc swoją zapowiedzieli. Silni tém współdziałaniem, od dnia 1 stycznia 1860 r. otwieramy setny pierwszy rok życia Kuryera Wileńskiego, w rozszerzonym i odpowiednim dzisiejszym potrzebom rozmiarze. We 4 głównych działach pismo to obejmować będzie następne przedmioty:

Dział I. 1) Najwyższe rozkazy. 2) Wiadomości o ogólnych postanowieniach rządu, a zwłaszcza tyczących się tutejszego kraju. 3) Ogłoszenia władz miejscowych w guberniach zachodnich. 4) Nagrody, podniesienia do wyższych stopni, mianowania, uwolnienia i przeniesienia urzędników wyższych klass w Cesarstwie i wszystkich dalszych, w guberniach zachodnich. 5) O egzaminach w zakładach naukowych, o rozpoczęciu i ukończeniu kursów dla młodzieży szkolnéj, o nagrodach celujących uczniów. 6) Wiadomości o ważniejszych zjawieniach i wypadkach w Państwie, szczególniéj zaś w kraju zachodnim. 7) O terminach sejmików szlacheckich i ich wypadku. To wszystkie wiadomości ogłaszane będą w językach rossyjskim i polskim. Obejmując bowiem ruch prawodawczy i administracyjny kraju, podając tekst obowiązujący, uczyni się zadość nieuchronnéj często potrzebie odwoływania się i przytaczania autentycznych wyrażeń samychże ustaw.

Dział II. Wiadomości zagraniczne, czerpane z gazet i dzienników obcych i krajowych, pod kierownictwem Mikołaja Malinowskiego. Dział ten ogłaszany będzie jedynie w języku polskim. Usiłowaniem redakcyi będzie, aby też wiadomości podawać już to w poglądach ogólnych na bieg wypadków politycznych całego świata, już to pojedyńczych państw i krajów, w taki sposób, aby obraz dziejów spółczesnych odbijał się w nich wiernie, jasno i w ścisłéj następności zdarzeń. Redakcya szczególną zwróci troskliwość na udzielanie najświeższych wiadomości, ku czemu upowszechnienie telegrafów daje wszelką łatwość.

Dział III. Obejmie ruch umysłowy w dziedzinie nauki i sztuki,— ruch społeczny pod względem przemysłu, rolnictwa, handlu i wynalazków. Dla udzielania najświeższych i najpewniejszych wiadomości, redakcya zapewniła sobie ciągłą korrespondencyą nietylko ze stolic Państwa i znaczniejszych miast kraju, ale też z głównych ognisk oświaty europejskiéj, tak, iż każdy numer Kuryera poda czytelnikom jeden lub nawet więcéj listów, oświetlających najwybitniejsze objawy prac myśli, społecznego postępu, płodów artystycznych i życia towarzyskiego.—W tym właśnie dziale umieszczane będą: 1) *Powieści, Poezye, Podróże i w ogóle Utwory Literatury nadobnéj.* Redakcya zapewniła sobie współpracownictwo najsłynniejszych pisarzy w tym rodzaju, jakoto: A. E. Odyńca, J. I. Kraszewskiego, I. Korzeniowskiego, Zyg. Kaczkowskiego, I. Chodźki, Wł. Syrokomli i. w. i. 2) *Prace Historyczne:* pamiętniki, poglądy etnografi-

czne, archeologiczne, statystyczne, tak ogólne, jak wyłącznie służące do zbadania przeszłości naszego kraju; — w czém dopomoże redakcyi współdziałanie Teodora Narbuttta, Eustachego hr. Tyszkiewicza, Mikołaja Malinowskiego, Michała Balińskiego, Józefa Jaroszewicza, Juliana Bartoszewicza, Karola Szajnochy, K. Wł. Wojcickiego, J. Łepkowskiego, Konst. hr. Tyszkiewicza, tudzież innych znanych pisarzy. 3) *Nauki Społeczne*, a mianowicie: prawo, administracya, gospodarstwo narodowe, skarbowość, ze wszystkiemi ich gałęziami, które redakcya czerpać będzie z pism tak krajowych, jak zagranicznych, poświęconych tym przedmiotom. 4) *Krytyka i Bibliografia*, zajmie się wyłącznie rozbiorem ważniejszych dzieł na jaw wydanych, a szczególnie odnoszących się do rozszerzenia wiedzy rzeczy krajowych. A. Tyszyński, M. Baliński, oraz uczeni, którzy pracami historycznemi zasilać pismo nasze przyrzekli, dojrzałym, a bezstronnym sądem oznajomią z niemi czytelników. 5) *Gawędy Naukowe*, w treściwém sprawozdaniu, pod kierownictwem uczonego i tyle krajowi zasłużonego professora A. F. Adamowicza, przy udziale kilku pracowników w téj gałęzi umiejętności, opowiedzą, w sposób dla ogółu najzrozumialszy, stan i postępy współczesnéj nauki, tak żywo oświeconych czytelników obchodzące. 6) *Przeglądy*, stanowią w każdém piśmie czasowém najżywotniejszą część jego, i dlatego pragnąc uczynić zadość potrzebom obecnéj chwili, uprosiliśmy do sprawozdań w każdéj gałęzi ludzi fachowych; ogólne zaś kierownictwo téj części pisma przyjął na siebie Wacław Przybylski. Dzielimy je następnie na a) *wszechstronny*: tu dawać będziemy pobieżne wiadomości o wszystkiem, co godniejszego uwagi w jakimkolwiek kraju świata zaszło; sprawozdania z posiedzeń akademij i towarzystw naukowych, ważniejszych uroczystości i obchodów krajowych, zjawień w literaturze i sztukach, przedstawień scenicznych, i t. d. b) *miejscowy* — stanowić powinien niejako współczesną i bieżącą historyą pod względem wewnętrznego życia kraju. Dostarczą do tego osnowę korrespondencye z rozmaitych stron przesyłane, tak, aby czytający wiedzieć mogli nie tylko co się u nich, ale i w bliższych ich stronach dzieje. Nadto niesiemy prośbę do wszystkich, którym nie jest obojętne dobro publiczne, aby każdy ze swéj miejscowości podawał nowe gospodarcze, przemysłowe, pamiątkowe, starożytnicze. Kapłan o swym kościele, obywatel o swéj wiosce, każdy ze swego stanowiska potrafi udzielać ogółowi wiadomości, które pojedyńczo wzięte nie uderzają swoją ważnością, ale są nadzwyczaj cenne, jako cząstki składowe ogólnego obrazu. c) *rolniczy* — pomieści krótką, ale dokładną wiadomość o ważniejszych pracach, zawartych w pismach czasowych, wyłącznie rolnictwu i gospodarstwu wiejskiemu poświęconych, tudzież o ulepszeniach i wynalazkach, gdziekolwiek wprowadzonych, lub odkrytych. Gdy wyprzedaż produkcyi ziemnych stanowi tak ważny warunek naszego gospodarstwa, handel powinien i musi zwracać uwagę pisma, poświęconego miejscowemu pożytkowi. Za pomocą więc utrzymywanych w kraju i za granicą korrespondencyj, będziemy w stanie zdawać sprawę o rzeczywistych cenach, jakie istnieją na targach płodów naszéj ziemi w główniejszych miejscach odbytu — i d) *pism czasowych*. — Pożądaną dla czytających jest wiadomość o pracach pomieszczanych w pismach czasowych; tym końcem porządny wykaz pojedyńczych artykułów udzielanym naszym czytelnikom będzie. 7) *Rozmai-*

tości—zajmą uwagę czytelników wypadkami najrozmaitszéj barwy i treści, gdziekolwiek zdarzonemi, nie będącemi z sobą w żadnym ścisłym związku, a jednak zdolnemi obudzić powszechną ciekawość.—Winniśmy uprzedzić, że nie wszystkie z wymienionych w tym dziale przedmiotów znajdą jednocześnie miejsce w każdym numerze gazety. *Dziennik Wileński* odnosi się wyłącznie do samego miasta Wilna. Będzie to niejako porządek dzienny jego życia; obejmie postrzeżenia meteorologiczne, zabawy, teatr, koncerta, wiadomość o przyjeżdżających, o cenach targowych i t. p. Pragnąc aby pismo nasze było jak najwierniejszym obrazem obecnéj chwili, aby podawało czyste i nieskażone wiadomości o tém wszystkiem, co się gdziekolwiek dzieje, winniśmy na pilném mieć baczeniu, aby pewne i rzeczywiste wiadomości zawierało o kraju, którego ma być wiernym organem;—dlatego widząc jak często mylne, niedokładne, lub przekręcone wiadomości wkradają się do pism rossyjskich o kraju naszym; postaramy się w osobnych artykułach, jedynie w języku rossyjskim pisanych, dotknąć żywotnych zadań historyi, etnografii, statystyki, literatury, oraz przeglądów społecznego naszego życia; rozwój zaś umysłowy, świetny postęp na polu przemysłu, wynalazku i handlu ogólnie w Cesarstwie, dla jak najdokładniejszego oznajomienia się z niemi miejscowych czytelników, będą podawane w języku polskim.

Dział IV. (Dzisiejszy dodatek do Kuryera). *Kurjer wileński*, jako gazeta urzędowa mieścić będzie w językach rossyjskim i polskim: Ogłoszenia władz rządowych, 1) o przedsiębierstwach i targach na budowle rozmaite, dostarczenia, odkupy, transporta, i inne przedmioty w zarządach: duchownym, cywilnym i wojskowym. 2) obwieszczenia sądowe o terminach appelacyjnych i podpisów, wyciągów, przewodów prawnych, juryzdykcyj gubernialnych i powiatowych, 3) ogłoszenia o wyjeżdżających za granicę, i t. p. 4) ogłoszenia rządowe o straconych i znalezionych przedmiotach, kradzieżach i t. p.

Ogłoszenia prywatne: O osobach życzących przyjąć rozmaite obowiązki prywatne, o przedaży i dzierżawach majątków, domów lub ruchomości, handlowe, wezwania wierzycieli, spadkobierców i t. p.

Wielostronność przedmiotów, jakim w kolumnach pisma naszego dajemy miejsce, wymaga znacznéj liczby współpracowników.—Wymieniliśmy już osoby, na których szczególne współdziałanie w ważniejszych gałęziach wiedzy liczymy. Uzupełnimy ich poczet wykazem tych wszystkich, którzy nam i dotąd w naszych uprzednich naukowych przedsięwzięciach dopomagać raczyli, a na których współpracownictwo z pewnością i nadal liczymy: Abramowicz Herkulan, Adamowicz Adam F., Akielewicz Mikołaj, Andrzejowski Antoni, Baliński Michał, Bartoszewicz Julian, Bądzkiewicz Ant., Białecki Ant., Chodźko Ign., Chodźko Dominik, Deotyma, Geniusz, Giejsztor Jakób, Gras Alex., Gusiow Maciéj, Horain Jul., Jaroszewicz Józ., Iwicki Ign., Kaczkowski Zygm., Korewa Ant., Korotyński Winc., Kraszewski Ign. Józ., Kremer Józef, Krupowicz Maur., Kukolnik Paweł, Kulikowski Wład., Łopkowski Józ., Dr Majer Józ., Malinowski Mik., Mikulski Jan, Miniat Jul., Muchliński Ant, Narbutt Teodor, Odyniec Ant. Ed., Padalica Tad., Paszkowski Kaz., Plug Adam, Prusinowski Jan, Przyborowski Józ., Przybylski Wac., Rogalski Leon, Rogawski Karól, Schreyer

Juli., Siwicki Zygm., Swida Sydalia, Syrokomla Wład., Szajnocha Karol, Tamulewicz Kajetan, Tomaszewicz Walery, Tyszkiewicz hr. Eustachy, Tyszkiewicz hr. Konst., Tyszyński Aleks., Wiesiołowski Włodz., Wojcicki Kaz. Wł., Zaleski Bronis. Zamostowski Zbigniew, Zienkiewicz Romuald.

Kuryer wychodzić będzie dwa razy na tydzień: we wtorki i piątki. Warunki przedpłaty: Cena roczna w Wilnie 10 rsr., z przesyłką 12 rsr., półroczna rsr. 5, z przesyłką rsr. 6; kwartalna rsr. 2 k. 50; z przesyłką rsr. 3; miesięczna kop. 84. Za trzykrotne ogłoszenia rządowe i prywatne, za wiersz po 7½ kop. Prenumerować można: w Wilnie: w biurze redakcyi, przy ulicy Biskupiej (Dworcowéj) w gmachu po-uniwersyteckim i w expedycyi gazet;—w Petersburgu: w księgarni Kraszeninnikowa, w domu Greffa, przy Newskim prospekcie;—w Kijowie: u Idzikowskiego Leona, księgarza;—w Żytomierzu: w księgarni wspólki wydawnictwa Biblioteki domowéj;—w Warszawie: u Gebethnera;—w Krakowie: w biórze wydawnictwa Biblioteki polskiéj;—we Lwowie: u Jabłońskiego;—w Poznaniu: u K. Żupańskiego;—w Mińsku: u A. Walickiego;—w Kownie: u E. Mrongowiusa. Nadto u uproszonych kollektorów.—Artykuły i listy mają być nadsyłane pod adresem redaktora w Wilnie.

Redaktor *A. H. Kirkor.*

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj (*).

POEZYE ALEKSANDRA GROZY. OGŁOSZENIE NOWEGO WYDANIA.

Będąc najwięcéj obowiązani zachętom i staraniom p. Aleksandra Grozy w założeniu naszéj drukarni, poczytujemy sobie za święty obowiązek zająć się wydaniem poetyckich dzieł jego, które cztery tomy obejmą, a mianowicie:

Tom 1-szy. *Pieśni i wiersze różne*: — *Kalina* (legenda); *Wacław* i *Helena* (fantazya); *Książnin* (poemat uczuciowy); *Korynna* (wspomnienie starożytnéj Grecyi); *Trzy Palmy* (powieść ze Wschodu).

Tom 2-gi. *Powieści Ludu*: *Martyn* (powieść ukraińska); *O duszach umarłych* (powieść ukraińska); *Głuche jeziora* (powieść białoruska); *Maryna* (powieść białoruska); *Jastrzębiec* (powieść wielkopolska). *Dumy: Soroka* (duma-ukraińska); *Maxym* (duma ukraińska); *Janko ślepy* (duma serbska).

Tom 3-ci. *Marek Jakimowski* (duma historyczna): *Mogiły* (relacya o bitwie Batowskiéj); *Starosta Kaniowski* (powieść ukraińska we 3ch częściach).

Tom 4-ty. *Hryć* (dramat ukraiński w 5ciu aktach); *Smieciński* (powieść we 3ch częściach).

(*) Pragnąc jak największy dać rozgłos znaczniejszéj odezwie na zbiór znanego autora, ogłaszamy ją w naszém pismie z tym dodatkiem, iż prenumerować można w redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. *Przyp. red.*

Pomiędzy naszymi poetami pan Aleksander Groza jedno z zaszczytniejszych miejsc zajmuje; tacy znawcy i krytycy, jak pp. Sztyrmer, Siemieński, Marcinkowski, Kraszewski, Wójcicki i inni to mu przyznali; a p. Michał Grabowski utrzymuje, że on połączył w sobie to wszystko, na czem zbywało B. Zaleskiemu i Goszczyńskiemu, a tém samém dopełnił genialnego orszaku naszych poetów ukraińskich. Uczone nasze Towarzystwo krakowskie przyjaciół nauk i wileńskie archeologiczne oddały hołd jego talentowi, zapraszając go na swego członka, a taki artysta jak pan Antoni Oleszczyński, szlachetne rysy naszego poety prześlicznym medalionem upamiętnił.

Kto poznał poezye pana A. Grozy, a nawet pisma jego prozą, ten podziwia w nich bogactwo myśli i uczucia, świeżość i oryginalność kompozycyi, niezużycie formy; bo on myśl każdą nosi długo w swéj duszy, wygrzewa ją w sercu i z natchnieniem wylewa ją na papiér.

Pisma p. A. Grozy, pomimo, że je krytyka uznała być utworami wyższego talentu i natchnienia, nie są jeszcze w ogóle ani tak znane, ani rozpowszechnione jak na to zasługują, przez co wyrządza się krzywda i poecie i krajowi. Pragnąc o ile w naszéj mocy, wynagrodzić tę podwójną niesprawiedliwość, ogłaszamy prenumeratę na poezye p. A Grozy; na jego zaś pisma prozą później prenumerata ogłoszoną będzie.

Nikt mniéj od pana Grozy nie ubiegał się o sławę, stosunki, nagrody: żył, pracował na ustroniu; a gdy mu nadarzyła się sposobność wystąpienia na widok publiczny, wystąpił, lecz nie we własnym, a biedniejszéj braci interesie, podając myśl wydawnictwa taniéj Biblioteki domowéj w Żytomierzu i z całą duszą zajmując się zrealizowaniem onéj.

Powiada stare przysłowie: dwom bogom razem służyć nie można; i pan A. Groza dzieląc swą myśl i życie między poezye i prace umysłowe a powszedniego żywota sprawy, musiał w czemś szwankować: i w istocie szwankował na stronie materyalnéj—i autor *Dum*, *Kaniowskiego*, *Hrycia*, *Smiecinskiego*, twórca wydawnictwa *Biblioteki Domowéj*, znalazł się pod ciężarem trudnych okoliczności, które pogorszyły lata nieurodzajne, a bardziéj ciężkie i długie w jego domu choroby.

Z rezygnacyą szlachetnemu człowiekowi właściwą zabierał się do sprzedania swego wiejskiego dziedzictwa, i biały piękny domek, i zielone w ogrodzie kasztany, i żyzne pola, na których tyle dum przez myśl i serce mu przeszło i tyle tu onych wyimprowizował, uważał już za nie swoje, gdyśmy przedstawili mu, że ma prawo odwołać się do ogółu i ogłosić na swe dzieła powszechną prenumeratę. Ustąpił naszym naleganiom z warunkiem, aby ta, o ile można, była tanią.

Spełniając to skromne naszego piewcy wymaganie, ogłaszamy prenumeratę na 4ry tomy poezyj p. A. Grozy, na pięknym papierze

i ścisłym drukiem rs. 3 i pewni jesteśmy, że ogół wesprze nasze przedsięwzięcie sympatyą, jaką zawsze dla wszystkiego, co dobre i piękne, okazywał, a pp. księgarze, nakładcy i wydawcy pism peryodycznych czynném zainteresowaniem się pomocy swéj nam nie odmówią. — Ponieważ do wyprzedaży biletów prenumeracyjnych ilość egzemplarzy stosowną być musi, przeto upraszamy o jak najrychlejsze zgłaszanie się, abyśmy w ciągu bieżącego roku wydanie uskutecznić mogli. Cały dochód z wydania do autora należéć będzie. Upraszamy także osoby, chcące dać protekcyą naszemu przedsięwzięciu i zatrudnić się zbieraniem prenumeraty, aby raczyły zgłosić się, adresując: do *Andrzeja Kwiatkowskiego w Żytomierzu.*

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Z powodu częstych zapytań o nowo urządzone warunki przedpłaty na *Ruch Muzyczny* w r. 1860, redakcya tego pisma ma zaszczyt objaśnić, że ustanawiając dwojakiego rodzaju przedpłatę: 1mo na pismo bez dodatku w nutach, i 2do na pismo z dodatkiem w nutach, miała na względzie dogodność abonentów i zastosowanie się do ich życzeń rozlicznych, o ile się to dało zrobić.

I tak, co do 1go: prenumerata *bez dodatku nut* jest dogodnością, którą ofiarować można było *tylko* abonentom odbierającym pismo, bądź w redakcyi, bądź w księgarniach warszawskich i prowincyonalnych. Taka prenumerata wynosi: *rocznie* rsr. 4, *półrocznie* rsr. 2, *kwartalnie* rsr. 1. Co do 2go: prenumerata na pismo *z dodatkiem w nutach* wynosi w Warszawie *rocznie* rsr. 6, *półrocznie* rsr. 3, *kwartalnie* rsr. 1 kop. 50. Dla prenumeratorów odbierających pocztą, redakcya wybrać mogła jeden tylko rodzaj przedpłaty, a to dla praktyczności w stosunkach z pocztą. Wybrano przedpłatę na *pismo z dodatkiem w nutach*, bo kilkoletnie stosunki z prenumeratorami na prowincyi, okazały, że przesyłanie nut bardzo im jest pożądane, jako zwykle oddalonym od miejsc, gdzie się w nuty zaopatrywać można. Przedpłata na pismo wraz z dodatkiem muzycznym, odbierane pocztą wynosi: *rocznie* rsr. 7 kop. 45, *półrocznie* rsr. 3 kop. 72½, *kwartalnie* rsr. 1 kop. 86½. (Kto pragnie oddzielnych na „Ruch Muzyczny" kopert, dopłaci rocznie rsr. 2). Co do samego dodatku w nutach, wybór jego co do ilości i jakości zostawia redakcya abonentom tak z Warszawy jak i prowincyi, przekonana, że tym sposobem najlepiéj usłuży wymaganiom rozmaitym. Kto prenumeruje *rocznie*, ma prawo wybrać sobie nut za rsr. 5, kto *półrocznie* za rsr. 2, kto *kwartalnie* za kop. 75 (złp. 5). Stopniowanie to wartości dodatku muzycznego do ilości złożonéj przedpłaty, pokazuje, że im kto na *dłuższy czas* zaprenumeruje pismo, tém *taniéj* wypadną mu nuty. Dla prenumeratorów *ro-*

cznych jest jeszcze jedna dogodność więcéj w tém, że zamiast 5cio rublowego dodatku, mogą otrzymać za przesłaniem *wprost* do redakcyi rsr. 3, całą operę St. Moniuszki *Halka*, ułożoną w partyturę fortepianową, a kosztującą w handlu rsr. 10. Jakie zaś inne muzykalia redakcya oddaje do *wyboru*, okaże katalog dołączony do pisma, zawierający przeszło 150 nazwisk autorów krajowych i zagranicznych i 1,000 z góry numerów kompozycyi.—Redakcya przy ulicy Alexandrya Ner 2,773.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

DZIEŁ I PISM WYCHODZĄCYCH W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Miesiąc Grudzień 1859 roku.

DZIEŁA.

Encyklopedya powszechna. Tom I, zeszyt 7, 8, 9. Warszawa, 1859, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8ce, str. od 673—784, od 785—896, od 897—999 i XX, okł. druk., każdy zeszyt kop. 35.

Chęciński Jan. Poemata mniejsze i strofy ulotne. Warszawa, 1860, nakł. A. Nowoleckiego, druk J. Jaworskiego, w 8ce mniejsz., str. 131 kop. 75.

Gliszczyński Michał. Rozmaitości naukowe i literackie. Warszawa, 1859, nakł. autora, druk Gazety Codziennéj, w 12ce, str. 152, okł. druk., zawiera: Żywot i pisma Jana Majorkiewicza. Lokk, jego życie, ogólny charakter jego filozofii.

Kalendarz ścienny na rok 1860, druk J. Tomaszewskiego, fol., kop. 30.

Serwatowski Waleryan ks. Nauki parafialne dogmatyczne dla ludu wiejskiego. Warszawa, 1860, nakł. i druk J. Ungra, w 8ce, str. 338 i spisu II, okł. druk. rsr. 1 k. 50.

Biblioteka popularna nauk przyrodzonych podług niemieckiego oryginału A. Bernsteina. IX. O życiu roślin zwierząt i ludzi. II, przełożył Stanisław Löwenhard. Warszawa, 1859, nakł. K. Bernsteina, druk J. Jaworskiego, w 8ce mniejsz., str. 197, okł. druk. k. 60.

Czarkowski Piotr. Dzieje w Polsce, Litwie i na Rusi, z poglądem na wpływ Europy. Od 862 do 1825 r. Warszawa, 1859, nakł. autora, druk S. Orgelbranda, w 8ce, str. 301, okł. druk.

Wianeczek dla Najświętszego Dzieciątka Jezus. Nowenna z odpustami, z francuzkiego. Warszawa, 1859, druk J. Psurskiego, w 16ce, str. 16, okł. druk.

Korzeniowski Józef. Majątek albo Imie, komedya w 5 aktach, wierszem. Warszawa, 1859, nakł. G. Gebethnera i Spół., druk K. Kowalewskiego, w 8ce mniejsz., str. 167, okł. druk. kop. 75.

Spis dzieł medycznych sprzedających się po cenach zniżonych w księgarni Gustawa Sennewald w Warszawie. Warszawa, 1859, druk J. Ungra, w 8ce, str. 17.

Rodziszewski Tymoteusz. Nowe bajki i powiastki dla dzieci oryginalne. Z 4ma rycinami. Wydanie 2. Warszawa, 1860, nakł. J. Müller, druk A. Gins, w 12ce, str. 106, okł. druk. kop. 50.

Zmorski Roman. Wieża siedmiu wodzów, pieśń z podania, z rysunkami W. Gersona. Warszawa, 1860, nakł. K. Bernsteina, druk A. Gins, w 12ce, str. 29 i przypisów nieliczb. 3, okł. druk. k. 30.

Szymanowski Wojciech. 300 portretów zasłużonych w narodzie Polaków i Polek z dodaniem krótkich wspomnień ich żywotów. Z 60 tablicami rycin. Warszawa, 1860, druk J. Psurskiego, w 8ce, str. VIII, 339, okł. druk., rsr. 1 k. 80.

Tym którzy cierpią. Książka dla chorych z wyjątków z Pisma Świętego złożona przez *A. F. Ozanama.* Warszawa, 1859, druk J. Ungra, w 16ce, str. XXI, 191. (Wydanie Czytelni Niedzielnéj) k. 30.

Żmichowska. Wykład nauk przeznaczony do pomocy w domowém wychowaniu panien. Geografia. Część II. Warszawa, 1858, druk Gazety Codziennéj, w 8ce większ., str. od 581—1258, Tablic 3, okł. druk., za 2 tomy rsr. 5.

Rodziszewski Tymoteusz. Wierszyk na gwiazdkę 1860 roku dla wszystkich dzieci. Warszawa, 1860, nakł. J. Müller, druk A. Gins, w 12ce, str. 8 kop. 3.

Skarbek Hr. Fryderyk. Gospodarstwo narodowe stosowane, czyli Zasady nauki gospodarstwa narodowego, zastosowane do praktyki. Znajomość kraju. Rolnictwo. Warszawa, 1860, nakł. H. Natansona, druk Gazety Codziennéj, w 8ce, str. VIII, 301, okł. druk. rsr. 1 kop. 80.

Uruski Hr. Seweryn. Sprawa włościańska. Wyjątki z nowożytnych polskich ekonomistów. Tom I. Część 2. Warszawa, 1860, druk S. Orgelbranda, w 8ce większ., str. spisu rzeczy nieliczb. 4, liczb. XXI, od 562—1139. Dodatku str. 53, okł. druk. rsr. 3.

Zdanie sprawy Towarzystwa Resursy kupieckiéj za rok 1859, mianowicie od dnia 1 grudnia 1858 do dnia 1 grudnia 1859 roku. Warszawa, 1859, druk Gazety Codziennéj, w 4ce, str. 31, XIII.

Waga Antoni. Historya naturalna. Dzieło wskazujące pomoc do nauczenia się téj umiejętności, uważanéj w głównych stanowiskach jéj wzrostu. Tom 1. Zeszyt 1. Warszawa, 1860, nakł. R. Friedleina, druk K. Kowalewskiego, w 4ce. str. 218, T. 1, okł. druk., z rycinami czar. rsr. 3 k. 60. kolor. rsr. 5 k. 40.

Lerue A(dam). Abecadlnik historyczny. Warszawa, nakł. M. Glücksberga, druk J. Glücksberga, w 12ce, str. 59. Rysunków litogr. 24, kop. 75.

Adwent. Rozmyślania i modły na czas adwentu, oraz święto Narodzenia Pańskiego. Warszawa, 1860, nakł. XX. Missyonarzy, druk J. Tomaszewskiego, w 12ce, str. XI, od 13—297 i nieliczb. spisu rzeczy 3, kop. 40.

Arago Jakób. Podróż na około świata dla młodzieży (Jacques Arago Voyage autour du monde pour la jeunesse. Po polsku i po francuzku). Warszawa, 1860, nakł. S. H. Merzbacha, druk A. Gins, w 8ce, str. 148 (z drzeworytami), okł. druk. rsr. 1 k. 20.

de Sainte-Foi Karol. Godziny rozmyślania czyli rady i przestrogi dla młodzieńców, przełożone z francuzkiego przez *J. z P. B. (Joannę Belejowską).* Warszawa, 1860, nakł. S. H. Merzbacha, druk A. Gins, w 12ce, str. 222, okł. druk. k. 75.

Bremer Fryderyka. Domowe ognisko, powieść przełożona na język polski z szwedzkiego. Warszawa, 1860, nakł. H. Natansona, druk J. Jaworskiego, w 12ce, T. I str. 348, T. II str. 230, okł. druk. (Natansona wybor przekładów z wzorowych pisarzów zagranicznych Tom XXX i XXXI. Obrazki z życia domowego Fryderyki Bremer Tom IX i X) rsr. 1 k. 50.

Krakow Paulina. Proza i poezya polska wybrana i zastosowana do użytku młodzieży żeńskiéj. Część 1. Warszawa, 1860, druk K. Kowalewskiego, w 8ce, str. XVI, 328 i nieliczb. spisu rzeczy 4, okł. druk. rsr. 1.

Zmorski Roman. Lazarica, ustęp z narodowych pieśni serbskich. Warszawa, 1860, nakł. A. Nowoleckiego, druk J. Jaworskiego, w 8ce mniejsz., str. 98, kop. 75.

Mieczyński Adam. Dobry pszczolarz czyli wykład zasad wyrozumowanego postępowania z pszczołami, zalecany p. *Piotra Prokopowicza.* 60 rycin w tekscie. Warszawa, 1860, nakł. A. Nowoleckiego, druk J. Jaworskiego, w 8ce, str. VIII, 284, III, okł. druk. rsr. 1 k. 35.

Wójcicki Kazimierz Władysław. Historya literatury polskiéj w zarysach. Wydanie 2 poprawne i powiększone. Warszawa, nakł. G. Sennewalda, druk J. Ungra, w 8ce większ., 1859, T. I, str. 546 i nieliczb. spisu rzeczy str. 2, T. II, 542, 1860, T. III, 532, okł. druk. za 4 tomy rsr. 8 k. 25.

Reden zur Schillerfeier in Warschau am 10 November 1859. Warschau, Gedrukt bei Gebr. Hindemith, w 8ce, str. 12. (Rede v. Dr. *Wilhelm Fecht.* Rede von *J. I. Kraszewski* aus dem Polnischen übersetzt von *G. Dittman.* Przedruk z Warschauer Zeitung).

Heylman. Pogląd pobieżny na uwagi bezimiennych odnoszące się do rozprawy o klassyfikacyi hypotek, jakotéż praw hypotekowanych w ogólności. Warszawa, w druk. przy ulicy Rymarskiéj (Banku Polskiego), w 8ce większ., str. 13.

DZIEŁA ZBIOROWE.

Pamiętnik dla gospodarzy wiejskich, wydany nakładem Towarzystwa rolniczego w Królestwie Polskiem. Warszawa, 1860, druk J. Psurskiego, w 12ce, str. spisu rzeczy nieliczb. 2, liczb. 144, okł. druk., zawiera:

Część I. Karty do notat gospodarskich. Część 2. Tablica wysiewu na 1 morg nowopolski główniejszych roślin gospodarskich, podług M. Oczapowskiego. Wegetacya zbóż i roślin pod względem zdolności nasion do kiełkowania, czasu wegetacyi i pozostałości w gruncie po zbiorze. Tablica wagi główniejszych gatunków zboża. Stosunek zbioru ziarna do zbioru słomy. Stosunek wagi mąki do wagi zboża. Stosunek wagi chleba do wagi mąki i zboża. Tablica ilości mąki i chleba z danéj ilości zboża. Stosunek wagi mięsa i innych części użytkowych do wagi żywego zwierzęcia. Czas ciężarności zwierząt domowych. Czas wysiadywania jaj przez ptastwo domowe. Gatunki gruntu pod względem plonu, jaki wydają z morga nowopolskiego. Tablica porównawcza wartości pożywnéj różnych rodzajów paszy. Obliczenie ilości paszy potrzebnéj dla inwentarza. Obrachowanie produkcyi nawozu. Porównanie ekonomicznéj wartości różnych gatunków nawozu podług p. Emila Wolfa. Oznaczenie czasu potrzebnego do wykonania robót gospodarskich. Epoki robocizny w roku, podług M. Oczapowskiego. Wykaz robocizny potrzebnéj na jeden morg np. do uprawy i zbioru różnych roślin gospodarskich, podług M. Oczapowskiego. Stosunek siły ogrzewającéj różnych gatunków opału, podług W. Löbe. Wymiary główniejszych budowli gospodarskich. Wyrachowania potrzeby niektórych materyałów na różne roboty gospodarskie. Obliczenie objętości naczyń. Obliczenie objętości sześciennéj rowów i grobel. Tablica objętości rowów różnych rozmiarów. Tablica kubiczności drzewa w klocach. Tablica porównawcza monet krajów sąsiednich z monetą polską, rossyjską i francuzką. Tablica zamiany monety polskiéj na rossyjską, pruską, austryacką, francuzką i angielską i odwrotnie. Tablica zamiany talarów pruskich na złp. z doliczeniem agio. Tablica porównawcza miar krajów sąsiednich z miarami polskiemi, rossyjskiemi i francuzkiemi. Tablica zamiany miar długości. Tablica zamiany miar powierzchni czyli gruntowych. Tablica zamiany miar objętości zboża. Tablica zamiany miar wagi. Tablica redukcyjna wagi korca na wagę czetwerti szefla i worka holenderskiego. Stosunek ceny między łasztem pruskim a korcem polskim. Stosunek między czetwertem rossyjskim a korcem polskim. Stosunek ceny między kwarterem angielskim a korcem polskim. Stosunek ceny między hektolitrem francuzkim a korcem polskim. Tablica procentów przypadających rocznie i mie-

sięcznie podług różnéj stopy procentowéj. Zbiór sprawdzonych przepisów na różne choroby zwierząt domowych. Wiadomość o ubezpieczeniu ruchomości od pożarów. Taryffa opłat pocztowych. Taryffa telegrafów elektro-magnetycznych. Taryffa drogi żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj. Wiadomość o cenach i przeznaczeniu papieru stemplowego. Termina opłacania podatków. Jarmarki krajowe i niektóre zagraniczne.

Kalendarz wydawany przez Obserwatoryum Astronomiczne Warszawskie na rok przestępny 1860. Rok czwarty. Warszawa, 1860, druk Gazety Codziennéj, w 8ce, str. 294, okł. druk., zawiera między innemi:

I. Wiadomości kościelne i kalendarzowe. Wykaz świętych i świąt na rok 1860. Prawidła przenoszenia świąt ruchomych w kalendarzu rzymsko-katolickim. II. Wiadomości astronomiczne. Położenie geograficzne Obserwatoryum Warszawskiego. O kalendarzach. Wymiary świata słonecznego. Asteroidy czyli małe planety teleskopowe odkryte w teraźniejszym wieku. O regulowaniu zegarów podług kompasu. Porównanie podziałek termometrów. Porównanie podziałek barometru. III. Stan normalny powietrza z 33-letnich dostrzeżeń w Obserw. Warsz. robionych. Wisły zamarzanie, puszczanie i trwanie na niéj lodów. Porównanie średnich epok zamarzania niektórych rzek i puszczania na nich lodów. Wypadki średnie dostrzeżeń meteorologicznych w Obserwat. Astronom. Warszaw. w r. 1858 robionych. Ogólny stan r. 1858 pod względem meteorologicznym, stan każdego miesiąca i ważniejsze zdarzenia meteorol. w tychże. IV. Wiadomości statystyczne: Materyały do statystyki Król. Pol., p. *Ludwika Wolskiego.* Wykaz miast Król. Pols. V. Wiadomości historyczne: Dom cesarski rossyjski. Kronika spółczesna (październik 1858 do czerwca 1859 włącznie). VI. Wiadomości informacyjne: Wiadomość o używaniu papieru stemplowego w Król. Pols. Rozkład jazdy na drogach żelaznych krajowych. Termina opłacania podatków i wnoszenia opłat. Tablica porównawcza miar i wag. Tablica odchodu i przychodu poczt w Warszawie.

PISMA PERYODYCZNE I GAZETY

Pamiętnik religijno-moralny. Miesiąc grudzień, 1859, Nr 12, str. od 601—719, zawiera:

Pierwsze zarysy prawodawstwa Hebreów, p. ks. *W. Serwatowskiego.* Uroczystość św. Augustyna biskupa w Kraśniku. Kardynał Wiseman. List pasterski biskupa dyecezyi sandomierskiéj. Missya w Ameryce. Szkoły katolickie na Wschodzie. Kronika kościelna i rozmaitości. Wiadomości naukowe i bibliografia duchowna.

Roczniki gospodarstwa krajowego. Grudzień 1859. Tom XXXVII. Poszyt 3, str. II, od 355—511, spisu II, tab. 2, zawiera:

Czynności Komitetu Towarzystwa rolniczego w Król. Polsk. w m. listopadzie r. b. Zastosowanie zasad oczynszowania włościan, w dobrach prywatnych okręgu wieluńskiego, ułożone przez Komitet z grona Członków Tow. rol. w tymże okręgu wybrany 1859 r. O konkursach okręgowych rolniczych w r. 1859. Przegląd rolniczy zagraniczny, p. *K. W.* Ogłoszenia Komitetu Tow. rol.: Instrukcya do opisu majątków pod względem stanu służących, ludności i stosunków jéj z dworem. Ogłoszenie o otwarciu pracowni chemicznéj Tow. rol. w Król. Polsk. Rozmaitości: Maszyny ułatwiające sprzęt ziarna p. *Fr. Lutosławskiego.* O potrzebie nauczania kobiet gospodarstwa domowego, p. *Wiktoryę Kunicką.* Liszki niszczące ziarna roślin strączkowych, p. *Antoniego Wagę.* Bawełna angielska, p. *Józefa Lucyana Swieszewskiego.* Sprawozdanie z handlu gdańskiego za m. październik 1859 r., p. *Alexandra Makowskiego.* Przegląd wiadomości przez Korrespondentów Tow. rol. w Król. polsk. za m. listopad r. b. nadesłanych. Doniesienia o otwartych praktykach gospodarczych. Dostrzeżenia meteorologiczne za m. październik 1859 r. (W końcu dołączono Zbiór przepisów, dotyczących uregulowania stosunków włościan osiedlonych w dobrach prywatnych Król. Polsk. str. XIX).

Tygodnik lekarski Nr 45—49, zawierają:

Groer: Spostrzeżenia w wydziale chirurgicznym w Szpitalu starozakonnych w Warszawie zebrane. *Przeradzki.* Wyjątek z patalogii komórkowéj Virchowa. *Maciejowski:* O lekarstwach złożonych. *Eborowicz:* Przegląd klinik chirurgicznych. Spostrzeżenia meteorologiczno-lekarskie. Pierwszy odczyt histologii i rzut oka na fizyologią prof. *Hoyera* w Ces. Kr. M. Ch. Akademii. *Mińkiewicz:* Spostrzeżenia chirurgiczne. *Maciejowski:* O lekarstwach złożonych. *Löwenglick.* Spostrzeżenia w Szpitalu starozakonnych w oddziale wenerycznych za r. 1858. *Eborowicz:* Wyciągi z pism zagranicznych. *Soczołowski:* Nowy sposób przyrządzania czopków. *Gliszczyński:* Spostrzeżenia w oddziale chirurgicznym Szpitala Dzieciątka Jezus. *Janikowski:* Śledzenie plam krwawych pod względem sądowo-lekarskim. *Soczołowski:* Dochodzenie saletranów w płynach bardzo rozcieńczonych. *Karpiński:* Proszek na galaretę. *Rosicki:* Ropień w moździku. *Hirszfeld:* Wstęp do Myologii. Posiedzenia Towarzystwa lekarskiego 18, 19, 4 i 18 października 1859 r. Spostrzeżenia meteorologiczno-lekarskie. Nowe dzieła.

Ruch Muzyczny. Miesiąc grudzień, 1859, Nr 49—52, zawierają:

Poranek muzykalny p. J. Wieniawskiego; wystąpienie p. Natalii Konarskiéj. Fabrykacya instrumentów muzycznych w Warszawie; pianina p. Sakowskiego. Korrespondencye. O Józefie

Deszczyńskim, p. *Ad. Pługa (Pietkiewicza)*. Tegoroczne Wieczory muzyczne w Wielkiéj Resursie. Stanisław Serwaczyński p. *W. Dundera* (nekrolog). List do p. Józefa Stefaniego. Ryszard Wagner (ciąg dal.). Historya i charakterystyka instrumentów muzycznych, p. *Józefa Sikorskiego* (dokoń.). Kilka słów dotyczących elementarnych wiadomości o muzyce, nauce harmonii(ciąg dal.). Korrespondencya. Rozmaitości. Nowości krajowe i zagraniczne.

Tygodnik illustrowany. Miesiąc grudzień 1859, Nr. 10—14, zawierają:

Dominik Magnuszewski, z drzeworytem. Wnętrze fary w Bieczu, z drzeworytem. Kościół katedralny w Poznaniu, z drzeworytem. Lisowczyki, z drzeworytem. Karol Szajnocha, p. *Juliana Bartoszewicza* (dokoń.). Historya jedynaczka w 32 obrazkach, (ciąg dal.). Ignacy Komorowski, z drzeworytem. Śmierć słowika p. *Wł. Syrokomlę*. Ojców, z drzeworytem. Spowiedź w kościółku wiejskim, obraz J. Szermętowskiego. Nowy Kastor i Polluks albo Historya o dwóch zasuszonych kawalerach na warszawskim bruku, opowiadanie Cześnikiewicza (Miniszewskiego (ciąg. dal.). Daniel Mikołaj Chodowiecki, z drzeworytem. Biblioteka Raczyńskich w Poznaniu, z drzeworytem. Zamek Piastów w Lignicy, z drzeworytem. Wiszący most w Kijowie, z drzeworytem. Tessalianka, p. *Maryę Ilnicką*. Jan Feliks Piwarski, z drzeworytem, p. *Ludwika Jenike*. Czytelnikom Tygodnika illustrowanego na gwiazdkę. Światowid, z drzeworytem, p. *Deotymę (Jadwigę Łuszczewską)*. Sala narożna w hotelu Europejskim w Warszawie, z drzeworytem. Kaplica śgo Krzyża z grobem św. w Zgorzelicach, z drzeworytem. Astry, rysunek z pamięci, p. *Ludwika Brzozowskiego*. Uniwersytet w Dorpacie, z drzeworytem. Powitanie Nowego roku, p. *Władysława Sabowskiego*, z drzeworytem. Przegląd piśmienniczy. Droga żelazna Warszawsko-wiedeńska, z drzeworytem. Zamek w Siewierzu, z drzeworytem. Józef Kremer, z drzeworytem p. *Kazimierza Kaszewskiego*. Szable Stefana Batorego i Stanisława Lubomirskiego, z drzeworytami. Kronika tygodniowa, p. *Wacława Szymanowskiego*. Kronika literatury bieżącéj. Kronika sztuk pięknych. Korrespondencye. Myśli oderwane. Rozmaitości. Szachy, Rebusy. Zadania konikowe.

Magazyn Mód, Nr 43—48, zawierają:

Lew Zakochany (ciąg dal.). Najświętsza Panna Łaskawa w kościele Pijarów, legenda. Dwie Siostry, powieść Jakoba. Zabobony mieszkańców kraju Salzburg. Poczye. Myśli. Mody.

Czytelnia Niedzielna. Miesiąc grudzień 1859, Nr. 49—52, zawierają:

Kącik dla gościa. Godziny po robocie. Sokołów miasteczko na Podlasiu. Prawdy gospodarcze. Woźnica kwestarski. Nasze wsie i miasteczka. Ś. Szczepan. Chata modrzewiowa.

Mléko. Pogadanka wiejska. Wiadomość o książkach dla ludu wydawanych. Świątobliwe niewiasty: Judyta królowa. Rozmowa o geografii, (p. *Jana Papłońskiego*). Śmietana, masło. Nagrody za poczciwe i pracowite życie. Poezye.

Gazeta Warszawska. Miesiąc grudzień 1859. Nr. 319—346, zawierają:

Capreä i Roma, obrazy z pierwszego wieku, p. *Józefa Ignacego Kraszewskiego* (dokoń.). Wystawy, konkursa oraczy i próby konne, w okr.: opoczyńskim, soleckim, płockim, krasnystawskim i konińskim. Nowiny z Pragi Czeskiéj p. *Jana Papłońskiego*. Korrespondencya z Wilna o obchodzie 25-letniego istnienia tamecznego Instytutu szlacheckiego, p. (*Wacława Przybylskiego*). Korrespondencya z Rzymu: Ludwik Calamatta rytownik. Korrespondencya z Multan: Charakterystyka klassy niższéj społeczeństwa rumuńskiego. Przegląd literatury krajowéj: Poezye Teofila Lenartowicza, p. *Edwarda Siwińskiego*. Pustynia, komedya w 1ym akcie wierszem, p. *(Józefa) K(orzeniowskiego)*. Wiadomości o fotografiach, mających wartość historyczną albo artystyczną, wykonanych w zakładzie Karola Beyera. Odezwa Dyrektora Instytutu muzycznego w Warszawie. Listy z podróży, p. *Tadeusza Padalicę*, (*Zenona Fisza*). Posiedzenie doroczne Spółki jedwabniczéj. Niektóre uwagi nad źródłosłowem wyrazu polskiego: „ślachta“ szlachta, p. *Józefa Kremera*. Korrespondencya z Londynu: Spółka ludowa w Rochdale. Listy z nad brzegów Krożenty, (p. *Michała Balińskiego*). Szander Kowacz, szkic, p. *Teod. Tom. Jeża*. Jan Feliks Piwarski, nekrolog. Książki dla dzieci na gwiazdkę. Małe podróże po odległych krajach: 1 z Fontainebleau do Berville. Papież i kongres, broszura. Sprawozdanie z r. 1859. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Rozmaitości. Drobiazgi. Wiadomości bieżące, literackie i naukowe.

Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych. Miesiąc grudzień 1859, Nr. 140—167, zawierają:

Jedynaczek, powieść (ciąg dal.). Pogląd popularny wiadomości z dziedziny nauk przyrodzonych i przemysłu. Przegląd literacki: Poezye Włodzimierza Wolskiego. Poemata mniejsze i strofy ulotne Jana Chęcińskiego. Wieża siedmiu Wodzów, pieśń z podania przez Romana Zmorskiego, p. *F(ranciszka) S(alezego) D(mochowskiego)*. Hollandya, Tryb życia i obyczaje Holendrów p. *Alfonsa Esquiros*. Dysputa ekonomiczno-polityczna Baltazara Kalinowskiego, p. *W.* Rzetelność (dokoń.). Miłość w małżeństwie, obraz historyczny, p. *Guizot*. Spółka jedwabnicza, sprawozdanie roczne. Podróż do Włoch Józefa Kremera (wyjątek z t. II.). Treść zdania sprawy z działań szpitali i instytutów dobroczynnych. Pomysł o agenturze księgarskiéj, p. *J. B. B.* Społeczność i literatura zagraniczna.

Don Tadeo Barbo, powieść hiszpańska. Korrespondencye. Rozmaitości. Wiadomości bieżące i literackie.

Gazeta Codzienna. Miesiąc grudzień 1859. Nr. 319—346, zawierają:

Pamiętniki kardynała Wisemana. Studya nad dziełami Mickiewicza p. *Fr. H. Lewestama.* Królestwo Sardyńskie. Korrespondencya z Genui, (o Romansach włoskich). Przegląd literatury włoskiéj, p. *Michała Wiszniewskiego.* Syrena, powiastka, p. *Józefa Ignacego Kraszewskiego.* Wiadomości z Roczników Towarzystwa rolniczego, p. *Jana Kantego Gregorowicza.* Kronika paryzka p. *Z. W.* O nowym gatunku owadów niszczących ojczyste posiewy, prelekcya Cześnikiewicza, (*Miniszewskiego*). Przegląd nauk społecznych, p. *L(udwika) W(ołowskiego).* Biblioteka polska: Grochowski, Heraldyka polska, p. *Juliana Bartoszewicza.* Hypoteka szczęścia małżeńskiego, studyum Cześnikiewicza (*Miniszewskiego*). Listy z nad Słuczy, p. *Bohdana Kaniowę.* Życiorys J. F. Piwarskiego, p. *Hipolita Skimborowicza.* Przegląd muzyczny, p. *Maurycego Karasowskiego.* Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Pogadanka, p. *E. Leo.* Rozmaitości. Drobiazgi. Co tam słychać? Wiadomości bieżące, naukowe, literackie, bibliograficzne i artystyczne pod znaczkami: ×, △, ♀, ÷, λ, **Ad. N.**, **A. H.**, **M. G.**

Kuryer Warszawski. Miesiąc grudzień 1859. Nr 319—346.

Warschauer Zeitung. M. December 1859. Nr 177—201, zawierają *Das Gemüth und die deutsche Gemüthlichkeit, v.* Bogumil Goltz. *Ueber Futterpflanzen, v.* Carl Hirschberg. *Die Grillen grosser Männer. Die modernen Laren und Penaten, eine sociale Studie. Eine Rede für unsere Muttersprache. Neue Erzählungen aus dem Ries, v.* Melchior Meyr. *Rückerinnerung, aus dem Schmieralien (Ramotki) von August Wilkoński, aus dem Polnischen übersezt v.* E. W. *Die Geburt Jesu, v.* J....e. *Der Regirungsbezirk Augustow. Ukrainische Volksdichter: Alexander Groza. Gebrauch der Orgeln in den Kirchen. Wilhelm Carl Grimm. Literarisches. Bibliografische Notizen. Korrespondenz. Technisches. Handelsnachrichten. Lokalbericht. Provinzialbericht Vemirschtes.*

Gazeta Rządowa. Miesiąc grudzień 1859. Nr. 265—289.

Warszawska Gazeta Policyjna. Miesiąc Grudzień 1859. Nr 335—365, zawierają:

Przygody Bretańczyka (ciąg dal.). Organizacya wewnętrzna wydziału kontroli służących w Zarządzie Ober-Policmajstra M. Warszawy. Bandyta hiszpański.

Korrespondent handlowy, przemysłowy i rolniczy. Miesiąc grudzień 1859. Nr. 92—100 zawierają:

Fabrykacya kwasu stearowego i jego zastosowanie do świec (dokoń). Trzeba prostować co błędne, p. *J. B. R.* O żniwiarce

p. Borejszy, jako machinie gospodarskiéj, p. *Adama Poniatowskiego*. O lasach prywatnych, p. *F. Wilkońskiego*. Glin Aluminium. Środki do rozszerzenia w kraju uprawy tytoniu. Nowy system rozmnażania latorośli winnéj, oraz kilka uwag o sztucznych winach, p. *Zygmunta Gawareckiego*. Wódka z drzewa. Karłowate drzewka w gruncie i w doniczkach. Nauka chowu koni dla ludu wiejskiego, z polecenia komitetu c. k. gospodarskiego galicyjskiego, przez Walcryana Krzeczunowicza ułożona. O lasach prywatnych, p. *Miklaszewskiego*. Sorgo, jako pasza, p. *Zygmunta Gawareckiego*. O potrzebie urządzenia lasów prywatnych, p. *K. Weisflog*. Jeszcze nowa żniwiarka, p. *Koszarskiego*. Rada dla ziemian, p. *Nowińskiego*. Gleba jest mieszaniną. Przechowanie warzyw. Szybki i prosty sposób naprawiania złamanych lub pękniętych sierpów i kos. Środek na stwardnienie wymienia u krów. Uboczne użytki chmielu. Środek przeciw straconéj chęci do jadła koniom i bydłu. Dla czego kury w zimie jaj nie niosą. Listy o gospodarstwie z Ukrainy. Korrespondencye. Korrespondencya handlowa. Wiadomości handlowe.

Gazeta rolnicza, przemysłowa i handlowa. Miesiąc grudzień 1859. Nr. 47—52 zawierają:

Gawędy rolnicze z Chełmskiego, p. *Adama Ciemniewskiego*. Jeszcze słówko o liszkach niszczących posiewy ozime, p. *Rutkowskiego*. Sorgo cukrowe może dojrzewać na Podolu, p. *Piotra Głuzińskiego*. Dra Spinoli Spostrzeżenia nad obskubywaniem wełny przez owce. Tania maślniczka, p. *Adama Mieczyńskiego*. Kauczukowy szuwaks, p. *Zygmunta Gawareckiego*. Celniejsze narzędzia rolnicze na tegorocznéj wystawie w Łowiczu (ciąg dal.). Gawędy leśnika, p. *Aleksandra Połujańskiego*. Czemu nasz przemysł nie postępuje, p. *B. R.* Kołowacizna u owiec, p. *Zalewskiego*. O cielętach. Kilka słów z powodu recenzyi artykułu o Próchnicy, p. *Władysława Mięczyńskiego*. Odpowiedź na artykuł o lasach prywatnych. Piśmiennictwo rolnicze: Przegląd dzieła: Przewodnik myśliwca, ułożony przez L. S., p. *Zygmunta Gawareckiego*. Elementarz dla chłopców wiejskich, p. *A. K.* O wyrabianiu cegły, p. *Wincentego Stempowskiego*. Ziemia potrzebuje zwrotu tego, co wydaje. O rabunku pszczół, p. *Adama Mieczyńskiego*. O możności zaprowadzenia winnic w Polsce, p. *Leona Chomętowskiego*. O uprawie ziemi i poprawie rzeczy ziemskich, p. *Wojciecha Jastrzębowskiego* (dokoń.). Kwestya wartości słomy na nawóz. Otrzymywanie sztuką niektórych naturalnych płodów, p. *Zygmunta Gawareckiego*. Opisanie lasów Zdżary w Galicyi, p. *A. Połujańskiego*. Nowa metoda pielęgnowania drzew owocowych, p. G. Wapno hydrauliczne, p. *Drapacza Polskiego*. Kronika rolnicza za kwartał IV 1859 r. Korrespondencya gospodarska. Ostatnie wiadomości gospodarskie. Wiadomości handlowe. Meteorologia rolnicza. Ceny średnie pro-

duktów rolniczych na ostatnich targach znaczniejszych miast Królestwa Polskiego. Rozmaitości.

MUZYKALIA.

Stefani Józef. Marsz żałobny wykonany w czasie nabożeństwa w kościele ks. Kapucynów za duszę ś. p. Antoniego Lesznowskiego, dnia 17 października 1859 roku. Warszawa, litogr. i sztych. W. Otto, str. 6, k. 30.

Szultz Karol. Pączek polka. Warszawa, nakł. i litogr. J. Müller'a, str. 3, k.15.

Tuszyński A. L. Modniarka polka skomponowana na fortepian. Warszawa, nakł. M. Glücksberga, litogr. J. V. Fleck, str. 3, k. 15.

Tuszyński A. L. Mieczysław mazur, skomponowany na fortepian. Warszawa, nakł. M. Glücksberga, litogr. J. V. Fleck, str. 3, k. 15.

Oborski F. Ochoczy mazur na fortepian. Warszawa, nakł. i litogr. J. Müller'a, str. 3, k. 15.

Plater Karol. Zalotna polka skomponowana na fortepian. Warszawa, nakł. G. Sennewalda, litogr. J. V. Fleck, str, 3, k. 22½.

Biskupski Emile. Au Revoir polka. Varsovie, chez G. Sennewald lith. J. V. Fleck. str. 2, k. 15.

Hertz Théodore. Tic-tac-polka composé pour le piano. Varsovie, chez G. Sennewald, lith. J. V. Fleck, str. 2, k. 15.

Plater Karol. Kmiotek mazur na fortepian. Warszawa, nakł. G. Sennewalda, lit. J. V. Fleck, str. 3, k. 22½.

Eibl Piotr. Wiwat mazur! na fortepian. Warszawa, nakł. G. Sennewalda, *lith. J. V. Fleck,* str. 2, k. 15.

Weill Emilie. Emilia mazur na fortepian. Mohilew nad Dn. Nakł. księg. wydawnic. krajowego P. W. Zacharewicza, lit. J. Herknera w Warszawie, str. 1, k. 15.

Weill Emilie. Souvenir de l'amitié mazure pour le Piano. Varsovie, lith. J. Herkner, str. 2, k. 15.

Brzezińska Filipina. Nie opuszczaj nas! Pieśń do Matki Boskiéj. Wiersz ks. *Antoniewicza.* Lit. J. V. Fleck, str. 3, k. 20.

Teichman Antoni. Córka, piosneczka z towarzyszeniem fortepianu. Warszawa, nakł. G. Sennewalda, litogr. i sztych. W. Otto w Warszawie, str. 7, k. 30.

Lochmann Aleksander. Upadek krynolin polka, ku pocieszeniu zwolenniczek krynolin, skomponowana na fortepian. Warszawa, nakł. litogr. K. Tytz, str. 3, k. 20 (rys. i litogr. Ig. Jasiński).

Lewandowski L. Dzwonek polka na fortepian. Warszawa, nakł. G. Gebethnera i Spółki, litogr. i sztych. W. Otto, str. 5, k. 22½.

Nowakowski Joseph. La Violette, Romance pour le piano. Op. 57. Varsovie, chez G. Gebethner et C. Lith. et sculpe. W. Otto, str. 9, k. 52½.

Offenbach J. Oberżystka z Elizondo, operetka w 1 akcie, tłumaczenie i podkład *Leopolda Motuszyńskiego.* Nr. 1 Aryetka: „On kochał was, o krzewy moje", str. 7, k. 30. Nr. 2 Romans: „Raz śród wojennéj wrzawy", str. 7, kop. 30 Nr. 3 Romans: „Odmianą serce bawić", str. 5. Warszawa, nakł. G. Gebethnera i Spółki, litogr. i sztych. W. Otto, każdy numer k. 30.

Stefani Józef. Ośm dwuśpiewów dla poczynających naukę śpiewu. Warszawa, nakł. redakcyi Ruchu Muzycznego, litogr. J. V. Fleck, str. 10, (dołączony do Nr. 51 Ruchu Muzycznego).

Roguski Gustave. Les Lancieres de belles Varsoviennes composés pour piano. Varsovie, lith. J. Müller, str. 7, k. 30.

Oborski F. Les Lanciers composés pour piano. Varsovie. lith. J. Müller, k. 30.

Einert Teodor. Cyganka polka na fortepian skomponowana. Nakł. G. Sennewalda, litogr. J. V. Fleck, str. 3, k. 15.

Kolberg Oskar. Król Pasterzy. Obrazek z życia ludu wiejskiego w Kujawach, p. *Teofila (Lenartowicza).* Nr. 1 Introdukcya. Nr. 2 Duet Wojtka i Rózi: „Bladym smugiem". Warszawa, nakł. litogr. i sztycharni nut W. Otto, str. 17, k. 75.

Jarecki Józef. Nowe kontredanse z opery Koń spiżowy F. Aubera, ułożone na fortepian. Warszawa, nakł. E. Wende i Spółki, litogr. i sztych. W. Otto, str. 7, k. 30.

RYCINY, LITOGRAFIE i t. d.

Dębicki Napoleon. Sceny z życia, Album. Część 3. Nakł. autora, litogr. A. Pecq et C., fol., str. 6, k. 50.

Dr. M. Jastrow. (Portret). Nakład A. Karlsbada, litogr. *H. Aschenbrenner,* odbito w litogr. M. Fajansa, fol.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Styczeń 1860.—Przy rozwoju naszéj prassy peryodycznéj, coraz mniéj widzimy nakładów dzieł wyższéj wartości. Pisarzy chętnie chwytających pióro, a nieobliczających sił swoich i talentu nie braknie: mamy tego świeży dowód w ogromnéj ilości złożonych komedyj na konkurs p. Edwarda Starzyńskiego. Nadesłano bowiem sztuk czterdzieści jeden: z tych większa połowa po przeczytaniu usuniętą zupełnie została z konkursu: pokazało się bowiem, że są to utwory żakowskie, ludzi, którzy pierwszy raz wzięli pióro do ręki, bez najmniejszego nawet śladu talentu.

Niektórzy cieszyli się zawcześnie, że z takiéj ilości wybierze się choć kilka udatniejszych, ale z trzydziestu kilku odczytanych, komitet ma inne przekonanie: znalazł bowiem jednę komedyą wyższej wartości. Czytanie potrwa jeszcze czas dłuższy, bo między nadesłanemi, są większych rozmiarów w 4 i 5 aktach wierszem i prozą. Należałoby, ażeby zebrany komitet złożył publiczności szczegółowe sprawozdanie z działań swoich, i jeżeli której z komedyi przyzna nagrodę konkursową, a innym *accesita*, ażeby ogłosił literacki ich rozbiór i ocenę. Dwa bowiem konkursa poprzednie skończyły się wydrukowanym rezultatem, bez złożenia szczegółowego sprawozdania. Oczekujemy go przynajmniéj teraz.

— Encyklopedya powszechna bez przerwy postępuje w druku, gdy wydawca prenumeratorom daje zeszyty tomu 2go. Tom trzeci znacznie się posuwa: obecnie rozpoczęto już druk litery *Bi*. W r. b. cztéry tomy wyjdą tego ważnego dzieła.

— Tygodnik illustrowany znacznie rozszerzył ramy swoje: co drugi tydzień dodaje pół-arkusza. Treść téj pięknéj publikacyi wiele zyskała, ubogaciła się znakomicie. Nie rozumiemy wszelako, dlaczego wydawca całą w takich dodatkach stronnicę poświęca na doniesienia prywatne i to nietylko z pola literatury i sztuki. Na co kazić taki Tygodnik przedmiotami, które dobre dla Kuryera Warszawskiego i gazet, ale nigdy nie przystały dla pisma tego rodzaju i celu. My sądzimy, że sumiennie zapełniony dodatek Tygodnika, bez obwieszczeń, przeważnieby wpłynął na powiększenie już i tak znakomitéj liczby prenumeratorów. A szkoda tak pięknego papieru, druku, a głównie miejsca, które mogło być zajęte ważniejszemi przedmiotami, wpływającemi na podniesienie literackiéj wartości Tygodnika.

— Rozrywek dla młodocianego wieku, pod redakcyą pani Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj, wyszły trzy zeszyty obejmujące tom pierwszy. Myśl przewodnicząca stale, dobiór artykułów, wyborne ich opracowanie i język wzorowy, nadają téj publikacyi wysoką wartość. Powtarzać nie przestaniemy, że dzieło to powinno się znajdować w każdej rodzinie naszéj; podaje bowiem zarówno rozrywkę przyjemną, jako też i naukę.

— Prace około wydawnictwa dzieł Długosza, nie ustają ani chwilę. Na Wielkanoc skończy się w Warszawie i Krakowie kollacyonowanie najdawniejszych rękopismów, z wydaniem lipskiem. P. Mecherzyński już przełożył trzy pierwsze księgi dziejów; teraz je poprawi stosownie do znalezionych błędów w drukowanym tekście. Uczony ks. Gacki wezwanym został do tłumaczenia żywotów arcybiskupów i biskupów. Podług pewnego teraz obliczenia, całe wydawnictwo to pomnikowe składać się będzie w tekstach polskim i łacińskim z 16 do 17 wielkich tomów. Drukować się będzie, jak wiadomo, w Krakowie, w zakładzie typograficznym „Czasu".

— Zapowiedziane „Pismo zbiorowe Józefata Ohryzki" wyszło we 2 wielkich tomach w Petersburgu, w drukarni wydawcy. Tom pierwszy obejmuje str. 490, tom drugi 464. Cena, zważając tak na objętość, jak piękność wydania, a głównie na wysoką wartość wszystkich niemal artykułów, które to pismo składają, niesłychanie nizka, bo dwa te tomy kosztują u nas w Warszawie złp. 23 gr. 10. Musi wydawca liczyć na rozkup wielu egzemplarzy, ażeby tak kosztowne wydanie pokryć rozprze-

dażą. Nie powątpiewamy, że pismo zbiorowe pana Ohryzki znajdzie się w ręku każdego miłośnika literatury ojczystéj; że w każdéj bibliotece prywatnéj zajmie niepoślednie miejsce. O wartości tego pisma powezmą czytelniczy łatwe wyobrażenie, gdy wyliczymy znaczniejsze w niém zawarte rozprawy: 1) Augusta Bielowskiego, ustęp z dziejów Polski: „Synowie Chrobrego". 2) Karola Szajnochy: „Słowianie w Andaluzyi". 3) Fryderyka hr. Skarbka: „Bitwa pod Raszynem". 4) K. Wł. Wójcickiego: „Wycieczka do Krakowa" 1858 r. 5) Juliana Bartoszewicza: „Józef Sosnowski, wojewoda smoleński, hetman polny litewski. 6) „O ekonomii politycznéj we Włoszech" Ludwika Wołowskiego. 7) „Andrzej Morsztyn poeta polski XVII wieku i jego imiennicy" Dra Antoniego Małeckiego. 8) Józefa Korzeniowskiego: „Podróżomania" komedya. 9) „Dla miłego grosza" komedya Apolla Korzeniowskiego. 10) Prolog dramatu: „Jerzy Lubomirski" A. E. Odyńca. 11) „Walenty Skorochód Majewski i jego naukowe prace" Alexandra Batowskiego. 12) „Hanza nad Dźwiną w XIII wieku" szkic historyczny przez Stosława Łagunę. 13) „Szlacheckie opłotki" opowiadanie Cześnikiewicza. 14) „O powadze wyroków i ich wpływie na wyrokowanie w innych sprawach, czyli o powadze prejudykatów w Królestwie Polskiém" przez W. D. 15) „O sporach jurisdykcyjnych w zakresie sądownictwa zwyczajnego cywilnego" przez K. M. 16) „Kilka uwag o klassie robotniczéj w Anglii z powodu londyńskiego Strajku" przez B. Kalinowskiego. Dodajmy do tego poczye dobrane Syrykomli i innych, rozbiory kilku ważniejszych dzieł polskich, a możemy osądzić bogactwo, ważność i rozmaitość treści w dwóch tomach zbiorowego pisma p. Ohryzki. Czy dalsze serye wyjdą, nie wiemy: ale życzyćby należało: taka bowiem publikacya, jaką nam dał szanowny wydawca, jest prawdziwém zbogaceniem literatury ojczystéj,

— Druk Historyi literatury polskiéj Juliana Bartoszewicza posuwa się ciągle. Spodziewamy się, że na Wielkanoc już całe dzieło w jednym obszernym tomie wyjdzie z pod prassy.

— W tych dniach rozpoczął się druk zapowiedzianego od nas dzieła p. n.: „Pomniki Polaków na cmentarzach zagranicznych", przez Eustachego Marylskiego z rycinami. Objęte tu są wszystkie nagrobki z cmentarza drezdeńskiego, w rysunkach przedstawione są piękniejsze pomniki, na czele których uderzają grobowce Kazimierza Brodzińskiego i generała Wojczyńskiego, oraz kaplica na tymże cmentarzu katolickim: w końcu dodano grób księcia Józefa Poniatowskiego, jaki jeszcze istnieje nad wybrzeżem Elster, w któréj nurtach znalazł ten wojownik zgon bohaterski. Format zachowano takiż sam, jaki jest w dziele K. Wł. Wójcickiego: „Cmentarz Powązkowski pod Warszawą", gdyż rzeczywiście praca pana Eustachego Merylskiego obudzona była powyższem dziełem i jest jakby dalszym jego ciągiem.

— W zeszycie październikowym r. z. pisma naszego, umieściliśmy wiadomość, że p. Michał Walewski ma objąć redakcyą nowego pisma w Kijowie od Nowego Roku p. n.: „Kuryer podolsko-wołyńsko-ukraiński" pod kierownictwem p. Michała Grabowskiego. Otrzymujemy teraz list p. Walewskiego, prostujący tę wiadomość:

„Rzeczywiście (pisze do nas) p. Michał Grabowski robił mi tę propozycyą, lecz nie mając myśli należenia do téj redakcyi, poczytuję sobie za obowiązek tę mylną wiadomość literacką sprostować".

— Teatr Rozmaitości, tak ulubiony od naszéj publiczności, od czasu objęcia zarządu przez nowego reżysera, coraz więcéj zaczął upadać. Nic nowego nie przedstawiano, wznawiano stare sztuki, które mogły w pyle biblioteki teatralnéj spoczywać, jak: „Chcę sobie pochulać", „Oberża", „Czarna i biała", „Sto za sto", „Mieszczanie i kmiotki", „Wujaszek całego świata" i w. i. Nędzne te ramoty, w bardzo niekorzystném świetle przedstawiają smak i gust reżysera. Tymczasem nie brakuje sztuk oryginalnych; że nie wspomnimy o wielu nam znanych, dość tu wyliczyć wielką liczbę sztuk samego Józefa Korzeniowskiego, które z widoczną niechęcią są usuwane ze sceny. „Mąż i konkurent", „Pustynia", „Podróżomania" i w. i., godnieby zastąpiły liche tłumaczenia, któremi niesmak obudzają w publiczności. Czas, by raz zrobić stanowczą reformę w repertoarze Teatru Rozmaitości; czas, aby pan reżyser zrozumiał potęgę opinii publicznéj, objawioną przez organa peryodyczne i nie zaśmiecał ciągle sceny naszéj. Ogłaszane konkursa na komedye, dały to przekonanie, że wiele z nich, lubo nie uwieńczonych, mogłyby być z powodzeniem przedstawione na scenie Teatru Rozmaitości. Te, co znamy z dwóch poprzednich i z obecnego konkursu p. Starzyńskiego, już wystarczyłyby więcéj jak na roczny zasiłek, a w wartości przewyższają o wiele Mieszczan i kmiotków, niezgrabną z niemieckiego przeróbkę, któréj i tańce krakowskie i przyśpiewki nie podniosą z mierności. W końcu stycznia przedstawiono, po kilkomiesięcznem oczekiwaniu obrazek Feuilleta p. n. Wioska, tłumaczenia pani S. Pruszakowéj, któreśmy przed kilką laty ogłosili w naszém piśmie. Publiczność przyjęła serdecznie ten obrazek, pełen prostoty, szlachetności i myśli. Wyborna gra artystów jak pp. Królikowski, Rychter i pani Ziemińskiéj, zapewniły mu powodzenie długie na scenie.

— J. Korzeniowski pisze nową komedyą p. n. Plotkarz; przełożył akt pierwszy Ryszarda II, Szekspira, który podamy w następnym zeszycie: pracuje nadto nad studyum o komedyach Fr. Zabłockiego, pisarza, który talentem stał pomiędzy pierwszymi z czasów Stanisława Augusta, a dotąd tak mało jest znany powszechności.

— Były Redaktor Gazety Codziennéj p. Alexander Niewiarowski ogłosił wydawnictwo „Gwiazdki" w 4 tomach, a każdy tom w dziesięciu częściach. Już dwa zeszyty tego dzieła wyszły z pod prassy.

— W drukarni J. Ungra wyszedł zbiór wierszy Władysława Sabowskiego p. n. „Ziarna i plewy". Mieszczą się tu utwory oryginale i tłumaczone.

— Nakładem księgarza Bernstejna wyjdzie wkrótce książeczka dla dzieci z 15 drzeworytami kolorowanemi p. n. „Przygody Karzełka:" powiastka dla małych dzieci naśladowana z francuzkiego przez K. Masłoską.

— Zeszyt Roczników za miesiąc styczeń r. b. wyszedł i zawiera: Od Redakcyi. Czynności komitetu w miesiącu grudniu 1859 r. Opis porównawczy gospodarstw, którym medale wielkie Towarzystwa Rolniczego, w roku 1859 przyznane zostały, przez Maxymiliana Oborskiego. Uprawa lnu i wyrób włókna, w majątku Wołmie, w powiecie i gubernii Mińskiéj położonym, przez Kazimierza Stentzla. Informacya o Wystawie płodów gospodarstwa i przemysłu wiejskiego, w Petersburgu, w roku 1860. Objaśnienia tyczące się handlu zbożowego z Gdańskiem,

dla użytku właścicieli ziemi, na żądanie Towarzystwa Rolniczego spisane w roku 1859, przez dom kommissowy Alexander Makowski et Com. w Gdańsku. Przegląd pism rolniczych zagranicznych przez J. L. Świeszewskiego. Rozmaitości. Wiadomości o konkursach w powiecie maryampolskim. Ule p. Łapińskiego, we wsi Syntowty powiecie maryampolskim. Ozon, przez Józefa Lucyana Świeszewskiego. Sprawozdanie z handlu gdańskiego za miesiąc Listopad 1859 r. przez Alexandra Makowskiego. Kronika bibliograficzna dzieł gospodarczych. Wskazówki do przeprowadzenia oczynszowania w majątkach prywatnych, zebrane dla okręgu Szadkowskiego. Przegląd wiadomości przez korrespondentów Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiém za miesiąc grudzień 1859 roku nadesłanych. Ogłoszenia. Dostrzeżenia meteorologiczne za miesiąc listopad 1859 roku.

Kraków od Nowego Roku liczy następne pisma peryodyczne: 1) Gazetę Czas z Dodatkiem literackim miesięcznym. 2) Tygodnik Rolniczo-przemysłowy, organ Towarzystwa agronomicznego. 3) Roczniki Towarzystwa naukowego krakowskiego. 4) Krakauer Zeitung, niemiecką gazetę rządową, wychodzącą sześć razy na tydzień. 5) Ognisko pod redakcyą Walerego Wielogłowskiego, w formacie ćwiartkowym, co tydzień wychodzące, obejmujące artykuły humorystyczne z życia codziennego, niemniéj rzeczy dotyczące handlu, przemysłu, sztuk pięknych, a głównie doniesienia mogące ożywić ruch handlowy i przemysłowy. Do tych pism doliczyć należy pismo zbiorowe, szacowną publikacyę J. K. Turowskiego Bibliotekę Polską, której zeszyty w nieokreślonym stale czasie wychodzą.

W Lipsku, nakładem księgarni Friedlejna wyszło: „Album obrazów wystawy krakowskiéj“ z tekstem objaśniającym, napisanym przez L. Siemieńskiego. Zawiera ośm bardzo starannie litografowanych obrazów, które na wystawie 1859 r. zajmowały najprzedniejsze miejsce. „Wszystkie (jak pisze Dodatek Czasu z grudnia r. z.) są dziełem polskich artystów; i tak, znajduje się się tam: „Wanda“ przez Piotrowskiego z Królewca; „Katarzyna Jagiellonka w więzieniu p. Simlera. „Zygmunt I.“ nadaje przywilej szlachectwa Akademikom krakowskim przez Matejkę: „Kiermasz w Tyńcu“ p. Kotlisa „Biedna dziewczyna“ p. Gersona „Miecznik i Wacław“ scena z Maryi Malczeskiego p. Kaplinskiegp. „Widok Tęczyna p. Schouppego: „Wróżka“ p. Lofflera. Wydanie tego albumu do najwytworniejszych książek w tym rodzaju liczyć się może. Piękny dał przykład p. Friedlejn jako wydawca: czyż u nas znajdzie się księgarz, ażeby złożył i wydał podobne album z naszéj wystawy sztuk pięknych? Byłoby to pożądaną publikacyą, bo najpiękniejsze utwory naszych artystów, dla ogółu nie są znajome. Czyby choć w części jakiéj nasz Tygodnik illustrowany nie mógł upowszechniać piękniejszych kompozycyj?

— Prezes Towarzystwa naukowego krakowskiego, pod d. 7 grudnia r. z. ogłosił następną odezwę:

„Zbliża się chwila corocznego ogłoszenia przez druki składek, w roku dobiegającym na budowę domu dla Towarzystwa naszego zebranych. Są jeszcze nie spełnione obietnice tych składek ustnie i na piśmie zdziałane, są należności dostarczycielom, albowiem w nadziei pierwszych, od dnia 11 kwietnia r. b. nie ustawały roboty około domu,

aż do późnéj jesieni. Dla uniknienia dalszych ogłoszeń, prosimy, PO RAZ OSTATNI, o uiszczenie przyrzeczeń, byśmy się z naszych uiścić zdołali.“

O ile wiemy, ostatnia ta odezwa, nie wiele skutkowała: byli i tacy, co skorzy do podpisu, uradowali się, że już więcéj monitowani nie będą o nie złożone składki. To nie tylko Galicyi samej dotyczy. Wykaz, jaki zapewnie prezes ogłosi, wykaże znakomite braki w spodziewanych funduszach.

— Dr. Ludwik Adolf Neugebauer, wykładający od założenia C. K. Med.-Chir. warszawskiéj akademii anatomią, a obecnie akuszeryą, ogłosił prospekt na dzieło Anatomii opisowéj ciała ludzkiego: który tu dosłownie zamieszczamy:

„Z otwarciem C. K. Medyko-Chirurgicznéj Akademii w Warszawie w r. 1857, powołany zostałem do wykładu anatomii opisowéj ciała ludzkiego. Literatura lekarska, niezasobna w odpowiednie polskie książki, zniewoliła mnie do posiłkowania się dziełami cudzoziemskiemi, na podstawie których, chcąc przyjść bez straty czasu w pomoc uczącéj się młodzieży, ułożyłem stosowny kurs anatomii. W następnym roku wykładu mego, kurs wzmiankowany, aczkolwiek bardzo obszerny, bo szczegółowo całą naukę obejmujący, mając zamiar drukiem ogłosić, zupełnie przerobiłem, zwiększając jego zakres i zmieniając tak, aby dzieło to uczynić odpowiedniém obecnemu stanowi nauki, i pod każdym względem ile możności równem dziełom zagranicznym.

Obecnie, bez względu że w Akademii teraz inny przedmiot wykładam, postanowiłem pierwotny swój zamiar do skutku doprowadzić. Pragnąłbym bowiem, aby nietylko nasza młodzież, którą pierwszy miałem szczęście wprowadzić na obszerną anatomiczną niwę, z pracy méj korzystać mogła, ale chciałbym także przysłużyć się polskiéj lekarskiéj literaturze, jak niemniéj i moim kolegom. Chciałbym mówię— pracą swą, w któréj pierwszy do walki z przeszkodami wystąpiłem — podzielić się i z współtowarzyszami zawodu i z młodzieżą. Oto są powody naglące mnie do ogłoszenia méj Anatomii.

Ugruntowałem ją na podstawie najpierwszych autorów, a głównie trzymałem się układu sławnego Hyrtla, professora anatomii w Wiedniu, posiłkując się niemniéj i własném doświadczeniem.

Co się tyczy terminologii, postanowiłem ile możności trzymać się obecnie ustanawiającéj się przez Komitet Słownictwa Lekarskiego, ze względem na terminologię szkoły krakowskiéj.

Całe dzieło podzieliłem na sześć części:

Część pierwsza zawierać będzie naukę o kościach i więzach (Osteologię i Syndesmologię).

Część 2: naukę o mięśniach (Myologię).

„ 3 „ o wnętrznościach (Splanchnologię).

„ 4 „ o zmysłach (Estezeologię).

„ 5 „ o nerwach (Neurologię).

„ 6 „ o naczyniach (Anglologię).

Na końcu każdéj z tych części zamieszczam dział literatury, t. j. spis celniejszych dzieł anatomicznych, jakie po dziś dzień wyszły, nieprzepominając i o polskich autorach, których liczba, aczkolwiek nie jest

wielka, wszelako zasługuje, aby pamięć poprzedników należny hołd odebrała.

W ciągu całego dzieła starałem się o jasny wykład, a chcąc ułatwić samą naukę nietylko poświęcającym się lekarskiemu zawodowi, dołożyłem wszelkich usiłowań, aby dzieło przyozdobić stosownemi rysunkami, tak w anatomii niezbędnemi. Rysunki wykonywają się w części podług fotografii Willnowa, już to z najlepszych atlasów, już też z natury zdjętych. Szło mi głównie o wierność i w tym celu użyłem w pomoc fotografii.

Dzieło to dla nierozrywania całości, postanowiłem wydać w dwóch wielkich tomach, przeszło 80 arkuszy druku w 8ce obejmujących. Dla uprzystępnienia jego nabycia ustanawia się cena najniższa rs. 6, jaka przy względzie na małą ilość odbitych egzemplarzy konieczną jest do pokrycia kosztów nakładu

Aby dać jak najłatwiejszą sposobność do nabycia Anatomii, będę ją wydawać zeszytami w bardzo krótkich przerwach jak najregularniej, tak, aby w kilku miesiącach wydawnictwo ukończyć.

Zeszyt pojedynczy kosztować będzie kop. 30, a dla pragnących odrazu całe dzieło zaprenumerować otwiera się przedpłata w księgarni Gebethnera i Spółki w Warszawie, niżej o rubla, to jest po rs. 5 za egzemplarz.

Po ukończeniu druku cena dzieła będzie podwyższoną."

— „Gazeta Wrocławska" zamieściła obszerny rys dziejów starożytnego grodu słowiańskiego Opola, będącego najważniejszem z miast górnego Szlązka. Założenie i początek tego miasta nie jest znany, zwłaszcza, że zniszczało dawne archiwum miejskie w czasie kilku wielkich pożarów, zdarzonych w ciągu wieków. Podług śladów atoli pozostałych po niegdyś tu istniejącym klasztorze dominikańskim, Opole już w X wieku było dobrze zamieszkałą osadą, która według historyka niemieckiego nazwisko swoje otrzymać miała od licznie rosnących w jej okolicach topoli (?). Błahy i zupełnie mylny to domysł, chociaż go niemiecki sprawozdawca za gruntowny uważa. Opole bowiem wcale inne ma znaczenie słowiańskie i jak to dokładnie objaśnili uczeni: Maciejowski, Roepel i Palacki. Opolem mianowano zwykle większą osadę. Palacki nawet osadę i Opole za jedno uważał; ale Maciejowski opierając się na dyplomatach, dowiódł, iż w urządzeniach policyjnych gminy słowiańskie z mniejszej objętości osadami, większe zaś z kilku składające się osad opolami nazywają dyplomata. Tak więc żadnej wątpliwości nie podlega, że nazwisko miasta Opola ztąd początek swój bierze. Cóżkolwiek bądź dalsze jego dzieje podług swej relacyi niemieckiej wskazują, iż w r. 984 ś. Wojciech arcybiskup gnieźnieński miał wznieść tu kaplicę na górze, której biskup wrocławski Klemens I w r. 1024 darował część krzyża ś., co było powodem, iż mieszkańcy przyjęli odtąd za herb miasta pół orła polskiego i pół krzyża, herb który się dotąd zachowuje. W r. 1240 hordy mongolskie w przechodzie spustoszyły do szczętu miasto, a zaledwie odbudowane, spalił je w r. 1273 Bolesław Wstydliwy książę polski; oblężone w r. 1396 od Władysława krola czeskiego, nie mniej ucierpiało. Wkrótce jednak z położenia swego handlowego, oraz jako stołeczne

miasto udzielnych książąt opolskich nietylko wróciło do dawnéj świetności, ale słynęło ze swojéj zamożności, wspaniałości budynków, obronnego zamku i licznych kościołów rzymsko-katolickiego wyznania, które tu w rozmaitych latach powstały. W następnych czasach Opole obdarzone licznemi przywilejami tak swoich władzców, jako i sąsiednich cesarzów niemieckich, ciągle wzrastało w pomyślności, chociaż spotykały je także i nieszczęścia w czasach wojennych, tudzież częste pogorzele, po których zawsze jednak miasto do dobrego bytu wracało. Nie będziemy tu powtarzać dalszych jego dziejów, które więcej do Niemiec, niż do nas należą. Ale mamy jeszcze jedno wspomnienie z czasów Jana Kazimierza, kiedy nieszczęśliwy ten król za pierwszej wojny szwedzkiéj musiał kraj swój opuścić, a udając się do Szlązka, zamieszkał w Opolu. Dotąd tam przechowuje się po nim pamiątka w przywilejach, jakie nadał miastu na założenie 12 sklepów kupieckich. Podczas siedmioletniéj wojny Opole zajmowały wojska cesarzowéj Elżbiety. Poczém stale pod rządem pruskim zostając, jeszcze w r. 1782 liczyło ośm rzymsko-katolickich kościołów, z których dziś jedna tylko starożytna fara istnieje, gdzie dotąd przed wielkim ołtarzem widzieć można wspaniały grobowiec Henryka księcia opolskiego. Zamek niegdyś Piastów spłonął ogniem, a w reszcie pozostałej mieści się teraz regencya i inne władze krajowe.

Hr. Maryan Czapski z Litwy, poświęcił kapitał kilkunastu tysięcy rubli sr. na wydanie illustrowanéj edycyi „Pana Tadeusza.“ Rysunki mają być wykonane przez najlepszych malarzy polskich, a drzeworyty w arkuszowym formacie robione w Paryżu. Na jednem z posiedzeń Tygodnika illustrowanego, widzieliśmy kilka kart illustrowanych, przez malarza krakowskiego Majeranowskiego, bawiącego w Wilnie. Sceny są oddane z życiem i wniknieniem w myśl poematu. Sądzimy, że wezwać pomocy potrzeba, aby illustracya odpowiadała wartości utworu Mickiewicza, artystów takich, którzy z całą prawdą typy dawne polskie odtwarzać umieją. Do tych policzamy głównie Kossaka, Lewickiego, Gersona i Kostrzewskiego. Jedni z nich zapamiętali poważne postacie staropolskie: jak Lewicki; drudzy po szczątkach odgadnąć potrafili, pochwycić, i oddać artystycznie; a oblicza te, jak postacie, główną rolę grają w Panu Tadeuszu.

W Krakowie, téj dawnej stolicy Polski trzy istnieją instytucye, które w nieprzyjaznéj atmosferze żyją i wegetują silniéj lub słabiéj, o ile okoliczności przeważne na ich wzrost i rozwój pozwalają. Na czele kładziemy stary uniwersytet Jagielloński, sławny wspomnieniami swéj świetności, nie obecnym stanem, gdy język ojczysty z niego wygnanym został, a przywrócenie go stale więcéj do pięknych marzeń liczymy; Towarzystwo naukowe krakowskie, Teatr polski i najświeższa instytucya Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych. O działaniach Towarzystwa naukowego zamieszczamy stale sprawozdania, ale o teatrze polskim w Krakowie, w którym jedynie mowa ojczysta (nie wspominając kazalnicy) brzmi publicznie, mało mieliśmy wiadomości. Gazeta Czas w odcinku swoim obszerniejszy mu niedawno poświęciła ustęp; powtarzamy więc go dosłownie:

„Od połowy upłynionego miesiąca trupa polska pod dyrekcyą p. Pfeiffra rozpoczęła szereg swoich przedstawień. Repertoar teatralny zaopatrzony w wiele oryginalnych sztuk polskich, zapowiedziane przybycie wielu nowych członków do trupy, kazały się spodziewać, że tegoroczna scena podniesie się, i wywdzięczy publiczności za gorliwe nawiedzanie polskiego teatru, przez co święcie spełniany obowiązek nietylko w samym sobie, ale i w uprzyjemnionych wieczorach znalazłby nagrodę.

Pod względem wyboru nowych sztuk, pisanych przez najlepszych w tym rodzaju naszych autorów, trzeba dyrekcyi oddać sprawiedliwość, że robi co może. Nie jéj wina, że nie wszystkie z tych nowych płodów dramatycznych wytrzymać mogą krytykę; nie jéj wina, że czasami przedstawienie nie podniosło się nad poziom utworu. Kto się rozpatrzy spokojnym umysłem w położeniu sceny polskiej w Krakowie, ograniczonéj do własnych środków, jakie zdobywać musi, i w stosunek publiczności do teatru, któréj część nawykła widzieć zagraniczne sceny, a druga część łaknie efektowych nowości; ten przyzna, że w takim zbiegu trudnych wymagań, zaspokojenie i jednych i drugich odpowiednio do wyższych pojęć o przeznaczeniu teatru należy do prawdziwych łamigłówek antreprenerskich. Ażeby bowiem dogodzić publiczności znającéj teatra europejskie, wypadałoby nie tyle ubiegać się za nowościami, ile wyszukiwać najudatniejsze płody i takowe przedstawiać z doskonałém wystudyowaniem ról. Kiedy sztuka dobrze jest graną, pociąga widzów i nie przykrzy się im, chociażby kilkanaście razy powtórzona. W takim przypadku nie tyle zajmuje sama treść, którą można znać na pamięć od końca do końca, ile uwagę zaostrza oddanie roli w sposób przechodzący spodziewanie, co nazwiemy stworzeniem charakteru, przejęciem się sytuacyą, dopełnieniem samego autora. Aktor, który niewolniczo trzyma się litery, który, że tak powiem, nie robi ze siebie żywéj illustracyi do tekstu, może być dobrym recytatorem, deklamatorem, ale nigdy artystą. Czyby książka przeszła przez jego usta, czy ją sam sobie przeczytam, wypadłoby prawie na jedno. Najlepszy artysta nie jest w stanie stworzyć roli, ani wystudyować jéj w kilku dniach. Sławny Fleury opowiada w pamiętnikach swoich, że po pół roku i więcéj studyował jednę rolę; ale też kiedy w niéj wystąpił, przechodził oczekiwanie, bo stawał się twórcą równym, a często i oryginalniejszym, jak sam autor. W tych warunkach postawiona nasza scena, mogłaby dojść do téj wysokości, na jakiéj stoją najpierwsze sceny zagraniczne; nie idzie tu o przyrodzone talenta, któremi nas niebo nie skąpiéj obdarzyło jak inne narody, lecz tylko o możność utrzymania takiéj czysto artystycznéj sceny. Nigdzie teatra własnemi siłami nie przyszły do udoskonalenia: wszystkie bowiem wzorowe sceny doznawały opieki monarchów lub miast w ten sposób, że dyrekcye były w stanie zrobić się niezawisłemi od kaprysów publiczności, że mogły utrzymywać liczne trupy, wykształcać artystów do specyalnych ról, aby ten sam aktor nie grał lokaja, który grał króla, a kochanek, żeby nie grał tyrańskiego ojca.

Czyliż wymagająca część naszego towarzystwa może domagać się tego wszystkiego od sceny krakowskiéj? Zapewne, wymaganie nie jest

uzasadnionem; zwłaszcza, że choćby jak najgorliwiéj uczęszczała do teatru, nie zdoła go jeszcze postawić na téj stopie, aby doskonałość osiągnął. Scena więc, ażeby się utrzymać przy jakiéj takiéj egzystencyi, uciekać się musi do skarbienia sobie téj części publiki, co największy dochód przynosi, a co łaknąca coraz świeżéj strawy, nie smakuje w powtarzanych sztukach. Dlatego na żadnéj może scenie, jak na krakowskiéj, nie widzimy takiego mnóstwa nowych przedstawień. Od miesiąca, jak rozpoczęły się widowiska, jedni i ci sami aktorowie odegrali najmniéj z pół tuzina nie widzianych tu jeszcze komedyj i dramatów; gdzieindziéj wystarczyłoby to na cały rok; u nas wiele z nich nie doczeka się może i drugiéj reprezentacyi, jak raz przeczytana książka, do któréj nie chce się wracać. Nacisk na nowość, niepodobieństwo zmiany kolei między aktorami, aby dać im czas do wystudyowania roli (bo przecież nauczenie się jéj na pamięć nie jest studyowaniem) zawsze przyprawiać będzie o upadek choćby najlepszą sztukę; bo to pewna, że jeżeli jaki znamienitszy utwór przy kilkakrotném powtórzeniu nie ściąga zawsze tłumu widzów odkrywających w nim coraz nowe piękności, tém samém już upadł, a upadł nie ze swojéj winy, lecz skutkiem niedołężnego przedstawienia. Dopókąd scena polska pozostawać będzie w powyższych warunkach, ani myśléć, aby kiedykolwiek się podniosła. Mogą się trafiać przypadkowe indywidua z niezwykłemi zdolnościami, ale to nie podniesie sceny, jak jedna jaskółka nie sprowadzi wiosny. Harmonia w całości, owa jednolitość gry, ów urok sympatyczny, co się pojmuje, a nie tłumaczy, a co najwięcéj porywa i entuzyazmuje widza; cała ta wyższa estetyka teatru jest jeszcze dla nas obiecanym krajem, rysującym się w mglistém oddaleniu i niejako zawisłym od pisarzy dramatycznych, którzy dziś nie śmią i nie umieją trącić tych stron, coby wstrząsały całą duszą widza, coby zagadały doń właściwym językiem, wywołującym najwyższą sympatyą dla ulubionych i znanych w narodzie postaci. Scena za autorem, jedno wlecze się za drugiem, jakby na świadectwo, że i u nas byłoby wszystko jak gdzieindziéj, gdyby sprzyjały warunki. Zresztą tym trybem idą i inne objawy kultury: wiedza jest, jak być powinno, chęci są i pragnienia ku doskonaleniu się; ale do wykonania sił braknie, a głównie tego swobodnego rozwoju, który tylko możebnym bywa w organizmach nie dotkniętych niemocą. Na każdéj też drodze spotyka się pragnienie i niemoc: górne nieraz pomysły a nie praktyczne wykonanie; pojęcie ogólnéj potrzeby a niedostatek sił do przeprowadzenia; świadomość ostatnich rezultatów pracy cywilizacyjnéj a obok tego szerokie przerwy w najelementarniejszych przedmiotach. To samo dzieje się ze sceną: wiemy i czujemy, napatrzywszy się obcych teatrów, czém powinien, czém może być teatr i dlatego z politowaniem patrzymy na naszą scenę, gardzimy nią nawet, byle się wędrowna nawinęła nowostka, a nie porachujemy się w duchu, czyśmy co bądź dla niéj zrobili, aby mogła z zagranicą rywalizować. Wymagać łatwo, pomagać trudniéj; czynna dopiero pomoc daje do wymagań prawo.

Widząc to położenie naszéj sceny, zostawionéj, że tak powiem, własnemu przemysłowi, niepodobna jest prawie stosować do niéj w całéj obszerności wymagań krytyki; bo krytyka tylko tam ma dla siebie

stosowne pole, tam owoc przynosi, gdzie sztuka używa wszelkich przywilejów, gdzie nie potrzebuje walczyć z trudnościami bytu: inaczéj sztuka, szczególniéj sceniczna, uciecze się do zwykłéj wymówki: mogęż unosić się w doskonalsze sfery, gdy tylko w poziomych znajduję chleb powszedni? Krytyka téż jest wyrozumiałą i nie zaprzecza prawa do życia; co więcej, pragnie rozbudzić zamiłowanie sceny ojczystéj tak w publiczności, jak w artystach: bo jednym poczytuje za grzech lekceważenie téj instytucyi, tak z oświatą narodu zrosłéj, a drugim wkłada obowiązek dopełnienia tego wszystkiego, co w danych warunkach dopełnionem być może.

Tegoroczny repertoar sceny krakowskiéj zapowiedział i przedstawił już wiele nowości oryginalnych, co dowodzi, że jest zabiegliwość ze strony dyrekcyi. Szereg przedstawień rozpoczął się komedyą Korzeniowskiego: „Podróżomania". Dowcipna to krytyka téj manii pędzącej za granicę i tych, co mają i co nie mają za co podróżować; szkoda, że autor tak przeładował obrokiem duchownym, tyle znanych morałów powtórzył, że akcya rozpływa się w dość tkliwą retorykę. Parę scen komicznych, między innemi rewizya wędrownych pań i ich rupieci na komorze w Maczkach utrzymają na jakiś czas tę komedyą, będącą raczéj zbiorem obrazków, niż dobrze przeprowadzonem dziełem dramatycznem. W sztuce téj trafnie pojęła rolę szlachcianki dotkniętéj chorobą podróżowania p. Monikowska, również p. Delchau charakterystycznie odegrał chytrego żyda.

Po pierwszy raz widzieliśmy i Kraszewskiego komedyą: „Stare dzieje". Rzecz osnowana na zdarzeniu, dość u nas nie rzadkiem, że hr. dziedzic włości zostaje z majątku przez swego ekonoma, czy rządzcę, wyzuty; wieśniacy zaś znając okrucieństwo i łakomstwo dorobkowicza, składają się na wykupno majątku i ofiarują go odwiecznemu dziedzicowi, którego rządy były pełne ludzkości. Miesza się w to miłość ekonomskiego synka ku hrabiance. Nie brak tu patetycznych sytuacyj; lecz cała intryga zaraz w pierwszéj scenie wykryta, osłabia wszelkie zajęcie się: od początku można zaraz przewidzieć koniec: z tego powodu przez całe akty bywa powtarzanie jednej i téj saméj rzeczy. Powieściowy żywioł wyraźnie sili się na dramatyczność i nie mogąc jej podołać, zmienia się w dość nużące dyalogi. Mimo tego sztuka ta dałaby się utrzymać na scenie grą dobrą, głębszem wystudyowaniem charakterów, a nawet właściwszemi kostiumami jak te, w które się przebrali wieśniacy ukraińscy. Aktorowie widać złudzeni pozorną łatwością dykcyi i prostotą scen, nie zastanowili się nad tém, że tu potrzeba było wiele rol stworzyć, między innemi rolę ekonomskiego syna, wymagającą prawie karykatury. Również i ekonom powinien był mieć więcéj pretensyi pozbycia się cech swojego stanu. Wszystko to trzeba było odgadnąć, stworzyć, a komedya nie byłaby tak niemiłosiernie upadła ...

W „Szlachectwie duszy", komedyi Chęcińskiego, także wystawionéj po raz pierwszy, łatwiéj było znaleźć się naszym artystom: sztuka ta napisana ze znajomością sceny, ożywiona świetną dykcyą, prowadzona z rozmysłem, sama przez się porywała grających. Znając tę sztukę z książki, dopiero na scenie można było, pomijając kilka deklamacyjnych i oklaskowych tyrad, poznać główną jéj słabą stronę w tém, że autor

chciał nam przedstawić nowe wyobrażenia o równości, w walce z przestarzałem wyobrażeniem dumy rodowéj szlacheckiéj. Wszakże w obu tych obrazach postawieni bohatérowie wcale nierównéj są miary. Po jednéj stronie wolni od tego przesądu z miłością odmalowani rycerze: jak baron, jego córka i dwóch Wilczurów; po drugiéj dwoje tylko przywileistów: baronowa i hrabia; pierwsza, z jakąś skazą na życiu, śmieszna i mdlejąca co słowo; drugi, typ zrujnowanego wietrznika, goniącego za posagiem. Tam charaktery zacne, działające moralnie, po męzku; tu same upadki uciekające się do mdłéj intrygi.

W tak nierównym boju, walka nie mogła nabrać prawdziwego interesu i podnieść się do téj skali, do jakiéj artysta powinien podnosić swoje utwory, aby zdołały go przeżyć na scenie. Zapewne autor dał się uwieść chętce obrócenia w śmieszność zastarzałego przesądu dumy rodowéj, i dlatego wyobrazicielów téj myśli przykroił do téj foremki wodewilowéj; lecz czyż nie wyższą zrobiłby komedyą stawiając w walce dwa przeciwne obozy, reprezentowane przez równy zastęp, z których jeden upada pod siłą ducha czasu, a nie pod ciężarem śmieszności. Mniejsza byłaby sprzeczność z historyą i prawdą. Ta wada pomysłu osłabiła całość dramatu, zkądinąd mającego rzadkie przymioty w dzisiejszych pisarzach dla teatru, bo to nie są tylko obrazki, lecz w całości obmyślana komedya.

Co do samego przedstawienia, można oddać sprawiedliwość artystom, że gra ich była równa, i że sztuka od początku do końca szła dobrze; baronowa zręcznie uniknęła karykatury, a Wilczura zbytniéj rubaszności.

„Sędziwój", dramat W. Szymanowskiego wierszem napisany, nie udał się. Niektóre ustępy wcale piękne, najnieszczęśliwiéj były powiedziane; zamiast wiersza słychać było tylko chropawą jakąś prozę, trudną do zrozumienia, co jeszcze bardziéj szkodziło dramatowi, mającemu niektóre sceny piękne, ale pozbawianemu akcyi; bo przecież przerzucanie się z miejsca na miejsce nie może się nazwać akcyą. Żywiołem powieściowym i tu zaszkodzono właściwéj dramatyczności, zamieniającéj się w szereg idących po sobie obrazków. Jeden Seton (p. Janowski) najlepiéj pojął był swoją rolę i tworzył uderzający kontrast między innemi rolami recytowanemi bez myśli. Prawdać to, że najgłówniejsze figury dramatu należą do rzędu istot, którym piątéj klepki brakuje—takiemi przynajmniéj wydają się ci adepci magii i alchemii, jeśli ich nie weźmiemy za prostych oszustów. Rozprawiają do unudzenia o sztuce robienia złota, o kamieniu filozoficznym, o zbawieniu ludzkości, ale że się to kończy na gadaninie, a żadnego cudu ani zbawienia nie widać, więc dla tych figur nie możemy mieć najmniejszego interesu; wreszcie czyby tego Sędziwoja powieszono lub spalono, wcaleby nas to nie inkomodowało. Sędziwój ten jest niedonoszonem dzieckiem Fausta; znać to, bo chociaż się przechwala jakąś głęboką tajemniczą mądrością, ale najpewniéj nie poznałby się na czarnym pudlu czy to zwykły pies, czy p słaniec piekielny.

Dawano też i „Adryennę Lecouvreur", sztukę napisaną dla jednéj roli, Adryenny, około któréj jak około słońca obraca się reszta konwencyonalnych satelit. Wszyscy grali wcale dobrze, bo zadanie nie było trudném, lecz rola Adryenny nie może się utrzymać bez takiéj potęgi

traicznéj, jaką widzieliśmy niegdyś w p. Aszpergerowéj. Są role wyjątkowe, przechodzące pewne siły, zastosowane do specyalności, jak zbroja ukuta na olbrzyma nie mogłaby przydać się na trubadura. Dlatego i p. Majewska pomimo talentu swego i szczeréj chęci, nie mogła podołać téj roli przechodzącéj jéj siły. Co do przedstawień z czasów Ludwika XIV i XV, kostiumy wymagające pudrowanych peruk i wielkiéj elegancyi, nie mogą się żadną miarą pogodzić z „ozdobą twarzy, pokrętnemi wąsami". Zdawałoby się, że lepiéj wąsów nie nosić, a przyprawiać je w potrzebie, niż wtenczas golić, kiedy konieczność historyczna nakazuje, aby ich nie było; pozbyć się ich w tym jednym razie, nie będzie: Szkoda wąsów! Drobne komedyjki z francuzkiego, jak „Syn Narzeczona", „Sto za sto", „Obiadek z Magdusią", wcale dobrze były odegrane. Jeżeli trajedye i dramata nie zawsze odpowiadają siłom trupy krakowskiéj, czemużby takowa nie mogła wyrobić sobie specyalności w mniejszych sztuczkach? Znacznéj części widzów więcéj idzie o doskonałą grę, o stworzenie oryginalnych charakterów choćby w małych komedyjkach, jak o wielkie przedstawienia niedostatecznemi siłami"

— Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie, które dotąd tak się rozwijało szczęśliwie, zatrwożone zostało niechętnemi głosami, z powodu ostatniego premium. Gazeta Czas z tego powodu następną mieści jego odezwę:

„Zbliża się czas wystawy sztuk pięknych w Krakowie, która będzie otwartą 15 lutego nadchodzącego roku. Mamy niepłonną nadzieję, że nietylko nie będzie pośledniejszą od poprzedzających, ale je przewyższy, sądząc z przygotowań i zapowiedzi, jakie czynią artyści, aby godnie na niéj wystąpić. I zasługuje na to, bo już wiele dobrego zrobiła. Wielu z artystów naszych za pośrednictwem jéj dało się zaszczytnie poznać światu, którzy bez tego małéj tylko liczbie amatorów byliby znani. Dla wszystkich stoi jako otwarte pole do popisu, gdzie każdego zdolności, prace i usiłowania bywają sprawiedliwie ocenione i wynagrodzone nietylko moralnie, ale i materyalnie przez zakupno płodów ich talentu tak przez dyrekcyą Towarzystwa, jak przez prywatnych. Ileż od lat pięciu rozeszło się już pięknych rzeczy tą drogą po kraju? A ileż spodziewać się jeszcze godzi? Emulacya artystów wzrasta, postęp w twórczości z każdym rokiem widoczniejszy, liczba znakomitszych się zwiększa, smak publiczności się kształci, sąd o pięknem się wyrabia, słowem, wpływ wystawy niezaprzeczony i rzec można, że stała się już dziś potrzebą.

Jak więc dla powyższych przyczyn tuszymy dobrze o przyszłéj wystawie, tak również nie omylimy się twierdząc, że kraj uznając piękne skutki onéj, nie odmówi instytucyi ją urządzającéj środków, za pomocą których skutki te się otrzymują. Mówimy to dlatego, albowiem dochodzą nas wieści, że znaczna liczba członków Towarzystwa nie zadowolniona jest z ostatniego premium (Jasełka w Polsce z drugiéj połowy XVIII wieku), i że niezadowolenie to może niekorzystnie wpłynąć na dalszą pomyślność Towarzystwa. Nie sądzimy, aby rzeczy tak źle stały, i aby członkowie dla jednéj ryciny, która im się może nie podobać, występowali z Towarzystwa. Jakoż po zasięgnięciu wiadomości, donieść możemy z pewnością, że z nadeszłych dotąd nadsyłek od panów agentów, liczba występujących nie jest większą w tym roku jak lat poprzednich, a nowo-

przystępujący przewyższają poczet ubyłych. Zawsze i w każdém przedsięwzięciu znajdują się ludzie niestali, niecierpliwi, i łatwo byle czém urażający się; ale do ogółu tego stosować nie można i przekonani jesteśmy, że i nadal od panów agentów nie będą nadchodzić gorsze rezultaty od tych, jakie nadeszły. Wiemy, jakie mają oni trudności w ściąganiu należytości za akcye; ale trudności te pochodzą więcéj z niemożności niektórych członków uiszczania się z przyjętych zobowiązań się przez przystąpienie do Towarzystwa, aniżeli z braku chęci i dobréj woli. Poświęcenie się zaś ich i dobra wola akcyonaryuszów, przynoszą co rok skutki nadspodziewanie pomyślne. Mamy ufność, że tak będzie i w tym roku: bowiem ludzie rozważni i cierpliwi, akcyonaryusze Towarzystwa od początku jego istnienia, wiedzą z doświadczenia, że rok jeden wynagradza drugi i korzyści się zawsze równają; bo jeżeli premium jest mniéj piękne, a więc mniéj kosztowne, to wtedy więcéj bywa zakupionych obrazów do losowania.

Będąc zapewnieni z téj strony, chcemy pomówić o premium, które miało się tyle niepodobać. Przyznamy się, iż nie wiemy dlaczego. Rycina jest pięknie wykonana i znawcy wielce cenią światło tak biegle utrzymane i tak dobrze oddane. Przedmiot jest wzięty z obyczajów narodowych, dotąd się utrzymujących. Któż u nas od chaty do pałacu nie zna *jasełek, szopki?* Czas właśnie nadchodzi, gdzie ją ujrzą po wsiach i miastach. Zwyczajna szopka, którą obnoszą i teraz na Boże Narodzenie, nie jest bez wątpienia podobna do jasełek wyobrażonych na rycinie, ale wiemy dokładnie, że we wszystkich częściach dawnéj Polski urządzają po wielu domach jasełka, nie polityczne wprawdzie, ale religijne, przedstawienia jednak w ten sam odbywają się sposób; przed innymi widzami i przez innych aktorów, ale zwyczaj jest ten sam, zwyczaj narodowy. Dla kogoby więc myśl zawarta w przedstawieniu jasełek z drugiéj połowy XVIII wieku była nie jasną i niezrozumiałą, jasełka same są wszystkim dotąd znane. Nie ma się zatém o co gniewać, że dyrekcya znalazłszy obrazek przedstawiający scenę z obyczajów narodowych, wykonany przez znakomitego malarza z czasów Stanisława Augusta, dała go akcyonaryuszom w przekonaniu, że dobrze robi.

Żeby panowie akcyonaryusze wiedzieli, jaką dyrekcya miała dotąd trudność w wybraniu przedmiotu na premium odpowiadającego wszystkim wymagalnościom, kiedy nie było z czego wybierać, możeby na nią byli łaskawsi. Obrazów historycznych, obyczajowych, wykonanych przez artystów krajowych, mało posiadamy z czasów dawniejszych; a jeżeli jakie są po domach prywatnych, lub nieliczebnych galeryach również prywatnych, o tych mało kto wie, w braku katalogów drukowanych lub opisów. Zresztą statut Towarzystwa chce, by przedmiot na premium był wzięty z wystawy, a przedmiotów takich na uprzednich wystawach pojawiło się było zaledwo kilka i te dyrekcya natychmiast wybrała. (Obrona Częstochowy, portret Mickiewicza i Powrót z wyprawy wiedeńskiej).

Na ostatniéj wystawie mieliśmy odrazu kilka już obrazów kwalifikujących się na premium i jeden z nich, ten, który prawie nie znalazł krytyki, dyrekcya przyjęła i już się zeń wykonywa sztych na stali przez pana Lüderitza, jednego z najznakomitszych dzisiejszych sztycharzy. (Katarzyna Jagiellonka w więzieniu z mężem swym Janem i synem Zygmuntem w zamku Grypsholmskim w Szwecyi). Jak tylko więc jest z czego wybierać, dyrekcya z radością wybiera, co tak ona jak omnia publiczna w czasie wystawy uznały za najpiękniejsze i najwięcéj podobające się. Spodziewać się należy, że odtąd na przedmiotach już zbywać nie będzie: bowiem istnienie Towarzystwa naszego wykryło talenta dotąd nieznane lub zwróciło na grunt rzeczy narodowych artystów polskich, znanych przedtém tylko zagranicą.

Żeby znów panowie akcyonaryusze widzieli, jakie Towarzystwa inne, dawne i zamożne, rozdają premia swoim członkom, sądzimy, że mieliby powód cieszyć się odbierając ryciny lub litografie, pełne znaczenia

lub wartości artystycznéj. My te premia widujemy nadchodzące do dyrekcyi z kilkunastu towarzystw różnych krajów. Obok pięknych i pod każdym względem zasługujących na uwagę, bywają bardzo liche tak pod względem przedmiotu, jak wykonania. Często jeden przedmiot jest rozdawany koleją przez kilka towarzystw lub poprostu ryciny i litografie, będące już oddawna w handlu, które dyrekcye tamte zakupują i rozsyłają swoim akcyonaryuszom na podarek (Geschenk), bo tak niektóre towarzystwa niemieckie nazywają premium. Towarzystwo wrocławskie nie rozdaje nawet każdego roku premium, ale w jednym roku jest losowanie zakupionych obrazów, w drugim premium. Akcye niektórych towarzystw, berlińskiego lub w Halberstadt, kosztują pięć i dziesięć talarów. Zdawałoby się więc, że towarzystwa te dają najwspanialsze premia; gdzie tam, bardzo zwyczajne bowiem rozdawanie pięknych litografij lub sztychów, nie uważają za główne zadanie swojego istnienia.

Celem i zadaniem towarzystw sztuk pięknych, jest opiekowanie się prawdziwą sztuką, a zatém zakupno jak największej liczby dzieł sztuki, co się głównie odnosi do obrazów olejnych i utworów dłuta. Dyrekcya naszego Towarzystwa zadanie to pojmuje i stara się godnie mu odpowiedzieć. Summy, jakie co rok przeznacza na zakupno obrazów, są aż nadto wymownym argumentem, nie potrzebującym innych dowodów. Obrazy te idą pomiędzy akcyonaryuszów; każdy bez wątpienia wygrać nie może, ale wielu wygrywa i bardzo piękne i kosztowne dzieła. Dając więc premia co rok, obrazy przez losy, wolny wstęp każdemu na wystawy. Towarzystwo, nie będące prostą spekulacyą, więcéj korzyści swym członkom dać nie może. Im zaś premium będzie wspanialsze, tém będzie droższe: zyskają sztycharz, drukarz i papiernik, ale o ile mniéj będzie zakupionych obrazów, o tyle się odbieży od głównego celu.

Wiadomo oddawna, że sztuki piękne potrzebują protektorów. Protektorami dawniéj byli monarchowie, książęta, wielcy panowie. Dzisiaj ich wszędzie mało, a u nas nie masz wcale. Dawnych pojedyńczych potężnych protektorów, zastępują teraz towarzystwa, siły zbiorowe. Dla duszy szlachetnej, dla umysłu wzniosłego, miło jest przyczynić się małą swą sumką do otrzymania wielkich rezultatów. Krzywdzilibyśmy kraj nasz, gdybyśmy wątpili, że uczucia te nie ożywiają ogółu jego obywateli. Dlatego nie lękamy się wcale o pomyślność Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych. Członkom jego będzie przyjemnie otrzymywać piękne premium, na przedmiotach których na przyszłość nie zabraknie; ale przyjemniejszą nie wątpimy będzie myśl, że udziałem swym przyczyniają się do rozkwitnięcia sztuk nadobnych, które we wszystkich czasach i krajach cechowały społeczności wysoce ucywilizowane".

---

† Dnia 15 stycznia r. b. umarł po krótkiej chorobie Antoni Cyprysiński, współredaktor Biblioteki Warszawskiéj. Redakcya cała zebrana w komplecie, chcąc uczcić zasługi zgasłego współpracownika, na własnych ramionach przeniosła jego zwłoki na karawan. W jednym z następnych zeszytów podamy obszerniejszy życiorys zgasłego męża.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować. — Warszawa, d. 18 (30) Stycznia 1860 r.—Cenzor, Radca Kolleg. [illegible]

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Grudzień, 1859.

Grudzień 1859. Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13 5", długość w czasie 1ʰ 14ᵐ 45ˢ,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	śred. dzienna	6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	deszczu	śniegu
1		731.10	729.96	729.94	736.33	+ 0°.4	+ 1°.2	+ 1°.2	— 0°.9	94.5	poch. śnieg	deszcz	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdZ.	PnZ.	5.4	3.2
2	☽.	743.82	745.84	748.92	751.15	— 2.5	— 1.9	— 3.9	— 6.3	95.3	poch. mgła	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	PnW.	PnW.		
3		752.52	753.77	754.18	754.53	— 7.8	— 6.8	— 6.5	— 5.9	97.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	PnW.	W.	PnW.	W.		
4		753.75	754.19	753.97	754.80	— 5.6	— 5.0	— 4.2	— 5.1	94.5	pochmurny	śnieg	pochmurny	lek. pochm.	W.	W	PdW.	PdW.		
5		755.77	756.53	756.54	756.64	— 6.3	— 5.0	— 3.9	— 3.4		napół pog.	lek. mgła	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		
6		756.77	757.25	757.97	759.51	— 3.7	— 3.4	+ 0.9	— 3.3	95.7	pochmurny	napół pog.	pochmurny	napół pog.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
7		760.57	761.05	761.58	762.98	— 5.9	— 6.1	— 3.1	— 6.9	93.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
8		764.90	766.15	766.30	767.70	— 10.3	— 5.8	— 3.4	— 4.0	100.0	pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	W.	W.		
9		768.39	768.86	769.46	770.35	— 5.0	— 4.0	— 4.2	— 7.1		poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pn.	Pn.	PnW.	Pn.		
10	☾.	770.70	771.32	770.20	770.23	— 10.5	— 9.5	— 6.3	— 10.5		pogodny	pogodny	pogodny	pr. pogodny	Pn.	PnW.	Pn.	PnW.		
11		768.15	767.54	765.00	763.05	— 13.0	— 10.2	— 6.9	— 7.8		pr. pogodny	napół pog.	napół pog.	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	Pd.		
12		761.20	761.05	758.39	756.44	— 6.7	— 6.2	— 5.3	— 4.8		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
13		753.36	752.98	751.63	753.87	— 6.5	— 4.4	— 3.4	— 2.4		pochmurny	pochmurny	mgła	poch. mgła	Pd.	PdZ.	Z	PdZ.		
14		748.48	747.79	744.60	743.35	— 2.9	— 2.5	— 3.1	— 5.9		poch. śnieg	śnieg	poch. śnieg	poch. śnieg	PdW.	PdW.	Pn.	PnW.		4 4
15		742.47	742.74	742.83	743.48	— 6.5	— 6.0	— 6.8	— 7.1		poch. śnieg	śnieg	pochmurny	pochmurny	W.	W.	Pn.	PnZ.		4.0
16	☽.	744.31	745.32	745.11	744.85	— 9.7	— 7.1	— 8.4	— 8.9		poch. mgła	pochmurny	napół pog.	śnieg	Z	Pn.	Pn.	Pn.		4.4
17		742.64	743.01	743.16	745.03	— 7.4	— 6.8	— 6.4	— 7.2		poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnZ.		2.2
18		746.12	747.18	747.92	748.01	— 8.0	— 6.3	— 7.3	— 15.3		poch. śnieg	śnieg	pochmurny	pogodny	Z.	PdZ.	PdZ.	PdW.		6.4
19		744 26	744.98	746.04	746.42	— 5.6	— 3.7	— 7.9	— 9.7		poch. śnieg	śnieg	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	Z.	Z.		8.0
20		741.96	739.47	739.24	743.78	— 9 2	— 7.5	— 6.4	— 6.4		śnieg	śnieg	pochmurny	poch. śnieg	Pn.	Pn.	PnZ.	PnZ.		
21		748.26	749.80	751.41	750.72	— 6.1	— 4.4	— 9.9	— 14.7		śnieg	poch. śnieg	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Pd.		7.6
22		745.29	745.10	744.71	745.09	— 9.6	— 4.9	— 2.7	— 2.4		śnieg	pochmurny	pochmurny	deszcz	Pd.	Pd	Pd.	PdW.		4.2
23		746.18	747.50	746.84	745.41	— 2.9	— 0.2	— 0.4	— 4.4	94.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pd.	Pd.	Pd W.	PdW.		
24	☿.	743.18	744.55	745.77	746.12	— 5.9	— 1.5	— 0.5	— 4.3	97.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	Pd.	PdW.		
25		754.79	745.85	743.11	741.67	— 8.6	— 6.3	— 0.2	— 2.6		pogodny	pogogny	pochmurny	pogodny	PdW.	Pd.	Pd.	PdW.		
26		739.98	740.03	738.49	738.62	— 1.3	+ 0.6	+ 1.7	+ 0.8	93.3	pogodny	pr. pogodny	lek. zamgl.	pogodny	Pd.	PdW.	PdW.	PdW.		
27		737.78	738.79	739.18	740.07	+ 1.9	+ 2.7	+ 1.9	+ 0.0	87.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
28		741.27	742.43	742.30	742.55	— 0.2	+ 0.6	+ 0.7	+ 0.4	100.0	poch.mg. d.	mgła d. ze ś.	mgła	śnieg	PdW.	Z.	PnZ.	PnZ.	12.8	
29		744 68	746.96	748.06	748.88	— 0 3	+ 0.5	+ 0.0	— 2.7	100.0	poch. śnieg	lek. mgła	pr. pogodny	poch. mgła	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		7.2
30		746.44	745 40	743 21	743.93	— 2.5	— 2.3	+ 0.2	+ 1.0	98.7	pochmurny	pochmurny	śnieg	deszcz	Pd.	Pd.	Pd.	PdZ.	4.8	
31		746.38	745.61	744.37	475.47	+ 1 7	+ 2.5	+ 2.6	+ 1.7		poch. dész.	pochmurny	dészcz	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.	9 6	
Śre.		749.563	749.968	749.691	750.255	— 5°.37	— 3°.86	— 3°.35	— 5°.04	95.2									32.6	51.6

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.869	27	8.415
Najwyżej barometr dochodził d. 10 o g. 10 r.	771.32	28	5.923
Najniżej — — d. 1 o g. 4 w.	729.94	26	11.580
Średnia zmiana dzienna barometru	3.959		1.755
Największa zmiana dzienna barometru d. 1—2 o g. 4 w.	18.98		8.414
Średnia wysokość barometru jest niższa o	1.805		0.699
od stanu normalnego z 33 lat poprzedzających	751.674	27	9.114
Średnia temperatura grudnia wynosi:	— 4°.41 C.	—	3°.53 R.
i ta jest niższa o	2.05 „		1.64 „
od stanu normalnego z 33 lat poprzedzających	— 2.36 „	—	1.89 „
Największe ciepło było d. 27 o g. 10 r.	+ 2.7 „	+	2.16 „
Największe zimno — d. 18 o g. 10 r.	— 15.3 „	—	12.24 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.643 „		2.114 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 21—22 o g. 10 w.	12.3 „		9.84 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 3°.6 R. d. 26 po poł.
Minimum: — 13°.2 „ w nocy z d. 21 na 22.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 95.8, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 3.95 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest przeszło o 0.01 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 32.6 mil. czyli 14.45 lin. par.; z śniegu 51.6 czyli 22.87 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 84.2 mil. czyli 37.32 lin. par.; ilość ta wody jest o 21,85 lin. par. większa od tej, jaka średnio u nas w grudniu spada.

Dni pogodnych było 3, napół pogodnych 3, pochmurnych 25.
Dni deszczu 6 (d. 1, 22, 27, 28, 30, 31).
— śniegu 18 (d. 1, 2, 3, 4, 9, 12, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 28, 29, 30).
— mgły 8 (d. 2, 5, 12, 13, 16, 28, 29, 30).
Wichrów było 1 (PnZ.).
Wiatrów mocnych 4 (2 PnW., 1 PnZ., 1 PdZ).

Wiatr panujący Południowo-Wschodni, częste były także Południowe. Grudzień był mroźny, niepogodny, śnieżny, o $1^1/_2$ stop R. zimniejszy niż zwykle. Wyjąwszy dzień pierwszy i sześć ostatnie, przez cały miesiąc termometr utrzymywał się niżej zera. Najcieplejsze dni były: d. 1, 26, 27, 28, 31; najzimniejsze d. 10, 11, 16, 18, 20, 21. Barometr osobliwie w drugiej połowie miesiąca stał nizko; przeciwnie w siedmiu dniach od d. 5 do 12 wysoko; w dniu 10 o godz. 10 rano doszedł do wysokości 28 cali 5.92 lin. par. tylko o 1.79 lin. par. mniej od najwyższego stanu (28 cali 7.709 lin. par.) jaki był d. 6 grudnia 1829 r.; zmiany barometru były znaczne. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniej pogodny niż zwykle; w stanie bowiem normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 3,4:5,0:22,6; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 3:3:25. Śniegi padały często i obilicie; ilość wody z deszczu i śniegu wynosi co do wysokości 37,32 lin. par. to jest dwa razy więcej niż zwykle. Wiatry które zwykle w grudniu panują zachodnie, w r. b. były wschodnie i południowe. Natężenie elektryczności średnie miesięczne jest 20°.8; największe natężenie dochodziło 50 stopni d. 5 z rana przy mglistém powietrzu; najmniejsze 0 stopni d. 31 przy wilgotném powietrzu.

D. 6, 7, 11, 25, 26 pokazywały się plamy na słońcu.
Największa wysokość wody na Wiśle dochodziła stóp 4 cali 9 d. 22, 23, 24.
Najmniejsza — — — stóp 2 cali 8 d. 1.

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegrafem elektrycznym do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém co dzień o 8 godz. rano.

Wypadki średnie dostrzeżeń meteorologicznych w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem w roku 1859 robionych.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza; jego szerokość geograficzna 52° 13′5″, długość w czasie 11ᵍ 14ᵐ 45ˢ.7, czyli w łuku 18° 41′25.″5 na wschód względem południka paryzkiego.

ROK 1859	WYSOKOŚĆ BAROMETRU W MILIMETRACH SPROWADZONA DO TEMPERATURY 0°							TEMPERATURA PODŁUG TERMOMETRU STUSTOPNIOWEGO							PSYCHROMETR Wilgotność powietrza średnia miesięcz. biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną.					STAN NIEBA.									Ilość wody spadłej w milimetrach z		KIERUNEK WIATRU							STAN WODY na Wiśle pod Warszawą			
MIESIĄCE	ŚREDNIA					Najwyższa	Najniższa	ŚREDNIA					Najwyższa	Najniższa	ŚREDNIA					Dni pogodnych	Dni mało pogodnych	Pochmurnych	Dżdżem	Śniegu	Gradu	Mgły	Grzmotów	Błyskawic bez grzmotów	Wichrów i wirów mocnych			Północny	Północno-Wschodni	Wschodni	Południowo-Wschodni	Południowy	Południowo-Zachodni	Zachodni	Północno-Zachodni	Najwyższy		Najniższy	
	6 godz. rano	10 godz. rano	4 go. wieczór	10 go. wieczór	miesięczna			6 godzina rano	10 godzina rano	4 godz. wieczór	10 godz. wieczór	miesięczna			6 g. r.	10 g. r.	4 g. w.	10 g. w.	miesięcz.																			stóp.	cali.	stóp.	cali.
Styczeń	754.545	754.955	754.305	754.641	754.612	768.29 d. 9	736.21 d. 12	— 1°.90	— 1°.19	— 0°.17	— 1°.30	— 1°.14	+ 6.12 d. 31	— 14.12 d. 9	96.1	94.1	92.7	94.3	94.8	2	6	23	10	9	1	6	—	—	27	40.4	30.2	6	1	—	6	21	19	52	11	6	10	 27	4	0	9, 10, 11, 12
Luty	748.563	748.622	748.583	749.643	748.853	761.61 d. 21	735.58 d. 18	— 0.15	+ 1.21	+ 2.17	+ 0.07	+ 0.83	+ 7.75 d. 17	— 8.50 d. 21	98.2	94.2	89.8	95.2	94.4	1	3	24	13	10	1	2	—	—	13	54.6	22.0	3	—	3	27	15	18	33	12	6	8	 24	4	2	..... 5, 6, 7, 8
Marzec	747.464	747.669	746 979	747.542	747.414	758.84 d. 20	733.31 d. 31	+ 1.35	+ 4.45	+ 6.45	+ 2.69	+ 3.74	+ 16.25 d. 30	— 7.50 d. 26	91.9	78.5	69.9	88.6	82.2	5	10	16	12	8	1	2	—	—	24	36.8	13.4	6	1	3	18	21	13	41	29	12	6	 11	4	8	 31
Kwiecień	744.708	745.135	744.653	744.878	744.843	759.98 d. 6	729.73 d. 14	+ 4.28	+ 8.11	+ 10.45	+ 6.08	+ 7.23	+ 26.50 d. 22	— 2.50 d. 2	90.9	76.0	62.2	83.1	78.0	1	7	22	12	6	3	5	—	—	5	28.3	21.1	11	5	2	19	12	22	29	18	6	7	 11	3	9	..... 26, 27
Maj	749.569	749.701	748.993	749.528	749.445	758.65 d. 8	736.12 d. 5	+ 10.77	+ 15.53	+ 18.42	+ 12.76	+ 14.37	+ 30.25 d. 31	+ 0.75 d. 4	81.8	60.3	50.3	72.7	66.3	9	5	17	13	1	2	—	6	—	7	65.1	—	14	14	29	25	11	7	7	19	6	8	 28	3	5	 26
Czerwiec	748.423	748.630	747.691	748.166	748.227	759.32 d. 27	742 16 d. 21	+ 15.22	+ 19.72	+ 21.83	+ 16.09	+ 18.21	+ 30.47 d. 1	+ 6.88 d. 6	79.0	55.8	48.5	73.1	64.1	9	9	12	11	—	—	—	7	3	1	48.5	—	18	23	2	13	8	10	16	16	9	6	 30	2	8	 17
Lipiec	751.766	751.798	750.888	751.562	751.506	757.98 d. 12	744.14 d. 23	+ 16.82	+ 22.07	+ 25.41	+ 18.27	+ 20.64	+ 35.50 d. 23	+ 10.00 d. 9	78.3	54.7	42.7	69.8	61.4	10	13	8	8	—	—	1	2	2	4	29.2	—	12	5	6	4	8	12	39	36	9	5	 1	1	11	 30
Sierpień	751.281	751.589	750.600	750.854	751.081	755.94 d. 13	743.23 d. 31	+ 15.86	+ 22.40	+ 25.17	+ 18.66	+ 20.52	+ 34.87 d. 9	+ 11.0 d. 16.24	82.1	58.4	49.2	72.2	65.8	14	10	7	10	—	1	4	6	4	1	86.0	—	12	11	8	30	23	13	12	13	3	11	 24	1	10	 10
Wrzesień	749.717	750.122	749.849	750.346	750.009	758.20 d. 26	737.14 d. 18	+ 8.61	+ 13.04	+ 15.30	+ 10.86	+ 11.95	+ 22.25 d. 4, 27	+ 1.12 d. 22	93.8	80.1	67.8	87.4	82.3	5	8	17	14	—	—	12	1	—	—	66.4	—	5	14	7	15	13	13	39	13	4	7	 29	2	1	 7
Październik	747.733	748.144	747.993	748.075	747.986	758.75 d. 5	730.20 d. 22	+ 6.44	+ 9.35	+ 10.64	+ 7.76	+ 8.55	+ 19.62 d. 2	— 0.25 d. 29	96.2	83.0	75.6	89.6	86.1	2	7	22	16	—	—	7	—	—	4	86.8	—	10	9	13	23	15	14	29	9	8	6	..30, 31	2	2	..... 18, 19
Listopad	754.333	754.778	754.361	754.685	754.539	769.89 d. 11	727.52 d. 1	+ 0.57	+ 2.38	+ 3.53	+ 1.84	+ 2.08	+ 14.37 d. 7	— 6.88 d. 20	93.8	84.9	81.6	89.2	87.4	6	6	18	7	3	2	3	—	—	13	21.2	—	3	4	6	29	22	24	24	6	7	4	 5	2	5	 24
Grudzień	749.563	749.968	749.691	750.255	749.869	771.32 d. 10	729.94 d. 1	— 5.37	— 3.86	— 3.35	— 5.04	— 4.41	+ 4.50 d. 26	— 16.50 d. 22	97.1	95.3	93.8	96.6	95.7	3	3	25	6	18	—	8	—	—	5	32.6	51.6	12	14	8	33	25	12	11	8	4	9	22, 23, 24	2	8	 1
Średnia roczna...	749.805	750.093	749.549	750.015	749.865	771.32 d. 10 Grudnia	727.52 d. 1 Listopada	+ 6°.04	+ 9°.43	+ 11°.32	+ 7°.39	+ 8°.55	+ 35°.50 d. 23 Lipca	— 16°.50 d. 22 Grudnia	89.9	76.3	68.7	84.3	79.9	67	87	211	132	55	11	50	22	9	104	595.9	138.3	112	101	87	242	194	177	332	172	12	6	..... 11 Marca	1	10	..... 10 Sierpnia

	milimetr.	c.	l.
Średnia wysokość barometru roczna.....	749.865 =	27	8.413
Najwyżej barometr dochodził d. 10 Grudnia	771.32 =	28	5.923
Najniżej..... d. 1 Listopada	727.52 =	26	10.507
Zmiana roczna barometru.....	43.80 =	1	7.416
Średnia zmiana miesięczna barometru...	3.032 =		1.344
Średnia zmiana dzienna barometru.....	3.746 =		1.650
Największa zmiana dzienna barometru d. 7 i 8 Stycznia o godz. 10 wieczór	20 92 =		9.274
Średnia wysokość barometru jest niższa o.....	0.144 =		0.063
od stanu normalnego z 33 lat poprzedzających	750.009 =	27	8 476

Wysokość średnia barometru w miesiącach: Styczniu, Maju, Lipcu, Sierpniu, Listopadzie była wyższa; przeciwnie w Lutym, Marcu, Kwietniu, Czerwcu, Wrześniu, Październiku, Grudniu niższa od normalnej.

Średnia temperatura roczna wynosi...	+ 8°.55 C. =	+ 6°.84	R.
i ta jest wyższa o.....	1.26 „ =	1.01	„
od stanu normalnego z 33 lat poprzedzających.....	+ 7.29 „ =	5.83	„
Największe ciepło dochodziło d. 23 lipca	+ 35.5 „ =	28 4	„
Największe zimno było d. 22 Grudnia.	— 16.5 „ =	— 13.2	„
Zmiana roczna temperatury.....	52.0 „ =	41 6	„
Średnia zmiana miesięcz. temperatury.	4.290 „ =	3.432	„
Średnia zmiana dzienna temperatury.	2.479 „ =	1.983	„
Największa zmiana dzienna temperatury d. 22 i 23 Kwietnia o g. 4 wieczór	15.7 „ =	12.56	„

Uważając miesiące: Grudzień (1858 r.), Styczeń, Luty r. b. za miesiące zimowe; Marzec, Kwiecień, Maj za wiosenne; Czerwiec, Lipiec, Sierpień za letnie; Wrzesień, Październik, Listopad za jesienne; wypada:

temperatura zimy.... — 0°.98 R. i ta jest wyższa o 1°.97 R.
„ wiosny.. + 6.78 „ wyższa o 1.15 „
„ lata..... + 15.83 „ wyższa o 1.31 „
„ jesieni... + 6.02 „ niższa o 0.17 „
od temperatury tychże pór w stanie normalnym.

Miesiące: Styczeń, Luty, Marzec, Kwiecień, Maj, Czerwiec, Lipiec, Sierpień, Październik, Listopad były cieplejsze; natomiast Wrzesień i Grudzień chłodniejsze niż zwykle.

Średnia wilgotność powietrza roczna jest 79.9; biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 7.16 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Wilgotność ta jest blisko o 0.02 mniejsza od normalnej.

Miesiące: Styczeń, Marzec, Maj, Czerwiec, Lipiec, Sierpień, Listopad były suchsze; przeciwnie: Luty, Kwiecień, Wrzesień, Październik, Grudzień były wilgotniejsze niż zwykle.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi:
co do wysokości 595.9 mil. czyli 22 cale 0 16 lin. par.
z śniegu..... 138.3 mil. czyli 5 cali 1 31 lin. par.

Razem z deszczu i śniegu 734.2 mil. czyli 27 cali 1.47 lin. par. tojest o 103.8 millimetrów czyli 3 cale 10.01 lin. par. więcej od ilości wody (630.4 mill. czyli 23 cale 3.46 lin. par.) jaka zwykle w roku u nas spada.

W miesiącach: Styczniu, Lutym, Marcu, Kwietniu, Sierpniu, Wrześniu, Październiku, Grudniu wody spadło więcej; natomiast w Maju, Czerwcu, Lipcu, Listopadzie mniej niż zwykle.

W całym roku było: dni pogodnych 67; napół pogodnych 87; pochmurnych 211; dni dżdżu 132; śniegu 55; gradu 11; mgły 50; grzmotów 22; błyskawic bez grzmotów 9; wichrów i wiatrów mocnych 104; wiatr panujący Zachodni; częste były także Południowo-Wschodnie.

Jeżeli rok uważać będziemy jako całość podzieloną na 100 równych części, i w tych częściach wyrazimy liczbę dni pogodnych, napół pogodnych i pochmurnych, wypada w średniem przecięciu z 33 lat poprzedzających (1826 — 1859) stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jak 16.9 : 31 9 : 51.2. W r. b. stosunek tychże dni wypada 18.4 : 23 8 : 57.8; co pokazuje iż r. b. był mniej pogodny niż zwykle.

Miesiące najpogodniejsze były: Czerwiec, Lipiec, Sierpień; niepogodne: Luty, Kwiecień, Wrzesień.

W ogóle rok bieżący należy do lat suchych i ciepłych.

Zima była z początku łagodna, mglista, niepogodna, zarówno w deszcz jak i śnieg obfita. Środek jej był niepogodny, słotny, w deszcz obfity, znacznie cieplejszy niż zwykle; koniec niepogodny, wilgotny, słotny, ciepły. W ogóle niepogodna, wilgotna, słotna, w deszcz i śnieg obfita, o 1°.97 R. cieplejsza niż zwykle. Lubo śniegu w tegorocznej zimie spadła dość znaczna ilość, jednakże ten z powodu podniesionej temperatury, długo na powierzchni ziemi nie pozostawał. Pod względem stanu nieba, szczególniej odznaczały się dni: 10, 11 i 12 stycznia r. b.; w dniach bowiem tych przy wichrze zachodnim bez przerwy panującym, deszcz, śnieg, grad naprzemian padały; w ogóle były takie zmiany, jakie u nas trafiają się w początku wiosny, podczas porównania dnia z nocą; w niektórych nawet miejscach Królestwa, jak w Lublinie, Zamościu, Władysławowie, Sanoku, w dniach tych pioruny uderzały. Chociaż zima tegoroczna była blizko o 2 stóp. R. cieplejsza niż zwykle, w perjodzie jednak 33 lat poprzedzających były cieplejsze, a mianowicie w latach: $18^{33}/_{34}$, $18^{34}/_{35}$, $18^{42}/_{43}$, $18^{51}/_{52}$, $18^{52}/_{53}$.

Wiosna. Z początku była pogodna, sucha, wietrzna, znacznie cieplejsza niż zwykle. Środek jej był niepogodny, wilgotny, pod względem temperatury zmienny, chociaż bardzo zbliżony do średniej normalnej; koniec mniej pogodny niż zwykle, ciepły szczególniej w dniach ostatnich. W ogóle niepogodna, w deszcz obfita, o 1°.15 stop. R. cieplejsza niż zwykle.

Lato było pogodne, suche, w deszcz nie obfite i całe gorące, o 1°.31 R. cieplejsze niż zwykle. Niektóre dni, jak: 19, 23 Lipca, 9 Sierpnia, były bardzo gorące, średnia ich temperatura przenosiła 20 stop. R. Największe ciepło w tej porze dochodziło 28°.4 stop. R. d. 23 lipca i było niższe tylko o 0,08 stop. R. od najwyższego jakie dochodziło d. 2 Sierp.ia 1834 roku. Pomimo znacznych upałów, jakie szczególniej w środku lata panowały, natężenie siły elektryczności powietrznej było bardzo słabe; grzmoty i pioruny, które w środku lata bywają tak silne i częste; r. b. były rzadkie i słabe.

Jesień. Początek jej, który u nas pospolicie bywa pogodny, suchy, ciepły; w r. b. przeciwnie, był niepogodny, wilgotny, mglisty, słotny i nader chłodny; środek niepogodny, wilgotny, słotny, pod względem temperatury zbliżał się do stanu normalnego. Koniec pogodny, suchy, w deszcz nie obfity, ciepły; w ogóle niepogodna, wilgotna, słotna, w deszcz obfita, o 0,17 chłodniejsza niż zwykle.

Ostatni mróz z wiosny — 0°.2 stop. R. wynoszący, był d. 18 Kwietnia z rana.

Ostatni śnieg z wiosny pruszył w bardzo małej ilości d. 2 Maja.

Pierwszy mróz w jesieni — 0°.2 R. był d. 29 Października.

Pierwszy śnieg w jesieni w bardzo małej ilości spadł d. 11 Listopada.

Dnia 5, 8, 25, 27 Stycznia, d. 7 Marca, d. 4, 16, 18 Maja, d. 22 Czerwca, d. 19, 20, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30 Sierpnia, d. 2, 3, 5, 7, 24, 26, 27 Września, d. 6, 7, 17, 23, 29, 31 Października, d. 3, 4, 5, 10, 11, 12, 14, 16, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 27 Listopada, d. 6, 7, 10, 11, 25, 26 Grudnia pokazywały się liczne i wielkie plamy na słońcu.

Zorza północna świeciła: d. 25 Lutego, d. 22 Kwietnia, d. 28 Sierpnia, d. 3 i 24 Września.

Koło białe otaczało księżyc d. 12 Lutego.

D. 1 Stycznia lody na r. Wiśle pod Warszawą puściły.

Wysokość wody nar. Wiśle najwyż. stop. 12 cali 6 d. 11 Marca.
„ najniż. „ 1 „ 10 d. 10 Sierpn.

Średnie natężenie elektryczności atmosferycznej roczne wynosi 21°.3; największe natężenie 70° było d. 13 Maja o g. $9^1/_2$ rano w czasie bardzo drobnego deszczu; najmniejsze 0° d. 28 Stycznia, d. 2, 4, 6 Lutego, 28 Kwietnia, d. 3 Października, d. 31 grudnia.

KRÓL RYSZARD II

DRAMAT W. SZEKSPIRA.

AKT PIERWSZY.

PRZEKŁAD

J. Korzeniowskiego.

KILKA SŁÓW WSTĘPNYCH.

Wyprosiłem sobie króla Ryszarda II Szekspira u pana Paszkowskiego, który całkowitym przekładem tego największego ze wszystkich poetów dramatycznych literaturze naszéj tak ważną niesie przysługę. Że się wtrącam do téj pracy, i życzyłbym, aby i ten przekład, którego próbkę obecnie daję, wraz z *Królem Janem* dawniéj przezemnie przełożonym, wszedł do całkowitego zbioru, jeżeli kiedy do wydania jego przyjdzie, powód jest następujący:

Jeszcze w roku 1837 ułożyliśmy z ś. p. X. Hołowińskim w Kijowie, że się pracą tą zajmiemy, i co roku wydamy po jednym tomie obejmującym po cztéry dramata, dwa ściśle historyczne, a dwa z tych, gdzie Szekspir legendę jaką, wydobytą z kronik, lub nowellę włoską, genialną fantazyą swoją podniósł i nieśmiertelnemi typami charakterów najrozmaitszych ożywił. Ja wziąłem na siebie piérwsze, ś. p. X. Hołowiński drugie. Tak po-

wstało tłumaczenie moje króla Jana, tak przekłady X. Hołowińskiego, w kilku tomach później wydane. Lecz okoliczności prędko nas rozdzieliły, nie mogliśmy więc blizko siebie pracować i wzajemnie na pracę swą wpływać. Znakomitych zdolności i nauki późniejszy dygnitarz kościoła, wszedłszy na drogę fałszywéj wierności, szukając bez potrzeby jakiejś formy wierszowéj, nie takiéj jaką ma Szekspir, a odpowiedniejszéj do wydania jego energii i zwięzłości, niż nasz wiersz trzynastozgłoskowy, który się tu nie zda wcale, jak mamy tego dowód na przekładzie Makbeta p. Andrzeja Koźmiana, dał nam Szekspira nie takiego, jakim on jest istotnie. Poetę, który przy dziwnéj sile swéj celuje prostotą dykcyi, elegancyą formy i jasnością znajdującą się wszędzie, oprócz tych miejsc, gdzie umyślnie rzuca garściami przesadne metafory, dla odmalowania indywiduum, któremu to jest właściwe, zrobił on jakimciś krętym, chrapowatym i ciemnym. Dlatego praca jego nie znalazła powszechnego uznania, i szczerba ta w naszém piśmiennictwie nie została zapełnioną jak należy.

Przekonany jestem, że gdybyśmy byli dłużéj pracowali razem, ś. p. X. Hołowiński byłby się dał przekonać, że odpowiedniejszej formy do przyswojenia literaturze naszéj tych arcydzieł dramatycznych nie ma jak ta, w jaką je sam Szekspir przyodział, jaką przyjęły dla dramatów wszystkie języki, oprócz francuzkiego i hiszpańskiego, któryto ostatni ma swoją, dawno wyrobioną, właściwszą jego fantazyi i płodom scenicznym, mającym swój oddzielny charakter. Tę to formę próbował wprowadzić i u nas Jan Kochanowski. Nikt jéj po nim nie powtórzył, bo nikt później nie pisał dramatów aż do téj epoki, gdy literatura francuzka olśniła wszystkich i przeważnie formy swe narzuciła. Ja piérwszy ośmieliłem się wiersz ten odnowić, i nie jestem już sam na tém polu. Wprawdzie mam jeszcze wiele bardzo głosów przeciwko sobie, spodziewam się wszelako, że forma ta, przebijając się powoli przez tradycye francuzkie, tak jeszcze u nas mimo wiedzy panujące, ozdobiona wszędzie miarą i rymami tam, gdzie tego potrzeba, zyska wreszcie uznanie i nietylko do przekładów z języków obcych, ale i do naszego

historycznego dramatu, jeżeli się znajdą tacy, co się na te utwory najwyższe w dziedzinie poezyi ośmielą, przyjętą będzie.

Zaraz po wyjściu piérwszego tomu przekładów X. Hołowińskiego postrzegłem, że to nie jest to, czegom się spodziewał i wstrzymałem się z przesłaniem wydawcy mojego kontygensu do wspólnéj publikacyi. Ale przekład króla Jana był gotowy. Nie chcąc go wydawać luźnie, rozszerzyłem piérwszy plan wespół ze ś. p. Alfonsem Walickim, i nieograniczając się samym Szekspirem, postanowiliśmy stopniami wydawać arcydzieła dramatyczne rozmaitych narodów tak starożytności, jak i późniejszych czasów. Tym sposobem wyszedł piérwszy tom tego zbioru, zawierający *Króla Jana* Szekspira i *Edypa króla* Sofoklesa. Wyjazd mój z Charkowa i ta okoliczność, że ś. p. Walicki, znakomity filolog i professor, lecz nie o tyle poeta, aby rzeczy téj zadość uczynił jak należało, i przedsięwzięciu temu nie dały ciągu i powodzenia. Wspominam tu o nim dlatego, że gdy obecnie czyni się zadość piérwszéj mojéj myśli przez przekład p. Paszkowskiego, który daj Boże, aby doprowadził do końca, to druga jest jeszcze do wykonania. Gdyby się znalazł jaki przedsiebierczy księgarz, któryby się tą publikacyą gorliwie zajął, gdyby się na nią złożyli między innemi tacy pisarze, jak Odyniec, Felix Jezierski, Krajewski, Kaszewski, Małecki i korrespondent Gazety Warszawskiéj paryzki p. J. Zam., a do takiego grona chętniebym się i ja, mimo wieku i nadwątlonych sił, przyłączył, uformowałby się zbiór nietylko dla wydawcy korzystny, ale i dla ogółu czytelników tém ponętniejszy i użyteczniejszy, że przy każdym tomie, jakto było w pierwotnym planie naszym, mogłaby być rozprawa lub wyjaśniająca jakąś epokę literatury dramatycznéj, lub dająca krytyczny pogląd na donośność geniuszu lub kierunek poety, który na scenę swojego kraju stanowczo wpłynął.

Tę szkodę, jaką poniosła literatura przez to, że się ś. p. X. Hołowińskiemu nie udało na téj drodze, na któréj tyle sił bez skutku zmarnował, nagradza nam, jakto powiedziałem i jakto już uznał ogół czytelników, praca p. Paszkowskiego. Jest ona sumienna, oparta na grunto-

wnéj znajomości oryginału i zbadaniu jego ducha, okazuje wprawę i możność w użyciu własnéj mowy, a przez zachowanie formy zewnętrznéj jego własnéj, t. j. w dyalogach poważniejszych wiersza nierymowanego, w miejscach liryczniejszych rymów, w gminniejszych prozy, dowodzi téj trafności, w skutek któréj mamy teraz Szekspira prawie wszędzie takiego, jakim on jest istotnie. Wszakże nie bez przyczyny powiedziałem *prawie*, bo mam p. Paszkowskiemu dwie rzeczy do zarzucenia, co tém śmieléj czynię, że wié o tém jak go cenię, żem już to wypowiedział wyżéj, i że te dwie niedostateczności, o których mam mówić, są takie, że jak przyjdzie do całkowitego wydania całéj pracy i ostatecznego jéj przejrzenia, obie, przy dobréj woli, łatwo się usunąć dadzą. *Pierwszą* jest brak niekiedy śmiałości w użyciu lub takiéj saméj metafory, jakiéj użył Szekspir, lub odpowiedniéj, przez co poetyczność wyrażenia cokolwiek słabieje. *Drugą* częstszą, ale za to do usunięcia łatwiejszą, jest w wielu miejscach brak miary, zwłaszcza w drugiéj połowie wiersza, jużto przez użycie dwóch trzechzgłoskowych wyrazów, już przez postawienie jednozgłoskowych, a mianowicie przysłówków i przyimków, tak, że na nie przypada akcent. I jedno i drugie przy głośném czytaniu razi ucho, jeżeli się akcent zachowa tak, jak miara każe; psuje znowu tę miarę i niweczy spadek rytmiczny wiersza, jeżeli się akcent właściwy zachowuje, i zamienia wiersz na prosty, sylabowy, jedénastozgłoskowy, który bez ozdoby rymów jest tylko zwyczajną prozą. Wszyscy ci pisarze, którzy dotąd do prac swych téj formy używali, nawet tacy, jak Kraszewski w swych poematach litewskich, jak Małecki w swym energicznym Liście żelaznym, jak i pan Paszkowski w swym przekładzie Szekspira, nie wszędzie na to zwracali uwagę, i dlatego forma ta tak powoli nabiera u nas praw, jakie jéj z natury rzeczy służą.

Te dwie okoliczności mam zaraz sposobność wyjaśnić na jednem miejscu wybornego monologu, od którego się Ryszard III zaczyna. Po silnych i bez zarzutu dziesięciu wierszach, p. Paszkowski mówi:

Wojownik chmurne rozpogodził czoło.
I zsiadłszy z stalą *krytego* rumaka.

Ktorym przerażał strasznych nieprzyjaciół,
Podryga teraz *po* dworskich komnatach
W lubieżnych skokach przy odgłosie lutni.

Tu przez użycie wyrazu *wojownik*, zamiast *wojna*, słabieje poetyczne wyrażenie i znika figura; postawienie zaś przy sobie wyrazów, o jakich mówiłem, bez względu na rytm i spadek jambowy, sprawia to, że wyraz *krytego*, brzmi *krytego*, że przyimek *po* ma akcent, a w wyrazie *dworskich*, *o* jest bez akcentu, i oba razem słowa brzmią *po dworskich*. Cóż łatwiejszego, jak miejsce to zmienić tak, jak jest w oryginale:

A groźna wojna swe rozmarszcza czoło,
I zsiadłszy z konia okrytego stalą,
Nie strasząc piersi wrogów zagniewanych,
Skacze w komnatach dworskich, i lubieżnie
Wdzięczy się damom według taktu lutni.

Nie mamy wprawdzie prostego jambu, ale mamy złożony, i ten zachować należy, bo podnosi dykcyą i najwłaściwszy jest do poważnego dramatycznego dyalogu, a tam gdzie potrzeba, ozdobiony rymem robi go tém wybitniejszym, i nie morduje tak i nie usypia, jak ciągłe rymowanie. To utrzymuję i utrzymywać będę, choćby kto twierdził, że wiersz taki jestto tylko *naleciałość* do naszego języka; choćby mnie kto posądził, że sam nie umiém rymować i bronię rzeczy łatwiejszéj i niepotrzebnéj, na którą odważyłem się piérwszy, a zatém mówię *pro domo sua*. Tyle miałem tu do powiedzenia. Obecnie daję Bibliotece tylko akt I Ryszarda II, dla téj przyczyny, że akt ten stanowi niejako prolog do téj sztuki, jednéj z najpiękniejszych Szekspira. Jest on osobną całością, a ma w sobie tyle siły i energii, tak dobrze maluje owych żelaznych ludzi, nie ujętych w swych gniewach, wysokich w swéj rycerskiéj szlachetności, że nigdzie może lepiéj nie odbija się ów wiek i te obyczaje, razem tak dzikie i tak poetyczne. Czym w przekładzie tym uniknął tych niedostateczności, o których wyżéj mówiłem, a mianowicie piérwszéj, bo drugiéj łatwo mi się ustrzedz jak i każdemu, co ma cokolwiek ucha, nie moja rzecz sądzić! Zrobiłem co mogłem. A.

OSOBY.

Król RYSZARD II.
EDMUND LANGLEJ książę YORK } stryjowie króla.
JAN GAUNT książę LANKASTER }
HENRYK BOLINBROK książę HERFORD, syn Jana Gaunt.
Książę AUMERLE, syn księcia York.
TOMASZ MOWBREJ książę NORFOLK.
Książę SURREJ.
Hrabia SALISBURY.
Hrabia BERKLEJ.
BUSHY (Buszy), BAGOT, GREEN, kreatury króla.
Hrabia NORTHUMBERLAND.
HENRYK PERSY jego syn.
Lord ROSS.
Lord WILLOUGHBY.
Lord FITZWATER.
Biskup CARLISLE.
Opat Westminsteru.
Lord W. Marszałek i inni lordowie.
Sir PIERRE EXTON.
Sir STEFAN SEROOP.
Kapitan oddziału Walizów.
Królowa, żona Ryszarda II.
Księżna GLOSTER.
Księżna YORK.
Panna królowéj.
Panowie, heroldowie, urzędnicy, dwóch ogrodników, strażnik więzienia, posłaniec, parobek stajenny i inna służba.

Scena w różnych miejscach Anglii i Walii.

AKT I.

SCENA PIÉRWSZA.

Londyn. Pokój w pałacu.

Wchodzi król RYSZARD *z orszakiem,* JAN GAUNT *i inni panowie.*

KRÓL RYSZARD.

Janie Gaunt! zacny lordzie Lankasteru!
Wezwałżeś, jak ci dług przysięgi kazał,

Henryka Herford, syna swego, aby
Usprawiedliwił śmiałe oskarżenie
Przeciw książęciu Norfolk, Tomaszowi
Mowbrej, a które mamy czas wysłuchać?

GAUNT.

Mój syn jest gotów, Najjaśniejszy Panie!

KRÓL RYSZARD.

Powiédz mi jeszcze, zbadałżeś go dobrze,
Czy on oskarża księcia Norfolk w skutek
Staréj swéj nienawiści, czy téż tylko
Jako poddany wierny i przychylny,
Na dobrze znanéj zdradzie się opiera?

GAUNT.

Ilem mógł bliżéj rzecz tę zbadać, królu,
Powodem jego jest niebezpieczeństwo,
Które ci grozi, a nie złość lub zawiść.

KRÓL RYSZARD.

Więc ich zawołaj przed oblicze nasze.
Niech tu naocznie staną przeciw sobie,
A oskarżyciel, jak i oskarżony,
Niech mówi śmiało.

(*Niektórzy z orszaku wychodzą*).

Znam ich dobrze obu.
Jeden i drugi, gdy go gniew rozgrzeje,
Głuchy jak morze, jak płomień szaleje.

(*Służba wraca, a za nią Bolinbrok i Norfolk*).

BOLINBROK.

Wiele lat błogich niech przeżyje jeszcze
Pan nasz potężny i mój król łaskawy!

NORFOLK.

Dzień po dniu niech ci nowe szczęście daje;
Aż póki niebo, zazdroszczące ziemi,
Nie przyda nowych praw do twéj korony.

KRÓL RYSZARD.

Dzięki wam obu: jednak z was tu jeden
Pochlebcą tylko będzie, jak z téj sprawy
Widzę, bo jeden z was jest zdrajcą. Mówcie!
Bracie Herfordzie! powiédz, co zarzucasz
Książęciu Norfolk, Tomaszowi Mowbrej?

BOLINBROK.

Najprzód, niech niebo świadczy mojéj mowie.
Czystą miłością poddanego tchnący,

Dbały o twoje bezpieczeństwo, królu!
Wolny od gniewu, obcy nienawiści,
Jak oskarżyciel staję przed twym tronem.
Teraz Tomaszu Mowbrej rzecz do ciebie
Zwracam, i uważ, jakiém cię tu słowem
Pozdrowię; bo co powiem, to na ziemi
Stwierdzi me ciało, a tam, w niebie, dusza.
Ty jesteś zdrajcą podłym i nikczemnym.
Zanadtoś zacny, byś nim był, zanadto
Nie godny życia, abyś mógł żyć dłużéj.
Bo im jaśniejsze niebios są lazury,
Tém mocniéj widać na nich brudne chmury.
Raz jeszcze zatém, by ci przydać nową
Hańbę, w twarz rzucam ci to zdrajcy słowo.
I jeśli z wolą króla się to zgodzi,
Co język wyrzekł, niechaj miecz dowodzi.

NORFOLK.

Niech chłodne słowa me nie czynią ujmy
Méj gorliwości. Spór nasz nie jest wojną
Kobiét, ażeby krzyk dwóch rozzłoszczonych
Języków mógł go między nami skończyć.
Krew jest gorąca: tu niech będzie zimną.
Przecież tak owczéj nie mam cierpliwości,
Abym zniósł wszystko i nie odpowiedział.
A choć cześć trwożna przed twym majestatem
Nie każe cuglów méj popuszczać mowie,
Coby w gwałtownym pędzie słowo zdrajcy
Mogła podwójnie wepchnąć mu do gardła;
Na stronę jednak kładnąc krwi wysokość,
I to, że krewnym jest mojego króla,
Ja go wyzywam i na niego pluję,
Zwę go potwarcą i nikczemnym tchórzem;
Co, by utrzymać, stawić będę pole
Wszędzie, choć musiałbym go ścigać pieszo
Aż do zamarzłych szczytów Alp wysokich,
Albo do każdéj dzikiéj, pustéj ziemi,
Gdzie tylko Anglik stanąć się odważył.
Teraz niech słów tych broni moje ramie,
Bo klnę się Bogiem, że co rzekł, to kłamie.

BOLINBROK.

Na, drżący tchórzu! rzucam tu mój zakład,
I pokrewieństwa króla się wyrzekam;
Nie zważam na mą krew książęcą, którą
Nie cześć, lecz bojaźń każe ci szanować.
Jeśli ta trwoga, jaką daje zbrodnia,
Tyle ci jeszcze siły zostawiła,

Schyl się i zdejm go, jeśli go udźwigniesz.
Wszelkim sposobem, jaki nam obyczaj
Rycerski wskazał, gotów jestem bronią
Przeciw twéj broni utrzymywać w boju,
Com tu powiedział i co sobie dodasz,
Sam jeszcze w myśli, na swą własną krzywdę.

NORFOLK.

Zakład zdejmuję i na ten miecz, którym
Obrząd rycerski dotknął mi ramienia,
Przysięgam, że ci według obyczaju,
Dostoję w każdéj próbie, jako rycerz.
I obym z konia mego nie zsiadł żywy,
Jeśli głos skargi twojéj nie kłamliwy.

KRÓL RYSZARD.

Cóż Mowbrejowi masz do zarzucenia?
Ważne to pewnie, gdy wiadomość sama,
Téj jego złości ma nas ubezpieczyć.

BOLINBROK.

Królu! co mówię, za to stoję życiem!
On ośm tysięcy sztuk złota miał sobie
Danych na płacę dla twojego wojska:
Całą tę summę, na zdradzieckie cele
Schował, jak podły i zły przeniewierca.
A daléj mówię i dowiodę walką,
Tu, albo w inném miejscu, do ostatnich
Granic, gdzie oko Anglii jest na straży,
Że wszelka zdrada, od lat osimnastu
W kraju tym wszczęta, albo pomyślana,
W nim miała źródło swoje i początek.
Daléj powiadam, a co mówię, wszystko
Na podłém życiu jego stwierdzić pragnę,
Że on uknował śmierć książęcia Gloster;
Podżegał łatwowiernych jego wrogów,
I tak zdradziecko, jak tchórzliwy zbójca,
Niewinnéj duszy jego dał wypłynąć
Wraz z potokami krwi, co jak ofiarna
Krew Abla, z głuchych pieczar ziemi, woła
Do mnie o zemstę i surową karę.
I klnę się sławą przodków, z których idę,
Że we krwi jego zmyję tę ohydę.

KRÓL RYSZARD.

Jak górném skrzydłem gniew się jego wzbija!—
Tomaszu Mowbrej! cóż ty na to mówisz?

NORFOLK.

O królu! odwróć od nas swe oblicze,
I głuchém uczyń ucho swe na chwilę,
Bo na wstyd krwi twéj powiem, że Bóg w niebie,
Ludzie na ziemi, brzydzą się tém kłamstwem.

KRÓL RYSZARD.

Oko i ucho moje jest bezstronném.
Mów zatém śmiało. Choćby był dziedzicem
Państwa, nie synem brata mego ojca,
Na godność berła mego poprzysięgam,
Że go ta blizkość ze krwią poświęconą,
Co w żyłach moich płynie, nie obroni,
Ani ku niemu myśli méj nie skłoni.
Oba poddani, jedna was ustawa
Wiąże, i oba macie równe prawa.

NORFOLK.

Więc Bolinbroku! aż do głębi serca,
Przez podłe gardło swoje kłamiesz. Czwartą
Część tych pieniędzy zapłaciłem w Kale
Ludziom królewskim wiernie i uczciwie.
Resztę za wiedzą króla zatrzymałem,
Bo mój monarcha był mi jeszcze dłużnym,
Z rachunków, w których dług ten jasno stoi,
Gdym z Francyi jego przywiózł tu królowę.
Połknij więc podłe kłamstwo. Co się tyczy
Śmierci książęcia Gloster, to powiadam
Śmiało: nie jam go zabił; choć wyznaję
Na wstyd mój własny, żem się jego śmierci
Nie tak opierał, jakby należało.
A co do ciebie, lordzie Lankasteru,
Ojcze szanowny mego wroga, prawda,
Jam kiedyś w gniewie czyhał na twe życie.
Jestto grzech, który ciąży na méj duszy.
Lecz nim ostatni miałem wziąść sakrament,
Wyznałem wszystko, i o przebaczenie,
Które, jak sądzę, dałeś mi, prosiłem.
Tyle jest mojéj winy. Reszta skargi
Pochodzi z gniewów wyrodnego wroga,
Ze złości chytréj zdrajcy i złoczyńcy.
I tego życiem własném mu dowiodę.
Nawzajem zatém rzucam tu mój zakład
Pod same nogi kłamcy, by najlepsza
Krew, co w zuchwałém sercu jego bije,
Jawne świadectwo méj prawości dała.
A teraz, królu, objaw nam swą wolę
I naznacz miejsce, gdzie nam stawić pole.

KRÓL RYSZARD.

O zapaleńcy! dajcież się skierować
Na lepszą drogę. Jam nie lekarz, prawda,
Ale wam mówię, co wam samym znane:
Krew głębiéj jeszcze tę rozjątrzy ranę.
Nie jestto chwila, by wam jéj puszczenie
Pomogło—was uzdrowi zapomnienie.
Przebaczcież sobie, zgódźcie się nawzajem.
To wola nasza, taką radę dajem.
Stryju! niech spór ten zniknie, gdzie się wszczyna;
Ja tu Mowbreja, ty ułagodź syna.

GAUNT.

Zgoda powinna być starości dziełem.
Odrzuć mój synu zakład ten Mowbreja.

KRÓL RYSZARD.

Rzuć swój Norfolku!

GAUNT
(*do syna*).

Mamże cię obwinić
Żeś nieposłuszny ojcu, i uczynić
Nie chcesz co każę?

KRÓL RYSZARD
(*do Norfolka*).

Nie masz-że na względzie
Mego rozkazu? — Tak chcę i tak będzie.

NORFOLK.

Klękam przed tobą, królu mój, w pokorze,
Lecz nie chciéj, czego i król chcieć nie może.
Krew moja twoją; życie oddam tobie;
Ale to imie, co na moim grobie,
Pomimo śmierci, żyć tam nie przestanie,
Jest mojém własném, nie żądaj go, Panie.
Zatrutą strzałą w serce ugodzony,
Szukam dla czci swéj leków i obrony;
I żaden balsam, tylko wytoczona
Krew, może jad ten wymyć z mego łona.

KRÓL RYSZARD.

Wściekłość przemocą krępować się godzi:
Oddaj twój zakład. Lew siłą łagodzi
Gniewną panterę.

NORFOLK.

Tak jest, lecz nie zdoła
Odjąć jéj cętek. Zdejm z mojego czoła
Plamę, a wtedy oddam go bez sporu.
Cześć nieskażona, królu, i honoru
Czystość, to życia chlubą jest jedyną.
Złoconém błotem, malowaną gliną
Jest tylko człowiek, jeśli na téj ziemi
Dni swych skarbami nieuzacni temi.
Czysty duch, kiedy śmiałą pierś przenika,
Drogi to klejnot, który się zamyka
Na dziesięć zamków. Honor jest wyrazem
Życia. Weź honor, bierzesz życie razem.
Więc królu, daruj mi oporu winę,
W nim żyję, pozwól niech za niego zginę.

KRÓL RYSZARD
(*do Bolinbroka*).

Rzuć ty twój zakład; przykład daj pośpiechu.

BOLINBROK.

Niechże Bóg strzeże mię od tego grzechu.
Jakżebym potém się do ojca zbliżył,
Gdybym podłością taką ród swój zniżył,
I zbladł przed tchórzem, co mnie sam pogani.
O! nim mój język tak mój honor zrani,
Wprzód go własnemi odetnę zębami,
Niech odwołaniem mojéj czci nie plami,
I to narzędzie hańby méj zbrodnicze
Wraz ze krwią w podłe cisnę mu oblicze.

(*Gaunt wychodzi*).

KRÓL RYSZARD.

Nasza rzecz rozkazywać, a nie prosić.
Lecz gdy nie można was pojednać, bądźcież
Gotowi stanąć oba w dzień świętego
Lamberta, w Kowentry, pod karą śmierci.
Tam niech rozstrzygnie oręż, jak się godzi,
Spór, co się tylko z nienawiści rodzi.
I gdy rycerska spełni się ustawa,
Walka przekona, czyja lepsza sprawa.
Lordzie marszałku! wyznacz-że heroldów;
Wszystko niech na czas będzie tam gotowém,
I sam zarządzaj bojem tym domowym.

(*Wszyscy wychodzą*).

SCENA DRUGA.

Londyn. Pokój w pałacu księcia Lankaster.

Wchodzi GAUNT *i księżna* GLOSTER.

GAUNT.

Niestety! wspólna krew w nas obu, siostro!
Bardziéj, niż krzyk twój, budzi mię, bym powstał
Przeciw tym, z których ręki Gloster zginął.
Lecz kiedy kara w tejże saméj dłoni,
Co wykonała zbrodnią, to jedynie
Niebu powierzyć możem naszą skargę.
A niebo, gdy godzina ich dojrzeje,
Na głowy zbójców dészcz swéj zemsty zleje.

KSIĘŻNA GLOSTER.

Więc takim tylko bodźcem jest braterstwo?
I w twéj krwi staréj miłość nie podnieca
Żywszego ognia? Siedmiu było synów
Edwarda, z których i ty jesteś jednym.
To było siedém ze krwią jego naczyń,
Siedém gałęzi, które z pnia jednego
Wyszły. Z tych jedne uschły zwykłym biegiem
Natury, inne los przeznaczeń złamał.
Lecz Tomasz, mąż mój, życie me, mój Gloster,
Naczynie z krwią Edwarda poświęconą,
Kwitnąca gałąź na tym pniu królewskim,
Rozbite zdradą, i krew z niego wyszła,
Odcięta z wieńcem liści swych zielonym
Zazdrości ręką i toporem zbójców!
Gauncie! krew jego była twoją, jedno
Łoże i jedno was wydało łono;
Ten sam duch obu was mężami zrobił.
Choć żyjesz, choć oddychasz, tyś w nim także
Zamordowany. Gauncie! więcéj powiem:
Tyś w pełnéj mierze i na śmierć własnego
Ojca przyzwolił, gdy się nie mścisz brata,
Który waszego ojca był odbiciem.
Nie, nie nazywaj tego cierpliwością:
To rospacz. Jeżeli tak bezkarnie Gloster
Ginie z rąk zbójców, sam im pokazujesz
Ścieszkę do swego życia i kierujesz
Krwawe ich ostrze do własnego serca.
Co w nizkim człeku zwiemy cierpliwością,
To w zacnéj piersi jest tchórzostwem. Tylko

Zemsta i odwet srogi i surowy,
Staną się tarczą dla twéj własnéj głowy.

GAUNT.

Rzecz to jest Boga, bo namiestnik jego,
W jego świątyni królem namaszczony,
Sprawcą téj śmierci. Jeśli to jest zbrodnia,
Niech jéj Bóg mści się, a ja nie podniosę
Ręki méj w gniewie przeciw jego słudze.

KSIĘŻNA GLOSTER.

Niestety! gdzież się udam z moją skargą?

GAUNT.

Do nieba, co osłania wdowy.

KSIĘŻNA GLOSTER.

Dobrze,
Pójdę więc, pójdę. Bądź zdrów, stary Gauncie!
Jedziesz do Kowentry, by się przypatrzyć,
Jak tam twój Herford spotka się z Mowbrejem.
Połóż na kopii syna krzywdę brata,
Aby tak w pierś zabójcy się wcisnęła.
Lub gdy źle pójdzie piérwsze uderzenie,
Spraw, by Mowbreja grzechy w jego łonie
Tak ociężały, by grzbiet spienionego
Konia się złamał, i by zdrajca upadł
W szrankach na głowę pod Herforda nogi.
Bywaj zdrów! niegdyś żona twego brata,
Z ciężkim swym smutkiem schodzę z tego świata.

GAUNT.

Bądź zdrowa siostro! i ja idę w drogę:
I mnie i ciebie niechaj Bóg prowadzi.

KSIĘŻNA GLOSTER.

Jeszcze słów parę. Smutek gdzie upadnie,
Tam się i wbija. Ja się żegnam z tobą,
Chcę iść, a jeszczem prawie nie zaczęła.
Ach! ból nie prędko kończy, choć się zdaje,
Że już powiedział wszystko, co miał mówić.
Poleć mnie bratu memu Edmundowi
York. Patrz, i to już wszystko. Lecz się nie spiesz.
Choć to już wszystko, zostań jeszcze trochę,
Może przypomnę więcéj. Proś go—o co?—
Niechaj niebawem w Pleszi mnie odwiedzi.
Niestety! cóż tam stary York obaczy?
Puste mieszkania, obnażone mury,
Głuche, bezludne ścieszki i kamienie.
A co usłyszy?—płacz mój i jęczenie.

Nie, niechaj lepiéj nie przychodzi wcale;
Bo tam ból zasiadł, zamieszkały żale;
Tam tylko dla mnie brama się otwarła,
Bym bez pociechy weszła i umarła.

(Wychodzą).

SCENA TRZECIA.

Otwarte miejsce przy Kowentry. Szranki, broń, heroldowie i inna służba.

Wchodzi lord W. MARSZAŁEK, AUMERLE.

LORD MARSZAŁEK.

Lordzie Aumerle! czy już Herford w zbroi?

AUMERLE.

Całkiem gotowy czeka za szrankami.

L. MARSZAŁEK.

I książę Norfolk śmiały, pełen ducha
Tylko wezwania trąby oczekuje.

AUMERLE.

Tak, oba przeciwnicy w pogotowiu,
Przybycia tylko króla wyglądają.

(Odgłos trąb, wchodzi król Ryszard i siada na tronie, Gaunt, Bushy, Bagot, Green i inni panowie zajmują swoje miejsca. Trąba się odzywa w szrankach, a na ten głos odpowiada jéj druga zewnątrz. Wtedy wchodzi Norfolk uzbrojony, a przed nim herold).

KRÓL RYSZARD.

Marszałku! spytaj tego zapaśnika,
Dlaczego wchodzi w szranki uzbrojony?
Niech powié, jak się zowie, i przysięgą
Stwierdzi, że sprawa jego sprawiedliwa.

L. MARSZAŁEK.

W imieniu Boga i w imieniu króla
Pytam, kto jesteś i dlaczego wchodzisz
Tak po rycersku w zbroję przyodziany?
Przeciwko komu stajesz, w jakiéj sprawie?
Mów prawdę, jako rycerz, pod przysięgą,
I niech cię broni Bóg i twoje męztwo.

NORFOLK.

Nazwisko moje Tomasz Mowbrej, książę
Norfolk. Przychodzę w skutek méj przysięgi,
(I niech Bóg strzeże, by ją rycerz złamał),

Bronić prawości swéj i wiary, winnéj
Bogu, krolowi i następcom jego,
Przeciwko księciu Herford, co mnie wyzwał.
I chcę z pomocą Bożą i téj ręki
Dowieść mu, że jest zdrajcą przeciw Bogu,
Przeciw królowi i mnie. A jak mówię
Prawdę, tak niech mię wspiera Bóg w téj walce.

(*Trąba w szrankach, odpowiedź trąby zewnątrz; wchodzi Bolinbrok w zbroi, a przed nim herold*).

KRÓL RYSZARD.

Marszałku! spytaj i rycerza tego,
Jak się nazywa, i dlaczego wchodzi
Z przyborem wojny i tak w stal zakuty.
Niech ci formalnie, jak ustawa każe,
Zezna, czy sprawa jego sprawiedliwa.

L. MARSZAŁEK.

Jak się nazywasz i dlaczego stajesz
Zbrojny przed królem w tych królewskich szrankach?
Przeciwko komu stajesz, jaki spór twój?
Mów jako rycerz, i niech cię Bóg strzeże.

BOLINBROK.

Jam Henryk Herford, Lankaster i Derby.
Staję tu zbrojny w tych królewskich szrankach,
Aby z pomocą Bożą i téj dłoni
Dowieść, że Tomasz Mowbrej, książę Norfolk,
Jest zdrajcą podłym i szkodliwym, przeciw
Bogu, królowi i mnie. A jak pragnę
Walczyć za prawdę, tak niech mię Bóg wspiera.

L. MARSZAŁEK.

Pod karą śmierci niech się nikt nie waży
Przestąpić, albo dotknąć się tych szranków,
Oprócz marszałka i tych urzędników,
Którym kierunek sprawy téj oddany.

BOLINBROK.

Lordzie marszałku! pozwól, bym przed królem
Ugiął kolana i mógł ucałować
Raz jeszcze ręce jego. Ja i Mowbrej
Myśmy pielgrzymi, co się poświęcili
Na ciężką drogę, na daleką podróż.
Słuszna więc, byśmy mogli uroczyście
Pożegnać króla i powiedzieć jeszcze
Bywajcie zdrowi, wspólnym przyjaciołom.

L. MARSZAŁEK.

Oskarżający, Najjaśniejszy Panie,
Chce jeszcze rękę twoję ucałować.

KRÓL RYSZARD.

By go uściskać zstępujemy sami.
Bracie Herfordzie! jaką jest twa sprawa,
Tak niech ci szczęście w walce téj dopisze.
Bądź zdrów, krwi moja! Jeśli ją wytoczą
Te spory wasze i zapasy srogie,
Żałować będę, pomścić jéj nie mogę.

BOLINBROK.

O! niech łzy miękkie z żadnych ócz nie idą;
Bo nie pobledne przed Mowbreja dzidą.
Jak sokół w skrzydło swe, tak w broń mą wierzę,
Że z równą siłą w jego pierś uderzę.
Ja cię wesoło żegnam, dobry panie!—
I ciebie także, bracie mój Amerle!—
Nie drżący, jakbym widział smierci groty,
Lecz owszem, pełen życia i ochoty,
Jakby przy uczcie, na ostatnie danie,
Najsłodsze sercu chowam pożegnanie.
O ty! krwi mojéj ziemski twórco! ojcze!
Którego duch młodzieńczy, odrodzony
We mnie, z podwójną siłą mię podnosi
Do tego wieńca, co tkwi nad mą głową;
Zahartuj zbroję moją twą modlitwą,
Błogosławieństwem swojém nastal ostrze
Dzidy méj, aby tak Mowbreja pancerz
Przebodła, jakby z wosku był zlepiony;
I by twe imie znowu zaświeciło
Tém samém męztwem, co w twych piersiach biło.

GAUNT.

Niech Bóg da szczęście twojéj dobréj sprawie.
Bądź szybkim, jak jest szybką błyskawica,
I niech twe razy dwoją się, i nagle,
Jak uderzenie gromu ogłuszając,
Biją w hełm groźny twego przeciwnika.
Bądź mężnym synu! ale żyj!..,

BOLINBROK.

Niewinność
Da mi odwagę, święty Jerzy siłę.

NORFOLK.

Jakkolwiek Bóg i los mojemi dniami
Rozrządzi, żyć tu będzie, albo zginie

Człek prawy, wierny Bogu i królowi.
Nigdy niewolnik z sercem tak wesołém
Nie zrzucał więzów, i nie witał złotéj
I niestrzeżonéj chwili swéj wolności,
Jak moja dusza, co w méj piersi skacze,
Wita to święto bitwy z moim wrogiem.
Potężny królu! i wy przyjaciele!
Życzę wam wszystkim lat szczęśliwych wiele.
Ja do zabawki, nie do walki staję,
Bo prawda sercu moc i pokój daje.

KRÓL RYSZARD.

Bywaj zdrów, lordzie! z ócz twych wyczytuję,
Jak w tobie cnota łączy się z odwagą.—
Marszałku! wydaj hasło, niech rozpoczną.

(Król i inni panowie wracają na miejsce).

L. MARSZAŁEK.

Henryku Herford, Lankaster i Derby!
Tu masz swą dzidę, a Bóg niechaj broni
Twojego prawa.

BOLINBROK.

Silny tą nadzieją,
Mocny, jak wieża, wołam: amen!

L. MARSZAŁEK
(do jednego z oficerów).

Oddaj
Tę drugą dzidę Tomaszowi Mowbréj.

1 HEROLD.

Henryk z Herfordu, Lankaster i Derby
Staje tu w sprawie Boga, w sprawie króla
I swojéj własnéj, i pod czci utratą
Ma dowieść Tomaszowi Mowbrej, księciu
Norfolk, że zdrajcą jest przeciwko Bogu,
Przeciw królowi i przeciwko niemu.
I tak do walki śmiało wyzywa.

2 HEROLD.

Tu staje Tomasz Mowbrej, książe Norfolk,
A pod utratą czci i dobréj sławy
Stając w obronie własnéj i w obronie
Prawdy, chce dowieść Henrykowi Herford,
Że jest niewiernym Bogu i królowi,
I że go krzywdzi kłamstwem i potwarzą.
Tak więc z odwagą ufny w dobréj sprawie
Do walki znaku tylko oczekuje.

L. MARSZAŁEK.

Uderzcież w trąby!—naprzód przeciwnicy!
(Trąby odzywają się).
Lecz stójcie, król buławę swoję rzucił.

KRÓL RYSZARD.

Niech złożą na bok hełmy swe i kopje,
I do miejsc swoich wrócą.
(Do Gaunta i innych panów).
A wy z nami
Chodźcie. Tymczasem, gdy tu będziem radzić,
Niechaj brzmią trąby, póki nie ogłosim
Jaki nasz wyrok.
(Trąby brzmią, po krótkiéj naradzie król wraca i daje znak aby ucichły).
Teraz się przybliżcie
I posłuchajcie, cośmy uradzili.
Aby grunt państwa tego, krwią tak drogą,
Którą wykarmił sobą, nie był zlany;
Gdy odwracamy oko swe ze zgrozą
Od ran, zadanych bronią spokrewnioną;
Gdy nam się zdaje, że jedynie pycha,
Co orlim skrzydłem wzbija myśl ku niebu,
I zazdrość tylko, co współzawodnika
Nie cierpi, drażni was i tak podnieca,
Że chcecie zbudzić pokój, co w kolébce
Ziemi téj słodkim dziecka snem oddycha;
Gdy przebudzony z tego snu przez wrzawę
Bębnów, przez odgłos trąby przeraźliwy,
I szczęk rozjadłych przeciw sobie mieczów,
Ten pokój mógłby uciec z cichych granic
Naszego państwa, żebyśmy musieli
W krwi braci naszych brodzić, z tych powodów
Obu was na wygnanie skazujemy.
Bracie Herfordzie! ty pod karą śmierci,
Póki dziesiąta wiosna nie ozdobi
Pól naszych, własnéj ziemi nie powitasz,
Lecz chodzić będziesz po wygnania drogach.

BOLINBROK.

Stanie się zadość, królu, twojéj woli.
Dla mnie pociechą będzie w ciężkiéj doli,
Że słońce, co was ciepłem swojém grzeje,
Gdzieindziéj także złoty promień leje.

KRÓL RYSZARD.

Norfolku! ciebie twardszy czeka wyrok,
Który z goryczą w sercu ci ogłaszam.

Godziny biegiem swoim nieoznaczą
Kresu wygnania twego. Słowo, w którém
Nie ma nadziei, słowo to: na zawsze!
Wymówić muszę. Więc pod karą śmierci
Idź bez powrotu: taki jest twój wyrok.

NORFOLK.

Ciężki to wyrok, Miłościwy Panie,
I niespodziany z twoich ust królewskich.
Bom ja nagrody, nie tak głębokiego
Wstydu, że z własnéj ziemi mnie wypychasz,
I to na zawsze, z rąk tych oczekiwał.
Więc już téj mowy, którąm lat cztérdzieści
Mówił, zapomnieć muszę, i to echo
Ojczyzny w piersiach mych się nie odbije!
Język w mych ustach, jakby nie potrzebny,
Będzie jak arfa, z któréj zdjęto struny,
Lub jak instrument w skrzyni, lub jak taki,
Co, choć dobyty, lecz oddany w rękę,
Która nie umié dźwięków jego zgodzić.
O! w głębi ust mych uwięziłeś język
Za tą podwójną kratą warg i zębów;
A niewiadomość głupią i nieczułą
Stawisz na straży, by twój więzień milczał.
Jam już za stary, królu, bym od mamki
Uczył się piérwszych słów i piérwszych głosów.
Zanadtom zaszedł w lata, bym był uczniem.
Tak, śmiercią jest twój wyrok, nie czém innym,
Bo mi odetchnąć nie da tchem rodzinnym.

KRÓL RYSZARD.

Daremny żal twój i łza w twojém oku.
Skarga za późną jest już po wyroku.

NORFOLK.

Więc się odwracam od téj ziemi drogiéj,
Jasnym promieniem słońca oświeconéj,
A wchodzę w cienie nocy nieskończonéj.

KRÓL RYSZARD.

Czekaj, i jeszcze weź przysięgę z sobą.
Połóżcie ręce tu, na moim mieczu,
I na dług, jaki macie względem nieba,
(Bo coście winni mnie, to razem z wami
Wygnane, znikło) przysięgnijcie oba,
Że dochowacie święcie téj przysięgi:
Czas ten wygnania (i tak niech wam prawda
I Bóg pomaga) z sobą was nie zwiąże

W węzły przyjaźni; nie będziecie siebie
Szukać, by wzajem zajrzeć sobie w oczy;
Nigdy do siebie pisać nie będziecie,
Ni się pozdrawiać, aby tak złagodzić
Burzę, z domowéj wzrosłą nienawiści,
I aby potém w schadzkach przeniewierczych
Spiskować razem i knuć zgubne plany
Przeciw nam, państwu i poddanym naszym.

BOLINBROK.

Przysięgam.

NORFOLK.

Klnę się także, że dotrzymam.

BOLINBROK.

Norfolku! tyle godzi się, choć wrogom,
W tym czasie, kiedy z woli króla, twoja
Lub moja dusza zbłądzi gdzieś daleko,
Wygnana z kruchéj téj mogiły ciała,
Jak i to ciało pójdzie wkrótce z kraju,
Wyznaj swą zdradę, póki jeszcze możesz.
Droga zbyt długa wije się przed tobą,
Nie bierz-że w podróż ciężkiéj duszy z sobą.

NORFOLK.

Nie, Bolinbroku, jeślim kiedy zdrajcą
Był, to niech imie moje z księgi życia
Zniknie, a dusza niech podobnie z nieba
Wygnaną będzie, jak ja dziś z téj ziemi.
Lecz co ty jesteś, to wiadomo Bogu
I mnie wiadomo. Wkrótce cię i król nasz
Pozna i słowa swego pożałuje.
Bywaj zdrów królu!—Zbłąkać się nie mogę,
Boś mi na cały świat otworzył drogę.

(*Wychodzi*).

KRÓL RYSZARD.

Stryju! w zwierciadle twoich ócz postrzegam
Jak serce twoje ciężkie. Ten twój widok
Z liczby dziesięciu lat, którem naznaczył
Wygnaniu jego, odmazuje cztéry.

(*Do Bolinbroka*).

Gdy szósta zima zdejmie swe okowy
Z ziemi, ty wracaj pod swój dach domowy.

BOLINBROK.

Jak wiele czasu leży w drobném słowie!
Cztérech zim, cztérech wiosen oddalenie,
Wola królewska w jedno zbija mgnienie.

GAUNT.

Dzięki ci, królu, żeś ze względu na mnie
Skrócił wygnania jego cztéry lata.
Lecz łaska twoja nie da mi owocu.
Nim sześć lat, które przebyć ma za krajem,
W zmianach miesięcy kresu swego dojdą,
Ta lampa, któréj wiek już nie podleje,
W cieniach rosnącéj nocy dogoreje,
I nagle zgaśnie światła odrobina,
A śmierć już nie da mi obaczyć syna.

KRÓL RYSZARD.

Jeszcze ci życia wiele lat zostanie.

GAUNT.

Ani minuty, którą dałbyś, panie.
Troską dni moje skrócić jest w twéj mocy;
Gdy zechcesz, sen odpędzisz z moich nocy,
I bruzdy wieku na me czoło zwołasz;
Lecz wstrzymać czasu władzą swą nie zdołasz.
Możesz wziąść życie, lecz potęgą całą
Nie zbudzisz serca, co już bić przestało.

KRÓL RYSZARD.

Twój syn wygnany w skutek mądréj rady,
Gdzie głos twój ważył więcéj, niźli inne.
Czemuż się teraz skarżysz w uniesieniu?

GAUNT.

Co słodkie w smaku, gorzkiém jest w trawieniu.
Kazałeś sądzić— sędzia dał swe zdanie;
Lecz czemuś ojca nie zapytał, panie?
Gdyby on sercu memu był mniéj drogi,
W wyroku moim nie byłbym tak srogi.
Bezstronnym sądem chcąc rozbroić ciebie,
Sądziłem ostro i zabiłem siebie;
I próżnom czekał, czy kto z nich nie powié:
Wstrzymaj się starcze! sądzisz za surowie.
Lecz oni milcząc poprzestali na tém,
I tak mój wyrok stał się moim katem.

KRÓL RYSZARD

Bywaj zdrów, bracie, a ty stryju pomnij:
Skazany na lat sześć i tak zostanie.

(Odgłos trąb, wychodzi król z orszakiem).

AUMERLE.

Bądź zdrów, Henrykul co obecność wzbrania
Wyrzec, to powierz pismu, tam gdzie będziesz,

L. MARSZAŁEK.

Ja cię nie żegnam, książę! Przy twym boku
Pojadę póty, póki kraju stanie.

GAUNT.

Dla kogoż tak oszczędzasz swoje słowa,
Że przyjaciołom nic nie odpowiadasz?

BOLINBROK.

Mam ich za mało, ojcze mój, dla ciebie.
Niech wtedy swéj posługi nie odmówią,
Gdy przyjdzie wylać całą boleść syna.

GAUNT.

Cóż jest ta boleść? jest czasową tylko
Nieobecnością.

BOLINBROK.

Radość nieobecną
Będzie, a boleść wszędzie ze mną pójdzie.

GAUNT.

Sześć zim przeminie prędko.

BOLINBROK.

W sześciu, prawda,
Lecz ból z godziny jednéj zrobi dziesięć.

GAUNT.

Nazwij podróżą to wygnanie.

BOLINBROK.

Serce
Westchnie z goryczą, jeśli je tak przezwę,
I tém dotkliwszą nazwie je pielgrzymką.

GAUNT.

Więc tę wędrówkę po dalekich stronach
Uważaj tylko za oprawę, w którą
Klejnot powrotu swego masz osadzić.

BOLINBROK.

O! raczéj każdy krok leniwéj drogi
Powić mi, jaki świat mię od klejnotów
Miłości mojéj na tak długo dzieli.
Nie będęż musiał sześć lat terminować
Na obcéj ziemi; a gdy się wyzwolę,
Cóż powiem? czém-że się pochwalić zdołam?
Tém chyba, żem był smutku wyrobnikiem.

GAUNT.

Każdy kąt, który oko niebios widzi,
Jest portem szczęścia dla mądrego człeka.
Niech cię konieczność tak nauczy patrzéć,
Bo nie ma większéj cnoty, jak konieczność.
Nie myśl, że król cię wygnał, ale owszem,
Myśl, żeś ty wygnał króla. Każda klęska
Tém ciężéj gniecie, im na słabszych spada.
Idź, powiédz, żem to ja cię wysłał szukać
Nowych honorów za granicą kraju;
Albo wyobraź sobie, że zaraza
W powietrzu naszém zgubnym tchem zabija,
I ty uciekasz do czystszego nieba.
Co dusza twoja ceni, połóż w myśli
Na drodze, którą od nas się oddalasz.
Wesołe ptaszki weź za muzykantów,
A łąk murawę za posadzkę sali;
Kwiaty za twarze kobiét, a twe kroki
Miéj za mierzony i ochoczy taniec.
Boleść i smutek mniéj dotkliwie kąsa,
Gdy kto z ich zęba śmiało się natrząsa.

BOLINBROK.

I któż utrzymać zdoła żar w swéj dłoni,
Że o Kaukazu lodach się zamyśli?
Kto stępi ostrze głodu, przez to tylko,
Że sobie smaczną ucztę wyobrazi?
Kto nagi w śniegach grudnia się wykąpie,
Rojąc w swéj głowie skwar i upał letni?
Im więcéj dobra w myśli się nam snuje,
Tém głębiéj serce złe obecne czuje;
Ząb bolu, choć do kości nie przejada,
I w płytkiéj ranie dość trucizny składa.

GAUNT.

Chodź już, chodź synu! Wskażę ci twą drogę.
Gdybym miał wiek twój, byłbym już daleko.

BOLINBROK.

Więc bywaj zdrowa Anglio! słodka ziemio!
Matko i karmicielko! co mię jeszcze
U łona swego trzymasz. O! gdziekolwiek
Pójdę, dowiodę wszędzie, każdym czynem,
Że jestem twoim pierworodnym synem!
(Wychodzą).

KOBIETA.

STUDYUM HISTORYCZNO-OBYCZAJOWE.

PRZEZ

Zygmunta Kaczkowskiego.

WSTĘP.

Praca niniejsza wychodzi daleko wcześniéj na świat, niżeli to było pierwotnym zamiarem autora. Powody tego, jak i historya téj pracy są następujące:

Rozpatrując się od lat moich najmłodszych w dziejowych źródłach naszego narodu, jużto dla zbadania jego cnót, przywar i obyczajów, już dla docieczenia przyczyn, które powodowały kolejno, to wzrost, to upadek jego istoty moralnéj, zwracałem zawsze nader baczną uwagę na stanowisko, jakie w tém społeczeństwie, trzymającém środek pomiędzy Zachodem a Wschodem, a ztąd wystawioném na obustronne a tak sobie przeciwne wpływy, zajmowała kobieta. Kobieta jest główną podstawą, jest kamieniem węgielnym rodziny. Rodzina jest społeczeństwa podstawą; jaka jest więź rodziny, taka więź społeczeństwa: nie ulega więc żadnemu wątpieniu, iż nie zbadawszy dokładnie stanowiska, przyznawanego koleją wieków kobiecie, niepodobna jest przyjść do gruntownego pojęcia tak ducha narodu, jak jego więzi społecznéj. O badaniach tych, o ile tego będzie potrzeba, wspomnę szczegółowo poniżéj; tu zaś nadmienię, iż chcąc wyrozumieć, czém była kobieta w przeszłości i czem być powinna na przyszłość, trzeba było koniecznie zwrócić uwagę na to, czém jest dziś; które jéj przymioty są tradycyjne, a które urobiły się z czasem lub napły-

nęły zkądinąd; jaki jest ustrój jéj naturalny, jakie cechy narodowe, szczepowe i społeczeńskie? Zajmujące to studyum! tak zajmujące, iż mnie zaprowadziło daleko daléj, niżeli się mógłem spodziewać. Jakoż w istocie przyszło niebawem do tego, iż przedmiot ten, który miał być podrzędnym i służyć tylko do innego obszerniejszego zamiaru, odosobnił się we mnie i stał się celem odrębnym i samoistnym, a powiększająca się z każdym tygodniem ilość nauczających porównań, uwag i myśli, nasunęła mi zamiar obrobienia tego przedmiotu piórem i oddania go na użytek powszechny w książce osobnéj.

Książka, w któréjby na podstawie badań sumiennych a przy pochodni żywego uczucia religii i prawdy przedstawiono kobietę, jaką była w przeszłości, jaką jest dziś i jakąby wedle sił swoich i potrzeb czasowych być powinna i mogła; książka taka, chociażby nie rozwiązywała ostatecznie téj sfinksowéj zagadki a tylko na przedmiot ten, tak zajmujący i arcyważny, zwróciła stanowczo myśli i pióra, przyniosłaby społeczeństwu naszemu znamienity pożytek. W dzisiejszych czasach, gdzie pani Sand, Balzac i inne tego rzędu genialnie-przewrotne głowy rozsiały tak mętne wyobrażenia o powołaniu kobiéty; gdzie jeszcze ledwie nie codzień pojawiają się coraz to mętniejsze pomysły o jéj tak zwanéj emancypacyi, a nigdzie nie daje się słyszéć żaden głos przeważny, rozstrzygający tę zagmatwaną kwestyą na podstawie religii i prawdy: dziś wszystkim społeczeństwom stałego lądu praca taka, o jakiéj mowa, oddałaby nieocenioną przysługę. Jakżeż daleko większą jeszcze społeczeństwu naszemu, w którém owe zmącone wyobrażenia znalazły także nie mały odgłos; gdzie historyczne typy naszych matron półświętych już prawie giną i gdzie wyjątkowym sposobem, z wyjątkowego wynikającym położenia, święty węzeł rodzinny jest o tyle główniejszém, że nie powiem, jedyném ogniwem naszéj więzi społecznéj. Zwrócenie naszéj poważnéj myśli ku naszym matkom, żonom i siostrom, orzeźwienie serca kobiety duchem historycznym i religijnym, przypomnienie jéj, jak piękną, wspaniałą, szlachetną postacią była w naszéj przeszłości i okazanie jéj, że jeszcze dzisiaj, pomimo zmiany czasów i wyobrażeń, taką samą być powinna i może, jest rzeczą potrzebną, jest obowiązkiem, jest koniecznością.

Jednakże obowiązek ten nie jest do spełnienia tak łatwym, jak się to może na pierwszy rzut oka wydaje. Przedewszystkiem bowiem już sama historya niewiasty polskiéj od najda-

wniejszych czasów aż do ostatnich, jeżeli w ogóle historya taka jest możebną, nastręcza nieprzeliczone trudności. U nas, gdzie do podobnych zamiarów niemasz prawie żadnych ułatwień a każdą nitkę dziejową trzeba przez wszystkie pisma źródłowe śledzić samemu, praca taka jest zawsze niezmiernie zmudną, czasem dla jednego człowieka wprost niepodobną a nawet w najszczęśliwszym wypadku wymagającą przynajmniéj kilkoletniego ślęczenia. Powtóre, cała literatura nasza jest w książki takie, któreby się zajmowały przeszłością, powołaniem i wychowaniem kobiety, nadzwyczajnie ubogą, tak ubogą, że o tym przedmiocie mówiących zaledwie kilkanaście książeczek błąka się po niéj. Że zaś z literatur obcych, wyjąwszy spostrzeżenia fizyczne i fizyologiczne, także nam niepodobna pod tym względem korzystać, przyzna to każdy, komu znajome są różnice pomiędzy historyą, położeniem obecném i geniuszem naszego narodu a innych. Wszystko to tedy, co o tym przedmiocie można i należy powiedzieć, oprócz tego, czego nas uczą Chrystusowa nauka i przepisy kościoła, trzeba własną wyrobić myślą, wydobyć z siebie samego. Nakoniec jeszcze i o tém należy nadmienić, iż u nas (mam tu na względzie cały ogół społeczeństwa) najpierwéj, w skutek tych wpływów, jakie wywarła nowsza literatura francuzka; powtóre, skutkiem tak dzisiaj łatwych i częstych za granicę podróży; potrzecie, skutkiem coraz większego obojętnienia dla prawd religijnych w obrębie domowego ogniska a zamieniania ich w formy tylko konwencyonalne; poczwarte, skutkiem upadku czysto rodziméj tradycyjnéj oświaty w jéj najobszerniejszém znaczeniu, a zastąpienia jéj cudzoziemskiemi obyczajami—wyobrażenia a nawet uczucia o stanowisku i powołaniu kobiéty w takich zanurzyły się mętach, iż chcąc dziś prawdę powiedzieć, trzeba się w wielką uzbroić odwagę, trzeba się może narazić na niechęci, na oburzenia i gniewy. A trzeba prawdę powiedzieć koniecznie, bo inaczéj nie wartoby brać pióra do ręki.

Z tych tedy powodów, głównie zaś dla trudności, na jakie napotykało odpowiednie opracowanie części historycznéj, lubo przy powziętym zamiarze téj pracy trwałem statecznie, nie myślałem jednak teraz zabierać się do niéj, tylko aż wtedy, kiedy już będę w stanie dać ile możności skończony obraz niewiasty polskiéj w jéj historycznych kolejach, i na nim oprzéć dalsze rozumowania, a więc za rok, za dwa lata albo może i późniéj.

Ale tymczasem, kilka miesięcy temu, wyszła w Paryżu książka, która na mój zamiar pierwotny wpłynęła w sposób wcale niespodziewany. Jestto najświeższy utwór znakomitego dziejopisa i profesora *J. Michelet'a*, utwór znany już dzisiaj powszechnie a noszący tytuł: „*L'Amour*".

Książka ta została przyjęta z rozgłośnym trzaskiem we Francyi, rozeszła się bardzo gęsto po Niemczech, doszła także i do nas; odczytana przezemnie, obudziła we mnie nadzwyczaj żywe zajęcie choćby tylko dlatego, iż obejmuje przedmiot, którym ja sam już od lat kilku się zajmowałem. Odczytałem ją poraz wtóry z ołówkiem w ręku, i dzisiaj byłbym w stanie dać jéj rozbiór gruntowny i wyczerpujący. Nie czynię tego, bo nie widzę potrzeby zajmowania powszechności polskiéj tak z bliska książkami obcemi, zwłaszcza takiemi, których pokarm moralny nie odpowiada jéj potrzebom i wymaganiom; ale mam ważne powody do stanowczego określenia jéj dążności i charakteru.

Przedewszystkiém tedy muszę to wyznać, iż cokolwiekbądź przyjdzie mi powiedzieć poniżéj o téj najnowszéj pracy sławnego dziejopisa Francyi, jest ona bezwątpienia pod bardzo wielą względami jednym z najznakomitszych literackich utworów, jakie w ostatnich czasach wyszły z pod prassy francuzkiéj. Już sama zapowiedziana jéj dążność, *dążność odrodzenia ludzkości przez miłość*, jest tak piękną, szlachetną i wzniosłą, iż jéj się za to głęboka cześć należy. Zamiar arcy-chwalebny: bodajby wszystkie książki tylko w takich i tym podobnych pisywano zamiarach. Z wielkim też rozmysłem, z głęboką znajomością ludzkiego serca a gdzieniegdzie nawet z genialném misterstwem sztuki, usiłuje autor przeprowadzić ten zamiar. Doświadczony pisarz, wprawny myśliciel, wymowny rzecznik przyjętéj przez siebie sprawy, ma on na zawołanie wszystkie tajemnice dyalektyki, poezyi i sztuki, i włada nimi jak mistrz, bez przymusu i wysilenia, lekko i zręcznie, czasem jak przez igraszkę, jak od niechcenia. Mimo to wszakże, pod temi wieńcami uroczych kwiatów uczucia, wyobraźni i myśli, ukrywa się tam w głębi żelazna ręka mistrza-nauczyciela, która z tych barw różnorodnych układa zawsze i wszędzie tylko myśl jednę: nie powiem koniecznie myśl *odrodzenia ludzkości przez miłość*, ale myśl *uwielbienia miłości*, któréj celem kobieta. Nigdy też jeszcze płeć piękna nie znalazła na pozór ani gorętszego, ani zręczniejszego obrońcy; nigdy kobieta nie okazała się godniejszą sympatyi, tkliwości, troskliwości, opieki, jak się to stało

w téj książce. Stała się nawet godną miłości; jeżeli jéj nie jest godną z powodów innych i jeżeli to wielkie i święte uczucie zechcemy pojmować tak jednostronnie, jak nam je przedstawia autor téj książki. Oprócz tego trzeba przyznać, iż pomiędzy misterną grą sztuki, któréj jest pełną ta książka, uderzyła tu także w niejeden piękny akord natura. Pomiędzy subtelną wonią uczuć przefiltrowanych przez sztukę, znajdują się tu uczucia tak wonne i świeże, jak kwiaty na Bożém słońcu rosnące, prawdy zdrowe prosto wyjęte z życia, myśli jasne, pełne znaczenia i mocy; zawiéwa nas nawet czasem duch tak młodzieńczy, rzeźwy i świeży, iż zaledwie można uwierzyć, że słowa te płyną ze zwiędłych ust sześćdziesięcio-letniego starca, który całe swe życie strawił w ciężkiéj pracy pomiędzy opleśniałemi księgami, całe lata mieszkiwał w wilgotnych głębiach ścisłéj nauki, z wysokości wsławionéj przez siebie katedry całe pokolenie wychował i znającemu go światu przedstawia się raczéj jako mędrzec sędziwy, badacz poważny, rozmyślający nad tajemnicami ludzkości, niżeli jako wieczny młodzieniec igrający kwiatami z miłością. Książka p. *Michelet'a*, powtarzam to poraz wtóry, zawiera w sobie tak wiele piękności i świeżości uczucia, iż może się pod tym względem śmiało liczyć do najznamienitszych tegoczesnych utworów.

Ale z książkami wojującemi przedewszystkiém pięknością dzieje się czasem tak, jak z żywemi kwiatami, które nam ktoś wieczorem postawił przy łóżku. W wieczór jakież to wonne i świeże! Weselimy się ich widokiem, napawamy ich wonią a przez całą noc śnią nam się same równianki i wieńce. Wstajemy rano z orzeźwionym umysłem, ujmujemy je ręką, chcemy je podnieść do góry, ażeby się im przy świetle dziennem przypatrzeć: aliści za piérwszém dotknięciem opadły liście różowe na ziemię, a ręka czuje się boleśnie zranioną ukrytemi kolcami. Patrzymy z zadziwieniem na bukiet: martwe i brzydkie tam pozostały szkielety!

Taką jest książka *L' Amour*.

Jakoż istotnie, odrzuciwszy te wieńce i kwiaty, które nas mamią i upajają, a wejrzawszy trzeźwym umysłem w jéj głąb' niestrojoną, widzimy jawnie, iż jest tam w téj głębi daleko więcéj fałszu niż prawdy, więcéj oświeconego pogaństwa niżeli rzeczywistego światła a nawet bardzo wiele brzydoty. Uczony dziejopis, oparłszy się na fałszu, do najfałszywszych zaprowadził się wniosków; uwiedziony wyśnioną przez siebie malutką

lalką miłości, zacieśnił do najdrobniejszych rozmiarów obszerny z natury widokręg: a w skutek tego, zamiast oświecić promieniami poetycznego światła wysokie stanowisko kobiéty, a ją samą podnieść, uwspanialić, upięknić; stanowisko to zniżył do łożowéj niskości, a wolną i na obszernem rodziny polu i społeczeństwa działającą kobiétę, zamienił w niewolnicze i do jednéj tylko drobniutkiéj rolki przeznaczone narzędzie. Dlatego książka *Michelet'a* jest tylko wrzekomo gorącą obroną kobiety, a w rzeczy saméj jest jéj potępieniem, jest dospotycznym, zabijającym dla niéj wyrokiem.

Chcąc tego mniemania dowieść, zacznijmy od założenia autora i przejdźmy potém główne wytyczne całéj téj książki.

Otóż wymowny dziejopis zakłada sobie przeprowadzić myśl odrodzenia ludzkości przez miłość. Myśl ta jest arcywzniosła i piękna. Daje nam to autor niejednokrotnie do zrozumienia, a nawet nieraz natrąca, jakoby myśl ta była zupełnie nową. Wzmianki te przypominają nam mimowoli, iż ludzkość już raz została odrodzoną przez miłość i stało się to jeszcze przed ośmnastą wiekami, a przypomnienie to, do którego autor sam ani jedném słówkiem się nie przyczynia, budzi w nas już na samym wstępie pewną ku niemu nieufność: ale czytamy jego książkę tylko z tém większą uwagą.

I cóż z niéj wyczytujemy?

Oto dowiadujemy się już niebawem, iż owa tak głośno zapowiedziana i tak wiele spełnić mająca miłość *Michelet'a*, jest tylko drobniutką, więcéj cielesną niżeli duchową, mieszkającą w przeważnéj części we krwi i nerwach, pomiędzy ścianami sypialni zamkniętą miłością; a przeznaczeniem jéj, przynosić rozkosz i szczęście mężowi, orzeźwiać go po trudach i pracy, rozweselać, odmładzać: co wedle *Michelet'a* jest jedyném powołaniem kobiéty, a zarazem tym okrzyczanym środkiem odrodzenia ludzkości. Dziwnie to płytkie głębokiéj myśli pojęcie. Albowiem przypuściwszy nawet, iż miłość tak zrozumiana mogłaby się przyczynić nie do odrodzenia, ale do naprawienia ludzkości; to zawsze rzeczą jest pewną, iż zamknięta w ciasnocie sypialni, pamiętająca tylko o mężu, zapominająca prawie całkiem o dzieciach a całkiem o dalszéj rodzinie, o krewnych i przyjaciołach, o społeczeństwie i zresztą całéj cierpiącéj ludzkości, nie mogłaby nigdy tego wielkiego dzieła dokonać w całości, ani w połowie, ani w znaczącéj części, a zaledwie tylko w cząsteczce.

Ale niedosyć na tém.

Nie tajną bowiem już teraz jest rzeczą, iż myśl uczonego autora, myśl odrodzenia ludzkości przez miłość, nie jest rzeczą zupełnie nową, ale przeciwnie jest ona tak starą jak chrześciaństwo. Jest ona nawet tylko pojedyńczą gałązką tego olbrzymiego, niebotycznego drzewa miłości, które na téj ziemi, ku odrodzeniu ludzkości zasadził Chrystus, gałązką, którą Michelet odłamał i nie przyznawszy się wcale do tego, po swojemu ustroił, ażeby się z nią puścić w świat w celu dokonania zaprawdę że nie o wiele mniejszego dzieła, jakie skutkiem najwyższego miłosierdzia Bożego i przenajświętszéj ofiary dokonaném zostało przed ośmnastą wiekami. Pomijam tutaj to, cobym już z tego względu mógł na niekorzyść téj książki powiedzieć, bo chcę tylko widzieć szlachetny jéj zamiar, który wiele usprawiedliwia: ale nie mogę tego przemilczeć, iż autor wcale zapomina o tém, zkąd wziął właściwie czystą treść téj niby wynalezionéj, ale i zamąconéj przez siebie nauki. Chociażbym tedy nie powiedział, że poszedł wbrew, to muszę zawsze powiedzieć, że ominął Chrystusową naukę: a lubo sam z jéj źródła zaczerpnął, jednakże tak dalece o niéj zapomniał, że nie znalazł dla niéj ani jednego wspomnienia przez całą książkę. Z tego téż powodu, jak nas na samym wstępie zawiewa, tak nie opuszcza potém do końca pewna pycha dzisiejszemu wiekowi właściwa, duszność zamkniętego na ziemi uczucia, ciasnota ograniczonych na samą doczesność pojęć o przeznaczeniu człowieka i w ogóle, mimo częstych zapewnień przeciwnych, duch materyalny, ziemski, pogański.

Wielka to wada! Jakoż ona sama przekonywa nas dostatecznie, iż książka ta nie może w sobie zawierać nauki odpowiedniéj nam, którzyśmy byli po wszystkie wieki wiernymi wyznawcami Chrystusowéj nauki, którzy w niéj tylko znachodzimy nagrody za nasze poświęcenia, ofiary, cierpienia, i którzy dziś jeszcze nie możemy poprzestać na tych rozkoszach i szczęściu, jakie znajdujemy na ziemi.

Ale zawiera ta książka w sobie i wady inne.

Rzecz to jest jasna, iż kto z takiém niechrześciańskiém natchnieniem, z zapomnieniem o Chrystusowéj nauce, przystąpił do przdstawienia tak wyłącznie Chrystusowego dzieła, jakiém jest małżeństwo, ten musiał się na fałszywéj oprzeć podstawie i napłodzić fałszów co nie miara.

Tak w saméj rzeczy stało się tą razą z *Michelet'em*.

Opierając się na marnych w obec praw wiekuistych odkryciach, jakie ostatniemi czasy poczyniła anatomia i fizyologia, przyjmuje on za zasadę: iż kobieta, z powodu pewnych przypadłości odwiedzających ją peryodycznie, jest ciągle chorą, jest *chorą*, w najściślejszém tego słowa znaczeniu. Zasadę tę muszę stanowczo zaprzeczyć. Odczytawszy to, co Michelet powiada, a jeszcze bardziéj, odniósłszy się do tych źródeł, z których on sam czerpał (1), można wprawdzie z łatwością uledz przekonaniu, że uczony dziejopis ma słuszność: ale przekonanie to trwać będzie w razie najgorszym tylko dopóty, dopóki temu przedmiotowi pod przewodem anatomii i fizyologii przypatrujemy się z blizka. Oddaliwszy się zaś tylko cokolwiek od niego i wziąwszy go z właściwéj dystancyi na oko, obaczymy niebawem, iż zasada przez *Michelet'a* przyjęta, a zwłaszcza w jego zastosowaniu, jest tylko czczém urojeniem. Zdanie moje, *Micheloto'wi* przeciwne, muszę porównaniem uprzedzić. Gdyby ptak, mający skrzydła i mogący się unosić nad ziemią, umiał myśléć, to przypatrzywszy się człowiekowi, który skrzydeł nie ma i musi pełzać po ziemi, pomyślałby pewnie, że człowiek jest niedoskonałém stworzeniem, że musi mu być bardzo źle bez skrzydeł, że niedostatek ten jest kalectwem, chorobą, krótko mówiąc, że człowiek jest chorym. A tymczasem człowiek jest zdrów, wcale tego nie czuje, że skrzydeł nie ma; a przypadłość ta, wskazująca go na pełzanie po ziemi, nie jest bynajmniéj chorobą, tylko jest jego naturą. Otóż tak samo mężczyzna, rozważając przypadłości, którym ulega kobieta a od których on wolny, rozumié o nich, że są niedostatkiem, są pewnego rodzaju kalectwem, że są wcale chorobą. A tymczasem kobieta jest jak najzupełniéj zdrową, a te przypadłości, przedstawiające się naszym oczom jako choroba, dla niéj nie są wcale chorobą, tylko jéj własną, wcale znośną i wcale nieuciążliwą naturą. Porównanie to, zdaje mi się, obala urojoną przez *Michelet'a* chorobę stanowczo; ale obala ją jeszcze daleko stanowczéj rozumowanie następujące. Gdyby kobieta była *chorą*, istotnie, tak jak to utrzymuje autor książki *L' Amour*, to byłaby, mówiąc po prostu, kaleką, stworzeniem niedoskonałém, nieskończonem, nieudanem, chybionem. A czy można przypuścić, ażeby pomiędzy miryadami stworzeń Boskich,

(1) Głównem źródłem, na którém opiera się *Michelet*, jest K. E. Baer. „*Epistola de ovi mammalium et hominis genesi.*“ Lipsk 1827. *Entwickelungs-Geschichte der Thiere.*“ Królewiec 1828. „*Geschichte der Entwickelung der Fische.*“ Lipsk 1835.

wszystkich tak wykończonych i doskonałych, że im najdowcipniejsza mądrość ludzka jeszcze nic nie potrafiła przyganić, jedna tylko kobieta, wedle samego Michelet'a najpiękniejszy twór Boski, była niedoskonałą, nieudaną, chybioną? Nie, tego przypuścić nie można. Naprożnoby nawet było fałsz taki jawny przypuszczać, jak skoro zaprzecza go doświadczenie wszystkich minionych wieków. Widzimy bowiem, że kobieta, tak jak każde stworzenie Boże, ma swoje przeznaczenie wyłączne i przeznaczenia tego od stworzenia świata po dzień dzisiejszy dopełnia najdoskonaléj. Widzimy nawet i więcéj, bo właśnie przypadłość ta, w któréj *Michelet* dopatrzył źródło nieustającéj choroby, jest najwybitniejszą cechą jéj przeznaczenia, jest źródłem jéj doskonałości, jéj zdrowia; z czego wynika bardzo logiczny i także doświadczeniem wszech wieków stwierdzony wniosek, iż właśnie dopiéro niedostatek téj przypadłości czyni ją nieodpowiednią jéj przeznaczeniu, a więc niedoskonałą i chorą. Cóżkolwiekbądź, kobieta jest doskonałą i zdrową, a tego zdrowia nie odbiorą jéj nawet najgenialniejsze odkrycia anatomii i fizyologii i nie odbiorą jéj nawet natenczas, gdyby na ich podstawie miały być zbudowane jeszcze stokroć piękniejsze na jéj cześć ołtarze, niżeli jest w mowie będąca książka *L'Amour* (1).

Ale gorącemu wielbicielowi przedstawionéj przez siebie kobiety, potrzeba było koniecznie téj chorowitości, tego niezdrowia, tego cierpienia, narzuconego kobiécie; albowiem na téj się opierając podstawie, może on, wedle swego widzenia rzeczy, tém pewniéj dla niéj obudzić tkliwość, utrwalić miłość, zapewnić troskliwość, opiekę i nieustanne zajęcie mężczyzny. Tak jest, na tém głównie opiera całą swoją budowę uczony autor; na to téż tylko wymyślił dla niéj chorobę. Szczegół ten jest nie-

(1) W jedném miejscu wyżéj wspomnionéj książki Michelet wpada w rażącą sprzeczność ze samym sobą. Wspomina on (str. 390) św. Tomasza (zapewne z Akwinu) i urąga mu za to, że gdzieś powiedział: jakoby kobieta była *un être accidentel et manqué, qui ne dut pas entrer dans la création primitive*. Nie mam pod ręką dzieł św. Tomasza, ażebym mógł sprawdzić tę nieoznaczoną cytacyą u źródła; ale nietrudno mi się domyśleć, w jakim sensie i w jakim celu mógł sławny *doctor angelicus* takie zdanie objawić. Jakoż nie oto tu idzie; tylko oto, iż Michelet temu zdaniu z wielkim nawet naciskiem zaprzecza; a przecież sam, dowodząc, że kobieta jest *chorą*, nie dowodzi czego innego, tylko że jest stworzeniem niedoskonałem, chybionóm, *un être manqué*.

zmiernie zadziwiającym, albowiem mało komu z oświeceńszych osób nieznaną jest przeszłość tego znakomitego autora. Jego wyborne dzieła, zawsze na głębokiéj oparte nauce, często nawet genialne, noszą na sobie cechę niepospolitą przejrzystością opatrzonego umysłu. Jego „*Wstęp do historyi powszechnéj* (1)“ jest dowodem bardzo głębokiego rozmysłu i obszernego poglądu; jego „*Pamiętniki Lutra* (2)“ zdradzają bystrość krytyczną i przenikliwą; a w ogóle wszystkim jego utworom wszystko daleko prędzéj można zarzucić, niżeli ciasnotę pojęcia, płytkość w rozumowaniu albo posługiwanie się ubocznemi sztuczkami na miejsce argumentów poważnych. Jakim tedy sposobem umysł taki bogaty, głęboki i przenikliwy mógł niedopatrzéć w kobiécie tych niezliczonych przymiotów wzniosłych, pięknych, dodatnich, któremi ona sobie od najdawniejszych czasów zjednywa opiekę, miłość, szacunek; a wpaść na pomysł taki ujemny, ażeby jéj zmyślić chorobę i przez nią wzbudzać dla niéj zajęcie, jest rzeczą w saméj istocie zadziwiającą. A pomysł to dziwnie jest nizki, tak nawet fatalnie nizki, iż mimowoli przypomina okrzyczaną przed kilką laty książkę, „*La dame aux camellias*,“ w któréj autor nazwany słusznie *le blanchisseur des maîtresses*, ażeby pozyskać serca dla swéj heroiny, każe jéj krwią pluć i na suchoty umierać. Niezmierna jest różnica pomiędzy Micheletem a Aleksandrem Dumasem synem, jeszcze daleko większa pomiędzy heroinami ich książek; ale że obydwie te heroiny pukają do serc naszych o tkliwość krwią i chorobą, tego nikt nie zaprzeczy.

Nie trzeba się wszakże dziwić tak bardzo, iż genialny gdzieindziéj autor wpadł tym razem na tak błędne drożyny: zdarzało się to już i genialniejszym od niego z tegoż samego powodu. A powodem tym jest to, iż uczony dziejopis, chcąc zrozumieć naturę i powołanie kobiéty, chce być koniecznie oryginalnym i odrzuca ryczałtem to wszystko, co powiedziano dotąd o tym przedmiocie. Godzien on jest wszelkiéj pochwały, za to, iż odrzuca to wszystko, co o kobiecie powiedziała nowsza literatura francuzka, a nawet i autorowie inni do téj szalonéj koteryi nienależący; ale grzészy śmiertelnie, odrzucając zarazem to, co dla kobiéty zrobiła Chrystusowa nauka. A przecież jeżeli za

(1) „*Introduction à l'histoire universelle, suivie du discours d'ouverture prononcé à la faculté des lettres.*“ Par. 1831.

(2) *Memoires de Luther, écrits par lui même*, etc. Par. 1835.

czyim przewodem można wznieść wysoko kobiétę, to niezawodnie najpewniéj za przewodem Chrystusowéj religii, która kobiétę wyswobodziła z okrutnych i wielorakich więzów pogaństwa, uczyniła wolną i równą współuczestniczką mężczyzny we wszystkich dobrach doczesnych, a otworzywszy przed nią cały skarb cnót chrześciańskich, wzniosła ją zarazem do najwyższéj wysokości możliwéj, do wysokości ofiary! Cudowną miał Michelet przewodniczkę przed sobą w chrześciańskiéj religii: ale ją ominął i wziął kobiétę na oko w obec natury, Chciał ją podnieść w sposób oryginalny i podniósł w saméj rzeczy i zrobił z niéj bóstwo, ale pogańskie.

Jakoż istotnie ta ubóstwiona przez *Michelet'a* kobieta jest w obec pojęć naszych tradycyjnych i religijnych, dziwnie małém i nizkiém stworzeniem. Przypatrzmy jéj się cokolwiek bliżéj, a przekonamy się o tém.

Jest ona tedy przedewszystkiém inném *chorą*, jest chorowitą kalecką. Męczona ciągłą krwi fluktuacyą, wibracyą nerwów, uderzaniem humorów, jest ona właściwie do niczego, do żadnéj statecznéj pracy, nawet do żadnego trwałego zajęcia niezdatną. Na czém też *Michelet* opiera swoję naukę: że kobiéta nie powinna nic robić, w żaden sposób pracować, a zajmować się tylko czasem, z niechcenia, jakąś lekką robotą. „*La femme n'est bonne à rien.*“ „*Elle n'est guère propre au travail, même en sa pleine santé.*“ „*Quel est son but de nature? sa mission? La première, aimer. La seconde, aimer un seul. La troisième, aimer toujours.*“ (str. 11, 13). Tém się zaczyna i na tém kończy charakterystyka jego kobiety: cała książka jest tylko zręczną tego tematu waryacyą. Kobiéta żyje tylko miłością, jest sama tylko miłością, od kolébki do grobu.

Jestto myśl piękna i w swoim gruncie prawdziwa, ale jakżeż jednostronnie, jak ciasno przez *Michelet'a* pojętal Jego kobieta żyje tylko wyłączną i samolubną miłością. Idąc za mąż, nie chce ona nikogo prócz męża cierpieć w swym domu, niecierpi nawet swojéj rodzonéj matki. Ucieka od krewnych, od przyjaciół, od ludzi i zamyka się w oddalonym, odgraniczonym starannie od świata, zaryglowanym domku ze swoim mężem, ażeby tam żyć miłością. Ten domek odosobniony, tę miłość, to szczęście małżeńskie opisuje autor z poetycznym zapałem i nieraz z najsubtelniejszém uczuciem piękna. Ale pomimo tych wszystkich piękności, to życie, tak ściśle odstrychnione od ludzi, tak szczelnie pomiędzy ścianami wiejskiego

ogródka i domku zamknięte, jest dziwnie czcze w swoim gruncie i próżne. Piękna i młoda mężatka kąpie się w wodzie i w słońcu, bawi się kwiatami i kocha, ale nic więcéj. Nie zajmuje się niczém, nie udziela się nikomu, ani swéj własnéj rodzinie ani rodzonéj matce; żyje tylko tém i na to, aby przynosić rozkosz miłosną sobie i swemu mężowi i tak jest tém wyłącznie zajęta, że nie uczuwa nawet ani razu potrzeby rzucenia się na kolana przed Bogiem, choć aby tylko podziękować Mu za to szczęście: kobieta *Michelet'a* nie zna wcale modlitwy. Jéj mąż jest jéj mężem, ojcem, panem i całym światem: jakoż jemu tylko oddana, jak rzecz, jak narzędzie, trawi ona całe swe życie w ścisłém zamknięciu, od zamąż pójścia do grobu. Zaprawdę, nie o wiele różném jest życie hurysek, zamkniętych w haremie sułtana!

Zwyczajnym rzeczy porządkiem przybywa dziecię pomiędzy ściany téj osamotnionéj siedziby. Nowy gość miernie tylko upragniony przez męża, który w nim widzi rywala w swojej miłości, staje się wielkiém szczęściem dla matki; ale jest ona w swojéj chorowitości jego przybyciem tak umęczona, że szczęście to już się drugi raz nie powtarza. Tu muszę wspomnieć z naciskiem, iż tym sposobem uczony dziejopis przedstawia nam tylko wyjątkową kobietę; zazwyczaj bowiem staje się ona godną częstszego błogosławieństwa Bożego i bywa matką kilkorga dzieci. Nie mogło się to jednak stać z kobietą *Michelet'a*; bo w takim razie, jako matkę licznéj rodziny, musiałby on ją był przedstawić obarczoną niezliczoną ilością zajęć i obowiązków, które dla naszéj kobiety są prawdziwém szczęściem, są szkołą, są ową wspaniałą sceną, na któréj dopiéro w właściwém świetle występują jéj nieocenione przymioty: jak roztropność, cierpliwość, skrzętność, zapobiegliwość i ta niespracowana macierzyńska opieka, która się nieraz z jéj ręki roztacza nad gromadką złożoną z kilkudziesięciu osób. *Michelet'a* kobieta nie jest zdolną do takich zatrudnień, *elle n'est bonne à rien:* dla tego przyjąwszy w swoje objęcia jedno szczególne dzieciątko, na niém przestaje i kończy swój zawód matki i opiekunki.

Dzieciątko swoje kocha ona wprawdzie nadzwyczaj tkliwą miłością; ale trwa to tylko dopóty, dopóki dziecko jest w domu. Jak tylko go do szkół oddano (jestto oczywiście chłopiec, z córką miałaby ona za wiele kłopotu), miłość dla niego już chłodnie, pomału zaciera się pamięć; raz tylko jeszcze potém pokazuje się w domu rodziców i potém ginie bez pamięci i na

zawsze. Szczegół ten jest wzięty z natury: tak bywa u zwierząt. U zwierząt żyjących lat kilka lub kilkanaście, matka pamięta o dziecku kilka miesięcy; kobieta *Michelet'a*, żyjąca lat kilkadziesiąt, pamięta o swojém mniéj więcéj lat kilkanaście. Po tym przeciągu czasu, kiedy ta osobliwsza kobieta już ma lat 36 albo 38, albo może 40, zwraca *Michelet* znów na nią naszą najpilniejszą uwagę i zapowiada nam, że kobieta się wtedy po raz wtóry odmładza.

Czytamy te kartki z ciekawością niezmierną.

I u nas bowiem występuje kobieta pod tę porę w nowéj postaci. Jestto chwila niezmiernie ważna w jéj życiu. Przestaje ją wtedy Pan Bóg błogosławić nowemi dziećmi, młodość jéj mija stanowczo, a ona sama zaczyna się stawać poważną i stateczną matroną. Dzieci jéj już do tego czasu dorosły, co ją zniewala do rozszerzenia ścian swego domu, do częstszego wychylania się w świat obszerniejszy, do zawierania bliższych stosunków z ludźmi w celu podania sposobności swym dzieciom ku pozyskaniu ich przyjaźni, miłości, a w razie potrzeby pomocy. Nasza kobieta zaczyna wtedy jaśnieć rozsądkiem a często znamienitym rozumem, imponować powagą, zniewalać serca obyczajnością stateczną i panować w swém kole, pięknym, oblitującym w cnoty, przykładem. Dotąd zajmowała ona w społeczeństwie stanowisko tylko pośrednie przez swą rodzinę, w któréj kóleczku zamykała się cała jéj czynność; dzisiaj zaczyna działać na społeczeństwo wprost, bezpośrednio i zajmuje w niém wtedy nie jednokrotnie stanowisko znamienite i górujące. Rola jéj znacznie się zmieniła: inna jest dzisiaj jéj postać, inna scena działania, inne zupełnie stanowisko na świecie. Tak się dzieje u nas, a cóż się dzieje z kobietą *Michelet'a?*

Oto jego kobieta, doszedłszy do lat czterdziestu i zamknąwszy swego jedynaka w jakiéjś szkole wojskowéj lub innéj, odmładza się sama, odmładza się w ścisłém tego słowa znaczeniu. *Michelet* nam opisuje to odmłodzenie i powiada, że lubo jéj twarz wprawdzie nie odmłodniała, jednak jakże stężało jéj ciało, jak się zaokrągliły jéj formy! „*Il n'est pas rare pour celle-ci (la Française) que le corps ait vingt-cinq ans et le visage quarante. Des plis se creusent autour de l'oeil, à la joue, lorsque au contraire le genou, le coude*"... i t. d. (str. 335). Zdaje mi się, że dosyć. Nabrała jego kobieta dotychczas więcéj światła, nawet rozumu; zawiaduje już teraz kuchnią i kassą, jest swego męża sekretarzem, czasem staje w jego obronie; lecz w koniec

końców jest znowu tylko jego odmłodzoną buryską. Z niepospolitą zręcznością opisuje *Michelet* tę odrodzoną miłość małżeńską, z potęgą mistrza, jak gdyby za pomocą hydraulicznéj prasy, wyciska z tego suchego przedmiotu nawet jakie takie piękności; ale wszystko to nie odmienia błahéj cielesnéj treści, która jest dziwnie rażącą. Spostrzega się w tém i mówi zaraz poniżéj: „*Cette ampleur de formes n'a pas des effets tout materiels.... Elle en a aussi de moraux*".... (Nr. 335); ale sąto już tylko brzmiące frazesy, jestto w najlepszym razie tylko bałwochwalstwo natury, prowadzące wprost do materyalizmu, a tak chrześciaństwu i prawdziwéj moralności przeciwne, jak cała filozofia, jak cała książka niniejsza *Michelet'a*.

Przychodzą z kolei te czasy, w których oboje małżonkowie już się zestarzeli. Zaczynają myśléć o śmierci. Spodziewamy się, że przynajmniéj choć teraz zaczną myśléć o Bogu. Ale gdzież tam! Dla tych ludzi, oddanych uwielbionéj przez *Michelet'a* miłości, nie masz Boga na ziemi. Myślą oni o śmierci z poetyczną tkliwością, z tęsknotą, ze smutkiem; ale źródłem tego wszystkiego jest żal, że muszą opuścić tę ziemię, na któréj znaleźli tyle miłości i szczęścia.

Przychodzi nareszcie śmierć. Kończy tedy Michelet swą książkę tym arcy grzecznym, lubo zresztą prawdziwym, dla dam komplementem: że mąż powinien umiérać pierwéj, a żona powinna jeszcze pozostać. Jest w tém pewna prawda, oparta na doświadczeniu. Ale spodziewamy się po niéj czegoś więcéj, niżeli jéj saméj. Zdaje nam się, że ta kobieta okaże się choć teraz w jakiéjś sędziwéj, duchowéj, chrześciańskiéj powadze pośród rodziny i społeczeństwa; oczekujemy prześwietnéj postaci naszéj najukochańszéj babki. Wszakże i ta ostatnia nadzieja zawodzi nas jak najzupełniéj. Albowiem autor każe się na to pozostać żonie po śmierci męża, ażeby było komu płakać na jego grobie i utrzymywać jego pamięć w gronie pozostałych przyjaciół. Mniejszéj i niższéj roli trudno już było dla niéj wymyślić. Przed samym grobem tedy jest kobieta Michelet'a znów tylko pogańską buryską, opłakującą śmierć swego męża i pana.

Taka jest charakterystyka téj okrzyczanéj książki sławnego francuzkiego autora, która do dnia dzisiejszego rozeszła się w kilkunastu tysiącach egzemplarzy po świecie i któréj tłumaczenia są już zapowiedziane w niemieckim, angielskim a nawet i innych językach.

Nie powiedziałem ja wszakże o niéj jeszcze wszystkiego.

Wspomniałem powyżéj, że *Michelet* oparłszy się na fałszywéj podstawie, najwierutniejsze powyprowadzał z niéj fałsze. Główny fałsz jego wytoczyłem w całéj rozciągłości od początku do końca; ale prócz tego fałszu jest ich jeszcze daleko więcéj. Wypadałoby i o nich nadmienić. Nie mogę jednak tego uczynić, nie chcąc, ażeby nad moją pracą mógł się ktobądź zarumienić. Odsyłając tedy ciekawych do saméjże książki *Michelet'a*, a pod tym względem głównie do noty 4 (str. 398), kończę tą ostateczną uwagą, iż fantastyczny autor opierając się na spostrzeżeniach fizyologicznych, orzeka w końcu, iż wiarołomstwo w skutek odebranych od męża stanowczych wpływów, nawet przy rezultatach widomych, w gruncie rzeczy jest niczém, bez żadnego znaczenia, jest niemożliwém: „*que l'adultère serait impossible*", *car* „*la possession du mari devenant ineffaçable, le seul trompé serait l'amant*". Takie jest przypuszczenie autora o wiarołomstwie pod względem fizycznym, a o moralnéj stronie popełnionego grzechu nie masz ani wspomnienia!

Nie umiem sobie przypomnieć książki, któraby pod osłoną tak szanownego zkądinąd imienia i takiéj pięknéj szaty zewnętrznéj, zawierała w sobie więcéj ślepego i wyłącznego uwielbienia natury, więcéj zapomnienia o Bogu i więcéj zaraźliwego zepsucia.

Rozumienie moje o tém dziele sławnego autora Francyi, zasadom w niém objawionym przeciwne, zamykam w słowach następujących:

Myśl *Michelet'a odrodzenia ludzkości przez miłość* jest w gruncie rzeczy wyjęta z Chrystusowéj nauki; lecz wiarołomnie przesadzona na grunt pogańskiéj filozofii natury, wydaje tutaj tylko zielone i jadowite owoce.

Miłość *Michelet'a* jest ograniczoną, materyalną, pogańską.

Kobieta jego jest stworzeniem nizkiém, nędznem, niezdarném.

Kobieta nie jest *chorą*, lecz zdrową moralnie i fizycznie.

Jest odpowiedzialną za wszystkie swoje myśli, uczucia i czyny, tak jak każdy człowiek żyjący.

Jest zdolną do bardzo rozmaitych i wielorakich zatrudnień i wbrew zasadom *Michelet'a*, a pod karą chybienia swojego przeznaczenia i utratą błogosławieństwa Bożego, powinna wedle sił i zdolności swoich pracować.

Powołanie jéj nie jest rozmiarów gabinetowych i nie ogranicza się tylko na saméj miłości dla męża do grobu a dla swojego dziecka do czasu.

Kobieta nie może się obejść bez religii.

Nie może się obejść bez zajęcia odpowiedniego stanowiska w rodzinie, a przez rodzinę w społeczeństwie, bo to jest jéj przeznaczeniem.

Kobieta nie odmładza się po raz wtóry około czterdziestego roku swojego życia, tylko przechodzi w inny, poważniejszy okres swéj roli.

Wiarołomstwo jest i zostanie po wszystkie czasy grzechem śmiertelnym, jakiekolwiekby były albo nie były nowsze wynalazki anatomii i fizyologii.

A wreszcie książka *Michelet'a* jest fałszem głównym w głównéj swojéj zasadzie, jest świętokradztwem przeciw religii, jest nieopatrznym wybrykiem przeciwko moralności i obyczajności, jest obrazą, bluźnierstwem i poniżeniem kobiety, jest pełną zaraźliwéj trucizny i nie powinna się znajdować w ręku żadnéj kobiety.

Na tém kończę moję niniejszą rozprawę z książką *L'Amour*.

Odczytawszy to, com dotąd napisał, prawie żal się we mnie odzywa, iż uczułem się zniewolonym do wystąpienia z takim surowym sądem przeciwko tak znamienitemu zkądinąd mężowi, używającemu niepospolitéj wziętości i sławy w swoim narodzie. Ależ właśnie dla téj jego wziętości musiałem to zrobić, i spodziewam się, że jeżeli mnie z tego nie usprawiedliwi prawda, w któréj przemawiam obronie, to mnie usprawiedliwią następujące okoliczności:

Najpierwéj książka ta tak pełna zasad sprzecznych z religią i moralnością, tak przeciwna tradycyjnym i naturalnym uczuciom naszym, tak wreszcie poniżająca stanowisko i powołanie kobiety, rozeszła się, jak się o tém dowiaduję z wielostronnie pozasięganych relacyj, w bardzo licznych egzemplarzach po Polsce, a nawet została tam i sam z bardzo przyjaznym rozgłosem przyjęta.

Powtóre, pojawiły się wprawdzie niektóre wzmianki krytyczne o niéj w polskich dziennikach: nie czytałem zapewne wszystkich, ale te, które czytałem, nie zaspokoiły mnie wcale.

A wreszcie, wyczytuję w jednym z dzienników zapowiedź, iż już zostało rozpoczęte jéj tłumaczenie na język polski.

Okoliczności te, zdaje mi się zanadto ważne, ażeby na nie słusznego nie zwrócić względu, musiały mnie nareszcie zniewolić do stanowczéj protestacyi przeciwko wpływom téj książki, któréj dążności i charakter określiłem powyżéj.

Ale nie dosyć na tém: albowiem te same okoliczności zniewoliły mnie także do tém skwapliwszego wykonania téj literackiéj pracy, którą oddawna już miałem na myśli, a o któréj wspomniałem na początku niniejszéj przedmowy.

Czynię też to niniejszém i biorę czémprędzéj pióro do ręki, ażeby fałszywym *Michelet'a* o kobiecie pojęciom przeciwstawić pojęcia nasze, a postać jéj wzniosłą, zdrową i piękną odmalować tak, jak nam ją stworzyły Chrystusowa nauka, narodowa tradycya i nasze własne uczucie.

Nim wszakże do téj pracy przystąpię, muszę ją zastrzedz przeciwko wszystkim możliwym zarzutom co do jéj formy; albowiem rzeczą jest oczywistą, iż przystępując do niéj daleko wcześniéj, niżeli sobie to zamierzyłem, nie mogę jéj oddać na użytek powszechny ani w takiéj postaci, jaką dla niéj w méj myśli zarysowałem pierwotnie, a tém mniéj w takiéj, jakaby mogła odpowiedzieć słusznym wymaganiom czytelnika, stojącego na wysokości dzisiejszej umiejętności i sztuki.

Tak przedewszystkiém część historyczna, któréj zbudowanie dokładne wymagałoby jeszcze wiele poszukiwań i studyów, a która może nawet i wtedy jeszcze musiałaby się zastrzegać przeciwko wymaganiom krytyki, okaże się tu w bardzo szczupłych rozmiarach. Treść jéj zamieni się w kilka pobieżnych wspomnień, a zresztą rozleje się ona po całéj książce o tyle, o ile w téj albo owéj kwestyi odwołanie się do historyi będzie potrzebném.

Powtóre, o zbudowaniu jakiegoś organicznego systemu zasad moralnych, co podług pierwotnego zamiaru miało stanowić część drugą, także mi teraz niepodobna pomyśléć; a treść téj części będzie musiała być tak samo zużytą, jak treść części pierwszéj.

Z tego obojga wynika, iż przedmiot sam, choć może obmyślany dostatnio, będzie musiał ze szczebla ścisłéj i poważnéj rozprawy zestąpić na nizki stopień pogadanki poufnéj, zamiast teoretycznych wywodów imać się często obrazowości i w ogóle

zresztą, nie wylewając się z gotowéj już formy, tylko prosto z myśli i z serca, na papiér przedstawić się tak, jak go chwilowe usposobienie przyniesie.

Zyska może na tém ta książka to, iż rozmawiając z czytelnikiem jak z bratem, stanie się przystępniejszą dla daleko obszerniejszego ogółu, coby było nadzwyczaj upragnionym dla niéj wypadkiem; lecz straci przez to na tém wszystkiém, czego się zwykle wymaga po każdém dziele skończoném.

To są już z góry przewidziane niedostatki téj pracy, a będzie ich niezawodnie daleko więcéj.

Nie idzie mi wszakże w tym razie ani o literacką, ani o artystyczną, lub tym podobną zasługę, tylko o prawdę; a ta, jak z jednéj strony potrafi się i z mniéj foremnych kształtów wyłonić, tak znowu z drugiéj jest rzeczą tak arcyważną, że dla niéj przebacza się zwykle niektóre niedostatki lub wady.

Nie ma też książka niniejsza najmniejszéj pretensyi stawienia się pod względem literackim i poetycznym obok znamienitego dzieła *Michelet'a*: ale ma tę pretensyą pod względem pojęć i zasad.

Celem jéj tedy jest niewystawienie błyszczącego pomnika postaci, stanowisku i powołaniu kobiety; lecz tylko założenie w sposób dodatni wykonanéj protestacyi przeciwko innowacyom tak zgubnym i zaraźliwym, jak owo pogańskie bałwochwalstwo natury i moralne poniżenie kobiety, które jest treścią dzieła *L'Amour* i wielu innych.

A zresztą, gdyby ta książka nawet i tego nie dopełniła zadania i stała się tylko powodem do wydobycia na jaw tego arcyważnego przedmiotu, a wywołała z pod innych piór sąd o nim stanowczy: to i na tém będzie jéj dosyć, a czas i praca zużyte na jéj napisanie będą wynagrodzone sowicie.

Bereźnica, w maju 1859 r.

LITERATURA WŁOSKA.

RZUT OKA NA OBECNE PIŚMIENNICTWO.

III.

Tomasso Grossi—Apoteoza mierności.—Śmierć bohaterkom!— Boerchot-Carrer.— Włoska fantastyczność.— Niebo za jasne i słońce za świetne... dla duchów, ale nie kochanków.— Wesoły Romani, i smutny Dall'Ongaro.— Parnas krynolin.— Szkoda papieru, pióra,... i czytelników.

Po tych orłach literatury włoskiéj, bladymi wydać się muszą autorowie, o których teraz mówić mamy. Szereg ich bogaty jest z nazwiska, ale ubogi co do treści. Leopardi i Giusti nie utworzyli dotąd szkoły i nie znaleźli naśladowców. Za to spotykamy, począwszy od Silvia Pellica i Manzoniego, mnóstwo utworów ściśle klassycznych, a szczególniéj poematów lirycznych, rozwodnionych, bladych, a nieskończenie długich. W tym rodzaju celuje głównie Tomasso Grossi. cztery płaczliwe poemata jego, Giselda, Ildegonda, La fuggitiva, Ulrico e Lida, są tak jednotonne, tak mdłe, ckliwe i jednakie w formie, treści i sytuacyach, iż gdyby nie zmiana imion, trudnoby rozpoznać, gdzie jeden się kończy, a drugi zaczyna. Ulubionym i jedynym przedmiotem tych wszystkich wierszowanych powieści, tak je bowiem autor nazywa, jest niezmiennie miłość najwierniejsza a nieszczęśliwa dwojga młodych kochanków, których okrutny ojciec rozdziela. Grossi jest nieubłaganym dla swoich lirycznych postaci. Na próżno przeszkody bywają niekiedy usunięte, po wielu próbach słońce zdaje im się

w końcu uśmiechać; już, już mają być szczęśliwi, już nawet okrutny ojciec daje się ubłagać, gdy Grossi pokazuje się okrutniejszym od niego i bez miłosierdzia zabija, jeśli nie oboje kochanków, to przynajmniéj bohaterkę. Tak to nieszczęśliwe: Giselda, Izabella, Ildegonda i Lida, umierają jedna po drugiéj jednaką, a dla czytelnika bardzo powolną śmiercią; każda albowiem z dziesięć kartek zbitego druku zajmuje. Tylko jedne umierają w obec matki, drugie w objęciach kochanka, lub też na łonie zgromadzonéj rodziny, co naturalnie przedłuża jeszcze scenę pożegnań, łez, i agonii. Autor nie chce nam darować ani jednego westchnienia, złożenia rąk, ani jednego jęku; musimy patrzéć, jak się rozsypują po alabastrowém łonie, na kształt aureoli, złote ich włosy, jak gaśnie blask błękitnych źrenic, bledną usta koralowe etc. etc. etc. Wszystkie zaś ma się rozumieć umierają bardzo przykładnie: w szesnastym roku życia żegnają obecnych, spowiadają się i przebaczają nieprzyjaciołom: nie wiemy, czy autorowi także? W każdym razie czytelnik nie koniecznie idzie za ich przykładem.

Jednak pominąwszy te wady i śmieszności, płaczliwy Grossi jest jednym z najsławniejszych autorów zaalpejskich. Sławę tę winien on poczęści, kilku istotnie pięknym balladom rycerskim i pomniejszym piosnkom, oraz powieści pod tytułem: „Marco Visconti“ która oprócz zwykłych usterków, ma rzeczywiste zalety i do najlepszych utworów téj szkoły zaliczyć się może. W téj ostatniéj jednak także, autor wierny raz przyjętemu systematowi, zabija w ostatnim rozdziale niewinną Bice, tak samo jak i jéj poprzedniczki Giseldę, Izabellę, Ildegodnę i Lidę.

Głównie jednak sława Grossego pochodzi ztąd, iż jest on na równi ogółu, i nie razi go ani zbyt namiętném uczuciem, ni głębszą myślą, ni żadnym wybrykiem wyobraźni. Wiersz jego poprawny i potoczysty, nikogo nie zmusi do myśli, nikogo głębiéj nie poruszy. Łatwy i przystępny, umié on najcodzienniejsze uczucia barwić w szaty zdawkowéj poezyi, i łechce tym sposobem próżnostki powszedniego tłumu, który chciałby bez trudu, bez moralnéj pracy i ofiary, upoetyzować się w własném przekonaniu. Sposób to łatwy torowania sobie drogi i zyskania wziętości nietylko we Włoszech. Ale mało ludzi znachodzi go tak nai-

wnie jak Grossi, który nie stosuje się w tém, jak wielu autorów, do panującego smaku, ale sypie w dobréj wierze, pełnemi rękami skarby swego ducha, nie domyślając się bynajmniéj małej ich wartości i biorąc sam pierwszy te wszystkie szlifowane szkiełka za brylanty. Nie on jeden jest w tym przypadku.. U nas także jakaż to nieprzeliczona liczba gawęd, rymowanych powieści i ulotnych wierszy, żyje i kwitnie swobodnie pod cieniem własnéj mierności, a sławę ich roznosi stugębna fama, któréj potężnym organem jest cała rzesza ubogich nie z ducha, ale duchem.

Rzeczywiście, trzeba mieć bardzo okrutne serce, by powstawać przeciw tak niewinym utworom, które nikogo nie rażą, nie olśnią, nie przyćmią, a co najwyżéj mogą wśród dnia nawet, sprowadzić sen spokojny. Cóżto zresztą kogo obchodzić może, iż wśród kilkuset stronnic nie znajdzie się ani jeden wiersz, któryby wart był wyryć się w pamięci, kiedy dzieła podobne podobają się ogółowi, a nakładcy i autorowie dobrze na nich wychodzą? We Włoszech Grossi ma więcéj powodzenia niż Leopardi; u nas daleko więcéj znanym jest Syrokomla, aniżeli nieśmiertelny autor Balladyny.

Wielu poetów oprócz Grossego pisało w podobnym rodzaju; ale dzieła te nie zasługują na szczególną wzmiankę, i jak mnóstwo innych oklepanek mogą przejść niepostrzeżone. Takiemi są poemata: La Pia, Sestiniego, lub Claudio Vannini, Baldachiniego. Do téj samej kategoryi zaliczymy także hymny urzędownie religijne Borghiego a nawet i Mamianiego, które odznaczają się wprawdzie doskonałością klassyczną formy, ale chłodne, wymuszone, sztywne i nadęte, nie mają żadnéj głębszéj wartości.

Jednym z poetów odznaczających się siłą jest Berchet: jest on wprawdzie jednotonnym, ale struna rozbrzmiewająca ciągle w jego pieśniach, zawsze wzruszenie i współczucie budzić będzie, bo jest nią miłość swobody i rodzinnego kraju. Miłość ta namiętna, piętnuje wszystkie utwory jego i podnosi je niekiedy do najwyższéj potęgi: naprzykład w wierszu *Il rimorso* (Zgryzota sumienia) a szczególniéj téż w poemacie: *I profughi di Parga.* (Tułacze z Pargi). Jestto epizod z wojny greckiéj. Wyspa Parga zdradzona przez Anglików, wydaną została znanemu z okrucieństwa Alemu

paszy. Mieszkańcy jéj, chcąc uniknąć niewoli i zemsty tureckiéj, opuścili wyspę, wykopawszy wprzódy i spaliwszy na stosie kości ojców, by one nawet nie dostały się nieprzyjaciołom. Śliczny jest koniec tego poematu, gdy jeden z nieszczęśliwych wychodźców, tonący, wyratowany od Anglika, który czuwał nad nim, wśród snu i gorączki, przeklina go budząc się i odrzuca wszelką pomoc:

„Patrz, ja się wstydzę tego świętokradztwa
(*tak przemawia Anglik do Greka*)
Choć nie spełniła go dłoń, coć podaję;
Patrz, ja wspólnikiem téj zbrodni nie jestem,
Na którą własne oburza się serce.
Oh! nie ty jeden tu cierpisz. Bo straszniéj
Niźli ją stracić, jest powiedzieć sobie:
Ojczyzna moja shańbiona na zawsze
W oczach narodów i w mych własnych oczach.
Przez to cierpienie, co nam serce rani,
Słuchaj mnie, bracie, bracie méj boleści:
Nie mogę oddać ci twych ojców ziemi,
Ani wolności wrócić jéj nie mogę;
Lecz jeśli zdołasz nienawiść zwyciężyć,
Jeśli wysłuchasz téj prośby serdecznéj:
Przyjm pomoc brata twojego w niedoli,
Pomoc, co życie mniéj ciężkiém uczyni.“

Piękniejsza jeszcze jest odpowiedź Greka:

„Schowaj te dary, schowaj na dni zemsty,
Co twéj ojczyźnie jéj winy gotują.
Znajdziesz tam pewno podłych w dniu boleści,
Co je z wdzięcznością przyjmą z twojéj ręki;
Lecz znaj, że jest ból, znaj, że jest niedola,
Co w własnym duchu podnosi człowieka:
I mój jest takim, i téj świętéj dumy
Którą posiadam, Anglik mi nie wydrze.
Powstrzymaj żal twój, ja łzy nawet nie chcę;
Ja nienawidzę téj łzy twego oka;
Tyś sprawiedliwy. I cóż ztąd! tyś synem
Ojczyzny, któréj nienawiścią żyję.

. . . . . .

Może dzień przyjdzie i dzień niedaleki,
Kiedy zakwitnie braterstwo na ziemi;
Kiedy żałoba okupi żałobę:
Wówczas przyjść może przebaczenia chwila.
Dziś, co innego, nienawiść jest świeża,
I ja ją czuję i kłamać ci nie chcę;
Wiedz: że choć dzisiaj winienem ci życie,
Twojéj przyjaźni przyjaźnią nie spłacę:

Tutaj zostanę, na obcéj mi ziemi,
I dłoń rycerską, nawykłą do miecza,
Potrafię zniżyć do pracy i znoju;
Lecz nie zapomnę, kim jestem,
Kim byłem. I synów moich ja skażę na nędzę,
Ale przez Boga, oni nie powiedzą,
Nigdy, rumieniąc się za ojca czyny,
Żem chleba kawał rozłamał z Anglikiem.“

Wiersz ten pełen prostoty i silnego nie napuszonego uczucia, jest jednym z najpiękniejszych w poezyi włoskiéj. Takim jest zwykły ton Bercheta: w namiętnej miłości swojej do kraju, znajduje on wiecznie żywe źródło natchnienia, chwile prawdziwie dramatyczne i wykrzykniki poruszające. A co więcéj, umie używać ich w miarę. Naprzykład kiedy w *Il romito del Cenisio* (pustelnik z góry Cenis) starzec odzywa się do podróżników zachwyconych widokiem Italii w ten sposób:

„Przeklętym niech będzie, kto zbliża się bez łzy, do ziemi cierpienia.„

Ten wiersz krótki a wymowniejszy niż długie tyrady, oprawny w śliczną romanzę, robi wrażenie tém większe artystyczną prostotą swoją.

O Berchecie nic więcéj powiedzieć nie można: talent jego jest jednostronny; ale czytając go, za złe téj jednostronności brać mu nie można. Znać, nie silił się na natchnienia, i czerpał je tylko w prawdziwém uczuciu.

Carrer wielostronniejszym jest od Bercheta: poezye jego nie objawiają żadnéj wybitnéj tendencyi, ale za to mają małą ujemną, dodatnią stronę. Sąto wiersze niezbyt głębokie, ale i nie płaskie, nie rażące niczém. Wyżéj on jednak stoi od Grossego, wybiega śmiało po za szkolną rutynę, odznacza się naturalnością, umiarkowaniem, staranném obrobieniem i rzeczywistém niekiedy uczuciem. Zarzucilibyśmy mu to jedno, że w balladach swoich sili się na fantastyczność. Rodzaj ten, zupełnie obcy duchowi narodu i języka, z trudnością da się przyswoić we Włoszech; zbywa tam nadto na mglistych barwach i szarych tonach ulubionych od duchów i widziadeł. Jasne słońce i jasne niebo czyni tam wszystko nadto wydatném i wyraźném, by zostawiać wolne pole fantazyi. Nie jeden Carrer błąd ten popełnił: już Guerrazzi i Prati w kilku

balladach starali się ten żywioł wprowadzić; przyznać należy, że im się to wcale nie udało, bo z trudnością znajdzie on miejsce w logicznym rozwoju włoskiego ducha. Fantastyczności nikt wyrobić w sobie według woli nie potrafi; czerpać ją trzeba z legend ludowych, jak Uhland lub Bürger, albo też z widziadeł własnéj wyobraźni, jak Jean Paul i Hoffman: inaczéj będą to tylko śmieszne pastfisze, nic więcéj. Fantastyczność wprowadzać trzeba w rzeczywistość, umiejętną ręką, tak, by nie raziła czytelnika; przygotować do niéj, tonem powieści; stworzyć coś nakształt atmosfery starych zamków i cmentarzy, by w niéj istoty nadprzyrodzone swobodnie poruszać się mogły. Trzeba na to rozmarzonéj wyobraźni północnéj, mglistego nieba i tajemniczego szumu puszcz odwiecznych, by ją wyrobiły w duchu narodu lub autora, a potém podały mu ton i rytm właściwy. Wprowadzić do powieści ducha lub upiora, nie będzie to jeszcze stworzyć powieść fantastyczną: bo duch ten zbyt często wygląda na osobę żywą, przebraną w białe prześcieradło dla straszenia lub zbudowania obecnych, jak w Wędrówkach nowych oryginała, albo w Pannie postępowéj, gdzie doprawdy potrzeba bardzo wiele dobréj woli w czytelnikach, by je wziąć na seryo. U nas zaledwie geniusz Mickiewicza w Dziadach i balladach i talent Sztyrmera w prozie potrafił nadać im właściwe piętno. A jeśli u nas żywioł ten z trudnością wprowadzić się daje, cóż mówić o Włoszech. Widać tam wyraźnie już nie naśladownictwo pierwowzorów niemieckich, ale jaskrawych ballad Wiktora Hugo, których jedyną zaletą była świetność kolorytu i niesłychana kunsztowność formy. Toteż niby fantastyczne ballady Carrera wyglądają jak malowane potwory dla postrachu dzieci; znać w nich papier i farbę; nie mają one ani tego zwyczajnego moralnego sensu legend ludowych, ani symboliki głębszéj, jaką nadaje im geniusz autora. Rozumiemy doskonale znaczenie Lenory, Piekielnego strzelca, lub pieśni Wajdeloty o Morowéj dziewicy; ale przyznajemy z całą pokorą ducha, że sens ballad, jakiemi są: *Il Cavallo d'Estremadura* (Rumak z Estremadury), albo *la Fuga* (ucieczka) jest dla nas za nadto głęboko ukryty.

Ody miłosne Carrera, sonety i wiersze rozmaite z przyjemnością czytać się dają; barwią je gdzieniegdzie

trafne myśli i uczucia ujęte w formę piękną; ale dla poety zbyt to mała pochwała: mierność dla niego już jest śmiercią.

Wyżéj nierównie niż Carrer stoi według nas Romani, chociaż najczęściej ogranicza on bardzo duchowe koło swoje. Doskonałość jednakże znaléźć można i w najszczuplejszym zakresie, a Romani doskonałym jest w swoim. Utwory jego drobne i jak puch lekkie, ograniczają się głównie na miłosnych piosnkach i canzonettach, w prostocie których rysuje się doskonale miłość włoska, gorąca i lekka jak powietrze, którém się tam oddycha. Treść ich tak ściśle łączy się z językową formą, śpiewność rytmu tak wielką ich jest zaletą, a harmonia wiersza tak łączy się z harmonią myśli, iż tłumaczyć je byłoby zupełném niepodobieństwem. Przeszły one niejako w krew i życie narodu: śpiewa je każda rozkochana dziewczyna, a każdy kochanek swéj lubéj powtarza, bo wiersz ich łatwy i myśl jasna, same wpajają się w pamięć. Romani nie szuka ani nadzwyczajnych przygód, ani zawiłych i rafinowanych uczuć; ale przemawiać umié w imię téj miłości, która we Włoszech jest prawdziwą sprężyną życia tak świetnego patrycyusza, jak i najbiedniejszego z lazzaronów, nie podnosząc ją do ideałów, ale także nie zniżając jej tonu. Maluje on ją taką, jaką widzi wkoło: zrozumiałą i pojętną dla każdego zarówno; taką, do jakiéj wzywa szum morza, woń powietrza i wietrzyk wieczorny w tym kraju rozkoszy. Opiewa miłość swobodną choć namiętną, łatwą choć głęboką w całéj swéj prostocie, o jakiéj my wychowańcy analizy i rozsądku tak mało mamy pojęcia. „Był biedny, młody i piękny, a ja oddałam mu serce," mówi jedna z najpopularniejszych piosnek Romaniego. Te słowa przystosować się dadzą do tych wszystkich ślicznych kanzonet: są świeże, proste i piękne, i dla tego nie wiedzieć czém chwytają za serce, same przychodzą na usta, zamieniając się w śpiew, któremu rytm podaje cały świat otaczający.

Trudno, ażeby rodzaj uczuciowo liryczny rozwinął się na innéj drodze w kraju, gdzie tak mało pojętą bywa tęsknota, za tém czémś nieokreślonem, jaka przebija się prawie we wszystkich utworach polskiéj i niemieckiéj literatury. Jestto już właściwa cecha narodu, który nie ma

nawet w języku swoim wyrazu *tęsknota*, i nie pojmuje tego smutku bez przyczyny i początku, jaki się nieraz odzywa z piersi naszéj, nawet w chwilach szczęścia. Jedyny wyjątek pod tym względem w całéj literaturze włoskiéj stanowi dall'Ongaro. Nie wiemy, jakie okoliczności spłynąć mogły na wyrobienie w nim téj cudnej tęsknoty, piętnującéj wszystkie jego utwory. We Włoszech jeszcze człowiek prywatny zupełnie ginie poza autorem; życie jego tak mało wychodzi na widownią publiczną i interesuje ogół, iż trudno się nieraz dowiedzieć, czy twórca dzieł uwielbionych powszechnie, umarł już, lub czy żyje jeszcze. Dzieła jedne oddawane są publiczności, rozbiera je ona, zachwyca się lub potępia, w pokoju zostawiając człowieka, który nawzajem zamiast o sobie i domowych kłopotach mówi jedynie o ideach i pomysłach swoich. Ma się rozumieć, że nie wspominamy tutaj Guerrazzego, bo też jestto człowiek tylko polityczny, przekuty z musu na autora. Ten stosunek czytelników do pisarzy jest jednym więcéj dowodem siły i młodości tego społeczeństwa, którego członkowie umieją zapominać o sobie i zlewać się w ogół narodu. Pierwszym objawem moralnego rozkładu towarzystwa jest dążenie jednostek do odrębnego bytu. Jak ciało w stanie zdrowia skupia w sobie i absorbuje atomy własne a rozprzęga je w chwili śmierci, tak samo dzieje się i z narodami. Najbliższy przykład tego duchowego stanu mamy we Francyi: krytyka przyzwyczaiła się tam szukać tak głęboko źródeł natchnienia autora, że rozdziera tajemnice domowego życia, śledzi pierwsze dziecinne kroki, nie wiemy czy rzeczywiście dla miłości sztuki, czy też dla dogodzenia próżności indywiduów, lubiących odsłaniać się i obnażać z rodzajem moralnego bezwstydu, który choć tak dzisiaj utarty, niemniéj jednak jest rażącym. Pomimo skromnego tytułu spowiedzi, położonego zwykle na okładce, nie widać tam nigdzie chrześciańskiéj pokory; są to raczéj parodye spowiedzi, których bogiem jest szatan pychy. Nie bierzemy je wcale za złe pojedynczym indywiduom: idą oni za kierunkiem ducha czasu. My przywykliśmy już do tego rodzaju literatury i potrzebujemy go niejako, bo daje on nam nieraz szacowne autobiografie, mające całą wartość głębokiego psychologicznego

studyum, jak naprzykład *Histoire de ma vie* pani Sand, lub *Histoire de mes idées* Edgara Quinet. Częstokroć także autor odkrywa nam tysiące własnych wad i śmieszności, sam niedomyślając się tego; wówczas mamy znowu ciekawe moralne studyum, brane *au rebours*, a zawsze prawie nauczające. Nie mówimy tu zgoła o indywiduach, ale o téj całéj tendencyi indywidualizmu, która ma znaczenie głębokie i mieć go będzie w historyi rozwoju ludzkiego ducha; ale o téj potrzebie koniecznéj mówienia o sobie, o téj czci każdego dla samego siebie, objawiającéj się gwałtownie pod tysiączną formą pamiętników, opowiadań, zwierzań i spowiedzi, sięgających czysto czwartego pokolenia i mogących przybrać nazwę genealogii duchowéj. A jakiebądź są arcydzieła, jakie ta szkoła wydała i wydać może, jest ona zawsze dla nas symptomatem moralnéj choroby, rozprzęgającéj towarzystwo.

We Włoszech rzecz się ma zupełnie przeciwnie, i dlatego niepodobna nam określić, dlaczego d'Ill Ongaro ma tak odrębne cechy. Czytając dzieła jego, sądzimy jednak, iż kształcił się na niemieckich poetach; że Szyller, Heine, Lenau, obcemi mu nie byli: ale to bynajmniéj nie rozwiązuje moralnéj zagadki jego usposobienia. Poezye jego nie są naśladownictwem, tylko duch jego spotkał się z pokrewnemi duchami i poszedł drogą, którą szli oni. Nie wiemy zatém, jak wyrodzić się mogła w południowcu, ta tęsknota prawie północna, zkąd zaczerpnął tyle on łagodnego i dźwięcznego smutku. To usposobienie, tak sprzeczne z duchem narodu, sprawiło, iż we Włoszech daleko więcéj znane jest jego tłumaczenie Fedry, niż ten tomik oryginalnych poezyj, obrobionych i wykończonych z artystyczną miłością. Już nawet ponury Leopardi zrozumialszym jest dla swoich rodaków, lubiących wszystko doprowadzać do ostateczności, niż ta rzewna, rozpłakana natura, poddająca się z rezygnacyą losowi i miłująca niejako ból własny. Trudnym jest wybór pomiędzy temi utworami, których nie wyparłby się sam Heine; wszystko tam tak piękne, myśl każda tak ślicznie oprawna, iż wśród tylu bogactw wahamy się, które wybrać, by dać poznać, o ile to być może, styl i sposób pisania autora. Podajemy więc na chybił trafił dwie poezyjki:

DO TERESSY.

Dotknij strun harfy twéj, Teresso,
Ja słucham i rozumiem ciebie;
Bo choć są obce serca nasze,
Jednakiém tętnem biją one.

Dotknij strun harfy najsmutniejszych,
Niechaj pod dłonią twoją płaczą:
Każdemu sercu jest pojętna
Struna cierpienia i boleści.

Ciebie szczęśliwą, ciebie piękną,
Akordów smutku któż nauczył?
Czemu na piersi schylasz czoło,
Jak pod brzemieniem ciężkich myśli?

Czemuż łzą błyszczy ci źrenica?
Którą podnosisz ku niebiosom;
Jakiż wyciskać ból ją może,
I blask twych pięknych gasić oczów.

Nie żałuj łez twych, łez nie żałuj,
I wierz, Teresso, słowom moim:
„Niczego nie zna na téj ziemi
„Ten, kto cierpienia nie doświadczył."

Bo ten, do kogo los się śmieje,
Kto nie zrozumiał łez znaczenia,
Niezdolny wiedzieć, co to życie,
Ani sumienie, ani cnota.

Płacz: bo jeżeli z ludzkiéj piersi
Zakwitnął kiedy kwiat niezwiędły,
Zrodził się pewnie z łez i cierpień,
W boleści czerpał swoje wonie.

Pięknym jest uśmiech na twéj twarzy,
Cudném wesele, w twojém oku;
Ale westchnienie ja przenoszę:
Niżli uśmiechy, ja łzy wolę!

Nadzieja rodzi się z cierpienia,
W niéj się zamyka życie całe;
Bo stworzeni do innych światów,
Jako przechodnie tu jesteśmy.

Więc kiedy płaczesz, kiedy tęsknisz,
Ja towarzyszem będę tobie;
Bo choć są obce serca nasze,
Jednakiém tętnem biją one.

BRATEK.

Jakiż kwiat w wieniec ci liliowy,
Jakiż kwiat dłoń ci ma wplecie?
Kiedy to życie, pustynia smętna,
Na któréj nie wschodzi kwiecie.

A jeśli zejdzie, to wykarmione
Gorzkiemi łzami żałości,
Strachem zatrucia śmiertelną wonią,
Na młodém czole, radości.

Jeśli nadejdzie, bo kogoż mija
Straszna godzina cierpienia,
Wezwij mnie wtenczas, wezwij dziewczyno:
Przyjdę, two słysząc westchnienia.

Ja ból zrozumiem i znajdę słowo
Pociechy na twą tęsknotę;
I wówczas do twych kwiatów girlandy,
Bratek współczucia doplotę.

Żal nam, że cały wdzięk i cudowna śpiewność tych piosnek zostaje w oryginale. Dall' Ongaro jest arcymistrzem prostoty, i dlatego wrażenie, jakie sprawia, jest równie melodyjne dla serca jak i dla ucha. Nigdzie nie spotkamy u niego tych wysadzonych *concetti*, któremi od wieków posługuje się włoska poezya, a których nawet Leopardi nie zawsze ustrzedz się umiał. Nigdzie też nie ma tam zwątpienia, rozpaczy, ni popisywania się z boleścią. Wszędzie spotykamy za to wielkie chrześciańskie pojęcie godności, cierpienia, które piętnuje nawet te dwie wyżej przytoczone, drobniutkie poezye. Nie sami tylko mężczyźni oddają się we Włoszech poezyi. Szereg imion kobiecych w tym zawodzie nierównie jest dłuższy; ale o tym osobnym zupełnie rodzaju literatury obszerniéj pomówić musimy, bo łączy się on ściśle ze stanowiskiem, zajmowaném tam przez kobiety. Nigdzie może nie ubóstwiają ich więcéj jak we Włoszech i nigdzie też podobno mniéj nie żądają od nich. Pię-

kność, jaką je zwykle obdarza natura, starczy im za wszystko: nie potrzebują podnosić ją rozumem i sztuką. Żyć, kwitnąć, dać się kochać i kochać, oto jedyna treść ich życia. To też przy wrodzonym rozumie, zwyklym południowym rasom, władza myślenia zagłuszoną jest u nich, a niewiadomość przechodzi zwykle granice możliwości. Wszystkie kwestye społeczne, wszystko, co zajmuje ich ojców, mężów i braci, jest im zazwyczaj najzupełniéj obce i obojętne. Skarby sztuki nagromadzone w ich ojczyznie, czysto z nazwiska nawet znanemi im nie są; a kobieta, umiejąca napisać list stylem gładkim bez ortograficznych błędów, już przez to samo uchodzi prawie za fenomen. Ma się rozumiéć, mówimy tutaj o ogóle: wyjątki jak wszędzie tak i tam pojawiają się od czasu do czasu nietylko w dziedzinie sztuk pięknych, ale i nauk ścisłych. Obecnie nawet istnieją we Włoszech dwie kobiety z rozgłośném literackiém imieniem: Ifigenia Sajani, autorka kilku miernych historycznych romansów i Carlletta-Calani, która w kilku powieściach, odznaczających się więcej dobremi chęciami, niż talentem, powstaje z zapałem przeciw zaniedbanemu wychowaniu kobiet. Objawia się wprawdzie teraz w najwyższych sferach towarzystwa, pewna dążność do zmiany tego systematu; ale dążnością tą kierują głównie cudzoziemki, poślubione Włochom, które dzieci chowają po swojemu, walcząc z trudnością przeciw narodowym zwyczajom, starając się więcéj o powierzchowne talenta, niż o gruntowne wykształcenie, którego znać dotąd nie odezwała się prawdziwa potrzeba.

Jak tam tak i wszędzie jest stosunek solidarności pomiędzy męzką a żeńską połową rodzaju ludzkiego. Kobiety są tém zazwyczaj, czém chcą ich mieć mężczyźni, nie w urzędowych morałach, ale *de facto*. Francuzi lubią kokieteryą, dlatego też główne jéj siedlisko jest we Francyi; Niemcy lubią domowe wygódki, dlatego też żony ich są gospodarne; Anglicy cenią jedynie „*home*“ domowe ognisko, i jest on też światem angielskich kobiet. My zaś lubimy tyle i tak rozmaitych rzeczy, że doprawdy dziwić się nie należy, jeżeli i kobiety nasze umieją tyle rzeczy po troszku i same nie wiedzą, jak się kierować i czemu oddawać. Włoszki zaś są zazwyczaj kropka w kropkę podobne do ideałów bohaterek powieści, o których mówiliśmy powyżéj.

Są one w ogóle uległe, kochające, namiętne i ciche, nie rozumujące wiele, działające mniej jeszcze, bo takiemi chcą ich mieć mężczyzni.

Pedanterya jest to wyraz nie znany prawie we Włoszech: tam najuczeńszy człowiek umie zapominać o własnéj wielkości i jak zwyczajny śmiertelnik nie lęka się i nie wstydzi mówić z kobietami o rzeczach pojętnych dla nich, i szuka wypoczynku w lekkiéj lub serdecznéj rozmowie, po ciężkich naukowych problematach. Pedantyzm więc nie psuje harmonii towarzyskiéj i tém mniéj napotykać się daje u kobiet nawet, jeśli która wiedziona naturalnym pociągiem, lub szczególnemi okolicznościami wykształci się wbrew przyjętym zwyczajom. Wyjątek podobny zwykle wzbudza szacunek a nawet uwielbienie powszechne, jak gdyby społeczeństwo wdzięcznem jéj było, że pracowała nie potrzebując pracować i dołączyła umysłowe wdzięki do tych, któremi obsypała ją natura. Ztąd też pochodzi, że najmniejsze słowo, wierszyk wyszły z ust kobiecych, jest idealizowany i sądzony z pobłażaniem, nie bardzo może pochlebném dla umysłowej równości dwóch płci, ale niemniéj szczerém i serdecznem. Dla nas jednak, którzy nie mamy tych powodów pobłażania, którzy sądzimy dzieło według jego wartości, nie bacząc na poboczne względy, wierszyki poetek włoskich nie mają żadnego znaczenia. We Włoszech acrostiche, sonety i canzonety okolicznościowe, kwitną jeszcze w całéj świetności i są koniecznem dopełnieniem każdego aktu ważniejszego w życiu. Nikt się tam nie rodzi, nie żeni, nie umiera, bez wierszy opiewających te tak ważne dla świata wypadki. Dlatego też, talent *robienia* wierszy, jest talentem salonowym, bardzo przyjemnym i poszukiwanym: posiada go prawie każdy człowiek dobrze wychowany; zdarza się więc, że go posiadają i kobiety, zwłaszcza że nie jest to nic bardzo trudnego zrymować kilka końcówek i powiązać razem kilka arcy-oklepanych *concettów*. Tylko wierszyki podobne tworzone przez mężczyzn zwykle pozostają w archiwach familijnych, gdy przeciwnie najdrobniejszy utwór kobiecy jest chwytany, przepisywany, drukowany i daje sławę autorce, jakąbądź jest jego wartość. Powtarzamy, niezbyt to pochlebne dla płci żeńskiéj, tém bardziéj, jeśli przypatrzymy się tym wierszykom: są one bez

wyjątku prawie tak naiwne, żeby nie powiedzieć niedorzeczne, iż uwierzyć trudno, by podobne dziecińśtwa brać można na seryo. Oto naprzykład jeden wierszyk, który daje doskonałe wyobrażenie o niesłychanéj błahości tych poezyjek, bo wszystkie trzymane są w jednakim tonie, i który przekona dostatecznie czytelników, że tym kilkudziesięciu poetkom włoskim, nie warto kilka kartek poświęcić.

PIOSENKA.

Niewinna Lezbina
Igrając samotna,
Wśród łąki zielonéj
Ujrzała kwiat śliczny,
Koloru purpury;
Więc zrywa go chciwie,
I biegnie na wzgórze,
Gdzie strumień szemrzący,
By go się poradzić,
Czy włos nim ozdobić,
Czy też śnieżne łono?
Lecz kiedy schylona
Przegląda się rada,
Ujrzała w wód głębi
Drugi kwiat podobny;
I znów zachwycona,
Swój puszcza na fale,
Chcąc dobyć kwiat drugi,
Pierwszego odbicie.
O ileż śliczniejszą
Wydała się wówczas
Prześliczna pasterka,
Zdradzając naiwnie
Umysłu niewinność,
I serca prostotę,
Która tak przystoi
Młodziutkiéj dziewicy.

IV.

Ugo Foscolo.— Burzliwy żywot.— Jacopo Ortis i Werther.— Wpływ mglistego Albionu.— Grób Pariniego.— Pan Rufini pisarz angielski.— Słówko do naszych turystów.

Pozostaje nam mówić jeszcze o jednej z najwybitniejszych indywidualności tego wieku, o człowieku, który skupił w sobie jak w ognisku wszystkie namiętności i namiętnostki włoskie i wzbudził przez to wiele uwielbień i wiele nienawiści. Chcemy mówić o Ugo Foscolo. Życie jego publiczne ściśle jest złączone z zawodem literackim; jak wielu szlachetnych marzycieli, myśli dzieł swoich chciał on wprowadzić w życie, tak samo jak i życie wyjaśnić dziełami, tak dalece, iż jedne bez drugich z trudnością mogą być zrozumiane. Na pierwszy rzut oka w tym człowieku wszystko jest kontrastem: bo wszystkie kontrasta spotykają się w niekłamanych i silnych naturach i są nie-

jako cechą bożą człowieka, którą on częstokroć napróżno zatrzéć usiłuje. Duchami kieruje téż wyższa duchowa logika, któréj ulegamy nieraz, nie pojmując jéj dokładnie, a działanie to objawia się nietylko na pojedynczych indywiduach, ale i na całych pokoleniach. I tak, Ugo Foscolo, syn rodziców Włochów, zrodzony na wyspach Jońskich, a wychowany w Wenecyi, prototyp doskonały południowca, spotkał się w najważniejszém z dzieł swoich, z jednym z najsmutniejszych utworów germańskiéj literatury. Mimo całą przepaść rozdzielającą autorów, utwory ich, „Jakób Ortis" i „Werther" są z sobą w ścisłém powinowactwie. Dwie te książki porównywano już nieraz; a ponieważ utwór włoski daleko mniéj był znanym i późniéj rozpowszechnił się w całéj Europie, niż główne dzieło Göthego, ogłoszono je za plagiat. Tymczasem, jak to wykazały sumienne bibliograficzne badania, rzecz się ma inaczéj. Ugo Foscolo miał lat kilka w tece swoje listy Ortisa i wybierając się na kampanią zostawił je księgarzowi; późniéj jemu samemu wpadł w ręce Werther, a uderzony podobieństwem przedmiotu i obrobienia, chciał wstrzymać wydanie własnego dzieła, ale już było za późno. Zdarzenie to i spotkanie się dwóch poetów nie ma nic zadziwiającego. Są pewne myśli, panujące w danych epokach, które posługują się indywiduami najrozmaitszych dążności; a samobójstwo jest jedną z tych myśli, z tych problematów, do których ludzkość powraca od czasu do czasu, z coraz odmiennego sądząc je stanowiska. Pomiędzy ubóstwieniem stoików a bezwarunkowém potępieniem chrześciańskiém, ileż się mieści odcieni. A jakkolwiek można je nazwać słabością, będzie ono zawsze jedną z tych słabości, na którą małe duchy zdobyć się nie potrafią i która budzić będzie zawsze sympatyą wszystkich umysłów cierpiących. Porównywano już wiele razy Werthera z Ortisem, zawsze prawie oddając palmę pierwszeństwa dziełu Göthego, bądź to dla doskonalszego obrobienia, dla tego artyzmu i wykończenia, którym odznaczał się ten mistrz słowa, bądź téż dlatego, że charakter bohatéra zrozumialszym był i sympatyczniejszym ogółowi. Założenie dwóch powieści jest na pozór jednakie, w obydwóch miłość nieszczęśliwa jest ostateczną, ale nie jedyną przyczyną samobójstwa. Tylko melancholia Wer-

thera rodzi się naprzód z dysharmonii między jego chęciami a położeniem, gdy Jakób Ortis umiera na dysharmonią z otaczającym światem; a to samo już daje miarę wyższości bohatéra i pojęcia włoskiego autora. Dajcie Wertherowi inne położenie socyalne i Charlottę za żonę, a będzie to uczciwy niemiecki *Bürger* i *Vater* familii, jak każdy inny, który przebywszy swój romans w młodości, spoczywa na laurach doszedłszy do licznéj rodziny i poważnéj tuszy, a spoglądając na młode pokolenie okiem dumy, mówi w mysli „i ja kochałem się kiedyś". Przeciwnie, dajcie Ortisowi wszystkie skarby świata, dajcie mu nawet Teresę, nie jesteśmy pewni, czy ona potrafi na zawsze wytrącić mu sztylet z ręki: co więcéj, miłość jego sama dla Teresy, ta miłość gorączkowa, niema i bezsilna, jest raczéj tajemném westchnieniem serca do życia, niż namiętnością, pochylającą go do grobu. Jestto ostatni jęk jego młodości, ostatnie rwanie się do życia, szukanie jakiéjś zbawczéj nici, na któréj osnućby je można. Napróżno wszystkie nadzieje zawiodły Ortisa, napróżno wypadki odsłoniły mu ohydne rany społeczeństwa i okazały mu ludzkość w całéj nagości. W dwudziestu kilku latach nie zrywa się z życiem tak łatwo, nie idzie się bez strasznych walk i rozłamania ducha za przykładem Katonów i Brutusów; na przekor zmysłom barwy wiosenne pozostają w sercu, a samo zrozpaczenie ma gorżką woń nowości, którą długo jeszcze żyć można. Napróżno więc Ortis chce umrzeć na przekór woli i przekonaniu: żywotne siły się budzą i serce jego lgnie do Teresy, by przylgnąć do czegoś na ziemi, by dać samemu sobie siłę i powód do życia. Bo czyż on kocha ją naprawdę, on, co tak spokojnie wydrzéć ją sobie pozwala. Rzeczywistych przeszkód nie ma między niemi, kochają się wzajemnie, a Teresa, lubo zaręczona innemu, wolną jest jeszcze i od narzeczonego nie kochaną. W tém właśnie wykazane są po mistrzowsku, kontrasta podobnéj natury. Ortis zdaje się kocha Teresę, właśnie dlatego, że ona jest już przeznaczoną innemu, jak gdyby wola jego szukała ostatecznego powodu śmierci, tam gdzie instynkt serca szukał życia. Sam powiększa on we własnych oczach błahe, dzielące ich przeszkody, wmawiając w siebie, że są nieprzezwyciężone. W ciężkich zapasach z życiem, z lu-

dźmi i ich nikczemnością, stracił on władzę walczenia; siły oporu niepowrotnie w nim przełamanéj nic już wskrzesić nie może; pozostała mu tylko władza cierpienia. Totéż listy jego pełne są piekielnego bolu. Człowiek ten bez nadziei, widzi, że los jak fala unosi go na skały, o które rozbić się musi i patrzy na to spokojnie z założonemi rękami, lubując się czasem jeszcze pięknością otaczającego świata. Jest on widzem tylko swego losu i w tém to właśnie spoczywa najwyższa dramatyczność tego utworu. Lubimy nawet ten rodzaj nieładu, jaki całe dzieło charakteryzuje, te zwroty od uczuć wewnętrznych do zewnętrznego świata; sąto wszystko mistrzowskie rysy. Ortis tak mało obchodzi samego siebie, tak zna zawczasu rozwiązanie powieści swego życia, że lada co odwraca jego uwagę. To wyosobienie się, że tak powiemy, sprawia wrażenie większe, niż wiele bardzo patetycznych wykrzykników.

Co do saméj formy, sądzimy, że inne zupełnie są warunki piękna dla romansu, a inne dla podobnéj książki, skreślającéj li tylko ostatnie chwile samobójcy. Nie szukamy w niéj ani wykończenia całości, ani okrągłości kształtów; żądamy od niéj tylko psychologicznéj prawdy, a do niéj potrzebne są te wszystkie na pozór oderwane i bezładne rysy. Dlatego według nas, nawet w formie Jakób Ortis wyższym jest od Werthera, jak wyższym jest od niego założeniem moralném i charakterem bohatéra, i sądzimy, że dzieło to jest jedném z arcydzieł dzisiejszéj literatury, i z dzieł Uga Foscola to jedno nie zaginie nigdy i pozostanie jako pomnik wielkiego bólu, który rozerwać musiał jego łono, by wydobyć z niego tyle ciepłéj krwi i tyle strasznéj boleści. Pokazuje ono, że ból ten nie był fatalnością, przywiązaną do jednego tylko charakteru lub indywidualności, ale przeciwnie, był bólem całéj epoki i całych narodów, kiedy od ogółu mógł być pojętym.

Ugo Foscolo nietylko słowem ale i czynem służył idei niepodległości włoskiéj i zwracał się w każdą stronę, gdzie dojrzał dla niéj nadzieję, nie troszcząc się wcale o poboczne względy; dla tegoto śmiano mu nieraz rzucać w oczy wyraz odstępstwa, gdy tymczasem on idei swoich nie odstąpił nigdy i miał siłę poświęcać im przez całe

życie, nietylko osobiste sympatye, ale wszystko, co człowiek poświęcić może. Dla nichto zaciągnął się do francuzkiego wojska i bił się przez lat kilka. Później został professorem uniwersytetu w Pawii, odziedziczając katedrę wymowy po Parinim i Montim, jednym z najzawistniejszych sobie literatów. Ale natura jego ognista i namiętna stanęła mu na przeszkodzie w tym zawodzie. Gwałtowność i nieugiętość zdań potworzyły mu mnóstwo nieprzyjaciół. Foscolo znieść nie mógł wszystkich drobnych, szpilkowych ukłuć, któremi zatruwano mu życie, témbardziéj, że zasady jego nie zawsze zgadzały się z zasadami francuzkiego rządu; porzucił więc professorstwo i osiadł we Florencyi. Nowe nieszczęścia Włoch w 1813 roku popchnęły go znowu do wojska, w którém zostawał, dopóki powrót dawnego stanu w całym półwyspie nie wygnał go z ojczyzny. Udał się naprzód do Szwajcaryi, a ztamtąd do Anglii; ale choć przyjmowano go z entuzyazmem, odtąd jednak życie jego stało się pasmem ciągłych cierpień, pojętnych tylko dla drażliwych i gwałtownych istót, niemniéj przeto dokuczliwych. Syn Grecyi i Włoch rażony był całym otaczającym światem; ta indywidualność złożona tylko ze krwi i ognia, zamierała wśród konwencyonalnego towarzystwa Albionu; przywykłego oddychać słońcem i powietrzem Adryatyku, dusiła ciężka i dymna atmosfera Anglii. Rząd jeden tylko odpowiadał ideom jego i dlatego pozostał w Anglii mimo antypatyi narodowéj, nieprzezwyciężonéj niczém, któréj samemu sobie przyznać nie chciał; mimo wpływu klimatu, co go zabijał równie fizycznie, jak moralnie.

Oprócz kilku naukowych i polemicznych dzieł, wymierzonych przeciwko swoim nieprzyjaciołom politycznym i literackim, które to dzieła nie wchodzą wcale w nasz zakres, napisał Ugo Foscolo trzy tragedye, oschłe i sztywne naśladownictwa Alfierego: Tyestes, Ajax i Ricciardo; grane one były na kilku scenach włoskich i przyjmowane z wielkim zapałem, dzięki alluzyom chwilowym i duchowi, jakiemi tchnęły. Poemata jego zyskały także wielki rozgłos, szczególniéj poemat „Sepolcri" (Groby), które tłumaczono na kilka języków. Obok porywającéj siły jest tam tyle erudycyi niepotrzebnéj i tyle napuszoności, że trudno nam pojąć, czém ten poemat, niższy od bardzo wielu dzieł

włoskich, zyskał sobie taką sławę. Przytaczamy z niego jeden z najlepszych ustępów. Jestto skarga na niewdzięczność i zapomnienie, w jakiém zostaje grób Pariniego w Medyolanie i apostrofa do muzy, która wśród mogił bez napisu szukać go musi. Parini uważanym jest we Włoszech, jako wskrzesiciel prawdziwéj poezyi i ojciec dzisiejszéj literatury. W pismach swoich, które już tylko jako pomniki przeszłości uważać można, powstawał on silnie przeciw społecznym wadom rodaków swoich.

W pośród grobowców może zapomnianych,
Na próżno szukasz muzo, gdzie spoczywa
Twój ulubieniec Parini. Pomnika
Nie postawiło mu miasto rozwiązłe,
Co karmi tylko pochlebnych mu wieszczów.
Ani pomnika, ni kamienia nawet,
I może kości te święte, plugawi
Krwią swoją głowa ściętego zbrodniarza.
Czy słyszysz, w pośród bujnych traw i ostów,
Wycie zgłodniałych psów, wściekłéj gromady?
Widzisz, z czerepu gdzie się skrył przed blaskiem,
Wzlatuje puszczyk i pomiędzy groby
Rozsiane po tym żałobnym cmentarzu,
Rzuca przeciągłe jęki, jakby skargi,
Przeciw promieniom, któremi czczą gwiazdy
Litośne groby mężów zapomnianych.
Próżno dla twego kochanka, o muzo!
Żądasz rzeźwiącéj rosy. Nad zmarłemi
Nie zejdą kwiaty, jeśli je żyjący
Łzami nie roszą, miłością nie rzeźwią.

Ten ustęp prostszym jest i rzewniejszym, niż wiele innych w całym poemacie, którego ton ogólny jest bardzo napuszony. O napuszoność jednak trudno jest winić Uga Foscola: jestto bowiem właściwość jego talentu; deklamował on przed samym sobą i takim być musiał będąc naturalnym. Spokojność była dla niego anormalnym stanem. Niepohamowana gwałtowność charakteru, niepowściągliwość w słowie, działaniu i zaciętość w zdaniu gorzkiém uczyniły mu życie, pozbawiając go prawie wszystkich bliższych związków i odstręczając nieraz najgorliwszych przyjaciół; to powiększyło jeszcze pod koniec życia trawiącą go mizantropią. Człowiek ten, wykarmiony klassyczną literaturą starożytnych, wychowany przez matkę,

przypominającą spartańskie niewiasty i sam mający w sobie coś nieugiętości bohatérów rzymskich, nie mógł znieść podłości i podłostek podszywających nieraz szlachetne na pozór czyny: oburzał się na najmniejsze odstępstwo i nie rozumiał zgoła tych wszystkich półcieni, których tak umieją używać dzisiaj dla złagodzenia barw zbyt żywych, lub przygłuszenia zbyt czułego sumienia. Nie pojmował on żadnych układów z własném przekonaniem i dlatego znalazł się równie samotnym we Włoszech, gdzie spotykał wszędzie nienawiść i oszczerstwo, jak w Anglii, gdzie go uwielbiano na ślepo, nie rozumiejąc i nie mogąc zrozumieć.

W Anglii pisał on artykuły do przeglądów, szczególniéj do Edinbourgh i Quarterly Review; ale ponieważ te artykuły musiał kazać tłumaczyć, nie posiadając dokładnie angielskiego języka, przynosiły mu one nie wiele: żył i umarł w nędzy prawie. Charakter ten, mający swoją niezaprzeczoną wielkość, mało jednak przypada do dzisiejszego wieku: skazany był tém samém na cochwilne cierpienia, a co więcéj, jak wszystko wyższe, musiał wzbudzić wiele szyderstwa. Skarykaturowano jego starożytny stoicyzm, jego namiętne przywiązanie do piękna, jego gwałtowność i zapał. Dowcipni francuzcy krytycy ostrém piórem ranili tę wielką indywidualność i nawet po śmierci nie dają pokoju dziełom jego, pastwiąc się nad nim, jak nad lwem upadłym.

A teraz rozpatrując się sumiennie umysłowemu rozwojowi Włoch, widzimy całe duchowe bogactwo tego narodu, spotykamy w pojedyńczych indywiduach najróżnorodniejsze zdolności, będące niejako wyłączną własnością rass innych. My zajmowaliśmy się tylko poezyą i lekką literaturą, nie tykając wcale pobieżném piórem dzieł poważnéj treści, których tyle wydała już i wydaje codzień Italia. Wiele pośród nich zyskało sobie już europejską sławę, i tłumaczone prawie na wszystkie języki, przyczyniły się do odkryć i badań naukowych tego wieku. Nie potrzebujemy, zdaje się, wspominać o Cezarach Cantu, Balbich, Giobertich, Ferrarich, Filippich; bo imiona te znane są całemu czytającemu światu, a ocenienie ich dzieł wymaga długoletnich studyów i obszerniejszego zakresu, niż ten, jaki zamierzyliśmy sobie. Te wszystkie objawy sił żywotnych nowoczesnych

Włoch dowodzą aż nadto, że ich ruiny, muzea i pomniki przeszłości nie są jedyną rzeczą, jaką w nich szukać warto, i że grubo mylą się ci, którzy nic więcéj dostrzedz tam nie umieli. Jestto tylko pierwsza karta otwartéj księgi; odwróciwszy ją, dojrzymy, jak pod skamieniałą przeszłością rodzi się nowe życie. A chociaż cywilizacya Włoch głównie opartą była na pięknie i rozkwitnęła artyzmem, nie była to jednak jedyna jéj barwa i nie odbiegła z tém od ogólnych praw rządzących ludzkością, bo rozwinięcie wielkie jednéj gałęzi wiedzy nie wysysa soków żywotnych narodu i nie stawia go w wyjątkowém położeniu. Przeciwnie zdaje się, że narody mają odrębne koleje i przeznaczenia, wytknięte sobie z góry; że rasa każda posiada cechy i zdolności właściwe, i powinna ton swój wypełnić w wielkiéj gammie społecznéj. Mistyczny germański umysł posunął naprzód filozoficzne badania i rodząc reformacyą, dał nowy popęd duchowy ludzkości, tak jak awanturniczo rycerski duch pchnął Hiszpanią na drogę odkryć i obdarzył nowym światem świat stary. Anglia rozwinęła przemysł i handel do najwyższego stopnia i wszędzie wskazała utylitarny pierwiastek; a praktyczny rozum Francyi dał przodownictwo w naukach i teoryach społecznych i kazał jéj zastosować, zużytkować i rozpowszechnić prace i pomysły innych narodów. Szczep słowiański nie wypowiedział jeszcze dotąd swego słowa, a co gorzéj nie poczuł go w sobie i może w tém właśnie leży przyczyna tylowiekowéj jego słabości. Ale każda z tych ras oprócz tendencyi głównéj posiada cechy i zdolności ogólne, niezbędnie potrzebne do dalszego rozwoju i bytu; a Włochy obdarzone szczególniéj umysłową bystrością, posiadają je w wyższym jeszcze od innych stopniu. Wśród ogólnego podziału dostało się im najpiękniejsze posłannictwo: ich to zadaniem było przechować w łonie swojém ogień święty sztuk i nauk, oświecić i uszlachetnić barbarzyńskie ludy; one to przodowały ludzkości na drodze piękna i dotąd ta misya odjętą im nie jest. Aż nadto przekonywa nas o tém uczucie artystyczne, będące ich najżywotniejszym zmysłem. Nie napróżno najbiedniejszy nawet mieszkaniec Włoch, wykołysany tradycyą i otaczającym światem, posiada odrazu intuicyjnie to, do czego my ludzie północni dochodzimy tylko długoletnią

pracą: uczucie harmonii i piękna. Uczucie to odbija się nawet w rysach i obejściu tego ludu, w doborze barw, w sposobie nawet drapowania często lichych łachmanów; w postawie i ruchach ma on coś dziwnie szlachetnego i wykwintnego, a takt wrodzony nadaje mu grzeczność bez uniżenia i wdzięk bez przymusu, który wyróżnia go na pierwszy rzut oka od wszystkich innych narodowości i jest niejako wskazówką posłannictwa jego. Teraz, gdy narodowe cechy giną coraz bardziéj wśród ogólnego starcia się plemion i ludzi, Włochy mimo ciągłéj lawiny cudzoziemców przepełniającéj półwysep, mimo długoletnich wycieczek za granicę, zachowują niezachwianie wybitne swoje narodowe cechy. Przyczyny tego zjawiska szukać należy w prawdziwie rodzimej cywilizacyi, która zespoliła się nierozerwanie z duchem narodu, bo z niego samego powstała. Próżne wykrzykniki i czcze oklepanki, choćby rozwodnione na arkuszowe listy, nie stawią zapory coraz wzrastającemu prądowi podróży; ci, co nie widzą w nim tendencyi cywilizacyjnéj, widocznego parcia ducha czasu, podobni są do tych dzieci, które chcą palcami wstrzymać bieg strumienia. Wszystkie zaś rozumowania o wynarodowieniu się tym sposobem, dowodzą tylko krótkiego wzroku ich twórców lub słabości żywotnéj cywilizacyi narodowéj, którąby murem chińskim od reszty świata oddzielić potrzeba. Tylko faktyczne życie sztuką utrzymywać trzeba, gdy prawdziwe wzmacnia się powietrzem i ruchem. Widoczny przykład tego dają nam Włochy, które, nie tracąc indywidualności własnéj, przyswajać sobie umieją potrzebne im żywioły. Ze wszystkich autorów, którzy opisywali kraj ten w powieściach i podróżach, dwóch tylko potrafiło odzwierciedlić odrębne cechy jego ludu. Pani Sand w Teverino Danielli i kilku weneckich powieściach pojęła go intuicyą artysty i odmalowała doskonale. Głębiéj jeszcze sięga pan Ruffini, bo daje nam także obraz wyższego społeczeństwa, bez pochlebstwa i karykatury, w kilku doskonałych powieściach Lorenzo Beroni i doktor Antonio. Lubo Włoch, pan Ruffini pisze po angielsku, widocznie dla obcych nie zaś dla swego narodu; dlatego nie należy on do właściwéj literatury włoskiéj. Pisma jego dają daleko jaśniejsze pojęcie stosunków narodowych tamecznych, niż szybka podróż odbyta wkoło pół-

wyspu za pomocą statków parowych, kolei żelaznych i najętych ciceronów. Pan Ruffini oddaje doskonale stosunek wzajemny klass, bo zgubne walki i nienawiści rozżarzone na Zachodzie, spekulacyjno utylitarnym duchem między ubogiemi a bogatemi, na próżno siliły się przejść Alpy. Pan Mazzini i jego teorye nierównie więcéj budzą postrachu we Francyi niż we własnéj ojczyźnie, gdzie pisma jego czyta i podziela doktryny nie lud, ale część sfanatyzowanéj młodzieży klass wyższych. Proletaryat, nie znana to jeszcze klęska w kraju, gdzie brak rąk a nie pracy, gdzie przewaga kapitału nie zabija podlegających mu indywiduów. Ubóstwo téż przy łagodnym klimacie i uczuciu estetycznem, rozlanem wszędzie, traci ohydne cechy: zamiast wstrętnych łachmanów i zezwierzęconych twarzy londyńskich i paryzkich ubogich, spotykamy same szlachetne postacie, które służyćby mogły za wzory do obrazów świętych i apostołów. Lud ten posągowy i malowniczy wydaje z łona swego mistrzów pędzla i mistrzów dłuta; wielkie odrodzenie się rzeźby tegowieczne poczyna się od Canowy, a z pracowni jego wyszli: Tenerani, Bartolini i tylu innych, którzy daléj posuwają to wielkie dzieło. Ale dziedzina sztuk pięknych nie jest naszém zadaniem: zostawiamy ją ludziom fachowym, bo nie sądzimy, by kilkokrotne przyjrzenie się arcydziełom wielkich mistrzów, nadawało już prawo sądzenia wszystkich i wszystkiego. Dość już mamy podobno pod każdym względem tych płytkich sądów, obałamucających publiczność, któremi zarzucają nas turyści i pseudo-artyści My chcieliśmy tylko wykazać różnorodne cechy i bogactwa narodu, potwarzanego zbyt często przez pobieżne sądy. Sądzimy, że na ojczyznę Dantych, Rafaelów, Michałów Aniołów i Leonardów Vincich, warto popatrzéć głębiéj i dostrzedz w niéj coś więcéj, niż bieliznę rozwieszoną na Corso rzymskiém lub natręctwo facchinów i ciceronów.

W. M.

O PTAKACH DRAPIEŻNYCH

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

III.

SOKÓŁ WĘDROWNY Tyz.—*Falco peregrinus Linn.*

Sokół szlachcic Wodz. — Falco abietinus Bech. — F. gentilis, communis Auct.— Lanier, Faucon, Faucon sors, Faucon passager Buff. — Wanderfalke Brehm.—Blaufalke Naum.—Sokol obecny Cz.—Соколъ кашсанъ Ross.

Dziób błękitnawy, w końcu sczerniały, nasada żuchwy i brzegów szczęki żółtawe; woskówka, nogi i obwody oczów żółte; tęcza u starych kasztanowata, u młodych brunatna; szpony czarniawo rogowe.

Długość samca 1 stopa 5 cali; siąg 39 ½″, samicy 1′9″; siąg 47 ¼″; długość dzióba 1″2‴; wysokość przy nasadzie 8‴; długość skoka 2″1‴; palca średniego 1″10‴; pazura u tegoż 8‴; długość ogona 6″8‴.

Stary samiec ma głowę, kark i policzki czarniawe; wyższą część grzbietu i pokrywy szkrzydłowe toż samo czarniawe z popielatemi wązkiemi obwódkami na końcach piór; niższa zaś część grzbietu, barkówki, nadlotki, tylne pokrywy skrzydłowe i pokrywy ogonowe popielato i czarniawo poprzecznie pręgowane w ten sposób, że każde pióro jest przepasane przez kilka popielatych pasów i takąż obwódką zakończone; im daléj ku tyłowi, tém pasy te są szersze i jaśniejsze. Gardziel, szyja z przedłużeniami zachodzącemi ku karkowi i przód piersi białe; ta ostatnia część upstrzona jest bardzo wązkiemi małemi

ciemnemi płomykami; brzuch zaś, nogawice i pokrywy podogonowe białawe, mniéj lub więcéj popielato zafarbowane z gęstemi, poprzecznemi, wązkiemi czarniawemi pręgami; pokrywy podskrzydłowe białe, czarno falowane. Lotki czarniawe, na chorągiewkach skrajnych od nasady popielato naleciałe; na wnętrznych zaś chorągiewkach mają gęste, podługowate, poprzeczne i rudawe plamy, które na lotkach drugiego rzędu zmieniają się stopniowo w popielate. Sterówki czarniawe przepasane dwunastoma popielatemi pręgami, same ich końce płowo białawe. Mniéj stare indywidua mają głowę i kark jaśniejsze, popielaty kolor na wierzchnich częściach mniéj czysty i nietyle odznaczony od ciemnego; na piersiach rudawo pociągniętych większe ciemne płomyki, a niższe części spodu brudniejsze.

Samica znacznie okazalsza, w ubarwieniu podobna do samca i też same zmiany przechodzi.

Młode pierwszoletnie z wierzchu są ciemno śniade, na głowie i czalu mają każde pióro płowe, na dalszych częściach rdzawo obwiedzione; od spodu są rudawo płowe, na szyi i piersiach śniado brunatnemi pędzelkowatemi plamkami, na brzuchu i nogawicach większemi płomykowatemi, na pokrywach podogonowych poprzecznemi falowanemi prążkami upstrzone; brunatne te plamy na jednych są nierównie większe, na innych mniejsze, wedle tego jedne mają spód ciemniejszy jak drugie. Na ogonie ciemno śniadym podobne są przepaski jak u starych, lecz rudawe, toż samo na wewnętrznych chorągiewkach lotek plamy rudawe w miejscu popielatych. Pokrywy podskrzydłowe płowe, śniado falowane; pod okiem wąs czarniawy.

Pisklęta zwierzchu są popielate, bardzo blade, od spodu białe, puch na nich wełnisty, mocno nabity, i miękki, oczy czarniawe, nogi i woskówka blado zielonawe.

Jaja dosyć są rozmaite: mniejsze cokolwiek od rarogowych, dosyć zmiennego kształtu; najpospolitsze są krótkie, jajowate, z końcem cieńszym mniéj lub więcéj ścieńczonym, w grubszym mniéj lub więcéj pękate: w niektórych różnica obu końców jest bardzo mała; niektóre zaś są więcéj podługowate i szczupłe. Ubarwienie

podobne jak u wszystkich sokołów i znacznym także ulegające zmianom: tło ich bywa albo białawe, albo rudawe, ceglaste, różowe, mniéj lub więcéj blade lub ciemne, upstrzone w dosyć rozmaity sposób, tojest jednych tło bywa pokryte mnóstwem ciemniejszych kropek w większéj części je zakrywających, albo też ciemniejszemi namazaniami i większemi plamkami w większéj części przyćmione; między temi na niektórych znajduje się jeszcze mnóstwo drobnych kropeczek.

Długość od 2″1‴—2″3‴ szerokość od 1″7‴—1″8‴.

Sokół wędrowny mieszka w górzystych i lesistych krajach Europy, północnéj Azyi i północnéj Ameryki; na zimę przenosi się zwykle w otwarte równiny. Zawsze jest więcéj północnym jak południowym ptakiem; na lato znaczna ich ilość ciągnie do krajów bliskich bieguna, gdzie według świadectw podróżnych, w czerwcu dopiéro przybywają i natychmiast zabierają się do budowania gniazd, a we wrześniu wkrótce po wychowaniu potomstwa ku południowi wracają. W krajach umiarkowanych są miejscowe, a przynajmniéj w każdéj porze roku się znajdują. U nas są dosyć rzadkie, lecz miejscowe i corocznie się w wielu okolicach gnieżdżą (1) i zimują. W Litwie, według świadectwa hr. Tyzenhauza, także się wywodzi.

Sokół ten posiada w wysokim stopniu przymioty szlachetnych ptaków. Lot (2) i wzrok ma doskonały: siedząc wśród pola na odosobnionem drzewie lub na bryle, z daleka postrzega zdobycz, za którą puszcza się z niewymowną szybkością, wkrótce dogania i silném uderzeniem piersią, ogłuszoną strąca na ziemię, lub też

(1) Aby dać wyobrażenie przybliżone o ilości gnieżdżących się u nas sokołów, nadmieniam: że w lasach Lubartowskich, bardzo korzystnych dla gnieżdżenia się ptaków drapieżnych, około stu włók rozległych, dwie tylko lub trzy pary gnieździć się zwykły; tenże sam stosunek uważałem zawsze i w innych miejscowościach. W kraju zaś naszym nie wiele jest takich lasów, gdzieby się te ptaki wywodzić mogły, gdyż zawsze wymagają znacznych obszarów w wyniosłe drzewa obfitujących.

(2) Montagu ocenia szybkość jego lotu, gdy się za zdobyczą ugania, na 150 mil angielskich na godzinę, a pułkownik Thornton daleko wyżéj ją jeszcze podaje; wymierzył on drogę w gonitwie za bekasem odbytą, i z tego obliczył, że na minutę około 11 mil angielskich mógłby podług téj prędkości ulecieć; rachuba ta jednak zdaje się być przesadzoną.

upadającą chwyta i unosi. Lecz gdy przed dopędzeniem ptak zdoła się ukryć na ziemi, niema zwyczaju go szukać na piechotę, jak to zwykły czynić jastrzębie, myszołowy i orły, lecz go zaraz opuszcza i czeka na innego. Jest przytém bardzo waleczny i odważny, rzuca się częstokroć na daleko większe od siebie ptaki. Zwyczajnie poluje na kuropatwy, cietrzewie, gołębie, kaczki, czajki, a nawet dzikie gęsi i czaple; w potrzebie bije i wrony. W czasie wędrówek na północ, żyje powiększéj części kaczkami lodówkami i sniegułkami, które razem z nim tę podróż odbywają. W porze zimowéj u nas najwięcéj żyje gołębiami swojskiemi: gdy się raz do nich znęci, póty je ściga, póki prawie do ostatniego nie wyłowi; zapędza się często za nimi między budynki i tak jest śmiały, że je w obec ludzi porywa; nawet wśród dużych miast nie są one wolne od jego napaści: z wież i wysokich budynków śledzi ich ruchy, napada i gnębi. Kaczki na wodzie nie schwyci, gdyż ta zawsze zdąży zanurzyć się nim ją dopadnie; stara się zatém wpaść między nie tak niespodzianie, aby je do lotu spędzić i wtenczas z łatwością porwać; goniona kaczka w locie, skoro tylko zdoła paść na wodę, zawsze się ocali. Szukając zdobyczy, przelatuje dosyć nizko i na wszystkie strony uważa, czy się gdzie stosowny ptak nie poruszy; lecz gdy tym sposobem nie może nic prędko wynaleźć, siada gdziekolwiek na drzewie lub bryle i w postawie przytulonéj z szyją skurczoną rozgląda się na wszystkie strony. Małe ptaki rzadko kiedy napastuje: w spodzie nawet jego gniazda często się wywodzą bezpiecznie wróble i sikory, a nieraz na niższych gałęziach tego samego drzewa kosy, drozdy, sójki i t. p. ptaki gniazda swe zakładają.

Jak sokół ten zwykł stale trzymać się miejsca raz obranego na pewne pory roku, najlepiéj przekonać się na ptakach zimujących po miastach. W Warszawie od kilkunastu lat znana jest samica, która w jesieni regularnie przybywa do miasta i przesiaduje po całych dniach na gzymsach kościołów: Świętokrzyzkiego i Karmelitów na Krakowskiém-Przedmieściu; niezważając wcale na wrzawę i hałas miejski i nieustanne sąsiedztwo z przechodzącemi ludźmi, w tym najwięcéj ruchliwym punkcie miasta,

siedzi ona najspokojniéj, drzymie, to znowu iska się, muska pióra i używa wszelkiéj swobody w tém dla siebie bezpiecznem miejscu. Około godziny dziesiątéj przed południem zwykle przynosi sobie gołębia, którego najspokojniéj oskubuje i rozdziera wobec gromadzącego się pospólstwa miejskiego, tak chciwego wszelkiego rodzaju widowisk; chłopaki nieraz rzucają na niego kamykami, krzyczą, klaszczą i rozmaitemi sposobami chcą odstraszyć; na co ptak wcale nie zważa i daléj swoję robotę prowadzi. Na nocleg ma parę miejsc obranych na tychże gzymsach, na które przylatuje przed zachodem słońca. W ostatnich dniach marca albo w początku kwietnia opuszcza Warszawę i już nie pokazuje się przez cały czas lęgowy i całe lato. Dopiéro w połowie sierpnia napowrót się zjawia, lecz jeszcze nie tak regularnie na stanowiskach swych przesiaduje; ztąd można wnosić, że jeszcze odbywa wycieczki za miasto na dzikie ptastwo. Inaczéj zupełnie zachowuje się ptak przebywający w polu zdaleka od ludzi: jest zawsze bardzo ostrożny i baczny, nigdy nie daje się schodzić człowiekowi; jadącego tylko wozem, czasami na strzał dopuści, w locie nawet omija go zdaleka.

Bardzo jest silny stosunkowo do swojéj wielkości: przynosi często do gniazda, na wysokiém drzewie usłanego, stare cietrzewie i kaczki, dwa razy więcéj od niego ważące, z których jednak znaczną część sam przedtém spożyje i tym sposobem ulży sobie ciężaru.

Czas gnieżdżenia się tego ptaka jest zmienny stosownie do klimatu który zamieszkuje: i tak, gnieżdżące się w Niemczech, w drugiéj połowie marca osiadają na jajach, we Francyi jeszcze wcześniéj; przeciwnie w krajach północnych coraz późniéj, tak, że na pobrzeżach Grenlandyi w czerwcu dopiéro gnieździć się zaczyna. U nas niesie się razem prawie z bielikiem w ostatnich dniach marca lub na początku kwietnia.

W krajach górzystych gniezdzi się w niedostępnych skałach; w równinach zaś na wyniosłych drzewach; utrzymują także, że i po wysokich wieżach wśród miast wywodzić się lubi. Według podań naturalistów, ma słać gniazdo podobne do innych ptaków drapieżnych,

dosyć małe i dosyć niedbałe; u nas zaś widziałem kilkanaście par gnieżdżących się w rozmaitych okolicach kraju; o kilkunastu innych miałem także wiadomości od innych obserwatorów: nigdzie jednak ich właściwego gniazda nie znaleziono, lecz wszystkie gnieździły się na opuszczonych gniazdach orłów, bielików, rybołowów, orlików lub kruczych, zawsze w wierzchołku wyniosłych drzew usłanych; a że niektóre z tych są dla nich za obszerne, urządzają gdziekolwiek na boku lub w samym środku małe posłanie z drobnych sosnowych gałązek: tym więc sposobem gniazda te uważają za podpory, tak jak naprzykład ściany skał lub murów, dla urządzenia własnego gniazdka. Do gniazda raz zajętego ciągle już powracają.

Jaj miewają od 2—5, najczęściéj u nas 4. Z podań rozmaitych naturalistów możnaby wnosić, że liczba ich w rozmaitych miejscowościach powiększéj części bywa stałą i zastosowaną do obfitości lub przeciwnego stanu pożywienia. Tak twardo siedzą na jajach, że zwykle dopiéro po kilkunastu silnych uderzeniach w drzewo, wylatują, a niekiedy nawet wcale się poruszyć nie chcą; widywałem już także, jak po strzałach w gniazdo przesiadywały i dopiéro zlatywały, gdy człowiek dołaził. Samica spłoszona z gniazda, odlatuje nad lasem w prostym kierunku; po chwili wraca i dopiéro mijając gniazdo odezwie się i daléj pociągnie; na to przybywa wkrótce samiec i tak samo jak ona przelatuje, lecz zwykle o wiele wyżéj; oboje ciągle siadają na chwilę po suchych wierzchołkach sąsiednich drzew, i ciągle też same obroty wykonywają, dopóki widzą niebezpieczeństwo. Są przytém bardzo ostróżne: trzeba się dobrze ukryć, aby które z rodziców siadło przy gniaździe; lecz gdy się strzeli i niezabije, nie tak prędko już zbliżą się powtórnie. Nim siądzie na gniaździe, zatrzymuje się nad niém chwilę z roztoczonym ogonem i pilnie na dół uważa, czy nieprzyjaciela nie postrzeże. Dzieci dosyć prędko odstępują, gdyż wcześnie mogą się bronić przed napaścią innych ptaków a dosyć wymagają żywności. Samiec siada w godzinach południowych na jajach, a nawet po zabiciu samicy sam je dosiedzi i dzieci wyżywi. Młode dłużéj o kilka dni rosną na gniaździe jak bielikowe, chociaż razem na jajach

osiadają. Tak są drapieżne i zuchwałe, że w przeszłym roku u jednego z moich przyjaciół, chowano młodego wraz z sową uszatą (Strix otus),— oboje były w równym prawie wieku; gdy dano im po wróblu i zostawiono na chwilę same w pokoju, po powrocie zastano sokoła dojadającego już sowę.

Dawniéj, gdy sokolnictwo było w użyciu, ptak ten ważną w niém odgrywał rolę i celował między najlepszemi ptakami. Używano go głównie na kuropatwy, kaczki i błotne ptastwo: zająca z wielką łatwością zabija. Samiec zaś jako nierównie mniejszy i słabszy. nie mógł być nigdy puszczanym na ptaki duże, do których samica korzystnie mogła być użytą.

Chociaż ten sokół jest dosyć rzadkim u nas, jednak polując najwięcéj na same pożyteczne ptaki, znaczne w nich szkody wyrządza; nie należy zatém opuszczać żadnéj sposobności ubicia go, skoro się komu nastręczy: lecz jestem tego zdania, aby to zostawić znawcom, gdyż strzelcy, nieobeznani z ptakami, wiele szkody narobią przez bicie ptaków pożytecznych, nim jednego sokoła ubiją. Najkorzystniéj byłoby wybierać jaja i tym sposobem zmuszać rodziców do opuszczania okolicy, na stare zaś przez jesień i zimę zastawiać siatki.

SOKÓŁ KOBUZ (1). Rzącz. *Falco subbuteo Linn.*

Dendrofalco Briss. — Hypotriorchis subbuteo Boie— Sokół kobiec Myśl. pt.- Faucon hobereau Buff. — Baumfalke. Lerchenfalke Niem. Ostriz Cz. Соколъ чеглокъ Ross.

Nogi krótkie, szczupłe; palce bardzo długie i szczupłe, z wypukłemi brzuszcami; szpony bardzo ostre, mocno zakrzywione, prawie równe. Ogon bardzo słabo

(1) Pospólstwo nasze i myśliwi nazwisko kobuza najczęściéj stosują do tego właśnie gatunku, chociaż niekiedy nadają je pustułkom i krogulcowi, lecz to jedynie w skutek nieumiejętności rozróżnienia gatunków: z tego powodu, idąc za przykładem Rzączyńskiego i Tyzenhauza, zostawiam je temu ptakowi, i jestem tego zdania, że w każdym razie nazwiska popularne naszego właśnie ludu najwłaściwiéj nauce przyswajać.

w końcu zaokrąglony, dwie sterówki środkowe w końcach więcéj zwężone jak inne i około trzech linij dłuższe, a skrajne o tyleż prawie krótsze od następnych, nadają mu kształt klinowaty. Skrzydła mocno śpiczaste, wystają po za końce ogona.

Dziob niebieskawy w końcu sczerniały, nasada żuchwy bardzo mało żółtawa; woskówka i nogi żółte, szpony czarniawe; tęcze orzechowo brunatne.

Długość 13—14″, siąg 31—34″; długość dzióba 9‴, wysokość 5—6‴; długość skoka 1″6‴, palca średniego 1″4‴, pazura tegoż palca 6‴, ogona 5″9‴—6″. Stary samiec ma płaszcz ciemno popielaty jakby niebieskawo popylony, na tle którego rysują się wyraźnie czarne stosiny; wierzch głowy ciemniejszy, prawie czarniawy, przyćmiony mniéj więcéj szarawo rudawemi brzegami piórek; na karku duża rudawo płowa plama; okolice oczów i szeroki wąs od nasady dzióba idący czarniawe. Niższa część policzków, gardziel i przód szyi biało rudawe bez plam, piersi zaś i brzuch więcéj białe, gęsto upstrzone ciemno śniademi w końcach zaokrąglonemi płomykami; nogawice, podbrzusze i pokrywy podogonowe rdzawe. Lotki czarniawe, od nasady popielato naleciałe, na szerokich chorągiewkach mają plamy podługowate, zaokrąglone, płowo rdzawe; pokrywy podskrzydłowe, rudawo i śniado plamiste. Sterówki różnią się od koloru płaszcza lekkim szarawym odcieniem, same końce mają rdzawe i dwanaście takichże przepasek na szerokiéj chorągiewce; dwie środkowe tego wszystkiego nie mają.

Samica nie wiele jest większa, ma grubsze płomyki na spodzie ciała i nie ma tego pięknego niebieskawego pudru na płaszczu.

Młode w pierwszém upierzeniu mają płaszcz ciemniejszy, na którym każde pióro rudawo jest obwiedzione, na pokrywach ogonowych obwódki te są najszersze; na spodzie są mocniéj rudawe z podobną jak u starych pstrocizną; pręgi na sterówkach, i plamy na lotkach są wyraźniejsze; same końce sterówek płowo rudawe, a końce lotek białawemi bardzo wązkiemi wy-

pustkami oprowadzone; nogawice i pokrywy podogonowe bledsze, i tak jak cały spód ciała płomykowane; policzki i wąs brunatno czarne; cały wierzch głowy i tył karku rudawemi końcówkami piór gęsto upstrzony. Nogi blado żółte, woskówka i nagie obwody oczów białawo żółte; tęcza tak ciemno brunatna, że oczy wydają się czarne.

Po pierwszéj zaraz zmianie ptaki przybierają właściwe ubarwienie.

Pisklęta puchowe są perłowo białe, suto odziane, oczy mają zupełnie czarne.

Jaja są dosyć rozmaite i do pustułczych podobne, lecz więcéj od tamtych zmienne mają kształty: bywają okrągławe lub podługowate, w obu końcach jednakowo zaokrąglone, lub mało w jednym szczuplejsze. Barwa ich dosyć zmienna; tło bywa albo białawe, albo rudawe, lub rdzawe, przyćmione w znacznéj części brudno rdzawemi lub brunatnemi plamkami i kropkami, tak, że tło mało gdzie przebija. Skorupa jest gładka, niekiedy połyskująca, gęsto dziurkowana. Różnią się także znacznie pod względem wielkości, jak np. trzy jaja z odmiennych zniesień pochodzące: 1. długie 1″10‴, szerokie 1″4½‴, 2. długie 1″6‴, szerokie 1″4‴, 3. długie 1″7‴, szerokie 1″3½‴.

W całéj Europie i w znacznéj części Azyi pospolity, na północy lato tylko przepędza, a nawet zbyt daleko się nie posuwa: nie bywa daléj jak w południowéj Szwecyi. Do nas przybywa w końcu marca lub na początku kwietnia i bawi do końca października; nigdy nie zimuje: we wszystkich okolicach dosyć jest pospolity.

Z kształtów ciała i ruchów zbliża się bardzo do sokoła wędrownego; a nawet młode pierwszoletnie obu gatunków dosyć są do siebie z upierzenia podobne. Szybkością i zwinnością lotu wyrównywa najszlachetniejszym tego rodzaju ptakom: za zdobyczą pędzi z taką prędkością i siłą, że szum, który skrzydłami wydaje, o paręset kroków dobrze słyszéć można, a chcąc go w takim razie ustrzelić, prędko się trzeba uwinąć. Mimo to jednak jest dosyć leniwy i nieśmiały: jeżeli tylko

może, przestaje na żywności, która mu wiele trudów w łowieniu nie zadaje.

Poluje na wszelkie drobne ptaszki, a między temi największym jest prześladowcą skowronków; łowi jednak i większe, jakoto: bekasy, przepiórki, drozdy, szpaki i t. p.; jaskółki w locie dogania, ale mu z trudnością je chwytać przychodzi, a szczególniéj, gdy ta zdoła się dostać między drzewa i uwija się z nadzwyczajną zręcznością między gałęziami i liśćmi, ciągłe przeszkody stawiającemi kobuzowi. Szczególniéj lubi niektóre latające owady, a mianowicie chrabąszcze i ważki, gdy pora na nie nastanie: za ptakami się mało ugania. Przy końcu maja, gdy chrabąszcze poruszą się po zachodzie słońca, kobuzy zlatują się z okolicznych lasów nad niwy pszenicą zasiane i uganiają się nieustannie za przelatującemi temi owadami; łowią je zwykłym sposobem szponami i nie zatrzymując się wcale w locie, obrywają skrzydełka a całego chrabąszcza pożérają: tym sposobem nieraz widzieć można po kilka par naraz kręcących się w rozmaitych kierunkach za tą ulubioną zdobyczą; polowanie to aż do zupełnéj ciemności odbywają. Wśród lata zaś, w dnie ciepłe wylatują podobnie na ważki po południu nad zarośla i łąki, i łowią je w podobny sposób. Niedoperzy nie jedzą; widywałem nieraz, jak w czasie połowu chrabąszczy chwytały je, dusiły i nietknięte rzucały.

Trzyma się najwięcéj w okolicach polnych, poprzegradzanych niewielkiemi gajami i lasami, albo w brzegach dużych lasów przy polach lub łąkach, gdyż wyłącznie poluje w miejscach otwartych. Wyleciawszy z lasu ciągnie najczęściéj po nad samą ziemią i uważa na wszystkie strony, czy gdzie ptaka jakiego nie postrzeże; albo też siada na widoku, a mianowicie na drzewie lub na jakiéjkolwiek bryle wśród pola, i siedzi nieruchomo, łebkiem tylko wykręcając na wszystkie strony. Gdy spotka strzelca chodzącego z wyżłem po polu, ciągle mu towarzyszy czyhając na skowronki, które wtedy się z ziemi porywają, i często tak blizko nadlatuje ku człowiekowi, że go bardzo łatwo ubić można. Za ptakiem długo nie goni, porzuca go, gdy mu się odrazu

złowić nie uda; a gdy tenże padnie w trawę lub w ścier-nie, zatrzyma się chwilę nad tém miejscem; lecz gdy prędko nie dostrzeże, odlatuje: w przeciwnym zaś razie na ziemi nasiada.

Gniazd sam nie ściele, lecz zwykle sadowi się w próżném gniaździe wrony, lub przez pustułki dawniéj zajmowaném, zawsze blizko pola; zarówno przy wierz-chołku jak na bocznéj gałęzi będące przerabia w ten sposób, że wnętrze zagłębione zapełnia gałązeczkami su-chemi, darniną i kawałkami grubéj, suchéj trawy, tak, aby tylko pozostała mała wklęsłość w środku. W końcu kwie-tnia lub w maju, a nawet niekiedy w początku czerwca samica niesie 3 lub 4 jaja i te oboje wysiadują bardzo troskliwie i tracą wiele piór na brzuchu. Siedzący kobuz na gniaździe, zawsze dopuszcza człowieka pod samo drzewo; za pierwszém jednak uderzeniem w pień wylatuje i najczęściéj siada na gałęzi najbliższego drzewa i uważnie się człowiekowi przypatruje, następnie zrywa się i przelatuje nad lasem. Przysiadłszy łatwo się go znowu doczekać, nawet bez ukrywania się starannego, jak to wymagają poprzedzające gatunki. Do dzieci są bardzo przywiązane, samiec i samica nigdy się od nich razem nie oddalają, aż dopiéro gdy tak podrosną, że same do obrony są zdolne. Gdy jedno leci za ży-wnością, drugie, siedząc na suchéj gałęzi lub sęku, nie-odstępnie strzeże. Zbliżające się wrony, kruki a nawet i większe drapieżne ptaki zapalczywie gonią i daleko przeprowadzają. Gdy gniazdo opuszczą, przez kilka dni jeszcze rodzice je żywią, wkrótce jednak same na siebie pracować są zdolne; każde więc w inną stronę leci i osobno żyje. W krajach górzystych podobnie jak inne sokoły kobuzy ścielą gniazda na skałach.

Ptak ten łatwy jest bardzo do układania do łowów, ale téż niewielkiéj wartości: kapryśny, leniwy, nigdy nie wytrwa w dłuższém polowaniu i na małą tylko zwie-rzynę może być używanym.

Obojętnym jest dosyć w ogólném gospodarstwie, gdyż nigdzie nie jest tak obfitym, aby miał znaczne szkody w ptakach wyrządzać; mniéj téż potrzebuje ich wyniszczać, żywiąc się w znacznéj części owadami; z dru-

giéj zaś strony usługi jego są mało znaczące, gdyż owady, które spożywa, daleko skuteczniéj wytępiane są przez te właśnie ptaki, które się także stają łupem kobuza: zawsze jednak można go więcéj uważać za szkodliwego, jak za pożytecznego.

SOKÓŁ DRZEMLIK Myśl. pt. *Falco aesalon Linn.*

Falco caesius Wolf.— Falco lithofalco Gmel. — Hypotriorchis aesalon Boie.— Dendrofalco lithofalco Bonap.— Le rochier (adul.), L'emerillon (juv.) Buff.— Zwergfalke, Blaufalke, Merlinfalke Niem.— Dremlik Cz. Соколъ дербникъ Ross.

Skoki mierne, siatkowatém obuwiem pokryte; palce długie, szczupłe ze szponami stosunkowo silnemi, prawie równemi. Ogon w końcu równo przycięty, prócz dwóch skrajnych sterówek, o 3 lub 4 linij krótszych od innych; skrzydła śpiczaste, krótsze o cal przeszło od końca ogona.

Długość samca 10—11″, siąg 26″; samicy 11″6‴—12″, siąg 29″. Długość dzióba 6 ½‴, wysokość przy nasadzie 5‴; długość skoka 1″5‴, palca średniego 1″3‴, pazura u tegoż palca w zaokrągleniu 5—6″; ogona 5—5 ½″.

Dziób błękitnawy z końcem czarniawym, żuchwa przy nasadzie żółtawa; woskówka i nogi żółte; szpony czarne; tęcze kasztanowate.

Stary samiec płaszcz ma modro popielaty ze stosinami czarnemi, mocno na tle odrysowanemi; wierzch głowy popielaty, upstrzony płomykami czarniawemi, bardzo wązkiemi wzdłuż stosiny każdego pióra i rudawemi końcowemi brzeżkami; czoło, brwi i tył karku płowo białawe, miejscami rdzawo zafarbowane, brunatno wązko upstrzone, na policzkach kreski jeszcze węższe. Spód cały białawy, gardziel i przód szyi nieplamiste, na piersiach dopiéro i brzuchu znajdują się śniado brunatne, wązkie płomyki, które na bokach ciała są większe i szersze. Nogawice, podbrzusze i pokrywy podogonowe rudawe, wąziutkiemi kreseczkami czarniawemi gdzieniegdzie upstrzone. Lotki czarniawe, na szerokiéj chorągiewce

poprzecznie biało plamiste, brzeg skrajny w części także biały. Ogon podobnie jak płaszcz popielaty, szerokim czarnym pasem przy końcu przepasany, prócz tego na chorągiewkach szerokich kilka wązkich prążek, między któremi przestrzeń na tychże chorągiewkach nie jest popielata, lecz biała, czarniawo gęsto nakrapiana; same końce sterówek są brudno białawe. Pokrywy podskrzydłowe białawe, śniado plamiste, na krawędziach rudawe.

Samica większa i znacznie grubsza, zupełnie się różni ubarwieniem. Płaszcz ma popielato brunatny, niezbyt ciemny, upstrzony czarnemi stosinami i rudawemi plamami. Wierzch głowy kolorami płaszcza w podobny sposób urozmaicony jak u samca; toż samo stosuje się do brwi, czoła, boków głowy i karku, gdzie plamy są także brunatne. Spód ciała białawy, więcéj pstry jak u samca, rdzawo brunatnemi pędzelkami od góry, a płomykami od dołu; nogawice, podbrzusze i pokrywy podogonowe cokolwiek więcéj rudawe i drobno, rzadko płomykowane. Lotki brunatne mają poprzeczne, rudawe pręgowanie na szerokich chorągiewkach; na wązkich zaś mają plamy przy stosinie, odpowiadające tym pręgom. Ogon brunatny, przepasany sześcioma rudawemi przepaskami, same końce sterówek płowe.

Samiec dwuletni różni się tém od starego, że płaszcz ma ciemniejszy, prawie czarniawy; spód cały żółtawo rdzawy z większemi brunatnemi plamami; na nogawicach i pokrywach podogonowych, mocniéj rdzawych, większe są plamki; ogon także ciemniejszy jak u starych.

Samica w tymże wieku ciemniejsza na płaszczu od staréj, więcéj jest rudawa od spodu.

Młode w pierwszém upierzeniu w obu płciach są jednakowe i nie wiele różnią się od starej samicy. Tęcze mają ciemno brunatne, nogi i woskówkę żółtawe, bledsze jak u starych, dziób ciemniéj błękitny. Płaszcz mają brunatny z mocniéj rudemi plamami; lotki pierwszego i drugiego rzędu z wązkiemi obwódkami płowemi; na spodzie grubsze brunatne plamy.

Jaja są bardzo podobne do pustułczych i dosyć rozmaitości między sobą przedstawiają; trudne są do rozróżnienia od tamtych, mają słaby połysk, powierz-

chnią skorupy na oko gładką, lecz po dobrém wpatrzeniu się dosyć chropowatą, pod szkłem powiększającém porowatość wyraźna. Najpospolitsze są z tłem żółtawo białawém zalaném, całkowicie rdzawym lub ceglastym kolorem, na którym znajduje się mnóstwo ciemniejszych plamek, zawierających miejscami między sobą plamki i kropki ciemno brunatne lub koloru krwi spiekłéj. Rzadsze są z tłem białawém, mocno z pomiędzy plam przebijającém; inne mają tło tak ciemne, jak jaja pszczołojada z upstrzeniem ciemno orzechowém; inne nakoniec są podobne do jaj poprzedzającego gatunku, ale zawsze są od tamtych mniejsze.

Długość od 1″6‴—1″8‴, szerokość 1″3″.

Drzemlik jest mieszkańcem całéj prawie Europy, Ameryki północnéj, znacznéj części Azyi zachodniéj i Afryki północnéj; lecz nie wszędzie we wszystkich porach roku się znajduje, na lato bowiem leci na północ, a w zimie zwiedza południowe kraje. U nas na ciągu jesiennym, zacząwszy od września, dość jest pospolitym; na zimę pewna ilość zostaje, w marcu i kwietniu przelatują w powrocie, ale w mniejszéj już ilości. Wcale się u nas nie gnieżdżą; parę razy jednak widziałem stare w maju, zapewne więc niezbyt daleko miały się udać na czas lęgowy.

Pomimo swéj małości i pomimo krótszych nierównie skrzydeł jak u innych sokołów, drzemlik jest bardzo lotny, zuchwały i drapieżny; pod względem tych wszystkich przymiotów wyrównywa stosunkowo najszlachetniejszym tego rodzaju ptakom. Żywi się głównie drobnemi ptaszkami, najwięcéj prześladuje skowronki i inne ziarnojady po polach przebywające; lecz także uderza często na bekasy, brodźce i inne podobne błotne ptaki; nie przepuszcza przepiórkom, drozdom, w potrzebie odważa się nawet na kuropatwy i gołębie, znacznie od siebie większe: myszy ani żadnych owadów nie jada.

W czasie pobytu u nas nie zapuszcza się nigdy wgłąb lasów i w nich nigdy nie poluje, lecz trzyma się zwykle brzegów i otwartych pól; siada po wierzchołkach pojedynczych drzew i krzaków, na kamieniach i bryłach, zkąd pilnie na wszystkie strony uważa, a gdy

się ptaszyna gdzie ruszy lub przelatuje, puszcza się za nią i w powietrzu chwyta sposobem sokolim: lecz gdy ta pierwéj padnie na ziemię i skryje się w krzaku lub trawie, drzemlik zatrzymuje się chwilę nad nią i gdy postrzeże odrazu, bierze z ziemi; w przeciwnym zaś razie natychmiast wraca na dawne miejsce lub gdzieindziéj leci. Nieraz na polowaniu błotném zdarzało mi się widzieć, jak spostrzegłszy zdaleka zapadającego bekasa, przyleciał natychmiast w toż samo miejsce, trafił odrazu i porwał z trawy. Ze złowionym ptakiem siada na ziemi i na miejscu go zjada; wtenczas tylko odnosi daléj, gdy go obecność człowieka lub innego nieprzyjaciela niepokoi. Daje on dowody znakomitéj siły dźwigając krzyka lub innego podobnéj wielkości ptaka, nie wiele od siebie lżejszego, i może go kilkaset kroków unieść za jednym razem.

Nie jest on zbyt ostrożnym: siada często blizko zabudowań, a często nawet na otwartém polu na strzał schodzić się daje. W gonitwie za zdobyczą tak się zapala, że niekiedy wpada pod nogi człowiekowi i często życiem przypłaca, gdy trafia na strzelca.

Gnieździ się w północnéj Skandynawii i Ameryce, szczególniéj obficie w Irlandyi. Ściele gniazda na skałach i na równinach wrzosami zarosłych, mokrawych, które na Północy są bardzo pospolite i rozległe; z drobnych patyczków, dosyć nędzne: rzadko na drzewach. Niesie 4 lub 5 jaj.

Dawniéj w sokolnictwie był często używany i nierównie był lepszym od kobuza; puszczano go z korzyścią na bekasy, przepiórki a nawet i na kuropatwy: według jednak świadectwa dawnych naturalistów niechętnie miał znosić niewolą i psuł często ptaki, nim mu je myśliwy zdążył odebrać.

Ptak ten wytępia wiele pożytecznych ptaków a żadnych pożytków nie wyświadcza; śmiało zatém może być uważanym za szkodliwego; ponieważ jednak nie jest zbyt pospolitym, znacznego wpływu nie wywiera; jednak przebywając u nas głównie w porze roku, w któréj inne drobne użyteczne gatunki ptaków drapieżnych wcale się nie znajdują, może być śmiało wyniszczanym, gdyż nie spowoduje bicia tych, które ochraniać wypada.

SOKÓŁ KOBCZYK (1).—*Falco rufipes Beseke.*

Hypotriorchis rufipes Boie. — Erythropus vespertinus Brehm. — Falco vespertinus Linn. — Sokół kobuzek Tyz. — Postolka rudonohá Cz. — Variété de hobereau Buff. — Der Rothfüssige Falke N. — Соколъ кобчикъ Ross.

Nogi krótkie, pokryte siatkowatém obuwiem; palce znacznie krótsze, jak u poprzedzających gatunków, nie tak wysmukłe i jakby obrzękłe; pazury krótkie, grube, słabo zagięte, prawie równe. Ogon mierny, szeroki, w końcu słabo zaokrąglony; złożony, prawie równo przycięty; końce złożonych skrzydeł równają się z końcem ogona.

Długość cali 10½‴; siąg 24—25′; długość dzióba 8‴; wysokość w nasadzie 6‴; długość skoka 1″ 3‴; palca średniego 10½‴; pazura u tegoż 4‴; ogona 4″ 10‴.

Dziób u starego samca od nasady jest żółto czerwonawy, daléj modro rogowy, w końcu czarniawy; u samicy szczęka wierzchnia mniéj żółta, u młodych nasada tylko żółtawa. Woskówka i powieki wiśniowo czerwone; nogi u starych samców ponsowe, u samic ponsowo pomarańczowe; u młodych woskówka, powieki i nogi blado żółte. Szpony żółtawe z końcami niekiedy rogowemi, u samic mniéj żółte; tęcze brunatne.

Starego samca całe upierzenie jest ołowiasto popielate; od spodu światlejsze, z czarnemi stosinami, wyraźnie rysującemi się na tle pierza. Lotki jaśniejsze, białawo popylone; pokrywy ogonowe i sterówki czarniawe; nogawice, podbrzusze i pokrywy podogonowe ciemno rdzawe.

Samica znacznie grubsza, zupełnie odmienne ma upierzenie: na głowie, karku i na całym spodzie ciała

(1) Nazwisko kobuzek, przez hr. Tyzenhauza ptakowi temu nadane, wolałem innem zastąpić, z powodu, że tego wyrażenia nigdy z ust naszego ludu nie słyszałem, wśród licznych przerobień, jakim nazwisko kobuz ulega i stosuje się do wszystkich drobnych gatunków. Rdzawonóg tém więcéj za niewłaściwy uważam, raz, że w języku naszym unikać wypada wyrazów złożonych, a więcéj jeszcze, że źle maluje cechę, dla któréj go użyto. W Rossyi, gdzie ptak ten jest najpospolitszy, znany jest pod nazwiskiem kopczyk, co w książkach przerabiają na kobczyk; może ono być bardzo dobrze u nas zastosowaném.

rdzawo ruda, jaśniejsza lub ciemniejsza; na piersiach brunatno, bardzo wązko zrzadka centkowana; okolice oczów czarniawo brunatne; wiérzch ciała popielaty, czarniawo w poprzek pręgowany. Na szerokich chorągiewkach lotek czarniawo szarych, rzęd dużych, okrągłych plam białych; popielaty ogon przepasany siedmioma wązkiemi i jedną przy okńcu szeroką czarniawą pręgą.

Młody samczyk w piérwszém pierzu, w jakiém do nas w powrocie jesiennym przybywa, ma wiérzch głowy białawy, brunatno wzdłuż stosin kreskowany; okolice oczów czarniawo brunatne; gardziel białawą, cały zaś spód ciała płowy, na piersiach i brzuchu brunatno podłużnie plamisty. Wiérzch ciała szaro popielaty, przyczém każde pióro szeroko rudawo jest obwiedzione. Skrzydła, jak u staréj samicy, różnią się tylko rudawo białawemi obwódkami na końcach każdéj lotki. Na sterówkach popielatych, rdzawo pociągniętych, znajduje się dwanaście czarniawych przepasek, spód ogona koloru rdzawo płowego; pokrywy podskrzydłowe rdzawo płowe, brunatno plamiste.

Młoda samica różni się od samca wielkością i ubarwieniem wiérzchu głowy brunatno rdzawém, na czole tylko opłowiałém i upstrzoném wzdłuż stosin brunatnemi wązkiemi prążkami.

Tak samce, jak i samice po piérwszéj zmianie pierza nie dostają odrazu właściwych, doskonałych ubarwień; niektórym samcom zostaje jeszcze na drugi rok przy doskonałém zresztą upierzeniu cały spód skrzydeł z poprzedniego stanu, zmieniony tylko w ten sposób, że jest zupełnie wybielały i czarniawo pręgowany; inne prócz tego miewają jeszcze plamy kasztanowate lub rudawe rozmaitéj wielkości i kształtu, na różnych częściach spodu ciała; trafiają się nawet niekiedy mające w tym wieku spód całkowicie rdzawy.

Samice więcéj jeszcze przedstawiają rozmaitości i kilku lat potrzebują do przybrania właściwych kolorów. W drugim roku mają cały spód płowo rudawy; na piersiach, bokach i brzuchu więcéj i większe plamy brunatne; czoło brwi i gardziel światło płowe, okolice oczów mniéj ciemne, wiérzch ciała mniéj jasny i nie tak wyraźnie

pręgowany. Po każdéj zmianie pióra ciemnieją, plamki stają się rzadsze i drobniejsze. Płaszcz w drugim już roku jest jak u starych.

Jaja podobne są do pustułczych i pustułeczek, znacznie jednak mniejsze od piérwszych, a nie wiele większe od drugich: kształt ich jest miernie podługowaty, w cieńszym końcu zwykle są mało zeszczuplone. Ubarwienie bywa jeszcze rozmaitsze: w jedném bowiem zniesieniu trudno znaleźć dwóch zupełnie podobnych między sobą; jedne są płowe zrzadka rdzawo pstrokate, gdy inne od pustułczych ciemniejsze. Najpospolitsze są podobne do zwykłych kobuzowych: płowo rudawe, rdzawemi kreskami i plameczkami bardzo drobnemi i gęstemi nieregularnie upstrzone, tak, że tło bardzo mało jest przez nie widoczném.

Długość od 1″4‴—1″5‴; szerokość od 1″1‴—1″1½‴.

Gatunek ten rozpoczyna szereg tak zwanych podłych sokolików, z tego powodu, że nie żywią się ptakami, lecz głównie owadami i drobnemi ssącemi zwierzątkami; nie potrzebują zatém przymiotów tak doskonałych, jak ptaki szlachetne. Za tém idą pewne modyfikacye w budowie rozmaitych ich części. Najwidoczniejsza ta zmiana jest w nogach: palce ich są nierównie krótsze, nie tak szczupłe, lecz cokolwiek obrzękłe i brzuszce pod niemi nie są tak wydatne, a pazury stosunkowo znacznie krótsze, tępsze i mniéj zakrzywione. Lot ich wolniejszy w ogólności: polują odmiennym zupełnie sposobem i znaczne prócz tego przedstawiają różnice pod względem ogólnych obyczajów. Przyczyny te spowodowały teraźniejszych naturalistów do oddzielenia ich od rodzaju sokołów, co uważam za niestosowne z przyczyny głównie gatunku, którym się obecnie zajmujemy. Ten bowiem, prócz budowy nóg i obyczajów, tak jest zresztą podobnym do szlachetnych małych gatunków, że trudno oznaczyć, gdzie ma być właściwiéj pomieszczonym, tém więcéj, że i kobuz środkuje obyczajowo między szlachetnemi i podłemi sokołami; powody te więc znakomicie osłabia.

Kobczyk mieszka w Azyi i we wschodnio europejskich krajach, zbyt daleko na północ nie posuwa się. Pospolity bardzo w okolicach morza Czarnego, pospolity

na Ukrainie, gnieździ się także w niewielkiéj ilości na Polesiu wołyńskiém. Na zimę zewsząd usuwa się ku południowi. Nasze strony zwiedza po większéj części w wędrówkach: w maju przeciąga gromadnie i zatrzymuje się po kilka dni w okolicach błotnistych gubernii lubelskiéj; w niektóre tylko lata mała bardzo ilość zostaje na czas lęgowy w okolicy do Polesia przytykającéj. W końcu sierpnia wracając rodzinnemi stadkami zatrzymuje się przez cały wrzesień w miejscach błotnistych tejże saméj okolicy, a w piérwszéj połowie października rzadko już zdarza się tam pojedyńcze spotykać. W okolicach bezbłotnych są rzadkie i prawie nieznane, a rzadsze jeszcze w okolicach więcéj północnych; około Warszawy bardzo rzadko się trafiają.

Pomimo wielkiego podobieństwa w kształtach do najszlachetniejszych ptaków tego rodzaju, ptak ten w sposobie życia zbliża się do pustułek. Obyczaje jego są bardzo łagodne i towarzyskie, wędrują zawsze prawie stadami, na żer nawet zlatują się w jedno miejsce, na spoczynek i nocleg obsiadają całemi stadami drzewa i krzaki tak prawie gęsto, jak liście; zawsze największa zgoda między niemi panuje, prócz tylko w chwili, w któréj się sadowią, i to się ogranicza tylko na mocném ćwierkaniu, dopóki się wszystkie wygodnie nie umieszczą: gnieździć się nawet lubią w towarzystwie.

Względem człowieka są więcéj dowierzające od innych gatunków; uważałem jednak, że młode w jesieni są płochliwsze, jak stare na wiosnę.

Lot ich lekki i zwinny do natury pożywienia dobrze zastosowany, gdyż większą część dnia w powietrzu przepędzać muszą. Na żer wylatują nad pola i łąki, przelatują się nad niemi i często trzęsą się w miejscu tak jak pustułki, upatrując po trawach drobne istoty, służące im wyłącznie na pokarm. Na upatrzoną zdobycz opuszczają się nagle ze złożonemi skrzydłami i na miejscu pożywają. Łowią także w locie skrzydlate owady i pożerają je podobnie jak kobuz w powietrzu. Wzrok ich podobnie jak pustułek nie musi być zbytnie doskonały, gdyż latają zwykle za żerem dość nizko, a nigdy nie wznoszą się w tym celu wyżéj nad 20 lub 30 łokci; za to téż przy

zmroku wieczornym dłużéj od innych współrodzajowych ptaków polować mogą. Głos ich podobny do pustułczego. Nie cierpią również jak inne sokoliki obecności drapieżnych ptaków i wron przy gniazdach swoich, i zapalczywie je odganiają.

Na czas lęgowy osiedlają się w małych gaikach i w brzegach lasów, położonych między polami uprawnemi i łąkami; w krajach górzystych często na odosobnionych gruszach lub innych drzewach. Najczęściéj w mniéj więcéj licznych towarzystwach. Sadowią się w gniazdach wronich jak można najbliżéj siebie będących, a często w gawronich, po kilkanaście lub kilkadziesiąt na jedném drzewie budowanych i te stosownie dla siebie przerabiają: tojest całe zagłębienie zaścielają drobnemi gałązkami, mchem i trawą surową, tak, że powierzchnia staje się prawie zupełnie płaską. Nie wiadomo mi, czy w braku, same podobne gniazda sobie urządzają. Prócz tego także gnieżdżą się niekiedy w obszernych dziuplach starych olszy lub innych drzew, i tam urządzają siedzenie z suchych gałązek, perzu, darniny, mchu i świeżéj trawy. Uważałem zawsze, że kilkanaście dni samica ściele posłanie i siedzi próżno na gniaździe, nim się nieść zacznie; w początku dopiéro czerwca znosi 5 jaj. Do raz obranych gniazd co wiosna powracają.

Głównem ich pożywieniem są rozmaite owady, a szczególniéj szarańcze, świerszcze, chrabąszcze, inne wielkie tęgo pokrywe i ich pędraki; na myszy rzadziéj się rzucają. W krajach, gdzie szarańcze wielkie szkody zrządzają, sokoliki te wyświadczają nieocenione usługi przez znakomite przerzedzanie tych niebezpiecznych istot, u nas zaś, chociaż w małéj części kraju bywają w większych ilościach, i to przez czas dość krótki, znacznie się jednak przykładają do gubienia niektórych szkodników. Nic więc nie usprawiedliwia tępienia ich, owszem, staraćby się usilnie wypadało, aby je najtroskliwszą opieką osłonić i tym sposobem zachęcić do rozmnażania się ciągłego w większych jak dotąd ilościach.

SOKÓŁ PUSTUŁKA Rzącz. — *Falco tinnunculus Lin.*

Tinnunculus tinnunculus Licht.— Sokół wieżowy Wodz.— La cresserelle Buff. — Der Thurmfalke N.— Postolka. Cz.— Соколъ пустельга Ross.

Palce miernie krótkie, środkowy niewiele dłuższy od skrajnych; pazury mało zagięte, prawie równe, czarne; skrzydła śpiczaste, od ogona znacznie krótsze; ogon długi, w końcu mocno zaokrąglony, sterówki skrajne o pół cala od następnych krótsze.

Długość samca 14″ siąg 30″; długość samicy 16″ siąg 32—32½; długość dzioba 8‴, wysokość w nasadzie 6‴; długość skoka 1″8‴, palca średniego 1″, pazura średniego 5‴, ogona 7″; waży łutów 11—16. Dziób od nasady modro popielaty, w samym końcu zczerniały, woskówka, powieki i nogi żółte, tęcze brunatne.

Stary samiec ma grzbiet i skrzydła ceglasto rdzawe, upstrzone okrągłemi lub trójkątnemi czarniawemi plamami; na wierzchu głowy i karku popielatym czarne stosiny wyraźnie od tła są odznaczone; kuper i ogon siwo popielaty. Przy końcu sterówek szeroka pręga czarna, same końce białawe, spodnia strona także biaława prócz pręgi. Lotki brunatno czarne, na wewnętrznych chorągiewkach mają duże białe trójkątne plamy. Spód ciała płowo rudawy, nakrapiany na piersiach wązkiemi pędzelkami, na bokach zaś i brzuchu okrągłemi kroplami brunatnemi; gardziel płowa bez plam. Od przodu oka wzdłuż szyi ciągnie się wąs ciemno popielaty. Nogawice ciemniejsze od piersi i brzucha, nieplamiste; pokrywy podskrzydłowe białe, czarno upstrzone.

Samica znacznie większa i grubsza, ma wierzch znacznie bledszy, czerwonawo rudy, czarniawo poprzecznie pręgowany; na głowie tegoż samego koloru każde piórko naznaczone wązką wzdłuż stosiny czarniawą plamką. Na ogonie także czerwonawo rudawym dwanaście wązkich czarniawych prążek prócz końcowéj szerokiéj tegoż samego koloru, same końce sterówek płowo rudawe, spodnia strona biaława. Na spodzie ciała bledsza jest jak

samiec, płomykowato grubiéj upstrzona; lotki i spód skrzydeł jak u samca.

Młode w pierwszém pierzu do samicy podobne: rozpoznać się dają po płowém obrzeżeniu wszystkich piór na częściach ciała wierzchnich; samczyki od samic po wielkości i popielatym odcieniu na sterówkach. Samce po pierwszéj zmianie pierza, dostają właściwych kolorów, lecz wierzch głowy i kark mają jeszcze mniéj więcéj rudawo pociągnięty, i czarniawe poprzeczne prążki na sterówkach, prócz dwóch środkowych, które ich wcale nie mają. Na wiosnę wracają zupełnie już na nowo upierzone, niektóre jednak pierzą się dopiéro po powrocie.

Pisklęta są białym, nabitym, wełnistym puchem odziane; oczy mają czarne, nogi bardzo blade. Jaja miernie podługowate, w jednym końcu mało ścieńczone, w środku mniéj więcéj pękate, bardzo rzadkie są, mające grubość w obu końcach jednostajną; różnice w wielkości niewielkie. Ubarwienie podobne jak na jajach wszystkich sokołów i dosyć licznym ulega odmianom: tło mają ceglasto rdzawe, rudawe lub różowe, ciemniejszemi plamami rozmaicie gęsto upstrzone; niektóre bywają podobnie mazane jak jaja pszczołojadów; a niektóre mają tło białawe mocno z pod plam przeglądające. Długość od 1″7‴—1″9‴, szerokość od 1″3½‴—1″4½‴.

Pustułka mieszka w całéj Europie, w zachodniéj części północnéj Azyi, w Afryce i w północnéj Ameryce; u nas ze wszystkich dziennych drapieżnych ptaków najpospolitsza; wcześnie bardzo przylatuje, często już w marcu, najpóźniejsze zaś ptaki w początku kwietnia są już na miejscu; w drugiéj połowie października odlatuje i na południe Europy udaje się na zimę (1).

Jestto ptaszek bardzo kształtny, zwinny i lekki, lata dosyć szybko, nie tak jednak bystro jak kobuz lub drzemlik; gdy dąży w prostym kierunku, widocznie porusza skrzydłami i ogon cokolwiek rozszerza. Lubi także często

(1) Hr. Tyzenhauz w Ornitologii powszechnéj utrzymuje: że pustułka często na zimę w Litwie zostaje; ja zaś, pomimo bacznéj uwagi, nigdy jéj w téj porze u nas nie widziałem i żadnéj dotąd o podobnym wypadku wiadomości powziąć nie mogłem. Zapewne jest to omyłka lub skutek niedokładnéj obserwacyi.

wznosić się w górę do znacznych wysokości i krążyć tak jak wiele innych ptaków drapieżnych; wtenczas roztacza ogon szeroko i żadnego ruchu skrzydeł nie okazuje, ogonem tylko kierunek sobie nadaje. Mają zwyczaj zlatywać się do krążących kań i myszołowów, towarzyszyć im w ich obrotach i natarczywie napastować. Ten zwyczaj nie tylko właściwy jest naszym drobnym gatunkom, ale nawet i w innych częściach świata żyjącym. Częstokroć do jednego ptaka drapieżnego po kilka się ich zgromadza, aby go niepokoić, wznosząc się na przemiany nad niego do pewnéj wysokości, tak nagle nań uderzają, że zdaje się z dołu patrzącemu, iż go koniecznie w głowę uderzać powinny. Za każdém takiém natarciem ociężałe i niezgrabne ptaszysko nagłém rzuceniem się na stronę i przechyleniem unika uderzania, i przepuszcza obok siebie rozpędzonego napastnika, który natychmiast znowu w górę wynosi się i toż samo powtarza, do nieskończoności, to jest dopóty, dopóki znękany temi ciągłemi i utrudzającemi zaczepkami, potężny lecz niezgrabny nieprzyjaciel nie odleci.

Nie można tego tłumaczyć sobie, aby te słabe stworzenia miały na celu wyrządzenie szkody potężniejszemu od siebie nieprzyjacielowi, gdyż nigdy się im to nie udaje; ale raczéj znajdują w tém pewien rodzaj zadowolenia: raz, że nierównie okazalszy ptak musi im ustępować; powtóre korzystają ze sposobności użycia ruchu i próbowania swojéj zręczności.

Pustułka jest dość ostrożna i bojaźliwa: przed człowiekiem ucieka, i nie zawsze zejść się daje; w czasie tylko gnieżdżenia się, więcéj dowierza i łatwa do ubicia. Głos ma krzykliwy, każdemu dobrze znany. W czasie lęgowym nie cierpi sąsiedztwa większych ptaków drapieżnych, wron i kruków; przelatujące w bliskości goni z krzykiem i natarczywością, i tym sposobem daleko przeprowadza.

Z wiosny najczęściéj wędrują pojedynczo lub w parach, młode zaś długo w towarzystwie rodzinném się trzymają i razem odlatują.

Na czas lęgowy zamieszkuje brzegi wszystkich lasów a mianowicie miejsca, gdzie się stare dziurawe drzewa, po-

ręby i halizny, rozwaliny starych murów a nawet wśród miast położone, niekiedy także wśród pola na pojedynczéj staréj sosnie. W krajach górzystych chętnie po skałach przebywa. W początku żniw, wynosi się zupełnie w otwarte pola, i tam do czasu odlotu stale zostaje.

Gnieździ się po dziuplach, barciach, szczelinach i dziurach starych murów, wysokich wież i skał. Obiera najczęściéj dziury, mające obszerne na zewnątrz otwory; czasem jednak sadowi się w dawnych dziurach dzięciołów i gołębi tak ciasnych, że z wielką trudnością przeciskać się przez nie musi. W braku takowych zajmuje stare gniazda wron, które we środku podnosi i wykłada mchem, perzem, darniną i rozmaitém śmieciem. Sama nigdy gniazda nie ściele, a najczęściéj nie urządza żadnego posłania w dziuplach. Niesie 4—7 jaj. Samiec zwykle siedzi przez parę godzin w południe na gniaździe, zresztą stara się ciągle o pokarm dla siebie i dla samicy. Siedzący ptak na gnieździe dopuszcza człowieka pod samo drzewo: jedno tylko stuknięcie w pień tegoż, wystarcza do zestraszenia go; nadlatują zwykle w obecności człowieka tak nizko, że z łatwością postrzelać się dają; zwykle téż, gdy człowiek za długo przy gnieździe zostaje, wracają i osiadają na jajach, niezważając na jego obecność. Straszone strzałami stają się cokolwiek ostrożniejszemi, jednak nie wyrzekają się nigdy potomstwa, dopóki z tych prób zdrowo wychodzą. Do dzieci są bardzo przywiązane, bronią ich odważnie i troskliwie pielęgnują. W połowie maja nie wszystkie jeszcze siedzą na jajach, a w początku lipca najwcześniejsze opuszczają gniazda; późniejsze zostają jeszcze na nich ku końcowi tego miesiąca.

Pożywienie pustułki jest bardzo różnorodne, głównie się składa z myszy, polników i innych drobnych ssących, z większych owadów a mianowicie szarańczy, świerszczów i chrząszczowatych; jada także i młode ptaszki, a niekiedy i stare z ziemi porywa. Na żer wylatuje w pola i łąki, unosi się nad niemi i krąży nieustannie, zatrzymując się często w miejscu nad norami myszemi i innemi miejscami korzystnemi, aby upatrywać zdobycz ukrytą po gęstych trawach i cierniach, lub doczekać się

pokazania się z dziury. Na upatrzone spuszcza się szybko ze złożonemi ku ciału skrzydłami, chwyta i pożera na miejscu. Ptaków w locie nie goni, i wtenczas tylko je bierze, gdy przyczajone upatrzy na ziemi. Nie odznacza się zbytnią bystrością wzroku, nie wznosi się wysoko, gdy lata za żywnością, i dość długo nieraz przypatrywać się musi, nim ją rozpozna dokładnie. Najedzona siada po suchych gałęziach lub sękach w blizkości gniazda i odpoczywa, dopóki ją głód lub inna jaka okoliczność nie znagli do lotu; w czasie żniw lubi bardzo przesiadywać po kopach lub drzewach wśród pól stojących.

Z tego, co się o sposobie życia pustułki powiedziało, widocznie się pokazuje, jak wielkie usługi rolnictwu oddaje i do jakiego szacunku naszego zyskuje sobie prawo; a szkody, jakie niekiedy przez złowienie przepiórki lub innego jakiego ptaka wyrządzi, niczém są w porównaniu z usługami. Tymczasem przez źle zrozumianą gorliwość, skazaną jest ciągle na takie samo prześladowanie jak najszkodliwsze ptaki, i jako najpospolitsza i niebojąca się najwięcéj cierpi. Tępienie to nietylko że nie odpowiada w niczém zadaniu, ale nawet na znaczne szkody kraj nasz narażające, jak najprędzéj wypadaloby zamienić na najtroskliwszą opiekę, skutkiem któréj ten pożyteczny ptaszek mógłby się znacznie rozmnożyć i skuteczniéj bronić plonów rolniczych od najszkodliwszych zwierzątek.

SOKÓŁ PUSTUŁECZKA Tyz. — *Falco tinnunculoïdes Temm.*

Falco cenchris Frisch. — Falco xanthonyx Natt. — Tinnunculus cenchris Licht. — Faucon cresserellette Temm. — Der kleine Thurmfalke Brehm. — Красный соколъ Ross.

Nogi i palce jak u pustułki, szpony krótkie, słabo łukowate, prawie równe, żółtawe; skrzydła złożone przeszło o cal od ogona krótsze (1); lotka druga najdłuższa,

(1) Mylnie dotąd ornitologowie kładą za cechę odróżniającą pustułeczkę od pustułki, skrzydła złożone równie długie jak ogon; dosyć już

piérwsza z trzecią równe; ogon podobnego zupełnie kształtu jak u poprzedzającéj.

Długość 11″; długość dzióba 7½‴; wysokość 5‴; długość skoka 1″3‴; palca sredniego 10‴; pazura średniego 5‴; ogona 6″.

Dziób od nasady modro siwy, w końcu czarniawy; nogi, woskówka i powieki żółte; tęcza brunatna; nasada żuchwy żółtawa.

U starego samca głowa, kark, kuper, pokrywy ogonowe, ogon, część barkówek i nadlotki modro popielate; grzbiet i pokrywy skrzydłowe rdzawo rude, bez żadnéj odmiany; gardziel, podbrzusze i pokrywy podogonowe płowe; piersi i brzuch płowo różowe, brunatnemi okrągłemi plamkami rzadko upstrzone; nogawice bez żadnéj odmiany; lotki i pręga szeroka przy końcu sterówek brunatno czarne (1); same końce sterówek białawe; spód skrzydeł biały.

Samica podobna do samicy pustułki, różni się tylko od niéj wielkością, kolorem pazurów i popielatym kuprem; kolor ten u niektórych zastępuje białawy, w takim razie i ogon bywa bledszy; indywidua takie całe upierzenie zwykle miewają jaśniejsze.

Młode piérwszoletnie do samicy podobne; rozróżnić można po płowém obrzeżeniu lotek, a u samczyków kolor popielaty na ogonie przemaga. Po piérwszém wypierzeniu samce dostają właściwéj barwy, lecz to nie u wszystkich razem się odbywa. Najczęściéj przylatują z wiosny we właściwym już stroju; niekiedy jednak zdarza się napotykać je jeszcze w czerwcu w pierzu niezupełnie jeszcze zmienioném.

Pisklęta puchowe podobne zupełnie do pustułczych, znacznie jednak są mniejsze.

Jaja z koloru i kształtów są bardzo podobne do pustułczych: są tylko od nich cokolwiek mniejsze i tém

okazów tak żywych jak i zabitych przejrzałem i przekonałem się, że każda ma ogon o cal przeszło od skrzydeł dłuższy.

(1) Odcień brunatny zwykle się dopiéro pokazuje na ptakach wiosennych, w skutek spłowienia; zaraz po zmianie pierza kolor ten jest prawie zupełnie czarny.

się głównie odznaczają, że nie ma zniesienia, w którémby wszystkie jaja jednakowo były upstrzone; gdy przeciwnie u tamtych, chociaż są bardzo rozmaite, w każdém jednak gniaździe bywają między sobą podobne. Prócz tego między niemi trafia się wiele odmian takich, jakich się między pustułczemi nie napotyka: bywają niektóre prawie białawe, upstrzone rzadkiemi rdzawemi plamami, a inne tak ciemne, jakich się między pustułczemi nie widuje.

Długość 1″6‴—1″7‴; szerokość 1″2‴—1″3‴.

Piękny ten gatunek sokoła z ubarwienia, kształtów i obyczajów, bardzo jest zbliżony do pustułki, z tego powodu za nią długo u nas uchodził; wszakże na piérwszy rzut oka można go rozpoznać, a mianowicie samca, przedstawiającego znaczne i wyraźne w ubarwieniu różnice: wszelką wreszcie wątpliwość rozstrzygnie kolor pazurów, czém się głównie te ptaki we wszystkich stanach odznaczają.

Jestto najmniejszy gatunek z sokołów europejskich; z powodu długości ogona zdaje się być większym od kobczyka i drzemlika, ale w rzeczy saméj jest szczuplejszym i mniejszym od nich.

Obyczaje w ogólności są bardzo łagodne; ze wszystkich dziennych ptaków drapieżnych najmniéj obawiają się człowieka, zwłaszcza na wiosnę, wtenczas bowiem tak są łaskawe, że po kilka razy dozwalają do siebie strzelać, i spędzane tym sposobem ciągle powracają na toż samo miejsce, najczęściéj obleciawszy tylko wkoło drzewa, na którém siedziały. Lot ich jest podobnie lekki i zwinny jak pustułki, zresztą wiele bardzo mają wspólnych z tamtą przymiotów. Samczyk do samicy bardzo przywiązany, gdy się ją zabije, szuka z wielką niespokojnością, zagląda nieustannie do gniazda i nie zważa wcale na obecność nieprzyjaciela.

Zamieszkuje południową i wschodnią Europę, znaczną część Azyi i Afrykę północną; we Włoszech, w Hiszpanii, w Grecyi i w okolicach morza Czarnego bardzo jest pospolitą, w środkowéj Europie nierównie rzadszą. U nas nie wszędzie bywa, a więcéj jeszcze nie wszędzie jest znana; w niektórych miejscowościach wschodniéj części gubernii lubelskiéj, równie jest pospolitą, a może

i liczniejszą jak pustułka, jak np. w lasach Lubartowskich; dosyć jest także pospolitą w okolicach samego Radomia i w niektórych lasach téj gubernii; około Warszawy i daléj ku północy nigdzie dotąd niepostrzegana: jednak dwa jajka, znajdujące się w zbiorze Rządu Gubernialnego i pochodzące z tutejszéj gubernii, lecz nie wiadomo z którego miejsca, są dowodem, że się gdzieś w gubernii téj znajduje. Nie co rok jednak w równéj obfitości nas nawiedza: w niektórych latach bywa dość rzadka; zdaje się, że na lata opóźnione, ubogie w chrabąszcze, większa część nie dolatuje do nas, lecz gdzieś daléj na południu się gnieździ. Według świadectwa hrabiego Tyzenhauza rzadko w przelotach do Litwy zalatuje; na Polesiu wołyńskiém w powiecie kowelskim dosyć ich gniazd widywałem.

Późniéj od pustułki przylatuje, w połowie dopiéro kwietnia pokazywać się zaczyna, a do końca tego miesiąca pary przybywają ciągle na swoje miejsca. Podróżują zwykle małemi stadkami z kilku par złożonemi; wkrótce rozdzielają się na pary i szukają stosownych miejsc do lęgu. Na ten cel osiadają w brzegach lasów nad błotami położonych, a głównie obfitujących w puste barcie i dziurawe starodrzewia i w tych niosą jaja bez żadnego posłania; niekiedy zajmują dziuple po czarnych dzięciołach i gołębiach, których otwory tak są zwykle ciasne, że ptaki te zaledwo przez nie przeciskać się mogą. W braku dziupli zajmują stare gniazda wronie, które mniéj jeszcze przerabiają jak pustułki. W okolicach bezbłotnych nigdy ich nie widywałem. W krajach południowéj Europy gnieżdżą się najwięcéj w dziurach skał, starych murach, pod dachami nawet domów zamieszkałych i innych budynków pospodarskich; często dosyć gromadnie.

Jaj niosą 5, a rzadko 6. Późniéj zaczynają się gnieździć od pustułek; w piérwszych dniach czerwca jaja zwykle jeszcze bywają świeże. Samica długo przed tém, nim się nieść zacznie, w pustém gnieździe przesiaduje, pomimo to, że się żadném słaniem nie zajmuje. Przy gnieździe mniéj jeszcze jest bojaźliwą od pustułki; za jedném zwykle stuknięciem w drzewo wylatuje, nie

ucieka jednak daleko, lecz tuż w blizkości siada, przypatruje się człowiekowi i zaraz w jego obecności powraca do dziury. Strzały nie wiele ją obchodzą i wcale nie odstraszają. Do dzieci mocno przywiązane, częstokroć dają tego dowody z narażaniem własnego życia; jak tego mieliśmy następujący przykład w lesie Lubartowskim przy zdejmowaniu gniazd ptaków drapieżnych. Gdy człowiek dostał się do gniazda pustułeczki, będącego na gałęzi, matka nie zleciała, lecz owszem, przewróciła się na pisklętach plecami, z palczywie ich pazurami broniła; za to też zostawiliśmy ją bez żadnéj szkody.

Wkrótce po wyprowadzeniu potomstwa wynoszą się w pola i łąki, i zaraz odlatywać zaczynają: w sierpniu są już rzadkie, a we wrześniu wcale ich już nie widać; widoczna rzecz zatém, że tu tylko przybywają na sam czas gnieżdżenia.

Żywią się dużemi owadami, a głównie ważkami, chrząszczami, szarańczą i świerszczami, które podobnie jak pustułki upatrują na ziemi, porywają i zaraz na miejscu zjadają; nie widziałem nawet nigdy, aby brały myszy lub małe ptaszki, i nigdy w ich żołądkach szczątków ich nie znajdowałem. W czasie lęgowym mają obfity pokarm w lasach i w blizkości tychże, przeto też rzadko z nich wylatują daleko na otwarte miejsca, jakto zwykły czynić pustułki, żywiące się większemi istotami.

Widoczna zatém, że ptak ten bardziéj jeszcze niewinny od pustułki; być może, że nie tyle jest u nas jak tamta pożyteczny, za to też żadnéj szkody nikomu nie wyrządza: nic zatém nie usprawiedliwia myśliwych, że go na równi z największemi szkodnikami prześladują i wytępiają.

JASTRZĘBIE. — *Astur Lacep.*

Dziób jastrzębi jest bardzo krótki, bezpośrednio od nasady mocno zakrzywiony i ostrym silnym hakiem zakończony; brzegi szczęki w wydatny, tępy, zaokrąglony ząb wykrojone; wycięcia w żuchwie prawie nie ma. Nogi znacznie dłuższe jak u sokołów; palce długie

i szczupłe, z dużemi od spodu brzuścami; środkowy nie wiele dłuższy od skrajnych; szpony długie, mocno zakrzywione i ostre, nierówne, u ksiuka najdłuższy, a u palca skrajnego najkrótszy; skoki pod przegubem tylko z przodu upierzone, obuwie z przodu i z tyłu skoków i na palcogrzbietach tarczowate, po bokach siatkowate. Skrzydła krótkie, zaokrąglone, połowy ogona nie dochodzące; lotka trzecia i czwarta najdłuższa. Ogon mierny, dosyć szeroki, w końcu równo przycięty lub zaokrąglony. Głowa krótka, szeroka, na wierzchu spłaszczona, na jéj tyle pióra szerokie w samym końcu zwężone i słabo zaostrzone; oczy duże, cokolwiek więcéj naprzód zwrócone jak u sokołów; przestrzeń między dzióbem i oczami pokryta położystemi szczeciami, gęsto puchem podbitemi; powieki wkoło oczów także gęstym puszkiem porosłe.

Jastrzębie z postaci i obyczajów dosyć są do sokołów zbliżone: równie jak tamte drapieżne, zuchwałe i silne, w locie jednak nie tyle są bystre, innym więc zupełnie sposobem polują. Nie dopędzają tak szybko zdobyczy, lecz starają się ją najprzód wypatrzyć, i lecąc cichaczem tuż ponad ziemią, napaść z nienacka nieprzygotowaną do ucieczki i przestraszoną porwać z ziemi lub też nie mogącą dobrze uciekać od strachu gonić zawzięcie i schwytać. Słowem, uganiają się raczéj za zdobyczą, nie zaś ścigają; zwykle jeżeli ptak bystrego lotu, jak np. gołąb lub bekas, umyka w prostym kierunku, rzadko kiedy jastrząb go dogoni, chyba gdy zdoła się wyżéj dostać nad niego; gdyż w takim razie z góry na dół nierównie silniéj rozpędzić się może. Lecz gdy ptak zmieszany nagłą napaścią nie może odrazu obrać kierunku ucieczki i kręcić się zacznie, najprędzéj padnie ofiarą. Inaczéj zupełnie jastrzębie biorą ptaka w locie jak sokoły: nie uderzają sobą jak tamte, lecz dognane rzutem łapy chwytają; często ptak wywija się na bok, lecz byle tylko jastrząb mógł nogą dosięgnąć i jednym pazurem zachwycić, już go zwykle dotrzyma, ściągnie pod siebie i w obie łapy obejmuje. Odnosi zwykle zdobycz w spokojne miejsce, lecąc częstokroć nad samą ziemią, jeżeli ta jest za ciężka; żywcem z piór oskubuje i szarpie na sztuki.

Sprytne są bardzo w wyszukiwaniu łupu: pamiętają doskonale i umieją rozważać gdzie ptaki najczęściéj przebywają, i w takie miejsca z nienacka wpadają. Zawzięciéj nierównie gonią od sokołów; gdy ptak skryje się na ziemi, siadają za nim i chodząc starają się go wyszukać; gdy się to nie uda, odlatują na stronę i zaczaiwszy się na piérwszém lepszém drzewie, cierpliwie oczekują, dopóki się nie poruszy. Krótkość skrzydeł dozwala jastrzębiom polować między drzewami, są nawet pory roku, w których rzadko bardzo z lasów wylatują, lecz w głębi tychże w bliskości gniazda swego szukają zwykłe zdobyczy.

Dwa gatunki posiadamy w kraju: oba są miejscowe i bardzo szkodne. Dzisiejsi ornitologowie rozdzielają jastrzębie na kilka rodzajów, z których nie wszystkie dadzą się usprawiedliwić. W skutek tego rozdrobnienia naszego krogulca do rodzaju *Nisus* lub *Accipiter* przenoszą; tymczasem nie ma żadnéj dobréj racyi, aby ptaki tak do siebie podobne pod względem budowy i obyczajów, nie miały być w jednym rodzaju mieszczone. Prawda, że krogulec ma stosunkowo głowę, dziób i nogi nierównie szczuplejsze od jastrzębia, ale też trzeba na to zważać, że w większéj liczbie najnaturalniejszych rodzajów podobne stosunkowe zmiany proporcyi często się trafiają i nie mają większéj ważności nad cechy gatunkowe.

JASTRZĄB GOŁĘBIARZ Wodz. — *Astur palumbarius Lacep.*

Falco palumbarius Linn. — Falco gallinarius Gmel. — Falco marginatus Lath. — Sparvius palumbarius Vieill. — Sokół Jastrząb Rzącz. — Jastrząb kurnik, gołębnik, gołębiarz, koropatwiarz, kokosznik gmin. — Szulak Małorusk. — Autour Buff — Taubenfalke, Hühnerfalke, Stockfalke Niem. — Jestrab Cz. Ястребъ тетеревятникъ Ross.

Nogi miernie długie, silne; palce długie, silnemi pazurami uzbrojone; ogon długi, szeroki, w końcu mocno zaokrąglony.

Długość samca cali 20, siąg stóp 3 ½. Długość samicy 24″, siąg stóp 4 ⅙; długość dzióba 1″3‴, wyso-

kość w nasadzie 10‴; długość skoka 3″, palca średniego 1″10‴—2″, pazura u tegoż 8‴, pazura u ksiuka 1″10‴, długość ogona 9″—11″.

Dziób siwo czarniawy z jasną plamą na bokach obu szczęk; nogi jasno żółte, niekiedy cokolwiek zielonawe; szpony czarne, woskówka żółto oliwkowa, tęcze pomarańczowe, u bardzo starych w kolor ognisty wpadające.

Stary samiec ma wierzch głowy i kark śniady; z brzegami piór mniéj więcéj rudawo obwiedzionemi; płaszcz niebieskawo popielaty, niekiedy jakby pudrem niebieskawym przypruszony; nad oczami szerokie brwi białe, śniademi końcami piór upstrzone, na tył głowy zachodzące. Spód cały białawy, na policzkach i gardzieli podłużnie kreskowany, zresztą poprzecznie śniado falowany; nogawice takie same z subtelniejszemi pręgami; pokrywy podogonowe czysto białe; pokrywy podskrzydłowe białawe, lekko rudawo zafarbowane, śniado plamiste. Lotki ciemniejsze, od płaszcza mają po sobie jeszcze ciemniejsze, szerokie pręgi. Na ogonie cztery szerokie, czarniawe pasy, same końce sterówek światło popielate, a spodnia strona białawo popielata w przestrzeniach zawartych między ciemnemi pręgami.

Samice są znacznie większe, mniéj niebieskawe na płaszczu, i pręgi na spodzie ciała mają nierównie szersze.

Młode pierwszoletnie mają nogi sine, zmieniające się stopniowo ku zimie w żółte; tęcze siwe, dopóki ptaki są w gniaździe, po wylocie żółto zielonawe, żółkną zupełnie przed zimą. Upierzenie zupełnie niepodobne do starych: wierzch głowy i kark mają śniado brunatne, rudawemi brzegami piór mocno upstrzone; płaszcz rdzawo brunatny z płowo rudawemi obwódkami, wązkiemi na plecach i naramiennikach, szerszemi nierównie na kuprze i ku tyłowi pokryw skrzydłowych. Spód całego ciała i skrzydeł płowo rudawy, podłużnie brunatno płomykowany, coraz grubiéj i gęściéj ku dołowi i na bokach; nogawice więcéj rdzawe, mają po sobie bardzo wązkie płomyki wzdłuż całéj stosiny; pokrywy podogonowe także wązko płomykowane. Lotki i sterówki

w ten sposób pręgowane jak u starych, lecz innemi kolorami; zamiast pręg brunatnych mają brunatno szare a miejscami rudawe, szaro plamkowane, a w miejscu czarniawych, ciemno brunatne. Nad okiem brew płowo biaława widocznie odznacza się od otaczających ją kolorów. Odzież tę więcéj jak rok zatrzymuje, lecz z postępem czasu dość znacznym ulega ona zmianom w skutek spłowienia kolorów. Samica w tym wieku ma płaszcz jaśniejszy i plamy na spodzie szersze i jaśniejsze.

Po pierwszém wypierzeniu się, które następuje dopiéro w lipcu lub w sierpniu roku następnego, niezupełnie są jeszcze do starych podobne. Płaszcz ich bowiem jest czarniawo popielaty bez niebieskawego odcienia, nogi i woskówkę mają żółte; tęcze mocniéj żółte, jak w pierwszym roku, lecz nie pomarańczowe.

Pisklęta w puchowéj odzieży są czysto białe: puch na nich gęsto nabity nie tak miękki lub jedwabisty, jak na młodych kaniach; dzióby przy nasadzie cieliste, daléj czarne; nogi blado zielonawe, oczy czarne.

Jaja są w jednym końcu mocno zaokrąglone, w drugim nieco śpiczaste, miernéj długości i słabo pękate; skorupa gładka w dotknięciu, mało połyskująca, lecz w miarę zasiedzenia połysk cokolwiek wzrasta. Barwa biała mniéj lub więcéj zielonawa, bez żadnych plam; niekiedy jednak miewają lekkie brunatnawe, podobne jak na niektórych odmianach myszołowa; lecz to się bardzo rzadko u nas trafia; przeszło 20 gniazd sam wybrałem i znaczną liczbę jaj krajowych widziałem: jedno tylko znalazłem zniesienie plamiste; hrabia Wodzicki powiada, że przeszło 30 gniazd wybrał, nigdy jednak nie trafił na upstrzone: tymczasem w zagranicznych zbiorach dosyć się takich znajduje, a niektóre nawet są mocno pstrokate. Jaja mocno zasiedziane przybierają pozór tłustawy i miewają dosyć plam brudno oliwkowych, powierzchownych, od brudu pochodzących, lecz nie dających się zmywać. W wymiarach dosyć znaczne różnice zachodzą, w każdém jednak zniesieniu kształt i wielkość bywają jednakowe.

Długość od 2″3‴ —2″6‴, szerokość 1″9‴ —2″.

Jastrząb jest mieszkańcem całéj Europy i Azyi środkowéj; u nas wszędzie pospolity, ze szkód w drobiu i zwierzynie wyrządzanych każdemu dobrze znany. Z całego rodzaju jastrzębi najdrapieżniejszy i najodważniejszy, rzuca się na zwierzęta i ptaki, nierównie od siebie większe, żywi się samém tylko świéżem mięsem; padliny w największéj nawet potrzebie nie tyka. Wszędzie jest miejscowym; dalekich wędrówek nie odbywa, lecz zwykle zostaje przez całe życie w okolicy, gdzie się urodził. W każdéj prawie porze roku odmienny tryb życia prowadzi i według tego, gdzie i jakim sposobem żywności dostać może, zmienia miejsca pobytu.

Przez całą wiosnę i początek lata stale się trzyma lasów, gdzie mu gołębie, kraski, sójki, drozdy, i inne tak stare jak i młode ptaki leśne obfitego żeru dostarczają; w czasie nawet, gdy pisklęta tych ptaków dorastają w gniazdach, najstaranniéj je wyszukuje i wybiera, nie zadając sobie trudu w gonieniu rodziców, które często broniąc potomstwa tak się narażają, że bardzo łatwo mógłby je złowić, gdyby mu się tylko chciało pogonić. Przy końcu dopiéro lata, gdy te ptaki zaczynając wędrować, opuszczą lasy i wynoszą się w pola, jastrząb za niemi wylatuje i dopóty je ściga, dopóki zupełnie nie odlecą. Wtenczasto dopiéro zaczyna napady na drób: odwiedza okoliczne wsie i miasta, gdzie po dziedzińcach i ogrodach morduje kury, kaczki i inne domowe ptaki, przyczém zuchwalstwo i śmiałość tak daleko posuwa, że je z przed samych drzwi ludzkich porywa, a nawet i do budynków wpada. Na kury uderza z góry, tłucze skrzydłami i silnemi uderzeniami szponów stara się ogłuszyć, następnie przysiada, pazurami przejmuje, skubie żywcem i szarpie na miejscu; spłoszony jednak dźwiga swą zdobycz i unosi ją ponad samą ziemią za krzaki, drzewa lub inne jakie zasłony, kilkaset kroków nieraz oddalone, mimo to, że najczęściéj znacznie jest od niego cięższą.

Największe szkody wyrządza w gołębiach domowych: gdy się raz do nich wnęci, póty odwiedza, póki do ostatniego prawie nie wyłowi. W napadach na nie, daje dowody wielkiéj przezorności i kombinacyi, zbliża się zwykle lecąc ponad samą ziemią za jakiemikolwiek zasło-

nami, ażeby go zdaleka postrzedz nie mogły, i tym sposobem udaje mu się często wpaść niespodzianie i porwać siedzącego bez żadnéj trudności; lub też mieszające się i przelękłe goni, dopóki którego nie dostanie. Lecz gdy go gołębie zawczasu dostrzegą i mają czas wzbijać się w górę jak tylko mogą najwyżéj, wtenczas jastrząb próbuje dostać się nad nie, bo tylko tym sposobem łowić mu się udaje; najczęściéj zaś postrzega, że to się wcale na nic nie przyda, odlatuje na bok i usiadłszy gdziekolwiek czeka cierpliwie, póki się nie obniżą i póki znowu nie uda mu się ich napaść w łatwiejszém położeniu.

Szkody te w drobiu póty wyrządza, póki śniegi nie spadną: wtenczas bowiem cietrzewie, kuropatwy i jarząbki, obfitszéj, łatwiejszéj i bezpieczniejszéj zwierzyny mu dostarczają. Przesiaduje ciągle w brzegach lasów lub na drzewach wśród pól stojących, w postawie nieruchoméj i wypatruje, czy się gdzie te ptaki na śniegu nie pokażą. Dopóki tenże jest sypkim, mogą się pod nim ukrywać chwilowo, a nawet w ucieczce nieraz szukać tam nagłego schronienia; lecz gdy stwardnieje po odwilżach i pokryje się skorupą, żadnéj im zasłony nie przedstawia: w takich to razach wyjada w kilku dniach całe stada tych pożytecznych ptaków, i jest główną przyczyną, dla któréj u nas rozmnożyć się stale nie mogą.

Napotkanemu zającowi siada na grzbiecie, zatapia szpony i silnemi uderzeniami dzióba po głowie i oczach stara się go odurzyć lub oślepić; polowanie to jednak nie zawsze mu się udaje: skoro bowiem zając zdoła się dostać do lasu, i ucieka pomiędzy gąszczami, gałęzie na wszystkie strony rażą i uderzają jastrzębia, który w takim razie nie zrzeka się łatwo zdobyczy, lecz chwyta się jedną nogą gałęzi i stara się tym sposobem zwierza zatrzymać; gdy zając jest już osłabiony, ulega; w przeciwnym zaś razie często jastrząb silnie szarpnięty rozdziera się i razem z nim ginie. Stary doświadczony jastrząb puszcza zwykle w takim razie i lecąc ponad zającem, uderzeniami z góry stara się pokonać, albo też przeprowadzić w dogodniejsze miejsce.

Prócz tego bierze wielkie ptaki błotne i wodne; kaczki w locie tylko łowić może, na wodzie im nie podoła,

gdyż nurzając się chowają się ciągle a wzlecieć w jego obecności nie chcą. Chętnie także bierze wiewiórki, myszy i inne drobne zwierzątka. Wron i srok nie lubi, przeto też w ostatniéj dopiéro bierze się do nich potrzebie. Żadnych ptaków drapieżnych nie zaczepia. Złowioną zdobycz żywcem z piór starannie obiera, i same czyste mięso pożywa; myszy całkowicie połyka, mięso ich trawi, a kości i włosy zwinięte w kłębek podobnie jak inne ptaki drapieżne wyrzuca. Resztę łupu, którego odrazu dla wielkości spożyć nie może, zostawia na pastwę lisom i innym drapieżnym ptakom, lecz w potrzebie, gdy nic innego nie zdarza mu się upolować, dobrze pamięta i wraca po nią.

Gnieździ się we wszystkich prawie lasach, dużych i małych, liściowych i iglastych, w głębi tychże jak i przy brzegach. Na jakiemkolwiekbądź drzewie, często dość nizko a zwykle w konarach przy pniu w połowie wysokości, ściele gniazdo tak duże jak myszołów, z podobnych materyałów; wierzch wyściela drobnemi gałązkami świéżéj sośniny lub jedliny z igłami, w ten sposób, że brzegi cokolwiek są podniesione, i te przez cały czas siedzenia i wychowywania dzieci ciągle wznoszą w skutek nagromadzania się własnego ich gnoju, który przykrywają ciągle liśćmi i drobnemi gałązkami; w końcu z tego tworzy się dość wysoka krawędź, za którą dorastające dzieci się ukrywają. Najczęściéj sam gniazda nie ściele, lecz zajmuje puste po myszołowach lub orlikach i po swojemu przerabia. Długo się jednego gniazda trzyma i jeżeli nie doświadczy jakiegoś wypadku, po kilkanaście lat ciągle się na jednem miejscu wywodzi.

W końcu kwietnia lub na początku maja niesie najczęściéj 4, rzadzéj 2 a najrzadzéj 3 jaja. Samiec samicę około południa wyręcza. Do potomstwa są bardzo przywiązane, bronią je często z narażeniem własnego życia. Żaden ptak drapieżny tak twardo na jajach nie dosiaduje: wszelkie hałasy przy gniaździe i stukanie w drzewo nie są wstanie samicy poruszyć; zdarza się często, że po kilku strzałach w gniazdo, których naboje za każdym razem niém wstrząsają, żadnego poruszenia nie zrobi; nieraz zdawało mi się, że ją ubito i wyprawiłem człowieka dla

zdjęcia, tymczasem z wielkiém zadziwieniem obecnych, gdy tenże dołazł do gniazda, zerwała się i odleciała: próby takie wcale jéj nie zrażają, wraca napowrót i tak samo dosiaduje. W tym roku miałem nawet zdarzenie, że gdy samica po kilku strzałach w gniazdo, zerwała się w chwili, gdy do niéj dołażono, i zabiłem ją w locie: pokazało się, że miała nogę przestrzeloną dwoma dniami pierwéj, gdy także w ten sam sposób wylatywała: rana była mocno zaogniona, mimo to jednak nie zmieniła tak zgubnego dla siebie zwyczaju. Trafia się przecież, że niektóre po takich próbach stają się ostrożniejszemi i zdaleka umykają w razie zbliżania się człowieka. W czasie wysiadywania, tak samiec jak i samica tracą wszystkie piórka i puch na piersiach i brzuchu; gdy się samicę zabije przy dzieciach, samiec sam na nich siaduje i wyżywi. Przez cały czas lęgowy mają zwyczaj klekotać często rankami i wieczorami przy gniaździe; znając to, łatwo bardzo do nich trafić. Siedzącemu ptakowi na gniaździe, zawsze prawie ogon dobrze można z dołu widzieć. Lubią też często wzlatywać w górę i krążyć w pewnéj wysokości nad gniazdem, zwyczajem innych ptaków drapieżnych.

Jestto ptak zawsze samotny, towarzystwa żadnego nie cierpi, w czasie tylko lęgowym łączy się w pary. Lot ma więcéj zwinny jak szybki, w obrotach widocznie ogon ważną rolę odgrywa; dalekich przelotów naraz nie odbywa, rzadko się wysoko bez potrzeby wznosi, lecz zwykle nizko przeciąga. Zdobycz zarówno siedzącą jak i w locie chwyta, a gdy goniona dopadnie do ziemi i kryje się w trawie lub w krzewach, chodzi piechotą i uporczywie jéj szuka. Lecącego ptaka zarówno z boku, z góry lub ze spodu nawet chwyta; w ostatnim tym razie widocznie przewraca się piersiami do góry i łapą sięga. Oprócz tych przymiotów, siłę ma bardzo wielką: grzywacza lub innego ptaka równéj sobie ciężkości z wielką łatwością daleko nieść może, a kurę i cietrzewia kilkaset kroków za jednym razem unosi; ale z podobnym ciężarem nad samą tylko ziemią ulatuje.

Wszystkie prawie ptaki znają go doskonale i na widok jego uciekają, kryją się i krzykiem o niebezpieczeństwie inne ostrzegają; siedzącego jednak nieruchomo

nie poznają: przesadzone jest mniemanie, jakoby potrzebował się uciekać do rozmaitych fortelów i przybierać rozmaite postawy, naśladujące inne przedmioty lub ptaki; w locie tylko jest dla nich strasznym. Wrony go nienawidzą: skoro go tylko która postrzeże i zacznie przeraźliwie krzyczéć, inne ze wszystkich stron podążają i tak go z hałasem daleko przeprowadzają; a gdy go spotkają w lesie, gonią i prześladują, póki gdzie w gęstwinie ukryć się nie zdoła: w takim razie długo jeszcze krążą nad tém miejscem, siadają po drzewach i czekają, czy im się znowu nie pokaże.

Z tego wszystkiego, co się o obyczajach jastrzębia powiedziało, pokazuje się, że jest największym szkodnikiem ze wszystkich ptaków drapieżnych, zasługuje zatém na szczególną uwagę myśliwych i staranne tępienie. Najskuteczniéj byłoby wyszukiwać gniazda, niszczyć jaja i stare przytém zabijać. Są prócz tego inne sposoby tępienia bez wielkiego zachodu, a następujący może być bardzo skutecznie i praktycznie użytym przy gołębnikach: na dachu, w miejscu ze wszech stron odkrytém, osadzić na grubym, zaostrzonym w końcu drucie gołębia wypchanego, tak, aby ostrze na 6 cali nad ptakiem sterczało; każdy jastrząb, skoro tę ponętę zobaczy, uderzy z góry i niezawodnie się przebije. Prócz tego można używać siatek i łapek, rozmaicie urządzonych, których obszerne opisanie, objaśnione rysunkami, znaléźć można w drugim tomie Zoologii księdza Kluka.

Jastrząb w sokolnictwie bywał z wielką korzyścią używany, a głównie z tego powodu ceniony, że zarówno mógł być puszczanym w lesie i gęstych zaroślach, jak w otwartém polu; a przytém łatwiejszy nierównie do złowienia i dostania jak wszystkie sokoły. Prócz zwyczajnego użycia do łapania, układano go także do przestraszania ptaków, aby je sieciami nakrywać.

LITERATURA FRANCUZKA.

LA LÉGENDE DES SIÈCLES

PAR

Victor Hugo,

Bruxelles. 1859. Dwa tomy.

Ważném zjawiskiem w dzisiejszéj francuzkiéj literaturze jest *Legenda wieków* Wiktora Hugo. Utwor ten wielkiego poety, od piérwszego pojawienia swego, zyskał ogromne powodzenie: dosyć powiedzieć, że trzy tysiące egzemplarzy rozbiegło się w Paryżu w przeciągu kilku godzin. Wszystkie gazety zajęły się rozbiorem znakomitego poematu, i stosownie do wyznawanych opinij, zabrzmiały chórem uwielbienia lub miotały surowe pociski. I nasze pisma nie omieszkały zdać ścisłego sprawozdania z tego dzieła, sprawozdania bezstronniejszego niewątpliwie, gdyż nie podniecanego osobistém uprzedzeniem. Nie będziemy zatém powtarzać tego, co już wielokrotnie powiedzianém było; nie myślimy dowodzić, o ile poemat Wiktora Hugo, nacechowany duchem panteistycznym, sprzeciwia się pojęciom chrześciańskiéj wiary; nie będziemy rozmierzać składających go okresów i zapytywać, czemu poeta jednym poświęcił mnogie stronnice, gdy

inne ważniejsze zbył ledwie kilku wierszami; czemu, jakto zauważył słusznie p. Kraszewski, nie wspomniał nawet o starożytnéj Grecyi, gdy o nowożytnych Włoszech rozpisał się drobiazgowo. Powtórzymy tylko wraz z drugimi, że ostatni utwor Wiktora Hugo, mimo błędnéj podstawy, zawiera w sobie wielkie piękności i nie ustępuje w niczém dawnym jego pracom, a nawet wiele z nich przechodzi blaskiem obrazowania i nieporównaną słowa potęgą.

Nie myślimy pisać krytyki: głównym zamiarem naszym jest chęć obznajmienia polskich czytelników z niepospolitym utworem, który jak meteor zajaśniał dziś na literackim widnokręgu. Dlategoto, lubo wiemy dobrze o ile nieporównane piękności oryginału muszą tracić w przekładzie, ośmieliliśmy się dać kilka tłumaczonych ustępów, które bardziéj od innych przypadły nam do duszy i nie obrażały w niczém naszych głębokich przekonań. Mamy nadzieję, że czytający ogół, pojmując ile trudności ma do przełamania tłumacz, który usiłuje być wiernym, a do tego uczynić zadosyć wymaganiom własnego języka, zechce z pobłażaniem patrzéć na tę pracę i wyrozumiéć tak liczne jéj usterki.

Wielki poemat Wiktora Hugo, obejmuje całą przestrzeń wieków przeszłych i przyszłych. Myśl poety dzielnemi skrzydły przebiega ten obszar, rozpoczynając lot swój od kolébki rodu ludzkiego, a wstrzymując go w obec trąby archanielskiéj, która głośném brzmieniem zapewni kiedyś dzień sądu. Pomiędzy temi dwoma krańcami, początkiem i końcem wszech rzeczy, poeta poglądając z wysoka na sprawy ziemskie, jedne spełnione już, drugie drzemiące jeszcze na łonie czasów, wskazuje chwile najwydatniejsze, a raczéj te, które sam za najwydatniejsze uważa; owe chwile, w których geniusz ludzkości postępując krok naprzód, „wyrwał z posad bryłę świata i nowemi popychał ją tory". Takich chwil naliczył poeta piętnaście, i stosownie do tego obszerny swój poemat podzielił na piętnaście okresów, czyli cyklów.

Piérwszy cykl p. n. *Od Ewy do Jezusa*, rozpoczyna Hugo wspaniałym obrazem raju ziemskiego, w chwili, gdy

świat wypłynął z odmętu i ukazał się w niepokalanym blasku swéj pierwotnéj piękności.

Zorza błysła... oh! jakato z niebiosów łona,
Powódź światłości wielka, szczytna, nieskażona:
To odblask promienisty pokoju i zgody;
Bo to było w zaranku owéj ziemi młodéj,
Gdy przez błękit pogodny uroczo spływały
Tajemnicze promienie wiekuistéj chwały,
A od potoków światła drgających w lazurze,
Zrumienione mgły z cicha płynęły ku górze.
A na tém tle utkaném z purpury i złota,
Jawiły się olbrzymie zarysy żywota:
Skały, zwieńczone w bluszczu powiewne festony,
I drzewa z rozrosłemi potężnie ramiony,
Jakich postać sny tylko jawią nam w marzeniu,
Skąpane w kroplach rosy i w słońca promieniu;
Eden ze snu się budził, ptastwo krasnopióre
Hymn ranny świergotało ulatując w górę,
A tak wdzięcznie, tak rzewnie, dźwięki tak świeżemi,
Że aniołowie ucho skłaniali ku ziemi.
Nawet poryk tygrysa słodko brzmiał z oddali,
A z pól, gdzie wilk z jagnięciem pospołu chadzali,
I z łona oceanu, gdzie drzymały jeszcze
Stugłowéj hydry z wichrem zapasy złowieszcze,
I z kniei, kędy niedźwiedź żył w zgodzie z jeleniem,
Głosy zgodnie spływały z rannem ptastwa pieniem.
I nad ową przyrodą dziewiczą a nową,
Na któréj wyciśnięte tkwiło Boże słowo,
Nad tym słodko anielskim a niewinnym światem,
Zaranek dnia wspaniałym świecił majestatem;
A zorza była złotą aureolą chwały,
Bo szczęściem niezmąconém oddychał świat cały.
Z nizkąd się jadowite nie wciskało tchnienie,
A wietrzyk, przebiegając powietrzne przestrzenie,
Igrał z promieńmi słońca, na niebie bez chmury,
I tylko w łonie piekieł wrzał łoskot ponury;
Lecz konał wśród weselnie połączonych głosów
Gór, lasów i strumieni, ziemi i niebiosów.

Owoż na tle tego czarodziejskiego świata, gdzie wszystko jest światłem, harmonią i zgodą, gdzie nieznane jeszcze łzy ani cierpienia—jawią się postacie piérwszych rodziców naszych. Ale zrazu sam tylko Adam umiał czytać wielkie tajemnice, zaklęte w świecie stworzonym. Urocza jego towarzyszka pogląda wprawdzie na świat jasném okiem, lecz nie jest zdolną ocenić jego znaczenia

i piękności. Ale nadchodzi wreszcie ów dzień, w którym przyroda wita ją królową, w którym świat uznaje ją dostojniejszą od męża: dzień, w którym Ewa zostaje matką ludzkiego rodu. Macierzyństwo uświęciło niewiastę i czoło jéj uwieńczyło koroną najwyższéj chwały.

Dalszy ciąg tegoż cyklu składa kilka osobnych poematów: do piękniejszych należy ustęp o Kaimie, który po spełnioném morderstwie, dręczony wyrzutami sumienia, widzi bezustannie nad sobą oko Boże i daremnie pragnąłby uciec przed niém: nieprzebłagane bowiem oko wszędzie go ściga, i w grobie nawet nie daje mu spoczynku (1). Inne ustępy są obrazkami, wziętemi poprostu z Biblii, jak: *Sen Booza*, *Oślica Balaama*, *Lwy w jaskini*. Jeden tylko ustęp o Allahu i Iblisie, wyjęty, jak widać, z Koranu.

Iblis przychodzi z głębi piekieł i wyzywa Allaha w zawody, a uniesiony pychą, mniema, że potrafi przerobić dzieło Boże i przyprowadzić je do wyższéj doskonałości. Allah daje wszystko, czego żąda duch otchłani: daje mu głowę konia, rogi antylopy, skrzydła orle i wiele innych jeszcze przedmiotów. Iblis przystępuje do dzieła, porusza młoty piekielne: huczą uragany, ziemia pęka, i przez rozwarte jéj łono wybiega na świat szarańcza, niedołężny twór piekieł. Następnie Allah bierze pająka z nieczystéj ręki Iblisa, a potęgą swoją zmienia go w promieniste słońce i zawiesza na niebieskiém sklepieniu.

Z podań biblijnych przytaczamy w przekładzie ustęp o lwach, oczekujących w jaskini na Daniela proroka:

Lwy w głębokiém podziemiu, bez pastwy, bez wody,
Odzywały się rykiem do wielkiéj przyrody,
Która w kniejach plemiona zasila zwierzęce.
Głodne lwy, nie trzy doby nie miały w paszczęce:
Owoż gdy ziemia szarym zachodziła mrokiem,
Przez kraty i łańcuchy, nienawistnym wzrokiem
W krwawy odblask zachodu poglądały srodze,
Trwożąc rykiem przechodnia, co na pustéj drodze
Szedł zdala, powietrznemi owiany błękity.

(1) Ustęp ten poznali już polscy czytelnicy, z pięknego przekładu p. Wacława Szymanowskiego, zamieszczonego w Gazecie Codziennéj.

Smutne lwy biły boki kudłatemi kity;
Jaskrawy płomień buchał z rudego ich oka,
A od ryku w posadach aż drżała opoka.

Jaskinia była wielka: niegdyś w głębi skały
Olbrzymy ten podziemny pałac zbudowały,
Chroniąc się przed pogonią w tę otchłań grobową;
A gdy trwoga minęła, rozsadziły głową
Twardą skałę i potok słonecznych promieni
Uroczo się po czarnéj rozpłynął przestrzeni,
A pałac lazurowém pokrył się sklepieniem;
Aż Nabuchodonozor, którego ze drżeniem
Ludy wtórzyły imię, grożące zatratą,
Zaparł w górze jaskinię łańcuchem i kratą,
I odtąd przez tytanów wykowane progi
Zamieszkał z woli króla zastęp lwów złowrogi.

Czterech było, a wszystkie zapalczywe w złości;
Zamiast słomy, ich łożem były stosy kości.
Z poza kraty ponury chrzęst ucho uderza,
Gdy po szkielecie człeka lub szkielecie zwierza
Z dziko rozwartém nozdrzem zstąpa lew łakomy.

Piérwszego sprowadzono z pustyni Sodomy;
Niegdyś on wiatr na stepie prześcigał z swobodą,
Spiekłe piasku tumany chłonął piersią młodą,
I w samotném milczeniu wciąż sprawując czaty,
Nie wypuszczał zdobyczy z pod łapy kudłatéj:
Byłto mieszkaniec piasków, zawzięty w zapasach.

Drugi się zrodził w ciemnych Eufratu lasach.
Gdy schodził do krynicy poić pierś spragnioną,
Wszystko drżało, nie łatwoż sidła nań stawiono;
Aż dwóch potężnych królów połączone siły
Leśnéj knieci dzikiego mieszkańca zwalczyły.

Trzeci zrodził się w czarnéj rozpadlinie góry,
Wiernie za jego śladem szedł postrach ponury:
Widywano, jak gnane, niby wichrem burzy,
Stada owiec i wołów zbiegały z podgórzy;
Daléj psy i pastuszki gromadą pierzchliwą,
A nad nimi zuchwały lew potrząsał grzywą.

Czwarty okropny potwór płowy i kudłaty,
Nad brzegiem oceanu zrodził się przed laty.
Chciwie szumu fal morskich słuchał on za młodu,
A nad morzem sterczały groźne mury grodu,

Dym buchał w górę z ognisk, a przystań wspaniała,
Las masztów szerokiemi skrzydły otulała.
Tam, co dnia na targ z manną garnie się niewiasta,
Siwy prorok na ośle podąża do miasta.
A naród w owém mieście roi się wesoły,
Jakby w gniaździe ptaszęta albo w ulu pszczoły;
Jest tam i targowisko, gdzie wszystkie krainy
Ślą na wyścigi płody: Amorea bursztyny,
Ashaloa świeży nabiał, Aser czyste zboże;
Od statków aż się mąci oceanu łoże.
A lew na owo miasto patrzał gniewném okiem,
I nieraz pogrążony w milczeniu głębokiém
Przemyślał, jak z niém skończyć; a do miasta nocą,
Ledwie pierwsze na niebie gwiazdy zamigocą,
Przystęp aż potrójnemi zapierają brony:
Między blankami sterczy szereg najeżony
Wielkich rogów bawolich, mur bezpiecznie stoi,
Twardy, gruby i prosty, jak bohater w zbroi.
Morze, pryskając pianą i hucząc zuchwale,
W niezgruntowaną fosę przetacza swe fale,
I nikt nocą do brony zbliżyć się nie waży,
Bo tam zamiast brytanów czuwają na straży
Dwa smoki, ułowione w sitowiu Nilowém,
Które zaklął czarodziéj tajemniczém słowem.
Otóż lew się nie uląkł i jednym poskokiem
Przesadził mur olbrzymi wraz z rowem szerokim,
I starł na miazgę paszczą, w ostre kły zjeżoną,
Potrójne kraty miasta, a zwaloną broną
Przygniótł oba na straży czatujące smoki.
A gdy na brzeg powrócił, już ciszy głębokiéj
Głos ludzki nie przerywał, bo gród runął cały;
Tylko o nim po świecie głuche wieści brzmiały.
A w zwalonych wieżycach gnieżdżące się sępy,
Lecąc na żer, o gruzy ostrzyły dziób tępy.

Lew wyciągnięty leżał na ziemi niedbale,
Otwierał paszczę, ziewał, lecz nie ryczał wcale,
W tym lochu, gdzie człek marny gniótł go stopą hardą,
Nudził się i nie gniewem płacił, lecz pogardą.

A tamte obiegając niespokojnie wkoło,
Wzrok zatopiły w ptaku, co dzióbkiem wesoło
Trącał w żelazną kratę, i kły zjeżonemi
Żując z rykiem powietrze błyskały z pod ziemi.

Nagle, w kącie pieczary, za mroku zasłoną,
Skrzypły rdzawe zawiasy, kratę uchylono,

I człowiek w loch popchnięty przemocą okrutną,
Stanął w białym całunie milcząco a smutno.
Kratę nielitościwi wnet zwarli strażnicy,
I sam człowiek ze lwami pozostał w ciemnicy;
Lwy jeżąc straszne grzywy, tocząc piany kłęby,
Runęły nań jak burza, wyszczerzyły zęby,
I ryknęły tym rykiem, który snać dobywa
Z gardła dzikiego zwierza nienawiść krwi chciwa,
I ów instynkt zniszczenia drapieżny a srogi;
„Pokój z wami lwy!" człowiek wyrzecze bez trwogi,
I dłoń podniósł ku niebu—lwy wstecz odskoczyły!

Wilk zgłodniały i trupa wywlecze z mogiły;
Niedźwiedzie z płaską czaszką, zacięte szakale,
Szukając ciał topielców na podmorskiéj skale,
Okrutne są; hyena niezbłaganym wzrokiem
Patrzy w łup; tygrys jednym chwyta go poskokiem:
Tylko lew, król pustyni, wzniesione do góry
Gotów czasem od łupu odwrócić pazury!

I lwy depcząc po gruzach tytańskiéj budowy,
Między sobą mądremi jęły radzić słowy:
Rzekłby kto, że to starców okazałe grono,
Patrząc na wąs ich biały i brew najeżoną.

A lew, który w pustyni spiekłe deptał piaski,
Rzecze: „gdy wszedł ten człowiek, jam widział odblaski,
Jakie żar południowy rozsiewa w przestrzenie,
Kędy przebiega *Symun*, i uczułem tchnienie
Pustyni: snać pustynia śle tego człowieka!"

A lew z lasów wyrzecze: „kiedy mi zdaleka
Cedry, palmy i figi szumiały tajemno,
Napełniając weselem mą pieczarę ciemną,
Nawet i w noc milczącą, owi bracia leśni
Kołysali mnie chórem czarodziejskich pieśni.
Gdy ten człowiek przemówił, słowa jego brzmiały
Jak zioła chwiane wiatrem w rozpadlinach skały;
Snać tego człeka lasy przysłały zielone."

A czarny lew z gór rzecze, wybiegłszy na stronę:
„O bracia lwy! podobna ta postać wysoka
Do Kaukazu, którego nie zadrży opoka:
Wspaniały on jak Atlas! gdy dłoń podniósł w górę,
Mniemałem, że to Liban upowity w chmurę
Powstał i niebu czołem dosięgnął wyniosłém;
Człowiek ten jest niechybnie wybranym gór posłem."

A lew, co wiecznie krążył po nadbrzeżnéj skale,
I strasznym głuszył rykiem oceanu fale,
Wzrok ognisty w postaci utkwił tajemniczéj
I rzekł: „w obec wielkości nic pomnę goryczy,
Dlatego jam się bacznie wpatrywał w głąb morza,
A gdy fale kipiały, jam na tle przestworza
Śledził księżyc, mgły z czoła trząsający skrycie,
I ciemną nieskończoność tonącą w przedświcie;
Od téj doby jam przywykł, o bracia kochani,
Czytać w łonie wieczności i w łonie otchłani;
A nie znając imienia, jakiém świat go mieni,
W oku jego blask widzę niebieskich promieni:
Ten człowiek z jasném czołem zesłany od Boga!"

A gdy zapadł mrok nocny, do jaskini proga
Przyszedł stróż, co nad więźniem baczne sprawiał czaty,
Przycisnął twarz wybladłą do żelaznéj kraty,
I ujrzał w głębi lochu proroka Daniela,
Jak stał i okiem pełném świętego wesela,
Tonąc wśród gwiazd przedzierał przyszłości zasłonę,
A stopy mu lizały lwy w proch ukorzone.

Zakończa ten okres *pierwsze spotkanie Chrystusa z grobem*, opowieść wzięta z Biblii o wskrzeszeniu Łazarza. Prostota prawdziwie biblijna cechuje ten dziwnie piękny utwor.

Drugi okres, *Upadek Rzymu*, zawarł poeta w jednym tylko krótkim, lecz silnym ustępie p. n. *Lew Androklesa*. Hugo z nieporównaną potęgą słowa kreśli tu przedzgonne chwile Romy, téj niegdyś pani świata, rozpasanéj już na wszelkie bezwstydy i zbrodnie; Romy, nad któréj pysznym karkiem już wisi miecz Atylli: Romy, w obec któréj zadrżał uniesiony zgrozą i litością wychowanek puszczy, srogi lew Androklesa.

Okres następny *Islam*, składa się z trzech ustępów: piérwszy opiewa skon Mahometa w IX roku hegiry; drugi wzięcie Konstantynopola przez Turków; ostatni mówi o Cedrze, który na rozkaz Kalifa Omera opuścił brzegi morza Czerwonego, a przewędrował na wyspę Patmos, gdzie ocienił od słońca głowę śpiącego Jana Ewangielisty, który według podania nie umarł, lecz śpiąc na skale oczekuje dnia sądu. Zbudzony uczeń Chrystusa podniósł głowę, spojrzał przez ocean, a dostrzegłszy

Omera, wzywa go, aby nie gwałcił przynajmniéj odwiecznych praw przyrody.

Czwarty cykl, *bohaterskо chrześciański*, rozpoczyna się okropnym rapsodem o ojcobójcy Kanucie. Ustęp ten przytaczamy w całości:

OJCOBÓJCA.

W czarną nocy godzinę, gdy w głuchéj pomroczy,
Sen klei śmiertelników zmordowane oczy,
Kanut wszedł do ojcowskiéj po cichu komnaty,
Gdzie spał starzec przyciśnion chorobą i laty:
Zdawna już niedołęztwem myśl jego zmącona.
Ni człek, ni pies nie czuwał nad łożem Swenona,
I Kanut zabił ojca, rzekłszy: on sam o tém
Wiedzieć nigdy nie będzie.

I król Kanut potém
Siadł na ojczystym tronie: żywot jego prawy
Nieprzerwaném był pasmem zwycięztwa i sławy.
Gdy przechodził pośrodkiem radnych starców koła,
Blask od jego oblicza bił na groźne czoła;
A ogniwem praw mądrych i cnych obyczajów
Silniéj przykuł niż mieczem, do swych duńskich krajów
Wieniec wysp okolicznych: Fionią, Folster, Monę,
I zbudował posady tronu niewzruszone;
Wprzągł w jarzmo i zhołdował narody bez liku,
Słowiany i Bruteny z nadbrzeżów Baltyku,
Barbarzyńskie Wandale, Pikty i Saksony,
Wyparł resztki włóczęgów z lesistéj uchrony;
Zniósł runa, i rozwalił kontyny ponure,
I *menchiry* (1) Druidów zlane krwią, o które
Zbik ocierał grzbiet płowy: i słusznie się w parze
Stawiał wielki król Kanut przy rzymskim Cezarze.
Helm jego lśnił polarnéj zorzy błyskawicą,
Zwalczał srogie potwory potężną prawicą;
Przez lat dwoje dziesiątek, drżał świat, gdy o skały
Kopyta jego koni głucho zatętniały;
Zwalczywszy hydrę, płód jego zacierał do szczętu;
A choć żywot mu płynął wśród burzy zamętu,
Błogosławiły ludy wielkie jego czyny;
Bo, wszak jednym zamachem wśród Szkotów krainy
Trzem smokom uciął paszcze ziejące jad z dymem:
Był mędrcem, bohatérem, był wodzem, olbrzymem.

(1) Menhiry czyli kamienne ołtarze Druidów.

Z własnym losem, los świata sprzągł on jak najściśléj
I zbrodnia ojcobójcza wybiegła mu z myśli.
Umarł — ciało w kamiennéj położono trumnie:
Pieją hymny kapłani, lud garnie się tłumnie,
By uczcić króla szczątki, i głośno rozgrzmiała
Wkrąg po świecie Kanuta nieśmiertelna chwała;
A świat mniemał, że mocarz, co słońcem lśnił ziemi,
Siadł po prawicy bożéj, z proroki sławnemi.
Mrok padł, zmilkły organy i żałobne pienia.
Kapłani, opuściwszy katedry sklepienia,
Zostawili zmarłego w grobowéj omroczy,
A on wstał i zawarte śmiercią rozwarł oczy:
Podjął miecz, wyszedł z grobu, przez katedry mury
Przecisnął się duch lotny, jak przez tuman chmury;
Przeszedł przez oceanu rozdąsane wały,
O których wież altońskich szczyty odbijały;
Kroków jego, milcząca noc nawet nie słyszy,
Bo jak senne widziadło, stąpał w głuchéj ciszy.
Pomknął ku górze Sawo, co jak pradziad stary
Trzyma straż wiekuistą nad Cymbrów obszary,
I rzekł: „Ty, któréj czoła groźne wichry strzegą,
Daj mi uciąć na całun skraj płaszcza śnieżnego;
Góra poznawszy ród swój, praw mu nie zaprzecza,
A Kanut niezłomnego dobył z pochwy miecza,
I ze stromego szczytu góry, drżącéj strachem,
Odciął széroki śniegu płat jednym zamachem:
I woła: „śmierć niedosyć rozświeca mi drogę,
Wskaż mi, góro, którędy do Boga dójść mogę?“
A góra nad ponurą przepaścią stercząca,
Która czołem tumany chmur wiecznie roztrąca,
Rzecze: „nie znam téj drogi, wszak wrosłam wgłąb' ziemi!“
Kanut poszedł skostniały wskróś szrony mroźnemi,
Z czołem dumnie wzniesioném i w śnieżnym całunie
Za krańce Irlandyi i Norwegii sunie;
Wkoło niego milczenie i noc nieskończona,
Za nim, na łonie czasów świat w milczeniu kona;
I duch on, z majestatu strącon tak głęboko,
Z widmem nieskończoności zbiegł się oko w oko;
I ujrzał straszną otchłań, bezedna, bez brzegu,
Gdzie jasny grom od trwogi wnet gaśnie w przebiegu:
Ujrzał hydrę ciemności, któréj ziemskie noce
Słabém ledwie odbiciem, gdzie nie zamigoce
Żadna gwiazda, gdzie jednak wzrok widma ponury
Przedziera się obłędnie przez grobowe chmury;
Wkoło cisza, i tylko groźno szumi zdala
Głuchém drganiem trącana czarnéj nocy fala.
Idzie Kanut i mówi: „Tutaj grób głęboki,
A za nim Bóg!“ i znowu postąpił trzy kroki,

I woła; lecz noc milczy jak dębowa trumna,
Głos nie odbrzmiał, i nawet żaden fałd całuna
Nie zadrgnął: ale Kanut stąpa coraz śmielej,
Bo otuchę w nim budzi całun śniejżnéj bieli.
Idzie, wtém coś mignęło na trupiéj odzieży,
Jak czarna wielka gwiazda, i coraz to szerzéj
Roztacza się, a Kanut powiódł rękę suchą,
I poznał, że upadła tajemnie a głucho
Na całun ojcobójcy kropla krwi czerwonéj.
I on, zuchwały mocarz, trwogą nie zwalczony,
Wzrok wlepił w czarną przestrzeń, podniósł dumnie czoło;
Ależ w około głucho, i ciemno w około.
„Naprzód“ zawoła Kanut, i śmiało znów kroczy,
A wtém nowa krwi kropla pada mu przed oczy,
I na białym całunie, okropna tkwi plama;
Patrzy śmiały wódz Cymbrów, lecz ciemność taż sama
Jak przedtém. I król, niby ogar za zdobyczą
Pędzi naprzód, znać siłą pchany tajemniczą;
Wtém pada mu na całun, nowa kropla jeszcze,
A on, który nie zaznał, czém trwogi złowieszcze,
Który nigdy przed wrogiem wstecz nie cofnął kroku,
Stanął nagle, i w prawo zawrócił w pomroku,
A kropla krwi ojcowskiéj znów, jak zmora we śnie
Spadła i rękę trupa sparzyła boleśnie.
Zwrócił w lewo, jak jeleń pędzony obławą,
I kropla znów na śniegu odbiła się krwawo.
Drży król, do grobowego zwraca kroki łoża,
A kropla krwi z czarnego upadła przestworza.
Stanął, jakby mu stopy nagle w ziemię wrosły,
Przyklęka, do modlitwy skłania kark wyniosły;
I znów kropla krwi spadła a z mordercy łona
Modlitwa jak gołąbka ubiegła spłoszona;
I znów daléj okropny, chwiejący, ponury,
Biały trup na tle nocy pomyka, a z góry
Nieprzebłagana kropla znów z cicha się sunie
I znaczy ślad ohydny na śnieżnym całunie.
Drzy jak dąb, kiedy wicher wstrząsa jego czołem,
Patrząc, jak plamy rosną zlewając się społem,
Jeszcze, i jeszcze znowu, znać od ich ciśnienia
Rozpękły się na poły, czarne chmur sklepienia.
I w załomach całuna, znacząc szlak szeroki,
Zlewają się te krople jak krwawe obłoki.
On idzie, a z otchłani w górze niezmierzonéj,
Na głowę mu rzęsisto spada deszcz czerwony,
Jakby rzędem szubienic jeżył się smug cały,
A z ciał wisielców krople krwi nań upadały.
O! któż nad potępieńcem te straszne łzy roni?
Nieskończoność! a Kanut w mozolnéj pogoni

Wciąż zdąża ku niebiosom przez ocean nocy,
Gdzie tylko sprawiedliwy śmié iść o swéj mocy;
I mknąc, niby słup dymu, którym burza miota,
Przystąpił wreszcie Kanut przed zaparte wrota;
Z poza nich, przez szczeliny świeci brzask uroczy.
Tu na zimny swój całun Kanut zwrócił oczy,
Było to miejsce święte a straszne, z za proga
Biła tajemna łuna, niby odblask Boga,
A chóry archanielskie, Hozanna wciąż brzmiały.
Kanut zadrżał, bo całun czerwony był cały.
I dlatego to Kanut przed zorzy promieniem
Chroniąc się, wiecznym nocy otoczony cieniem,
Nie śmié stanąć przed sędzią, na którego czole
Blask słoneczny ognistą kreśli aureolę;
A niemogąc powrócić do pierwotnéj bieli—
Bo skoro krok ku światłu zbliżyć się ośmieli,
Kropla krwi nań upada z czarnego przestworza,
Krąży w krwawym całunie wśród wieczności morza.

Daléj poeta opiewa małżeństwo Rolanda. Od trzech dni zawzięty bój z niewiadomego powodu trwa pomiędzy dwoma najwaleczniejszymi z walecznych rycerzy Karola Wielkiego: Rolandem i Oliwierem. Poeta uwydatnił tu po mistrzowsku każdy szczęk oręża zapaśników. Krew strumieniem spływa po ziemi. Śmierć ponuro krąży nad głowami walczących. Sławna Durandalla Rolanda, odtrąca dzielnie Klozamundę Oliwiera (1), aż iskry połyskują w powietrzu. Niekiedy rycerze przerywają bój i rozmawiając siadają pod drzewem, a nabrawszy sił, rozpoczynają znów walkę. W końcu Roland wypuszcza z ręku Durandallę, która stacza się do rzeki; Oliwier chce biedz na ojcowski dwór po miecz olbrzyma Synagoga, jedyny w świecie godzien Rolanda prawicy. Ale Roland rzecze z uśmiechem:

— Nie potrzebuję miecza, poprzestanę na téj lasce: to mówiąc, wyrywa dąb z korzeniem. Oliwier rzuca oręż, w ślad współzawodnika wyrywa z ziemi wiąz ogromny, i dwaj olbrzymy ścierają się w nowy sposób. Piąta noc zapada z kolei nad walczącymi, nagle Oliwier spuszcza zamierzone ramię.

(1) Poemata średniowieczne opisują szpadę Rolanda, Durandallę, równie jak Klozamundę Oliwiera.

— Rolandzie!— zawoła— jak widzę, nie skończymy boju, lepiéj więc podajmy sobie rękę, i kochajmy się jak bracia. Posłuchaj, mam siostrę, piękną Audę z białemi ramiony; ty ją pojmij w małżeństwo.

— Chętnie— odrzecze Roland— i puhar pojednawczy zakończył krwawą sprawę.

Rapsod o młodym rycerzu Aymaryllonie, który zdobył Narbonnę pod chorągwią Karola Wielkiego, stanowi najpiękniejszą ozdobę tego cyklu. Nie zatrzymujem się nad nim, znany już jest bowiem czytelnikom Biblioteki; przytaczamy za to w całości, rapsod o Cydzie, przyjmującym odwiedziny szeika maurytańskiego, w zamku Biwar, własności sędziwego ojca.

BIWAR.

W głębi ciemnego boru, opasany murem
Groźny jak stary olbrzym, z obliczem ponurem
Wznosił się zamek Biwar: z czterech jego boków
Cztery wysokie baszty sięgały obłoków.
Tu wjechał na podwórzec przez bramę sklepioną
Wódz Maurów, później zwieńczon Toledu koroną,
Przybył odwiedzić Cyda. Saraceński książe
Widzi, jak giermek w stajni klacz do żłobu wiąże,
Odwrócony obliczem; tuż przy nim na ziemi
Stos sprzętów, które przyniósł rękoma silnemi:
Wór owsa, kubeł z wodą, siodło ze strzemiony;
A na wieży zamkowéj proporzec zatkniony
Świadczy, jako dziedzicznym panem zamku tego,
Ojciec Rodryga Cyda, sędziwy Diego.
Z odkrytemi łokciami i z spotniałém czołem
Giermek pilnie pracuje wpół zgięty z mozołem,
A kaftan na nim prosty, ze skóry surowéj.
Saracen go nie uczcił pozdrowienia słowy,
Lecz zawoła: „Héj giermku, co służysz w tym dworze,
Dajmi wieść o Rodrygu; wielkim kampadorze;
Chcę go widzieć:“ A giermek wlepił w Maura oko
I rzecze: „Jam Cyd.....
— Panie! ty, coś tak wysoko
Podniesion w Kastylii! któremu nadano
Wielkiego kampadora, bohatéra miano,
Ciebież widzę, o Cydzie?— woła Maur struchlały,—
Ty, na którego hasło, z Hiszpanii całéj
Biegną hufce walecznych, gdy trąby bojowe
Zwiastują nowe harce i podboje nowe;

Ty, za którego śladem, jak rój pszczół po lesie,
Wiatr na skrzydłach zwycięztwa i tryumfy niesie,
Gdym cię widział rok temu, twój jeniec w niewoli
Ciebie Cydzie zwycięzcą, w pałacu twych króli,
Majestatem królewskim lśniło oko twoje,
Bo dokonane świetnie nad Ebro podboje,
Uczyniły cię słońcem, co nad ziemią własną
Promienistym odblaskiem świeciło tak jasno.
Tyś słusznie nad Hiszpany górował twą sławą.
Snadniéjby świeże zgliszcze porosło murawą,
Niśliby znaleźć śmiałka, coby do wyścigu
W zasłudze i wziętości szedł z tobą Rodrygu.
Nie jeden nowy przybysz przewodził nad pany,
Skoroś go między twoje przygarnął dworzany:
Bo Cyd odblaskiem chwały i wielkości swojéj
Poił wszystkich, jak matka mlekiem dziatwę poi.
Owi czczym dymem pychy nadęci grandowie,
Co od chwili jak noszą pióropusz na głowie,
Na sam majestat tronu nie baczą zuchwali,
Gdyś przechodził, przed tobą ze czcią powstawali;
Szlachta kastylska biegła na twoje posługi:
Cyd miał swe *majordomy*, jak monarcha drugi;
Guzman nosił twą tarczę, Lern twój hełm bogaty,
Od złota i klejnotów płonęły twe szaty,
Rój giermków bacznie śledził skinienia w twym wzroku,
Bo nikt nie stał nad Cydem, nikt przy Cyda boku;
Nikt, choćby na królewskim zrodzon majestacie,
Książę, infant, do ciebie nie śmiałby rzec: „bracie!“
Bo z czoła twego, Cydzie, bił blask tak uroczy,
Że ćmił wszystko, jak słońce olśniewając oczy;
A gdyś na czele hufcu wystąpił bojowo,
Jak dąb odwieczny w puszczy, tyś wybiegał głową,
Aż znęcone z obłoków promieńmi twéj chwały,
Stada orłów poważnie nad tobą wzlatały.
Wszystko jak dym pełzało, wodzu, twemi tory.
Tyś sam jeden nie zaznał jarzma ni zapory,
Jak bohatér niezłomny stojąc przy twym znaku,
Z włócznią w dłoni, z piowiewném piórem na szyszaku,
Tyś nad wszystkiém panował, wielki kampadorze!
Cyd rzecze:— Tak, bo byłem na królewskim dworze.
— A dziś, zkąd ta przemiana?— pyta— Maur zdumiony;—
Przybywam tu przed Cydem bić korne pokłony,
I widzęć w tym przyborze! Mów, wodzu, co znaczy
To zgrzebło w twéj prawicy, ten kaftan prostaczy?
Wszakże cię lada giermek zastąpić w tém może!
— Nie!— rzecze Cyd,— bo jestem na ojcowskim dworze!

POWIEŚCIO-PISARZE W GALICYI.

Galicya wydała w krótkim czasie kilku powieściarzy, którzy w piśmiennictwie nadobném zajęli dość wydatne stanowisko, przynajmniéj zapełnili obficie kolumny dzienników miejscowych, a nawet niektórzy wychylili się w dalsze dziedziny kraju. Są to: *Dzierzkowski, Kaczkowski, Zacharyasiewicz.* Oprócz nich, ostatniemi laty wystąpili z powieścią częstokroć szczęśliwie, także miejscowi pisarze, jak: *Wal. Łoziński, Aleks. Szukiewicz, Al. Szedler, Fel. Łobeski, L. Szlegel, Maur. Mann, Szczesny Morawski, Turski, B. Bielawski, Jan Dobrzański, Pomezańska z Chłędowskich, Walewska z Kuszlów, Dulski Ed., Cieszewski Karol, Czernicki Gustaw, Julia Goczałkowska, Wład. Zawadzki* i *Pietruski Oswald* i t. d. O tych więc wkrótkości wiadomość podać umyślilem. Głównie zastanowić się godzi nad trzema piérwszemi pisarzami, których obrazy powieściowe w tym lat dziesiątku obficie i bez przerwy występują na widok publiczny.

Zacharyasiewicz Jan Chrzciciel, syn Aleksandra, urodzony około r. 1825, uczęszczał do szkół w Przemyślu. Rozpoczął zawód piśmienniczy, jak wszyscy galicyjscy pisarze, pracą przy redakcyi Gazety Lwowskiéj. Z utworów jego najwcześniéj znajdują w Dzienniku mód paryz. 1847 Sonet do M. Kiedy r. 1848 *Win. Pol* objął zarząd wydawnictwa Czasopisma Biblioteki Ossolińskich, odwracał młodych pisarzy od kierunku wierszopistwa i powieściowego, a poważniejsze wskazywał im zajęcia. Pod wpływem tego wskazania, napisał *Zacharyasiewicz* obszerną rozprawę: *O architekturze egipskiéj*, umieszczoną w Bibli. Za. N. Oss. roku 1848.

W r. 1849 *wydawał Tygodnik Polski*, gdzie umieścił wiersz *Machabeusze*; nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, usunięty od swoich na lat kilka, oderwał się od zajęć literackich. Jedyną pracą był nadesłany urywek powieściowy: *Kilka kartek z pamiętnika umarłego* (w Tygod. Lwow. 1850. Nr. 29, 30).

W r. 1853 wystąpił pierwszy raz z powieścią obszerniejszą: *Stary dwór* (w Dzien. liter.). Następnie kiedy *Jan Dobrzański* założył nowe pismo literackie *Nowiny*, i zgromadził w niém mnóstwo nowych, nieznanych imion, pióro *Zacharyasiewicza* przyczyniło się do powodzenia czasopisma. Umieszczał tam kolejno powieści, poezye i trafne recenzye utworów literatury nadobnéj, jako to: *M. S. ustęp z życia mało znanych ludzi* (1854. Nr. 25—8). *Gwiazda, epizod z życia wygnańca* (68—74). *Skromne nadzieje*, powieść, jako odpowiedź na powieść J. Dzierzkowskiego: *Wielkie nadzieje* (143—9). *Jednodniówki* (r. 1855 Tom 1). *Uczony*, powieść (T. I i II). *Sierota wielkiego świata* (r. 1856. T. I. Nowin.) *Rozbiór Tomiry Łuszczewskiéj* (1855. I.). *Rozbiór wszystkich prac Kondratowicza* (1856. I).

Tamże zamieścił poezye r. 1855. T. I i II: Cień i światło, Do przyjaciela, Do Sam. Kosowskiego, Niepogoda, Ostatni kwiatek, Po burzy, Pójdź na morze, Pożegnanie, Sierota, Śpiéwak, Szczęśliwi, Trzy kwiatki, Złota rybka, Złudzenie, Pożegnanie, Szczęśliwa godzina, Do M., Oczy anioła, Żółty kwiatek, Rybak, Po wodę, Elegia Ernsta. Trzy kochanki, Do Korn. Ujejskiego, Ostrożnie, Chwila miłości, Upominek. R. 1856. I. Co mi zostało? Pamiątka, Prolog do koncertu ku pamięci Mozarta.

Kiedy *Nowiny* zagrożone były zawieszeniem, zmieniono ich nazwę na „*Dziennik Literacki*.“ W nim umieścił r. 1856 w T. I i II poezye: Gdzie ona? W Maryenbadzie: zaś r. 1857 II W obczyznie (z Hejnego), Moja gwiazdka.

Z powieści umieścił: r. 1856, T. I i II, Klemens Janicki: Sob. Klonowicz: Sąsiedzi.—Zaś r. 1857. II, Boże dziecię.

Oprócz tego w Kronice 1857. Nr. 23, jest jego wiersz żartobliwy, Tragedya—i powieść *Renata*. Obecnie wykończył tragedyą w 5 ak. wierszem p. t.: *Iwonia*, osnowaną na dziejach wołoskich; tudzież w r. b. przesłał Gazecie Warszawskiéj obszerną powieść 3ch tomową, osnutą na wypadkach poznańskich.

W r. 1856—1857 był z *Karolem Widmanem*, współredaktorem Dziennika Literackiego; w r. 1860 zakłada czasopismo literackie wraz z *Al. Szedlerem* we Lwowie.

Prace jego powieściowe wyszły osobno odbite, następne:

1) *Boże dziecię*, powieść z naszych czasów, 3 T. Lwów, 1858, nakł. K. Wilda w 8ce, str. 260, 255, 253, druk Zakł. Im. Ossolińskich.

2) *Dwaj lutniści*, obrazki z naszéj przeszłości (Seb. Klonowicz i Klem. Janicki). Oddruk z Dz. L. Lwów 1857 w 8ce nak. Manieckiego str. 218. Piérwszy obrazek przełożono na czeskie w czasopiśmie *Lumir*. 1857, Z. I.

3) *Powieści* M. S. Gwiazda. Skromne nadzieje. Jednodniówki. Lwów 1855, str. 321, w 8ce nakład K. Kallenbacha.

4) *Reneta*—powieść—Warsz. 1858 w 8ce (oddruk z Kroniki 1857. Nr. 81—117).

5) *Sąsiedzi*, powieść współczesna, nakład K. Wilda—1858, druk Ossol. 2 T. str. 252 i 250 w 8ce. Ocenił je pochwalnie K. Szajnocha w Rozm. Lwow. 1857, Nr. 3.

6) *Sierota wielkiego świata*, powieść w 2 T. Lwów 1856, w 8ce str. 248 i 258, nakład Kallenbacha. Ocenioną jest w Kronice, 1856, Nr. 220, p. Widmana.

7) *Uczony*, powieść (obrazek fantastyczny). T. I i II, str. 214 i 239. Lwów 1855, w 8ce, nakł. Kallenbacha.

8) *Na kresach*, powieść w 3ch tomach.

Nadto wydał pod pseudonymem *Macieja Łomży: Wykład dziejów polskich* dla dzieci od lat siedmiu do dwunastu. Lwów 1855, w 12ce, str. 152. Wydanie drugie wychodzi nakładem K. Wilda.

Te kilkanaście tomów prac, wydanych w ciągu pięciu lat ostatnich, postawiły Zacharyasiewicza wśród pisarzy, którzy obdarzeni darem spostrzegania i żywością imaginacyi, nie ustają na obranéj drodze, ale od chwili do chwili posuwają się dalej, rozwijając talent niezaprzeczony, a nie umiejąc wstecz się cofać. Zacharyasiewicz maluje z upodobaniem miękkie, delikatne rysy tegoczesnego społeczeństwa; marsowe fizyonomie nie przypadają mu do gustu: jest pewna skrupulatność drobiazgowa w opisach jego, jest pewien chłód a raczéj spokojność w opowiadaniu. Nie unosi się, rzadko się zachwyca i wpada w zapał; nie obmyśla skomplikowanéj mechaniki dzieła; ale maluje portrety z rozmysłem filozofa, szukając we wszystkiem logicznéj przyczyny i logicznego związku. Jego powiastki z przeszłości, w których postacie Klonowicza i Janickiego, żywo, poetycznie a przytém uczuciowo odmalowane, wskazują, iż powieściarz w tym kierunku miałby dla siebie pole nieprzebrane. Zresztą sądzić

o pisarzu, który wiele jeszcze potrafi stworzyć, byłoby zawcześnie: dla tego dość poprzestać na wiadomości co napisał, a oczekiwać tego, co napisze.

Łoziński Walery urodzony w Smolnicy w Samborskiem, około r. 1834, niedawno wystąpił jako pisarz. Pierwsze utwory jego, drukowane były w Telegrafie 1853, p. t.: *Szpargały*; w Przyjacielu domowym, wiersz: *Życie młodzieńca*; w Nowinach 1854. *Szarady*, i w Nowinach 1855 T. II, *Sobek z Jeżowéj, wieśniak-poeta*. Następnie zamieścił w *Dzienniku Literackim* powieści: r. 1856, T. I, pan Stanisław Białobocki; r. 1857, I Szlachcic chodaczkowy. II Process o dziwotwór, dykteryjka szlachecka; r. 1858: Szaraczek i karmazyn; r. 1859: Zaklęty dwór, powieść w 2ch cz. przypisana Janowi Zacharyasiewiczowi. Od czasu przybycia r. 1856 do Lwowa, zostając przy redakcyi Gazety Lwowskiéj, ma sobie powierzony udział w opracowywaniu artykułów do *Rozmaitości*. Tam umieścił powieści: r. 1856, Powieść o błędnym rycerzu polskim; Pan Skarbnik drochorucki, dykteryjka staroszlachecka; Sąsiadka, powiastka; r. 1857: Izabela Zapolska, opowiadanie historyczne; Człowiek bez imienia; Gordona Patryka pamiętnik o pobycie w Polsce. r. 1651—1661. W Dzienniku Liter. 1859, zamieścił studyum humorystyczne p. t.: *Żaby*, (przełożone na niemieckie w Preuss. Zeitung, a na czeskie w Prazskich Nowinach), także o hr. Roztopczynie.— W *Dzwonku* 1859 umieścił ludowe humorystyczne powiastki.

Wydał osobno:

1) *Szlachcic chodaczkowy*, powieść, 1857, Lwów, nakładem K. Wilda; pochwalnie oceniono ją w Bibl. Warsz. 1857, II toż w Dzien. liter. 1857, Nr. 107.

2) *Szaraczek i karmazyn*, powieść w 2ch częściach. Lwów. 1859 w 8ce, str. VII 186 i 198.

Najlepiéj skreśloną jest powieść *Zaklęty dwór*: oczekuje ona osobnego odbicia. Cechą charakterystyczną jest powieści tych, zręczność inwencyi. Poeta umie osnuć skomplikowaną architektonikę całości, tak, że przeprowadzając powikłania i niespodzianki, utrzymuje ciekawość czytelnika aż do ostatka, a nie razi nienaturalnością i nielogicznem następstwem wydarzeń. Pomiłował malowidło szlachty zaściankowéj, któréj stopień umysłowości nie wiele daléj wybiegał po nad umysłowość ludu. Odgaduje ich wyobrażenia i przesądy arcy trafnie, a z młodzieńczą żywością, wlewa w nich namiętności i uniesienia. W okolicach

Sambora zbierał on i umiał znaleźć typy szlachty zaściankowéj, tak jak je znalazł w Sanockiem Kaczkowski. Chwaląc pióro Łozińskiego, winienbym niejedno przyganić. Używanie przesadne prowincyonalizmów (np. wybałuszył, obleśny, zżachnął się i t. p.), powtarzanie częste jednychże figurycznych wyrazów i zbyt częste stereotypowe malowidło uniesień namiętności; są to wady, po których młode pióro łatwo poznanem być może, ale wady, z których wytrawiony pisarz łatwo otrząsnąć się może. *Łoziński* jest pisarz poczynający, bardzo młody; to co napisał, jest napisaném nad lata jego: sądzić wypada, że nie ustając w pracy i studyach, talent swój powieścio-pisarski szeroce rozwinąć potrafi.

Jednak nadmienić mi trzeba, iż jest za chłodny w opisach, za refleksyjny a mało poetyczny w zapatrywaniu się na świat i naturę, które winny płonąć miłością i ekstazyą w wyobraźni natchnionego pisarza. Zaprawdę wielki to brak u młodego pisarza, ale to może się kiedyś odmienić.

Obecnie pisze powieść, mającą drukować się w Dzienniku literackim, od stycznia 1860 r.

W r. b. przygotował do druku: Rapsody, śpiéwy, podania i legendy historyczne, zebrane z rozmaitych autorów w chronologicznym porządku. Mają wyjść nakładem M. Dzikowskiego. Oprócz powieści, rzucił się do pisania komedyj: Staroszlachetczyzna i komika przeważają w tego rodzaju utworach jego. Dnia 21 marca 1858 r. grano we Lwowie jego komedyą: *Verbum Nobile* w 1 akcie prozą. Ocenił ją pochwalnie Lud. Wolski w Dzienniku Liter. 1858. N. 37—38, zaś Kar. Widmann w Kronice 1858, Nr. 126—127. W tymże roku grano jego komedyą: Parafianka we Lwowie, przerobioną z *Töpfera*. W r. b. ma wystawić komedyą *Literat* (niebezpieczny człowiek). Nakoniec pisze nową komedyą obszerniejszéj treści.

Dzierzkowski Józef należy już do dawniejszych pisarzy. Prace jego uległy ostremu roztrząśnieniu przez Al. Krajewskiego w Bibliotece Warsz. 1558. III, na co odpisał Wikt. Zieliński w Gazecie Warsz. 1858, Nr. 275—6, i Przegląd powszechny 1858 r. Napisał on do 20 powieści większego rozmiaru, a mnóstwo pomniejszych powiastek i recenzyj. Czasopismowe prace jego są rozsypane po wszystkich lwowskich pismach. Od r. 1842 do 1848 stale zasilał Dziennik mód paryzkich, wychodzący raz do dwóch tygodni, potém w tygodniu; zarazem pracował przy redakcyi Gazety Lwowskiéj i zasilał oddział Nowin. W r. 1847 i 1848, należał do współredakcyi Czasop. Bibl. Ossolin. W latach

1854 do 1858 stale zasilał Nowiny i Dziennik literacki. W r. 1858 i 1859 pracuje dla Przeglądu powszechnego. Rozproszone znajduję te jego utwory. Płacz i śmiech, powieść (w pracach literackich 1838); powieści: Bale na wsi, Leśniczy, Jutro (w Album na korzyść pogorz. 1844), Zemsta pana Bolesty, powieść (w Bib. Warsz. 1844, I), Hogartowskie obrazy (w Snopku nadwiślańskim 1845).

W *Dzienniku mód paryzkich*, oprócz wielu recenzyj, zamieścił r. 1842, obrazki: Bałaguły, Kursa w Berdyczowie, Przywłaszczone reputacye. R 1843: Nowy rok, Hogartowskie obrazy, Rezydent, Wieśniak podolski. R. 1844: Zamek w Normandyi, przekład z p. D'Abrantes. R. 1846 i 1847 powieści: Salon i ulica, Szpicrut honorowy.

W *Czasopiśmie Bibl. Ossolińs.* zamieścił r. 1847: Powieść o życiu poety (Magnuszewskiego), Liszt we Lwowie, Kilka słów o sztuce wogólności a w szczególności o malarstwie u nas; r. 1848, Z. I: Samuel Zborowski, szkic historyczny.

W Dzienniku Literackim napotykamy jego obrazki i powieści: r. 1854. Wincenty Kruszewski (Nr. 26—32), St. Staszyc (N. 33—39), r. 1856 T. I Sejmowa protestacya, Próżniak T. II. Intrygi dworskie; r. 1857. Dwie łzy (N. 24—36). Żeby choć raz w życiu (N. 147—153); r. 1858 I. Grzeczność dworska i inne drobniejsze. Pisał tu i recenzye oznaczone cyfrą 9, jakoto: r. 1857 obszerny rozbiór Bajronisty Pamiętników Michałowskiego, Pazia złotowłosego; r. 1858 Grobu Nieczui, Pustelnika w Proniunach i t. d. Powieść *Dwie łzy* przełożono na czeskie w piśmie *Lumir* 1858.

W Nowinach 1854 r., napotykamy większe powieści, jak np. Stary komornik, Znajda, Wielkie nadzieje; r. 1855: Wieniec cierniowy, Król dziadów, i drobniejsze np. Teleskopy i t. p.

W *Przeglądzie powszechnym* r. 1858, drukował powieść: Sen w życiu — a r. 1859 Nie wszystko złoto co się świeci; nadto ogłasza zajmujące: Szkice z przeszłości mojéj (z r. 1831).

Tu też zamieścił recenzye dzieł, jak np. Sielanki Kondratowicza, Ułas; Koźmiana: S. Czarniecki i t. p. W Haliczaninie, kalendarzu na r. 1860 jest jego powieść: Pierwsze odczarowanie.

W r. 1859 tłumaczył dramat *Birchpfeifrowéj*: Poczwarka, grany we Lwowie, a oceniony w Przeglądzie Powsz. 1859 Nr. 8, i Dzien. lit. 1859.

Osobno wydane lub obszerniejsze są te powieści jego:

1) Kuglarze, Lipsk 1845. Ocenione pochwalnie przez Aug. Bielowskiego w Dzien. Mód 1845, N. 23.

2) Powieści z życia towarzyskiego. Lwów, 1846 r. T. 2.

3) Dla posagu. Lipsk, 1847, T. 2.

4) Salon i ulica, powieść. Lwów, 1847.

5) Szpicrut honorowy. Lwów, 1848.

6) Dwaj bliźnięta, powieść. Lwów, 1854 w 8ce str. 175, nakł. Kallenbacha.

7) Król dziadów. T. 2. Lwów, 1855 w 8ce, str. 186 i 220.

8) Próżniak, Lwów, 1856 w 8ce, str. 276.

9) Przed trzydziestą laty, powieść. 1858 (w Gaz. Codzien. 1859); zganiona w Kronice 1858 roku, przez K. Kaszewskiego.

10) Rodzina w Salonie. Petersburg, 1853, nakł. Wolfa, (oddruk z Dzien. Warszaws.) str. 360. Jestto toż samo co Salon i ulica.

11) Sen w życiu. Album szkiców, Lwów 1859, w 8ce str. 194, nakł. redak. Przegl. powszechnego, (oddruk z Przegl. pow.)

12) Serce kobiece pow. w 3 cz. (w Dzien. liter. 1858).

13) Skarbiec, szkic fantastyczny, z końca minionego wieku. Lwów 1856, w 8ce, str. 127 (oddruk z Przyjaciela domowego 1855, N. 4052—i Dzien. liter. 1854, Nr. 40—3).

14) Szkice. Lwów, 1855, w 8ce str. 124, (oddruk z Nowin).

15) Uniwersał hetmański, powieść historyczna z drugiéj połowy XVIII wieku, T. 2. Lwów 1858, str. 254—298.

16) Wieniec cierniowy. Lwów 1855, T. 2, str. 180—194.

17) Znajda, powieść. Lwów, 1854 w 8ce str. 192.

Te kilkadziesiąt tomów powieści, znamionują niezwykłą łatwość i swobodę pióra ale i niezwykły pośpiech. Wiadomo też, iż Dzierzkowskiemu napisanie powieści idzie tak łatwo, jak gdyby napisanie pobieżnego artykułu dziennikarskiego. Nie kłopocze on się o treść i o charaktery, bo one same narzucają się jemu w ciągu pisania: może osnowę powieści przerywać i kontynuować ją różnemi czasy, nie namyślając się nad tém, co dalej opowiadać. To bogactwo inwencyi, jest zaiste zadziwiające, łatwość dyalogowania do pozazdroszczenia. Wadliwą stroną obrazowań jego jest, że we wszystkiem przegląda jednostronność: warstwy społeczeństwa wyższéj szlachty występują u niego w jaskrawo czarnych kolorach, gdy warstwa szlachty drobnej, rzemieślnik i wieśniak występują w najświetniejszych barwach. Ta jednostronność powodem jest, że powieściarz powtarza się często w wyprowadzanych postaciach. Nawięcéj cenię jego pół historyczne powieści, jak np.

Uniwersał hetmański, *Intrygi dworskie*, które gdyby znał recenzent w Bibl. Warszaw., byłby im nie zaprzeczył wartości niepośledniéj.

Kaczkowski Zygmunt z Bereźnicy w Sanockiem, rówiennik i towarzysz szkolny Zacharyasiewicza, stanął jako powieściarz najwyżéj. Uczeń szkół przemyślskich a potém lwowskich, już w najwcześniejszych utworach swoich, pokazał zarody talentu, który go dodzisiaj tak wysoko wydźwignął. Zaprawiał on się początkowo, tak jak wszyscy ludzie nauki w Galicyi, na literaturze niemieckiéj, i początkowo jak wielu innych, np. *Wincen. Pol*, *Żegota Pauli*, *Alex. Szedler*, i t. p., pisywał w języku niemieckim. Miał nawet jakąś tragedyą po niemiecku napisać.

Ciekawém byłoby krytycznie przyjrzeć się stopniowemu kształceniu się tego pisarza, który od r. 1845 do 1850 występował w czasopismach, przygotowując się do prac, mających odrazu imię jego głośném uczynić. Pierwsze znakomitsze utwory jego mieszczą się w *Gazecie Lwowskiéj* 1852 r. i feiletonie *Czasu* 1851 r.

Prace jego czasopismowe są następne: w Dzienniku mód paryzkich, 1845, Nr. 25, poezya: O czém marzyć Nr. 16, Uwagi nad moraluemi chorobami, Gorączka dowcipowa, Parafianizm, Tuz, powiastka (Nr. 20, 24, 25); r. 1846 Nr. l. Uwagi nad moralnemi chorobami, Zapalenie szlachetnéj strony serca.

W r. 1846 oderwany mimowoli od prac literackich, wrócił do takowych r. 1848. Wtedy napisał do Dzien. mód Dwa wspomnienia, Obrazek, Fantazja, do Wieszczów.

W r. 1849 w Tygod. Polsk. Nr. 3, czytamy poezyą Rendezvous.

W r. 1850 współredagował wraz z *J. Szlachtowskim* Pamiętnik literacki, w którym umieścił poezye: Niniwe (poemat), Herburt, Dwie gwiazdy, Zapomnieni, Sielanka, Początkowe sceny dramatu, Dwa pokolenia.

Prozą: Braciszek, (powtórzone wspomnienie), Rozbiór powieści: Wczoraj, O walkach umysłowych, O powołaniu pism czasowych. Rozbiór powieści: Grzechy powszednie. O kazaniach i kaznodziejach. O przesadzie w pojęciach (Słowacki i Krasiński). Ocena dzieła Celarskiego: Obrazy z życia. Rozbiór *Suego*: *Les enfants de l'amour*. Dziedzic Strwiążyka, powieść z czasu rozbioru (niedokończona).

W *Tygodniku lwowskim* 1850, Nr. 4—36, zamieścił: Domek rodzinny (poezya), O nierozumie, O trudności porozumienia się u nas.

W feiletonie *Czasu*, ukazały się pierwsze jego szlacheckie powieści: Kato (Nr. 7, 3, 81), Bitwa o chorążankę (245—250), Kasztelanice Lubaczewscy (279—301) i r. 1852, N. 5—7). Pan Franciszek Puławski (N. 198—218, r. 1852). W *Dzienniku literackim*: Bitwa pod Widawą, powiastka. W feiletonie Gazety Lwowskiéj 1852: Pan Bal, powieść, Żądza dziedzictwa, powieść. Swaty na Rusi (N. 18 do 125); r. 1853 Mąż szalony, powieść (od N. 2).

Tyle więc nakreśliwszy powieści, umieszczonych po czasopismach lwowskich i krakowskich, przeniósł pióro swoje do pism warszawskich, gdzie od r. 1852 umieszczał kolejno prace swe w Gazecie Warszawskiéj, Kronice i Gazecie Codziennéj.

Te dopiéro prace, zwróciły uwagę krytyków, którzy rzucili się do podnoszenia zalet nowego powieściarza. Krytyk było mnóstwo, ale rzadko która ustrzegła się przesady. Wymieniam je przy pojedynczych dziełach. Ogólne ocenienia znajduję te:

W Czasie 1854, N. 105—106. przez L. Siemieńskiego, w Dzien. liter. 1854, N. 36, przez Józefa Łepkowskiego, w Gaz. Warsz. 1854, Nr. 223. Ludwik Kondratowicz w odpowiedzi M. Grabowskiemu i J. Bartoszewiczowi w Dz. Warsz. i artykułowi tamże 1854, Nr. 222—3. p. t.: Znaczenie romansu historycznego w dziejach sztuki. Tamże A. Pietkiewicz 1855, Nr. 15. Zenon Fisch: Uwagi nad krytykami Leop. Jakubowskiego o Kaczkowskim w Bibl. Warsz. 1855, III (Gaz. Warsz. 1855, N. 208). Tenże N. 16, 145 Dzien. Warsz. 1854, odpowiedź Marcinkowskiemu. M. Grabowski w Gaz. Codz. 1854, N. 164—8. Dwa listy o stanowisku powieści histor. u nas i o Zyg. Kaczkowskim (toż w Nowinach, 1854). W Dzien. Warsz. 1854, N. 45. Porównanie Z. Kaczkowskiego z Hr. Rzewuskim. Tamże 1856, Nr. 190: Wiersz Odyńca do Kaczkowskiego. W czasop. Wiestnik 1857 Moskwa, ocenienie Z. Kaczkowskiego.

Ten nawał ogółowych pism, odnoszących się do powieściarza, okazuje, jak się nim żywo interesowano w latach 1854—6 za wystąpieniem jego najświetniejszém.

Osobno wydał:

1) *Annuncyata* powieść histor. z czasów konfed. barskiéj, Warsz. 1858, 3 T. (oddruk z Kroniki 1858), ocenił ją Wład. Zawadzki w Dzienniku Liter. 1858, N. 20—23.

2) *Bajronista* powieść współczesna. Wilno 1857 w 8ce, 3 T. (oddruk z Gaz. Warsz. 1855 N. 220—345 i 1856 Nr. 1—76). Ocena ganiąca przez J. Dzierzkowskiego jest w Dzien. liter.

1857, N. 43—6. Toż gani A. E. Koźmian w Dzien. Warsz. 1856 N. 54—7. Gani w ogóle, zarzuca pośpiech i niewykończenie.

3) *Bitwa o chorążankę*, obrazek z XVIII wieku (oddruk z feil. Czasu 1851). Kraków, 1852 w 12ce str. 12.

4) *Bracia ślubni*, powieść z czasów Augustowskich (oddruk z Gaz. Warsz. 1854, N. 1—59). Petersburg 1854, T. 3. str. 573, 366, 352. Ocenił pochwalnie Marcinkowski w Gaz. Warsz. 1854 Nr. 104.

5) *Deotyma w Krakowie.* List do Redaktora Gaz. Warsz. Warszawa 1854, w 8ce (oddruk z feul. Gaz. Warsz. 1854, Nr. 291—302.

6) *Dziwo-żona*, powieść spółczesna. Lwów 1853, w 8ce 4 T. (oddruk z Nowin, 1854 i 1855 r.).

7) *Gniazdo Nieczujów*, pierwsza wyprawa p. Marcina—Kasztelanice Lubaczewscy, powieści. Petersburg, 1855 w 8, st. 447.

8) *Grób Nieczui*, powieść, 4 T. Wilno, 1858. (oddruk z Gaz. Warsz. 1858), w 8ce str. 342, 367, 268, 270. Ocena w Dzienniku liter., 1858, N. 14—18, przez J. Dzierzkowskiego.

9) *Kasztelanice Lubaczewscy*, powieść ostatniego z domu Nieczujów. Kraków. 1852. W 16-ce. (oddr. z feil: Czasu). Str. 130.

10) *Mąż szalony*, powieść 2 T. Petersburg. 1855. Str. 255 i 277, (oddruk z Gaz. Lwow.). Recenzya przez Z. Fischa jest w Gaz. Warsz. 1855. N. 47. Rozbiera tę powieść, jakoteż *Wnuczęta* F. Lewestamm w Gaz. Codziennéj 1855 r.

11. *Ostatni z Nieczujów*, powieści 6 T. Petersburg. 1853. Druk. Gaz. Codz. T. 1 mieści: Bitwa o Chorążankę, Junacy, Swaty na Rusi (z Czasu i Gaz. Lwow.). T. II i III. Murdelio, powieść w 3 T. (oddr. z Gaz. Warsz. 1852. Nr. 265—344 i r. 1853). Tom IV i V Mąż szalony. T. VI Gniazdo Nieczujów. Kasztelanice.

Ocenił je Al. Tyszyński w Bibl. Warsz. 1854, także L. Siemieński w artykule: Ważność tradycyi, charaktery w romansie, tradycye sanockie w powieściach Z. Kaczkowskiego (Czas 1854. Nr. 105—116). Mniejsze powieści rozbiera M. Grabowski w Gaz. Codz. 1854. N. 164—8 (w Nowinach 1854. Nr. 15, 16, 72—3). Murdelio rozebrany w Nowinach 1854. Nr. 1—3. Dzien. liter. 1854. N. 20—23, w art. St. Pilata: Czego żądamy od powieści, jako utworu estetycznego? Wytyka fałszywy kierunek i mylne pojęcia u powieściarzy przeszłość malujących.

12. *Sodalis Marianus*, powieść historyczna ze starych ksiąg i papierów spisana, T. 5. Warszawa 1859. Str. 264, 222, 334, 238, 257, (oddr. z Kroniki 1858, od N. 159). W Gaz. Warsz. 1859, a z téj w Dzien. liter. 1859. Nr. 41, są uwagi pochlebne pióra J. Ignacego Kraszewskiego.

13) *Stach z Kępy*, powieść z życia ludu wiejskiego. Warszawa 1856. (Oddruk z Kroniki 1856. Nr. 1—41). Roztrząsnął J. Nat. w Wandererze 1858, bez znajomości naszéj literatury. Ocenił pochwalnie Kar. Szajnocha w Rozmaitościach 1857. Nr. 2. Rozebrano też w Dzien. liter. 1857. Nr. 12—4.

14. *Starosta Hołobucki*, powieść z czasów Stan. Augusta, podług opowiadania J. M. P. Nieczui. Warszawa 1858. T. 3. W 8-ce. (Oddruk z Gaz. Codz. 1856. N. 161—244). Oceniono ją w Dzien. lit. 1856 r.

15) *Wnuczęta*, powieść społeczna. Petersburg 1855, 4 t. Str. 260, 321, 280 i 271. Rozbiór uwielbiający jest w Gaz. Warsz. 1855. Nr. 948, 274, 276, 280. Oceniono także w Nowinach 1855. II.

16) Nakoniec powieść przeznaczona do Téki Wileńskiéj *Rozbitek* w 2 T.

Tak więc obfity ten pisarz wydał w ciągu lat 8 czterdzieści tomów powieści. Obfitość ta znamionuje zażywne bogactwo wyobraźni, któréj nie zbywa i na oryginalności i na twórczości.

Oprócz powieści uprawia Kaczkowski i niwę sceniczną. W r. 1850 drukował ustęp z dramatu; w r. 1852, przełożył dla sceny lwowskiéj dramata: *Arcydzieło nieznane*, *Adrienna Lecouvreur*; obecnie zaś pisze tragedyą z czasów Bolesławowskich.

O *Kaczkowskim* ustaliło się już zdanie ogólne. Odgaduje on przeszłość obyczajową bardzo szczęśliwie i wizerunkuje fizyonomie szlacheckie śmiało, wytwornie, po walterszkocku: piękniéj wyglądają pod piórem jego starcy, zawadyacy i rębajłowie, niżeli młodzież o miękkiém wychowaniu lub delikatne rysy polskiéj dziewicy. Styl jego płynie szerokiém łożyskiem: styl ten w dyalogach ludzi poważnych zachwyca i przenosi czytelnika w czasy odległe; ale w dyalogu, gdzie lekkość i swoboda a czasem elegancya, z natury treści przedmiotu wypadaćby winny, jest za poważny. Opowiadania same, zapełnione moralizowaniem nauczającém, tudzież opisywanie szczegółów drobiazgowie, nadają powieściom typ opowiadań starca sędziwego. Znać tu wpływy Dickensa i nowszych niemieckich powieściarzy. Cechy te w przekonaniu niektórych krytyków zna-

mionują odrębność pióra Z. Kaczkowskiego i zyskują uwielbienie; powieściarz płata krzyżową sztuką mieczem odrazu z góry, a nie wykręca się szpadką: to podoba się bardzo i zaprawdę może podobać się, lubo z drugiéj strony lekkość i elegancya, które cechują np. Korzeniowskiego, podnoszą znakomicie wartość dyalogu.

Do lepszych powieściarzy w Galicyi liczyć się winien malarz, *Szczęsny Morawski* ze Lwowa, zamieszkały od r. 1853 w Stroniu pod Sączem, gdzie gospodaruje. Pierwotnie chciał być wyłącznie malarzem, ale jakoś talent nie służył gorącym chęciom, a żyłka literacka odzywała się ciągle. Wydał on r. 1851 nakładem literata *Ant. Sozańskiego*, materyały do konfederacyi barskiéj 1767—1768 (str. VIII i 356); na resztę tomów nie znalazł nakładcy. Początkowo nie wiedział o kierunku swoim literackim, więc zajmował się artystyzmem. R. 1847 umieścił w Czasop. Bibl. Ossol. uwagi nad wystawą we Lwowie; r. 1850 w Pam. liter. Nr. 28 rozbiór Słownika malarzy Rastawieckiego; r. 1852 Nr. 16 Dz. liter. o obrazie Rajchana: Rodzina święta; r. 1850 umieścił w Tygod. pols. Nr. 7—13 powieść w 2 częś. p. t. *Pobitna pod Rzeszowem*. Miał ją osobno drukować, ale nie dokończył jéj, bo niezgrabnie szło mu pisanie. Zdawało się, że nie jest mu przeznaczono być powieściarzem.

Od dnia 4 lutego 1852 r. do początku r. 1854 wydawał Wojciech Goczałkowski, autor *Pamiętników Ułana*, czasopismo *Telegraf*, obfite w anekdoty miejscowe, plotki uliczne, ale bez wartości literackiéj. Tutaj Morawski pod pseudonimem Bonifacego Arbuzowskiego popróbował humorystyki, pisując Nowiny literacko-artystyczne, powiastkę „Braciszek Wojciech" i mnóstwo drobnych artykulików. Tam umieścił: Fizyonomia Sącza, Korrespondencye z Sącza, Szarady, Doniesienia gospodarcze, powieść *Kwiaty:* zgoła, pisał co weszło pod pióro: był tam humor, ale nię było treści i stylu.

Dopiéro w miesięcznym *Dodatku do Czasu* występuje jako oryginalny, jowialny, charakterystyczny pisarz. Zamieścił tam: *Wyprawa na jarmark do Sadogóry* (1856 luty); *Wyprawa do Arabii po konie* (1857, I. 657—713); *Reorganizacya małżeństwa* (1857 październik); *Szwedzi w Nowym Sączu* 1655 r. (1859 I): z tego obrazku ułożył *Romanowski Mieczysław* piękny poemat p. t. Dziewczyna z Sącza; nakoniec, *Uzbrojenie rycerstwa polskiego* (1859 r. maj).

Przyczém umieścił w feiletonie Czasu kilkanaście arcy-humorystycznych obrazków, jakoto: r. 1855 *Obrazek sądecki*; *Amulety od cholery* (Nr. 215); *Groby Lipskich z Lipia* (Nr. 261); *Wróbel* (Nr. 245 i w Dzien. Warsz. 1855, Nr. 294—7); r. 1858 *Górale od krępaku* (Nr. 157); *Góral na obidzy* (Nr. 185); *O wystawie krakowskiéj*, głos z prowincyi (Nr. 288) i r. 1859 Nr. 231 *Badaczom dziejów*. Doskonałe tamże zamieścił opowiadania o przesądach sekt Izraela w jego okolicach: co ściągło nań gromy izraelskie i omal go w proces nie zawikłało.

Szalajowi do jego Albumu Szczawnicy pisał tekst.

Mało mamy powieściarzy humorystyków: jeden *Aug. Wilkoński*, drugi Wilczyński i na tém koniec; *Morawski* należy do trójki; a każdego humorystyka wcale odrębna. U Morawskiego styl chropawy, łamiący się, urywany, nie zaleca się czystością lub wygładzeniem, a jednak, cokolwiek napisze, czytać to można z zajęciem. Choćby chciał o czém najpoważniejszém napisać, wmieści w opowiadanie zwrot jakiś lub słowo, które o żyłkę komiki potrąci. Wygląda on na osobę, która opowiada poważnie z miną obojętną, lecz w sposób wywołujący uśmiech na usta. Widać nie szuka dowcipu, nie sili się, ale dowcip sam jakoś pod myśl narzuca się mimowiedzy. Drobne obrazki *Morawskiego*, jakoteż powiastki umieszczone w dodatku miesięcznym, godne są wydania osobnego w zbiorze całkowitym, a autor sam zasłużył na figurowanie w dziejach naszego piśmiennictwa, jako humorysta. Łatwo bowiem rozweselać siebie samego, ale nie łatwo rozweselać drugich: dowodem tego sama liczba powieściarzy u nas, między któremi trudno o wesoły humor i o żartobliwość bez szyderstwa.

Łobeski Felicyan, malarz, urodzony w Wiśniczu r. 1815, zmarły w szpitalu we Lwowie d. 19 czerwca 1859 r., napisał: *Gawędy i obrazki ludowe*. Lwów 1952. W 8-ce Str. 31 i powieść: *Sobek Skórka*, czyli *Chata Grzegorzowa*, powieść na tle ludowém. Lwów 1856. W 8-ce. Str. 200. (Oddruk z czasop. *Świt*). Rozbiór jéj pochwalny przez Kaz. Kaszewskiego w Bibl. Warsz. 1859, sierpień. Zasilał on obficie *Dodatek tygod. do Gaz. Lwowskiéj* rozprawami artystycznemi (Obrazy w kościołach lwowskich, Kalwarya pacławska, Ryciny w Bibl. Ossolin., Nagrobki w kościołach lwowskich) i *Rozmaitości lwowskie* r. 1858—1859. (Monastyr OO. Bazylianów w Ławrowie, o monogramach i słowniku do nich, Monastyr OO. Bazylianów pod Dobromilem, Cerkiew na Zniesieniu, Portrety Mik. Kopernika).

Pisał też do *Czasop. Bibl. Ossol.* r. 1847 I. Listy z Wiednia, zaś w Dzien. liter. 1852—1853 zamieścił: O stowarzyszeniu sztuk pięknych, O Kaulbachu, O malarzu Wołuckim, O malarstwie przedchrześciańskiém. W r. 1853—1854 redagował *Dziennik literacki*, ale nieumiejętnie, trwożliwie, a przytém nie mając wyobrażenia o ruchu literackim u nas, nie umiał nic odpowiedniego napisać i wydawnictwem zręcznie pokierować.

Łobeski nie miał talentu powieściarskiego. *Sobek Skórka*, mimo pochwał niezmiernych K. Kaszewskiego, jest bardzo mierną powieścią: pisał ją Łobeski długie lata i przez wiele lat przerabiał i poprawiał. Powieść Łobeskiego już dlatego dobrą być nie może, bo on nie umiał pisać poprawnie po polsku: pisał ociężale, germanizował i trudno mu było o swobodne wysłowienie. W jego próbach dyalogu ludowego są próbki narzeczy wszystkich. Jeden i ten sam działacz w powieści, używa wyrażeń rusińskich, górali karpackich i wieśniaków z pod Krakowa, gdzie autor wiele lat przepędził ucząc się pod Sztatlerem malarstwa. Ta mieszanina stylistyki ludowéj razi tych, którzy umieją rozróżnić odrębność mowy wieśniaczéj pod Krakowem, Sączem, Jarosławiem, Przemyślem i Lwowem. Jeden tylko zmysł artystyczny uratował powieść od upadku; powieść, któréj nawet zręczności w kunsztownem przeprowadzeniu działania przyznać nie mogę.

Łobeski, tak jak wielu pisarzy wychowanych w szkołach niemieckich, lepiéj umiał składać poezyjki, niż pisać prozą. Łamanie się z językiem, dla uzyskania rymu, ratowało popsutą niemczyzną pracę. Wydał on: „Poezye", przez F. Ł. Poznań. 1845. Żupański. W 8-ce. Str. 91. Potępiono je w Przegl. Pozn. 1845. Listopad. Jest w nich poemat *Wieczny młodzieniec*, ustępami świetny, natchniony; w całości bez wartości. W r. 1853 umieścił ustępy z poematu *Ziska*, osnutego na dziejach czeskich. Tutaj podobnież chwilami połyska myśl godna poety natchnionego, całość zaś wodnista, rozwlekła. W Dzienniku liter. umieścił kilka poezyj w r. 1856 II wiersz: Gerwazy Wąsikiewicz; r. 1857 Sc. I, A. I. Ifigenii w Taurydzie (z Goetego), r. 1858 Sykstyńska-nasza, r. 1859 Nr. 51. Los poetów (z J. K. Murfelda): we wszystkiém jednéż zalety i usterki. Było rzeczywiście talent, ale talent złamany już od lat 10 walką z niedostatkiem, walką o wieniec malarski. Pobyt w Wiedniu rozpoczął skruszenie marzeń poetyckich, na których ruinie osiadło skryptorstwo w Bibl. Ossolińskich i kor-

rekta słownika *Lindego*. Biografia jego jest w Dzien. liter. 1859. Nr. 50 i Gaz. Warsz. 1859. Nr. 171. Karol Widman dla Tygodnika illustrowanego a Wal. Łoziński dla *Rozmaitości* przygotowują szczegółową biografią jego.

Bielawski Bruno występuje z drobnemi powiastkami. Oprócz poezyj w Nowinach r. 1854, 1855 i 1856 umieścił tamże opowiadania: *Baron Palonczaj*, *Przyjemności życia wiejskiego*, zaś w Gwiazdce Cieszyńskiéj 1858: *Trzy życzenia*, obrazek ludowy i kilka innych powieści.

Wydając obecnie *Dzwonek*, pisze wyłącznie powiastki dla wieśniaków. Użyteczna to praca, choć nie rozgłośna, a mimo to wymagająca talentu, bo nie wszystko, co się pisze dla ludu, lud rozumie i czyta.

W r. 1852 wyznaczono nagrodę na napisanie najlepszéj powieści dla Dziennika literackiego. Otrzymał ją *Edward Dulski* za powieść *Niespodzianka* (w Dzien. liter. 1853). Treść i obrobienie bardzo słabe, humorystyka blada, bezbarwna; powieściarz, udekorowany nagrodą, nie wystąpił już więcéj i dobrze uczynił.

Dobrzański Jan, zasłużony wydawca *Dziennika mód paryz.*, *Nowin*, *Dzien. literackiego*, autor wielu rozpraw krytycznych, od lat 15 po czasopismach lwowskich rozrzuconych, umieścił w Dzien. literackim powieści: *Ciotunia* (r. 1857, II), *W kraju i za morzem*, szereg obrazków powieściowych I., *Rodzina Dzierżawcy*, *Rozbójnicy*, *Wygnańcy* (r. 1858. Nr. 130—8—145 i nast. r. 1859 do Nr. 31). Rozbójników i Rodzinę dzierżawcy przełożył na niemieckie *Nietschmann*. Osobno odbitemi nie były. Autor nie oddaje się wyłącznie powieściarstwu, a nawet nie wiedzie dalej rozpoczętego szeregu. O rodzaju talentu jego w tym kierunku jeszcze nic aż do ukazania się jakiéj obszerniejszéj pracy powiedzieć nie można.

Zawadzki Władysław tłumaczył r. 1856 *Czajld Harolda*; pisuje od r. 1857 stale liczne rozbiory dzieł w Dzien. Liter. W r. 1843 wydał on pismo zbiorowe: *Wdowi grosz*, w którém zamieścił nie złe poezye swe i powieść: *Sąd świata*. Rok 1846 i 1847 zamieścił w *Dzien. mód paryz.* *Ona była niewinną*, powieść, a w *czasop. Bibliot. Ossolin.* 1848 i *Pamięt. Liter.* 1850, poezye różne. W *Dzien. Liter.* 1853 jest jego powieść: *Siostry mleczne*. W Nowinach 1854 Nr. 24 *Kulig w Brzeżańskiem*, Nakoniec w *Dzien. Liter.* 1858: *Przejażdżka do Żółkwi* (Nr. 5—6), *Oryginał*, szkic z przeszłości (138—144). Styl u niego gładki, ale nie poprawny, często o galicyzm potrąci; zdolność powie-

ściarska podrzędna: zbywa mu na inwencyi i wybitności w malowaniu postaci. Snadź uznaje to sam, bo rzadko występuje z powieścią i żadnéj na szerszy rozmiar nie drukował.

Cieszewski Karol pisał pierwotnie do dzienników niemieckich powieści nie udatne. Teraz pisuje do Przyjaciela domowego (Córka leśniczego, pow. w Przyj. domowym) i do Dziennika literackiego (r. 1859 Sierotki Hetmańskie, obr. histor. z XVII wieku).

Jestto jeszcze bardzo młody powieściarz, gładkie ma pióro, ale bez zdolności. Styl pospolity, pomysłu ani odrobiny, malowidło osób i scen arcy początkowe, bez wyrazu i myśli.

Pomezańska Marya z Chłędowskich wydała powieść w 3 T. *Gertruda Komorowska.* Lwów. 1853. Ocenił ją Czas r. 1853. Pisywała do Tygod. Pols. 1849. Nr. 5 i 7, do Dzien. liter. 1852: (Parter, kilka godzin w Krośnie) do Nowin. 1854. Nr. 57—62. (Nie ufaj sobie powieść). W r. 1850 wystąpiła w Tyg. Lwow. Nr. 8 przeciw Czasowi. W témże piśmie i w Dzien. mód paryz. r. 1843 do 1848 umieszczała krótkie powiastki i rozprawy. jak np.: *Wilia s. Andrzeja,, Jarmark w Krośnie, Porękawiczne, Obraz fantastyczny, Uczynek. O wychowaniu, O ślubach zakonnych, Świąteczne odczyty dla ludu.* R. 1853 zasilała pisma: Bławatek, Wianki. Mimo uprawiania powieści od lat 16 nie odznaczyła się w niéj: styl u niéj mdły, zepsuty składnią obcą, opowiadanie zaniedbane.

Nie lepszém co do stylu jest pióro *Julii Goczałkowskiej,* aczkolwiek wydała nie jednę użyteczną pracę.

Pisuje ona od r. 1840, kiedy umieściła wiersz: *Karpaty* w Tygod. Poznań.; r. 1843—1845 wydawała Rozmaitości dla ludu wiejskiego; r. 1845 wyszły w 3 tomach jéj pisma wierszem i prozą; r. 1846 i 1849 *Źródło szczęścia jest w nas samych;* r. 1857. *Kobieta czyli historya łzy i śmiechu.* Tę powieść ocenił pochwalnie Kar. Widman w Kronice 1858. Nr. 166. Pisma Bławatek, Wianki, 1853 mieszczą wiele jéj prac; toż Telegraf 1853. W r. 1855, I umieściła wiersz w Nowinach; a r. 1857 w Przyjac. domowym artykuł: *Zwycięztwo nad sobą samym.* Ostatnia jéj powieść: *Pamiątki rodzinne,* ustęp z życia naszych bogatszych rolników, ogłosił Dzien. Lit. 1859. Nr. 78—85. Mąż jéj, Wojciech Goczałkowski umieszczał w *Telegrafie* drobne humorystyczne spostrzeżenia, anekdoty i uwagi. Jest tam i jedna obszerniejsza powieść: *Ostatni sąd doraźny trybunału piotrkowskiego,* nie zalecająca się niczém (1853. N. 90—130). Le-

pszemi nierównie są jego *Pamiętniki Ułana*, umieszczone w ułamku w Nowinach 1854 i 1855, a odbite w całości we Lwowie. 1855. W 8-ce. Str. 192. Autor opowiadając to, co widział i o czém zasłyszał na wojaczce, umié zainteresować treścią przedmiotu.

Szedler Aleks. nie młody pisarz, syn artysty scenicznego niemieckiego, pisywał początkowo wyłącznie po niemiecku: napisał niemiecki dramat: *Jadwiga*, lecz go nie drukował. Pomimo tego, nie zna ćw polszczyznie jego niemczyzny: pisze dobrze i interesująco, bo malowniczo. Ustęp z powieści *Semenko* drukował w Dzien. Liter. 1852, zaś całą drukował tamże r. 1858 i osobno odbił we Lwowie 1858, nakładem Wilda (Str. III, 152). Powieść tę osnutą zręcznie na życiu górali pokuckich, przełożono r. 1859 na czeskie. Powodzenie pierwszego utworu powinnoby zachęcić do dalszych prac powieściowych. Szedler napisał komedyą dwuaktową: *Przestrogi pra-ciotuni*, która ukaże się na scenie lwowskiéj w r. bieżącym.

Szlegel Lubin umieścił w Nowinach 1855. T. I: *Pierwsza wizyta z Złoczowskiego*, a w T. I i II: *Jak się u nas żenią*, obrazek spółczesny. Osobne odbicie. Lwów. 1855. W 8-ce. Str. 272. Jestto utalentowany pisarz: szkoda, że gospodarstwo przeszkadza literaturze. Gdyby chciał być płodniejszym, mielibyśmy humorystę w guście Wilczyńskiego. Jest potoczysty, naturalny w opowiadaniu, humor ma zawsze na podorędziu, a satyrą chłoszcze wady przy każdéj sposobności. Zależał pisarz pole, więc trudno, aby się po nim czego nowego spodziewać. Jest on bratem *Szlegla Kornelego*, malarza, który także pisywał artykuły do Dziennika mód paryz. (1845 listy dwa z Rzymu o malarstwie, r. 1846 list z Amsterdamu o wystawie obrazów w Paryżu) i do Dziennika Liter. 1852 r. (Sadyk Bej-Czajkowski, ustęp z podróży), r. 1856. Nr. 28 (o Karolu Szwajkarzie malarzu).

Pietruski Oswald napisał powieść: *Jak to bywało*. Lwów. 1855. W 8-ce. Str. 272), oddruk z Nowin. 1855. T. II) i *Nowe czasy*, powieść (w Dzien. Liter. 1859. N. 1 i nast.). Z pierwszéj powieści rokować można było korzystnie o zdolnościach powieściarskich nowo występującego autora. Opowiadanie potrzebowało wygładzenia, ustępami bardzo słabe, niewykończone, ustępami budzące interes i ożywione. Druga powieść, kreśląca tegoczesne stosunki towarzyskie, nie powiodła się: charaktery w niéj i treść pospolite. Być może, iż dalsze prace zwrócą większą uwagę na ten talent kiełkujący.

Szukiewicz Aleksander, współpracownik *Czasu*, umieścił w Czasie dodatek 1856. I, II: *Powieść krakowska.* Z tego na szerszy rozmiar nakreślonego utworu wnosić można, iż powieści nie są jego wydziałem. Pisze on poprawnie, wypracowanie, tok opowiadania płynie logicznie, drobiazgowość w opisie najsumienniejsza, ale też rzecz sama oschła, ociężale przewiedziona: z całości wieje chłód, ogromna powaga, potrzebna przy uczonéj rozprawie, ale zabijająca powieść. *Szukiewicz* dawnemi czasy pisywał tragedye. Dwie z nich *Masław*, *Jadwiga*, spłonęły, r. 1850 w pożarze Krakowa. W r. 1839 grano w Warszawie komedyą *Ververt*, jego przekładu, tudzież przekład komedyi: *Kobiety* (w 3 a.). W latach 1840 i 1841 umieszczał poezye w Tygod. Poznańskim. (Prokop łysy, Tomasz, Szeik na Synaj, Do Henr. Gaszyńskiego), także powieść: *Obłąkana* (1840). W tymże roku wydał przekład *Czelakowskiego:* Odgłos *pieśni czeskich.* R. 1848 wydawał pismo czasowe.

Czernicki Gustaw, Krakowianin, którego przekład *Lermontowa: Bojar Orsza* Lwów. 1854, nie ustępuje przekładom *Odyńca* i innych najlepszych tłumaczy, nakreślił kilka drobnych powiastek, jakoto: *Pan Burzyński*, *Pan Gajewski*, *Obrazki z przeszłości* (Dzien. Lit. 1853); *Garwuliński*, obrazek (Nowiny 1854, II); *Hetmańskie leki* (1856 Rozmaitości); *Djabeł w Górze* (Gaz. Codzien. 1854); Legendy i podania krakowskie (w Gaz. Warsz. 1854. Nr. 170—183). Tłumaczył wzorowo powieści, składające czytelnią domową, wydawaną przez J. Wilda. Jest on stylista bardzo dobry, pióro ma ozdobne, eleganckie, lekkim humorem zaprawne. Czasem nawet przypomina nieporównany styl *Siemieńskiego* lub *Padalicy*. Tym darem mało który nawet głośniejszy powieściarz poszczycić się może. Szkoda, że nic obszerniejszego nie napisał. Czy brak twórczości, czy brak swobodnej myśli temu winny, nie rozstrzygam. Pisarz młody ma jeszcze lata i sposobność przed sobą, więc czekajmy. Czernicki wystąpił pierwszy raz r. 1843 z wierszem: *Łzy*, w Tyg. Lit. Pozn. R. 1847 umieścił życie St. Grochowskiego w Starożyt. krakowskich; r. 1848 wiersz: *Cedr*, w Dzien. mód par.; r. 1854 i 1855 umieścił w Gaz. Warsz.: *Rys dziejów sceny krakowskiéj i lwowskiéj*, które skreślił według obszerniejszych rękopismów, jemu na ten cel użyczonych. Napisał *Książeczkę dla dzieci*, wydaną przez J. Wilda.—*Zasady Stylu* zostające w rękopisie; był w r. 1854—1856 korrespondentem Gazety Warszawskiéj i Codziennéj. W dodatku *Czas* 1857 umieścił przekład z Lermon-

towa. Od trzech lat pracuje przy wydawnictwie Biblioteki Polskiéj pod firmą Turowskiego.

Łepkowski Józef, archeolog, towarzysz szkolny Czernickiego, pisał z nim łącznie zwyż wspomniane *Legendy i Podania krakowskie*. Wydał też osobno powiastkę *Wpływ kobiet na nasze uczucia* (1850. Kraków). Jestto utwór okolicznościowy i pisarz nigdy więcéj nie zwracał się ku powieści, talent swój przeznaczając zajęciu poważniejszemu.

Maurycy Mann, pożyteczny współpracownik Czasu i autor podróży na Wschód, tudzież kilku nie złych utworów scenicznych, wystąpił z powieścią *Szara godzina*. Kraków. 1854. W 8-ce. (Oddruk z feiletonu Czasu) przełożoną do Posener Zeitung. 1854. Nr. 145 i nast. p. t. Die verhängnißvolle Stunde.

Pochwalił ją niezwykle L. Siemieński w feilet. Czasu 1854. Nr. 163—5, a wyszydzono w Nowinach 1854. Nr. 96 i Gaz. Warsz. 1854. Nr. 199—230—1. O pracach M. Manna pisano obszernie w Dzien. Liter. 1854. Nr. 37 i 1857 Nr. 146, 147, 148, 149, podawszy szczegółowy sąd o każdéj.

Powieść jego niefortunna, wygląda jakby tłumaczona z francuzkiego: nic w niéj swojskości, nic wyobrażeń rodzinnych; pomimo lekkości stylu, nie udatny on jest, bo skażony cudzoziemskością. Jako pisarza scenicznego, cenię M. Manna nierównie wyżéj, i mniemam, że to jest najwłaściwsze pole, na którém mógłby kiedyś stać się użytecznym.

Wypadałoby między powieściarzami pomieścić i *Józefa Mączyńskiego*, bo jego utwory historyczno-archeologiczne pisane do Czasu, jak np. *Kościuszkowskie czasy*, 1857. Kraków; *Pojawienie się Eleonory Lubomirskiéj*. 1858. Kraków; *Rady i zwady niewiast*. Kraków. 1858; *Kilka podań i wspomnień krakowskich*. 1858. Kraków—i kilkanaście drobnych legend, przywdziały formę powieściową, wyzuwając się tym sposobem piętna autentyczności faktu: co tém lepiéj, bo autentyczność owych legend i podań częstokroć problematyczna. Mączyński nie umié pisać: peryody u niego ciężkie, nie trzymające się pospolu, zdania bez logicznego związku. Co do mnie, nie byłem w stanie doczytać do końca ani jednéj z jego powiastek rozwleczonych. Mimo to, w najnowszém wydaniu piśmiennictwa *Łukaszewicza* (Kraków. 1859), przejrzaném podobno przez J. Radwańskiego, figuruje on, z okazyi tych ćwiczeń literackich, pomiędzy wyborowemi pisarzami polskiemi.

Młody, nieznany dotychczas *Turski Jan Kanty* wydał powieść poetyczną: *Artysta bez sławy*. Kraków, 1859, w 16ce, str. 64. Młode to pióro, ale obiecujące. Zachęcał go słusznie Czas w gazetce literackiéj. Z pierwszego utworu trudno wnioski wyprowadzać; czekajmy rozwinięcia.

Panna *Kuszel Aniela*, z Krakowa, dziś pani *Walewska* (Bożenna, Wanda Odrowąż), wydała powieść: *Stefania*. Wilno. 1854. Str. IV i 94. Wyszydzono ją w Gaz. Warsz. 1854 r. Nr. 22; bronił ją L. S. w Czasie 1854. N. 54. Pochwalił powieść A. Marcinkowski w Gaz. Warsz. 1854, N. 160, i J. I. Kraszewski N. 173 t. G. Kuszlówna wydała pierwéj *Kilka chwil we Włoszech*, w latach 1847 i 1848. Poznań, 1850, w 8ce, str. IV i 180.

Franciszek św. Seraficki i poeci włoscy z jego szkoły (skrócenie z *Ozonama*). Kraków, 1854. Pochwalono to w Czasie 1854 r. N. 24. Powieść panny Kuszel nie odznacza się niczém, chyba tylko affektacyą i słabą polszczyzną.

Horoszkiewiczowa z Trojanowskich Walentyna umieszczała w r. 1850 w Dzwonku drobne powiastki dla młodzieży przeznaczone. Osiągały one cel. Jéj poezye tamże były ładne, bo pisane z prostotą.

Dorau Julian z Krakowa, zamieścił w Nowinach 1858 N. 130—4 *Popas w Chęcinach*, wyjątek z pamiętników niedrukowanych. Autor umarł w r. b. Nie wiadomo, czyli co więcéj pisał. Komedyą jego w 2 aktach *Ciocia sekundantem*, grano we Lwowie 1859 roku.

Ossolińska Ludwika hr., zmarła 11 lutego 1850, napisała *Przygody Zosi*, powieść. Kraków, 1850, w 8ce, str. 124. Pochwalił ją L. S. w dodat. liter. do Czasu 1850 r, zaś potępiono w Pamiętniku literackim 1850 r. str. 262. Tak ta powieść, jak też jednocześnie wydane komedye *Kolenda*, *Podwieczorek na wsi*, pisane są najzepsutszą polszczyzną, przepełnioną galicyzmami. Zostały po Ossolińskiéj 4 tomy kazań ks. Maccarthy. Jéj biografią wydał ksiądz *Wójcikowski*.

J. Maks. Ossolińskiego Wieczory badeńskie, wydane r. 1852 w Krakowie, należą do wcześniejszéj epoki, o któréj teraz nie opowiadam.

Powidaj Ludwik, oprócz historycznych wspomnień, *Biecz dawny i teraźniejszy*, *Fr. Ksaw. Branicki* (Dz. lit. 1858, nr. 89—90, 137—144), *Miasta w Polsce* (Dz. lit. 1859, nr. 9—13), napisał *Wspomnienia szkolne*, jako materyał do historyi szkół w Galicyi (Dz. lit. 1859, nr. 25—58). Podał tu z trafną humorystyką szkice

wadliwego wychowania szkolnego. Wesołe jego, naturalną komiką przesiąkłe obrazki, przypominają wyborną powiastkę *Adama Krasińskiego:* Godzina moralności (w Dzien. Warsz. 1853 i w Dz. lit. 1853 i w kalendarzyku).

Tadeusz Wasilewski, vice-marszałek stanów w Galicyi, zmarły w marcu 1850, autor Historyi włościan w Polsce i Historyi wychowania w Polsce, zostających w rękopiśmie; autor *Uwag nad Towarzystwem kredytowém*, Lwów 1839, w 8ce, którego artykuły bezimienne zamieszczały pisma poznańskie, i który umieścił w Rozmaitości 1830 Głos na pogrzebie Józ. Dzierzkowskiego adwokata—zaś w czasop. Bibl. Ossol. 1830 O życiu i pismach Fr. Siarczyńskiego, napisał powieść *Pan Szymon Brzeski.* Wyjątki z niéj podał Dziennik literacki 1853, N. 41 i następ. Ładna to powieść: przynajmniéj z wyjątków wnosić wypada, iż pisał ją autor wytrawny i rozumiejący, na czém zależy wartość powieści moralizującéj. Zapatrywał się na Pana Podstolego *Krasickiego* i Podstolica *Masalskiego.* Oczekiwać należy rychłego ogłoszenia téj powieści.

Wielogłowski Walery z Krakowa należy do powieściarzy, jako autor dzieł: *Dom mojéj babki*, Kraków 1856, *Gawędy gospodarskie*, Kraków 1859, *Jarmark w Dąbrowej*, Kraków 1857, *Jedynaczka* czyli *Walka uczucia z rachubą*, Kraków 1858, *Obrazki z obyczajów domownictwa wiejskiego*, Kraków 1857, *Kucharki*, Kraków 1858, *Pożary*, Kraków 1859, *Społeczeństwo dzisiejsze w obrazach*, Kraków 1859. Wielogłowski pisarz to niepospolity, wprawny, gładki stylista, przytém wesoły, jowialny, nieraz dowcipny; jego atoli obrazki nie są powieścią w ścisłém znaczeniu: są albo traktatem moralności, albo dyalogiem satyrycznym, albo wspomnieniem przeszłości. Byłoby o nim wiele opowiadać, ale nie jako o powieściarzu. Dobre o nim artykuły, rozbierające prace jego szczegółowo, są pióra *Kazimirza Kalinki* (w Bibl. Warsz.), *Ludw. Wolskiego* (w Dzien. liter. 1857, N. 124—131 i 1858) i *Kaz. Kaszewskiego* (w Kronice, 1858, N. 234). Właściwie nie należy on do pisarzy wyrosłych i wychowanych w Galicyi. W r. 1848 przybył do Krakowa, już jako pisarz wytrawny i pewnych zasług literackich, przynajmniéj w kierunku politycznym i religijnym.

Wiesiołowski Michał (Dezydery Ruralis) umieścił w Nowinach 1855 T. I i II i 1856 I i w Dzien. literac., 1857 II, 1859 T. I pięć Obrazków wiejskich. Pisywał on do Tygod. lwow. 1850 i do Czasu. Wydał r. 1842 w Poznaniu Rys statystyczno-

geograficzny w Galicyi, r. 1850 we Lwowie, Uwagi gospodarskie. W r. 1858 grano we Lwowie komedyą *Nie ożenię się*, którą przerobił z *Alberta Nota*. Obrazki wiejskie, pisane z humorem, czasem rubaszne, czasem przesadzone, podobały się, lubo nie odznaczyły się oryginalnością.

Wiesiołowskiego Franc. hr. Guwernery, powieść wznowiona, ukazała się w Telegrafie 1853, N. 214—7. Nie ma ona wartości; napisał też opowiadanie: Dwaj Zaporożcy (w Gołębiu pożaru 1843) i ustęp z dramatu: Stefan Dobrzecki (w Dzienniku mód 1843 r. 23—4).

Kazimierz Sadowski, lichy wierszopis i autor tragedyi, zamieścił w Telegrafie 1853 N. 79—104 powieść: Staś na Kobuzi Kobuziewicz. Nie warta ona wspomnienia.

Tyle o powieściarzach w Galicyi. Opuściłem tu *Luc. Siemieńskiego* dlatego, że on nie należy do galicyjskich pisarzy. Bawił on we Lwowie krótko po r. 1830 i wrócił do kraju r. 1848 ze sławą poety i autora drobnych powieści. Gdyby nie to, stałby na czele, bo nikt mu ani poetycznością w wierszu, ani wytwornością w stylu z powyż spisanych autorów nie dorównał.

Opuściłem tu bezimienne, pseudonimowe prace i autorów z innych prowincyj, drukujących swoje prace w Krakowie lub Lwowie. *J. I. Kraszewski*, *Leon Kapliński*, *Kajet. Suwczyński*, *Wilczyński*, *Medart F.*, *Norwid C.*, *Rzewuski Henryk*, *J. K. Rogala*, *Fryd. Skarbek*, *Moroz Leszek*, *Miłkowski* (ale nie *Julian*) i kilku innych, zamieszczali prace swe w czasopismach tamtejszych, ale zdanie o nich należy do historyi ogólnej piśmiennictwa polskiego.

Wymieniłem tutaj więcej niż 30 piszących opowiadania lub powieści, a to w samej Galicyi. Nie jestto wiele za lat 10, ale też i nie tak mało, jeśli zważymy, iż prowincya ta pod względem ruchu umysłowego w Polsce, odnośnie do swej obszerności terrytoryalnej, najmniej bierze udziału w tym ruchu i najmniej liczy mężów wyższego wykształcenia i wyższego stanowiska w hierarchii społeczeńskiej, którzyby przykład dawali własną umysłowością i hojnością materyalną. Wiele lat upłynie, nim zjawi się kto na podobieństwo mężów, jakimi inne prowincye pochlubić się mogą.

Zestawiając wszystkich powieściarzy ze sobą, nie rozwodziłem się obszerniej nad ich pracami, bo to przydłużyłoby znakomicie tę rozprawkę. Celem jej było wykazanie, którzy i jak piszą i czego po kim spodziewaćby się można: jest kilkunastu uzdolnionych, ale za mało udzielają prac swych, w stosunku do okazanych próbek talentu. Jednym nie dopisuje możność materyalna, inni nie mają pola do pokazania się, innym znowu brak ochoty, uważając pisanie za rzecz chwilowej rozrywki. Gdyby ta trojaka przeszkoda odpadła, przybyłby piśmiennictwu naszemu nie jeden dziś nieznany lub mało znany talent powieściarski.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA

Les Grands Peintres avant Raphaël nowa publikacya Wiktora Didron. — Macaulay i jego dzieła. — *Madame Swetchine sa vie et ses Oeuvres* przez hr. Falloux. — Kandydatura Lacordaira. — *Les Grandes Usines de France* przez J. Turgan. — Wiadomości literackie.

Teraźniejsze płody literackie Paryża błyszczą zewnętrznym przepychem, ale głębokością myśli nie odznaczają się wcale. Najstosowniéj porównać je można do bezwonnych płodów flory: są to kaktusy *superby*, oślepiające ponsem; zdumiewające kunsztownym kształtem rododendrony i kamelie, co radują wzrok, ale duszy nie zaspokoją, bo nie mają zapachu. Nigdy literatura piękna nie była uboższa w idee, a bogatsza w stroje.

Mianowicie pod koniec ubiegłego roku wyszło tu kilka książek, uderzających przepychem tych nawet, co mieszkając w Paryżu oswoili się już z szalonym zbytkiem wszelkiego rodzaju. Te z pomiędzy nich, które tylko z obrazków się składają, lub których treścią dawna historya ludzkości, same jedne na uwagę zasługują, bo prócz formy mają charakter.

Koroną tych lśniących złotem i kolorami kwiatów księgarskich, są cztery dzieła *in folio*: 1. „*Widoki Paryża*" Wilmanna, których dedykacyą mile przyjął Cesarz Napoleon; 2. Zbiór rytych na stali kopij, zdjętych z celniejszych obrazów malarzy francuzkich, znajdujących się w Galeryi wersalskiéj, wydany pod tytułem: „*Les Gloires de la France*". 3. „*Malownicza Historya Francuzka*" Chartona, w któréj autor z rzadką intelligencyą opisy sztuką objaśnił: portretami ludzi, formą ich archite-

ktury, ubiorów, sprzętów, naczyń, materyj, ozdób i zabaw tak uplastycznił dzieje swego narodu, że przeglądający dzieło odbywa jakby podróż po ubiegłych wiekach, widzi przeszłość duchem i ciałem zmartwychwstałą. 4. „*Les Grands Peintres avant Raphaël*" zbiór fotografij, zdjętych z oryginalnych obrazów przez Edmunda Fierlantr, a wydany w *księgarni sztuki i archeologii* Didrona.

Ta ostatnia publikacya jest niezmiernie ważna dla artystów.

Zanim przystąpimy do dzieła, powiem słów kilka o wydawcy, panu Didron, bo to człek bardzo nauce zasłużony, francuzki Winckelman archeologii chrześciańskiéj.

Trzydzieści lat mija jak Didron zamknął się w ruinach wieków średnich; żadna chwilowa preokupacya nie zdołała go z nich wyrwać: człowiek ten poświęcił się epoce, jak inni poświęcają się jakiéjś sprawie, i sam jeden rozświecił jaśniéj owe zamierzchłe czasy, niż wszystkie razem akademie.

Powołanie swoje uczuł Didron po przeczytaniu *Notre-Dame de Paris* Hugona: upoetyzowana katedra, odkryła jego oczom tajemnice symbolów sztuki chrześciańskiéj; zachwycony tém arcydziełem, przeniósł się natychmiast w wieki średnie i za pomocą nauki, w nich się naturalizował. Jak owi rycerze świętego Graala, co pielgrzymowali po świecie szukając czary, z któréj pił Chrystus, tak on schodził Europę szukając średniowiecznych okruchów. Szperając w katedrach i rozwalinach, przerzucając archiwa, rysując kościelne naczynia i napisy, przebiegł Francyą, Niemcy, Anglią, Holandyą, Belgią, Szwajcaryą, Włochy; potém udał się na Wschód.

Podczas téj wieloletniéj wędrówki, Didron patrzył wyłącznie na rzeczy przedmiotu swego dotyczące; Grecya nawet nie zdołała go oderwać od ukochanego przedmiotu: na téj ziemi posągów, on szukał tylko malowideł bizantyńskich: góra Athos odwróciła go od Parthenonu; Chrystus ukrzyżowany zasłonił mu Fidiaszowego Jowisza. Dzięki téj jedynéj miłości, Didron nabył ogromnéj erudycyi, która zeń czyni żywą kronikę tajemnic i tradycyj wieków średnich.

Pomiędzy jedną a drugą podróżą, Didron piórem i słowem propagował w Paryżu swą naukę: pisał artykuły do dzienników i przeglądów; jako sekretarz, redagował raporta *Towarzystwa sztuki*, które tyle ruin francuzkich od zupełnéj ocaliło zagłady, i wykładał darmo w bibliotece archeologią narodową; pod zuchwałym tytułem *Historya Boga*, wydał pierwszą księgę ikonografii chrześciańskiéj. Nakoniec w 1844 począł wydawać *Annale Archeologiczne*, które pod jego kierunkiem w ciągu lat piętnastu rozrosły się w illustrowaną encyklopedyą sztuki średniowiecznéj.

Do teoryi wnet Didron dołączył praktykę: nie poprzestając na nauczaniu swéj sztuki, przedsięwziął zrestaurować jéj wzory. W tym celu, do księgarni specyalnéj, będącéj ogniskiem prac archeologicznych w Paryżu, dołączył rękodzielnią szyb kolorowych, płaskorzeźb i bronzów: wyroby tych rękodzielń w najczystszym stylu dokonywane, rozchodzą się po wszystkich kościołach i zamkach europejskich.

Taki to człowiek zajmuje się obecnie wydawaniem fotografij, zdjętych z obrazów malarzy przed-Rafaelowych. O fotografiach tych powiem tylko słowo: są to cuda dokładności kolorytu i gustu. Wielkość rozmiarów i robota, stawia je w pierwszym rzędzie płodów fotografii artystycznéj.

Rozpoczęta serya składać się będzie z pięćdziesięciu reprodukcyj obrazów, wybranych z pomiędzy arcydzieł staréj szkoły holenderskiéj i belgijskiéj. W poszytach już wydanych widzimy pyszne kopie Van Eyck'a, Schoorel'a, Van der Weyden'a, Van der Goers'a i zbiór kompletny malowideł Hemling'a, znajdujący się w Bruges.

Kollekcya Hemlinga, owego jedynego swéj szkoły malarza-artysty, który był tém we Flandryi, czém Angelico Fiesole we Włoszech, jest nadzwyczaj zajmującą.

Hemling nie ma historyi. Malarz ten legend chrześciańskich sam jest legendą: przez świat nasz przeszedł on nie widziany, nie znany, jak anioł. Samo nawet nazwisko jego zostało nie pewne, jakby przez echo wieków powtarzane: Niemcy zowią go Hemlingiem; Belgi Memlingiem; tradycya goni za nim jakby za jakiémś skrzydlatém

stworzeniem, które wymyka się próbie, a tylko cudami się objawia.

Zdaje się, że Hemling był malarzem Karola Zuchwałego; ale to tylko domysł, gdyż śladów wyraźnych nie ma nigdzie. Kto był jego mistrzem? nikt nie wie. Ranny pod Moratonem, przywlókł się do rodzinnego miasta Bruges, i tam w szpitalu świętego Jana długo chorował; a chcąc się wywdzięczyć mnichom za gościnność, odmalował do ich kościoła sławny *Relikwiarz świętéj Urszuli* i kilka równie subtelnych arcydzieł, któreśmy podziwiali w zbiorze Didrona.

Wszystkie utwory Hemlinga, malowane w klasztorze świętego Jana, tchną błogim stanem rekonwalescencyi. Któż go nie zna? kto nie czuł sam fenomenów towarzyszących powrotowi zdrowia? Jestto stan nader błogi: ciało wycieńczone chorobą uduchownia się dziwnie, organa wszystkie są czulsze, chód lżejszy, wzrok jaśniejszy, powonienie delikatniejsze, nerwy drgają za każdym stukiem; dusza, co dopiéro uciekła, z pod czarnego skrzydła śmierci, jak dziecię śmieje się do światła: jakaś religijna ekstaza i rozradowanie zalewa całą istotę. W takiém usposobieniu przychodzący do zdrowia człowiek, widzi świat w rajskich kolorach: śpiéw ptaka, szmer źródła, wdzięk kwiatu, kształt obłoku, pogrąża go w lubéj zadumie; twarze, co otaczały jego łoże boleści, przybierają wyraz anielski, bo duch pacyenta użycza im dobroci, którą sam jest wypełniony; człek po ciężkiéj chorobie wchodzi napowrót w świat z radością wygnańca, wracającego do ojczyzny.

Pod takim wpływem malował Hemling. To téż lekkie postacie, prawie bez krwi i ciała, snują się jak anioły po jego płótnie: przez formę ich, jak płomień przez alabastry, przebija dusza; oblicza wyrażają tylko nadziemskie zachwyty. Otaczające je krajobrazy mają koloryt złoto-lazurowego nieba wizyj; cisza mistyczna panuje wszędzie, nigdzie ostrych cieni: obraz cały, jak *Raj* Danta, jest tylko gradacyą światła.

Opiszę tu układ jednego z arcydzieł Hemlinga, obraz zwany *la Châsse de Saint-Ursule*, będący perłą zbioru Didrona.

Malarz przedstawił na nim znaną legendę o *świętéj Urszuli i jedenastu tysiącach dziewic*, z któréj ustępy lubili malować chrześciańscy artyści. Obraz, jak relikwiarze z owego czasu, ma strukturę gotyckiego pałacu: każda z czterech ścian jego przedstawia ustęp z podróży ś. Urszuli. Najprzód widzimy wylądowanie jéj w Kolonii, na czele dziewiczego wojska: święta wysiada z okrętu, a zastęp jéj wchodzi już w bramę miasta, poza którą widać z kamiennych koronek budowaną katedrę: rzekłbyś idealna processya aniołów wchodząca do boskiéj Jerozolimy. Madony południowe wydają się cielesne obok tych dziewic Północy: zimna ich rasa jaśnieje tu jak aureola boskiéj czystości; na palecie malarza był tylko śnieg i światło. Wszystkie poubierane z najdziwniejszym wytworem, idą na śmierć męczeńską jak rusałki na biesiadę.

Na drugim obrazku widzimy zastęp męczenniczek na okręcie przypływającym do miasta Bâle: główki dziewic w gromadkę zbite, wyglądają jak koszyk róż: z pośród nich, podobna do Maryi w niebo-branéj, wytryska idealna kibić Urszuli.

Trzeci obraz przedstawia dziewice przybywające do Rzymu. Papież wychodzi na ich spotkanie: w przedsionku kościoła widzimy poważną postać jego i twarz jak dogmat niezmienną. Urszula zakwefiona klęczy przed papieżem i złożone ręce kładzie w dłonie Ojca Swiętego, z giestem tak wymownym, że choć nie widać oblicza, czuć, że mu oddaje i serce swe wraz z duszą. Za nią stoi processya dziewic; wyraz Urszuli odbija się na téj girlandzie młodych twarzy, jak krzyk zapału, który podają sobie echa: wierny, ale coraz słabszy brzmi on długo, aż w końcu znika.

Te są główne obrazy *Relikwiarza świętéj Urszuli*, który można zaliczyć do cudów, ludzką dokonanych ręką. Dwieście na nim znajdujących się figurek, z których największe mają stopę, a najmniejsze sześć cali wysokości, wykonane są z świetlaną subtelnością, przewyższającą ideały najsławniejszych malarzy.

Rzecz godna uwagi, że pędzel Hemlinga, tak biegły w oddawaniu najdelikatniejszych odcieni miłości, nie umiał wyrazić ani gwałtu ani nienawiści. Anielska ta niezdolność wspólną jest wszystkim mistrzom szkoły mistycznéj.

Weźmy naprzykład *piekło* Fiesola: jakaż to pocieszna karykatura okropności! Potępieńcy wyglądają tam jak dzieci na pokucie, a szatany wykrzywiają się na nich jak żaki; narzędzia tortur, z któremi biegają, nie przestraszyłyby nawet kobiéty: węże wyglądają jak ładne jaszczureczki, kajdany jak różańce, bicze jak dyscypliny penitentów. Albo *Rzeź niewiniątek* tegoż artysty znajdująca się w akademii florenckiéj: katy chodzą tam jak pazie; dzieci grzeczne pozwalają ucinać sobie główki, nie krzycząc, nie kwiląc nawet. Matki niby się trochę bronią, ale tak przyzwoicie, spokojnie, jakby to wyłamywanie rąk było tylko figurą styryjskiego walca....

Jakże zmieniły się czasy! Dziś artyści wprost przeciwny posiadają talent: najmierniejszy z nich nie źle odmaluje szatana, dobrze odda wady lub zbrodnie, żywo napisze satyrę, nie źle nawet odegra na scenie zły charakter; ale niechno tylko który zacznie stawiać ideały, malować bożo-stan, czy to piórem czy pędzlem, przepada! Dzieło czyni natychmiast wrażenie wyuczonéj na pamięć lekcyi — wyrecytowanéj jednym tchem bajeczki przez dziecko, które jéj sensu moralnego wcale nie rozumié; ideały stawiane teraz wyglądają po większéj części na kazanie, wygadane przez doktrynera, co inaczéj mówi, a inaczéj robi; na drogowskaz pokazujący drogę, którą sam nigdy nie chodzi — na coś bardzo nie smacznego, jak wszelka forma bez ducha, jak wszystko, co człek z teoryi lub z konwenansu snuje na zimno, nie na gorąco z serca wyrywa....

Czyż z tego mamy wnosić, że teraz gorzéj niż dawniéj? Broń Boże! Choć świat dzisiejszy cnoty malować nie umié jak dawny, przewyższa go o całą głowę w praktyce Boskich przepisów: zasady ewangelii przez półdziewiętnasta wieku powtarzane, a nie pełnione, zaczynają wchodzić nareszcie w życie. Mocarstwa, narody, instytucye równie jak pojedynczy ludzie znajdują się w konieczności wykazania na jaw najskrytszych swoich skłonności, swojéj miary i próby chrześciańskiego ducha. Muszą odpowiadać doraźnie, jedném słowem, jedném skinieniem na zapytanie, ile mają miłości Boga i bliźniego. Nie ma czasu do rozpraw, wywodów, gromień i narzekań:

Opatrzność trzyma rękę podniesioną, spuszcza młot faktów i nakazuje milczenie.... Zaprawdę, jest się czém w braku kunstmistrzów cnoty pocieszyć: zadaniem naszych czasów wcielać, nie tworzyć ideały.

„I wstąpił na olbrzymi stos gruzów kardynał, a mnie się zdało, żem poszedł za nim niesion ducha potęgą. A gdy on doszedł do szczytu, zasiadł gdyby na tronie i spojrzał na świat: wtedy szaty purpurowe opadły mu z ciała i przemienił się w postać białą, łagodném światłem osrebrzoną, i księga była w ręku jego, i schylił głowę ku jéj kartkom i uważnie czytał.

„A twarz jego była jakby przepojona miłością, a pełna spokoju. Zbliżyłem się zatém do niego i rzekłem właśnie w chwili, gdy słońce wschodziło: „Panie, czy prawda, że ostatni raz wczoraj Chrystus narodził się w tym kościele?"

„A on z dziwnym uśmiechem, nie podnosząc ócz z nad księgi, odrzekł mi: „Odtąd Chrystus ani się rodzi ani umiéra na ziemi, bo odtąd już na wieki wieków jest i będzie na ziemi?" (Patrz „Myśli Ligenzy, stronnica 63-cia).

Przedwczesna śmierć Macaulaya zasmuciła Paryż. Dzienniki wszelkich opinij uczciły jego pamięć mniéj więcéj gorącemi słowy: wszystkie uważały skon sławnego dziejopisa Anglii jako stratę ludzkości. Anglicy nie utuleni w żalu, żałują go po swojemu: tojest, stawiają mu królewskie pomniki, protegują pozostałą rodzinę i zgodnym chórem wyliczają zasługi zmarłego. Cała prasa angielska, wyjąwszy *Daily News'a*, któremu jakieś osobistości kazały wyrokować inaczéj, śpiewa hymny na cześć wielkiego historyka.

Żal ten rodaków pojąć łatwo. Tomasz Macaulay ze wszystkich spółczesnych jest może najkompletniejszym reprezentantem ducha angielskiego. Myśléć i sądzić nauczył się na uniwersytetach narodowych, w owych *szkółkach*, w których Anglia hoduje sobie ludzi stanu; zanim zaczął pisać dzieła, wyrobił talent w Przeglądach; zanim został ministrem, pełnił najniższe funkcye w administracyi. Jestto zwykła droga każdego obywatela angielskie-

go, którego zdolności przeznaczają do odegrania ważnéj roli w ojczyznie. Nawet syn lorda, ba, nawet królewicz nie skacze tam odrazu z dołu na pierwsze piętro; ale, jak w wojsku, dosługuje się stopnia przechodząc przez wszystkie szczeble urzędniczéj hierarchii. Chwalebny to zwyczaj! Taką drabinę przeszedłszy człowiek, dopiéro może stanąć dojrzałym na wysokiém stanowisku, do którego własny geniusz go doprowadza; dopiéro może posiadać w pełni zalety, jakiemi zasłynął Macaulay: jasność pojęć, przenikliwość, wysoki pogląd i te uczucia, które kochać go każą: tolerancyą dla religii, uszanowanie dla prawa i miłość swobody.

Wprawdzie torysi zarzucali mu, że się zapatrywał na historyą ze stanowiska whigów, ale ten zarzut połowę wagi traci dlatego, że autor nie oszukuje nikogo: Macaulay nie tai swéj predylekcyi dla opinii, któréj w przeszłości i teraźniejszości broni. To oświadczenie, zapisane na wstępie, jest niejako rękojmią jego bezstronności, bo świadczy o jego dobréj wierze. Wielu utrzymuje, że historyk powinien wznieść się po nad stronnictwa, żeby je mógł sądzić sprawiedliwie; jest to piękna teorya, ale ponieważ nigdy nie była praktykowaną, zatém należy się wdzięczność dziejopisowi, który przynajmniéj powiada jasno, kim jest, i sztandaru swego podstępnie nie chowa.

Macaulay w 1822 roku otrzymał doktoryzacyą na prawnika, a w roku 1824 patent na tak zwanego *maître ès-arts*. W tymże roku powiedział na meetingu pierwszą mowę za zniesieniem niewoli i wydał piękny swój przekład ody Filicaja „*Wenecya wyzwolona*." Rozpoczął tedy jednocześnie zawód polityczny od wymowy, a literacki od poezyi. Wkrótce potém wydał starożytne ballady (Lays of ancien Rome) i tak zwane *Szkice*, szereg artykułów umieszczanych w Przeglądzie Edynburgskim. Z tych artykuł o Miltonie zwrócił na Macaulaya oczy ziomków i zjednał mu nazwę znakomitego pisarza.

Ponieważ powodzenie literackie w Anglii nie jest, jak w innych krajach, przeszkodą do rozwijania się na drodze praktycznéj, Macaulay, chociaż okrzyknięty wielkim pisarzem, nie przestał kształcić się na człowieka stanu; naczelnicy zaś stronnictwa whigów nie spuszczali

z oka zdolnego ucznia z Cambridge, młodego *rewiewer'a*, którego piérwsze próby tak świetnym jaśniały talentem.

W 1832 r. lord Lansdowne wprowadził Macaulaya do Izby niższéj. W tym samym czasie rząd zaszczycił go ważną missyą. Mimo różnicy ras i religii ludów, zamieszkujących Indye, gabinet angielski powziął myśl nadania temu krajowi jednolitego kodeksu. Zredagowanie go poruczono Macaulayowi, i wysłano go do Indyj. Skoro ukończył dzieło, pokazało się, że kodeks nie może być zaaplikowany; autor powrócił tedy do Anglii, nie dopełniwszy missyi, ale nie zmarnowawszy też czasu, bo obładowany mnóstwem ciekawych studyów, które, zwiedzając ten kraj tajemniczy, nazbierał.

Za powrotem rozpoczął swą karyerę parlamentarną i namiętnie jéj się poświęcił. Kto go spotkał w dzień błądzącego po ulicach Londynu ze spuszczoną głową, z oczyma w bruk wlepionemi, gadającego do siebie oderwanemi słowy, ten myślał, że to waryat; ale kto go ujrzał w nocy, na trybunie, podziwiał mądrość zdań jego i jędrność wymowy. Ci, co go widzieli na mównicy, powiadali nam, że wielkie czynił wrażenie: sztywny, prosty jak tyczka, zawiedły i blady—kiedy mówił, dziwnego nabiérał uroku: oczy jego zapalone jak dwie pochodnie, zdradzały ogień wewnętrzny i opromieniały oblicze, jak sztuczne światło twarze Rembrandta; ciało pozostawało w zupełnym spoczynku; żeby nie giestykulować, prawą rękę za kładał w tył, a lewą tylko czynił jednostajny ruch, jakby wybijając takt mowie.

Najpiękniejsza chwila jego zawodu politycznego, jako już para Anglii, jest ta, w któréj, żeby pozostać wiernym swym zasadom tolerancyi religijnéj, zerwał odważnie ze swą partyą i wotował za wyposażeniem szkoły katolickiéj w Mainooth. Szkoccy purytanie odebrali mu natychmiast mandat, ale nie na długo; wnet powstydzili się swego czynu, a w parę lat późniéj wyborcy edynburgscy jednozgodnie obrali Macaulaya deputowanym do Izby niższéj.

Przed tym to obiorem, oddalony chwilowo od polityki Macaulay wziął się do wykończenia pierwszéj części swego monumentalnego dzieła. Pierwsze dwa tomy *Hi-*

storyi angielskiéj wyszły w Angii 1848 roku, drugie dwa 1852 r.; nadzwyczajne wypadki, które wstrząsały światem w tych dwóch epokach, nie przeszkodziły bynajmniéj powodzeniu dzieła; najlepszy to dowód jego wartości: widać, że najważniejszym z pomiędzy ówczesnych wypadków było wydanie *Historyi* Macaulay'a.

W Paryżu rozkupiono 50,000 egzemplarzy *Miłości* Micheleta, ale jego *Historyi francuzkiéj* zaledwie parę tysięcy egzemplarzy się rozeszło. W Londynie tłum kupujących *Historyą Rewolucyi* 1688 *roku* oblegał po dniach i nocach księgarnie: od czasów *Waverleya* nie pamiętają tam tak pokupnego dzieła. Bo co téżto życia, co ognia w téj kompozycyi! Restauracya Karola II, portret Wilhelma III, obraz Anglii w 1685, krwawe sądy przysięgłych; jakiż romans może dorównać takiéj historyi? mianowicie jeżeli jest napisana z taką sztuką obrazowania i zręcznością ekspozycyi, jaką posiadał Macaulay. Wielki to artysta! Nigdzie u niego nie dopatrzy krzyczących kolorów, nigdzie nadętości teatralnéj, nigdzie scen melodramatycznych: wszystkie osoby żyją, mają strój i fizyonomią swojego czasu. Słusznie poniekąd zarzucano Macaulayowi, że jest większym portrecistą niż historykiem; ale czyż to jest wadą? Z samych portretów już można sobie ułożyć całość.

Śmierć wytrąciła pióro z ręki artyście i nie pozwoliła dokończyć przedziwnego dzieła: tylko piąty i połowa szóstego tomu Historyi pozostała gotowa do druku. Tom piąty dopełnia dzieje panowania Wilhelma III.

Z powodu choroby sercowéj, skazany przez doktorów na spoczynek Macaulay wziął urlop z Izby parów; uczynił to z przykrością, dla dogodzenia prośbom rodziny: życie bowiem czynne, polityczne, było niezbędnym warunkiem jego istnienia—żywiołem, bez którego, jak ryba bez wody, usychał. Mówią, że ten nagły spoczynek, przeciwny naturze, nie opóźnił, ale przyśpieszył skon jego.

Podczas świąt Bożego Narodzenia, które tak uroczyście bywają obchodzone w Anglii, Macaulay zgromadził koło siebie krewnych i przyjaciół. Cierpiał więcéj od pewnego czasu, ale żadna zastraszająca oznaka się nie poka-

zała; uważano tylko że smutny i małomówny. We dwa dni po Bożém Narodzeniu, przyjaciele pożegnali go wieczorem nieprzewidując żadnego niebezpieczeństwa: nazajutrz rano już nie żył. Umarł w pięćdziesiątym dziewiątym roku życia.

Opłakując tę stratę, *Times* w pięknym artykule powiada, że skon Macaulaya wnosi żałobę wszędzie, gdzie tylko język angielski jest rozumiany; mógł był dodać: wszędzie, gdzie ludzie miłują wolność i praktykują szczytną tolerancyę religijną, owe dwie wielkie zasady, których chwilowe obłędy i trwałe dobro tak wymownie skreślił autor *Rewolucyi angielskiéj*. Dla tychto nauk głębokich, wysnutych z dziejów dojrzałego narodu i na jego doświadczeniu opartych, historya Macaulaya ma wartość uniwersalną, nietylko do Anglii ale do całego świata należy; dlatego to, każdy prawy obywatel każdego kraju uchyli czoła przed nagrobkiem, który rodacy w Westminsterze mu wznoszą. Uroczyste przeniesienie zwłok lorda Macaulaya do Westminsteru odbyło się 23 stycznia. Złożono je w zakątku poetów, obok grobowca Sheridana.

Członek Akademi francuzkiéj, hrabia Falloux, wydał dwa piérwsze tomy swego dzieła pod tytułem: *Madame Swetchine, sa Vie et ses Oeuvres*; trzy następne wyjdą przed wiosną.

Sława pani Swetchine za jéj życia nie przestąpiła progu kilku salonów artystokratycznych przedmieścia Saint-Germain; tylko szczupłe grono wybranych wielbiło rozum i czciło cnoty téj dostojnéj matrony. Pochodzenie cudzoziemskie, wysokie stosunki, dom na wielką urządzony stopę, pogarda dla poklasków tłumu i zwykłych sposobików błyszczenia, wielka pobożność, sąd wyrobiony i nieprzychylny nowościom, jawna cześć dla ołtarza i tronu: wszystko to tytuły do sympatyi legitymistów a obojętności ogółu francuzkiéj społeczności. Dlatego pani Swetchine żyła tu nieznana; dopiéro kiedy umarła w późnéj starości, Paryż mówić o niéj zaczął. Z wygłaszanych przez jéj przyjaciół uczynków miłosiernych, o których nikt za życia nie wiedział, poznano wartość zmarłéj, i wię-

kszy tłum otoczył jéj wspomnienie niż jéj trumnę: jedni zapragnęli poznać tę, któréj już widzieć nie mogli—drudzy zabalsamować tę, którą utracili.

Pan Falloux, należący do rzędu tych ostatnich, poczytał sobie za święty obowiązek odmalować ziomkom poważną postać cudzoziemki i podać im jéj cnoty ku zbudowaniu. Chodziło mu także o to, żeby salon pani Swetchine postawić jako przeciwstawienie innych paryzkich salonów politycznych, których tyle naopisywano w ostatnich czasach; wizerunkiem pani Swetchine, Falloux chciał zaćmić miniatury wszystkich Egeryj francuzkich królów i ministrów, równie te, które opiewa Guizot, jak te, które Capefigue uwielbia.

Zwolennik nowszych pojęć, doznaje uczuć sprzecznych, czytając książkę pana Falloux: ton jéj wysoki jak charakter niewiasty, którą opisuje, często zachwyca; wyznanie wiary i pojęcia nieraz zniecierpliwią; jest tam obraz cnoty, przed którym każdy uklęknie, a obok tego czyny i zdania, na które mało kto się zgodzi.

Ponieważ publiczność nasza lepiéj niż francuzka zna historyą pani Swetchine, pomijam jéj rodowody, wyjazd z kraju i osiedlenie się we Francyi, jak również przeobrażenia jéj umysłowe. Pan Falloux szeroko nad tém wszystkiem się rozwodzi: my powiemy tylko, że koleje, jakie przeszła i stanowisko, jakie zajęła, były logicznem następstwem odebranych w młodości nauk i wrażeń.

Wychowana przez wychodźców francuzkich, szlachtę odartą z przywilejów i księży, pozbawionych nieomylności, pani Swetchine od kolébki przywykła była z ich stanowiska na świat się zapatrywać; przyjąwszy ich zasady i podzieliwszy urazy, potępiła wolność sumienia, rewolucyą francuzką i wszystkie jéj ustawy.

W tém miejscu miałbym wielką ochotę przytoczyć definicyą tego katolickiego filozofa, skreśloną przez Villemaina w jego sławnym „Kursie Literatury:“ ostra ta wycieczka przeciw teoryom De Maistra, odczytana w chwili, kiedy Cesarz Napoleon zniósł sławnego l'Universa, a Villemain wydaje jezuickie broszury, budzi podwójne zajęcie: prócz zasad krytykowanego, daje poznać zasady krytyka. Ale byłaby to cytacya zbyt długa, zwra-

cam więc tylko uwagę czytelników na sześćdziesiątą drugą lekcyą kursu Villemaina, któréj konkluzyą: „że De Maistre jest Seneką szkoły ultramontańskiéj, a z powodu żywéj wyobraźni zasługuje na nazwę *Proroka przeszłości.*

De Maistre tedy był aż do grobu prorokiem pani Swetchine: dzieł jego radziła się zawsze jak ewangelii; w siedmdziesiątym trzecim roku życia jeszcze z młodocianym zapałem broniła tego męża stanu przeciw rozlicznym napaściom.

Drugim jéj ideałem był Donoso-Cortez.

Znając nauczycieli i ideały, łatwo zgadnąć, czém była uczennica. Wszelako dodać należy, że umysł pani Swetchine był wyższy od przyjętych teoryj: we wszystkich jéj czynach znać dobrą wiarę. Myśli jéj rozsiane w dziele pana Falloux, choć nie zawsze sprawiedliwe, są zawsze niepospolite, zdania zdradzają silną duszę i bardzo wykształcony umysł, a nadewszystko wszędzie znać szczerość: dla tej rzadkiéj cnoty, człek wszystko przebaczyć gotów! Prawą duszę najwięcéj razi kłamstwo, udawanie, komedya odgrywana w imię téj lub owéj zasady; pani Swetchine nigdy jéj nie odgrywała; przyjęte zasady były dlań świętą prawdą: żyła przykładnie szukając w miłosierdziu raczéj urzędu dla swéj wrodzonéj dobroci niż tytułów do ludzkiéj estymy.

Większość równych jéj urodzeniem i majątkiem kobiet, na to tylko wspiera ubogich, żeby o ich miłosierdziu gadano: jedne w salonach swych założyły biura dobroczynności i milionem świec oświeciły swe dobre uczynki, żeby ani jeden w ciemności nie zniknął; inne przemieniły swe buduary w literacko-artystyczne biura informacyjne, i zasiadły w nich, niby wyrocznie dobrego tonu lub westalki platonicznego ognia, który dusząc namiętności pomnaża liczbę wielbicieli. Wyrafinowana kokieterya dam takich, tę tylko przyniosła korzyść ludzkości, że zmieniła literaturę w koteryą, a pobożność w modę.

Pani Swetchine, choć urodzeniem, majątkiem i wykształceniem mogła jak inne pretendować do pytejskiego trójnoga, wolała na swéj kanapie spokojnie pozostać, nie ubiegając się o urząd Egeryi: dobra i rozumna, nie zmie-

nila przecież salonu swego ani w ministeryum, ani w zakład dobroczynny, ani w akademią.

Pan Falloux, z którym często można się różnić w zdaniach, ostatecznie dobrze zrobił, iż wystawił na widok publiczny tę antypodę próżności niewieściéj; że odkrył współczucie téj wysokiéj damy dla klassy ubogiéj, cierpiącéj; że nakoniec poważne jéj medytacye nad zaradzeniem nędzy, drukiem ogłosił; hrabia akademik oddał prawdziwą przysługę obyczajom, gromadząc razem wzorowe postępki niewiasty, któréj pamięć wnet zniknie, a która nie była ciężarem, ale pomocą ludzkości. W dwóch ogłoszonych tomach wiele jest strawy pożywnéj dla czytelników wszelkich opinij: piękne czyny bohatérki zawsze w porę zacierają wrażenia, wywołane ubóstwieniem De Maistra i teoryami labusiów Ludwika XV.

— Wzmianka o dziele pana Falloux, nasuwa obiór, którym teraz akademia zajęta; obiór dziwny, niespodziewany, a w chwili obecnéj drażniący większość Paryża: chcę mówić o kandydaturze Ojca Lacordaira. Zdaniem opinii publicznéj, duchowny, członek surowego zakonu dominikanów, sprawujący w nim wysoki urząd generalnego wikaryusza prowincyi francuzkiéj, ubliża sobie, ubiegając się z czeredą świeckich literatów o fotel ś. p. Tocquevilla. Rano i wieczór czyni mu tę uwagę prasa paryzka; mimo to, Lacordaire niezmordowanie oddaje wizyty akademikom i o ich łaski się stara.

Zadziwiającą jest w istocie ta chciwość honorów akademickich, która nietylko każdego francuzkiego literata trapi, ale nawet do celi mnicha się wkrada, dość silna, żeby go oderwać od ołtarza i rzucić w przedpokoje. Prawda, że jak na księdza, Ojciec Lacordaire bardzo światowe wiódł życie: od dwudziestu lat, jak wszedł do klasztoru, mimo surowéj reguły, wszędzie go spotkać było można: widywaliśmy go często w dziennikach i przeglądach, kolejno, to na ambonie, to na trybunie. Był czas, że obok dominikańskiego krzyża, nosił rozetkę reprezentanta narodu; teraz chce znów przystroić habit zielonemi

palmami, i w tym celu do drzwi każdego akademika puka. Szczęście, że nie ma w domu pana Mérimée, cynicznego prześladowcy duchowieństwa — spotkanie byłoby nieco ambarasujące; ale Lacordaire będzie i tak musiał kłaniać się panu Guizot, heretykowi, którego fundator jego zakonu byłby był kazał spalić na wolnym ogniu. Wartoby podsłuchać, jak poważny dominikanin prawi komplementa przyszłym kolegom: jak chwali styl *Ewic Ubogich* Augiemu, recytuje ustępy z *Bursy* Ponsardowi, przed Juliuszem Sandeau unosi się nad rolą Samsona w *Pannie de la Seiglière* i t. d.

Podobne rozmowy i zabiegi, nawet prostaków rażą swoją niewłaściwością; tymczasem, ludzie niby poważni, wykształceni i przyzwoici nie widzą w nich nic złego. Jaśnie oświeceni akademicy, którzy od pewnego czasu tylko polityką się trudnią, popierają owszem kandydaturę Lacordaira. Hrabia Falloux, hrabia Montalembert i ich chórzysta Villemain starają się usilnie pozyskać mu nie przychylne głosy w Instytucie. W tym celu gorące piszą artykuły w *Korrespondencie*; akademia bowiem, zmieniła sterników: już teraz nie z redakcyi *Debatów*, ale z redakcyi *Korrespondenta* wychodzą nieśmiertelni.

Całe przedmieście Saint-Germain jest także w ruchu: akademicy uparci, zarzuceni są petycyami; zapewniają, że pan Pingard odebrał przeszło dwadzieścia listów od samych księżen, nie rachując margrabin, hrabin i baronesów.

Teraz, jeżeli zapytacie, jakie są zasługi tak gorąco popieranego kandydata, odpowiem tak jak wszyscy, których o to zapytywałem: niewiadomo. Lacordaire jest wprawdzie znakomitym mówcą, ale wymowę kościelną dostatecznie już reprezentuje w akademii biskup Dupanloup; jeżeli zaś protektorowie chcą uczcić w osobie Lacordaira inkwizycyą świętą, to już w tym celu obrano niedawno pana Falloux; czyż aż dwóch członków do obrony tego jednego przedmiotu potrzeba? Nieśmiertelny areopag francuzkiego rozumu powinienby poprzestać na jednym koledze, który usiłował zrehabilitować w opinii ziomków Torquemadę, Filipa II, auto-da-fę i rzeź świętego Bartłomieja.

Rywalem Lacordaira, współzawodnikiem, któremu głos powszechny fotel Tocquevilla przysądza, jest pan Wiktor Leclerc, nestor paryzkiéj belletrystyki, literat i uczony zarazem, mąż, którego pomoc mogłaby być bardzo przydatną akademii do ukończenia rozpoczętego *Słownika*. Ale gdzie jéj tam słownik w głowie! Dzisiejszém zadaniem akademii francuzkiéj, tryumf stronnictwa książąt włoskich, który jest zarazem tryumfem Orleanów. Oto tajemnica broszury Villemaina, niegdyś srogiego pogromcy Jezuitów, broszury Thiersa, którego prawdziwe zdanie w kwestyi rzymskiéj zna nawet każdy gamen paryzki, artykułów Montalemberta niedawno poróżnionego z Rzymem, i wszystkich bezczelnych metamorfoz, które widzieliśmy tu w tych ostatnich czasach.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa kandydatura Lacordaira przejdzie: już nawet mówią że p. Guizot będzie go przyjmował. Obojętnym i artystom, lubującym się w kontrastach, ten program bardzo się podoba; ludzi zaś, co z prawdziwie religijnego stanowiska nań patrzą, oburza dominikanin z heretykiem komplementujący się publicznie: zaprawdę, smutna to komedya, a na nic zgoła nieprzydatna; patrząc na nią, będzie można zapytać z Beaumarchem: „*qui trompe t'on ici?*"

— Wyszły dwa pierwsze poszyty nader użytecznéj publikacyi pod tytułem: „*Les Grandes Usines de France;*" autorem jéj jest dyrektor Monitora, pan Julian Turgan, człowiek, którego zdolności najzupełniéj podiętéj pracy odpowiadają. Ażeby wzbudzić większe zaufanie czytelników do dzieła, na które uwagę ich zwracam, zacznę od krótkiéj biografii autora.

Pan Turgan nie jest ani przemysłowcem zamkniętym w ciasnéj rutynie, ani belletrystą nie znającym szczegółów warsztatowéj roboty. Syn naczelnika wielkiéj fabryki, nauczył się z praktyki jak postępować z tym ulem robotników fabryką zwanym, gdzie zręczna inicyatywa, sprężysty i światły zarząd nie mniéj potrzebny jak praca wyrobnika.

Ukończywszy wcześnie medycynę, młody Turgan nie przestał pracować nad rozszerzaniem téj wiedzy, która ludzkiemu oku odsłania zarazem świat moralny i fizyczny. Wysłużywszy internat w paryzkich szpitalach, został sprawozdawcą posiedzeń Akademii Nauk w dzienniku *l'Evênement*. Tam pan Girardin zauważał jego zdolności i powołał do swego dziennika, gdzie przez kilka lat pracował. Później Turgan zaczął na swoją rękę wydawać *La Fabrique, la ferme et l'Atelier*, pismo peryodyczne, w którém godząc umiejętnie praktykę z teoryą, rozwijał zastosowania chemii, fizyologii i historyi naturalnéj do przemysłu.

Praktycznością nauk swoich zwróciwszy na się uwagę rządu, Turgan wszedł do redakcyi Monitora i w kilka miesięcy po usunięciu się Grüna, dyrekcyą dziennika objął. Pod jego to kierunkiem nastąpiło korzystne przeobrażenie tego organu rządowego, który dziś tak pod materyalnym jak literackim względem nie ma od siebie wyższego w Paryżu. Podczas swego pobytu w Londynie, Turgan poświęcał się gorliwie nauce mechanicznéj strony wydawnictwa dzienników i nabył w tym fachu biegłości, którą można było ocenić w czasie pożaru drukarni Monitora; straż ogniowa jeszcze zalewała dom wodą, a ogniska maszyn parowych już były zapalone i prassy funkcyonowały, tak, że mimo klęski, mimo tl jących dokoła gruzów, dziennik rządowy ani o jedne godzinę się nie spóźnił.

Taki jest człowiek, który rozpoczął opisywać wielkie fabryki francuzkie, illustrując każdą rysunkami, objaśniającymi co w tekscie mogło być nie zrozumiałe. Dwa pierwsze poszyty zawierają *Opis fabryki gobelinów* i *młyny Darblay'a*; po nich wyjdą *Rękodzielnie tytoniu*, *Piekarnia wojskowa*, *Mennica*, *Rękodzielnia sewrska*, *Papiérnia essońska*, *Drukarnia cesarska*, *Ludwisarnie*, *Przędzalnie*, *Fabryki dywanów*, i t. d.

Autor zamierza opisać kolejno wszystkie ważne fabryki, nie tylko rządowe, ale i prywatne, i tym sposobem wydać wzory do naśladowania przemysłowi niżéj od francuzkiego stojącemu. Opisy są bardzo praktyczne i nauczające, a mimo to nie pozbawione literackiéj wartości.

Opisując naprzykład fabrykę gobelinów, autor bardzo wykwintnie kreśli historyą téj przepysznéj rękodzielni. Od XV wieku, pod koniec którego założył ją pewien zamożny farbiarz francuzki, pan Turgan opowiada wszystkie koleje, jakie przechodziła, zanim z rozkazu Ludwika XIV stała się rękodzielnią państwa: wymienia imiona i dzieła wszystkich znakomitych artystów, którzy z polecenia monarchy malowali obrazy, mające być wykonane wełną. Po tym historyczno-artystycznym wstępie idzie opis szczegółowy teraźniejszego stanu fabryki; Turgan oprowadza czytelnika po pracowniach, najdłużéj zatrzymując go w farbierni, która, jak wiadomo, jest najpierwszą farbiernią wełny na świecie. Następnie, uczy cierpliwie, jakby ściegu na kanwie, zmudnéj roboty tkania gobelinów, oraz ćwiczeń, przez które przechodzą artyści, ażeby dojść do sztuki doskonałego odtwarzania wzorów.

Wyłożywszy to wszystko, autor stawia pytanie, czy rękodzielnia gobelinów powinna wiecznie, mimo nowych odkryć, trzymać się dawnych sposobów? czyby nie należało przyjąć niektórych nowszych procederów mechanicznych, ułatwiających robotę? oraz, czyby nie wypadało zastosować rozmiaru gobelinów do domów prywatnych?

„Zdaje mi się, powiada autor, że najwłaściwiéj byłoby stanąć w pośrodku między dwoma ostatecznościami: pomiędzy tuzinkową robotą handlową, a zbyt wolném tworzeniem wedle średniowiecznych sposobów. Gobeliny powinny stać poza konkursem produktów handlowych, wybornością swoją górować tak, żeby nikt o ściganiu się z nimi nie myślał; ale powinnyby wyrabiać nie same tylko królewskie makaty, nie same obrazy święte lub historyczne, nie same tylko dywany do ozdoby kaplic lub ogromnych komnat zamkowych przeznaczone.... Wypadałoby pomyśléć trochę i o poddanych, iść więcéj z duchem czasu. Jestto kwestya ważniejsza, niżby się zdawało: chodzi o zachowanie *supremacyi* narodowéj. Dzięki cudnym wyrobom gobelinów Sewru i Beauvais, Francya dowiodła Europie, że na polu sztuki równie jak na polu bitwy nad nią góruje. Dowód ten przynosi setki milionów handlowi francuzkiemu. Ale miejmy się na baczności: narody rywalizujące z nami, pracą i poświęce-

niem już nas doganiają.... już są tuż za nami, baczność! bo nas prześcignąl"

W drugim poszycie znajdujemy opisy młynów, a mianowicie wybornego mechanicznego systemu, noszącego we Francyi od swego wynalazcy, nazwę młynów Darblay'a. Autor przechodzi szybko wszystkie sposoby, jakich ludzie do mielenia zboża używali, począwszy od żarnów, aż do młyna parowego. Młyny wodne, wietrzne i parowe są przedmiotem obszernych studyów, objaśnionych rysunkami.

Ostatecznie, śmiało powiedzieć można, że autor *Des Grandes Usines* rozumie swój przedmiot, uczy ludzi specyalnych, a powszechną ciekawość zaspakaja przyjemnie. Dzieło pana Turgan niezawodnie do najużyteczniejszych publikacyj naszego czasu policzone zostanie.

Astronomowie Gide i Barrel złożyli na ostatniém posiedzeniu Akademii Nauk, szesnasty i ostatni tom dzieł kompletnych pana Arago. Członek uczonego grona Flourence, w długiéj przemowie złożył podziękowanie dwóm uczonym, bez których wytrwałéj pracy ogromne dzieła Franciszka Arago były zostały rozrzucone, a tém samém, nie oddałyby ludzkości ani połowy korzyści, jaką z nich osiągnie, mając je przed oczyma w należytym porządku. W końcu przemowy, Flourence powiedział: „gromadząc i dopełniając dzieła wielkiego Arago, p. Barrel zasłużył na wdzięczność Francyi."

Szesnasty tom prac pana Arago, wydania Barrel'a, mieści drugi tom *Pamiętników Naukowych* (Mémoires Scientifiques); prócz tego zawiera rozmaite zapiski, odnoszące się do astronomii i optyki; niektóre z nich już były ogłaszane drukiem. *Poszukiwania nad kształtem i budową Marsa*, poparte przeszło 30,000 obserwacyj teleskopicznych, zebranych od 1811 do 1847 roku; *Rzecz o rozmaitych własnościach atmosferycznych* i *Rozprawa o głębokości mórz*, trzy studya dotąd wcale nie drukowane, stanowią najważniejszą część szesnastego tomu.

— Na wzór *oczyszczonych* edycyj *Horacego*, Terencyusza, i Plauta, wydano teraz nową edycyę *Piosnek* Be-

rangera. Wszystkie hulaszcze wierszyki wyrzucono z téj edycyi: zostały tylko piosnki satyryczne, patryotyczne i filozoficzne. Nowe wydanie nosi tytuł *Beranger des familles*. Książce téj każda matka może drzwi swego domu otworzyć i dać ją do czytania dzieciom bez obawy: Beranger tak poważny nie rozigra młodzieży, ale ją natchnie miłością bliźniego i miłością ojczyzny.

Wyszła także *Korrespondencya* Berangera w dwóch tomach; zebraniem i wydaniem jéj trudnił się Paweł Boiteau.

— Ludwik Ulbach wydał zabawną książkę: jestto satyra polityczna w rodzaju podróży Guliwera, rodzaj bajki humorystycznéj, pod napisem: *Ile des Rêves*. Wyspa ta nie ma oznaczonéj szerokości geograficznéj; nie wiadomo na jakiém morzu leży, ale można nań wylądować o każdéj godzinie. Najprzyjemniéj jednak zwiedzać ją wieczorem, kiedy wiatr w kominie wyje, deszcz puka w szyby.... a czytelnik siedząc w wygodném krześle przy ognisku, chętnie poddaje się wrażeniom najnieprawdopodobniejszéj bajki, ażeby na jéj skrzydłach w jaśniejsze i weselsze ulecieć światy. *Ile des Rêves* jest oazą zieloną, wiecznie majowém oświeconą słońcem, pełną zaczarowanych pałaców, w których nadzwyczajne rzeczy się dzieją. Każdy taki pałac zamieszkuje jakiś książę ze swym dworem. Zwyczaje, instytucye i rządy tych posiadłości są celem krytyki. Ulbach nie miłosierny dla ludzkich śmieszności, bez łez i bez litości dla próżnych, głupich, złych i okrutnych; dla natury, nieba, ziemi, ogrodów, łąk i lasów ma serce kochanka.... maluje je z miłością, która dowodzi, że choć ironiczny i złośliwy, umié kochać. Śliczne sztychy, któremi ta książka poprzetykana, nie mało się do jéj powabu przyczyniają.

KRONIKA LITERACKA.

Dzieje Mazowsza za panowania książąt, przez F. Kozłowskiego, m. n. p. b. prof. ginn. guber. warsz., Mazowszanina. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda, księgarza i typografa. 8ka. 1859. *Str.* 579.

I przedmiot książki i sam autor piérwszy raz występujący na pole badań około historyi narodowéj, zwracają naszę uwagę na te „Dzieje Mazowsza za panowania książąt“...

Czemuż „tylko za panowania książąt?“ pytamy naprzód siebie. Wszakże nić historyi Mazowsza daleko głębszéj sięga przeszłości, jak udzielnych książąt z rodu Piastów. Sąci legendy mazowieckie jeszcze z czasów pogańskich, zachowane u Voigta, a więc przedhistoryczne, to dzieje bajeczne Mazowsza, jak w Polsce Lechowie, jak w Chrobacyi Krakus i Wanda, jak na Pomorzu Wizimierz. I w tych okruchach leży coś prawdy. A potém w dobie już historycznéj jakież są dzieje Mazowsza? a naprzód gdzież granice téj ziemi? Książę polski, któryś z przodków Mieczysława, po Kujawianach, po Łęczycanach, ku Wiśle z nad Warty stąpając, podbił wreszcie i Mazowsze i wcielił je do Polski; czemuż nie podbił całego? czemuż przez sam środek Mazowsza poprowadził linię graniczną swego młodego państwa? Zabór ten, niewiadomo w jakiéj dokonany chwili, był z pewnéj strony granitowym wypadkiem, bo ta linia graniczna niewiadomo dlaczego została się na wieki i dziś nawet jeszcze stanowi granicę kongresówki od księztwa pruskiego. Od téj chwili są dwa Mazowsza: jedno wcielone w Polskę a następnie od Mieczysława chrześciańskie; drugie na północ zajmuje kawał obszerny ziemi, ciągnącéj się prawie aż pod sam Królewiec, długo pogańskie, i do-

piéro przez Krzyżaków ochrzczone. A potém zjawia się Masław; Mazowsze na krańcach Polski położone, na końcu zawojowane, widząc wolną drugą połowę braci po za granicami, w których się rozciągało władztwo Piastów, przechowało téż najdłużéj obyczaj stary, zażywia się tradycyą od braci, powstaje całe i kiedy cała Polska już po Karpaty posunięta, płonie w mordach i rzezi, Mazowsze jedno, choć na połowy rozdarte, ma rząd, ma siłę, bo znalazło dzielniejszego człowieka. Z Mazowsza może wyjść teraz zbawienie, tutaj się znaleźć może ognisko państwa nowego, już nie Piastów, nie polskiego, niech tylko męty opadną..... Kazimierz odnowiciel zmienia ten stan rzeczy: Polska Polską, i Mazowsze wraca do posłuszeństwa, zawsze rozdarte na dwa kawały. Ale przyjdzie i Mazowszu z kolei rej wodzić, w związku ziem Piastowskich, złączonych w jednę całość orężem i orężem pewnie trzymanych. Gniezno straciło pierwszeństwo dla Krakowa, Kraków po zabójstwie św. Stanisława, stracił je dla Płocka; to pewna, że i Władysław Herman i syn jego Krzywousty mieszkali w Płocku i tam pochowani, że Płock był stolicą państwa. Od ojca wziął Zbigniew Mazowsze i rządził w niém, otóż i udzielny książę mazowiecki, i „historya Mazowsza za panowania książąt" winnaby zaczynać się od Zbigniewa. W podziale państwa Krzywoustego, Mazowsze odzyskało swoję niepodległość, bo dostało udzielnego książęcia: był nim Bolesław Kędzierzawy, który chociaż i krakowskie wziął, nie połączyły się przez to jednak dwa księztwa jego w jedno, ale unia ich jedynie, jak to nazywają, osobistą była, bo w osobie pana jednego, jak np. są dzisiaj Szwecya z Norwegią, jak w téj chwili Multany z Wołoszczyzną. I rzeczywiście Kraków wziął po śmierci Kędzierzawego ten, komu ze starszeństwa należało, a w Mazowszu panował młody Leszek, syn Kędzierzawego; skoro Leszek umarł bezdzietnim, dziedzictwo wziął po nim stryj, Kazimierz Sprawiedliwy i po śmierci przekazał je daléj synowi. Tak więc mamy ciągle następstwo książąt przed Konradem.... Zbigniew, po nim przerwa, aż Bolesław Kędzierzawy, Leszek i Kazimierz.... Dlaczego pan Kozłowski zaczyna od Konrada? Ten Konrad wygląda jakby stał na czele dziejów Mazowsza, jak gdyby je zaczynał.... A przecież są i książęta od niego dawniejsi, a przed książętami jeszcze jest naród. Darowalibyśmy chętnie panu Kozłowskiemu etymologiczne wywody, nazwiska i oklepane historye bóstw słowiańskich, opisy świątyń w Arkonie i w Retrze, ale nie darujemy tego, że od początku dziejów tych nie poprowadził.

Książka jego zaczyna się ze środka. Księztwo mazowieckie Konrada zjawia się nagle i jak odłupane wygląda: a nie widać kto je odłupał, od czego i dlaczego? Słów gołych kilka tutaj nie wystarczy: potrzeba owszem ścisłego wywodu naukowego, żeby wszystko było jasne, wszystko na swojém miejscu.

Jest wreszcie Konrad i udzielne księztwo mazowieckie. Ale autor stawia jedno i drugie, przed oczy swojego czytelnika w nader niepewnych stosunkach i przezroczystych półcieniach, tak dalece, że w jego obrazie nic nie widać. Sam nie wié naprzód, jaką i tutaj epokę udzielności Mazowsza naznaczyć? czy rok 1207, kiedy Leszek Biały po bitwie z Romanem Halickim księztwami ojcowskiemi z bratem się podzielił? czy rok 1227, w którym zginął Leszek? Panu Kozłowskiemu zdaje się, że Leszek miał jakąś władzę nad Konradem i ztąd nazywa go *monarchą*; władzę tę zaś widział w zatwierdzeniu jednego przywileju Konrada przez Leszka, to jest nadania różnych włości w ziemi chełmińskiéj biskupowi Chrystyanowi, i w tém, że Konrad pomagał Leszkowi w wojnie, przeciw Henrykowi wrocławskiemu. Jedno i drugie żadnego nie stanowi dowodu: bo można wskazać za jeden przywiléj Konrada wiele innych, których Leszek nie zatwierdzał; można wyliczyć wiele pomocy książąt jednych drugim, z czego bynajmniéj żadne stosunki zależności i władzy nie płynęły. Ileż to znowu przywilejów jest, że dwóch książąt czasem wspólnie coś stanowi, jeden za drugiego ręczy, jako blizki krewny, następca przypuszczalny tronu, lub coś podobnego; p. Kozł. mało widać miał do czynienia z dyplomatami, kiedy to dla niego nowości. Teraz cóż znaczył ów tytuł *monarchy*, nadawany niepotrzebnie Leszkowi? W tém p. Kozłowski idzie za podaniem, a raczéj za słówkiem Naruszewicza, który widząc rozdrobnienie państwa po śmierci Krzywoustego, wystawiał sobie zawsze jedność narodową, uosobioną w księciu krakowskim, którego dlatego, podnosząc chociaż w tytule nad innych, nazywał *monarchą*, bo nie mógł nazwać *królem*, gdy naprzód książęta krakowscy nie koronowali się i wreszcie chociażby chcieli, koronować się nie mogli, gdy dwaj ostatni władzcy całéj Polski Bolesławowskiéj, Władysław Herman i Krzywousty, nie koronowali się także. Wprawdzie i Naruszewicz tutaj poszedł za Długoszem, który i Leszka i innych przed nim i po nim książąt nazywa monarchami. Naruszewiczowi dziwimy się. Długosz był piérwszym dziejopisarzem polskim, nie kronikarzem i zdobył się w każdym razie na arcydzieło, chociaż wad pełne; ale Naruszewicz znakomity krytyk dziejowy, patry-

archa dziejopisów naszych, jakże nie spostrzegł, że tytuł *monarchy*, wyłącznie krakowskim książętom nadawany, jest bez żadnego znaczenia urojoną mrzonką historyczną? Najniższy książę i najsłabszy w dawnéj Lechii, był monarchą u siebie. A że książe krakowski, acz piérwszy pomiędzy książęty dawnemi, nic więcéj od nich nie znaczył i praw żadnych *de facto* nie miał, czyż na to potrzeba dowodu? Bolesław Krzywousty może sądził, dzieląc państwo, że w Krakowie ognisko jedności postawi, może sądził, że książęta najstarszego zawsze słuchać będą ... ale się srodze omylił i w tém właśnie był błąd jego domowéj polityki. Władysław II mógł być nadzorcą, opiekunem i wodzem książąt braci swoich, jako dobrze od nich starszy; ale na to potrzeba było, żeby inaczéj postępował sobie Władysław.... To jeszcze jedno dopiéro pokolenie, cóż mogło być w drugiém, w trzeciém, w rozrodzeniu się książąt? Otóż wracając do rzeczy, jakimże to monarchą był Leszek Biały dla Mazowsza? podobno żadnym. A że książę Konrad był z bratem dobrze, nic tak dziwnego: brat miał swoje prawo starszeństwa, t. j. piérworodztwo. Czemuż to się potém tak bardzo ucierał Konrad, jeżeli *monarchą* był krakowski książę, już nawet nie o prawo opieki nad Wstydliwym, jak o sam tron krakowski? Czuł znowu prawo swoje. Dotąd tron krakowski dostawał się zawsze w rodzinie najstarszemu i z ręki do ręki przechodził; Kazimierz Sprawiedliwy umiał się utrzymać wbrew starszym liniom domu, ale po Leszku Białym, prędzéj było daleko do Krakowa Konradowi, jak Bolesławowi. Bolesław jednak się utrzymał, bo Mazura nie lubili Krakowianie jako dosyć okrutnego; z resztą Krakowianie już do elekcyi nawykali. Pan Kozłowski staranie się Konrada o Kraków nazywa „czynem nieprawym, którego ze względu na uszczerbek dla całego kraju, nie powinien się dopuszczać" (str. 54).... Więc już i jedna ojczyzna była dla wszystkich książąt? Oczywiście, jeżeli była monarchia. Ale fakta i prawo mówią inaczéj. Legitymiczność dzisiaj nie taka jak była dawniéj, a p. Kozł. wyobrażenia o władzy społeczesne, chce przeszłości narzucić, co się udać nie może. Gdyby Bolesław Wstydliwy był monarchą, tak samo ulegaćby mu był winien Konrad, jak Leszkowi Białemu. Otóż zmylił się Naruszewicz a zmyliwszy się, nie dał panu Kozłowskiemu dobrze wyrozumiéć stosunku Konrada do Leszka. A przecież i Kromer ostrzega i przywiedziem tutaj jego słowa dlatego, że je sam p. Kozł. cytuje: „Boleslaus Pudicus et Lescus niger, imo *et albus* fere Boleslai pater duces cracovienses nihil omnino auctoritatis et jurisdictionis in ceterorum ducum ditionibus

habuerunt“ (Kozł. str. 77). Ale panu Kozł. ciągle się widzi to wszechwładztwo krakowskiego księcia i prawo jego pochodzące z urojonego tytułu *monarchy*, bo nawet i o Leszku Czarnym odzywa się, że mu się z prawa należało władztwo nad całą Polską i Mazowszem (str. 92). Kiedy należało, czemuż go nie wziął? Monarchą byłby ten książę, któryby miał siłę, więc nie koniecznie książę krakowski, bo siła się nie daje. Jakoż w istocie monarchią potém, nie Kraków stworzył, ale Poznań....

To jedno nieporozumienie. A jest jeszcze i drugie i trzecie. Jak p. Kozł. nie nauczył nas wprzód, co to jest Mazowsze i w jakich się zawiera granicach, tak i przywodząc podział księztw z r. 1207 pomiędzy Leszkiem a Konradem, nie powiada co właściwie dostał Konrad i co za niego było Mazowszem? U Długosza stoi, że książę brat młodszy wziął Mazowsze, Chełmińskie, Kujawy i Dobrzyń; ale w każdym razie to ogólniki, które Długoszowi wybaczyć, ale które w monografii Mazowsza powinien był p. Kozł. objaśnić. Miał na to przywileje, miał fakta historyczne i z nich mógł wystawić rzecz jasno jak należy. Opowiada np. p. Kozł., że Konrad braciom dobrzyńskim „oddał Drohiczyn z całą przestrzenią, od Bugu do Narwi i do granic ruskich“ (str. 60). Czytelnik ma prawo tutaj zapytać autora, zkądże ten Drohiczyn miał Konrad, o jakiéj to okolicy Bugu mowa i gdzie szły te granice ruskie? Autorowi się zdaje, że Konrad po piérwszém najściu Tatarów zajechał ziemię łęczycką i sieradzką i że je odtąd zatrzymał dla siebie; ale kiedy dodaje, że zajechał jednocześnie Sandomierskie i Krakowskie, pytanie samo się rodzi, kiedy dwie ostatnie stracił, czemuż i dwóch piérwszych ziem nie stracił? A najprędzéj autorowi źle się zdaje; gdyż Konrad mając Kujawy i Mazowsze, musiał mieć i klin w te ziemie wchodzący, to jest Łęczyckie, i Łęczyckie zapewne do niego należało już od r. 1207, lubo Długosz téj ziemi nie wymienia. O jedno Sieradzkie może być spór, bo ten klin wchodził już głębiéj w obce granice na południe, ale może téż będąc przedłużeniem łęczyckiego, rozdzielał właściwą Polskę od Chrobacyi. Więc i tu stosunek granic ściśle nie oznaczony. Nie wiedzieliśmy, czém był względem Leszka i Krakowa Konrad: nie wiemy teraz, co dostał w podziale i nad czém właściwie panował.

Nareszcie rzecz najważniejsza. Całe panowanie Konrada na Mazowszu upływa na walce z Prusakami: skutkiem téj walki jest sprowadzenie Krzyżaków, fakt ważny, który na wieki całe wstrzymywał wewnętrzne rozwinięcie się życia naszego narodo-

wego. W tym stosunku Konrada naprzód do pogan pruskich, a potém do zakonu niemieckiego, powiedzielibyśmy, leży cała historya Mazowsza za panowania Konrada; bo zachcianki księcia na Kraków, jego wojny prowadzone z innemi Piastami na południu, należą do jego życiorysu i w niczém historyi Mazowsza nie dotykają: a mogłyby tylko w takim razie mieć znaczenie dla Mazowsza, gdyby książę umiał ujarzmić Kraków i ognisko całego życia narodowego przenieść do Płocka, jak to poczęści udało się na Rusi, gdy z upadkiem Kijowa, w suzdalskich lasach zaczynało się nowe życie, nie ruskie wprawdzie, ale ważne dla przyszłości Rusi. Ale Konrad nie był zdolny do zmiany wiekowych wypadków, które się już wyrobiły i płynęły swobodnie wyżłobioném korytem i Kraków miał już wtedy za dużo wyższości nad Płockiem. Czemuż tedy w opowiadaniu p. Kozł. najważniejszy dla udzielnego życia Mazowsza stosunek pominięty?

Autor powinien był wskazać na okoliczności, które Mazowsze po za Mazowszem zostawiały; powinien był objaśnić, czy niedołężność panujących dawniéj książąt, czy też inne powody pozwalały tak długo żyć pogaństwu mazowieckiemu po za państwem, już jednością przynajmniéj dynastyi spojoném. Bolesław Chrobry nie pozostawiłby tak pogan, gdyby dłużéj pożył: Krzywousty szukał ich aż na Bałtyku i pograniczach Danii i ciągle boje zwodził z poganami pomorskiemi; czemuż pogan mazowieckich spuścił z uwagi, tém bardziéj, że sam stolicę miał w Płocku? Autor nie dał nam historyi wypraw polskich i nawracań na Mazowszu: a przecież bywały w te strony całego państwa wyprawy, jak owa za Kędzierzawego, w któréj zginął książę Henryk Sandomierski i w której chrześcianie taką klęskę ponieśli? Autor daléj powinien był objaśnić stosunek Mazurów pogańskich do Prusaków. Dlaczego to mówią ciągle o Prusakach napastujących chrześciańskie Mazowsze, kiedy Prusacy byli tylko małém plemieniem litewskiém i kiedy zajmowali ledwie jednę cząstkę ziemi téj, na któréj kilka części zajmowali pogańscy Mazurowie? Prusacy tylko przez Mazurską ziemię mogli się dostać do księstwa, już oddawna chrześciańskiego, ucywilizowanego, bogatego, które łupić mogli. Nie spostrzegali dotąd historycy, że tutaj na pograniczu chrześciańskiego świata, trwała przez wieki walka mordercza a bratobójcza, pomiędzy rodakami jednego plemienia, jednego języka, ale odmiennéj wiary; że był tutaj jedném słowem, bój nowego świata ze starym obyczajem, że Mazury bili się głównie z Mazurami i że Prusacy, obce plemię, obca narodo-

wość, musieli być tylko nicią wiążącą całe pogaństwo téj strony, odcięte od pogaństwa na Pomorzu zaodrzańskiém i łączące się tylko z pogaństwem litewskiém na wschodzie. Było w dzisiejszych Prusiech wschodnich, bo o nich tutaj może być jedynie mowa, pewne zrzeszenie się słowiańskiego pierwiastku z litewskim: wspólny interes wspólną utworzył siłę; Prusacy, jako naród tam najdzielniejszy duchem, energiczniejszy i zuchwalszy, roj w związku tym wiedzie, jak to zawsze bywa na świecie, że dzielniejszy prowadzi za sobą tych, co nie umieją rozkazywać, a do posłuszeństwa nawykli. Ztąd to w historyi ciągłe wieści o Prusakach napadających Mazowsze, kiedy zapewne nieraz, tojest w niejednéj wyprawie pogranicznéj Mazurów pogańskich na chrześciańskich, ani jednego Prusaka nie było. W wyprawach większych, z dawna przygotowanych, które zanotowała historya, mogli brać udział Prusacy; ale w walkach codziennych, w małych najazdach pogranicznych, jakie zapewne na chwilę nie ustawały przez całe wieki, Mazury bili się z Mazurami. Chrześcianie tak tutaj czuwali nad swojem bezpieczeństwem, jak np. dzisiaj czuwają Francuzi na pograniczu swego panowania w Algieryi.

Że to głównie Mazury bili się z Mazurami, czyż na to potrzeba dowodów? Czyż nie większa połowa Prus wschodnich aż do téj chwili mówi po polsku? czyż ta ziemia nie nazywa się do dziś dnia Mazurską? Wartoby i dla nauki przyjąć ten wyraz techniczny, dla odróżnienia dwóch połów plemienia: *Mazowszem* będzie ziemia oddawna chrześciańska, ucywilizowana, Piastowska; *Mazurskiem* zaś ta cząstka plemienia, co została pogańską, oddzielnie żyła od braci i co uległa naprzód wpływowi Prusaków, a potém panowaniu Niemców. Czy nie dla Mazurska to pracował Gizewiusz i „Przyjaciel ludu Lecki,“ czyż to nie dla niego drukują do dziś dnia jeszcze książki polskie gotyckiemi literami w Królewcu; *Ełk* nie słynąłże szkołami czysto polskiemi nawet i w XIX jeszcze wieku? Nie cieszą to się Niemcy, jak w owém Mazursku, wieś która na pograniczu osadowionéj już Niemczyzny, wynaradawia się i zaczyna mówić po niemiecku? Jeszcze niedawno czytaliśmy coś takiego w którejś z berlińskich gazet. Lud ten tutejszy polski, a jak sam się nazywa mazurski, z nieba nie spadł w XIX wieku, bo zawsze Niemiec pan nie kochał tutaj Słowiańszczyzny, ale ją tępił na wsze sposoby. Sięgnijmy najdaléj a znajdziemy narodu tutaj historyczne ślady. A pierwszy książę pruski z ramienia polskiego, nie drukowałże książek luterskich dla tych biédnych Mazurów; nie zakładałże propagandy, wprawdzie nie po-

litycznéj ale tylko religijnéj;... nie pomagaliż mu w téj sprawie Małeccy, syn i ojciec, i Seklucyan? Nie czystożto polskie nazwiska miast i wsi w téj stronie aż do dziś dnia, mimo takiego nacisku germanizmu, aby je zniemczyć... Działdów, Niedzbórz, Biała, Jedwabno, Szczytno, Olesko i t. d. A język dawnych Prusów, w czém już źródła wpadają w drugą ostateczność, kiedy Prusów mają za Mazurów, czyż nie zupełnie polski? (Halele, lele przec ty umrał?) i t. d. P. Kozł. wie tylko z Szul a, któremu jeszcze pół napół wierzy, że po za granicami północnemi mieszkali jeszcze Mazurowie, bo powiada: „Mazowsze miało za głównych sąsiadów Prusaków, którzy jakkolwiek mową i pochodzeniem z Mazowszanami *i w części jak się zdaje* spokrewnieni“ (str. 42). Ale po cóż tutaj podejrzana bardzo zresztą powaga Szulca, kiedy są fakta, jasne jak słońce, fakta nawet spółczesne? Co do nas, spodziewamy się, że daleko większe światło na skład wewnętrzny Mazurska rozleją badania Stanisława Mikuckiego, którym w żaden sposób ani daru spostrzegania, ani daru kombinacyi, ani dojrzałego wpatrzenia się w przedmiot, zaprzeczyć nie można....

Narzekamy, że p. Koz. nie dał nam historyi wypraw polskich i nawracania pogan mazowieckich, a toby nas właśnie lepiéj jak cokolwiekbądź zaznajomiło z całą rodziną mazowiecką i objaśniłoby najlepiéj stosunek wzajemny dwóch części do siebie, chrześciańskiéj do pogańskiéj. Wyprawy mocą oręża godziły w to, żeby faktem stała się jedność mazowiecka; missye chrześciańskie prowadziły może silniéj do celu, bo przyjmując wiarę od Polaków Mazurowie pogańscy, braliby od nich kapłanów, hierarchię, ściągaliby się sami w jedność. Bolesław Krzywousty odbywał w te strony całe wyprawy z krzyżem w ręku, potém działał tu ś. Jacek Odrowąż z dominikanami. A co główna pominięte są prace apostolskie pierwszego biskupa Chrystyana, prace niezmiernie ważne dla historyi całéj w ogóle Polski a cóż dopiero dla Mazowsza? Chrystyan tu jednak mimochodem tylko wspominany.

Rzeczby to ciekawa była rozstrzygnąć, dlaczego Mazurowie pogańscy i Prusacy przyjęli religię od Niemców i czemu nie przyjęli jéj od współplemieńców? Czy dlatego tylko, że tamci prowadzili wojnę wytępienia? Rozstrzygnięcie to ważne byłoby dla historyi Mazowsza. Czemuż Konrad nie starał się zawojować albo nawrócić Mazurów? czemu sądził, że nawrócą i zawojują ich Niemcy, którzy z konieczności musieli być słabsi od księcia i od zasobów Mazowsza? Otóż i trzeci stosunek Konrada do zagranicy nieobjaśniony i jest dla czytelnika czystą zagadką.

Czytelnik wcale nie widzi, że w ostateczności już Konrad przywołał Krzyżaków. Autor rzecz tę zbywa prostą wzmianką, nie wskazawszy powodów przyzwania, nie rozwinąwszy należycie rzeczy. Krzyżacy, Mieczowi, Dobrzyńcy, wyskakują tu nagle niby starożytny *Deus ex machina* w epopei. Gdyby już nic innego, same dwie rozprawy Jana Nep. Romanowskiego, jedna polska, łacińska doktorska druga, o których musiał przecie słyszeć p. Koz. bo o nich tyle razy pisano, dałyby mu kanwę do historycznéj a pełnéj interesu opowieści. Z tego, co Romanowski krytycznie rozpatrywał, trzeba było wziąć czyste fakta na uwagę, streścić w fakta rozumowania uczone i byłby p. Koz. zasłużył się względem literatury historycznéj o tyle, żeby pokazał ostatnie słowo nauki w tym względzie; a wreszcie byłby dziełu własnemu przydał ozdoby i zasługi. Historyk Mazowsza po Romanowskim musi stosunek Konrada do Krzyżaków dobrze przedstawić, inaczéj nie przedmiotowi tu będzie brak źródeł, ale samemu historykowi. To nic, gorzéj jeszcze, dzieje Dobrzyńców z krzyżackiemi są tu pomieszane i autor nawet dzieła Rogalskiego nie umiał użyć tak, jakby mu wypadało. Powiedzieć znowu np., że na postanowienie Konrada wpływało duchowieństwo z Niemców złożone, które dlatego chciało mieć Niemców na Mazowszu (str. 54), jest to nie objaśniać rzeczy, a owszem ją gmatwać.... Tam gdzie zachodzą wielkie wypadki dziejowe, sympatye czyjeś podrzędne mało wpływają. I zkądże p. Koz. wie, że Ginter biskup płocki, że Guido i Falkold opaci, że Faleda i Beleda zakonnicy, Adlard proboszcz i t. d., których cytuje, byli Niemcami? Imiona ich nie są niemieckie, ale chrześciańskie, duchowne; niemamyż to i w świeckim senacie z tego czasu Ottonów, Albertów, Arnoldów, nawet Erkenholdów? Domysł to zresztą nie poparty niczem. Z całego rozumowania p. Koz. płynie, że przyczyną sprowadzenia do Polski Krzyżaków, było naprzód przywłaszczenie przez niego sobie udzielności, potém słabość jego własna, wreszcie owa nieszczęsna porada duchowieństwa niemieckiego. Co do téj udzielności, powiedzieliśmy już, że jéj sobie nie przywłaszczał, jak jéj sobie nie przywłaszczał żaden inny Piast książę; co do słabości, właśnie trzeba było ją wskazać w czém była: bo Krzyżacy długo słabsi byli od księcia mazowieckiego, a ujarzmili ziemie pogańskie; co do porady, o tém niema co i mówić. Więc gdyby naprzykład Konrad nie przywłaszczał sobie uległości, ale najuniżeńszym był sługą *monarchy*, to jest synowca swego Wstydliwego, Mazowsze obroniłożby się od pogan, pomógłżeby mu co książę krakowski? Bardzo wątpimy.

Przejazdy po kraju księcia Konrada, p. Kozł. tłumaczy obawą od Prusaków. Ma np. dyplomat jeden tego księcia datowany w Wiskitkach, drugi w Trojanowie, trzeci w Warszawie (str. 45 46), a już z tego robi fakta, że książę uciekał za Wisłę i że się chronił przed poganami. Jeżeli się wykryje kilka innych dyplomatów, z kilku innych miejsc, czyżto także będą fakta mające związek z wojnami pruskiemi? Mogą to być oderwane fakta bez znaczenia, pokazujące tylko marszrutę księcia po ziemi swéj, dla rządu i sądu, a p. Koz. bardzo przesadza, nadając im ważniejsze niżeli mają znaczenie.

To, co do działań Konrada od strony północnéj; o południowych stosunkach zaś jego autor wspomniał dat kilka bez związku, nie połączywszy ich ni ią wewnętrznego interesu. Konrad mimo serdecznych usiłowań swoich, przy Krakowie się nie utrzymał, ale jednak stanowisko jego długo nieprzyjacielskie względem Wstydliwego, wstrząsało sprawą ogólną, dojść nie dawało do jedności, do siły. Autor tego nie uważa wcale, że przez długi przeciąg lat potęga krakowska rozerwaną była: że księztwo sandomierskie, które dziedziczną było ziemią potomstwa Kazimierza Sprawiedliwego, (bo krakowskie, jak powiedzieliśmy, już więcéj wolną elekcyę u siebie rozwijało), że księztwo sandomierskie, podzieliło się na połowę i nawet miało dwóch wojewodów, według tego, jak się jedna część krakowskiego, druga mazowieckiego księcia trzymała. Był wojewoda sandomierski i ten trzymał stronę Bolesława Wstydliwego, był i wojewoda wiślicki, który bronił sprawy Konrada. Po dyplomatach znajdujemy kilku wojewodów wiślickich a Lelewel już ich nawet spisywał. Jeżelić Krakowa nie mógł dostać Konrad, boby musiał oprócz praw swoich i siłę pokazać, blizko tego było, że sandomierskie przynajmniéj mógł oderwać od synowca.... Mazowsze zatém wyszłoby z granic swoich i kiedy autor wspomina o zajęciu przez Konrada Łęczycy i Sieradza, czemuż milczy o tym ważnym fakcie, który mógł zmienić historyą narodową? Gdyby się udało Konradowi opanować i przyłączyć do Mazowsza Sandomierskie, byłby Bolesław Wstydliwy zupełnie wydziedziczony i posiadałby tylko tron elekcyjny, na którymby po jego śmierci mógł siąść który pierwszy lepszy książę a nie jego dzieci, gdyby je miał.... Jużto że książę Konrad był niezdolny i oprócz ambicyi nie miał żadnych innych sił ducha, któremiby mógł coś zrobić, to widoczne...., ale widoczniejsza to, że sprawy jego na południu plątały go w ciągłe wojny i niebezpieczeństwa i przez to paraliżowały potęgę jego na północy. Inny książę dzielniejszy, zacniejszy, zam-

knąłby się w granicach własnego kraju, żyłby dla niego i byłby bez Niemców tryumfował nad pogaństwem, ochrzcił go i do państwa mazowieckiego wcielił.

To niedostatki dzieła p. Koz. już bardzo niedobrze uprzedzają do jego dziejów Mazowsza. Ale to nic jeszcze. To wina tylko niedokładnego pojmowania przedmiotu, to brak umiejętności zaczęcia, — nic więcéj. Wchodzimy wreszcie do saméj świątyni. Pan Koz. kiedyć niema już daru wywodzenia faktów ogólnych, kiedy obmyśleć budowy swojéj nie potrafi, winien był już od czasu Konrada przynajmniéj, dobrym zostać kompilatorem dziejów, winien był z kronik wypisać wszystko, co się tylko odnosiło do jego przedmiotu, uporządkować to chronologicznie i opowiedzieć. Czego niema w kronikach, to wtakim systemacie dzieła, niemoże się mieścić w opowieści. Tymczasem p. Koz. wdaje się czasem w filozoficzne uwagi lub wywody, w dopełnienia kronik. Domysły jego są nie w miejscu a wywody nie utrzymają się przy najwięcéj nawet powierzchowném na sam przedmiot wejrzeniu.

A naprzód o domysłach rzecz zamknięm.—Mówiliśmy już, że je lubi p. Koz. „Nie możemy z pewnością powiedzieć, mówi gdzieś p. Koz., ażeby należał Konrad do zmowy Świętopełka na życie Leszka" (str. 50). To historyi nic nie obchodzi, czy autor może czy nie może tutaj co powiedzieć z pewnością „Może w pozbyciu się brata widział dla siebie dogodność do ogarnięcia władzy nad większą częścią Polski." Po co te domysły krzywdzące Konrada, których niema w kronikach? „Może też Mazowszanie namawiali go do tego dla własnego interessu" i t. d. Po co znów te domysły krzywdzące Mazowszan? Na jednéj stronnicy narachowaliśmy ich kilkanaście: zła to bezwątpienia metoda opowiadania historycznego. Zamiast prawdy, czytelnik widzi przed sobą budowę samych przywidzeń. Kiedy Konrad pojmał Bolesława Wstydliwego i osadził w Czersku w r. 1233, autor domyśla się, że chciał go sprzątnąć ze świata *głodem*, kiedy Długosz, przez samego p. Koz. cytowany, powiada tylko: „*et ipsum e vita exterminandum magno conatu intendit animum*" (str. 57) i nic nie powiada, że *exterminatio* miało być głodem. Konrad (idziemy daléj) ku Haliczowi się obrócił na Daniela „*może* za to, dodaje p. Koz., że go wspierać nie chciał w wyprawie na Bolesława" (str. 58). Mimochodem wspomnimy tutaj, że Chełm, miasto ruskie, nie po téj wojnie halickiéj powstało, ale dobrze wcześniéj, za Włodzimierza świętego, co pomiędzy innemi wskazują i kroniki i szereg biskupów ruskich chełmskich. Konrad przy podziale synów „zapewne" dla Ziemowita

przeznaczał ziemię łęczycką (str. 65). Henryk wrocławski „mógł mieć" dla Mazowsza nieprzyjaźne zamiary (str. 67). Czapla uwięziony „może" w skutek podmowy nieprzyjaciół (str. 67).... Duchowni wówczas nadużywali swéj władzy. „Musiało" do zabójstwa Czapli nakłonić Konrada, jakieś wielkie oburzenie (str. 67). Ziemowit w Ujazdowie *musiał* stawić opór Litwie (str. 85). i *może* wskutku jakiéj poniesionéj rany był ujęty; Litwa dla okupu żywego ująćby *zapewne* wolała.... Bolesław *niby* pragnął pokoju (str. 93). Zamek gostyński *zapewne* Kazimierz książę kujawski zabrał (str. 94). Prusacy Litwini, *jak się zdaje*, za namową Konrada, napadli ziemię dobrzyńską (str. 95). Tatarzy, *jak się zdaje*, nawiedzili Mazowsze (str. 96). Wacław za przykładem *może* książąt szlązkich uznał nad sobą władzę Czechów (str. 108). Leszek Czarny mści się na Mazurach *niby* pod pozorem krucyaty (str. 95). i t. d. i t. d. Faktów urojonych mnóstwo. To *może*, *niby*, *zapewne*, odbiera cały urok. Jak tu wierzyć takiéj historyi? Raz, dwa razy uchodzi, ale ciągle nie uchodzi. Cóż z tego komu, a nauce mianowicie, że p. Koz. domyśla się tak a nie inaczéj?

Gdyśmy już w taki sposób przebiegli z p. Koz. kawał dobry jego dzieła, a po drodze i to i owo napotkali, co bardzo raziło, co charakteryzowało nową pracę, jaką chciał służyć ojczystemu dziejo tsarstwu, rzekonaliśmy się, że mała z niego pociecha dla nauki. Niema tutaj żadnego poglądu w głąb, w dzieje Mazowsza, ale tylko zebranie faktów bez wymiaru, bez ładu, często bez związku. Tutaj niema nic tego, coby pożądane było w takiego rodzaju monografiach; wszyscy, co u nas dzieje pisali, zajmowali się głównie dynastyą krakowską; do dziejów krakowskich, opuszczając inne, wiązali cały interes narodowy. Nikt nie pisał dziejów księztw, których historya często odmiennem biegła korytem a miała swoje właśne zajęcia i sprawy. Było kilka usiłowań dziejów Szlązka; dzisiaj mamy dzieje Mazowsza: ale w nich na nieszczęście niema nic z dziejów Mazowsza, są tylko pochwytane jakieś wypadki na wyrywki z dziejów ogólnych, nic, co stanowi monografią. Powtarzać się tutaj nie będziem, bośmy już raz mówiąc o dziełku p. Kozłowskiego odezwali się o wadze i znaczeniu monografi, mających na celu dzieje szczegółowe rozdrobnionych księztw piastowskich. P. Koz. do tego stopnia pomieszał tutaj rzeczy, że nawet historyą książąt mazowieckich razem wszystkich opowiadał i plącze jedno z drugiém tak, że dokładnego wyobrażenia o każdym po szczególe księciu, a co zatém idzie, o znaczeniu całego Mazowsza, mieć niemożna. Autor dziwnie wyrozumował w sobie te dzieje

Mazowsza. Nie mówi nic o sejmach, o zjazdach, o prawodawstwie (troszkę okruchów z tych rzeczy zebrał osobno w jednę całość, którą postawił na końcu dzieła, poza historyą, niby coś odrębnego); nie mówi nic o wewnętrznem życiu narodu mazowieckiego. Powiedziehbyśmy, że pisze biografie książąt; gdybyć to były chociaż biografie i gdyby autor nie poplątał w jedno sito wszystkich zgoła książąt. Niechajno który książę pojedzie na wojnę, chociażby na kraj świata, chociaż to niema żadnego związku z Mazowszem, a p. Koz. wie o téj podróży, jest fakt do dziejów Mazowsza; niechaj nawet posiłkowe wojsko poszle, chociażby sto ludzi; niechaj nawet nie poszle książę a jest w boju gdzieś jaki Mazur, jużci zaraz i z tego fakt do dziejów Mazowsza. Niechżeby zgadł kto np., dlaczego do historyi Mazowsza należą wojny Bolesława Wstydliwego z Jadźwingami i z Rusią? Autor nie zwraca na to uwagi, że ujarzmienie Jadźwingów jak dla wszystkich księztw lechickich było ważne, tak i dla Mazowsza, ale dlatego szeroko, niby opisuje rzecz postronną dla swego przedmiotu, bo książę Wstydliwy karał najazdem swoim Ruś i Jadźwingów za *Mazowsze*! Ztąd daléj szerokie tutaj ustępy o wojnie grunwaldzkiéj, przyczém autor za Długoszem wszystkie chorągwie wylicza, żadnéj nieprzemilczawszy. O wojnie Świdrygielły w r 1431, o wyprawie warneńskiéj, nowe wtręty. Grunwald miał zapewne wielkie znaczenie dla Mazowsza, ale po cóż w najdrobniejszych szczegółach opisywać bitwę sto razy lepiéj już opisywaną?—a co ma za związek z dziejami Mazowsza wyprawa warneńska, to już chyba jeden p. Koz. jest w stanie objaśnić. Że Mazurów tam było kilku ochotników, to nie powód plątać rzeczy, które do siebie nie pasują. Ta obfitość faktów byłaby może na miejscu w dziele na ogromną przedsięwziętém skalę i porządnie napisaném. Ale suchy spis wypadków, w których wzmianka o tym lub owym księciu, nie jest jeszcze biografią. Toć już lepiéj było spisać po prostu chronologią Mazowsza, na wzór chronologii dziejów polskich, którą ułożył p. Konopacki, o czem donosiła Biblioteka Warszawska. To Jadźwingi, to Świętopełk, to Bolesław Wstydliwy, to znów Jadźwingi, to Grunwald, to Warna; autor skacze raz wraz, a co łączy to wszystko? Sakramentalny wyraz *należał*, to jest w tym a wtym roku książę ów należał do tego a tego, a w drugim znowu do owego. Prosta chronologia, jak powiadamy, miałaby tutaj wartość, jakiéj nie mają nawet „Dzieje Mazowsza."

Jak Mazowsze samo w sobie może mieć odrębną historyą, tak i dzielnice mazowieckie. Autorowi potrzeba było wskazać, nietylko na interesa wielkie mazowieckie, ale i na te drobniejsze

sprawy żywotne księstw; wtenczas miałby wielką zasługę. Ale niema tutaj nietylko samego Mazowsza, ale i dynastyi: łęczyckie, kujawskie, sieradzkie opuszczone, jakby nie egzystowały, a te kraje składały przecież całą połowę systematu mazowieckiego. Mazowsze odłupał raz p. Koz. od dziejów ogólnych narodowych, a tu widzimy rwanie, odłupanie drugie, bez żadnéj przyczyny. Należało charakteryzować książąt, ich politykę, ich pobudki, a szan. autor plątając wszystko, przechodzi nagle od faktu do faktu, skacze od księztwa do księztwa, bez usprawiedliwienia powodu. Powinien był charakteryzować książąt, a tutaj żadnéj nie ma charakterystyki. Cóż mówić o postaciach podrzędniejszych, kiedy taki np. Konrad, twórca dynastyi, który najdłużéj panował i najwięcéj może z książąt robił szumu i hałasu po świecie Piastowskim, kiedy nawet o tym Konradzie p. Koz. nie daje żadnego wyobrażenia? Z Długosza mówi autor, że Konrad był dumny i srogi, z Hipacowskiego latopisu, (który zna jedynie z artykułu Feliksa Zielińskiego, pomieszczonego przed laty w Bibl. Wars.), że był bardzo dobry i sławny (str. 64). Zbija się sam nawet we własnych uwagach: raz mówi np. że Konrad na duchowieństwo był hojny (str. 68.), a o kartkę niżéj opowiada, że obciążał duchowieństwo niezwyczajnemi opłatami i daninami (str. 71). Przelotnie widać swoje notował wrażenia; przy fundacyi jakiego kościoła, uważał p. Koz. że Konrad hojny, widząc potem zdzierstwo jego, oskarżał go o ucisk. Autor jednego księcia chwali, drugiego gani; tymczasem Ziemowit robi toż samo co Janusz; autor przynajmniéj jedne fakta o nich cytuje, a mimo to Ziemowit nędzny, książę Janusz jest dzielny. Owszem myśmy uważali, że wszyscy książęta robią to samo w książce p. Koz.: mszczą się, wojują, nadają różne przywileje, potwierdzają sprzedaże, karczują lasy, kropla w kroplę do siebie podobni i tylko nam autor objaśnia, że ten zły, a ten niezły. Cóż się z tego wszystkiego czytelnik nauczy; czyż dlatego wzięliśmy książkę do ręki, żeby po przeczytaniu jéj nie wiedzieć nic więcéj nad to, cośmy wprzódy wiedzieli?

Teraz dowolność autora. Nietylko spójnikami *może, niby, zdaje się*, i t. d. fakta komponuje i chwastem pole historyczne zapełnia, ale tworzy na większą skalę domysły. Dwaj ci książęta jacyś w zgodzie z sobą żyli, odwiedzali się wzajem, dlaczego? bo na jednym dyplomacie razem podpisani. Cóż za wniosek! Alboż to Piastowie nie znali się, czyż można to przypuścić, żeby się z sobą nie widywali? dzieliłyż ich od siebie ogromne kraju przestrzenie? nie byliż jedną rodziną? nie mieliż wspólnych wojen i wspólnych inte-

resów? Cóż to tak bardzo osobliwego, że dwóch jest na jednym dyplomacie? Znowu musimy notować to, że p. Koz. nie miał do czynienia z dyplomatami, albo raczéj nie umiał wniosków z nich wyprowadzać. Autor wojny książąt usprawiedliwia odwetami: jeden drugiego napadł i zniszczył, więc drugi nie zaspał gruszek w popiele i zemścił się. Kiedyindziéj książę jeden drugiego chce ukarać, więc wojna (str. 89). Jakiém prawem, spytalibyśmy się p. Koz., jeden ma prawo karać drugiego? Takie objaśnienie wojen do czego może obowiązywać? Ci książęta p. Koz. wyglądają na maryonetki: biją się niewiadomo z jakiego powodu, może dla zajęcia, dla zabawy, bo i od czegóż są książęt mi? na cóż mają broń w ręku? Mszczą się więc jeden na drugim, karzą się nawzajem, bo inaczéj zgniliby w bezczynności, w próżniactwie. Autor tak się zakochał w tych odwetach, że cała historya jego mazowiecka wygląda na chronologią odwetów. Mazowszu np. dokuczyli Ruś i Jadźwingowie; czemuż nie Mazowsze ale Bolesław Wstydliwy bierze na siebie pracę odwetu? Wreszcie odwet stał się. Myślałby kto, że dosyć już, że się obie strony pomściły, — ale nie, Ruś za Wstydliwego mści się na Mazowszu i bierze swój odwet (str. 89). Jakiż to odwet, to już chyba może druga napaść, która pociągnie dopiero za sobą drugi odwet? I czemuż ta Ruś nie bierze odwetu na Wstydliwym, który tutaj się wplątał bez przyczyny, gdy sprawa była pomiędzy Mazowszem a Rusią? Daléj Wstydliwy karze Ruś za występek nie względem niego popełniony; czemuż Leszek Czarny, „który miał *z prawa władzę* nad całą Polską" (str. 92. p. Koz. chciał powiedzieć Lechią), nie karze Konrada II mazowieckiego, że najechał Krakowskie? przecież nietylko *mógł wglądać w rządy udzielnych książąt* (str. 93), a tu i oprócz prawa z urzędu, ponosi jeszcze i osobistą krzywdę od Konrada (str. 93). Kiedyć odwet był prawem między-narodowém księztw lechickich, Leszek już dlatego względu był złym książęciem, że prawa tego zapomniał. Ukarał Konrada wprawdzie, ale późno, za lat kilka. Należało zaraz. Każdy z tych książąt wygląda na karzącą Opatrzność, a przecież Opatrznością nie jest. Otoby lepiéj wcale z sobą nie wojowali możeby i nie potrzebowali odwetów. Ale najczęściéj ta sama karząca Opatrzność nawarzy bigosu, a potem wdaje się w prawo Boże.

Jak objaśnia autor napady Litwy na Mazowsze? Tak samo dowolnie, jak wojny książąt, frazą nielogiczną, która tu służy, tam nie służy i niczem więcéj. Litwa napadała na Mazowsze także przez odwet. Bo po co Mazurowie oddychali tak wielką pobożnością religijną? po co pomagali Krzyżakom w wojnach litewskich?

(str. 86). Otóż i tutaj jak w przódy, kowal zawinił, ślusarza powieszono. P. Koz. nie widzi faktu jasnego jak słońce, że Litwa żyła łupieżą wprzód, nim się na wielkie państwo wykierowała; a nawet kiedy się wykierowała, łupieżyła jeszcze Polskę starodawnym zwyczajem, np. za Jagiełły, na kilka lat przed r. 1386; p. Koz nie widzi, że ta Litwa tak samo jak Ruś, jak Jadźwingi, była nieprzyjacielem narodowym, jak nawet sami między sobą książęta Piastowscy, i jakiejś biednéj chęci odwetu przypisuje fakta dziejowe! Czemuż ta Litwa nie mściła się na Krzyżakach za wojny, za napaści, za nawracania, nie zaś na Mazowszu, które tylko pomagało Krzyżakom? To coś wygląda na owe zdanie p. Koz. że Niemcy poradzili Konradowi sprowadzić Krzyżaków. Autor więc o klęski Mazowsza od Litwy oskarża głównie pobożność ludu i książąt; żeby logicznym być, dowodzi zaraz téj pobożności faktami. Oto książęta stawiali kościoły i p. Koz. wylicza te kościoły. Ależ i tutaj trzebaby zapytać się autora, czyż tylko mazowieccy książęta je stawiali? Któż wtedy nie budował kościołów? Kto ich nie uposażał? Niechaj p. Koz. zajrzy w pierwszy lepszy dyplomataryusz. Doskonała téż jest przyczepka Łokietka do jednego z książąt mazowieckich, że dozwolił Litwinom przejścia przez swój kraj do jego dzielnicy (str. 95). Łokietek w odwet ubiega zamek płocki. Ale niechżeby p. Koz. wprzódy nauczył nas i pokazał fakt, czy i kiedy Litwa prosiła książąt Piastów o pozwolenie wkroczenia i łupieży? Trudno niepozwalać, kiedy się o to nie pytają, a mają siłę nie prosić.

Zupełnie już p. Koz. dziwaczy z Mazowszem pod koniec panowania Piastów w Krakowie i nie pojmuje wcale stosunku, jaki te ziemie łączył z całą już zrośniętą ojczyzną, z Jagiellonami.

Wciąż się p. Koz. zdaje, że Mazury nie kontenci są z udzielności, że czyhają na nią sami, że lada sposobności wyglądają, aby się przelać całą bryłą w jednę Polskę. Mazurowie ci sielankowi są, robią to przez miłość ku ojczyznie, którą p. Koz. wie, że mają w całéj Polsce, wbrew świadectwom dziejowym, wbrew nawet saméj prawdzie psychologicznéj. Dlatego np. u p. Koz. król Kazimierz W. zajmuje Płock, Rawę i drugie zamki mazowieckie, a „Mazowszanie chętnie mu się poddali, znając jego sprawiedliwość i łaskawe rządy" (str. 122). Fakt urojony. Mazowszanie, jak ich p. Koz. nazywa, pozwalali Kazimierzowi tak samo jak Litwie, gościć, odarować na swéj ziemi, bo nie mogli nie pozwalać. Ale czyż to p. Koz. mało ma w życiu codziennem historycznem dowodów, jak się to chętnie co niepodległe jest, rozstaje ze swoją niepodległością?

To tak Mazurowie dojrzewali do jedności z Polską za Kazimierza W. a za Zygmuntów Jagiellońskich się bronili? Jakże to chętnie dzisiaj np. Bawarya, Saksonia, Hanower popierają myśl jedności niemieckiéj, aby się zlać w jedno niemieckie morze? Jest dużo wspólnych uczuć pomiędzy dwoma, trzema odnogami jednego plemienia, bo inaczéj być nie może; ale nim się duch ostatecznie na jedność wyrobi, jest dużo i różnic; jest zawsze przywiązanie do niepodległości. Serce nie rozumuje, jak doświadczenie, jak rozsądek. Patrzaliśmy w historyi naszéj na łatwe kolejno wyrabianie się Litwy, a jednak wieki całe, czterysta lat wspólnego pożycia, do zupełnéj jedności nawet rządu, nie doprowadziły dwóch połów Rzplitéj. Mazurowie też nie odrodzili się od wszystkich, pomimo tego, co p. Koz. o nich opowiada: może i tysiąc faktów przytoczyćby można, że dbali wielce o swoję niepodległość, o jaką taką, byleby o niepodległość. Skończyli zupełnie wieść odrębny wątek swojéj historyi dopiero za Stefana Batorego. A Prusacy nasi polscy, królewscy, a raczéj Pomorzanie z Chełmińcami, którzy do Mazurów się liczyli, chociaż dawniej od ostatniego księztwa mazowieckiego do Korony wcieleni, bronili się uporniéj i lepiéj, bo aż do r. 1772 zachowali swoje prawa odrębne i jenerały, swój senat, nawet indygenat pruski Polakom z innych stron kraju rozdawali.

Mazurowie owszem psuli tę jedność energiczniéj i dłużéj, jak wszystkie inne księstwa Piastowskie, jeżeli spuścim z uwagi Szlązk, który stał się obcą częścią w składzie wspólnéj ojczyzny i który jako rzecz zupełnie obca, odpadł do Niemców.

Pomimo wszelkiéj sympatyi pana Kozł. dla tego księcia Ziemowita, który chciał się żenić z Jadwigą i osiąść na tronie polskim, a który późniéj skończył troszkę wygodniéj i bezpieczniéj, bo dobrém posażném małżeństwem z siostrą Jagiełły, rzuciwszy na bok królewskie marzenia; pomimo utyskiwań, że dynastya mazowiecka była jedyną w tedy dla Polski i że naród zbłądził powołując na tron Jagiełłów — jakoś wywodom p. Kozł. nie wierzy się i z utyskiwań jego się żartuje. Sympatye czyjes osobiste sympatyami, a historya historyą. P. Kozł. prorokuje w przeszłości i wié doskonale, jakby poszły wypadki, gdyby tron zajął Ziemowit z Jadwigą, gdyby nawet potém inny Ziemowit utrzymał się przeciw Władysławowi, Bolesław przeciw Kazimierzowi Jagiellończykowi, lub książę Janusz przeciw Janowi Olbrachtowi. W ostatniéj nawet chwili ci książęta dlatego jedynie, że mazowieccy, byliby uratowali Polskę. Ale rzecz dziwna, zkąd tę potrzebę ratunku widział p. Kozł., wtenczas kiedy Polska za całego żywota książąt

mazowieckich była w rzeczywistéj potędze i chwale? Czasy Zygmuntowskie nazywają u nas złotemi; do nazwy złotych miałyby zupełne prawo i czasy Kazimierza Jagiellończyka: owszem za Zygmuntów traliają się już pewne mniéj pocieszające symptomata, jako to: burzliwość szlachty i jéj wyłączność, liberum veto, nowostki religijne; ale Kazimierz Jagiellończyk rządzi mądrze i wspaniale: Polska rzeczywiście za niego jest wielką. Król ten umiał także wychowywać synów swoich, czego już Zygmunt Stary nie umiał. Ale p. Kozł. oplątany w swoje przywidzenia, nie spostrzega historyi, np. wié, że pierwszy krok ku zgubie stawił Kazimierz W., bo mianował następcą Ludwika Węgierskiego, a Ludwik „dawał niestosowne uwolnienie poddanym od powinności" (str. 141). Ztąd, opowiada, wyszły bezsilność w rządzie, niedostatek w skarbie (skarbu wtedy jakby nie było), ciągłe targi późniéj o pobory między monarchą a uprzywilejowanemi i t. d. Myślałby kto, że król Ludwik skasował podatki w Polsce, gdy owszem król je nakładał. Lubo, opowiada daléj p. Kozł. wybór Jagiełły na męża Jadwigi i „przez to związek Litwy z Polską, niemało sił zdawał się Polsce przyczyniać, szczególniéj do pokonania Krzyżaków i zabezpieczenia od napaści, dawniéj ją ze strony Litwy niszczących; jednakże złe z odmiany dynastyi panującéj wynikłe, przeważyło wszystkie korzyści" i t. d. Dlaczego? spytamy się autora.... „Bo poprowadziło zwolna do elekcyi królów, która nareszcie wszystko zgubiła" (str. 142). Najbłędniejsze pojmowanie rzeczy: elekcya była zawsze w Polsce do najwyższéj, do pierwszéj władzy. Każdy z książąt udzielnych panował dziedzicznie w dzielnicy swojéj, ale Kraków ciągle sobie książąt obierał od czasu Władysława II. Potém elekcye zdarzały się i tu i owdzie. Nie obierałaż Polska właściwa, to jest Poznań i Kalisz Wacława Czeskiego; Łokietka i przeciw Łokietkowi Henryka Głogowskiego? Nie obierałoż Przemysława Pomorze? Kazimierz W. wyznaczyłże z władzy swéj Ludwika? Jadwiga czyż nie przez elekcyę na tron wstąpiła? Są nawet ślady, i na nich budowane są systematy historyków, twierdzące, że przez elekcyą panowali pierwsi nawet Piastowie. Bądź jak bądź, elekcya była prawem politycznem, zasadniczém dawnéj Polski, i dobrze przed Jagiełłami widzim jéj rozwój logiczny w dziejach. A gdybyć się i udało któremu z Piastów mazowieckich utrzymać się na tronie wbrew dynastyi litewskiéj, nie panowałżeby ów książę przez elekcyą? P. Kozł. w dziedziczności władzy widział zbawienie; tego dziedzictwa nie mieliby mazowieccy książęta: gdyby byli obrani, gdyby nawet mieli

dziedzictwo i prawo z tego płynące, po cóżby Kazimierz ściągał do Polski Ludwika? miałżeby nawet do tego jakie prawo? Wskazujemy na fakt jedynie. Jeżeli elekcya zła, nie winni byli temu Jagiellonowie i książęta mazowieccy, reprezentując w nowszych czasach ideę Piastowską, niby na to złe nie poradzili. Zresztą, Bogiem a prawdą powiedziawszy, nie można na elekcyą narzekać za dynastyi Jagiellonów, można na nią narzekać już po r. 1572; ale w tedy już nie instytucya sama, jak każda instytucya ludzka, zła i dobra, ale inne przyczyny, i zła, inna od dawniejszéj, forma elekcyi, zgubiły rzeczpospolitą. Piastowie mazowieccy schodząc z téj ziemi, ani domyślać się mogli tego, co we dwa wieki późniéj nastąpiło: P. Kozł. tylko za nich się domyśla.

Jagiellonowie, mówi autor, dla zjednania sobie możnych, których znaczna część zwracała się na stronę Piastów, ujmowali ich ciągle łaskami i przywilejami i przez to panowali słabo. Naprzód, trzeba to odpowiedzieć p. Kozł., że Piastowie nigdy straszni dla Jagiełłów nie byli. Powody daleko ważniejsze, polityczne, były zatém, żeby utrzymać Jagiełłów na tronie. Kardynał Zbigniew Oleśnicki i wielka, ogromna, przeważna część panów, przeciw owéj „znacznéj części“ p. Kozłowskiego, lepiéj podobno tę sprawę od naszego autora rozumieli. Miał nawet p. Kozł. uderzający przykład swojém znaczeniem w historyi, którego całéj doniosłości nie pojął. Kazimierza Jagiellończyka aż trzy lata musieli prosić z Litwy Polacy, żeby przyjął koronę; wyczerpali wszelkie środki cierpliwości; już się na krok stanowczy odważyć potrzeba było, przez samo poczucie godności własnéj, więc obierają Bolesława mazowieckiego. Za czasów Jagiełłów fakt to jedyny. Ale obrali widać dla effektu, dla postrachu, bo nie koronują go i owszem rzucają obranego pana i jeszcze raz szlą na Litwę po Jagiellończyka. Rok cały zeszedł na nowych targowaniach się i Bolesław obrany wstąpił. Nie, p. Kozł. się łudzi: Piastowie nie byli wcale niebezpieczni dla Jagiełłów i nie mogli miéć żadnéj nadziei powodzenia. P. Kozł. powiada, że panowie, mianowicie krakowscy, lękali się, iżby Bolesław zostawszy królem, nie poodbierał im znacznych dóbr królewskich, które od Jagiełłów zastawami trzymali (str. 313). Śmieszne to tłómaczenie wypadku, który ma wielkie dziejowe znaczenie. Dwa zjazdy w Kole i w Korczynie, już po elekcyi wyłączają Bolesława i poświęcają go dla Kazimierza, nie przez obawę, jak p. Kozł. powiada, ale przez wysoki takt polityczny. Zresztą, zkądże panowie ci wiedzieli, że Bolesław odbierze im zastawy? że będzie miał siłę po

temu? Mogliż mu przecie w warunkach przy elekcyi to położyć, żeby nie odbierał zastawów i byliby spokojni. Polacy obierając Bolesława, nie zrzekali się przez to unii z Litwą, tylko czuli to, że w takim razie wynikłaby wojna domowa, boby Jagiellonowie, oczywista rzecz, nie chcieli dobrowolnie przyjmować na siebie stosunku zależności względem Piastów, czém właśnie elekcya Bolesława im groziła; wojny niewiadomo jeszcze jakie byłyby koleje. Więc postrachem migocą przed oczy Kazimierza, który także nie był bez ambicyi i miał swoje osobiste i Litwy wyrachowania, że się drożył z koroną. Dla miłéj zgody poświęcili Bolesława, którego elekcyi nie uważali za rzecz stanowczą. Co większa, był wtedy pomiędzy kandydatami do tronu Niemiec, Fryderyk Brandeburgski, a więc o téj konieczności mazowieckiéj nikt nie wiedział; szło o prostą manifestacyą i nic więcéj. Gdybyć tak o Piastów chodziło, gdyby tu był w grze jaki legitymizm mazowiecki, toć daleko właściwiéj byłoby się zgłosić Polsce do Piastów szlązkich; ci rzeczywiście, jeżeli tutaj jakie prawo przestarzałe coś znaczyło, naprzeciw woli ogólnéj i narodowych instytucyj, ci rzeczywiście jeszcze od Krzywoustego mieliby prawo do panowania w Polsce. Wreszcie Jagiellonowie przeżyli Piastów mazowieckich. Więc przypuściwszy, żeby nawet koleje dziejów narodowych płynęły w tak ściśniętém łożu, jak tego chce p. Kozł., po śmierci ostatnich książąt, jakiż byłby wtedy ratunek dla Polski? Chyba trzeba było z Panem Bogiem zawrzeć kontrakt, żeby tego plemienia książąt mazowieckich nigdy nie ubywało.

Polacy wiedzieli, że Jagiellonowie będą im dawać zastawy i panować słabo, więc dla tego ich wybrali. Wiedzieli, że książęta mazowieccy będą im odbierać zastawy i panować despotyczniéj; więc dla tego ich porzucili. Oto do jakich zakresów maluczkich spadł wspaniały rozwój instytucyj narodowych XV i XVI wieku. Siłę, co działała w całym narodzie, p. Kozł. ścieśnia do prostéj i nikczemnéj chęci zarobkowania panów. Dzieło najwyższego patryotyzmu panów chrobackich, że powołali na tron dynastyą jagiellońską, że Witoldowi koronować się nie dali, że ochrzcili ostatnie w Europie pogaństwo, że wzmogli się przez nowe żywioły na stopień najwyższéj potęgi, p. Kozł. zamienia w gorączkę spekulacyjną. Jagiellonowie ujmowali łaskami i zastawami: niby to nie płynęło z ich osobistego charakteru; niby w tém rozdawaniu były w grze tak namiętne zabiegi; niby to ludzi ująć czém inném nie można, jak groszem. Alexander Jagiellończyk tak się cały rozdał, że nie miał na potrzeby dworu i stołu

swego, rozdawał jednakowo i w Polsce i w Litwie. A nie mógłby też p. Kozł. nam powiedzieć, dlaczegoto w Litwie był tak hojny Alexander? w Koronie już nam objaśnił dlaczego. Ależ Zygmunt Stary odbierał rozdawane majątki i Bonar oczyszczał je z długów; Zygmunt August zaś chciał zaprowadzić coś na kształt późniejszéj redukcyi szwedzkiéj w Inflantach. Pan Kozł. nam powié, że to było już po wygaśnięciu książąt mazowieckich, więc się Jagiellonowie nie bali. Czemu nie? elekcya była zawsze zasadniczém prawem rzeczypospolitéj i żyli przecież nawet jeszcze Piastowie na Szlązku.

Jagiellonowie panowali słabo, a przecież złote czasy mieliśmy za Jagiellonów, a nie mieliśmy ich nigdy ani za Łokietka, ani za Kazimierza W., ani później po Batorym.

Książęta mazowieccy, opowiada p. Kozł., „posiadając *większą pewność* tronu (?), byliby wczesniéj wodze kraju ujęli (?), ustawiwszy tamę do wzrostu możnowładztwa (?), uwzględniając wszystkie klassy mieszkańców (?), z większém dobrem dla ogółuby rządzili, jak nam tego dał przykład Kazimierz W".... i t. d. Wszystko czcze frazy, które pokazują, że p. Kozł. gdyby żył w XV wieku, byłby prorokiem, a dziś jest tylko złym historykiem. Zresztą, pomiędzy książętami mazowieckiemi, mówi p. Kozł, byli niektórzy dzielnego i energicznego charakteru, jak Ziemowit IV i Konrad III, a inni między niemi dobrzy prawodawcy, jak Janusz I, którzy „nierównie z większą pomyślnością *dla Polski byliby panowali*, niż zbyt dobrowolny Jagiełło i zbyt powolni na wszystko Albert i Alexander" (str. 143). My na to nie domysłami, ale faktami odpowiemy. Pomiędzy Jagiellonami polskiemi znalazł się energicznego charakteru mąż, który samowoli szlacheckiéj odważnie stawiał czoło; który zgnębił Krzyżaków, przywrócił Pomorze i Chełmińskie Polsce, który zhołdował Wołochy i Multany, a panował od Czarnego do Baltyckiego morza i synów swoich osadzał na tronach Europy i Słowiańszczyznę prawie całą zjednoczył w swym ręku..... Pomiędzy Jagiellonami polskiemi był drugi mąż, który był wcale dobrym prawodawcą, bo nadał Litwie statut, dzieło troszkę rozleglejszego znaczenia jak kodeksa Janusza mazowieckie: który zrobił sobie na ruinach Krzyżaków hołdowno księstwo; który ostro trzymał swój naród naprzeciw genewońskich nowinek: o którym powiedziano, że byłby pierwszym monarchą swojego czasu, gdyby nie Karol V. Mąż wielki i wspaniały, mądry i sławny, mędrszy zapewne od Karola V-go. Między Jagiellonami polskiemi był mąż trzeci, co mi-

łością dokonał wielkiego dzieła zjednoczenia. A nawet ów Jan Olbracht knuł plany na szlachtę, które w nim zdradzały wolę i charakter. Mimochodem także zanotujem tę uwagę panu Kozłowskiemu, że Ziemowit IV nie był tak bardzo dzielny, ani Konrad III tak energiczny. Autor sam winien, że nie wskazał nam tych stron charakteru swoich ukochanych książąt; z dotychczasowych zaś źródeł, nie możemy sami tak jak p. Kozł. o książętach tych wnioskować. Owszem, pierwszy nam się zbyt miękkim i egoistą, drugi zbyt rozpustnym i okrutnym się wydaje. Książęta ci pewno nie uczyniliby nic dobrego dla Polski. Jużby lepszy zrobił wybór pan Kozł., gdyby zacytował Bolesława IV lub Janusza I-go.

„Przez powołanie na tron książąt mazowieckich, byłaby jeszcze Polska zyskała znaczną prowincyę, z powrotu Mazowsza do Korony“ opowiada p. Kozł. Alboż to Mazowsze nie było polskiém za Jagiełły, którego szwagier panował w Płocku? alboż Mazowsze mogło psuć harmonią ogólno-narodową w pośrodku państw polskich, jak anklawy dzisiejsze w Niemczech? alboż Jagiełłowie nie robili z Mazowszem co chcieli? nie zależałoż to od ich woli znieść udzielność książąt? nie wcielaliż pojedynczo małych dzielnic mazowieckich do Polski? nie zyskaliż wreszcie, nawet do nazwiska, całéj prowincyi po śmierci książąt? Mieliż dla tego Polacy, żeby dzielnice mazowieckie skasować, które im nic szkodzić nie mogły, wyrzekać się sojuszu z Litwą? Obierając na tron polski książąt, zyskaliby małą powincyjkę; obierając Jagiełłów, zyskiwali Litwę i Ruś, kraje trzydzieści razy większe od tego kawałka jeszcze udzielnego Mazowsza. Mieliż dla cienia, dla pozoru, rzucać najpiękniejszą pod słońcem rzeczywistość?

Przytoczyliśmy kilka ustępów, ale chcąc wszystko zbijać, co p. Kozł. na ulubiony temat napisał, trzebaby i czasu i miejsca dużo, bardzo dużo, a praca niewdzięczna. Uczepiwszy się pewnika, że Bolesław Chrobry, Łokietek i Kazimierz W. byli to znakomici ludzie, dobrze prorokuje z nich o książętach mazowieckich, a zapomina, że i Witenes, Giedymin, Olgierd, Witold, byli to także ludzie bardzo znakomici, a jednak nie widzimy w tém konieczności, żeby i dzielnych mieli następców. Jednak z Piastów żaden się nie wyniósł tak wysoko, żaden tyle nie zrobił co Kazimierz Jagiellończyk, co obadwaj Zygmuntowie, ojciec i syn. Kallimach radził Olbrachtowi reformy, dawał rady. Podług pana Kozłowskiego byłby który książę mazowiecki przeprowadził tę reformę w duchu Kallimacha, albo kazał i dosyć: reforma by-

łaby się stała: Olbracht zaś już to miał w krwi Jagiellońskiéj, że nie potrafił. Ależ nie potrafiłby ni Ziemowit IV, ni Konrad III, ludzie energiczni podług autora, zatracić np. posłów, bo to był już fakt dziejowy, bo naród już się rozwinął po drodze prawodawstwa swojego tak, że chciał mieć posłów od szlachty na sejmach. Zresztą niechby tylko chociaż do Zbioru pamiętników Platerowskich, wydawanych przy Bibliotece War. zajrzéć, niechby tylko do Bielskiego, żeby się przekonać, że i największy geniusz, nawet arcy-mazowiecki, nie mógłby postępować podług aryngi Kallimacha, z jakim takim skutkiem. Byłoż to podobne do wykonania, żądać tego po szlachcie, żeby wszystkie ziemie swoje królowi oddali, a sami na żołd przeszli i w mieściech mieszkali; mógłże to król wadzić duchowne rady ze świeckiemi, kanclerzów w niwecz obrócić i prawo wyboreze, od kupców łudzić pieniądze i t. d. Były to rady dobre dla Włochów, ale nie dla Polski i napróżno robi z tego wyrzut p. Kozł. Olbrachtowi, że rad tych nie posłuchał. Do wzmocnienia rządu nie ubóstwo mogło prowadzić szlachty. „Piastowie nie dopuściliby możnowładztwa“ (str. 146). Toćto możnowładzców nie było u nas za Piastów? toćto nie epoka Piastów rozwinęła głównie możnowładztwo? A Mikołaje, a Goworki, a Pawłowie z Przemankowa, a Gryfy i Nałęcze, a panowie z Tarnowa i z Mielsztyna nie byliż to możnowładzcy? Nie możnowładzcyż to Tęczyńscy, Moskorzewscy, Oleśniccy, Domaraty, Sędziwoje, Bartosze z Odolanowa i t. d., co rej wodzili w bezkrólewiach po Kazimierzu W. i po Ludwiku? nie sprawąż to możnowładztwa chrobackiego, Jagiełło tron posiadł? A i na Mazowszu nie bałże się to sam Konrad I, praojciec książąt, owego Krystyna z Ostrowa, sławnego wojewody, który go z tronu miał zrzucać, jak powiada p. Kozł. Ale dajmy nato, Jagiełłowie stworzyli możnowładztwo. Znów jasnowidzenie. Ci panowie, co sprowadzili wybór Jagiełły, przewidywali, że na ich koło będzie to woda. Historya owszem powiada, że Jagiellonowie możnowładztwo wzięli w spadku po Piastach i że owszem sieli gminowładztwo. W Polsce za nich nastała izba poselska; w Litwie i Rusi, w któréj byli tylko kniaziowie i kilka rodów magnackich, nastało za Jagiełłów szlachectwo i herbami zabrukowało Litwę i Ruś. A że możnowładztwo polskie potém znowu się wzmogło i było po części przyczyną zguby rzeczypospolitéj, to na to inne znajdą się przyczyny, ale wglądać teraz w tę rzecz nie będziemy, gdyż zadaleko toby nas odwlekło od przedmiotu,

Pojmujemy legitymizm mazowiecki u Długosza. Dla Długosza Piastowie byli żywém słowem podań narodowych, reprezentacyą wspaniałą sześciu wieków przeszłości zacnéj. Długosz jako człowiek wrażliwy, a patryota serdeczny, w książętach mazowieckich kochał tę przeszłość, która się mu wymykała z przed oczu, kochał dawne dzieje narodu, które w nową fazę przechodziły. Sercu szlachetnemu zawsze żal tego, co umiera, bez nadziei ratunku, co życie liczy już na chwile. Któż z nas przeszłości nie kocha, któż do lat młodocianych nie goni wspomnieniem i pamięcią? I dziwićże się Długoszowi, że tych Piastów, których już nie widział w Krakowie, o których słyszał od ojców w podaniu, że Piastów tych kochał, że w dziele swojém téj miłości wiele zostawił śladów? Ale historyk nasz nie był tak dalece naiwny, żeby kochając przeszłość, dla jéj pamiątek chciał poświęcić przyszłość ojczyzny; a w Jagiellonach jedynie była ta przyszłość. Służył im téż całe życie wiarą i prawdą. I gdyby rzeczywiście mogło przyjść do elekcyi Piasta mazowieckiego i rozerwania sojuszu z Litwą, jesteśmy pewni, że Długosz cofnąłby się z niewczesną miłością. Na kwaśny humor jego i zniechęcenie wpłynąć też mogło i postępowanie króla Kazimierza, częstokroć samowolne, narzucające się, groźne. Długosz był zacnym kapłanem i kochał swobody kościelne, które król nieraz gwałcił. Aleć Długosz wyszedł ze szkoły kardynała Zbigniewa i umiał się kierować w życiu: wiedział gdzie jego powinność. Długoszowi przebacza się spółczucie dla książąt mazowieckich, nie obowiązujące do niczego, ale pod stu względami pan Kozł. nie Długosz.

Ta mała próbka wskazuje, jak p. Koz. jest w stanie pojmować wielkie wypadki i zagadnienia polityczne, i jak je umie streszczać w jasnym na rzeczy dawne poglądzie. Polska Piastowska zakończyła już swoje życie, teraz miało powstać nowe państwo i nowa w nim idea: zasada stara już nie mogła wystarczyć dla nowego życia. Ztąd przeżyli się Piastowie, bo byli reprezentantami przeszłości i przewodniczyć nowéj Polsce ku jéj świetnym przeznaczeniom już nie mieli siły. Opatrzność zwykle nowych ludzi zsyła narodowi, który się przeobraża, który w nową fazę dziejów swoich przechodzi: tak było u nas, tak bywa wszędzie. Dla p. Koz. niezrozumiałe to jest, że Janusz mazowiecki uznał nad sobą dobrowolnie władzę króla Ludwika; w naiwności swéj przyznaje się, że Janusz to zrobił „niewiadomo dlaczego" (str. 147). Owszem Janusz, ów mądry prawodawca Janusz, jak to sam p. Ko-

złowski mu przyznaje, wiedział dobrze co robi i dlaczego. Janusz był rozsądnym człowiekiem i nie uwodził się marzeniami, jak np. Ziemowit, co sięgał po rękę Jadwigi. Uznał władzę Ludwika nad sobą, bo był książęciem słabym, bezsilnym przeciw potężnemu królowi całéj Polski: czuł dziejową konieczność nad sobą. Zygmunt luksemburgski zaś nie brał Polski od Ludwika w posagu za żoną Maryą, jak to p. Kozłowski utrzymuje (str. 149), gdyż Polska posagiem nie była, i Jagiełło, przodek tych nowych ludzi, których niebo Polsce zsyłało, nie był obrany większością głosów (str. 168), ale przyznany jednomyślnie przez cały naród. Mazurów się tutaj nikt nie pytał, a pojedyncze niechęci, jeżeli były jakie, utonęły w zapomnieniu. Dzieło p. Koz. ma na celu nie opowiadanie o przeszłości, nie historyą rozwijania się narodowego, instytucyj, ale po prostu jest pamfletem historycznym a paradoksalnym; sili się dowodzić tego, co dowieść się nie da. Zkąd się mu wzięła ta nienawiść do Jagiellów? doprawdy trudno pojąć. Żeby ich potępić, zmyśla nawet fakta przeciw nim świadczące. Jagiellonowie np. mieli zniszczyć pomniki mazowieckie i przytém autor wylicza miejsca, gdzie którego księcia powinnyby leżéć zwłoki: ogląda się wkoło i nie znajduje nigdzie nagrobków. Wszyscy książęta pomarli, to niezawodnie; ale czyż wszyscy dlatego mieli nagrobki? to jeszcze pytanie. Zresztą niechno p. Koz. wskaże miejsca, gdzie się zachowały nagrobki nasze, np. z przed czasów Jagiełły? Nie mają nagrobków panujący krakowscy z przed czasów Kazimierza W.; czyż były jakie? a jeżeli były, czyż je także Jagiellonowie niszczyli? Jeżeli Jagiellonowie, to nietylko przeciw mazowieckim pamiątkom się srożyli? Ale cóż mogli Jagiellonom naprawdę szkodzić umarli? umarli w Krakowie, w Poznaniu, w Kaliszu, którzy już nie żyli i umarli już politycznie, chociaż żyli ciałem, książęta mazowieccy? Nienawiść niepojęta dla nas, tak daleko zawiodła p. Koz., że np. przytaczając fakt o biskupie Noskowskim, który w r. 1560 przemurował katedrę płocką i prochy królów Wład. Hermana i Bolesława Krzywoustego przeniósł do wymurowanego umyślnie na ten cel grobu, a dla pamiątki książąt mazowieckich, którzy tam leżeli, nic nie zrobił (str. 8); i mając w tém już samém dowody i fakta jasno pokazujące, jakim sposobem pomniki mazowieckie ginąć mogły, Jagiełłów obwinia o umyślny wandalizm, nigdy niepraktykowany w Polsce. Tutaj np. Noskowski byłby winien, jeżeli nagrobki książąt zaginęły. Aleby trzeba wprzód wiedzieć, czy były tam jakie nagrobki w katedrze, bo że Święcicki za Zygmunta III nic nie wspomina o nich, to je-

szcze nie dowód, że były. A przypuściwszy, że były? Pamiątki te przepadły już w tenczas, kiedy książąt mazowieckich ani śladu nie było na świecie; przepadły na lat kilka przed zgonem ostatniego a bezdzietnego Jagiellończyka i czyste pytanie: *cui bono* było, pamiątki te umyślnie niszczyć? Równém prawem moglibyśmy na wiarę naszego przekonania powiedzieć panu Koz., że nagrobki książąt mazowieckich niszczyli z zasady Krzyżacy, Czesi, Litwa pogańska, a cóżby też p. Koz. powiedział na to, gdyby ot! tak na żarty chciało się nam o to np. obwinić Maurów hiszpańskich?

Sprawa mniemanych praw książąt mazowieckich do tronu, nie była do obrony; ale wiele darowałoby się autorowi, gdyby jéj przynajmniéj bronił z talentem. Czytelnik, który jednakże na każdym kroku widzi usiłowania autora, a same czcze frazy bez znaczenia i dowodów, który co krok spotyka się z twierdzeniami i wnioskami wbrew sobie przeciwnemi, nie wié doprawdy, co myśléć o autorze.

Wiadomości pana Kozłowskiego częstokroć są czerpane z drugiéj ręki (z artykułu Biblioteki Warszawskiéj o latopisie hypacowskim, z obrazu Litwy Jaroszewicza i t. d.), lub z podejrzanéj wartości źródeł. Wskazywaliśmy jednak nie publicznie na źródła najważniejsze, bo dyplomatyczne wtenczas jeszcze kiedy się do druku dzieła swojego zabierał. (Kron. Wiad. Kraj. i Zagr. 1857 r. Nr, 120). Gotowych rzeczy użył p. Kozł., ale poszukiwań naukowych na większą skalę nie chciał się dotykać: najszczersze spółuczucie nasze publicznie objawione dla dzieła pana Kozł. wziął za rodzaj napaści, (Artykuł jego w Gaz. Warsz. w maju 1857). Przejrzał dzieło swoje i poprawił, według dyplomatów mazowieckich, mających stanowić jeden z tomów dyplomataryusza wielkiego, który Rzyszczewski rozpoczął drukować w Warszawie. Rzeczywiście, dzieło na tém wiele zyskało, ale jakaż to nieoceniona szkoda, że autor jeszcze do innych źródeł dyplomatycznych i pargaminowych nie zajrzał? Jest w Archiwum koronném cała, że się tak wyrazimy, metryka mazowiecka, nie w odpisach akt i w oblatach, ale w oryginałach, przywilejach, nadaniach książąt i t. d. Nie można być historykiem Mazowsza, kiedy się nie zajrzy do tego wysokiéj wartości źródła. Jeżeli nie gdzieindziéj, przynajmniej do Archiwum koronnego powinien był wprzódy zajrzéć p. Kozłowski, a tamby znalazł morze faktów dla siebie. Że tam nie zaglądał wcale, możnaby mu to co stronnica prawie wyrzucać. Ale nie dosyć na tém: w aktach konsystorza warszawskiego jest moc dyplomatów mazowieckich, naturalnie w odpi-

sach. Dotyczą one po największéj części strony religijnéj, fundacyi kościołów i nadań; ależ znalazłby tam autor dowody ważne dla kolonizacyi Mazowsza: jak się zaludniało, jak osadami rosło; a wzrost kościołów jeżeli kiedy, to w dawniejszych wiekach był postępem i wzrostem, był wolném kroczeniem cywilizacyi wśród pól i borów. W bibliotece ordynacyi Zamoskiéj jest cały kodeks dyplomatyczny klasztoru Czerwińskiego: korzystali już z niego Rzyszczewski i Muczkowski, ale bardzo mało; rękopism to gruby i kilkaset szuk przywilejów zawiera. Cóż to jeszcze posiadamy za bogactwo materyałów naszéj historyi! Nie jeden klasztor posiada kodeks swój, każde opactwo ma swój własny. Całe Landenie, Sulejowie, jak dawniéj Tinecye i Miechowie pojawiają się; że zwracamy się do dziejów Mazowsza, całą Czerwinię powinien był przejrzyć pan Kozłowski. Akta kapituły warszawskiéj i płockiéj są również bogate. Oto co autor znalazłby w jedném naszém mieście największéj wagi materyałów, nie ruszając się wcale z miejsca. Darowalibyśmy nawet panu Kozłowskiemu podróże, ale w Warszawie miał jeszcze pole do obszernéj kwerendy. Helcel dostarczyłby mu też kilkunastu nieznanych mazowieckich statutów. Lepiéj było wstrzymać się z wydaniem dzieła, a wyczerpać ile możności przedmiot. Przy pilności mógłby autor i za rok najdaléj skończyć kwerendy, które mu radziliśmy i dopiéro z dziełem na świat występować.

Niema tutaj nic z Litesów, które wydał Działyński, a które do dziejów Mazowsza głównieyszém są źródłem. Niema nic o stosunkach lennicznych Łokietka do Wacława czeskiego, jakie wykrył Palacki z pargaminów archiwum pragskiego, do czego książęta mazowieccy wpływali; zląd też w oznaczeniu tego stosunku p. Koz. błąka się jakby po nocy. Prawodawstwo mazowieckie tak obszerne i tak oryginalne, zbywane wzmianką tu i owdzie, chociaż materyału w pracy Helcla w téj chwili nie brak; tak samo jak wzmianką zbyty sąd polubowny, na jaki zdali się książęta w Wyszogrodzie, w sporach swoich z duchowieństwem w r. 1402 (str. 261). O sejmach mazowieckich też doryweze wzmianki, np. takie: „zwoływał też książę zjazdy tego a tego roku. Celem sejmów mazowieckich to było: wymiar sprawiedliwości, urządzenie stosunku panów do poddanych, ksiestwa jednego do drugiego" (str. 259), za to ani słówka niema np. o tym ostatnim stosunku, który jest historyą wewnętrzną Mazowsza. Mimochodem autor wspomina, że książę Konrad chciał się żenić z Heleną, córką Iwana moskiewskiego, z tą, co potém poszła za króla Alexandra (str. 358); że ostatni mistrz krzyżacki chciał przyprowadzić do skutku

dwa polityczne małżeństwa w dynastyi mazowieckiéj (str. 368); że księżna Anna chciała założyć osobne biskupstwo warszawskie, żeby mieć swój kościół własny po utracie Płocka. Stosunek lenny książąt do króla zupełnie pominięty: raz tylko autor na wstępie w ogóle o tém rozprawia; a przecież warunki zmieniać się musiały: za Jagiełły były inne, a za Zygmuntów musiały być inne. W ogóle nie ma tu nic o rzeczach ważnych, co dzieje stanowić zwykły. Ale co jest za to? Odwiedziny książąt u siebie, albo u króla, podniesione do godności faktu historycznego; ale jest wyliczanie po całych stronnicach różnych urzędników mazowieckich, których autor z dyplomatów wypisał; o których nic więcéj nie umie powiedzieć, jak tylko że tak a tak się nazywali, i których nareszcie tém jedynie luźném słowem wiąże do historyi Mazowsza, że księciu temu a temu ci a ci w zarządzie pomagali. Ale są wzmianki o Mazurach, jeżeli pozagranicami swego kraju byli gdzie w jakiéj bitwie: np. Jasiński pod Puckiem (str. 342). Jest kilka wymienionych karczunków wsi (np. na str. 145), ale o całéj kolonizacyi Mazowsza, ku czemu materyały wskazywaliśmy p. Koz., publicznie, ani wzmianki.

Wielkopolska zawsze tu przed czasem, kiedy jest właściwie mowa o Polsce, kiedy owa Polska dopiero około czasów Łokietka staje się Wielką, przez odróżnienie od nowéj, a więc Małéj Polski, dawnéj zaś Chrobatyi. Przed czasem też zjawiają się *rokoszanie*, których ma p. Koz. za dzisiejszych buntowników (str. 179). Jest i biskup *inflancki* w r. 1308 (str. 83); dwa pojmania Janusza jednemi słowy opowiedziane; występuje tu prałat jakiś nieznanéj dyecezyi inowrocławskiéj (str. 495); gdzieś Zawisza Czarny nazwany błędnie kasztelanem, i Michał syn Zygmunta Kiejstutowicza nazwany w. księciem litewskim, kiedy był tylko pretendentem, a nawet raz, trudno się nawet domyślić na jakiéj zasadzie, nazwany w. księciem mazowieckim (str. 335). Żona jego także kilka razy naczéj nazwana, tak, że aniby dojść niemożna ładu. Jeden z panów mazowieckich, Grot, raz zwie się cześnikiem nowomiejskim, a drugi raz Grot Nowomiejski (tak być powinno), nazwany cześnikiem rawskim: raz więc nazwisko służy za tytuł, drugi raz tytuł za nazwisko (str. 334, 7). To wszystko dowodzi, że autor nie zdaje sobie sprawy z niczego, że wszystko w nim się mąci, i fakta i pojęcia; że nie pojmuje instytucyi, że nawet nie zna mechanizmu, jakim się urabiały nazwiska. Krytyki w nim żadnéj: niemówić już o poglądzie, o zdrowém zapatrzeniu na przeszłość, kiedy trzeba samemu wydobywać z faktów luźnych fakta nowe, nieznane, które się

jednak stają z czasem dostojeństwem ‚nauki; ale krytyki nie ma w nim nawet najprostszéj, nie ma klucza na odgadnienie, które z dwóch podań o pewnym fakcie, zasługuje na większą wiarę. P. Koz. powie, że ten mówi tak, a inny tak; ani to zimno, ani gorąco: cóż mówić o tém wszystkiém, kiedy autor nawet z gotowych rzeczy nie korzystał? „W Dziejach Krzyżaków“ są fakta, których niema w dziejach Mazowsza, a o wojewodach mazowieckich autor popisał dziwactwa, chociaż miał już ten przedmiot obrobiony, dotknięty obszerniéj cokolwiek np. w naszym Przeglądzie Dyplomataryusza Rzyszczewskiego.

Nie wzniósł się poza kronikarstwo ani na krok. Kończąc to niby opowiadanie o jakim księciu, daje całe chronologiczne spisy urzędników, jacy w tym czasie żyli, wylicza wszystkie fundacye. Jakiż to związek autor upatruje pomiędzy księciem a urzędnikami? Pan Koz. powiada po prostu, że ci a ci księciu pomagali w rządzie: daléj idą listy podkomorzych, sędziów, pisarzów, kasztelanów i t. d. A jeżeli owszem ci panowie księciu nie pomagali, tylko przeszkadzali w rządzie? Gołe nazwiska nie stanowią historyi, godzi się wypuścić zupełnie z opowiadania osoby, o których nic powiedzieć niemożna. Przecież nie umrą te osoby, wieczne im życie w dyplomatach; tam ich szukać będziemy, nie zaś w żadnych dziejach Mazowsza. Posądzano niegdyś Długosza, że popuszczał cugle fantazyi w podobném wyliczaniu osób; wspomina kiedy np. o jakim synodzie, lub sejmie: wie, że musieli tam być biskupi i senatorowie; nie szuka więc ich po rocznikach, ale po prostu wylicza, miarkując, że ci i owi być musieli: ztąd zamęt, nie chronologia urzędów. Na czémś podobném łapiemy i p. Koz., który tak się nie może obejść bez wyliczania nagich nazwisk, sądząc zapewne, że to wartość książki jego podniesie, że np. wylicza panów mazowieckich, którzy się znajdowali w Piotrkowie z księciem Januszem na sejmie elekcyjnym w r. 1492. Zkąd ich wziął? wziął z dyplomatu z r. 1484 w którym są wymienieni jako świadkowie (str. 353). Ale czyż to koniecznie już dowód, że ci panowie, co podpisani na dyplomacie z r. 1484, byli w Piotrkowie z księciem w osm lat później? Mogła nawet połowa ich powymierać do tego czasu.

Autor naśladuje złe wzory. Jak Czacki dzieło swoje o litewskich prawach zaopatrzył tysiącem dopisków najróżnorodniejszéj treści, wśród których zgubić się można jak w lesie, tak i p. Koz. do tekstu nawiązał moc przypisów, Pan Bóg nie wie o czém. Nie umiał znaleźć im miejsca w historyi pragmatycznéj; zląkł się, żeby

te perełki dziejów nie uroniły się przed czasem; zląd owa obfitość i porozrywanie tekstu na cząstki. U Czackiego przynajmniéj erudycya, są fakciki pojedyncze, skompilowane od Iasa i Sasa, niewiążące się z sobą; z p. Koz. zaś przypisków niczego nauczyć się niemożna. Daléj, jak Łukasz Gołębiewski nie znalazł miejsca dla wielu objawów społecznego życia w opowiadaniu, tylko rozbijał je na pojedyncze rubryki; tak i p. Koz, skończywszy już opowiadanie swoje, rubrykowym sposobem rozmaite rzeczy opowiada, ale nic nie rozjaśniając, w błąd tylko wprowadza łatwowiernych. Tak np. rozwijając historyą nazwisk rodowych, twierdzi, że branie w XV wieku nazwisk od posiadłości, trąciło cudzoziemczyzną i ubolewa, że Polacy dawniejsze nazwiska dla téj cudzoziemczyzny zatracali (str. 452). Naprzód nazwisk nie było nigdy, a były szczególne nazwania Pieniążków, Gładyszów i t. d. które kilku, kilkunastu osobom służyły w kraju, nazwiska zaś te urabiały się dopiero wtenczas, kiedy autor mówi, że się już zatracały i urabiały się pięknie i naturalnie od posiadłości; pisaliśmy już o tém dawniéj z powodu Marcina z Urzędowa (Dzien. Warsz. 1854). Naśladownictwo takie cudzoziemczyzny nie szkodziło nic narodowi. Ubliża daléj autor Mazowszu, które tylo kocha, kiedy za dowód oświaty Mazowsza uważa takie fakta, jak dedykacyą Paprockiego jednéj książki wojewodzie rawskiemu Gostomskiemu (str. 489). Miesza tu nieraz autor rzeczy, przeszedłszy granice miary historycznéj, bo co np. z dziejami Mazowsza za panowania książąt mają wspólnego Sarbiewski, Stryjkowski, Paprocki i Stan. Łubieński? (str. 493-8). P. Koz. wie również, że od czasów wcielenia Mazowsza do państwa, to jest od upadku Masława „wojewody mazowieckiego" i język mazowiecki zaczął się powoli zmieniać i w polski przerabiać (str. 504). *Risum teneatis.*

Stylu niéma żadnego autor; po polsku źle pisze. Co tutaj mówić już o żywości obrazowania? Wyrażenia nie naturalne, przeciwne naturze języka, (np. nakłonił do pojęcia za żonę Gryfinę, str. 90). Daléj autor jest uczuciowy, patryarchalny, sadzi samemi przymiotnikami: u niego *pokój* zawsze jest *błogi*, *męztwo* zawsze musi być *niezachwiane*, a więc oczywiście i rzeki głębokie i mury niezłomne i t. d. Stara to metoda: szczególniéj w Karamzinie uderza. Autor nie spadkuje imion i nazwisk, to już fatalne, a wspólne mu z wielu dzisiaj piszącemi, tylko, że i tutaj nawet p. Kozł. przesadza. Są tacy, co nie spadkują nazwisk obcych, p. Kozł. nie spadkuje nawet i swoich; mówi np. „Jana Okuń kasztelana Czerskiego, służbę Stan. Groth (nawet *thl*), z mia-

stem Kuczbork, dla Piotra Pielgrzym, z Piotrem Szafraniec, nad Jeziorem Mielno“ i t. d. *Horrendum*! Ciemno się tłumaczy i zaimek *ich*, *im*, tak nieraz użyty, że trudno się domyśléć, do kogo się ściąga (np. zrazu Mazowszanie i Rusini bez oporu niszczyli.... a gdy wódz ich Stekint.... str 78); tutaj jedynie po nazwisku domyśléć się można, że *ich* odnosi się do Rusinów, bo juścić nie do Mazurów, chociaż i to imię nie ruskie. „Litwa i Ruś, pisze raz autor, wracali do Mazowsza“ (str. 86). Jakto wracali? Mazurowie tylko, z zagranicy mogli wracać do Mazowsza.

Chcieliśmy rozbierać Dzieje Mazowsza, żeby czytelnicy nasi wiedzieli, co nowego ta monografia nauce ojczystéj przyniosła; ale zamiast o dziele, więcéj mówiliśmy o autorze. Niewdzięczna to praca. Dzieje Mazowsza interesowałyby literaturę, przez nie interesowałby ją i sam autor. Ale gdy o książce nie było co pisać, straciliśmy czas marnie pisząc o autorze. Można dawać charakterystykę prac i badań uczonych ludzi; taka rzecz potrzebna i jest materyałem wielce pożądanym dla dziejów literatury. Ale nie można pisać charakterystyki człowieka, który dla nauki nic nie zrobił i szkoda pisać o książce, która nic nie warta. Ale taki jest smutny stan literatury naszéj, że potrzeba i o takich rzeczach rozwodzić się obszerniéj, potrzeba kłaść dowody, stawiać wnioski i zbijać błędy, opuszczenia, prostować nieznajomość, żeby jako tako wyjść na swoje. Drażliwe są u nas natury. Nie tak w literaturach bogatych, posiadających wzory i wielu spółczesnych wyższego polotu badaczy. Tam o książce takiéj jak Dzieje Mazowsza, dosyć napisać kartkę i nie potrzeba się silić na rozumowania i dowody. Czasu straconego na takie rzeczy umielibyśmy daleko lepiéj użyć; ale jak powiedzieliśmy, i przedmiot książki i sam autor zwracały naszą uwagę na Dzieje Mazowsza. Drugi raz już się nie złapiemy tak łatwo, bo jasne już jak na dłoni, że p. Kozł. dla nauki historycznéj u nas nic zrobić nie może: owszem nie pomagać innym, ale szkodzić innym może, mnożąc chwasty i niepotrzebne zielska. Dzieje Mazowsza, które pisane były w naszym czasie, obok tylu nowych źródeł dyplomatycznych, wśród nowych pojęć naukowych, po Lelewelu, po Malinowskim, Moraczewskim i t. d., dzieje te Mazowsza nie odbiły w niczem na sobie tego bogactwa źródeł i wyobrażeń. Stoją tak nędznie, jak je przed laty Kownacki pozostawił. Ależ Kownacki pisał w r. 1818—1820! Od tego czasu wszystko się zmieniło! Kownackiemu trudno co wyrzucać, Kozłowskiemu potrzeba wszystko.

Historyi tu żadnéj nie szukać, ni polskiéj, ni mazowieckiéj. Historya Mazowsza rozpłynęła się tutaj w ogólnych faktach z historyi całego państwa. Ładu niewiele nawet i w tych na stary ład grupowanych faktach. Jedno tak się drugiego nie trzyma, jak np. w pracach studenckich kilku naszych pisarzy historycznych, którzy chcą, ale nie mogą bo mało bardzo umieją. Związku organicznego tak niéma w Dziejach Mazowsza, jak i w tych pracach. Fakta są sobie faktami podejrzanéj wartości: jeden drugiego nie wyświeca, nie łączą się i czy są czy nie są, częstokroć, to dla nauki rzecz obojętna. Nie wszystkie fakta można i trzeba do nieśmiertelności przekazywać: wiele z nich tego zaszczytu niegodnych. Rozumowania na bok, a mianowicie ckliwe. Wtręty takie jak np.: „gdyby dynastya Piastów utrzymała się na tronie polskim“.... nie prowadzą do niczego. Wyglądają te dzieje na pustki, na zamek Soplicowski, w którym jeden tylko Gerwazy zegar n kręca. Gmach wielki, ale niéma w nim ludzi, zbroje tylko pozawieszane. Charakterystyki żadnéj, niczego i nikogo. A jednak kilku wierszami możnaby tak doskonale tego i owego księcia odmalować! Nędza i nędza.

Jest przecież mała zasługa choćby z tych Dziejów Mazowsza, zasługa, którą jednak autor nie sobie winien, ale czasowi; jest pewna cecha, która wskazuje na postęp w nauce. Czytelnik mógłby z niéj poznać, że p. Kozł: pisał już po Rzyszczewskich i Raczyńskich. Zasługa ta się kryje np. w poprawie tablicy genealogicznéj książąt, dotąd bardzo nieprawnéj i enigmatycznéj (np. autor pokazuje, że Ziemowit III nie był synem Ziemowita II-go, jak utrzymywali Kromer, Czacki, Naruszewicz, ale synem Trojdena, a wnukiem Bolesława II-go str. 119). Cecha ta postępu jest w poprawie kilku dat, np. daty śmierci księcia Janusza, podawanéj zwykle przez historyków na rok 1428, kiedy są fakta, że książę jeszcze w r. 1429 wydawał przywileje; jeden z nich ma się drukować w następnym Dyplomataryuszu mazowieckim. Zasługa to w saméj rzeczy niepoślednia, i dlatego żałujemy niezmiernie, że panu Kozlowskiemu nie przyszła myśl wydać po prostu rozumowanych, krytycznych tablic genealogicznych książąt mazowieckich. Bylibyśmy mu bardzo wdzięczni i sądząc po takim zaczątku, s odziewalibyśmy się nowych rzeczy od niego. Po Dziejach Mazowsza ani chwili łudzić się dłużéj niepodobna.

Warszawa,
dnia 14 kwietnia 1859 r. *Julian Bartoszewicz.*

Metoda czytania poczynająca się od pisania, czyli metoda Grasera.

Nie dawno temu wpadła nam w ręce książeczka elementarna pod tytułem: „*Elementarz dla chłopców wiejskich*"; a ponieważ poprzednio już czytaliśmy o niéj wzmiankę w Rocznikach gospodarstwa krajowego i dość obszerny wyciąg części opracowanéj przez p. J. K. Gregorowicza, z wielkim interesem zabraliśmy się do jéj przejrzenia. Książeczka ta ma swoję wartość: w niéj znajdują się perły prawdziwe, jakie w innych książkach elementarnych, początkowych, narodów ościennych się nie znajdują. Część obrobiona przez p. Gregorowicza bowiem, jest pracą nieporównaną i nie przesadzamy, twierdząc, że tworzył nowe przysłowia, które przyszłe pokolenie, a może już nam nawet najbliższe w życie wprowadzi.

Zniechęciło nas co innego do téj książki, zniechęciła część pierwsza, nauka czytania, odrażała nas metoda zachowana w niéj i powiedzieliśmy sobie: „za granicą nie ma podobnych elementarzy, gdyż metodę zachowaną w pierwszéj części oddawna zarzucono, jako niepraktyczną, zabójczą, a jeszcze nikt się nie zabrał do napisania takiéj części drugiéj, jaką p. Gregorowiczowi zawdzięczamy". Może myśl, że połączono w Elementarzu dla chłopców wiejskich sukmanę płócienną z kaftanem atłasowym jest nieco trywialną, ale zdaje się, że ona najlepsze nam tego daje wyobrażenie (1).

(1) Metoda Grasera nauki czytania i pisania, o któréj p. K. podaje wiadomość jest tak ważną, iż zasługuje na szczególną uwagę publiczną i na szczególną opiekę pedagogów naszych. Dla niéj to redakcya B. W. bez żadnéj zmiany ogłasza w swém piśmie całkowity artykuł p. K. ze wszystkiemi domysłami o wynalazku druku w wieku starożytnych Rzymian, a nawet ze zdaniem o elementarzu dla chłopców wiejskich. Trudno jednak nie oświadczyć, iż niechęć i odraza autora do pierwszéj części elementarza dowodzi tylko, iż szczerze pokochał metodę Grasera jak na to zasługuje, a zupełnie nie zna stosunków i stanu naszéj ludności wiejskiéj. Metoda Grasera środkami trafnie obmyślanemi budzi myśl w dziecku i przywiązuje jego uwagę do tego kierunku, jaki mu nauczyciel nadaje. Pierwszym więc warunkiem uczenia według téj metody jest nauczyciel, któryby sam myślał, a obznajmiony ze środkami Grasera, czuwał nad każdym objawem myśli dziecka i stosownie postępował. U nas w szkołach początkowych, gdzie nauczyciele mogą być odpowiednio usposobieni, łatwe jest zaprowadzenie metody Grasera. Lecz ludność wiejska

Nie mamy zamiaru wdawać się w rozbiór krytyczny tego dziełka; krytyka wytykająca wady zwykle nikogo nie uczy, nikomu korzyści nie przynosi, bo zwykle jest jałowém wyliczeniem błędów: jestto ujemna strona literatury. Chcielibyśmy coś lepszego dać; chcielibyśmy się przyczynić, ile siły ku temu starczą, do rozwoju jakiejś myśli nowéj, dorzucić jakąś nową cegiełkę do budowy duchowéj naszej: słowem, chcielibyśmy, aby praca nasza miała cechę dodatną. Z téj to przyczyny zabraliśmy się do napisania metody *czytania poczynającéj od pisania*, aby braciom naszym nie będącym pedagogami, nie mającemi zatém powodów do śledzenia w téj mierze literatury odpowiedniéj Niemców i Francuzów, pokazać, co tam uczyniono na tem polu w ostatnich kilkudziesięciu latach. Aby zaś każdemu od początku pokazać, że metoda, któréj przykładem na chwilę zająć chcemy uwagę czytelnika, jest naturalną, choć pobieżnie cofnąć się musimy w wieki odleglejsze, w których druk nie był *rozpowszechniony*.

Mylnie dotąd twierdzono, że druk został wynaleziony w XV stuleciu: fakta przemawiają za tém, że Rzymianom nie była obcą ta sztuka; kto tak doskonale jak oni wytłacza monety kruszcowe, musi koniecznie umieć odbijać litery na papierze, dla rozpowszechniania myśli. Ale pyszna Roma była państwem składającém się z panów i niewolników: namnożenie się książek za pośrednictwem prasy koniecznieby przyczynić się musiało do rozkrzewienia oświaty w warstwach najniższych nawet, w warstwach niewolników; a miliony oświeconych niewolników, w obec kilkukroć stu tysięcy obywateli byłoby czystém niepodobieństwem, absurdum, jakiego historya nie zna. Senat

bardzo długo oczekiwaćby musiała na nauczycieli z tą metodą obznajmionych. Niepodobna nic nie robić dlatego, że odrazu doskonale robić nie można. Dobrze to pojmuje autor Elementarza dla chłopców wiejskich, który zastępując elementarze częstochowskie, co od tylu lat zasypują ludność naszą, wydał elementarz poprawny, bardzo praktyczny, na którym każdy organista, ekonom, służący dworski, tak włościan czytać uczyć może, jak się sam uczył i jak się rzeczywiście nauczył. Teraz pożądanem byłoby, aby p. K. porzuciwszy porównania o sukmanie i atłasie jako niegodne przedmiotu, ułożył praktyczny elementarz według pojęcia swego metody Grasera. Tym tylko sposobem przekonałby najlepiéj, iż jego niechęć i odraza dla pierwszéj części elementarza nie są chwilowem złudzeniem. *Przyp. red.*

rzymski doskonale pojął, że ogólna oświata musiałaby podkopać posady społeczeństwa, którego był wyobrażeniem i dlatego nie pozwolił na rozpowszechnienie książek za pomocą druku, który zdaje się raczéj być nauką wrodzoną, niżeli wynalazkiem późnych wieków, jakkolwiek ta nauka mogła u wielu narodów zaginąć; w Chinach ona żyje od wieków niepamiętnych.

Lecz mniejsza o to, czy Chińczycy znają oddawna sztukę wynalezioną u nas przez *Czecha Jana z Kutnéj Góry*; czy ją Rzymianie znali i tylko, jak twierdzi Fournier w swém dziele: «*Le vieux neuf ou histoire ancienne des inventions et des découvertes modernes*", dla bojaźni przewrotu ogólnego wszystkich idei owoczesnych w użycie wprowadzić nie dopuszczali: dosyć, że przez długie wieki nie umiano czytać drukowanego i tylko pisano. Jakże w owych wiekach uczono dzieci? Odpowiedź zdaje się naturalną, *że je uczono pisać, bo kto pisać umié, koniecznie umié i czytać;* co, jak doświadczenie pokazuje, odwrotnie powiodzieć się nie może: gdyż przez jakąś dziwaczność niezrozumiałą, obecne litery drukowane w niczém nie są podobne do liter pisanych, kiedy pierwotnie litery drukowane były zupełnie do nich podobne.

Naukę maluczkich powierzono u starożytnych niewolnikom; w wiekach średnich księża zakonni tém się zajmowali i ci później powierzyli to zatrudnienie organistom, których od przeszło 30 lat w Niemczech zepchnęła nowa metoda z katedry elementarnéj, powierzając takową umyślnie w tym celu wykształconym ludziom. Lecz nie odrazu Kraków zbudowany. Pestalotzi jeszcze uczył czytać i pisać; jeszcze Karol Raumer pisząc swą pedagogikę, nie wiedział lepszego sposobu postępowania jak uczyć abecadła nienaturalnego i Denzel a nawet Barthel do roku 1838 nie wznieśli się wyżéj jak do metody *głosowania*, zarzucając ostatecznie metodę *syllabizowania*. Diesterweg mniéj zajmował się tą gałęzią metody, więcéj zwrócił się ku naukom matematycznym, ku religii wreszcie, a Niemayer miał głównie na celu ogólne wykształcenie.

W tém zjawił się około roku 1835 człowiek niepedagog, kameralista, radzca regencyjny, ale dobry ojciec, który widział, że nauczyciel postępując starą metodą, dziecko męczy niepotrzebnie, dużo czasu nadaremnie marnuje i koniec końców po bardzo długim czasie zaledwie doszedł do lichego syllabizowania, po którém nowa męka z pisaniem rozpoczęła się: tym mężem uważnym był Graser.

Przebiegając w myśli historyą kultury ludzkiéj uderzyło go spostrzeżenie wyżéj przytoczone, że u starożytnych drukowanych książek nie było, że zatém musiano zacząć wszelką naukę od pisania i myśl tę uchwycił. Stosując się do własnych dzieci znalazł ją zupełnie dobrą, naturalną i szybko do pożądanego celu doprowadzającą. Po takiéj próbie mógł wystąpić z odkryciem swojém i oddać je pod sąd publiczny.

Było to mniéj więcéj w tym czasie, kiedy metoda Lankastra wszystkich pedagogów zajmowała, która niby ma być jedynym środkiem jednoczesnego zatrudnienia znacznéj massy uczniów. Pokazało się wszakże w praktyce, że wprawdzie zatrudnić można niezwykłą liczbę biednych stworzeń, lecz uczyć, lecz budzić ducha Bożego, uśpionego w dziecku, doprowadzić je do celu szczytnego, jakim jest prawdziwe wykształcenie umysłowe, metoda Lankastra nie może. Ona z klassy wesołych uczniów tworzyć może batalion wojska wprawnego, lecz nie rozumiejącego nic z tego, co umié; wiedzącego doskonale jak co robić, lecz nie przeczuwającego nawet dla czego.

Kiedy Graser wystąpił ze swoją metodą, żył znaczny zastęp pedagogów, którzy zyskali sławę powszechną: Denzel, Diesterweg, Niemayer, Raumer, Barthel i inni, którzy odrazu pojęli całą jéj ważność i potrafili swych uczniów natchnąć własnym duchem. Dlatego to metoda owa szybko zyskała zwolenników i obrobiona wszechstronnie, dziś jest główną podstawą wszelkiéj nauki elementarnéj. Ona ułatwia uczenie jednoczesne nietylko znacznéj liczby uczniów, należących do jednego kursu, ale nawet kilku kursów rozmaitych: i widzimy w szkołach elementarnych wiejskich Niemiec w jednéj sali trzy klassy dzieci od 6—14 roku zatrudnionych, a zatrudnionych korzystnie, bez hałasu, bez wrzawy i bez zmarnowania drogiego czasu; widzimy wychodzących z tych szkół elementarnych uczniów, piszących dobry list nietylko prywatny, ale i do niższych władz administracyjnych i sądowych, umiejących rachować, regułę trzech, znających geografią całéj kuli ziemskiéj a szczególniéj ojczyzny, historyą tejże, najważniejsze zasady historyi naturalnéj i fizyki: słowem, mających ogólne wyobrażenie o wszystkiém i dlatego nas dziwić nie może, że tyle popularnych pism czasowych się utrzymuje, że tyle książek popularnym stylem napisanych szybko się rozchodzi i coraz nowych edycyj wymagają. Dzieci w najrańszéj młodości swojéj nauczyły się widzieć w nauce przyjemną zabawę, rychło do niéj

przywykły, przylegnęły i w dojrzalszym wieku uczyć się nie przestają.

Stara metoda zabija ducha, bo go w czasie nierozwinięcia męczy czczemi formami: tworzy papugi, kiedy powinna kłaść pierwsze podwaliny przyszłego człowieczeństwa. Ona nie jest w stanie wabić dzieci do siebie; dlatego to smutnie malcy idą do szkoły, a z niéj z wesołym wrzaskiem wracają; szkoła jest dla dzieci straszydłem, którém nierozsądni rodzice niegrzecznemu dziecku grożą. Przy nowéj metodzie daremnie odgrażasz się posłać dziecko do szkoły: ono tam spieszy, jako do ulubionego miejsca zabawy, do którego zbyt rychło dostać się nie można.

Ale jakaż też jest różnica między nauczycielem staréj daty, a nauczycielem nowéj szkoły? Pierwszy jest pedantem, stojącym z poważną miną przed dzieckiem, aby go szanowało dla jego głębokiéj uczoności; a ponieważ w duszy młodéj nie jest jeszcze rozwiniętém uczucie czci, a nauczyciel uczucia już żyjącego w niéj, uczucia miłości dla siebie pozyskać nie umié, wzbudzi zatém za pomocą rózgi uczucie bojaźni. Oh! potrzeba wiele miłości dla maluczkich, trzeba długo wżyć się w słowa Chrystusa: «*puszczajcie dziatki do mnie, albowiem ich jest królestwo niebieskie*», albo: «*zaprawdę powiadam wam, kto się nie stanie podobnym do dziatek, nie wnijdzie do królestwa niebieskiego*», aby stać się podobnym do Pestalotzego, albo do Jachowicza. Inaczéj rzecz się ma z drugim nauczycielem nowéj szkoły. Jemu nie wolno pokazywać uczoności: on nie ma dziecka uczyć, tylko pobudzać i dlatego udaje, jakoby się od dziecka uczył; dlatego zaprasza dziecko, aby przybywało do niego dla pokazania mu, jak się robią kropeczki, kreseczki, literki; a kiedy się dziecko obudzi z tego złudzenia, gdy spostrzeże błąd, w którym się przez niejaki czas znajdowało, już się sercem przywiązało do nauczyciela i szkoły, w któréj ze swoim przyjacielem się na przyjemną zabawę schadza, i miłość do niego, przywiązanie serdeczne coraz bardziéj wzrastają, rodząc szacunek prawdziwy.

Z tego wszystkiego rodzi się szybki postęp i autorowi niniejszego zdarzyło się już, że dziecko wieśniaka w przeciągu czterech tygodni nauczyło się pisać zdanie proste, nierozwinięte, a ma się rozumieć z głowy. Albowiem metoda nasza nie zna osobnéj lekcyi kaligrafii, w czasie któréj nauczyciel w słodkiém *far niente* duma, jak przepędzić wieczór, dając dzie-

ciom wzorowy przykład systematycznego zmarnowania czasu; kiedy odwrotnie, dzieci bez myśli wszelkiéj muszą kreślić litery, które częstokroć im jeszcze zupełnie są nieznane, tylko na to, aby rękę mechanicznie wprawiały. Chcąc krótko skreślić stosunek starego systematu do nowego, powiedzieć można: w starym dzieci są dla nauczyciela, w nowym jest nauczyciel dla dzieci.

Lecz dosyć tych ogólników; przejdźmy do wykazania saméj metody, wprowadzając czytelnika do klassy, w któréj pierwszy raz dziecko lub dzieci, bo tu nie wiele na liczbie zależy, się znajduje. Dziecko przyniosło z sobą: tabliczkę z łupku, na któréj są wyrysowane w równych odstępach, najlepiéj $^1/_4$ calowych linie, sztyft do pisania i gąbkę do zmazywania. W szkole jako przyrząd naukowy znajduje się: wielka tablica ścienna z czerwonemi liniami, kréda i gąbka zwilżona.

Dziecko bywa przyjętém jak do familii, bez ceremonij wszelkich, bez formalności odrażających; a nałogi niegrzeczne, jakieby mieć mogło, powoli ustają, kiedy dziecko już powzięło zaufanie do nauczyciela. Nawet gdyby chłopczyk nie zdejmował czapki, odrazu tego ganić nie wypada: zwraca się tylko jego uwagę na innych, albo na samego nauczyciela, który się bez nakrycia głowy w klassie znajduje.

Nauczyciel wtenczas prosi, aby mu dziecko pokazało, jak się robi *kropka* (1). Dziecko waha się najczęściéj, nie wie, co to jest; lecz ręka nauczyciela prowadząca jego, prędko je przekona, że samo bez wszelkiéj pomocy kropkę robić potrafi. Bo któżby nie umiał robić kropki bez poprzedniego przygotowania. Dziecko ucieszone robi kropki, starając się, aby takowe na linii wyrytéj i w pewnéj odległości jedna od drugiéj były zrobione; nauczyciel niby naśladując, niby ucząc się, robi takież kropki na tablicy i każe takowe *liczyć*. Kierunek tych kropek jest od lewéj ku prawéj; gdy dziecko w robieniu ich nabrało dosyć pewności, przechodzi się do kropek w kierunku *pionowym* z góry na dół, następnie w kierunkach skośnych również z góry na dół, poczém kierunek odwrotny się wprawia. Przy tych ćwiczeniach dziecko uczy się: 1) *liczyć*, przynajmniéj do 10;

(1) Złudzenie tu jest wielkie: w klassie, gdzie są różne oddziały, nie bywa ono długiém, ale w prywatnéj nauce, gdzie tylko z jedném dzieckiem mamy do czynienia, uczeń częstokroć przez pół roku jest pewnym, iż nauczyciel do niego przychodzi, aby się uczyć i z utęsknieniem wypatruje chwili, w któréj się *jego elew* ukaże.

2) *mierzyć* równe odstępy kropki jednéj od drugiéj; 3) poznawać znaczenie wyrazów: *poziomo*, *skośnie* od *prawéj* ku lewéj, od *lewéj* ku prawéj, pionowo.

To pokazuje, że dziecko myśléć musi i pracować samo, kiedy nauczyciel drugim oddziałem się zajmuje, oraz, że nauczyciel na pewien czas oznaczony z całą uwagą innemu oddziałowi poświęcić się może.

Punkt czyli kropka jest granicą linii. Dziecko tylko łączy dwie kropki krańcowe, prowadząc linią przez wszystkie kropki pośrednie, aby robić linią. Rozumie się, że tu nie potrzeba długich przez całą tablicę linij. Celem jest najprędsze formowanie litery, a to jeszcze litery najmniejszéj i najprostszéj, składającéj się z dwóch kresek i jednéj kropki. Przy robieniu linij a *raczéj kresek* postępuje się, jak poprzednio wskazaliśmy. Kreski krótkie robią się poziomo od lewéj ku prawéj, pionowo z góry na dół, skośnie z góry na dół, i z dołu do góry; przyczém zwróci się uwagę dziecka na to, że z dołu do góry zrobione kreski *z natury swéj* zawsze są cienkie, gdyż ręka nie bardzo ciąży na rysiku, kiedy kréski odwrotnie zrobione z natury swéj są grube.

Że i tu kréseczki odliczać się mają, dla zatrudnienia dziecka i natężenia jego uwagi zapewne obszerniéj dowodzić nie potrzeba.

Baczny czytelnik z pewnością sam się domyśli, że teraz przejdziemy do liter: zanim jednak wskażemy ich porządek w nowéj metodzie, zwrócimy jego uwagę na dwie rzeczy: 1) że ona nie zna abecadła, nie wiadomo przez kogo wynalezionego, a w którém, jak słusznie powiada *A. Morzycki* (1), głoski stanęły bez ładu, jakby wysypane nieoględnie, z obojętnością, jakie zabiorą miejsce; 2) że pisane litery tak zwane małe, dzielić można na cztery kategorye, a mianowicie:

I piszące się między dwiema liniami.
II « « trzema « *do góry*.
III « « « « *na dół*.
IV « « czterema liniami (czyli zajmujące wysokość liter kategoryi drugiej i trzeciej).

Kiedy zatém dziecko już umie robić kréski, a wszystkie tylko między dwiema liniami, aby ręki jego nie męczyć, przystępuje się do zestawienia jednéj kréseczki, zrobionéj od lewéj z dołu ku prawéj do góry, z kreseczką zrobioną z góry na dół,

(1) Rys grammatyki języka polskiego. Warszawa. 1857. Str. 17.

a na dole lekko zaokrągloną, nad którą to figurką robi się kropka. Oczywiście, że tu powstała litera *i*, będąca pierwszą *samogłoską*. Po wprawieniu dokładném téj litery łączą się dwa *i* z sobą, z opuszczeniem kropek, zkąd powstaje *u*, które się teraz na przemian przez kilka minut wprawiają.

Ponieważ teraz przejść mamy do liter okrągłych o, a i e, wprawiają się dzieci przez krótki czas w robieniu linij okrągłych, wszakże nie większych jak litery, do których najprzód służyć będą. Jedna taka linia zupełnie zaokrąglona a zamknięta u góry, tworzy literę *o*. Opuszczając zamknięcie zaokrąglone, a łącząc tylko końce grubszego łuku z końcem cieńszego, i dodając do tego część u, powstaje *ą*. Dla napisania *e* przeciągnie się kréseczkę ku prawéj zaokrągloną od lewéj z dołu i dodaje się połowę o.

Nic łatwiejszego, jak z tych liter zrobić *ó, ą, ę*; wszakże lepiéj poczekać nieco, zwłaszcza, że ó może na początku sprawić małe pomięszanie dla brzmienia swego.

Zdaje się, że czytelnik już odtąd samby potrafił wynaléźć dalszy porządek czyli następstwo, bo nic prostszego, jak zrobić z u n, nie powiedzieć nazwy *litery*, tylko dać dziecku *brzmienie, głos*, jaki wydobywa się przy wymawianiu téj głoski, a zatém nie nazwać jéj en, i zaraz łączyć n z i, u, o, a, e (a nawet z ó, ą i ę), zkąd powstaje: ni, nu, no, na, ne (nó, ną, nę), co dziecko pisze i czyta.

Dla przemiany i wprawy nauczyciel pisze syllabę, a dziecko ją czyta, lub nauczyciel dyktuje a dziecko ją pisze. Tym sposobem uwaga dziecka nieustannie jest zajęta, duch jego wciąż czynny a wkrótce budzi się zmysł estetyczny, bo chodzi o to, któreby z dzieci najpiękniejsze litery robiło. Otóż jest kaligrafia bez nazwy takowéj, bez marnowania czasu i bez zabójczego siedzenia, a raczéj dukwienia nad czczą formą litery bez znaczenia i ducha.

Głoski następują w porządku: m (z n), w (z m, lub u), c (zrobionego z o) r (z n i haczyka, którego nauczenia i minuty czasu nie zajmuje), s, które wymaga trochę ćwiczenia) i z (będące najtrudniejszą z wszystkich liter).

Nadmieniamy wszakże, że się nie należy zbytecznie kwapić z nauczaniem następnéj głoski, dopóki pierwsza nie jest dokładnie odróżnioną od poprzedzającéj i że przy wprawie późniejszych zawsze poprzedzające uwzględniane być winny. Objaśnimy to następnym przykładem.

Chcemy wprawić głoskę w (nie *wu*); dziecko zatém już zna n i m; każe się zatém np. pisać: wa, we, nu, mi, wo, wi, ma, ne i t. d. Obok tego pilnować należy, aby dzieci nie pisały ciągle w porządku wyżéj wskazanym, w jakim się samogłosek nauczyły: to bowiem łatwo wyradza się w mechanizm bezrozumny, i w owe przeciągłe śpiewanie, tak podobne do głosów pochodzących z owczarni. Dziecko ma wciąż myśleć, uważać; do tego jednak nie zmusza go wołanie ciągłe nauczyciela, aby uważało, lecz sam przedmiot i uwaga nauczyciela. Tylko gdzie sam nauczyciel w klassie z całą jaźnią swoją jest obecny, gdzie jest *przytomny*, tam nie potrzeba dzieciom pisać w zaświadczeniach: że nie były uważnemi. Notka ta w świadectwie szkolném jest naganą dla nauczyciela, poświadczeniem jego nieudolności, wskazówką, że on myślał o czémś innem, jak o swém powołaniu, jak o przedmiocie dzieciom wykładanym. Żywości zaś nie trzeba nazwać brakiem uwagi: dzieci w szkole żyć mają, bo szkoła jest dla życia, nie zaś życie dla szkoły.

Z głosek dotąd poznanych tworzą się wyrazy: jednozgłoskowe, dwuzgłoskowe i wielozgłoskowe, jak np. 1. *mam, sam, nas, nos, sen, mur, ser, są, wąs, rów, war, wór;* 2. *rama, mama, nowa, mowa, newa, suwa, rawa, mina, musi, sowa, mąci, córa, wara, nęci, owca, nosi, runo.* 3. *namowa, córunia, murowane, wozownia, mamunia* i wiele innych, jakie nauczyciel *uważny* sam łatwo znajdzie i do wynalezienia których dziecko naprowadzić może.

Teraz przechodzi się do liter pisanych między *trzema liniami do góry*, a mianowicie wprawia się w **l**, powstające z i; ł z l; t z l; b z l; d z a; h z n, i k z h: i tu jak poprzednio trzymać się wypada zasady wyżéj wyrzeczonéj: nie przechodzić do drugiéj, póki pierwsza nie jest zupełnie dobrze znaną.

Z połączenia tych tak zwanych wysokich liter z samogłoskami i za pomocą dwulinijnych powstaje już bardzo znaczna liczba wyrazów, jedno, dwu i wielozgłoskowych, np.: *len, mel, lis, cel, nil, los, tom, sól, las, wół, tam, tor, ława, meta, weta, rola, mało, tama, duma, tata, wada, wata, soda, woda, moda, rada, lada, lód, bal, tok, kot i mnóstwo innych.* Poszukiwanie tych wyrazów, małym niezmierną sprawuje radość i jest jednem z najlepszych ćwiczeń umysłu.

Litery nizkie, piszące się między trzema liniami *na dół*, wyprowadzają się: j z i, y z u, g z a, p z h. Na ostatku pokazuje się f, zajmujące cztery linie, nie polski x, zastąpione

wybornie przez ks, i głoski, dla których nasz głoskozbiór, pochodzący z łacińskiego, nie ma jednolitego znaku, jakkolwiek jedną są głoską i zmiękczone, jakoto: ś, ź, ż, rz, dz, dź, dż, ść, sz, cz, szcz, po wprawianiu się w nie przejść można od pisania pojedyńczych wyrazów, do pisania zdania prostego (nierozwiniętego), np. *matka jest dobra, brat jest miły, wieża jest wysoka, śnieg jest biały, woda jest płynna; róża kwitnie, zegar bije, słońce świeci, pies szczeka, ptak śpiewa; dom jest budynkiem, fiołek jest kwiatem, piwo jest napojem.* Przy zdaniu wprawiają się zaraz tak zwane wielkie litery, które się na familie dzielą. Najłatwiejszemi literami tego rodzaju są należące do familii C, do której się liczą: C, O, E; po niéj następuje familia S, mianowicie: S, L, Ł, P, B, R, T. F, I. Z familii C i S powstają: A, G, H, K, D; litery M i N stoją odosobnione, a U, W, Z są tylko powiększone z małych odpowiednich liter.

Łatwo każdy pojmuje, że bez trudności na tém postępowaniu grammatykę osnuć można i postępować najsystematyczniéj do zupełnie rozwiniętego peryodu i sami mamy ochotę rozprzestrzenić mały artykulik znajdujący się w naszéj tece od lat kilka dla pokazania rozwoju grammatyki bez uczonych frazesów. Tu tylko zwrócimy uwagę na to, że z przyjęciem i rozwojem téj metody stary tryb nudny upaśćby musiał, który się opiera na Kopczyńskim. Naród temu mężowi winien wdzięczność, ale on nie chciał, aby nie było postępu. Stał on tam, gdzie w Niemczech Heyse, którego Becker i Grimmowie usunęli. Nasz Morzycki może pójdzie ich torem.

Co się tyczy dalszego postępowania, doszliśmy już i do czytania. Jedna lekcya wystarczy, aby dziecko obznajomić z drukowanemi literami, a czy będzie umiało czytać zdania, jakie pisać umié? na to odpowiedzieć, pozostawiam sądowi czytelników. *Estkowski, Łukaszewski* i *Rakowicz* w W. Ks. Poznańskiém z wszystkich Polaków dotąd najlepiéj rozwinęli metodę czytania, poczynającą od pisania; my w niniejszém tylko chcieliśmy zwrócić uwagę tutejszéj publiczności na ten ważny przedmiot, który, ile nam wiadomo, jeszcze w żadnym polskim czasopiśmie nie został traktowany.

Czas, abyśmy się także z tą metodą obeznali: ona jedynie ułatwia rozwój umysłu młodocianego i budzi chęć do nauki, kiedy stara wpływ zabójczy na umysł dziecka wywiera.

Albin Kohn.

Poezye Antoniego Edwarda Odyńca. Wydanie nowe, poprawne i pomnożone. Wilno. W drukarni A. Syrkina. 1859 r. Tomów dwa.

Odyniec najdłużéj znajomy był jako tłumacz, a uważany w tym charakterze, liczbą dzieł, ich wyborem i wykonaniem więcéj niż ktokolwiek zasłużył się literaturze naszéj. Następnie, oryginalnym dramatem *Felicyta* i niedawno wydanym poematem dramatycznym *Barbara Radziwiłłówna*, zyskał tak wielki rozgłos, że aby mieć prawo cichszego odezwania się śród wielbiącego chóru, trzebaby przyjść z argumentami w ręku, które nie tu miejsce i pora produkować. Lat blizko czterdzieści zasilając literaturę, Odyniec, pomimo że liryczne jego utwory rozchodziły się, to w osobnych wydaniach, to pojedynczo po pismach czasowych, mało jednak był znanym a tém samém mniéj jeszcze ocenianym być mógł jako poeta liryczny; obecny dopiero dwutomowy zbiór ma nam go dać poznać z téj strony całkowicie.

W zbiorze tym opuścił autor niektóre wiersze krótszych rozmiarów, znane zkądinąd, dodał zato inne zupełnie nieznane, zamykając w nim prace swoje liryczne, wykonane od pierwszego wystąpienia na polu poetyckiém aż do obecnéj niemal chwili, co na liczbę uczyniło do stu kilkudziesięciu różnej formy, wartości i rozmiaru wierszy. Nie jest ani potrzebą ani podobieństwem, abyśmy tu wdawali się pojedynczo w rozbiór każdego utworu, ale, kierując się znaczeniem szczegółów i stosunkiem ich tak do potrzeb społecznych, jako też i do warunków dzisiejszego pojmowania zawodu poetycznego, możemy tylko wskazać ogólny charakter całości; przedewszystkiem zaś mamy prawo i obowiązek zapytać się: jaki jest ideał poetyczny, który wyobraźnia autora ma wprowadzić w życie? Otóż tego to ideału, który byłby indywidualnym tworem poety; któryby z niewidzialnego piękności świata wyprowadzał nową, nieznaną postać; któryby dodawał nowy dźwięk mający wzbogacić i urozmaicić harmonią myśli i uczuć ludzkości; takiego, powiadam, ideału nie spostrzegamy w lirykach naszego autora: wszystko, owszem, cokolwiek tam jest, nie przechodzi poza granicę kommunału. Brak jednakże myśli twórczéj, oryginalnéj; brak wielkiego indywidualnego znamienia, lubo odejmuje piszącemu miejsce w rzędzie patrycyuszów intelligencyi, nie wyklucza go jednak z grona ludzi wpływowych i użytecznych: jest to tylko

drugie stanowisko jak w nauce tak i w poezyi, stanowisko, że tak powiem, pomocnicze. Jako na niebie świata obok królujących słońc świecą niezliczone gwiazdy, tak i na niebie twórczości, każde, by najmniejsze światełko ma swoje znaczenie i funkcyą, i dlatego też każdy, z czyjéj myśli i pracy błyska choć promyczek światła wskazujący drogę do dobrego, jest dla nas miłym i szacownym towarzyszem w śród téj bolesnéj pielgrzymki naszego żywota. Gdybyśmy czekali na to tylko, aż nam się zjawi monarsze oblicze geniusza, który odrazu ma odkryć nieznany gościniec wiodący do prawdy, Bóg wie, jakbyśmy długo czekać musieli; a tymczasem pole duchowéj pracy, nie zasilane drobniejszemi usiłowaniami, leżałoby odłogiem. Nieubłagani dla lekkomyślnych uzurpatorów prawa do publicznéj działalności, dla ludzi profanujących godność pisarską publikowaniem nieudolnych płodów próżniaczéj myśli lub rzemieślniczego zamiaru, nie możemy, pod grzechem niewdzięczności, nie uznać zasługi choć skromnéj ale rzeczywistéj.

W duchu więc powyższego przekonania, jeżeli zaprzeczyliśmy Odyńcowi téj potęgi, która z siebie snuje ideały; jeżeli, zdaniem naszém, myśl jego krąży jedynie śród znajomych światów; nie idzie zatem, aby te jego utwory nie miały znaczenia i zasługi, jaką poeta zdobyć sobie może na tém drugiém stanowisku; ale znaczenie to zależéć już tylko może od saméj formy, w jaką autor myśl swą przyoblekł, od formy, która jest żywotnym poezyi pierwiastkiem. Przedmiot może być ogółowi przystępnym, owszem zupełnie znajomym, forma tylko wtedy, jako substancya zapatrującéj się nań myśli poetyckiéj, może nadać wartość przedmiotowi, a na taką formę talent tylko zdobyć się zdolen. Odyniec, jako poeta, należy do tego wiekopomnego legionu entuzyastów, który pierwszy wyprawił się po nowe zdobycze w nieznaną do owéj pory u nas krainę poezyi; wspólność ta uświetniła jego imię, a pierwotnym pracom nadała tę barwę jedności twórczéj i plemiennéj, która połyskuje na wszystkich tamtoczesnych płodach młodzieńczych natchnień. Pod hasłem i przewodnictwem wielkiego mistrza postępując młodzi rówiennicy, wszyscy są zrazu mniéj więcéj do siebie podobni, wszędzie naprzód fantazya ludu wyraża się romantyczną nutą a myśl buja albo po zaczarowanych światach cudów i urojeń, albo przesiaduje u mogił przeszłości, albo w erotycznym rozlewa się dźwięku. Odyniec śpiewa wtedy ballady i legendy. Dobrze to było z tą wspólnością: czuwała ona nad podtrzyma-

niem ogólnego zapału, który znowu umacniał pojedyncze siły; ale nastąpił czas, gdzie trzeba było ręce rozłączyć, pierś od piersi oderwać; gdzie każdy, wyszedłszy z tego zbiorowego stanowiska, musiał nareszcie o własnéj postępować sile, szukać zasługi przez samego siebie, i to miało być próbą indywidualnéj każdego dzielności. Nareszcie i droga dotychczasowa okazała się za szczupłą: rozszerzył się firmament poglądu; poeta oderwany od czarodziejskich zmyśleń musiał spojrzeć we wrzące życie obecności; wieszcz usiłował przedrzeć się w przyszłości tajnie. Wtedy to, po takiém rozbiciu, osamotniony i własnéj samodzielności pozostawion poeta nasz, niemogąc snadź odrazu znaleźć warunków tworzenia, odpowiednich potrzebie epoki, zajął się przekładami arcydzieł obcych, wprowadzając tym sposobem do pojęć naszych, myśli wszechświata: nareszcie, po namyśle, zdaje mu się, że odgadł potrzeby wieku: natchnienie jego zbudziło się pod tém uczuciem; w *Felicycie* daje nam obraz niewiasty chrześciańskiéj, w *Barbarze* niewiasty polskiéj. W przerwach pomiędzy temi dobami nastraja chwilowo myśl swą do lirycznego tonu a owocem tego usposobienia są obecne utwory.

Jak w dwóch dziełach obszernego rozmiaru tak i w tych drobnych Odyńca utworach, które nas tu wyłącznie zajmować mają, przeważnym jest element religijny, a formą ich po największéj części refleksya, rzadziéj nierownie fantazya. Religijne to usposobienie autora przejawia się zaraz w pierwiastkowych jego, pełnych świeżości i młodzieńczego jeszcze polotu, legendach: *Pokutnik*, *Jałmużna*, *Pacierze*, i jakby nić jaka snuje się nieprzerwanie przez cały szereg utworów. Legenda jest formą ulubioną Odyńca, widać dlatego, że w niéj najdogodniéj objawiać mu tę myśl religijną, która twórczości jego towarzyszy nieodstępnie; a nadto, że ona znajduje gotowe już rusztowanie i kontury w podaniu ludowém lub świątobliwéj tradycyi, tak iż pozostaje tylko przyoblec przedmiot w koloryt artystyczny, co niemałém jest ułatwieniem dla autora, któremu pomysł własny z trudnością przychodzi. Postaciowanie pojęć religijnych wdzięcznem jest poezyi zadaniem i od drobnych do najkolosalniejszych rozmiarów doprowadzonem być może, jak tego dowodzi Boska komedya, nie wspominając już o niektórych dramatach Kalderona albo powieściach Bajrona i Moora; dlatego też i legendy Odyńca, lubo nieodznaczające się oryginalnością pomysłu i po większéj części zamknięte w granicach samego faktu, posiadają jednak zalety oddania, zwłaszcza też początkowe, które

najłatwiéj rozróżnić, każdy bowiem utwor zaopatrzony jest w metrykę urodzenia. Ale nie potrafił Odyniec zachować miary w téj religijności: zapomniał, że poezya potrzebuje koniecznie ciała i krwi, ażeby żyć życiem własném, nietylko życiem swego przedmiotu; że ona śpiewa lub obrazuje: mówić nie jest jéj powołaniem. W późniejszych utworach swych przechodzi on kolejno od podań do kościoła, od kościoła do zakrystyi; posiłkuje się teologiczno-moralnemi frazesami i aż dwa razy woła na nas: *memento mori*. Jest to zapewne rzecz pożyteczna myśléć o śmierci, ale gdyby od tych tylko średniowiecznych rozmyślań miało zależeć kształcenie życia, byłby to wzgląd ciasny i niejako interesowany, urzędowe spełnianie przepisów przez bojaźń kary lub chęć nagrody. Życie ma samo w sobie tysiące wyższych względów, bliższych lub dalszych, które zdolne utrzymać ducha w jego boskiéj zacności; a poezya, która cała jest życiem, w życiu téż najwięcéj szuka dla siebie zasiłku i zamiast téj przedawnialéj mniéj reguły, rada wskazuje nam zalety i obowiązki życia wyrażając się przeciwnie słowy filozofa: *Homo liber de nulla re minus quam de morte cogitat: sapientia enim ejus non mortis sed vitae est.* Wreszcie niech sobie poeta w czémkolwiek szuka natchnienia, ale niech słowo jego będzie muzyką dla duszy nie zaś mumią sentencyi, któremi można wprawdzie szafować, bo nic nie kosztują prócz ułożenia ich w rym: a w takie obfituje zbiór p. Odyńca, pierwszy zwłaszcza tom, który rzadko ma stronnicę, co obyłaby się bez wyrazu: Bóg, lub z nim równoznacznych. Lecz jak nigdzie i nigdy z Imieniem tém nie można się bardzo poufalić, tak téż tembardziéj w poezyi, gdzie się za wyrazem szuka zawsze obrazu, a tymczasem tu ileż to razy poeta użył imienia Pana Boga swego nadaremno. Jak praktyki kościelne same przez się nie stanowią jeszcze pobożności, tak téż kombinacya mszalnych wyrazów i katechizmowych zdań, nie daje obrazu religijnego uczucia, ani nie ma dostatecznéj siły, aby przedrzeć się do serc tęskniących za pociechą i nadzieją. Jeżeli kto nam powie prozą czy wierszem, że:

> Duch, Zbawca świata; duch, Pastorz ludu;
> Duch, żar Miłości; duch, światło wiary;
> Duch, tchnienie Łaski; duch, siła cudu;
> Duch, wieniec krzyża każdéj ofiary! (str. 23 tom 1):

to jeszcze pomimo siedmiorakiéj definicyi ducha, nie czujemy tu jego powiewu, ale tylko szelest wyrazów. Unikając szeregu

cytacyj, poprzestajemy na tém jedném przytoczeniu, aby tylko pokazać, jak poezya niweczy samą siebie, ilekroć obrazowanie zastępuje rozumowaniem, z którém tu tak często jednakże musieliśmy się spotykać. Nie tylko to, ale Odyniec, tworząc pod wpływem uczuć religijnych czy moralnych, ujął wdzięku tym swoim lirykom, stawiając się bardzo często na stanowisku obojętném, niezależném od miejsca i ludzi, dla których tworzył, nie uwydatniając dosyć pojęć i interesów społeczeństwa, które pieśń jego ma reprezentować. Tym sposobem zginęło tu ogniwo sympatyi mające wiązać piewcę ze słuchaczem, które jednak zawiązuje się znowu, ilekroć poeta nasz dobiera się do rodzinnéj nuty. Ażeby dostać się do serca, trzeba mówić językiem ogółowi wdzięcznym i zrozumiałym; wtedy, choć się coś i nie domówi, to się doczuje, i myśl błyskawicą rozbiegnie się po sercach, a kommunał, choćby najpiękniejszy i najprawdziwszy, zwietrzeje na papierze: taka to już natura nasza. Gdyby nawet wzgląd ten ktoś uważać chciał za czasowy, nie mający koniecznego związku z ogólnemi warunkami tworzenia, to i tak jeszcze odpowiemy mu na to, że znowu nie tylko w téj ulubionéj naszemu poecie sferze religijności, ale i w całym poglądzie jego na świat i życie, widocznym jest brak téj egotycznéj siły, która tworzy potężny liryzm i może obejść się bez plastycznego, więcéj uzmysłowiającego się kolorytu. Nie wątpimy, że autor nasz szczerze przejęty jest znaczeniem prawdy, jaką chce wyrazić, ale temu moralnemu przejęciu się jego nie towarzyszy w chwili wyrażenia artystyczny zapał, któryby ciepła i jasności udzielał słowom, w prost z piersi wychodzącym, i dlatego Odyniec, ilekroć występuje egotycznie, widzimy w nim tylko zimnego moralistę, kaznodzieję bez powołania. Inaczéj się rzecz ma, gdy on, zasłoniwszy się zupełnie, natrafi na przedmiot, który jest żywym obrazem jakiegoś pojęcia zawartego w abstrakcyi. Jeżeli wszystkie jego sentencye religijne obojętnie przeszły nam koło uszu, to znowu jednym takim obrazkiem uprzytomniającym pojęcie, ale już przejawiające się w bycie rzeczywistym, jak *np. Nowy bogacz, nowy Łazarz*, odrazu chwyta za serce. Wiersz ten ma tyle prawdy, tyle uczucia ludzkiego i poetycznego, w taką obleczony wdzięczną ludowo— religijną formę, iż każdy poczyta go za mały klejnocik poetyczny; obok niego znajdą się i inne nie mniéj wdzięczne, czy to wyrażające pewne pojęcia moralności, jak *Anioł Stróż*; czy względy obyczajowe, jak *Wieczór przed balem*, *Wieczór kawalerski*; czy wreszcie pewne wspo-

mnienia w formie ballad ułożone, z których jedna p. t. *Wesele* należy do najpiękniejszych pomników naszéj romantycznéj epoki. Owoż zdaniem naszém, Odyniec tam tylko szczęśliwiéj wywiązuje się z zadania poety, gdzie trzyma się formy opisowéj, i albo sam ucieleśnia pojęcie, albo je znajduje w gotowym przedmiocie, który należy tylko obrobić. Nie bez tego, aby i sam poeta nie uznawał, że mu na tej drodze najdogodniéj; jednak nie wiem dlaczego tak mało się jéj trzymał, puszczając się w sfery czystéj abstrakcyj, których odległości nie rozmierzył dostatecznie.

Lubo najudatniejszemi z wierszy Odyńca są te, w których przemaga opisowość, jednak i pomiędzy niemi wypada jeszcze zrobić różnicę, a mianowicie: oddzielić te, które przy całéj dążności moralnéj, widać przecież, że są pisane czy z okazyi, czy pod wpływem przemijających okoliczności lub drobniutkich wrażeń, jako to pomiędzy innemi: *Piorun*, *Wir Stolików*, *Garnuszek śmietanki* i t. p. nie mające prócz formy mechanicznéj, żadnego z poezyą związku. W ogóle cały ten zbiór świadczy, że u jego autora poetyczność nie jest stanem ciągłym, normalnym; ale raczéj chwilowém, przechodniém usposobieniem, które wydało wiele pięknych rzeczy, o jakich nie przemilczeliśmy, tak jak nie przemilczamy o tém, co jest tu płodem wyłącznie zastanowienia posiłkowanego, zręcznością pióra lub prostą igraszką wierszopisarską. Do takich też należą po największéj części wiersze panegiryczne i korrespondencye wierszowe (epistolae) tak licznie w tym zbiorze reprezentowane: są to zapewne miłe pamiątki stosunków serca czy inteligencyi, połyskujące niekiedy dowcipem, mieszczące trafne zdania o świecie i ludziach, jednakże dziś pewna ich część straciła nawet interes towarzyski, a wartość artystyczna choćby najudatniejszych nie dorównywa wartości pamiątkowéj: kilka z nich nadto, których tytułów tu nie wymieniamy, świadczą jeszcze o zdradliwości chwilowych wrażeń, do których p. Odyniec jest widać bardzo skłonnym i ani się tego zapiera, ani widać ma to za złe, kiedy objawy ich reprodukuje ku wiecznéj pamięci; za czém nie idzie, abyśmy i my tego za złe mu nie mieli. Więcej nierównie, niż w odezwach do żywych, znajdujemy prawdziwéj poetyczności w trenach po zmarłych, których jest tam cztery, a z pomiędzy nich wiersz na śmierć Brodzińskiego i więcéj jeszcze na śmierć Klaudyny Potockiéj, odznaczają się nadzwyczajną rzewnością. Znaczną część tego zbioru stanowią przekłady z różnych języ-

ków wzorowo wykonane, o czém wreszcie i wątpić nie można było, bo któryż przekład Odyńca nie jest wzorowym. Ażeby uzupełnić myśl naszą o tym zbiorze, powiemy jeszcze, że całość przedstawia się oku jakby zarostek, w którym dużo jest pospolitego ziela, a pomiędzy niém gdzieniegdzie tylko wyziera kwiat świetniejszego blasku; czyli mówiąc bez figur i ogródek: całość ze stanowiska moralnego przynieść może pewien pożytek, ale kilka zaledwo wierszy mają przed sobą przyszłość jako utwory sztuki.

Powiada Odyniec w przedmowie:

„Gdzież dziś to grono mistrzów, towarzyszy,
Ojcowskich sędziów i obrońców bratnich?
Najbliżsi sercu śpią w grobowéj ciszy;
Reszta rozpierzchła, czyż nawet dosłyszy
Z ust przyjaciela, głos pieśni— ostatnich?

Otóż na to pytanie jednę mamy tylko odpowiedź, iż życzyćby należało w interesie autora Felicyty i Barbary, aby tych ostatnich nie dosłyszeli. Dlaczego?.... to się mniéj więcéj wyjaśnia w drugiéj strofie przemowy: zasmuciliby się oni zarówno z nami, że ich brat, przyjaciel, nie umiał dość uszanować chluby swego imienia, produkując rzeczy tak niepodobne do pierwotnych wzorów, jakie nam przedstawiał.

Jest to zapewne, wielka odpowiedzialność, odzywać się surowém słowem o człowieku, który przywykł tylko do poklasku i który z wielu względów ma niezaprzeczone prawo do uznania narodu; ale te właśnie powody skłaniają nas do wypowiedzenia myśli naszéj, z żalem przez cześć dla tak wielkiéj zasługi, ale i z całą swobodą przez wzgląd na szacunek, jaki winniśmy wzajem sobie i ogółowi, dla którego pracujemy wszyscy, których Bóg do ołtarza publicznéj posługi powołał.

Dnia 29 grudnia 1859 roku.

Kazimierz Kaszewski.

ROZMAITOŚCI.

MENNICA ŁOBŻEŃSKA.

Wiadomą rzeczą jest, że z czasów panowania Zygmunta IIIgo posiadamy dość znaczną ilość zdawkowéj monety, oznaczonéj jużto napisem LOBZ, jużto herbem Leszczyc, a często i jedném i drugiém. Z roku 1612 podobno mamy najpierwsze (*), a ostatnie pochodzą z roku 1650. Co znaczy herb Leszczyc na monetach, co napis LOBZ, przez długi czas nie wiedziano. Od Bandtkiego począwszy uznawano monety te za wyrób mennicy problematycznéj, która w Łobzowie wedle domysłu istnieć miała, na co jednakże nie było żadnych dowodów. Kiedy poważny głos Ambrożego Grabowskiego po sumiennem rozpatrzeniu współczesnych źródeł zachwiał mniemanie o mennicy łobzowskiéj, zaczęto na nowo śledzić pochodzenia denarów i ternarów tego stempla. Zagadniony od Karola Beyera w czasie piérwszéj jego bytności w Poznaniu, zacząłem się krzątać za śladami mennictwa w Łobżenicy, miasteczku wielkopolskiém. I znalazło się przynajmniéj tyle śladów, że domysłowa mennica łobżeńska na zawsze zaćmiła bardziéj jeszcze domysłową mennicę łobzowską. Jan Bekier, mincarz z powołania, niedotrzymawszy kontraktu zawartego z miastem Poznaniem w r. 1612, udaje się do Łobżenicy; Krotoscy właściciele owcześni Łobżenicy należą do herbu Leszczyc, który i na monetach rzeczonych występuje; LOBZ słusznie przeto można czytać Lobzeninensis; na domiar łąka jakaś pod Łobżenicą dziś jeszcze znana pod nazwą mennicy. Te ślady dla numizmatyków były dowodami dostatecznemi istnienia mennicy nad rzeczką Łobżanką.

Kiedy się w Gazecie Warszawskiéj (1856 Nr. 79) ukazała piérwsza wzmianka o mennicy łobżeńskiéj, wyruszył przeciwko niéj (Kro-

(*) W ugodzie z d. 14 maja 1611 r. między Wacławem Zawadzkim a Piotrem aptekarzem uczynionéj (Lib. Consul. Łobż. fol. 202) znajduję warunek „aby Piotr aptekarz starszy wypłacił Wacławowi Zawadzkiemu summę główną 100 złotych polskich każdy po groszy 30 licząc *tutecznéj* zwykłéj monety.“ Jeśli *tuteczny* w tém samém znaczeniu wzięto jak „*księgi tuteczne* i „*piwa beczka tuteczna po złotych dwa i groszy 12*“ natenczas powstałoby pytanie, czy w Łobżenicy nie bito zdawkowéj monety przed rokiem 1612.

nika Wiadom. Kraj. i Zagran. 1856 Nr. 50) z całym zasobem uczoności i szyderstwa znany powszechnie historyograf wielkopolski. Z rubaszną ironią przystaje na odkryte rzekomo przez uczonych Wielkopolan monety Popielów, kroniki klasztorne z czasów Mieczysława Igo, i dzięki składa uczonym ślęczeniom młodych Wielkopolan za odkrycie mennic po naszych miasteczkach wielkopolskich. Niedowierzając jednakże, żeby i w jego rodzinném miasteczku Łobżenicy istniała mennica za Zygmunta IIIgo, szuka w niewinności duszy jéj śladów po Voluminach Legum, po dziełach Kromera, Starowolskiego, Cellaryusza, Brauna, Czackiego, Bandtkiego, Zagórskiego i innych i przeziéra nawet po swojemu starodawne archiwum miejscowe w Łobżenicy; lecz nie znajduje żadnego śladu. Ale wszystko to było „*żartem*", o czém ostrzegłszy publiczność czytającą, napomina z powagą, aby panowie archeologowie, numizmatycy mennicą łobżeńską nie zaprzątali sobie daremnie głowy, gdyż nie było jéj nigdy. W końcu rozwięzuje stanowczo i z zadziwiającą pewnością zagadkę nauczając, że Jan Bekier zerwawszy kontrakt zawarty w r. 1612 z miastem Poznaniem udał się w tymże samym roku do Łobżenicy pod protekcyą Mikołaja Sieniawskiego, niby to owczesnego dziedzica Łobżenicy i puścił w świat bez upoważnienia rzeczypospolitéj pewną ilość fałszywych denarów i ternarów z rozmaitemi datami i z skróconém nazwiskiem miejsca bicia LOBZ.

Cześć historykowi, który sumiennem zbadaniem przedmiotu i stanowczém wystąpieniem oszczędził numizmatykom dalsze mozoły! Bo też nie każdemu dano podejmować trud przeziérania *niedogryzionych przez myszy* archiwów i wertowania zbutwiałych kartek.

Wszakże nie wszystkie jeszcze księgi *podarto pod placki*, a czasem nie wadzi zajrzeć do nich, choćby i napół były zbutwiałe. Weźmiemy więc tylko dwie księgi łobżeńskie pod rękę: jednę nazwaną *Liber Consularis actionum perpetuarum*, drugą *Liber Advocatialis*. Rzecz szczególna! Godzina czasu poświęcona przerzucaniu kart dostarcza nam dowodów, że Łobżenica jeszcze w roku 1620 należała do Jędrzeja Krotoskiego, a nie do Mikołaja Sieniawskiego (*); że ów zbiegły Jan Bekier urzędowo nosi nazwę mincarza łobżeńskiego, bo tak go po śmierci nawet księgi w r. 1622 nazywają; że następnie w roku 1623, kiedy niestało Bekiera, zjawił się niebawem inny mincarz Hans Jurga Meinhart, któremu styl urzędowy nie odmawia nazwy mincarza łobżeńskiego i który w charakterze urzędowym jako mincarz poświadcza złożenie woru pieniędzy w sekwestrze miejskim. A ponieważ Meinhart w czynnościach urzędowych nosi jeszcze w r. 1631, a nawet

(*) A zatém Bekier nie pod protekcyą Sieniawskiego się udał, jak się tam komuś zdawało, ale pod protekcyą Andrz. Krotoskiego. Rok 1616 podany w Raczyńskiego Wspomnieniach, jako data przejścia Łobżenicy z rąk Krotoskich do Sieniawskich jest mylny. Równie pomylił się Niesiecki (IV, 89) nazywając Urszulę Krotoską dziedziczką Łobżenicy i Bartlina zamiast Barcina. Andrzej Krotoski przemieszkiwał w dziedzicznym Barcinie, zkąd zawsze wydaje przywileje i wyroki dla dziedzicznego swego mia-

1634 i 1637 miano mincarza łobżeńskiego, domyśleć się ztąd można, że denary i ternary łobżeńskie od r. 1622 do 1630 bite były przez tegoż Meinharta. Wszakże po r. 1630 była to nazwa tytularna zapewne, gdyż dotąd nie odkryto pieniędzy łobżeńskich bitych po r. 1630.

Wypisy z dwóch rzeczonych ksiąg łobżeńskich do mincarzy łobżeńskich odnoszące się, podajemy w rozciągłości, aby raz na zawsze usunąć wątpliwości poruszone przez sędziwego historyka, a nadto aby wskazać, że niemasz ani mieściny tak nędznej, ani archiwum tak zniszczonego, którego przejrzenie byłoby bez pożytku dla nauki.

Actum feria tertia post festum S. A. Individuae Trinitatis proxima anno Domini 1622 (Lib. Consular fol. 249).

Przed urzędem Bormistrza sławetnym Marcinem Waganieckim stanąwszy oblicznie uthciwa Dorota Mencarka, niegdy uthciwego Hanussa Bekiera mencarza łobżeńskiego małżonka pozostała, maiąc przy sobie za tutora do tego roku utciwego Jana Złotnika, sana mente corporeque existens iawnie iaśnie zeznała. Isz się iéy dosyć stało od Gerzego Złothnika ze sta talerów starych, item ze trzydziesto złotych polskich podług testamentu tegoto nieboszczika męża swego, w którym wzmiankę o tym długu uczynił. Do którego sie ta to recognoscens małżonka iego referuiąc onego s tego długu kwituie, nie chcąc mu się tych pieniędzy czasy wiecznemi upominać.

Actum feria tertia post festum 11,000 virginum proxima anno D. 1623 (Lib. Consular. fol. 254).

Przed urząd Bormistrza łobżeńskiego, sławetnego Macieja Płociennika Bormistrza, Jana Kazimierza i Marcina Kruszkę Radnych przyszedwszy i personaliter stanąwszy Joseph żyd z Grodziska sanus mente et corpore existens iawnie dobrowolnie zeznał: Isz podniosł i odebrał z sekwestru bormistrza łobżeńskiego wór pieniędzy zapieczętowany sobie należący, który był podał do tego sequestru Jan Gieldarsz furman z Grodziska, któremu się on był tych pieniędzy powierzył. Za które tho pieniądze tho iesth za 1639 złotych i groszy 22 Pan Mencarz Łobżeński zapisał się był ręcznym zapisem za impediment urzędowi. S który to podniesiony summy przerzeczony Joseph żyd sequestr, thudziesz y mencarza kwituie nie obiecuiąc się ty summy nikomu nigdy upominać perpetue.

Actum feria tertia post festum Sanctissimae et Individuae Trinitatis proxima a. D. 1631 (Lib. Advoc. fol. 147).

Przed prawem zupełnem Woytowskiem Łobżyńskim Sławetnym Piotrem Aptekarzem woitem i ławicą jego stanąwszy oblicznie utciwy Pan Hennik Petersin, natenczas dzierżawca maiętności sierskiey sa-

stoczka Łobżenicy: tak np., pod d. 15 stycznia 1616 r. przywilej zakazujący osiadać szlachcie w Łobżenicy, jeśli nie przyjmą prawa miejskiego. Dekretem z piątku po Nawiedzeniu N. M. P., r. 1618, objaśnia przywiloj, nadany niegdyś szewcom łobżeńskim przeciw żydom, skóry wywożącym. Z Barcina datowany d. 16 maja 1620 r., tegoż Krotoskiego wyrok w sprawie rozwodowéj Jakóba Wiglewskiego, mieszczanina łobżeńskiego.

nus mente et corpore existens iawnie iaśnie dobrowolnie zeznał: Isz dom swoi własny nie dobudowany w rynku starego miasta na rogu z iednę stronę ulice długiey a z drugą stronę Michała Jerziego domu iego leżący ze wszystkim prawem, panowaniem, własnością y tytułem dziedzicznym i ze wszystkiemi przyległościami do tego domu należącymi, tak długo, tak szeroko, iako zdawna iest na swym placu rozmierzony, żadnego prawa sobie ani potomkom swym na tem domu nie zostawuiąc, Utciwéj Dorocie Mincarzowey Utciwego Hans Jurgi Meinharta Mincarza Łobżyńskiego małżonce i iey potomkom za summę główną gotową doskonale przez tego Hennika podniesioną szesnaście set złotych monety i liczby polskiey, każdy złoty licząc po groszy 30, wzdał przedał y sądownie zapisał na wieczność. Którego domu przerzeczoney Dorocie Mincarcie wolno będzie exnunc używać, dać, darować, zaprzedać, zafrymarczyć y ku swemu najlepszemu pożytkowi obrocić y s potomkami swymi czasy wiecznymi a nie odezwanymi.

Actum feria secunda post festum S. Joannis Baptistae proxima a. Dom. 1634 (Liber Advocat. fol. 171).

Przed prawem woytowskiem Łobżyńskiem oblicznie stanąwszy Utheiwy Hans Jurga Meinhart Mincarz i Mieszczanin Łobżyński sanus mente et corpore existens, iawnie, iaśnie, dobrowolnie zeznał: Isz iest winien długu pewnego istotnego pieniędzy sierocińskich Judycie Burgerównie należących sto złotych monety i liczby polskiey, każdy złoty licząc po groszy 30, który dług obligował i zapisał na dobrach swych wszystkich ruchomych y nieruchomych, stojących y leżących na S. Michał blisko przyszły pospólu y z interesse oddać i płacić zupełnie.

Actum Sabbato ante Dominicam Misericordiae proxima anno Domini 1637 (Lib. Consul. fol. 276).

Przed urzędem Burmistrzowskim Łobżeńskim stanąwszy oblicznie Woiciech Tamson dobrowolnie zeznał, isz mu się dosyć stało od Hanusa Jurgi mincarza z długu pewnego to jest ze sta y piętnastu złotych y groszy 22 za szaty, a to podług ugody między niemi uczyniony, s który to summy od niego odebrany onego ob satisfactionem sibi per ipsum plenarie praestitam quituie. Tenże recognoscens Woiciech Tamson dobrowolnie zeznał, że mu się dosyć stało od tegosz Hanusa Jurgi Mincarza ze trzydziestu y ośmi złotych, a to względem rękoiemstwa pewnego za poranienie przez tego Mincarza onemu uczynionego, w który sprawie praedictus recognoscens z dekretu sądowego przysięgę cielesną wykonał, z który tho satisfactij praedictus recognoscens onego quituie y wolnym czyni.

Actum feria sexta ante festum S. Francisci proxima a. 1640 (Liber Consular. fol. 287).

Przed urzędem Bormistrzowskim Łobżeńskim stanąwszy oblicznie ucciwa Dorota Mincarzowna Ucciwego Wociecha Tamsona małżonka, obrawszy sobie do tego Actu za przeuzdka do zeznania swego niniejszego Ucciwego Piotra Kościerskiego Aptekarza, nieprzymuszona ani żadnym błędem zwiedziona, ale iawnie iaśnie a dobrowolnie zeznała, ysz ona mając w urzędzie sekwestru niniejszego koronę biało-

głowską leżącą perłami osadzoną, która się na część jéj w dziale po matce swy dostała, tę tedy część tey korony pomienionemu Wociechowi Tamsonowi małżonkowi swemu, żadnego prawa sobie do niey nie zostawuiąc, dała, darowała, zapisała, prout ad praesens ninieyszym zeznaniem swoim onemu daie, daruje y zapisuie, y tey korony exnunc odstępuje, podawaiąc ią na używanie pro arbitrio suo przerzeczonemu małżonkowi swemu.

Tyle wzmianek dostarczyły o mincarzach łobżeńskich współczesne dwie księgi miejskie. Na mocy tych świadków historycznych zapewne się nikt nie będzie ani na chwilę wahał ternarów i denarów oznaczonych herbem Leszczyc, uznać za wyrób mennicy, która od r. 1612. a może już od r. 1610 do 1630 pracowała w szlacheckiém mieście Łobżenicy, chociaż nie koniecznie wartkim prądem wysychającéj Łobżanki poruszana, jak tam komuś dowcipami szermującemu domyślać się podobało. Wypada to nadmienić wyraźnie, gdyż znakomity nawet zbieracz monet polskich dotąd nie uznał Łobżenicy za siedlisko denarów i ternarów w mowie będących, lubo może tylko z braku znajomości Gazety W. Księstwa Poznańskiego. Mówimy o Mathy'm, który w Katalogu monet polskich, ogłoszonym w roku zeszłym w Gdańsku, na trzech miejscach umieściwszy Łobżeniczan, to jest: między denarami i ternarami Koronnemi na str. 17, daléj pod osobną rubryką na str. 45, nakoniec na stronie 164, przy oznaczeniu trzeciaka z r. 1627 zawieszonego przy dokumencie gdańskim z r. 1630, raz je odsyła z Zagórskim do Łobzowa, to znów na zamek jakiś nazwiskiem Łobsan, nie domyślając się podobno, że LOBZ jest skróceniem przymiotnika Lobzenicensis, a AN skrócone z *anno* należy do następującéj zaraz liczby.

Dowiodłszy, że rzeczywiście mennica, a nie kuźnia fałszerska istniała w Łobżenicy, ubolewamy, że nateraz nie możemy jeszcze wykazać, jakiém prawem istniała. Wszakże znana nam podobnie od niejakiego czasu mennica lubelska: wiemy, że nadzorcą jéj był w r. 1599 Melchior Roesner; że w tymże roku między innymi pracowali w téj mennicy Maciej Szroeder i Jan Gross; a przecież ani Volumina Legum, ani Braun, ani Czacki, ani Bandtkie, ani Zagórski nic o niéj nie wiedzą, chociaż to była mennica królewska. Że dotąd przywilej nadany Krotoskiemu na zdawkową monetę nie ukazał się, nie upoważnia to bynajmniej do przypuszczenia, że Krotoski kazał bić nieprawnie. A przynajmniej występujący z tém twierdzeniem będzie winien stawić dowody, że czy to Krotoski, czy mincarz jego w przeciągu lat dwudziestu przynajmniéj raz byli pociągani do odpowiedzialności.

W końcu ostrzedz nam jeszcze wypada, że Dorota, którą Meinhart jako wdowę pojął za żonę, nie jest Dorota Bekierowa. W roku 1636 czyni Jan Jurga Meinhart przed aktami wójtowskiemi łobżeńskiemi zapis na rzecz pasierbów swych; a z zapisu tego pokazuje się, że żona jego Dorota była za pierwszym mężem Henrykiem Netta. W zapisie tym Jan Jurga Meinhart nie nazwany mincarzem, lecz tylko mieszczaninem łobżeńskim.

Józef Przyborowski.

WIADOMOŚCI Z NAUK.

CHEMIK.

ROZMOWY JOHN HUMPHRY DAVY

przełożył L. Zejszner.

Rozmowy prowadzone we Włoszech z Ambrożyo, uczyniły mnie religijnym, a zdania Nieznajomego wzmocniły i podwyższyły moją wiarę; uwielbiałem go nietylko dla jego niepospolitych talentów, ale nadto jako wybawcę od śmierci; a przejęty wdzięcznością pokochałem go serdecznie. Zwiedziwszy jamy w Postojnéj (Adelsberg), poważyłem się wieczorem pytać o szczegóły jego życia. Na co tak odpowiedział:

Aby wam dać wyobrażenie, jak się we mnie wyrabiał charakter, muszę sięgnąć do pierwszéj młodości, podobnéj prawie do powiastki w romansie. Początek téj cząstki wiedzy i rozsądku, które posiadam, winienem nieustannéj czynności ducha, zamiłowaniu sławy, obudzonéj już za młodu: jestto skutek drazliwości, łatwo rozniecającéj się a trudnéj do uspokojenia. Moi przodkowie z nizkiego pochodzili stanu, a według opowiadania mojéj prababki, familia nasza bierze początek w starym rodzie Normanów; potwierdzają to przypuszczenie uczucia moje, mogące mieć tylko źródło przyrodzone w dumie, opartéj na przyzwoitości, na sposobie wzięcia się i wytworniejszych obyczajach, budzących się już w wieku chłopięcym, a tak różnych w ludziach gminu. Przypadek zwrócił mnie w młodości do uczonego zawodu: uczyniłem w nim widoczne postępy. Doszedłszy do lat męzkich, uśmiechnęło mi się szczęście, zostałem niezawisłym: odtąd byłem istotnym badaczem przyrody, odprawiałem podróże dla własnéj nauki i dla pożytku ludzkości.

Poznałem największą część Europy i, jak mi się zdaje, rozmawiałem z wszystkiemi sławnemi uczonemi. Prowadziłem żywot bardzo podobny, do sposobu życia greckich mędrców. Powiększyłem nieco wiedzę ludzką i starałem się rozszerzyć cokolwiek szczęście ludzi. W pierwszych latach byłem skeptykiem; jak się stałem wierzącym, opowiedziałem już dawniéj. Uwielbiam nieustannie najwyższy rozum, że udarował mnie łaskawie kilkoma promieniami światła wśród ciemności i zwątpienia, w którém jesteśmy pogrążeni.

Filaletes. Zadziwia mnie, żeś się nie rzucił w życie publiczne, do zawodu prawnego lub polityki; zapewnebyś osiągnął najwyższe dostojeństwa.

Nieznajomy. Żyć dla umiejętności, rozwijać one, uważałem za szczyt moich dążeń. W charakterze moim nie ma tych orlich przymiotów, któreby mnie wzniosły do szczytów towarzystwa ludzkiego, i w saméj rzeczy nigdy nie kusiłem się sięgać onych i jako płaz obrałem sobie najskromniejszą i najłatwiejszą drogę.

Eubates. Nieraz dziwiłem się, dlaczego ludzie bogaci i wysokiego urodzenia tak rzadko poświęcają się umiejętnym badaniom. Jestto droga pełna przyjemności i chwały, dla chcących się odznaczyć: z niéj spływają dobrodziejstwa i błogosławieństwa na bliźnich. A lubo nie dają natychmiast chwilowéj popularności i owoców, jakie otrzymują przewódzcy ludu, chwała przez nie nabyta, trwa bez względu na niestałość losu i wymysły spółczesne. Rzucimy okiem na ostatnie pięć panowań w Anglii, spostrzeżemy o ile Boyle, Cavendish, Howard przez swoją umiejętną wielkość podnieśli imiona tych władców: ale nadaremnie szukamy w teraźniejszéj arystokracyi badaczów przyrody. Nie wielu z odpowiednią godnością zajmuje się umiejętnościami; drudzy oddają się im bardziéj dla zysku, aniżeli dla sławy: pomiędzy pięćdziesięcią biorących patenta na mniemane wynalazki, jeden uczynił zaledwie rzeczywiste odkrycie.

Filaletes. To, co powiedziałeś nam o sobie, dowodzi, że ulubiłeś szczególniéj chemią. Dziwię się temu nie mało. Mnie się wydaje, że wyższa matematyka, czysta fizyka, przedstawiają szlachetniejsze przedmioty do rozmyślania: a patrząc ze strony praktycznéj na rezultaty, jakie otrzymuje chemik, te są nierównie niższe, bo odnoszą się po większéj części do apteki i kuchni.

Eubates. Przyłączam się chętnie do téj zaczepki ulubionéj nauki, lecz dlatego tylko, by pobudzić naszego przyjaciela

do obrony. Radbym go słyszał, jak broni swą umiejętność; nadto chciałbym się nieco zabawić literackiém szermierstwem, a przynajmniéj obudzić jego zręczność, poznać wymowę.

Nieznajomy. Nie mogę nic przeciw temu powiedzieć. Rozprawiajmy sobie swobodnie, nie zapominając, że się bijemy na rapiery, a ostrze mojéj broni powleka aksamit.

— Powstając przeciw chemii, Filalecie, ograniczasz jéj pożytek do apteki i kuchni. Pierwszéj użytek jest dwuznacznym; wprowadzając chemią do kuchni, podnosisz ją do sztuki będącéj podstawą wszystkich innych. Gdybyś naprawdę utrzymywał to zdanie, nie zasługiwałbyś na odpowiedź; lecz że sobie żartujesz, nie ustąpię ci tak łatwo. Nie tyle jestem wymownym, nie zdołam dlatego w całéj świetności przedstawić ten przedmiot, który tyle jest powabnym, że może nawet zjednać współczucie. Powszechnie patrzymy na pyszną maszynę ucywilizowanego towarzystwa, jako na rezultat pracy, dowcipu i przedsiębierstwa ludzi, na który składają długie wieki; nikt wszakże nie próbował wykryć, jak wpływały na nią różne gałęzie wiedzy ludzkiéj i przemysłu. Po większéj części przypisują politykom, ludziom stanu i wojownikom większy udział w tych dziełach, aniżeli się im rzeczywiście przynależy; co oni uczynili, jest rzeczywiście drobnostką. Cywilizacya bierze początek w odkryciu niektórych pożytecznych sztuk: za ich pomocą ludzie doszli do własności, do mienia zapewniającego im wygodę i przyjemność. Konieczność albo usiłowanie, żeby utrzymać to wszystko w całości, prowadzi do praw i urządzeń społecznych. Odkrycie pewnych sztuk nadaje niektórym narodom przewagę i środki do opanowania innych; ci wyuczają się tych sztuk, w końcu przyjmują ich obyczaje. Taki jest w istocie początek, postęp i uszlachetnienie społeczeństwa ludzkiego, zasadzający się na wynalazkach mechanicznych i chemicznych. Żaden naród nie stanął na wysokim szczeblu towarzyskich urządzeń, który nie wykształcił u siebie sztuk pożytecznych do wysokiego stopnia. W saméj rzeczy porównanie dzikiego człowieka z cywilizowanym, dowodzi tryumfu umiejętności chemicznych i mechanicznych, albowiem te są podstawą nietylko jego fizycznego, ale ostatecznie i moralnego stanu. Rzućmy okiem na człowieka, zostającego na najniższym stopniu wykształcenia nam znanego. Zastanówmy się np. nad pierwotnemi mieszkańcami Nowéj Holandyi, ledwie kilka szczebli wzniesionemi nad zwierzęta: wyższość ich zasadza się głównie na tém, że znają

użycie ognia; nadzy z narzędziami drewnianemi w ogniu stwardzanemi, albo z osadzonym na końcu kamieniem lub ością rybią bronią się od dzikich zwierząt, lub je zabijają na żywność; żyją w jamach wykopanych w ziemi albo w chatach ukleconych z kilku pni okrytych darnią. Nie masz u nich i śladu jakiegobądź zbytku, albo jakiéjkolwiek wygody: w saméj rzeczy nie mają zdolności zaopatrzenia się w najpierwsze potrzeby; mowa ich nie wyraźna, ogranicza się do wielkich przedmiotów otaczającéj przyrody, albo do koniecznych potrzeb i życzeń; żyją samotnie albo w pojedynczych familiach bez żadnéj religii, bez śladu rządu, ustaw; ulegają zupełnie potęgom przyrody i żywiołów. Jak różnym jest człowiek stojący na najwyższym szczeblu oświaty. Każdą część ciała jego okrywa nietylko wyrób rozlicznych sztuk chemicznych i mechanicznych, zasłaniający od ostrości pór roku, ale nadto wyrób ten ma piękne i rozmaite kroje: z prochu ziemi, walającego się pod nogami, wyrabia narzędzia służące ku pożytkowi i ozdobie, wydobywa metale ze surowych kruszców i nadaje im tysiączne postacie, zastosowane do niezliczonych potrzeb; wyciąga z roślin wyroby. uszlachetnia one i okrywa niemi powierzchnią ziemi; ujarzmia, ułaskawia nawet najdzikszych, najstraszliwszych i najmocniejszych mieszkańców lasów, gór i powietrzni, a oswojonych przywiązuje do siebie. Nakazuje wiatrom dąć w jego żagle według upodobania na nieograniczonym oceanie: zmusza żywioły, powietrze, wodę a nawet ogień, pracować dla siebie; zgromadza ciała w małéj przestrzeni działające jak piorun i tak urządza tę siłę, że nawet z odległości niszczy, rozdziera skały, znosi góry i wyciąga z doliny wody na wysokości; uwiecznia myśli słowami nie dającemi się zniszczyć, dzieła geniuszu unieśmiertelnia i czyni je własnością wszystkich obudzonych umysłów: zaiste staje się żywym obrazem boskiego rozumu, biorąc i udzielając oddech życia przez wpływ cywilizacyi.

Eubates. W saméj rzeczy siadłeś raczéj w katedrze poświęconéj poezyi, a nie chemii, czyli wyrażę się dobitniéj, zasiadłeś na trójnogu. Prosimy o niektóre bliższe szczegóły, o jasne wywody i dowiedzenie objawionych zdań. Co przypisujesz chemii i mechanice, możemy również przyznać wytwornym sztukom, naukom i poprawom towarzyskiego układu, wyprowadzać one z odkryć, którym przewodniczą Minerwa i Apollo, a nie Wulkan.

Nieznajomy. Wytłumaczę się bliżéj. Przyznasz mi, że wyprawianie zwierzęcych skór, nie rozpuszczających się w wodzie przez połączenie ściągających roślinnych pierwiastków, jest odkryciem chemicznem; bez skór nasze obuwie i pojazdy byłyby zupełnie nie zdatne do niczego. Nie zaprzeczycie także, że blichowanie i farbowanie wełny, jedwabiu, bawełny, lnu jest procesem chemicznym, a onych użycie w rozmaitego rodzaju odzieżach, jest odkryciem mechanicznem; daléj, że roboty z żelaza, miedzi, cyny, ołowiu i innych metali i ich połączeń na różne śpiże, z których wyrabia się największa część narzędzi, używanych przez tokarzy, stolarzy, mularzy, stawiaczy okrętów i kowali, są odkryciami chemicznemi. Nawet drukowanie książek, któremu chętnie obadwaj wielki wpływ przyznajemy, nie mogłoby się wydoskonalić, bez odkrycia metali. Połączenie alkału z piaskiem, albo pewnych iłów z krzemionką dla wydania szkła i porcelany, jest chemiczną sprawą. Farby malarskie, które używa artysta dla przedstawienia przedmiotów przyrody, albo wydania dzieła piękniejszego od rzeczywistości, sporządza chemia. Jednem słowem w każdéj gałęzi przemysłu, jako i w wytwornych sztukach, spostrzegamy wpływ téj umiejętności; w bajce o Prometeuszu, który sięgał po płomień do nieba, aby życie wlał w swego człowieka ulepionego z gliny, można spostrzegać obraz działań płomienia w zastosowaniu do prac chemicznych, by obudzić czynność i podniecić życie społeczne.

Filaletes. Mnie się zdaje, że przypisujesz téj umiejętności to, co jest skutkiem prostego przypadku. Podobało ci się nazwać chemicznemi działaniami, największą część sztuk pożytecznych, które odkryto lub wydoskonalono bez żadnych wyższych umiejętnych systematów. Lukrecyusz przypisuje przypadkowi odkrycie topienia metali. Ktoś się dotknął ślimaka i spostrzegł, że wydaje z siebie ciecz purpurową. Spostrzegamy, że ił w ogniu twardnieje, tym sposobem przychodzimy do sposobu wyrabiania cegieł, które doprowadziły wreszcie do porcelany. Nawet szkło, najdoskonalszy i najpiękniejszy chemiczny wyrób, miał przypadek odkryć. Teofrast opowiada, że kilku kupców, przy ujściu rzeki Belus, gotując na bryle sody, spostrzegło twardą szklistą massę, utworzoną ze stopionéj sody na piasek spływającą.

Nieznajomy. Chętnie przyznaję, że przypadek wielkie ma znaczenie tak w rozwoju sztuk, jak w postępie umiejętności;

lecz bliżéj zgłębiając tę rzecz, nie jest to rzeczywiście nic innego, jak stósowanie do celów powszedniego życia działań umiejętnych i doświadczenia, tudzież skutków przypadku. Nadto nie można zaprzeczyć, że potrzeba pewnego stopnia wiadomości i umiejętnéj kombinacyi, aby zrozumieć nadarzające się przypadki i z nich wyciągać użytek. Nie masz wątpliwości, że w ogniu stapiają się alkalia z piaskiem, il twardnieje; długo jednakże po odkryciu skutków ognia nie znano szkła i porcelany, aż niektórzy bystrzejsi ludzie, wyciągli pożytek przez wnioski umiejętne z tego, na co patrzano codziennie. Niedołężne umysły, które nigdy nie doświadczają, a nawet gdyby to uczyniły, zapewne nie wieleby skorzystały, gdyż nie umiałyby wyprowadzić z tego wniosków—chętnie przypisują przypadkowi to, co jest własnością geniuszu. Tacy niekiedy opowiadają, że poznanie prawa siły ciężenia sprawił przypadek i głoszą pocieszną bajeczkę, że spadające jabłko sprowadziło to odkrycie. Tymże samym sposobem możnaby przypisywać odkrycie prądów morza, albo architektonicznych cudów, które wielbimy w katedrze S-go Piotra, albo w pysznych dziełach pędzla Rafaela i Apolina Belwederskiego. Wszelkie postępy sztuk, od jéj pierwiastku aż do doskonałości, są skutkiem doświadczeń. Umiejętność w saméj rzeczy nie jest niczem innem, jak wydoskonaleniem zdrowego rozsądku, który upożytecznia ogólnie znajome wiadomości, a z nich wyciąga nie znane. Wiadomo, że żółta glina po wypaleniu staje się czerwoną, że wapienny kamień łącząc sie z krzemieniem, czyni go topliwym; ci, którzy poprawili wyrób garncarskich naczyń, wybierali do tego sobie właściwe ciała. Przynajmniéj tysiąc lat upłynęło, nim umiano uczynić żelazo rozciągliwém; a z tego, co Herodot opowiada o tém odkryciu, prawie jest pewną, że to wykonał umiejętnie wykształcony robotnik, pracujący około metali. Witruwiusz wspomina, że caeruleum, farbę wyrabianą z miedzi, utrzymującą się doskonale na starożytnych greckich i rzymskich obrazach i na egipskich mumiach, odkrył jeden z królów egipskich; jasno to dowodzi, że ta mieszanina nie była skutkiem przypadku, lecz doświadczeń czynionych w celu robienia lub wydoskonalenia farb. Najwięcéj odkryć przypisują dwom starożytnym badaczom przyrody: Demokrytowi i Anaxagorasowi; co do sztuki chemicznéj świadectwo Plutarcha o odkryciu Archimedesa dowodzi, ile ważne są skutki umiejętności, aby stworzyć siłę. W nowych czasach rafinowanie cukru, wyrabianie saletry, ró-

żnych kwasów, soli i t. d. są proste rezultaty chemicznych poszukiwań. Za przykład niech służy proch do strzelania: odkrycie to dokonać mógł tylko człowiek, który nieskończenie wiele doświadczał, a w myśli miał obecne wszelkie analogie. Wejrzyjmy w księgi alchemistów, aby powziąć wyobrażenie, o ile wpływało na nich doświadczenie. Nie masz wątpliwości, że tym ludziom przewodniczyły błędne widoki, jednakże wykonali bardzo użyteczne poszukiwania, i lord Bakon porównywa ich słusznie do gospodarzy wiejskich, którzy szukając urojonych skarbów, pożytecznie spulchniają swą ziemię. Możnaby ich także przyrównać do szukaczy złota, którzy wynajdują ułamki pysznych posągów: te pojedynczo brane, wydają się nie mieć żadnéj wartości, a nawet dla wynajdujących, małéj są ceny; gdy jednakże mistrz wybierze cząstki, połączy i uzupełni, one, wtedy wydadzą się cudownie doskonałe, godne zachowania. Zastanówmy się nad rozwojem sztuk, jak szybko postępowały od czasu, gdy im przyświeca systematyczna wiedza. Maszyna parowa w najgrubszéj postaci, była skutkiem chemicznego doświadczenia: dla jéj wydoskonalenia potrzeba było uciec się do najgłębszych zasad chemii i mechaniki; znakomitemu badaczowi, który obdarzył towarzystwo ludzkie tą cudowną maszyną, rodzącą siłę, pomagały do jéj wielkiego udoskonalenia pokrewne odkrycia, wykonane nad zachowaniem się uwięzionego cieplika, gdy się z wody zmienia w parę, i jak się cieplik uwalnia, gdy para zostaje wodą. Nawet najbardziéj powierzchownego dostrzegacza musi ten przykład przekonać o tryumfie umiejętności: albowiem jak nadzwyczajnie potężnie pchnęło odkrycie to sztuki i rękodzieła naszego kraju, o ile zmniejszyła się ręczna praca, wzmogła się rzeczywista potęga Anglii! Pracując jakby razem tysiącami rąk, podwoiła maszyna parowa naszą pracowitą ludność: dobywając źródło swéj działalności z łona ziemi, wykonywa prace kiedyś bardzo mozolne, męczące i niezdrowe, z podziwienia godną jednostajnością i trwałością, a fabrykantowi zapewnia urzeczywistniać swe zamiary bezpiecznie i na pewno. Odkrycia połączone z maszyną parową, jednocześnie zmniejszyły cielesną pracę, podwyższyły siły umysłowe i ich środki. Adam Smith czyni bardzo słuszną uwagę, że rękodzielnik ma zawsze więcéj bystrości od rolnika; a zapewne spostrzeżemy, że fabrykanci pracujący przy maszynach, bystrzejsi od prostych rękodzielników. Mówiłeś o porcelanie, jako o wyrobie przypadku; poprawy osiągnięte

w Anglii, we Francyi i Niemczech są wyłącznie skutkiem doświadczeń chemicznych. Zakłady Drezna i w Sèvres są dziełem ludzi umiejętnie wykształconych; w skutku nieprzeliczonych badań chemicznych doszedł Wegdwood do wyrabiania swych pięknych naczyń, po nader pomiernéj cenie, wyrównywających starożytnym wazonom co do wytwornéj postaci, rozmaitości i smaku, a wyższą mających trwałość i doskonałość w materyale. Ale zwróćmy się do innego działu odkryć: użytek konduktora elektrycznego ograniczał się do umiejętnych poszukiwań; szczęśliwe zastósowanie północno-amerykańskiego badacza przyrody, równa się wielkości tego odkrycia. Bardzo łatwo mógłbym wymienić w naszych czasach liczne przykłady wielkich poprawy, najzbawienniéj wpływających na wygodę, szczęście, a nawet na życie bliźnich; wszystkie są niewątpliwym wypadkiem rozumowania umiejętnego: nie chcę tego czynić, żeby się nie narzucać za sędziego żyjących badaczów przyrody: znamy ich poszukiwania, troskliwość wielbimy, a potomność niezawodnie okryje ich sławą, czego żyjący nie śmieją czynić.

Eubates. Chętnie przyznajemy, że okazałeś w wielu przypadkach jak umiejętne poszukiwania rzeczywiście wpływają na postępy sztuk pożytecznych. Lecz w szczególności trzymając się zasad chemii, pracujący w niéj wykonywają szeregi doświadczeń bez względu na jakikolwiek pożytek. Często wszczyna się niezmierna wrzawa, gdy odkryją jaki nowy metal, lub inne ciało, albo wykażą, że pewne prawa przyrody nie zostają w związku z zjawiskami przyrody; lecz wśród téj rozmaitości nowo-odkrytych ciał, mała cząstka miewa podrzędny li użytek, największa pozostaje bez żadnego zastósowania. Co się tyczy ogólnych poglądów umiejętnych, trudno dowieść, że z odkrycia tych ciał, albo ze sposobu wykonania tego odkrycia wynika jaki istotny pożytek. Tym sposobem godność umiejętnych dążeń nie szczególnie się podnosi, gdy ludzie nią zajmujący się, szukając po prostu zysku, stali się prawdziwie pożytecznemi, a prosty rzemieślnik, albo chemiczny fabrykant przysłużył się więcéj społeczeństwu ludzkiemu, aniżeli istotny chemik. Zdawało mi się prócz tego, że duch téj nauki sprzyja mierności, podrzędnym przedmiotom nadaje ważność. Niektórzy ludzie zajmując się drobnemi pracami chemicznemi, przywłaszczają sobie nazwisko badaczów przyrody. Gdy rozpuszczą w kwasie kilka granów wapna, lub okażą, że jakiś niepożyteczny kamień zawiera w sobie znane pierwiastki, albo że barwnik pewnego kwiatu rozpuszcza się

w kwasie a nie w alkalu, sądzą, że to już wystarcza do ustalenia sławy chemika. Raz począłem uczęszczać na wykład chemii i czytać dzienniki zawierające bieżące odkrycia; atoli gdy uczący nie dawał jasnych dowodów, szeregi spostrzeżeń i doświadczeń wykonanych w jednym miesiącu obalał w następnym, ogarnął mnie zupełny niesmak. W listopadzie był u niego kwas imbierowy, w styczniu okazał, że go wcale nie masz; znów prawił w jednym roku o nowo wynalezionym kwasie roślinnym, a w następnym okazał, że go znamy od 30 lat; dzisiaj chwalił jednego męża, że odkrył nowy metal albo nowe alkali: jednakże te ciała wydawały mi się jakby sceny pantominy, aby zaraz znikały. Daléj zdawało mi się, że wielki cel, jaki sobie zakładają owe setki ludzi nieużytecznie igrający z umiejętnością, nie był innym nad podkopywanie sławy trzech lub czterech znakomitych mężów, których prace są prawdziwie pożyteczne, pełne wewnętrznéj wartości. Wreście jak gdyby niedosyć było małoważnych rezultatów i błędnych doświadczeń, zapełniających strony pism czasowych, resztę miejsca zajęły nie przetrawione teorye, albo pomysły nieznanych ludzi przez wydawcę niesumiennie ganione, albo patetycznie wychwalane.

Nieznajomy. Wogólności nie mogę twych zdań uważać za uzasadnione. Wyżéj starałem się już okazać, jak prawdziwi badacze przyrody, nie pracujący dla prostego zysku, wielce się przyłożyli własnemi odkryciami do rozwinięcia pożytecznych sztuk, a z nowo odkrytych ciał niektóre bezpośrednio na pożytek obrócili w zastósowaniu. Zaledwie poznano chlorynę, czyli ukwasorodniony kwas solny Scheelego, natychmiast Berthołet użył jéj do blichowania; zaledwie Priestley odkrył gaz solny, zaraz Guyton de Morveau nauczył, jak niszczyć nim zaraźliwe pierwiastki. Zastanówmy się nad rozmaitemi i nieprzeliczonemi zastósowaniami platyny, któréj wydzielenie w stanie pożytecznego metalu winniśmy li pracom wybornego chemika; przypomnijmy sobie piękną żółtą barwę, wyrabianą z nowo odkrytego metalu, zwanego chrom, i lekarskie działanie jodu, tak skutecznego na dwie straszne choroby: na raka i wole: nie zapominajmy, od jak niedawnego czasu dwa te ciała weszły w użytek. Fabrykant pracujący około mechaniki albo chemii, rzadko kiedy coś odkrył; zastosowywał tylko wynalazki badaczów przyrody; pracował na wytkniętych sobie zasadach. Nie wiemy, jak poznano rozciągliwość żelaza, ale wiemy, że platynę odkrył mąż jeden, mający pod ręką wszelkie najsubtelniejsze pomoce chemiczne:

nieprzeliczone doświadczenia z nią wykonał i doszedł tym sposobem do poglądów głębokich a genialnych. Ale pomińmy pospolity pożytek, przynoszący korzyści społeczeństwu ludzkiemu; czyliż nie jest ważną rzeczą poznanie i zrozumienie działań przyrody? Rozważanie porządku i harmonii materyalnego świata, czyliż właściwych sobie rozkoszy nie nastręcza? Z poezyi nie masz bezpośrednio użytku, ale darzy nas rozkoszami, uszlachetnia i wznosi duszę. Usiłowania badacza przyrody zapewniają mu tym sposobem szlachetne i swobodne pożytki: mamy podwójny powód zajmowania się niemi. Sięgając niebios szczytne ich spekulacye, w zastósowaniu należą zupełnie do ziemi; zaostrzając rozsądek, zaspakajają zarazem zwyczajne potrzeby, jako i najszlachetniejsze usiłowania naszego ducha, zarazem są przydatne najwznioślejszym usiłowaniom naszego żywota. Rezultaty badań przyrody nie można porównywać do owych starożytnych świątyń, gdzie stały pomniki ich bogów, którym kadzono i składano ofiary, a zabobonnemu tłumowi służyły za miejsca czci i uwielbienia: podobne są raczéj do teraźniejszych pałaców, które raz są pożyteczne jako przedmioty podziwienia, a posągi, które u starożytnych wzbudzały poszanowanie i cześć, służą teraz dla przyjemności i zaspokojenia wykwintniejszego smaku. Niewątpliwie czysta to rozkosz znać, które to potęgi wywołują na ziemi zieloność, jestestwa obdarzone życiem: jak się tworzą obłoki, mgły, deszcze i przyczyny zmian porządku organicznego naszéj ziemi, a które boskie prawa utrzymują ten porządek wśród pozornego nieładu. Wzniosłe to zatrudnienie badać przyczyny burz, ognia palących się w wulkanach, wskazywać ich pożytek w ogólnem gospodarstwie przyrody, ściągnąć piorun z obłoków i poddać go naszym doświadczeniom w laboratoryach, stwarzać mały wszechświat, mierzyć i ważyć atomy, niedające się dojrzeć, których ruchy i przemiany odbywają się według praw przewidzianych w boskiéj mądrości i składają ciała nas otaczające. Istotny chemik widzi Boga we wszystkich najrozmaitszych postaciach świata zewnętrznego. Gdy rozważa działania nieskończonéj siły, mającéj za przewodnika nieograniczoną mądrość, giną przed jego duchem wszystkie poziome przesądy, wszelki drobnostkowy zabobon. Widzi człowieka jako atom pomiędzy atomami rzucony na jeden punkt w przestrzeni, z władzą miarkowania otaczających go praw, które poznać zdołał; spostrzega, jak człowiek zdobywa sobie panowanie nad czasem, tworzy państwo w przestrzeni, chociaż nieskończenie małe są wymiary jego

władzy; będąc pewnym rodzajem cienia, albo odbiciem boskiéj twórczości, ma tedy prawo odróżniać się od innych jestestw, jako stworzony według obrazu Boskiego, natchniony iskrą jego ducha. Zatrudnienia chemika pobudzając rozum, nie tłumią bynajmniéj wyobraźni, ani ćmią istotnych uczuć. Przyzwyczajając umysł do ścisłości, gdy się utrzyma danych — rozszerza się zdolność czynienia kombinacyj; chemik zajmując się drobnostkowemi rzeczami, ma jednakże za ostateczny kres wielkie i wspaniałe przedmioty przyrody. Chemik rozważa skład kryształu, tkaninę krzemienia, własności rozmaitych ziem; duma o rozmaitości naszych łańcuchów gór, rozważa przyczyny, które sprawiają wiatry, pioruny, meteory, trzęsienia ziemi, wulkany i bada wszystkie zjawiska przyrody, które dają malarzowi i poecie najwspanialsze obrazy. Umysł chemika utrzymuje nieustannie w czynności ową żądzę wiedzy, będącą najmocniejszém znamieniem jego przymiotów: każde odkrycie otwiera nowe pole do zbadania faktów, wskazując przytém niedostateczność naszych teoryj. Słusznie powiedziano, im większe jest koło światła, tém go szerszy obwód ciemności otacza. Jak wybornie stósuje się to do badań chemicznych, a tém samém odpowiada postępowi przyrody umysłu ludzkiego, który rozwija coraz wyższe potęgi wiedzy, aż do odkrycia zupełnego a jasnego objawu prawdy, co dowodzi jego wrodzone prawo do nieśmiertelności.

Eubates. Cieszy mnie, że nasze przeciwianie dało ci sposobność tak wybornéj obrony ulubionéj umiejętności. Nie potrzebuję słyszéć dalszych dowodów co do jéj użytku. Żałuję, żem się nic nią szczegółowo nie zajmował.

Filaletes. Ponieważ nasz przyjaciel tak dowodnie okazał ważność chemii, spodziewam się, że nam poda niektóre szczegóły, zastanowi się nad istotą téj umiejętności, jéj przedmiotem i narzędziami używanemi. Radbym usłyszéć, jaką daje definicyą chemii, żebym miał wyobrażenie, jakie przymioty są konieczne, aby zostać chemikiem, jakie są główne aparata dla poznania tego, co dotąd w téj umiejętności wykonano i dla wykonywania nowych poszukiwań.

Nieznajomy. Nie masz nic trudniejszego nad dobrą definicyą, albowiem prawie niepodobną jest rzeczą kilkoma wyrazami wydać oderwane pojęcie, składające się z nieskończonéj rozmaitości danych. Dr. Blacke definiował chemią jako umiejętność zajmującą się zmianami, które się odbywają w ciałach, w skutku ruchu ich najdrobniejszych cząstek czyli atomów; ta

wszakże definicya zupełnie jest hypotetyczną, bo atomy są prostym wymysłem. Podam wam definicyą, która ma tę zasługę, że jest nową, a może i okaże się powszechnie prawdziwą: *Chemia ma za przedmiot działania, które zmieniają wewnętrzną naturę ciał, albo nadają onym nowe własności.* Ta definicya obejmuje nietylko działania w mieszaninach, ale prócz tego zjawiska elektryczne i w ogólności wszystkie zmiany, nie zawisłe wyłącznie od ruchu lub rozdzielenia materyi. Jakkolwiek trudno jest dać definicyą chemii, jeszcze nierównie trudniéj jest wykazać ściśle przymioty wymagane od chemika. Nie zamierzam tych wymieniać, jakich wymagał Atenęusz od kucharza, który według niego ma być teoretycznym matematykiem, muzykiem, fizykiem, znawcą przyrody i t. d.; powiadasz to samo, skoro chemią głównie przeznaczasz do usług kuchni. Ale mówmy poważnie: wymienię celniejsze nauki, potrzebne dla wniknienia głębszego w tę umiejętność, bez których może się obejść wprawdzie dobry praktyczny chemik, lecz nie zostanie nigdy znakomitym badaczem chemicznym. Kto zamierza wtajemniczyć się głębiéj w chemią, albo zastanawiać się nad tą nauką z widoku gospodarstwa, panującego w przyrodzie, winien dokładnie znać elementarną matematykę: częściéj będzie potrzebował arytmetykę niż algebrę, a znowu częściéj algebrę niż geometryą. Wszystkie te nauki wszakże razem pomagają chemii: arytmetyka do oznaczenia stosunku wypadków rozbioru ciał i ich względnego ciężaru: algebra do wybadania praw z ciśnienia elektrycznych płynów, albo ciśnienia siły pary w różnych temperaturach, skutki działania mass i powierzchni ciał przy udzielaniu się i promieniowaniu ciepłika. Zastosowanie geometryi ogranicza się głównie do oznaczenia postaci kryształów, wyrażających najcelniejszy przymiot przyrody, a często dają wskazówkę analitykowi domyślania się o ich składzie. Główne zasady fizyki znać winien chemik. Ponieważ najpotężniejszemi działaczami są płynne i powietrzne ciecze, ciepło, światło i elektryczność, obznajmić się należy onemu z ogólną mechaniką, hydrodynamiką, aerometryą, optyką i nauką o elektryczności. Potrzebne mu są z umarłych języki: łaciński i grecki, z żyjących francuzki, po tym najważniejszemi są niemiecki i włoski. Co się tyczy historyi naturalnéj i literatury, wystarczają wiadomości wykładane po naszych uniwersytetach. Tym sposobem młodzieniec odbywszy zwyczajne kursa nauk wymagane od ludzi

ukształconych w życiu powszedniém, będzie posiadał wszystkie przygotowawcze nauki dla oddania się chemii.

Niezbędnie potrzebne narzędzia dla nowoczesnego chemika są nierównie tańsze, aniżeli to bywało w dawniejszych czasach. Chemikowi potrzebne są maszyny pneumatyczne i elektryczne, stos wolty (w małych wymiarach), dmuchawka, miech i ognisko kowalskie, gazometr zamykany żywém srebrem i wodą, różne czarki i miseczki płatynowe i szklanne, tudzież zwyczajne chemiczne odczynniki, czyli reagensa. Wymienione narządy można zmieścić w skrzyneczce; najwyborniejsze i najsubtelniejsze prace chemiczne wykonano w nowszych czasach aparatami, mieszczącemi się wygodnie w małym podróżnym pojeździe, które za kilka funtów szterlingów nabyć można. Łatwość wykonywania chemicznych poszukiwań i prostota samychże aparatów, prócz wymienionych, są nowemi przyczynami do zatrudnienia się tą umiejętnością. Chemia nie szkodzi wcale zdrowiu: nowoczesny chemik nie wystawia się, jak to bywało, dłuższy czas swego życia na skwar i dymy pieca, albo na szkodliwe wyziewy kwasów, alkaliów i innych rozkładających się ciał, których dawniéj do czynienia jednego doświadczenia potrzeba było wiele funtów. Teraźniejszy chemik wykonywa doświadczenia w swoim pokoju i wyprowadza z nich równie ścisłe rezultaty. Jeden z pisarzy zeszłego wieku tak wyraża się o alchemii: „początek jéj był oszustwem, rozwój trudem, koniec nędzą". O nowoczesnéj chemii można przeciwnie powiedzieć: jéj początek jest rozkoszą, rozwój nauką, a przedmiot prawda ze wszech miar użyteczna.

Zastanawiałem się nad przygotowaniem umiejętném, jakiego żądamy od chemika: jeszcze kilka słów wypada mi powiedzieć o jego umysłowych przymiotach, koniecznych do czynienia odkryć i rozwijania téj umiejętności. Niechaj cierpliwość, pilność i czystość przewodniczą jego pracom: ścisłe a subtelne dostrzeganie i zapisywanie wydarzających się zjawisk są wielce pożądane przymioty. Silna ręka i bystre oko są dobremi sprzymierzeńcami: bardzo mało wielkich chemików zachowało te przymioty przez całe życie, bo zatrudnienie w laboratoryum jest często niebezpieczną służbą i nieraz żywioły, jak te krnąbrne duchy w klechdzie, uległe służalcy magika wymykają się przed potężnym wpływem jego talizmanu i stają się niebezpiecznemi jemu samemu. Nie szkodzi używać ręki i oka pomocnika. Często powtarzanie jednego i tegoż samego doświad-

czenia albo spostrzeżenia usuwa błędy wynikające z pospiesznych robót, albo niedokładnych zapatrywań, chroni od błędów; a biorąc w pomoc nieuprzedzonego przeciwnika, któremu wiadomo, do czego zmierza doświadczenie, proste onego powtórzenie, często najlepiéj udowadnia pewne zdania. Co się tyczy wyższych przymiotów rozumu, wymaganych do pojęcia i rozwinięcia ogólnych praw téj umiejętności, potrzeba tychże samych, jakich wymagamy w każdym innym dziale wiedzy ludzkiéj i nie potrzeba wdawać się w szczegóły. Wyobraźnia jego winna być czynną i świetną dla dostrzegania analogii, wszakże całkiem podległą zdrowemu rozsądkowi. Pamięć rozległa a głęboka wielce jest przydatną, trzymać się powinna ogólnych poglądów, a nie małoważnych drobnostek; umysł jego nie ma być podobny do bezładnéj encyklopedycznéj wiedzy, lecz do krytycznego słownika, który zawiera liczne ogólniki i daje rady, gdy trzeba szczegółowych objaśnień. Chemik opisując rezultaty swych doświadczeń, powinien używać ile można najprostszego stylu, bez ozdób; szkodziłby inaczéj przedmiotowi. Niechaj pamięta zdanie pierwszego króla angielskiego o jednem bardzo szanownem kazaniu, obfitém w najwyborniejsze nauki, przepełnioném poetycznemi obrazami, mową upstrzoną przenośniami: „Przenośnie i obrazy tego mówcy są podobne do dzikich kwiatów na polu zasianem żytem; bardzo są piękne, ale szkodzą zasiewom". Prawdziwy badacz przyrody ogłaszając nawet najpiękniejsze i najważniejsze odkrycia, opisywać one winien prosto a skromnie; przedstawiać się bardziéj jako pożyteczny sługa powszechności, a z pod swego płaszcza pokazywać światło, jeżeli tego potrzeba, nie zaś być szarlatanem, który bawi fajerwerkiem przy odgłosie trąb, a trębacz ogłasza jego cuda. Spostrzegam, jak się uśmiechasz i myślisz w duszy, żem się nieprzyzwoicie wyraził: jeszcze dodam parę słów, choć się uśmiechniesz, wymieniając inne moralne przymioty chemika. Chętnie przystaniesz, że powinien być skromnym i skrzętnie szukać prawdy i nie uwodząc się przemijającą sławą albo chwilową popularnością, nie oddalać się od swego wielkiego celu; niech bardziéj ma na pamięci sąd przyszłych pokoleń, aniżeli opinią teraźniejszéj chwili; jego usiłowania niech zapiszą księgi dziejopisa, nie zaś kolumny dzienników i gazet. Niech będzie podobny do nowoczesnych matematyków, co do wielkości pomysłów i głębokości poszukiwań, a do starych alchemików, co do pilności i poświęcenia. Nie wymagam, żeby do

swoich poszukiwań przyłączał modlitwy, polecał swe prace Opatrzności, jak to czynił w mojéj młodości żyjący Piotr Wolf; lecz niechaj dusza jego ciągle oddycha uczuciem pokory. Rozmyślając o rozmaitości i piękności zewnętrznego świata, rozwijając umiejętnie jego cuda, niechaj nieustannie wskazuje na nieskończoną mądrość, która łaskawie udzieliła mu czerpać rozkosze we wiedzy.

Zostając rozumniejszym, stanie się zarazem lepszym: podnosić się będzie tém samém na wyższe szczeble rozumu i moralności; bystrość jego spotęgowana posłuży mu wzmódz się w podwyższonéj wierze. W miarę rzednienia zasłony, przez którą patrzy na przyczynę wszechrzeczy, uwielbiać będzie coraz bardziéj blask boskiego światła i dziękować Stwórcy, że mu z oczu opadła zasłona i przejrzéć zdołał.

Próby chemiczne wody pochodzącéj ze studni w possessyi p. Temlera, pod Powązkowskiemi rogatkami.

Jak wiadomo z pism peryodycznych, w possessyi p. Temlera, leżącéj pod okopami Powązkowskiemi i w bliskości rogatek tegoż nazwania, w celu zaopatrzenia w wodę obszernego zakładu garbarskiego tamże urządzonego, wykopano studnią. Lecz po dosięgnięciu głębokości 22 łokci i przebiciu grubego pokładu iłu, natrafiono na obfity strumień wody, który nietylko z szybkością wypełnił całą tę studnią mającą około sążnia kwadratowego w przecięciu, ale nadto obficie się przelewał; a po przykryciu deskami otworu i przywaleniu ich iłem ze studni wydobytym, woda przedzierając się przez szczeliny cembrowiny u saméj góry utworzyła sobie ujście na zewnątrz.

Podniesienie się wody w téj studni cokolwiek wyżéj nad poziom podwórka, znaczna ilość wody ciągle wypływającéj, równie jak i inne miejscowe okoliczności zdają się przekonywać, że studnia wspomniona do artezyjskich policzoną być winna.

Zupełny rozbiór ilościowy téj wody nie był dotąd dokonanym, zrobiono tylko próby; lecz i te dozwalają porównać wzmiankowaną wodę z innemi.

Woda ze studni powązkowskiéj odparowana dała pozostałości wysuszonéj w + 110°C, na litr gra. 0,933, czyli blizko $^1/_{10}$ procentu.

Chlorek barytu dał w niéj wyraźny osad *siarczanów*; szczawian amonii okazał wyraźnie *wapno*; saletran srebra zamleczniał *chlorki*.

Rozbiory płynami mianowanemi (Titrimethoden) dozwalają szybko wykonać niektóre oznaczania ciał w wodach znajdujących; zastosowano w tym razie dwie metody, celem oznaczenia ilości chlorków i soli ziemnych.

Chlorki oznaczono sposobem przez Mohra podanym (roztworem mianowanym saletranu srebra).

100 cent. sześć. próbowanéj wody spotrzebowały, 4,1 cent. sześć. roztworu srebra dziesiętnie normalnego, którego każdy centymetr odpowiada gr. 0,005846 chlorku sodu; wypada zatém na 100 cent., gr. 0,0239 a na litr. gr. 0,239 tegoż chlorku. Jestto ilość nieznaczna, bo nawet lekkie solanki mają przynajmniéj 1 procent czyli 50 razy tyle.

Dla oznaczenia twardości wody użyto sposobu podanego przez pp. Boutron i J. Boudet. (Hydrotimetrie) gdzie miarą jest ilość roztworu normalnego mydlanego potrzebna do zapienienia danéj ilości wody.

Woda ta okazała 46 stopni hydrotymetrycznych.

Dla porównania przytoczyć należy:

Że woda z wodociągów warszawskich ma $9^3/_5$.

Woda ze studni murowanéj na Tłómackiem 36°. A wyjęte z rozprawki pp. Boutron i Boudet:

Woda z Sekwany ma 15 stop. hydrotymetrycznych.

„ z kanału de l'Ourcq 30°

« z Arcueil 28

Woda zatém próbowana jest twardszą od wszystkich tu przytoczonych; zawiera dosyć soli ziemnych, a mianowicie, jak rozbiór ilościowy pokazał, gipsu czyli siarczanu wapna.

Niewiadomo, czyli studnia ta długo będzie dostarczać wody tegoż samego składu: w każdym jednak razie, powyższe próby wystarczą do porównania, czy zmiany znaczne w składzie jéj nastąpią lub nie.

Powyższe próby wykonane były w końcu września r. z.

T. L.

KORRESPONDENCYE.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj,

O komedyach konkursowych.

SKŁAD KOMITETU:

Przewodniczący: Hr. Fryderyk Skarbek.
Członkowie: X. Rektor Jakubowski, Hr. Alexander Przeździecki, Kaź. Wł. Wojcicki, Jan Jasiński, Karol Sobolewski, Jan Chęciński, Kazimierz Kaszewski.

Komitet mając uczynić wybór w zbiorze z 41 sztuk złożonym, dla ułatwienia czynności, rozdzielał je pojedynczym Członkom do poprzedniego odczytania, aby tym sposobem zasięgnąć mniéj więcéj ogólnéj wiadomości, co każda ze sztuk zawiera i jaka być może jéj wartość literacka. Członkowie na sessyach zdawali sprawę, przytaczając treść odczytanéj sztuki i zdanie o niéj stwierdzając przywiedzionemi wyjątkami dzieła ulegającego sądowi. Przegląd taki okazał naprzód, iż dwie z pomiędzy złożonych sztuk, jakoto: *Leontyna* i *Honor skrzywiony* nie mogły się kwalifikować do obecnego konkursu jako nie komedye, ale całym tonem zbliżone więcéj do charakteru drammy.

Gdy zaś w ciągu czynności komitetu komedya *Kochanek swatem* wycofaną została przez autora, przeto zbiór całkowity zmniejszył się do liczby 38 sztuk, z pomiędzy których dwie tylko, a mianowicie: *Dzieje serca* komedya w 3 aktach wierszem i *Po naszemu* w 2 aktach wierszem, prawdziwą tak co do myśli jako i formy wartością zwróciły uwagę komitetu.

Największą zaletą komedyi p. t. Dzieje serca, stanowi doskonałe odbicie jednéj strony społeczeństwa naszego: myśl jéj w przedstawieniu życia nad stan, nie jest wprawdzie nowa ale w nowe ujęta formy i nader malownicze. Marnotrawna Prezesowa, obojętna na kłopoty męża, zajęta jedynie dogadzaniem próżności, bawi się swoją drogą w jakieś filantropijno-postępowe zakłady. Prezes całe noce przesiadujący w Resursie nad kartami, gorszy się bardzo i oburza na służących, których zastał przy podobnéj zabawie: dwie te postacie wzorowo przedstawiają świat, który pod zewnętrzną polityrą słów i ułożenia, jest jednakże pasożytem a nawet polipem

towarzyskim, hasłem jego bowiem: bawić się, próżnować. Nicość jego uwydatnia się tu aż nadto dobrze przez to już samo, że Prezes i Prezesowa w tłumie interesów, zabiegów i pragnień nie odzywają się ani jedném słowem, ani jedną myślą, któraby wykazywała związek ich z potrzebami społeczeństwa; coby zalecała ich jako dzieci téj ziemi, na któréj żyją, któréj językiem przemawiają: odzywa się tylko przez nich jakieś ślepe podrzeźnianie filantropii, która nie idzie z duszy ale z mody, a ze słów ich i postępków wieje zgnilizna śmierci moralnej. Jak ten świat nicości skłonnym jest do upodlenia się, z jaką mu to przychodzi łatwością, widać to ze stosunku dwojga małżonków do bankiera Gelda, któremu ci poprostu dla uniknienia bankructwa chcą przedać swą córkę, przyjąwszy od niego poprzednio jałmużnę: cała jednakże nikczemność tego świata wyobrażoną jest, mimo dokładności, w sposób delikatny, bez użycia trywialnych, rubasznych środków, tak, iż widać tylko ranę ale brudu około niéj nie widać. Geld jako człowiek bez czci i wiary, bez innego bożyszcza, prócz złota;—skreślony jest typowo, artystycznie: zupełny brak uczucia, rozum skierowany tylko do robienia grosza a wreszcie okrągła ciemnota, pawienie się z dostatku i stosunków świetnych, traktowanie wszystkiego w sposób spekulacyi, są to rysy, pod któremi objawia się nam ta postać. Naprzeciw tego ciemnego obrazu stawia autor jako żywioł dodatni— Julię, córkę Prezesostwa, i zakochanego w niéj młodego adwokata Karola. Julia ma być ekspiacyą rodzicielskiego zbytku i zaślepienia: jako uosobienie godności kobiecéj, jako obraz tegoczesnéj dziewicy polskiéj przedstawia się nam ona. Żyjąc w atmosferze zepsucia, ratuje duszę swoją przywiązaniem do rzeczy rodzinnych, do poezyi i sztuki, które utrzymują w niéj tradycyą przeszłości i myśl do wyższych kierują względów: miłość jéj dla ojca, którą autor z wielkiém czuciem odmalował, rodzi w niéj szacunek, którego ojciec nie wart; przytém jest to dziewica mająca własne zdanie i energią ducha, własną samodzielność, która czyni ją istotą nader interesującą. Karol lubo słabo nakreślony, ale dosyć wyraźnie przedstawia ideę czynu tak potrzebną u nas, w przeciwstawieniu do poety Adama szczęśliwie reprezentującego chorobliwego usposobienia młodzież, niby dobremi ożywioną chęciami, ale zgnuśniałą w bezowocnych marzeniach; pomimo słabość charakteru i obłąkanie, nader prawdziwym jest rys bezinteresowności w postaci Adama, który odrzuca ofiarowane mu przez Gelda pieniądze za wiersz do kantaty. Niemałą pod względem formy zasługą téj komedyi jest, iż autor wyprowadził na jaw wiele złego i wiele śmieszności, nie wprowadzając ani jednéj karykatury. Nie rozwijał on tu wprawdzie charakterów ale tylko idee; jednakże koloryt jest silny a dowcip oryginalny obok nadzwyczaj udatnéj formy i potoczystości stylu. Akcya nie jest dość ruchliwą, tytuł wcale nie usprawiedliwiony, zakończenie słabsze niżby po biegu rzeczy spodziewać się można, a osłabia się tém mianowicie, że Julia decyduje się na zrobienie powięcenia ze swéj miłości dla Karola, iżby uratować ojca;

szczęściem, że pomyślny choć nieco naciągnięty obrót okoliczności odrywa ją od pozłoconéj ręki Gelda i rzuca w objęcia ukochanego Karola. Taka z tém wszystkiem decyzya fałszywego poświęcenia nie jest zgodną z charakterem dziewicy tak rozumnéj i szerzéj zapatrującéj się na świat i obowiązki, jaką od początku przedstawia się Julia. Pomimo wszakże téj niezgodności, która poczytaną być może za błąd psychologiczny, jeśli nie za nadwerężenie charakteru Julii, komedya ta jako obraz społeczeński ma tyle zalet w cząstkowych pomysłach i formie, że można ją śmiało zaliczyć do celniejszych utworów komedyo-pisarskich, i dlatego komitet jednomyślnie przyznał jéj premium, bynajmniéj nie w braku lepszéj, ale jako w każdym razie na wyższe uznanie zasługującéj.

Zadaniem komedyi: *Po naszemu*, jest okazanie w pięknem świetle obyczaju krajowego i dobrego wpływu tradycyi cnót narodowych, a to w przeciwstawieniu im form cudzoziemskiego trybu, które zacierają odwieczny obyczaj, odwracają od interesów kraju i wreszcie ośmieszają tego, który je przyjmuje. — *Major* dymissyonowany, obecnie obywatel ziemski, ma na wydaniu córkę *Hannę*, o któréj rękę ubiegają się dwaj konkurenci: *Wacław i Alfred*, młodzi sąsiedzi majora. Hanny serce skłania się do Wacława, ale ojciec lubo uznaje w nim wielką uczciwość i prawość charakteru, jednakże jego żołnierska, energiczna natura wzdryga się na melancholijne i marzycielskie usposobienie Wacława; w Alfredzie znowu, lubo według niego, więcéj praktycznym, nie podobają mu się cudzoziemskie narowy. Wahając się w wyborze pomiędzy niemi dwoma, Major postanawia uczynić próbę dzielności charakteru i osobistéj zacności, i w miarę jak który lepiéj próbę takową wytrzyma, temu oddać rękę Hanny. Próbą ma być naprzód—spłacenie długu po ukochanéj osobie bez konieczności prawnéj, ale z téj tylko moralnéj konieczności, aby na imieniu drogiéj osoby nie ciążył ani cień pokrzywdzenia; powtóre: ujęcie się za skrzywdzony honor, nie swój własny, ale innéj osoby, zasłużonéj, a jak w obecnym razie, samego Majora. Z obu tych prób, Wacław, przedstawiający tradycyonalny charakter szlachetnéj a energicznéj prostoty, wychodzi zwycięzko; Alfred utracił w cudzoziemskiéj atmosferze to delikatne poczucie zacności, które oślep rzuca się na głos obowiązku, i zastąpił je konwencyonalném obrachowaniem. Ręka Hanny jest nagrodą zwycięzcy.

Jakkolwiek komedya ta jest szczupłych rozmiarów, a układ jéj raczéj obrazkowy niż dramatyczny, jednakże główne charaktery w niéj są i dobrze pomyślane i szczęśliwie do końca przeprowadzone. Major jako typ starego wojaka miłującego kraj i szablę, jest częścią odgadniony, częścią z poprzednich wzorów dobrze przerysowany. Alfred wychowany z angielska, zimny, znudzony: każde słowo jego jest wyrazem obłąkania, w jakie młodzież naszą wprawia upodobanie do zagranicznych form; widać w nim, że to jednostka dotąd przynajmniéj stracona dla ogółu obywatelskiego. Wacław przeciwnie, to ta zdrowa część społeczeństwa, sercem przyrosła do rodzinnéj ziemi, od niéj i na niéj szukająca zadowolenia duszy. —

Postać Hanny jest mniéj rozwiniętą w stosunku do charakterów męzkich i do figur drugiego planu, jakiemi są: ciotka jéj, kobiéta z lafiryndyczném usposobieniem a przeto przyjaciółka Alfreda; klucznica *Dylczewska*, przypominająca typ dawnych rezydentek, stronniczka Wacława; oraz stary sierżant, sługa i przyjaciel Majora, oddany z prawdziwym humorem i prawdą. W układzie téj komedyi są niektóre uchybienia: za najważniejsze zaś, mianowicie pod względem scenicznym uważać można to, iż zaraz w piérwszéj scenie z Jakóbem, a późniéj w monologach, Major wyjawia przed czytelnikiem, iż dopuszcza się pewnego niewinnego podstępu w narażeniu na próby konkurentów. Tym sposobem niknie już zainteresowanie i to wcale bez potrzeby; gdyż odkrycie prawdy można było zostawić na koniec a czytelników utrzymać przez ciąg sztuki w tém przekonaniu, że te próby wypływają z rzeczywistych, nie zaś z wymyślonych przez majora powodów. Jest to szczegół łatwy ale konieczny do poprawienia, aby sztuka, przedstawiona na teatrze, zyskała na interesie; bo wreszcie całość ma dosyć ruchu a jako ożywiona dowcipem i piękną, pomimo nie dość wyrobionéj techniki wierszowéj, odznaczająca się dykcyą, może mieć powodzenie teatralne, a w każdym razie w czytaniu nawet obudza zajęcie i sympatycznie do serca przemawia.

Nie jest to dzieło głębokiego poglądu na człowieka i idee; nie widać w niém mistrzowstwa we władaniu formą i językiem: jestto raczéj odbicie wrażenia, lekkie i powierzchowne na umyśle poetycznym, który potrzebuje długo jeszcze wtajemniczać się w warunki i życia i sztuki, aby opanował wielkie strony przedmiotu, będącego celem komedyi, pojmowanéj w całéj rozciągłości, do jakiéj ta forma poezyi jest zdolną. Ale z drugiéj strony, kto umie nadać tyle już wdzięku swojemu słowu, nakreślić i powiązać obrazy tak, aby z nich żywo wywinęła się prawda obyczajowa, ten ma w duszy swéj zaród postępu, który zasługuje na zachętę i dla tego Komitet autorowi téj sztuki, o ile wnosić było można z zalet i uchybień, zaledwie rozpoczynającemu zawód dramatyczny, z chęcią przyznał accessit, to wszakże nadmieniając, iż sztuka ta, lubo w obecnym zbiorze uznana za drugą z kolei, jednak pod względem wartości estetycznéj stoi na znaczném oddaleniu od poprzedniéj.

Po ustanowieniu nagród otwarto koperty i okazało się, że autorem komedyi *Dzieje serca* jest p. **Wacław Szymanowski**, autorem zaś komedyi *Ponaszemu* pan **Zygmunt Hlebicki—Józefowicz.**

Lubo na mocy ogłoszonych warunków konkursu Komitet mógłby przyznać kolejno jeszcze jeden accesit i nadto publiczne pochwały, przez ogłoszenie nazwisk autorów, jednak żadna ze sztuk pozostałych nie nabyła do tego prawa. Wprawdzie z całego tego zbioru sztuki następujące: 1 aktowa: *Suknia balowa*; 2 aktowe: *Pan Łowczy i pan porucznik*; *Wyjazd za granicę*; 3 aktowe: *Wieczorek u mojéj cioci. Rada skuteczna*; 4 aktowa: *Dwie przyjaciółki*, *Wybór męża*, 5 aktowa: *Smiały i nieśmiały*, wychyliły się po za obręb

absolutnéj nieudolności, jaką odznaczały się inne, nie zasługujące na żadną uwagę i rozbiór; i te przeto dla zalet, czy to pomysłu czy pewnéj staranności oddania, dla niektórych ustępów wcale udatnych, nie zostały zupełnie wyłączone z konkursu: ale są to w każdym razie utwory niemogące wytrzymać poważniejszej krytyki.

Wprawdzie z liczby tu wymienionych, więcéj niż inne zwracała uwagę *Suknia balowa*, jako sztuka odznaczająca się humorem i wytworniejszą formą. Przedmiotem jéj są bezzasadne cierpienia zazdrosnego męża, który wymógł od żony uroczyste w obec matki przyrzeczenie, że ona nie będzie przyjmować sam na sam jednego z młodych przyjaciół, którego mąż szczególnie miał w podejrzeniu. Tymczasem zdarza się, że właśnie ten przyjaciel przybywa pod nieobecność męża i matki: żona chciałaby się go pozbyć, a w tém zbliża się mąż. Żona nie chcąc być schwytaną na złamaniu przyrzeczeń, chowa przyjaciela do szafy; ale mąż wiedział o jego przybyciu, wiedział, że nie wyszedł z domu, a tém samém domyślił się miejsca jego pobytu. Żeby więc ukarać, a przynajmniéj dobrze nastraszyć niewiernych, mąż idzie po pistolety i niby probując ich, strzela do szafy ślepemi, jak się późniéj dowiadujemy, ładunkami. Ale przez ten czas mniemany kochanek umknął, wyprowadzony przez matkę. Na odgłos strzału przybiega żona i mdleje odpowiadając na zapytanie męża, że w szafie znajduje się jéj kosztowna suknia balowa. Otwierają szafę i wtedy okazuje się cała czczość podejrzeń męża; daléj więc pojednanie i wszelkie nadal zapewnienia.—Cały bieg rzeczy ma dosyć życia: ruch na scenie nie ustaje; ale czém tu usprawiedliwić owo schowanie do szafy, kiedy dość było powiedzieć: „proszę pana, odejdź i nie przychodź, tylko w obec mego męża lub matki". Cała więc maszynerya komizmu, jaki ta scena zawiera, jest bardzo naciągniętą. Daléj, strzelanie do szafy byłoby effektowne, gdyby widzowie nie wiedzieli, że w niéj już niema nikogo, ale skoro więzień w oczach ich wychodzi z szafy, to reszta przestaje być interesującą. Szkoda, że autor nie zwrócił uwagi na te okoliczności, bo sztuka jego przy innych zaletach jakie posiada, mogłaby mieć powodzenie teatralne, jako wesoła igraszka dramatyczna.

Sztuka znowu p. t. *Para nie do pary* czyli *Safan i Sabina* w 4 odsłonach wierszem, stanowi oddzielną kategoryę. Jest to utwor niezaprzeczenie wielkiego talentu, ale pomyślany i wykonany tak, że ani w druku ani w teatrze nie mógłby znaleść przyjęcia. Pomijamy, że przedmiot sam jest za drobny na 4 akty; pomijamy nieprzerwanie po sobie następujące zmiany dekoracyi; pomijamy sceny niepodobne do przedstawienia: gdyż nad temi techniczno-teatralnemi względami mogłyby przeważyć inne względy, zdolne utworowi temu nadać znaczenie czysto poetycznego dzieła, w formie obrazów dramatycznych wykonanego. Ale walczy przeciw niemu sama treść, lubująca się w obrzydliwym cynizmie, przeniesionym do małżeńskiego pożycia. Bohatérka téj sztuki *Sabina*, żona niedołężnego *Safana*, jest kobietą godną nie już satyrycznéj chłosty, jaką w ręku swym

dzierży komedya, ale stanowi ona raczéj rzadki wyrzutek, wytykany palcem przez obyczaj uczciwy, i piętnem shańbienia odstraszający ogół. Zastajemy ją, kiedy układa nocną schadzkę z jednym gachem, schadzkę, któréj cel nie jest bynajmniéj wieloznacznym; mało tego — drugi gach, wtajemniczony w ten zamiar, obraca na swoją korzyść podchwyconą tajemnicę i również doprasza się o współudział w romansowym faworze. Wprawdzie Sabina, z obawy przed jawnością skandalu, obu gachów zręcznie naraża na śmieszność i tem zasłania się od napaści męża; obu im nawet zamyka swój dom, ale cóż ztąd, każdy widzi, że to tylko partya odłożona. Gdyby autor na ten nieprzyzwoity grunt rzucił choć jaką zasłonę przyzwoitości; ale nie, on z tryskającym dowcipem i werwą rzuca z ust swych bohaterów rakiety cynizmu, dobiéra kolorów jaskrawych, nie owija w bawełnę utyskiwań żony na niedołęstwo męża, które ta w oczy mu wyrzuca, i w świetnych częstokroć wyskokach dowcipu, odrażającą rzeczywistość na samym wierzchu kładzie. Czy może być co jawniejszego, jak te słowa, które niby przyjaciel Safana *Bazyli*, wymawia do siebie, wspominając o jego zaślepieniu na postępki żony:

Żeby tego nie widzieć, trzeba być Safanem.
Dobrze mu tak! niech sobie będzie parawanem,
Niech dźwiga na swéj głowie mężowską koronę,
Niech świadczy się rogami, że ma piękną żonę.

albo, gdy tenże rozumuje o warunkach małżeńskich:

Od konkurrenta naprzód, żądałbym sumienia
Stwierdzonego czynami; potem zaświadczenia
Od *lekarza* i księdza: potém swoją drogą
Inne warunki szczęścia następować mogą.

Jest to mała próbka tonu, w jakim brzmi cała komedya, od pomysłu aż do pojedynczych wyrażeń. Jednakże niema tam zdaje się jednego wyrazu bez znaczenia: zewsząd życie ironii bije pełnym strumieniem, a nawet, co jest rzeczą dziś mianowicie niepospolitą, charaktery, trzech zwłaszcza osób, skreślone rylcem pewnym, wykończonym, słowem artystycznym. Coby to było, gdyby ten artysta słowa i kolorytu, na przedmiot zacniejszy użył téj dzielności, którą tu zmarnował i rzucił w kałużę. Z tém wszystkiém, lubo Komitet z przykrością odsunął dla powodów obyczajności tę sztukę, jednak z pociechą uznał zdolność, która potrzebuje tylko innego kierunku, aby była użytecznym dla literatury nabytkiem: gdyż jeśli autor jest pisarzem początkującym, to łatwo zmienić kierunek może, czego mu serdecznie życzymy w imieniu sztuki; jeśli zaś jest on pisarzem wyrobionym, to należy już tylko wyjawić żal, że się w tym kierunku wyrobił, i w takim razie wątpić wypada, czy ten silny koloryt złego dopisze mu w dobrem. Zdaje się, że Komitet usprawiedliwił się dostatecznie i przed autorem i przed publicznością, dlaczego téj sztuce, pomimo przyznawanych wysokich zalet formy, od-

mówił nagrody: sam autor pomysłem własnym położył zagrodę pomiędzy dziełem swém a zdaniem Komitetu: prawda, że rubaszny żart, swobodne wyrażenie, nie przeszkadzały Arystofanesowi nawet ani Molierowi zbierać laurów; ależ byli to naprzód gieniusze, którym się wiele wybacza; powtóre, pisali w innych czasach; potrzecie, ich żarciki częstokroć bardzo niesforne, przesuwają się tylko po powierzchni, a całość, grunt sam, jest wzorem dobrego smaku. Tu przeciwnie, zgorszenie jest wiązaniem głównem całéj budowy; my zaś chcielibyśmy wprawdzie, aby komedya nasza była kontrollą zasad społeczeńskich, ale nie rubryką brzydkich choć rzeczywistych przypadkowego zepsucia objawów, których w ostatniéj konieczności i domyślić się można: a w ogóle jesteśmy tego zdania, że sztuka nasza nie może, nie powinna być sprawozdaniem z kryminalnych spraw ludzkich, ale ołtarzem ideału, przy którym od dziecka do starca, każdy mógłby westchnąć z pociechą i rozkoszą.

Dnia 11 lutego 1860 r. *K.*

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

PREZYDENT CESARSKO-KRÓLEWSKIÉJ WARSZAWSKIÉJ MEDYKO-CHIRURGICZNÉJ AKADEMII.

Załączając przy niniejszym programata konkursu: na professora zwyczajnego akuszeryi i na adjunkta kliniki terapeutycznéj i patologii szczególnéj, mam honor upraszać redakcyą aby takowy w jednym z najbliższych numerów swego pisma zamieścić raczyła.

W Warszawie, d. 30 Lutego (11 Lutego) 1860 r.

Rzeczywisty Radca Stanu Cycurin.
Protokólista Konferencyi *Wielgórski.*

PROGRAM

Konkursu na *Professora zwyczajnego akuszeryi* W CESARSKO-KRÓLEWSKIEJ *Warszawskiéj Medyko-Chirurgicznéj Akademii.*

Życzący sobie ubiegać się o wakujące miejsce professora zwyczajnego akuszeryi *Warszawskiéj Medyko-Chirurgicznéj Akademii*, obowiązany jest przedstawić Konferencyi Akademii najpóźniéj dnia 20 sierpnia (1 września) r. 1860 dowody następujące:

1. Dyplom na stopień Doktora Medycyny i rozprawę, na mocy któréj takowy stopień otrzymał;

2. Rozprawę drukowaną lub w rękopiśmie, dotyczącą którejkolwiek części akuszeryi lub nauki o chorobach położnic i nowonarodzonych dzieci;

3. Wszystkie inne prace swe naukowe drukowane lub w rękopiśmie, jeżeli je posiada;

4. Opis biegu życia (*Curriculum vitae*).

Prócz tego, kandydat, na mocy § 68 i 69 Ustawy Akademii, obowiązany będzie:

1. Przedstawić w przeciągu dni 8 rozwiązanie na piśmie zadanego pytania;

2. Wyłożyć na próbę w obec Konferencyi lekcyą w przedmiocie wyznaczonym przez Konferencyą, po przygotowaniu się do niéj przez 24 godzin i udowodnić w klinice, że posiada praktyczne wiadomości i biegłość w działaniach akuszeryjnych. Lekcya ta może być podług życzenia kandydata wyłożoną w jednym z trzech języków: rossyjskim, polskim lub łacińskim. Tak do lekcyi jak i dla rozwiązania podaje się kandydatowi kilka zadań, odnoszących się do przedmiotu przyszłych jego zatrudnień, a z tych zadań kandydat losem jedno wyciąga.

W Warszawskiéj Medyko-Chirurgicznéj Akademii professor zwyczajny pobiera płacy etatowéj rub. sr. 1400; posada jego liczy się do klassy VII, a pod względem pensyi emerytalnéj korzysta z tych prerogatyw, jakie nadane są w Królestwie Polskiém osobom stanu nauczycielskiego.

PROGRAM

Konkursu na *Adjunkta kliniki terapeutycznéj i patologi szczególowéj*, w CESARSKO-KRÓLEWSKIÉJ *Warszawskiéj Medyko-Chirurgicznéj Akademii.*

Życzący sobie ubiegać się o wakujące miejsce adjunkta kliniki terapeutycznéj i patologii szczególnéj w CESARSKO-KRÓLEWSKIÉJ *Warszawskiéj Medyko-Chirurgicznéj Akademii*, obowiązany jest przedstawić Konferencyi Akademii najpóźniéj dnia 18 maja (1 czerwca) r. 1860 dowody następujące:

1. Dyplom na stopień Doktora Medycyny i rozprawę, na mocy któréj takowy stopień otrzymał;

2. Rozprawę drukowaną lub w rękopiśmie, dotyczącą którejkolwiek części patologii i terapii szczególnéj;

3. Wszystkie inne prace swe naukowe drukowane lub w rękopiśmie, jeżeli je posiada;

4. Opis biegu życia (*Curriculum vitae*).

Prócz tego, kandydat, na mocy § 68 Ustawy Akademii, obowiązany będzie:

1. Przedstawić w przeciągu dni 8^{miu} rozwiązanie zadanego pytania.

2. Wyłożyć na próbę w obec Konferencyi lekcyą w przedmiocie wyznaczonym przez Konferencyą, po przygotowaniu się do niéj przez 24 godzin. Lekcya ta może być podług życzenia kandydata, wyłożoną w jednym z trzech języków: rossyjskim, polskim lub łacińskim. Tak dla lekcyi jak i dla rozwiązania podaje się kandydatowi kilka zadań, odnoszących się do przedmiotu przyszłych jego zatrudnień, a z tych zadań kandydat losem jedno wyciąga.

W Warszawskiéj Medyko-Chirurgicznéj Akademii adjunkt pobiera płacy etatowéj rub. sr. 600; posada jego liczy się do klassy VIII, a pod względem pensyi emerytalnéj korzysta z tych prerogatyw, jakie nadane są w Królestwie Polskiém osobom stanu nauczycielskiego.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

SPRAWOZDANIE

Z CZYNNOŚCI WYDAWNICTWA DZIEŁ DŁUGOSZA.

III.

Gdy przychodzi nam po trzech znów miesiącach ubiegłych od ostatniego sprawozdania, obliczyć się z pracą i udziałem publicznym, z radością widzimy: że współpracownicy, równie jak ogół kraju, stawiają nas w możności okazania nie małego postępu w przedsięwzięciu, co tyle sił zajęło.

Najważniejszą z podjętych obecnie czynności, jest kollacyonowanie lipskiego wydania dziejów Długoszowych z rękopisem Sto-krzyzkim.

Kodeks ten z trzech części złożony, darował w r. 1636 benedyktyńskiemu na Łysej Górze klasztorowi opat Stanisław z Bogusławic Sierakowski: ztąd go rękopisem Sierakowskiego zwiemy. Obecnie piérwszą jego część posiada biblioteka Willanowska, a drugą i trzecią zbiór kurnicki.

Porównaniem części piérwszéj zajmuję się w Warszawie wspólnie z p. Eugeniuszem Ciemniewskim. Drugą i trzecią kollacyonuje w Krakowie p. *Żegota Pauli*. Oto odebrane uwagi jego:

„Korzyści z rękopisu Sierakowskiego, kopiowanego w dwadzieścia i kilka lat po śmierci Długosza (za czasów najpodobniéj króla Alexandra), będą dla Wydawnictwa nieocenione; zwłaszcza gdy kilkakroć poprawiany, kreślony i ostatecznie jeszcze nie zredagowany brulion autografu Długosza, przechowywany w sexternach (jak się zdaje) w skarbcu koronnym, a nie w bibliotece Jagiellońskiéj akademii, jak niektórzy mylnie utrzymywali (bo tego Długosz nigdzie nie wspomina, aby go złożył w bibliotece uniwersyteckiéj) zaginął. Wziąwszy jeszcze do pomocy drugi rękopism późniejszy, np. Rozrażewskiego, może wprawna czyjaś ręka wybornie z kodeksu Sierakowskiego tekst zrestytuować. Wątpię przetoż, aby porównanie z innemi późniejszemi rękopisami, np. w Petersburgu, Rzymie, plon obfitszy

przyniosło: owszem, nawet błędy późniejszych kopistów tylko bardziéj tekst zaćmić i wydanie niepotrzebnie przewlec mogą. Najlepszym dowodem tego jest wiadomość, świeżo w Gazecie Codziennéj podana (1), o petersburgskim rękopiśmie Długosza, przepisanym niby z autografu. Ow mniemany autograf (jak się to naocznie z porównania przekonałem), z którego Nakielski swą kopią sporządził, jestto rękopis krakowski Rozrażewskiego, bo w nim i też same późniejsze marginały *(Hermannus comes Ciliece ....excipitur)*, których nie masz w odpisach najstarszych, a nawet i toż samo opuszczone miejsce *(Michael Przedwojowicz)*; z czego wypływa: iż ów kodeks Nakielskiego jeszcze mniejszą może mieć wartość, niżeli odpis Rozrażewskiego. Co do losu samego autografu Długosza, więcéj da się o nim powiedzieć, skoro dotrę do testamentu Długosza, którego kopii właśnie u Paulinów na Skałce i w aktach konsystorskich poszukuję.

W ogóle oceniając rękopisy Historyi Długosza nie ze względu graficznego, lecz co do wewnętrznéj ich treści, dostrzedz można: iż się takowe na dwa działy rozpadają. Pierwszy obejmuje kodeksy dawniéj wprost z autografu (jak np. kodeks Sierakowskiego), lub też później z kopij bezpośrednio z autografu sporządzonych przepisane. Drugi zaś późniejszy ma za źródło jakowąś kopią poprawioną i zredagowaną w środku XVI wieku, jak np. kodeks krakowski uniwersytecki (Rozrażewskiego), z którego akademicy licznych odpisów dostarczali. Charakterystyczne cechy pierwszego dawniejszego działu są następujące: 1) Księgi rozpoczynają się zwykle słowami: *Incipit liber...* 2) Marginałów nie masz żadnych lub też są w każdym egzemplarzu odmienne, przez właścicieli dla łatwiejszego przeglądu dodawane. 3) Mają miejsca, które przy późniejszéj redakcyi całkiem opuszczono, jak np. pod r. 1322 o obiorze Wernera von Orselen na wielkiego mistrza krzyżackiego; pod r. 1349 o śmierci Ottona biskupa chełmińskiego; pod r. 1353 o śmierci Henryka Dusemer wielkiego mistrza krzyżackiego; pod r. 1355 o śmierci Kazimierza Trojdenowicza księcia mazowieckiego i t. p., którychto miejsc nie ma w rękopisach późniejszych i w drukowanéj edycyi. 4) O Janie weneckim krwawym djable mówią pod rokiem 1386, że był herbu Pomian *(Pomyanytha)*, podczas gdy kodeksy drugiego działu i egzemplarz drukowany zowią go Płomieńczykiem *(Płomianita)*; co mniéj prawdopodobne, bo każdemu heraldykowi wiadomo: że procendencya herbu Zadora (którą Długosz *in Libris beneficiorum* zawsze *de armis Płomienie* zowie, a nigdy *Płomianithae)* gnieździła się tylko w Małejpolsce koło Krakowa (np. Lanckorońscy z Brzezia), podczas gdy czysto wielkopolski Pomian miał swe rodziny w Poznańskiem, Kaliskiem, Sieradzkiem (jak np. Jarandowie Brudzewscy). Kodeksy drugiego działu, czyli późniejszéj redakcyi,

(1) Nr. 38 z r. b.

to cechuje, że: 1) mają zwykle na czele dodany żywot Długosza, w którym mylnie przy końcu stoi *apud Joannem Golka de Miedzwiedz* (tak ma edycya dobromilska, lipska i kodeks Rozrażewskiego), lubo z aktów wiadomo: iż on się zwał Jan Gałka z Niedzwiedzia. 2) Mają już ustalone we wszystkich egzemplarzach jednakowe marginały, czyli treściowe napisy po bokach. 3) Mają niektóre wyrazy średniéj łaciny poprawione, jak np. nowsze *molestare* zamiast dawniejszego barbarzyńskiego *gverrare*, *capella* zamiast *crypta*, *auxilium* (pomoc wojskowa) zamiast dawnego *solatium*, *szranki* zamiast staropolskiego *ścianki* i t. d. 4) Mają przy miejscach, które w autografie były próżne i niewypełnione, opuszczone Długoszowskie wyrazy: *Quorum tenor sequitur et est talis*, jak np. pod r. 1417, gdzie mowa o bulli Papieża Marcina V erekcyjnéj biskupstwa w Miednikach; pod r. 1422 o traktacie zawartym z Krzyżakami nad jeziorem Melno; pod r. 1423 o przymierzu w Kieszmarku pomiędzy Jagiełłą a cesarzem Zygmuntem; pod r. 1425 o bulli papieża Marcina V do arcybiskupa lwowskiego, dotyczącéj marnotrawstwa króla i t. d., którychto dokumentów braknie we wszystkich kodeksach, a które Długosz nie mając ich snadź w owéj chwili (gdy pisał) pod ręką, zamierzał później dopisać, lecz już nie dopisał, jak świadczą owe wyrazy: *Quorum tenor etc.*, znachodzące się w rękopisie Sierakowskiego. Edycye dobromilska i lipska widocznie z kodeksu drugiego działu czyli późniejszéj redakcyi sporządzone: przyczém wydanie lipskie zeszpecono mnóstwem omyłek drukarskich i grammatyczno-językowych, przekręcaniami wyrazów dodatkiem nieprzyzwoitym przy biskupie Krasce, i licznemi opuszczeniami miejsc, znajdujących się nawet w odpisach drugiego działu, do jakich np. policzyć można pod r. 1380 dość znaczny ustęp o frantostwie Władysława Białego księcia gniewkowskiego, wypuszczony w edycyi lipskiéj (pag. 47)."

Jak pan Pauli ma w Krakowie przy sprawdzaniu kodeks Rozrażewskiego pod ręką, tak my obok Sto-Krzyzkiego notujemy waryanty z rękopisu z wieku XVI (pierwsze 6 ksiąg), posiadanego przez pana Augusta Cieszkowskiego.

Ks. Jan Koźmian raczył nas obznajmić z waryantami, jakie przedstawia rękopis Ligęzy z wieku XVII (ksiąg 6), zachowany w bibliotece czerniejowskiéj; a pod kierunkiem Jego rozpocznie *ks. Chwalczewski* kollacyonowanie wydania lipskiego z kodeksem biblioteki kapituły gnieźnieńskiéj (opisanym w Muczkowskiego Wiad. o rek. Długosza str. 31).

Mam nadzieję: że już w lipcu b. r. rozpoczną się prace około ustalenia tekstu z waryantów, zebranych z tych i z innych jeszcze źródeł rękopiśmiennych.

Przejdźmy do korrespondencyj, które są nam dowodem gorliwego udziału w przedsięwzięciu Wydawnictwa. Oto wyciąg nadesłany łaskawie przez pana *Antoniego Białeckiego* z pracy jego: *Studyum paleograficzne i bibliograficzne nad rękopismami dzieł*

Długosza znajdującemi się w bibliotekach petersburskich. Рѣкопись королевскі (по каталогу латинскихъ рукописей Отд. II—XII. Historya fol. IV 12).

Jestto księga oprawna w skórę, złoceniami ozdobną. Na jednéj stronie oprawy wytłoczony złotą barwą herb Królestwa polskiego z godłem Poniatowskich w środku. Na drugiéj stronie także złotemi literami czytamy napis: „*Stanislaus Augustus Rex Poloniarum saeculorum posteritati vindicat.*“ Brzegi czerwoną zwyczajną farbą powleczone. Kart numerowanych po obu stronach 1114, dzisiejszym charakterem. Prócz tego zaś jest jeszcze pewna część rękopismu numerowana drugi raz, po jednéj tylko stronie dawniejszym o wiele charakterem, pożółklym bardzo atramentem. Papier gruby mocny, z filigranami oznaczającemi (według Lelewela) wiek XV. Wyobrażają one głowę rogatą wołu, z któréj wychodzi długa laska, z zatkniętym na jéj końcu krzyżem i wijącym się wokoło wężem. Dwie tylko kartki, tojest pierwsza i ostatnia mają filigran inny, a mianowicie napis: *Troppan J. R.* Naturalnie że one należą do oprawy, i są przez introligatora dodane.

Na stronie tytułowéj rękopismu znajdujemy własnoręczną notatę Załuskiego: „MSS. Długossi ad 1299, 8 libri; Historiae Polonicae pars I, 8. libri ad 1299.“ Obok téj notatki jest jeszcze inna, zżółklym atramentem napisana: „NB. Annales Longini id est Długossi“ Tąż samą ręką, zdaje się, że był u dołu podpis właściciela—gdyż pomimo wyciętego kawałka i nalepionego świeżo do papieru widać jeszcze kawałek litery *E.* (było zapewne *ex libris*), ten sam atrament i rękę poświadczający. Szkoda to wielka, bo znając dawniejszego właściciela, mielibyśmy rzucone światło na dzieje tego ze wszech miar godnego bliższéj uwagi rękopismu. Zachowany on dobrze, pomimo, że część jedną brzegów wilgoć trochę naruszyła; wszakże ponieważ powiększéj części marginesy są obszerne, więc bez straty dla całości, z drobnemi tylko w kilku miejscach wyjątkami.

Obejrzawszy tak powierzchowność, zajrzyjmy w środek. Jak to już notatką Załuskiego byliśmy uprzedzeni rękopism ten obejmuje pierwszych ośm ksiąg do r. 1299. Tytuł na pierwszéj stronie wypisany bardzo ozdobnie charakterem XV wieku: *Annales seu Cronice Incliti Regni Poloniae opera Venerabl. domini Joahannis Longini Canonici Cracoviensis antiquitatus* (sic.) *Gentis sue observatissimi summa cum diligentia collecte rito* (sic) *veritatis tramite fideliter custodito* (1). Przepisywacz starał się szczególnie przyozdobić ten tytuł; wykaligrafował go bardzo ładnie grubemi

(1) Tytuł ten tak ma być czytanym: „*Annales seu cronicae inclyti Regni Poloniae opera venerabilis domini Johannis Longini Canonici Crac. antiquitatum gentis suae observantissimi, summa cum diligentia collectae, recto veritatis tramite fideliter custodito.* Takiż tytuł ma rękopis Śto-krzyzki.

J. Ł.

gotyckiego charakteru literami. Inicyał bogaty w piękne floresy, spływające na pół szerokości strony. Następuje zaraz pod tytułem tym, list dedykacyjny do Zbigniewa Oleśnickiego, w którym spostrzegamy na pierwszy rzut oka różnicę między tym kodeksem a wydaniami lipskiém i dobromilskiém. Według rękopismu poczyna się on: *Reverendissimo in Christo patri Domino Sbigneo de Olesznyca miseratione divina tituli sanctae Priscae sacrae Romanae Ecclesiae presbitero Cardinali Episcopo Cracoviensi domino meo colendissimo et dignissimo etc*; tych ostatnich wyrazów: *domino meo colendissimo et dignissimo*, które podnoszą niezmiernie jakoby osobisty charakter listu, niema w żadnéj edycyi (1).

Charakter pisma, który na wstępie tego rękopismu spotykamy, uderza starożytnością swoją i pięknemi pociągami pióra. Atrament zachował się jeszcze bardzo czarny, chociaż żółtość jego przebija się często z boku lub na drugiéj stronie papieru. Pismo ciągle równe, wyraźne, duże dosyć i bardzo pewnéj ręki dowodzące. W pisowni spotykamy niezmiernie wiele skróceń, mało znaków pisarskich, litery małe po punktach (2), mniéj zwrócona w ogóle uwaga na nowe ustępy, które gdzieindziéj zwykle *a capite* się zaczynają. Co do tego ostatniego względu, zmienia się dopiero w księdze pierwszéj, która wspaniale wykaligrafowany nosi tytuł: „*Annalium Regni Polonie per Dlugossium collectorum incipit liber primus.*“ Tutaj bowiem każdy już nowy ustęp ma pierwszy wiersz napisany sposobem tymże co i tytuł, t. j. ozdobnie grubemi literami z wyraźną elegancyą i staranności, a nawet z prawdziwym smakiem kaligraficznym. Charakter ten pisma można niewątpliwie odnieść do końca XV a początku XVI wieku; potwierdza to także okoliczność wyżéj wspomniona, do filigranów się odnosząca, które w całym rękopiśmie są jednakowe.

Nie przez cały jednak rękopism ciągnie się charakter, którym rozpoczęty został. Kończy się na roku 1000, który nawet nie oznaczony osobnym tytułem. Jest to część rękopismu niewątpliwie nieco starsza, a która na szczególną badacza zasługiwać powinna uwagę. Spotykamy tutaj mnóstwo poprawek, dopisków, z których jedne poprawiają, a drugie streszczają tekst na obszernych na około marginesach lub między liniami pisma. Jestto ręka oczywiście późniejsza, wszakże do świeżych ze względu na pociąg pisarski wcale jéj zaliczyć nie można; sądzić można, że to charakter połowy XVI wieku. Poprawek, któreby tym samym charakterem co i pierwsze pismo były robione, bardzo mało. Późniejszy ten jednak korrektor obchodził się z tą szczególnie częścią rękopismu bardzo nielitościwie: nie przekre-

(1) Te słowa będące tylko formułą grzeczności w łacinie, są w rękopiśmie Sto-krzyzkim.

(2) To wszystko właściwości rękopisów z XV stulecia.

J. Ł.

ślał, ale zalewał atramentem całe zdania i wyrazy, bazgrząc nad niemi inne; tytuły nawet choć wielkiemi i grubemi literami wypisane, usiłował jakby gwałtem zniszczyć dla zastąpienia ich innemi. Źródła, wedle którego te poprawki się robiły, nie mogłem wyśledzić. Zdawało się czasami, że według edycyi Dobromilskiéj, gdyż zgodnie z nią brzmiały niekiedy poprawki (1); liczne bowiem i od niéj zboczenia nasuwają raczéj przypuszczenie, że gorliwy poprawiacz inny jakiś rękopism miał pod ręką, któremu bardziéj ufał. Zważając jak starannie i pięknie pierwotnie ta część rękopismu była wykonaną, i zastanawiając się nad późniejszemi poprawkami tak licznie i upornie robionemi, nasuwa się wniosek: że w każdym razie rękopism ten musiał być w zetknięciu blizkiém z poważnym jakimś egzemplarzem Długoszowéj kroniki. Starożytność i staranność pisma pierwotnego, silnie popiera ten wniosek. Poprawki znowu, które zupełnego nieuszanowania, tak starannego rękopismu dowodzą, dadzą się usprawiedliwić tylko tém: że oparte być musiały na źródle, które swą wartością wewnętrzną przewyższało wartość kaligraficzną. Poprawiacz zaś, kto bądź on był, musiał niewątpliwie należéć do osób, które albo same były wysoko postawione, jeżeli posiadać mogły tak kosztowną własność i nią się rozporządzać, albo posiadały stosowne naukowe kwalifikacye, jeżeli im właściciel z zupełném zaufaniem podobną robotę powierzył. Gdyby był znany autograf Długosza, wyświeciłby niewątpliwie niepewność, czemu w niniejszym egzemplarzu bardziéj zaufać należy: poprawkom późniejszym czy pierwotnemu brzmieniu, wykazałoby się bowiem z porównania, co do niego więcéj się zbliża (2).

Księga druga pisana tymże charakterem jeszcze, zaczyna się od r. 965 i nosi osobny tytuł, równie ozdobnie wypisany; *Incipit liber secundus Annus domini noningentissimus sexagesimus quintus.* W obydwóch tych księgach lata bywają czasami wypisane w całém brzmieniu literami, a czasem cyframi tylko starożytnego charakteru oznaczone.

Przy końcu r. 999, opuszczono mały ustęp, który według edycyi Dobrom. zaczyna się od słów: *Beato viro Adalberto Gnesnensi Archiepiscopo, ad praedicandam fidem Christianam* i t. d.

Drugi charakter tego rękopismu rozpoczyna się dalszym ciągiem r. 1000, na którym przerwanym został charakter poprzedni. Przerwa ta w środku zdania, w środku stronnicy oddzieloną jest jeszcze od dalszego ciągu jedną białą niezapisaną kartą. Zdanie tam niedokończone prowadzone tu jest daléj od dużéj nawet litery, tak, jakby to nowy był ustęp. Chociaż

(1) Między wieloma przytaczam np. jednę. W ustępie pierwszej księgi na stronie 5 według edyc. Dobromil. jest tytuł: *Egressus Lech et Czech fratres* i t. d. który nie znajduje się pierwotnie w rękopiśmie, ani nawet w edyc. Lipsk.; późniejszy poprawiacz nie omieszkał go dopisać.

(2) Zgodność ze sobą rękopisów piętnasto-wiecznych, jest tu decydującą. J, Ł.

nowo występujący charakter pisma nieskończenie się różni od poprzedniego zewnętrznem wejrzeniem, a mianowicie: że jest drobniejszy, mniéj staranny, jakby z pośpiechem pisany, wszakże przy bliższém rozpatrzeniu nie można wątpić, że co do czasu, cecha jego i znaki szczególne są bardzo zbliżone do pierwszego. Skrócenia równie liczne i rodzaj ich ten sam; tok pisma takiż, znaki pisarskie równie rzadko i nieregularnie przychodzą. Ręka poprawiacza dawnego prowadzi daléj swą pracę, wszakże ogranicza ją już więcéj na robieniu u dołu strony krótkiego summaryusza, przy każdym nowo rozpoczynającym się roku, który w tym celu odsyłaczem opatrza. Tytuły lat i początkowy wiersz ustępów także jak pierwéj grubszemi i ozdobniejszemi wypisany literami. Charakter ten przerwany znowu na r. 1016, którego kawałeczek brakuje znowu, a mianowicie od słów: *Octavo Calendas Augusti Rikscha Poloniae Ducissa* i t. d. Za tém 4½ białych kart, po których inną znowu ręką pisany rozpoczyna się r. 1017. Jestto piękny, czytelny, choć równie drobny charakter; atrament czarniejszy od poprzedniego, choć także żółtość silnie się przebija.

Często w środku wiersza spotkać można próżne miejsce na wyrazy, których przepisywacz nie wyczytał, a które poprawiacz późniejszy dopełniał; lecz jak porównanie wykazało, często odmiennie niż oprewa brzmienie tych wyrazów edycya Lipska i Dobromilska. Lata oznaczone osobnemi tytułami, w których na literę *A* (annus) początkową zostało próżne miejsce, zapewne celem późniejszego jéj przyozdobienia. Marginesy znowu obszerniejsze naokoło, niż to było w poprzednim charakterze. Poprawki rzadkie, a summaryusze tylko tą samą co i dotąd ręką na bokach zapisywane. Typ tego charakteru współczesny poprzednim.

Rok 1039 chociaż zwykle rozpoczyna księgę trzecią, tu wszakże bez żadnego innego tytułu w ciągu wypisany, jako kontynuacya księgi wtóréj.

Czwarty rodzaj charakteru pisma rozpoczyna się znowu w dalszym ciągu roku 1052, który poprzedni przepisywacz w środku przerwał. Niebawem z nim miesza się jeszcze jeden charakter, t. j. piąty już z kolei. Bardzo często zmieniają się obydwa, a to tak dalece, że czasem co stronnica lub dwie, a nie rzadko schodzą się obydwa na jednéj i téj samej. Duży kawał rękopismu prowadzą te dwie ręce do wspólki w ten sposób. Obydwie jednak nie zalecają się czytelnością, ani starannością, ani nawet porządkiem. Przypuścić nawet można, że ta część rękopismu została o wiele później dopełniona, gdyby nie przeczącą wtedy okoliczność, że w takim razie papier musiałby być w tém miejscu inny, gdy tymczasem jest on tu ten sam, co na początku i przy końcu (1).

(1) Na papierze dawniejszym później pisać można. *J. Ł.*

Dwa charaktery oddzielne 4ma kartami białemi od poprzedniego, kończą księgę trzecią (nie zatytułowaną osobno) na r. 1081, gdzie napisano: *explicit liber tertius, incipit quartus.* Słowa te uderzając przy braku osobnego tytułu księgi trzeciéj, naprowadzają na wniosek, który ciągle zdaje się być poparty: że rękopism był *jednocześnie* przez kilku naraz niebardzo umiejętnych przepisywaczy dokonany, którzy nawet nie mieli ze sobą stosunków, gdyż w takim razie byliby zachowali jednostajność w tytułach, rozdziałach i pomieszczaniu ich. Najnieporządniéj pisany rękopism jest koło r. 1109. Po tym roku zostawiono znowu $9^1/_2$ czystych kart, a na 10téj rozpoczęty r. 1110, odkąd rękopism zaczyna być staranniejszym. Znowu r. 1116 przerwany tak jak dawniéj kilku kartami, po których dalszy ciąg nieskończonego zdania na świeżym rozpoczęty arkuszu. Księga piąta nie ma osobnego tytułu, a r. 1140 w jednym ciągu, jako przedłużenie księgi czwartéj napisany. Tutaj powraca znowu charakter, któryśmy już widzieli, a mianowicie trzeci z kolei. Tym skończony już rękopism czytelnie i porządnie.

Księga VI od r. 1174 poczęta ma osobny tytuł, lecz za to nie ma go znowu VII.

Księga VIII nareszcie, na któréj cały rękopism królewski zakończony, ma osobny tytuł: *Incipit liber octavus*, i zaczyna się jak zwykle r. 1295. Chociaż nie wchodzi w zakres pracy niniejszéj zbieranie waryantów pojedynczych rękopismów, wszakże uważam za potrzebne podać zawsze kilka przynajmniej próbek, dla rzucania światła na wartość kodeksu, oraz dla tém pewniejszego oznaczenia ich, co znowu dla następnych badaczy za wskazówkę ma służyć.

W ogóle rękopism ten bardzo wiele się różni od ed. Dobrom. i Lipsk., jak to nas o tém Janocki kilka razy (jak się niżéj przytoczy) uprzedza. Uderzającą jest jednak w tych odmianach: iż często bardzo zdarzają się poprzekładane ustępy z jednego miejsca na drugie. Wiele razy sądziłem w początku, że w jednem miejscu opuszczono, a w drugiém dodano; ściślejsze badanie prędko przekonało, że tylko przełożono lub pod innym rokiem umieszczono. Trudno rozstrzygnąć, co tego rodzaju, a przytém bardzo licznych omyłek mogło być powodem: czy nieuwaga przepisywaczy, czy też tak zredagowany egzemplarz, z którego niniejszy był przepisywany. Szczegółowe zebranie tych zmian może bardzo posłużyć kiedyś do wykazania pochodzenia różnych po Europie rozrzuconych kodeksów Długoszowéj kroniki. Takie zmiany znajdują się np. w niniejszym rękopiśmie przy latach: 1159, 1252, 1253, 1240, 1247 i t. d. Do niniejszego rodzaju pomyłek należy, np. ściągnienie roku 1044 i 1045 pod jeden rok i umieszczenie w dalszym ciągu r. 1046 pod r. 1045, r. 1047 pod tytułem roku 1046 i t. d. aż do r. 1052, który znowu ściągnięty w jeden artykuł z r. 1051. Od roku 1053

zatém uregulowany znowu porządek zgadzający się z edycyami Dobromilską i Lipską (1).

Ed. Dobr. list. dedyk.	str. 1,	w. 14,	polonicarum	*Rękopism.* Polonicalium.
„	„	16,	mandare suscepi	„ mandandum suscepi.
„	„	19,	ut heroum illustria facta insignesque victoriae.	„ ut eorum insignia facta et illustria insignesque victoria .
„	„	21,	nec scribendi arte rudem vetrum aequans narrationem. Sed quia multa praeclora et superiorum, et nostorum temporum acta scitu digna perpetua oblivione tegi doleam.	„ nec scribendi arte rudem veterum superatur narrationem. Sed quia multa praeclara et superiorum et nostrum temporum acta notatione digna in perpetuam oblivionem iri dolebam.
„	„	23,	Egregia enim exstant nonnulorum polonorum virrorum illustrium gesta et memomoratu digna.	„ Egregia enim exstant nonnullorum polonorum illustrium facinora et memoratu digna.
„	„	28,	alias clarius illustari deposcentia	„ Luce carminis deposcentia illustrari.
Księga I.	Str. 1,	w. od dołu 4,	quem ad propriam formaverat imaginem.	„ quem ad propriam formanerat effigiaveratque imaginem.
„	2,	„	7, delictis.	„ demeritis.
„		„	8, Tandem propitiante.	„ Vehementer propitiante.
„	12,	„	13, Ogrodzeniec.	„ Ogrodzenyecz.
„		„	12, Trzysemik.	„ Trzyszemik.
„		„	Rokitno.	„ Rokythno.
„		„	11, Kopciowice.	„ Koptrowycze.
„		„	10, Oświęcim.	„ Oszwynczim.
„		„	Zalesie.	„ Zalyeschye.
„		„	9, Gierzmanowice, Prądnik.	„ Girzmanowice, Prandnyk.
„		„	8, Sulosowa.	„ Suloschowa.
„		„	6, Jangród.	„ Jangroth
„	121,	„	15, Mortuo Benedicto qui sedit annis octo.	„ Mortuo Benedicto qui sedit annis quinque.
„	505,	„	6, Nono Calend Junij.	„ Nonas Calend Julij.
„	504,	„	5, Conradus Bohemiae Dux moritur, et in Praga sepelitur.	„ Cunradus Bohemiae dux moritur et Pragam sepeliendus refertur.

(1) Szanowny korrespondent zdaje się uważać za porządek i poprawność to, co znajduje w wydaniu lipskiém, i edycyi dobromilskiéj, z któréj pierwsze 6 ksiąg drukował Huyssen. *J. Ł.*

Przytoczyliśmy tu umyślnie szereg nazwisk, rozróżniających się pisownią od edycyi dobromilskiéj, którato różnica jest charakterystyczną cechą w XV i początku XVI, w których w ten sposób zwykle pisano.

Świadectwa, które zestawić możemy wyraźne o tym rękopiśmie, są następujące:

W katalogu ces. pub. biblioteki rękopismów łacińskich pod N. f. IV 12 zapisano: *Długosii Annales seu Chronica inclyti Regni Poloniae libri octo priores usque ad a. 1299 fol. 1113. In anteriore parte ligaturae arma polonica; in posteriore parte verba: Stanislaus Augustus Rex Poloniarum saeculorum posteritati vindicat.*

Muczkowski w *Wiad. o rękopis. Historyi Długosza* na stron. 52 mówi: „Zachowany niegdyś w bibliotece Załuskich pod liczbą 208 rękopism, który tu, ze względu iż, jak świadczy wytłoczony na nim napis, staraniem króla Stanisława Augusta pięknie został oprawiony, królewskim nazywany, na 1113 stronach zawiera pierwsze ośm ksiąg Długoszowéj historyi. Rękopism ten, o którym Janocki w *Specim. Catalogi* pod liczbą LXXVII, w *Musar. Sarm.* na str. 90 pod liczbą XXXVII i nakoniec w *Janocyanach* t. II str. 76 wspomina, oraz w piérwszém dziele *codex chartaceus magnae molis*, w drugiém *vetus codex*, a *volumen vetustissimum* nazywa, i nakoniec dodaje: iż go *Augustissimus bibliothecae hujus vindex et conservator bene refici ac regie odornari curavit*, znajduje się teraz w Ces. bibl. w Petersburgu pod liczbą 12. Na okładce ma herb królewski z napisem: *Stanislaus Augustus Rex Poloniarum saeculorum posteritati vindicat*".

Jan Dan. Janocki w swoich *Janociana* tom II str. 76, tak się dosłownie wyraża: „*Varsaviae Zalusciana in Bibliotheca volumen unum vetustissimum servatur, cui Dlugossi insunt annalium libri VIII priores, ad annum 1299. Reliqui codices Zalusciani aevo recentiori scripti sunt.* Nec unus quidem, opus illud integrum exhibet". W odsyłaczu zaś dodaje: „*Idem multa ex parte tam vetustate, tam sedis olim putridae humore conglutinatum simmul et subesum: Augustissimus Bibliothecae hujus vindex et conservator bene refici ac regie odornari curavit*". Tenże pisze w *Musarum Sarmaticarum Specimina nova* na str. 90: „*Vetus codex, complectens libros VIII priores ad annum 1299. Ab editis voluminibus frequentissime dissentit, Lxstat sub numero 208*".

W *Specimen catalogi codicum manuscriptorum Bibliothecae Zaluscianae* powiada na str. 28: „*Codex chartaceus magnae molis ipsa ut fertur auctoris manu (??) conscriptus multa tamen ex parte tum vetustate, tum sedis olim sporcissimae humore, conglutinatus simul et subesus. Caeterum hic non parva inveniesque a codicibus Dobromilae, Lipsiaeque typis divulgatis longe dissentiunt*".

Wiszniewski w tomie IV str. 65 *Hist. Lit.* powtarza dosłownie powyżéj przytoczone wyrazy w Janocyanach.

Nietylko powyższe świadectwa, ale i piérwszy rzut oka na ten rękopism potwierdzają jego starożytność. Paleograficzną

poszukiwania nie doprowadziły mnie do możności ściślejszego jeszcze oznaczenia czasu, lecz ze wszystkiego śmiało wnosić się widzę upoważnionym, że koniec XV lub początek XVI wieku jest niezawodnie chwilą, w której ten rękopism był przepisywany. Wyrażenie Janockiego: *ipsa ut fertur auctoris manu conscriptus*, niczém nie poparte, przy wiadomościach, które dziś mamy o autografie, upada już przez to samo odrazu, że kilkoma rękami pisany jest ten kodeks. Według mego przekonania, charaktery te, acz odmienne co do zewnętrznego kształtu, zgodne są wszakże w typie, w szczególnych znakach, w pisowni, która jest stałą cechą wieku, i dlatego nie waham się twierdzić: że rękopism cały był jednocześnie, z małą może różnicą czasu, sporządzony. Potwierdzać się zdaje ten wniosek jeszcze nietylko jednakowy papier w całéj księdze, charakter pisma na końcu tenże co i na początku, poprawki późniejsze w całym rękopiśmie jedną ręką robione, ale nawet i ten pośpiech, z którym pojedynczy przepisywacze chcieli polecone im działy kończyć, a nawet i białe karty, oddzielające od siebie różne charaktery. Wątpić bowiem nie można, że miłośnik, któryby później brakujące rzeczy chciał dopełniać, byłby już starał się równie troskliwie je dopisać, jak z początku i przy końcu.

Ważność wreszcie tego odpisu wykazuje się jeszcze z szczególnéj uwagi, którą na niego we wszystkich swych pracach bibliograficznych Janocki zwraca, oraz z oprawy, którą Stanisław August go przyozdobić postanowił. Co właściwie znaczy ta oprawa, trudno nam z pewnością orzec. Zapewnił mnie bibliotekarz C. p. bibl. mający oddział rękopismów pod sobą, p. Anatazy Byczków, że książki herbem Królestwa Polskiego i Poniatowskich opatrzone, pochodzą z bibliot. Tow. przyj. nauk warszawskiego. Gdy wszakże Tow. prz. nauk powstało we trzy lata po śmierci Stanisława Augusta, gdy na rękopismie jest własnoręczna notatka Załuskiego, muszę wątpić o tém, a przypuścić natomiast, że w r. 1796 razem z innemi księgami Załuskich przewieziony został ten rękopism do Petersburga. Zkąd się zaś wzięła oprawa staraniem Stanisława Augusta i napis, że księgę tę *saeculorum posteritati vindicat*, nie można inaczej wytłumaczyć, jak tylko: że król ten miłujący nauki, był jéj właścicielem pierwéj, a potem oddał w darze narodowej bibliotece Załuskich (1) dla użytku krajowego. Szczegółowe zbadanie treści tego rękopismu i porównanie z edycyami, jest nieodzownie potrzebném i nastręczyć może nietylko skazówek powinowactwa wielu innych odpisów Długosza, ale rzuci jeszcze światło na pochodzenie, oraz bliżéj oznaczy wartość tego tak ciekawego i starożytnego (z pozoru już tylko zewnętrznego) rękopisu.

(1) Wiadomo, że znaczna część *pięknéj i kosztownéj*, jak współczesni świadczą, biblioteki ostatniego króla polskiego, wpłynęła do publicznéj biblioteki Załuskich.

pismu. Umieściłem wreszcie na końcu na osobnéj tablicy podobizny własnoręcznie zdjęte wszystkich charakterów zmieniających się w tym kodeksie. Zebrałem także facsimile cyfer, jako charakterystyczną cechę pod względem paleograficznym".

Bardzo pomyślną jest okoliczność: że kodeks opisany tak pilnie, sumiennie i umiejętnie przez pana Białeckiego, zgadza się w zupełności z Sto-Krzyzkim, wziętym za zasadę w porównywaniu. Zgodność ta rozciąga się nawet do filigranów papieru w obu rękopisach jednakich.

Pan *A. Bielowski* donosi co następuje:

„Rękopism biblioteki Ossolińskich w 4ce pod numerem Inwentarza nowego 619^{m} umieszczony, papierowy, o 174 liczbowych kartach, zawiera następujące żywoty. Od karty 1—28 (z dodatkiem karty 129, która w oprawie przypadkiem przełożona między dalsze została): *Catalogus episcoporum Cracoviensium*, od Prochora, do Zbigniewa Oleśnickiego. Pismo z XV wieku niezawodnie. Od karty 29—92 *Catalogus Archiepiscoporum Gnesnensium*, od Willibalina, do Jakóba Sienieńskiego; pismo z XVI wieku, krągłe, podobne do tego, jakie jest w *aktach* oryginalnych *Tomickiego*. Od karty 93—128. *Catalogus episcoporum Vladislaviensium* (Władysławskich czyli Kruswickich) od Lucyda, do Zbigniewa Oleśnickiego, który był kardynała i biskupa krakowskiego tego imienia „*nepos ex fratre germano*"; pismo z XV wieku. Od karty 130—174. *Catalogus episcoporum Posnaniensium* od Jordana, do Uryela I z Górki. Pismo z XV wieku tejże saméj ręki co w biskupach krakowskich i Władysławskich. Oprawa rękopismu stara, z XVI wieku, w skórę, na niéj wyciśnięty herb biskupi, Korab podobno, czy też Łodzia (wytarty) i napis: *Catalogus archiepiscoporum*. Widać, że rękopism z XV wieku żywoty biskupów krak. wład. i poznańskich zawierający, dopełniony był w XVI wieku arcybiskupami gnieźnieńskiemi i razem z niemi oprawny. Przed każdym z tych katalogów jest Długoszowe poświęcenie, czyli dedykacya różnym osobom.

Tak się rzecz ma z rękopismem Ossolińskich; dla wiadomości zaś dodaję: że w bibliotece Imperatorskiéj publicznéj petersburskiéj, są Długoszowe rękopisma różnych żywotów. Otóż kodeks, który ma znak: *Na raznych jazykach A.* (1) *F.* Ord. XVII N. 134 jest na karcie 223. *Cathalogus episcoporum Vladislaviensium.* „*Primus Crusvicensem sedem, quae postea Vladislaviam translata est, Lucidius episcopus obtinuit*" i t. p. Tak jak w rękopismie Ossolińskich. Toż samo w rękopismie *(Na raznych jazykach A. F.)* Ord. IV N. 138 jest na karcie 1: *Vitae et gesta epi-*

(1) Petersburskie katalogi rękopismów dzielą je według języków. Ten oddział, w którym jest kodeks niniejszy, ma nadpis: на разныхъ языкахъ (Na raznych jazykach), a *A.* oznacza, że rękopism jest łaciński (Łatinskaja rukopis).

scoporum Cracoviensium; na k. 49: *Vitae et res gestae Archiepiscoporum Gnesnensium* i t. d. Nb. tych ostatnich dedykacya Sieńskiemu „*Lux sapientiae clarescente*", co okazuje tekst Długosza.

W bibliotece Ossolińskich mamy po licz. 123 rękopism in folio: *Processus inquisitionis super vita, sanctimonia et miraculis praeclarae Kunegundis virginis dicissae Poloniae*: zawiera zbiór *urzędowy* wszystkich aktów do tego przedmiotu należących; egzemplarz starannie pisany, w pergamin oprawny, ze złotemi brzegami i nadpisami. Na karcie 141: *Vita beatae Kunegundis, dicissae regni Poloniae.... a Joanne Dlugosch seniore, Canonico Cracoviensi.*

Długoszowego herbarza podobiznę: *Omnium domorum sive clenodiorum polonicae gentis descriptio* z naszego rękopismu zdjętą załączam. P. Działyńskiego rękopism młodszy jest od naszego, lecz początku w naszym brak.

W bibliotece uniwersyteckiéj lwowskiéj niema rękopismu Długosza historyi samej, tylko *Compendium* w małym tomiku w 4ce, które stoi pod Nr. XLI G. 15. Takie Compendyum i my mamy oprócz historyi samej; uniwersytecki egzemplarz trochę lepszy. Nie mogłem dotąd zmiarkować, czy to jest wyciąg z obszernego, lub też może zbiór krótki i chronologiczny faktów, który wielkie dzieło poprzedził; pierwsze jednak mniemanie nierównie jest prawdopodobniejsze. Nadpis ma farbą czerwoną: „*Annallium Re(rum) Po(lonicarum) per Joannem Longinum summariae collectorum libri duodecim.*" *Egressus Liech et Czech de Dalmatia et Croatia* i t. d.

Liber beneficiorum Długosza, nie znajduje się w bibliotece Ossolińskich; jest tylko lichy wyciąg, 18 niespełna kart in folio, które biskup Zacharyasiewicz kazał w r. 1840 przepisać z rękopismu przy kościele w Tuchowie (1) znajdującego się, ma tytuł: *Antiqua fundatio monasterii s. Benedicti in Tyniec*, a na końcu powiedziano: *Ex libro Beneficiorum monasteriorum Dioecesis Cracoviensis, anno dni* 1440 *conscripto extractum et sigillo reverendissimi Capituli Cathedralis Cracoviensis communitum Laurentius Josephus Czechowski publ. et act. R. Cap. Cath. Crac. Notarius.* Z tego podpisu widać, że i Tuchowski rękopism jest kopią niedawną.

P. L. Siemieński pisze: „iż całkowity odpis dziejów Długosza był własnością professora Bronikowskiego w Ostrowie, w Poznańskiém, ten darował go Towarzystwu w Gostyniu."

Kodeks ten z wieku XVII posiada jak nam wiadomo, Poznańskie Towarzystwo przyjaciół nauk.

P. Krakowski Adjunkt Biblioteki hr. Raczyńskich w Poznaniu, przysłał Wydawnictwu kalki dwóch kartek (wykonane przez P. M. Lekszyckiego) z rękopisu żywota śtéj Kunegundy, znajdującego się w téjże bibliotece. Kodeks ten oglądał świeżo

(1) Niegdyś opactwo benedyktyńskie w Galicyi w cyrkule Jasielskim na granicy Tarnowskiego. *J. L.*

p. Alexander hr. Przezdziecki kierownik Wydawnictwa. Niemałéj on jest wartości, jak skoro pisany prawie współcześnie Długoszowi, a ma dwie pierwsze stronnice, których brak w rękopiśmie Staro-sandeckim. Filigrany papieru też same, jakie ma rękopis dziejów Petersburski (dopiero opisany) i kodeks Sto-Krzyzki (Patrz *Bibliogr. ksiąg dwoje* Tabl. XVIII Nr. 4).

Od Prześwietnéj kapituły Metropolitalnéj gnieźnieńskiéj odbieramy wiadomość: iż w aktach jéj zapisano: „że Jan Długosz Senior, Kanonik Kapituły krakowskiéj, w dniu 15 grudnia 1471 roku instalowany był na kanonią metropolitalną gnieźnieńską, przez nominacyą Króla Kazimierza, a instytucyą od arcybiskupa Jana Gruszczyńskiego otrzymaną, którą mimo osiągnionego arcybiskupstwa lwowskiego, za zezwoleniem Kapituły gnieźnieńskiéj aż do śmierci posiadał; nadto: iż tenże w roku 1458 różne dzieła biblioteki naszéj, miał sobie do użycia pozwolone."

P. Senator R. Hube raczył nadesłać z Petersburga z biblioteki swojéj: rękopis Długoszowego żywotu ś. Stanisława, pisany w końcu XV lub początku XVI wieku, i odpis życia śtéj Kiugi z XVII stulecia.

P. Eustachy Marylski oddał na użytek Wydawnictwa przekład 4éj księgi Dziejów Długoszowych, dokonany przez ś. p. Hippolita Kownackiego.

Przekład żywotów Arcybiskupów gnieźnieńskich i Biskupów krakowskich powierzonym został *J. Ks. J. Gackiemu proboszczowi w Jedlnéj.*

P. Dr Karol Mecherzyński ukończył tłumaczenie dwóch pierwszych ksiąg Historyi.

P. Szymon Dutkiewicz odpisuje gorliwie *Liber beneficiorum dyecezyi krakowskiéj*; od czego rozpocznie się zapewne publikacya wydania całego.

Przechodząc do wykazania stanu przedpłaty, przedewszystkiem donoszę: że Prześwietne Kapituły i Konsystorze: sandomierski, podlaski, kaliski, piotrkowski, poznański i przemyślski, oraz wileńskie ewangelickie reformowane Kollegium, raczyły zawezwać duchowieństwo swoje do udziału w prenumeracie, którą instytucye te w ratach lat kilku przyjmować będą. Takież pośrednictwo i pomoc ofiarowały Wydawnictwu Towarzystwa: C. K. Naukowe krakowskie, Rolnicze lwowskie i krakowskie, Zakład narodowy imienia Ossolińskich i Kommissya Archeologiczna wileńska.

Listę prenumeratorów przychodzi nam uzupełnić następnemi imionami:

JW. Kurator Okręgu Nauk. Warsz. dla bibliotek zakładów nauk. przedpłacił na 7 egzemplarzy. Biblioteka Akademii Duchownéj w Warszawie, oraz professorowie téj Instytucyi zażądali egzem. 11. Nadto zapisali po jednym egzemplarzu: ks. A. Brzeziński, ks. F. Bażyński, ks. J. Cybichowski, ks. Dorszewski, M. Grodzicki (egz. polski) Wł. Górski, ks. Jan Janiszewski,

ks. St. Jackowski. Ignacy Janicki (egzem. polski). Kapituły: Metrop. gnieźnieńska, Metrop. poznańska, katedralna płocka i kollegiacka łowicka, E. Kalksteju, M. Kalksteju, Kazimierz Koczorowski, Karol Koczorowski, ks. J. Koźmian, ks. Lewandowski, A. Łączyński, M. Łeszkowski, Hr. P. Moszyński, A. Morzycki (egz. pols.), S. Ostrowski, ks. T. Piątkowski, Seweryna Pruszakowa (egz. pols.), ks. A. Sucharski, ks. Szelewski, Seminarynm dyec. wileńskie, W. Siemieński, ks. Tałodziecki, ks. F. Wartenberg, Zgromadzenie XX. Filipinów w Gostyniu.

Przybyło więc po ostatniém obliczeniu prenumeratorów 50, razem dotąd 304.

w Warszawie,
d. 24 lutego 1860 roku.

Józef Łepkowski
Sekretarz Wydawnictwa.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

DZIEŁ I PISM WYCHODZĄCYCH W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Miesiąc Styczeń 1860 roku.

DZIEŁA.

Encyklopedya powszechna. T. II. Zeszyt 10, 11, 12. Warszawa, 1860, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8ce, str. 96, od 97—208, od 209—320, okładka drukowana, każdy zeszyt kop. 35.

Katalog dzieł nowéj księgarni Leona Idzikowskiego w Kijowie. Warszawa, druk Gazety Codziennéj, w 4ce, str. 9.

Elementarz polski czyli nauka czytania polskiego z małemi powiastkami i bajeczkami ułożony przez przyjaciela dzieci. Brześć Litewski. 1860, nakł. i druk L. Szereszewskiego, w 8ce mniejsz. str. 40.

Списокъ Генераламъ и Гражданскимъ чинамъ первыхъ четырехъ классовъ, служащимъ въ Царствѣ Польскомъ по старшинству въ чинахъ. Составленъ къ 1 Января 1860 года. Варшава, въ типогр. Ѳ. Унгера, w 12ce, str. 42, VIII.

900 najlepszych środków domowych przeciw rozlicznym chorobom i cierpieniom człowieka z przyłączeniem niektórych ważniejszych przepisów lekarskich doświadczonych od kaszlu, kataru, bolu głowy, kwasów i kurczu żołądka, biegunki, hemeroidów, hypokondryi, zatwardzenia, artrytyzmu i reumatyzmu, niemniéj od duszności suchot, zatrzymania uryny, kamienia i gruzu moczowego, robaków, hysteryi, kolek, febry przemijającéj, wodnéj puchliny, skrofuł, choro-

by oczu, mdłości, zawrotu, brzęczenia w uszach, głuchoty, bicia serca, bezsenności, wyrzutów skórnych i t. p., tudzież skład apteczki domowéj, przez *Hufelanda* na wzór dzieła niemieckiego zebrane, ułożone i dwoma traktatami o cholerze i o cudownych środkach zimnéj wody pomnożone, przez *Benjamina Rozenblum* lekarza. Wydanie 3 powiększone. Warszawa, 1860, nakł. S. H. Merzbacha, druk J. Jaworskiego, w 8ce, str. nieliczb. 8, liczb. 300, okł. druk. rs 1 k. 20.

Vorschlag zu einem bergmännischen Unternehmen auf der Grundbesitzung Kozieglowy. Propozycya do poszukiwania kruszców w dobrach Koziegłowy. Warszawa, 1860, druk A. Gins, w 8ce, str. 6.

Sabowski Władysław. Ziarna i plewy, pisma wierszem oryginalne i tłumaczone. I. Józia i Zosia, Drobne pisma, Ustępy z przekładów. Warszawa, 1860, druk J. Ungra, w 8ce, str. 191, okł. druk. rsr. 1.

Guillois Ambroży ks. Katecheta na kazalnicy, układ kazań, konferencyi i nauk o głównych przedmiotach wiary chrześciańskiéj, dzieło pozgonne wydane przez ks. *Alix*, z francuzkiego tłumaczył *Leon Rogalski*. T. II. Moralność i Sakramenta. Warszawa, 1860, nakł. i druk J. Glücksberga, w 8ce, str. nieliczb. 4, liczb. 504 i spisu przedmiotów nieliczb. 2, okł. druk.

Kalendarz ścienny na rok 1860. Warszawa, nakł. i druk J. Glücksberga, fol. kop. $22^1/_2$.

Neugebauer Ludwik Adolf. Anatomia opisowa ciała ludzkiego. Dzieło ozdobione drzeworytami. T. 1, Zesz. 1 i 2. Warszawa, 1860, nakł. autora, druk J. Psurskiego, w 8ce, str. 4, 64, 65—128, okł. tymczasowa, drukowana, każdy zeszyt k. 30.

Wolski Włodzimierz. Hrabina, opera w 3ch aktach, muzyka Stanisława Moniuszki. Warszawa, 1860, nakł. G. Gebethnera, druk K. Kowalewskiego, w 8ce, str. 90, okł. druk. k. $37^1/_2$.

Arcybiskupi gnieźnieńscy i prymasi. Wizerunki z galeryi łowickiéj, objaśnione tekstem historycznym przez *Juliana Bartoszewicza* Zeszyt 9 i 10. Warszawa, 1858, nakł. litografii A. Pecq et Comp., druk J. Ungra, fol. str. nieliczb. 8 wizerunków 8.

Godzinki na cześć Niepokalanego Poczęcia się Najświętszéj Maryi Panny u XX. Bernardynów. Do śpiewania przedrukowane. Radom, 1859, w drukarni przy Rządzie Gubernialnym, w 8ce mniejsz. str. 16.

Hirschfeld Ludwik i *Korzeniowski Hipolit.* Anatomia opisowa ciała ludzkiego. T. 1. Zesz. 1. Warszawa, 1860, druk K. Kowalewskiego, w 8ce, str. 30, okł. druk., każdy zesz. k. 40.

Catalogue du Cabinet de lecture chez Charles Bernstein. Varsovie, 1860, druk A. Gins, w 12ce, str. 20, kop. 5.

Raquillier Felix. Zbiór wiadomości praktycznych i użytecznych w gospodarstwie wiejskiém dokładnie zebranych i wydanych. Warszawa, 1860, druk J. Tomaszewskiego, w 8ce, str. 66 i V, okł. druk.

Wieniarski Antoni. Powieści z podań i dziejów polskich. Warszawa, 1860, nakł. i druk. J. Ungra, w 8ce, T. 1, str. 272, T. II, str. 293, okł. druk. rs. 1 k. 50.

M. B. C. Septenna czyli siedmiodniowe nabożeństwo do Matki Boskiéj Częstochowskiéj, które nietylko na Jasnéj Górze, ale i wszędzie odprawioném być może. Warszawa, 1860, druk J. Psurskiego, w 16ce, str. 46, okł. druk.

Królowie polscy, wizerunki zebrane i rysowane przez *Alexandra Lessera*, objaśnione textem historycznym przez *Juliana Bartoszewicza*. (Les portraits des Rois de Pologne édités par l'établissement litographique et artistique d'Adolphe

Pecq et Comp., dessinés par Alexandre Lesser avec un texte historique de Julien Bartoszewicz). Warszawa, 1860, druk J. Ungra, nakł. i litogr. A. Pecq'a et Comp. fol. Zeszyt 14, str. nieliczb. 2, ryc. 1, Wykazu materyałów użytych do wizerunków str. nieliczb. 2, spisu p. t. Królowie polscy porządkiem panowania spisani z wymienieniem ich żon, dzieci, główniejszych dat chronologicznych i t. p. str. 8.

Bogusławski Stanisław. Tak się dzieje czyli Życie nad stan, komedya w 3 aktach, oryginalnie wierszem napisana. Warszawa, 1860, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8ce, str. 123, okł. druk. k. 45.

Dramata Wiliama Shakspear'a, przekład z pierwotworu. T. III. Król Ryszard III, Ukrócenie Spornej, Kupiec wenecki, Wiele hałasu o nic. Warszawa, 1860, druk S. Orgelbranda, w 8co, str. 631, okł. druk.

Ordo divini officii ad usum Archidioecesis Varsaviensis auctoritate ac mandato excellentissimi illustrissimi ac reverendissimi domini domini Antonii Melchioris Fijałkowski Dei miseratione et sanctae Sedis Apostolicae gratia, Archiepiscopi et Metropolitae Varsaviensis, conscriptus ac editus, A. D. 1860, Varsaviae, ad S. Crucem, w 8ce mniejsz. str. 100 i nieliczb. 4.

Ordo divini officii et sacrificii ad usum Cleri saecularis dioecesis Plocensis pro A. D. 1860 auctoritate et mandato illustrissimi ac reverendissimi domini domini Thomae Francisci Myślinski Praelati, Custodis ecclesiae Cathedr. Plocensis, Sede Episcopali Plocensi vacante vicarii capitularis et Administratoris dioecesis Plocensis, conscriptus ac editus. Varsaviae ad S. Crucem, w 8ce mniejsz. str. 38, nieliczb. 8.

Directorium persolvendi rite divini officii secundum rubricas breviarii et missalis romani, ad usum universi cleri saecularis dioeceseos Kielcenso-Cracoviensis pro anno bissextili 1860. Opera Mathiae Kluba *concinnatum. Varsaviae, ad S. Crucem* w 8ce mniejsz., str. 76 i nieliczb. 8.

Ordo divini officii ad usum dioecesis Vladislaviensis seu Calisiensis, pro A. D. 1860 Auctoritate et mandato E. J. ac R. D. D. Michaelis-Joannis Marszewski Episcopi dioecesis Vladislaviensis seu Calisiensis, editus. Varsaviae, ad S. Crucem str. 54 i nieliczb. 8.

Ordo divini officii recitandi et S. Missae sacrificii celebrandi juxta rubricas breviarii et Missalis Romani ac decreta S. R. C. ad usum universi cleri saecularis dioecesis Lublinensis pro A. D. 1860 bissextili, conscriptus ac editus auctoritate et mandato E. J. ac R. D. D. Vincentii a Paulo Pieńkowski Epp. dioec. Lublinensis. Varsaviae, ad S. Crucem, w 8ce, str. 22 i nieliczb. 8.

Directorium divini officii peragendi juxta rubricas breviarii et missalis romani tam generales quam particulares necnon decreta S. R. C. pro A. D. 1860 ipso bissextili et primo post embolismalem ad usum dioecesis Sandomiriensis Auctoritate et mandato J. E. ac R. D. Josephi Michaelis Juszyński Dei et Apostolicae sedis gratia episcopi Sandomiriensis, conscriptum per Thomam Słowikowski *Can. honor. Eccl. Cathedr. Sandomiriensis. Varsaviae, ad S. Crucem*, w 8ce, str. 83 i nieliczb. 8.

Ordo divini officii ad usum universi Cleri saecularis dioecesis Augustoviensis Auctoritate et mandato J. ac R. D. D. Jacobi Chmiński Canonici Cathedrae Sejnensis, sede vacante vicarii capitularis et Administratoris dioec. Augustoviensis, conscriptus ac editus pro A. D. 1860. Varsaviae ad S. Crucem, w 8ce mniejsz. str. 19 i niel. 8.

Ordo divini officii et missarum juxta rubricas ac decreta S. Ritum congregationis ad usum dioecesis Podlachiensis pro anno bissextili 1860 propositus autoritate et mandato C. J. ac R. D. D. Beniamin Petri Pauli Szymański, Ordinis minorum S.

Francisci Capucinorum D. et A. Sedis gratia Episcopi Podlachiensis nec non Commissarii Generalis Capucinorum per Poloniam. Opera per Andream Karnicki *Curatum eccl. paroch. in civitate Sokołow. Varsaviae ad S. Crucem*, w 8ce, str. 88, niel. 8.

Ordo divini officii sacrique peragendi juxta ritum monasticum ac décreta S. R. C. ad usum monasterii Paltoviensis Ordinis S. Benedicti et monialium a perpetua adoratione SS. Sacramenti coenobii Varsaviensis, ejusdem Ordinis auctoritate et mandato J. ac R. D. D. Ambrozii Prusiński Abbatis claustralis monast. Paltoviensis, conscriptus pro A. D. 1860. Varsaviae, ad S. Crucem, w 8ce, str. 40 i nieliczb. 8.

Ordo divini officii recitandi Sacrique peragendi juxta calendarium atque S. R. C. decreta et rubricas breviarii novissimas ad usum Patrum ac Fratrum ordinis eremitarum S. P. Augustini Provinciae Polonae, pro A. D. 1860. Dispositus ac editus jussu. A. R. P. Rajmundi Krajewski S. T. B. Prioris provincialis. Varsaviae, ad S. Crucem, w 8ce mniejsz., str. 29 i nieliczb. 8.

Directorium divini officii ac missarum juxta ritum et antiquam consuetudinem Hierosolimitanae Ecclesiae ad usum fratrum ordinis beatissimae Dei genitricis semperque Virginis Mariae de Monte Carmelo S. O. pro provincia SS. Sacramenti jussu et authoritate superiorum juxta generales novissimi breviarii rubricas Romae A. D. 1855 impressi pro A. 1860 accommodatum. Varsaviae, ad S. Crucem, w 8ce mniejsz., str. 32 i nieliczb. 8.

Directorium absolvendi divini officii nec non missarum celebrandarum juxta calendarium atque S. R. C. decreta et rubricas breviarii novissimas ordinatum ad usum fratrum minorum S. P. N. Francisci observantium provinciae minoris poloniae ad ejusdem ordinis monialium. Sub titulo et protectione Immaculatae conceptionis B. V. M. permissu et auctoritate A. R. P. Eustachii Pleśniarowicz Ministri provincialis p. P. P. D. L. pro A. bissextili 1860 editum. Varsaviae, ad S. Crucem, w 8ce mniejsz., str. 60 i nieliczb. 8.

J. N. D. J. A. Directorium divini officii ac missarum celebrandarum juxta rubricas breviarii ac missalis Romano-Seraphici ad usum FF. Minorum Reformatorum Provinciae S. S. V. Mariae Angelorum in Polonia pro A. D. bissextili 1860 ordinatum. Varsaviae, ad S. Crucem, w 8ce mniejsz., str. 48 i nieliczb. 8.

Ordo divini officii recitandi missaeque celebrandae juxta calendarium et rubricas breviarii missalisque romani ac nostri peculiaris. Novissime ad usum FFr. minor. S. P. Francisci Capuccinorum editi Provinciae Poloniae S. S. Adalberti et Stanislai Episcoporum et martyrum. Pro A. bisextili 1860 constructus. Varsaviae, ad S. Crucem w 8ce mniejsz., str. 58 i nieliczb. 8.

Prospekt założenia przez stowarzyszenie się fabryki chemicznych nawozów pod Warszawą. Ustawa fabryki chemicznych nawozów pod Warszawą (Warszawa, 1860, druk Pzurskiego), w 4ce, str. 10.

Kąkolewski Leon. Nauka uprawy łąk, prz tłumaczył z niemieckiego podług *Fries'a* i uzupełnił podług innych autorów niemieckich i francuzkich. 200 drzeworytów w tekscie wykonanych p *J. Stifiego* Warszawa, 1860, druk J. Jaworskiego, w 8ce, str. XXIV, 619, okł. druk. rs. 1 k. 5.

P. A. Maksymy św. Józefa z Kopertynu z zakonu Braci Mniejszych Św. Franciszka. Warszawa, 1860, druk J. Ungra, w 16ce, str. 32, kop. 5.

Konopacki Szymon. Chronologja dziejów Królestwa Polskiego dla młodego pokolenia. T. 1. Żytomierz, 1860, nakł. Spółki wydawniczo-księgarskiéj, w 8ce, str. CXV, spisu przedmiotów nieliczb. 2, liczb. 218, okł. druk. rs. 1.

DZIEŁA ZBIOROWE.

Księga Świata. Wiadomość z dziedziny nauk przyrodzonych, historyi krajów i ludów, żywoty znakomitych ludzi, podróże, opisy ciekawych miejscowości, wód słynniejszych, odkrycia i wynalazki, ważniejsze zajęcia przemysłowe, obrazy towarzyskie, statystyczne, ekonomiczne i t. p. z rycinami na stali, litografiami czarnemi i kolorowanemi, oraz drzeworytami. Pod redakcyą *Hipolita Skimborowicza*. Nakład S. H. Merzbacha, druk J. Jaworskiego, w 4ce, Poczet drugi, rok pierwszy, 1859, zeszyt X, str. od 113—156. Zeszyt XI, str. od 157—192, zawierają:

Wyścigi konne w Rzymie, z ryciną, p. *Józefę Śmigielską*. Wpływ chemii na rozwój fizyologii i medycyny (dokończenie), p. *A. H.* Skierniewice (dokoń.), p. *Juliana Bartoszewicza*. Karol Dickens, z drzeworytem, p. *J. Janiszewską*. Podania ludu naszego (dokoń.), p. *J(ana) K(antego) Gregorowicza*. Kabylia, p. *Edw(arda) Sulickiego*. Czczewo i most pod niém na Wiśle, z drzeworytem. Albertrandy i nieznane jego rękopisma. Łobzow, z drzeworytem, p. *S.* Mogiła Kościuszki, z drzeworytem, p. *S.* Mięczaki, z ryciną, p. *J. Janiszews...* Rozmaitości. Plac zgody w Paryżu, z ryciną, p. *A. D.* Niektóre rysy charakteru Chińczyków i ich zwyczajów. Upsal, z niedrukowanych rękopisów *Albertrandego*. Sztockholm, p. *J. A.* Jan Krystyan Oerstedt, z drzeworytem, p. *J. C.* John Bright, z drzeworytem. Kobieta doktor, p. *J. Janiszews...* Podróż po Grecyi. Wężówka (Plostus Anhinga), z ryciną. Kwiaty cebulowe, z ryciną. Podróż do Włoch i na wyspę Maltę przez stolnika P. A. Tołstoja w 1697 i 1698, p. *S.* Tugi w Indyach, p. *Edwarda Sulickiego*. Wnętrze kollegium Jagiellońskiego, dzisiejszéj biblioteki Uniwersytetu krakowskiego, z drzeworytem, p. *Sk(imborowicza)*.

Gwiazdka przez *Alexandra Niewiarowskiego*. Warszawa, 1860, druk J. Jaworskiego, w 8ce mniejsz. Tom I. Część I i II, str. 32 i od 33—62, okł. druk.

PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Pamiętnik religijno-moralny. Czasopismo ku zbudowaniu i pożytkowi tak duchownych, jako i świeckich osób, pod redakcyą ks. *Adama Szeleskiego*. Wychodzi raz na miesiąc. Druk J. Ungra, w 8ce, rs. 4 rocznie. Warszawa, 1860, serya druga, tom V. N. 1, miesiąc styczeń, str. 120, zawiera:

List pasterski *Adama Stanisława Krasińskiego*, biskupa wileńskiego. Wykład Pisma Świętego: Ustawy towarzyskie obyczajowe przez Mojżesza skreślone, p. ks. *W(incentego) Serwatowskiego*. Pielgrzymka do wizerunku N. P. Maryi Częstochowskiéj, w Petersburgu, p. *A. Muchlińskiego*. Missye apostolskie w Tonking i Kochinchinie. Wiadomość o kościele rzymsko-katolickim w m. guber. Astrachanie. O budowie i restauracyi kościołów w kraju naszym. Kronika kościelna i Rozmaitości. Wiadomości naukowe i Bibliografia duchowna.

Roczniki gospodarstwa krajowego wydawane przez Towarzystwo rolnicze w Królestwie Polskiém. Wychodzi raz na miesiąc. Istnienia Roczników rok 18, Towarzystwa rok 3, ogólnego zbioru tom XXXVIII, okresu drugiego tom XIV.

Warszawa, 1860, w 8ce, druk Gazety Codziennéj. Miesiąc styczeń, str. melicz. 4, liczb. XX, 219, tablic 3, okł. druk., zawiera:

Od redakcyi. Czynności komitetu Towarz. rol. w Kr. Pol. w m. grudniu 1859. Opis porównawczy gospodarstw, którym medale wielkie Towarz. rol. w 1859 przyznane zostały, p. *Maxymiljana Oborskiego*. Uprawa lnu i wyrób włókna w majątku Wołmie w guber. mińskiéj położonym, p. *Kazimierza Stentzla*. Informacya o Wystawie płodów gospodarstwa i przemysłu wiejskiego w Petersburgu w r. 1860. Objaśnienia tyczące się handlu zbożowego z Gdańskiem, dla użytku właścicieli ziemi, na żądanie Tow. rol. spisane w r. 1859, p. dom komis. *Alexander Makowski i Comp.* w Gdańsku. Przegląd pism rolniczych zagranicznych, p. *J. L. Świeszewskiego*. Rozmaitości: Wiadomości o konkursach w pow. Maryampolskim, Ule p. Łapińskiego we wsi Syntowty pow. Maryampolskim. Ozon, p. *Józefa Lucyana Świeszewskiego*. Sprawozdanie z handlu gdańskiego za m. listopad 1859 r., p. *Alexandra Makowskiego*. Kronika bibliograficzna dzieł gospodarczych. Wskazówki do przeprowadzenia oczynszowania w majątkach prywatnych, zebrane dla okr. Szadkowskiego. Przegląd wiadomości przez korrespondentów Tow. rol. w Król. Pols. za m. grudzień 1859 r. nadesłanych. Ogłoszenia. Dostrzeżenia meteorologiczne za m. listopad 1859 r.

Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego warszawskiego wydawany za upoważnieniem rządu pod redakcyą Dra *Kuleszy*. Wychodził raz na kwartał. Warszawa, 1859, druk S. Orgelbranda, w 8ce, ogólnego zbioru tom XLII, serya II, tom XVIII, poszyt II, str. od 171—348 i spisu rzeczy nieliczb. 2, okł. druk. zawiera:

Kilka słów o fistułach pochwowo-pęcherzowych i nowym sposobie ich leczenia, p. Dra *Gliszczyńskiego*. Uwagi nad rozprawą Dra Gliszczyńskiego: „Kilka słów o fistułach pochwowo-pęcherzowych i sposobach ich leczenia", p. Dra *Le Bruna*. Ogólne olysienie, wypadek opisany p. *tegoż*. Sprawozdanie z rozprawy p. Ludwika Hotta p. t.: „Ogólny pogląd na różne w sztuce lekarskiéj machjawelizmu rodzaje i szczególny krytyczny homeopatyi rozbiór", p. Dra *Władysława Sciborowskiego*. Kilka spostrzeżeń dotyczących zimnicy zgubnéj, p. *tegoż*. O przytłumianiu gorączek tyfoidalnych za pomocą leczenia zimną wodą przez Dra Dimer z Akwizgranu, sprawozdanie odczytane na posiedzeniu Towarzystwa lek. war. w r. 1859, p. Dra *Langowskiego*. Rodowód lekarzy wykonywających sztukę bez marzeń naukowych i bez mamienia świata chełpliwemi radami pod okazałą cechą doświadczenia, p. *J. Lebla* (ciąg dal.). Sprawozdanie komitetu do badania chorób panujących: Szpital Dzieciątka Jezus za kwartał 3 1859 r., p. Dra *Le Bruna*. Raport półroczny z oddziału chirurgicznego kobiét szpitala Dzieciątka Jezus za czas od d. 1 kwietnia 1859, do d. 1 października t. r., napisał Dr *Adam Gliszczyński*. Sprawozdanie lekarskie ze szpitala starozakonnych w Warszawie za kwartał 3 r. 1859. p. Dra *Rozentala*. Przerost części pochwowéj macicy, spisał Dr *Chwat*, Wiadomości bieżące.

Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego warszawskiego, wydawany za upoważnieniem rządu. Redaktor główny Dr *Dybek*. Wychodzi raz na miesiąc. Warszawa, 1860, nakł. Kaufmann'a i Spółki, druk J. Ungra, w 8ce, ogólnego zbioru tom XLIII, serya III, tom I, poszyt I. Miesiąc styczeń, str. 70, okł. druk., zawiera:

Od redakcyi. Zagajenie publicznego posiedzenia Towarzystwa lekarskiego d. 15 stycznia 1860, p. prezesa Towarz. Dra *Helbicha*. Czynności bieżące Tow. lekar. warsz. Posiedzenie publiczne d. 15 stycznia. Posiedzenia wyborcze. Szpitale w Królestwie Polskiém za r. 1858. Bibliografia. Wyciągi i wiadomości z pism zagranicznych. Nagrody osób lekarskich. Mianowania i uwolnienia urzędników lekarskich w ostatnim kwartale 1859 r. Pozwolenia do praktyki lekarskiéj udzielone w r. 1859. Ogłoszenie rady lekarskiéj Królestwa o potrzebie ponawianego szczepienia ospy ochronnéj, czyli rewakcynacyi.

Tygodnik lekarski. Pod redakcyą *Ludwika Natansona* Dra, nakł. H. Natansona. Wychodzi raz na tydzień, druk Gazety Codziennéj, w 4ce, rs. 3 k. 60 rocznie. Warszawa, ogólnego zbioru rok XIII, seryi nowéj rok 3, 1859. Miesiąc grudzień, N. 50—52 zawierają:

Grover: Spostrzeżenia w wydziale chirurgicznym w szpitalu starozakonnych w Warszawie zebrane. *Minkiewicz:* Spostrzeżenia chirurgiczne. Szpitale w końcu zeszłego wieku. Spostrzeżenia meteorologiczno-lekarskie. Nowe dzieła. *Bursztyński:* O dławcu czyli krupie. Posiedzenie 20 Towarzystwa lekarskiego d. 8 listop. 1859. *Karpiński:* Proszek na galaretę.

Ogólnego zbioru rok XIV, seryi nowéj rok 4, 1860. Miesiąc styczeń, N. 1—2 zawierają:

Natanson: Patologia cellularna. *Warszauer:* O leczeniu poronném durzycy i o dobrowolnie nastąpioném przerwaniu tejże. Posiedzenie 21 i 22 Towarzystwa lekarskiego z d. 22 listopada i 6 grudnia 1859 r. *Soczołowski:* Zastosowania siarczanu baryty. *Minkiewicz:* Spostrzeżenia chirurgiczne. Nowe dzieła.

Ruch Muzyczny. Pod redakcyą *Józefa Sikorskiego*, wychodzi raz na tydzień we środę, druk Gazety Codziennéj, w 4ce, rok 4, rs. 6 rocznie. Warszawa, 1860. Miesiąc styczeń, N. 1—4 zawierają:

Koncert na zupę rumfordzką. Sprawy muzyczne we Lwowie. Program popisu uczniów akademii wileńsko-jezuickiéj z r. 1756. Jeszcze o uprawie muzyki, p. *F. M.* Wieczór muzykalny w Resursie Kupieckiéj. Echo staro-włoskiéj szkoły śpiewu. Dwa koncerta J. F. Dobrzyńskiego. Katalog nut ofiarowanych do wyboru abonentom na r. 1860. Jeszcze jeden kłosek dorzucony do Pokłosia w R. M. N. 39 r. 1859, w związku z 7 ustępem mówiącym o pierwiastku moralnym w muzyce, p. *Władysława Stelmaszewicza*. Wieczór muzykalny w Instytucie Alexandryjskim wych. panien, p. *Fr...* Koncerta St. Taborowskiego. Korrespondencye. Przegląd kompozycyj. Gazeta muzyczna. Rozmaitości.

Tygodnik illustrowany. Pod redakcyą *Ludwika Jenike*. Wychodzi raz na tydzień w sobotę. Nakład i druk J. Ungra, w 4ce większéj, rs. 8 rocznie. Warszawa, 1860. Miesiąc styczeń, N. 15 - 18 zawierają:

Tadeusz hr. Mostowski, z drzeworytem. Biblioteka narodowa Imienia Ossolińskich we Lwowie. Szopka. Trup upitskiego posła, z drzeworytem. Taniec, z drzeworytem. Józef Bozkowicz. Ubiór mieszczanek z miasta Bodzentyna. Leon Szubert, z 2 drzeworytami. Olesko, z drzeworytem. Famulus Żołkowskiego, z drzeworytem. Kwestya podrzędna przy kominkowym ogniu rozbierana. Wieśniacy z okolic Błecza, z 2 drzeworytami. Józef Ignacy Kraszewski, z drzeworytem. Hussarze polscy, z drzeworytem. Widzenie, poezya z drzeworytem, p. *Maryę Ilnicką*. Kościół

i klasztor PP. Benedyktynek w Sandomierzu. Gwebr, poezya *Antoniego Edwarda Odyńca*. Słów kilka o instytucyach kredytowych a mianowicie o Bankach szkockich i Domu zleceń rolników płockich. Sukiennice w Krakowie, z drzeworytem. Tomasz Baraniecki, z drzeworytem. Młyn parowy na Lesznie w Warszawie, z drzeworytem. Zamek tenczyński, z drzeworytem. Zamek w Koszkwi, z drzeworytem. Kronika tygodniowa (p. *Wacława Szymanowskiego*). Kronika zagraniczna. Kronika sztuk pięknych. Sprawozdanie z postępu nauk przyrodzonych, przemysłu i wynalazków. Korrespondencye. Szachy. Rebusy.

Magazyn mód i nowości dotyczących gospodarstwa domowego. Pod redakcyą *Jana Kantego Gregorowicza*. Wychodzi raz na tydzień w niedzielę, druk K. Kowalewskiego, w 4ce, rs. 6 rocznie Warszawa, 1860. Miesiąc styczeń, N. 1—5 zawierają:

Do Polek, p. *Seweryny Pruszakowej*. Z okoliczności nowo rozpoczętego roku, wiersz *Władysława Anczyca*. Mazur, p. *Karola Czerniawskiego*. Nowy rok. Praca, wiersz *Seweryny z Zochowskich Pruszakowéj*. Modna i nie-modna. Święto Trzech Królów. Mój tydzień, wiersz *Wł. Sabowskiego*. Rzecz wstępna, p. *L. Deresza*. Marychna, gawęda wierszem p. *H. P.* Słówko do matek polskich, p. *Eleonorę Ziemięcką*. Korrespondencye. Nowości zagraniczne. Gwiazdka. Mody. Opis rycin mód. Opisy wzorów do haftu. Opis tablicy z krojami. Opis krojów bielizny męzkiéj. Opis kaptura watowanego. Przepisy kuchenne. Przypomnienia ogrodnicze.

Czytelnia Niedzielna. Pod redakcyą *Alexandry Petrow*. Wychodzi raz na tydzień, druk J. Ungra, w 4ce, rs. 1 kop. 80 rocznie. Rok piąty. Warszawa, 1860. Miesiąc styczeń. N. 1—5 zawierają:

Strachy, obrazek wiejski. Przemiana rzeczy najpośledniejszych w najprzedniejsze, dokonywająca się sposobem leśniczym (ciąg dal.). Świątobliwe niewiasty: I. Zofia Sieniawska. Wiadomość o książkach dla ludu wydawanych: Tym którzy cierpią. Instytut muzyczny w Warszawie. Mazur, wiersz. Wyrok Ojca. Czego naszym wsiom potrzeba, żeby były w lepszym stanie. Wieczór w rodzinie. Święta praca, wiersz. Chata modrzewiowa (dokończenie). Rady dla włościan z hygieny popularnéj: O powietrzu. Kawałek chleba. Kościół i klasztor Paulinów w Leśnie. Środek przeciwko oparzeliznie. Magdalena Mortęzka. Św. Weronika. Stara prządka, wiersz. Tracz Rakietnik. Prawdy gospodarcze. Zdania.

Gazeta Warszawska. Pod redakcyą *Józefa Kenigа*. Wychodzi codziennie, druk Gazety Warszawskiéj, fol., rsr. 7 kop. 20 rocznie. Warszawa, 1860. Miesiąc styczeń, N. 1—29 zawierają:

Małe podróże po odległych krajach, I. Z Fontainebleau do Berville (ciąg dalszy). Papież i kongres, broszura (dokończenie). Szandor Kovacz, szkic p. *Teod. Tom. Jeża* (ciąg dalszy). Tomasz Babington Macaulay. Kalendarz wydawany przez Obserwatoryum Astronomiczne Warszawskie na r. 1860. Konkurs przemysłowo-rolniczy w pow. sieradzkim. Wędrówka na górę czarów, p. Deotymę (*Jadwigę Łuszczewską*). Pracownia P. Władysława Oleszczyńskiego. Posiedzenie Towarzystwa lekarskiego warszawskiego. Projekt spółki obywateli czerskich. Przegląd literatury krajowéj: Poezye Włodzimierza Wolskiego, p. *Edwarda Siwińskiego*. Przegląd Roczników gospodarstwa krajowego za miesiąc grudzień 1859 r. i styczeń r. b. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Rozmaitości. Wiadomości bieżące, naukowe i literackie.

Gazeta Codzienna. Pod redakcyą *Józefa Ignacego Kraszewskiego*. Wychodzi codziennie, druk Gazety Codziennéj, fol. wielkie, rsr. 7 kop. 20 rocznie. Warszawa, 1860. Miesiąc styczeń, N. 1—29 zawierają:

Papież i kongres, broszura. Hypoteka szczęścia małżeńskiego, studyum Cześnikiewicza *(Miniszewskiego)*. Wyjątek z pamiętnika p. *Lu.* Przegląd nauk społecznych, p. *L(udwika) W(ołowskiego)*. Kronika paryzka, p. *Z. W.* Przegląd teatralny: Oberżystka z Elizondo, p *Michała Karasowskiego*. Sprawozdanie za r. 1859. Ustęp z poematu: Kronikarze, p. *T. L.* Posiedzenie publiczne Towarzystwa lekarskiego warszawskiego. Miecznik Jabłonowski, wspomnienie historyczne p. *Karola Szajnochę*. Listy do redakcyi Gaz. Codz. Kartki z podróży po Europie, p. *J. I. Kraszewskiego*. Literatura krajowa: Stary biuralista A. Nowosielskiego, Gospodarstwo narodowe stosowane hr. Skarbka, p. *F. Henryka Lewestama*. Królestwo Lombardzko-Weneckie. Polemika *J. A. Miniszewskiego* z korrespondentem G. C. z Warszawy. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Rozmaitości. Drobiazgi. Bibliografia. Co tam słychać? Wiadomości bieżące, literackie i naukowe.

Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych. Pod redakcyą *Franciszka Salezego Dmochowskiego*. Wychodzi codziennie, druk J. Jaworskiego, w 4ce, rsr. 1 kop. 35 rocznie. Warszawa, 1860. Miesiąc styczeń, N. 1—29 zawierają:

Pogląd na rok upłyniony. Papież i kongres, broszura. Potęga przemysłu. Dumania nad najważniejszemi zagadnieniami dla człowieka, dzieło Józefa Gołuchowskiego, rozbiór p. *Eleonorę Ziemięcką*. Antoni Cyprysiński (nekrolog). Kilka słów o architekturze narodowéj. Literatura włoska, p. *Franciszka Salezego Dmochowskiego*. Sierotka, wiersz p. *Henryka Przybysławskiego*. Wiktorya Colonna, p. *Eleonorę Ziemięcką*. Malarz i grajek. Korrespondencye. Kronika warszawska tygodniowa. Rozmaitości. Nowiny.

Kuryer Warszawski. Pod redakcyą *Karola Kucza*. Wychodzi codziennie, druk Kuryera Warszawskiego, w 4ce, rsr. 4 kop. 80 rocznie. Warszawa, 1860. Miesiąc styczeń, N, 1—29.

Gazeta Rządowa Królestwa Polskiego (Официальная Газета Царства Польскаго). Pod redakcyą *Jana Karnickiego*. Wychodzi codziennie prócz niedziel, świąt i dni galowych, druk J. Jaworskiego, fol., rs. 4 kop. 80. rocznie. Warszawa, 1860. Miesiąc styczeń, N. 1—23 zawierają:

Rozkaz Najwyższy o dymissyonowanych wojskowych b. wojska polskiego. Instrukcya o przyjmowaniu małoletnich synów szlachty Królestwa Polskiego do korpusów kadetów. Ustawa dla szkół rolniczych w Królestwie Polskiem. Traktat handlowy i żeglugi zawarty między Rossyą i Anglią.

Warszawska Gazeta Policyjna. Pod redakcyą *Józefa Pękalskiego*. Wychodzi codziennie, druk J. Ungra, w 4ce, rs. 3 kop. 60 rocznie. Warszawa, 1860, miesiąc Styczeń, N. 1—31 zawierają:

Sprawozdanie z obrotu pożyczek budowlanych udzielanych dla wznoszących domy w mieście Warszawie za r. 1858. Bandyta hiszpański (ciąg dalszy). Salteador w San-Francisko.

Warschauer Zeitung. Pod redakcyą *Jana Marona*. Wychodzi codziennie prócz niedziel i świąt, druk braci Hindemith, fol., rs. 5 kop. 70 rocznie. Warszawa, 1860. M. Januar, N. 1—25 zawierają:

Der Mensch im Autor, Skizzen v. A. W. *Die Auctions-Saison in Paris. Piano und Gesang-Literatur*, v. T. T. *Das Epiphanienfest. Eine Fahrt auf der Riga. Dünaburger Eisenbahn. Johan der Doppelgänger*, von J. I. Kraszewski, *aus dem Polnischen übersetzt* v. F. F. *Unannehmlichkeiten. Eine Reise nach Brasilien. Der evangelische Kirchhof vor dem Wolver Schlage. Literarisches-Bibliografische Notizen. Korespondenz. Lokalbericht. Provinzialbericht. Technisches. Handelsnachrichten. Vermischtes.*

Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. Pod redakcyą *Konstantego Pathie*. Wychodzi dwa razy na tydzień przy Gazecie Warszawskiéj, w 4ce, 1860. Miesiąc styczeń, N. 1—7 zawierają:

Listy o gospodarstwie z Ukrainy, p. *Mazura* (dokończenie). Niezawodny i bardzo naturalny środek wygubienia wołków ze zboża, tudzież oczyszczenia na długi czas magazynów zbożowych od tego owadu, p. *A. Skobejko*. Pytania owczarskie, p. *Adama Poniatowskiego*. O zagranicznym handlu okowitą, p. *Alexandra Makowskiego*. Artykuł o potrzebie nauczania kobiét gospodarstwa domowego, zamieszczony w Rocznikach gospodarstwa krajowego w poszycie grudniowym z r. 1859 p. P. *Kunicką*. Żniwiarki przed sądem rolniczym, p. *Adama Poniatowskiego*. Maszyny ułatwiające sprzęt siana, p. *Fr. Lutosławskiego*. Uprawiaczka Gilbenheina, p. *J. B. R.* Jeszcze o żniwiarce ks. Podlaszeckiego. Sybirska rasa bydła. Parę słów o kołowaciznie u owiec. Listy do redakcyi. Jak hodować las żeby mieć z niego jak największe korzyści przez Benedykta Alexandrowicza, rozbiór p. *Aulejnera*. Ustawa dla szkół rolniczych w Królestwie Polskiem. Jak gospodarowano dawniéj a jak dziś. Przepisy o wystawie płodów gospodarstwa wiejskiego i przemysłu urządzanéj przez Cesarskie wolne ekonomiczne Towarzystwo w St. Petersburgu w r. 1860. Korrespondencye. Korrespondencya handlowa. Środki domowe. Wiadomości handlowe. Średnie ceny żywności na targach Warszawy i Pragi.

Gazeta rolnicza, przemysłowa i handlowa. Pod redakcyą *Adama Mieczyńskiego*. Wychodzi raz na tydzień przy Gazecie Codziennéj, fol., 1860. Miesiąc styczeń, N. 1—4 zawierają:

Zimowanie inwentarzy i speranda gospodarska, p. *Leona Kąkolewskiego*. Piśmiennictwo rolnicze: Sprawozdanie krytyczne o dziele: „Kalendarz gospodarski Mateusza de Dombasle", p. *Adama Mieczyńskiego*. Przegląd krytyczny dzieła ks. Dolinowskiego: „Zasady pszczolnictwa", p. *Feliza Kozłowskiego*. Żniwiarka ks. Podlaszeckiego o. Poeta i gospodarz, p. *Michała Wiszniewskiego*. O kastrowaniu krów, p. *J. B. Ż.* Kołowacizna u owiec, p. *Rutkowskiego*, z uwagami *Zalewskiego*. Uprzedzenia w rolnictwie, p. *J.* Młynek do mąki z aparatem do podsiewania, p. *Władysława Menzla*. Mała suszarnia domowa do owoców, p. *Zygmunta Gawareckiego*. O miarach i wagach, p. *Adama Matkowskiego*. Fabryki w porębie Mrzygłockiéj, p. *Benedykta Aleksandrowicza*. Marmur biały krajowy, p. *Felicyana Frankowskiego*. Gospodyni polska, p. *St. Chodkiewicza*. Korrespondencye. Rozmaitości. Nowiny gospodarskie. Wiadomości handlowe. Aforyzmy gospodarskie. Ceny średnie produktów rolniczych na ostatnich targach znaczniejszych miast Królestwa Polskiego.

MUZYKALIA.

Wecera Wilhelm Alfons. Hopser polka componirt für das pianoforte, Werk 39. Warschau, Verlag in der Lithogr. J. Müller, str. 3 k. 15.

Michnowski P. Władysław mazur. Warszawa, nakł. litogr. J. Müllera, str. 3 k. 15.

Wecera Wilhelm Alfons. Ratscheu Schnell polka, componirt für das pianoforte. Werk 40. Warschau, Verlag in der Litogr. J. Müller, str. 3 k. 15.

Rolle Tytus. Śpiew do Laury z towarzyszeniem fortepianu, słowa Adama Mickiewicza. Warszawa, litogr. J. V. Fleck, str. 7 k. 30.

Rolle Titus. Souvenir de Werbkowice, valces cum osecs pour piano. Warszawa litogr. J. V. Fleck, str. 11 k. 45.

Syrewicz Xawery. Król tańca, mazur na fortepian. Warszawa, nakł. R. Friedleina, lit. J. V. Fleck, str. 3, kop. 22½.

Tuszyński A. L. Gwiazdka polka. Warszawa, nakł. litogr J. Müllera, str. 3 k. 15.

Tuszyński A. L. Chwat mazurl skomponowany na fortepian. Warszawa, nakł. litogr. J. Müllera, str. 3 k. 15.

Dulken Ferdynand Kwentyn. Barkarolla na fortepian. Warszawa, nakł. K. Bernsteina, litogr. J. V. Fleck str. 7 k. 30.

Moniuszko Stanisław. Hrabina, opera w 3 aktach, słowa Włodzimierza Wolskiego. Warszawa, nakł. G. Gebethnera i Spół., litogr. W. Otto. N. 4. Piosnka Broni 1sza, str. 9, kop. 37½. N. 5. Pieśń chorążego, str. 3, kop. 15. N. 13. Piosnka Broni 2ga, str. 9, kop. 37½ N. 16. Cavatina hrabiny, str. 7, kop. 30. N. 23. Śpiew hrabiny, str. 5, kop. 22½.

Kijewski Władysław. Paulina polka skomponowana na fortepian. Warszawa, litogr. p. Kresse, str. 2 k. 15.

Sengel E. Córa polka élégante. Varsovie, litogr. p. Kresse, str. 3 kop. 15.

Mau Natalie. L'Orpheline polka tremblante pour le piano. Varsovie, litogr. J. Wróblewski, str. 3 k. 15.

Rakowski Antoni. Mazur paryzki. Wydanie drugie, poprawne. Warszawa, litogr. J. Wróblewski, str. 3 k. 15.

Wąsowski M. Mazur na fortepian, ofiarowany przez nabywcę na korzyść Ochrony w Suwałkach. Warszawa, litogr. J. Müller. str. 5 k. 22½.

Ruyczak A. Łebski mazur na fortepian. Warszawa, nakł. G. Sennewalda, litogr. J. V. Fleck, str. 3 k. 15.

Faust J. La Coquette polka pour piano. Varsovie, litogr. J. Müller, str. 3 kop. 15.

Bunk Reinhold. Kwiatek polka. Warszawa, nakł. i litogr. J. Müller, str. 3 kop. 15.

RYCINY, LITOGRAFIE i t. d.

Ojcze nasz (litografia). Rys. *W(ojciech) Gerson.* litogr. *L. Piechaczek*, w litogr. A Pecq et Comp., fol. N. 1.

Sala posiedzeń w gmachu Towarzystwa kredytowego w czasie głównego zebrania członków Towarzystwa rolniczego. Rys. *A. Lerue*, litogr. *W. Walkiewicz*, odbito w litogr. A. Pecq et Comp. fol.

Sprostowanie: W zeszycie styczniowym Biblioteki Warszawskiéj w spisie artykułów w Gazecie Warszawskiéj za miesiąc listopad 1859 r. artykuł „Kościół Dominikanów i grób książąt Mazowieckich w m. Warce", przypisano przez omyłkę Z. Gawareckiemu; autorem tego artykułu jest *Kornel Kozłowski*.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Luty 1860.—Posiedzenia Towarzystwa rolniczego, o których szczegółowe sprawozdania podały już wszystkie pisma nasze codzienne, zebrały znakomitą liczbę obywateli ziemskich z całego Królestwa do stolicy i zwróciły uwagę wszystkich, którzy oceniają ważność i zasługi tej instytucyi.

— S. Orgelbrand, księgarz i typograf, w ozdobnéj edycyi wydał tłumaczenie Boskiej komedyi Danta Alighieri przez ś. p. Juljana Korsaka, który téj pracy mozolnéj 12 lat życia poświęcił. Żałujemy, że ci, którzy zajmowali się rękopismem zmarłego naszego poety, nie umieścili na czele wiadomości o jego życiu i pracach; byłoby to przypomnienie stosowne i potrzebne.

— Kuryer Wileński pod nową redakcyą od 1 stycznia r. b. zaczął w powiększonym formacie wychodzić: prospekt szczegółowy umieściliśmy w przeszłym zeszycie. A. E. Odyniec, dawny redaktor, składając redakcyą, umieścił następną odezwę do publiczności, którą dosłownie podajemy:

„Gazeta „Kuryer Wileński" wychodząca dotąd przez lat dwadzieścia przy wileńskim szlacheckim instytucie, pod redakcyą niżej podpisanego, przy pomocy i współpracownictwie pp. Alexandra Zdanowicza, profesora historyi w tymże instytucie, i Alexandra Kandidowa, inspektora gimnazyum wileńskiego, od d. 1 stycznia następującego 1860 r. przechodzi w prywatną dzierżawę i wydawnictwo pana A. H. Kirkora.

Przy dzisiejszem rozwoju dziennikarstwa, prywatne tylko wydawnictwo, nie zależne w swoich działaniach i rozrządzające swobodnie użyciem zasobów swoich, przy uchyleniu zwłaszcza obowiązującej podwójności tekstu we wszystkich bez wyjątku artykułach i przy znanej energii i działalności wydawcy, może uczynić to pismo nietylko echem i zwierciadłem zagranicznych gazet i wypadków (czem jest i musi być z natury swojej każda wyłącznie polityczna gazeta), lecz i organem własnego miejscowego, moralnego i umysłowego życia. W tym celu redakcya poprzednia z całą szczerością i życzliwością podaje po bratersku rękę nowej, dla wspólnego dążenia i pracy ku pożytkowi ogólnego dobra, mając przytém niepłonną nadzieję, że i współobywatele nasi zamiar ten swem współczuciem podeprą.

Tymczasem mnie mi wolno będzie przy téj okoliczności raz pierwszy i ostatni przemówić w imieniu własném i szanownych pomocników moich, a dziękując obywatelskiej publiczności naszej za uprzejme i stałe dowody zaufania, jakiemi przez lat dwadzieścia pismo nasze zaszczycać raczyła, odwołać się zarazem do jéj świadectwa i sądu, ażaliśmy i my z naszej strony, ile sił i możności starczyło, nie starali się zawsze na to zaufanie zasłużyć?"

A. E. Odyniec,

— Konstanty hr. Tyszkiewicz od kilku lat pracował nad ułożeniem karty rzeki Wilii od jej źródła, do pierwszej handlowej przystani w Kostykach. Odbywał w tym celu naukowe wycieczki, badał miejscowe osobliwości, lud nadrzeczny, zbierał pomiędzy nim podania i spisywał szczególne zwyczaje. Teraz, owoc swej mozolnej pracy, przedstawił Kommissyi archeologicznej wileńskiej ukończoną już mappę Wilii, wykonaną przez zdolnego geometrę p. Szantera. Atlas ten składa się z 12 tablic i 62 rysunków. Szanowny autor zamierza ogłosić drukiem tę pracę; drzeworyty wykonane są w Dreznie. Dar ten szlachetnej obywatelskiej gorliwości, przyjmie kraj cały z wdzięcznością.

— Druk „Encyklopedyi powszechnej" postępuje bez przerwy: tom trzeci już w większej połowie wydrukowany. W r. b., według prospektu, wyjdą cztery tomy tego olbrzymiego dzieła, na które kraj od tak dawna oczekiwał. Wielu z miłośników literatury zrażeni niedojściem do skutku pierwszej Encyklopedyi, wstrzymują się z zakupywaniem zeszytów wychodzącej teraz. Próżna obawa, sama firma nakładcy S. Orgelbranda, który tyle dzieł ważnych i kosztownych wydał, powinna być tu dostateczną rękojmią. Grono współpracowników coraz wzrasta, a dział polski pierwszy raz wyjdzie tu tak zasobny i ważny, jakiego nie mieliśmy dotąd. Wydane zeszyty już mogły czytelników objaśnić o staranności redakcyi, z jaką ten dział traktuje, nie mówiąc już o innych.

— Tygodnik illustrowany powiększywszy ramy w r. b., gdyż półarkusza dodaje co drugi tydzień, zyskuje coraz większe upowszechnienie. Zasługą jego nie małą jest, że za główny żywioł wziął krajowość, zkąd czerpie wyłącznie i nie żywi się żadną obczyzną. Od marca wprowadzić ma dział pożądany przeglądów krytycznych literatury krajowej, opracowywany przez zdolnych i światłych pisarzy. Dział ten prowadzony poważnie i sumiennie, nada wysoką wartość samemu Tygodnikowi. Pan Jan Lewicki znany illustrator pamiętników Paska, okazawszy jak umiał wniknąć w myśl i ducha tego szlachcica-rycerza, godnie zajął miejsce po zgasłym ś. p. Piwarskim. Jego rysunki, które dał nam Tygodnik (Hussarze polscy), dowodzą, jakiego talentu jestto artysta. Przypominamy redakcyi, ażeby postarać się mogła o dokładny portret Kazimierza Brodzińskiego, który jako reprezentant naszej epoki, zasługuje na pomieszczenie. Życiorys jego, sumiennie opracowany, chociażby kilka nawet numerów zajął Tygodnika, z upodobaniem będzie przyjęty od czytelników tego pisma.

— Rozrywek dla młodocianego wieku, wychodzących pod redakcyą p. Seweryny z Ż. Pruszakowej, już tom drugi wkrótce się ukończy w druku. Zwracamy uwagę na piękny życiorys ś. p. pułkownika Paszkowskiego, skreślony ręką redaktorki, obok innych zajmujących i nauczających artykułów.

— Pamiętnik religijno moralny równie jak Ruch Muzyczny pod redakcyą Józefa Sikorskiego, bez przerwy wychodzą i w r. b.

— Uwieńczoną komedyę Wacława Szymanowskiego p. n. „Dzieje serca", nabyła Gazeta Codzienna za rs. 200, które otrzymał autor drugiej: „Po naszemu". Zebrana zaś summa za sprzedaż jej Tygodnikowi illustrowanemu w ilości rs. 100, ma być zawiązkiem do mającego się ogłosić nowego konkursu, w tej nadziei, że powiększoną zostanie darami gorliwych o wzrost u nas literatury dramatycznej. Może nowy konkurs nie samej wyłącznie dany będzie komedyi: należałoby pomyśleć i o poważnym dramacie.

— Wincenty Pol przygotował wiele nowych utworów. Z poezyi całe szeregi pieśni lub poematów: „Wieńce z piołunu", „Szewc Kiliński", „Szejne Katarynka", złożona ze 139 postaci: „Pieśń o domu naszym", „Obrazy góralskie" i „Pieśni więźnia", „Stryjenka" (poemat), „Pachołę hetmańskie" (poemat w XII pieśniach), „Sądy lubelskie", „Sebastyan Klonowicz", „Duch upiór", „Rok myśliwca", „Słowo i sława", „Marek Jakimowski". Z prozy: 1) Rozprawy w zawodzie nauk przyrodzonych,

północny wschód Europy (2 tomy). 2) Geografiz Ziemi Świętej (1 tom). 3) Listy z naukowych podróży (1 tom). 4) Feljetony, małe powieści i recenzye (1 tom). 5) Wstęp do geografii handlowej (1 tom). 6) Słownik geograficzny (1 tom). 7) Powieść bez końca. J. I. Kraszewski donosząc o tym ogromie prac nowych ulubionego poety, dodaje w końcu: „Potrzeba tu zamożnego nakładcy i człowieka dobrej woli, któryby umiał je ocenić, wydać godnie i rozpowszechnić w ile możności taniej edycyi. Pol nie żąda też kapitału, który zaliczyćby trudno, ale upewnienia dochodu stosownego, w ten sposób, ażeby na stratę narażony nie był. Życzymy z serca, aby jak najprędzej dzieła tak ulubionego pisarza znalazły nabywcę i ukazać się mogły. Stratą jest dla literatury, spoczywanie ich w rękopiśmie".

— Rozprawa Karola Czerniawskiego o tańcach, której część dawniej ogłosiło nasze pismo, wyjdzie wkrótce w całości oddzielnie z drzeworytami z rysunku F. Kostrzewskiego.

— Znany nasz rzeźbiarz Oskar Sosnowski pracuje nad posągiem Mickiewicza. Najpodobniejsze oblicze zmarłego wieszcza mamy w posągu Władysława Oleszczyńskiego w Poznaniu postawionym. Rodzina Mickiewicza wydała to zdanie, przyznając w tym utworze znakomitego rzeźbiarza wierność podobieństwa, co nie małą jest zasługą artysty.

— Oddawna czuć się dawała potrzeba przekładu Dziejów czeskich Palackiego, które taką łączność mają ścisłą z historyą naszego narodu. Niektóre ustępy dał nam znany badacz Julian Bartoszewicz: miał się nawet zająć tłumaczeniem wydanych dotąd tomów, i księgarz Alex. Nowolecki zamyślał o tem wydawnictwie. Skończyło się na projekcie. P. Franciszek Matejko, tłumacz „Pieśni serbskich", któreśmy ogłosili w piśmie naszém 1857 r., zajął się przekładem dziejów Palackiego. Ustęp jeden p. n. „Jan Hus i Sobor Konstancyeński" drukowaliśmy w r. 1858. Szczerze zachęcamy sumiennego pracownika, ażeby przedsięwzięte tłumaczenie wykończył co rychlej: nie wątpimy nawet, że gdy w Krakowie nie znajdzie nakładcy, o co tam teraz bardzo trudno, tu znajdzie się chętny wydawca, co zrozumie wartość takiego dzieła, które i koszta hojnie (lubo powolniej niż powieści) pokryje i rzetelną przysługę dla dziejów naszych odda.

— Aleksander Przezdziecki przygotował do druku zbiór listów Jagiellonek. O nich dał takie zdanie Juljan Bartoszewicz: „Z wydania listów tych skorzysta sama historya rzeczypospolitej, żywoty królewien, dzieje postaci historycznych, zyska na nich powieściopisarstwo i życie rodzinne kraju".

— Roman Zmorski, autor poematu „Wieża siedmiu wodzów", nacechowanego prawdziwym talentem, pracuje obecnie nad obszerniejszym utworem z podań mazowieckich.

— W Poznaniu w kółku towarzyskiém w Bazarze, już kilka miał prelekcyj p. Antoni Studniarski o Juliuszu Cezarze, Szekspira. Powiedziawszy na wstępie o stanowisku tego poety i wykazując jego mistrzostwo w uchwyceniu charakterów i ujęciu prawd historycznych, przeszedł następnie do treści i rozbioru. W zajmujący sposób wykazał wielkość to Cezara, to Szekspira, i najważniejsze ustępy przytaczał w dosłownem a wybornem tłumaczeniu Józefa Paszkowskiego, wiążąc je z sobą treściwem własném opowiadaniem. Przekład całego dramatu podaliśmy w naszém piśmie.

— Dzieje biskupstwa żmujdzkiego wydane przez biskupa tejże dyecezyi J. X. Wołonczewskiego, przetłumaczone zostały przez Maurycego Hryszkiewicza w 2 tomach.

— W Wilnie wyszła pierwsza część poematu Władysława Syrokomli: „Wrażenie pielgrzyma" z Litwy do Wielkopolski. Część druga obejmująca Wielkopolskę, a trzecia wspomnienia Krakowa, wkrótce dopełnią całość.

— Prof. Antoniego Wagi wyszła część pierwsza „Historyi naturalnéj", zawierająca wstępne wiadomości.

— Wyszła rozprawa Augusta Heylmana p. n.: „Pogląd pobieżny na uwagi bezimiennych, odnoszący się do Rozprawy o klassyfikacyi hypotek, jakotéż praw hypotekowanych w ogólności", odnoszący się do dwóch rozpraw w Bibliotece Warszawskiéj, w zeszytach sierpniowym i listopadowym r. z. drukowanych.

— W Wrocławiu wyszły nakładem autora: „Wiadomości do dziejów polskich z archiwum prowincyi szlązkiéj, zebrał August Mosbach" (str. 403 i t.), cena 2 talary 15 sgr.

— Zwracamy uwagę na dziełko wydane w Krakowie, w r. 1858, p. n.: „Obrazki z podróży do Tatrów i Pienin". Autorem tych obrazków, które mogą wybornie posłużyć za przewodnika miejscowego, jest córka zasłużonego professora krakowskiego. Szlachetnie pracę swoję piękną przeznaczyła na dochód kościoła Przenajświętszéj Trójcy XX. Dominikanów.

— Karol Szajnocha dotknięty kalectwem ślepoty, pozbawiony dostatecznych funduszów na utrzymanie swéj rodziny, gdy wiadomo, jak małe są honoraryа za najznakomitsze prace, ogłosił teraz nowe, drugie, poprawne i znakomicie pomnożone wydanie dzieła p. n. „Jadwiga i Jagiełło" w czterech tomach. Przedpłatę przyjmuje księgarnia Karola Wilda we Lwowie. Egzemplarz na pięknym papierze kosztuje 10 złr. w. a., na pośledniejszym 8 złr. w. a. Mamy nadzieję, że wszystkie redakcye pism naszych nie odmówią swéj życzliwéj pomocy tak w rozszerzaniu téj prenumeraty, jakotéż i jéj zbieraniu. Będzie to pomoc szlachetna i obywatelska dla pisarza, który wzrok stracił ślęcząc nad dziejami narodowemi. Redakcya Biblioteki Warszawskiéj oświadcza, że przyjmuje przedpłatę na powyższe dzieło, które wyjdzie w latach 1860- 1861.

— P. Antoni Białecki, dawniéj współpracownik „Słowa", zamieszkały obecnie w Petersburgu, w liście do redakcyi Gazety Codziennéj donosi, że odkrył nieznany i nieopisany dotąd rękopism łaciński dziejów Długosza, pochodzący z konwentu Miechowskiego. Jestto właściwie Samuela Nakielskiego odpis w r. 1640 sporządzony, którego część z autografu była przepisana, a reszta z nim porównana. Z Miechowa rękopism ten przeszedł do publicznéj biblioteki przy b. uniwersytecie warszawskim, następnie przeszedł do biblioteki Cesarskiéj w Petersburgu. P. Białecki podaje opis jego szczegółowy, bibliograficzny. Wydawnictwo dzieł Długosza może skorzystać z tego odkrycia nie mało.

— Professor z Berlina Pietraszewski, znany oryentalista, autor dzieła o Zendawescie i Collectaneów tureckich, mianowany został dragomanem poselstwa pruskiego do Ispahanu, które się tam wybiera teraz.

— Rękopism herbarza Baranowskiego, o którym mieliśmy już sprawozdania, nabył Włodzimierz hr. Plater i ma zamiar, dopełniwszy go tablicami Mniszcha, które mu się dostały w Wiśniowcu, i własnemi uwagami wydać. Zmarłyś. p. Mniszech, ojciec tych, którzy sprzedali Wiśniowiec i wynieśli się za granicę, całe życie poświęcał pracom heraldycznym, jako ulubionéj nauce; wiele zebrał, wiele wyjaśnił. Mamy jego listy, z których się pokazuje, że z głębszym poglądem badał heraldykę głównie polską i uważał jéj znaczenie w związku z dziejami narodowemi.

— We Lwowie od 1 marca r. b. zacznie wychodzić pismo literackie tygodniowe, po dwa arkusze p. n.: „Kółko rodzinne". Redaktorami są: Jan Zacharyasiewicz, znany powieściopisarz, i Alexander Szedler. Jako współpracownicy wymienieni są: August Bielowski, Zygmunt Kaczkowski, Antoni Małecki, Stanisław Pilat, Wincenty Pol, Karol Szajnocha. Widzimy z tego, że wzięły udział w tém piśmie najpierwsze intelligencye w Galicyi, a dobrze już zasłużone ojczystemu piśmiennictwu.

— Wielce użyteczną i zalecającą się ścisłą dokładnością mappy Galicyi wydawanéj przez Kummersberga, a przewyższającéj skalą swoją

wszystkie dotąd znane karty tego kraju, wyszło dotąd 34 arkuszy starannie i czysto rytowanych. Ostatnie dwa arkusze przedstawiają topograficznie okolice Przeworska, Sieniawy, Cieszanowa i Lubaczowa, niemniéj karpackie okolice Jabłonicy i Żabiego. Dostępna cena, wynosząca dwa złote za arkusz w drodze przedpłaty, ułatwia nabycie téj mappy w całości lub częściowo. Wartość jej i dokładność powszechnie uznana, bo na kadastralnych wymiarach oparta, zbytecznem czyni niniejsze zalecenie, które jest raczéj przypomnieniem, aby podobna publikacya nie przeszła bez uwagi.

— Zeszyt drugi „Anatomii" opisowéj ciała ludzkiego Dra Ludwika Adolfa Neugebauera, wykładającego akuszeryą w C. K. Med. Chir. Warszawskiéj Akademii, wyszedł z druku. Znajdujemy w nim trzy staranne drzeworyty: dwa pierwsze przedstawiają skielety podług fotografii z natury wykonane, a trzeci czaszkę rysowaną w Wiedniu przez Zehnerta, a rytowaną przez Rutkowskiego. Wydanie to, odznaczające się obok czystości języka, dobrych rysunków, przystępnym wykładem, starannością pod każdym względem—zasługuje na uwagę nietylko specyalistów, ale wogóle ludzi naukę miłujących.

— Wyjątek z listu A. E. Odyńca do K. Wł. W. z d. 2 (14) lutego r. b.: „Barbara moja występuje pojutrze na scenę tutejszą 4 (16) b. m. i r., i właśnie spieszę na przedostatnią próbę, na którą zaproszony zostałem. Ciekawy też jestem niezmiernie, jak się ona wyda mnie samemu na scenie, bo będę słuchał i patrzał uchem i okiem nie autora, ale poprostu spektatora. Później donoszę o przyjęciu, jak będę wiedział o effekcie, jaki sprawi na rzeczywistych spektatorach. Tymczasem to ci tylko muszę powiedzieć, że wyrzucono większą połowę, a w tém wszystkie sceny sejmowe, które zastąpiłem krótkiemi opowiadaniami. Ze scen, w których wychodzą August lub Barbara, opuszczona tylko scena prologu w Dubinkach".

— Rocznika c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego z r. 1859 otrzymaliśmy tom 3: obejmuje mowę Fr. Wężyka prezesa tegoż Towarzystwa, z d. 26 lutego 1859 r. i sprawozdanie z czynności tegoż Towarzystwa w r. 1858. Scen kilka z drammatu Fr. Wężyka p. n. „Bezkrólewie pierwsze", Zdanie sprawy z doświadczeń Dra Dropsego we względzie jego sposobu użycia elektryczności w zastosowaniu lekarskiém przez prof. Dra J. Mayera. Obraz czynności kommissyi balneologicznej w r. 1858 przez Dra Skobel, oraz tegoż Dra wiadomość o wodach lekarskich w Rabce, Jaszczurówce. Dra Zielęniewskiego: Wysowy, Krynicy. Dr J. Warschauer o źródłach Krościenkowskich i badania fizyczno-chemiczne tychże wód p. Ad. Alexandrowicza. Badanie plam krwawych sądowo-lekarskie ze szczególném uwzględnieniem w téj mierze heminy i użytku wodanu potasowego przez prof. J. Mayera. Zakończa ten tom „Przegląd flory okolic Krakowa" przez Felixa Berdau, obejmujący większą połowę całego tomu, bo od str. 213 do 658.

Lwów. Znany powieściopisarz, Józef Dzierzkowski, napisał pierwszy raz komedyą p. n. „Iskra poezyi", którą przedstawiono na teatrze tutejszym w ostatnich dniach stycznia r. b. i zyskała powodzenie. Utwor ten wywołał zdanie, że Dzierzkowski na polu dramatycznem może oddać niemałe zasługi literaturze ojczystéj.

— August Bielowski, chociaż powoli postępuje w wydawnictwie „Źródeł dziejów polskich"—przy rozlicznych związkach z uczonemi i bibliotekami najcelniejszemi nietylko Polski, ale i obcych krajów, oraz przez naukowe podróże, zdołał odszukać niej eduo źródło, ukryte dotychczas przed światem uczonym. Jakoby na zaklęcie czarodziejskie zbierają się tu z Północy i Południa, Wschodu i Zachodu karty pojedyńcze i całe działa najrozmaitszych narodów, by złożyć jednę budowę pomników dziejowych. Greckie i skandynawskie, hebrajskie i ruskie, starogermańskie i łacińskie świadectwa o początku dziejów narodu, poprzedzą późniejsze niemniéj ważne, chociaż może już znajomsze zabytki. Źródła dzie-

jowe zaczynają się od wieku IX i dojdą w pierwszym tomie do r. 1150. Obecnie składa się kronika Thietmara.

Poznań. Nakładem J. K. Żupańskiego wyszło dzieło p. n.: „O życiu i pismach Joachima Bielskiego, napisał Władysław Nehring". Jestto część druga seryi prac pomniejszych, z których pierwsza o Reinhardzie Heidensztejnie wyszła w r. 1856, po łacinie, z powodu promocyi doktorskiéj. Autor w myśl planu głównego, pisząc o historykach polskich XVI wieku, pod szczególną wziął uwagę Kronikę polską Joachima Bielskiego i dawszy rys życia jego, następnie wykrywa źródła, z których ten historyk czerpał, w jaki sposób, i zamyka rzecz uwagami o stanowisku i kunszcie dziejopisarskim Joachima. Osobny rozdział poświęca autor ocenieniu języka polskiego, któremu wielką wartość przypisuje; w końcu następuje kilka uwag o dalszym ciągu kroniki Joachima Bielskiego, wydanym przez F. M. Sobieszczańskiego, i nareszcie przedruk rzadkich poezyj łacińskich Bielskiego, których jedyne wydanie z r. 1588 znano p. n. „Carminum Joachimi Bielscii Liber I." w przedmowie do nich ocenia wartość ich i objaśnia szczegółowo.

Tenże księgarz wydał drugie wydanie Historyi królów i książąt polskich, Wagi.

— Nakładem Ludwika Merzbacha wyszedł Kalendarz poznański na r. 1860. Część literacka obejmuje: 1) Dwie nieznane ramotki Augusta Wilkońskiego. 2) Podróż do Pruss pomimo woli i bez paszportu. 3) Jakto w Poznaniu bies porwał Szweda. 4) Warszawa w końcu r. 1702. 5) Życiorys J. I. Kraszewskiego. 6) Kościół w Rogalinie.

Od wydawcy Tygodnika illustrowanego. Z powodu odbieranych zażaleń od prenumeratorów, otrzymujących Tygodnik w kopertach małego rozmiaru, przez co egzemplarze dochodziły pogięte i poniszczone, wydawca wyjednał u Zarządu Pocztowego zapewnienie, iż nadal Tygodnik wysyłanym będzie w kopertach odpowiedniego rozmiaru, a to zarówno egzemplarze odbierane łącznie z innemi pismami, jak i wysyłane oddzielnie. Zawiadamiając o tém szanownych prenumeratorów, wydawca Tygodnika uprasza o nadsyłanie pod jego adresem zażaleń, w razie odbierania tego pisma w kopertach mniejszych, aby temu jak najrychlej mógł zapobiedz.

† Dnia 20 grudnia 1859 r., po krótkiéj chorobie zmarła, w majętności swéj Wojutynie w powiecie Łuckim, Ewa z Wendorfów Felińska, znana w literaturze z opisu podróży do Berezowa, pamiętników i kilku powieści. Urodziła się na Litwie w Uznolit, d. 26 grudnia 1793; przeżyła lat 66.

† Dnia 23 stycznia r. b. umarł w 37 roku życia Jan Łoś, starszy nauczyciel gimnazyum realnego i adjunkt gabinetów naukowych, znakomity chemik i pisarz kilku ważnych rozpraw. Zgon jego przedwczesny, jest prawdziwą stratą dla kraju.

† Dnia 7 lutego r. b. umarł nagle, w Paryżu, Karol Sienkiewicz, znany w piśmiennictwie naszém pod imieniem Karola z Kalinowki; pierwszy wyborny tłumacz z oryginału poematu Walter-Skotta: „Pani Jeziora", autor kilku dzieł szacownych i rozpraw historycznych. Nie doznając żadnego cierpienia przez ciąg dnia całego, przepędził noc spokojnie, a nazajutrz rano przebudziwszy się, natychmiast żyć przestał.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować. — Warszawa, d. 17 (29) Lutego 1860 r.—Cenzor, Radca Kolleg. *Stanisławski.*

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Styczeń, 1860.

Styczeń, 1860. Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ᵍ·14ᵐ·45ˢ,7 czyli w łuku 18°41′25″,5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy					Wilgotność średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysok w milim.	
		6 godz. rano	10 godz. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	średni dzienny	6 godz. rano	10 godz. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	średni dzienny		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wieczór	10 godz. wieczór	6 god. rano	10 god. rano	4 godz. w.	10 godz. w.	dészczu	śniegu
1	☽.	746.67	748 00	749.24	749.73	748.66	+1°.6	+1°.5	+0°.9	+0°.6	+1° 15	99.2	poch. dész.	mgła gruba	mgła	mgła gruba	PdZ.	Z.	Z.	Z.	1.6	
2		748.28	747.51	747 10	748.48	747.84	+ 0.6	+ 1.7	+ 4 6	+ 3.8	+ 2.67	97.5	pochmurny	mgła gruba	dészcz	pochmurny	PdW.	Pd.	Z.	Z.		
3		749.23	749.61	748.51	745 90	748.31	+ 2.1	+ 3.0	+ 2.7	+ 0.1	+ 1.98	96.5	napół p.dés.	pogodny	prawie pog.	lekko poch.	PdZ.	Z.	PdZ.	PdW.	2.0	
4		740.04	737.78	733.96	731.73	735.88	— 1.1	+ 0.3	+ 1.3	+ 1.1	+ 0.40	96.8	pogodny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		
5		73).50	730 13	727.30	726.06	728.52	+ 1.5	+ 1.2	+ 2 2	+ 1.7	+ 1.65	98.5	pochmurny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Pd.	PdW.	Pd.		
6		727.26	728.98	729.86	732.77	729.72	+ 1.9	+ 1.7	+ 2.3	+ 2.1	+ 2.00	97.7	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	PdZ.	Pd.	Pd.	PdZ.	1.8	
7		736.55	739.03	74).87	742.5)	739.78	+ 1.4	+ 1.9	+ 2.1	— 0.2	+ 1.40	95.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	dész. i śnieg	Z.	Z.	PdZ	Z.	2.8	
8	☾.	747.42	749.99	754.09	756.87	752.09	— 0.2	+ 0.4	+ 0.0	— 2.7	— 0.62	94.7	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		6.0
9		757.56	757.98	757.78	759.38	758.18	— 0.7	+ 0.4	+ 0.5	+ 0.8	+ 0.25	95.8	pochmurny	śnieg	poch. mgła	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		0.8
10		760.08	760.82	761.01	761.30	760.80	— 1.7	— 1.9	— 1.0	— 1.6	+ 0.15	89.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z	Pn.	Z.		
11		762.46	764 14	765.91	766 95	764.87	— 1.1	— 2.2	— 5.0	— 4.1	— 3.10	90.2	pochmurny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	W.	W.		
12		767.13	767.51	766.85	766.75	767.06	— 4.5	— 3.8	— 4.6	— 4.0	— 4.23	96.0	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	PdW.	W	PdW.	W.		
13		766 13	766.3 :	765.86	766.15	766.12	— 5.2	— 4.3	— 4.0	— 4.9	— 4.60	94.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pr. pochm.	PdW.	PdW.	W.	W.		
14		765.81	766.06	765.67	765.51	765.76	— 6.5	— 5.8	— 6.4	— 8.3	— 6.75	—	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	W.	W.		
15	☾.	764.87	765.25	764.90	763.70	764.68	— 9.7	—10.7	— 8.6	—10.3	— 9.82	—	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	Pd	PdW.	PdW.		
16		763.31	763.46	761.12	759.93	761.96	—11.6	— 9.7	— 5.4	— 7.8	— 8.63	—	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	Pd.	PdW.	PdW.		
17		757.92	758.06	757.08	756.02	756.02	— 2.3	— 1.0	— 0.2	— 0.5	— 1.00	—	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	mgła gruba	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
18		754 20	753.84	752 49	752.60	753.28	— 1.1	— 1.1	— 0.5	— 1.3	— 1.00	—	pochmurny	poch. mgła	poch. mgła	pochmurny	PnW.	Pn.	Pn.	Pn.		3.2
19		753 04	753.97	754 70	755.28	754.25	— 2.3	— 1.0	— 1.8	— 2.9	— 2.00	95.0	pochmurny	napół pog.	poch. mgła	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PdZ.		
20		753.89	753.00	750.29	749.18	751.59	— 7.3	— 5.7	— 3.3	— 3.8	— 5.02	—	pogodny	napół pog.	pochmurny	śnieg	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
21		747.8)	748.11	747.07	744.94	746.93	— 3.8	— 3.1	— 1.8	— 3.3	— 3.00	—	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	W.	PdW.	PdW.		
22		737.61	735.75	735.68	737.71	736.69	— 1.5	+ 0.6	+ 1.7	+ 0.2	+ 0.25	94.0	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	napół pog.	PdW.	PdW.	PdZ.	PdZ.	2.2	
23	☽.	737.12	737.92	738.53	739.69	738.32	+ 1.0	+ 1.4	+ 1.0	— 0.5	+ 0.72	92.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	Pd.	PdZ.	Pd.	PdZ.		
24		740.55	741.46	739.43	737.21	739.66	— 1.1	+ 0.8	+ 1.2	— 1.1	— 0.05	89.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdZ.	PdZ	PdZ.	PdW.		
25		736.19	735.71	734.87	735.90	735.67	— 0.9	+ 1.2	+ 1.9	+ 0.2	+ 0.60	91.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.	1.6	
26		740.32	742.20	744.29	746.41	743.31	— 0.7	+ 0.5	+ 2.1	+ 0.8	+ 0.67	92.0	pogodny	napół pog.	pochmurny	pogodny	PdZ.	Pd.	Pd.	PdZ.		
27		748.33	748.60	747 10	744.85	747.22	— 0.4	— 0.4	— 0.2	— 2.2	— 0.80	88.8	pogodny	napół pog.	pochmurny	pr. pogodny	Z.	Z.	PdW.	PdW.		
28		742.25	742.01	743.24	747.71	743.80	— 2.1	— 0.0	+ 1.2	— 0 4	— 0.30	91.2	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	poch. śnieg	PdW.	PdW.	Pd	PnZ.		2.4
29		748 86	749.22	748 76	747.82	748.67	— 1.1	— 0.3	— 0.6	— 3.6	— 1.40	97.7	pochmurny	praw. poch.	pr. pogodny	pr. pogodny	Z	Z.	PdZ.	Pd.		
30		744.29	742.86	74).60	737.80	741.39	— 6.0	— 4.0	— 1.3	— 1.5	— 3.42	92 0	pogodny	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
31	☽.	736.61	736.18	735.27	735.55	735.90	— 1.5	+ 0.1	+ 1.7	+ 1.2	+ 0.37	83.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
Śre.		748.783	748.080	748.691	748.785	748.843	—2°.10	—1°.17	—0°.56	—1°.59	—1°.34	97.7									12.0	12.4

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.835	27	7.955
Najwyżej barometr dochodził d. 12 o g. 10 r.	767.51	28	4.234
Najniżej — — d. 5 o g. 10 w.	726.06	26	9.863
Średnia zmiana dzienna barometru	4.42		1.96
Największa zmiana dzienna barometru d. 3—4 o g. 4 w.	14.55		6.46
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 34 lat poprzedzających (1826—1860)	2.620		1.161
	751.455	27	9.116
Średnia temperatura stycznia wynosi:	— 1°.35 C.	—	1°.08 R.
i ta jest wyższa o	3.79 „		3.03 „
od stanu normalnego z 34 lat (1826—1860) poprzedzających	— 5.143 „	—	4°.11 „
Największe ciepło było d. 2 po południu	+ 5.0 „	+	4.0 „
Największe zimno — d. 16 o g. 6 r.	— 11.6 „	—	9.3 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.86 „		1.49 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 16—17 o g. 6 r.	9.3 „		7.44 „

Termometrograf wskazał: Maximum: + 4°.0 R. d. 2 po poł.
Minimum: — 9°.5 „ d. 15, 16 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 97.7, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 4.96 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest przeszło o 3 setne większa od normalnéj (94.7).

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 12 mil. czyli 5.32 lin. par.; ze śniegu 9.2 mil. czyli 4.08 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 21.2 mil. czyli 9.40 lin. par.; ilość ta wody jest o 14,73 mil. czyli o 6.52 lin. par. mniejsza od téj, jaka u nas w styczniu (35.93 mil. 15.92 lin. par.) spada.

Dni pogodnych było 3, napół pogodnych 5, pochmurnych 23.
Dni deszczu 7 (d. 1, 2, 3, 6, 7, 12, 22).
— śniegu 12 (d. 7, 8, 9, 12, 17, 18, 20, 21, 23, 25, 28, 30).
— mgły 5 (d. 1, 2, 17, 18, 19).
— krup 1 (d. 22).
Wichrów było 1 (PdW.).

Wiatrów mocnych 3 (2 Z., 1 PdZ.).—Wiatr panujący Połud.-Wschodni. Styczeń r. b. który zwykle bywa u nas najzimniejszy, w r. b. przeciwnie, był szczególnie łagodny, niepogodny, wilgotny i więcéj do jesiennego niż zimowego miesiąca podobny. Pierwsze siedm dni i ostatnie dziesięć odznaczały się łagodną temperaturą; termometr od d. 1 do 8 t. j. od pierwszej kwadry do pełni, utrzymywał się ciągle wyżej zera. Wiatry południowo-wschodnie właściwe porze wiosennéj, były panującemi w tym miesiącu i te sprowadzały tak łagodny stan powietrza. Styczeń r. b. równie jak r. z. był o 3 stopnie R. cieplejszy niż zwykle; niektóre dni jak 3, 4, 5 były tak ciepłe jak w porze wiosennéj; dnia 3 termometr na słońcu pokazywał 6.9 stop. R. ciepła. Gdy u nas stan powietrza był tak łagodny, w Moskwie d. 10 n. s. zimno dochodziło do 24 stopni R.; w Warszawie w tymże dniu i o tymże czasie było 0.3 stop. R. ciepła. Najcieplejsze dni były: d. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 23, 24, 25, 26; najzimniejsze d. 12, 13, 14, 15, 16, 20. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był niepogodny, albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 4.0 : 6.5 : 20.6; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 3 : 5 : 23. Deszcze i śniegi padały nie obficie. Stan elektryczności atmosferycznéj co do jej natężenia średni miesięczny jest 17.2 stopni; największe natężenie siły elektrycznéj dochodziło 40 stopni d. 16 przy niebie pogodném.

W tym miesiącu wielkie i liczne plamy pokazywały się na słońcu.

Wysokość wody na r. Wiśle pod Warszawą największa słóp 10 cali 5 d. 8.
„ „ „ najmniejsza „ 3 cali 9 d. 22.

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegrafem elektrycznym do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém co dzień o 8 godz. rano.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIĘRWSZYM

Z R. 1860.

—

Materyały historyczne.

Stron.

Mennica Łobżeńska. Przez *Józefa Przyborowskiego*..... 713

Biografie.

Wit Stwosz, jego pobyt w Norymberdze i przygody tamże doznane, przez *Edwarda* bar. *Rastawieckiego*..... 1

Wspomnienie ś. p. Jana Koncewicza, przez *J. Bełzę*..... 428

Waszyngton Irwing.—Tomasz de Quincey..... 450

Nauki społeczne.

O zarządzie wsparcia i dobroczynności w Paryżu, przez *T. Xcia L.*.. 391

Literatura.

L. A. Seneka, przez *Kazimierza Kaszewskiego*..... 257

Kobiéta. Studyum historyczno-obyczajowe, przez *Zygmunta Kaczkowskiego*..... 529

Powieści-pisarze w Galicyi..... 622

Literatura zagraniczna. Angielskie przeglądy. The Edinburgh Review. — The Quarterly Review. — The Westminster Review. — The British Quarterly Review. — Blachwood's Magazine. — Dublin University Magazine.— Colburn's new Monthly Magazine.— Bentley's Misscellany.— The Athenaeum,—The Critic..... 37

Stron.

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Kwestya kobiet.—Dziecko.—Kobiety za sto lat.—Maski i Bufony Maurycego Sanda.—Romanse sielskie, pani Sand.—Książę Job, komedya Leona Laya — Długi serca, dramat Augusta Maquet. — Raport Kommissyi reformującéj Teatr francuzki.—Panna Déjazet.—Paryż, Rzym, Jerozolima, przez Salvadora. — Wiadomości literackie..... 106

Literatura włoska. Rzut oka na obecne piśmiennictwo.

I. Niccolini. — Guerrazi. — Leopardi. — Giusti. — Dall Ongaro. — Ugo.— Foscolo..... 133

II. Guerrazi.—Poezya i polityka.—Przedmowa do Beatrice Cenci.— Włoski Lamartine. —Giusti. — Dowcip transalpejski. — Leopardi.— Włoski splen.— Choroby sercowe..... 375

III. i IV. Tomasso Grossi.—Apoteoza mierności.— Śmierć bohaterkom!— Berchet.— Carrer.— Włoska fantastyczność. — Niebo za jasne i słońce za świetne.... dla duchów, ale nie kochanków.— Wesoły Romani, i smutny Dall'Ongaro. — Parnas krynolin. — Szkoda papieru, pióra.... i czytelników, przez *W. M.*..... 547

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Broszury Emila de Girardin.—Wycieczka Renan'a przeciw Berangerowi.— Listy Ewerarda.—Kobieta Michelet'a.—Orfeusz Gluck'a.— Ojciec Marnotrawny Dumasa.— La Tireuse des Cartes..... 302

Literatura francuzka. La Légende des Siècles par *Victor Hugo*..... 608

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. *Les Grands Peintres avant Raphaël* nowa publikacya Wiktora Didron.— Macaulay i jego dzieła. — *Madame Swetchine sa vie et ses Oeuvres* przez hr. Falloux. — Kandydatura Lacordaira. — *Les Grandes Usines de France* przez J. Turgan. — Wiadomości literackie..... 644

Poezye.

Aymerillot. (Z legend Wiktora Hugo)..... 126

Krótkie Curriculum Vitae Matyjasza, co zwan był Kobeżnikiem na Wilczéj ustroni, wedle słów pewnego starego tradytora w rym ujęte i światu przedstawione, przez *Stefana z Opatówka*.... 284

Po wysłuchaniu Symfonii Dobrzyńskiego..... 427

Tragedya.

Ryszard III tragedya Szekspira, przekład *Józefa Paszkowskiego* (dokończenie)..... 54, 322

Król Ryszard II dramat W. Szekspira. Akt pierwszy, przekład *J. Korzeniowskiego*..... 505

Sztuki piękne.

Stron.

Kilka uwag o rozwoju i kierunku sztuki malarskiéj w Polsce, przez *Ludwika Buszara*..... 89

Rozbiory.

Pismo zbiorowe wileńskie na rok 1859. Wilno. Przez *Kazimierza Kaszewskiego*..... 151

Homera Odyssea, przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. Poznań. 1859. Przez *Cypryana Izdebskiego*..... 163

Roczniki c. k. kommissyi centralnéj, ustanowionéj dla wykrycia i zachowania pomników budownictwa, wydawane pod redakcyą Gustawa Heidera w Wiedniu. Przez *Karola Beyera*..... 165

Pan Atanazy Skorupa człowiek postępowy. Szkice obyczajowe, skreślił i tekstem objaśnił A. Bartels. Paryż. 1859..... 176

Dwie kaplice Jagiellońskie w katedrze krakowskiéj, opisał Józef Muczkowski professor i bibliotekarz uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków. 1859. Przez *E. Rastawieckiego*..... 432

O karcie i z powodu karty geognostycznéj zagłębia węglowego w Królestwie Polskiém, wykonanéj przez Jana Hempla. Przez *H. Ł.* 440

Nowa Lirenka, rytmy Teofila Lenartowicza. Warszawa. 1859. Przez *Kazimierza Kaszewskiego*..... 447

Dzieje Mazowsza za panowania książąt, przez F. Kozłowskiego m. n. p. b. prof. gimn. guber. warsz., Mazowszanina. Warszawa. 1859. Przez *Juliana Bartoszewicza*..... 664

Metoda czytania poczynająca się od pisania, czyli metoda Grasera. Przez *Albina Kohna*..... 696

Poezye Antoniego Edwarda Odyńca. Wydanie nowe, poprawne i pomnożone. Wilno. 1859. Przez *Kazimierza Kaszewskiego*.... 706

Wiadomości z nauk przyrodzonych.

Proteusz albo nieśmiertelność. (Rozmowy z Humphry Davy z dzieła Consolations in travel) Przez *L. Zejsznera*..... 178

Ciepło i światło są objawami jednéj i tejże saméj siły. Przez *S. P.*.. 203

O temperaturze źródeł w dolinie Ojcowa, przez *L. Zejsznera*.... 453

Chemia, przez *J. B...ę*..... 462

O ptakach drapieżnych w Królestwie Polskiém, przez *Władysława Taczanowskiego*..... 570

Chemik. Rozmowy John Humphry Davy przełożył *L. Zejszner*..... 718

Próby chemiczne wody pochodzącéj ze studni w possessyi p. Temlera, pod Powązkowskiemi rogatkami. Przez *T. L.*..... 732

Korrespondencye.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *Apolinarego Kątskiego*.... 225

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *Aleksandra Grozy*..... 229

Stron.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od *Władysława Małachowskiego* i *Alexandra Przezdzieckiego*..... 465
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od *Apolinarego Kątskiego*... 467
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od *A. H. Kirkora*..... 468
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Poezye Alexandra Grozy, ogłoszenie nowego wydania..... 472
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od redakcyi *Ruchu Muzycznego*. 474
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, O komedyach konkursowych od *K*..... 734
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od Prezydenta Cesarsko-Królewskiej Warszawskiej Medyko-Chirurgicznej Akademii..... 740
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, Sprawozdanie z czynności wydawnictwa dzieł Długosza od *Józefa Lepkowskiego*..... 742
Od redakcyi..... I

Kronika bibliograficzna..... 232, 475, 756

Wiadomości literackie..... 243, 486, 767
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomicznem warszawskiem:
za miesiąc listopad r. z..... 253
— — grudzień r. z..... 501
— — styczeń r. b..... 773

Biblioteka Jagiellońska

OD REDAKCYI.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj, w odwołaniu się do swojéj odezwy w zeszycie styczniowym r. b. umieszczonéj, ogłasza z działań nauk do opracowania trzy zadania następujące:

1. Wyłożyć jak najpopularniéj zasady, na których polega wentylacya, czyli odświeżanie powietrza wszelkich miejsc zamkniętych, takowego potrzebujących, ze szczególnym przecież względem na istoty żyjące. Stosownie do tych zasad podać ogólne, praktyczne i zarazem oszczędne sposoby, osiągnięcia zamierzonego celu, ze wskazaniem miejsc, jeżeli i gdzie, skuteczność opisanych urządzeń doświadczeniem stwierdzoną została.

2. Porównać pod względem kosztów gaz służący do oświetlania, otrzymywany z węgli angielskich, z węgli kamiennych krajowych, drzewa, torfu i wody, celem przekonania, który z tych materyałów najwłaściwiéj w kraju naszym do fabrykacyi gazu używanym być winien.

3. Opisać pokłady węgla kamiennego znajdujące się w Królestwie Polskiém i rozpoznać ich własności chemiczne i fizyczne.

O ileby kilka rozpraw zostało w któréj z powyższych kwestyj do redakcyi nadesłanemi, redakcya sąd o ich wartości odda pod uznanie zaszczycających ją swemi radami i spółdziałaniem uczonych.

Autorowi rozprawy przez redakcyą powyższéj rady wybranéj, wypłaconą zostanie z kassy redakcyi kwota w ilości rsr. 75, jako zwrot poniekąd kosztów doświadczeń i podjętych trudów.